

GRAHAM MASTERTON

DROGA ŹELAZNA

Dla mej najserdeczniejszej przyjaciółki...

mej najbardziej miłowanej ukochanej...

tej, z którą zawsze będę łącznie żyć me nadzieje, me szczęście, me marzenia i której zawsze będę oddany ciałem i duszą...

(Dedykacja w oryginale po polsku)

PROLOG

Collis Edmonds wsiadł do pociągu w Ogden, w stanie Utah, i zanim dotarli do Winnemucca, w Nevadzie, pojawił się na pomoście obserwacyjnym swego prywatnego wagonu zaledwie dwa razy; i to tylko po to, aby dopalić do końca i cisnąć na szyny ostatnią ćwiartkę dogasającego cygara. Jego zachowanie intrygowało Emilię, zagadnęła więc czarnoskórego konduktora, żeby dowiedzieć się, kto to taki. Wysoki, o szczupłej twarzy i oczach utkwionych, zdawałoby się niezmiennie, w jakimś bliżej nie określonym punkcie, stojąc tak samotnie, lekko przygarbiony, przy kutej z żelaza balustradzie, sprawiał wrażenie zamkniętego w sobie. Ubrany był na czarno, choć właściwie kiedy Emilia ujrzała go za drugim razem, miał na głowie czerwony fez, zakończony fikuśnym chwastem – modny wśród panów z lepszych sfer, gdy zaciągali się cygarem, pisząc albo miłosny liścik, albo sprawozdanie.

– To – wyjaśnił z emfazą konduktor – to jest Szeff.

Emilia wróciła do swego pulmanowskiego* wagonu sypialnego i, rozłożywszy się wygodnie na zielonym, obitym pluszem siedzeniu, wyjęła z podróżnego neseserka notatnik i ołówek. Za oknem, spoza ciężkich zasłon, porośnięta bylicą równina umykała sprzed oczu z zastraszającą prędkością pięciu mil na godzinę.

Emilia zapisała w notatniku:

Spotkałam dziś człowieka, którego kolejarze nazywają „Szeffem”. Podróżuje we własnym pulmanie, choć jak na takiego bogacza „telepanie się”, jak mówią tutaj, na Zachodzie, w jednym tylko prywatnym wagonie to i tak chyba wielkie wyrzeczenie.

Przerwała na chwilę, zagryzając czubek ołówka. A potem dopisała:

Wydaje mi się, że rozumiem, dlaczego człowiek, który jest twórcą tej imponującej drogi żelaznej, który tak fenomenalnie wpłynął na koleje losu całego narodu, dlaczego człowiek taki pragnie pozostać na uboczu. Co to musi być za uczucie, ta świadomość, że się spięło, niczym żelazną kłamrą, dwa krańce kontynentu! Ileż nieujarzmionych myśli musi się kłębić w tej głowie! Jest przystojny, ale na jego twarzy maluje się udręka i choć widziałam go tylko dwa razy, i to jedynie w przelocie, czuję do niego jakąś sympatię, a nawet współczucie z powodu takiego historycznego fatum i osamotnienia. Tak bardzo bym chciała go kiedyś poznać i podzielić się z nim moimi uczuciami (dyskretnie, ma się rozumieć).

Z rezygnacją odłożyła na bok swój podręczny blok. Zdawała sobie sprawę, iż powinna napisać coś więcej – coś o zamglonych, szkarłatnych szczytach gór okalających Salt Lake City; coś o

ługowatych równinach, które właśnie przemierzali pod gęstym obłokiem z koda lokomotywy, który to obłok kłębił się i toczył na południe, nieujarzmiony, jak puch z dmuchawców. Powinna opisać ten luksusowy wagon pierwszej klasy, w którym podróżowała, i wszystkie jego wygody, jak i orzechowo-cisową boazerię, wyściełane pluszem kanapy oraz przepyszne amarantowe karnisze. W końcu była tu w charakterze korespondentki kobiecego pisma „Zapiski Pani Domu”, po to, aby zaspokoić ciekawość swych nowojorskich czytelniczek, które połąkłyby łączywie nowinki o tym, jak przyrządza się posiłki przy prędkości dwudziestu pięciu mil na godzinę i jak smakuje stek z antylopy, kiedy pędzi się po szynach poprzez te same równiny, gdzie jeszcze niedawno pasła się ta dzika zwierzyna.

Ale pojawienie się Szefa sprawiło, że nagle owe niewinne pogaduszki zdały się Emilii bezsensowne. Przyszło jej na myśl, że profil jego twarzy zdradzał z przerażającą siłą ogrom tego przedsięwzięcia, jakim była budowa kolei żelaznej, zwanej teraz Sierra Pacific, i że dzieło to – poczęte w mrocznych głębiach jego wyobraźni – przerastało jakoś samego twórcę. Siedziała tak nieruchomo przez dłuższy czas, nasycając wzrok złocistym zachodem słońca, który nadawał jej oczom odcień przejrzystego bursztynu, a zwoje loków zmieniał w nieokiełzane, ogniste promienie. I kiedy wreszcie konduktor w stalowym mundurze dotknął jej ramienia, by przypomnieć, że czas na kolację, zdawało się jej, że powraca do rzeczywistości z jakiegoś innego, oddalonego o setki mil, o tysiące chwil – o całe wieki – świata.

Nazajutrz Emilia stanęła na pomoście, rozkoszując się ciepłem letniego powiewu wiatru i zapachem bylicy. Myśl o tajemniczej postaci Szefa nie dawała jej spokoju, usiłowała więc podpatrzeć, co się z nim działo, ale ciężkie kotary w oknach jego prywatnego wagonu pozwalały jej dojrzeć tylko kawałek srebrnego kałamarza i róg gazety. Jednak kiedy pociąg minął już Reno i zaczął wspinać się z mozołem po zboczach wzniesień Sierra Nevada, Szef częściej opuszczał wnętrze swojego pulmana. Emilia zrobiła parę notatek na temat stalowych torów kolejowych, wijących się w serpentyny, na temat niezłomności najemnych chińskich wyrobników, którzy je układali oraz i o tym na jakiej wysokości ponad poziomem morza pociąg się właśnie znajdował. Uwaga jej skupiona była jednak na tym, co działo się w ostatnim wagonie – zanotowała w myślach, że jego samotny pasażer wychodził na zewnątrz z cygarem w jednej dłoni, a kieliszkiem w drugiej, by godzinami wpatrywać się w zaśnieżone szczyty gór, które stapiały się z przejrzystym błękitem nieba, tworząc poszarpaną, białą linię horyzontu.

Dochodziło już południe, kiedy pociąg wyłonił się wreszcie z przytłaczających ciemności wałów zabezpieczających przed śniegiem, którym zdawało się nie było końca, i wjechał w krajobraz srebrnozielonych sosen okalających Donner Lake, tuż przy samym wierzchołku przełęczy, która wiodła wciąż dalej i dalej, aż do Kalifornii. Opatulona w bobrowe futerko Emilia wyszła na zewnątrz – dzieliło ją teraz od wagonu Szefa zaledwie kilka stóp: chłód ostrego górskiego powietrza i pokryta smarem tuleja łącząca.

Szef ukrywał się w środku, poza zasuniętymi kotarami, aż do momentu, gdy dysząca lokomotywa wciągnęła dwunasty wagon pociągu na samiutki szczyt. Wtedy to, całkiem niespodziewanie, drzwi się otworzyły i pojawił się na pomoście, w cielistym palcie z ciemnym, futrzanym kołnierzem. Emilię, uderzyła bladeść jego twarzy i wyraz zmęczenia w oczach. Zauważył ją i wykrzywił usta w grymasie, który mógł być równie dobrze wyrazem niechęci, jak i próbą uśmiechu, co zamarł zbyt wcześnie w kącikach warg; potem szybko podszedł do balustrady i utkwiał wzrok w wierzchołkach gór.

Pociąg sunął teraz po torze w dół, przez górskie zbocza, długim, wijącym się szlakiem, by wreszcie zatrzymać się w Calfax na tankowanie. Zrobiło się trochę cieplej, choć powietrze nadal było raczej

rześkie. Wielu pasażerów wyszło z pociągu, by rozprostować nogi, ale Emilia została w salonce z zamiarem zrobienia dalszych notatek. Właśnie już kończyła, osuszając bibułą ostatnią kartkę, kiedy drzwi salonu rozwarły się i stanął w nich Szeff.

Emilia wyprostowała się i pociągnęła za poły swej zgniłozielonej podróżnej kurteczki.

– Dzień dobry – powiedziała głosem, który zdradzał ciekawość.

W pierwszej chwili przestraszyła się, że może dotknęła go swoim wścibstwem, ale na szczęście Szeff nie wyglądał na urażonego. A może po prostu nie robiło mu to różnicy.

Rozglądał się po wagonie, jakby chciał kogoś znaleźć, lecz zawiodła go pamięć i oczy.

– Collis Edmonds – przedstawił się z wahaniem.

– Tak, wiem – odparła.

– A pani...? – zapytał.

– Miss Emilia Van Brugh, z Nowego Jorku.

Collis Edmonds skinął głową. Dalej zdawał się czegoś szukać.

– Dobrą ma pani podróż, Miss Van Brugh?

– Tak, dziękuję. Podróż koleją tym szlakiem to doprawdy niezwykle przeżycie.

Prawdziwy cud techniki! Nigdy nie sądziłam, że zrobi na mnie takie wrażenie.

Collis Edmonds skinął głową.

– Tak – rzekł, jakby te komplementy były mu nie w smak. – Niezwykłe przeżycie. Cud techniki... ukoronowanie ludzkiego... jak to się mówi?... geniuszu.

Zapanowało krępujące, napięte milczenie. Wydawało się, że Collis Edmonds nie miał już nic więcej do dodania, a jednak nie kwapił się z odejściem. W końcu Emilia rzekła ostrożnie: – Czy miałby pan coś przeciwko temu, Mr Edmonds, gdybym zadała mu parę pytań?

– Pytań? Oczywiście, bardzo proszę. A co chciałaby pani wiedzieć?

– Chciałabym wiedzieć, dlaczego zbudował pan tę kolej.

Odwrócił się ku niej i spojrzał jej prosto w oczy.

– Chciałaby pani wiedzieć dlaczego?

– Tak.

– Na miłość boską! Moja droga panienko... a jak pani myśli?

– Nie jestem pewna. Zanim pana ujrzałam, zanim zaczęliśmy rozmawiać, zupełnie się nad tym nie zastanawiałam. Ale teraz nagle ogarnęły mnie wątpliwości.

Wzniósł ręce, jakby w geście obronnym.

– Doprawdy, dziecko, co za pytanie! Zbudowałem tę kolej dla pieniędzy. I dlatego że była potrzebna temu krajowi. Zbudowałem ją, ponieważ... ponieważ... tak mi się podobało, i już.

Emilia siedziała w milczeniu, a kalifornijskie słońce, które wpadało do saloniku przez zakurzone okna, oświetlało jej, twarz i sylwetkę. Chociaż trzymała ołówek tak, jakby za chwilę miała zamiar coś napisać, kartki notatnika świeciły pustkami.

– Nie zapisze tego pani? – zapytał Collis Edmonds po jakimś czasie. – Nie? No to co jeszcze chce pani wiedzieć? Jakieś ciekawostki? Statystyki? Pomiędzy rokiem sześćdziesiątym ósmym a sześćdziesiątym dziewiątym wybudowaliśmy w tych górach wały przeciwniegowe o łącznej długości trzydziestu siedmiu mil, zużywając na ten cel pięćset tysięcy sagów drewna. Piętnaście tuneli wykutych w skałach wchodzi w skład Sierra Pacific; w niektórych miejscach granit był tak twardy, że posuwaliśmy się z prędkością ośmiu cali na dobę. Czy o to pani chodzi? Najwyższy punkt wznosi się na wysokości stu pięćdziesięciu sześciu stóp nad poziomem morza, a w zimie grubość pokrywy śnieżnej dochodzi do czterdziestu stóp.

Przerwał. Potem zaś dodał, ale dużo ciszej.

– Nic pani nie pisze.

Emilia spuściła wzrok. Collis Edmonds przyglądał się jej przez chwilę, potem podszedł do jej stolika, przysunął krzesło i usiadł. Dalej wpatrywał się w nią z uwagą, podpierając brodę dłońmi, a wyraz jego twarzy zdradzał częściowo rozbawienie, częściowo zaciekawienie.

– Naprawdę tak to panią interesuje? – zapytał.

Emilia zerknęła na niego niepewnie.

– Pan pewnie pomyśli, że to bezczelność z mojej strony... – powiedziała. – Aleja naprawdę jestem przekonana, że miał pan w tym jakiś szczególny cel. Widziałam, jak stał pan na pomoście swojego wagonu... jak wpatrywał się pan w horyzont.

– Nabiła sobie pani głowę sentymentalnymi historyjkami – powiedział Collis Edmonds.

– To, że pani tak myśli, nie oznacza wcale, że i ja muszę myśleć w ten sam sposób. Ja jestem budowniczym kolei żelaznej, człowiekiem bardzo przyziemnym; tak bardzo przyziemnym, proszę pani, że bardziej już nie można.

– Może... może się pomyliłam – odparła Emilia. – Wobec tego proszę gorąco o wybaczenie.

Collis Edmonds usiadł przy niej ponownie i wyjął z kieszeni grawerowany złoty zegarek.

Popatrzył nań przez chwilę, a potem rzekł: – Minie jeszcze parę dobrych godzin, zanim dobijemy do Sacramento. Czy uznałaby to pani za impertynencję z mojej strony, gdybym zaprosił ją do mojego salonu na kolację?

– Byłabym zaszczycona – odparła Emilia.

– W porządku – powiedział Collis Edmonds. – O ile się nie mylę, mój kucharz pitrasi suflety z łososia. Mam również wybornego szampana. A podczas tej kolacji zrobię wszystko co w mojej mocy, by odpowiedzieć na pani pytania z całą szczerością na jaką mnie stać, i w jak najdrobniejszych szczegółach. Chce pani wiedzieć, dlaczego zbudowałem tę kolej, ha?

Powiem pani. Ale muszę z góry zaznaczyć, że to, co pani usłyszy, może wydać się pani szokujące, gorszące, wręcz oburzające. Nawet się pani nie spodziewa, jak nisko można upaść w pogoni za sławą.

Emilia zarumieniała się lekko na te słowa, ale szybko wzięła się w garść.

– Wątpię, czy cokolwiek jeszcze zdoła mnie naprawdę zgorszyć lub zaszokować, Mr Edmonds. W końcu pracuję dla prasy.

Collis uśmiechnął się zawadiacko i podniósł z siedzenia.

– Proszę przyjść tuż przed odjazdem pociągu – powiedział. – Będę czekać na to spotkanie z wielką niecierpliwością.

Przez następne trzy godziny, podczas gdy pociąg zsuwał się po zboczach Sierra Nevada, pędząc na wprost zachodzącego słońca, pod ciemniejącą kopułą nieba, Collis Edmonds opowiadał Emilii Van Brugh swoje dzieje. Szampan iskrzył się w pięknie ciętych, kryształowych kielichach. Na chwiejnym stole podrygiwało cenne stołowe srebro. Był świeży łosoś, szparagi, brzoskwinie i wyborny pikantny serek.

Po tej rozmowie Emilia wróciła do swojego wagonu i spakowała rzeczy, gotowa do wysiadki w Sacramento. Nigdy już więcej nie spotkała Collisa Edmondsa, choć kiedy pociąg wjechał na końcową stację, zdążyła jeszcze dojrzeć czekając na powóz, który miał ją zabrać do hotelu – jak pod osłoną nocy odłączano prywatnego pulmana od reszty pociągu.

Szczelnie zasunięte zasłony nie dopuszczały ciekawskich spojrzeń.

Reportaż z tej podróży ukazał się w „Zapiskach Pani Domu” z 13 października 1870 roku.

Nosił tytuł: „Podręczny informator o transkontynentalnych podróżach koleją dla nowoczesnych pań & Poradnik dla samotnych pań z wizytą w Kalifornii”. Opisywał te cudenka techniki, które tak rozślawiły Sierra Pacific; opowiadał o bezwietrznych pustyniach, majestatycznych górach i groźnych urwiskach; zawierał rady o tym, jakich potraw warto spróbować, a jakich lepiej unikać oraz co zabrać do ubrania i gdzie się zakwaterować. Była w nim nawet i wzmianka o tym, że śniegoodporne wały .biegły przez góry wzdłuż torów na odcinku długości trzydziesta siedmiu mil.

Reportaż nie zdradzał jednak prawie nic z tego, co Collis Edmonds opowiedział Emilii podczas ich trzygodzinnej kolacji, ponieważ tego typu wstrząsająca, pełna bólu, a zarazem i tkliwości opowieść obraziłaby tylko poczucie moralności nowojorskich czytelniczek Emilii.

Była to bowiem jedna z tych tajemnic, które należy pielęgnować starannie jedynie w najskrytszych, najbardziej przepastnych zakamarkach serca i pamięci.

Kiedy obudził się rano w obskurnym pokoju hotelowym na drugim piętrze hotelu Monument, było już po dziesiątej. Głowa pękała mu z bólu, a w ustach miał smak – wedle pamiętnych słów dziadka – jakby spędził noc na ssaniu ropuchy. Leżał tak przez prawie pięć minut, popatrując przez przymrużone powieki na dekoracyjny, gipsowy gzyms biegnący wzdłuż ścian przy suficie, i starając się ustalić, jaki to dzień, która to może być godzina i za jakie grzechy przyszło mu znowu tak pokutować.

Nie było wątpliwości, że dzień był słotny. Słyszał, jak krople dżdżu biją o szyby i tylko nikły topniejący strumień światła wdzierał się do pokoju poprzez pasiaste, czerwono – kremowe, sute draperie. Nie było również wątpliwości, że musiało już być późno, gdyż słyszał za oknami na rynku turkot powozów i dorożek oraz charakterystyczne parskanie szkapy w uprzęży. Pod osłoną hotelowego portyku głos gazeciarza zawodził niczym tułacza lira: – „Trybuna!” „Trybuna!” Coś jeszcze stało się nagle jasne. Tak jasne, że wręcz bolesne. Ktoś zamruczał, a potem westchnął obok niego, i gruba, zielona kapa, nie pierwszej już zresztą czystości, zsunęła się z białego, nakrapianego piegami ramienia na podłogę, odsłaniając na sąsiedniej poduszce poplątane kosmyki rudych włosów. Po paru dalszych zmaganiach blada dziewczęca twarz z zaczerwienionymi oczami i rozmazanym makijażem wynurzyła się spod kołdry. Jej fizjonomia przypominała mu ugrzęźłego na mieliźnie dorsza, którego parę lat wstecz przyszło mu zabić cegłą.

– Matko Boska na wysokościach! – wykrzyknęła z mocnym, irlandzkim akcentem. – Czy to już rano?

Nie odpowiedział, tylko przycisnął dłoń do łupiącego czoła. Nie było co się łudzić – musiała to być znowu jakaś kara boska za opilstwo, za kopcenie cygar jak z komina, za emocje hazardu i roztrwianie rodzinnej fortuny, a przede wszystkim, przede wszystkim za to, że i tym razem, jak zresztą zawsze, nocne igraszki zawiodły go w objęcia dziewczątka o niezaprzeczalnie swojskim wyglądem. Nie miał pojęcia, dlaczego tak to się zawsze kończyło.

Choćby nie wiem jak wdzięcznie i zachwycająco wyglądały w blasku gazowej lampy, kiedy głowę miał ciężką od burbona i słodkiego portwajnu i gdy w radosnym podnieceniu liczył straty, jakie jego czarujące słabostki poczyniły na ojcowskim bankowym koncju, następnego ranka okazywało się, że spod pościeli wyłaniała się panienka rozczochrana i tłusciutka, o rysach nie mniej topornych niż twarze niemieckich usmolonych kamieniarzy.

Była to jego własna wielka, wielka wina, gdy tymczasem Bóg, Ojciec Wszechmogący, miał świętą, świętą rację. Gdyby tylko ten Pan i Stwórca nie upierał się i nie wypominał mu tego tak niemiłosiernie, aż do obrzydzenia.

Dziewczyna przypatrywała mu się przez jakiś czas z uwagą. Mogła mieć lat osiemnaście, a może dziewiętnaście. Pod jej skórą można było jeszcze wyczuć warstwę młodzieńczego tłuszczu, w który wpijało się paznokcie w chwilach zmysłowego odurzenia. Odurzenie było jedynym słowem, które przychodziło mu na myśl w tym kontekście. Upojenie nie wchodziło w rachubę. Ale ta mała akurat zdawała się nawet całkiem milutka. Pochyliła się nad nim i złożyła pocałunek na jego zmierzwionej czuprynie, po czym uśmiechnęła się do niego kapryśnie, niemalże rozbajająco.

Usiadł na łóżku, przy akompaniamencie jęklanych sprężyn, i rozejrzył się dookoła. Pokój, w którym się znajdowali, miał wysoki sufit i liche, tandetne umeblowanie. Oprócz szerokiego, bezstylowego metalowego łóża, które pasowałoby jak ulał w wariatkowie, gdyby tylko przymocować doń kaftan bezpieczeństwa, znajdował się tam również dębowy fotel, kamienna umywalka i ponure, werniksowane biurko, nad którym zawieszono owalne lustro.

Spuścił głowę na piersi i westchnął głęboko, z rezygnacją.

– Nie rób takiej nieszczęśliwej miny – powiedziała dziewczyna. – Przecież to dopiero wtorek.

Skierował na nią wzrok, w którym tlił się prawdziwy żal.

– A dlaczego nie, skoro nie mam się z czego cieszyć? Odrzucił kołdrę i wygramolił się niezdarnie z łóżka. Zdawało mu się, że wyświechtany dywan kołysze się i żegluję jak łódka.

Dotarł jakoś po omacku do umywalki i uchwycił się za brzeg, po czym wylał na siebie ze starego dzbanka w białe konwalie cały strumień lodowatej wody.

Dziewczyna ułożyła się ponownie na poduszkach i przyglądała się tym zabiegom. Nawet w tym przymglonym świetle jego nagie ciało wyglądało raczej na kościste: miał sporą niedowagę, tak że widać mu było sterczące żebra. Twarz jego była pociągła, z ciemnymi, kręconymi po bokach ciemnoblonde baczkami, a nos Ostry, wydatny; w jego oczach malował się smutek. Nawet wtedy gdy wygrywał w karty, ściskając w dłoni cały wachlarz zwycięskich waletów i dam, można było sądzić po jego oczach, że za chwilę rzuci karty na stół i podda się albo też w dramatycznym geście poderżnie sobie gardło.

– Nie musisz wcale robić takiej nieszczęśliwej miny – powiedziała dziewczyna. – Możesz przecież wyskoczyć z łóżka i robić, co ci się żywnie podoba.

Odwrócił się w jej stronę, przymykając jedno oko pod ociekającą wodą. Nie mógł znaleźć ręcznika, więc przyciągnął ku sobie zasłony i wytarł się nimi do sucha. Znów rzuciła mu ten przekorny uśmiech. Szczupłość jego sylwetki zdawała się jeszcze dodawać całej postaci wyrazu melancholii.

– Płukanka Bromo Vichy do gardła to jedyne, czego pragnę w tej chwili. Oprócz, oczywiście, prawa, by obnosić się z nieszczęśliwą miną, skoro to właśnie sprawia mi największą przyjemność – powiedział ochryple.

Na twarzy dziewczyny dalej błędził lekki uśmiech.

– Znam lepsze przyjemności niż zalewanie smutku płukanką Bromo Vichy.

– Być może – przyznał, wcale nie pojednawczo. – Ale mnie to tymczasem zupełnie wystarczy do szczęścia.

Okręciła potargane, rude loki wokół palca. Odęła wargi i przez chwilę siedziała tak w milczeniu, nadąsana, z miną, którą widocznie uważała za wielce ujmującą i kokieterijną.

– Wczoraj wieczorem trudno się było od ciebie opędzić – powiedziała. – Rzucałeś się na mnie jak jaki tygrys, albo co.

– Ładna mi para – odrzekł, jakby myśląc o czym innym, rozglądając się za częściami swej bawełnianej garderoby, które , walały się porozrzucane po pokoju. – Tygrys i hipopotam.

– Hipo–co?

Przeszedł na czworakach, by zerknąć pod łóżko. Podniósł głowę i wyjaśnił: – Hipopotam. To takie olbrzymie, grubaśne afrykańskie zwierzę, które lubi tarzać się w błocie; Popatrywała na niego z boku. Porzucił poszukiwanie bielizny. Podeszedł teraz do fotela, gdzie wisiał jego czarny wyjściowy surdut i wyjął z niego skórzaną cygarnicę. Otworzył ją, odgryzł koniuszek cygara, a potem usiadł nago w nogach łóżka, umieściwszy prawą kostkę na lewym kolanie, i zapalił. Zaciągnął się, wypuł krztynę tytoniu, która przylepiła mu się do języka, zakaszłał, a potem zwrócił się twarzą w jej kierunku.

– Jesteś okrutny – powiedziała. – Jak tak możesz?

– Okrutny?

– Wiesz dobrze, że to prawda. Powinieneś wiedzieć. Pan Bóg stworzył nas takimi, jakimi jesteśmy, i nic na to nie możemy poradzić. Nie uczyli cię tego w domu?, – W domu uczono mnie tylko tego, że wartości moralne, nie umywają się do wartości dolara i że kobieta, która nie przykrywa głowy kapeluszem to dziwka.

Dziewczyna usiadła na łóżku, ukazując małe, okrągłe, bielutkie piersi.

– Wczoraj mówiłeś mi, że mnie kochasz – powiedziała.

Uniósł brwi ze zdziwieniem.

– Mówiłeś, że mnie kochasz i że ożenisz się ze mną, jak tylko to będzie możliwe.

Przez jakiś czas żuł cygaro, a potem rzucił jej ironiczny uśmiech.

– Pod wpływem piętnastu kieliszków koktajlu burbońskiego* można sobie mówić, co się chce. Nawiasem mówiąc, wczoraj wypilem więcej. Z drugiej strony, uwierz mi, zdarzało mi się już mówić gorsze rzeczy. – Wstał, opierając ręce na biodrach. – Jedno co chciałbym wiedzieć, to gdzie, u licha, są moje kalesony.

Przez chwilę siedziała w milczeniu. Na zewnątrz krople deszczu rozpryskiwały się o szyby okien i ściekały przez rynnę na parapet.

– Jak ci na imię? – zapytała wreszcie, kiedy schylił się, żeby zajrzeć pod biurko.

– Collis – odparł krótko. – A tobie?

– Kathleen Mary.

– Że też wcześniej o tym nie pomyślałem. – Collis wyłonił się spod biurka, zziąjany, ale tryumfalnie unosząc w dłoni odnalezione kalesony. – Proszę! – oznajmił uroczyście. – Najwspanialszy egzemplarz bielizny Bon–Bon, jaki kiedykolwiek miał zaszczyt paradować ulicami

tego miasta; rodem z samego Paryża. Na głos natury lub nagłej nieujarzmionej chuci otwiera się błyskawicznie. Zaręczam.

Kathleen Mary spuściła wzrok. Pomimo swej profesji . uważała dyskusje na temat męskiej spodniej garderoby za wielce niestosowną. I trwała tak, nie podnosząc oczu, podczas gdy Collis, z cygarem w zębach, naciągał swoje paryskie kalessony i zapinał guziki rozporoka. Gdy skończył, robił wrażenie kogoś, kto za chwilę ma zamiar wziąć udział w wyścigach welocypedów lub przepłynąć cieśninę Hudsona z zawiązanymi oczami. Usiadł znowu na łóżku i spojrzał jej w oczy z wyrazem twarzy, który można było zinterpretować jako wewnętrzny niepokój, ale który tak naprawdę zdradzał po prostu potworne zniecierpliwienie.

– Posłuchaj, malutka – powiedział, kładąc zarośniętą dłoń z długimi, wypiełgnowanymi palcami na jej pulchnej, gładkiej rączce. – Mam lat zaledwie dwadzieścia pięć i tak się składa, że na brak forsy nie mogę narzekać. Całe życie przede mną. Jeszcze nie raz przyjdzie mi powalcować, pójść o zakład, golnąć sobie coś mocniejszego, pofiglować z panienkami.

Nowy Jork pełen jest szynków, gdzie nie raz jeszcze przyjdzie mi leżeć pod stołem. I znam co najmniej tuzin burdeli, których złej reputacji nie miałem jeszcze okazji osobiście wypróbować. Czekają jeszcze na mnie przesmaczne ostrygi i wyborne gatunki szampana, nie mówiąc już o wyścigach konnych. Kiedy uda mi się wreszcie skosztować tego wszystkiego, całkiem możliwe, że pomyślę wtedy o, ożenku. Ale nie wcześniej i na pewno nie z tobą.

Kathleen Mary wyciągnęła dłoń i szybkim gestem odgarnęła z jego czoła ciemny kosmyk włosów, który wchodził mu do oczu.

– Aha. Więc to wszystko były kłamstwa – powiedziała ze śpiewnym, melancholijnym irlandzkim akcentem. – To, że mnie kochasz, że wyciągniesz mnie z rynsztoka.... wszystko to były kłamstwa.

– Nie, nie. To wcale nie tak. Widzisz, w momencie gdy to mówiłem, wcale nie kłamałem – wyjaśnił Collis. – Ale wiesz, jak to jest, kiedy sobie człowiek popije...: tak na wesoło.

Pokręciła głową.

– Nie wiem. Wesołość dla mnie to tylko puste słowo. To coś, co czasem trafia się innym.

Odwrócił się, zbity z tropu. , – Na pewno tylko tak mówisz. Życie nie jest takie złe. Na pewno czasem też ci wesoło.

– W dwóch klitkach w budynku przy Delancey Street, który już dawno powinien być zrównany z ziemią; z ojcem, który pije wszystko – od wódki po wodę brzożową – i trzydziestoletnim bratem, który nie potrafi nawet zasznurować sobie butów?

– Przykro mi... Kathleen Mary usiadła na łóżku na klęczkach, jak opasła Afrodyta wynurzająca się z otchłani spienionego morza pościelowej bielizny.

– Tobie przykro – zatkała. Wciąż jeszcze pachniało od niej śledziami i wódką. – Pomyśl tylko, jak mnie musi być przykro.

Collis wykrzywił usta. Chciał wstać, ale Kathleen Mary popchnęła go z powrotem na łóżko, i nagle zdał sobie sprawę, że – niestety – była nie tylko potężna, ale do tego nieustępliwa. Oczami

wyobraźni widział już, jak w samych tylko kałesonach będzie zmuszony wyskoczyć przez okno na ten zacinający deszcz, w desperackim, acz – kto wie – może całkiem daremnym geście, by wyrwać się z jej szponów.

– Wczoraj leżałeś w moich objęciach i to są twoje własne słowa: „Kocham cię”, mówiłeś.

„Chcę, żebyś została moją żoną”, mówiłeś. A teraz rano traktujesz mnie jak śmiecia, jak jakie byle co.

– Przykro mi – rzekł na to Collis szorstkim głosem, w którym można było wyczuć napięcie. – Ale doprawdy sędzę, że nie warto się nad tym więcej rozwodzić.

Zabolało ją to wyraźnie i dotknęło. Zrozumiawszy, jak bardzo jej obecność gra mu na nerwach, odwróciła się od niego i stanęła przy na wpół odsłoniętych zasłonach, przyglądając się kropłom deszczu ściekającym po mokrych szybach.

– Nie mam prawa nalegać – powiedziała. – W końcu nie jest twoją winą to, co musiałam wycierpieć.

Usiadł znowu, zacierając ręce. Cygaro zapodziało się gdzieś w pościeli, więc przez minutę lub dwie zajęty był poszukiwaniem swej zguby. Kiedy znów podniósł wzrok, zauważył ze zdziwieniem, że z jej oczu płynęły łzy. Wstał z łóżka, podszedł do okna i objął ją ramieniem.

Pociągnęła nosem i starała się robić dobrą minę do złej gry, dzielnie uśmiechając się przez łzy.

Stali tak, milcząc, przez jakiś czas, ona – wciąż pociągając nosem, on – patrząc na nią z troską w oczach, podczas gdy na zewnątrz musiało się już przetrzeć, ponieważ jaskrawe, migotliwe światło zalało nagle pokój, a drżące krople deszczu zaiskrzyły się na szybach okien.

– Nie chciałem cię zranić – powiedział ochryple. – Rzeczywiście ostatnio jakoś stałem się bezwzględny, chyba przez to ciągle zrzędenie w domu i różne takie. Może ubierz się i pójdziemy gdzieś razem na śniadanie, co? Masz ochotę na kurczaka w galarecie? Możemy wstąpić do Sweeny’ego.

Wytarła nos nadgarstkiem.

– Nie czuj się w żaden sposób zobowiązany.

Collis wzruszył ramionami i sięgnął ręką po spodnie, które wisiały na poręczy łóżka jak bożonarodzeniowa pończocha z prezentami*.

Wciągnął je na siebie i rzekł: – A jednak, prawdę powiedziawszy, czuję się zobowiązany. Uważam, że masz całkowitą rację, że już najwyższy czas, abym zaczął liczyć się z uczuciami moich bliźnich. Mój ojciec chodzi ciągle ze skwaszoną gębą, moja matka wciąż tyranizuje innych, a moja siostra, Maude, jest potwornie obłudna. Ja natomiast zaraziłem się chyba od nich tym wszystkim i sam też się taki stałem. Ale jak tak się nad tym dobrze zastanowić, takie postępowanie to doprawdy cholernie ciężka robota. Sędzę, że w ostatecznym rozrachunku dużo łatwiej jest okazywać ludziom dobre serce. I mniej to szkodzi na wątrobę.

Włożył rękę do kieszeni i wyjął garść srebrniaków. Kathleen Mary zapłonila się i spojrzała na niego niepewnie.

– To wystarczy – powiedziała cicho. – Dwa dolary za noc, za całą noc, i ani grosza więcej.

Collis wysupłał trzy dolary i podał je dziewczynie.

– Ten dolar ekstra to taka drobna rekompensata za moje chamskie zachowanie.

Wrzuciła je do czarnej, zniszczonej sakiewki z bobrowej skórki. Potem sięgnęła po gorset, rozwieszony na oparciu krzesła, obcisnęła się nim i zaczęła sznurować – : cał po calu – coraz ciaśniej, tak że jej drobne piersi nabrzmiwały jak dwa nastroszone gołębie, a biodra i uda zaokrąglały się wydatnie.

– No, najgorsze już z głowy – rzekła, zipiąc z wysiłku.

Collis włożył przez głowę koszulę i upchnął jej sute fałdy w spodniach. Potem znowu skierował się w stronę lustra, by zawiązać miękki, czarny krawat. Był nie ogolony i pod palcami czuł ostry zarost na brodzie, ale z goleniem nie musiał się spieszyć; resztę toalety – zdecydował – będzie można dokończyć w domu. Przejechał palcami po włosach i doszedł do wniosku, że nie musi wstydzić się swego wyglądu. Tymczasem Kathleen Mary zapinała guziki serdaczka, wcisnąwszy się uprzednio w szeroką, zgniłozieloną suknię z wążutkim koronkowym kołnierzykiem.

– Czy możesz chwilę zaczekać? – poprosiła. – Zajmie to tylko parę minut.

Collis sznurował cholewki butów ze ściętym noskiem.

– Nie pali się. Mogę poczekać.

Kathleen Mary wyjęła grzebień i zaczęła skręcać przetłuszczone, rude włosy w loczki.

– Przepuszczasz masę pieniędzy, no nie? – zauważyła. Wczoraj straciłeś gdzieś około stu dolarów, sama widziałam.

– Nie straciłem, tylko wydałem. Albo przegrałem w karty i przepuściłem na hazard.

– Nie powiedziałabym nawet, że to zwykły hazard, wiesz, jak postawiłeś pięćdziesiąt dolarów na to, ilu łysych facetów przewinie się przez bar w ciągu następnych dziesięciu minut. To po prostu czyste marnotrawstwo.

– A tobie co do tego? – powiedział Collis. – I jeśli chcesz wiedzieć, ja sam też mam to w nosie. To i tak nie moja forsa. Mój ojciec płaci taką cenę, aby trzymać mnie z dala od siebie i swoich spraw. Niewyczerpany dopływ funduszy. Studnia bez dna.

– Ale czy to nie nikczemność zakładać się o to, ilu łysych facetów przewinie się przez bar, kiedy tyle biednych rodzin mogłoby za te same pieniądze spłacić długi, najeść się porządnie, jak im się nawet nigdy przedtem nie śniło, i nacieszyć się wreszcie życiem?

Collis wybuchnął śmiechem.

– Ty, zwykła ulicznica, ty mi tu mówisz o niktzemności? Kathleen Mary przerwała toaletę i wyprostowała się dumnie. Spojrzał w lustro nad biurkiem i w jego owalnych, wytartych ramach ujrzał jej kanciaste, prostackie odbicie. Wyglądała jak twarz z portretu, który ożył nagle i wpatrywał się teraz w niego oskarżycielsko.

– A czy to grzech być dziwką, kiedy nie ma innego wyjścia? – zapytała. – Co mam zrobić, żeby wyżywić ojca? Co mam zrobić, żeby opłacić bratu lekarzy? Grzech jest tylko wtedy grzechem, kiedy ma się wybór pomiędzy dobrem i złem. . – A! Pięknie się to da wytłumaczyć. Cóż za rynsztokowa filozofia! – rzekł Collis, unosząc brwi w sarkastycznym grymasie.

, – : Powiem ci coś – rzekła Kathleen Mary. – Kiedy miałam dziesięć lat, zmywałam bańki w Zakładach Chemicznych w Brooklynie. Oczy mnie piekły, a ręce miałam całe poparzone; zarabiałam tyle, że w dni powszednie starczało akurat na chleb i piwo dla ojca i dla brata, a jak dobrze poszło, to najwyżej jeszcze na kapuśniak na żeberkach w niedzielę.

Któregoś pięknego dnia, kiedy dopiero co ukończyłam lat dwanaście, ojciec wziął mnie do łóżka wcale nie po to, żeby zaspokoić swoje żądze, tylko dlatego, że dobrze wiedział, co mnie czeka, i chciał, żeby ten pierwszy raz odbył się bezboleśnie. Od tego czasu karmiła mnie ulica i tak też było wczoraj, i tak będzie jutro.

– Kiedy przyrzekałem ci, że się z tobą ożenię....

– Nie przejmuj się. – Uśmiechnęła się do niego. – To normalka. Pijani dorożkarze, pijani policjanci, pijani dżentelmeni. Chyba poczułam do ciebie jakąś sympatię i dlatego myślałam, że może tym razem coś z tego wyjdzie.

Obejrzał koniuszek cygara.

– Doprawdy bardzo mi przykro, ale to niemożliwe. Przepraszam. Wiem, że to łajdactwo z mojej strony.

– Nie takie znowu straszne łajdactwo – odparła z figlarnym uśmiechem. – Ale nadal sędzę, że się marnujesz. Jesteś bogaty i pojętny, a siedzisz tutaj beczynnienie; przepijasz i przegrywasz swoje życie. Gdybyś wiedział, jak mój ojciec siedzi koło pieca i gryzie się, że nie ma dla niego roboty. Marzy o tym, żeby nająć się gdzieś do pracy, gdzieś na Zachodzie, budować drogi żelazne, bo tym się głównie kiedyś parał. Niczego tak nie pragnie jak zamachnąć się kilofem, usypać podkład i ułożyć ‘ tory, tylko że nic dla niego nie ma i już. Ale ty, z twoim kapitałem i pochodzeniem, ty mógłbyś się tam urządzić bez trudności i zbić majątek błyskawicznie.

Collis nadał swemu głosowi ton jeszcze bardziej zatroskany niż zazwyczaj.

– Wybrać się na Zachód? Czy wiesz co się tam dzieje?

– Dla mnie brzmi to bardzo romantycznie – powiedziała w zadumie.

– Romantycznie? Wiesz, co Daniel Webster* o tym mówił?

– Daniel Webster? Ależ to przecież zwykły zdrajca!

– Dał się wystrychnąć na dudka, to fakt, ale głupi nie jest. Powiedział, że nic tam nie ma prócz barbarzyńców i dzikich bestii, kaktusów i kojotów. Za żadne skarby świata nie da się tam znaleźć świeżych homarów z Maine, na tym twoim Zachodzie, a już sama myśl o tym, jak wyglądałoby życie bez homarów z Maine, przyprawia mnie o mdłości.

Oparł stopę o brzeg łóżka i zaczął glansować noski butów prześcieradłem.

– Nie, nie, dziękuję – powiedział. – Całkiem możliwe, że powołaniem twego ojca jest życie w drewnianych budach, kotlet z bawołu na kolację i harówka od świtu do nocy, w pocie czoła; ale mnie się to nie uśmiecha. I co z tego, że straciłem wczoraj pięćdziesiąt dolarów na zakład, ilu łysych facetów przewinie się przez bar w ciągu dziesięciu minut? Ale za to w zeszłym tygodniu wygrałem siedemdziesiąt dolarów: założyłem się o to, ile pań przy stole odważy się jeść szparagi .palcami, a ile się z tego wykręci w obawie, że ktoś posądzi je o nieobyczajność. Tak że w sumie zawsze jakoś wychodzę na swoje.

– Szkoda mi cię – powiedziała z rozwagą.

Skończył polerowanie butów i wyprężył się dumnie, wyrównując brzegi surduta. Ale wtedy właśnie zauważył, że jej oczy rzeczywiście pełne były współczucia, i poczuł się dziwnie nieswojo.

– Nie użalaj się nade mną – rzekł, dziwnie skrępowany. – Mam wszystko, czego dusza zapagnie. Nic mi więcej nie trzeba.

– W tym właśnie sęk. – Uśmiechnęła się lekko. – Kiedy ma się już wszystko, czego dusza zapagnie, ma się też wszystko do stracenia.

– A cóż to za kokota, co chce się bawić w Pytię. Chroń nas, Panie Boże, przed takim dziwadłem! – przyjął ton nonszalancki, wręcz lekceważący. – Zapłaciłem z nawiązką z wrodzonej uprzejmości, a nie po to, żeby wysłuchiwać kazania.

Westchnęła, wzruszyła ramionami i sięgnęła po sakiewkę z pieniędzmi.

– Może masz rację – powiedziała. – Zresztą już czas na śniadanie.

Collis czuł się osobiście poruszony, jakby Kathleen Mary dotknęła spraw najwyższej wagi, jakby wtargnęła nieproszona do najbardziej intymnych zakątków jego psychiki, w ten zaduch, który był mieszaniną i dymu z cygar, i perfum, i oparów z nocnych klubów, i jakby nagle oto otworzyła się przed nim” tajemna przestrzeń niedosiętych niebios.

Z zacięciem żuł cygaro.

– Gdybym chciał, mógłbym rzucić to wszystko od jutra: i hazard, i alkohol, i dziwki. Ale co by mi z tego przyszło? Nie miałbym nic do roboty. Odebrałem nauki w bardzo dobrych szkołach, przyznaję. Ale sukces zależy zarówno od ambicji, jak i szczęścia. Niektórzy jakimś trafem mają jedno i drugie. Ale mnie brakuje i tego, i tamtego. To już raczej wolę sobie poswawolić i nie dać się wplątać w jakieś grubsze tarapaty, niż kusić zły los, bawiąc się w człowieka interesu. Nie jestem do tego stworzony. Sama przecież widzisz – już taki ze mnie zimny drań, co stawia zakład na łysych facetów i szparagi, na koty, konie, a także na damską bieliznę, i nic na to nie poradzę.

Kathleen Mary wysłuchiwała go do końca, a potem posłała mu lekki uśmiech.

– Widzisz, właśnie dlatego mi cię szkoda.

W tym momencie w wyłożonym klepką korytarzu hotelowym dały się słyszeć czyjeś ciężkie kroki i ktoś zakołatał głośno do drzwi.

– Kto to? – wrzasnął Collis z cygarem w zębach i rękami w kieszeniach.

– Wiesz pan dobrze kto to taki – odparł krzykliwie zirytowany, skrzeczący głos. – Nie udawaj pan Greka, psiakrew!

Kathleen Mary rzuciła mu niespokojne spojrzenie, ale Collis odciął się gładko: – Nie mam zielonego pojęcia! Czy to Arnold Douglas*? A może sam generał Tomcio Paluszek?

– Otwieraj pan te drzwi, a dowiesz się natychmiast! – ryknął tamten.

– Nie mogę! – odkrzyknął Collis.

– A to czemu, u diabła? – indagował dalej gburowaty głos.

– Mam ręce w kieszeniach – rzekł Collis – i wyjmę je tylko wtedy, gdy przyjdzie mi spłacić honorowy dług lub uściskać braterską dłoń. Otwieranie drzwi niedźwiedzim z wrzodami na mózgu nie należy do ich obowiązków.

– Otwierasz pan te drzwi, czy mam je wyłamać? – zapytał głos z wściekłością.

Collis wyjął z ust cygaro.

– Widzę, że wychodzisz już pan z siebie i zaraz staniesz obok. Co za umiejętność! To może masz pan i jakie inne nadprzyrodzone zdolności i uda ci się przejść przez ścianę – powiedział.

Słychać było, jak gość za drzwiami szamocze się z klamką, potem oddalające się kroki, a wreszcie przytłumione głosy. Wyglądało na to, że przywołano kierownika hotelu, bo słychać było brzękanie kluczy.

– Czy nie można się tu nawet porządnie wyspać? – zawołał Collis. – Nie znam hałaśliwszego hotelu w całym Nowym Jorku. Jeszcze tylko brakuje, żebyście wprowadzili tu wóz i konia na powrozie: to by pięknie dopełniło całości.

Ktoś zapukał znowu do drzwi, ale już delikatniej, i Collis usłyszał głos kierownika.

– Bardzo mi przykro, że muszę pana niepokoić, Mr Edmonds.

– Spodziewam się, że panu przykro. Hotel to, czy może cyrk?

Kierownik hotelu był wyraźnie skrepowany. Przez chwilę nic się nie odzywał. Collis znał go i wiedział, że był to drobny, pedantyczny, raczej nieśmiały mężczyzna. Buty miał pewnie, jak zwykle, wypucowane na glans i gąszcz ciemnoblonde włosów ulizanych brylantyną. Collis wyobrażał już sobie, jak krzywi się z niesmakiem, jakby właśnie połknął czarną, lepka j sztyjkę nie dogotowanego małża. Ale wtedy kierownik zapukał raz jeszcze i rzekł: – Jest tu ktoś, kto nalega, i

to bardzo gwałtownie, aby się z panem zobaczyć, Mr Edmonds. Mówi, że się stąd nie ruszy, dopóki nie uda mu się z panem porozmawiać.

– A niech siedzi, jak taki z niego chojrak. W tej chwili nie mam ochoty na żadne rozmowy, a już szczególnie nie z oprychami, którzy bębnią w cudze drzwi i wrzeszczą wniebogłosy.

– Mr Edmonds, może jednak byłoby lepiej, gdyby otworzył pan drzwi choć na chwilę.

– Byłoby dużo lepiej, gdybyście wszyscy poszli w diabły i zostawili mnie w spokoju.

Przez chwilę znów nikt się nie odezwał. Collis i Kathleen Mary nasłuchiwali w milczeniu.

Z zewnątrz dobiegały ich tylko podniecone, przyspieszone, niespokojne szepty. Potem kierownik znów stanął pod drzwiami.

– Mr Edmonds, ten pan twierdzi, że jest właścicielem Madison Saloon. Twierdzi też, że wczoraj wieczorem, bawiąc w tejże właśnie firmie, zdarzyło się panu zbić niebagatelną ilość szkła stołowego, jak również butelek. Utrzymuje on także, proszę pana, że tańczył pan na stole, robiąc tym samym poważne spustoszenie.

Collis mrugnął do Kathleen Mary.

– Aha! Tak ten pan twierdzi, tak? No to niech jeszcze powie, co tańczyłem.

Znowu przytłumiona wymiana zdań, a potem: – Polkę, proszę pana.

– Polkę? A cóż on sobie wyobraża! Że ze mnie jakiś cudzoziemski wywrotowiec, czy co?

Łże jak pies! Przepraszam psy, za to porównanie. Sam taki niedołęga i teraz stara się mnie naciągnąć, żebym ja mu płacił za jego głupotę. To wcale nie była polka, tylko walc, a dobry walczyk jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodził.

Mówiąc to, Collis dawał Kathleen Mary znaki, aby otworzyła szerokie, dwuskrzydłowe okno. Początkowo, pomimo całej tej wyszukanej mimiki i gestykulacji, nie wiedziała, o co mu chodzi, ale gdy wycedził przez zęby: „Okno!”, skinęła głową i podeszła, by je uchylić.

Wciąż jeszcze trochę kapalo, więc parapet za oknem był mokry i lśniący.

– Dlaczego nie zapłacisz po prostu za wyrządzone szkody? – wyszeptała. – Przecież cię na to stać.

– Jasne, że tak – odpowiedział Collis. – Ale w tym cały dowcip, żeby umknąć im sprzed nosa i nie dać złamanego centa.

Znów ktoś szarpnął za klamkę i tym razem odezwał się ponownie właściciel Madison Saloon: – Nie jestem tu sam! – zawołał swym sztywnym, wysokim głosem. – Jest tu ze mną dwóch potężnych chłopów i nie dam się zrobić w konia.

– Muszę przyznać, że to prawda, Mr Edmonds – wtrącił kierownik hotelu. – Jest tu z nami dwóch panów o imponujących atletycznych sylwetkach.

– Atletyczną sylwetka nie umywa się do geniuszu ludzkiej wyobraźni! – zawołał Collis i cichutko, na palcach, doprowadził Kathleen Mary do otwartego okna. – Wylaż na parapet i trzymaj się blisko muru. Jak przejdiesz, to wejdź do szwalni teatralnej w sąsiednim mieszkaniu. Nie ma mowy, żeby ich okna były pozamykane – upał tam zawsze niesamowity.

– A skąd wiesz? – zapytała Kathleen Mary z obawą w głosie.

– Bo to dla mnie nie pierwszyzna. Już nieraz to robiłem, moja mała. Nie zliczyłabyś, ile razy. No, uciekaj, zanim kierownik otworzy drzwi. Nic ci się nie stanie.

– Nie jestem tego taka pewna – powiedziała Kathleen Mary. – Strasznie wysoko. Jakby tak spaść, to nie daj Boże.

– No idźże już, idź – ponaglał ją Collis. Słyszał, jak kierownik mocuje się z kluczami przy drzwiach. Ukucnął i złożył dłonie w koszyczek, tak żeby ułatwić jej wspinaczkę.

Niepewnie, przytrzymując fałdy sukni rękami, wdrapała się na okno i przycupnęła na kłęczkach przy framudze.

– No idziesz, czy nie? – rzekł Collis.

– Nie mogę – zapiszczała z drzeniem w głosie. – Strasznie się boję.

W tym momencie drzwi sypialni stanęły otworem. Najpierw pojawił się w nich kierownik we fraku, a potem właściciel Madison Saloon, krępy, przyciężki jegomość z bujnymi bokobrodami i krzaczastymi brwiami. Za nim zaś ukazały się muskularne bary i kamienna, pokancerowana twarz wykidajły z Chatham Square.

– Spóźniliście się, panowie! – Collis wyszczerzył zęby w uśmiechu i jednym susem znalazł się na parapecie za oknem. Nieuchwytny tancerz walczyka stołowego wymyka się wam znowu z rąk!

Podbiegli za nim do okna, ale udało mu się zatrzasnąć je za sobą i teraz robił do nich przez szybę głupie, drwiące miny. Potem zwrócił się do Kathleen Mary: – No już, mała – rzekł tonem nie znoszącym sprzeciwu. – Ruszaj się!

Ale Kathleen Mary nie była w stanie się poruszyć. Zawładnął ją lęk wysokości, kłęczała więc dalej w kałuży wody z twarzą ukrytą w dłoniach. Zielona sukienka przemokła do suchej nitki, a koronkowy czepek siedział krzywo na głowie Collis wyciągnął rękę i przytrzymał ją za ramię. Nawet pod zgrzebnym płótnem sukienki wyczuwał jędrność i pulchność jej ciała.

Zauważył również, że nie mogła opanować drżenia, jakby w ataku histerii. A tymczasem tuż za nim ktoś znowu zmagał się z framugą okna i nie ulegało wątpliwości, że jeśli Kathleen Mary nie pospieszy się z tym pełzaniem na czworakach, to Collis oberwie za swoje, i to porządnie, nie mówiąc już o upokorzeniu, jakim byłaby konieczność pokrycia kosztów za rozbite w Madisonie naczynia.

– Na miłość boską, wstawaj, kobieto! – krzyknął na nią. – Depczą nam już po piętach!

– Nie mogę, panie – rzekła, ciężko dysząc. – Po prostu nie mogę.

Collis zerknął w dół, na ulicę. Skok nie wchodził w rachubę – byli zbyt wysoko, jakieś trzydzieści stóp nad błotnistym chodnikiem, W dole czekała cierpliwie dorożka. Ciepło okutany w brezent woźnica zdawał się nie dostrzegać mżawki. Ochlapany błotem koń, w równie melancholijnej pozie, też znosił swój los obojętnie. Zamokły afisz trzepotał na wietrze i przylepiał się do ubrania gazeciarza, który znalazł schronienie za rogim. Po drugiej stronie ulicy policjant również poszukiwał sobie schronienia, gawędząc przyjaźnie z korpulentnym sklepikarzem. Dookoła, w smugach deszczu, wznosiły się domy z czerwonej cegły i hotele, połyskując w zapłakanym świetle przedpołudnia.

Rozległ się łomot i w oknie ukazał się właściciel Madison Saloon.

– Aha, drogi panie – powiedział – tu cię mam!

– Ruszaj się – ryknął Collis w stronę Kathleen Mary.

Biedna dziewczyna podniosła się ociężale, ale w tym samym momencie okno tuż nad jej głową otworzyło się z trzaskiem i ukazała się w nim wygolona i mocno pokiereszowana czaszka drugiego wykidajły. Cofnęła się, zaskoczona, i straciła równowagę. Collis usiłował ją schwycić, ale zdołał jedynie złapać za rąbek sukienki, która rozdarła się z głośnym trzaskiem.

Zakołysała się, potknęła i – aby zapobiec upadkowi – uczepliła się na chwilę niskiego kamiennego gzymsu; jednakże dłoń jej ześlizgnęła się po zmurszałym, zielonym mchu, który go pokrywał.

Collis rzucił się jej na pomoc, ale – o zgrozo! – zsunęła się z parapetu i potem już tylko usłyszał, jak jej ciało z przerażającym hukiem uderza o wybrukowany chodnik.

– Kobieta na bruku! – krzyknął wykidajło z wygoloną głową.

Collis pochylił się nad krawędzią parapetu i spojrzał w dół z przerażeniem. Policjant zmierzał już właśnie w kierunku wypadku przez błotnistą jezdnię, a i przechodnie zbiegali się zewsząd, jak na zawołanie, chlapiąc buciskami po kałużach. Collis zdążył jeszcze tylko dostrzec jej blade nogi i cholewki trzewików, i nic więcej, bo pięć czy sześć osób pochylało się już teraz nad Kathleen Mary. Zawrócił z parapetu i przedostał się z powrotem do pokoju hotelowego przez otwarte okno.

Kierownik hotelu czekał już nań niecierpliwie, wyłupiając gały. Nasmarowane brylantyną włosy sterczały mu teraz jak koguci grzebyk. W całym hotelu słychać było odgłos pospiesznych kroków i nawoływania.

– No i dograłeś się pan wreszcie, na miły Bóg – zakrakał kierownik. – A wszystko przez te wygłupy. Dograłeś się teraz.

Collis chwycił go za krawat i pchnął z wściekłością na framugę drzwi. Rzucił mu piorunujące, pełne nienawiści spojrzenie, jakby miał zamiar dać mu w zęby, ale w końcu rozluźnił uchwyt i odszedł pospiesznie, bez słowa, na korytarz, a potem schodami w dół, na ulicę. Był zbyt wstrząśnięty, aby szukać zaczepki. Wciąż jeszcze stał mu przed oczami obraz staczającej się z parapetu dziewczyny. Wciąż jeszcze miał w uszach huk uderzającego o bruk ciała.

Minął hotelową poczekalnię z podniszczonym dywanem i mahoniowym biurkiem. Zapach ulatniającego się gazu podrażnił mu nozdrza. Pchnął ryte, szklane drzwi i wplątał się w tłumik

gapiów zgromadzonych wokół Kathleen Mary. Przestało już mżyć na dobre, ale tym razem ciepłe promienie słońca działały mu tylko na nerwy.

Odepchnął paru natrętnych ciekawskich i oto miał ją przed sobą – leżała rozciągnięta na bruku, z głową na wyszywanym wałku, przyniesionym z recepcji przez portiera. Klęczał już przy niej lekarz, otyły okularnik w marynarce, od którego zalatywało wódką. W rozwalonej, skórzanej teczce w kolorze brązowym wałały się w nieładzie podejrzanego czystości bandaże, drewniane szpatułki, pastylki na kaszel i czerwony, gumowy wąż. Lekarz unosił właśnie kciukiem jej powieki, odsłaniając nagie białka oczne i wsłuchując się w puls.

– Żyje? – zapytał Collis.

Doktor zwrócił na niego małe, świńskie oczka.

– Zna ją pan? – zapytał oschle.

– Widziałem upadek.

– Tak, żyje.

Collis przymknął na chwilę oczy.

– Dzięki Bogu – rzekł cicho, sam do siebie.

– Hmm – powiedział doktor. – Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, byłoby dla niej lepiej, gdyby umarła. Uderzyła z całą siłą o sam krawężnik. Nie ma się co łudzić, miednica jest na pewno pęknięta. Nie będzie się mogła więcej puszczać.

– Znał ją pan, doktorze?

Lekarz kiwnął głową.

– Moja stała pacjentka. Skrobanki, syfilis, wie pan. Znam je tu wszystkie. Nazywa się Kathleen Mary Murphy. Ojciec nałogowy alkoholik, brat–kretyn. Bóg jeden wie, co się teraz z nimi stanie.

Collis przyjrzał się jej pooranej twarzy. Oczy miała zamknięte, ale oddychała jeszcze, choć z trudem i nieregularnie. Gała krew odpłynęła jej z twarzy – wyglądała jak topielica albo jakby się udusiła. Trudno było uwierzyć, że jeszcze kilka minut temu przekomarzali się i kłócili, i że zeszłej nocy leżała przecież w jego ramionach.

Rozpychając się łokciami, policjant utorował sobie drogę i pociągnął Collisa za rękaw od surduta. Daszek jego czapki wyglądał jak wysadzany kroplami deszczu, a ramiona ściśniętego paskiem munduru przemokły na wskroś. Spod puszystych, bujnych; podkreślonych bokobrodów małe oczka lypały na Collisa zuchwale, jak dwa łakome ptaszyska ukryte w żywopłocie.

– Mam do pana parę pytań, jeśli pan pozwoli. Proszę za mną.

Collis pokręcił głową.

– Nie mam nic do powiedzenia. Poślizgnęła się i spadła.

– Mimo to proszę na stronę.

Collis obrócił się w stronę Kathleen Mary. Przez chwilę zdawało mu się, że jej powieki zadrgały, dotknął więc jej czoła palcami. Ale doktor pokręcił głową.

– Nic do niej nie dociera – powiedział. – Najprawdopodobniej wstrząs mózgu. Będzie jeszcze długo nieprzytomna, o ile w ogóle się z tego wyliże.

– Rozumiem – powiedział Collis. Teraz, gdy się podnosił, wszystkie oczy zwrócone były na niego.
– Czy mogę prosić o pańską wizytówkę, doktorze? Chciałbym być w kontakcie. Muszę wiedzieć, co się z nią stanie.

– Niech pan posłucha dobrej rady i zapomni o niej jak najprędzej – powiedział doktor, nie podnosząc oczu. – Kto okazuje zainteresowanie, ten przyznaje się do winy. Wdepnie pan raz w takie męty społeczne, jak ci Murphy’owie, i kamień u szyi na całe życie. Już się pan nie wypłacze. Potrzebne to panu? Niech pan o niej zapomni. Pech, że się tak stało, ale mówi się trudno.

Collis zawahał się przez chwilę, ale właśnie wtedy policjant wtrącił: „Pan będzie łaskaw”, więc odwrócił się od Kathleen Mary i przepchnął przez ciżbę ludzi na ubocze. Stał tam właściciel Madison Saloon; jedną rękę trzymał w kieszeni marynarki, a drugą podkręcał wąsa.

Collis dawno już nie spotkał drugiego tak obleśnego i wrednego typu. Za nim stało dwóch rzezimieszków–wykidajłów, ten barczysty, w opiętym stalowym fraku, i ten z wygoloną czaszką, w marynarskim pulowerze. Jeden z nich pogwizdywał, ukazując od czasu do czasu bezzębne dziąsła.

– Ci panowie twierdzą, że wszystko widzieli – policjant zwrócił się do Collisa. – Widzieli bardzo dokładnie, jak to się stało.

Właściciel Madisona uśmiechnął się kwaśno.

– O ile będzie trzeba, to złożymy nawet w sądzie zeznania w sprawie tego niefortunnego wypadku. Jeśli oczywiście Mr Edmonds zechce być w porządku wobec nas.

Collis przeniósł wzrok z właściciela szynku na policjanta a potem na parę osiłków.

Kierownik hotelu stał w drzwiach, przyglądając się im w milczeniu, i Collis wiedział dobrze, że i w nim nie należało szukać oparcia. Pozostawała jedyna? alternatywa: albo bez słowa protestu zapłacić, i to z nawiązką, za szkody wyrządzone w Madisonie, albo też dać się wsadzić do kryminału za rzekomo celowe spowodowanie upadku Kathleen Mary z drugiego piętra hotelu Monument. Już te łotry wynalazłyby jakiś motyw zbrodni, nie ma co.

– Zatem – powiedział Collis, sięgając po skórzany portfel – ile mnie ta przyjemność będzie kosztować?

– Dziesięć dolarów na łebka wystarczy na pokrycie kosztów dochodzenia – rzekł policjant szyderczo, bez zmużenia oka. – A nadto dwadzieścia trzy dolary i osiemdziesiąt centów za ubytki w lokalu tego tutaj obywatela.

Collis odliczył bez słowa sprzeciwu siedemdziesiąt pięć dolarów w (banknotach dziesięcio- i pięciodolarowych i wręczył je policjantowi.

– Proszę zachować resztę – rzekł oschle.

Wcale tym nie speszony policjant oddał każdemu jego należność i schował swój dziesięciodolarowy banknot do kieszeni marynarki. Potem, uniósłszy lekko czapkę w stronę właściciela Madisona, skierował się w stronę czarnego furgonu, który właśnie nadjeżdżał, by zabrać Kathleen Mary do szpitala, i zaczął ponaglać zgromadzonych do rozejścia się. Z uczuciem pustki i zniechęcenia Collis przyglądał się, jak wnoszono ją do karetki. Wnętrze pojazdu było kremowe, zauważył. Nogi dziewczyny zwiisały bezwładnie, jak u marionetki, gdy układano ją na wąskiej prycy wewnątrz pojazdu.

Tuż przed odjazdem lekarz przecisnął się w stronę Collisa. Chód miał kaczkowaty, kołysząc się na krótkich nóżkach, mocował się z zapięciem skórzanej teczki, gubiąc po drodze drewniane szpatułki. Wreszcie wziął go za ramię» – Niech pan posłucha – powiedział. – Nie ma sensu obwiniać się o to, co się stało. Nie ma sensu robić sobie wyrzutów.

Collis spuścił oczy.

– A jednak czuję, że to moja wina. Doktor wzruszył ramionami.

– Jasne, że to pańska wina. Ale tak czy tak, gdyby Kathleen Mary nie spadła dzisiaj z tego parapetu, jutro dostałaby nożem w plecy, albo i co gorszego. Taki już los był jej pisany i to, co się stało, przyspieszyło po prostu bieg wydarzeń.

Doktor ścisnął go lekko za ramię, po czym oddalił się szybko i wskoczył do karetki. Drzwi się za nim zamknęły i słychać było świst bata, a potem turkot kół i plusk wody na wyboistej ulicy.

Stopniowo tłum zgromadzonych wokół hotelu gapiów rozproszył się, aż w końcu Collis znalazł się sam na chodniku ze wzrokiem utkwionym w karetkę, która zniknęła właśnie za zakrętem. Stał tak dalej w zamyśleniu jeszcze długo, długo potem, gdy już zupełnie stracił ją z oczu, przybity i milczący. Bezradny.

Zapalił cygaro i zaciągał się przez chwilę, po czym cisnął syczący niedopałek w kałużę i skinął na dorożkę.

– Dwudziesta Pierwsza Ulica, Ściana Wschodnia numer siedemdziesiąt dwa.

W jego głosie wyczuwało się zmęczenie.

*

Kiedy zszedł wreszcie, świeżo ogolony, z pokojów na piętrze po dwugodzinnej drzemce, spotkał się oko w oko z ojcem, który wrócił właśnie do domu. Wpadli na siebie w przestronnym, ale ciemnym przedpokoju, i stanęli naprzeciw, zażenowani – Collis na podeście szerokich, marmurowych schodów, a jego ojciec przy połączonym stojaku na parasole – jak dwaj nie ufający sobie aktorzy, każdy z innego spektaklu. Ich lokaj Angus, z przykładowym, lecz zimnym

szacunkiem, pomógł ojcu przy zdejmowaniu jasnoszarego płaszcza, a potem wycofał się taktownie, skrzypiąc butami po wypolerowanej, kamiennej posadzce.

– Dobry wieczór, ojcie – rzekł Collis.

Ojciec nie odzywał się, lecz podszedł bliżej i stanął w swej ulubionej pozie, z rozstawionymi nogami i rękami założonymi na plecach, pod połami fraka. Głowę odrzucił w tył, ruchem, który naśladował – acz nieświadomie – prezydenta Jamesa Buchanana*. Był potężnym mężczyzną, o przekrwionej twarzy, z siwiejącą głową i sumiastymi, białymi wąsami. Miał lekkiego zęza, wskutek czego zdawał się zawsze zerkać z ukosa, co od dziecka działało Collisowi potwornie na nerwy. Ubrany był w czarny frak i taką samą kamizelkę, do której przymocowany był złoty zegarek na wyjątkowo długim, złotym łańcuszku, a wysoki kołnierz od koszuli był sztywno wykrochmalony, nadając całej postaci wyrazu nienaturalnej wręcz oziębłości; Chód miał też nienaturalny, jakby stapał po szyję w wodzie i jakby utrzymywał się na powierzchni tylko dzięki pławności wydatnego brzuszka. Wśród przyjaciół miał przydomek Pancernika „Czarnego” – tak nazywał się słynny parowiec amerykańskiej marynarki wojennej. Za to wrogowie zwali go zjadliwie Wieprzkiem.

– I jak idą interesy? – spytał Collis ostrożnie.

– Nie najgorzej, nie najgorzej – odparł ojciec z jednym okiem, tym dobrym, utkwionym w syna, podczas gdy drugie wędrowało samowolnie w różne strony, skutkiem czego zdawało się, iż miał rozdwojenie jaźni i że tylko połowa jego osoby uczestniczyła w rozmowie. – Zboże trzyma się w dobrej cenie, chociaż znowu nie wiadomo, jak to będzie ze srebrem.

– To doskonale – powiedział Collis.

Ojciec nie poruszył się nawet, tylko rzekł z rozdrażnieniem w głosie: – Nie staraj się mnie udobruchać. Nie dam się obłaskawić.

Collis nic nie odpowiedział, tylko wznosił lekceważąco brwi, jakby chciał rzec: „Możesz sobie gadać, ile wlezie, a ja i tak wiem swoje”.

– Ciekaw jestem, co ty sobie o mnie w ogóle myślisz? Za kogo ty mnie masz? Za jakiegoś posepnego ludojada, czy co? – zapytał ojciec. – Mylisz się. I ja lubię się zabawić, nie gorzej niż inni.

Collis wzruszył ramionami.

– Wiem, wiem, grasz przecież w wista ze swoimi koleżkami, bankierami – o ile to można nazwać rozrywką; a do tego zdarza ci się podjąć obiadem jakiegoś miotającego się z wściekłości południowca, demokratę* oczywiście. Więc jakże bym śmiał twierdzić, że nie lubisz się zabawić?

Przez chwilę ojciec przyglądał się mu z wybałuszonymi oczami, a tłuste podgardle osiadło pod kołnierzkiem jak gęsty, waniliowy budyń, który właśnie stęzał w chłodnym dzbanku.

Był to nieomylny znak niezadowolenia i zniecierpliwienia oraz zapowiedź wybuch gniewu.

– Ty przeklęty smarkaczu! Tak cię ciągnie do tych cholernych Jankesów, tak? – wrzasnął. – To właśnie tacy przekłęci gówniarze jak ty zniszczą kiedyś, ten kraj. A wtedy spróbuj tylko przyjść do mnie z prośbą o pieniądze, to ja ci pokażę! Zresztą, nie będzie z czego dawać, tak czy tak.

Collis uśmiechnął się do niego.

– Na pewno masz rację, ojciec. Ty na ogół masz rację, trzeba przyznać.

Ojciec wyciągnął wielką, białą chustkę do nosa i przyłożył ją do ust. Potem zaś, upchnąwszy ją z powrotem w rękawie, powiedział: – Naucz się wreszcie, synu, że drobne ustępstwo jeszcze nigdy nikogo nie zhańbiło.

Przeciwnie, czasem trzeba wpierw ustąpić po to, aby w ostatecznym rozrachunku postawić na swoim.

– W samej rzeczy – odparł Collis buńczucznie. – A teraz, ojciec, jak mi się zdaje, matka oczekuje już nas w bawialni, czyż nie tak?

– Nie waż się mnie poganiać, Collis – rzekł ojciec z irytacją w głosie. – Najwyższy już czas, abyśmy ucieli sobie pogawędkę na temat twojej przyszłości, synu, jak i na temat tych wierutnych bredni i nedorzecznych politycznych teorii, z którymi się tak afiszujesz.

– Zaprawdę, ojciec, nie miejsce na to i nie czas. Matka czeka i dochodzi mnie zapach świeżutkich pączków do herbaty. A w dodatku, mówiąc szczerze, nie chce mi się w tej chwili politykować. Ale wiesz co, o ile sprawi ci to przyjemność, to zamienię się – ale tylko na dziś – w lizidupę i będę się z tobą zgadzał do wieczora.

– Jak śmiesz się tak wyrażać, tu, w tym domu! – wrzasnął ojciec.

Collis odwrócił się z udaną troską i wznosił oczy na wiszący w holu ogromny, kryształowy żyrandol, jakby modląc się do niego, by zechciał wysłuchać jego prośb i zwałił się im na głowę, kładąc kres monotonii tych codziennych awantur.

– Nic nie rozumiesz – mówił ojciec władczo, bardzo oschle. – Nie masz pojęcia, skąd się biorą pieniądze ani jak się trzeba naharować, żeby je zarobić. Ani jaki w tym dla tego kraju pożytek. Słowa takie jak wolność, demokracja czy gwarancje konstytucyjne nic dla ciebie nie znaczą. Nie pojmujesz zasadź niewolnictwa ani odwiecznych praw właścicieli ziemskich. Zresztą, co taki darmozjad, taki pasożyt jak ty mógłby o tym wiedzieć? Masz szczęście, że jesteś moim rodzonym synem, i masz szczęście, że jeszcze wciąż się łudzę, iż się wreszcie kiedyś, opamiętasz, bo inaczej wykopałbym cię już dawno na ulicę. Collis poprawił swoją nienaganną, aksamitną marynarkę i spojrzał na ojca z pobłażliwym uśmiechem.

– Naturalnie, ojciec. Rozumiem to doskonale.

Ojciec łypał na niego niechętnie jednym, zdrowym okiem i Collis wiedział dobrze z doświadczenia, że wewnątrz wrzał cały, jak parowa lokomotywa.

Tak było zresztą zawsze – niezależnie od tego jak bardzo serdecznie starali się do siebie przemawiać, kończyło się to niezmiennie w ten sam sposób. Obaj byli zbyt zacięci, nieustępliwi, zbyt przekonani o własnej, niepodważalnej racji nie tyłka: w kwestiach politycznych lub

moralnych, ale i w każdej innej sprawie. Jakiegokolwiek tematu pod słońcem by się tknęli – od geografii po grę na fortepianie – różnili się zawsze diametralnie w swoich poglądach.

Ojciec Collisa podkreślił siwego, krzaczastego wąsa, a potem rzekł, panując nad sobą, choć drogo go to kosztowało: – Widzę, że nie da się z tobą w tej chwili rzeczowa, porozmawiać. Lepiej chodźmy na kolację.

Collis skinął głową.

– O ile nie masz nic przeciwko temu, by chrupać świeże pączki w towarzystwie zakutego republikanina.

– Gdybym cię naprawdę za takiego uważał, synu, udusiłbym cię własnymi rękami.

Collis, z przesadną dbałością o etykietę, wziął ojca za ramię. Szli tak obok siebie przez mroczny korytarz, stukając butami o wypolerowaną, marmurową posadzkę w kolorze mahoni, aż dotarli do pobielaných drzwi prowadzących do bawialni. Tego wtorkowego wieczora przez przyciemnione, połyskliwe szybki i starannie udrapowane koronkowe firanki sączyło się na korytarz łagodne światło. Zanim uczynili następny krok naprzód, spojrzeli jeszcze na siebie ponuro, jak dwie pociemniałe sylwetki na starych dagerotypach, wyblakłe, ale swojskie, które przywodzą na myśl wspomnienia o jadowitych niesnaskach i rodzinnych porachunkach.

– Aha, jeszcze coś, ojciec – rzekł Collis z dłonią na kłamce.

– Potrzebujesz pieniędzy, tak? – zapytał ojciec, popatrując na syna.

– Setka zupełnie wystarczy.

– Setka? Przecież dopiero co dostałeś siedemdziesiąt pięć dolarów. W zeszłą sobotę.

– Nie zaprzeczam. Ale sam dobrze wiesz, ojciec, że dolar spada na łeb na szyję w związku z tą aferą Scotta*. Co dziś można kupić za dolara? Porządny obiad kosztuje więcej.

Ojciec spojrział na Collisa, jakby go chciał rozszarpać. Krew napłynęła mu do twarzy.

Wreszcie zasyczał, tłumiąc wybuch gniewu, aby nie denerwować matki.

– I ty masz jeszcze czelność prosić mnie o pieniądze, i to tylko dlatego, że Sąd Najwyższy – lepiej późno niż wcale – zdecydował, całkiem słusznie, że niewolnik to niewolnik, i basta! Ty masz czelność szastać mi tu imieniem tego smolucha, Scotta, żeby wyłudzić ode mnie pieniądze? Tego już za wiele! Przebrała się miarka!

Z bawialni doszedł ich wysoki, nie znoszący sprzeciwu głos: – Makepeace, czy to ty? Co tam tak do siebie mamrociesz pod nosem? No chodźże tu wreszcie, na litość boską!

Ojciec Collisa ocknął się nagle, jakby ktoś nim potrząsnął.

– Już, moja droga, już idę! – zawołał, grzebiąc w kieszeni surduta, z której wyciągnął wreszcie osiemdziesiąt pięć dolarów w banknotach i srebrze.

– Dred Scott – zrzędził dalej pod nosem, otwierając drzwi jadalni.

Collis przeliczył pieniądze, a potem wepchnął je do ukośnej kieszonki swego popielatego surduta.

Matka niecierpliwiła się już przy kolacji. Nie znosiła, gdy kazali na siebie czekać.

Siedziała sztywno wyprostowana na swoim ulubionym szezlongu z okresu Ludwika XIV, pięknie wyczelowanym, lecz twardym i wręcz ponuro surowym. Jej upierścienione, pokryte brązowymi wątrobowymi plamami dłonie złożone były na kolanach, a długa szyja sterczała napięta, jak u zaniepokojonej nagłym szelestem czapli. Kryno – lina w kawowym kolorze okalała ją jak ogromne gniazdo, i rzeczywiście pomyśleć by można, że właśnie wysiadywała młode. Zazwyczaj o tej porze roku nie było jej już w mieście – wyjeżdżała na wieś do ich posiadłości na północ od Nowego Jorku. Ale tym razem została, by pokazać się na paru ekskluzywnych przyjęciach, jak również by nie przegapić la grande finale pewnego niezwykle emocjonującego skandaliku, który ciągnął się już od miesięcy i którego końca jakoś nie było widać.

– Nie znoszę, kiedy tak mamrociesz coś do siebie pod nosem – powiedziała, pociągając za purpurowy sznur, by zadzwonić na służbę. – To doprawdy irytujące.

Makepeace uniósł frak i usiadł naprzeciw niej w rokokowym fotelu z siedzeniem obitym jedwabną tkaniną w gruby deseń.

– Równie irytujące dla ciebie, droga żono, jak i dla mnie. Nie obyło się bez kłótni na tematy polityczne. Collis uważa, że zjadł wszystkie rozumy. Wolałem raczej zakończyć tę przykrą rozmowę w przedpokoju, niż kontynuować spory tu, przy tym stole.

Ida Edmonds obrzuciła syna niechętnym spojrzeniem. Stał dalej nieruchomo, z jedną ręką na dzianej serwetce zdobiącej osiemnastowieczny fortepian. Ukłonił się lekko, z uśmiechem.

– Cieszę się, widząc cię w dobrym zdrowiu, matko. Potem podszedł do lustra w połączonych ramach, po przeciwnej stronie pokoju, i poprawił sztywny, jedwabny krawat.

Wodziła za nim wzrokiem, jakby wniósł na butach guano.

Zapanowało kłopotliwe milczenie, ale Idzie, oczywiście, wcale to nie przeszkadzało. Im bardziej skępowani stawali się jej rozmówcy, tym bardziej ona sama czuła się w swoim żywiole. Z tej to właśnie przyczyny śpiewała w kościelnym chórze swym skrzeczącym pseudosopranem. I w tymże samym celu wydawała wystawne przyjęcia o przytłaczająco sztywnej etykiecie, na których apatyczni goście sprawiali wrażenie śniętych pstrągów. Dom rodzinny dekorowała, jakby to był pałac wersalski: tu stał odlany w brązie, a na wierzchu połączany, zegar z kurantem, tam brzuchata komódka lub łoże z ciężkim baldachimem.

Lubowała się we wszystkim, co brzęczało, biło lub furkotało. Ale nade wszystko królowała w swej bawialni, wodząc prym wśród nowojorskiej, plotkarskiej socjety, zabiegając o względy znudzonych polityków lub też krzywo patrząc na gładko ogolonego młodzieniaszka, który przychodził do jej córki Maude w zaloty. Delikwent taki zmuszony był siedzieć w miejscu, popijając wystygłą herbatę i wysłuchując przytłaczającej litanii cnót, które, w jej własnym mniemaniu, posiadała matka Maude. „Spójrz dziś na matkę, lubiła mawiać, wyciągając łabędzią szyję, a przekonasz się, jak ci jutro córka rozkwitnie.” Makepeace poznał Idę w Bostonie, na jednym z przyjęć u Shottonów, przy placu Louisburgskim, w 1827, w czasach, gdy starał się zbić

majątek jako hurtownik homarów i finansista floty rybackiej. Była ósmą z kolei, choć nie ostatnią córką Naantucketów, zamożnych właścicieli floty handlowej, wyznawców nauk Kościoła episkopalnego. Wyższa o cal od Makepeace'a, nos miała rzymski, wydatny, niczym córka Rewolucji; ten nos nadawał twarzy wyraz władczości i nieustępliwości.

Tonem nie znoszącym sprzeciwu poprosiła go, aby przetańczył z nią cały wieczór i na wiosnę 1828 roku, ku jego własnemu najwyższemu zdziwieniu, stanęli na ślubnym kobiercu.

Za namową przyjaciela ojca Idy, Makepeace wycofał się z rybackich interesów i przyłączył do banku handlowego I. P. Wolmer na Wall Street. Wówczas też Edmondsowie zakupili ogromny, solidny, piętrowy dom o granitowej fasadzie i podczas gdy Makepeace wziął się z kopyta do robienia pieniędzy, Ida z nie mniejszym zacięciem zabrała się do rodzenia dzieci. W upalnym sierpniu 1832 roku podczas epidemii dżumy, wśród kurzu i zawałonych śmieciami ulic, przyszedł na świat Collis i gdy leżał tak w swej kołysce, obrzękły i czerwoniutki, otulony w niebieskie śpioszki, dziecięcą sypialnię opalano bezustannie węglem, aby oczyścić powietrze z morowej zarazy.

Bank Makepeace'a przetrwał popłoch 1837 roku bez większych wstrząsów i dalej prosperował doskonale. Edmondsowie zaprzyjaźnili się z burmistrzem Nowego Jorku Philipem Hone'em, z sekretarzem skarbu – Albertem Gallatinem oraz z Williamem Douglasem i jego córkami. I choć nigdy nie należeli do najznakomitszej śmietanki towarzyskiej, to w każdym razie wszędzie mieli dojsście i trudno się było bez nich obejść. W owych czasach dejeuner a la fourchette bez udziału Idy byłoby rzeczą nie tylko niestosowną, ale wręcz nie do pomyślenia.

Tymczasem Collis okazał się niezbyt cenny, jeśli chodzi o aspiracje towarzyskie Edmondsów. Już jako niemowlę tyranizował wszystkich płaczem z byle jakiego albo i nawet żadnego powodu, a jako kilkuletni berbecz stał się jeszcze gorszy. Oddali go w ręce wziętego prywatnego wychowawcy i guwernantki z doskonałymi referencjami, ale jego wybryki wyprowadzały ich z równowagi, więc wkrótce oboje złożyli wymówienie. Potem, zanim jeszcze ukończył dziesiąty rok życia, wysłali go do Akademii Wojskowej, założonej przez pułkownika Wagstaffa, w St John's Park, ale Collis nigdy nie dopinał porządnie munduru, nigdy nie wysiłał się, by wyglansować do połysku buty. W czasie parady wojskowej 4 lipca; w dniu Święta Niepodległości, gdy dwudziestu innych małych żołnierzyków z drewnianymi karabinami u pasa maszerowało w szyku po dziedzińcu szkoły, ku uciesze pękających z dumy rodziców, Collis miał minę skwaszoną i celowo gubił krok. W latach młodości w Akademii Lincolna także się nie popisał, a wręcz przeciwnie – wagarował trzy, cztery razy na miesiąc. Gdy wreszcie skończył lat siedemnaście, rodzice porzucili wszelką nadzieję, że coś jeszcze z niego wyrośnie.

– Skaranie boskie z tym huncwotem – utyskiwała wciąż Ida, więc Makepeace wciągał go do pracy w swoim banku, żeby dać mu jakieś zdrowe zajęcie.

Miał teraz własną pensję, a ponadto bardzo hojne kieszonkowe od rodziców, nie żałował więc sobie niczego. Ulegał każdej pokusie, jaką tylko Nowy Jork był w stanie zaoferować.

Włóczył się po szynkach na Broadwayu, piwsko i whisky złopał na umór, a prócz tego – z grupą podobnych do niego rozpuszczonych jak dziadowski bicz szczeniaków z zamożnych i zacnych rodzin – odwiedzał burdele na Green Street i Mercer Street. Dziewictwo stracił w wigilię swych osiemnastych urodzin w objęciach jednej z owych boginek rozpusty lepszej kategorii, piwnookiej Czeszki, która wprawdzie horrendalnie kaleczyła angielszczyznę, ale której cielesne wdzięki przypadły mu mocno do gustu. Sam stał się więc oto broadwayowskim dandysem, pograżając się w

hazardzie i swawoli, bezmyślnie idąc o najbliższy zakład pod wpływem najgłępszego, choćby chwilowego kaprysu, paląc długie, wykwintne cygara, pijąc w Gem Saloon na Broadwayu i na Worth Street, poddając się z rozkoszą balwierskim zabiegom najlepszych nowojorskich cyrulików w modnym salonie fryzjerskim Phalona. W soboty i niedziele galopował na swoim gniadym koniku Dolarze po błotnistych wertepach, hen, na rogatki miasta, aż na sam koniec Trzeciej Alei, a czasem nawet i po Pięćdziesiątą Siódmą Ulicę. Tam siadał zdyszany, by pogwarzyć z przyjaciółmi i popatrzeć z góry na skaliste wzgórza i rudery północnego Manhattanu. Potem na złamanie karku pędził z powrotem do miasta, łechzcząc swawolnie konie w zaprzęgu tramwajów konnych i delektując się przepysznym przerażeniem osłupiałych pasażerów. Następnie przebierał się i szedł na obiad do Union Oub; był to bodajże jedyny lokal, w którym wedle opinii Makepeace'a, Collis zachowywał się w miarę przyzwoicie.

– Ustąpże raz wreszcie ojcu. Przestań się z nim spierać – rzekła Ida, wyciągając łabędzią szyję. – Nie znasz się na polityce i nie masz zielonego pojęcia o finansach. Możesz zresztą sam sobie za to podziękować. Przeszastałeś wszystko, co dostałeś ode mnie na próżne wiły, bez cienia skruchy czy wdzięczności.

– W istocie, matko – rzekł Collis, odwracając się i poprawiając mankiety koszuli.

Uśmiechnął się do niej dobrodusznie, ponieważ wiedział, iż nie cierpiała takich uśmiechów, gdy chciała wyglądać władczo i autorytatywnie, ale również dlatego że w ogóle nigdy nie brał jej tak naprawdę na serio.

Ida przybrała kwaśną minę i skuliła się trochę, jakby miała dreszcze, ale nic nie powiedziała. Zamiast tego pociągnęła za sznur, by zadzwonić na służbę, i po chwili Lettice i Margaret pojawiły się ze srebrnym imbrykiem i kolorowymi filiżankami od Minton* oraz talerzami pełnymi racuchów z rodzynkami: wszystko na srebrnych tacach wyłożonych nowiuteńkimi, lnianymi serwetkami i zabezpieczonych cienutkami, siatkowymi pokrywami.

Lettice, tęga dziewczyna o rumianych policzkach, która nie tyle szła, ile raczej toczyła się ciężko niczym kowboj, rozstawiła na stole filiżanki i nałala każdemu herbaty.

– Mam dziś szczególny powód, aby z tobą porozmawiać – rzekła Ida, ważąc słowa, odstawivszy swoją filiżankę z herbatą.

– O! – Collis rzucił ojcu szybkie spojrzenie i od razu zauważył, że ojciec wiedział dobrze, o co chodzi. Cokolwiek matka miała do powiedzenia, wyraźnie obgadali to już wcześniej, zanim udali się na spoczynek do swych osobnych sypialni. Ojciec odchrząknął i o mało nie zakrztusił się rodzynką.

– Uważam, że najwyższy czas, abyś pomyślał o ożenku – oświadczyła Ida. – Przedyskutowaliśmy to już z ojcem dość dokładnie i oboje jesteśmy zdania, że porządna kobieta może wpłynąć korzystnie na twoją konduite i zrobić z ciebie człowieka pożytecznego, jak również cieszącego się ogólnym poważaniem w kulturalnych, liczących się sferach.

– O ożenku? – powtórzył Collis, nie wierząc własnym uszom.

– Twoje posłuszeństwo zostanie, ma się rozumieć, bardzo szczerze wynagrodzone – wtrącił ojciec.

– Tak? Ciekaw jestem w jaki sposób?

– A czy dozgonna miłość dobrze wychowanej młodej damy nie jest już sama w sobie wystarczającą nagrodą? – odparła Ida lodowatym tonem. – A do tego powszechna aprobatą w dobrym towarzystwie.

– O to nie muszę się wcale ubiegać, bo to już mam – oznajmił Collis. – Prawdę powiedziawszy, wszędzie witają mnie z otwartymi ramionami, aż sam nawet zachodzę w głowę, dlaczego. Nawet A. T. Stewart nie ma wstępu do Union Club, mimo że jest właścicielem domu towarowego, a teraz chcą mnie zwerbować do Yacht Club.

Ida dotknęła brwi opuszkami palców, jakby przedłużanie tej rozmowy pogarszało jej migrenę. Potem rzekła chłodno: – Chcesz czy nie, prędzej czy później – i to oby jak najprędzej! – przyjdzie czas, kiedy będziesz sam sobie musiał radzić w życiu. Nowy Jork roi się od obiboków, cwaniaków na państwowych synekurach, majątnych kawalerów i tych wreszcie, którzy oczekują tylko na zmiłowanie Opatrzności. Ale szaleństwa i wyuzdanie wychodzą już dzisiaj z mody; i wątpię zresztą, czy w ogóle kiedykolwiek zjednywały komukolwiek poklask. Zaczynj od ożenku, a potem zobaczymy.

– A czy kawaler nie może cieszyć się ogólnym poważaniem? – zapytał Collis.

Zapanowało głuche milczenie. Popołudniowe słońce chyliło się i bladło, pełzając leniwie po dywanie w czerwono–niebieskie zygzaki, ślizgając się po pozłaczanych, ozdobnych stoliczkach z marmurowym blatem i nóżkami w kształcie zakrzywionych lwich pazurów, zahaczając o obite tapicerką taborety i eleganckie serwantki, zatopiwszy się wreszcie w wysokich, ponurych – oświetlonych kinkietami – zwierciadłach, w których odbijały się wazony z bukietami suszonych kwiatów. Nawet w samym środku lata Ida nigdy nie przewietrzała mieszkania – powietrze, którym oddychało pospólstwo na ulicy, nie mogło być wszak dobre dla jej arystokratycznych nozdrzy, w pokoju panował więc zaduch i cuchnęło stęchlizną.

– W twoim przypadku jest to stanowczo niemożliwe – rzekła Ida, cedząc słowa. – Choć nigdy się z tego nie zwierzałeś, wiem dobrze, że od lat odwiedzasz pewne instytucje na Broadwayu, a nawet zadajesz się z przypadkowymi kobietami lekkich obyczajów, prosto z ulicy. I wyznać muszę, że serce pęka mi z bólu, ile razy sobie o tym wspomnę.

Makepeace pochylił się do przodu w swoim fotelu.

– Collis – powiedział łagodnie, lecz stanowczo – twoja matka i ja robimy wszystko, co w naszej mocy, dla twojego dobra. Obiecuję z ręką na sercu, że ożenisz się przed wiosną, dostaniesz w prezencie ślubnym porządny dom. Mnóstwo jest ich na sprzedaż w Park Avenue i na Trzydziestej Szóstej Ulicy. Na licytacji złożę ofertę nie do odrzucenia i kupię ci piękną rezydencję.

Collis złożył dłonie w wieżyczkę.

– Aha, to ma być właśnie ta nagroda, tak? – powiedział.

– Tak, a oprócz tego pomyślę, czy nie dać ci posady w banku.

– Czuję już pismo nosem; coś się za tym kryje. Samo małżeństwo by was nie zadowoliło.

Mógłbym przecież wybrać sobie za żonę jedną z tych panienek lekkich obyczajów, i co by wam z tego przyszło?

Ida wydała dźwięk, przypominający skrzywienie kościelnego klęcznika, który ugina się pod zażywnym cielskiem pogrążonego w modlitwie parafianina.

– Nic się za tym nie kryje – rzekł ojciec, starając się zapanować nad swoim głosem i hamując, ledwie, ledwie, wybuch gniewu. Na wąsach miał okruchy z pączków. – Mogę tylko dodać, że poczyniliśmy już wstępne kroki, by zasięgnąć informacji o młodej damie, która spełnia wszystkie wymagane warunki.

Collis spojrział na niego, prawdziwie zaskoczony. Potem przeniósł wzrok na matkę.

– Dokonałiście już wyboru! Poza moimi plecami!

Makepeace zaczerwienił się z lekka.

– Macie zamiar zaciągnąć mnie do niej jak dwa pastuchy, niczym byczka do jałówki?

W pierwszej chwili Idę aż zamurowało, lecz natychmiast wzięła się w garść.

– Nie nazywaj jej jałówką. Nie przypomina jałówki ani odrobinę.

– Uzналиśmy, że tak będzie najlepiej – dorzucił Makepeace. – Ponieważ twój styl życia nie robił nadziei na dobry wybór cieszącej się poważaniem panny, pozwoliliśmy sobie dokonać tego wyboru za ciebie. Muszę przyznać, że to ogromnie czarująca młoda osobka.

Na moment Collis ukrył twarz w dłoniach, a potem zaśmiał się nagle głośno, ironicznie.

– Ha! Cóż za wspaniali rodzice – zwrócił się do nich, przenosząc wzrok z matki na ojca i z powrotem. – Nigdy nie okazywaliście mi ani przywiązania, ani zrozumienia, a teraz nagle, bez uprzedzenia, świadomie, z zimną krwią, wkraczacie z butami w moje życie i podejmujecie decyzję o mojej przyszłości i osobistym szczęściu.

Ida popatrzyła na syna spod oka, z nie ukrywaną niechęcią.

– Nie zniżaj się, proszę, do sarkazmu. To bardzo tani argument – powiedziała. – Obrażasz tym moje najgłębsze uczucia.

– Rzeczywiście! A czy nie przyszło wam wcale do głowy, że wtrącanie się w moje osobiste sprawy może obrazić moje najgłębsze uczucia? Nie przyszło wam do głowy, że może sam znalazłbym sobie odpowiednią kandydatkę na żonę? Dziewczynę, w której byłbym zakochany i którą przynajmniej miałbym okazję wcześniej poznać?!

– Collis! – krzyknął ojciec. – Dość tego! Zorientował się, że nadmiernie się uniósł, i przez chwilę nie mógł opanować wzburzenia, wiedząc, że służba z podnieceniem podsłuchuje pod drzwiami, lecz po chwili ze spokojem spojrział Collisowi prosto w oczy, tym jednym okiem, nad którym miał dalej władzę.

– Życzę sobie, abyś poślubił Delfinę Spooner.

– Delfinę Spooner! Tego kurdupla z łapskami jak dwie kielbasy?

– Dość tego zuchwalstwa. Takie jest moje życzenie, masz się z nią ożenić i już – warknął Makepeace. – Takie jest moje życzenie.

Collis spojrzał na ojca, potem na matkę i podniósł się z krzesła.

– Ojciec – zwrócił się do Makepeace'a. – Przejrzałem twoje zamiary. Wiem, kim jest Delfina Spooner; wiem, że to córka George'a Spoonera z banku kredytowego Ohio Life & Mutual. Tak się również składa, że wiem dobrze, iż od pół roku starasz się wejść z tą firmą w spółkę.

Wąsy Makepeace'a zadrgały nerwowo.

– No i co z tego? – powiedział zaczepnie.

– Co z tego? – odparł Collis. – A to z tego, że nikt mnie nie zmusi do ożenku z obrzydliwą, rozlazłą kluchą, bo akurat tobie tak pasuje w interesach, i dlatego że matka chce zachować twarz w towarzystwie. Mam w nosie wszystkie lukratywne spółki twego zakichanego banku; mam w nosie wszystkie parcele do wzięcia we wszystkich modnych alejach Ameryki. Wybijcie to sobie z głowy. A jeśli chodzi o ciebie, matko, to za żadne skarby świata nie uwierzę w te twoje zapewnienia o „dozgonnej miłości dobrze wychowanej młodej damy”. A jakże! Jedyna dozgonna miłość, na jaką cię stać, to miłość własna.

Makepeace skoczył z fotela na równe nogi. Stał przed synem, potężny, w całej swej okazałości.

– Przepróż matkę! – wrzasnął ochryple. – Natychmiast przepróż matkę, albo – jak mi Bóg miły – wyrzucę cię na ulicę jak złego psa.

Collis stał sztywny, z zaciśniętymi zębami, wpijając w dłonie paznokcie. Matka pobladła i siedziała teraz z twarzą równie bezbarwną, jak jej śnieżnobiały, obszyty walencjanką czepeczek lub jak światło gazowej lampy. W pokoju, oprócz gadatliwego, pozłacanego zegara, słychać było jedynie ciężkie ziajanie rozjuszonego do granic wytrzymałości ojca.

– Przepraszam – powiedział wreszcie Collis. – Straciłem nad sobą panowanie. To, co powiedziałem, jest doprawdy niewybaczalne. Proszę przyjąć wyrazy mojej szczerzej skruchy.

Ida przyłożyła do oczu chusteczkę do nosa, jakby ten incydent pogrążył ją w śmiertelnym żalu.

– Proszę, idź teraz do siebie na górę, Collis, i przemyśl to, o czym tu mówiliśmy – powiedział Makepeace. – Proszę również, zastanów się dokładnie nad swoją przyszłością, bo jeżeli się nie ożenisz, to wstrzymam twoją rentę. Nie mam zamiaru utrzymywać cię w nieskończoność. A przy takim trybie życia, jaki obecnie prowadzisz, jest to po prostu absolutnie wykluczone.

Collis zerknął na niego.

– Rozumiem – odparł łagodnie.

– Mam nadzieję, że tak jest rzeczywiście. A teraz sądzę, że najlepiej będzie, jeśli zostawisz nas samych, mnie i matkę.

Collis wykonał lekki ukłon w stronę matki i skinął głową w stronę ojca. Potem szybko przeszedł na drugą stronę pokoju i otworzył dwuskrzydłowe drzwi tak zręcznie, że przyłapał Lettice i Margaret na podsłuchiwanie. Obie dziewczyny przypatrywały mu się z nie ukrywanym zainteresowaniem, kiedy przechodził obok nich, i potem, gdy przemierzał wielkimi krokami podłużny przedpokój. Twarz jego nosiła znamiona gniewu.

Jeszcze tego samego wieczora, kiedy Collis miał już zamiar zbierać się do wyjścia, ojciec wszedł do niego na górę i rozmawiali – dziwnym trafem o homarach.

Collis miał na drugim piętrze własny, trzyizbowy apartament z oknami wychodzącymi na południe. W sypialni o ścianach pokrytych bładoniebieską tapetą stało rzeźbione łóżko z jasnego dębu. Wyłożona orzechową boazerią łazienka szczyciła się emaliowaną wanną, marmurową umywalką i metalowym prysznicem, jednym z trzech podłączonych do sieci wodociągu krotoskiego. Prysznic był zainstalowany mimo uprzednich obaw Idy, że po kąpielii wyrosną jej w łonie ropuchy, gdyż, jak niosła wieść, w wodzie roilo się od kijanek. W gabinecie znajdował się skórzany fotel i biurko i to tu właśnie siedział Collis w samej tylko kamizelce i rozchełstanej koszuli, zaciągając się leniwie dymem z cygara, zagłębiony w lekturze najnowszego wydania „Evening Post”, kiedy ojciec zapukał do drzwi i wszedł nieśmiało do pokoju.

– Collis – powiedział Makepeace, a głos uwiązł mu nagle w gardle.

Collis przekartkował obojętnie gazetę. Dym z cygara unosił się leniwie w stronę gazowej lampy i wirował w żarze gazowych płomieni.

– Wybacz ojcze, ale zaraz będę musiał zbierać się do wyjścia. Mam bardzo ważne, nie cierpiące zwłoki spotkanie.

Makepeace przeszedł się po pokoju i stanął nad synem z rękami na biodrach. Miał na sobie niebieski, aksamitny tużurek, przewiązany wokół potężnego pasa, i niebieską szlafmycę, rodzaju fezu z czarnym, zwisającym pomponem. Widać miał to być wieczór w domowych pieleszach: partyjka warcabów z Maude przy akompaniamencie nieustannego samochwalstwa Idy.

– Collis, chcę, żebyś wiedział, że zawsze jesteś mi bardzo bliski, pomimo tych wszystkich naszych nieporozumień.

Collis podniósł wzrok. Podejrzewał, że przed wejściem na górę, stary musiał gołnąć sobie jednego po kryjomu, bo jechało od niego wódką.

– Czy to matka cię przysłała? – zapytał.

Mięśnie na zarośniętych policzkach ojca zadrgały. Potem Makepeace potrząsnął głową i wybełkotał niepewnie: – Nie, dlaczego?

– Proszę, usiądź – rzekł Collis. – W końcu to ty tu jesteś u siebie w domu. Ja mam tylko status tymczasowego sublokatora.

– Nie powinieneś brać sobie tego tak do serca, Collis.

– Nie? A dlaczegoż by nie? Wygląda na to, że mój pobyt tutaj będzie tolerowany tylko o tyle, o ile wyrażę zgodę na ożenek z tym bezkształtnym tłusciochem. Wobec tego jak inaczej można mnie nazwać, jeśli nie sublokatorem?

Makepeace opadł ciężko na skórzany fotel i przypatrywał się synowi z uwagą. Collis dostrzegł w tym spojrzeniu przeogromny, głęboki smutek. Była teraz dziewiąta i na dworze zaczynało się ściemniać, a Makepeace, zmęczony po całym dniu pracy na Wall Street, mniej był skłonny do pogroźek niż zazwyczaj. Zdjął z głowy niebieski fez, a światło lampy gazowej zaślniło na jego okrągłej łysinie; oczy miał mocno podkrążone.

– Ty pewnie myślisz, że ja w ogóle nie mam żadnych skrupułów – rzekł wreszcie.

Collis wzruszył ramionami.

– Sam już nie wiem, co mam myśleć.

– Hmm – rzekł ojciec, przecierając oczy. – Istotnie, to prawda, że gdybyś ożenił się z Delfina, byłoby mi to na rękę w interesach. A już szczególnie byłoby to na rękę matce. Ale, wierz mi synu, nie to głównie mieliśmy na względzie, kiedy dokonywaliśmy tego wyboru.

Collis podszedł do okna i odwrócił się do ojca plecami, wpatrując się w półmrok wiszący nad Ścianą Wschodnią Dwudziestej Pierwszej Ulicy, a potem na wskroś, ku Gramercy Park, gdzie latarnie gazowe migotały spoza drzew, których gałęzie kołysał letni wiatr. Wieczór był ciepły, parny i zanosilo się znowu na deszcz, Collis nie mógł się doczekać, kiedy uda mu się wreszcie wyrwać z domu, by napić się piwa w Gem Saloon, a potem zjeść kolację u Delmonica ze swoim najlepszym przyjacielem, Henrym Browne'em. A potem kto wie, gdzie zawiodą go cielesne żądze i wesole trunki. Starał się zagłuszyć w sobie wspomnienia z ostatniej doby: zeszyły wieczór w Madisonie i upadek Kathleen Mary z drugiego piętra hotelu Monument. Doktor radził nie rozczulać się nad tą sprawą i nie dać się wplątać w żadne tarapaty; Collis z całych sił starał się zachować dystans. Jednakże postanowił sobie, że tym razem odwiedzi jakiś lepszy burdel, Irysy albo Madame Morris na Green Street, a zostawi dziewczyny uliczne w spokoju. Szczególnie Irlandki i te, które wołają błagalnie: „Ze mną, ze mną panie” z tym nienaturalnie łapczywym niepokojem w oczach. Wiedział już, że dzięki Kathleen Mary obudziło się w nim sumienie i że przyjdzie mu teraz zastanowić się dobrze nad samym sobą i zweryfikować swoje dotychczasowe postępowanie. Nie wiedział tylko jeszcze dokładnie, w jaki sposób dokona się ta przemiana.

– Matka i ja nie umiemy być może czasami wyrażać jasno swoich uczuć – odezwał się znowu ojciec – ale oboje martwimy się o twoją przyszłość. Wiesz przecież, że któregoś dnia nas zabraknie i co wtedy zrobisz?

– Spodziewam się, że jakoś uda mi się przetrwać. Będę musiał.

– Wyrzutki społeczne z Gotham Court też jakoś tam żyją na tym świecie. Pijacy i dziwki z Five Points też jakoś tam dają sobie radę. Ale my nie chcemy, żebyś tylko jakoś tam wegetował. Chcemy, żebyś stanął wreszcie na własnych nogach i nauczył się korzystać roztropnie z tego dobrobytu, do którego ja mozolnie dążyłem przez lata trudów i wyrzeczeń. Chcemy też, żebyś nauczył się wydajnie pracować i żebyś jeszcze bardziej pomnożył ten nasz majątek.

– A kto się dziś bogaci dzięki ciężkiej pracy? – odparł Collis. – No, tak jak ty na przykład na twojej flotyli rybackiej. To nie tak jak kiedyś. Dzisiaj trzeba umiejętnie spekulować na giełdzie,

skupować kolejne obligacje albo postawić wszystko na jedną kartę i wygrać wielką forszę w faraona. To czyste ryzyko, i tyle. Nie ma to zupełnie nic wspólnego ani z pracą, ani z wysiłkiem.

Makepeace pokręcił głową.

– Jesteś w błędzie, synu. Sam nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz. Ten naród nadal posiada wspaniałe, nie wykorzystane bogactwa; potencjał naturalny i intelektualny, którego nikt jeszcze na razie nie jest w stanie docenić ani nawet przewidzieć. I ty też jesteś ślepy, że tego nie widzisz. Ja sam wziąłem się do homarów – to jeden z naturalnych zasobów tego kraju – i zrobiłem na nich pierwsze duże pieniądze. Ale oprócz tego jest jeszcze przecież złoto, srebro, a choćby sama ziemia i rośliny, które można na tej ziemi uprawiać, i zwierzęta, które można karmić tą paszą. Na brak możliwości narzekać nie można – aż się prosi, żeby wyłowić to, co ofiarować nam mogą morza, lub wykopać spod ziemi skarby, które ona dla nas dźwiga.

– Bardzo zgrabna filozofia – przyznał Collis niedbale.

– To nie żadna filozofia, to fakt. Gdybyś miał trochę więcej oleju w głowie, nie siedziałbyś tutaj beczynnym na tyłku, uzalając się nad własnym losem. Ruszyłbyś wreszcie tą swoją mózgowicą i przekonałbyś się o tym na własne oczy. Twoim zdaniem jestem tylko zwykłym pętakiem, tak? No, może i nim jestem, psiakrew, może i tak. Widzisz, myśmy łowili trzydziestofuntowe homary koło Maine, na długo zanim się jeszcze urodziłeś, zanim w ogóle komukolwiek choćby się śniło, że się kiedyś urodzisz. Tak, żebyś wiedział, ja chciałbym widzieć wszystkie stany silnie zjednoczone po to, żebym nie musiał martwić się o spłaty moich południowych weksli i żebym mógł pomnażać kapitał, który ulokowałem w południowych inwestycjach. Co mam, tego się dorobiłem ciężką pracą, w pocie czoła, i chcę ci przypomnieć, że każda kromka chleba, którą wkładasz w tym domu do ust, i każdy fotel, na którym się wylegujesz, kupione zostały za pieniądze z Południa i tylko dzięki mojej przedsiębiorczości i harówce.

Collis położył cygaro na krawędzi srebrnej popielniczki i wypuścił ostatni kłębek szaroniebieskiego dymu.

– Ojczy – odpowiedział z przekąsem. – Ta cała twoja hiperboliczna retoryka!

Ubarwiasz fakty. Pokaż mi kiedyś, choć raz, trzydziestofuntowego homara, a padnę na kolana i będę błagał o przebaczenie, że nie dowierzałem twoim słowom. Ale póki co pozwól, że będę obstawał przy swoim i powątpiewał w twoje bajeczki. Trzydzieści funtów. Taki homar mógłby złamać ci nogi jednym zwarciem kleszczy!

Makepeace szarpnął swego siwego wosa.

– Koło Maine są homary trzydziestofuntowe i jeszcze większe. Widziałem bestie z takimi udami, że można wyżywić pięcioosobową rodzinę i jeszcze na drugi dzień zrobić z resztek mięsa paszteciki.

– Trzydzieści funtów! Żarty chyba sobie ze mnie stroisz?

– O, takie – rzekł Makepeace, rozkładając ręce na całą szerokość ramion. – Trzeba było dwóch ludzi, żeby je przytrzymać i zaparzyć na śmierć w wielkim kotle na bieliznę, w pralni u mojego współnika.

Collis skręcał się ze śmiechu.

– Jaka szkoda, że mnie tam nie było – powiedział. – Moje życie nabrałoby całkiem innej treści, gdybym tylko mógł zobaczyć na własne oczy, jak zmagasz się z trzydziesto – funtowym homarem.

– Skończ już wreszcie z tym cholernym zuchwalstwem – rzekł ojciec, ale prawie dobrotliwie. – Nie było nam łatwo, nie było lekko, a i te wszystkie wygody, które ty dziś uważasz za rzecz naturalną – jak światło czy kanalizacja – nam się o tym wtedy jeszcze nawet w ogóle nie śniło. Powinieneś być wdzięczny, ty żebraku, szczyłu ty jeden, bo gdyby nie te homary, byłbyś tu, w Nowym Jorku, ostatnim nędzarzem i nie miałbyś nawet pary chodaków, żeby się przejść spacerkiem po Trzeciej Alei; nie mówiąc już o koniu i innych luksusach.

Collis usiadł naprzeciw Makepeace'a z rękami na kolanach i nogą założoną na nogę i spojrzał na ojca z powagą, w zamyśleniu. Wiedział dobrze, że ojciec często miał rację i że już czas najwyższy, ażeby się usamodzielnic. W tych czasach, pomimo hossy w spekulacji złotem i kolejowych obligacjach oraz doskonałej koniunktury w handlu nieruchomościami, cena utrzymania porządnego domu rosła prawie każdego miesiąca. Nadejdzie taki dzień, gdy będzie musiał być samowystarczalny; będzie musiał utrzymać siebie i żonę, o ile się oczywiście ożeni, a także dzieci, o ile będą mieli z żoną dzieci; a do tego służbę, konie i powozy, i cały dom – i to jeszcze w nie byle jakiej dzielnicy.

– Ojczy, pozwól, że cię o coś zapytam.

– O homary?

– O Delfinę.

– No, oczywiście. Wierz mi, synu, to bardzo miła dziewczyna. Bardzo dobrze wychowana. I ma takie poczucie humoru – a to rzadki przymiot u niewiasty.

– Przestań już ją tak wychwalać pod niebiosa – rzekł Collis. – Wolałbym wiedzieć, jak jej przedstawiono całą sprawę. Czy powiedziano jej, że ona mi się podoba?

– A skądże! Co ty sobie wyobrażasz? Że ja to już nie mam ani za grosz poczucia przyzwoitości?

– Wobec tego dobrze by było, żebyś mógł się z nią jakoś spotkać, nie uważasz? No wiesz, żeby się jej przyjrzeć z bliska. Mam nadzieję, że nie pomiesza ci to szyków, co? Chyba te twoje starannie poczynione przygotowania nie legną z tego powodu w gruzach? Jedyne, co wiem o niej do tej pory, to to, że jest zdecydowanie przy kości, a do tego niska, i że jej rodzina zapłaciła tysiąc pięćset dolarów za ławę kościelną w Grace Church, co uważam za całkiem niepotrzebną ekstrawagancję.

Ojciec pociągnął nosem i spojrzał na Collisa.

– Możesz ją poznać, oczywiście. Ale, proszę, nie zachowuj się tak, jakbyś robił nam tym jakąś wielką łaskę – powiedział.

– Dlaczego nie? – odparł Collis. – Przecież tak jest w istocie. Gdyby to tylko ode mnie zależało, to w ogóle kichałbym na to spotkanie. Ale, jak widzisz, staram się być rozsądny, przynajmniej w waszych oczach, i usłużny, ze wzrokiem utkwionym w przyszłość. Może więc porozmawiaj z tym

twoim George'em Spoonerem i zapytaj, czy nie moglibyśmy się jakoś z Delfina zetknąć, niby to przez przypadek, rozumiesz. Na jakimś wieczorku tanecznym albo w kawiarni, albo coś w tym rodzaju.

– Mówisz poważnie? Nie żartujesz? – zapytał Makepeace. – Naprawdę chcesz spróbować?

Collis wzruszył ramionami.

– Czemu nie? Przecież mi od tego nie ubędzie. Chociaż zysków w tym żadnych też dla siebie nie widzę.

– Jak to? A aprobata matki, to co?

– Funta kłaków nie warta.

Zanim Makepeace miał szansę się odgryźć, ktoś zapukał lekko do drzwi i pojawiła się w nich Maude, siostra Collisa. Jak na owe czasy była dziewczyną raczej wysoką, wzrostu pięciu stóp i pięciu cali, z okrągłą, puciołowatą buzią i nienaturalnie zaczerwienionymi policzkami.

Tego wieczora miała na sobie prostą sukienkę w nieatrakcyjnym płowozółtym kolorze z cytrynową broszką i przyciasnymi rękawami. Kwaśny wyraz jej twarzy podkreślał jeszcze nijakość jej wyglądu.

– Rozmawialiśmy właśnie z ojcem o homarach – rzekł Collis, rozłożywszy się wygodnie na kanapie i popatrując na nią z ukosa. – Ojciec twierdzi, że w okolicach Maine są bestie trzydziestofuntowe, albo i większe, i zastanawialiśmy się właśnie, czy jeden z nich nie mógłby odgryźć ci głowy za jednym zamachem.

– Co za ordynus! – rzekła Maude. – Ojczy, szachownica już gotowa i, na polecenie matki, Angus nalał ci kieliszeczek sherry.

– Bóg zapłać, dziecko – odparł Makepeace nieco boleściwie.

Collis podniósł się z fotela.

– Aha – powiedział – no więc skoro już zdecydowaliście się spędzić tę noc na rozpuście, przy warcabach i szatańskich trunkach, ja pójdę na nieszpory i pomodłę się za wasze grzeszne dusze.

*

Wziął fiakra do śródmieścia i usiadł z tyłu na obitym skórą siedzeniu, a pojazd toczył się z hałasem po wyboistej broadwayowskiej jezdni. Furman był tłusty i nierozmowny. Okutany w brudne łachmany, siedział na koźle przygarbiony, raz po raz trzaskając z bata tuż nad uszami swojej szkapy, jakby fakt, że zwierzak ma uszy, irytował go potwornie, ale jakby nie był przy tym pewien, co z tym fantem zrobić. W owych czasach wielu dorożkarzy było pochodzenia ormiańskiego lub irlandzkiego; nie mówili po angielsku nawet tyle, żeby zrozumieć, gdzie się chciało pojechać, a ulice Nowego Jorku znali nie lepiej niż w dniu, gdy po raz pierwszy zeszli ze statku, by stanąć na amerykańskiej ziemi. Ale nieprzerwany ruch uliczny i tłok wiodący do śródmieścia niósł dorożkę

swoim prądem, czasem po myśli furmana, a czasem wbrew jego woli, a w końcu Collisowi nie chodziło o nic więcej.

Był to ciepły, choć pochmurny wieczór; deszcz ustał, więc Broadway roił się od dorożek, dylizansów, bryczek i kabrioletów, a wśród nich pojawiały się tłumy przechodniów. Pod arkadami hotelu St Nicholas, wzdłuż oświetlonego gazowymi latarniami portyku, długi szereg powozów, z pięknie wyszczotkowanymi końmi w zaprzęgu, i stangretami w wysokich, aksamitnych cylindrach, wił się i falował wraz z tłumem. Majętne elegantki i zasobni modnisie zeskakiwali na chodnik przed hotelem, by wziąć udział w balu dobroczynnym.

Paradowali, para za parą, przez lśniący, marmurowy korytarz, obok kanap z tygrysię, lamparciej lub zebrzej skóry, jakby sami – wybrańcy losu – też byli ocalonymi z potopu stworzeniami, najznakomitszymi spośród znakomitych, którym udało się jakoś dostać na tę najwytworniejszą ze wszystkich arek.

Wieczór pachniał perfumami i gazem, tłuczoną cegłą i końskim łajnem oraz gnijącymi w śmietnikach odpadkami – tym słodkokwaśnym, drażniącym nozdrza zapachem, który nasilał się zawsze o tej porze roku, kiedy żywność psuła się szybko, a kanały ściekowe ciągle były przepełnione. Przyzwyczajony do tych wyziewów Collis na ogół nie zwracał na to wcale uwagi, ale gdy fiaker utknął w korku pojazdów na rogu Walker Street, gdzie trwały roboty drogowe i Broadway był zatarasowany płytami kamiennymi, musiał wyjąć z kieszeni chusteczkę, by przykryć nos i usta. W rynsztoku leżały dwa zdechłe psy, jeszcze nie sprzątnięte przez rakarzy, a ciepło wieczoru wzmacniało wydatnie ten odór.

W końcu zajechali pod teatr na Broadwayu; Collis wyszedł z dorożki i zapłacił woźnicy trzydzieści centów. Potem, poprawiwszy popielatą, jedwabną kamizelkę i przekręciwszy cylinder z lekka na bakier, co – jak na owe czasy – było gestem iście zawadiackim, wszedł przez mosiężno – mahoniowe drzwi do Gemu. Nocne życie zaczynało się na ogół dopiero trochę później, więc na razie nie było jeszcze tłoku, ale paru koleżków Collisa siedziało już przy barze, opierając się łokciami o bufet, tuż przy samych niszach w jadalni, odgradzonych od reszty lokalu udrapowanymi z pietyzmem kotarami. Duszno było od dymu i zewsząd dobiegały go głośnie i wesołe rozmowy.

Gem miał wysoki sufit, wypolerowaną, marmurową posadzkę w szachownicę, a elegancki, długi barek zdobiły zgrabne płaskorzeźby amorków i satyrów. Za plecami przyodzianych w śnieżnobiałe kubraczki barmanów stało ogromne – największe w całym Nowym Jorku – zwierciadło, którego ozdobne, pozłacane ramy uwieńczone były statuettką drapieżnie wyglądającego orła. W zwierciadle tym odbijały się gazowe lampy, dzbany i butelki oraz cała podchmielona klientela lokalu. Gem cieszył się ogromnym wzięciem wśród złotej młodzieży, dżentelmenów i ambitnych karierowiczów – arywistów, choć ostatnio na przykład klan Tammany* nie gościł tam już tak często jak dawniej – teraz gdy prohibicja stała się taką czułą kwestią.

Henry Browne popijał burgunda i opowiadał jakiś kawał o psie.

– Collis! – zawołał. – Chodźże tu do nas! Zjawiasz się w samą porę!

Był tam również Jack de Veeart z rodziny sławnych importerów kawy – dziarski młodzian, na którym krawaty wisiały smętnie, jakby miały posłużyć za narzędzie zbrodni przez uduszenie, i Lewis Dunlop, który miał wprawdzie odstające uszy i bardzo ciężki dowcip, ale za to masę pieniędzy na każde zawołanie. Wszystko to zawdzięczał talentom przedsiębiorczego tatusia, który zbił grubą forszę w handlu detalicznym. Krezus był z niego jakich mało.

Henry Browne był z nich najstarszy. Miał lat dwadzieścia sześć i żaden z przyjaciół nie dorównywał mu pewnością siebie. W latach młodości wstąpił do armii jako porucznik, ale wmieszał się w skandaliczną raczej aferę z żoną pewnego pułkownika, wskutek czego po trzech latach uzyskał zgodę dowództwa i dyskretnie wycofał się ze służby. Następnie spędził dwa lata na Uniwersytecie Nowojorskim, choć, jak utrzymywał, co dokładnie studiował i po kiego licha – tego nie może sobie w żaden sposób przypomnieć. Był wysoki, barczysty, miał kręconą ciemnoblond czuprynę. W oczach Collisa był niezastąpionym kompanem, tak do bitki jak do wypitki, choć tej pierwszej cnoty nie miał jeszcze, jak dotąd, okazji dowieść w praktyce.

– Co dla pana, Mr Edmonds? – zapytał barman Jimmy.

– Piwo beczkowe, i to biegiem. Umieram z pragnienia – odrzekł Collis. – Na dworze można się ugotować. A smród gorszy niż u śmieciarza pod pachami.

Jimmy wyjął z kubelka z lodem duży kufel i nalał piwa Collisowi. Collis natychmiast wszystko łąpczywie wyżłopał, otarł dłonią usta, a potem odstawił pusty kufel na ladę. Jack de Veeart wypytywał: – No i jak? Trochę lepiej? Możesz już teraz żyć i oddychać?

Collis skinął głową.

– No to w dechę – rzekł Jack. – No, jedź dalej, Henry. Chcemy znać finał twojej przypowieści.

– Aha – rzekł Henry – sęk tylko w tym, że wyleciało mi zupełnie z głowy, jak to się kończy. Wszystko przez Collisa.

Zgubiłem wątek. Wiem, że było tam coś o psie, który mówił: „Ty też byś tak chodził, gdybyś miał cztery łapy”, ale nic więcej nie mogę sobie przypomnieć.

– Ten człowiek to naprawdę niepoprawny wariat – poskarżył się Lewis Dunlop. – Zawsze ma w zanadrzu jakąś dykteryjkę, ale nigdy, ale to przenigdy nie pamięta pointy.

Kładzie każdy dowcip. To już naprawdę przechodzi granice ludzkiej przyzwoitości.

– Ano właśnie, a propos przyzwoitości – rzekł Henry. – Dobrze, że mi przypominałeś.

Mój znajomy wspomniał coś przed południem o jakimś nowym burdeliku, który otworzył właśnie podwoje na Leonard Street. Podobno urządzają tam dziś wieczorem bardzo pikantne przedstawienie. Pomyślałem, że po kolacji moglibyśmy zbłądzić w tamte strony i zobaczyć, czy jest na czym oko zatrzymać.

– Niezła myśl – zgodził się Lewis. – Ale, ale, Collis, jak ci tam poszło z tą twoją brzydulą? To dopiero była maskara, nie ma co!

Jack roześmiał się rubasznie.

– Prawdę chłopak mówi, nie kłamie! Collis, jak sobie pociągniesz, to w ogóle nie masz gustu, jeśli chodzi o kobiety. Zawsze się jakieś szkaradztwo do ciebie przypaleta. Nie znam nikogo, kto by ci mógł w tym dorównać. Ale może przynajmniej była dobra w łóżku, co? Czy też może nie raczyłeś nawet zauważyć, bo byłeś zbyt zachlany?

– Była całkiem sympatyczna, na swój sposób – odparł Collis z nietypową dla siebie powagą. – Podejrzewam, że nigdy nie miała w życiu szansy, żeby popisać się jakimś wspaniałym osiągnięciem, albo nawet żeby okazać się użyteczną. Ale to myśląca dziewczyna i wydaje mi się, że gdyby ktoś mógł powiedzieć choćby tyle na mój temat, to uznałbym to za komplement.

Henry uniósł ze zdziwienia jedną ze swych krzaczastych, ciemnoblonde brwi.

– Przyjacielu! – powiedział. – Dla mnie brzmi to jak jakieś epitafium. Czego się tak przejmujesz jakąś uliczną dziewczką? I to jeszcze do tego taką, która z łatwością mogłaby zmierzyć się w turnieju zapaśniczym z mistrzem Ameryki w wadze średniej.

Lewis i Jack ryknęli śmiechem, a Jack wałnął Collisa w plecy. Collis pociągnął jeszcze trochę piwa i również starał się udawać rozbawienie.

Henry nie dał się jednak zwieść.

– Coś tu nie tak – zauważył. – Jesteś dziś czegoś nie w sosie.

– Nic mu nie jest – rzekł Lewis. – Jeśli ten burdel jest tak dobry, jak to utrzymujesz, i jeśli będą mieć u Delmonica stek w pikantnym sosie grzybowym, to zaraz wróci do siebie.

– Nie, nie – upierał się Henry. – Coś jeszcze tkwi poza tym. Czuję pismo nosem. Jakaś wewnętrzna analiza, zaduma nad własnym ja. Co cię ugryzło, przyjacielu? Wiem na pewno, że coś się za tym kryje.

Collis wzruszył ramionami.

– Dziś rano zdarzył się wypadek. Zabrałem ją do hotelu Monument, dlatego że to było najbliżej i dlatego że tam mnie znają, ale rano, kiedy się obudziłem, przyszło pod moje drzwi dwu osiłków, a także kierownik z Madisona.

– A niech to diabli! – rzekł Jack. – Przypuszczam, że chciał zapłaty za szkło, któreśmy pobili.

Collis przytaknął.

– Staralem się ulotnić przez okno, no wiecie, tak jak zawsze, ale ta wariatka, niezgrabiasz taki, poślizgnęła się, i spadła z trzeciego piętra na bruk.

– Zabiła się? – spytał Lewis, marszcząc brwi.

– Nie sądzę. Zawołali zaraz lekarza. Powiedział, że ma pękniętą miednicę. Radził, żebym o niej zapomniał. Twierdził, że to nie była moja wina, a nawet jeśli tak, to nie powinienem się do tego przyznawać. Powiedział też, że taki już los tych dziewczyn: na ogół umierają wcześniej, więc najwyżej przyspieszyłem ździebelko jej koniec i tyle. Żadna strata, jego zdaniem.

– Widać, że człek zdrowo myślący – skomentował Jack. – Niejeden wydusiłby z ciebie dziesięć dolców, obiecując trzymać jęzor za zębami. Ba! Większość, nie tylko jeden!

– Większość z nich nie omieszkała tego właśnie uczynić – przyznał Collis. – Kierownik Madisona i kierownik hotelu Monument, no i oczywiście dzielnicowy.

– No toś wybulił masę forsy zeszłego wieczoru, no nie? A do tego, gdzie się podział twój dobry humor? – zapytał Henry.

Collis wychylił do końca piwo i poprosił Jimmy'ego o koktajl burboński.

– Muszę przyznać, że dało mi to do myślenia. Zacząłem się zastanawiać nad samym sobą, no wiesz, nad tym kim jestem i skąd się bierze forsa.

– Forsa pochodzi od rodziców – wtrącił Jack filozoficznie. – Jest to jedno z niepodważalnych praw natury.

Collis patrzył, jak Jimmy nalewa dwie porcje burbona do wysokich, zamrożonych kieliszków i jak wrzuca w nie z hałasem łyżkę kostek lodu, zalewając całość jabłecznikiem, ale widać było, że myślami jest zupełnie gdzie indziej. Potem rzekł, nie patrząc na przyjaciół: – Chyba po raz pierwszy w życiu pomyślałem o takiej kurwie jak o człowieku. Nigdy przedtem mi się to jeszcze nie zdarzyło. Leżała na chodniku, taka potłuczona i posiniaczona, starając się przeżyć za wszelką cenę – nic więcej, tylko przeżyć, tak jak zresztą każdy.

– Mam nadzieję, że nie będziesz w takim grobowym nastroju przez resztę wieczoru – rzekł Lewis.
– Bo jeśli masz taki zamiar, to pozwól, że zasugeruję, abyśmy od razu zrezygnowali z naszych planów. Możemy skasować restaurację, zapomnieć o Leonard Street i zamiast tego wybrać się na cmentarz i poczytać napisy na tabliczkach nagrobkowych, a wtedy może poczujemy się znacznie lepiej.

– Nie, nie jestem znowu w takim strasznie wisielczym humorze – odparł Collis z lekkim uśmiechem. – Może jestem tylko nastrojony nieco bardziej filozoficznie niż zazwyczaj.

Rozmowa z ojcem dziś wieczorem natchnęła mnie w ten sposób jeszcze bardziej.

– A to twój ojciec wie, co się stało? – dopytywał się Henry.

– Nie, nikomu się z tego nie zwierzałem. Wiecie o tym tylko wy.

– I tak też musi pozostać. Biorę to na siebie. Nie puścimy pary z gęby, chłopaki, co? Ani mru–mru. Co innego włączyć się po burdelach, a co innego rozgłaszać o tym wszem i wobec.

Założę się, że połowa bywalców Union Club ma syfa, a druga połowa robi, co może, żeby go złapać, ale w dobrym towarzystwie lepiej pominąć to milczeniem. No, ale żeby pozwalać dziwkom spadać sobie z okien... no, to już naprawdę trąci znieczulicą i niezdrowym wyuzdaniem, sam chyba przyznasz!

– Henry – zadeklarował Collis, wznosząc kielich. – Piję za twoją wrodzoną delikatność uczuć oraz nieomyślność sądów. Ale to jeszcze nie wszystko.

– A co? Jeszcze jakaś inna kurwa też zleciała przez ciebie z parapetu? – dopytywał się Jack.

– Nawet zbieranie potłuczonej dachówki i cegły z rozbiórki nie należy do przyjemności, a co dopiero... – wtrącił Lewis z westchnieniem.

– Nie, nie – rzekł szybko Collis. – Chodzi o coś zupełnie innego. Mój ojciec wiercił mi dziurę w brzuchu cały wieczór. Dowiedziałem się – tylko posłuchajcie! – że znalazł mi narzeczoną. Zaaranżował zaręczyny, można by rzec. Nie może się doczekać, kiedy się wreszcie ożenię i stanę cieszącym się powszechnym szacunkiem obywatelem albo przynajmniej kiedy zacznę robić wrażenie cieszącego się powszechnym szacunkiem obywatela.

Collis zaciągnął się cygarem.

– Jak to się mówi? Małżeństwo z rozsądku, tak? Niby dla obopólnej wygody, choć Bóg mi świadkiem, że nie widzę, jaki ja będę miał z tego pożytek. Chcą mnie ożenić z Delfina Spooner, córką George'a Spoonera ze spółki akcyjnej Ohio Life & Mutual. A zgadnijcie, jaka firma finansowa z Wall Street zainteresowana jest połączeniem swego kapitału z Ohio Life?

Tylko nie oczekujcie nagrody za prawidłowe rozwiązanie.

– Delfina Spooner? – rzekł Jack w zamyśleniu. – A tak. Znam ją nawet. Spotkałem ją raz na przyjęciu urodzinowym w Astorii, w Long Island. Całkiem do rzeczy, o ile sobie dobrze przypominam, ale bardzo... eee... tego... filigranowa.

– Ja ją też chyba widziałem tylko ze dwa razy – rzekł Collis – ale pamiętam, że jest jakaś nieproporcjonalna, o tu, w ramionach. Taki pulchny pulpecik, no, wiecie, o co mi chodzi.

– No więc nie ma sprawy – rzekł Jack. – Wiadomo: nie możesz się przecież ożenić z takim pulchnym pulpetem. To nie podlega żadnej dyskusji!

– Dobrze mówi! W samej rzeczy! – dorzucił Henry. – No dobrze. Ale powiedzmy, że po pierwszym spotkaniu będziesz już wiedział od razu, że te swaty nie wypaliły i że ci to dziewczątka wcale nie przypadło do gustu. I co wtedy? Chyba się będziesz musiał postawić, Collis, rąbnąć pięścią w stół i powiedzieć: dosyć tego! Mężczyzna powinien być panem swojego losu, tak czy nie? W twoich rękach nasz wspólny, los, bracie!

– No tak. Ale ja już się zgodziłem na to spotkanie – wybąkał Collis. – Sam nawet nie wiem, dlaczego, choć na pewno wchodzi tu w rachubę forsa. Widzicie, mój ojciec zmniejszyłby mi rentę, gdybym mu się otwarcie przeciwstawił. Albo nawet mógłby mnie w ogóle wydziedziczyć. Ale to nie jedyny powód. Ta sprawa z Kathleen Mary dziś rano sprawiła, że zacząłem jakoś przyglądać się samemu sobie krytycznie. I doszedłem do wniosku, że może rzeczywiście już najwyższy czas, żebyśmy wzięli się w garść i starali się jakoś wyjść na ludzi.

– Amen – podsumował te wywody Jack. – Syn marnotrawny powraca na łono rodziny.

Bielmo spadło mu z oczu i doznał wreszcie objawienia. Nawrócił się na jedynie słuszną wiarę i zrozumiał, że należy czcić ojca swego i matkę swoją, ożenić się z dziewicą i, o ile to możliwe, osiedlić się nie dalej na północ niż Czternasta Ulica.

– Wyznać muszę, Collis, że zupełnie nie rozumiem, co cię dziś napadło – rzekł Lewis.

– Zawsze cię miałem za człowieka światowego. Taki był z ciebie zuch, dziarski chwyt. A tu proszę, ni z tego, ni z owego rozprawiasz o ożenku z jakimś wrednym babsztylem. Ta zniewaga krwi wymaga, moim zdaniem.

Henry skinął ręką na barmana. Był to znak, że gotowi byli na następną kolejkę wódki. W barze robiło się coraz gwarniej i coraz weselej. Temperatura wyraźnie podniosła się, ponieważ tłumy, które właśnie zmierzały do teatru, wpadały tu jeszcze na szybkie piwko lub whisky przed rozpoczęciem spektaklu.

Jimmy postawił właśnie przed nimi czyste puste kieliszki, gdy wysoki młody człowiek o ziemistej cerze i srebrnobiałych wąsach, w krzykliwej, jedwabnej kamizelce podszedł do nich, przecisnąwszy się przez tłum czarnych cylindrów i wykrochmalonych białych koszul, i uściskał im wszystkim dłoń, jakby nie widzieli się co najmniej od siedmiu lat.

– Jak to dobrze, że was tu zastałem! – zawołał, mrużąc piwne, wylupiaсте oczy. – Mam ochotę na partyjkę faraona. Tak na godzinkę czy dwie. Co wy na to?

– Napij się z nami, Nathan – zaproponował Henry. – Na razie nie możemy się zdecydować, w jakim jesteśmy nastroju: weselnym czy pogrzebowym. Albo może i to, i to.

Nathan Hackett przeniósł wzrok z Henry'ego na Collisa, a potem na Jacka i Lewisa i uśmiech w końcu prysnął zupełnie z jego twarzy. Był synem pułkownika Waltera Hacketta, prezesa niezliczonych banków, fundacji i towarzystw kredytowych, znanego powszechnie ze swej nieodpartej miłości do gry w polo, kart i kobiet. Nathan, jedyne dziecko pułkownika Hacketta z prawego łoża, odziedziczył po ojcu sowizdrzalskie usposobienie. Jak grał to grał, i to o dużą stawkę. I choć Collis sam miał się za biegłego gracza i karciarza jakich mało – faceta z gestem i polotem, ryzykanta, wiedział dobrze, że Nathan bezdyskusyjnie go w tym wszystkim przewyższa. Po prostu nie miał sobie równych. To właśnie Nathan założył się z nim o tych łysych facetów poprzedniego wieczoru.

– Proszę, przyłącz się do nas. Klawo, że jesteś – rzekł, Collis. – Ale niestety, to święta prawda, wpadłem dziś wieczór w nastrój iście filozoficzny i jakoś wszyscy od razu pospuszczali nosy na kwintę. Wiesz, jak to jest. Czasem coś tak człowieka najdzie, że nic tylko się otruć. Albo powiesić. Już dawno bym to uczynił. Jedyne co mnie wstrzymuje, to fakt, że pierwsze pozostaje na ogół w niezgodzie z obiadem, a drugie rozprostowuje na spodniach kanty.

– Idziemy do Delmonica – wtrącił Henry – a potem na Leonard Street rozerwać się trochę przy dźwiękach muzyki i nacieszyć oczy egzotycznym widowiskiem.

Nathan wyjął z kieszeni kamizelki zegarek i wpatrywał się weń przez chwilę.

– Mam spotkanie z Rodgersami w restauracji u White'a – powiedział. – Ale jak już będę miał ten nieprzyjemny obowiązek za sobą, to dołączę do was u Delmonica. Wiecie, jak jadają Rodgersowie. Jak tygrysy w klatce. Powinniśmy to wszystko pożreć w ciągu pół godziny.

– Zakład o pięć dolarów, że nie dasz rady? – zapytał Collis. Nathan uściskał mu dłoń.

– Dobra! Niech ci będzie! No, już mnie nie ma. I tak już jestem spóźniony.

– Tylko nie próbuj wpychać im żarcia do gęby na siłę – rzekł Jack. – Nie chcemy, abyś wygrał zakład, rozwierając usta biednej Dorothy Rodgersowej solniczką i wlewając jej zupę prosto w gardziel, pod groźbą zaduszenia.

Nathan podniósł ręce do góry, jakby proklamując swe czyste intencje, a potem precyzyjnie się znowu przez tłum ku wyjściu. Henry zwrócił się do Collisa i zauważył: – No wygląda na to, że ci to trochę jakoś dodało animuszu. Popić sobie porządnie, pofiglować i zaraz się człowiekowi lżej na duszy robi. Może byśmy tak sobie jeszcze golnęli co nieco na jedną nóżkę, chłopaki, jak uważacie, zanim się wybierzemy do tej restauracji?

Zebrali się pod arkadami szarego budynku gmachu federalnego na Leonard Street, w czerwonym świetle migoczącej latarni. Nathan dołączył do nich w sam raz na kawkę i kieliszek brandy u Delmonica i bez słowa wsunął Collisowi do kieszeni pięciodolarowy banknot. Podobno tego ranka Mister Rodgers był na Bond Street, u dentysty, i musiał zwolnić tempo. Zamiast pochłaniać łąpczywie wszystko, co się znajdowało przed nim na talerzu, jak to miał w zwyczaju, tym razem przeżuwał każdy kęs z bolesną precyzją, metodycznie.

Prawie na wszystkich innych domach przy Leonard Street paliły się czerwone światełka, a chodnik roił się od wąsali w melonikach. Większość z nich, podobnie jak Collis i jego ferajna, przyszła na Broadway, by ukoronować wieczór spędzony na zabawie wypadem do jednego z licznych tutaj „pensjonatów”. Słysząc było krzyki, rubasne głosy oraz pijacki śmiech, a u szczytu ulicy, przy Broadwayu, grajek uliczny grał na banjo, podczas gdy wychudzona małpka, uwiązana na łańcuchu, skakała i tańczyła u jego stóp.

Henry Browne zapukał do drzwi „pensjonatu” i po jakimś czasie drzwi się otworzyły i pięciu dziarskich kawalerów weszło do środka gromadnie, ale w ciszy. Znaleźli się we wnętrzu udekorowanego na czerwono holu, wyłożonego pluszową tapetą i umeblowanego rokokowymi stoliczkami w stylu, który Collis nazywał „wczesnym wampir – empire”.

Drzwi zamknęły się za nimi bezszelestnie, a szwajcar, wysoki Murzyn w upud – rowanej peruce i kostiumie osiemnastowiecznego kamerdynera, zapytał uprzejmie, czy nie zechcieliby zostawić kapeluszy i laseczek w szatni. Zza drzwi po drugiej stronie holu, również przybranych udrapowanymi zasłonami z ozdobnymi fontaziami i frędzlami, doszły ich dźwięki fletu i wiolonczeli, a potem nagły wybuch oklasków.

– Podobno to doskonale widowisko – rzekł Henry, wyjmując małe okulary z niebieskiego, welwetowego etui i umieszczając je na czubku nosa. – Akurat w sam raz po baraninie w sosie koperkowym i lodach malinowych. Zobaczycie sami, że zaraz wam się humor poprawi.

– Kto funduje? – rzekł Lewis.

– Biorę to na siebie – rzekł Collis. – Przynajmniej za przedstawienie. Wybór panienki pozostawiam każdemu z osobna i wasze zmartwienie, jak pokryjecie koszty. Każdy płaci za własne zbytki.

– Tylko dlatego, że ty zawsze wybierasz najtańsze – rzucił urągliwie Jack.

Collis wykrzywił twarz w grymasie.

– Zapewniam cię, że czego nie dopłacę w gotówce, to sownie wynagradzam w naturze.

Pomijając już wszelkie inne tarapaty, miałem dziś rano cholernego kaca.

– Założę się o te pięć dolarów, które dopiero co straciłem, że znajdę dziś sobie większe brzydactwo niż ty – powiedział Nathan.

– Załatwione – odparł Collis. – Choć tak prawdę powiedziawszy, to sam nie wiem po jaką cholere.

W tym właśnie momencie uchyliła się portiera i w bocznych drzwiach pojawiła się młoda dziewczyna, śliczna i delikatna, z puklami ciemnych włosów i oczami podkreślonymi makijażem. Była ubrana w jasnoblękitną, prześwitującą suknię z czystego batystu, ew stylu Pierwszego Cesarstwa, przez którą można było dojrzeć zgrabny układ ponętnych kształtów i cieni.

– Nazywam się Gemima – powiedziała, skinąwszy dłonią w stronę widowni. – Może panowie pozwolą za mną. Proszę zająć miejsca.

Henry mrugnął na nich porozumiewawczo.

– A nie mówiłem? Wybornie się zapowiada. Collis odpowiedział mu wymuszonym uśmiechem. Gemima wprowadziła ich przez ciężką portierę w głąb apartamentu, a potem powiodła przez mroczny korytarz w stronę dębowych drzwi.

Muzyka stawała się coraz głośniejsza i dało się słyszeć gromkie głosy mężczyzn, dopingujących hałaśliwie aktorów na scenie i wykrzykujących sprośne uwagi. Gemima otworzyła dębowe drzwi i wprowadziła ich do małego pokoiku przedzielonego cienkim przepierzeniem. Stanowił on jakby prywatną lożę teatralną. Stały tam wyściełane purpurowym welwetem fotele, jakie można spotkać w każdym nocnym lokalu, a także niewielki stolik z marmurowym blatem, na którym chłodziła się w kubek dwukwartowa butelka szampana.

Lożę odgradzała od reszty widowni ciemna, suta kotara, tak że jej użytkownicy byli niewidoczni dla oczu klientów w innych lożach. Mogło być jakieś pięć czy sześć łóż w głównej sali; każda z nich dawała gościom idealny widok na pokrytą szkarłatną kapą sofę, jasno oświetloną gazowym kinkietem oraz na trzyosobowy dziewczęcy zespół muzyczny, bardzo skąpo przyodziany w starogreckie tuniki. Muzykantki siedziały obok sofy wyprostowane, jedna z wiolonczelą, druga z fletem, a trzecia ze skrzypcami.

– Jedno przedstawienie właśnie się skończyło – wyszeptała miękko Gemima. – Proszę usiąść, panowie, a zaraz zacznie się następne.

Collis usiadł z przodu, przy wypolerowanej mahoniowej balustradzie, a Nathan Hackett obok niego. Podczas gdy goście zajęci byli przysuwaniem krzesel, Gemima naala im do wysokich, zimnych kielichów szampana, a oni wzniesli je ku niej w toaście. Było w tym geście milczące uznanie dla jej pełnych, kobiecych wdzięków. Potem dziewczyna skłoniła się i zostawiła ich samych, zamykając za sobą drzwi. Dziewczęcy zespół zaczął rzepolić melodię „O, nimfy, pastuszkowie, bieżajcie tu, bieżajcie”, zupełnie nie do taktu, lecz spowita w szare kłęby dymu z cygar publiczność nie była zbyt krytyczna, szczególnie jeśli chodzi o młodą wiolonczelistkę, brunetkę, która musiała siedzieć z rozstawionymi nogami.

– Muszę, przyznać, że mnie się podoba ta skrzypaczka – powiedział Collis. – Całkiem do rzeczy.

Nathan szturchnął go w kolano.

– Pamiętasz nasz zakład? Im brzydszą sobie przygadasz dziś wieczorem, tym większą masz szansę, żeby wygrać. Zapomnij na jakiś czas o nadobnych liczkach.

Collis pociągnął szampana i westchnął ciężko: – Może i masz rację. Jeżeli nie ożenię się z Delfina i ojciec obetnie mi moją rentę, będę potrzebował każdego centa, jakiego uda mi się uciuć.

– Zawsze przecież możesz znaleźć sobie jakieś zatrudnienie. Nie przyniosłoby ci to żadnej ujmy – zauważył Henry. – Szanujący się młodzian może się wciągnąć w całą masę różnych zawodów, nie narażając przy tym na szwank swego dobrego imienia. Słyszałem na przykład, że całkiem przyjemnie i pożytecznie można spędzić czas, bawiąc się w maklera giełdowego, szczególnie przy obligacjach kolejowych.

– Ojciec uważa, że powinienem zająć się wykorzystywaniem zasobów ziemi i oceanu. On sam zarobił swoje pierwsze setki tysięcy na homarach i jak widzę, w jego przekonaniu, co było dobre dla niego, musi być dobre i dla mnie.

– Jak u licha można zarobić setki tysięcy na homarach? – dopytywał się Jack. – Wysyła się do nich listy z błagalną prośbą o przybycie?

Collis zakaszłał.

– Trzeba je wyłowić z dna oceanu i ugotować. To wszystko. Ale coś mi się widzi, że to, jak dla mnie, zbyt ciężka harówka. Ojciec mówi, że często łapali trzydziestofuntowe bestie, dwóch ludzi musiało je trzymać, a samo gotowanie trwało pięć godzin.

Henry uniósł brwi.

– Najbliższa bestia podobna do trzydziestofuntowego homara, jaką miałem zaszczyt obejrzeć na własne oczy, to ten gość od maszyn do szycia, Izaak Singer.

Nathan Hackett zmarszczył czoło.

– Nigdy jeszcze w życiu nie widziałem trzydziestofuntowego homara. Drogi przyjacielu, trzydziestofuntowy homar byłby wielki jak średniego wzrostu wyrostek. Jeśli chcesz znać moje zdanie, ojciec kpi sobie z ciebie w żywe oczy.

– On sięzaklina, że to prawda – odparł Collis. – A ojciec nigdy nie kłamie w takich sprawach.

– Tak mu wierzysz bezgranicznie? – zapytał Nathan, rozkładając się wygodnie w fotelu.

– No to przykro mi, ale muszę zakwestionować wiarygodność jego słów. Ale jeśli uda ci się naprawdę znaleźć trzydziestofuntowego homara i jeśli postawisz go tu przede mną na tacy, zapłacę sto dolarów.

– Dwieście – rzekł Collis zadziornie. Nathan rzucił Henry’emu szybkie spojrzenie.

– Młodego Collisa krew zalewa, nie sądzisz, Henry? Wydawało mi się, że w ogóle się z ojcem do siebie nie odzywacie, nie mówiąc już o gotowości do bitki za ojcowski honor.

Odwrócił się do Collisa z uśmiechem i rzekł lekceważąco: – Trzysta.

Collis wyciągnął rękę i dobił targu mocnym uściskiem dłoni.

– Będę miał jednego takiego potwora, zaciskającego ci przed nosem kleszcze, nie dłużej niż w sześć tygodni – przyrzekł solennie. – Możesz sobie wtedy wsadzić gdzieś twoje słowa i do tego całą twoją mamonę.

Nathan uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Uwierzę, jak zobaczę. Nie będę się więcej spierał.

– Zamknijcie się wreszcie obaj – rzekł Henry. – Przedstawienie się właśnie zaczyna.

Cicho tam.

– No! Najwyższy czas! – burknął Lewis z niezadowoleniem. – Mam już po uszy pastuszków i nimf, nawet w wykonaniu takiego super zespołu. To już naprawdę gruba przesada.

Trzy muzyczne dziewczątka zakończyły wreszcie utwór fałszywą nutką, a potem okazała, siwowłosa kobieta około pięćdziesiątki, w błyszczącym turbanie i chabrowej sukni, wyszła zza kotary, uśmiechając się i chyląc czoło w świetle gazowych lamp.

– Miło nam powitać tu panów dzisiejszego wieczora. Nazywam się Mrs Netta de la Paige, a te utalentowane młode damy to moja orkiestra, „Srebrzyste Słowiczki”. Za chwilę pozwolę sobie zaprezentować jeden z naszych najlepszych, finezyjnych, artystycznych żywych obrazów, w którym wystąpią: afrykańska, czekoladowa diwa Cornelia i aryjska gwiazda Henrietta wraz z jednym z najwspanialszych okazów męskości i fizycznych walorów, kulturystą, Mocarzem Marmadiukiem.

Słowiczki uniosły z gracją instrumenty i zaczęły pracowicie fiukać i rzępolić „W ogrodzie klasztornym”, i to znowu tak fałszywie, że Jack nie mógł się już dłużej powstrzymać i aż parsknął głośno rubasznym śmiechem. Potem kotara znowu się odłoniła i na scenę, w świetlany krąg reflektorów, weszła tanecznym krokiem posągowa blondynka, obwiązana w talię przezroczystymi szarfami. Sądząc po wzroście i szerokości ramion, Collis zgadywał, że musiała być Szwedką albo Finką. Włosy jej upięte były w ondulowane, kędzierzawe loczki, a rysy twarzy – zimne, jasne oczy i prosty nos – przypominały mu książkowe ilustracje z dziecięcych legend o nordyckich bożkach.

Płasała i wirowała wokół sali, od łoża do łoża, wykręcając piruety i dygając kokieteryjnie przed każdą z łoż. Collis złożył ręce do oklasków i bił brawo, kiedy przechodziła obok jego łoża, a ona spuściła podkreślone błyszczącym, zielonym cieniem powieki i polizała wargi końcem języka.

– Podobasz się jej, do stu katów! – zaśmiewał się Nathan Hackett. – Przysięgam na Boga, że ma na ciebie chrapkę.

Po zakończeniu swego frywolnego okrażenia blondynka rozłożyła się na czerwonej sofie.

Teraz trzyosobowa orkiestra zagrała niezdarnie na zupełnie inną nutę. Tym razem był to pastisz jakiejś orientalnej melodii, przy akompaniamencie ręcznych cymbałów, na których brzdąkała niemiłosiernie panna flecistka. Spoza kotary, przy wtórce ordynarnych cmoków, gwizdów i

okrzyków podziwu oraz zdumienia, wyłoniła się młoda Murzynka, równie wysoka jak jej poprzedniczka, nordycka blondynka. Cały jej strój stanowiła trójkątna przepaska na biodrach z połączonych ze sobą złotych monet. Jej skóra była doskonale czarna, hebanowa, niczym granatowoczarny atrament, a jej kręcone włosy, przybrane złotymi liśćmi, wiły się w długie spiralki loków. Oczy miała skośne, a usta grube, pełne i była tak mesmerycznie zmysłowa, że Collis nie mógł oderwać od niej oczu. Przeszła, kołysząc się, obok nich, wyszczerzając na nich białe, mocne zęby i zostawiając za sobą piżmowy, podniecający zapach perfum.

– A teraz co do Marmadiuka Wielkiego – rzekł Nathan – to założę się, że nie da rady obu dziewczuszkom w ciągu jednego kwadransa.

– Pięć dolców? – zagadnął Collis. Uścisnęli sobie dłonie.

Wiolonczelistka przebiegła smyczkiem po instrumencie z ogłuszającym kiksem. Potem kurtyna poszła w górę i na scenę wyszedł dumnie muskularny mężczyzna o kręconych włosach, wzrostu co najmniej sześciu stóp i dwóch cali, w kostiumie z lamparciej skóry i czarnych, skórzanych butach po kolana. Twarz miał pooraną jak urwisko i bujne, kudłate wąsiska; uwagę zebranych przyciągało jednak widoczne pod obcisłym kombinezonem kopiaiste wybrzuszenie w okolicach krocza. Mógł być bezrobotnym aktorem lub irlandzkim drogowcem albo w ogóle kimkolwiek skądkolwiek. Przechadzał się po scenie nonszalancko i z miną bydłcej, zadowolonej z siebie wyższości, ponieważ wiedział, że żaden z panów, którzy przypatrywali mu się teraz z widowni – choćby był nie wiadomo jak bogaty – nie mógł poszczycić się takim obfitym darem natury.

Collis nie mógł oderwać wzroku od jasno oświetlonego kręgu w środku sali, gdy obie dziewczyny zsunęły się z sofy i okręciły wokół łydek Mocarza Marmadiuka. Potem blondynka zrzuciła z siebie, jedną po drugiej, wszystkie szarfy.

W tym momencie w pokoju zrobiło się cicho jak makiem zasiał i nawet panny instrumentalistki odłożyły flet, wiolonczelę i skrzypce. Mocarny Marmadiuk pogardliwie rozwiązał sznurówki, którymi podwiązany był jego sceniczny kostium, i rozebrał się do pasa, odsłaniając zarośniętą ostrym włosiem klatkę piersiową, a Murzynka szybkim ruchem szarpnęła za brzeg nogawki i ściągnęła mu kombinezon aż do kolan. Jeszcze jedno uderzenie w struny wiolonczeli i Mocarny Marmadiuk stanął przed nimi dumnie, w całej swej samczej krasie i okazałości.

Henry i Nathan głośno bili brawo, a Henry nawet gwizdał przez zęby, ale Collis jakoś nie czuł się w nastroju do owacji. To, co się przed nim działo pobudziło jego zmysły, musiał to przyznać. Ale jakoś podnieta nie była dostatecznie silna, bo oto zaczynał zdawać sobie sprawę, że wszystko, co tu oglądał, a wobec tego również wszystko, co czuł, było tylko erotyczną szaradą.

Collis usiadł na chwilę, wlepiając wzrok w ten zmysłowy żywy obraz naprzeciw niego i gryząc paznokiec kciuka. Potem, jakby odpowiadając na czyjeś wezwanie, wysączył do dna szampana i powstał z fotela.

– Panowie – oznajmił obecnym. – Był to pod wieloma względami, niezapomniany wieczór, ale teraz już muszę was opuścić.

Henry złapał go za rękaw.

– Nie możesz nas tak po prostu opuścić, drogi chłopcze. Przegapisz punkt kulminacyjny.

Zobacz... zobacz, co teraz robią!

Collis nie raczył nawet spojrzeć, tylko potrząsnął głową.

– Mam tego dość, Henry. Być może tylko dziś, być może na dobre. Ta cała pornograficzna tandeta to kompletny bezsens. Zaczyna mnie to już śmiertelnie nudzić.

– A tam! Coś ty! – rzekł Jack. – Jesteś po prostu zazdrosny o Mocarza Marmadiuka i tyle. Ale żeby tak uciekać w takim popłochu – no, tu już naprawdę przeholowałeś, bracie!

Collis odwrócił się w jego stronę.

– Nie powiedziałbym, że to zazdrość. Jeśli ktokolwiek może tu być zazdrosny, to chyba tylko on – bo ja mogę stąd wyjść, kiedy mi się podoba, a on nie. Czy nie sądzicie, że musi mu się nudzić robić tak w kółko jedno i to samo?

– Rozczarowujesz mnie, chłopie – rzekł Lewis. – I gdzież się podział Collis, którego znamy i podziwiamy?

– Jest tu nadal – rzekł Collis cicho. – A teraz proszę nie przeszkadzajcie sobie.

Oglądajcie dalej przedstawienie. Zobaczymy się jutro, być może, o ile któryś z was będzie miał ochotę na drinka i kolację na mieście.

Henry zawahał się na chwilę, skinął głową, a potem puścił rękaw Collisa. Zaczynał rozumieć, co doskwiera Collisowi. Nie chodziło wcale tak naprawdę o ojca czy nawet fochy samolubnej matki, ani nawet o ten niefortunny incydent z Kathleen Mary. Henry wiedział, że wydatki ostatnich dwunastu godzin zmusiły Collisa do zastanowienia się nad samym sobą i swoją przyszłością i że, po przemyśleniu, Collis doszedł do wniosku, iż noce spędzone na kartach, popijawach i łajdaczeniu się z ulicznymi dziewczkami już nie są dla niego. Czas podnieść głowę i wypełznąć jakoś z tego moralnego bagna. Widocznie Collis zaczął już wdychać w płuca chłodny orzeźwiający powiew czegoś całkiem innego. Czegoś, co pobudzało bardziej niż erotyczne, cyrkowe przedstawienia i co upijało szybciej niż alkohol. A tym czymś była ambicja.

– Uważaj na siebie, Collis. Jutro pogadamy – powiedział tylko Henry, ale Collisowi nie trzeba było nic więcej.

2

„Przypadkowe” spotkanie z Delfiną Spooner zostało dokładnie zaplanowane na następny czwartek w porze obiadowej w restauracji Taylor. Ida złożyła Mrs Spooner wizytę w jej domu z piaskowca przy Drugiej Alei. Przy kruchych ciasteczkach i herbacie uzgodniły, że Delfina i jej matka pojedą na zakupy, a potem na spacer po Broadwayu, i że gdy wybije południe, powinny znaleźć się przy Taylorze, na rogu Franklin Street, a wtedy Mrs Spooner zasugeruje, by wstąpiły na lody. Całkiem niechcący, oczywiście, Collis będzie już tam z Idą i przy lekkiej zakąsce na podobiadek zostaną sobie przedstawieni.

Collisowi pomysł zupełnie się nie podobał. Wolałby o wiele bardziej zostawić po prostu swoją wizytówkę u Spoonerów i złożyć Delfinie wizytę. Ale Ida uwielbiała intrygi, szczególnie te, które wprawiały wszystkich, oprócz niej samej, w zakłopotanie, więc obstawała przy swoim pomysłe o „nieuchronnym spotkaniu dwóch jednakich serc”.

– Nie mam pojęcia, po jakiego diabła to robię – powiedział Collis do matki, czekając w bawialni na stangreta, który miał podprowadzić kabriolet. – Czuję się jak dziesięcioletni smarkacz.

– Robisz to, aby zrobić mi przyjemność – rzekła Ida. Ubrana była w suknię w kawowym kolorze z obszytym koronką staniczkim i trzymała swój jasnobezowy szal wokół siebie tak ciasno, jakby wplątana była w sieć. Kapelusz jej przyozdobiony był do przesady wstążkami i strusimi piórami, a cera, pod grubą warstwą pudru, robiła wrażenie ziemisto-białej. – Rzadko postępujesz zgodnie z moimi życzeniami; o wiele rzadziej niż na to zasługuję. Więc teraz możesz zrekompensować mi to choć trochę – takie drobne zadośćuczynienie za lata matczynego poświęcenia.

– Matko – odparł Collis. – Nie jestem pewien, czy w ogóle ktokolwiek zdołałby ciebie zadowolić.

Ida fuknęła na niego z niechęcią i wyciągnęła pogardliwie cienką szyję. Jeśli Collis zamierzał nadal stawiać się i podskakiwać, nie doceniając jej wysiłków i ofiarności, to bardzo proszę, ale ona z pewnością nie będzie wysłuchiwać tych jego impertynencji. Musiała przyznać jednakże, że jego zgoda na spotkanie z Delfiną mile ją połechtala, więc w ciągu ostatnich paru dni starała się patrzeć na niego bardziej łaskawym okiem. W końcu był chłopcem niczego sobie i niejedna dziewczyna, ujrawszy go w tym kremowym garniturze z kasztanowymi wypustkami i w kremowym cylindrze, uznałaby go za świetną partię.

Żal jej było tylko, że był to ostatni tydzień przed wakacjami i że wkrótce zarówno Spoonerowie, jak i ona sama mieli opuścić Nowy Jork, by udać się na letni wypoczynek.

Oznaczało to, że po wstępnym zapoznaniu się Collis i Delfina będą zmuszeni odłożyć kontynuację planowanego romansu do jesieni. Z drugiej strony da im to szansę na wzdychanie do księżyca i usychanie za sobą z tęsknoty, a w pojęciu Idy najlepsze romanse bez wzdychania i usychania w ogóle nie były nic warte.

Nawet przez moment nie przyszło jej do głowy teraz, kiedy już Collis zgodził się wreszcie rzucić okiem na Delfinę, że „młodzi kochankowie” mogą poczuć do siebie głęboką niechęć od pierwszego wejrzenia.

W końcu powóz zajechał przed drzwi wejściowe domu na Dwudziestej Pierwszej Ulicy i Collis sprowadził matkę po schodach do powozu. Był to jasny, mglisty dzień, a lekki podmuch wiatru od północnego zachodu rozwiewał nieco duszący fetor gnijących śmieci i końskiego łajna na ulicy. Edmondsowie mieli ciemnozielony kabriolet, prawie zupełnie nowy, a ich stangret, Steadman, ze swym zwykłym, głupkowskim uśmiechem zastygł na twarzy, jakby miał zaraz parsknąć śmiechem, trzymał przed nimi drzwi szeroko otwarte. Wsiedli do powozu i usadowili się wygodnie, podczas gdy Steadman strzelił z bata na ich dwie pięknie wypucowane kasztanki, Scyllę i Charybdę. Potoczyli się na wschód, do śródmieścia, Ida osłonięta obszytą frędzelkami parasolką, a Collis siedząc na swym zwykłym miejscu, tyłem do kierunku jazdy, ze złożonymi na kolanach dłońmi w białych rękawiczkach i oczami pełnymi frasunku; wlepił wzrok w zaludnione chodniki niczym jaki francuski arystokrata, wywożony furą do Bastylii.

– Zawsze uważałam, że w jasnobrązowym kolorze najbardziej mi do twarzy – zauważyła Ida. – Miałam na sobie jasnobrązową suknię w dniu, w którym poznałam twojego ojca.

– Żeby tylko się nie okazało, że jest zbyt tęga – burknął Collis. – Jeśli będzie zbyt tęga, to robię w tył zwrot i wychodzę.

Ida zwróciła się do niego urażona, że nie raczył choćby słówkiem wyrazić uznania dla jej elegancji w jasnobrązach.

– Oczywiście, że nie jest wcale tęga – rzekła chłodno i wyniośle. – Chyba nie sądzisz, że pozwoliłabym ci się ożenić z jakimś korpulentnym niezgrabiaszem.

– Prawdę mówiąc, nie miałem żadnych wątpliwości, że nie omieszkałabyś tego uczynić, gdybym tylko nie zaprotestował – rzekł Collis ponuro. – Sądzę, że pozwoliłabyś mi się ożenić z pierwszą lepszą przybłądą, byle tylko było jej mniej do twarzy w jasnobrązowym niż tobie.

Ida prychnęła krótko, z niezadowoleniem.

– Jesteś zupełnie nie do wytrzymania, wiesz o tym? Sądziłam, kiedy zgodziłeś się pojechać tam dzisiaj ze mną, że może jakoś się ustatkujesz, ale teraz nie jestem już tego taka pewna.

– Jadę tam tylko dlatego, że akurat mam taki kaprys – powiedział Collis.

Potrząsnęła parasolką, by opędzić się od much.

– Tego się właśnie obawiałam – powiedziała. – Jak w ogóle mogłam oczekiwać od ciebie, że zrobisz coś po to, aby sprawić mi przyjemność.

Collis westchnął ciężko.

– Matko. Zgodziłem się na ten cały nedorzeczny cyrk tylko dlatego, że rzeczywiście już czas, żebym pomyślał o przyszłości, i sam wiem, że muszę od czegoś zacząć. Jeśli Delfina będzie się podobała mnie, a ja Delfinie, to być może dojdziemy, wcześniej czy później, do jakiegoś obopólnego porozumienia, ale jeśli nie przypadniemy sobie do gustu, to nie ma sensu tego kontynuować. Może i wyglądasz jak z obrazka w kolorze jasnobrązowym i strusich piórach, ale skrzydełka Kupida, złote łuki i strzały zupełnie ci nie pasują.

– Och, gdyby był tu z nami ojciec – westchnęła Ida cierpiętniczo.

– Gdyby był tu z nami ojciec, w powozie zrobiliby się od razu o wiele ciasniej, i tyle.

Uspokój się wreszcie, matko. Zapanuj nad nerwami. Mamy być przecież podobno po prostu na zakupach, tak czy nie? Nie zapominaj o tym. Nie chcesz chyba rozproszyć tych pięknych iluzji?

Mięśnie i ścięgna na szyi Idy zeszywniały na moment w napięciu, ale potem odwróciła się, potrząsając gniewnie strusimi piórami, i nie odezwała się do Collisa więcej ani słowem przez całą drogę, aż dojechali na Broadway, przy Franklin Street.

Steadman, z jednym ze swych dobrze znanych uśmiechów, pomógł im wysiąść przy Taylorze. Collis kazał mu czekać za rogiem, a potem wszedł wraz z matką przez szklane drzwi do wielkiej

sali, udekorowanej z takim przepychem, że pod względem złożonych ozdóbek nie było drugiej takiej na całym Broadwayu.

Jak zwykle o tej porze dnia na sali z ozdobnymi kolumienkami wrzało i huczało od szczebiotu rozgadanych damulek, które schroniły się tutaj przed południowym skwarem, kurzem i ścisłym ulicznym, by ochłodzić się porcją lodów, posilić omletem czy kanapką albo po prostu wypić filiżankę mocnej, aromatycznej kawy. Paniusie owe, wystrojone w modne suknie w kolorze kanarkowożółtym lub szmaragdowozielonym, czy też szafirowoniebieskim, siedziały grupkami wokół archipelagu ponad stu czarnych stoliczków.

Wyglądały jak chmara ptasząt na sztachetach w ogrodzie, trzepocząc dłońmi w rękawiczkach, kołysząc piórami przy kapeluszach i śmiejąc się z ożywieniem, jakby cała ta krzątanka wokół nich miała być tylko akompaniamentem dla ich świergotu.

Kierownik sali, z imponującymi bokobrodami i w długim fraku, skłonił się przed Idą, gdy ta wkroczyła dumnie do kawiarni. Za nią, w bezpiecznej odległości, dreptał niepewnie Collis.

W całym potoku kornych „dzień dobry” i „co za śliczny dzień, prawda?” oraz zastałego zapachu potu, kierownik sali poprowadził ich do stolika przy lustrzanej ścianie po prawej stronie restauracji. Tam zostawił ich w rękach raczej gburowato wyglądającego młodego kelnera – w ochronnym zakiecie – który przyjął od nich zamówienie na kawę i kanapki z pasztetem, gryzmołąc z wysiłkiem koślawe kulfony, jakby go wcale nie obchodziło, czy będzie to mógł przeczytać, czy nie. Wystrój wewnętrzny Taylora był wręcz niebiański, ale obsługę ogólnie uważano tu za słabą.

– No i co, matko? – zagadnął Collis, ale Ida uciszyła go skinieniem dłoni. Chciała usiąść koło lustra, ponieważ tu, z daleka od okien, było chłodniej i co jeszcze ważniejsze, mogła od czasu do czasu podziwiać swoje odbicie w zwierciadle, nie robiąc przy tym wrażenia bardziej próżnej, niż była w rzeczywistości. No, a przede wszystkim był to oczywiście doskonały punkt obserwacyjny, więc wiedziała, że stąd nie przegapi chwili, kiedy Winifreda Spooner i Delfina ukażą się w drzwiach wejściowych.

– Mam nadzieję, że nie wyjedziesz z jakąś żenującą uwagą, matko, kiedy nas będziesz sobie przedstawiać – rzekł Collis. Sam nie wiedział, dlaczego czuł się tak strasznie podminowany. Flirtował przedtem przecież z wieloma kobietami, zarówno z wyżyn, jak i z nizin społecznych, tak że spotkanie z jakąś tam Delfiną Spooner nie powinno robić na nim większego wrażenia. Ale tu w grę wchodziło małżeństwo, rodzina i stabilizacja, a to przyprawiało go o palpacje serca.

– Jaką „żenującą uwagą”? Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała Ida wyniośle. – Czy uważasz, że powinnam zataić przez Delfiną prawdę o tobie? Że powinnam przemilczeć to, co wiem na temat twej bezwstydnego arogancji i rozpasania? Twego karciarstwa i wycierania się po burdelach?

Szczupła starsza pani w czerni, zjadająca przy sąsiednim stoliku pierniczki, odwróciła się i spojrzała na Idę spłoszona, ale Ida zmierzyła ją od stóp do głów wzrokiem, który chyba nawet umarłego postawiłby na nogi.

– Po prostu nie chcę, żebyś powiedziała jej, że mam do niej słabość, albo coś w tym stylu.

„Oto mój syn – od dawna jest twoim cichym wielbicielem”. Tego rodzaju rzeczy.

– Matka zawsze robi, co tylko w jej mocy, aby wybawić syna z otchłani rozpusty i wyuzdania – odpaliła Ida.

Wreszcie kelner przyniósł kawę, a stawiając przed nimi czajniczek, łupnął nim bezceremonialnie o orzechowy stolik. Collis popijał z filiżanki pomalutku, całkiem zdeprymowany, i uznał, że nigdy jeszcze w życiu nie miał tak silnego pragnienia, by łyknąć sobie piwa, jak właśnie w tej chwili.

Nie upłynęło jednak wiele czasu, gdy Ida nagle złapała go za ramię tak gwałtownie, że nieomal wylała całą filiżankę kawy na swoje kremowe spodnie. Podniósł wzrok, i oto w szklanych drzwiach wejściowych pojawiła się pulchna kobieta w średnim wieku ubrana w popielatą suknię i szal, a zaraz za nią niska, młoda dziewczyna, której twarz schowana była pod rondem żółtego kapelusika. Collis poczuł, że ogarnia go panika. Po prostu wiedział, że będzie to kompletna porażka i już. Gdyby Ida nie ścisnęła go tak silnie za ramię, przeprosiłby i odszedł od stołu. Zapach kobiecych perfum dusił go teraz w gardle, strusie pióra przy kapeluszach kłuły go w oczy, a ich babskie knowania zdawały się pętać mu nogi i krępować ręce.

– Winifredo! Moja droga! – zawołała Ida. – Cóż za niespodzianka!

Winifreda Spooner precyzyjnie się pomieściła między stolikami z wyrazem niebiańskiego szczęścia promieniującego z oblicza, jak siostra przełożona na świętej pielgrzymce. Delfina posłusznie posuwała się za nią. Collis wstał, by ucałować dłonie pań, i zauważył, że wyrasta wysoko ponad matkę i córkę, choć sam miał zaledwie sześć stóp wzrostu. Zażenowany, uściśnął pulchne paluszki? Mrs Spooner, przyobleczone w szarą rękawiczkę, i rzekł z galanterią: – Ogromnie miło mi panią poznać.

Ale zaraz potem pożałował, że powiedział „ogromnie”.

Winifreda Spooner z niedwuznacznym, nie ukrywanym uśmiechem, który – jak się Collisowi zdawało – każdy wokół na sali, nie wyłączając Delfiny, mógł bardzo łatwo zinterpretować, podprowadziła córkę do przodu i oznajmiła: – To jest Mr Collis Edmonds, dziecinko. Słyszałaś już o nim, jeśli się nie mylę.

Delfina miała głowę spuszczoną, tak że Collis widział jedynie półkoliste rondo jej żółtego kapelusika i żółte, satynowe stokrotki, które go ozdabiały. Miała na sobie suknię w tym samym kolorze z gładkim, jedwabnym staniczkiem i koronkowym obszyciem wokół halki.

Była niziutka, tego nie dało się ukryć, ale Collis zauważył z ulgą, że jej ramiona, które otoczone były sporym, młodzieńczym tłuszczkiem, gdy ujrzał ją po raz pierwszy, teraz były szczupłe, a dłonie w nadgarstku, wręcz dziecięco drobne, atrakcyjne.

Collis wyciągnął dłoń. Przez moment Delfina stała nieruchomo, ze spuszczoną głową, a potem również wyciągnęła rękę w cienkiej cyfrowożółtej rękawiczce i włożyła ją w jego rękę.

– Cieszę się, że mogę pana poznać.

Mogłaby powiedzieć cokolwiek innego. Mogłaby powiedzieć: „Ma pan usmolony czubek nosa”. Collis nie mógł oderwać od niej oczu i zauważył, z uczuciem ucisku w sercu, jak nurek wyłaniający się z głębin oceanu, że dwa lata mogą zmienić siedemnastoletnią dziewczynę w dziewiętnastoletnią kobietę, i to w dodatku bardzo apetyczną młodą damę.

Delfina Spooner była olśniewająco piękna. Collis widział pukle ciemnych, ułożonych w loczki włosów, wymykających się spod kapelusza; pod nimi jej czoło było śnieżnobiałe i wysokie. Oczy miała dość duże, z wyrazem rozmarzenia i tym charakterystycznym, lekko przymrużonym spojrzeniem krótkowidza, któremu trudno się było oprzeć. Jej nos był krótki i lekko zadarty, a usta różowe i pełne. Chociaż nie była wysoka, sylwetkę miała niemal doskonałą: drobne, krągłe, wzniesione prężnie piersi i proste plecy. Nosiła się z takim wdziękiem, że chcąc nie chcąc, myślał nieskromnie o jędrnych udach i zgrabnych, szczupłych łydkach.

Nie wypuszczał jej dłoni z rąk. I choć uścisk ten był delikatny, intensywność jego mówiła sama za siebie. Collis spojrział na nią oczami, w których nie było zwykłego frasunku i znudzenia, tylko ciepły wyraz zainteresowania i adoracji – zwykły fortel, który stosował zawsze, gdy rozmawiał z ładną kobietą. Potem swoim głębokim, starannie wypracowanym głosem, powiedział: – Jestem niewypowiedzianie szczęśliwy, że zostaliśmy sobie przedstawieni. Wydaje mi się, że właśnie uczyniła pani ten dzień najpiękniejszym i najbardziej zaskakującym dniem w moim życiu.

Delfina oblała się rumieńcem i starała się uwolnić dłoni z tego uścisku, ale Collis uniósł jej palce do swych warg i musnął pocałunkiem po rękawiczce.

Potem, ciągle trzymając ją mocno za rękę, podniósł znowu wzrok i obrzucił ją swym najgłębszym, najbardziej ognistym spojrzeniem. Trwało to nie więcej niż dziesięć sekund, ale im wydawały się one wiecznością. Delfina również wpatrywała się w niego przez chwilę, ale potem szybko spuściła oczy i spojrzała w inną stronę. Collis wiedział jednak, że jego zabiegi nie były jej niemiłe, ponieważ nie starała się już uwolnić swej dłoni z jego uścisku. Wszystkie te skromne minki i niewinne spojrzenia były tylko częścią uwodzicielskiej gry i Collis cieszył się podekscytowany, że wiedziała, jak tę grę prowadzić.

Ida chrząknęła znacząco i Collis zdał sobie nagle sprawę, że prawie wszystkie oczy przy sąsiednich stolikach były skierowane w ich stronę. Puścił dłoń Delfiny i, zakłopotany, podszedł do stolika, by odsunąć krzesło przed Mrs Spooner, która podziękowała mu głosem tak szczebiotliwym i podnieconym, jakby z poświęcenia dla niej dokonał jakiegoś niezwykle doniosłego czynu. Potem odsunął krzesło przed Delfiną, a ona usiadła z dystygowanym „dziękuję Mr Edmonds”, tak że aż zaparło mu dech w piersiach. Wszystko to było naprawdę śmiechu warte, sam to wiedział. Żeby taka malutka, podgrywiająca skromnisie pannica, córka jakiegoś finansisty z Drugiej Alei, zawróciła mu w głowie do tego stopnia! I jeszcze w dodatku – kto jak kto – ale to właśnie matka zaaranżowała to spotkanie. Ale gdy spojrział na czarne, lśniące loki opadające na ramiona Delfiny, jej kształtne uszy z wiszącymi perłowymi kolczykami, zdecydował – może nadal z lekkim zdziwieniem, ale bez wahania – że wszystkie jego opory są zupełnie bezpodstawne i że jest gotów pozwolić Delfinie zawładnąć sobą całkowicie.

– Tak się cieszę, że cię widzę, moja droga. Co za niespodzianka! – rzekła Winifreda, gdy Collis znów usadowił się na swoim krześle. – Właśnie robiłyśmy zakupy urodzinowe dla bliźniaków. Co za nieznośny traf, że musiały urodzić się akurat latem, w taki upał, gdy robienie zakupów jest tak strasznie wyczerpujące.

– One przecież nie prosiły się na świat, Winifredo – rzekła Ida. – Makepeace urodził się 4 lipca i, jak mi się zdaje, był już podrostkiem, kiedy odkrył, że fajerwerki i świąteczne obchody nie są tylko na jego cześć. Ale sama wiesz, że mężczyźni to potworni egoiści.

Mówiąc to, Ida nie odrywała wzroku od Delfiny i Collisa. Delfina miała oczy spuszczone, ale Collis z łokciem na stole i podbródkiem opartym na splecionych dłoniach wpatrywał się w nią całkowicie urzeczony.

– Musi pani koniecznie spróbować lodów porzeczkowych. Wyrabia się je z liści czarnej porzeczki. Mają bardzo charakterystyczny, niepowtarzalny smak.

– Tak – rzekła Delfina. – Zdaje mi się, że już ich kiedyś próbowałam.

Kelner, który podszedł do nich, dysząc i prychając, aby przyjąć zamówienie, miał minę śmiertelnie obrażoną, jakby to, że ośmielili się zaprosić jeszcze dwie osoby do stolika, nie pytając go o zezwolenie, było dla niego nie lada policzkiem.

Winifreda poprosiła o herbatę, a Delfina o szербet* cytrynowy. Collis nie spuszczał z Delfiny wzroku, a ona siedziała niezmiennie wyprostowana, pewna siebie, z oczami skromnie spuszczone w dół.

– Nie mogę w to wprost uwierzyć, że nie przedstawiono nas sobie wcześniej – rzekł Collis. – Zdaje się, że widziałem panią raz na przyjęciu przy Siedemnastej Ulicy, na Ścianie Wschodniej, ale było to już dość dawno temu.

Delfina podniosła wzrok.

– Nie było właściwie powodu, dla którego mielibyśmy być sobie przedstawieni – powiedziała. – Obracamy się, o ile wiem, w całkiem odmiennych sferach towarzyskich.

Collisa zupełnie zatkało. Co, u licha, miała na myśli, mówiąc o „całkiem odmiennych sferach towarzyskich”. Miał nadzieję, że nie sugerowała, iż włóczy się po lupanarach, podejrzanych salonach gry i spelunkach, ponieważ, jeżeli wiedziała już o tym – o tej ciemnej stronie jego życia towarzyskiego – to trudno mu było mieć nadzieję na jakikolwiek romans między nimi. Miłe, młode dziewczęta, takie jak Delfina, nie zadawały się z hulakami.

– Tym bardziej mi żal – rzekł Collis.

– Dziękuję – odparła Delfina.

Na chwilę zapadło pomiędzy nimi milczenie. Ida i Winifreda, choć robiły, co mogły, by dosłyszeć coś z tego, o czym rozmawiali młodzi, były teraz pogrążone w obgadywaniu Esme Blunt, żony handlarza dziełami sztuki. Nie zostawiły na niej suchej nitki za jej okropny gust w doborze gości na przyjęciach i wyglądało na to, że ta przytłaczająca kaskada krytycyzmu zajmie je jeszcze na co najmniej następne dwadzieścia minut.

– Czy jeździ pani konno? – zwrócił się Collis do Delfiny. Pokręciła głową.

– Tu, w mieście, niezbyt często. Ale kiedy jedziemy do Larchmont – bardzo to lubię.

Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie wyjedziemy w tym roku z Nowego Jorku na wakacje, a pan?

– Do dziś też nie mogłem się tego doczekać.

Delfina obdarzyła go przelotnym uśmiechem. Jej wargi były pełne i zmysłowe, jakby w sprzeczności z powściągliwym obejściem, i Collis nie mógł się powstrzymać od wyobrażenia sobie, jakby to było, gdyby je pocałował, a potem rozchylić koniuszkiem języka. Była tak bardzo piękna i teraz, w tym upale restauracji, poczuł zapach jej perfum, wyciąg z żonkilów, kwiecisty, drobny, żółtawy zapach, właśnie taki, jak sama Delfina.

– Nie musi mi pan pochlebiać z grzeczności – powiedziała. – Nie jestem dzieckiem.

Collis roześmiał się głośno. Początkowo nie mógł jej rozgryźć, ale teraz zaczynał ją już rozszyfrowywać. Nie wiedziała o nim wiele, ale po jego modnym, niedbałym stroju i szarmanckim zachowaniu rozpoznała od razu, do jakiej kategorii mężczyzn należy go zaliczyć, i droczyła się z nim teraz troszeczkę. To sprawiło go w jeszcze większy zachwy.

Jeśli było na tej ziemi jeszcze coś, co naprawdę go podniecało, to była to kobieta, która umiała się droczyć.

– Sam widzę, że nie jest pani dzieckiem – powiedział. – Jest pani kobietą. I to najbardziej czarującą kobietą spośród tych, jakie miałem zaszczyt poznać w tym mieście tego roku i dlatego właśnie pozwalałam sobie na te pochlebstwa.

– Czy ten rodzaj rozmowy pozwala panu zazwyczaj osiągnąć zamierzony cel? – spytała.

– Zazwyczaj?

– To znaczy z innymi kobietami. Czy wywiera to na nich wrażenie, czy też po prostu uśmiechają się, kręcą parasolką i rzucają panu kokieterijne uśmiešky?

– Tak jak pani teraz?

Delfina odpowiedziała uśmiechem.

– Właśnie. Można to i tak ująć.

– Więc na pani nie wywarłem wielkiego wrażenia?

– A czy było to pana zamiarem? Collis rzucił jej figlarny uśmiech.

– Naturalnie, że tak. Nie miałem cienia wątpliwości, że padnie mi pani do nóg. Że wróci pani do domu, nie myśląc o niczym innym, jak tylko o mnie i o tym, że w sobotę po południu zabiorę panią na konną przejażdżkę.

– Niestety, mój koń utyka trochę na jedną nogę; ugrzęzła mu w torach kolejowych na Hudson Street.

– Pożyczę pani moją klacz. Mam śliczną klacz, która nosi imię Nadzieja.

– Nadzieja? – uśmiechnęła się Delfina. – Doskonałe imię. Pasuje jak ulał.

Kelner przyniósł Delfinie lody, a ona wzięła do ręki łyżeczkę i zabrała się powoli do jedzenia. Collis przyglądał się jej, a im bardziej się jej – przyglądał, tym bardziej jej pragnął.

Nie kochał się w nikim tak spontanicznie, namiętnie i momentalnie od piętnastego roku życia, kiedy to wysiadywał godzinami na kuchennych schodach, mając nadzieję, że uda mu się złapać, choćby przelotnie, spojrzenie pomywaczki, zielonookiej Włoszki o wydatnym biuście. Sam tylko jej fartuszek kuchenny sprawiał, że zamykał mocno oczy i pogrążał się, sfrustrowany, w lubieżnych marzeniach. Ale jeśli chodzi o Delfinę, to było tu coś więcej niż sama lubieżność. Miał tu do czynienia z ciętą, inteligentną osobowością, nad którą – wiedział to doskonale – będzie musiał zatryumfować. Pozornie robiła wrażenie skromniutkiej, ale miała siłę woli i trzeba ją będzie okiełznać.

– Podejrzewam, że jest pani w stosunku do mnie bardzo nieufna.

Delfina zlizwała lód ze spodu łyżeczki.

– Nieufna? A czemu miałabym być w stosunku do pana nieufna?

– Nie wiem. Być może słyszała pani o mnie plotki, które sprawiły, że jest pani do mnie wrogo nastawiona.

Spojrzała na talerzyk.

– Ależ z pana pochlebca. Najpierw pochlebiał pan mnie, a teraz samemu sobie. Gdzie, na Boga, miałabym słyszeć plotki – na pana temat?

– No, tak się składa, że znają mnie tu i ówdzie w Nowym Jorku – odparł Collis. – A sama pani wie, jak to jest, kiedy kogoś wezmą na języki.

– A z jakiej przyczyny?

Wzruszył ramionami. Zdecydowanie poczuł, że zaczyna przybierać pozycję obronną, choćby nie wiem jak chciał przystąpić do ataku.

– No; z takiej, że... wybąkał – ze względu na... na pewne... eskapady... – Aha, więc brał pan udział w eskapadach? – zapytała. – Tym się pan trudni w ciągu dnia, zamiast pracować. Bierze pan udział w eskapadach?

– W pewnym sensie, tak... tak to właśnie wygląda. Delfina odłożyła łyżeczkę i spojrzała na niego bez żenady.

– Stał się pan więc niemal legendą, i to jeszcze za życia, tak?

– Znęca się pani nade mną, i to celowo – pożalił się, podenerwowany.

– Nie zaprzeczam.

– I czemu to pani robi?

– Bo chcę pana lepiej poznać – rzekła w odpowiedzi. – I ponieważ nie ma na to lepszego sposobu niż wodzenie za nos. Kiedy się wodzi za nos, ludzie natychmiast rzucają się do obrony tego, co im najdroższe, więc w ciągu paru minut można odkryć, co cenią sobie najbardziej.

– I wie już pani, co ja cenię sobie najbardziej?

– O, tak – odparła Delfina. – To znaczy domyślałam się tego od razu, jak tylko pana zobaczyłam, ale teraz moje domysły się potwierdziły.

Collis pochylił się ku niej.

– I co to jest, pani zdaniem? – zapytał półgłosem. – Co jest najdroższe memu sercu?

Delfina odwróciła się ku matce i Idzie, które zamilkły na moment, by przysłuchiwać się rozmowie młodych. Ale gdy tylko zauważyły, że i one są obserwowane, natychmiast pograżyły się znowu w rozmowie jak dwa wygłodzone żarłoki, wcinające kręte spaghetti z jednego, wspólnego talerza. Delfina spojrzała na Collisa z rozbawionym, urzekającym uśmiechem.

– Zdają się bardzo zadowolone, że jesteśmy razem – rzekła. – Czy wietrzyć tu należy spisek?

– Chyba tak – rzekł Collis – ale co to za różnica, jeśli spisek „przynosi tak wspaniałe rezultaty”?

– Nie jestem pewna, czy tak jest w istocie – odparła Delfina.

– Zasmuca mnie pani – rzekł Collis, starając się usilnie nadać swej twarzy wyraz cierpienia.

– Kłamie pan – rzekła Delfina. – Uczucie smutku jest panu całkowicie obce, szczególnie w odniesieniu do pańskich bliźnich. A to dlatego, że rzeczą, która jest panu najdroższa, jak już wspomniałam uprzednio, jest pana skandaliczna reputacja. Zależy panu na złej sławie więcej niż na czymkolwiek innym i broniłby pan jej na śmierć i życie, do ostatniej kropli krwi.

– Wobec tego jednak słyszała pani o mnie – rzekł Collis. To była zła nowina. O ile w ogóle Delfina zaakceptuje jego awanse, czeka go teraz wyczerpująca wspinaczka pod wiatr.

Trzeba będzie walczyć o to, aby przekonać ją, że się poprawił i że nigdy już więcej nie będzie grał, pił i łajdaczył się z kobietami lekkich obyczajów. Taka śliczna istotka jak Delfina na pewno nie musiałaby godzić się na takiego narwańca, rozpustnika i utracjusza. Zamiast tego mogłaby wybrać sobie na męża jednego z licznych, cieszących się poważaniem młodych bankierów i żyć w dostatku, długo i szczęśliwie u jego boku do końca swoich dni.

– Tak, przyznaję, słyszałam o panu – rzekła Delfina. Nabrała jeszcze trochę lodów na łyżeczkę. – Prawdę mówiąc, pańskie eskapady są wszędzie dobrze znane.

– I bardzo przesadzone – zapewnił ją Collis.

– Doprawdy? – zapytała.

– O tak. Proszę mi wierzyć. Przecież sama pani wie, jak ludzie wszystko wyolbrzymiają, jak koloryzują swoje opowieści. Z igły zrobią widły. Ale proszę mi wierzyć, mało jest w tym wszystkim prawdy.

Delfina przechyliła na bok swoją kształtną główkę.

– Jaka szkoda – westchnęła ze smutkiem. Collis wlepił w nią wzrok.

– Słucham? Zwróciła ku niemu buzię.

– Powiedziałam: jaka szkoda.

– Przepraszam – odparł zakłopotany – ale doprawdy nie rozumiem.

Kapelusz Delfiny pochylił się śmiało w jego stronę.

– Szkoda – rzekła cicho, tak że Ida i Winifreda nie mogły dosłyszeć, co mówiła, choćby nie wiem jak starały się nadstawiać ucha – bo ja już od dawna chciałam pana poznać.

– Niemożliwe! Ale jednak dalej nie rozumiem.

– Co za tępak z pana!

– Droga panno, nie jestem wcale tępakiem. To wszystko pani wina. Bawi się pani w zgadywanki.

Uśmiechnęła się figlarnie.

– Zgadywanki mają rozwiązania, drogi panie. Rozwiązanie mojej zgadywanki jest takie, że mam już tego wszystkiego po uszy. Ciągłe przedstawiają mnie młodym dżentelmenom o nieskazitelnej reputacji. Mam po uszy bankierów, mam po uszy finansistów i jeśli przyjdzie mi spędzić jeszcze jeden wieczór w towarzystwie agenta ubezpieczeniowego, to chyba zacznę wyć. Chcę poznać kogoś zepsutego do szpiku kości, kogoś, kto ma styl, wie pan: człowieka światowego. Chcę wreszcie poznać mężczyzn takich jak pan. No, ale co mi z tego, kiedy w chwili, gdy wreszcie ktoś taki się trafi, zaklina się, że wszystkie te historie na jego temat są sfabrykowane i że jest pewnie równie nudny i równie wartościowy jak wszyscy inni. W pierwszej chwili Collis poczuł się zakłopotany, potem zaszokowany, aż w końcu zaintrygowany. Delfina Spooner przerosła wszystkie jego oczekiwania. Była o wiele bardziej fascynująca, jak również dużo ładniejsza, niż mógłby sobie wyobrazić w najśmielszych marzeniach. Sposób, w jaki zwracała się do niego, sposób, w jaki trzymała głowę, miał dla niego nieodparty urok. Wyciągnął rękę i położył ją na jej dłoni, niepomny na ukośne spojrzenia matki, i rzekł: – Hmm, wie pani, nie wszystko to są takie wierutne kłamstwa. Niektóre mają w sobie... no powiedzmy... ziarnko prawdy.

Policzki Delfiny zaróżowiły się znowu, ale zachowała zimną krew.

– Będzie mnie pan pewnie uważał za bezwstydnicę i chcę zapewnić, że na ogół nie pytam o takie rzeczy, ale czy był pan kiedykolwiek z prostytutką?

Wpierw Collis nie wiedział, jak ma odpowiedzieć na to wyzwanie. Oto miał przed sobą dziewczynę, która była dostatecznie przebiegła, aby omotać go tak, że spowiadał się przed nią ze swoich grzechów, i móc zadecydować, czy jest jej wart, czy też nie. Ale wiedział też, że ma przed sobą dziewczynę, która była na tyle żywiołowa, by czuć potrzebę związania się z mężczyzną doświadczonym, mężczyzną, któremu nieobce są kobiety z półświatka.

– Czy o tym mówią te krążące o mnie plotki? – zapytał ostrożnie.

Pokiwała głową prawie z zapalem.

– Melissa Dunlop, siostra Lewisa, powiedziała, że pewnego razu miał pan w łóżku dwie naraz.

Ida, pochylając się przez stół, podzwaniając kolczykami i szeleszcząc jedwabną suknią w jasnobrązowym kolorze, rzekła: – No i co, Collis? Czy wy, młodzi znaleźliście już wspólny język?

Nie spuszczać wzroku z Delfiny, Collis odparł: – Myślę, że tak, matko.

Wokół nich Taylor kipiwał wrzawą i gwarem rozmów, a kelnerzy uwijali się wśród stolików w przyciemnionym świetle gazowych lamp, z tacami kawy i talerzami ostryg, ale Collisowi zdawało się, że w ciągu tych kilku minut, odkąd byli razem, pomiędzy nim a Delfina zrodziło się dziwne, intymne porozumienie.

– Tak – rzekł w stronę Delfiny, wymawiając wszystkie słowa dokładnie, z naciskiem – to prawda.

Delfina przymknęła oczy. Jej ręka zadrżała w jego dłoni.

– Nie wiem, czy starała się pani ustalić, czy jestem jednostką wartościową, typem faceta, który pije tylko jeden kieliszek sherry na trzy miesiące i podaje kobietom rękę na powitanie zamiast je całować, czy też chciała się pani dowiedzieć, czy jestem gałganem, który nigdy nie budzi się bez kaca i nigdy we własnym łóżku. Ale dla pani stanę się tym, kim pani sobie zażyczy, abym się stał, bo jest pani śliczna, Miss Spooner, i ponieważ jestem panią absolutnie oczarowany.

Otworzyła znowu oczy i patrzyła na niego ogromnymi, piwnymi oczami, oczami przepastnymi, w których mógłby się zagubić na zawsze. Przez ułamek sekundy nie był pewien, czy pochylił się nad nim za chwilę, żeby go pocałować, czy też wyciągnie dłoń, by wymierzyć mu policzek. Nie zrobiła ani jednego, ani drugiego. Po prostu zwróciła się do matki, Winifredy, i rzekła głośno, otwarcie: – Mr Edmonds był łaskaw zaprosić mnie na wspólną przejażdżkę w sobotę po południu, mamó. Ma klacz, która nazywa się Nadzieja i którą mogłabym od niego pożyczyć na ten dzień. Czy sądzisz, że będzie mi wolno wybrać się z nim na taką wycieczkę?

Ida spojrzała na Winifredę, a Winifreda na Idę. Potem Winifreda powiedziała: – Oczywiście, córciu. Mam nadzieję, że podziękowałaś panu za jego życzliwość.

Delfina zwróciła się znów do Collisa i rzuciła mu uśmiech, który sprawił, że aż ciarki przeszły mu po karku z pożądania i z zaskoczenia.

– Nie omieszkam tego uczynić, mamó. Nie omieszkam, zapewniam cię.

W drodze powrotnej w powozie Collis nieoczekiwanie ujął rękę matki i powiedział: – Matko, w przeszłości zawsze miałem o coś do ciebie pretensje. Kłóciliśmy się o najdrobniejsze głupstwo. Ale dzisiaj dałaś mi dostateczny dowód, by przekonać mnie całkowicie, iż nigdy, pod żadnym pozorem, nie powinienem krytykować twego gustu.

Ida, pod osłoną parasolki, odparła wyniośle: – Więc jednak Delfina podobała ci się, tak? A ile to było krzyku, ile waśni. Musiałam zaciągnąć cię do niej siłą, niczym jakiegoś sześciolatniego pędraka.

Collis nie przestawał się uśmiechać.

– Już od dwóch lat nie spotkałem ładniejszej od niej dziewczyny. To nie podlega w ogóle żadnej dyskusji.

– Tylko od dwóch lat? Nie w ogóle?

– No, była przecież Edna Rice Perry.

Ida wzdrygnęła się i wyrwała dłoń z uścisku syna.

– Nie rozumiem, jak możesz w ogóle porównywać Delfinę Spooner z tą lafiryndą Perry.

Ale potem zwróciła się do Collisa z łagodnym wyrazem twarzy i rzekła: – W każdym razie, jeżeli Delfina rzeczywiście podobała ci się choćby tylko w połowie tak jak ta Edna, oboje z ojcem będziemy zupełnie zadowoleni.

Collis spojrział znów na matkę w milczeniu, ale potem usadowił się na poduszkach, podśpiewując pod nosem i marząc o tym, by jak najprędzej była już sobota.

*

Później, jeszcze tego samego wieczora, Collis zapukał do drzwi biblioteki ojca. Był ubrany w strój wieczorowy, gdyż wychodził na kolację do Jacobsów, na Union Square, ale przed wyjściem koniecznie chciał się podzielić z ojcem swoimi uwagami na temat Delfiny Spooner.

Wręcz rozkoszował się faktem, że oto znalazł z rodzicami jakąś płaszczyznę porozumienia.

Dotychczas taki stan ducha był mu zupełnie nieznany. Wiedział wprawdzie doskonale, że jak tylko przeminą uniesienia tego pierwszego spotkania z Delfiną, wrócą dawne żale i znajome awantury na temat polityki, hazardu i dobrego wychowania. Ale co tam.

Collis otworzył wielkie, dębowe drzwi, wiodące do ponurego, cuchnącego tytoniem pokoju i zastał ojca siedzącego przy biurku, w okularach na czubku nosa, w przyćmionym, drżącym świetle naftowej lampy, wśród śmietnika walających się wokół obligacji, weksli i świadczeń giełdowych.

– Ojczy – powiedzą! Collis. ‘ Makepeace nie odpowiedział od razu, tylko przejechał ołówkiem w dół po kolumnie cyfr.

Potem podniósł głowę i rzekł: – A, to ty.

– Jeśli jesteś bardzo zajęty, ojczy... – rzekł Collis.

Ojciec potrząsnął głową.

– Nie, nie. Nie przeszkadzasz mi wcale, synu. Tak czy tak będę musiał nad tym spędzić całą noc. Idziesz gdzieś dziś wieczór?

– Tak, ojciec. Eli Jacobs wydaje kolację na cześć jakiegoś zagranicznego kompozytora.

Collis przysunął niskie, solidne krzesło i usiadł obok ojca.

– Ale tak naprawdę, to przyszedłem porozmawiać o Delfinie Spooner.

– O Delfinie? Ach tak. Matka wspominała, że chyba przypadła ci do gustu. Cieszę się.

Znowu zapadło długie milczenie. Collis zauważył, że ojciec nie wygląda najlepiej. W świetle lampy widać było zaczerwienione oczy i Collisa uderzyła ziemista bladość jego cery pod zarostem. Collis rozejrzał się wokoło na papiery porozwalane na biurku i na podłodze, potem wyjął cygaro i odgryzł jego czubek.

– Masz jakieś kłopoty, ojciec?

Makepeace rzucił mu szybki, niewesoły, wymuszony uśmiech.

– Kłopoty? Dlaczego tak myślisz?

– Te wszystkie papierzyska – rzekł Collis. – Na ogół jesteś wzorem ładu i porządku.

– Szukałem... szukałem czegoś. Polisy ubezpieczeniowej.

– Przecież chyba nie trzymasz takich rzeczy razem z weksłami i obligacjami, prawda?

Makepeace sięgnął dłonią przez całą szerokość biurka i zaczął szeleścić plikiem jakichś papierów, grzebiąc w nich nerwowo i przekładając je z miejsca na miejsce.

– Nie przejmuj się tym – powiedział. – Idź na kolację z Eli Jacobsem, baw się dobrze, a ja już się zajmę całą resztą. Sam dobrze wiesz, że jeśli chodzi o finanse, nie dorastasz mi do pięt.

– Miałem zamiar porozmawiać z tobą o Delfinie. Ojciec spojrział na niego poprzez biurko, z jednym okiem, tym niesfornym, utkwionym w zagaszony gazowy kinkiet na ścianie, za plecami Collisa. Potem, jakby nie mógł już dłużej trzymać tego w sobie, rzekł: – Aaaa, tak. Słyszałem, że Delfina wyrosła na śliczną dziewczynę. Jaka szkoda, że teraz już na to wszystko za późno, j Nic nam już teraz z tego nie przyjdzie.

– O czym ty mówisz, ojciec? Makepeace potrząsnął głową.

– Nie łam tym sobie głowy, chłopcze. Ty rób swoje, a ja będę robił dalej, co do mnie należy.

– Ojciec – rzekł Collis, odpędzając machnięciem ręki spiralny obłoczek dymu z cygara.

– Na co jest już za późno? Z czego nam już teraz nic nie przyjdzie?

Makepeace przedzierał się teraz przez całą stertę dokumentów przewiązanych różową wstążeczką.

– Pewnie sobie na to zasłużyłem. I dobrze mi tak. W końcu jestem takim bezecnym pętakiem, jasny gwint. O, proszę! Cała kupa śmieci. Cała kupa bezwartościowych papierzyków. Giełda to nic innego tylko kredyty bez kaucji, bez zastawu; tylko bufonada i pył z dmuchawca.

– Ojczy, proszę, mów wreszcie do rzeczy!

– Do rzeczy? – powiedział Makepeace ze złością. – Ty mnie tutaj tylko nie pouczaj.

Żebyś to ty raz wreszcie zaczął mówić do rzeczy! Gdybyś był synem, na którym ojciec mógłby polegać, gdybyś przyszedł do banku, wyuczył się porządnego fachu, moglibyśmy może jakoś tego uniknąć. Byłem przepracowany, przemęczony. Co robię, każdego dnia, żebyś miał czym płacić za swoje dziwki i hulanki, jak ci się wydaje? A teraz wszystko to, psiakrew, wali się w gruzy; wszystko spada z wielkim świstem w dół. Jak jakiś cholerny balon, z którego ucieka gorące powietrze.

– Ojczy, czy możesz mi wreszcie powiedzieć, co się tu, do Ucha, dzieje?

Makepeace odetchnął głęboko, a potem wstał z krzesła. Przeszedł na drugą stronę pokoju, do marmurowego, nagiego kominka, który teraz, w lecie, stał pusty i wymieciony, i odwrócił się do Collisa plecami, przygarbiony, z rękami złożonymi na piersiach. Po lewej stronie, ze ściany wyłożonej ciemną boazerią, zaledwie parę stóp od niego, z ciemnego portretu olejnego spoglądał nań z niezadowoleniem dziadek, dostojny i srogi starzec.

W końcu Makepeace odwrócił głowę, tak że Collis mógł zobaczyć jego siwe wąsy i ostry nos w profilu.

– Dotąd zawsze miałeś w nosie moje sprawy, Collis – rzekł ochryple – i jestem przekonany, że teraz też tak naprawdę mało cię to wszystko obchodzi. Tak czy tak, mogę sobie darować jakiegokolwiek wyjaśnienia, bo i tak nie będziesz w stanie tego zrozumieć.

– Jak mogę dowieść, ojczy, że przynajmniej postaram się to zrozumieć, skoro z góry zakładasz, że nie warto sobie nawet języka strzępić, żeby o tym ze mną porozmawiać?

– Collis, żyjesz życiem utracjusza i masz wielką wprawę w przepuszczaniu pieniędzy.

Ale jak nimi gospodarować – o tym nie masz zielonego pojęcia. A, niestety, kiedy gospodaruje się wielkimi pieniędzmi, ryzyko potknięcia się, katastrofalne w skutkach, jest również wielkie. Największym kataklizmem, jaki się tobie kiedykolwiek przytrafił, była rzeźączka.

– Ojczy, jestem twoim synem!

– O to właśnie mam do ciebie największą pretensję. Gdybyś był inny, miałbym w tobie jakąś podporę. Okazywałbyś mi szacunek i przywiązanie. Gdybyś był inny, pomógłbyś mi jakoś udźwignąć ten ciężar. Cały dom jest na mojej głowie. Ale nie! Ty zawsze miałeś jedną rękę gotową, żeby palnąć mnie pięścią w nos, a drugą ochoczo trzymałeś bez przerwy w mojej kieszeni.

Collis powstał i podszedł do ojca po pasiastym chodniku. Zauważył, że na jego czole świeciły grube krople potu i że staruszek dyszał ciężko, tak głośno i nierówno, jak wtedy, kiedy biegł szybko po schodach, przeskakując co drugi stopień.

– Ojciec – rzekł Collis łagodnie.

– No cóż, synu. Zawsze mówiłeś, że jestem zbyt zadufany w sobie, prawda? Zawsze mówiłeś, że coś się musi zmienić na tym świecie, że dłużej już tak być nie może.

– Ale co się stało, ojciec? – zapytał znowu Collis.

– Chodzi o mój bank – rzekł Makepeace. – Przeciągnęliśmy strunę.

– Bardzo?

Makepeace pokiwał głową.

– Rzędu dwu milionów dolarów.

– Nie do odzyskania?

– Nie ma mowy. Wszystko poszło na bezwartościowe spekulacje i szalbierstwa.

Odkryliśmy to dopiero dziś rano. Greenbaum skontaktował się ze swoim agentem w Kalifornii i dowiedział się o tym od mego. I dzięki Bogu, że się dowiedział, bo inaczej stracilibyśmy jeszcze jeden milion.

– I co masz zamiar teraz zrobić?

Makepeace wskazał na papiery i weksle porozwalane na biurku.

– Właśnie się nad tym zastanawiam. Przy odrobinie szczęścia może uda mi się pożyczyć skądś dwa miliony na krótki tennin i udawać dalej, że nic się nie zmieniło. A jeśli na giełdzie będą jakieś fluktuacje, to zostanę przyparty do muru. Mój bank stoi nad przepaścią, Collis.

Nad samą przepaścią.

– Czy oznacza to, że zbankrutujesz?

– Całkiem możliwe. Gdybym był hazardzistą, powiedziałbym, że stawką jest pięć do czterech przeciwko nam. Zależy to głównie od tego, czy uda mi się dostać pożyczkę na dwa miliony dolarów.

– Czy właśnie to miałeś na myśli, gdy mówiłeś, że na wszystko już za późno i że moje spotkanie z Delfina na nic się nam już nie zda?

Makepeace pokiwał głową. Był wyraźnie zażenowany.

– Gdybyśmy tak mogli polegać na Ohio Life & Mutual, choćby przez parę miesięcy, bez konieczności odpowiadania na ich nie kończące się podchwytliwe pytania, to... wolałbym tego nie robić, ale w każdym razie byłoby to lepsze niż nic.

– Rozmawiałeś już o tym z George'em Spoonerem?

– O, tak. Bardzo ostrożnie, oczywiście. Nie mówiłem mu, że coś jest nie w porządku. Ale i tak daleko nie zaszedłem. On naprawdę chce poczekać do końca roku i nie ma zamiaru podejmować żadnych decyzji, dopóki nie przedstawimy mu naszych planów inwestycyjnych.

Collis podszedł do ojcowskiego biurka i spojrzął na kartki pełne cyfr i chylących się w prawo nerwowych bazgrołów, nagryzmlonych czarnym atramentem.

– A gdyby nie udało ci się pożyczyć tych pieniędzy, to co wtedy? – zapytał. – Czy to koniec banku I.P. Wolmer?

– Niestety, jeszcze gorzej.

– Nie rozumiem. Przecież to nie twoje pieniądze, prawda? Na pewno będzie to z uszczerbkiem dla twojej reputacji, ale ty nie pójdziesz przecież z torbami?

Makepeace szybko potrząsnął głową.

– Mylisz się, Collis. Właśnie o to chodzi. Pójdę, jak nic, z torbami. Utopiłem w tych spekulacjach mnóstwo własnych pieniędzy i – co gorsza – pożyczyłem z banku.

Collis wlepił w niego wzrok.

– Pożyczyłeś z banku?!

Ojciec odwrócił wzrok w inną stronę.

– Wiem, że to nie w moim stylu. Nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło. Ale wtedy uważałem, że słusznie postępuję. Wiesz, przy tej zwykłej tendencji na giełdzie... Wierzyłem, że zanim giełda przycichnie, uda mi się osiągnąć szybki zysk. Oczywiście, że było w tym ryzyko, bo koniunktura musi się zmienić i zmieni się, nie ma co. Wszystkie te ryzykowne spekulacje są przecież palcem na wodzie pisane, każdy to wie. Ale sądziłem, że przy moim doświadczeniu jakoś mi się powiedzie.

– Ale co cię podkusiło?

Makepeace wrócił do biurka i znowu usiadł. Przetarł oczy i westchnął.

– Nie jestem już młody, synu. Mam słabą wątrobę i już niedługo tak czy tak musiałbym wycofać się z czynnego życia zawodowego. Myślałem, że uda mi się wycisnąć z tego kilkadziesiąt tysięcy. Twoja matka zawsze żyła w luksusie, nie przywykła do wyrzeczeń.

Chciałem mieć jakieś zabezpieczenie na stare lata.

Zamilkł na chwilę, pociągając nosem, a potem dorzucił: – Ciężkie czasy idą dla nas, ciężkie czasy. Może coś się zacznie już burzyć teraz, a może trochę później, nie wiem. Ale jeżeli Północ nadal będzie kasać i czepiać się Południa, to Południe w końcu odda cios, a to oznacza chude lata dla całego kraju. Chciałem po prostu zebrać plon, póki jeszcze słońce przygrzewa, i odłożyć na później, na przyszłość.

Collis też usiadł i patrzył na ojca z rosnącym smutkiem.

– A tak szczerze mówiąc, żeby nie skłamać, to chyba też szukałem w tych spekulacjach jakiejś wewnętrznej podniety, dla własnej satysfakcji – rzekł Makepeace. – Całe życie brano mnie za ostrożnego sumiennego bankiera. Byłem przezorny i aż do przesady roztropny i uczciwy. Taki pedancik, co to się kurczowo trzyma tych swoich sześciu procent i za nic nie popuści ani w jedną, ani w drugą stronę. Ale ci, co spędzili życie na Wall Street, wiedzą, co to znaczy pójść na ryzyko i wygrać grubą forszę. Zdobyć się na taki mistrzowski manewr, na który nikt się jeszcze przedtem nie zdobył, albo ulokować kapitał w jakimś pozornie nieatrakcyjnym przedsięwzięciu, przeczekać i nagle pomnożyć ten wkład tysiąckrotnie. Tak, sądzę, że chciałem zrobić coś takiego choć jeden jedyny raz, zanim przejdę na emeryturę, tak aby giełda miała mnie z czego pamiętać.

– Jesteśmy bardziej do siebie podobni, ty i ja, niż nam się zdaje – rzekł Collis tak cichutko, że nie miał nawet pewności, czy ojciec go dosłyszał.

Makepeace podniósł kawałek papieru, potem znów odłożył go na biurko.

– Jak się jednak okazuje, zainwestowałem w bańki mydlane – powiedział. – Idiotyczny, bezwartościowy projekt budowy drogi żelaznej z Sacramento, Sacramento Valley Railroad, połączony z tak zwaną kopalnią złota, która okazuje się najbogatszą żyłą markasytu* w całym stanie. Nazywają to złotem frajerów i – nie powiem – trudno by znaleźć bardziej odpowiednią nazwę. Były i inne spekulacje ziemią i artykułami codziennego użytku, i udało mi się ocalić parę tysięcy dolarów na handlu cukrem, ale po wszystkich podliczeniach, w ostatecznym rozrachunku, jesteśmy kompletnie oskubani, i ja, i mój bank.

– A matka już wie? – zapytał Collis.

Makepeace potrząsnął głową. Miał łzy w oczach i ocierał je mankietem swego tużurka.

Collis pochylił się na krzesło.

– Słów mi brak. Nie wiem naprawdę, co powiedzieć. Nie wiem naprawdę, co mógłbym zrobić, żeby pomóc.

– Absolutnie nic – rzekł Makepeace. – Postaram się opracować plan, by ratować bank, i prawdopodobnie przedstawię go jutro zarządowi. Mogą mnie zmusić do ustąpienia albo mogą mi dać szansę, abym naprawił szkody, które wyrządziłem. Wszystko zależy ode mnie.

Jeśli chodzi o ciebie, to, hmm, powiedziałem ci, co się dzieje, i widzisz już, co może się stać.

Musisz po prostu bardziej uważać przy wydawaniu pieniędzy.

Collis nie ruszał się z miejsca przez parę minut, podczas gdy ojciec wrócił do swoich gryzmołów, dopisując coś pospiesznie na wałających się świstkach papieru. Collis zamknął oczy i wsłuchiwał się w odgłos stalówki, drap–drap–drap, a potem rytmiczny stukot, gdy ojciec zanurzył stalówkę w kałamarzu. Nie wiedział, co czuje: czy jest to wściekłość, czy żal.

Ponieważ sam był hazardzistą, rozumiał dobrze, co ojciec miał na myśli, gdy mówił o mistrzowskim manewrze na giełdzie, o podnieceniu w oczekiwaniu na zwycięstwo. Ale czy w ogóle można stawiać znak równości pomiędzy kimś, kto przepuszcza tylko własną rentę, i kimś, kto sprzeniewierza cały rodzinny majątek? A już szczególnie kiedy ten właśnie majątek ubiera go, opłaca jego przegrane w kasynach i pokrywa wydatki na koktajle burbońskie i dziwki. I co na to

wszystko powie Ida, kiedy wreszcie dowie się prawdy? Aż strach pomyśleć! Otworzył oczy i patrzył przez chwilę na ojca.

– No, czas już na mnie – rzekł wreszcie. – W końcu nie mogę spóźnić się na koktajl.

Masz na pewno pełne ręce roboty, więc tylko ci tutaj przeszkadzam.

Makepeace podniósł wzrok.

– Nie mów nic matce, dobrze? Niedługo dowiem się, jak się to wszystko rozwinie w tę albo we w tę, i wtedy... – Bądź spokojny. Nie puszczę pary z ust.

– Dziękuję – rzekł ojciec. – Mam już kogoś, kto poszukuje twoich homarów. Stary przyjaciel z Belfastu, w Maine. Przyrzekł przysłać zamrożonego homara tak szybko, jak tylko mu się uda.

Collis rzucił jeszcze raz okiem na zawaloną papierzyskami bibliotekę, prawdziwe pobojuwisko ojcowskiej kariery, a potem wyszedł bez słowa i zamknął za sobą drzwi.

*

Zjawił się przed drzwiami rezydencji Spoonerów, na Drugiej Ulicy, prawie zaraz po południu. Dzwony w katedrze Świętego Marka zaczęły właśnie wybijać dwunastą. Jechał na swym dropia – tym koniu Dolarze, prowadząc za sobą wypucowaną na glanc kasztankę Nadzieję. Miał na sobie ciemnozielony surdut i obcisłe spodnie z bawolej skóry oraz wspaniale wypolerowane brązowe buty i ciemnozielony kapelusz z miękkim, falistym rondem. Głowa dalej pękała mu z bólu po przyjęciu u Eli Jacobsa, a jego pociągła twarz była wyraźnie bledsza niż zazwyczaj.

Na zewnątrz modnego, zbudowanego z piaskowca domu Spoonerów, na rogu Dwunastej Ulicy, pod platanami czarnoskóry chłopak stojący w białej koszuli i bryczesach po kolana trzymał już za uzdę stareńkiego siwka, lichą szkapę, która, jak się Collis domyślał, przeznaczona była dla przyzwoitki. Collis zamknął na chwilę oczy i modlił się, żeby nie była odrażająco brzydka. Nie był pewien, czy jego bolące gałki oczne zniosłyby widok jakiejś maskary.

Zeskoczył z konia i oddał lejce stajennemu. Potem wszedł po schodach i zapukał do pomalowanych na czarno drzwi. Czekając, objął wzrokiem całą ulicę, aż po Stuyvesant Square, przyglądając się powozom i dorożkom, turkoczącym w szpalerach drzew. Było to ciepłe, parne popołudnie i powietrze przesycone było fetorem z fermentującego końskiego łajna. Po jakimś czasie drzwi otworzył ponury kamerdyner z włosami lśniącymi pod grubą warstwą brylantyny. Wprowadził Collisa do pustego, rozbrzmiewającego echem korytarza, a potem do malutkiej poczekalni, która pachniała stęchłym suszonym ziołem i korzonkami.

Poproszono go, aby poczekał, więc usiadł, uderzając biczem jeździeckim o wypolerowane cholewki i przyglądając się wypchanym ptakom i pękatom wazom z suszonymi kwiatami.

Popołudniowe słońce przeciskało się przez zwoje koronkowych firanek i Collis aż ziewnął, w słodkim powietrzu. Przyjęcie u Eliego zakończyło się, jak zwykle, wielką pijatyką – hulaj dusza, piekła nie ma. Eli przechadzał się po stołach, udając pelikana, a zagraniczny kompozytor, który był jego gościem, spił się na umór, padł na sofę i tam też zasnął. Collis zaczął już nawet żałować, że

zamiast jazdy konnej nie zaproponował Delfinie jakiegś mniej wyczerpującej rozrywki. Gra w warcaby, na przykład, zdawała mu się w tej chwili bardziej stosownym sposobem spędzania czasu w takie upalne popołudnie.

Ale po chwili Collis usłyszał szelest sukien i w drzwiach ukazała się malutka Winifreda Spooner, cała we fioletach, atłasach i pąsach, a za nią Delfina i całkiem do rzeczy wyglądająca brunetka ubrana na szaro.

Collis wstał i ujął dłonie Mrs Spooner w swoje ręce. Ale całując pierścienie Winifredy, obserwował Delfinę. Wyglądała – jeżeli to w ogóle było możliwe – jeszcze ładniej niż w czwartek; o wiele ładniej w rzeczywistości niż w jego najśmielszych, najskrytszych marzeniach. Miała na sobie czarny kapelusz przybrany piórami i kurteczkę jeździecką z czarnymi, jedwabnymi frędzelkami. Ale surowość jej stroju uwypuklała jeszcze tylko jej urodę – delikatną, promieniejącą cerę i wielkie oczy. Zdawała się Collisowi zjawiskiem absolutnie doskonałym, kobietą, o której musiał marzyć każdy mężczyzna.

– Zna pan już Delfinę, oczywiście – rzekła Winifreda.

Collis skłonił się i ucałował dłoń Delfiny w czarnej rękawiczce.

– A to – rzekła Winifreda – jest cioteczna siostra Delfiny, Miss Alicja Stride.

Alicja Stride skinęła lekko głową. Nos miała nieco zbyt wydatny w stosunku do całej twarzy, ale jej oczy miały wyraz inteligencji i dobroci, których Collis szukał u przyjaciół. Bez wątpienia pewnego dnia będzie wymarzoną materiałem na idealną żonę dla jakiegoś mężczyzny, a tymczasem, przy odrobinie szczęścia, powinna okazać się dyskretną i usłużną przywoitką.

– Jestem zaszczycony, że mogę panią poznać, Miss Stride – rzekł Collis. – Czy jest pani spowinowacana z tymi Stride’ami, którzy mają takie chody w Kongresie?

– Senator William Stride jest moim ojcem – odparła, nie bez dumy, Alicja.

Collis zwrócił się do niej rozbawiony.

– Wobec tego będziemy się mieli o co sprzeczać.

– Czy przyprowadził pan ze sobą Nadzieję, Mr Edmonds? – zapytała Delfina. – Tę klacz, którą obiecał mi pan pożyczyć?

– Czeka na panią tuż przed domem – rzekł Collis. – Na swój sposób wygląda równie strojnie jak pani. I ma podobnie słodkie, łagodne usposobienie.

Potem zwrócił się do Winifredy i dodał: – Na ogół, kiedy spotykam śliczną i czarującą dziewczynę w towarzystwie jej rodziców, zachodzę w głowę, skąd się u niej biorą taki wygląd i takie maniery. Ale wystarczyło mi tylko raz spojrzeć na panią, Mrs Spooner, aby wiedzieć natychmiast po kim odziedziczyła je Delfina.

Winifreda oblała się rumieńcem, zaśmiała dźwięcznie i beztrosko, niczym nastolatka, a potem zwróciła się do Collisa: – Czy ma pan ochotę na kieliszek sherry przed tą przejażdżką?

– Nie, nie – rzekła Delfina. – Chodźmy już.

– A co pan na to, Mr Edmonds? – zapytała raz jeszcze Winifreda.

Collis pokręcił grzecznie głową. Ale nawet to lekkie poruszenie wystarczyło, żeby łupanie w głowie wróciło, i to ze zdwojoną siłą.

– Nie jestem koneserem win, Mrs Spooner – wyjaśnił z galanterią.

Winifreda odprowadziła ich do drzwi z całą pompą, a czarny chłopak stajenny podprowadził już konie i umieścił drewniane schodki dla pań, tak, aby mogły swobodnie dosiąść swych rumaków. Collis, pstrykając swoją klacz Nadzieję w nos, przytrzymał ją lekko za uzdę, podczas kiedy Delfina sadowiła się w siodle, z nóżkami wdzięcznie skrzyżowanymi pod czarnymi frędzlami spódniczki, która zakrywała jej drobne kostki, kusząco obute w trzewiki do konnej jazdy z czarnej skórki.

– Miss Spooner! Wygląda pani jak z obrazka! – rzekł Collis. – Mam nadzieję, że uda mi się na zawsze zapamiętać tę chwilę, w której pani tak pięknie wygląda.

Delfina rzuciła mu leciutki, niewinny uśmiech.

– Będzie jeszcze, mam nadzieję, wiele innych chwil, jeszcze bardziej godnych zapamiętania.

– Hola? hola, Delfino – rzekła Alicja, dosiadłszy swego siwka. – Mam tu pełnić rolę przyzwoitki, tak czy nie? A to oznacza, że nie powinno być żadnych poufałości.

– Po prostu życzę sobie szczęścia. Czy to zbyt wielka poufałość? – zapytała Delfina.

– W sposobie, w jaki to mówisz, tak – odpaliła Alicja. Collis dosiadał Dolara i machnąwszy w stronę Winifredy Spooner, wszyscy troje pokłusowali na rogatki miasta, przez Stuyvesant Square, gdzie liście drzew iskrzyły się w świetle słońca, a trzech mężczyzn w podniszczonych surdutach i podtrzymywanych sznurkiem bryczesach grało niemieckie melodie ludowe na trąbce i skrzypcach. Metaliczny dźwięk ich muzyki nie w takt rozległ się echem, a potem zanikał powoli, gdy Collis, Delfina i Alicja skręcili na zachód, ku Siedemnastej Ulicy, a potem znowu zaczęli oddalać się od centrum miasta, wjeżdżając w Trzecią Aleję.

– Myślałam wiele o panu, Collis – rzekła Delfina, gdy ich konie zrównały się i zaczęły jechać truchtem obok siebie.

– A ja wiele myślałem o pani – odparł na to. Spojrzał na nią i nie mógł oderwać od niej wzroku. Siedziała w siodle taka pewna siebie, taka wyprostowana, a czarne pióra jej kapelusza powiewały w łagodnym wietrze.

Odwróciła się w jego stronę.

– Miłe to były myśli, mam nadzieję.

– Zachwycające. A pani?

– Bardzo przyzwoite. Aż nadto.

– Już teraz czuję się jak wyrzutek – rzekła Alicja z wymuszonym uśmiechem.

Collis uniósł w jej stronę kapelusz.

– Oto los przyzwoitki, niestety. Ale proszę mi powiedzieć, jak się miewa pani ojciec?

– Równie zagorzały, aby utrzymać niewolnictwo, jak zawsze, jeżeli o to panu chodzi – odparła Alicja.

– A pani się z nim zgadza? Alicja zachnęła się trochę i nadała.

– To nie takie proste, jakby się mogło pozornie wydawać. Całe życie Południa zmieniłoby się, gdyby nadać wolność niewolnikom. Wszystko, czemu południowcy poświęcili całe swoje życie, przepadłoby bezpowrotnie. Weźmy choćby mojego ojca – nie mógłby przecież prowadzić plantacji bez niewolników.

– Możliwe, że pani ojciec rzeczywiście wiele z siebie dał – przyznał Collis. – Ale również otrzymał wiele w zamian. Jest dziś bardzo bogatym człowiekiem, chyba pani nie zaprzeczy.

– Bogatym, ale bardzo sympatycznym – rzekła Delfina. – Prawdę mówiąc, ojciec Alicji jest moim ulubionym wujkiem.

– Czy jest teraz w Nowym Jorku?

Alicja kiwnęła głową.

– Wyjeżdża do Waszyngtonu w przyszłą środę. A dlaczego pan pyta? Czyżby chciał się pan z nim zobaczyć?

– Byłbym zaszczycony. Czy mogłaby to pani jakoś zorganizować, panno Alicjo?

Jechali na pomoc, obok wiejskich chałup i opuszczonych holenderskich gospodarstw, aż po Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicę, gdzie skręcili w kierunku Central Parku. Po południowej stronie parku stały rzędem walące się, niechlujne rudery, gdzie bawiły się zaniedbane dzieci i gdzie mężczyźni i kobiety o oczach twardych i hardych stali w drzwiach albo przystawali przy badylastych ogródkach, aby popatrzeć sobie na zamożnych państwa, którzy właśnie przejeżdżali obok. Palono w piecach, a dym z kominów unosił się w lekkim, ciepłym wietrze, który wiał od Hudson. Collis, dla ochrony, jechał tuż przy Delfinie i Alicji, gdy zjeżdżali po skalistym zboczu w stronę jeziora i przedzierali się przez gęste zarośla po śliskich, błotnistych ścieżynach. Gdy wreszcie znaleźli się nad samym brzegiem, obie panny zsunęły się z siodła ze znakomitą pewnością siebie. Collis też zeskoczył z konia, a potem wszyscy razem poszli spacerkiem wzdłuż brzegu jeziora i pograżyli się w rozmowie.

Alicja została dyskretnie nieco w tyle, tak żeby dać Delfinie i Collisowi szansę porozmawiania na osobności. Wszyscy troje, jak również ich konie, odbijali się w lustrze wody, gdy tak szli, a dzień mijał, upalny i pogodny, ponad ich głowami. Na drugim brzegu ich głosy brzmiały mniej dźwięcznie, zdawały się przytłumione, jakby rozmarzone, mieszając się z bzykaniem owadów i świergotem drozdów.

– Czy jest pani taka śmiała z natury, czy to tylko taka gra, w którą lubi się pani bawić? – zapytał Collis.

Dębina odpowiedziała uśmiechem.

– Nie jestem wcale taka śmiała. Jestem tylko dociekliwa. Jest tyle rzeczy, o których przy młodych pannach nigdy się nawet nie wspomina.

– Na przykład?

– Choćby anatomia i tego rodzaju sprawy.

– Anatomia może być bardzo nudnym przedmiotem. Delfina rzuciła mu jeszcze jedno zamglone, rozmarzone spojrzenie.

– Zależy o czyją anatomię chodzi, nieprawdaż?

Collis odchrząknął. Nigdy przedtem żadna inna młoda dama, z wyjątkiem rozwiązłych dziwek oczywiście, tak do niego nie mówiła. Wzbudzało w nim to jakiś dziwny niepokój, a jednocześnie zmysłowe podniecenie. Jeśli Delfina będzie kontynuować rozmowę o „anatomii i tego rodzaju sprawach”, to nie był pewien, czy będzie w stanie trzymać się na wodzy, zwłaszcza że jego bryczesy do jazdy konnej były takie obcisłe. Zatrzymał Dolara i wyciągnął rękę po dłoń Delfiny. Zawahała się przez chwilę, a potem mu ją podała.

– Wygląda pan na bardzo strapionego – zauważyła. – Co takiego zrobiłam, że się pan tak zamartwia?

– Zupełnie nic. Ale jestem nieco zbulwersowany tym, co pani mówi. Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy zmienili temat i zaczęli rozmawiać o czymś innym? Na przykład o sztuce albo o sufrażystkach, albo co zrobić, żeby ulepszyć ten ohydny park?

– Zamiast o anatomii, tak?

– Mhmmm.

– Ależ, Collis – rzekła zalotnie. – Znam się całkiem nieźle na sztuce, naprawdę nie muszę wiedzieć więcej niż wiem w tej chwili na temat amazonek i dopiero co wczoraj czytałam o tym, jakie plany ma rada miejska w stosunku do tego parku. Ja chcę rozmawiać o miłości. O miłosnych przeżyciach.

– Delfino – rzekł Collis. – Jesteś naprawdę cudowna. Nigdy jeszcze w życiu nie spotkałem bardziej pociągającej młodej damy. Ale przecież musimy liczyć się z tym, co wypada, a co nie wypada.

– Dlaczego?

– Dlaczego? No bo musimy. Bo już tak jest. Ledwo się przecież znamy.

Rozmawialiśmy ze sobą przez pół godziny przy lodach cytrynowych i nic więcej. Anatomia to nie jest temat stosowny do rozmowy, chyba że jest się już małżeństwem, a nawet i wtedy nie dyskutuje się o tym tak otwarcie.

– Zaskakuje mnie pan – rzekła Delfina, posuwając się wąską ścieżką i wiodąc za sobą Nadzieję.

– Ja panią zaskakuję? – zapytał oszołomiony, idąc za nią krok w krok.

– Myślałam, że jest pan człowiekiem światowym. Bywałam. Myślałam, że czegoś się od pana nauczę.

– Więc mówi pani, że ja zaskakuję panią, Miss Spooner? Ależ to pani mnie zaskakuje.

Nigdy przedtem nie poruszałem takich tematów z żadną inną damą. Nigdy przedtem! Kiedy jestem w towarzystwie dam, rozmawiam z nimi o konnych przejażdżkach, o tym jak ślicznie jest o tej porze roku w Południowej Karolinie i o ręcznych robótkach. Nie jestem takim zuchwalcem, żeby od razu rozmawiać o anatomii.

Delfina zatrzymała się znowu i zwróciła ku niemu buzię. Spojrzał na nią w dół i wiedział od razu, że cokolwiek może sobie myśleć na temat jej swawolnej, krnąbrnej osobowości, nigdy nie będzie w stanie oprzeć się jej urodzie.

Parę kroków za nimi Alicja również się zatrzymała i wlepiała wzrok w tafle jeziora.

Delfina wyciągnęła rękę i powiedziała: – Może mnie pan teraz pocałować.

Collis przełknął ślinę. Rozejrzał się wokoło, ale w zasięgu oka nie było żywej duszy, a Alicja też wyraźnie nie miała zamiaru się odwrócić, choćby i za cenę dziesięciu dolarów.

Zauważył, że jego oddech stał się krótszy, cięższy i bardziej przyspieszony, niżliby sobie tego życzył. Stał blisko niej – była tak malutka, że pióra jej kapelusza sięgały akurat jego klatki piersiowej. Trzymając wciąż cugle konia w jednej dłoni, drugą dłonią uniósł delikatnie jej podbródek i poczuł gładkość jej skóry pod palcami. Oszołomiony, przyjemnie zaskoczony, zatopił wzrok w jej wielkich, piwnych oczach, aż zakreśliło mu się w głowie z upojenia. Usta Delfiny były wilgotne, lekko rozchylone, tak że widział wyraźnie koniuszki jej białych ząbków.

– Zupełnie pani nie rozumiem – rzekł ochryple.

Uśmiechnęła się.

– Nie musi mnie pan rozumieć. Proszę mnie po prostu pocałować.

Z wahaniem pochylił głowę i dotknął jej warg.

– To nie jest prawdziwy pocałunek – wyszeptwała. – Niech mnie pan pocałuje tak, jak pan całuje swoje dziwki.

Zamarł w bezruchu. Jakaś przelotna, ale denerwująca, natarczywa myśl przeszła mu przez głowę, jakby dziwne przecucie, wizja czegoś trudnego i niezwykłego. Miało to jakiś związek z upadkiem Kathleen Mary z parapetu, powiązane było z tym, o czym myślał, kiedy leżała na chodniku, taka połamana i poturbowana. Dzwiki to nie tylko dziwki; to także ludzie.

Prawdziwe kobiety, z prawdziwym życiem. Czy to możliwe, że tak naprawdę wszystkie one są rzeczywiście siostrami, i te z salonów, i te z ulicy? Czy na przykład dama też może okazać się zwykłą dziwką?

– Nie mogę tu czekać do wieczora, drogi panie – rzekła Delfina żartobliwie.

Collis pocałował ją, wprawdzie nie tak głęboko, jak gdyby całował jakąś nierządnicę, o ile oczywiście miała zdrowe zęby, ale za to z ogromną czułością i tkliwością. Potem wyprostował się i patrzył na nią długo, nic nie mówiąc.

– Jest pan bardzo przystojny – powiedziała Delfina. – Sądzę, że mogłabym się w panu zakochać.

– Ale przecież wcale mnie pani nie zna.

– Wiem. Ale czy to konieczne?

Szli dalej spacerkiem. Alicja za nimi trelowała piosenkę o młodzieńcu i jego oblubienicy.

Delfina spojrzała do tyłu i pomachała jej ręką.

– Czy boi się mnie pan? Pokręcił głową.

– Czy pana niepokoję? Wzruszył ramionami.

– Troszeczkę.

– Podejrzewam, że mam charakter po babce. Była jedną z najbardziej zadziwiających pionierek, wie Pan? W 1777 roku przepłynęła statkiem parowym Johna Fitcha na Collect Pond. Mówiono o niej, że to diabeł wcielony. Podobno odstraszała wszystkich konkurentów do tego stopnia, że dwóch z nich wzięło nogi za pas i wyemigrowało z powrotem do Anglii.

Wystraszyli się jej. Naprawdę!

– Pani też jest wcielonym diablątkiem. Ale za to prześlicznym.

– Dziękuję – rzekła Delfina. Ale naprawdę nie staram się przed panem popisywać. Tyle tylko, że mężczyźni po prostu mnie fascynują, o ile oczywiście nie są potwornymi nudziarzami. Trudno mi nawet sprecyzować, co mnie tak w nich pociąga. Czy to ta nieokiełznana wolność? To, że mogą pić to, na co mają ochotę i chodzić, gdzie im się żywnie podoba?

Collis podprowadził konia do karłowatego drzewka i uwiązał go przy nim. Odebrał również od Delfiny Nadzieję i przywiązał ją obok.

– Nie sądzą, że tego typu doświadczenia dają mężczyźnie życiową mądrość, albo że czynią go bardziej atrakcyjnym – rzekł, wyjmując cygaro. – Nie sądzą też, że dodają one uroku kobietom. Wszystkie nierządnice i pijaczki, z którymi kiedykolwiek miałem do czynienia były równie głupie jak większość niedoświadczonych, naiwnych gąsek. Zaczynam nawet podejrzewać, że i ja, do tej pory byłem takim samym głupcem, bo rozpusta i pijaństwo nie wyszły mi wcale na dobre. Puste kieszenie i łupiący ból głowy – tyle mi po nich zostało.

– Tylko tyle? Nic więcej?

Alicja podprowadziła swego siwka, a Collis uwiązał go u drzewa. Delfina zwróciła się do niej, marszcząc brwi.

– Collis twierdzi, że dziwki przyprawiają go tylko o ból głowy i że w ogóle nic więcej z tego nie ma.

– Delfinę fascynują ostatnio bezceństwa. Po prostu pali się do tego, żeby poznać smak występku.

– Wcale nie – zaprotestowała Delfina. – Po prostu chcę się dowiedzieć, jak to jest, kiedy się jest bezecnikiem, czy to rozszerza horyzonty.

Collis zapalił cygaro i kurzył je powoli. Nie wiedzieć czemu myślał o ojcu, który był tak znużony i załamany katastrofalnym obrotem spraw.

– Wydaje mi się – wyjaśnił cierpliwie – że chodzi tu po prostu, prawdopodobnie, o cel w życiu. Nie powiedziałbym tego tydzień temu, ale mój światopogląd zmienił się od tego czasu w sposób zasadniczy. Jak się pije, gra i łajdaczy dla zabicia czasu, bo nie ma się nic lepszego do roboty, to... hm... to nie rozszerza horyzontów. Żyje się jakby w złym, powracającym raz po raz śnie, i zanim się człowiek zorientuje – już jest stary – tak stary, że w ogóle nigdy mu się nie śniło, że dożyje takiego sędziwego wieku. A nie ma na swym koncie nic, czym mógłby się poszczycić. Nie dochrapał się w tych godzinach hulanki niczego prócz chorej wątroby i rzeżączki. Przerwał na chwilę, a potem dodał: – Wydaje mi się, że żyłem dotąd bez celu i że najwyższy czas, żebym sobie znalazł taki cel.

Alicja rzuciła mu sarkastyczne spojrzenie.

– Czy znaczy to, że poszukuje pan miłości?

Na twarzy Delfiny czaił się przez krótką chwilę jakiś niepokój, ale zaraz potem dziewczyna uśmiechnęła się i klasnęła w dłonie.

– Niech pan powie, że tak. Proszę powiedzieć, że poszukuje pan miłości.

– Wszystko to brzmi zbyt poważnie – rzekł Collis z czułością w głosie. – Naprawdę.

Jedźmy lepiej do restauracji De Vere na kolację.

– Wstydziliby się pan – zaprotestowała Delfina. – Nawet nie raczył pan odpowiedzieć na moje pytanie.

– Ależ zrobię to! – roześmiał się Collis. – Wszystko w swoim czasie.

– Nie rozumiem, po co się tak bawić w podchody – rzekła Alicja beztrąsko. – Widać przecież, że macie się ku sobie.

Collis spojrział na nią zdziwiony, ale ona tylko wzruszyła ramionami i odparła: – Przepraszam za moją otwartość, ale nie da się tego ukryć. Widać to z odległości półtorej mili.

Na moment Delfina spuściła wzrok i zakryła oczy rzesami, ale potem spojrzała na Collisa i pisnęła cieniutko, starając się zdusić w sobie chichot.

– Zażenowałaś go teraz, Alicjo. – powiedziała. – Chłopak nie wie, gdzie ma oczy podziać. Dostyc już tego na dzisiaj. Moje nieogłędne słowa zbiły go zupełnie z tropu.

Collis, podjudzony, wypuścił kłębek dymu z cygara.

– Nie jestem wcale zbity z tropu. Jestem zaintrygowany, muszę przyznać. Słyszałem o tym, że teraz jest moda na obcesowość, ale nigdy jeszcze nie spotkałem się z czymś takim u damy. Słyszałem także o ruchu feministycznym, ale nigdy dotąd nie spotkałem kobiety, która zdecydowałaby się wcielić w życie jego zasady wbrew temu, co sądzą o tym jej znajomi i rodzina. Słyszałem nawet o miłości od pierwszego wejrzenia, ale nigdy przedtem nie zostałem przedstawiony żadnej kobiecie, która swoim wdziękiem, osobowością i fascynującym sposobem bycia rozpałiłaby w mojej duszy taki gorący, nieujarzmiony płomień – a wszystko to w ciągu jednej godziny.

Delfina zapłonila się teraz wyraźnie, a jej kuzynka, z wyrazem zadowolenia na twarzy, trzymała ją za rękę.

Alicja sięgnęła do rękawa po malutką, koronkową chusteczkę i przyłożyła ją do oczu.

– Jakie to piękne – westchnęła. – Zawsze wierzyłam, że kochankowie są jak dwie połówki jabłka: muszą się spotkać, jeśli są sobie przeznaczeni. Jestem pewna, że możecie dać sobie nawzajem wielkie szczęście.

Collis zrobił krok naprzód i wziął Delfinę w ramiona. Jej wargi drżały leciutko, a rzesy iskrzyły się łzami.

– No i masz tę całą twoją obcesowość – rzekł Collis. – Masz tu tę całą twoją anatomię.

Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

– Tak się bałam, że będziesz się czuł urażony, jeśli będę o tym mówić. Ale musiałam się jakoś dowiedzieć, czy jesteś prawdziwym mężczyzną, czy nie. Nie zniosłabym jeszcze jednego bankiera – maminsynka. Mam dosyć rozlazłych ciepłych kluch i lalusiów. Jesteś taki wyrozumiały, Collis. Jesteś pierwszym mężczyzną, który rozmawiał ze mną jak z damą i jak z kobietą.

Nie czekając już tym razem na zachętę, Collis złożył na jej ustach pocałunek. Jej wargi były delikatne i wilgotne i dotknięcie ich rozbudziło znowu jego zmysły. Nigdy przedtem usta żadnej innej kobiety nie wzbudziły w nim takiej namiętności. Przez długą, długą chwilę trzymał oczy zamknięte, a gdy je wreszcie otworzył, zobaczył piwne oczy Delfiny tak blisko, że ujrzał wszystko jak przez mgłę. Łzy spływały rzesiście po jej policzkach. Przez jakiś czas trzymała go mocno w objęciach, płacząc z radości, że się spotkali i że mogła go całować, ale potem wzięła się w garść, stanęła wyprostowana i pożyczyła od Alicji chusteczkę do nosa.

– Myślę, że to bardzo szczególny dzień – rzekła Alicja.

– A ja myślę, że czas na obiad – zauważył Collis.

Odwiązał Nadzieję i siwka od drzewa, a potem pomógł Delfinie i Alicji dosiąść koni.

Wracali konno nad brzegiem jeziora, pod górę, ścieżyną, która wyprowadziła ich z parku na kraniec Szóstej i Siódmej Alei. Była już prawie trzecia i welon wysokich chmur zakrył słońce, tak że powietrze stało się ciężkie, i jeszcze bardziej parne. Kłusowali dość szybko, kierując się na zachód, do niskiej zagrody na skrzyżowaniu Broadwayu i Ósmej Alei, a potem skręcili ku miastu i galopowali przez pewien czas po zbitej na kamień glinianej nawierzchni Broadwayu, wyprzedzając furmanki i dyliżanse.

W końcu, przy Trzydziestej Czwartej Ulicy, zwolnili tempo i jechali obok siebie w milczeniu, jakby znali się i przyjaźnili od zawsze i nie potrzebowali wcale słów, aby się nawzajem zrozumieć. Delfina zwracała się raz po raz w stronę Collisa, a Alicja uśmiechała się do nich obojga życzliwie.

– Zawsze uważałam, że w roli Kupida bardziej mi do twarzy niż w roli przyzwoitki – rzekła, gdy dojechali do restauracji De Vere i posługacz pospieszył, by odebrać od nich konie.

Collis ujął dłoń Alicji i uściśnił ją mocno. Alicja wyraźnie nie miała żadnych wątpliwości co do tego, że jego los związany został na zawsze z losem Delfiny. Ale on sam nie był tego wcale taki pewien. Być może ojciec Alicji zechce im przyjść z pomocą. Ale z drugiej strony może i nie. Może cały ten dzień, dzień pocałunków i romantycznych uniesień w mglistym świetle słonecznych promieni, okaże się najsmutniejszym dniem jego życia; może wszystko to pójdzie zupełnie na marne.

*

Senator Stride stał przy oknie swej palarni w hotelu Astor Place, a jego bardzo wyraziste rysy twarzy oświetlone były tylko czerwonym światłem zachodzącego słońca, odbijającego się od okien budynków po drugiej stronie ulicy. Był wysokim, lekko przygarbionym mężczyzną, z nosem w kształcie orlego dzioba i kędzierzawymi bokobrodami, siwymi już, ale wciąż jeszcze nader bujnymi. Nosił zawsze wysokie, wykrochmalone nienagannie na sztywno kołnierzyki i ciemne, ponure fraki. Niewielu było takich, którzy dorównać by mu mogli surowością wyglądu. W senacie nazywano go Lucyferem, choć gwoli ścisłości dodać należy, że przydomek ten nie zawsze miał oddźwięk pejoratywny. Cóż z tego, że był właścicielem niewolników, skoro zachowywał się zawsze w sposób kulturalny i ludzki, a nawet słynął ze spontanicznych dotacji na wartościowe cele społeczne. Tyle tylko, że łatwo go było czasem wyprowadzić z równowagi, a wtedy lepiej było nie wchodzić mu w drogę, ponieważ kiedy się na kogoś wziął, potrafił zamienić mu życie w istne piekło.

Collis przeszedł na drugą stronę palarni, pomiędzy rzędem lśniących, skórzanych krzeseł, i wyciągnął rękę na powitanie.

– Senatorze Stride, jakże miło mi pana poznać. Collis Edmonds.

Senator odwrócił się z rękami założonymi do tyłu i uniósł krzaczaste, siwe brwi.

– Mr Edmonds? Ach, tak, oczywiście, Alicja wspominała, że mogę oczekiwać pana wizyty.

Wyciągnął dłoń, szeroką i suchą, wielką, jak motyka, i uśmiechnął się do Collisa.

– Proszę spocząć. Nie jest to w moim stylu witać prywatnych gości w takim miejscu, ale niestety – czas mnie popędza. Dziś po południu miałem zebranie zarządu przedsiębiorstwa kolejowego Erie; niespodziewanie przeciągnęło się ono o dwie godziny i dziesięć minut.

Collis usadowił się w jednym z szerokich foteli, a senator Stride usiadł naprzeciw niego, wyciągając swe wielkie nogi na całą długość perskiego dywanu i krzyżując kostki. Ręce też miał wyjątkowo długie i Collisowi zdawało się, że wymaga to z jego strony wielu skomplikowanych zabiegów i wcale zręcznej gimnastyki, by wreszcie ułożyły się na klatce piersiowej senatora.

Pomimo paciorków światła z kloszy lamp gazowych, w palarni było teraz tak ciemno, że twarz senatora ukryta była w cieniu i Collis widział zaledwie koniuszek jego ostrego nosa i bokobrody. Z tej mrocznej otchłani przemówił głos, który był niski i głęboki; głos człowieka wykształconego, z wyraźnym, silnym południowym akcentem. Brzmiał niemalże złowieszczo, gdy, zaciągając leniwie, senator wyczarował pięć samogłosek z wyrazów, gdzie były tylko dwie, i zwlekał przy każdej spółgłosce, zanim, wymaltretowana, dostała się wreszcie na koniec języka.

– Z tego, co wiem od Alicji, stara się pan o rękę Delfiny Spooner – rzekł senator Stride.

– Wymawiał „rękę” jak „rękie”.

– To prawda. Wprawdzie bardzo nieśmiało. Znamy się dopiero od niedawna.

– Alicja twierdzi, że poczuliście do siebie miętę.

– Alicja ubarwia trochę całą sprawę, senatorze. Ale nie jest całkiem w błędzie. Delfina bardzo mi się podoba i mam wrażenie, że i ja nie jestem jej obojętny.

Głowa w cieniu skinęła na znak zrozumienia.

– Znam Spoonerów od wielu lat, to zacni ludzie. Byłem drużbą na ich weselu, wiedział pan o tym? Jestem również ojcem chrzestnym Delfiny.

– Tak, Alicja mówiła mi o tym. To bardzo miła rodzina.

Wszedł kelner z tacą w dłoniach. Biel jego koszuli aż raziła w oczy w ponurym półmroku palarni.

– Napije się pan czegoś? – zapytał senator.

– Whisky z odrobiną wody sodowej.

– A dla mnie świeży sok z cytryny – rzekł senator Stride. – Mały.

Potem odwrócił się znów do Collisa i dodał: – Jestem abstynentem, widzi pan. Alkohol może dla mnie nie istnieć. Ale proszę, nich to pana nie krępuje.

– Dziękuję – rzekł Collis, czując się nieswojo, kręcąc się i zamieniając raz po raz pozycję w swoim śliskim, skórzanym fotelu. Poczł nagle, że być może zrobił jednak błąd, przychodząc tutaj, a poza tym jego kołnierzyk był zdecydowanie za ciasny i buty też go cisnęły. Tego lata lakierki, zszyte z „zadziwiająco niewielkich kawałków skórki” (wedle określenia „Life Illustrated”), były ostatnim

krzykiem mody wśród młodzieży męskiej, ale w obecności sztywnego senatora, z buciskami wielkimi jak skrzynie na węgiel, Collis poczuł się zdecydowanie zbyt wyfiokowany.

– Makepeace Edmonds to pana ojciec, prawda? Ten z Banku I.P. Wolmer? – zapytał senator.

– Tak... hmmm.... tak, senatorze.

– Człowiek, który rozumie Południe i jego problemy, o ile mnie pamięć nie myli.

– To prawda.

– Pogląd, którego – jak mi donosi Alicja – pan, osobiście, nie podziela.

Collis wziął głęboki oddech.

– Nie, senatorze. Niezupełnie.

– Czy jest pan czarnym republikaninem*, Mr Edmonds? Abolicjonistą*?

Collis wyprostował się na krześle.

– Senatorze, prawdę powiedziawszy, nie przyszedłem tu, aby dyskutować o polityce.

Moje poglądy na temat Południa i niewolnictwa nie mają tu najmniejszego znaczenia. Poza tym jestem jeszcze młody i przypuszczam, że gdy osiągnę pański wiek i zdobędę pańskie doświadczenie życiowe, mogę jeszcze zmienić zdanie w tej i wielu innych sprawach.

– Młody, mówi pan? Mając lat dwadzieścia pięć, uważa się pan wciąż jeszcze za młodzika? Ja w pana wieku byłem już członkiem Kongresu i od tamtej pory nie zmieniłem zdania ani o jotę. Na żaden temat.

Collis starał się uśmiechnąć i sam się zdziwił, z jaką wielką trudnością mu to przychodziło.

– Ale pan jest zawodowym politykiem, senatorze, a ja tylko jednym z czterech milionów maluczkich wyborców. My oczekujemy od was stałości przekonań; wy musicie liczyć na to, że uda się wam przekabacić nas na waszą stronę.

Senator Stride siedział przez chwilę w milczeniu, przetrawiając obojętnie, bez cienia zainteresowania, wypowiedź Collisa.

– Hmm, wygadany to pan jest, nie ma co – oznajmił wreszcie po pewnym czasie. – Nie wiem, czy na tym kończą się pańskie talenty.

– Szczerze mówiąc, przyszedłem prosić o przysługę w pewnej kwestii finansowej.

– Słucham?! Chce pan pożyczyć pieniędzy? – Senator pochylił się z niedowierzaniem i zwrócił się do Collisa wyniośle. – Mając ojca na stanowisku prezesa banku?

– Nie potrzebuję ich dla siebie.

– A dla kogo, jeśli można wiedzieć? Czyżby wpłatał się pan w te idiotyczne spekulacje złotem? Zapewniam pana Mr Edmonds, że nigdy nie wyrzucę moich pieniędzy na takie lekkomyślne przedsięwzięcia.

– Nie nazwałbym tego przedsięwzięciem lekkomyślnym, senatorze. Bank LP.Wolmer jest w opałach – potrzebuję kogoś, kto za nich poręczy.

Znowu zapadło milczenie, podczas którego senator Stride podsumował to, co właśnie usłyszał. Wyprostował jedną rękę i spuścił ją wzdłuż poręczy krzesła, a jego żyłasta dłoń huśtała – się tylko o cal od wyłożonej dywanem podłogi. Collis nie spuszczał wzroku z ukrytej w cieniu twarzy senatora.

– To rzetelny bank – odezwał się wreszcie senator Stride. – Bardzo rzetelny. Czemu znowu mieliby być w takich strasznych opałach?

– Wplątali się w pewną bardzo śliską aferę.

– Aha, rozumiem. No, a jak można by ich było z tego wyciągnąć, pana zdaniem?

– Nie potrzebują gotówki. Potrzebują żyranta na dwa miliony dolarów, dopóki znowu nie staną na nogi.

– Na dwa miliony! Collis przytaknął nieśmiało. Senator Stride podkreślił siwego wąsa.

– Ale dlaczego przysłali właśnie pana? – zapytał wreszcie po jeszcze jednej pauzie. – Dlaczego pański ojciec sam się z tym do mnie nie zwrócił? Albo Harry Benedict. Przecież zna mnie dobrze.

– Nikt mnie tu nie przysłał, senatorze.

– Aha. Teraz już wszystko jasne. Więc to pański ojciec wdepnął w błoto. To pański ojciec sparzył się na tym szwindlu. Zwierzył się z tego tylko i wyłącznie panu w wielkiej tajemnicy.

Potrzebne mu dwa miliony, żeby załatać dziury, podczas gdy on będzie się starał naprawiać swoje głupie błędy.

Collis gryzł paznokcie.

– Można to i tak nazwać.

– Tu nie chodzi wcale o to, jak to można nazwać, drogi panie. Chodzi o to, jak się to ma w rzeczywistości.

– W porządku, senatorze. Więc tak się właśnie ta sprawa ma w rzeczywistości.

Wszedł kelner z napojami na tacy. Postawił sok cytrynowy na gładkim, wypolerowanym mahoniowym stolczku obok senatora, a potem zapytał Collisa, czy ten nie zechciałby postawić swego kieliszka whisky na oparciu fotela. Zanim wyszedł, podszedł do kinkietów gazowych i zapalił światło, tak że po raz pierwszy Collis był w stanie zobaczyć głęboko osadzone, błyszczące oczy senatora. Ten widok nie dodał mu jednak ani odrobiny otuchy.

– W jakie spekulacje zainwestował pański ojciec? – zapytał wreszcie senator Stride.

Collis pociągnął łyk wódki.

– Koleje żelazne, złoto. Trochę drobnych ruchomości – artykułów codziennego użytku.

– A jaką miałbym gwarancję, o ile w ogóle zgodzę się podzyrować weksle pańskiego ojca, że nie wyrzucę moich pieniędzy w błoto?

– Ojciec ma świetną reputację w kręgach finansowych, senatorze. Nigdy przedtem nie podejmował ryzykownych przedsięwzięć. I nigdy już więcej nie zrobi tego w przyszłości.

Wplątał się w to z pewnych względów osobistych; był to dla niego, życiowo, naprawdę bardzo ciężki okres. Ale teraz już zrozumiał, że jedyną zasadą w bankowości jest bezpieczna lokata kapitałów, stały, miarowy wzrost dochodu i solidność firmy. Bezsprzecznie – popełnił poważny błąd. To nie ulega wątpliwości. Ale jest naprawdę jednym z najsolidniejszych bankierów na Wall Street i pańskie pieniądze będą w jego ręku tak bezpieczne, jakby schował je pan w najtajniejszej skrytce, jaką by się dało znaleźć w tym kraju.

Senator Stride łyknął soku z cytryny, a cierpki smak napoju wykrzywił jego wargi.

– Bardzo to piękna rekomendacja, Mr Edmonds. Niestety, pochodzi ze źródła, którego nie mógłbym określić jako naprawdę całkowicie obiektywne.

– Mimo to sam pan dobrze wie, senatorze, że to, co mówię, to najprawdziwsza prawda.

– No dobrze. Więc przypuśćmy, że nawet tak jest. Gdybym więc, powiedzmy, zaryzykował i podzyrował z moich własnych kapitałów długi pańskiego ojca, to co ja sam bym z tego miał?

– Procenty. To oczywiste.

– Ach tak? A jaki procent ma pan na myśli? I jaką miałbym gwarancję, że dług naprawdę zostanie spłacony?

– Sześć procent rocznie. Ręczę moim słowem.

– Ale przecież pan nie jest pracownikiem banku. Ani oficjalnym plenipotentem.

– No nie, oczywiście, że nie. Ale dam panu pisemne zobowiązanie, jak tylko zgodzi się pan zabezpieczyć ten deficyt.

Senator Stride przyglądał się Collisowi przez chwilę z wielką uwagą, z szerokimi dłońmi złożonymi w trąbkę przy ustach, dmąc w zamyśleniu przez palce.

– Pański ojciec jest u progu bankructwa, prawda?

– Osobiście nie, skądże.

– Wobec tego, czym się pan tak przejmuję? Gdyby chodziło tylko o deficyt bankowy, a nie własny, to nic by to pana nie obchodziło. Czy pański ojciec utopił i własne pieniądze w tych idiotycznych spekulacjach?

– Trochę.

– Tylko trochę? I chce pan, żebym w to uwierzył, że tylko trochę? Widać przecież, że chwyta się pan ostatniej deski ratunku.

– Chciałbym po prostu pomóc ojcu.

– Wzruszające. Cóż za synowska troska. No, a co powiedzą na to członkowie I.P.Wolmera, kiedy prawda wyjdzie na jaw? Długo nie uda się przecież tego ukrywać, zapewniam; pana.

Collis znowu przytaknął.

– Ojciec miał zamiar rozmówić się z nimi w piątek, ale zdecydował się odłożyć to do następnego tygodnia. Doszedł do wniosku, że łatwiej będzie ich udobruchać, jeśli uda mu się załatwić pokrycie strat.

– A jeśli mu się to nie uda?

– Najprawdopodobniej będzie zmuszony złożyć rezygnację.

– A co w tym złego? Przecież i tak wkrótce przeszedłby na emeryturę.

Collis westchnął głęboko.

– No dobrze. Wobec tego powiem już panu wszystko szczerze, senatorze. Włożył w to również własne pieniądze. Dużo własnych pieniędzy. Jeżeli nie uda mu się tego jakoś załatwić przed czwartkowym zebraniem zarządu, zostanie zupełnie na lodzie, bez środków do życia.

Senator Stride pokiwał głową.

– Tak też właśnie myślałem. Na rodzinę może liczyć tylko wtedy, kiedy w grę wchodzi jej własne interesy.

– Byłbym wdzięczny, gdyby powstrzymał się pan od sarkastycznych uwag, senatorze.

– A z jakiej racji? Dopóki nie zajrzało panu w oczy ubóstwo, nie kiwnął pan nawet palcem w bucie, żeby pomóc ojcu. Tak, tak, proszę pana. Ubóstwo. Bardzo nieprzyjemna sprawa. Mam nadzieję, że szykuje się już pan, by spojrzeć mu prosto w oczy.

Collis spuścił wzrok. Zaczynał rozumieć teraz, dlaczego określano senatora Stride'a takim diabelskim mianem. Miał zwyczaj naganiać, naganiać, aż wreszcie wpadło się w sidła własnych grzechów i niedomówień. Mimo to Collis nie ustępował.

– Czy nie zechciałby pan przynajmniej zastanowić się nad tym, senatorze? Gdyby nawet nie chciał pan podzyrować całości tej sumy, pewien jestem, że znalazłoby się paru innych, którzy przystąpiliby do spółki. W tych okolicznościach najważniejsza jest dyskrecja. Gdyby wiadomość o

tym, że I.P.Wolmer stracił dwa miliony dolarów, należących do jego akcjonariuszy, rozeszła się po Nowym Jorku w jakikolwiek sposób, to sam pan rozumie, co by się stało.

– Rozumiem to doskonale. Zapewniam pana, Mr Edmonds. W 1837 roku Bank Charleston splajtował na moich oczach; runął jak kamień i przepadł w nicość, a z nim niebagatelna sumka z mego własnego konta. Nigdy już i pod żadnym pozorem więcej na to nie pozwolę.

– A więc?

Senator Stride wychylił resztkę soku. Potem wstał i podszedł do okna. Przez dłuższy czas wpatrywał się w swoje własne dostojne oblicze i wreszcie odparł: – Muszę się nad tym głęboko zastanowić, Mr Edmonds. Będę musiał rozważyć wszystkie za i przeciw.

Collis również powstał.

– A jak dużo czasu to panu zajmie? – zapytał, starając się ukryć gorycz w głosie.

– Dzień lub dwa. Chciałbym najpierw porozmawiać z George'em Spoonerem.

– Czy to konieczne? Jeśli Spoonerowie będą sądzić, że pójdę z torbami... Senator Stride obrzucił Collisa piorunującym spojrzeniem, które mówiło: „Przyszedłeś do .

mnie, młokosie, z czapką w dłoniach, więc nie waż mi się stawiać żadnych warunków”. Ale powiedział tylko: – George Spooner musi się o tym dowiedzieć. Jeśli I. P. Wolmer upadnie, to zagrozi to również Ohio Life. Ohio Life prowadzi swoje rachunki za pośrednictwem Wolmera.

– Liczyłem na pełną dyskrecję w tej sprawie, senatorze. Nie chciałbym wtajemniczać w to Spoonera, dopóki wszystko nie zostanie załatwione.

– Na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą – wyjaśnił obojętnie senator Stride. – Lepiej, żeby pan wreszcie jasno zdał sobie z tego sprawę, Mr Edmonds. W ogóle nie może być nawet mowy o tym, abym zataił cokolwiek przed George'em Spoonerem, o ile zdecyduję się na żyrowanie. A jeśli będzie pan nalegał, żeby utrzymać to przed nim w tajemnicy, i ja nie podżyruję tych weksli, to koniec z panem tak czy tak.

– Wobec tego udam się z prośbą do kogoś innego.

– Nawet jeśli pan to zrobi, to George Spooner i tak dowie się o wszystkim ode mnie, Mr Edmonds. George jest moim starym przyjacielem, a kombinacje pańskiego ojca obligacjami kolejowymi zagrażają interesom jego firmy.

– Sądziłem, że na demokracie z Południa zawsze można polegać.

– Można, drogi panie, można. George Spooner zawsze może na mnie polegać, na przykład. Gdybym był pana przyjacielem, czy nie oczekiwałby pan ode mnie takiej lojalności?

Collis usiadł na oparciu fotela w palarni i przetarł oczy. Myśl, żeby udać się z prośbą o pomoc do senatora Stride'a, wydawała mu się takim prostym rozwiązaniem, kiedy zastanawiał się nad tym w sobotę i niedzielę. Ale teraz, jak w najgorszym nocnym koszmarze, wyglądało na to, że ceną za uratowanie ojca będzie utrata Delfiny. Spoonerowie nigdy nie pozwolą, aby ich córka wyszła za

mąż za człowieka, którego rodzina ledwie uchroniła się przed takim haniebnym bankructwem. Wychylił do dna swój kieliszek i zdawało mu się, że cała whisky podeszła mu do gardła. Był to poniedziałkowy wieczór i na dole, na ulicy, słyszał, jak sprzedawca owoców nawołuje: „Ananasy, świeże ananasy! Kupujcie soczyste ananasy. Do mnie, do mnie!” – W porządku – rzekł Collis. – Jeśli już musi pan wtajemniczyć Spoonera, to trudno.

Proszę jednak powiadomić mnie o swojej decyzji jak najprędzej.

– Zrobię to bez wątplenia – odparł senator Stride. I po raz pierwszy tego wieczora zdobył się na uśmiech.

*

Nazajutrz rano, tuż przed jedenastą, Angus, główny kamerdyner Edmondsów, wszedł na górę do Collisa i oznajmił, że jakiś mężczyzna czeka na niego w pokoju gościnnym. Collis zajęty był właśnie pisaniem listu do jednego ze swych dawnych kolegów szkolnych, który wyjechał do St Louis i zbił skromny mająteczek na handlu starociami. Odłożył pióro i czytał właśnie to, co napisał, kiedy Angus pojawił się w drzwiach. Potem zmiął kartkę papieru i rzucił ją za siebie.

Angus, posiwiwały jak stary pies z obwisłą szczęką, w okularach w metalowej oprawce, skrzypiał buciskami, prowadząc go schodami w dół, przez korytarz, i otwierając przed nim usłużnie drzwi poczekalni. Sądząc po odgłosie, miał na sobie swoje najgorsze trepy.

Collis zatrzymał się w przedpokoju i przed wejściem do poczekalni zapalił cygaro.

Doszedł do wniosku, że chyba zbyt dużo pali; no, ale biorąc pod uwagę całą tę złą passę ostatnich tygodni, musiał mieć przecież coś na uspokojenie nerwów. Poczekalnia była mała i ciemna, udekorowana w tonacji czerwieni i złota. W fotelu przy oknie Collis dojrzał kędzierzawą czuprynę mężczyzny, który siedział do niego tyłem, zagłębiony w lekturze ostatniego numeru „Heralda”, przy nikłej, opalowej smudze światła, która sączyła się przez zasłony. Collis stanął w drzwiach, zaciągając się cygarem, które tliło się teraz tylko ledwie, ledwie, i starając się dostrzec kogo to, u licha, diabli przygnali.

Po chwili mężczyzna odwrócił się przodem do Collisa, przemierzył pokój wielkimi krokami i wyciągnął dłoń do uścisku, z uśmiechem samozadowolenia na twarzy. Był to, ku najwyższemu zdziwieniu i obrzydzeniu Collisa, nie kto inny tylko wyblakły, pszenicznowłosy właściciel Madisona, w wyzywającym, kraciastym garniturze i brązowych rękawiczkach; cuchnęło od niego lawendą.

Collis odmówił przyjęcia ręki.

– Kto tu pana wpuścił? – zapytał.

– Pański kamerdyner. – Mężczyzna ukazał zęby w uśmiechu. – Kiedyś pracował w jednym z moich lokali; dość już dawno temu.

– Angus? Miałem wrażenie, że był w służbie całe swoje życie.

– O nie, proszę pana. Był jednym z najlepszych karciarzy w tym mieście. W tamtych czasach nazywano go Śmigłym.

– Zaskakuje mnie pan – rzekł Collis. – I irytuje. Sądziłem, że zapłaciłem już, co się należało i za pańskie cholerne szkło i za milczenie. Wbij to sobie pan wreszcie w ten pański łeb, że moja noga nie postanie już więcej w tym chlewie, który pan nazywasz swoim lokalem.

– Jakoś to przeżyję. I tak nie zabraknie świń, które nadal zapewnią mi będą całkiem niezłe utrzymanie – odparł kierownik Madisona, szczerząc zęby w kolorze starej, heblowanej sosny.

– To czego pan chce? – zapytał Collis.

– Nie pogardziłbym kieliszeczkim madeiry – podsunął tamten.

– Chyba nie mówi pan tego poważnie?

– Przeciwnie, Mr Edmonds. Jak najbardziej poważnie. Powiedziałbym nawet, że to jeszcze za mało powiedziane. Mówię zupełnie poważnie i jestem po prostu wstrząśnięty.

Dogłębnie wstrząśnięty, proszę pana. Między nami mówiąc, byłem tak załamany, kiedy doszła do mnie ta wiadomość, że bezzwłocznie złapałem dorożkę, i oto tu jestem, spiesząc złożyć wyrazy współczucia.

– Wyrazy współczucia? Z jakiej okazji?

Kierownik Madisona uniósł jedną ze swych pszenicznych brwi.

– Myślałem, że już pan wie.

– Że co? Przestań pan wreszcie bawić się ze mną w ciuciubabkę, bo dam panu kopsa prosto w zadek i wyleci pan na ulicę, ani się pan obejrzy.

– Chodzi o tę panienkę – wyjaśnił kierownik Madisona. – Tę, co zleciała z parapetu.

Ona umarła, proszę pana.

Collis wpatrywał się w intruza poprzez dym z cygara. Zakręciło mu się w głowie, jakby wirował w koło i w koło i nagle stanął. Podszedł do rzeźbionego, polerowanego kredensu i podniósł mały dzwoneczek, którym zadzwonił. Oczy nadal miał wlepione w płowowłosego kierownika, a cygaro paliło się wciąż między jego zębami.

– Ach, tak – rzekł wreszcie. – Wobec tego, może zechce pan usiąść na chwilę.

– Dziękuję, nie trzeba – szynkarz uśmiechnął się do niego chytrze.

W tym momencie wszedł Angus, skrzypiąc przeraźliwie butami po podłodze. Spojrzał na kierownika Madisona i starał się przybrać niewinną minę, jakby się wcale nie znali. Następnie podszedł do Collisa i rzekł: – Słucham pana?

– Mamy ochotę na kieliszeczek madeiry, Śmigły – rzekł Collis. – I na kieliszeczek sherry.

– Śmigły? – zachnął się Angus.

– Nie przejmuj się. Nasz przyjaciel powiedział mi coś o twojej przeszłości. Żadna hańba.

Przeciwnie. Jeżeli rzeczywiście jesteś taki dobry, to może wpadniesz do mnie któregoś dnia na górę i zagramy sobie partyjkę. Angus odchrząknął.

– Dziękuję panu. Jedna madeira i jedno wytrawne sherry. Kiedy wyszedł, Collis zwrócił się do nieproszonego gościa.

– Mów pan, o co panu chodzi. Nie lubię się bawić w zgadywanki.

– Bo widzi pan – zaczął kierownik, udając zakłopotanie – doprawdy chciałbym, abyśmy doszli do jakiegoś porozumienia. Wie pan, o czym mówię. Pójdzie mi pan na rękę, jak należy, a ja też w zamian pójdę panu na rękę.

Collis kiwnął głową, nie przerywając palenia.

– Wiem doskonale, o czym pan mówi. To się nazywa szantaż.

– Ale gdzie tam! – rzekł kierownik Madisona swobodnie. – Skądże znowu! Szantaż jest tylko wtedy, kiedy ktoś ma coś na sumieniu, a ktoś inny zgadza się trzymać jęzor za zębami za odpowiednią cenę. Aleja wiem przecież, że pan jest zupełnie niewinny. Proszę tylko o drobną dotację, tak aby mnie pamięć nagle nie zawiodła. Może pan to nazwać dotacją na rzecz badań nad tajemnicami umysłu.

– Ile pan żąda? – spytał Collis bez ceregieli. Kierownik wzruszył ramionami.

– A ile pan da, żeby nie musieć włóczyć się po sądach? Widzi pan, teraz, kiedy ona umarła, policja musi się tym zająć – choćby tylko dla złożenia sprawozdania, że to był wypadek. Cóż by to był za pech, gdyby doszli do wniosku, że zepchnął ją pan z parapetu umyślnie.

Collis zacisnął pięści w kieszeniach.

– Powiedz mi pan, a niby po co miałbym to zrobić? Nie ma motywu zbrodni, widzi pan.

Pana historia nie trzyma się kupy.

Twarz płowowłosego kierownika rozjaśniła się w promiennym uśmiechu.

– Aaa! To zależy od tego, czy przypomnę sobie, czy się pan na nią wydzierał, zanim spadła, czy nie.

– Że ja się na nią wydzierałem?

– No właśnie. Mogłem przecież słyszeć, że wyzywał ją pan od kurw, że nazywał ją pan piekielnicą i w ogóle wściekał się pan, ponieważ oskarżała pana o pewne, powiedzmy sobie, hm... niedomagania.

– Zwariowałeś pan, czy co. Powinienem dać ci w mordę, ty łajdaku.

– Niech pan posłucha przyjacielskiej przestrogi i powstrzyma się od tak drastycznych posunięć. Tak będzie dla pana dużo lepiej. Nie chcemy przecież, żeby policja myślała, że jest pan z natury takim awanturnikiem, prawda? Po co robić wrażenie człowieka, który łatwo wpada w złość, rozdaje kuksańce na prawo i lewo i spycha niewygodnych mu ludzi z okien.

W drzwiach pojawił się Angus z kieliszkami na tacy. Obaj mężczyźni trwali w milczeniu, podczas gdy kamerdyner podawał kierownikowi szynku madeirę, a następnie powłócząc nogami, podszedł w stronę Collisa i postawił przed nim jego sherry.

Pociągnął parę razy nosem, a potem wyszedł, zostawiając drzwi leciutko uchylone.

– A drzwi to co, Śmigły! – wrzasnął Collis i po krótkiej chwili zamknęły się z lekkim piskiem.

– Za pana zdrowie – rzekł szynkarz, podnosząc kieliszek.

Collis zignorował go zupełnie.

– Ile pan chce? Niech pan mówi – powiedział wreszcie. – Nie jestem w nastroju na towarzyskie konwenanse.

– Ajajaj – rzekł tamten z miną człowieka, który stara się zdecydować o cenie porządnego żrebaka.

– Dajmy na to... pięćset dolarów, i po krzyku.

– Pięćset dolarów! Czyś pan oszalał!?

– Nie sędzę. Trzeba przyjrzeć się tej cenie obiektywnie, pan rozumie. W tej chwili jest pan wolny, chodzi pan gdzie się panu podoba i wobec tego pięćset dolarów może się panu wydawać sumą nieco wygórowaną. Ale niechże pan sobie wyobrazi, co by było, gdyby tak siedział pan za kratkami, a? W jednej celi ze zbrodniarzami i pijakami. Wtedy pięćset dolarów wydawałoby się panu całkiem przyzwoitą sumką za wolność.

– To za dużo. Nie zabiłem tej dziewczyny – taka jest prawda. Nie zapłacę pięciuset dolarów takiemu bydlakowi jak pan, żeby uchronić się przed konsekwencjami zbrodni, której nie popełniłem.

– Daję panu dwie doby na przemyślenie sprawy. – Kierownik obdarzył go znowu promiennym uśmiechem.

– Proszę mi tu nie wyznaczać żadnych terminów – rzekł Collis ostrzegawczo. – Nie zapłacę złamanego centa za ten cholerny szantaż, ani teraz, ani za dwie doby, ani w ogóle nigdy.

Szynkarz sączył swoje wisko.

– A szkoda. Bardzo szkoda – powiedział w zamyśleniu. – Jeszcze pan tego kiedyś pożałuje. A przecież mogliśmy to jakoś załatwić polubownie i rozejść się w przyjaźni.

Collis dyszał ciężko, starając się stłumić w sobie wybuch gniewu.

– Najlepiej będzie, jak pan sobie stąd pójdzie, i to już. Natychmiast – powiedział do kierownika.

Zapanowało krótkie milczenie. Kierownik, nie spiesząc się, wypił swoje wino i ostrożnie, z dbałością postawił kieliszek na kredensie. Potem spojrzął na Collisa przymilnie i bez urazy.

– Czy jest pan pewien, że nie zmieni pan już zdania? Że nie uda mi się tego panu jakoś przetłumaczyć?

– Wynoś się pan – powiedział Collis ochryple.

– W porządeczku. – Kierownik Madisona pokiwał głową. – Doprawdy przykro mi, że tak pan do tego podchodzi, ale jeśli naprawdę jest pan przekonany, że nic nie może pan dla mnie zrobić w tej sprawie, to nic na to nie poradzę. Mimo to przyjdę tu jeszcze za dwa dni, żeby dowiedzieć się, czy jest pan gotów zapłacić. Przyjdę z przyjaciółmi z Chatham Square, jeśli ma pan ochotę spotkać się z nimi jeszcze raz.

Collis złapał go za rękaw i pociągnął gwałtownie w stronę drzwi, gdy tymczasem kierownik powtarzał: – Zaraz, zaraz. Tylko spokojnie, Mr Edmonds.

Ale Collis był zbyt wściekły, aby panować nad sobą. Otworzył drzwi jednym szarpnięciem ręki i wypchnął szynkarza do przedpokoju. Potem sam wyszedł za nim sztywno i popchnął go raz jeszcze, tak że facet przewrócił się o drewniane wieszaki i utonął wśród kaszkietów, beretów i meloników.

– Won stąd! – wrzasnął Collis. – Wynocha!

Otworzył masywne frontowe drzwi i własnoręcznie wypchnął szynkarza na schody wejściowe. Angus, strwożony krzykiem i zamieszaniem, pospieszył czym prędzej do przedpokoju, tak szybko jak tylko było to możliwe, ale przybył zbyt późno.

Collis wymierzył właśnie kierownikowi porządnego kopniaka w oba pośladki, tak że zawył z bólu i stoczył się po pięciu marmurowych stopniach na ulicę, trzymając się za siedzenie.

– Nie pokazuj mi się pan więcej na oczy! – wrzasnął za nim Collis. – Ani pan, ani te pana oprychy, ani żaden z pańskich kumpi i fagasów.

– Ostrzegam pana! – odrzyknął kierownik. Twarz miał całą czerwoną z wściekłości, dokładnie tak jak Collis.

– A ostrzegaj sobie, ile wlezie! – wrzasnął Collis. – Tylko pamiętaj – niech twoja noga tu więcej nie postanie!

Angus, z okularami osadzonymi niepewnie na samym czubku nosa, stał za Collisem i patrzył za oddalającym się szynkarzem, który poszedł w stronę Gramercy Park i skinął na fiakra. Na dworze było ciepło, duszno i dziewczyna, która przejeżdżała obok, w towarzystwie chłodnej, obojętnej matki, z okna swego kabrioletu rzuciła Collisowi spod parasolki ogniste, szelmowskie spojrzenie. Collis nawet nie zareagował. Kiedy zawrócił przed otwartych drzwi i wszedł do mieszkania, uświadomił sobie nagle, jak bardzo zmieniło się jego życie w ciągu zaledwie tych ostatnich paru dni. Jeszcze kilka tygodni temu kazałby osiodłać sobie konia i pogalopowałby dookoła domu, tak

aby uchylić cylindra przed śliczną dziewczyną i błagać jej matkę o to, by wolno mu było się przedstawić.

Zaciągnął się mocno cygarem, żeby znowu wzniecić iskrę.

Angus zamknął za nim drzwi wejściowe i wrócił do domu, szurając nogami po podłodze i kręcąc markotnie głową.

– Masz minę nietęgą – rzekł Collis. – Czym się tak frasujesz?

– Bo też i jest powód do frasunku, proszę pana. Nie o mnie tu chodzi, nawiasem mówiąc.

Ale znam dobrze tego typa; znam go od ponad dwudziestu lat. Wiem, kto zacz. Pracowałem w jednym z jego salonów gry od trzydziestego drugiego do trzydziestego dziewiątego roku i mogę panu od razu powiedzieć, że to twarda sztuka. Nicpoń jakich mało. Lepiej z nim nie zadzierać, proszę pana, jeśli chce pan zachować nos w całości.

– Jak się nazywa?

– Carpenter, proszę pana. Herbert Carpenter. Lepiej z nim nie zadzierać, naprawdę.

– Rozumiem – rzekł Collis, westchnąwszy ciężko, wyczerpany i zrezygnowany.

*

Makepeace wrócił do domu z Wall Street o siódmej wieczorem, kiedy słońce zaczynało właśnie zachodzić na horyzoncie, zatapiając się w roziskrzonym fiolecie nieba nad New Jersey. Collis usłyszał, jak powóz zatrzymał się przed domem, więc stanął przy oknie na mansardzie, spoglądając w dół na przygarbione ojcowskie plecy i czubek czarnego cylindra, kiedy staruszek gramolił się, by wysiąść na chodnik. Po zachowaniu ojca zorientował się od razu, że tego dnia nie stał się żaden cud, który zbawiłby go od wierzycieli. Wypuścił z ręki dziergane w łezki firanki i ulica za oknem spowiła się w biały welon. Stanął u szczytu schodów, gdy ojciec wchodził do środka przez drzwi wejściowe, podając Angusowi cylinder i laseczkę, i nie ruszał się stamtąd, gdy starzec wyjmował białą chustkę do nosa i ocierał spocone czoło. Na zewnątrz było wciąż upalnie i bardzo duszno.

– Ojczy – rzekł Collis cicho.

Makepeace podniósł wzrok.

– A, jesteś tu jeszcze.

– Tak. I co nowego?

Makepeace wzruszył ramionami.

– To zależy, co masz na myśli. Są złe wieści – całe mnóstwo. Ale dobrych nowin ani na lekarstwo.

Collis zszedł ze schodów i przeszedł wzdłuż przedpokoju. Kiedy ujrzał ojca z bliska, zrozumiał nagle, jak bardzo ta finansowa katastrofa go dobiła. Twarz miał nadal pełną, ale nie nadętą z dumy, jak zazwyczaj, tylko raczej chorobliwie obrzękłą, a jego służbowy garnitur wyglądał, jakby był źle skrojony i szyty nie na miarę. Zionęło od niego wódką i Collis domyślał się, że po drodze do domu musiał wstąpić do klubu, aby wzmocnić się i dodać sobie animuszu po tym rozpaczliwym, katastrofalnym dniu.

– I nie ma już żadnej nadziei? – zapytał Collis.

Makepeace pokręcił głową.

– Prawie żadnej. Problem polega na tym, że muszę trzymać to w tajemnicy. Nie mogę nikomu wyjawiać, na co potrzebuję tych pieniędzy. A nawet najbardziej brawurowy ryzykant nie podżyruje weksli na dwa miliony dolarów bez dociekań, co gwarantuje i dlaczego.

Przez chwilę Collis patrzył na ojca ze smutkiem.

– I nie masz żadnych przyjaciół, do których mógłbyś się zwrócić o pomoc? Kogoś, kto winien ci jest przysługę? Prosperowałeś przecież na Wall Street przez długie, długie lata.

Naprawdę nie znajdzie się nikt, kto by wyciągnął do ciebie pomocną dłoń?

Makepeace podniósł na niego wzrok i uśmiechnął się z żalem.

– Byłbyś zdumiony, ile tak zwanych przyjaźni zależy od wypłacalności. Kiedy jesteś żebrakiem, synu, nie chcą cię więcej znać. Rozmawiałem z trzema znajomymi w trzech bankach kredytowych i żaden z nich nie udzieliłby mi najmniejszej pożyczki, choćby i tylko na dwadzieścia dolarów, bez wglądu w kwity gwarancyjne i bez gruntownego śledztwa, po co i na co mi to potrzebne. Na Wall Street lojalność i przyjaźń mierzy się grubością portfela.

Collis zastanawiał się przez chwilę, czy była to dobra chwila, by powiedzieć ojcu o senatorze Stridzie, ale zdecydował, że lepiej jeszcze z tym trochę poczekać. Jeśli senator podżyruje weksle, to wszystko będzie fajno i cacy, tak czy tak. A jeśli nie, i jeśli w dodatku powie George'owi Spoonerowi wszystko, co wie o tych bezowocnych spekulacjach, wtedy Makepeace nie będzie bynajmniej pałał do niego wdzięcznością. Collis doszedł do wniosku, że najrozsądniej będzie zostawić wszystko losowi. Niech to będzie dla ojca niespodzianka – miła, nieprzyjemna czy też wręcz katastrofalna.

– Czuję się zmęczony – rzekł Makepeace. – Wezmę teraz prysznic. Wychodzisz gdzieś dzisiaj wieczorem? Jeśli nie, to możemy porozmawiać trochę później.

– Miałem zamiar iść ze znajomymi na kolację.

– Wobec tego już się dzisiaj nie zobaczymy.

Collis otoczył ojca ramionami.

– Chcę, żebyś wiedział, że myślami jestem z tobą. Wiem, że czasem się kłócimy, że nie zgadzamy się w wielu sprawach. I wiem, że jeśli chodzi o politykę, стоимy na dwóch przeciwstawnych biegunach. Ale jeśli jest cokolwiek, w czym mógłbym ci pomóc, to powiedz tylko słowo.

Ojciec kiwnął głową.

– Dziękuję – burknął bez zapału, niepewny, czy Collis mówi serio, czy sobie tylko drwi, ale jakby gotów tymczasem przyjąć to zawieszenie broni za dobrą monetę. Potem dodał: – Poczekaj chwilę. Dostałem dziś właśnie wiadomość od mego przyjaciela z Maine.

Tego, który rozglądał się za trzydziestofuntowym homarem dla ciebie.

– Naprawdę? – ożywił się Collis. – I co? Ma go już? Makepeace zaczął grzebać po kieszeniach.

– Niezupełnie.... zaraz, zaraz; mam tu gdzieś jego list.

Wprawdzie nie znalazł ci homara, ale za to przysłał coś w zamian. Powinno się nadać.

– Co to znaczy: „powinno się nadać”? Albo ma dla mnie homara, albo nie.

Makepeace znalazł w końcu list. Rozłożył go ostrożnie, przyjrzał mu się, a potem oddał Collisowi do przeczytania.

– Sam zobacz – powiedział.

Collis zwrócił list w stronę światła, które wpadało przez półokrągły lufcik ponad drzwiami.

Pismo było pochyle, równie staroświeckie, wczesnoamerykańskie, jak oryginał manuskryptu deklaracji niepodległości.

W liście przyjaciel Makepeace’a donosił:

Belfast, Maine

Drogi Przyjacielu, W związku z Twoim pytaniem o trzydziestofuntowego homara, kazałem moim ludziom wszcząć poszukiwania wśród rybaków i na bazarach. Niestety jednak muszę cię zawiadomić, że intensywność łowienia homarów jest dzisiaj tak ogromna, że okazy dwudziesto – albo więcej funtowe są nie do znalezienia. Nawet dwanaście funtów – to dzisiaj uważa się za sporą wagę. Być może jednak mogę służyć pomocą, załączając pięć złożonych pod przysięgą oświadczeń. Wszystkie one są podpisane prawnie przez poławiaczy homarów z Maine; każdy z nich potwierdza, że widział i sam miał do czynienia w swoim czasie z trzydziestofuntowymi homarami.

Z poważaniem

Jack Foreman

Collis powoli znowu złożył list w kosteczkę. To już naprawdę przechodziło wszelkie granice wytrzymałości. Obiecał Nathanowi Hackettowi, że postawi przed nim na talerzu trzydziestofuntowego homara. Jeśli nie będzie w stanie tego zrobić, to będzie uboższy o trzysta dolarów; a trzysta dolarów plus ponad pięćset tych, których żądał Herbert Carpenter z Madisona, to już razem osiemset. I gdzie, u diabła, teraz – gdy ojciec pogrążony jest w długach po uszy – uda mu się znaleźć tych osiemset dolarów?

– Gdzie są te zaświadczenia? – zapytał więc ochryple. Makepeace znowu poszperał w kieszeniach i w końcu wyjął pięć pobrudzonych, wymiętych i cuchnących rybami kawałków papieru. Collis szybko przeleciał przez nie wzrokiem; niektóre podpisane były krzyżykami, a inne nabazgrane niewprawną ręką z koślawymi podpisami. Collis przestudiował je i westchnął.

– Wygląda na to, że dobre czasy minęły już bezpowrotnie – rzekł Makepeace z uśmiechem zdradzającym zakłopotanie. – Homary nie mają czasu na to, żeby porządnie podrosnąć.

Collis odwrócił się teraz ku niemu.

– A bodajże cię! I co mi z tego, że gotowałeś te swoje homary w pralni? Guzik. DUBY smalone i tyle. I co, u czarta, mam teraz zrobić?

– Możesz przedstawić te zaświadczenia.

– Ojczy, zaświadczenie to nie homary. Nie można ich pokroić i zjeść. Nie można ich położyć na talerzu w pieprzonym sosie musztardowym i podać na kolację. Przyrzekłem homary, a nie zaświadczenia, i teraz jestem uboższy o trzysta dolarów.

Makepeace odchrząknął i wyjął chusteczkę do nosa.

– Nie mogę dać ci trzystu dolarów. Nie aż tyle. I nie w tej chwili.

– To co mam zrobić, twoim zdaniem? Nie wywiązać się ze zobowiązania?

– Nikt ci się nie kazał zakładać. Sam się w to wpakowałeś.

Collisowi odechciało się już wszystkiego, nawet kłótni na ten temat. Jego ojciec był pobity, pokonany i walczył o zachowanie honoru, podczas gdy cały jego świat walił się wokół niego w gruzy, i Collis nie chciał dolewać oliwy do ognia.

Kiwając głową sam do siebie, Makepeace wyszedł do przedpokoju, by przywitać się z Idą, i Collis patrzył na niego z uczuciem strapienia i nie znanego mu dotąd żalu. Ojciec postarzał się bardzo w ciągu tych ostatnich paru dni, był taki przybity i upokorzony, że Collis nie mógł się nawet na niego złościć. Miał tylko nadzieję, że Nathan Hackett okaże się równie wyrozumiały.

Maude zeszła na dół, szeleszcząc wściekle różową suknią.

– Czuję zapach ryb – rzekła, marszcząc nos z niesmakiem. Collis uśmiechnął się złośliwie.

– Flądra zawsze wyniucha drugą flądre – powiedział i uchylił się, by uniknąć uderzenia jej torebki, która zawirowała ze złością nad jego uchem. Potem poszedł do siebie na górę i ubrał się do wyjścia.

*

Później, jeszcze tego samego wieczora, poszedł zobaczyć się z Henry Browne'em w hotelu w St Nicholas. W barze panował ścisk i gwar. Dżentelmeni, w białych krawatach i wyjściowych frakach, schodzili się tu, by pogadać o koniach, interesach albo boksie wyczynowym. Jak czarnopióre rybitwy, skrzeczące wrzaskliwie na ptasim posiedzeniu, siedzieli pod złoconą powalą lokalu, w migoczącym świetle gazowych lamp. Henry Browne siedział przy stole, w samym kącie, pijając whisky i piwo beczkowe i wyglądało na to, że gnębiła go jakaś zgrzyzota.

Kelner, z podkreconymi zadziornie wąsiskami, podszedł do Collisa, aby przyjąć zamówienie, a potem Collis usiadł wygodnie i przyjrzał się swemu przyjacielowi z wyrozumiałym uśmiechem.

– Czym się tak gryziesz? – zapytał. – Masz minę zupełnie jak ten stryjek, co zamienił siekierkę na kijek.

– Bo właśnie tak się czuję – odparł Henry. – Dopiero co doszły do mnie słuchy, że kolejowa spółka akcyjna, w którą idiotycznie zainwestowałem pięć tysięcy dolarów, ma nóż na gardle. Nie wbili nawet jednego haka.

– Nie jesteś sam jeden – rzekł Collis ostrożnie. – Mój ojciec stracił sporo forsy na obligacjach kolejowych w Kalifornii. Sporo, to za mało powiedziane. Dobrych parę tysięcy, z tego co wiem.

– Nie musisz mi mówić – rzekł Henry, przelitykając whisky i krzywiąc się niemiłosiernie.

– Moim zdaniem ci faceci od kolei lepiej się znają na tym, jak wydusić szmal od łatwowiernych, rozentuzjasmowanych ryzykantów, niż na budowie dróg żelaznych. Ci moi dostali od rządu sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za to tylko, że z zamkniętymi oczami wyrysowali rzekomą trasę linii kolejowej na jakiejś na chybił trafił skleconej mapie. Trudno powiedzieć, żeby się nad tym porządnie napracowali. Oczywiście, kiedy zbankrutowali, wszystko to po prostu zostało spisane na straty. Bardzo im na rękę, nie ma co.

– Przypuszczam więc, że jesteś splukany.

– Przez jakiś czas nie będę mógł rzucać forszą. Bo co?

Collis wzruszył ramionami.

– Nic takiego. Przydałaby mi się pożyczka, tak z tysiąc dolarów, to wszystko.

– Tysiąc dolarów?! A twój ojciec to co?

– Sądzę, że w tej chwili jest nieco podminowany. Nie szasta, ostatnio pieniędzmi, zauważyłem.

– Mógłbym ci pożyczyć ze dwieście, o ile to się na coś zda.

– Potrzeba mi więcej, choćby tylko po to, żeby wypłacić się Nathanowi.

– To znaczy, że nie udało ci się zdobyć trzydziestofuntowego homara?

Collis potwierdził skinieniem głowy.

– O! – rzekł Henry. – Co za wstyd!

– Wiem. Ale nie na tym koniec.

– Nie? A co? No to wał, jeśli chcesz się przed kimś wygadać – zachęcił go Henry. – Wyjął długiego rosyjskiego papierosa ze srebrnej papierošnicy z monogramem i zapalił.

Powietrze ciężkie było od słodkawego, duszącego zapachu tureckiego i bałkańskiego tytoniu.

Collisa aż świerbiło, żeby powiedzieć mu o Banku I.P. Wolmera i katastroficznych spekulacjach ojca, ale zdecydował, że lepiej ugryźć się w język i zachować to dla siebie.

Ojciec mu ufał; obiecał przecież staremu, że będzie trzymał język za zębami i przynajmniej to jedno musiał zrobić dla tego niemądrego cymbała.

– Powiem ci kiedy indziej. Może kiedy dowiem się już czegoś konkretnego od moich znajomych na wysokich szczeblach.

– Nie wiedziałem, że masz jakichś znajomych na wysokich szczeblach. Oprócz tej ciemnowłosej babki, co mieszka na ostatnim piętrze w tym wysokim budynku na Mercer Street.

– Nie, nie. Chodzi o pewnego senatora.

Henry przejechał dłonią po swoich kasztanowych kędziorach i potrząsnął głową.

– Nie wspominaj mi nawet o żadnych senatorach. Senatorowie to żmije i krwiopijcy.

Prezesem tej spółki kolejowej, w którą zainwestowałem, był właśnie taki jeden senator i moim zdaniem to on właśnie jest największym krętaczem w całym tym przedsięwzięciu.

– Znam go? – spytał Collis.

– Nie sądzę. To południowiec. Masz ochotę na jeszcze jednego?

– Południowiec? Nie niejaki William Stride, czasami? Wyraz twarzy Henry'ego stał się nagle zacięty.

– On we własnej osobie. Skąd wiesz?

Collis poczuł, jak krew napływa mu do twarzy. W barze było widno, ale Collis widział wszystko jak przez mgłę; twarze śmiejących się i rozgadanych piwoszy oraz migoczące światła lamp tańczyły mu przed oczami.

– Jak się nazywała ta jego spółka akcyjna?

– Przedsiębiorstwo Budowy Kolei Żelaznej Sacramento Valley. Bo co?

Collis ukrył twarz w dłoniach.

– Mój Boże – wymamrotał. – Chyba myślał, że postradałem wszystkie zmysły.

– Kto?

– Nieważne – powiedział Collis. – A właściwie to bardzo ważne.

– Collis. O czym ty gadasz? Wyrażaj się jasno.

– Ten Stride. Co ze mnie za skończony idiota! Nie mogłem wpaść na bardziej kretyński pomysł. Nic gorszego nie mogło mi się przydarzyć!

Henry, jak zawsze bardzo wytworny, założył nogę na nogę i wpatrywał się w Collisa, marszcząc czoło z wysiłku, by zrozumieć, o co mu chodzi.

– Collis, przyjacielu, najgorsza rzecz, jaka mogłaby ci się przydarzyć, to umrzeć na zawał serca zanim zjesz nadziewanego bażanta u Delmonica. Albo może upaść i złamać nogę w pościgu za panienką na pięterko.

– Henry – rzekł Collis – to, co ci teraz powiem, jest całkowicie poufne. Ale doprawdy czuję, że muszę się tym z kimś podzielić. Cała ta sprawa przyprawia mnie o utratę zmysłów.

– Znasz mnie – rzekł Henry. – Nie puszczę pary z ust.

– Hmm – rzekł Collis. – Czasami można ci zawierzyć. Ale tym razem to zupełnie wyjątkowa sytuacja. Musisz przyrzec, że zamkniesz mordę na kłódkę. Sprawa jest zbyt poważna, żeby rozbębnić to po całym mieście. Mogłoby to zrujnować setki ludzi, nie wyłączając ciebie samego.

– Wobec tego daję ci moje słowo okrytego hańbą oficera i niegodziwego dżentelmena.

Collis pochylał się ku niemu tak blisko, że Henry cofnął się trochę, jakby obawiał się, że Collis zechce go zaraz pocałować. Ale Collis przyciągnął go do siebie i wyszeptał do owłosionych uszu: – Bank mojego ojca może splajtować na dniach. I to na sumę dwóch milionów dolarów.

– Boże wszechmogący! – powiedział Henry.

– Bóg wszechmogący nie pomógł wiele jak do tej pory. Sęk w tym, że mój ojciec nie tylko stracił pieniądze swoich inwestorów, ale również absolutnie wszystkie własne, częściowo również pożyczone z banku.

– No, to się porządnie machnął – zauważył Henry.

– Nie pytaj mnie, jak to się mogło stać. Nigdy przedtem nic takiego nie zrobił przez całe swoje życie, aż do tej pory.

Henry pokiwał głową.

– Wiem. Twój ojciec ma solidną reputację jako najbardziej wykalkulowany i ostrożny bankier wszechczasów. Lewis uważa, że urobiony jest z ciasta na zakwasie, wedle staromodnej recepty prababci.

– Wszystko jedno – przerwał mu Collis. – To, co zrobiłem, pogorszyło sprawę tysiącrotnie. Kiedy poszedłem na spotkanie z Delfina, naszą przyzwoitką była Alicja Stride i przyszło mi do głowy, że

gdyby przedstawiła mnie swojemu ojcu, znanemu i zamożnemu senatorowi, być może udałoby mi się przekonać go, żeby podżyrował I.P.Wolmerowi te zaprzepaszczone dwa miliony dolarów. Choćby nawet tylko częściowo.

Przerwał, a potem rzekł sfrustrowany: – Nie przyszło mi nawet do tego mojego pustego, głupiego łba, że senator Stride mógłby mieć udział w tych cholernych spekulacjach, przez które splajtował mój ojciec. Powinienem się być domyślić, że jest zaangażowany w jakieś kolejowe spółki. Dzisiaj prawie każdy cholerny polityk macza w tym paluchy, od Jacka Davisa* począwszy, w dół.

– Niewesoło to wygląda, oj niewesoło – skomentował Henry.

– Niewesoło? Sam nie wiem, jak to się stało, że senator Stride nie parsknął mi śmiechem prosto w nos. Jak on mógł wysłuchiwać tej mojej żebraniny o pożyczkę z taką poważną miną.

Po co miałby podżyrować mojemu ojcu weksle na dwa miliony dolarów, kiedy sam najpierw dołożył wszelkich starań, żeby wydoić z niego wszystką forszę?

Twarz Collisa była tak blisko twarzy Henry'ego, może na dwa czy trzy cale, że przez chwilę, wpatrując się w siebie, aż zamrugali obaj oczami.

– Moim, bardzo skromnym zresztą, zdaniem wdepnąłeś w śmierdzące gówno.

Collis rozłożył się na krześle.

– Cholera, co za upał. Powinni tu przynajmniej założyć wiatraki. Senator powie ojcu Delfiny, że moja rodzina jest bez grosza przy duszy, bez żadnych widoków na przyszłość, a to oczywiście oznacza, że nie będę mógł starać się o jej rękę. A Bóg wie co się stanie, kiedy zaczniesz rozgłaszać po Wall Street, że Wolmer jest u progu bankructwa. A zrobi to niewątpliwie. Ojciec udusi mnie gołymi rękami. Jeżeli matka nie zrobi tego najpierw i z nim, i ze mną.

Wolno i w zamyśleniu Henry potarł dłonią policzek.

– Hmm, hmm... A ona ci się podoba, ta cała twoja Delfina?

Collis nie odpowiedział, tylko wypił swojego drinka jednym haustem i postawił pusty kieliszek na stole.

– Rozumiem. No to napijmy się jeszcze – rzekł Henry z ożywieniem, jak ktoś, kto głowił się nad jakimś zawiłym problemem i ni stąd, ni zowąd właśnie doznał olśnienia i wpadł na świetne rozwiązanie.

Collis pokręcił głową.

– Nic mi to nie pomoże. To już koniec świata.

– Wiem, że nic ci to nie pomoże – uśmiechnął się Henry. – Ale zawsze mówię, że życie zdaje się o wiele mniej skomplikowane, kiedy człowiek leży bezradnie na wznak, brzuchem do góry, pamiętaj. Tak przynajmniej twierdziła żona pułkownika – a ta dobrze wiedziała, co mówi.

Przyszedł kelner i stanął za nimi, podkreślając sumiastego wąsa. Collis podniósł na niego znużone oczy, a potem rzekł: – No dobrze. Niech i tak będzie. Jeszcze raz to samo.

*

Osiłki z Chatham Square musiały śledzić Collisa przez cały wieczór. Kiedy opuścili z Henrym dobrze oświetlony krużganek hotelu St Nicholas i przemaszerowali przez Broadway na północną stronę Spring Street, dwa muskularne dryblasy wyłoniły się z ciemnych podwoi jednego ze sklepów i przeszły przez ulicę, trzymając się tylko parę kroków za nimi.

Collisowi i Henry'emu humor poprawił się wydatnie. Collis zaśmiewał się do łez z jakiejś przydługiej anegdotki, którą zabawiał go Henry. Opowiadał o tym, jak był zmuszony schować się w szafie swojego kumpla oficera (przywłaszczywszy sobie uprzednio jego łóżko i żonę) i jak to kumpel oficer otworzył drzwi szafy i powiedział: „O przepraszam” i szybko z powrotem zamknął drzwi. Henry, po siedmiu kieliszkach whisky i tyłuż kuflach piwa, zdecydował, że warto jednak było zapłacić te pięć tysięcy dolarów za takie zbawienne życiowe doświadczenie, a Collis, po sześciu kolejnych koktajlach burbońskich, zapomniał prawie zupełnie o kłopotach z senatorem Stridem i Delfina Spooner.

Skręcili w Spring Street, wciąż pękając ze śmiechu, ale jak tylko znaleźli się daleko od gazowych latarni Broadwayu, w ciemnościach nocy, dwaj mężczyźni za nimi przyspieszyli kroku i właściwie prawie biegli, aby ich dogonić.

Collis odwrócił się i spojrzał za siebie. Henry również się odwrócił. Tylko parę kroków za nimi, potężni i nieugięci jak dwa uliczne gmachy, stały dwa bandziory Herberta Carpentera z Chatham Square, z pięściami gotowymi do bitki, marsowym czołem i zastygłą na twarzach zawziętością, którą ludzie o niskiej inteligencji uważają za konieczną przy jakimkolwiek akcie przemocy.

– Czego chcecie? – spytał Collis, mając nadzieję, że głos jego brzmiał wystarczająco dobitnie i stanowczo.

Osiłek z wygoloną czaszką i bliznami od zbitego szkła odpowiedział: – Z wyrazami pamięci od pana Carpentera. Jako zapłata za to, żeś go pan zepchnął kopniakami ze schodów.

Henry spojrzał na Collisa zmaconym wzrokiem.

– Znasz tych panów?

– Tak – potwierdził Collis. – Sądzę, że przyszli tu, żeby dać mi wciry.

Henry wyprzeżył się ile tylko mógł i oznajmił pijackim bełkotem: – Muszę uprzedzić was, panowie, że byłem swego czasu mistrzem bokserskim w West Point w 1849 roku. Mój lewy sierpowy złamał trenerowi szczękę, a mój prawy sierpowy był tak śmiertelnie ciężki, że zastanawialiśmy się, czy nie umieścić mnie w zbrojowni, razem ze springfieldowskimi karabinami.

– To co z tego? – odparł osiłek z wygoloną czaszką. – Nam to wcale nie przeszkadza.

Do pana nic nie mamy. Chodzi nam o niego.

– Wpierw musicie zmierzyć się ze mną – rzekł Henry po rycersku.

– Nie ma sprawy – odparł znowu ten wygolony.

Bez uprzedzenia drugi wykidajło, ten z włosami na jeża, w obcisłym fraku, wystąpił naprzód i przyłożył Henry’emu prosto w nos. Collis, w ułamku sekundy, zobaczył, jak Henry toczy się po ulicy, nurzając swój garnitur wieczorowy w plackach końskiego łajna. A potem coś równie szybkiego i ciężkiego jak cwałujący źrebak zderzyło się z ramieniem Collisa, tak że zatoczył się i rąbnął z całą siłą o żelazną balustradę. Odbił się od niej jak gumowa piłka, ale plecy miał posiniaczone i w dodatku uderzył uchem o chodnik. Usiłował się podnieść, ale wielkie bucisko kopnęło go w biodro, aż ujrzał przed oczami wszystkie gwiazdy.

Usłyszał, jak Henry ryczy ochryplym, pijackim głosem, więc uniósł lekko głowę. Osilek we fraku trzymał szyję Henry’ego w uścisku jednej ręki i wpijał zaciśniętą w kułak drugą dłoń w jego skronie. Collis próbował podnieść się na nogi i nieomal mu się to udało, kiedy pięść, równie twarda jak kołatka u drzwi, walnęła go w ucho i upadł znowu na twarz.

Skądś, jakby z bardzo, bardzo daleka, dochodził go głos Henry’ego: „Collis! W nogi!

Uciekaj” i jakoś udało mu się uchwycić balustrady i znowu powstać, choć przed oczami latały mu czarne płaty.

Ten z wygoloną czaszką wrzasnął: – Dołożyć wam jeszcze? – i palnął go znowu pięścią, która kręciła się niczym karuzela.

Ale wówczas Collis, z jednym butem przygniecionym na pięcie, ze spodniami pękającymi w szwach i wgniecionym cylindrem nasuniętym na jedno oko, skoczył na równe nogi i dał drapak. Henry był już w połowie Spring Street, wymachując nogami w górę i w dół, jakby tańczył szybką polkę.

Oprychy deptały im po piętach, w milczeniu i uparciu. Collis obejrzał się za siebie tylko raz, gdy wymijając powozy, przebiegali przez Lafayette Street, a dwa osiłki były tak blisko, że jeszcze chwila, a zatopiłyby zębiska w jego uszach.

– Collis! Za mną! – wrzasnął Henry i niespodziewanie skręcił w wąską, ciemną, że oko wykol aleję, pomiędzy walące się domy z czerwonej cegły. Collis pomknął za nim na oślep, z rękami wyciągniętymi przed siebie, w razie gdyby wyrznął w jakąś ścianę albo płot w ciemnościach. Aleja cuchnęła zgnilizną i ściekami i odbijała echem – tup – tup – tup – tupot biegnących stóp.

Skręcili w prawo, potrafiwszy kogoś, kto leżał pijany i uśpiony w kupie śmieci. Chamski głos zawołał za nimi: – Budzą człowieka ze snu w jego własnym łóżku. We własnym łóżku... Ale teraz biegli już w stronę światła Bowery i nagle aleja, pozostała za nimi w tyle, a oni przepychali się teraz przez tłum, który roił się na chodnikach przy teatrach i barach, i jarmarcznych kramach.

– Możemy zwolnić – wysapał wreszcie Henry, nie mogąc złapać tchu. – Nie zaatakują nas tutaj wśród ferajny z Bowery.

Zwolnili kroku, tak że szli teraz, posiniaczeni, brudni i zziajani, ciągle ledwie dysząc.

Dwaj rozbójnicy wyłonili się także z alei i szli za nimi przez jakiś czas, ale potem machnęli ręką, skręcili w Stanton Street i zniknęli w ciemnościach nocy. Natomiast Collis i Henry szli dalej przed siebie, w ciżbie ludzi, oddalając się od centrum miasta, starając się nie zwracać na siebie zbytnej uwagi. Wokół nich przewijał się tłum silnych, młodych ludzi w czerwonych koszulkach i wyszukanych krawatach, prowadzących pod rękę młode damy w kapeluszach i falbaniastych spódnicach. Collis nie rozglądał się na boki, tylko maszerował prosto przed siebie, unikając wrogich i ciekawskich spojrzeń, które wędrowały za nimi po chodniku. To były dziewczyny i chłopaki – chojraki z Bowery, nie mniej chętni do bitki i nie mniej gotowi wyrznąć w gębę takim chłystkom jak Collis i Henry, jak tamte dwa wykidajły z Chatham Square.

W końcu złapali fiakra. Woźnica kiwał się, drzemiąc na koźle. Henry potrząsnął nim parę razy, aż facet się obudził i zgodził zawieźć ich do Union Club. Obaj czuli, że muszą napić się czegoś mocniejszego i pozbiierać myśli, zanim rozejdą się na nocny odpoczynek.

W dorożce, zapalając papierosa, Henry rzekł ochryplym głosem: – To wcale nie było zabawne. Czym ty się mogłeś narazić takim typom? Czego się tak wściekają?

– Nie wiem. Wygląda na to, że nieba sprzysięgły się, aby ukarać mnie dla przykładu, i to w bardzo wymyślny sposób. Chcą mnie chyba zapędzić do jakiejś roboty.

– Nie do wiary! – rzekł Henry. – No, ale miejmy nadzieję, że nie porobią ci się od tego na tyłku czyraki.

3

Wściekłość ojca następnego ranka przy śniadaniu była gorsza niż czyraki. Kawa w srebrnym dzbanku wystygła, jajecznica zakrzepła i zrobiła się ciemnożółta, a przypiekana zwinęła się z żalu w kłębek. Ida, u szczytu stołu, siedziała milcząca, wciąż jeszcze w szoku, z twarzą białą i sztywną jak bez. Maude, która usadowiła się naprzeciwko Collisa, stroiła tak idiotyczne miny, wyrażające na przemian to obrzydzenie, to znowu dezaprobatę, że w szczęśliwszych okolicznościach Collis nie mógłby powstrzymać się od śmiechu.

Ale okoliczności były niewesołe; ba! wręcz katastrofalne. Otwarty list leżał na nie tkniętej jajecznicy ojca przy kopercie rozerwanej nerwowym szarpnięciem dłoni. Makepeace, ubrany służbowo do biura w popielatą kamizelkę i frak, przemierzał dywan, kipiąc z gniewu, podczas gdy połączony, brązowy zegar na kominku wybił godzinę, o której normalnie powinien już siedzieć w banku za swoim biurkiem.

Collis miał przynajmniej tyle zdrowego rozsądku, żeby spuścić głowę. Jego ojciec natomiast podchodził do niego raz po raz, pochylał się nad stołem i ryczał mu prosto do ucha.

Collis czuł się w tej sytuacji zupełnie bezradny i nawet nie usiłował się bronić.

– Zaklinałem cię na wszystkie świętości, żebyś zatrzymał tę nieprzyjemną sprawę dla siebie – grzmiał Makepeace. – Niby dałeś mi słowo honoru – i co z tego? Poleciałeś, mimo wszystko, w te pędy, bez porozumienia ze mną, do jednego z największych kanciarzy giełdowych w Ameryce. Do takiej gnidy. I gdzie cię tam zaniósł, do tego szubrawca, którego bańka mydlana pękła i zostawiła mnie bez grosza przy duszy? Zdradziłeś przed nim moją tożsamość, a on natychmiast rozbębnił o

tej katastrofie po całym mieście, wzdłuż i wszerz Wall Street! Boże jedyny, Collis! Zawsze wiedziałem, że nie grzeszysz nadmiarem rozumu, ale doprawdy nigdy nie sądziłem, że okażesz się takim skończonym matolem.

Makepeace otarł usta serwetką. Ta przerwa pozwoliła Collisowi rzucić nieśmiało: – To ty straciłeś te pieniądze, ojczy, nie zapominaj, proszę. I wcale nie było gwarancji, że byłbyś w stanie znaleźć kogokolwiek, kto by ci podżyrował twoje weksle. Prawdę mówiąc, nie było na to prawie żadnej nadziei.

– Skończ wreszcie z tym swoim zuchwalstwem! – krzyczał Makepeace. – Zanim tyś się zdecydował wtrącić swoje trzy grosze, było to tylko drobne, tymczasowe potknięcie, parę dni finansowych trudności. Ale teraz koniec ze mną. Muszę sprzedać dom, farmę, powozy i wszystko, co posiadam, każdy najmniejszy obraz i każdą najdrobniejszą ozdóbkę.

W tym memencie Maude wybuchnęła płaczem, a jej twarz pomarszczyła się, jak jasnoczerwona składana parasolka.

– To takie niesprawiedliwe – łkała boleściwie.

– Co jest znowu takie niesprawiedliwe? – zapytał Collis. – Wszyscy jedziemy na tym samym wózku.

– O to mi właśnie chodzi – szlochała Maude. – Nie rozumiem, dlaczego ja mam cierpieć przez twoją okropną bezmyślność. Nie znam się na pieniądzach. Chcę po prostu przeżyć życie godnie i z honorem. A teraz tego nawet nie będę w stanie zrobić. Czuję się taka upokorzona.

– No cóż – rzekł Collins – módl się więc do Pana Boga. Może On zgodzi się wziąć cię na swoje utrzymanie.

– Przestań bluźnić – złajała go Ida. – Tym razem po prostu przeszedłeś samego siebie, ty okrutny, samolubny nicponiu. I tobą też nie jestem zachwycona, mój mężu, że wystawiłeś nasze dobre imię, społeczną pozycję i osobiste szczęście na takie ryzyko.

– Gdyby nie on, wszystka by się jakoś ułożyło – burknął Makepeace. – Ale teraz to klęska absolutna. Nie mam zielonego pojęcia, jak się z tego wykaraskać. Co mam teraz zrobić? Za to list z banku mówi całkiem wyraźnie, czego mi robić nie wolno. Nie mogę ruszyć ani centa z moich zainwestowanych kapitałów. Nie wolno mi starać się o pożyczkę ani upoważniać nikogo do podżyrowania weksli. Jestem skończony, a wszystko przez syna, któremu chciałem zaufać.

Collis powstał od stołu. Nikt oprócz niego nie przełknął ani kęsa przy śniadaniu.

– Ojczy – rzekł spokojnie. – Nie możesz obarczać mnie winą za to całe nieszczęście.

Myślę, że będzie lepiej dla was wszystkich, jeśli spakuję rzeczy i wyjadę na jakiś czas.

W jadalni zrobiło się cicho. Collis przekręcił głowę na bok, tak jak ojciec, i uśmiechnął się słabo, z żalem. Maude szlochała do mokrej, wymiętoszonej chusteczki. Makepeace, z twarzą bladą i uroczystą, stał w kącie pokoju, koło ciężkich, dzierganych firanek, bez ruchu, niczym hebanowa rzeźba lub figurka z kości słoniowej. Ida, szeleszcząc ostentacyjnie falbankami sukni, opuściła jadalnię i zamknęła za sobą drzwi. Został po niej piżmowy zapach perfum.

Zza drzwi usłyszeli jeszcze przytłumione kwilenie, jakby przeciągłe miauczenie kota, gdy oddalała się spieszenie przez korytarz.

– Sądzę, że lepiej będzie, jeśli zrobisz to, co przed chwilą zasugerowałeś, i spakujesz swoje manatki. – Ojciec miotał się dalej z wściekłości. – Nie wiem, jak długo jeszcze będę w stanie tolerować twoją obecność pod moim dachem.

Collis wychylił duszkiem kawę.

– Nawzajem, ojciec – powiedział. – Ja też mam już po uszy i ciebie, i tej twojej jałmużny.

*

Pierwotnie miał zamiar zatrzymać się na tydzień albo dwa u Henry'ego Browne'a, aż skandal przycichnie i pójdzie w niepamięć. Ale kiedy złapał fiakra do Henry'ego i zatrzymał się przy Washington Place, zobaczył – ku swemu wielkiemu zdziwieniu – że stał tam, przy drzwiach wejściowych, Nathan Hackett w eleganckim kremowym, letnim surducie. Pochylił się więc do przodu, zapukał laseczką w ścianę przy koźle i kazał woźnicy jechać dalej. Nie żeby uważał, że ma się czego wstydić. Któregoś dnia i tak stanie przecież twarzą w twarz z Nathanem – nie ma sprawy. Tylko po prostu wolałby odłożyć to spotkanie do czasu, gdy będzie miał w ręku wystarczająco dużo forsy, aby spłacić swój dług za tego przekłętą homara. Nawet do głowy mu nie przyszło – za żadne skarby świata – żeby po prostu przyznać się przed Nathanem do niewypłacalności i wydusić z siebie przepaszając: „Wybacz, stary”. W końcu Nathan, a z nim połowa Nowego Jorku wiedzieli już, że Makepeace Edmonds zawieszony został w czynnościach prezesa Banku I. P. Wolmer i prawdopodobnie wkrótce pójdzie z torbami. Znacznie lepiej więc było nie wychylać się teraz, w czasach tarapatów finansowych, lecz przycupnąć na jakiś czas na uboczu i nie zapędzać przyjaciół w kozie róg. Tak kazała zresztą, powszechnie uznana etykieta i Collis nie zamierzał odstępować od jej reguł.

Był pochmurny, wilgotny dzień i nawet w swoim jasnopopielatym garniturze podróżnym Collis czuł się przegrzany i przepocony. Nasunął na oczy wysoki cylinder, gdy dorożka toczyła się terkocząc, obok eleganckiej, pomalowanej na czarno balustrady wokół rezydencji Henry'ego Browne'a, tak aby Nathan go nie rozpoznał, i wyprostował się dopiero wtedy, gdy jechali w szpalerze drzew obok klasycznych gmachów w stylu greckiego renesansu na Washington Square. Spojrzał za siebie przez szybę wizjera w tyle powozu i zobaczył, że Nathan wchodzi do „domu Henry'ego Browne'a. Po raz pierwszy w życiu poczuł się wyłączony z gry, jak wyrzutek społeczny. Przypomniawszy sobie słowa senatora Stride'a: „Ubóstwo to bardzo nieprzyjemna sprawa. Mam nadzieję, że szykuje się już pan, by spojrzeć mu prosto w oczy”.

Następnie zatrzymał się przy Drugiej Alei. Kazał dorożkarzowi czekać na rogu Dwunastej Ulicy i zostawił swoją skórzano-brezentową walizkę na siedzeniu. Potem podszedł do drzwi domu Spoonerów z piaskowca i zastukał wyglansowaną mosiężną kołatką. Nie mógł zapanować nad nerwami – trząsnął się z emocji, wciągając i ściągając na przemian popielate rękawiczki. Gdy tak czekał, pełen najgorszych przeczuć, trzysobowa kapela obdartusów, którą widział w sobotę, w dniu w którym wybierali się z Delfina i Alicją na przejażdżkę, zbliżyła się bez pośpiechu i minęła go, zawodząc smutną melodię umpa-pa, umpa-pa; ich wystrzępione spodnie pokryte były grubą, szarą warstwą kurzu.

Posepny kamerdyner z włosami lśnącymi od brylantyny otworzył wreszcie drzwi. Collis wręczył mu swoją wizytówkę.

– Chciałbym zobaczyć się z panną Delfiną.

Kamerdyner wziął od niego wizytówkę i zerknął na nią nieufnie; potem pociągnął nosem i powiedział: – Pan będzie łaskaw poczekać.

Zamknął znowu drzwi i Collis usłyszał, jak woła na kogoś wewnątrz mieszkania. Kapela dalej bębniła swoje umpa–pa, umpa–pa, umpa–pa nieprzerwanie, a dorożkarz zsunął się z kozła i dosypał swej szkapinie obroku. Zanim wspiął się ponownie na wóz, obrzucił Collisa przeciągłym, trudnym do zinterpretowania, spojrzeniem; spojrzeniem, którym zwykli, prości ludzie pracy często lustrują tych, którzy wydają się im niezwykli albo ogromnie bogaci.

„Gdyby tylko wiedział, że jestem biedniejszy od niego”, pomyślał Collis.

Minęły nie kończące się trzy minuty, zanim kamerdyner uchylił znowu drzwi, tylko na tyle, żeby oddać Collisowi jego wizytówkę i powiedzieć: – Bardzo mi przykro, ale Miss Delfina jest niedysponowana. Do widzenia panu.

Miał właśnie zamiar zatrzaskać mu drzwi przed nosem na dobre, kiedy Collis wsadził swoją trzcinową laseczkę między drzwi, tak że tamten nie był w stanie ich domknąć.

– Proszę pana, tak nie można – nalegał kamerdyner. Collis pchnął drzwi tak, że stanęły otworem.

– Guzik mnie to obchodzi, czy jest dysponowana, czy nie – zasyczał. – Chcę się z nią zobaczyć, i basta. Idź i powiedz jej, że tu jestem.

– Powiedziano mi, że mam... – A ja mam głęboko w nosie to, co ci powiedziano. Powiedz jej, że tu jestem.

Kamerdyner westchnął ciężko.

– No dobrze, proszę pana. Proszę chwileczkę poczekać. Wszedł znowu do środka, jeszcze raz zostawiając Collisa samego za drzwiami. Dorożkarz, przyglądając mu się filozoficznie, zapalił glinianą fajkę i pykał z niej miarowo, nie ukrywając zadowolenia. Jeżeli ten goło wąs jest na tyle szalony, żeby płacić mu za bezczynne siedzenie na kozle, karmienie konia i palenie tytoniu, to on sam nie ma zupełnie nic przeciwko temu.

Tym razem drzwi otworzyła sama Winifreda Spooner. Ubrana była w jaskrawą, szmaragdowozieloną suknię i wyglądała na wzburzoną i pełną lęku. Collis skłonił się i podniósł jej dłoń do pocałunku, co zbulwersowało ją jeszcze bardziej.

– Mr Edmonds. Jak to miło, że zechciał nas pan odwiedzić. Doprawdy, przykro mi bardzo, ale Delfina... Collis uścisnął delikatnie jej dłoń.

– Proszę nie szukać towarzyskich wykrętów, Mrs Spooner. Wiem doskonale, co się stało.

Ale mimo to proszę pozwolić mi na rozmowę z Delfiną. Choćby tylko na parę chwil.

– Niestety, mój mąż... – Proszę, Mrs Spooner. Nikt nie musi się o tym dowiedzieć.

Winifreda zatarła nerwowo ręce i przygryzła wargi.

– Jeśli przyrzeknie pan, że będzie to naprawdę bardzo krótkie spotkanie. Tylko parę minut. Widzi pan, mój mąż był bardzo stanowczy co do tego, żeby nie wpuszczać pana do domu. „Pod żadnym pozorem”, powiedział.

Collis poszedł za nią do maleńkiej izdebki, gdzie został przyjęty za pierwszym razem. Było tu gorąco i duszno, tak że musiał wyjąć chusteczkę, aby otrzeć spocone czoło. Ubóstwo mogło mieć nawet swoje dobre strony; z pewnością nie będzie już musiał więcej nosić wysokich kołnierzyków na stójce i kamizelek ani wyczekiwać w zatęchłych, dusznych poczekalniach.

Winifreda poprosiła, aby się rozgościł, ale był zbyt zdenerwowany, by usiedzieć w miejscu przez dłuższy czas. Gdy wyszła, by przyprowadzić Delfinę, okrążył pokój, przemierzając dywan wielkimi krokami, zatrzymując się od czasu do czasu i biorąc w dłoń jakieś ozdobne świecidełko albo książkę, po to tylko, by za chwilę odłożyć je znowu bezmyślnie na swoje miejsce. Przez chwilę przyglądał się sobie z namaszczeniem w pozłacanym lustrze nad kominkiem i pomyślał, że jego wygląd nie zdradza zupełnie rzeczywistego stanu ducha, w jakim się znajdował. Czuł się taki rozdarty i załamany, ale jego wykładany kołnierzyk był nieskazitelnie biały, a szary jedwabny krawat – bez zarzutu. Być może cały szkopał właśnie w tym – w tej nieskazitelności jego wyglądu. Kiedy się jest bogatym i pewnym siebie, nie trzeba wyglądać, jakby się właśnie zstąpiło z okładki kwartalnika mody.

Ciągle jeszcze wpatrywał się w swoje odbicie w zwierciadle, gdy łagodny głos za jego plecami wyszeptał: – Collis!

Odwrócił się i zobaczył stojącą w drzwiach Delfinę. Jej ciemne loki wiły się luźno wokół ramion. Miała na sobie gładką suknię z błękitnego jedwabiu, przyozdobioną jedynie haftem na staniczku. Dekolt sukni wycięty był dość nisko, tak że widoczne były wzniesienia jej krągłych piersi, na których spoczywał maleńki krzyżyk z perełek i ametystu.

Collis nie poruszył się. Nie wiedział, czy mają ucałować, czy nie. Być może czuła, podobnie jak jej ojciec, że jest teraz człowiekiem nieodpowiednim dla dziewczyny takiej jak ona. W końcu nie wiedział zupełnie, co senator Stride powiedział George’owi Spoonerowi i do jakiego stopnia ubarwił swoją wersję wydarzeń.

– Dziękuję, że zechciała pani zejść do mnie – rzekł Collis cicho. – Przez chwilę obawiałem się, że nie będzie się pani chciała ze mną zobaczyć.

Wsunęła się do pokoju i stanęła tuż obok niego. Jej oczy były równie szerokie i zachwycające, jak tego dnia, kiedy poznali się w Taylorze, a naelektryzowana suknia przylegała obcisłe do jej kształtnej sylwetki. Wyciągnęła rękę i przytrzymała dłonią, szary rękaw jego surduta, jakby był jej własnością, której nie chciała się wyrzec.

– Słyszałam, co się stało – wyszeptała prawie niedosłyszalnie. – Co za nieszczęście.

Nie umiem wprost znaleźć słów, aby wyrazić mój żal.

– To nie twoja wina. Ani nie wina Alicji. W każdym razie wszyscy zdają się zgodni co do jednego – że najlepiej teraz zwalić całą winę na mnie, więc to zupełnie nieistotne, kto tak naprawdę ponosi za to wszystko odpowiedzialność.

– I co teraz zrobisz?

– Nie wiem. Miałem zamiar zatrzymać się u znajomego, ale teraz nie jestem pewien, czy to rzeczywiście taki dobry pomysł. Kiedy się jest kompletnie splukanym, człowiek zdaje sobie nagle sprawę, że stałby się dla swych przyjaciół niewygodnym ciężarem.

– Przecież chyba po to właśnie ma się przyjaciół... Wziął jej dłoń w swoje ręce i przycisnął ją delikatnie do siebie.

– Jest w życiu parę drogich memu sercu rzeczy, których wolałbym nie wystawiać na taką próbę.

– Usiądź na chwilę – powiedziała Delfina. – Tu, na szezlongu. Nie przejmuj się matką.

Cheesmanowie przychodzą dziś na kolację, więc krząta się w pokoju stołowym.

Collis usiadł niezgrabnie, zażenowany, a przy nim Delfina, przyciskając kolana do jego kolan. Ujęła go znowu za rękę i bawiła się jego palcami, pieszcząc kostki, stawy i ciemne włoski, które rosły wokół pierścieni. Trzymała oczy spuszczone, a mówiła do niego tak cicho, że musiał pochylić się, by ją usłyszeć, aż jego policzki dotykały prawie jej falowanych włosów. Na ścianie za nią, z pompatycznego portretu spoglądał na nich z nieustającą dezaprobatą jej ojciec w granatowej, mundurowej bluzie.

– Wyjedziesz teraz z Nowego Jorku? – zapytała Delfina.

– Sam nie wiem. Ale chyba będę musiał.

– Będę za tobą tęsknić.. Śniesz mi się po nocach, wiesz? Delikatnie dotknął jej dłoni.

Obdarzyła go leciutkim, pełnym zadumy uśmiechem.

– Widać to palec Boży. Niebiosy rozgniewały się i zesłały na nas te nieszczęścia. Ja byłam zbyt natarczywa, a ty za bardzo lekkomyślny. Bóg uznał za stosowne rozdzielić nas.

Ale chcę, żebyś wiedział, że będę czekać na ciebie, Collis. Niezależnie od tego, jak to długo potrwa; niezależnie od tego, kiedy ten skandal przycichnie – ja będę czekać.

Jej słowa zaparły mu dech w piersiach. Chwile mijały, jedna za drugą, ale on pozostawał w milczeniu. Wreszcie jednak odparł: – Nie rób tego. Ledwie mnie znasz. To może potrwać całe lata.

Podniosła głowę. Oczy miała zamglone łzami.

– A nawet jeśli? Więc będę czekać całe lata.

– Ale przecież ledwie mnie znasz. A ja ledwie znam ciebie. Delfina potrząsnęła głową.

– Nie udawaj sam przed sobą, Collis. Wiedziałeś dobrze, z kim masz do czynienia od pierwszej chwili, kiedy się tylko poznaliśmy. I ja też wiedziałam. Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Jesteśmy sobie przeznaczeni. Zakochaliśmy się w sobie, bo tak być musiało; bo tak zrzucił los czy cokolwiek, co sprawia, że ludzie są tacy, jacy są. Para kochanków, którzy nie mogą obejść się bez siebie. Krew kipi nam w żyłach, ogień trawi nam trzewia, bo ja i ty to jedna dusza, jeden żywioł.

– Delfino... Dotknęła jego warg opuszkami palców.

– Wiem, co chcesz powiedzieć, ale proszę, nie mów nic. Nie protestuj. Kocham cię, Collis. Kocham cię bardzo, bardzo i żadne argumenty nie wpłyną na zmianę mojej decyzji.

Będę czekać na ciebie, jak długo mi się to uda, i nawet jeśli powiesz, że ty mnie nie kochasz, to nie szkodzi, bo wiem, że po prostu starasz się być dobry, chcąc uśmierzyć mój ból.

Kocham cię, a ty kochasz mnie i nic na ziemi – ani pieniądze, ani polityczne przemiany, ani lata rozłąki – nigdy tego nie zmieni.

Collis poczuł, że rozpacz przygniata mu piersi; z trudnością łapał oddech. Pochylił się ku niej i pocałował ją w czoło, potem w usta, a z jej oczu płynęły łzy i mieszały się z ich pocałunkami. Pogłaskała go po policzku, delikatnie, pieśczośliwie i kiedy usiadł znowu i spojrzał na nią, czuł, że słowa uwięzły mu w gardle, tak że nie mógł nic z siebie wydusić.

– Nie mów nic – wyszeptała – wiem, co czujesz.

– Tak myślisz? – zapytał. – Nawet nie wiesz, co to dla mnie znaczy wyjechać stąd i opuścić ciebie. Serce mi pęka – nigdy jeszcze nie przechodziłem przez podobne tortury.

– Wrócisz?

Wyjął chusteczkę do nosa i otarł oczy.

– Tak. Myślę, że tak. Choć Bóg jeden wie, jak uda mi się uzbierać dosyć pieniędzy, aby znowu stanąć na nogi. Zawsze byłem przyzwyczajony do pobierania renty, trwonienia pieniędzy i wyciągania ręki po więcej.

– Twój ojciec zrobił majątek. Tobie też się to uda.

– Dla ciebie góry przeniosę – zapewnił ją Collis. Zegar wybił kuranty i Delfina powiedziała: – Muszę wracać pomóc trochę matce. Przyrzekłam, że zostanę tylko na dwie, może trzy minuty. O, Collis, mój kochany!

Ujęła jego twarz w swoje dłonie i obsypywała go pocałunkami. Poczł, że nie zniesie dłużej tej chwili rozstania. Wszystko to było ponad jego siły – ta cała rozpacz, ta miłosna ekstaza. Ale z drugiej strony nie był w stanie odepchnąć jej od siebie. Zamknął oczy i pocałował ją, prosząc Boga, by ta chwila mogła trwać wiecznie i żeby nigdy nie musiał otworzyć oczu i zrozumieć, że przyszedł czas, by powiedzieć sobie „żegnaj”.

– Collis – powtarzała zdyszana. – Collis, o mój Boże! Nie mogę cię puścić! Nie mogę tak po prostu pozwolić ci odejść. Collis, kochany mój.

– Delfino – wymamrotał – moja śliczna Delfino. Całowała go teraz bardziej łapczywie, aż poczuł na ustach krew, która mieszała się ze łzami i zwodniczym zapachem jej perfum.

Przytuliła się do niego i włożyła mu rękę pod kamizelkę, tak że czuł jej pieszczotę przez cieniutki jedwab koszuli i bawełniany podkoszulek.

– Delfino – powiedział, starając się odepchnąć ją od siebie. – Delfino, nie powinnaś... – Czego nie powinnam, najdroższy? Czego?

– Twoja matka... na pewno przyjdzie tu, żeby sprawdzić, co tak długo robisz.

– A gdzie tam. Jest zbyt zajęta z tą naszą zbzikowaną kucharką. O, Collis – jesteś przepyszny. Smakujesz bardziej niż cokolwiek w świecie! Nic mi tak jeszcze nigdy w życiu nie smakowało.

– Na Boga, Delfino! To ponad moje siły. Nie mogę tego znieść.

Przymknęła oczy, ujęła jego rękę w swoją dłoń i uniosła rąbek sukni na parę cali ponad niebieską podwiązkę pończochy, a potem jeszcze wyżej, aż Collis zobaczył gładką, bladą skórę jej nagich ud. Przycisnęła jego rękę do swego obnażonego biodra, tak że poczuł delikatne ciepło jej ciała, i nie pozwalała mu odejść. Szyję przegięła teraz do tyłu i oddychała szybko, nierówno, przez lekko uchylone, różowe usta.

Collisowi wszystko już było jedno, czy Winifreda wróci z kuchni, czy nie. Czuł, że krew burzy mu się w żyłach, aż zaczęły go palić policzki. W tej chwili świadom był jedynie bliskości kruchego ciała Delfiny i jej namiętych pocałunków. Przed nią żadna inna kobieta, ani wytworna dama, ani ladacznica, nigdy go jeszcze tak nie całowała. Świadom był jedynie jej naelektryzowanej, śliskiej sukni, ciepła jej ciała i zapachu jej włosów. Perłowo – ametystowy krzyżyk na piersiach Delfiny świecił się i migotał mu przed oczami, jakby on sam śnił, budził się, a potem znowu zapadał w sen.

Zdyszana, poprowadziła jego dłoń, którą dalej trzymała w swej niewoli, jeszcze wyżej, w ciepło między udami. Teraz nie panował już nad sobą. Rytmiczny oddech jej piersi zahipnotyzował go, zawładnął nim całkowicie. Nawet gdyby chciał wyrwać się z jej objęć, nie byłby w stanie tego uczynić. – Collis, kochanku mój – rzekła z drżeniem w głosie.

Gdyby ktoś przyglądał się im przez otwarte drzwi, nie domyśliłby się, co zaszło między nimi.

Zdawało się, że po prostu siedzieli razem w milczeniu, czekając, aż Winifreda wróci z kuchni.

Ale dobry obserwator zauważyłby, że oczy Delfiny przymykały się chwilami ni z tego, ni z owego, a Collis od czasu do czasu wyciągał prawą dłoń, jakby miał zamiar schwytać w powietrzu coś niewidzialnego. Poranne słońce zaszło na chwilę za chmury, ale potem rozbłysło na nowo, układając się na podłodze w zamaszyste zawijasy i tworząc mgliste aureole wokół twarzy kochanków. Oczy Delfiny, choć błyszczące, były niewidome, ponieważ wszystkie jej zmysły skoncentrowane były na rosnącym uczuciu upojenia, nad którym starała się zapanować, ale które – jak dotąd stłamszone – w końcu musiało wybuchnąć.

Mogło to trwać chwilę lub całą wieczność. Ale potem Delfina uszczypnęła go w udo tak mocno, że poczuł ból, i wysapała: – Mój Boże, mój Boże... Collis... mój Boże – i jej twarz oblała się rumieńcem.

Pieścił ją jeszcze głębiej, aż zachłysnęła się, pociągnęła nosem, a potem usiadła, nie otwierając oczu, rozdygotana i drżąca.

W korytarzu dały się słyszeć kroki. Collis szybko wyciągnął rękę i odsunął się od niej na szeszlunku, starając się przyjąć oficjalny, opanowany wyraz twarzy, pomimo kłębiących się w nim burzliwych uczuć. Delfina poruszyła wargami, jakby chciała coś powiedzieć, ale słowa zamarły jej na ustach, tak że nie wiedział, co to było, choć domyślał się, że mogła to być prośba o coś, o zrozumienie albo o miłość, albo żeby ten dzień, ten tydzień, albo nawet cały ogromny świat zatrzymał się w tej właśnie chwili i stanął w bezruchu, tak aby zmysłowość tych ostatnich paru minut mogła pozostać z nią na zawsze.

Kroki znowu się oddaliły. Był to kamerdyner, który otworzył drzwi wejściowe przybyszowi. Delfina wzięła w swoje ręce dłoń Collisa, tę dłoń, która nią zawładnęła, i ścisnęła ją mocno.

– Przepraszam, Collis – wyszeptała. – To wszystko moja wina. Proszę, nie myśl o mnie źle. Bardzo cię proszę.

– Jak mógłbym myśleć źle o tobie? Jesteś aniołem. Jesteś najcudowniejszą dziewczyną, jaką poznałem w całym moim życiu. Podniecasz mnie jak żadna inna.

– Nie chciałam tego zrobić – powiedziała. Jej wielkie oczy świeciły łzami. – Nie chciałam zachowywać się jak dziwka. Ale nie mamy czasu, prawda? Nie mamy czasu na przepisowe konkury. A nie chciałam, żebyś odszedł, nie dowiedziawszy się przynajmniej, co... Schyliła głowę. Przyglądał się zgrabnej linii jej karku i szyi i nie mógł znieść myśli, że musi ją utracić. Zagryzł wargi i zamrugał ze smutkiem oczami.

– ...Przynajmniej wiem teraz, co z ciebie za kochanek – dodała ochryplym głosem. – ...Co za mężczyzna... Zapanowało krótkie, napięte milczenie, a potem Delfina zaczęła płakać otwarcie, rzewnymi łzami, patrząc na niego z takim żalem i rozpaczą, że musiał odwrócić wzrok na wypadek, gdyby sam też się miał rozbeczeć z tego wszystkiego.

– Pójdę już – powiedział. – Tak będzie najlepiej. Delfina przyciskała go do siebie przez chwilę tak mocno, jak tylko mogła.

– Idź już, idź – błagała, zanosząc się od płaczu. – Proszę, idź już sobie, zanim zacznę cię błagać, żebyś został na zawsze. Nie mogę znieść pożegnań. Tylko przyrzeknij, że cokolwiek się stanie, wrócisz do Nowego Jorku i postarasz się mnie odnaleźć. Będę na ciebie czekać, kochany, nawet, gdybym wyszła za mąż za kogoś innego, nawet gdybym miała dzieci. Zawsze będę na ciebie czekać, aż do samego końca.

– Wrócę po ciebie – przyrzekał, całując jej czoło i głaszcząc pieszczotliwie po raz ostatni pukle jej ciemnych włosów. Starał się nawet uśmiechnąć.

– Wrócę, nawet gdybym miał wybudować własną kolej żelazną, żeby się z tobą znowu połączyć.

Pocałowali się raz jeszcze; Collis podniósł swoją trzcinową laseczkę i cylinder, a ponury kamerdyner odprowadził go do drzwi. Odwrócił się na schodach, a Delfina stała w korytarzu w półmroku, patrząc na niego już teraz suchymi oczami, ale . jednocześnie z wyrazem czułości i miłości, który został mu w pamięci na długie, długie lata; w swej błękitnej, jedwabnej sukni, z lokami kasztanowych włosów i rzęsami mokrymi od łez. Zobaczył, że Winifreda, krzątając się po

mieszkanu, zajrzała do przedpokoju, i zauważył, że Delfina odwróciła się w jej stronę. I to wszystko. Nie zdołał już zobaczyć nic więcej, ponieważ kamerdyner zamknął za nim drzwi i Collis odcięty został od swojego życia, które jeszcze parę dni temu zdawało mu się tak naturalne, od życia, do którego – jak zawsze dotąd sądził – miał święte, niepodważalne prawo. Przy krawężniku dorożkarz drzemał na koźle z kapeluszem nasuniętym na oczy. Collis uderzył go laseczką po łyce i powiedział: – Gotów? No to w drogę.

Dorożkarz odsunął w tył kapelusz i spojrział na Collisa, jakby dalej pograżony był we śnie.

*

Ostatnia wizyta, jaką złożył, zawiodła go na cmentarz. Pod niebem pokrytym pierzastą kołderką obłoków, z cylindrem w dłoniach stanął w gołej, nie zadrzewionej alejce przed drewnianym krzyżem, który znaczył grób Kathleen Mary Murphy, i odmówił pacierz. Jej śmierć przewróciła cały jego świat do góry nogami, zmieniła smak i kolor życia, jak kostka maggi wrzucona do rosółu. A jednak czuł, że zasługiwała na jakiś hołd, choćby na parę budujących słów zachęty, żeby dobrze jej było tam, gdzie teraz jest – gdziekolwiek jest – i by odpoczywała w pokoju. W oddali, przy murze cmentarnym, dorożkarz czekał na Collisa z odrętwiałą cierpliwością, tak otumaniony przez nudę, że nawet nie chciało mu się zapalić fajki. Collis przyklęknął przy spulchnionej ziemi grobu i wepchnął w nią srebrny pieniążek.

– Zasługujesz na więcej, Kathleen Mary – wymamrotał pod nosem. – Ale niestety, na więcej mnie nie stać. Może kiedy indziej.

Ostre trawy i dzikie kwiaty cmentarza falowały w ciepłym powiewie letniego wiatru, a drzewa chyliły się, szemrząc i kołysząc się do taktu. Collis podniósł głowę, i wiedział, że wiało od Zachodu.

*

Koło szóstej niebo zrobiło się zamglone, jaskrawofioletowe, a wiatr ucichł. Nawet na pokładzie atlantyckiego transportowca, turbinowego parowca „Virginia”, który oddalał się powoli od nowojorskiej przystani, prując rytmicznie poprzez spienione fale oceanu, wiał tylko nieśmiały wietrzyk i chorągiewka na rufie oklapła i zwiślała teraz smętnie, zastygła w bezruchu. Collis stał przy burcie i przyglądał się drzewom na Battery, które prześlizgiwały się przed jego oczami i znikwały w tyle. Obok, pod mgiełką z wilgoci, widać było zgromadzone razem dachy śródmieścia, iglice kościoła Świętej Trójcy, rzędy gmachów z piaskowca i czerwonej cegły oraz porozrzucane w nieładzie rudery, kamienice i magazyny. Syrena parowca zawyła przeciągle, kiedy przejeżdżali obok Governors Island. Collis odwrócił się od dziobu i odszedł powoli na pokład spacerowy, przepaszając raz po raz, gdy potrafił któregoś z pasażerów cisnących się przy burcie i chwytających poręczy, by za wszelką cenę utrzymać równowagę na rozkołysanym pokładzie parostatku. Nie chciał patrzeć, jak Nowy Jork rozplywa się w wieczornej mgle. To już lepiej raczej usiąść na przedzie, zapalić cygaro i popatrzeć na morze.

Był nadal wzburzony i oszołomiony tym, co wydarzyło się z Delfiną. Było rzeczą absolutnie nie do pomyślenia, aby młoda panna z dobrego domu ośmieliła się przyznać do swych erotycznych

apetytów w obecności osób płci przeciwnej, więc bezceremonialny, nieokiełznany wybuch namietności Delfiny wstrząsnął nim dogłębnie i ściał go z nóg. Taka nieujarzmiona zmysłowość nie przyniosła jej żadnej ujmę, ale Collisa bardziej intrygowała jej osobowość niż te przedwczesne seksualne popędy. Powiedziała, że go kocha i że będzie na niego czekać przez całe życie, jeżeli to się okaże konieczne. Ale czy w ogóle miała pojecie ó tym, co to jest miłość? Miała dziewiętnaście lat i jeśli chodzi o mężczyzn, była zupełnie niedoświadczona.

„Virginia” przepłynęła obok pomalowanego na biało, cunardowskiego* turbinowego parowca „Persia”, który przy pływał właśnie z Anglii. Jego pasażerowie ustawili się rzędkiem i na pokładzie i machali do pasażerów „Virginii”, ale Collis nie był w nastroju do takich pustych gestów. Teraz syrena „Persii” jęknęła żałośnie, a ciemnobrunatne kłęby dymu z jej komina poszybowały ku dalekim laskom Brooklynu i Collis zapragnął, znaleźć się na jej pokładzie i właśnie podpływać do Nowego jorku. Ale jak każdy wytrawny karciarz, wiedział dobrze, że nigdy nie należy nadużywać gościnności gospodarzy. Trzeba było zacząć nową grę.

Wyplływali właśnie na szerokie wody szarozielonego Atlantyku, a w powietrzu unosił się zapach spalenizny i słonej, morskiej wody. Niedaleko od niego dziewczyna w białej, powiewnej sukni stała przy balustradzie, przytrzymując dłońmi . niesforny kapelusz. Ukośne promienie popołudniowego słońca I oświetlały jej twarz, a fałdki spódniczki mierzwił wiatr.

Nagle odwróciła się i złapała wzrok Collisa. Była blondynką o ciemnoniebieskich oczach i szwedzkich, kanciastych rysach. Collis powstał i uniósł lekko cylinder w jej stronę, ale odwróciła się, nie dając po sobie poznać, że go w ogóle zauważyła, i odeszła chłodno w dół, aż zniknęła mu z oczu pomiędzy rzędem łodzi ratunkowych.

Kolację podano dwie godziny później. Pięćdziesięcioro pasażerów „Virginii” zostało wprowadzonych do drugiej, oświetlonej naftowymi lampami jadalni i usadzonych przy dwu wąziutkich werniksowych stołach z drzewa klonowego. Każdy z pasażerów siedział przy tanim, gładkim fajansowym talerzu, na którym podrygiwała twarda czerstwa bułka, przewalając się ze strony na stronę w rytm kołyszącego się, chwiejnego statku. „Virginia” przepłynęła Long Branch na wybrzeżu New Jersey i skierowała się na południe, ku Atlantic City, które było pierwszym portem, gdzie miała się zatrzymać. Fale oceanu były coraz potężniejsze i pokład parowca przechylał się na boki, kolebał, wznosił i opadał, co w połączeniu z silnym odorem kiepsko oczyszczonych lamp naftowych nie sprzyjało apetytom pasażerów.

Siedzieli naprzeciw siebie w czterech rzędach, po dwanaście osób w każdym, obcy sobie nawzajem, skrępowani. Jeden ze stołowników, siedzących u szczytu stołu, podawał wszystkim sos do pieczenia i choć większość z nich starała się podjąć lekką i przyjemną towarzyską rozmowę o podróżach i mal de mer*, tuż po pierwszej kolejce zalewajki zaczęli grzecznie przeproszać i opuszczać jadalnię z włosami stającymi dęba na skutek porywistego wiatru na zewnątrz, na pokładzie, i z twarzami koloru wytartych banknotów.

Collis zjadł trochę zupy, odmówił puddingu* z baraniny i zakończył posiłek gumowatym żółtym serem i bezsmakowymi krakersami, popijając wszystko ciepłym lagerem*.

Pogadał trochę z młodym studentem z podkreśnionym wąsikiem, ubranym w płócienny surdut, który leżał na nim tak smętnie, jakby go przewieszono na oparciu kuchennego krzesła, i zamienił parę słów z grubą Niemką, która jadła wszystko, co przed nią postawiono, i wycierała usta wierzchem dłoni, tak że jej ręka lśniła od tłuszczu. Ale nie było śladu dziewczyny, którą widział przedtem na pokładzie. Prawdopodobnie leżała u siebie w kajucie, z chusteczką zamoczoną w solach

trzeźwiających na czole. Na parowcu takim jak „Virginia” pasażerowie czuli się niczym rozchukane dzieci na huśtawce; łopatkę turbin zabierały większość miejsca w śródkreściu, a to oznaczało, że rzucało nimi w górę i w dół, miało od rufy po dziób, nawet na bardzo spokojnym morzu, więc odczuwali mdłości i zawroty głowy.

Po kolacji Collis wyszedł, by przejść się po pokładzie. Jego własny żołądek uspokoił się teraz, choć dalej żałował, że wypalił przedtem cygaro. Było już teraz zupełnie ciemno i na lśniącej powierzchni morza mógł dojrzeć od czasu do czasu wirujące iskierki świateł z New Jersey albo zanurzające się i znów wylaniające na powierzchnię wody czerwone światła przybrzeżnych łodzi rybackich. Spojrzał w górę na gęste kłęby dymu, który buchał w ciemności nocy z wysokiego, chudego komina „Virginii”, i na światła masztów tańczące w chłodnym powietrzu wieczora. Było zbyt pochmurnie, by widzieć gwiazdy. Trochę dalej na pokładzie znów zobaczył dziewczynę w białej sukni. Była teraz opatulona przed chłodem nocy w ciemnozielony pled i znajdowała się w towarzystwie drugiej kobiety, tak maciupieńkiej, że prawie karłowatej, ubranej w brązową salopkę. Stały razem, przyglądając się pianie tryskającej spod turbin parowca, ale nie odzywały się do siebie. Collis podszedł do nich, uchylił cylindra i skłonił się lekko przed nimi.

– Moje uszanowanie paniom – rzekł z galanterią. – Nazywam się Collis Edmonds.

Jestem z Nowego Jorku.

Blondynka odwróciła się ku niemu i zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. Jej oczy, nawet w przygaszonym świetle pokładu spacerowego były wyjątkowo niebieskie. Z bliska miała rysy nieregularne, które sprawiały, że twarz jej nie była może piękna, ale za to wyjątkowo interesująca, w ten sam sposób, w jaki interesujące jest dzikie, egzotyczne zwierzątko. Oczy miała rozstawione nieco zbyt szeroko, a zęby troszeczkę nierówne, ale za to jej wysokie kości policzkowe i prosty nos były naprawdę klasyczne. Na szyi zawieszoną miała wstążeczkę, na której umocowana była niebiesko – biała kamea. Twarz miała poważną, bez uśmiechu.

Pierwsza odezwała się liliputka. Wystąpiła naprzód i stanęła na wprost Collisa tak blisko, że jej czarne trzewiczki dotykały niemalże nosków jego kamaszy. Uniosła szylkretowy lorgnon do swych czarnych jak dwa paciorki różańca oczu. Collis miał niemiłe uczucie, że za chwilę ugryzie go w nogę.

– Młody człowieku – powiedziała piskliwym głosem z wyraźnym, baltimorskim akcentem – jeśli nie zabierze się pan stąd, i to już, hop – siup, i nie przestanie się pan nam naprzykrzać, to zawołam kapitana statku i z jego pomocą wyrzucimy pana za burtę.

Collis uśmiechnął się na to, ale oczy dalej miał utkwione w jasnowłosej dziewczynie i nadał swej twarzy wyraz dobrotliwej szczeroci – najlepszy, na jaki go tylko było stać.

Dziewczyna robiła, co mogła, aby się nie uśmiechnąć, ale kąci jej warg zadrgały leciutko, więc szybko spojrzała w inną stronę, w razie gdyby wziął to za zachętę do kontynuowania swoich awansów.

– Nie żartuję – zapisała karlica. – Wynocha stąd albo skąpie się pan za chwilę w wodzie, po drugiej stronie balustrady.

Collis pochylał się naprzód. Stał teraz tak blisko niej, że wyglądało, jakby wpatrywali się w siebie przez jej binokle – on z jednej, ona z drugiej strony.

– Czymże byłoby przepłynięcie choćby i dziesięciu oceanów, gdyby nagrodą za taki wyczyn było spotkanie z panią.

– Co mi pan tu bredzi o jakichś dziesięciu oceanach – rzekła karlica dalej naburmuszona i zrzędliva, choć pochlebstwo wyraźnie mile ją polectało. – Jest ich tylko pięć, w tym dwa za zimne, żeby można je było przepłynąć. A poza tym jesteśmy obie mężatkami i mam nadzieję, że na tym koniec, kropka.

– Nie miałem pojęcia, że złożenie wyrazów uszanowania mężatkom uchybia im w jakikolwiek sposób – odparł Collis. – Jesteśmy w końcu na pokładzie spacerowym parostatku i trudno wyobrazić sobie miejsce spotkania mniej podatne na błędną interpretację.

– Wolalabym, żeby w ogóle nie było powodów do błędnych interpretacji – odparła tamta. – No, dość już tej zabawy w podchody. Naprawdę nie ma tu już żadnego baru, gdzie mógłby się pan udać w poszukiwaniu odpowiedniego dla siebie towarzystwa?

– Jest pani bardzo obcesowa – rzekł Collis. – Chociaż jak tak pomyśleć, to zawsze słyszałem, że pod surowym obejściem niezmiennie kryje się najdelikatniejsza natura.

– Co za zuchwalec! A teraz lepiej, żeby już pan sobie stąd poszedł.

– Pójdę, gdy dowiem się, kto mnie tak odprawił pięknie z kwitkiem.

Liliputka wydała z siebie cieniutkie, zrezygnowane westchnienie.

– Trzeba przyznać, że oprócz tupetu nie brakuje panu również wytrwałości. No, więc dobrze: nazywam się Mrs John Edgeworth, a moja towarzyszką podróży to Mrs Walter West.

Jadę do Charlestonu, a Hanna, Mrs West, dalej, do San Francisco, żeby połączyć się z mężem.

– A pani mąż, Mrs Edgeworth? Karlica opuściła binokle na piersi.

– Niedobrze z nim, niestety, wyznać muszę. Dlatego właśnie jadę do Charlestonu.

– Tak mi przykro – rzekł Collis. – Mam nadzieję, że to nic poważnego.

Mrs Edgeworth nie odpowiedziała. Mrs West położyła dłoń na jej ramieniu i rzekła do Collisa miękim, głębokim głosem: – Mr Edgeworth miał wypadek. Napadli go bandyci. Był w podróży służbowej, sprzedawał importowane kilimy. Jest to... jest mężczyzną niewielkiego wzrostu, podobnie jak jego żona. Szpital telegrafował, że ma bardzo małe szanse na przeżycie.

– Wobec tego proszę przyjąć wyrazy mego głębokiego współczucia, Mrs Edgeworth – rzekł Collis.

– Jeśli nie uzna pani tego za zuchwalstwo, będę się modlił za niego.

Mrs Edgeworth wysiąkała głośno nos w maleńką, obszytą koronkową lamówką chusteczkę.

– To bardzo ładnie z pana strony, Mr Edmonds. Dziękuję za dobre chęci.

– A pan? Dokąd pan się wybiera? – spytała Mrs West. Nocny wiatr rozwiewał jej włosy w poplątane loki.

– Tak jak pani – odparł Collis. – Podejrzewam, że brzmi to bardzo pospolicie, ale jadę szukać szczęścia i fortuny na Zachodzie.

– Nie wygląda na to, żeby Wschód tak pana znowu źle traktował. Chyba musiało się tu panu nieźle powodzić?

Collis wzruszył ramionami.

– Zawsze szuka się czegoś lepszego, wie pani. Słyszałem, że można się szybko wzbogacić w Kalifornii, tylko trzeba zakasać rękawy i nie bać się roboty. No i trochę szczęścia też się zawsze przyda. A czym się trudni pani małżonek, jeśli wolno spytać?

– Handlem detalicznym – odparła Mrs West. – Ma własny sklep na Montgomery Street. Pasmanteria, galanteria i inne drobiazgi – tego typu rzeczy.

Otworzyła malutką, wysadzaną cekinami portmonetkę i wyjęła z niej portretowe zdjęcie, które podała Collisowi z nieśmiałym, lecz dumnym uśmiechem. Grzecznie przyjrzał się fotografii, ale – przy świetle latarni na statku – widział tylko sztywnego, wyprostowanego mężczyznę około trzydziestki, z równo podstrzyżoną bródką i o nerwowym spojrzeniu. Oddał ją jej bez komentarza.

– Wyjechał do San Francisco dwa i pół roku temu – rzekła Mrs West. – Pisaliśmy do siebie oczywiście, ale list to nie to samo co prawdziwy, żywy uścisk. Tęskniłam za biednym Walterem ogromnie, a on tęsknił za mną.

– Musi się pani bardzo cieszyć na to spotkanie.

Uśmiechnęła się.

– Dopóki go nie zobaczę, nie uwierzę, że to wszystko prawda, a nie tylko jakiś sen.

– Szczęściarz z niego.

Nastąpiło kłopotliwe milczenie. Teraz, gdy wiedział już, że Hanna West była mężatką i że bardzo przywiązana była do męża, nie miało sensu kontynuowanie tej oficjalnej i sztucznej konwersacji. Gdyby chodziło tu o zamężną damę z nowojorskiej socjety, sprawy mogłyby jeszcze ułożyć się inaczej, ale Collis wiedział dobrze, jak niewzruszone były zasady moralne mieszczaństwa. A jednak, pomimo głośnych, piskliwych protestów Mrs Edgeworth, było jasne, że obie kobiety czuły się osamotnione i załęcznione i po prostu wydawało mu się, że nie powinien zastawić ich na pastwę losu tylko dlatego, że Mrs West nie nadawała się do pokładowego romansiku. To świadczyłoby o braku kultury z jego strony. Pochylił się nad balustradą, przyglądając się spienionym falom i zastanawiając się, czy jego żołądek zniósłby jeszcze jedno cygaro, czy też raczej jego nerwy będą musiały się obejść bez paliatywów.

– Walter zbudował sklep dosłownie z niczego, od podstaw – rzekła Hanna West. – Pisał, że na samym początku, kiedy się tam dopiero co zainstalował, krowy pasły się jeszcze na Montgomery Street. Ale teraz podobno zaczyna już tam wkraczać cywilizacja. Zeszłego roku na przykład zaczął

sprzedawać walencjanek i tak się to doskonale przyjęło, że musiał zamówić pięć razy więcej na przyszłą dostawę.

Znowu była przerwa, a potem Hanna West ciągnęła: – Prawie się boję tego spotkania, wie pan? Upłynęło tak wiele czasu odkąd się rozstaliśmy. Tyle razy starałam się sobie przypomnieć, jak brzmi jego głos i w ogóle, jak on wygląda, ale to naprawdę bardzo trudne.

Mrs Edgeworth wyciągnęła rękę i poklepała ją po ramieniu.

– Nie powinnaś się tym tak przejmować, moja droga. Z tego przejścia chodzi jak nakręcona, a to akurat dobre dla zegarków. Niech pan pilnuje, żeby się tak tym wszystkim nie przejmowała, Mr Edmonds; żeby się trochę rozluźniła.

– Dołożę wszelkich starań – zapewnił ją Collis. Hanna spojrzała w inną stronę. Prawie cała jej twarz ukryta była w cieniu kapelusza, ale gdy się wreszcie odezwała, nikła struga światła prześlizgnęła się po jej policzku, tak że Collis widział poruszenie się jej warg.

– Tchórz ze mnie po prostu, i tyle – powiedziała swoim głębokim, gardłowym głosem.

– Biedny Walter jest taki dzielny. Pojechał przecież zupełnie samutki, założył biznes, a ja tu drzę na samą myśl o tym spotkaniu.

– A dlaczego nie pojechali państwo razem? – zapytał Collis.

Hanna spuściła nieco głowę.

– Ze względu na moją matkę. Miała zaawansowane suchoty. Nie mogłam jej zostawić samej.

– Naturalnie. Co za nieszczęście.

– Proszę się nie litować. Bardzo to ładnie z pana strony, że tak pan mówi, ale prawdę powiedziawszy, tyle się wycierpiała, że lepiej jej jest na cmentarzu. Przynajmniej spoczywa z Bogiem w pokoju.

– Amelia to prawdziwa święta – oznajmiła Mrs Edgeworth – nie ma dwóch zdań. Ale Hanna też miała anielską cierpliwość i tyle samozaparcia, żeby się nią tak długo zajmować.

Zmarła po długich i ciężkich cierpieniach. Przeciągało się to w nieskończoność, rozumie pan, co mam na myśli.

Collis spojrzał w górę i nagle, ni z tego, ni z owego, zdał sobie sprawę, że Hanna West wpatrywała się w niego uporczywie. Doznał dziwnego wrażenia, że cała ta paplanina o sklepie Waltera Westa i śmiertelnej chorobie matki nie była niczym więcej, jak tylko czymś w rodzaju zasłony dymnej, którą osłaniała to, co naprawdę działo się pomiędzy nimi. Nie powiedzieli sobie nic intymnego ani ważnego, a mimo to wytworzyło się między nimi dziwne napięcie i niepokój. Pokład wznosił się i przechylał pod ich stopami. Turbiny pienily morską wodę. Ale przez chwilę, która była zbyt długa, by można ją było uznać za przypadkową, przyglądali się sobie jak dwoje ludzi, którzy wiedzą, że już się kiedyś spotkali – dawno, dawno temu.

Odwrócił wzrok. W oddali zobaczył światło morskiej latarni w zatoce Barnegat. Tak cicho, że Hanna ledwo go mogła usłyszeć, powiedział: – Niełatwo dzisiaj o świętych i anioły.

Rozmawiali jeszcze przez jakiś czas o San Francisco i Nowym Jorku, o modzie i polityce.

Z tego, co mówiła Mrs West, wyglądało, że jej mąż był entuzjastycznym stronnikiem Johna Frémonta* – abolicjonisty, który o mały włos zostałby pierwszym republikańskim prezydentem Stanów Zjednoczonych – i że w sposób niemal religijny był przeciwnikiem niewolnictwa.

– Kiedy Walter mówi o wyzwoleniu niewolników – rzekła Hanna – brzmi to, jakby przemawiał prosto z raju.

Collis starał się uśmiechnąć. Nawet ze zwykłym, ziemskim mężem trudno by mu było iść w zawody, pomyślał, a co dopiero z takim niebiańskim. No, ale chociaż przekonania polityczne Waltera Westa zgadzały się z przekonaniem Collisa, więc była szansa na jakąś przyjaźń w przyszłości. Z dwu – stoma dolarami w kieszeni i bez widoków na zatrudnienie Collis potrzebował przyjaciół – każdy będzie mile widziany w tej roli. No i znajomość z Walterem Western pozwoliłaby mu na utrzymanie kontaktów towarzyskich z Hanną. Lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu, jak to mówią, ale Collis nie miał nawet wróbla, więc będzie się musiał na razie zadowolić gołąbkami na jakimś innym dachu.

W końcu, parę minut po dziesiątej, Hanna i Mrs Edgeworth zdecydowały się na powrót do kajuty i Collis uniósł cylinder, życząc im dobrej nocy. Zanim Hanna odeszła, znów spojrzała na niego tym dziwnym, przeciągłym, magnetycznym wzrokiem, z oczami tak niebieskimi jak chińska porcelana, a on sam też przyłapał się na tym, że patrzy jeszcze za nią, gdy zamknęła za sobą lakierowane drzwi saloniku. Być może przypominał jej męża. Ale znowu z drugiej strony może i wcale nie. Wyjął cygaro i odciął jego koniuszek w zamyśleniu.

Za wcześniej jeszcze było na nocny spoczynek. Czuł się zmęczony, ale wiedział, że i tak nie mógłby zasnąć. Dzielił kajutę z brodatym Łotyszem, który wniósł na statek przytłaczającą ilość papierowych pakunków wszelkiego asortymentu, przewiązanych sznurkiem i zalakowanych woskiem. Collisowi nie chciało się zbytnio leżeć z otwartymi oczami w otoczeniu przypominającym przechowalnię bagażu na dworcu kolejowym Nowy Jork – Harlem.

„Virginia” miała dwanaście kajut – sześć dla mężczyzn i sześć dla kobiet i wszystkie były dwuosobowe. Pasażerowie, których nie stać było na kajutę, lub ci, którzy przybyli zbyt późno, aby wykupić miejscówkę, musieli spędzić noc w jadalni albo na zewnątrz, na pokładzie, opatuleni kocami. W głębi oświetlonej lampami naftowymi jadalni, za jednym ze stołów jadalnych, Collis zauważył pięciu czy sześciu pasażerów siedzących przy otwartej butelce whisky i grających w karty. Doszedł do wniosku, że parę kieliszków wódki oraz partyjka faraona dobrze by mu zrobiły. Wypali do końca cygaro, popatrzy jeszcze przez jakiś czas na wybrzeże, które przesuwało się obok, a potem pójdzie do środka i spróbuje szczęścia w partyjce faraona, postanowił.

Znowu wrócił pamięcią do Delfiny. Starał się w myślach ułożyć do niej list. „Delfino, najdroższa moja, mój aniołku; teraz, kiedy nieubłaganie oddalam się wciąż od Ciebie...”; „Moja najdroższa, najukochańsza Delfino. Wyteżam wzrok w ciemnościach, starając się znaleźć słowa, którymi mógłbym wyrazić...” Niesamowite – ale naprawdę nie wiedział, o czym pisać! Mógłby zapewnić ją, oczywiście, że ją kocha, ale czy słowa te byłyby szczere? Rozbudziła jego zmysły i wznieciła w nim burzliwą namiętność, ale jakoś zbyt mało o niej wiedział, by móc naprawdę ją pokochać. Nie wiedział, czy przeczytałaby ten pełen oddania list od niego ze łzami w oczach, czy też zanosząc się

dziewczęcym chichotem. Nie był pewien, czy była w nim naprawdę zakochana, czy też po prostu kpiła sobie z niego w żywe oczy, choć dalej pamiętał podniecające doznania ich ostatnich spędzonych razem chwil. Owszem, wyglądało na to, że gotowa była oddać mu się całkowicie; ale teraz zdawało mu się, że tak naprawdę nie obnażyła przed nim najistotniejszych tajemnic swego wnętrza – tych, które sprawiały, że była nie kim innym, tylko właśnie Delfina.

Zmiał w myślach niewidzialny list, którego nie udało mu się sklecić, i wyrzucił go w fale wzburzonego morza. Może z perspektywy paru miesięcy lub lat będzie w stanie pomyśleć o Delfinie z rezerwą i z dystansem. Może wtedy będzie wiedział, o czym do niej pisać. Problem polegał na tym, że na razie nie miał dla niej żadnej innej nowiny prócz tej, że właśnie przedstawił się kobiecie, której oczy rozbudziły jego wyobraźnię. I to w sposób równie podniecający, jak dyskretnie rozszerzone uda Delfiny pobudziły jego libido.

Cisnął swoje na pół dopalone cygaro w ślad za nie napisanym listem. Potem wsadził rękę do kieszeni surduta, zadzwęczał garścią srebrniaków i poszedł przyłączyć się do karciarzy.

Kiedy przechodził przez jadalnię, wśród niebieskiego obłoczka dymu z cygar i fajek, jeden z graczy – ten, który pełnił funkcję krupiera – cherlawy człeczyna w brązowym surducie i bryczesach w kratkę, odsunął przed nim krzesło, nie podnosząc nawet oczu.

– Siadaj pan – rzekł lakonicznie. – Wiedziałem, żeś pan karciarz, jakem cię tylko zobaczył.

*

Stali obok siebie na rufie, pod kremowym od pierzastych chmurek niebem, machając Mrs Edgeworth na pożegnanie. Obładowana lipowymi kuframi, opuszczała statek w porcie w Charleston. Na przystani orkiestra dęta, w czerwonych marynarkach ze złotymi sutaszami, grała na swych lśniących, wyczyszczonych na połysk instrumentach – choć nie na cześć Mrs Edgeworth, oczywiście. W oddali gromada ptaków poderwała się z dachów pobielanych w stylu kolonialnym i pofrunęła w stronę wyspy Świętego Jakuba. Hanna West ubrana była w prostą, szarą, wiosenną pelerynkę i niebieski kapelusik. Stała o kilka kroków od Collisa, tak że nawet przypadkowy przechodzień mógł zauważyć, że nie byli małżeństwem, lecz tylko parą dobrych znajomych. Collis w swym dziennym, beżowym surducie i ciemnobrązowych spodniach, wyglądał raczej blado, a pod oczami miał sine podkwy. Tę ostatnią noc spędził znowu na grze w faraona, a kiedy wrócił tuż przed świtem do swojej kajuty, jego łotewski towarzysz podróży wyjął butelkę pędzonej własnym przemysłem śliwownicy i wznosił nie kończące się serie na cześć wspaniałego zjednoczenia, na cześć wspaniałego prezydenta Stanów, Buchanka*, na cześć wspaniałych środków lokomocji tego kraju oraz na cześć wspaniałego parostatku „Virginia”.

Collis wdrapał się wreszcie na górną kondygnację swojej koi o siódmej rano. Głowa pękała mu z bólu, jakby ktoś przyłożył mu obuchem w łeb. Sen miał czujny i niespokojny, a kiedy się przebudził, była już dziewiąta i „Virginia” przycumowała w Charleston. Nie miał jakoś okazji, by porozmawiać z Hanną West. Kiedy Hanna i Mrs Edgeworth ścisnęły sobie ręce, całowały się na pożegnanie i przyrzekały pisać do siebie regularnie, został celowo w tyle. Potem ziewnął ze zmęczenia.

W końcu Mrs Edgeworth zniknęła w ciżbie tragarzy, woźniców i najemników portowych, którzy uwijali się w zgielku po przystani, krzycząc, nawołując i przepychając się w tłoku, a Hanna odeszła

od balustrady i przez chwilę stała samotnie, zasmucona. Fotograf z głową owiniętą czarną płachtą, sfotografował tę scenę ze stojącej w pobliżu platformy. Ponieważ Hanna była jedną z niewielu osób, które się nie poruszały, wyszła na zdjęciu, gdy ukazało się później w druku, bardzo wyraźnie: samotna kobieta na pokładzie statku, w otoczeniu mglistych, rozmazanych duchów.

Collis powiedział: – Przecież nie jest pani sama. Czeka na panią męż. Hanna podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego.

– Jest pan prawdziwym dżentelmenem, Mister Edmonds. Kiedy pana po raz pierwszy zobaczyłam, miałam co do tego pewne wątpliwości. Przepraszam za te podejrzenia, ponieważ zachowuje się pan w stosunku do mnie niezmiernie życzliwie.

– Zależy mi tylko na tym, żeby dotarła pani bezpiecznie do swego miejsca przeznaczenia – rzekł Collis.

Nie był całkowicie pewien, czy to, co mówił było rzeczywiście zgodne z prawdą, ale widocznie wywarło to na niej korzystne wrażenie, bo uśmiechnęła się leciutko i kiwnęła głową, jakby poczuła się tym pokrzepiona. Przez jakiś czas chodziła po deskach pokładu tam i z powrotem, nabierając powietrza do płuc, a Collis, choć posuwał się za nią, zachowywał odpowiedni dystans, ponieważ teraz, gdy nie było z nimi Mrs Edgeworth zbyt spoufalanie się z Hanną mogłoby być nie na miejscu. Zresztą, jeżeli nie uda mu się nic wskórać i Hanna pozostanie nieczuła na jego umizgi, to po kiego licha ma spędzić tyle czasu, eskortując ją wokół pokładu i trawiać czas na niczym, podczas gdy ona po raz piąty – jak go zapewniała – zajęta jest czytaniem Chaty wuja Toma lub robieniem koronkowych serwetek pod filizanki, doniczki lub ramki fotograficzne. W odpowiedzi tłumaczył sobie, że robi to głównie dlatego, że i tak nie ma, jak na razie, nic lepszego do roboty na tym nudnym, warkoczącym, przyprawiającym o mdłości parowcu. Nic oprócz kart, tytoniu oraz alkoholowych toastów ku czci imponujących, ale nierealistycznych przymiotów życia Ameryki. Ale może i było w tym coś więcej. Może z jakiegoś powodu polubił ją, tak jakoś po prostu.

– Wie pan – powiedziała – nigdy przedtem nie wybierałam się dalej od Bostonu niż do Wakefield. Wydaje mi się, że to taki świat drogi od domu! A jednak niech pan spojrzy na tych ludzi na nadbrzeżu – zachowują się tak, jakby nie miało to dla nich najmniejszego znaczenia, że żyją w takiej odległej krainie.

– San Francisco jest jeszcze dalej – rzekł Collis. – I to sporo.

Hanna kiwnęła głową i przygryzła wargi, jakby zastanawiała się nad czymś bardzo głęboko. Potem powiedziała: – Mr Edmonds, czy zdziwiłby się pan, gdybym powiedziała, że przeraża mnie to wszystko okropnie?

Tym razem spojrzął na nią poważnie, wzrokiem pełnym żalu i współczucia, a potem pokręcił głową w zamyśleniu.

– Nic a nic. Dla kogoś, kto nigdy nie był dalej od Bostonu niż w Wakefield, musi to być nie lada wyprawa. Szczególnie dla kobiety tak subtelnej jak pani.

– Nie o to mi chodzi – powiedziała. Wydawała się niemalże zagniewana.

– Nie? A więc o co? Nie rozumiem.

– Myślałam, że może się pan domyślił. Wygląda pan na człowieka... no powiedzmy... wrażliwego.

– Może i jestem wrażliwy, ale cudzych myśli czytać nie umiem.

– Ma pan rację. To byłoby raczej trudne – zgodziła się.

Uniosła w górę dłoń i machinalnie odpinała i zapinała rękawiczki. – Zbyt trudne jak dla pana, prawda?

– Mrs West, jeżeli mi wolno zauważyć, jesteśmy sobie zupełnie obcy.

Przeszyła go wzrokiem. Jej niebieskie oczy świdrowały go na wskroś. Jednak potem złagodniały troszeczkę.

– Może zbyt wiele było panu wolno do tej pory – rzekła wreszcie. – Ale nie jest mi pan obcy. Już teraz nie. Więc teraz niech mnie będzie wolno powiedzieć, że bliższa zażyłość z panem nie jest mi niemiła.

– O! – rzekł Collis z lekkim chrząknięciem, które zdradzało rozbawienie. – Cieszy mnie to, Mrs West.

– Mr Edmonds... – powiedziała.

– Proszę mi mówić po imieniu; szczególnie, że nie jesteśmy już sobie obcy. Nazywam się Collis.

– Więc... Collis – rzekła po krótkiej przerwie, oblawszy się rumieńcem. – Zostałam wychowana w bardzo rygorystycznej, katolickiej rodzinie. Przyjaźniliśmy się z księżmi i z samym kardynałem i każdej bez wyjątku środy któryś z księży zasiadał z nami do wieczery.

Musi pan zrozumieć, że zanim udało mi się wreszcie dojść do ładu z samą sobą, zrozumieć – we własnym pojęciu – istotę Boga i zastanowić się nad tym, czego On ode mnie żąda, jakiej życiowej postawy ode mnie wymaga... no cóż... zajęło mi to wszystko wiele, wiele lat. I muszę przyznać, że nawet teraz jeszcze sama nie mogę się nadziwić, jak się zdobyłam na taką butą.

– A co nazywa pani butą?

– Wyszłam za mąż za protestanta. Wbrew woli ojca, wbrew woli matki. Wbrew księżom i wszystkim innym. Matka pomstowała na czym świat stoi. Ale ja kochałam Waltera i kiedy poprosił mnie o rękę, powiedziałam „tak”.

Collis pozostawał przez jakiś czas w milczeniu, przypatrując się, jak cienie z dymiącego komina statku prześlizgiwały się po jej twarzy. Potem zapytał łagodnie: – Dlaczego mi to pani mówi?

– Sama nie wiem. Może po prostu muszę się przed kimś wygadać. Jestem teraz zupełnie sama, Mr Edmonds, a kiedy człowiek jest sam i taki ciężar leży mu na sercu, to czepia się pierwszej lepszej okazji, żeby się z kimś podzielić swoją zgrzyotą.

– Proszę mi mówić po imieniu.

– Przepraszam. Więc dobrze... Collis.

Odwróciła od niego wzrok ku przystani w Charleston, ku odległym, pagórkowatym konturom Fort Sumter. Morska toń migotała w porannym słońcu. Mówiła, jakby recytowała akt prawny, który został naszkicowany i opracowany w tych samotnych chwilach, gdy czuwała przy łóżku umierającej matki.

– Sprzeniewierzyłam się mojej religii, mojej rodzinie i wyszłam za mąż za protestanta.

Dlatego też, kiedy Walter zdecydował się na wyjazd do San Francisco, a matka zapadła na zdrowiu, musiałam zostać. Zostałam na dwa lata, opiekując się nią, karmiąc ją, zmywając po niej płowociny i zmieniając pościel. Było to przygnębiające i okropne, ale powtarzałam sobie, że to po prostu pokuta, którą muszę odbyć za to moje nieposłuszeństwo. Każdego wieczora klękałam do modlitwy i dziękowałam Najświętszej Maryi Pannie za to, że raczyła darować mojej matce życie przez jeszcze jeden dzień, choć każdy taki dzień oznaczał przeciąganie się rozłąki z Walterem.

Przerwała i zwilżyła wargi końcem języka. Wyglądała bardzo blado i jej oczy mokre teraz były od łez, choć Collis nie był pewien, czy wycisnął je żal, czy też morski wiatr.

– Kiedy matka umarła – ciągnęła Hanna ochryple – myślałam, że oto skończyła się moja udręka. Spłaciłam Bogu i Najświętszej Maryi Pannie dług za poślubienie Waltera. Ale nie zdawałam sobie sprawy, że karząca dłoń Boża dosięgnie mnie w sposób aż tak okrutny.

– Okrutny?

Odwróciła się ku niemu i widział teraz wyraźnie, że płakała. Powiedziała zdławionym głosem: – Moja rozłąka z Walterem trwała dwa lata, Collis. Dwa lata z dala od męża, którego się kocha, to wieczność. Zmieniłam się. Jestem teraz kimś zupełnie innym, niż byłam w przeszłości. Stałam się chyba bardziej niezależna i mniej popędliwa. Uważam też, że jestem dużo silniejsza. Uwierz mi, Collis, mycie umierającego ciała własnej matki sprawia, że człowiek staje się silniejszy. Uważam, że mam teraz wewnętrzną odwagę, której niegdyś mi brakowało.

– Tak? Mów dalej. I jakie to ma znaczenie?

Wyjęła z torebki chusteczkę, ale nie wytarła oczu.

– Ogromne – odparła. – Uważam, że jestem teraz lepiej dysponowana, by wesprzeć Waltera w biznesie i że mogę stawić czoło trudnościom pionierskiego życia bardziej, niż mogłabym to zrobić przedtem.

– Jest jednak jakieś „ale”? – odpowiedział.

Spuściła głowę. Potem spojrzała w górę jeszcze raz, ale jej gardło ścisnęło się z żalu, więc nie mogła odpowiedzieć od razu. Collis czekał, aż ochłonie, nie poruszając się, podczas gdy orkiestra na nadbrzeżu grała „Królową Południa”.

– Chyba go już nie Kocham – rzekła wreszcie Hanna. – To jest właśnie ta moja pokuta.

Mordować się przez dwa lata w rozłące, pracować dzień i noc, by ulżyć matce, ciągle z wiarą, że kiedyś przyjdzie temu kres, że odnajdę utracone szczęście i wzajemną miłość, a potem zrozumieć,

że wszystko, dla czego tyle wycierpiałam, obraca się w proch. Nie w sercu Waltera – sędzę, że on nadal mnie kocha. Tylko w moim sercu.

Zamilkła na chwilę, a potem dodała: – Wyjmuję tę fotografię, wpatruję się w nią i myślę: kimże ty jesteś na tym Bożym świecie? Po co ja podróżuję taki szmat drogi do ciebie. Nic przecież o tobie nie wiem.

Collis rzucił jej krótki, nerwowy uśmiech.

– Moim zdaniem jesteś po prostu przewrażliwiona. Masz rozstrój nerwowy, nic więcej.

Pokręciła głową przecząco.

– Znam samą siebie, Collis. Spędziłam wiele nie przespanych godzin, trzymając rękę matki w moich dłoniach, w ciszy i mrokach nocy – wiem, na co mnie stać. W śmiertelnej ciszy nocnej widzi się potworności dnia takimi, jakimi są naprawdę.

Collis wykrzywił twarz w grymasie.

– Moim zdaniem jesteś wyczerpana i dokucza ci samotność, nie żaden gniew Boży.

Kiedy znajdziesz się w San Francisco i kiedy znowu połączysz się z Walterem, zobaczysz wszystko w innym świetle. Musiałaś go kochać, kiedy się pobieraliście, a nie mógł przecież zmienić się tak bardzo, żebyś nie mogła go znowu pokochać. Nie przypuszczam, żeby tak zbrzydł przez dwa lata albo kompletnie wyłusiał.

Hanna wzruszyła ramionami.

– Ja też nie sędzę, że tak się stało. Ale nie chodzi o twarz, o wygląd. Albo o włosy.

Chodzi o niego samego – to mnie gnębi. Po prostu wydaje mi się, że już go nie kocham.

Collis wziął ją za rękę. Był to z jego strony śmiały gest, ale w tych okolicznościach nie protestowała. Przytrzymał jej dłoń w uścisku blisko siebie i dużo mocniej, niż na ogół trzymałby rękę żony innego mężczyzny. No, ale w końcu facet był ciągle jeszcze dobry kawał drogi stąd, a jego żona potrzebowała więcej niż zwykłego współczucia.

– Możesz przecież zawsze wrócić z powrotem – rzekł łagodnie. – Możesz wysiąść nawet tu, w Charlestonie, i zabrać się następnym parowcem do Bostonu. Ja zawiózłbym list od ciebie do Waltera.

Pokręciła głową.

– Wiem, że tego zrobić mi nie wolno. Oprócz tego, jedyną rodziną, jaką zostawiłam w Bostonie, jest mój brat, a nie jesteśmy ze sobą w najlepszych stosunkach.

– Wobec tego nie masz innego wyjścia, jak tylko czekać i zobaczyć, co przyniesie los.

– A jeśli nasze spotkanie potwierdzi tylko moje obawy? Co wtedy?

Collis wypuścił z dłoni jej rękę. Opuściła ramiona w bezwładzie.

– Nie wiem – odparł. – Naprawdę nie wiem. Gdybym tylko znał odpowiedź na to pytanie!

Spojrzała na morze ponad zabudowaniami przystani.

– Niezbadane są wyroki niebios. Czasem zdarzają się cuda – powiedziała. W jej głosie słychać było odrobinę goryczy, ale tylko odrobinę. Wyglądało, jakby współczuła Bogu w Jego kłopotach, ponieważ musi On podejmować się nawet najdrobniejszych zadań okrężną drogą, za pomocą cudów, proroczych objawień i nadprzyrodzonych łamigłówek.

– Zawsze przecież możesz się rozwieść, jeśli naprawdę nie będziesz mogła go znieść – powiedział Collis.

– Nie, ja bym nie mogła – odparła. – Nie zapominaj, że jestem katoliczką. A poza tym, nie czuję przecież do niego nienawiści. Nie mogłabym go zranić. Niechęć, jaką do niego czuję, nie ma – prawdę mówiąc – nic wspólnego z nienawiścią. Po prostu mam wrażenie, że to całe nasze małżeństwo to jak taki szary, nudny dzień, kiedy słońce chowa się za chmury i nie chce wyjść.

– Nie uważasz, że zranisz go bardziej, jeśli zostaniesz z nim, nie czując do niego miłości?

To już chyba lepiej się rozwieść.

Myślała o tym przez jakiś czas, a potem znowu potrząsnęła głową.

– Trudno powiedzieć. Tak jak mówisz, Collis, chyba muszę poczekać i zobaczyć, co będzie dalej.

Zwróciła się znowu ku niemu i powiedziała coś jeszcze, ale w tym momencie syrena statku zabuczała żałośnie i Collis zdołał jedynie usłyszeć słowa „a ty ...” Spuszczono z łomotem pomost na nadbrzeże, a wprawione w ruch maszyny zaczęły huczeć i warczeć wśród zgiełku i wrzawy różnych „do widzenia!”, „olinowanie! uwaga!” i „do zobaczenia za rok”, a wszystko to zmieszane było z krzykiem i gwizdem, i ostatnim, refrenem „Chciałbym być w Dixie” w wykonaniu orkiestry dętej na kei. Collis nie miał już teraz możliwości zapytać jej, co powiedziała. Odcumowano statek od kabestanów, syrena znowu odezwała się piskliwie i głos jej odbił się echem poprzez całe wybrzeże, a potem turbiny zaczęły poruszać się i obracać coraz szybciej, wzniesając wokół statku kłęby piany, i „Virginia” znalazła się w drodze do Panamy.

Gdy mijali Fort Sumter, gdzie z murów obronnych powiewała dumnie Haka, Hanna rzekła do Collisa: – Chyba pójdę się położyć. Przynajmniej teraz, kiedy Mrs Edgeworth wysiadła, mam całą kajutę sama dla siebie.

– Życzyłbym sobie tylko, żeby mój przebrzydły współpasażer Łotysz wyniósł się razem z nią – rzekł Collis. – Może spotkamy się na obiedzie.

– Jeżeli znów będą mielone, to na pewno nie – odparła z uśmiechem.

Kiedy odeszła, Collis usiadł na ławce na pokładzie, patrząc, jak „Virginia” zostawiła za sobą cały ten charlestoński harmider i wypływa na otwarte morze. Obok niego, w dobrze skrojonym garniturze w jasnym kolorze z kiprowanej angielskiej tkaniny, siedział mężczyzna po trzydziestce, w kapeluszu z szerokim rondem i sumiastymi wąsiskami, z ostrym nosem i bystrymi oczami –

mężczyzna, który równie dobrze mógł być karciarzem, jak i komiwojażerem. Zniszczona szmaciana torba podróżna leżała u jego stóp jak wierny pies.

– Dokąd się pan wybiera? Do San Francisco? – zapytał z akcentem z Tennessee.

– Owszem.

– A ta kobietka – ta, co poszła teraz do środka – to pańska szanowna małżonka?

Collis wykrzywił twarz w grymasie.

– Niestety nie. A bardzo żałuję.

– No, no, nie użalaj się pan. Wygląda, że nieźle ci tam idzie, panie dziejku – zauważył gość w kapeluszu z szerokim rondem. – Ze sposobu, w jaki na pana patrzy, panie, widać, że ma do pana słabość. Jak nie co więcej. Dlatego myślałem, że to pańska żona.

– Żona to ona jest, nie powiem. Tylko że nie moja. Jej mąż ma sklep w San Francisco.

– Pierwszy raz w tych stronach? – zapytał tamten. Collis przytaknął; oczy musiał trzymać zamknięte, ponieważ raziły go jaskrawe światła odbijające się od powierzchni oceanu.

– Pan pozwoli, że się przedstawię – rzekł jegomość przyjaźnie. – Andrew Jackson Hunt. Ochrzczony tak ku pamięci generała Andrew Jacksona* ma się rozumieć. Jadę do San Francisco, żeby założyć biznes: interesuje mnie hurtowa sprzedaż artykułów spożywczych, a może i otworzę restaurację.

– Miło mi pana poznać – rzekł Collis. – Edmonds z Nowego Jorku.

Przyglądając mu się z bliska, Collis zauważył, że pociągła, lisia twarz Andrew Hunta była śniada. Takiej opalenizny nie widziało się zazwyczaj u nowojorczyków. Nawet puszysty zarost na policzkach wybielał w promieniach słońca, a wokół oczu, stale przymrużonych pod jaskrawym błękitem nieba, wytworzyły się zmarszczki. Jego sposób bycia był również prowincjonalny. Siedząc, wyciągał przed siebie nogi, zajmując przy tym pół pokładu, i jeśli ktokolwiek chciał przejść obok, podciągał je do siebie, uchylając lekko kapelusza, z zabawnym „praszam najmocniej”.

– Niech pan nie obiecuje sobie zbyt wiele po tym całym San Francisco – zagadnął znowu. – Można tam zarobić, jasne, że tak; kto nie kiep, a przy tym robotny, ten sobie radę da. Ale trzeba powiedzieć, że to wszystko jeszcze dzicz. Chlają tam, panie dziejku, i biegają w dół po pagórkach. Nic się tam ciekawego nie dzieje. O, ja to ci, panie, pamiętam, jak John Frémont zbudował tam pierwszy dom! Cały był, panie, z drewna i przyjechał z Chin w kawałkach, do zmontowania. A wszyscy zebrali się naokoło i pękali, panie, ze śmiechu, kiedy Frémont starał się go poskładać do kupy.

– Chciałbym poznać Johna Frémonta – rzekł Collis. – Słyszałem, że to wielka osobowość.

– Aaa, zacny chłop, nie powiem – zgodził się Andrew Hunt. – Chwilami ociupinkę za bardzo drażliwy, jak na mój gust, i nie taki znowu z niego, panie, bohater, jakim go wszyscy okrzyknęli.

Ale myślę, że ludzki z niego chłop. Nie oblał jeszcze huntowskiego sprawdzianu na człowieka, a to mi, panie dziej – ku, najzupełniej wystarcza.

– A jaki to sprawdzian? – dopytywał się Collis, rozbawiony.

– Całkiem prosty. Jak gość robi nie więcej niż dwa głupie błędy na każdą rzecz porządnie wykonaną, ożeni się, panie, z ładną kobietką i nie obstaje przy kandydaturze Jamesa Buchanana na prezydenta, to jest to swój chłop, panie dziejku. Myślę, że Johnowi Frémontowi udało się tego wszystkiego dokonać; może tylko popełnił ździebeńko za dużo głupich błędów.

– Ale teraz chyba już nie mieszka w tym chińskim, drewnianym domku?

– A gdzie tam, panie! Pewno że nie! Ma teraz wielki pałac nad samą zatoką, a Jessie postawiła wokół szklaną werandę, która wychodzi na ocean. Dobrze by było, żeby się pan spotkał z Johnem i Jessie. Jeśli się panu uda. Prawdę mówiąc, jeśli się panu uda, to niech się pan postara zetknąć z rycerstwem San Francisco, bo to najszybsza droga do kariery. Jak chce pan coś znaczyć, to trzeba z nimi trzymać.

– Co to za rycerstwo? – zapytał Collis.

– Mary Bell Gwin jest ich prowodyrem. Ona tam wszystkim dyryguje. To żona senatora Gwina i jeśli ona powie, że nadaje się pan do towarzystwa, to wejdzie pan w nie bez przeszkód. Ale jest również jeszcze Eleonora Martin i Mrs Peter Donahue, siostry bliźniaczki, panie dziejku; są Parrot – towie i Melfordowie, Zathamowie i Selby'owie. Jak się pan nie wkręcisz na żaden z ich bankietów, toś nie jest z rycerstwa.

– A pan? – zapytał Collis. – Udało się panu wkręcić na te ich bankiety?

– Mnie? Żarty pan sobie stroisz, czy co? A po co mnie tam, cholera, łązić na te ich całe śniadania, te ich bale, pikniki, panie, czy co tam jeszcze? Nie poszedłbym do nich nawet, żeby mi do tego dopłacili. Tylko im w głowie, panie dziejku, ostrygi i likiery. Strzepią sobie jęzory, rozprawiając o proszonych kolacjach i wieczorkach tanecznych, zamiast myśleć o rzeczach, które naprawdę są w życiu zasadnicze.

– Rozumiem. A co, pana zdaniem, jest naprawdę w życiu zasadnicze?

– Praca, proszę pana. I przyjaźń. I umiejętność przechytrzenia innych, jak tylko się nadarzy po temu okazja. A nade wszystko, panie dziejku, czyste sumienie.

Collis roześmiał się, ale Andrew Hunt zapytał poważnie: – A pan jak uważasz?

– Słucham?

– Co jest dla pana w życiu rzeczą zasadniczą?

Collis patrzył na niego przez chwilę i już nawet otworzył usta, żeby wyłożyć mu swój pogląd w tej materii, ale nagle zdał sobie sprawę, że właściwie nie wie, co powiedzieć.

– Nie jestem pewien – rzekł po krótkiej przerwie. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Andrew założył nogę na nogę i uniósł w górę opalony paluch.

– Jak już się pan znajdzie w San Francisco – powiedział – to lepiej pogłównij pan trochę i jasno sobie postanów, co dla pana ważne, a co nie, bo to, panie, nie miejsce dla żółtodziobów. Jak pan usiądziesz na kufrze i będziesz się przez dziesięć minut zastanawiać, co robić dalej, to zaraz się pan przekonasz, że ci portki wiszą w powietrzu, bo ci go ktoś gwizdnął spod, że tak powiem, dupska i ani się obejrzyysz, jak ci cały twój dobytek opylą na jarmarku. Import ze Wschodu to nie lada gratka dla takich spryciarzy. W tym mieście, panie, psy zagryzą kota, kot nie przepuści myszy, a handlarze wyłapią, co zostanie, i sprzedadzą do masarni na serdelki, zanim którekolwiek choćby piśnie.

– Miałem nadzieję na jakąś pracę zarobkową, szczerze mówiąc – rzekł Collis, czując się już teraz wyobcowany i zagubiony.

Andrew wyciągnął srebrną tabakierkę i trzepnął w wieczko długimi jak pazury paznokciami.

– Na pracę zarobkową? To w ogóle do niczego; chyba że chcesz pan jechać na wykopki i nabić sobie kabzę złotem. Przynajmniej w moim przekonaniu. Ale pan, panie, jesteś džentelmenem, no nie? Nie powinieneś mieć specjalnych trudności z wyrobieniem sobie chodów. Chyba żeś pan kompletny osioł dardanelski. Spróbuj pan wcisnąć się do towarzystwa – jeśli zaakceptują cię jako arystokratę, czy jest pan nim naprawdę, czy też tylko pan takiego podgrywasz, to będziesz pan mógł wybrać sobie taką pozycję, jaka ci się spodoba.

„Virginia” wypłynęła teraz znowu na otwarte morze i zaczęła przechylać się i kołysać.

Rybitwy sunęły za nią nad Atlantyk, kręcąc się w ciszy ponad kilwatrem. Andrew, osłaniając tabakierkę od wiatru, wziął między palce szczyptę tabaki i zażył porządnego niucha.

Zakręciło go w nosie, parsknął więc raz po raz przez jakiś czas, a potem wyjął dużą, czystą, białą chustkę do nosa i kichnął w nią z sześć czy siedem razy.

– Niech diabli wezmą taki nałóg, panie dziejku – poskarżył się, ponownie upychając chustkę w rękawie. – No, ale lepsze to w towarzystwie niż żucie tytoniu. Całe to dziam – dziam – dziam, pfu!

– Proszę mi powiedzieć więcej na temat tego rycerstwa – poprosił Collis. – Kto jest najbardziej wpływowym człowiekiem w mieście?

Andrew wykrzywił twarz w grymasie.

– Może lo się już teraz zmieniło, odkąd tam byłem ostatni raz, ale chyba najbogatszym człowiekiem w mieście jest John Parrott, właściciel kopalni żywego srebra, panie dziejku, zwanej New Alamander. Parrottowie mieszkają na Rincon Hill w domu, który wygląda, jakby ktoś przylepił kruchkę do kościelnej krypty i zdecydował się tam zamieszkać. Ale wydaje mi się, że jeśli chodzi o wpływy, to facetem, którego pan poszukujesz, jest Laurence Melford.

– Laurence Melford? To nazwisko musiało mi się już gdzieś obić o uszy.

– Możliwe – powiedział Andrew. – Jest on, jak to się mówi, żywą legendą.

– Czy to nie on pomógł generałowi Kearny sformować pierwszy kalifornijski rząd?

– Tak jest – potwierdził Andrew Jackson Hunt. – A John Frémont nigdy mu tego nie przebaczył, choć teraz już przynajmniej odzywają się do siebie. No, ale w końcu trudno się dziwić, że facet patrzy, z której strony chleb masłem posmarowany, panie dziejku. Zresztą, Laurence Melford ma do tego wyjątkowy talent.

– Słyszałem, że Melford zbił majątek na handlu głowizną – rzekł Collis. – Pamiętam, że ojciec coś kiedyś o tym wspominał.

– Głowizna, panie, whisky, złoto; napychał sobie kieszenie, gdzie się dało, drogi panie.

Nie przebierał. W latach czterdziestych, kiedy dopiero zaczynał się osiedlać, był, panie, gołodupcem. Ale spryciarz z niego nieprzeciętny. Wszedł w komitywę z generałem Vallejo, który miał w tamtych czasach dowództwo nad północną Kalifornią, i Vallejo wynagrodził mu tę przyjaźń sówicie, przyznając mu ziemię i bydło, i tyle słodkiego winka, że można by w nim zatopić całą łódź pełną samiutkich biskupów. To było dawno temu, kiedy San Francisco nazywało się jeszcze Yerba Buena i było tylko rządkiem lepianek, ze słupem w środku wioski, gdzie się przywiązywało osła, panie dziejku.

Andrew zatrzymał się i kichnął sobie porządnie, a potem zwrócił się do Collisa z miną wyrażającą wielkie zaskoczenie.

– Wygląda na to, że cholerstwo mocniejsze, niż myślałem, psia kość.

– Rzeczywiście musi być bardzo mocne. A Laurence Melford? Trudno się z nim zapoznać?

– O dzisiaj to tak, panie dziejku – rzekł Andrew. – Jest jednym z pionierów, widzi pan, a to robi z niego obywatela pierwszej klasy. Jest teraz jednym z filarów rycerstwa. Nauczył się od Mariano Vallejo dobrej lekcji – wie, jak dbać o własną skórę i jak wydusić z innych forszę – a uczeń z niego pojętny, nie powiem. Kiedy John Frémont wkroczył do Sonomy w czterdziestym szóstym roku, żeby wyzwolić ją od Meksykańczyków, Melford czekał tam już z otwartymi ramionami i dziesięciostronicową przemową powitalną. A kiedy John Frémont został wybrany przez osiedleńców na najwyższy urząd w Yerba Buena, Melford też się tam znalazł, oczywiście, i to w czołówce, wiwatując i kłaniając się w pas. Ale, psia kość, był tam też znowu wtedy, gdy generał Kearny wkroczył do miasta i wykopsał Frémonta. I, uważasz pan, jak słyszałem, wygłosił do niego tę samiutką dziesięciostronicową przemowę, którą przedtem witał Frémonta, panie dziejku, zmieniając tylko nazwiska. Więc kiedy generał Kearny się wyniósł, a Frémonta zakuto w kajdanki, bo odmówił zrzeczenia się władzy, kto został zwycięski na polu bitwy? Oczywiście tylko Laurence Melford. Zrobił wielki majątek na handlu głowizną i artykułami spożywczymi w San Francisco i okolicach, a nawet wszedł w posiadanie kopalni złota Gabriel, a jak to zrobił, panie, do tej pory nikt tego dobrze nie wie.

– Wygląda na fascynującego gościa – rzekł Collis. – A gracz z niego też pierwszej klasy?

– A kto nim nie jest w San Francisco, panie dziejku?

– A gdzie mieszka? Czy był pan kiedyś u niego?

– Widziałem jego rezydencję z zewnątrz, ma się rozumieć. Mieszka w South Park, na Rincon Hill, tam gdzie i Parrottowie. To bardzo dobra dzielnica, wierzej mi pan. Mają tam nawet wiatrak, panie dziejku, żeby pompować wodę na trawniki.

– Będę musiał złożyć im kiedyś wizytę.

Andrew wzruszył ramionami.

– Możesz pan spróbować, czemu nie. Ale uprzedzam – to banda pyszałków, całe to rycerstwo; gorsze niż gdzie indziej. Ani w Nowym Jorku, ani w Memphis nie znajdziesz pan takich bufonów. Kiedy chcesz pan pokazać w Nowym Jorku albo w Memphis, że należysz pan do towarzystwa, to nie jest takie znowu trudne, bo jesteś pan w cywilizowanym mieście.

Ale jak pan chcesz pokazać, że należysz do towarzystwa w takiej zabitej dechami dziurze jak San Francisco, gdzie się stale jeszcze mieszka albo w drewniakach, albo w namiotach, na takim odludziu, panie, to zupełnie inna para kaloszy. Tam jest się bardziej zawistnym o to, co kto posiada, i o to, za kogo się człowiek uważa.

Gong obwieścił porę obiadową. Brodaty steward otworzył z łomotem drzwi jadalni i wrzasnął: – Wargacz, klopsiki szwedzkie i pikantny serek Wisconsin. Proszę się częstować.

– No cóż – rzekł Collis – wygląda na to, że nie unikniemy jeszcze jednej kulinarnej przygody.

Andrew Hunt wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– A to mi się podoba! Serce mi rośnie, kiedy widzę, jak wy, młodzi ludzie z towarzystwa, ostrzycie sobie zęby i pazury na trudnościach pionierskiego życia – powiedział. – Zrobi to z pana człowieka, panie dziejku, o ile wpierw pan się nie wykopyrtnie.

– Akurat! Nie wierzę, że naprawdę tam tak źle.

– Nie? Ano zobaczymy. W San Francisco ludziska snują się we mgle, a choróbska czepiają się ich na każdym kroku. Do tego jest masa złodziei, szczurów i Meksykańczyków, a zimą siąpi nieprzerwanie. A rycerstwo też zrobi wszystko, żeby pana wykończyć, jeśli się im nie spodoba pańska, panie dziejku, fizjonomia. A jakby się pan, niech Bóg broni!, zaczął kręcić koło córeczki Laurence'a Melforda, to zginie pan śmiercią nagłą i niespodziewaną – to mogę panu zagwarantować bez cienia wątpliwości.

– Nie wspomniał pan przedtem, że ma córkę.

– Nie? No, to teraz naprawiam błąd – rzekł Andrew, zdejmując z głowy kapelusz z szerokim rondem i patrząc na Collisa z cynicznym rozbawieniem. – Laurence Melford ma córę jak ta lala – tylko palce lizać, panie dziejku. Marzenie nie dziewczyna. W życiu pan takiej nie widział. Podobna jest, widzi pan, do matki – Althei Melford. Z niej też kobietka jak się patrzy – niezwykle urodziwa, choć wedle powszechnej opinii Sara Melford jest jeszcze lepsza. Ale stary Laurence trzyma ją w ryzach i nie wyda jej za byle kogo – co to, to nie. Chowa ją dla jakiegoś księcia; niejeden już uderzał do niej w koperczaki, ale każdy wyleciał sprzed drzwi na zbity pysk jeszcze szybciej, niż się tam znalazł. To tylko takie ostrzeżenie, gdyby się zdarzyło, że uda się panu jakoś poznać Melfordów.

– Nie zapomnę dobrej, przyjacielskiej rady – rzekł Collis. – A teraz może tak poszlibyśmy na obiad? Co pan na to?

Andrew Jackson pokręcił głową odmownie i wyciągnął nogi jeszcze dalej przed siebie.

– Okolutko południa łykam sobie zazwyczaj kropelkę burbona i chrupię kruche ciasteczko – powiedział. Co więcej człekowi trza do szczęścia?

– Jak pan uważa – odparł Collis, poprawiając na głowie cylinder.

Andrew kiwnął głową lekceważąco.

– Tak właśnie uważam. No, to do następnego.

*

W tydzień później „Virginia” posuwała się wolno wzdłuż wybrzeży Georgii i Florydy, a w ciągu dnia słońce paliło wysoko ponad głowami pasażerów, którzy spali na pokładzie pod baldachimami albo chowali się, wachlując, w kajutach. Stopniowo wybrzeże Florydy rozsypywało się w szereg malutkich wysepek z kępkami palm i traw na dalekim, szafirowoniebieskim morzu, a potem znowu zostali sami w Zatoce Meksykańskiej, na oceanie, którego gładką toń wzburzała tylko piana spod huczących turbin „Virginii”, i pod bezchmurnym niebem zasnutym jedynie smugą dymu, która wlokła się z jej komina.

Po porannej toalecie w czterech ciasnych ścianach swej dwuosobowej kajuty i po śniadaniu złożonym z pomarańczy i kawałka owocowej strucli, które przyniesiono na pokład w Jacksonville, Collis przechadzał się po pokładzie z Hanną West, aż przyszedł czas na podobiadek. W swych białych i cytrynowych letnich sukienkach, w cieniu jedwabnej, obszytej frędzelkami parasolki, była jeszcze bardziej godna pożądania i Collisowi coraz trudniej było rozmawiać z nią, zachowując odpowiedni dystans i jak przystało na dżentelmena. Ale odkąd powiedziała mu tam, na rufie w Charleston, co czuła wobec Waltera Westa, wydawało się, że staje się coraz bardziej zamknięta w sobie, i teraz opowiadała głównie o swoim dzieciństwie w Wakefield, o tym, czego nauczyła się w szkole i o swoich nadziejach na nowe, lepsze życie w San Francisco. Collis zauważył też, że jego własną uwagę coraz częściej przyciągała Metyska, wyglądająca na kobietę lekkich obyczajów, która weszła na pokład w porze śniadania, gdy jedzono pomarańcze, albo może struclę owocową, i która upodobała sobie szczególnie jedno miejsce przy dziobie parostatku. Siedziała tam w luźnej, bardzo nisko wyciętej bluzce, z włosami rozwianymi na wietrze, paląc cienkie cygara i eksponując bez żenady gołe, opalone palce u nóg.

Czasem Hanna stawała przy łodziach ratunkowych i wpatrywała się godzinami w rozległe wody zatoki, podczas gdy Collis odpoczywał na ławce na pokładzie, popijając – kieliszek po kieliszku – wytrawne sherry z lodem. W takich chwilach prawie się do siebie nie odzywali, choć kiedy tylko Collis zrobił jakiś ruch, który sugerował, że chce ją opuścić, wracała natychmiast do rzeczywistości i uśmiechała się do niego tak błagalnie, że wzruszał ramionami i zostawał. Dni stawały się dłuższe i coraz bardziej upalne. U schyłku dnia, który zamierał – skwarny – w karminowej, rozognionej zorzy, siadali w jadalni, rozmawiając ze sobą grzecznie, ale półgębkiem, pod osłoną cieni i przy akompaniamencie noży i widelców, które stukotały na talerzach, w oparach kawy. W nocy Collis, oddany własnym myślom, kładł się na swojej piętrowej koi, wdychając w płuca morski wiatr, który

wdzierał się do kajuty przez otwarty otwór działowy, bliski jego twarzy, i przysłuchując się chrapaniu lotewskiego współpasażera. A czas płynął i płynął, beczynn timer i bezcelowo. Wracał pamięcią do Delfiny i jej zdumiewającej zmysłowości, a potem zachwycał się niepospolitym, ujmującym profilem Hanny i zastanawiał się nad jej pełnym roztargnienia sposobem mówienia. A jeszcze potem zamykał oczy i przez moment rozmyślał o wielkich, śniadych piersiach Metyski. Nie był tak zupełnie pewien, co czuł do Hanny. Z wyglądu była mniej wyzywająca niż Metyska, a w zachowaniu bardziej powściągliwa niż Delfina. Ale sposób, w jaki się zachowywała, w jaki patrzyła i zwracała się do niego, był wyjątkowo pociągający. A kiedy wiatr rozwiewał jej włosy, Collis miał ochotę wyciągnąć dłoń, zanurzyć ją w jej jasnych lokach i okręcić je sobie wokół palców. Z jakiegoś powodu, którego sam nie mógł zrozumieć, bardzo chciał ją posiadać, nie tylko cieleśnie, ale w ogóle pod każdym względem. Chciał posiadać jej dzieciństwo i te wszystkie obrazy mroźnych zim w Wakefield, gdy gałęzie drzew przykrywała śniegowa kołderka, a słońce, nikle i posępne, chyliło się i znikalo za kolonialnymi domkami. Chciał posiadać jej chwile radości, dzień, gdy wychodziła za mąż, noc, w której położyła się w obszytej koronką koszulce nocnej i po raz pierwszy poczuła na sobie ciężar ciała swego męża; zakryte rzęsami, zmrużone oczy, oddech i westchnienia rozkoszy lub bólu. Chciał, by oddała mu się teraz, na pokładzie tego parowca, w ciepłej Zatoce Meksykańskiej, na tym szerokim, głębokim oceanie. Chciał dotknąć jej policzków, nosa, ust, obszytej wstążeczkami bielizny. Nigdy jeszcze nie pragnął w ten sposób żadnej innej kobiety. Pragnął wstępu w najbardziej intymne tajniki jej życia. Chciał ją mieć za kochankę i za przyjaciela, ale bardziej jeszcze niż wszystko to, chciał ją mieć jako środek ucieczki od przeszłości i swoich własnych wspomnień, biorąc na siebie jej przeszłość i jej wspomnienia. Wyszła za mąż za protestanta i miała z tego powodu głębokie poczucie winy.

Wycierpiała się przy łozu śmierci swojej matki. A teraz znowu była niepewna swej miłości do człowieka, któremu poświęciła przecież wszystko. Wydawało mu się, że gdyby wziął na siebie to tajemnicze, religijne i romantyczne poczucie winy, zamiast własnych wyrzutów sumienia za Kathleen Mary i plugawych klótni rodzinnych, które zmusiły go do opuszczenia Nowego Jorku, przyniosłoby mu to natychmiastową ulgę. Jego życie zamieniłoby się w tajemniczą, intrygującą przygodę; przestałoby być tanie i żenujące. Wszedłby w całkiem inny świat, jakby udało mu się przestąpić próg czarodziejskiego sezamu. Delektował się marzeniami o tym, jak stanie twarzą w twarz z Walterem Western, trzymając w ramionach Hannę mdlejącą z nadmiaru przeżyć, uwieszoną na jego zgiętym ramieniu, podczas gdy on oznajmi bez ogródek: „Teraz już ona należy do mnie. Musi pan zwrócić jej wolność”.

O tym właśnie rozmyślał w upalną, czwartkową noc, gdy znajdowali się nie więcej niż sto mil od Cayos Miskito, niedaleko wybrzeża Nikaragui, i niecałe trzysta pięćdziesiąt mil od Aspinwall, w Cieśninie Panamskiej. Żagle statku były w górze, ponieważ wiał lekki wschodni wiatr, więc pluskali się w ciemnościach nocy, podczas gdy pod pokładem napędzane parą maszyny sapały i tłukły się, obracając w koło turbiny, Collis leżał przez pół godziny, nie mogąc zmrużyć oka, aż wreszcie powoli wygramolił się ze swojej pryczy, ubrany tylko w przepoconą, pasiastą koszulę nocną, i zeskoczył na podłogę.

Łotysz spał jak zabity, ziejąc przez zmierzwioną brodę oparami śliwowicy. Collis przeszedł ostrożnie pomiędzy stosem tobołków i pakunczków, odsunął zasuwę i pchnął drzwi kajuty. W jadalni na zewnątrz przygaszono lampy naftowe, tak że panował w niej półmrok, a opatuleni w koce pasażerowie leżeli uśpieni w różnorodnych prześmiesznych pozach, z otwartymi ustami, rozczochranymi włosami i szyjami powykręcanyymi w najprzeróżniejsze strony. Collis minął ich wszystkich i powędrował wzdłuż jadalni do drzwi, które wiodły na pokład. Ktoś prychnął i przewrócił się na drugi bok.

Na zewnątrz było ciemno i wietrznie. Nie było jeszcze księżyca.

Gdy Collis zamykał za sobą drzwi jadalni i wychodził na pokład, nocna koszula zatrzepotała mu wokół nóg. Turbiny statku spieniały fale, ciemnoniebieska woda migotała dziwną, mglistą poświatą, a przy każdym powiewie wiatru czuć było ostry swąd spalenizny.

Collis przespacerował się po pokładzie, aż doszedł do poręczy, gdzie na skrzypiącym słupie furkotała flaga przedsiębiorstwa transportu transatlantyckiego Atlantic Mail Line. Stał tam przez jakiś czas, wdychając w płuca ciepły powiew wiatru, a potem zawrócił i podszedł do drzwi, które prowadziły do kajut kobiecych. Nikt go nie zauważył. Nieco wyżej, na pomoście sternika, pochylony nad kartką papieru, w nikłym świetle karbidówki, siedział sternik zajęty pisaniem listu. Collis szybko pchnął drzwi i wszedł do środka. Znalazł się w mrocznym korytarzu i zatrzymał na chwilę. Korytarz pachniał moczem i wodą kolońską.

Nasłuchiwał, czy nikt się nie przebudził, a potem przeszedł na palcach wzdłuż korytarza do trzecich drzwi na lewo i zapukał.

Nie było odpowiedzi. Zapukał raz jeszcze, silniej tym razem, wstrzymując oddech.

Usłyszał szelest pościeli, a potem ściszony głos zapytał: – Kto tam?

– Haniu? To ja, Collis.

– Collis? Skąd się tu wzięłeś? Która godzina?

– Nie wiem. Może druga albo trzecia? Nie mam przy sobie zegarka.

– Co się stało? Nie możesz zasnąć?

– Myślałem o tobie, Haniu.

– O czym ty mówisz?

Zamilkł na chwilę. Wiedział, że w tym wypadku dobór odpowiednich słów będzie miał zasadnicze znaczenie. Powiedział: – Chcę z tobą porozmawiać. To bardzo ważne. Czuję, że coś bardzo ważnego wymyka się nam z rąk.

– Collis, nawet jeśli tak jest rzeczywiście, to możemy równie dobrze porozmawiać o tym rano. Nie powinieneś tu przychodzić. To żeński przedział.

– Haniu, gdybyś otworzyła na chwilę drzwi, byłoby mi łatwiej wyjaśnić, o co mi chodzi.

– Otworzyła drzwi? Collis! To absolutnie niemożliwe. Jestem w stroju nocnym.

– Ja też – wyszeptał. – Więc sama widzisz, nie mamy się czego krępować.

Usłyszał, że wydała z siebie zniecierpliwione westchnienie.

– Collis, jestem mężatką. Już sama rozmowa z tobą o tej porze jest nie na miejscu. Nie ma mowy, żebym otworzyła drzwi. Nie wolno mi nawet dopuścić do siebie takiej myśli.

– Ale jednak taka myśl przyszła ci do głowy?

– Prosząc mnie o to, zmusiłeś mnie, aby tak się stało. Znowu zamilkł na chwilę, a potem wyszeptał głosem, w którym wyczuwało się śmiech: – I jaki jest rezultat tych twoich rozmyślań?

– Jestem mężatką, Collis. Nie ma mowy. Może nie jestem pewna swoich uczuć do Waltera, ale wygląda na to, że będę musiała uzbroić się w cierpliwość i postarać cieszyć się tym, co Bóg uznał za stosowne mi ofiarować.

– Haniu – rzekł Collis – musisz zrozumieć, że uczucia, jakimi cię darzę, są głębokie i niepospolite.

– Musisz się im oprzeć w takim razie. Jakikolwiek związek między nami byłby grzechem.

Nie śmiem nawet w ogóle o tym myśleć.

– Nie myślę akurat koniecznie o cudzołóstwie – rzekł Collis. – Mam na myśli coś całkiem innego. Coś ważniejszego. Czuję, że chciałbym cię poznać jako bliskiego przyjaciela.

Czuję się za ciebie odpowiedzialny. Chcę cię poznać tak dobrze, że intymne stosunki między nami mogłyby zaistnieć, ale niejako rzecz pierwszorzędnej wagi.

– Nie znasz mnie wcale. Jak możesz w ogóle opowiadać takie rzeczy?

– I owszem, znam cię doskonale! Przecież spacerujemy i rozmawiamy ze sobą na tym cholernym statku od tygodnia. Jest mnóstwo ludzi, którzy zaręczają się i pobierają, nie spędziwszy ze sobą połowy tego czasu, który my spędzamy tu ze sobą.

– Dajże spokój, Collis. Przecież mam męża. Nie ciebie – kogoś innego. Nie mogę się w to wplątać. Nawet jeśli w twoich oczach będzie to tylko smutnym marnotrawstwem ludzkiego życia, taka jest wola Boża i biada nam, gdybyśmy mieli to zlekceważyć.

Z jednej z sąsiednich kajut szorstki kobiecy głos zawołał: – Wpuść go, moja złota, na litość boską, a wszyscy będziemy się mogli wreszcie wyspać.

Collis parsknął śmiechem, ale Hanna wstrzymała oddech z zażenowania.

– Collis – wyszeptała – idź już, proszę.

– Haniu. Nie proszę przecież o nic niestosownego. Chcę tylko porozmawiać z tobą o uczuciach, jakie żywię do ciebie.

– To niemożliwe. Idź już sobie.

– Haniu, proszę. Błagam cię. Nie mogę zasnąć, bo myślę wciąż o tobie.

– I wszyscy inni też są przez to skazani na bezsenność – zbeształ go znowu szorstki głos.

– Proszę, Collis. Upokarzasz mnie. Collis oparł głowę o framugę drzwi.

– No dobrze, to już sobie pójdę, jeśli takie jest twoje życzenie. Ale gdybyś zmieniła zdanie, to... to daj mi znać.

– Tak, tak – rzekła Hanna szybciotko. – A teraz, proszę, idź już stąd, zanim ktoś z obsługi wyrzuci cię stąd z wielkim hukiem.

– Dobranoc, Haniu. Słodkich snów!

– Dobranoc, Collis.

– Kocham cię, Haniu.

– Proszę, Collis, skończ już z tym. Należę do kogoś innego. Nie jestem wolna.

Collis wykrzywił się sam do siebie w ciemnościach.

– A kto jest? – zapytał. – W końcu wolność to tylko to, co człowiek zdoła zagarnąć sam dla siebie. Spójrz choćby na nas. Jesteśmy akurat na samym środku Morza Karaibskiego, w środku nocy. Nikt nie podejrzewałby nawet i w ogóle nikogo by to nie obchodziło, czy jesteśmy razem, czy nie. Gdzie znaleźlibyśmy większą wolność?

– Collis. Bóg nas widzi i wie, czy jesteśmy razem, czyż nie. W tym momencie drzwi w głębi korytarza otworzyły się z hukiem i w mroku Collis ujrzał niską, przysadzistą paniusią w nocnej koszulinie, tak obszernej jak ogromny różowy namiot, i w sterzających papierowych papilotach na głowie.

– I nie tylko Bóg, mój panie – warknęła – ale i my wszyscy tutaj, w tych kajutach. Rusz pan to swoje rozpustne cielsko i zmiataj stąd. I to już! Bo jak nie, to dowie się o tym kapitan – już ja tego sama dopilnuję – i zanim się pan obejrzy, wylądujesz pan za kratkami.

– Łaskawa pani – rzekł Collis pospiesznie. – Właśnie już zamierzałem się stąd oddalić.

– No, to zabieraj się pan stąd. Raz, dwa! – zażądała paniusia. – I nie waż się pan wracać, bo jak się tu jeszcze raz pojawisz, to ci usiądę na łbie i nie będę się bawić w uprzejmości.

– Dobranoc, Haniu! – zawołał Collis, a potem szybko otworzył drzwi na pokład spacerowy i wyszedł na zewnątrz, w wietrzną noc. Drapiąc się po głowie, poszedł przed siebie, doszedł do balustrady i przez jakiś czas stał obok masztu. Od strony sterburty, wzdłuż ciemnego horyzontu, widział migotliwe światła nocnych kutrów rybackich. Od strony portu zaczynało już widnieć. Żałował, że zostawił cygara w kajucie; miał właśnie ochotę zapalić.

Oglądał się przez chwilę za siebie na zasnuwane kotarami otwory działowe damskiego przedziału. Kajuta Hanny musiała być gdzieś trzecia z kolei. Przez moment dyskutował sam z sobą, czy powinien zapukać do jej drzwi raz jeszcze i ponowić prośby o wpuszczenie, ale zdecydował, że chyba przebrałby miarkę. I tak niełatwo będzie spojrzeć jej rano w oczy na pokładzie spacerowym.

Stał tak przez pewien czas w nocnej koszuli, opierając się o poręcz i ważąc wszystkie za i przeciw, kiedy nagle ktoś pociągnął go za rękaw. Odwrócił się i zobaczył stojącą obok niego Metyskę. W kąci jej ust zwisało niedbale cygaro, – a długie kruczoczarne włosy zmierzwione były na wietrze. Wokół ramion zarzucony miała ciężki czerwono – niebieski, włochaty koc pueblo, ale pod kocem

jej bluzka była tak nisko wycięta na wydatnym biuście, że Collis widział wyraźnie ciemniejszą, chropowatą skórę wokół sutków. Miała na sobie szeroką, ciemnoniebieską bluzkę, ale była na bosaka, a na każdym palcu miała srebrny pierścień, włączając w to kciuki i palce u nóg. Przy każdym podmuchu wiatru dolatywał Collisa zapach olejkowatych, egzotycznych perfum zmieszanych z potem.

– Chce pan zapalić, senor? – zapytała dziewczyna. Spojrzał na nią. Miała ciemną karnację i meksykański akcent, ale w rysach jej twarzy i w sylwetce było coś wyraźnie europejskiego. Mogła mieć w sobie krew francuską lub niemiecką albo nawet słowiańską, ponieważ oczy miała głęboko osadzone, a jej kości policzkowe były kanciaste i wysokie.

Uśmiechnęła się, ale tylko bardzo leciutko, a i to był uśmiech drwiącego prześmiewcy.

– Bardzo chętnie. Serdecznie dziękuję. Jak to ładnie z pani strony – powiedział Collis z przesadną grzecznością. Przypatrywał się jej uważnie, gdy wsunęła rękę za pas spódniczki i wyciągnęła stamtąd małe, drewniane pudełeczko z dekoracyjną etykietką. Otworzyła je i wyciągnęła w jego kierunku trzy ciemne skręty z kubańskim tytoniem. Wziął jednego i włożył go do ust, a ona pochyliła się ku niemu, by podać mu ogień, dotykając cygara, które trzymał w ustach, koniuszkiem swego, już żarzącego się. Pykał parę razy, żeby wzniecić ogień. Pykał tak przez parę chwil, a ona przyglądała mu się z wielką uwagą, głębokimi, błyszczącymi oczami.

– Daleko jedziesz? – zapytał, kiedy jego cygaro wreszcie chwyciło ogień.

– Do San Francisco – odpowiedziała.

– Znasz tam kogoś? Wzruszyła ramionami.

– To co zamierzasz tam robić, skoro nikogo nie znasz?

– Nie wiem jeszcze – odparła. – Może popracuję w barze. Nie może być już gorzej niż w Jacksonville. To na pewno.

– Nie podobało ci się tam?

Przejechała dłonią po gęstych, przetłuszczonych włosach.

Gdyby ją wymyć i ubrać porządnie, pomyślał, byłaby niemalże piękna.

– Miejsce nie było takie znowu złe.

– Więc co? Rodzice? Chłopak?

– Chłopak? Raczej zły pies, który zagryza to, co słabe i chore.

Collis uśmiechnął się, wykrzywiając twarz w grymasie.

– No cóż. Każdy ma chyba jakieś zmartwienia.

Dziewczyna wypuściła spiralkę dymu przez nos, wyjmując cygaro z ust.

– Z takim typem to było istne urwanie głowy, i nic więcej. Był zupełnie kopnięty, nie ma co. Drugiego takiego wariata to ze świecą szukaj.

– Współczuję. Możesz mi podać swoje cygaro? Moje znowu zgasło.

Kiedy Collis starał się znowu wzniecić płomień, przykładając swego skręta do czubka jej cygara, Metyska wyciągnęła rękę, by podtrzymać jego lekko drżącą dłoń, i spojrzała na niego dziko. Dzikość ta była raczej namiętna niż agresywna, ale mimo to Collis poczuł się raczej nieswojo, zwłaszcza że ubrany był tylko w nocną koszulę. Gdy jego cygaro znowu złapało ogień, odsunął się od niej i spojrzał na nią ostrożnie, spod oka.

Zapanowało dość długie milczenie, gdy tak stali oboje, przyglądając się sobie nawzajem.

Niebo powoli rozmazywało się z granatu w bladoniebieskość, a światła na maszcie „Virginii” zaczynały już blednąć. Potem dziewczyna odwróciła się w stronę poręczy i oparła się o nią łokciami, paląc w milczeniu swoje cygaro, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, które wznosiły się przed nią, krzepkie i prowokacyjne.

– Nie to mi, widać, było pisane – rzekła dziewczyna. – Niewolnica w Bryceville przepowiedziała mi przyszłość, wróżąc z kart, i powiedziała, że będę podróżować i że będzie mi dokuczać samotność.

– Dlaczego miałaby ci dokuczać samotność? – spytał Collis czujnie.

– A kto mnie zechce? Taką jak ja prostą dziewczkę? A nawet gdyby się taki znalazł, to skąd mam wiedzieć, czy ja go będę chciała?

– Jak się nazywasz? – zapytał Collis.

Dziewczyna wykonała półobrót i zwróciła się ku niemu.. Poprawiła trochę bluzkę, ale na jej twarzy błąkał się lekki, wyzywający uśmiech. Za nią morze koloru łagodnego turkusu ugięło się pod ciężarem mgły, a ciemność rozplątywała się równie szybko jak nadeszła.

Musiała być teraz gdzieś czwarta rano i niedługo załoga oraz niektórzy z pasażerów – było wśród nich wiele rannych ptaszków – wyjdą na pokład.

– Mój wuj i ciotka wołają na mnie Maria – rzekła dziewczyna. – Ale pamiętam, że mój ojciec, zanim wziął nogi za pas i zostawił nas, wołał na mnie Mamuśka, po swojej babce. Ona była ze Lwowa; to takie miasto w Polsce.

Collis wyciągnął dłoń.

– No to bardzo mi miło. A ja nazywam się Collis Edmonds. Z Nowego Jorku.

Maria–Mamuśka odmówiła wyciągniętej do uścisku dłoni.

– Na co takie ceregiele? Masz na sobie tylko nocną koszulę. Wydaje mi się, że cię znam od niepamiętnych czasów.

– No, moglibyśmy zawsze poznać się jeszcze lepiej.

– Rozwidnia się – powiedziała Maria–Mamuśka. – Może powinieneś coś na siebie włożyć? Nie chcesz chyba, żeby twoja dobrze ułożona przyjaciółka źle zrozumiała, co tu zaszło między nami.

Collis uśmiechnął się do niej krzywo.

– Przyjaciółka? Nie jestem tego taki pewien, czy można ją rzeczywiście nazwać moją przyjaciółką. Jest na pewno bardzo dobrze ułożona, to fakt. Ale w tym właśnie sęk.

Maria–Mamuśka wyciągnęła dłoń i chwyciła Collisa za rękę.

– Nie pozwala ci na igraszki, ha? Collis odchrząknął, rozbawiony.

– No właśnie. Można to i tak nazwać.

– Może za mało się starasz?

– Co znaczy za mało?

– A chcesz mi pokazać na co cię stać?

Collis zdjął krzywą tytoniu z końca języka.

– Czy to propozycja? – zapytał.

Maria–Mamuśka spojrzała na niego śmiało.

– A jak myślisz?

– Hmm – rzekł Collis. – Już świta. A wobec tego może to już trochę za późno na sprawy, które najlepiej robić nocą, jak uważasz?

– A co to za różnica?

Collis poczuł wielką pokusę. Już od dawna, od trzech tygodni, nie miał kobiety, płatnej czy niepłatnej, a jego spotkania z Delfina i Hanną pobudziły go tylko, ale nie nasyciły seksualnie.

Była w końcu dopiero czwarta, a Łotysz spał jak zabity, tak uchłany, że nie zbudziłyby go nawet strzały armatnie. Na pewno nie przed siódmą.

Maria–Mamuśka postąpiła krok naprzód i chwyciła Collisa za ramię.

– Podobasz mi się, wiesz – powiedziała. – Jesteś przystojny i bogaty. Nigdy przedtem nie rozmawiałam z facetem takim jak ty.

– Bogaty? – odparł Collis. – Nie jestem wcale bogaty. Gdybym był bogaty, po co by mi było tłuc się z Nowego Jorku do San Francisco.

– Kpisz sobie ze mnie. – Maria–Mamuśka uśmiechnęła się z niedowierzaniem. – Akurat! Garnitur u niego prosto spod igielki. Cylinder u niego jak się patrzy. A mówi, że nie bogaty.

– Niestety – wyjaśnił Collis – to ubranie i ten cylinder to Wszystko, co mam.

Opuściłem Nowy Jork, ponieważ mój ojciec zbankrutował i ponieważ miałem długi honorowe. Jeżeli chcesz czegoś ode mnie, to przykro mi bardzo, ale będziesz musiała zadowolić się moją atrakcyjną osobą.

– Łiesz – rzekła zirytowana.

– Chciałbym. Ale niestety, to wszystko prawda. Wyjęła rękę z jego dłoni.

– Chcesz mnie zrobić w konia – powiedziała.

– Po co miałbym to robić?

– Chcesz, żebym wyszła na idiotkę, wiem dobrze. Dokładnie tak jak Lucas. Też masz bzika.

– Posłuchaj... – Ani mi się śni – rzekła zacietrzewiona. – Paraduje tu jak jakie panisko, wychuchany, wydmuchany, gada jak jaki bogacz, a wszystko to bańki mydlane. Pcha mi się taki do łóżka, ale złamanego grosza nie wydusi. Proszę, jaki cwaniak! I to jeszcze do tego zbzikowany!

Szarlatan! Oszust! Krwiopijca!

– Zaraz, zaraz – odparł Collis. – Kto się tu komu pcha do łóżka!? O ile się nie mylę, to ty nie masz gdzie spać i właśnie usiłowałaś znaleźć sobie wygodne miejsce w mojej pościeli.

– Jeden diabeł – odszczeknęła, kręcąc głową i roztrzásając czarne, przetłuszczone włosy.

– I kto się teraz zajmie moim maleństwem?

– Maleństwem? Jakim maleństwem?

– O, tym, tutaj – wydeła wargi, poklepując się po brzuchu.

Collis nie mógł się opanować, by nie wyszczerzyć zębów w uśmiechu. Tupecik nieprzeciętny! No, no, do kaduka! Nieprawdopodobne! Ale ma szczęście, i to od samego rana, nie ma co. Gdyby dalej uważała go za bogacza i gdyby jego cielesne ciagotki zawładnęły nim całkowicie, poszliby potarzać się na górnej koi w jego kajucie, a potem oskarżyłaby go o to, że zrobił jej bachora. Taka przed niczym by się nie cofnęła. Stał tak w samej nocnej koszuli na oblanym świtem jutrzeńki pokładzie, z cygarem w zębach, z rękami na biodrach, i przyglądał się, jak miota się z wściekłości, z niedbałym rozbawieniem widza na przedstawieniu w teatrze jednego aktora.

– Myślisz, że uda ci się mnie wykorzystać? – Splunęła w jego stronę. – Masz mnie za śmiecia, co, może nie? Myślisz, że uda ci się ze mną przespać i nie wydać jednego złamanego centa. O, nie, jaśnie panie, nie ma tak dobrze! Czy to ja jaka dziwka, żebym się miała sprzedawać? Nie sprzedam się za pieniądze i nie oddam się za darmo!

– Wcale się nie dopraszałem – rzekł Collis, kurząc spokojnie cygaro.

Wyrwała mu je prosto z ust, zmięła w dłoni i cisnęła za burtę.

– Jaka szkoda – powiedział ironicznie. – A już właśnie zaczynałem przyzwyczajać się do smaku.

– Drwisz sobie ze mnie w żywe oczy! – wyrzuciła z siebie wreszcie, ciężko dysząc.

– Troszeczkę, to prawda. Ale jak mogę traktować cię poważnie, skoro albo wrzeszczysz wniebogłose, albo wygłaszasz przemowy? Nie sądzisz chyba, że obudzi się we mnie nagle poczucie winy, dlatego że nie mam zamiaru płacić na cudzego bękarta, którego zmajstrował jeden z twoich gachów.

Maria–Mamuśka poklepała się znowu po brzuchu, i to tak mocno, że Collis był pewien, iż maleństwo musiało zastanawiać się, czym zasłużyło sobie, i to dopiero w zaraniu swej egzystencji, na takie ostre cięgi.

– Wszystkie chłopy to istne diabły – powiedziała Maria–Mamuśka. – Wszyscyście temu winni, że chodzę z brzuchem. Wszyscy mną pomiatacie jak jaką niewolnicą. Ale poczekaj no tylko – jeszcze ja wam odpłacę, pięknym za nadobne! Przyjdzie kryska na Matyska.

– Na litość boską, uspokój się wreszcie – rzekł Collis. – Ośmieszasz się tylko i robisz z siebie widowisko. Na co ci ta egzaltacja?

– Hegzaltacja! – zawyła. – Hegzaltacja!

Collis, zakłopotany, cofnął się o krok, ale Maria–Mamuśka postąpiła krok naprzód.

– Wiesz, gdzie mam twoją hegzaltację? Wiesz gdzie? Mam ci pokazać, co to hegzaltacja?

No to masz! Masz tu tę swoją hegzaltację.

Z twarzą zeszywniałą z gniewu i cygarem wetkniętym mocno pomiędzy zębami koloru dojrzałego orzecha, Maria–Mamuśka ustawiła się na wprost Collisa, chwyciła obiema rękami za bluzkę i ściągnęła ją z siebie jednym szarpnięciem, odsłaniając oszalałymi obszary kobiecej anatomii.

– No masz! – zawołała. – O to ci chodziło? O to ci chodziło z tą twoją hegzaltacją?

– O Boże – rzekł Collis, ponieważ nic innego nie przyszło mu do głowy. Wprawdzie czuł się nieco podekscytowany, ale naprawdę sądził, że obyłyby się bez tego rodzaju cyrkowej jednoaktówki. Odwrócił ze zmęczeniem wzrok, mając nadzieję, że to uspokoi jakoś nieproszoną „hegzaltację” Marii–Mamuśki, i kiedy to robił, zauważył, że machinalnie spogląda w stronę kajut, jakby coś jeszcze nieuchronnie przyciągało jego uwagę. Usłyszał brzęczenie dzwoneczków na pomostku „Virginii” i wpatrywał się weń przez chwilę, ale potem jego wzrok powędrował jeszcze dalej, wzdłuż czarnozielonych ścian nadburcia i dalej poza wybielane sznury olinowania i łodzi ratunkowych, wzdłuż rzędu zaśnieżonych otworów działowych, aż dotarł do trzecich drzwi w kwaterach żeńskich. Tam, w mosiężnej, wysadzanej ćwiekami framudze bulaju, niczym przerażony portret na ścianie bawialni, ujrzał twarz Hanny West, pobladałą, z rozszerzonymi oczami i ustami otwartymi tak szeroko, że wyglądało, jakby zakrzuszyła się kruszonką zeszlęgo przekładańca.

Prawie równocześnie, jakby na umówiony znak, zasłony w jej kajucie opuściły się i Collis ukrył twarz w dłoniach. Nie mógł w to wprost uwierzyć! Co za cholerny pech! Może udałoby się jeszcze jakoś uratować sytuację z Hanną, gdyby spotkali się towarzysko przy śniadaniu, gdyby mógł

posmarować jej kajzerkę masłem i ocieplić jej oziębłość zwykłym pochlebstwem, w czym był nie lada mistrzem. Mógłby zapewnić ją, że to nie wyzwanie, ale po prostu samotność zaprowadziła go pod drzwi jej kajuty i kazała dobijać się do niej w nocy, by znaleźć ukojenie. Mógłby błagać ją o przebaczenie za swoje idiotyczne zachowanie i kupić jej flakonik perfum w Panamie, aby się jakoś zrehabilitować. Ale nie! Oczywiście – wszystko się znowu musiało pokiełbasić. Szpiegowala go, durna baba, i przyłapała, jak stał na pokładzie, o świcie, w samej tylko nocnej koszulinie i podziwiał – jak jej się zapewne zdawało – wystawę największych i najmniej godnych szacunku cycków na całym statku.

– Włóż coś na siebie – rzekł do Marii–Mamuśki cichym, opanowanym głosem.

Odwrócił się na chwilę, by dać jej czas na przyodzianie się, a potem znowu odsłonił oczy.

Stała dalej z gołymi piersiami, patrząc na niego tym swoim dzikim spojrzeniem, a poranny powiew wiatru sprawił, że jej sutki stały się twarde jak węgielki. Oczy miała zamglone i trudno było powiedzieć, czy tylko od wiatru.

Wziął od niej koc i delikatnie zarzucił go jej na ramiona. Stała dalej, nie ruszając się, choć pochyliła nieco głowę. Zmitygowała się trochę i chyba również ochłoneła.

– Nie powinnaś obwiniać każdego mężczyzny, którego spotykasz. Wiem, że trudno ci różnicować. Ale musisz zrozumieć, że to, co się stało, to wina tylko jednego rozwydrzonego drania; tylko jednego wrednego typu, a nie wszystkich mężczyzn na świecie – mówił z wahaniem.

– Wszystkie chłopcy patrzą na mnie w ten sam sposób – rzekła cicho i markotnie.

– Tu muszę przyznać ci rację – potwierdził Collis – ale to ze względu na twój sposób ubierania się i na twoje zachowanie. Jeśli będziesz nosić takie wydekoltowane bluzki, palić w ten sposób cygara i używać ordynarnych słów, to jasne, że mężczyźni będą sądzić, że jesteś jakaś puszczałka. Ja sam też tak myślałem.

Podniosła głowę i popatrzyła na niego z wyzwaniem w oczach.

– Co ty tam wiesz – powiedziała wreszcie. – Ty jesteś z Nowego Jorku. Z dobrej rodziny.

– Ale biedny jak mysz kościelna. Uśmiechnęła się do niego pojednawczo.

– Nie taki tam znowu biedny. Nie taki biedny. A poza tym zrobisz majątek w San Francisco.

– Liczę na to.

Zapadło krótkie milczenie. Niebo zaczęło się teraz rozjaśniać zdumiewająco prędko. W głębi pokładu otworzyły się jakieś drzwi i zaspany jegomość, z oczami zapyziałymi od snu, w pogniecionych popelinowych, podtrzymywanych szelkami spodniach i podkoszulku, wyszedł na pokład i bezustannie drapał się po żebrach i ziewał w stronę odległego wybrzeża.

– Muszę wracać do kajuty – rzekł Collis.

Maria–Mamuśka kiwnęła głową.

Collis odczekał jeszcze chwilę, a potem powiedział: – No, a co będzie z tobą? I z twoim maleństwem? Wzruszyła ramionami.

– Nie przejmuj się. Nie twoje zmartwienie. Jak to prawda, że nie masz grosza przy duszy, to i tobie niełatwo.

Obgryzał w zamyśleniu paznokcieć kciuka.

– Powiem ci, co zrobimy. Może i ze mnie mięczak, ale trudno. Znasz trochę San Francisco?

– Nigdy tam nie byłam.

– No to powiedzmy Montgomery Street. To ulica, o której wspominała moja znajoma. Jej mąż nazywa się Walter West. Zapamiętasz? Jest właścicielem pasmanterii.

– Walter West? – powtórzyła Maria–Mamuśka z naciskiem. – A kto to taki?

– Wszystko jedno – odparł Collis. – Zapamiętaj tylko, że spotkamy się koło sklepu Waltera Westa, na Montgomery Street, za trzy lata i parę tygodni od dziś, 18 września, w południe. Będiesz już wtedy miała dziecko, a ja będę wiedział, czy zarobię trochę pieniędzy, czy zostanę już taki goły jak święty turecki do końca życia. Jeżeli będzie wyglądać na to, że nieźle mi się powodzi, to pomogę ci trochę finansowo w wychowaniu dziecka. A jak nie, no to przynajmniej się przywitamy.

Maria–Mamuśka odgarnęła włosy do tyłu.

– Dlaczego chcesz to zrobić? – zapytała.

Rzucił okiem na zakryte zasłonkami okno, gdzie niedawno ukazała się Hanna.

– Sam nie wiem – powiedział. – Może jest to... czy ja wiem?... rodzaj wyzwania?

– Wyzwania? Wyrażaj się jasno. Przestań kręcić. Wzruszył ramionami.

– Nie jestem pewien. Ale coś mi mówi, że kiedy człowiek pozostał w tyle, kiedy się znalazł na marginesie społeczeństwa, trzeba się cholernie ciężko naharować, aby jakoś się z tego wykaraskać.

– Nie wiem, o czym mówisz. Nic nie rozumiem. Śmieszny jesteś. Trochę zbikowany.

Zaraz tak myślałam.

– Jestem zbikowany tylko dlatego, że wcale nie powinienem się znaleźć na pokładzie tego opuszczonego przez Boga i ludzi statku. Powinienem budzić się w moim własnym łóżku na Dwudziestej Pierwszej Ulicy, w Nowym Jorku. Powinienem być zamożny, zorganizowany i całkowicie zadowolony z życia. Powinienem dziś iść na partyjkę kart, zjeść kolację w Union Club, a potem może wpaść do jakiegoś burdeliku, dla ukoronowania wieczoru. Ale zamiast tego starałem się uwieść zamężną białogłową w jej własnej kajucie i dałem się wyrzucić jakiejś upapilotowanej Tatarce, której nigdy przedtem w życiu nie widziałem, a potem spędziłem resztę nocy, kłócąc się z meksykańsko – polską damulką o to, czy jestem moralnie odpowiedzialny za jej ciężę, czy nie.

Maria–Mamuśka uśmiechnęła się chytrze.

– Że masz bzika, to nawet nie ma dwóch zdań. Ale pójde tam. Mówisz: Montgomery Street, 18 września, za trzy lata? Niech i tak będzie.

Collis klepnął ją w rękę, a potem bardzo szybko złożył na jej czole całusa. Czuł się bardzo zadowolony, jakby spotkała go jakaś ogromna przyjemność, choć sam nie rozumiał, skąd brał się u niego ten stan ducha.

Właśnie wtedy, bez uprzedzenia, Andrew Jackson Hunt pojawił się obok otworu ładunkowego parowca, ubrany w beżowy garnitur i brązowe buciska z wołowej skóry, równie szerokie i płaskie jak dwie tabakiery. Przypatrywał się tej scenie z nie ukrywaną przyjemnością. Tymczasem Collis, w samej tylko nocnej koszuli, starał się utulić żal Marii– Mamuśki, opatulonej wprawdzie w meksykański pled, ale w bluzce, która zwisała luźno, odkrywając jej nagie piersi. Collis nie miał innego wyjścia, więc tylko spojrzął na niego i rzucił mu ten rodzaj wykrętnego uśmiechu, który mówił: „No dobra, przyłapałeś mnie.

Poddaję się”. Ale Andrew Hunt postąpił naprzód i obszedł ich wokół z rękami założonymi na plecach, jakby podziwiał nową rzeźbę.

– Dzień dobry państwu – rzekł jowialnie. – I jak tam podróż? Na brak rozrywek narzekać nie można, prawda?

*

Zaledwie parę mil od Limon Bay, w Cieśninie Panamskiej, z ciemną linią wybrzeża już w zasięgu oka, zepsuł się jeden z zaworów w parowej maszynierii „Virginii” i statek nurzał się w wodzie, z dala od lądu, przez większość dnia, podczas gdy pogoda pogorszyła się jeszcze, a pasażerowie nakarmieni zostali zimną i suchą jak podeszwa wołowiną z marchewką. Był już wczesny wieczór, kiedy wreszcie dobili do portu. Dalej padało i ciemne chmurzyska koloru brudnych białych ręczników kąpielowych zwieszały się nisko nad ziemią. Samo Aspinwall zbudowane zostało na płaskiej wysepce koralowej, w samym środku enklawy, i gdy „Virginia” zbliżyła się doń przez deszczowe strugi, pasażerom zdawało się, iż żeglują przez spienione fale wody jakby zaczarowani. Deszcz bębnił o czerwone dachówki domów, a z pobielanych ścian farba odpadała wielkimi płatami. Wyglądało jakby pozostawiona na łasce żywiołu osada odpływała na falach od brzegu. Pasażerowie stali na pokładzie pod parasolami albo szukali schronienia pod obwisłymi baldachimami. Chcieli jak najszybciej przedostać się na keje Przedsiębiorstwa Transportu Morskiego Stanów Zjednoczonych, gdzie milcząca i obojętna grupka pracowników portowych czekała już na nich w przemoczonych koszulach i nasiąkniętych wodą słomkowych kapeluszach. Obok ustawili się przedstawiciele biura podróży, trzymając ociekające wodą parasole w jednej ręce, a nie palące się cygara w drugiej.

Collis, z kufrem spakowanym na podróż przez przesmyk panamski, stał pod jednym z baldachimów na rufie obok lotewskiego towarzysza podróży. Nigdzie nie było widać Hanny i podejrzewał, że nadal była w kajucie. Nie widział jej przez cały dzień, a w porze obiadowej steward zaniósł tacę do jej żeńskiego przedziału, więc domyślił się, iż udawała chorą. A może zresztą wcale nie udawała? Powietrze było wystarczająco duszne i skwarne, aby zbić z nóg zdrowego, silnego człowieka. Ale cała ta cholerna sprawa sprawiła, iż czuł się przygnębiony.

Maria–Mamuśka, dalej otulona w pled pueblo, z maleńkim zawiniątkiem, w którym umieściła cały swój dobytek, pod pachą, stała w deszczu przy przedniej balustradzie, z mokrymi włosami przylepionymi do twarzy. Andrew Jackson Hunt ulokował się niedaleko niej i Collis zauważył, że zwracał się do niej, rzucając jej wyzywający uśmiezek. No cóż, pomyślał Collis, jeżeli odpowiada mu, aby wziąć na siebie nie narodzone dziecko Marii–Mamuśki, to bardzo proszę – nic nie stoi na przeszkodzie.

Stopniowo maszyna „Virginii” zwolniła obroty i statek obrócił się, stając boki do nadbrzeża. Spośród mgły nad przystanią wyrosły nagle białe, dwupiętrowe oficyny przedsiębiorstwa przewozowego, otoczone postrzępionymi palmami, magazyny, cysterny oraz oddzielone płotem zagrody. Dalej w łąd, poprzez deszcz, Collis zdołał dostrzec tylko rozsypane rudery tropikalnych domków, a poza nimi, na południe, wzgórza, które były tak ciemne i wilgotne, że wyglądały jakby zalesione były świeżo duszoną kalarepką. Jeszcze zanim statek zawinął do portu, Collis poczuł zapach wyraźnie tropikalnego odoru oślego łąjna, ścieków i suszonego własnym przemysłem tytoniu i z daleka już słyszał skrzeczenie papug w koronach drzew.

Opuszczono pomost i pasażerowie gęsiego zeszli z „Virginii” na nadbrzeże. Deszcz nie ustawał i prawie nikt się nie odzywał. Przedstawiciel biura podróży podał rękę paru pasażerom, a potem wstąpił na jeden z nadbrzeżnych pali, tak zwanych pachołków, trzymając parasol w taki sposób, że wydawało się, iż ma zamiar wskoczyć zaraz do wody.

– Panie i panowie – rzekł z przyciężkim akcentem z Illinois. – Z przykrością muszę państwu powiadomić, że deszcz przyniósł nawał szlamu koło wąwozu w Culebra, wobec czego kolej nie będzie szła dzisiaj wieczorem. Nasze przedsiębiorstwo zapewni jednak państwu nocleg w Aspinwall i powinniśmy być gotowi do odjazdu jutro rano około jedenastej.

Rozległ się ogólny pomruk przerażenia i niezadowolenia. Nawet tam, gdzie stali, w obejściu należącym do przedsiębiorstwa, było jasne, że Aspinwall nie było takie bajkowe i czarodziejskie, jak to się wydawało z zatoki. Wszystkim doskwierał piekielny upał, a z każdym oddechem wchłaniało się w płuca fetor ze śmietników i powiew żółtej febry.

– A co będzie, jeśli jutro też nie ruszy? – zawołał Andrew Jackson. Przedstawiciel biura podróży wzruszył ramionami.

– Można się stąd przedostać na drugą stronę mułami. Może pan zawsze spróbować, jak pan chce.

– Mułami? A ile to czasu zajmie?

– Pociągiem będzie około pięciu godzin. Mułami dobrych parę dni. O ile w ogóle pan tam dobrnie. Żółta febra panoszy się tego roku.

– Wobec tego wygląda na to, że nie mamy wyboru – oświadczyła kobieta, która poprzedniej nocy wygoniła Collisa z żeńskiego przedziału. – Proszę nas zabrać do hotelu.

Przedstawiciel przedsiębiorstwa uplasował się na czele grupy wycieńczonych pasażerów, podczas gdy obładowani bagażami jamajscy tragarze zamykali cały pochód. Kotły „Virginii” zaczęły już stygnąć, dysząc i sapiąc ciężko paf–paf–paf, a pracownicy portowi zabrali się do rozładowywania statku z pocztą i aprowizacją. Collis odwrócił się i przyjrzał się „Virginii” po raz ostatni. Ona będzie mogła wrócić spokojnie do Nowego Jorku i cywilizacji, ale Bóg jeden wie, gdzie mnie poniesie los, pomyślał.

Hanna stała o kilka kroków przed nim, gdy dotarli do zamkniętych torów kolejowych na końcowej stacji przedsiębiorstwa. Kilka dwukołowych wózków zaprzężonych w muły zebrało się już obok, by zabrać panie do hotelu. Muły dozorowało sześciu czy siedmiu poganiaczy z Jamajki w podziurawionych, białych koszulach i brudnych, wyświechtanych białych spodniach. Tylko jeden z poganiaczy miał na całą grupę kompletne uzębienie. Żuli tytoń i spluwali siarczyście, przyglądając się przemoczonemu, pobladłemu pasażerom stąpającym ostrożnie ku nim po chodniku z desek, a jeden z nich zrobił jakąś grubiańską uwagę, na co inni zarechotali, rozbawieni. Collis przyspieszył trochę kroku, tak że gdy Hanna uniosła spódniczkę, by przestąpić przez pierwsze tory, znalazł się tuż obok niej. Podał jej ramię, zginając rękę w łokciu.

– Haniu... – powiedział.

Zatrzymała się i spojrzała na niego. Pod oczami miała sine podkowy, jakby źle spała poprzedniej nocy. Choć miała ze sobą małą parasolkę, jej niebieska salopka była przemoknięta, a na jej rękach lśniły krople deszczu, a może łzy. Zatrzymała się, a potem odwróciła do niego.

– Dziękuję, dam sobie sama radę. Jestem w stanie iść o własnych siłach.

– Haniu, źle to wszystko sobie zinterpretowałaś.

– Nie sądzę. A teraz proszę, zostaw mnie w spokoju – tarasujemy drogę innym.

Zaczęła przechodzić przez tory, a Collis szedł obok niej.

– To, co widziałaś dziś rano, Haniu, to nic innego tylko wielkie, głupie nieporozumienie.

Ta dziewczyna to kompletna kretynka. Popisywała się i tyle.

Hanna naburmuszyła się jeszcze bardziej.

– Aha! No to się jej nawet pięknie udało, nie ma co.

– Haniu, tu jest bardzo gorąco. Różne dziwne rzeczy się mogą przydarzyć. Ale nie trzeba tak od razu potępiać wszystkiego w czambuł, bez przemyślenia.

Hanna przebrnęła na drugą stronę. Przedstawiciel biura podróży unosił czapkę i wskazał powozik zaprzężony w muły.

– Nie umiem znaleźć słów, by wyrazić, jak bardzo mi przykro, że skazujemy panią na takie niewygody. – Uśmiechnął się od ucha do ucha, jakby to, że skazuje tę mieszaninę zagubionych nowicjuszy na spędzenie nocy w takim zapowietrzonym miejscu, sprawiało mu ogromną przyjemność.

– Haniu? – rzekł Collis.

– Tak, Collis, słyszę – odparła głosem bez wyrazu. – Ale oceniam tylko to, co widzę na własne oczy, a moje oczy powiedziały mi, że nie powinnam ci ufać.

– O czym ty mówisz? – rzekł Collis zirytowany. – A co zaufanie ma do tego, co widziałas dziś rano? Nie jesteśmy chyba małżeństwem? Nie jesteśmy nawet kochankami. Jak w ogóle mogę ci być wierny, skoro nigdy nie przyrzekałem ci wierności? Czy słyszałaś, abym składał przysięgę, że nigdy już nie spojrzę na żadną inną kobietę? Ty sama też masz męża – nie możesz wymagać tego ode mnie!

– Kręcisz, mój drogi – odparła – a z tym ci zupełnie nie do twarzy.

Dotarła do rozklekotanego zaprzęgu z poplamionym siedzeniem i spleśniałym baldachimem i ociągając się, podała rękę poganiaczowi, który pomógł jej wdrapać się na wózek. Usadowiła się w nim, a potem spojrzała na Collisa z opanowaniem i dumą, ale i z wyraźnym żalem.

– Chcesz czy nie chcesz – powiedziała – fakt pozostaje faktem, że kiedy się zobaczyliśmy po raz pierwszy, oboje doznaliśmy tego samego wrażenia – że łączy nas pokrewieństwo dusz. Nie zaprzeczaj. Ale co z tego, kiedy dziś rano wyrzalam przez okno i zobaczyłam, że pierwsze pędy tego rozkwitającego uczucia zostały brutalnie zdeptane buciskami.

Collis otarł twarz z deszczu rękawem.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że zgodziłabyś się zostać moją kochanką? Pomimo to, że zaprzeczałaś temu wtedy tak stanowczo?

– Nie wykluczałam takiej możliwości – powiedziała z godnością. – Muszę wyznać ze wstydem, że przyszło mi to na myśl niejedyn raz. Wiem, że temu zaprzeczałam. Ale były takie chwile, kiedy wydawało mi się, że to mogłoby być jakieś wyjście.

– Więc czemu kazałaś mi odejść?

– Nie jestem wielkowiejską damą z Nowego Jorku. Nie jestem kobietą o jakimś wyjątkowym intelekcie i nie mam dużego doświadczenia. Wiem, że wydaję ci się atrakcyjna.

Nie jesteś jedyny – wielu mężczyzn, dla których więzy małżeńskie istnieją tylko po to, żeby je zrywać, uważa mnie za ponętą. Ale ty też mi się podobasz. Widzisz, jednak przeszło mi to jakoś przez gardło. Ale trzeba się ze mną obchodzić delikatnie. Już teraz mam poczucie winy, nie trzeba jeszcze tego bardziej pogłębiać. Przybiegłeś do mnie wczoraj w nocy, jakbyś startował w biegu przez płotki. Poczułam się jak kolejna poprzeczka, którą zamierzasz właśnie przeskoczyć. Byłeś zbyt arogancki i zbyt bezceremonialny. Collis, zanim w ogóle przyjdzie mi do głowy związać się z kimś bliżej, muszę mieć jakąś gwarancję, że nie jestem tylko przelotną miłostką w jego życiu.

Collis wyciągnął dłoń i ujął ją za rękę. Nie wyrwała dłoni ani nie oddała uścisku, ale on nie ustępował.

– Jesteś kompletnie zagubiona i skołowacona. Po raz pierwszy mam w ogóle do czynienia z taką kobietą – powiedział tonem tak ciepłym, na jaki tylko go było stać.

Nie podniosła na niego oczu.

– Może masz rację – powiedziała. – Ale mam również swój honor. I to, co widziałam dziś rano na pokładzie... po prostu ugodziło w moją osobistą dumę. I to bardzo.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że zastanawiałaś się, czy nie zostać moją kochanką, ale teraz zmieniłaś zdanie?

– Collis, to wszystko przez to okropne dziewuszysko... – To dziewuszysko wcale się dla mnie nie liczy. To doprawdy absurd. Nigdy mi się jeszcze nic podobnego w życiu nie przytrafiło. Po prostu pojawiła się ni z tego, ni z owego.

– Rozumiem – rzekła Hanna bez przekonania.

Collis trzymał jej rękę w swojej dłoni jeszcze przez parę chwil, a potem rozluźnił uścisk.

Opadła bezwładnie, jakby ulepiona była z wosku. Co za okropny babsztyl, myślał Collis.

Naprawdę gra mi już na nerwach. To zresztą całkiem do niej podobne: oczywiście, musiała mu powiedzieć dopiero po fakcie, kiedy nie udało mu się jej uwieść, że przynajmniej brała pod uwagę możliwość zostania jego kochanką, gdyby podszedł do niej w odpowiedni sposób, ma się rozumieć. Ale dlaczego nie powiedziała mu tego przedtem?

Poganiacz zbliżył się, ciągnąc za sobą mokrą, zaszarganą kulbakę ze zniszczonym skórzanym siodłem.

– To dla pana, senor – wyjaśnił. – Niech pan lepiej wsiada. Musimy jechać.

– A daleko to?

– Tylko do Front Street, senor. Kilkaset metrów.

– Wobec tego pójdę piechotą.

– Nie, senor. Niech pan lepiej jedzie.

– Tylko po to, żeby ci zapłacić?

– Nie, senor. Ale ulica.

– Ulica? I co z tą ulicą?

Poganiacz starał się znaleźć odpowiednie słowa po angielsku. Wreszcie, starannie wymawiając każde słowo, rzekł: – Ludzkie wyroby, senor.

Collis rozejrzał się po pokrytym kałużami dziedzińcu stacji. Większość pasażerów „Virginii” usadowiła się już w wózkach lub dosiadła samodzielnie mułów. We mgle deszczowego wieczoru w Aspinwall wyglądali oni jak dezercerzy z jakiejś niesubordynowanej wojskowej jednostki, szczątki zhańbionego regimentu kawalerzystów.

„Virginia” zawyła przeciągle, a muł bardzo uroczyście wypróżnił się na podtorzu.

– Pomówimy o tym później – rzekł Collis do Hanny. – Przecież nie musimy czuć do siebie nienawiści, prawda?

– A kto powiedział, że mamy czuć do siebie nienawiść?

– Może się przecież zdarzyć, że zostaniemy przyjaciółmi. Albo nawet kochankami, jeśli się na to zdecydujesz i jeśli taka jest wola Boża.

– Występek nigdy nie jest wynikiem Bożej woli – odparła Hanna.

– Nie wierzę jednak, że unieszczęśliwianie nas, zwykłych śmiertelników, jest także Jego zamysłem.

Hanna otworzyła torebkę i wyciągnęła z niej chusteczkę do nosa. Nie była pierwszej czystości, ale większość pasażerów „Virginii” miała zaległości w praniu rzeczy osobistych.

– Wołałabym, abyś nie wzywał imienia Pana Boga nadaremno.

Strzepnęła krople deszczu z pelerynki.

– Sama już nie wiem, co naprawdę czuję do ciebie, Collis. Myślę, że powiedziałam ci wszystko, co miałam do powiedzenia. Myślałam o tym, żeby się z tobą związać, ale nie mogłaby to być nigdy lekka przygoda, przelotna miłość. Musiałabym zobowiązać się do poświęceń i oczekiwałabym tego samego w zamian.

– Czy dlatego tak cię to zabolalo, kiedy zobaczyłaś mnie z Marią? Bo już zobowiązałaś się do tego w myślach i oczekiwałaś podobnego zobowiązania ode mnie?

Podniosła głowę. Zapadał już teraz zmrok i w strugach deszczu jej twarz wyglądała jak połyskliwe, delikatne malowidło.

– Chyba tak – powiedziała.

Collis postął jeszcze chwilę przy jej wózku, a potem odszedł i wziął w ręce lejce swego muła. Po drugiej stronie dziedzińca, w otwartych drzwiach wagonu towarowego z napisem „Przekazy Pieniężne i Pocztove – Stany Zjednoczone”, siedziało ze dwunastu jamajskich tragarzy, większość z nich pomaga. Na znak przedstawiciela biura podróży wyskoczyli z wagonu, zebrali cały bagaż, którego nie dało się przywiązać do mułów, i opuściwszy rządkiem dziedzińca, skierowali się po błotnistym gościńcu w stronę miasta. Jeden z nich nawet w końcu wziął jakiegoś małego berbecia na barana: umieścił go na drewnianym siodełku, które przewiązane było wokół jego błyszczącej, czarnej głowy opaską z materiału.

Chłopczyk o bladej twarzyczce, w przemoczonym marynarskim ubranku, spał jak zabity.

Nadzorca poganiaczy, grubas w szerokim słomkowym kapeluszu, zawołał teraz: „Wio, wio” i dał znak do odjazdu, machając rękami jak młócający cep. Cała kawalkada ruszyła nierówno, trzęsąc się w rozklekotanych wózkach albo, na oklep, kołysząc ociężale pośladkami na wąskich, mokrych grzbietach mułów.

Collis nigdy jeszcze nie widział takiej przygnębiającej, zrujnowanej osady. Front Street, po której właśnie jechali, posuwając się wzdłuż torów kolei transpanamskiej, była zwrócona w stronę zamglonej przystani, gdzie maleńkie żaglówki kołysały się jak duchy. Na wschodniej stronie ulicy, niedaleko rynku, stał biały, kamienny budynek należący do Przedsiębiorstwa Transportu Morskiego i parę rozwalających się drewniaków. Na jednym z nich widniał napis: „Café du

Chemin de Fer”, a w innych mieściły się dwie niezbyt atrakcyjne knajpy, kasy kolejowe, lodownia, a dalej hotel Colón, zniszczony trzypiętrowy budynek z balkonami.

Jezdnia była gliniasta, nie wybrukowana i gruba warstwa błota rozpryskiwała się spod kół i kopyt. Wszędzie walały się puste butelki, jakieś szczątki połamanych mebli i cuchnące odpadki. Na frontowej werandzie w budynku naprzeciw Jamajczycy przyglądali się leniwie i obojętnie tej ślamazarnej kawalkadzie, podczas gdy zmordowani pasażerowie „Virginii” ślizgali się po błotnistych wybojach jezdnii. Ludność Aspinwall, była prawie wyłącznie czarna i niemal wszyscy mieszkańcy osady żyli w potwornej nędzy. Panamskie Przedsiębiorstwo Kolei Żelaznej sprowadziło ich tu z wysp Morza Karaibskiego wraz z Chińczykami i Irlandczykami jako tanią siłę roboczą do układania torów przez korytarz panamski, ale teraz gnuśnieli razem ze swoją osadą w tej bagnistej magmie chorób, upałów i beznadziei.

Natomiast budowniczy kolei wynieśli się stąd już dawno, oczywiście, zostawiając po sobie jako pamiątkę pomnik ku czci Johna Lloyda Stevensa*, Henry’ego Chaunceya i Williama Henry’ego Aspinwalla. Skapana w strugach deszczu statua z czerwonego granitu miała upamiętniać wspańiałe przymioty ich umysłu i charakteru: dalekowzroczność i samozaparcie.

Collis przyjrzał się uważnie pomnikowi, a potem przejechał obok. Następnie wzniósł oczy ku niebu, ponad mokre, czerwone dachówki, gdzie wielkie, czarne skrzeczące sępy krążyły w koło i w koło, jakby samo miasto było już trupem, nad którym mogły się paść bezkarnie. A deszcz padał i padał, nie ustawał – jakby miało tak padać po wsze czasy.

4

Nadeszła noc, a deszcz nie ustawał. Collis leżał w swoim pokoju, w hotelu Colón, usilnie starając się zasnąć; przewracał się z boku na bok na wąziutkim żelaznym łóżku, rozczochrany i spocony, aż wreszcie usiadł ze starą, zbutwiałą moskitierą owiniętą wokół głowy, niczym panna młoda w welonie albo niepoczytalny wariat, który bawi się sam ze sobą w duchy. Nocą upał zdawał się jeszcze gorszy niż za dnia, ale słyszał, że powietrze nocne przynosi febrę, więc trzymał żaluzje spuszczone. Podniósł po omacku moskitierę, starając się znaleźć na nocnej szafce przy łóżku zapaliki, a potem niezdarnie zapalił lampę naftową. Żółtawe światło rozbłysło niemrawo, ślizgając się po ścianach pokoju.

Od wewnątrz hotel Colón zaskakiwał przybyszów swoim podupadłym francuskim przepychem i majestatem. Z sufitów zwieszały się zaniedbane, lustrzane żyrandole, a korytarz wyściełany był zabłoconym dywanem. Za to w pokojach podłogi były gołe i obskurne; nie było w nich choćby jednej, najskromniejszej plecionki przy łóżku. Collis był tak wykończony, że gdy wreszcie młody dziobaty Hiszpan zaprowadził go do pokoiku z balkonem na drugim piętrze, zamknął za sobą drzwi i padł na łóżko z uczuciem nieopisanej ulgi, takiej, jakiej jeszcze dotąd w życiu nie zaznał. Ani w ekskluzywnym hotelu St Nicholas, ani w Union Club, ani nawet w jednym z wyściełanych aksamitem przybytków rozkoszy na Mercer Street nie czuł się nigdy tak komfortowo. Przez pięć minut leżał zupełnie bez ruchu, a potem bez pomocy rąk zdjął przemoczone buty, zrzucił wilgotny od deszczu surdut, położył się i przymknął oczy.

Spał chyba jakieś dwie godziny. Gdy się obudził zerknął na leżący obok, na nocnej szafeczce, zegarek, ale ten stanął o dziesiątej. Rozejrzał się po pokoju. Była w nim pomalowana aa kremowo komódka, zdemolowane biurko, na którym stał porcelanowy dzbanek i miednica, a na jednej ze

ścian wisiała reprodukcja Madonny na skałkach. Kufer musiano wnieść, kiedy już spał, ponieważ leżał teraz, zamknięty, obok biurka. Wokół unosił się duszny zapach tropikalnej pleśni i kamfory, tak silny, że aż zakręciło go w nosie, więc kichnął dwa razy.

Wstał z łóżka, przykucnął obok kufra i otworzył go, kluczykiem. Pod lnianym surdudem, owinięta dla ochrony w ręcznik, leżała butelka czerwonego burgunda, którą kupił na statku.

Wyjął ją, usiadł na łóżku i wydłubał korek scyzorykiem. Spłukał winem zakurzony kufelek, który kierownictwo hotelu zostawiło gościnnie przy łóżku, a potem napelnił go po brzegi.

Woda, jak uprzedzał go Andrew Jackson, była równie zdradliwa jak nocne powietrze.

Siedział tak, popijając wino i ocierając pot z czoła ręcznikiem, kiedy zza okna dobiegł go donośny, przenikliwy świst. Zmarszczył brwi i nasłuchiwał. Znowu świst. Monotonny pszszsz–stuk–puk–puk, a po nim przeciągły, ciężki wydech pary. Wstał i podszedł do okna z balkonem. Przez listewki żaluzji zobaczył migoczące pomarańczowe światelka i usłyszał tubalne, męskie głosy; mężczyźni rozmawiali po hiszpańsku i od czasu do czasu wybuchali śmiechem. Collis podniósł haczyk, otworzył drzwi balkonowe i wyszedł w skwar nocnego powietrza.

W odległości zaledwie stu stóp, po drugiej stronie zabłoconej ulicy, zobaczył skąpany w strugach deszczu parowóz. Widać było, że miał być odstawiony do zajezdni, ale przedtem trzeba było odczepić wagony towarowe i przetoczyć je na boczne tory. Była to stalowoszara lokomotywa, z wysokim, przypominającym potężny dzwon kominem i zieloną budką maszynisty, której gotyckie okienka były wykonane równie kunsztownie, jak misternie zdobione okna pałacowe. Miała cztery potężne koła, a jej masywny zderzak pomalowany był na czerwono. Za nią stał zawalony drewnem tender*, nie mniej dekoracyjny i rozświetlony niż niejeden nowojorski lokal rozrywkowy. W tyle stały doczepione cztery wagony towarowe Amerykańskiego Przedsiębiorstwa Przewozowego i sześć wypolerowanych na wysoki połysk wagonów osobowych. W każdym oknie wisiały zasłonki.

W mrokach nocy, na tle spowitej w mgłę, migotliwej zatoki Limón, lokomotywa i pociąg wyglądały jak karuzela w wesołym miasteczku. Wszystkie okna były rozświetlone, a światła z latarenki na szczycie komina załamywały się w kroplach deszczu i tryskały wirującym złotem. Setki miniaturowych czerwonych iskier rozpryskiwały się w powietrzu i fruwały w ciemnościach nocy, podczas gdy para buchała z masywnego komina przez uchyloną klapę bezpieczeństwa, pełzając leniwie wokół kół pociągu. Zapach smaru i spalin mieszał się z wilgotnym tropikalnym fetorem gnijących na Front Street odpadków.

Collis wrócił do swojego pokoju po cygaro, ale zaraz ponownie wyszedł na zewnątrz.

Zaciągając się dymem z cygara, przyglądał się lokomotywie z wielkim zainteresowaniem.

Zobaczył maszynistę w perkalowej czapce z daszkiem i zgrzebnej, płóciennej pasiastej koszuli, z ciemną plamą od potu na plecach, i rozebranego do pasa palacza, który wrzucał kłody drzewa w palenisko. Na całej długości pociągu wagony towarowe otwierały się i zamykały z trzaskiem, tłoki z łomotem waliły o koła, a manewrowi stali w deszczu, czekając, aby przetoczyć pociąg do zajezdni i odłączyć wagony. Nawoływali się i pokrzykiwali w gwarze jamajskiej, a czasem i po hiszpańsku, a jeden z nich bezustannie dmuchał w gwizdek dróżnika.

Ta tutaj „karuzela” była jednak całkiem wyjątkowa: przemierzała dżungle i górskie przełęcze z jednego wybrzeża oceanu na drugi; niosła ludzi wszelkiego pokroju i autoramentu, maluczkich i

ambitnych, biedaków i bogaczy, oszustów i misjonarzy, w nowe, nieznanne losy. Uderzała ona Collisa jako nieprzenikniony, kolorowy wehikuł ludzkiego przeznaczenia; jako wymykająca się spod kontroli zwykłych śmiertelników, która rzucała wyzwanie i przenosiła człowieka z przeszłości w przyszłość, za zgodą albo i wbrew jego woli. Właśnie w tym miejscu, na Front Street, sapiąc, dysząc i mamrocząc sama do siebie w równikowym skwarze, wystrojona, wypucowana, kusząco jasna i świecąca, przyciągnęła uwagę Collisa i wywarła na nim swoje dozgonne piętno.

Opuścił pokój hotelowy, minął recepcję i zszedł schodami w dół. Choć było już dobrze po północy, bar był nadal czynny i ktoś grał na pianinie sentymentalną melodię w c-moll.

Przedpokój hotelu musiał być niegdyś – w czasach, kiedy tę kolej budowano – przebogaty, ale teraz wyglądał bardziej jak stodoła, którą jakiś żartowniś przyozdobił dla śmiechu freskami przedstawiającymi nagie nimfy i doryckie świątynie, w ciemnych, pastelowych barwach. Pod zwisającym krzywo żyrandolem dwudziestu lub trzydziestu mężczyzn w kapeluszach naciśniętych nisko na czoło siedziało przy podrapanych i poplamionych alkoholem stołach, popijając burbona i pykając z fajeczek, przekrzykując się w rozmowie i modląc się do Boga, by pozwolił im jak najszybciej się stąd wydostać. Trzy wiatraki obracały się zupełnie bezcelowo, bo w tej wilgoci, upale i kłębach dymu z papierosów, cygar i fajek, nie przynosiły, żadnej ulgi. Nad biurkiem wisiał oprawiony w czarne ramki regulamin hotelowy: nie palić w łazienkach, nie spluwać z balkonów na ulicę, limit – trzy osoby na jedno łóżko. Nie było palm w hotelowym foyer, tak jak w Nowym Jorku. Zgodnie, z rozumowaniem kierownictwa hotelu, jeśli ktoś chciałby sobie na nie popatrzeć, to kto mu broni – bardzo proszę; niech sobie wyjdzie na dwór i napatrzy się ile wlezie, aż mu to zbrzydni na całe życie, do stu katów. Collis zszedł po skrzypiących schodach i skierował się w stronę baru, gdzie hiszpański barman wycierał kieliszki rękawem luźnej, workowatej koszuli. Collis poprosił go o koktajl burboński, ale barman tylko spojrzał na niego głupkowato, więc zadowolił się kieliszkiem Old Carstairs Authentic*. Potem oparł się o bar i rozejrzał wokoło. Czuł się nadal zmęczony, ale jednocześnie wydarzenia ostatnich tygodni zaczynały go jakoś ekscytować. Życie zdawało się nabierać nowych kształtów i barw. Być może teraz, gdy znalazł się w Panamie, zdał sobie wreszcie sprawę z tego, że nie było już dla niego powrotu i że odtąd będzie musiał wszystkiemu sprostać w pojedynkę – wszystkiemu, cokolwiek się jeszcze wydarzy. Będzie musiał wziąć byka za rogi i nie przepuścić żadnej okazji, jeżeli znowu chce stanąć na nogi.

Przy fortepianie, w świetle zakurzonych lichtarzy, dziadek w brudnym słomkowym kapeluszu i o bokobrodach tak wyleniałych, jak sierść starego kocura, grał romantyczną francuską melodię – melodię zaprzepaszczonej nadziei, złamanych serc i niedzielnych spacerów nad Sekwaną. Bębnił w klawisze niemiłosiernie, maltretując każdy takt i znęcając się nad każdą nutą. Jednocześnie drugi mężczyzna, wysoki gość w żółtej kamizelce, zawodził całkiem inną piosneczkę. Nikomu to jakoś nie przeszkadzało. Nikogo to nie obchodziło. Tu, w Aspinwall, w deszczową letnią noc, każdy miał na głowie inne sprawy. Od czasu do czasu ktoś wybuchał gromkim śmiechem, ale nawet ten śmiech wydawał się gorzki, wymuszony i zamierał samotnie, bez odpowiedzi.

Collis skończył już właśnie swojego drinka, kiedy zauważył, że Andrew Jackson Hunt również zszedł na dół i podszedł do baru, żeby się czegoś napić.

– Uszanowanie – zagadnął Andrew, unosząc kapelusz. – I jak się dziś mamy?

– Dziękuję, dużo lepiej – odparł Collis. – Przespałem się trochę przez parę godzin.

– Aaa! No to zazdroścę. Ja w ogóle nie mogłem zmrużyć oka. Sęk w tym, że mój pokój znajduje się tuż obok klozetu, i kiedy tylko zaczyna mnie wreszcie morzyć sen, komuś zawsze nagle

zachciewa się odlać, naśladowując przy tym, i to z wielkim powodzeniem, panie dziejku, wodospad Niagara.

– Czy widział pan ten parowóz na stacji? – zapytał Collis. – Chyba skoczę, żeby mu się przyjrzeć z bliska. Pójdzie pan ze mną?

– Nigdy pan przedtem nie widział pociągu?

– Ależ tak, naturalnie, że widziałem. Ale nie aż tak z bliska. W Nowym Jorku zawsze trzymałem się z daleka od torów kolejowych, żeby nie płoszyć koni.

Andrew kiwnął na barmana i zamówił jeszcze jedną kolejkę dla Collisa.

– Wie pan co? – rzekł, opierając się łokciami o bar. Wypił swojego drinka duszkiem, ale potrzymał go przez jakiś czas w ustach, jakby chciał przepłukać zęby. – Taka kolej, panie, to kura znosząca złote jajka, nie ma dwóch zdań. Znajdzie się wreszcie taki cwaniak, co położy tory od San Francisco aż po St Louis, i ten się wzbogaci bardziej niż sam cysorz, panie dziejku.

– Kto taki?

– No i co to się dzisiaj wyprawia z tą naszą młodzieżą?! Nibyś to pan z towarzystwa, a taki nie obeznany. Nie uczą to was już dzisiaj w szkole historii, czy co? Taki król, no, cysorz, przecież mówię wyraźnie. Nawet nam obu by to się mogło udać, gdybyśmy tylko ruszyli dobrze głową i znaleźli poparcie. Popatrz pan na tę cholerną Kolej Panamską. Ile trzeba czasu, żeby dotrzeć do Panamy? Najwyżej sześć godzin, a może i nie to. A ile się za to płaci?

Dwadzieścia pięć dolarów w złocie. Wedle moich obliczeń, to ponad cztery dolary za godzinę od osoby, w złocie. Niech pan tylko pomyśli, ile można by brać za podróż koleją prościuteńko przez całutką Kalifornię i z powrotem. Ale ludziska by, panie, płacili, gdyby nie trzeba było tłuc się statkiem i przedzierać przez tę przeklętą dżunglę. Barman postawił przed nimi whisky.

– Wypiłem już wcześniej pół butelki wina – rzekł Collis. – Nie chcę stracić władzy w rękach i nogach.

– Pij pan – rzekł Andrew. – Bourbon to najlepszy środek zapobiegawczy przeciw żółtej febrze. I jeszcze do tego musztarda. Hej, kelner! Macie tu trochę musztardy? Mustard?

Barman potrząsnął głową.

– Oni tu wszyscy diabła warcii. Nie ma co na nich liczyć – poskarżył się Andrew. – Czekają tylko, żeby człowieka zważyło z nóg. Majacz tego uciechę, jak kto odwali kity i pojedzie na piwko do Abrahama. A kostusia nierzadko tu do nich wita, nie powiem. Suchoty, panie, ospa i dzuma, i malaria, i żółta febra; wszystko się tu może przyplątać. Starczyłoby akurat, żeby wymieść pół Kalifornii, a do tego jeszcze spory kawałek Virginii.

– Ale przecież sami chyba też chorują, żyjąc w takiej wylęgarni morowego powietrza?

– Pewno, że tak! Jeszcze jak! Ale żółtej febrze dostaje się tylko raz. Na ogół to koniec, panie; deseczki i do ziemi. Ale jak się człowiek z tego raz wyliże, to ma z głowy do końca życia – nigdy

już więcej tego nie złapie. Nawiasem mówiąc, odporność na żółtą febrę nie chroni przed dzumą ani innym plugastwem.

Collis łyknął pełen kieliszek burbona, jakby to było niezwykle cenne lekarstwo. Zakręciło mu się w głowie i poczuł też, że ma mdłości, ale lepsze to, pomyślał, niż żeby się jakie cholerne tropikalne choróbsko miało przypałać.

– Tylu robotników pomarło przy budowie tej kolei, że w końcu nie wiedzieli co robić z ciałami – rzekł Andrew całkiem beztrosko. – Więc w końcu wpadli na genialny pomysł: załadowali, panie, truposzczaków w beczki i sprzedawali do szpitali i akademii medycznych doktorom na eksperymenty. Słyszałem, że przedsiębiorstwo budowy kolei zrobiło na tym nawet zupełnie przyzwoity interesik, nie ma co.

– Zmyślasz pan.

– Nie wierzy mi pan? To popytaj się tu naokoło, a każdy ci powie.

Collis rozejrzał się znowu po sali. Szcerbaty gość o pożółkłej cerze, w brudnej, welwetowej kapocie, uniósł w jego stronę kieliszek i uśmiechnął się do niego obiecująco.

– Może jednak pójde rzucić okiem na ten parowóz – zdecydował szybko Collis.

Wyszli na zewnątrz. Mżyło wprawdzie nadal, ale tak skapo, że wcale nie zwracali na to uwagi. Przeszli w ciszy przez zabłoconą ulicę, starając się wymijać co głębsze ścieki i największe kałuże. Wkrótce znaleźli się na wprost lokomotywy przy wypukłym zderzaku i Collis spojrzał w górę na jaskrawe reflektory, jakby to były hipnotyzujące ślepia potwornych Cyklopów.

Przeszli się obok kół, wdychając zapach spalin i dymu, podziwiając kunsztowne złocenia i świecący mosiądz. Na drzwiach budki maszynisty był malunek przedstawiający krajobraz z okolic Panama City, w otoczeniu cherubinków, zefirków i różowych chmurek, jakby to był prawdziwy raj na ziemi.

Ramy okienne kabiny i krawędzie dachu, były obrysowane misternie złotą, gotycką kreską, odcinały się od ciemnego tła parowozu. Z tylnego okna, z rękami założonymi na piersiach, z podwiniętymi rękawami i ciemnym cygarem w zębach, wychylał się maszynista.

– Uszanowanie! – zawołał Collis. Maszynista splunął w ciemności.

– Całkiem możliwe – zauważył Andrew po dłuższej przerwie – że gdyby to panu przyszło spędzać całe życie na lokomotywie w Panamie, też nie byłbyś pan zachwycony swoim losem.

– A może po prostu nie rozumie po angielsku? – zaoponował Collis.

Przeszli się jeszcze kawałek wzdłuż pociągu, koło wagonów pocztowych, aż doszli do wagonów osobowych. Nie były już takie ozdobne jak sama lokomotywa, choć zbite z solidnej, trwałej amerykańskiej sosny, a dwa z nich miały nawet specjalne przedziały dla dam. Obite czarnym sukniem siedzenia były wąskie i niezbyt komfortowe, ale wszystko to było lepsze niż jazda mułami na oklep. Przy każdym siedzeniu paliła się naftowa lampka pod bańką z rytego szkła.

Andrew i Collis wdrapali się na stromy stopień i zajrzeli przez okno do środka, a potem powoli zawrócili do hotelu Colón. Collis poczuł głód – nie pogardziłby porządnym schaboszczakiem i sałatką z pomidorów. Andrew wziął znowu szczyptę tabaki, kichnął dwa razy tak donośnie, jakby uderzył młotem w kowadło, a potem wysiakał głośno nos w poplamioną tytoniem chustkę. Całą noc deszcz bębnił w dachy domów, fale morskie rozbijały się z łoskotem o kamienne nadbrzeże, a przy tym słychać było głośne bzykanie owadów i nie kończące się pszszzsz–stuk–puk–puk lokomotywy.

– Jak by się tu do tego zabrać, żeby poprowadzić taką kolej z San Francisco do St Louis?

– zapytał Collis.

Andrew złożył chustkę do nosa w kostkę i spojrzął na Collisa przenikliwie.

– Najpierw trzeba by mieć parę dobrych milionów dolarów.

– I co jeszcze?

– Niezbędna jest też fachowa siła robocza. Chociaż fachowców zawsze można nająć.

– Więc skąd wytrzaśniemy te miliony dolarów?

Andrew zakreślił ręką szeroki łuk ku pomocy, obejmując nim jakby całe Stany Zjednoczone i wszystkie ich terytoria, gdzieś tam het, w deszczowej ciemności.

– Jest przecież rząd – powiedział. – Oni nawet chętnie podjęliby się sfinansowania kolei, gdyby tylko komuś udało się znaleźć odpowiednią trasę. Nie żałowaliby też ziemi – przekazaliby na ten cel tyle, że nawet galopem byś pan tego nie przejechał w ciągu tygodnia.

Collis pokiwał głową.

– No właśnie – powiedział. – Jest rząd, a do tego wszyscy ci bogacze, o których mi pan przedtem opowiadał. Wszyscy ci, co mieszkają na Rincon Hill w San Francisco. Czy oni byliby gotowi zainwestować w kolej żelazną? Pomyśl pan tylko, jak wzbogaciłoby się San Francisco, jak wzbogaciliby się oni sami, gdyby tylko połączyć ich ze Wschodem koleją.

Andrew zatrzymał się w marszu i ujął Collisa za ramię, marszcząc brwi.

– Collis – powiedział. – Chyba nie myśli pan poważnie o wybudowaniu drogi żelaznej, co?

Collis uśmiechnął się.

– Nie mam żadnych środków, żeby się podjąć takiego przedsięwzięcia. Ale niech pan tylko spojrzy na tę lokomotywę: czy to nie wzór doskonałości? No, niech pan sam powie!

Czy to pana nie podnieca?

*

Tej nocy, kiedy Collis wrócił do swojego pokoju, czekała tam już na niego nie mniej podniecająca niespodzianka. Na swoim łóżku zastał Marię–Mamuškę (w pogniecionej, ale czystej jasnoniebieskiej sukience), o gładkiej skórze i z porządnie wymytą lśniącą głową.

Nadal ocierając usta po ciężko strawnym posiłku z bekonu i fasoli, zamknął za sobą drzwi i opierał się o nie przez chwilę, patrząc na nią w przyciemnionym świetle.

– Nie spodziewałem się ciebie. Uśmiechnęła się.

– To chyba tym lepiej, no nie? Masz miłą niespodziankę. Wykrzywił usta w grymasie.

– Nie wiem. Moja matka zawsze mnie uprzedzała, że lepiej wiedzieć z góry, czego się trzymać. Wiedza jest cnotą, niewiedza występkiem, mawiała.

– Ale tobie nie zależy na tym, żeby żyć w cnocie?

– Tego też nie jestem pewien. Może i by mi się to nawet przydało.

Położyła się na łóżku i uśmiechnęła do niego.

– Nie mogę cię już teraz wpuścić w maliny. Wiesz przecież, że jestem w ciąży. Więc cokolwiek zrobimy, to tylko z miłości. Co ty na to?

– Z miłości? Ale ja wcale nie jestem w tobie zakochany! I nie przypuszczam, abyś ty była zakochana we mnie.

– Może nad ranem by się to zmieniło, co? Wybełkotał coś pod nosem, szczerze ubawiony. Potem przeszedł na drugą stronę pokoju, podszedł do drzwi balkonowych i spuścił żaluzje. Wprawdzie ze względu na to, że wszystkie drzwi i okna pozamykane były na cztery spusty, w pokoju panowała potworna duchota, ale Collis wołał się pocić. Maria–Mamuška przyglądała mu się uważnie, a z jej twarzy nie schodził prowokacyjny uśmiezek, nawet kiedy Collis podszedł już do łóżka, stanął w jego nogach i zaczął odpinać guziki koszuli.

– A co z Andrew Huntem? – zapytał. – Myślałem, że ma na ciebie chrapkę.

– Ale on mi się nie podoba – odparła. – Przypomina mi tego kretyna z Jacksonville.

– Aha. Więc zamiast tego zagięłaś parol na mnie, tak? Dobrze, że się przynajmniej wreszcie porządnie wyszorowałaś.

Usiadł na krawędzi łóżka i zrzucił buty. Były oblepione błotem, więc oczyścił je, szorując nogami o żelazną nogę pryczy. Potem odpiął mankiety i ściągnął koszulę przez głowę. Maria–Mamuška przyglądała mu się uważnie swymi ciemnymi oczami, w pulsującym świetle, które sączyło się przez matowe szkło lampy naftowej.

– Coś cię gnębi, prawda? – zapytała.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Oj, słyszałam, jak dowcipkujesz z Andrew Huntem i wiem, że lubisz żartować w towarzystwie. Ale kiedy ci się tak przyglądam, to wydaje mi się, że w głębi duszy nie jest ci wcale wesoło. Przypatrywałam ci się, kiedy rozmawiałeś z Mrs West, wiesz? O, taką miałeś minę... – Spuściła kąciki warg, nadając swojej twarzy wyraz bólu i cierpienia, tak aby zrozumiał, o co jej chodzi.

Collis wstał i odpiął spodnie. Był zadowolony, że tego rana włożył czyste bawełniane spodnie, szczególnie że Maria–Mamuśka zadała sobie wiele trudu, żeby zjawić się u niego taka czysta i wypucowana. Podeszedł do biurka, gdzie stała miednica, wlał trochę wody i umył zęby ziarnistym proszkiem do zębów, który kupił w Jacksonville. Przepłukał usta, a potem wrócił do łóżka.

– Czy to przez kobietę? Dlatego ci tak ciężko na duszy? Z powodu jakiejś kobiety? – spytała Maria–Mamuśka. – Jakiejś innej kobiety, nie chodzi mi o Mrs West.

Pokręcił głową.

– Nie. Chodzi o coś więcej.

– Ale o co? Nie możesz mi powiedzieć?

– A po co? To i tak nic nie zmieni. Wszystko to już i tak poza mną, czy mi się to podoba, czy nie. Nawet gdybym ci o tym powiedział, to i tak niczego to nie rozwiąże.

Milczał przez dłuższy czas, wpatrując się nie widzącymi oczami w płomień lampy.

– Chcesz, żebym sobie poszła? – zapytała.

– Skąd ci to znowu przyszło do głowy?

– Nie chcę się narzucać. Collis zaczął odpinać spodnie.

– Ależ bardzo proszę, zostań. Podobasz mi się. Przykro mi tylko, że nie jestem zamożny.

Kupiłbym ci kwiaty, brylanty i w ogóle nie wiem, co by tu można jeszcze znaleźć, w tej zabitej dechami dziurze.

Usiadła wyprostowana na łóżku przy akompaniamencie jęklanych sprężyn.

– Ja też żałuję – rzekła z uśmiechem. – Ale powiedzmy sobie, że zrobimy to po prostu dlatego, że chcemy o sobie zachować jakieś miłe wspomnienia. Kiedy spotkamy się za trzy lata na Montgomery Street, będziemy sobie mogli pogadać o tych starych, dobrych czasach w Aspinwall, no nie?

– Myślisz, że inaczej zapomniałbym o tobie?

Wzruszyła ramionami.

– Możliwe. Jeśli się wzbogacisz i spotkasz masę pięknych kobiet.

Przyjrzał się jej z zainteresowaniem. Zauważył, że pomimo zaniedbania miała wyrazistą, oryginalną urodę, a to wprawiło go w doskonały nastrój. Była zupełnie inna niż Delfina, dla której

erotyzm był tylko dziewczęcą igraszką, żeby sprawdzić, jak jej uroki działają na mężczyzn. Tu natomiast nie było sztuczek i wybiegów ani kokieteryjnych uników. Maria– Mamuśka uprawiała seks dla sportu – bo sport to zdrowie – tak jak inni uprawiają ekwilibrystykę; i nawet jeśli zdarzyło jej się spaść parę razy z konia, traktowała te upadki jako zwykłe życiowe ryzyko. Takie już jest prawo – czy może bezprawie – natury, i co z tego, że od czasu do czasu robiła z siebie, niepotrzebnie, pośmiewisko i gadała często od rzeczy? W sprawach seksu wiedziała dobrze, czego chce – pod tym względem była zupełnie dojrzała.

Stojąc przy niej w dusznym pokoju hotelowym, Collis doszedł do wniosku, że dziewczuszka z niej całkiem niczego sobie. Przyklękła na łóżku i sięgnęła ręką do tyłu, żeby odpiąć sukienkę. Na zewnątrz przestało już padać i nie było słychać nic poza bzykaniem owadów i nie kończącym się sapaniem lokomotywy. Skrzyżowała ramiona na piersiach i ściągnęła sukienkę przez głowę; na suficie jej cień wyglądał jak wielki ptak rozkładający skrzydła do lotu. Potem usiadła i ptak na suficie również zastygł w bezruchu. Potrząsnęła głową, aby odrzucić do tyłu długie kruczoczarne włosy.

Pod sukienką miała na sobie obszyty koronką biustonosz i szerokie szarawary, które poszarzały od prania w pralni na „Virginii” i przesiąkły potem w upale i zaduchu tej panamskiej nocy, ale posypała je lawendowym pudrem, a wokół talii zawiesiła małe muślinowy woreczek suszonych kwiatków. Odwiązała sznurówki staniczka i rzuciła go na podłogę. Teraz, gdy stanęła na żelaznym łóżku, by pozbyć się reszty bielizny, jej wielkie śniade piersi kołysały się przed nim, obnażone.

Emanowało z niej ciepło i delikatny zapach lawendy. Była raczej niska – kiedy stanęła przy nim, jej główka z burzą czarnych, świeżo umytych włosów sięgała zaledwie jego klatki piersiowej – ale ładnie, proporcjonalnie zbudowana. Jej brzuch wyduły ciężą był pełny, zaokrąglony i Collis domyślał się, że musiała nosić w sobie płód co najmniej od trzech miesięcy. Mimo to dalej była namiętna i zmysłowa. Jego ręka, wędrowała przez nagość jej ciała, coraz niżej i niżej, wodząc z uznaniem po każdej wypukłości.

– Moim zdaniem – powiedział – cała Ameryka powinna być pełna kobiet takich jak ty.

Odpięła ostatni guzik jego trykotu i ściągnęła mu go z ramion, odsłaniając klatkę piersiową. Przyłożyła do niej wargi i zaczęła obsypywać pocałunkami, wybierając na każdy – metodycznie, z namysłem – specjalne miejsca, jakby niektóre z nich były słodsze od innych.

– Oszałałbyś, gdyby tak było – powiedziała. – A i tak już jesteś postrzelony.

Uklękła przy nim na gołej podłodze i pomogła mu ściągnąć spodenki. Klepnęła dłonią w jego owłosione uda, jakby nie mogła się nadziwić ich bieli i chudości: podczas podróży z Nowego Jorku stracił dziesięć funtów wagi.

– Cała Ameryka powinna być pełna mężczyzn takich jak ty – rzekła z chytrym uśmieszkiem. – Ale wtedy znowu ja oszałałabym chyba z zazdrości.

Całowała go powoli, tak długo, że w końcu przyprawiło go to o dreszcze; potem podniosła się, odwróciła i upadła na łóżko, zatapiając się w zwoje kremowej kołderki. Collis dał nura za nią, jeden pływak za drugim, i zdawało się im, że oto zagubili się w gęstwinie uczuć, a także w czasie i przestrzeni, jakby płynęli w morzu obłoków na latającym dywanie, przez całe lata i miesiące, przez sekretne chwile, przez wspomnienia dawno zapomnianych wiosen i jesieni; i gdy tak żeglowali, pogrążeni w ekstazie, zadreczeni przez umykające wizje utraconych miłości, w rytm na

wpółzasłyszanych urywków niemodnych już teraz melodii, przed ich oczami przesuwały się mgliście twarze z pożółkłych starych fotografii, twarze już dawno zapomniane, a nagle odnalezione, pół na jawie, pół we śnie. Zatapiając się w tę toń, Collis pomyślał o Delfinie i może nawet zawołał głośno jej imię. Myślał również o Hannie i ujrzał w przelocie jej profil, z włosami blond rozwianymi na wietrze, niczym Dziewica Orleańska. Ale to Maria–Mamuśka wciągała go w tę otchłań pożądania.

Zobaczył jeszcze kątem oka zwoje poplątanych włosów, orzechowobrazowe oczy, które wpatrywały się w nicość, śniady, zarumieniony policzek. A potem poczuł, że zaczyna wynurzać się z tej toni na powierzchnię, że wchłania go w siebie dzikość Panamy i sznur parowozów nadjeżdża ku niemu, wciąż bliżej i bliżej, ze wszystkich stron. W przeblysku świadomości poczuł bliskość jej ciała. „Maria–Mamuśka”, wyszeptał, a potem wszystko splątało się, zmieszało, zagmatwało. Wyrzucał z siebie, wciąż szybciej i szybciej, wszystko, co czuł do niej i do Hanny, i do Delfiny, i w jednym niesamowicie krótkim, błyskawicznym ułamku sekundy było już po wszystkim.

Leżeli obok siebie na kołdrze w milczeniu przez długi czas, nie mogąc złapać tchu; a kiedy wreszcie ich oddech uspokoił się, noc miała się już ku końcowi i Collis domyślał się, że niedługo będzie dniało, ale czuł się zbyt leniwy, by wstać z łóżka i dowlec się do biurka, na którym zostawił swój kieszonkowy zegarek.

Potem nagle Maria–Mamuśka pocałowała go w ramię. Odwrócił się i uśmiechnął do niej, a ona również uśmiechnęła się do niego.

– No cóż – rzekła z westchnieniem – to chyba jedyny sposób, żeby się niezbitnie przekonać.

– Żeby się niezbitnie przekonać o czym?

Zaczesała włosy do tyłu. Na jej górnej wardze zebrały się kropelki potu.

– Czy można by się w kimś zakochać, czy nie. To jedyny sposób, żeby wiedzieć na pewno.

Przez dobrą minutę nic się nie odzywał. Nie bardzo rozumiał, co miała na myśli. Popatrzył na popękany, brudny gips na suficie, na krętą smugę czarnego dymu, który unosił się z lampy naftowej. Miał ochotę napić się czegoś. Maria–Mamuśka oparła się na łokciu.

– Tyłu ludzi pobiera się, nie wiedząc w ogóle nic o sobie. Znają się tylko powierzchownie. Spójrz choćby na nas. Skąd mógłbyś wiedzieć, czy na przykład nie jestem pod spodem wytatuowana. Albo skąd ja mogłabym wiedzieć o tobie takie rzeczy?

Collis ściągnął brwi i zmarszczył czoło.

– Jasne, ale przecież nie mówimy tutaj o małżeństwie, prawda? – zapytał, jakby chciał się upewnić. Potem zatrzymał się na chwilę i dorzucił: – Chyba nie sądzisz, że się z tobą ożenię?

Maria–Mamuśka pokręciła głową.

– Nie wyszłabym za ciebie za męża, nawet gdybyś mi się oświadczył.

– Eee?

Usiadła wyprostowana i opłotła kolana dłońmi.

– Jak to, nie wyszłabyś za mnie za męż, nawet gdybym ci się oświadczył? – dopytywał się dalej.

– A tak to. Dokładnie tak, jak powiedziałam. Jak wyjdę za męż, to tylko za kogoś, kto da mi szczęście.

– Więc twoim zdaniem ja się do tego nie nadaję? Niby dlaczego?

Rzuciła mu lekki uśmiech.

– No widzisz, i już się zaciętrzewiłeś. Myślisz pewnie, że ci celowo dogryzam.

– Wcale nie. Po prostu nie rozumiem, o co ci chodzi, więc się pytam – odburknął. Ale sam przed sobą przyznawał, że rzeczywiście jakoś go to ubodło, bardziej niż zazwyczaj. Jak to nie mógłby dać jej szczęścia? Kpi sobie z niego, czy co? Do diabła! Na pewno mógłby dać szczęście każdej kobiecie. A przed chwilą to co? Jeszcze jej mało? Czego więcej mogła jeszcze żądać?

Maria–Mamuśka dotknęła delikatnie wargami jego zmierzwionej czupryny.

– Nie patrz na mnie z takim wyrzutem. Znowu zaczynasz się tym wszystkim zamartwiać.

Po prostu nie jesteś dla mnie. I nigdy nie będziesz.

– Nie wiem, dlaczego tak mówisz.

– Mówię tak, bo nie lubię, jak mnie kto gwałci.

Spojrzał na nią rozdrażniony.

– I ty to nazywasz gwałtem? Dobrze mi to! Ciekaw jestem, jak to sobie, do wszystkich diabłów, wykombinowałaś?

– To był gwałt – utwierdziła go skinieniem głowy. – Jeśli mężczyzna bierze kobietę do łóżka, ale jego myśli są gdzie indziej, to to jest gwałt. Nie byłeś ze mną, Collis. Myśłami byłeś gdzieś daleko stąd, a mnie nie pozostawało nic innego, jak tylko leżeć i czekać, aż do mnie powrócisz.

Usiadł na łóżku. Nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Co, na wszystkie świętości, chcesz przez to powiedzieć? – zapytał. – Co to znaczy, że czekałaś na mnie, żebym powrócił? I gdzie niby, u diabła, bujałem, twoim zdaniem?

– Nie mam zielonego pojęcia, Collis. Może z inną kobietą. Zasłonił usta dłonią. Z kciukiem na jednym policzku, a palcem wskazującym na drugim, patrzył na nią w zamyśleniu, choć nadal lekko poirytowany.

– Nie przejmuj się tym – powiedziała Maria–Mamuśka. – Wiele kobiet uznałoby, że byłeś wspaniały. Gdziekolwiek byłeś duszą i ciałem, Collis, miałam ochotę pójść tam z tobą.

Chciałam, żebyśmy tam razem szli.

Zapadła cisza, a potem Maria–Mamuśka roześmiała się nagle beztrąsko. Był to ochrypły, zaraźliwy śmiech i Collis również uśmiechnął się mimowolnie, a patrząc na nią, powiedział: – Nie wiem, co cię tak śmieszy. Otarła z oczu łzy.

– Nie ma w tym zupełnie nic śmiesznego, Collis, naprawdę. Tyle tylko, że mężczyźni nie rozumieją wcale kobiet, a kobiety nie rozumieją wcale mężczyzn. Nie jesteś wcale śmieszny.

Nie z ciebie się śmieję. Myślę, że jesteś przystojny, niezłomny, ale nie jesteś dla mnie. Musisz czegoś najpierw w życiu dokonać, zanim zdecydujesz się związać z jakąś kobietą. Musisz najpierw niektóre wykorzystać, jak wykorzystałeś dzisiaj mnie. Powinam się była zresztą tego spodziewać. Nie powinienam się była ludzi.

Collis wyciągnął dłoń i delikatnie dotknął jej czoła opuszkami palców, jakby miał zamiar ją pobłogosławić.

– Moim zdaniem jesteś wprost niesamowita. Naprawdę nadzwyczajna – powiedział.

Ujęła jego dłoń i złożyła na niej pocałunek.

– Nie, nie. Ja wcale nie jestem nadzwyczajna. Ale ty ... ty jeszcze kiedyś dokonasz rzeczy nadzwyczajnych. Zdziwisz świat. Zobaczysz. To, co zrobisz, będzie absolutnie niesamowite.

– A co to będzie?

Pochyliła się do przodu i podniosła z podłogi biustonosz. ‘ – Jeśli ty sam jeszcze nie wiesz, to skąd ja mogłabym wiedzieć? Ale zrobisz coś, co wpłynie na losy świata, i ludzie będą mówić: o, to jest ten Mr Collis, który zmienił nasz świat.

Collis stanął nagi i niemy, w zamyśleniu. Płomień lampy naftowej trzepotał i drżał, a wokół hotelu Colón skrzypiał jakiś stary kuter rybacki. Zegarek na biurku wskazywał czwartą trzydzieści i Collis wiedział, że wkrótce rozwidni się na dobre. Tu, tylko dziewięć stopni na północ od równika, ciemności rozplywały się tak nagle, jak podniesiona w górę kurtyna.

I cały czas, gdy tak leżeli w milczeniu, lokomotywa na Front Street sapała ciężko, z wysiłkiem – pszszsz–stuk–puk–puk, pszszsz–stuk–puk–puk – czekając na nich cierpliwie, jak czeka karuzela na tych, którzy przychodzą, aby wnieść do niej śmiech i życie.

*

Nazajutrz, o jedenastej rano, pociąg ruszył wreszcie z Aspinwall, a psy i odziane w łachmany dzieci puściły się za nim w pogoń. Dzień był czysty i potwornie gorący, a gliniasta ziemia na Front Street popękała z gorąca, jak przypieczona skórka żytniego chleba.

Pasażerowie „Virginii”, bladzi i wycieńczeni, nieskorzy byli do rozmowy. Nikt się tak naprawdę porządnie nie wyspał i choć mogli częstować się do woli aromatyczną kolumbijską kawą, na śniadanie dostali tylko kawałek suchej jak podeszwa wołowiny, z fasolą i frytkami smażonymi na zjełczałym maśle.

Collis był jednak w wyśmienitym humorze. Czuł, że ta podróż pociągiem w końcu zanieśie go w bezkresne przestrzenie przyszłości, gdzie stanie twarzą w twarz ze swoim losem. Ta podróż przez dżunglę, od Morza Karaibskiego po Ocean Spokojny, to jak zajęcza jama, w której mógł się schować na jakiś czas, zostawiając za sobą porażki i wierzycieli, żeby wyłonić się znowu w innym świecie, gdzie poprzednie pomyłki zostaną zupełnie zapomniane.

Wprawdzie nadal irytowały go fanaberie Hanny, których w żaden sposób nie mógł sobie wytłumaczyć, a i bezceremonialność Marii–Mamuśki dawała mu wiele do myślenia, ale w świecie egzotycznej roślinności i jaskrawobłękitnego nieba, kolorowych ogoniastych papuzek, które skrzeczały piskliwie w koronach drzew, i potężnej lokomotywy, która parła pełną parą wprost przed siebie w nieznaną przyszłość, nie czuł się wcale przygnębiony.

Na przedmieściach Front Street wyglądała jeszcze gorzej niż koło hotelu – po obu stronach ulicy stały walące się, opuszczone chałupy i lepianki. Wkrótce jednak przejechali przez rzeczkę Folks, która oddzielała wyspę Aspinwall od lądu, i oczom ich ukazała się wspaniała panorama zatoki Limón, a potem prawie natychmiast znaleźli się w sercu dżungli.

Światło słoneczne rozbijało się tu w tysiące odcieni złota, zieleni, szmaragdu i turkus, roziskrzonych kroplami deszczu z wczorajszej ulewy. W powietrzu unosił się zapach butwiejącej roślinności zmieszany z ciężką, duszącą tropikalną wonią rozkładających się organizmów. Trawy, mchy i dzikie zioła rosnące wzdłuż torów zdawały się uciekać spod pędzących kół wagonów. Collis patrzył zafascynowany, jak pociąg wyłania się z leśnego podszycia, które wiło się obok szyn i podkładu, i mija szerokie wodniste bagna namorzynowe*, tocząc się tylko parę cali nad powierzchnią wody. Naokoło jaskrawy błękit nieba odbijał się w błotnistej, brunatnej wodzie niczym barwna mozaika w kalejdoskopie.

Andrew wyjął flaszeczkę burbona, otarł szyjkę i podał butelkę Collisowi.

– To jest Małpia Górka – powiedział, wskazując na płaskie wzniesienie od wschodu. – To tam właśnie przedsiębiorstwo kolejowe grzebało truposzczaków, zanim zaczęli ich sprzedawać.

Pociąg stukał, klekotał i kołysał się na nierównych szynach. Kłęby dymu z dzwoniastego komina przeżeglowały obok okna, przy którym siedział Collis, a potem rozproszyły się i zniknęły pośród gigantycznych drzew cedrowych o szarych pniach. Collis zapalił cygaro i rozparł się wygodnie na siedzeniu, delektując się perspektywą pięciu czy sześciu godzin podróży. Była to dla niego prawdziwa nowość – po raz pierwszy w życiu widział takie tropikalne krajobrazy. Andrew natomiast, pochylony nad szachownicą, pochłonięty całkowicie jakimś pasjonującym posunięciem taktycznym, dzierżąc w dłoni grubego ołowka z nowojorskiego hotelu Astor House, pociągał regularnie ze swojej flaszczyki i nie zwracał uwagi na piękno natury za oknami pociągu.

Kiedy minęli wreszcie bagniste namorzyny, pociąg zaczął przedzierać się przez gęste sploty gałęzi drzew i krzewów, które były tak zwarte, że niekiedy zwisające pnącza tworzyły zielony tunel. Collis miał wrażenie, że gdyby jechali trochę wolniej, dżungla oplótłaby się stopniowo wokół kół pociągu, aż w końcu zarósłby on całkowicie i znikł w zielonej gęstwinie. A któregoś dnia odnaleźliby ich może wreszcie entuzjaści z jakiejś naukowej ekspedycji: grupkę szkieletów radośnie szczerzących zęby w pociągu, w którym pięłyby się szkarłatne, dziko rosnące róże, blade, drżące orchidee i przyklepny męczennik, a ścielące się naokoło liany okręcałyby się wokół komina lokomotywy, wypełzając spomiędzy szprych zamarych w bezruchu kół.

Andrew musiał wyczuć, o czym rozmyślał Collis, bo podniósł wzrok znad szachownicy i zauważył: – Trzeba przecinać tę dżunglę co roku. Dziewicze dżungle nie lubią kolei żelaznych. Taka to dla nich akurat rozkosz, jak noc poślubna dla czystej panny młodej. Potem powrócił do swoich szachów. Wkrótce pociąg wjechał na stację w Gatun. Była to niewielka osada. Budkę dróżnika stanowił maleńki biały budynek z zielonymi okiennicami, zgrabnie ogrodzony płotem. Było tu czysto i schludnie. Sama osada leżała na dwóch brzegach szerokiej, błotnistej rzeki; tworzyły ją luźno rozsiane chałupy. Grupka mężczyzn w podartych koszulach i słomkowych sombrerach oraz kobiet w wypłowiałych od słońca płóciennych sukienkach, nagich, wychudzonych dzieci spoglądała na nich bez wielkiego zainteresowania. Od czasu do czasu któryś z przyjaźnie nastawionych pasażerów pomachał do nich ręką i zawołał „hej, hej”, ale skwar i hałaśliwą bujność dżungli zdawały się pochłaniać ich pozdrowienia. Słychać było ponury szmer rzeki, która przecinała wioskę, torując sobie drogę ku Morzu Karaibskiemu, a dźwięk ten, nie wiedzieć czemu, przywiódł Collisowi na myśl powódź i morowe powietrze.

– To rzeka Charges – rzekł Andrew. – Za pierwszym razem jak się tędy przeprowiałem, koryto było zupełnie wysuszone. Ale pada tu teraz tak strasznie, że czasami rzeka wylewa. Mówią, że mają tu szesnaście cali opadów w sierpniu albo i więcej, jak czasem dobrze lunie.

Pociąg zatrzymał się z piskiem na krótki postój w Gatun, dysząc w skwarze, pod bezchmurnym błękitem nieba. Niektórzy pasażerowie wyszli na zewnątrz i przechadzali się wzdłuż pociągu, podziwiając rzekę i odległe wzgórza, ale Collis został w przedziale. Andrew Hunt zażył potężny niuch tabaki, wytarł nos i oznajmił, że z tej pozycji po prostu nie ma żadnego wyjścia, więc lepiej zawiesić grę na jakiś czas.

W dwadzieścia minut później pociąg znowu zagwizdał, pasażerowie wgramolili się do swoich wagonów i powoli Gatun zostało za nimi w tyle. Jechali teraz przez bagniste panamskie niziny karaibskie. Upał wzmagał się i wielu pasażerów zasłoniło okna i siedziało, wachlując się gazetami albo magazynami ilustrowanymi. Hotel Colón podarował im parę egzemplarzy „New Orlean Times – Picayunes” sprzed dwóch miesięcy.

Okolo południa dzień stał się tak skwarny i parny, że wszystko zdawało się płynąć jak we śnie. Toczyli się wolno ponad Czarcim Mokradłem, które podobno było bezdenne i gdzie podpory kolejowe zapadały się rok po roku i trzeba było ciągle budować nowe. Minęli stację Tygrysia Górka, Lwia Górka i Ahorca Lagarto – „Wisząca Jaszczurka” – wszystkie świeżo pobielone i ładnie utrzymane jak stacja w Gatun. Gdy przejeżdżali przez bagniste niziny, z prawej strony rzeka Charges, napęczniała po wczorajszym deszczu, zaczęła wic się i kręcić w serpentyny, zalewając gęste podszycie leśne. Minęli Frijoles (dosłownie: Fasolki), a niezwykle sumienny jamajski steward zaofiarował im wodę z chininą i lodem, ale wielu pasażerów, którzy nie żalowali sobie przedtem białego wina i burbona, zmorzył sen; drzemali więc, uderzając głowami o wykładane boazerią ścianki przedziałów. Przejechali przez ogromny żelazny most w Barbacoas na rzece Charges; koła pociągu odbijały się echem od metalowej podbudowy, a pod spodem rzeka pieniała się burzliwie. Potem jechali przez rozległe zielone łąki, pod jaskrawoniebieskim niebem, na którym, niczym nieruchome baloniki, unosiły się pierzaste chmurki.

Collis, ospały, rozleniwiony wódką i upałem, wyglądał nadal przez okno, podziwiając tropikalne krajobrazy, choć powieki miał coraz cięższe i oczy same mu się zamykały. Pociąg stukotał po szynach, a cytrynowe motyle wlatywały i wylatywały przez okna. Myślał o Marii– Mamuśce i o tym, co zaszło między nimi ostatniej nocy w hotelu Colón. Nie wiedział, czy będzie jeszcze kiedyś miał okazję iść z nią znowu do łóżka. Wszystko zależało od niej, a Collis nie był przyzwyczajony

do tego, żeby to jemu stawiano warunki, więc czuł się w tej sytuacji nieswojo. Nie wiedział również, jak by na to zareagowała Hanna, gdyby się kiedykolwiek o tym dowiedziała.

Byłby to najprawdopodobniej koniec ich romansu, pomimo owego „pokrewieństwa dusz”, na które się powoływała. Ale z drugiej strony, kto wie, może i wcale nie?

Jedynie, co mógł w tej chwili na pewno powiedzieć na temat swoich własnych uczuć, to to, że podróż, jaką odbył na parowcu turbinowym „Virginia”, i pierwsza noc w tropiku otworzyły mu oczy na brak doświadczenia z kobietami. Nie spełnił oczekiwań Marii–Mamuśki, nie dowiódł przed nią swojej męskości i nazajutrz po tym, jak mu to wyznała, tęsknił strasznie za Delfina i bardzo, ale to bardzo pragnął, aby mogła być teraz z nim właśnie tu, w tym pociągu, który pędził, kołysząc się z boku na bok i klekocząc, przez podmokłe doliny panamskie, przez żalazne mosty, które niosły go nad każdym z wijących się jak wstęgi dopływów rzeki Charges. W końcu pociąg zaczął powoli zwalniać, aż sapiąc i wyrzucając z siebie kłęby dymu, dojechał do Matachin. Tu zostawił rzekę Charges za sobą i zaczynał wdzierać się w kotlinę Rio Obispo, największego dopływu Charges. To właśnie w Matachin chińscy najemnicy popadli w potworną depresję psychiczną, która następuje zazwyczaj po ataku malarii, i popełnili zbiorowe samobójstwo. Niektórzy wybrali śmierć przez powieszenie, inni podcięli sobie żyły, a jeszcze inni, niczym prosięta z różna, zginęli, nadziewając się na wyostrzone kije bambusowe.

Przejeżdżając przez Matachin, pociąg zagwizdał, ale się nie zatrzymał. Grupka Indian zamachała w ich stronę kapeluszami, ale tylko nieliczni pasażerowie odpowiedzieli na te pozdrowienia choćby jednym gestem dłoni. Innym się po prostu nie – chciało – mieli już naprawdę wszystkiego po uszy. Dzień był teraz duszny, choć lokomotywa z głośnym stukotem zaczęła wspinać się mozolnie przez otoczoną górskim łańcuchem kotlinę Rio Obispo, ku swej najwyższej położonej stacji w Culebra.

Andrew Hunt spał z kapeluszem nasuniętym na oczy, a magazyn ilustrowany powoli zsuwał mu się z kolan. Obok niego sprzedawca kuchenek gazowych z Pottstown, w Pensylwanii, siedział ze skwaszoną miną w swoim żółtym płóciennym garniturze, nie odzywając się do nikogo, pragnąc jak najwyraźniej znaleźć się znowu w Pottstown, w Pensylwanii. Collis, którego chusteczka do nosa była już całkiem przemoczona, otarł teraz pot z czoła lewą stroną rękawa. Było mu tak gorąco, że nie miał na nic ochoty: nie chciało mu się ani siedzieć, ani stać, ani pić, ani palić. Ale nie miał wyboru: musiał siedzieć posłusznie na swoim miejscu, ociekając potem.

W końcu pociąg skręcił w prawo łagodnym łukiem i wjechał na stację w Culebra. Dał się słyszeć zgrzyt hamulców i szarpnięcie niemiłosiernie wagonami pasażerskimi i towarowymi, które łomotały, uderzając o siebie, pociąg zatrzymał się z piskiem przy peronie, w kłębach dymu.

Ktoś zawołał po hiszpańsku: „Culebra, Culebra. Krótki postój!” i pasażerowie pociągu wychylili się przez okna, jak kurczaki wystawiając szyje przez kraty w wylęgarni, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Culebra, gdzie droga żelazna przedzierała się przez góry, była osadą złożoną z chałupek pokrytych liśćmi palmowymi, z jednym maleńkim sklepikiem i dwupiętrowym drewnianym budynkiem, który reklamował się dumnie jako American Hotel. Powietrze było tutaj chłodniejsze i świeższe, a ponieważ przy budowie kolei wyrąbano las, czuło się nawet lekki powiew wiatru od strony górskich szczytów. Collis otworzył drzwi swojego przedziału i wyszedł na zewnątrz, stąpając po popękanych od słońca, zbitych, twardych jak kamień bryłach darni. Andrew Hunt, który widział to już nie raz, nie przerywał swojej drzemki. W porównaniu z niektórymi innymi stacyjkami, które mijali uprzednio, Culebra tętniła wprost życiem. Stały tu trzy czy cztery zaprzężone w muły

kolejki, ciężko obciążone bagażem i prowiantem, czekające na dalszą drogę przez dżunglę, do Colón. Choć podróż koleją była dużo szybsza i bezpieczniejsza niż mułami, nie każdy mógł sobie pozwolić na bilet. Ceny Panamskiego Przedsiębiorstwa Kolei Żelaznej były wygórowane, więc ruch poprzez błotniste i zdradliwy trakt był nadal bardzo ożywiony. Kręcili się też po stacji w Culebra Indianie o pełnych, okrągłych twarzach, którzy usłużnie nosili bagaże albo sprzedawali cygara.

Niektórzy z nich zaś stali tam po prostu i gapili się na podróżnych całkiem przyjaźnie, ale tak uporczywie, że było to naprawdę krepujące. Pociąg zagwizdał, a dźwięk ten rozszedł się echem po całej okolicy.

Hiszpański dróżnik w przepełnionym mundurze przebiegł wzdłuż torów.

– Proszę wsiadać, señor. Nie zatrzymujemy się tu na długo.

– Czy coś się stało?

Dróżnik odkaszlnął i szybko się przeżegnał.

– Ktoś chory, to wszystko. Doktor z hotelu tam u niej. Zaraz potem ruszamy.

– U niej? Kto to taki? Któraś z pań?

– Tak, tak, señor. Ale teraz proszę już wsiadać.

Collis popatrzył za siebie, wzdłuż pociągu. Jego uwagę zwrócił fakt, że wiele pasażerek wyszło na zewnątrz z żeńskiego przedziału, zabrawszy ze sobą podręczny bagaż. Stały teraz przy szynach, a konduktor pomagał im przesiąść się do innego wagonu, podczas gdy wokół zgromadzili się Indianie, przyglądając się dobrodusznie tej scenie. Pośród kapeluszy z muślinowymi woalkami i kremowożółtych spódniczek podróżnych, Collis z uczuciem ulgi rozpoznał Marię–Mamuškę. Stała w grupie kobiet w swojej błękitnej sukience, dzierżąc pod pachą tobołek i koc. Pomachał do niej ręką, a ona również odpowiedziała gestem dłoni.

Nigdzie jednak nie widział Hanny.

– Musi pan wsiąść z powrotem do pociągu, señor – powiedział dróżnik. – Nie może pan nic pomóc.

– Nie widzę nigdzie Mrs West – rzekł Collis.

– Mrs West? – zapytał dróżnik.

– Nigdzie jej nie widzę. Była tu, o tu, w tym przedziale.

– Señor, większość pań znalazła już sobie nowe miejsca. Proszę się nie martwić o Mrs West. Tylko jedna pani jest chora. A teraz naprawdę proszę już wsiadać.

Collis pokręcił głową.

– Wpierw muszę się upewnić, że Mrs West jest cała i zdrowa. Proszę za mną.

Dróżnik wzruszył ramionami i zamknął za Collisem drzwi przedziału. Potem podreptał za nim wzdłuż torów kolejowych, dalej wzruszając ramionami, rozprawiając o czymś sam do siebie pod nosem. Kiedy Collis podszedł bliżej, konduktor zsalutował, błędnie mniemając, że ma do czynienia z dyrektorem kolei albo może jakąś inną bardzo ważną figurą.

– Co się tu dzieje? – zapytał Collis.

Konduktor, chudy, dziobaty Metys z obwisłymi, wypacykowanymi parafiną wąsikami, powiedział: – Proszę zobaczyć, jeśli pan chce – i wskazał na otwarte drzwi żeńskiego przedziału.

Żaluzje były spuszczone, tak że w przedziale panował półmrok. Collis dostrzegł korpulentnego mężczyznę, który siedział tyłem do niego na brzegu jednej z ławek – był to prawdopodobnie miejscowy lekarz. Na ławce leżała kobieta. Collis nie był w stanie dojrzeć jej twarzy, ale zauważył jej malutkie białe półbuciki i białe pończochy i zrozumiał od razu, że była to Hanna. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Wspiął się na stopnie i wszedł do ponurego przedziału. Unosił się w nim zapach spirytusu lekarskiego i rycyny. Dla tych, których żołądek był za słaby na burbona i musztardę, rycyna była jeszcze jednym z domniemanych niezawodnych środków zapobiegawczych, stosowanych przeciw żółtej febrze. Collis postąpił ostrożnie krok naprzód i zobaczył Hannę leżącą na przepoczonej poduszce, z twarzą białą jak prześcieradło, z blond włosami pociemniałymi od potu i napuchniętymi, zamkniętymi oczami. Trzęsa się w gorączce, mięśnie na jej policzkach kurczyły się z bólu, a dłonie ścisnęły się w pięści i otwierały na przemian, jakby śniły się jej jakieś koszmary. Collis wpatrywał się w nią przez długą chwilę z napięciem. Zaschło mu w gardle, a serce waliło mu w piersiach jak młotem. Zdał sobie nagle sprawę z tego, że oto już po raz drugi w ciągu kilku tygodni stał się świadkiem tragedii kobiety schwytej w sidła własnego, nieuniknionego, tragicznego przeznaczenia. Miał wrażenie, że został wybrany może w celu jakiejś okrutnej pokuty, by przypatrywać się, jak kobiety te walczą, padają i wreszcie odchodzą z tego świata.

Lekarz odwrócił się teraz twarzą do niego. Był to Francuz, z wąsami pożółkłymi od tytoniu i szczerbatymi zębami. Miał wygląd człowieka, który przebywał w tropiku od niepamiętnych czasów.

– Czego pan chce? – zapytał opryskliwie.

– To moja znajoma – rzekł Collis. Doktor pociągnął nosem.

– Wobec tego proszę przyjąć wyrazy współczucia.

– Czy to coś poważnego?

– W Panamie, przyjacielu, są tylko dwa rodzaje chorób – rzekł doktor, podnosząc się z klęczek i poprawiając na sobie surdut. – Są takie, z których się można wylizać, i takie, gdzie nie ma już ratunku.

– A ona? Jest dla niej ratunek?

– Nie wiem. Jej organizm nie jest zbyt silny.

Collis popatrzył w dół, na Hannę, równie białą jak statuetka świętego na nagrobku.

Wyglądało, jakby trochę się teraz uspokoiła, ale jej wargi nadal były rozwarte i oddychała nierówno, pojękując, jak ktoś pogrążony w wielkiej rozpacz.

– Co jej jest? – zapytał Collis. – Czy mogę się na coś przydać?

– Przyjacielu, zrobiłem, co mogłem. Dostała dawkę rycyny. Ale jeśli to żółta febra, to po prostu nie ma na to lekarstwa.

– A jak się panu zdaje, doktorze?

Lekarz spojrział na Hannę i wykrzywił twarz w grymasie.

– Moim zdaniem to żółta febra. To najbardziej prawdopodobne. Ma gorączkę i dreszcze, i odczuwa pragnienie. Ale nie ma bólu w nogach, co jest jednym z symptomów, ani nie boli ją głowa, jak na razie. Ale to może jeszcze przyjść później.

– A potem? Co potem? Co po tych bólach? Doktor położył rękę na jego ramieniu.

– Powiem panu na zewnątrz, przyjacielu. Jeśli to jest żółta febra, to nie powinien się pan w ogóle znajdować w tym pomieszczeniu. Sam widziałem, jak cała załoga klipera wymarła, do ostatniego, bo jeden z ich ludzi złapał to świństwo.

Collis otarł pot z twarzy.

– A kto się będzie nią opiekował, jeśli to żółta febra? Przecież ktoś musi się nią zająć.

– Przyjacielu – nalegał spokojnie, ale stanowczo lekarz – la fièvre jaune nie rozróżnia pomiędzy młodymi i starymi, wszystko jej jedno, czy kto biedny, czy bogaty. Czy wolno mi zasugerować, abyśmy stąd wreszcie wyszli?

Ociągając się, Collis opuścił żeński przedział i zszedł na peron. Wielu innych pasażerów wyszło teraz z wagonów i stało w pewnej odległości, w pełnym szacunku milczeniu. Collis zauważył, że sam otrzepuje klapy jasnopopielatej marynarki, jakby chciał wytrząsnąć z niej zapach choroby.

Doktor zszedł za nim i rzekł coś po hiszpańsku do dróżnika. Collis nie zrozumiał, co mówił, ale uchwycił słowa fièvre amarilla i Panama. Dróżnik wzruszył ramionami i zawrócił w kierunku lokomotywy, dalej mamrocząc coś do siebie pod nosem.

Lekarz podszedł do Collisa i rzekł cicho: – Ponieważ dalej nie jesteśmy pewni, czy to żółta febra, zatrzymają ją w pociągu aż do Panama City. Jest tam szpital, niezbyt dobry, ale będzie jej na pewno wygodniej niż tutaj.

– Ale przecież mówił pan, że nie ma na to lekarstwa. Doktor spojrział na zabudowania Culebra, jakby myślami był całkiem gdzie indziej – gdzieś w zabłąkanych, zagubionych wspomnieniach sprzed wielu lat.

– Nie – rzekł z roztargnieniem po chwilowej przerwie – rzeczywiście nie ma na to lekarstwa.

Położył dłoń na ramieniu Collisa. Z bliska Collis dostrzegł, że jego oczy były chorobliwie przekrwione od malarii.

– Najpierw przychodzą bóle i gorączka. Potem, po kilku dniach, pacjent zdaje się przychodzić do siebie, choć twarz i oczy przybierają żółtą barwę. Następnie, kiedy pacjent zaczyna umierać, przychodzą wymioty; ciężkie, silne wymioty czarną krwią. Panamczycy nazywają to vomito negro. Oznacza to, że zbliża się koniec. Pacjent kostnieje z zimna i umiera w dziewięć lub dziesięć godzin. Przepraszam – dorzucił jeszcze doktor. – Nie są to przyjemne sprawy. Chciałbym móc zapewnić pana, że to po prostu grypa albo przeziębienie.

Ale doprawdy, sam nie jestem pewien.

– Ale kto się nią zaopiekuje w drodze do szpitala? – zapytał Collis z drżeniem w głosie.

Doktor wyjął małe pudełeczko porzeczkowych dropsów i rozdawał je wokoło. Tylko konduktor pociągu wziął jednego, ale on wyglądał na takiego, co przeszedł już wszystkie podzwrotnikowe choroby znane naukowej medycynie, a żadne nie zdołało go zwalić z nóg.

– Były tu kiedyś siostry zakonne, jeszcze do zeszłego tygodnia, ale teraz już wróciły do Panamy. Nie wiem. Nie sądzę, że znajdzie pan kogoś, kto zgodzi się zostać przy niej, jeśli to żółta febra. Będzie musiała sama sobie jakoś radzić. Czy umrze teraz, czy też za kilka dni, no cóż, doprawdy, bardzo mi przykro, ale nie robi to większej różnicy.

– Wobec tego nie ma innego wyjścia.

– Je ne comprends pas*.

– Ja sam będę musiał przy niej zostać. Doktor ssał swojego dropsa w zamyśleniu.

– Chyba pan nie wie, co pan mówi, przyjacielu. Żółta febra nawiedza te okolice co dwa, trzy lata, zmiata z powierzchni ziemi setki, czasami tysiące ludzi. Nikogo nie oszczędza.

Widziałem młodych inżynierów, co przybyli tu z Francji i pracowali przy budowie kolei – chłopcy na schwał, że tylko pozadrościć. W miesiąc opadli z sił albo powymierali. Może pan myśli, że pański organizm jest wystarczająco odporny, aby to przetrwać. Fakt, czasem siła fizyczna pomaga ludziom przeżyć. Ale w siedemdziesięciu pięciu przypadkach na sto na nic się to nie zdaje. I tak umierają.

Pociągnął znowu nosem.

– Jeśli pan zostanie z tą panią w przedziale, a ona ma żółtą febrę, to jest duża szansa, że pan również umrze. To mogę panu wprost powiedzieć.

Collis odetchnął głęboko. Bał się chorób. Kiedy jego siostra Maude miała grypę, umyślnie omijał jej pokoje. Kiedy przychodziła do zdrowia, siedząc w pokoju rodzinnym, obłożona inhalatorami i chusteczkami higienicznymi, zatykał nos i usta dłonią, kiedy tylko szedł powiedzieć jej dobranoc, choć robił to, oczywiście, w dużej mierze, dla kpiny. Mimo to czuł, że dopóki nie dotrą do Panama City, nie może zostawić Hanny West nawet na tych parę krótkich godzin, chorej i opuszczonej w przedziale kolejowym. Nie po tym, jak zalecał się do niej tak uparcie i przyrzekał tak wiele; nie po tym, jak Mrs Edgeworth zaklinała go na wszystkie świętości, by się nią opiekował.

A może po prostu się w niej zakochał – kto to wie? – choć starał się teraz o tym nie myśleć. Wiedział, że jej pragnie i chce ją posiadać. Ale jeśli nie było w tym nic więcej, to skąd to poczucie odpowiedzialności za nią? Pożądanie, jak dobrze wiedział ze swoich doświadczeń z nowojorskimi dziwkami, które od czasu do czasu pojawiały się, siakając nosem albo z wysypką, nie było kwiatem rozkwitającym w pokoju chorego. Tylko miłość – a nawet ona z wielkim trudem – była w stanie znieść morowe powietrze, cuchnące smarowidła i zapomnieć o groźbie zarazków.

– Zostanę przy niej – rzekł Collis stanowczo.

– Przyjacielu, uprzedzam pana... – Zostanę.

W tym momencie Maria–Mamuśka przybiegła wzdłuż szyn, unosząc w dłoniach spódniczkę nad kostkami, aby móc sprawniej się poruszać.

– Collis – powiedziała. Jej oczy były pełne przerażenia. – Nie wolno ci... nie powinienes... Uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Sądzę, że będę musiał – powiedział z opanowaniem.

– Przecież nic cię z nią nie łączy. Dlaczego chcesz z nią zostać?

– Po prostu przyrzekłem, że się nią będę opiekował.

Maria–Mamuśka wyduła wargi, nachmurzona.

– Łżesz! – powiedziała. Dzielili ich od siebie tylko krótki odcinek żużlu na parę jardów, ale zdawało się, że oddalili się od siebie o całą milę. Skwar buchał z kamieni i z dachu pociągu, a motyle trzepotały skrzydłami pomiędzy kołami wagonów, które zastygły w bezruchu. W oddali słychać było porykiwanie mułów, które czekały na swój codzienny przydział paszy, a trochę bliżej strużki skraplającej się pary spływały po ścianach lokomotywy, uderzając głośno o tory.

Collis odwrócił wzrok. Nie potrafiłby wytłumaczyć Marii–Mamuśce tego, co czuł.

Samemu trudno mu było to zrozumieć. Zaczęło się to z chwilą, gdy Kathleen Mary spadła z parapetu w hotelu Monument – zbudziło się w nim wtedy nie znane mu przedtem poczucie obowiązku i odpowiedzialności za samego siebie i za innych, nawet obcych mu ludzi. Z początku starał się to lekceważyć. W końcu żyje się dużo łatwiej i przyjemniej, kiedy przymyka się oczy na takie sprawy. Jednak tkwiło to teraz w nim i rosło, czy chciał to zlekceważyć czy nie, i było na tyle potężne i intensywne, że musiał powiedzieć „nie” Marii–Mamuśce, a „tak” głosowi sumienia.

– Proszę przynieść moją walizkę – rzekł do konduktora. – Jest w trzecim przedziale.

– Już się robi, proszę pana.

– I proszę uprzejmie zawiadomić Mr Hunta o tym, co się stało, dobrze? Zdaje mi się, że nadal śpi.

Kiedy konduktor się oddalił, Collis został sam na sam z Marią–Mamuśką, a doktor – Francuz stał w odległości paru stóp od nich, ssąc obojętnie swoje porzeczkowe dropsy.

Bezkresne niebo nad ich głowami miało kolor doskonałego błękitu, choć ponad górami, od strony południowego wschodu, formowały się kłęby ciężkich chmur gnanych wiatrem, który – zdaniem mieszkańców Panamy – przynosił morowe powietrze.

– Czyś ty postradał wszystkie zmysły? – rzuciła w jego stronę Maria–Mamuśka. – Złapiesz taką przeklętą żółtą febrę, i co?

– Nie przekonasz mnie. Nic nie zmieni mojej decyzji – odparł Collis spokojnie. – Sam nie wiem dlaczego, ale twoje argumenty na nic się nie zdadzą. To jedna z tych rzeczy, które muszę zrobić, zanim będę w stanie rozpocząć nowe życie.

– Zakochałeś się w niej?

– Nie wiem.

– Proszę pani – rzekł doktor – Francuz do Marii–Mamuśki. – Jeśli taka atrakcyjna kobieta, jak pani nie jest w stanie odwieść go od tego szaleństwa, to jestem przekonany, że nikomu innemu z nas też się to nie powiedzie. Wygląda mi na to, że stawia wszystko na jedną kartę.

Jakby w krótkim przeblysku pamięci, kątem oka, Collis ujrzał Hannę siedzącą na wózku zaprzężonym w muły, w Aspinwall, w tę deszczową noc, gdy przyплыnęli do Panamy, a w uszach zabrzmiały mu jej słowa: „Musiałabym poświęcić się całkowicie i od ciebie też oczekiwałabym całkowitego poświęcenia”.

– Czy ma pan jakieś środki na uśmierzenie bólu? – zwrócił się do lekarza. – Coś, co przyniosłoby jej ulgę w tej gorączce?

Doktor wzruszył ramionami.

– Powinna dużo pić. Proszę co chwila dawać jej coś do picia. Jest tam zimna herbata w dzbanku. Chińczycy pili herbatę, kiedy budowali tę kolej, i dlatego żaden z nich nie dostał dyzenterii. Domyślam się, że herbata oczyszcza organizm lepiej niż zwykła woda. Pewnie ze względu na to, że trzeba zaparzać liście wrzątkiem; tak sędzę.

– A lekarstwa?

– Jakie lekarstwa? Proszę pana, niechże pan wreszcie zrozumie. Na to nie ma żadnego lekarstwa. Kpiłbym sobie z pana, gdybym starał się wmawiać panu cokolwiek innego. Ale dam panu sole trzeźwiące, w razie gdyby ból i gorączka stały się nie do zniesienia. Nie mogę dla niej zrobić nic więcej.

Maria–Mamuśka stała bez ruchu, o krok dalej, podtrzymując swój napęczniały ciężą brzuch i wpatrując się w Collisa czarnymi, pełnymi łez oczami. Collis wziął od doktora dwa małe zielone flakoniki, a potem spojrzał na nią i wiedział, że jest jeszcze czas, żeby się z tego wycofać. Nikt na świecie nie zmuszał go, by został u boku Hanny w czasie podróży do Panama City. Mógł ją zostawić tam, na tej ławce w żeńskim przedziale, i jej szansę przeżycia ani by się przez to nie zwiększyły, ani nie zmniejszyły. Zresztą, była przecież nieprzytomna: i tak nie wiedziała, co się wokół niej dzieje.

Ale oto właśnie konduktor zbliżył się z jego walizką, a hiszpański dróżnik dmuchnął w gwizdek i popędzał wszystkich do wsiadania, a Maria–Mamuśka odwróciła się do niego tyłem i odeszła.

– Moim zdaniem to szaleństwo – rzekł doktor. – Ale życzę powodzenia.

Collis uściśnął mu dłoń.

– Niczego więcej mi nie trzeba.

Konduktor wrzucił z werwą walizkę Collisa do pociągu, a potem cofnął się i zasalutował, jakby oddawał honory wojennemu bohaterowi, który wslawił się na polu chwały.

Collis wszedł do pociągu i zamknął za sobą drzwi. Lokomotywa wyrzuciła z siebie kłęby pary, szarpnęła wagony i zaczęła powoli opuszczać Culebra, tocząc się w dół, przez zbocza gór panamskich, na ostatnim odcinku swojej drogi do Oceanu Spokojnego. Nie gwizdała ani nie podzwaniała do wtóru. Gwizd i dzwoneczki zwiastowały radosne nowiny.

Collis usiadł na ławce naprzeciw Hanny i nie odrywał od niej wzroku. Wyglądało na to, że na razie śpi spokojnie, choć od czasu do czasu drżała i przewracała się z boku na bok.

Pochylił się nad nią i delikatnie przyłożył rękę do jej czoła, ale to jej wyraźnie przeszkadzało, więc usiadł z powrotem, założył nogę na nogę i wyjrzał przez okno.

Pociąg znalazł się teraz w kotlinie Rio Grandę i przedzierał się slalomem przez zielone, lesiste góry, a potem przez wulkaniczne skały. Wkrótce jednak góry skarłowaciały i zamieniły się w kopiaiste pagórki, a następnie pagórki ustąpiły miejsca dolinom. Słońce znalazło się teraz po drugiej stronie przedziału; Collis wyjrzał przez okno i przyglądał się, jak pociąg sunie po szynach wśród przydrożnych traw, krzewów i przez podmokłe łąki.

Wypalił parę cygar pod pretekstem, że dym zdezynfekuje przedział i zabije zarazki, które być może unosiły się w powietrzu. Ale zrobiło mu się niedobrze i musiał wypić kubek zimnej herbaty, aby uspokoić żołądek. Szkoda, że sobie jakoś nie zorganizował na tę podróż butelki burbona. Myślał teraz z zazdrością o Andrew Huncie.

Minęło pół godziny, a Hanna dalej leżała w bezruchu. W końcu pociąg dotarł do wzgórza Ancón, z którego roztaczała się panorama Panama City i szerokich wód Oceanu Spokojnego.

Parowóz zagwizdał przeciągle, a pasażerowie przywarli do okien i wychylili się na zewnątrz.

Spojrzawszy do tyłu, na końcowe wagony rozhuśtanego na szynach pociągu, Collis ujrzał rozwiane na wietrze długie kruczoczarne włosy Marii–Mamuśki. Nie uśmiechnęła się ani nawet mu nie pomachała; w ogóle nie raczyła go nawet zauważyć. Z powrotem wsadził głowę do środka i znowu usiadł w przedziale naprzeciw Hanny. Oczy mu zwilgotniały – być może podrażnił je dym z cygar albo popiół.

Siedział tak przez chwilę, czując w sercu dziwną gorycz. Ale właśnie wtedy usłyszał, że Hanna poruszyła się i zajęczała, więc podszedł do ławki. Otworzyła oczy i wpatrywała się w niego, jakby go nie poznawała. Pomimo choroby wyglądała niezwykle ponętnie, a gorączka sprawiła, że jej cera stała się jeszcze jaśniejsza, niemal przezroczysta, więc przypominała królową Śnieżkę.

– Czy to ty, Collis? – wyszeptala.

Wzial ja za reke.

– Tak, to ja – powiedzial. Czul, ze gardlo ma dziwnie scisniete, ze wzruszenia. – Chcesz sie czegoś napić?

Skinela glowa. Nalal zimnej herbaty z dzbanka i podtrzymywal jej glowe, by latwiej jej bylo pic.

– Tak mi sie chce pic – powiedziala. – Oblewam sie potem, a jednoczesnie cala drze z zimna.

– Boli cie cos?

– Tylko glowa – odparla. – I nogi mam takie czężkie. Czy masz jakis proszek od bolu glowy?

– Tylko sole trzeźwiące. Doktor w Culebra nie mial zbyt duzo lekarstw.

– Nie znioslabym soli trzeźwiących – odparla.

Collis usmiechnal sie do niej, a ona tez odpowiedziala lekkim usmiechem.

– Mowil, co mi jest? Collis wlal jej herbaty.

– Niezyt zoladka, o ile sie nie myle. Mnostwo ludzi przez to przechodzi, kiedy po raz pierwszy znajdzie sie w tropikalnym klimacie.

– Wiec to nic powaznego? Pokrecil glowa.

Przez chwile milczeli oboje. Wyciagnela dlon i ujela go znowu za reke.

– To dziwne – powiedziala – ale czuje sie taka oslabiona, jakby to bylo cos duzo powazniejszego.

Collis przypatrywatal sie jej przez chwile, usmiech od czasu do czasu pojawial sie na jej twarzy, a potem znowu zamieral, jak cienie w letnie popoludnie. Przez nastepne pare mil, gdy pociąg zblizal sie do Panamy, Hanna nie otwierala w ogole oczu. Zasnela. Collis poczekal chwile, upewnil sie, ze oddycha spokojnie, a potem podszedl do okna i wychytil sie znowu na zewnatrz, tak ze poprzez okoliczne laski widzial wody Pacyfiku i wdychal zapach wilgotnej, chlodnej mgly od morza. Byl teraz pewien, ze Hanna zapadla na zolta febre; a co gorsza, byl przekonany, ze umrze.

Gdy dojezdźzali do Panamy, poprzez iskrzące sie, szare pnie „ tropikalnych palm, oczom jego ukazala sie mozaika porzrzucanych w nieładzie czerwonych dachów.

Potem pociąg toczył sie jakis czas przez puste, nie zadrzewione pola, az w koncu Collis zobaczył biale, walące sie budynki, brązowe iglice kościołów i plytkę, błotnistą zatokę w turkusowym kolorze, na której kołysaly sie leniwie, ocierajac sie o siebie raz po raz, holowniki parowe i szalupy żaglowe.

Samo miasto, przeludnione, chaotyczne i zamglone, polozone bylo na wygiętym cypelku, który wdzieral sie haczykiem w Pacyfik. Poza miastem, w szarej toni oceanu, Collis zobaczył zamglone ksztalty malutkich lesistych wysepek i niewyraźne kontury masywnego parowca na redzie, którego

kadłub był widocznie zbyt wielki, ażeby statek mógł zbliżyć się do brzegu. W górze niebo pokryte było pierzastymi chmurkami, które płynęły wolniutko na północny zachód, z powrotem ku góróm.

Kilka minut później, podskakując z łomotem na złączach i spoinach, pociąg zaczął wyraźnie zwalniać, aż wreszcie zahamował i zatrzymał się na końcowej stacji. Lokomotywa zagwizdała raz jeszcze, ale był to posepny gwizd, który rozpląnął się w powietrzu bez echa.

Zdawało się, że przygnębione, monotonne popołudnie nie było w stanie ponieść dalej tego głosu. Hamulce zakwiczwały ponuro, jak zarzynane w rzeźni prosiaki, i pociąg transpanamski, klekocząc, trzęsąc się i przyprawiając wszystkich o mdłości, dotarł do mety swojej podróży.

Collis otworzył drzwi przedziału. Hanna była nadal uśpiona, choć majaczyła i przewracała się z boku na bok na ławce. Na peronie czekały już trzy zakonnice w białych skrzydlatych kornetach, w towarzystwie jamajskiego tragarza, który popychał przed sobą pleciony fotelik na kółkach. Collis wysiadł z pociągu i przywołał je skinieniem dłoni, a one podbiegły ku niemu, szeleszcząc wykrochmalonymi habitami, blade, z różańcami, które kołysały się im wokół talii.

Nie wiedzieć czemu, Collis czuł się zażenowany. Tragarz był taki czarny, o twarzy zupełnie bez wyrazu, a zakonnice były takie młode, o gładziutkich, śmietankowych cerach; i podbiegły tak usłużnie, aby pomóc komuś całkowicie obcemu, kto był chory na żółtą febrę.

Kiedy pomyślał o tym, jak bohatersko czuł się w Culebra, kiedy zaofiarował się zostać z Hanną, zawstydził się sam przed sobą.

Budynek stacji znajdował się pod ciężką kopułą, która nie dopuszczała do środka wiele słonecznego światła. Tynk odpadał ze ścian i zewsząd dobiegał przygnębiający odgłos sapiących parowozów, kłótliwych tragarzy, niezadowolonych pasa żerów i rozwrzeszczanych bachorów. Starając się przekrzyczeć te wrzaski, Collis zawołał: – Tutaj, tutaj! To właśnie ona! Ma chyba żółtą febrę! La fievre jaune!

Jedna z zakonnice, szczupła dziewczyna o chabrowych oczach i przejrzystej cerze, skłoniła głowę na znak, że zrozumiała, i w miejscowej gwarze poinstruowała tragarza, aby, wyniósł Hannę z pociągu. Tragarz miał w uchu kolczyk i pokryte strupami nogi. Wszedł do żeńskiego przedziału i wyniósł Hannę na zewnątrz, jakby była małym, wątłym dzieckiem. Collis przyglądał się temu bezradnie.

– Czy ma przy sobie jakieś dokumenty? – zapytała niebieskooka zakonnica.

– Chyba tak – rzekł Collis. – Najprawdopodobniej są w torebce. Nazywa się Hanna West. Miała połączyć się z mężem w San Francisco.

Zakonnica kiwnęła głową.

– Czy zabiorą ją siostry do szpitala? – zapytał Collis.

– Tak. Ulży to jej cierpieniom.

– Czy ona umrze? Jak się siostrze wydaje? Zakonnica zatrzymała się. Posadzono Hannę ostrożnie na wyplatany krzeselku, z twarzą białą i wykrzywioną z bólu, z rękami założonymi na piersiach, jakby broniła się przed jakimś wyimaginowanym zwierzęciem.

Zamęt i wrzawa na stacji zdawały się wciąż wzmaczać, a lokomotywa zawyla straszliwie, złowrogo.

– Ma żółtą febrę – powiedziała zakonnica. Sądząc po akcencie, mogła być Francuzką albo Belgijką. – Z jej budową dała nie ma wątpliwości, jaki czeka ją los. Albo dobry Bóg ulituje się nad jej duszą i zapewni jej pokój na Wysokościach.

Dopiero teraz Collis zdał sobie jasno sprawę z tego, że Hanna może umrzeć, i to już w ciągu następnych kilku dni. Potarł dłonią czoło, ale jego twarz zdawała się całkowicie obojętna, jakby zlodowaciała, i wobec tego nie była w stanie wyrazić żadnych uczuć.

Słuchając tej nieznajomej zakonnicy w budynku, który przypominał ogromny czyściec, doznał wrażenia, jakby właśnie przechodził przez rozdwojenie jaźni. Patrzył, jak jamajski tragarz, w towarzystwie dwu z trzech zakonnicy, zabiera od niego Hannę i czuł się dokładnie tak, jakby jednocześnie część jego własnego życia również umykała mu sprzed oczu: całe dni i tygodnie nie spełnionych marzeń, nie zrealizowanej miłości, ciepła i zrozumienia, wspólnych posiłków i wspólnego śmiechu, i pocałunków, i szeptów, i łez.

Stojąc tak na tej stacji kolejowej w Panama City, wybuchnął nagle płaczem – częściowo z powodu napięcia spowodowanego podróżą z umierającą Hanną, a częściowo przez wrogość Marii–Mamuśki. Kiedy tak patrzył, jak zabierają od niego Hannę, zdawało mu się, że jest już na jej pogrzebie, a nie ma nawet najskromniejszego kwiatka, który mógłby złożyć na jej grobie. Odwrócił się od zakonnicy, która pozostała w tyle, zagryzając wargi w rozpacz, ale zakonnica ujęła go delikatnie za rękę. Jej dłoń była zimna i wilgotna od potu. Collis odetchnął głęboko kilka razy i wziął się w garść.

– Pozostanie z nią wymagało z pana strony wielkiej odwagi – rzekła zakonnica. – Może lepiej niech pan przyjdzie do szpitala na dzień lub dwa, abyśmy się przekonali, czy nie zaraził się pan tą chorobą. Przenosi się ona bardzo szybko.

Collis otarł oczy i skinął głową na znak zgody.

– Przypuszczam, że chciał pan odpłynąć „Pacyfikiem” – rzekła zakonnica. – Odpływa dziś wieczorem, tak że już go pan i tak nie złapie. Ale wkrótce powinna też odpłynąć „Kalifornia”, jeżeli będzie się pan dobrze czuł, to może się pan nią zabrać.

– Dziękuję – rzekł Collis.

Bez dalszych wyjaśnień zakonnica wyprowadziła go ze stacji.

Collis szedł za nią, odprowadzany ciekawskimi spojrzeniami współpasażerów. Rozglądał się za Marią–Mamuśką, ale wyglądało na to, że opuściła już stację. Za to Andrew Hunt był tam jeszcze, choć trzymał się z daleka i z rezygnacją wzruszył tylko w stronę Collisa ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Nadstawileś, bracie, karku, to i dobra jest. Twoja rzecz.

Ale nie oczekuj tego samego ode mnie”.

Zakonnica zamieniła parę słów po hiszpańsku z konduktorem pociągu, instruując go, by przesłano kufer Collisa do szpitala Serca Jezusowego. Konduktor kiwnął głową, zmierzwszy Collisa podejrzliwym spojrzeniem. Potem zawołał „Zambo!” w stronę Murzyna, który siedział po turecku

obok lokomotywy, pykając z pękniętej fajeczki, i zlecił mu wykonanie tego zadania. Zakonnica powiodła Collisa przez stację do Avenida Central, szerokiej ulicy z obdrapanymi, pobielanymi budynkami, która prowadziła do placu Katedralnego. Pod ponurym, zachmurzonym niebem sunęły we wszystkich kierunkach powozy i wózki zaprzężone w muły; tragarze, ganiając w tę i w tę niczym mrówki, uginali się pod ciężarem kufrów i walizek, które wynosili z pociągu na plecach, a grupka zawodowych żebraków brzęczała blaszanymi puszkami, eksponując swoje ułomności i okaleczone kończyny. Niedaleko od wejścia na stację, z młodym Hiszpanem na koźle, czekał już na nich skromny, prosty, pomalowany na czarno wózek, zaprzężony w osła, i zakonnica powiodła Collisa w jego stronę. Collis pomógł jej wdrapać się na furmankę, a potem sam wskoczył i usiadł na wąskiej drewnianej ławce. Młody Hiszpan cmoknął językiem i osioł ruszył z mozołem poprzez gliniastą, pełną wyboi ulicę. Collis starał się wydusić z siebie jakiś choćby nikły uśmiech, ale w odpowiedzi zakonnica spuściła tylko wzrok.

W przeciwieństwie do Aspinwall, które przypominało podupadające zaściankowe miasteczka amerykańskie, Panama miała charakter wybitnie hiszpański. Była tu katedra i liczne kościoły, a ganki przy białych domkach, pokrytych czerwoną dachówką, miały łukowate sklepienia. Powietrze było tu mniej cuchnące, choć ulice były równie wyboiste i zasypane śmieciami, a tynk odpadał wielkimi płatami z popękanych murów miejscowych ruder. Gdy przejeżdżali obok, Collis starał się zaglądać w otwarte okna mieszkań, aby zobaczyć, co się tam dzieje, ale wnętrza były tak ciemne, że nie potrafił rozróżnić żadnych kształtów. Musiał trzymać się kurczowo mosiężnej poręczy zaprzęzonej w osła furmanki, aby nie zlecieć na ziemię.

Kiedy przejeżdżali obok Bovedas, starej hiszpańskiej tamy, z przepiękną panoramą na zamgloną zatokę, oczom ich ukazało się upiorne zjawisko. Jamajczyk w podartej na strzępy koszulinie pchał przed sobą taczkę. Na taczce, rozwalone w poprzek, leżały nagie zwłoki mężczyzny, na wpół przykryte brudnymi workami. Miał wystające żebra, a skórę sflaczała i żółta. A co gorsza, jego oczodoły były zupełnie puste, bo gałki oczne wydłubane zostały przez sępy. Collis musiał się odwrócić i przyłożyć do ust chusteczkę; dopiero w pobliżu oceanu, zdołał zapanować nad mdłościami.

– Niestety, tutaj to normalny widok – rzekła zakonnica. – Deszcze były bardzo obfite tego roku, a kiedy deszcze są takie obfite, żółta febra panoszy się wszędzie.

– Nie wiem, jak siostra znajduje odwagę, aby znosić to wszystko. Jak siostra tu w ogóle może wytrzymać?

Zakonnica uśmiechnęła się łagodnie.

– Bóg chroni nas przed febrą, dopóki nie uzna, że czas zabrać nas w swoje ramiona.

– Czy wiele sióstr zmarło? Pokiwała głową.

– Bóg był dla mnie jak dotąd bardzo łaskaw, więc jestem tu już od dość dawna.

Przyjechałam w 1855 roku, kiedy ukończono budowę kolei. Było ze mną dwanaście sióstr, wszystkie z Antwerpii. Tylko trzy z tych dwunastu utrzymały się przy życiu.

– Jak się siostra nazywa? – zapytał Collis. Nie mógł się nadziwić, jak spokojnie godziła się z własnym losem. Jemu zdawało się to szaleńczym samobójstwem.

– Siostra Agnieszka – rzekła po prostu. Trzymała dłonie na kolanach. Były drobne i kształtne, jak serduszka, ale szorstkie od ciągłego szorowania i ciężkiej pracy. Jej twarz, w szerokim, skrzydlatym kornecie, była prawie ładna, ale cera była ziemista ze zmęczenia i niezdrowa. Collis przyglądał się jej ze współczuciem, lecz nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć. Nie był przyzwyczajony do rozmów z kobietami, z którymi nie wolno było flirtować.

Mała grupka kobiet siedziała na samym brzegu falochronu. Palily cygara i żartowały, śmiejąc się głośno. Miały na sobie falbaniaste spódnice z pasiastego perkaliku, ściągnięte mocno wokół nagich, śniadych talii, i luźne muślinowe guipil, iskrzące się złotymi i srebrnymi cekinami, na obnażonych piersiach. Wiele z nich miało we włosach purpurowoczerwone albo żółte kwiaty. Kiedy ich czarny zaprzęg przejeżdżał obok, kobiety pomachały przyjaźnie w stronę siostry Agnieszki i pozdrowiły ją na powitanie, a ona również machnęła im ręką w odpowiedzi.

– Niech was Bóg błogosławi, senoras! – zawołała.

– Zdaje się, że zna tu już siostra wszystkich – rzekł Collis. Siostra Agnieszka przytaknęła skinieniem głowy.

– Utrzymać się przy życiu w Panamie przez dwa lata to nie lada sukces. Nie uwierzyłby pan, jak tutejsi ludzie potrafią być serdeczni, tak po pierwszym roku, kiedy są już pewni, że przeżyje się dostatecznie długo, aby zapoznanie się z nowo przyjezdnymi warte było zachodu.

No bo tylu ludzi umiera od razu, w pierwszych miesiącach.

Dotarli wreszcie na teren szpitala Serca Jezusowego, który leżał na niewielkim pagórku i zwrócony był w stronę zatoki. Otoczony był wysokim, białym murem z pustaków i schowany w pogodnym, cichym ogrodzie, wśród cienistych drzew i krzewów. Sam budynek, z szerokim krużgankiem i werandą z czerwoną posadzką, która okalała go z trzech stron, przerobiony był z dawnej misji. Wszystkie okna pootwierane były na oścież, aby wpuścić podmuch wiatru od morza. W środku Collis zobaczył rzędy zielonych łóżek. Leżeli na nich chorzy, którzy, umierali, i tacy, którzy mieli nadzieję, że przeżyją albo powoli przychodzili do siebie.

Pomógł siostrze Agnieszce zejść z furmanki, a ona wprowadziła go do środka, przez podwójne dębowe drzwi, w ponury kamienny korytarz. Na ścianie tuż na wprost nich wisiał wielki krucyfiks, z mahoniowym ukrzyżowanym w męczarniach Chrystusem, a pod nim, na ciemnej skrzyni z hiszpańskiego dębu, stał mosiężny wazon, a w nim żółte tropikalne kwiaty.

Wszędzie unosił się zapach mydła i gotowanych jarzyn, ponieważ zakonnice przygotowywały właśnie wieczorny posiłek dla swoich pacjentów.

– Pańska znajoma, Mrs West, została odwieziona na oddział Ogrójca, który jest przeznaczony dla kobiet – wyjaśniła siostra Agnieszka. – Myślę, że będzie pan ją mógł później odwiedzić. A tymczasem pokażę panu miejsce na nocleg. Mamy malutką oficynkę w ogrodzie, którą zazwyczaj oddajemy wizytującym księżom. Teraz stoi ona pusta. Niestety, jest naprawdę bardzo niepokazna.

Collis wyciągnął do niej dłoń. W przyciemnionym korytarzu siostra Agnieszka robiła wrażenie jeszcze młodszej i przez moment wyobraził sobie, jak musiała wyglądać, gdy przyплыnęła tu z Antwerpii, świeża, pełna entuzjazmu. Położyła swoją dłoń delikatnie na jego dłoni, a jej oczy, gdy mu się tak przyglądała, były łagodne i pełne zrozumienia.

– Podziwiam siostrę ogromnie – powiedział. – Dziękuję za życzliwość. Jestem bardzo wdzięczny, że mogę się tutaj zatrzymać.

– To, co pan zrobił, też było godne podziwu. Jest pan prawdziwie dobrym Samarytaninem, w całym tego słowa znaczeniu – odparła.

Zapanowała chwila ciszy. Dalej trzymał jej rękę w swojej dłoni.

– Nie jestem tak naprawdę przyzwyczajony do rozmów z kobietami takimi jak siostra – powiedział niepewnie. – Na ogół schlebiam im i prawie komplementy.

– Ja jestem zaślubiona Bogu – rzekła siostra Agnieszka spokojnie. – Może łatwiej będzie panu traktować mnie tak, jakbym była mężatką.

Odwrócił wzrok.

– Nie. To chyba nie robiłoby żadnej różnicy.

Siostra Agnieszka zapytała bardzo, bardzo delikatnie: – Mrs West?

Spojrzał na nią ponownie.

– Jest siostra bardzo wyrozumiała.

– Posłannictwo zakonnicy nie kończy się na modlitwach i grzebaniu zmarłych, wie pan – powiedziała.

Collis otarł pot z czoła. Wewnątrz, w korytarzu szpitalnym, było chłodno i jego pot zrobił się nieprzyjemnie zimny.

– Czy sądzi siostra, że ksiądz mógłby tu coś pomóc? – zapytał. – Czy dałby jej rozgrzeszenie za to, że myślała o mnie?

– Jeśli okaże szczerą skruchę.

– A czy sądzi siostra, że to mogłoby dodać jej sił?

– To całkiem możliwe. Ale może i mieć całkowicie przeciwny skutek. Hart ducha ma jednak zawsze ogromny wpływ na to, czy organizm będzie w stanie zwalczyć la fièvre jaune.

Collis odkaszlnął.

– Sam już nie wiem. Myślę, że byłoby dla niej lepiej, gdyby nie musiała martwić się o swoją przyszłość. Przynajmniej z mężem miałyby zapewnioną stabilizację. A ze mną... no cóż... nie wiadomo jeszcze, co się ze mną stanie. Byłaby rozwódką, a to jeszcze ciągle rzecz haniebna. No, a oprócz tego ja sam jestem biedny jak mysz kościelna.

Siostra Agnieszka skinęła głową.

– Musiałby pan pomóc – rzekła z prostotą.

– Co siostra ma na myśli?

– To bardzo proste. Jeśli oboje rozmyślaliście o możliwości cudzołóstwa, to nie można wymagać od niej samej, aby okazała skruchę. Pan też to musi zrobić i powiedzieć jej o tym.

Collis obgryzał paznokcie.

– Wiem, że to będzie bolesne – rzekła siostra Agnieszka.

– Tak, ale jeśli sądzi siostra, że to jej pomoże przeżyć... wobec tego nie ma innego wyjścia.

– Poślę po ojca Ksawerego.

Collis starał się robić dobrą minę do złej gry.

– No to załatwione. Może lepiej pójdę teraz do mojej oficynki.

Siostra Agnieszka podeszła do niego i wzniosła przed nim dłonie, nie dotykając go, ale jakby go chciała pobłogosławić albo obdarzyć jakąś ludową, pełną czułości łaską. Ich oczy spotkały się i oboje poczuli, że rodzi się między nimi jakaś dziwna więź, której żadne z nich nie byłoby w stanie wyjaśnić. Było w niej głównie współczucie i zrozumienie, ale do tego również i lęk, i tkliwość, i obopólne ciche przymierze pomiędzy, kobietą, która mogłaby być śliczna, a mimo to wybrała stan zakonny, i mężczyzną, który miał sumienie, chociaż był cudzołożcą.

Siostra Agnieszka podeszła do ściany i pociągnęła za taśmę dzwonka.

– Antoni zaprowadzi pana do pańskiej siedziby – rzekła. – Mam nadzieję, że będzie tam panu wygodnie. I niech Bóg ma pana w swojej opiece; niech pana strzeże przed wszelkim złem.

Collis prawie zapomniał o tym, że sam zetknął się z żółtą febrą i dlatego również był zagrożony. Popatrzył na dębowe dwuskrzydłowe drzwi z ciężkimi, hiszpańskimi zamkami i zawiasami, wiodące na dziedziniec, i nagle zdał sobie sprawę z tego, że może oto przechodzi właśnie przez nie po raz pierwszy i jednocześnie ostatni.

*

Okolo siódmej wieczorem, kiedy niebo za oknem przybrało intensywnie niebieski, chabrowy kolor, usłyszał lekkie pukanie do drzwi. Leżał właśnie rozciągnięty na swoim twardym łóżku, z rękami pod głową, rozmyślając o Hannie, San Francisco i siostrze Agnieszce; komary tańczyły wokół lampy, a malowane statuetki Świętej Dziewicy i Apostołów patrzyły na niego w milczeniu z miniaturowych, drewnianych cokołów na pobielanych ścianach. Z bosymi nogami, ale nadal w ubraniu, poczłapał przez kamienną posadzkę, otworzył drzwi oficyny i zapytał: – Pora już na mnie?

– Si, senor – odparł jamajski woźny Antoni. – Ojciec Ksawery, on ci już tutaj.

Collis zasznurował buty, włożył jasnopopielaty surdut i poszedł za Antonim przez ogród.

Słońce zaszło dopiero parę minut temu i niedługo powinien wzejść księżyc. Pięknie utrzymany ogród, z rządami krzewów i kwiatnych klombów, wydawał się w tej szarówce jak sen z Baśni z tysiąca i jednej nocy. Każda roślinka zasadzona była w glinianej miseczce napełnionej wodą, aby ochronić ją przed atakami termitów; przy każdej miseczce z wodą unosiła się chmara komarów. Jeden z szalonych naukowców, których nigdy nie brakuje, starał się nawet sugerować, że to właśnie komary są nosicielami choroby, ale doświadczone wygi panamskie wiedziały dobrze, że to po prostu ciepłe południowo – wschodnie wiatry i wilgoć sprowadzały i roznosiły febrę.

Ojciec Ksawery czekał już z siostrą Agnieszką w poczekalni, obok oddziału Ogrójca. Był to drobny mężczyzna, również Belg, o okrągłej głowie, oczach zawsze jakby przepełnionych zdumieniem i brwiami, które wydawały się niesynchronizowane, jakby każda brew poruszała się osobno, niezależnie od drugiej, tak że kiedy wyrażał troskę albo zainteresowanie, rozpoczynały swój własny, indywidualny płas. Był bardzo zadbany, nosił szarą sutannę, z prostym srebrnym krzyżykiem na piersiach. Mówił płynną angielszczyzną tak wyszukaną, że musiał się jej wyuczyć w kolegium teologicznym.

– Mrs West wyraziła gotowość spowiedzi – rzekł ojciec Ksawery, witając się z Collisem uściskiem dłoni. – O ile się nie mylę, siostra Agnieszka rozmawiała z nią parę minut temu.

– Ach, tak? – odrzekł Collis. Rzucił okiem na otwarte drzwi sali, ale nie był w stanie dostrzec nic prócz rogu łóżka zasłoniętego moskitierą. – I co mówiła? Czy czuje się lepiej?

Siostra Agnieszka przechyliła lekko głowę.

– Nadal gorączkuje i ma bóle głowy. Nie ma już teraz żadnych wątpliwości, że to żółta febra.

– A czy ona już wie?

– Nie – powiedziała siostra Agnieszka. – Z doświadczenia wiemy, że nasi pacjenci znoszą chorobę lepiej, jeśli nie zdają sobie sprawy z powagi sytuacji.

– A co mówiła na temat spowiedzi?

– Zapytałam, czy leży jej na sercu coś, z czego chciałaby się wyświadczyć, a ona dała mi do zrozumienia, że tak.

Collis przełknął ślinę. Chciał coś powiedzieć, ale nie był pewien, czy będzie mógł zapanować nad drżeniem głosu. Brwi ojca Ksawerego zafalowały ze współczuciem.

– Czy chciałby pan z nią teraz porozmawiać, Mr Edmonds? – zapytała siostra Agnieszka. – Uważam, że powinien pan, dopóki jest jeszcze przytomna. Choroba bardzo ją wyczerpuje i jak tylko będziemy to mieć za sobą, damy jej prawdopodobnie krople nasenne.

Zbliżyła się teraz do nich jeszcze jedna zakonnica i wyszeptwała: – Mrs West jest nadal przytomna, siostrzo Agnieszko; ale ledwie, ledwie. Trzeba się spieszyć.

– Dobrze – rzekła siostra Agnieszka. – Czy chce pan, ją teraz odwiedzić, Mr Edmonds?

Skinął głową. Zakonnica skinęła na niego i Collis wszedł na dużą, mroczną salę, oświetloną tylko małymi, pomarańczowymi lampkami, gdzie pobladłe, wymizerowane kobiety, prawie wszystkie

zbyt chore, by mogły usiąść albo nawet się poruszyć, leżały w dwóch rzędach, po dwanaście łóżek w każdym. Na samym końcu sali, odizolowana od reszty kobiet zasłoną z gazy, leżała Hanna, w białym czepku i białej koszuli, z twarzą wykrzywioną z bólu i oczami bez wyrazu.

– Proszę nie zostawać zbyt długo – szepnęła zakonnica. – Jest bardzo osłabiona.

Collis przystawił sobie proste, drewniane krzesło i usiadł przy łóżku Hanny, patrząc na nią przez mglisty materiał zasłonki. Zobaczyła go i uśmiechnęła się do niego leciutko.

– Collis – powiedziała cicho.

Przez moment patrzyli na siebie przez siateczkę gazy, nic nie mówiąc; rozumieli się i tak doskonale, bez słów. Rzeczywiście musiało istnieć między nimi to pokrewieństwo dusz, o którym mówiła Hanna. To nie był tylko jakiś wymysł. Nawet teraz, gdy Hanna leżała chora, Collis czuł się w jej towarzystwie swobodnie i darzył ją głębokim, ciepłym uczuciem, jakby od lat była jego żoną.

– Pytali mnie, czy chcę się wyświadczyć – rzekła Hanna.

– A ty? Co im odpowiedziałas?

– Że tak.

Collis nerwowo potarł czoło opuszkami palców.

– Ta twoja choroba, to nic takiego znowu poważnego, wiesz? Przynajmniej tak twierdzą, te zakonnice.

– Mimo to chcę się wyświadczyć – powiedziała Hanna. Oparła głowę o poduszkę. – To dziwne, jak jasno widzi się swoje życie, kiedy stoi się u progu śmierci. Zastanawia się człowiek, po co w ogóle kiedykolwiek się czymkolwiek przejmował. Te wszystkie śmieszne, drobne trudności, które kiedyś zdawały się taką potworną i niemożliwą do rozplatania gmatwaniną. Można wszystko rozpędzić na cztery wiatry jednym oddechem prawdy.

– Haniu – powiedział Collis. – Wiem, że to, co się stało na statku, zdawało się nam wówczas czymś bardzo ważnym. Wiem, że mówiliśmy wiele o twoim małżeństwie z Walterem, rozwodzie i różnych innych szalonych pomysłach, ale... ale... chcę po prostu powiedzieć, że jakkolwiek intymny związek między nami nie miałby... nie miałby żadnych szans na przetrwanie.

Leżała przez jakiś czas, jakby nie słyszała jego słów. Potem uśmiechnęła się i odwróciła głowę w jego stronę; przez siatkę gazy jej oczy zdawały się zamglone i pociemniałe.

– Wiem, po co to mówisz – powiedziała. – Ale nie musisz kłamać. I tak wiem, że umrę.

– Haniu, nie bądź śmieszna. Masz ostry przypadek nieżyty żołądka, nic więcej.

Zostaniesz tu przez dwa lub trzy dni, a potem będziesz już na pewno wystarczająco silna, by opuścić szpital.

– Nie, Collis. Nie jestem ani ślepa, ani głucha. Wiem, co mi jest. Wiem, że nie ma prawie żadnej nadziei. I wiem też, że starasz się jakoś pomóc mi przyjść z samą sobą do ładu.

– Haniu – nalegał Collis. – Będziesz żyć. Nie ma mowy o śmierci. To w ogóle wykluczone.

Pokręciła głową.

– Kiedy opiekowałam się matką, nauczyłam się z książek dwóch języków. Może i moja wymowa pozostawia wiele do życzenia, ale jeden z nich to hiszpański, i wiem, co znaczy fiebra amarilla.

Collis zamilkł na te słowa.

– Nie wyrzucaj sobie, że starałeś się mnie oszukać – rzekła Hanna. – Chyba zrobiłabym to samo, gdyby to chodziło o ciebie. Ale wiem, że najprawdopodobniej umrę, Collis, i nie musisz już więcej udawać.

Ochryplym głosem Collis odparł: – Nie chciałem zaprzeczać temu, co czuję do ciebie. Chciałem ci tylko dodać sił, abyś mogła to zwalczyć. Myślałem, że gdybym usunął się z twojego życia, może skoncentrowałabyś wszystkie swoje wysiłki na zwalczaniu choroby; nie chciałem, żebyś się mną zamartwiała.

Uniosła dłoń w stronę zasłonki, jakby go chciała dotknąć. Wyciągnął rękę i opuszki ich palców spotkały się poprzez cienką tkaninę.

– Gdybym sądziła, że nie mam w życiu nic, do czego mogę wrócić, nic, tylko Waltera, byłabym naprawdę nieszczęśliwa i bardzo, bardzo wycieńczona – wyszeptwała. – To twoja obecność tutaj dodaje mi sił. Świadomość tego, że mógłbyś mnie kochać, dodaje mi sił.

Milczał przez jakiś czas.

– Skąd wiesz, że mógłbym cię kochać? – spytał wreszcie.

– Po prostu wiem, i już. Kochany mój.

Na zewnątrz usłyszał odgłos kroków zakonnicy w trepakach, która wracała z łazienki. A w oddali ledwie dosłyszalnie w zastyłym, równikowym powietrzu wieczora ktoś grał płaczliwie na fujarce. Na łóżku obok ktoś zakaszłał.

– Nie rozumiem – rzekł Collis. – Przecież ledwo się znamy.

– Tak, to prawda. Ale to nie ma znaczenia.

Znowu zapanowało milczenie. Potem Collis powiedział: – Ojciec Ksawery czeka na zewnątrz. Czy mam go odprawić?

– Nie – odparła. – Mówiłam, że chcę się wyświadczyć.

– Myślałem, że chcesz się wyświadczyć z grzesznych myśli... z myśli związanych ze mną.

– Owszem. Ale nie mogę wyrazić przy tym skruchy. Najbardziej ze wszystkiego chcę się wyświadczyć, że wyszłam za mąż wbrew woli rodziców, że obraziłam święty Kościół katolicki i że zdrwiłam sobie ze świętego sakramentu małżeństwa. Chcę się wyświadczyć z tego, że byłam

zadufana w sobie, zakłamana i że uważałam miłość Boga i miłość Najświętszej Maryi Panny za coś, co mi się prawowicie należało.

Rozpłakała się. Przez siateczkę gazy, która sprawiała, że wszystko wydawało się zamglone, Collis mógł dostrzec iskrzące się na jej policzkach łzy. Ale nie był w stanie jej pomóc. Siedział więc tylko bezradnie, z sercem ściśniętym z bólu, jak jeszcze nigdy przedtem w całym swoim życiu, patrząc na nią i wsłuchując się w brzmienie jej głosu. Ta kobieta, ta czyjaś żona, nie powinna się dla niego w ogóle liczyć; powinna stać się daleką znajomą, twarzą z pociągu; a jednak wziął na siebie odpowiedzialność za jej szczęście i przyszłość, i ostatecznie za jej śmierć. Był załamany, pogrążony w rozpacz, ale nie mógł zrobić nic więcej, tylko siedzieć tu, na tym lichym, drewnianym krzeselku, obserwowany przez zakonnice, i słuchać tego, co mu miała do powiedzenia.

– Chcę wyznać, Collis, że zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia. Nigdy przedtem nie doznałam takiego uczucia. Stałam na pokładzie, a ty uniosłeś w moją stronę kapelusz; uczucie, którego wtedy doznałam, było tak przytłaczające, że zaparło mi dech w piersiach. Potem ujrzałam cię znowu, kiedy podszedłeś, żeby się przedstawić. Tego, co czułam, nie da się wprost opisać. Mrs Edgeworth powtarzała mi, że muszę wziąć się w garść, że jestem zadurzona, ale ja nie mogłam myśleć o niczym więcej, tylko o tobie. Czy nie rozumiesz, jak trudno mi było odprawić cię tej nocy, kiedy przyszedłeś pod moją kajutę? Czy nie rozumiesz, jak mnie to bolało, kiedy zobaczyłam cię z tą dziewczyną?

Odwróciła od niego twarz.

– Kocham cię – powiedziała ze smutkiem. – Kocham cię tak bardzo, a teraz przyjdzie mi umrzeć. Jedyne, z czego muszę się wypowiedzieć, to ten żal, który mam w sercu do Boga za to, że nie pozwala mi nacieszyć się tobą dłużej.

– Haniu – rzekł Collis miękko.

Odwróciła się znowu ku niemu, z twarzą zalaną łzami.

– O mój Boże, przecież mogłabym cię tak kochać! Skinął głową, ocierając łzy z własnych oczu palcami.

– Haniu, i ja mógłbym cię bardzo, bardzo kochać. Płakali teraz razem, przedzieleni moskitierą. Nie nad tym, co stracili, nie nad tymi dniami, które spędzili razem, ale nad tym, co mogłoby się wydarzyć, a teraz pewnie już się nie wydarzy. Płakali w milczeniu, przytłoczeni ponurą atmosferą oddziału Ogrójca, a w ogrodzie za oknami zapadał zmrok; zakonnice krzątały się po sali, szeleszcząc habitami, jak stado gęsi na bożej polanie.

W końcu siostra Agnieszka zbliżyła się do nich i położyła rękę na ramieniu Collisa.

– Musi pan teraz odejść, Mr Edmonds – powiedziała. – To zbyt niebezpieczne. Może się pan zarazić. Nieżyty żołądek może mieć czasem bardzo poważny przebieg.

– Mrs West wie, że cierpi na żółtą febrę – rzekł Collis. – Nie musi już siostra przed nią udawać.

– Wie o tym? A skąd?

– Słyszała, jak rozmawiały o tym zakonnice, to wszystko.

Siostra Agnieszka spojrzała na Hanę, a Hanna przytaknęła skinieniem głowy.

– Aha – rzekła siostra Agnieszka. – No to wobec tego wie pani również, że stan pani jest bardzo ciężki.

Ojciec Ksawery, z oczyma jak dwa maleńkie, błyszczące paciorki i brwiami, które spotykały się na wysokości nosa, wszedł bezszelestnie na oddział kobiecy.

– Czy wyrzekliście się już myśli o sobie? – zwrócił się do nich obojga.

Collis rzucił Hannie ostatni uśmiech przez moskitierę, a ona również w odpowiedzi obdarzyła go słabym uśmiechem. Myśl o tym, że Hanna była wierząca, przynosiła mu ulgę.

Przynajmniej była przekonana, że kiedy go opuści, pójdzie gdzie indziej, w jakieś inne, lepsze miejsce, gdzie zostanie otoczona opieką i gdzie będzie się czuła zadowolona. Nie miał pojęcia, jak Hanna wyobrażała sobie raj, ale nie miał wątpliwości, że w jakimś mistycznym sensie było tam i miejsce dla niego.

– Nie – Collis zwrócił się teraz do ojca Ksawerego. – Nie wyrzekliśmy się. Mrs West powie księdzu, dlaczego nie.

*

Czekał w szpitalu Serca Jezusowego przez trzy dni. Większość czasu spędzał w swojej prostej, pobielanej oficynie, pisząc listy do ojca, do matki i do przyjaciół w Nowym Jorku, na cieniutkich jak koszulki cebulki kartkach papieru, który otrzymał od sióstr. Siadywał, podpierając brodę dłońmi, przy maleńkim biurczku, które stało naprzeciwko okna wychodzącego na ogród klasztorny, i przypatrując się grządkom kwiatów, które kołysały się przy każdym podmuchu wiatru od Oceanu Spokojnego, i ciemnym chmurom, których nigdy nie brakowało i które toczyły się milcząco od południowego wschodu, dzień po dniu.

Rzadko widywał się z Hanną. Rozumiał, że było z nią coraz gorzej i że cierpiała na żółtaczkę, która dała żółtej febrze swoją nazwę. Czasami siostra Agnieszka pozwalała mu stanąć w otwartych drzwiach sali i zerknąć do środka, ale przez parawan izolacyjny widział tylko jej pobladałą, wynędzniałą twarz – a to nie wróżyło nic dobrego. Przeciwnie, widać było, że jest poważnie chora.

*

Rankiem, czwartego dnia, siostra Agnieszka zapukała do drzwi jego oficyny w ogrodzie.

Golił się właśnie swoją wygiętą brzytwą i kawałkiem szpitalnego mydła, które zawsze pachniało goździkami. Siostra Agnieszka zostawiła drzwi lekko uchylone, ponieważ Collis był rozebrany do pasa, a była zupełnie sama.

– Bardzo mi przykro, ale stan zdrowia Mrs West pogorszył się gwałtownie – powiedziała.

Collis, z brzytwą w dłoni, usiadł przy fajansowej umywalce. – Zobaczył odbicie swojej twarzy w lustrze z palisandrową ramą, wiszącym na ścianie, a jego oczy przyciemniały i posmutniały. Jego usta w lustrze mówiły: – Jak to długo jeszcze może potrwać?

– Nie wiem. Vomito negro jeszcze się nie zaczęło. Jest jeszcze trochę nadziei.

– Czy mogę do niej pójść?

– Jest bardzo chora, Mr Edmonds. To byłoby bezcelowe, a zwiększyłoby pana szansę zarażenia się chorobą.

– Nie chcę, żeby umierała w samotności, siostró Agnieszko. Siostra Agnieszka dotknęła swojego bladego czoła, jakby cierpiała na migrenę.

– Nie jest samotna, Mr Edmonds. Najświętsza Panienka, Matka Boska jest przy niej.

Collis wytarł twarz małą, szorstką myjką, którą dały mu zakonnice, i zdjął koszulę z oparcia krzesła. Teraz, kiedy miał sposobność, by oddawać swoje rzeczy do prania w szpitalnej pralni, jego bielizna była wreszcie świeża, czysta i wyprasowana. Ale w zamglonym świetle słońca, które wdzierало się przez otwarte okno do jego oficyny, dalej widać było, że jest zmęczony i wychudzony; dałby niemal wszystko za porządny nowojorski stek z duszoną cebulą i dwanaście godzin snu we własnym łóżku na Dwudziestej Pierwszej Ulicy.

– Czy sądzi siostra, że przeżyje jeszcze z tydzień? – zapytał.

– Może – odparła siostra Agnieszka. – Tak jak mówiłam, jest jeszcze bardzo nikły cień nadziei. Ale gorączka jest bardzo wysoka i muszę uprzedzić, że powinien pan być przygotowany na najgorsze. Możliwe, że skona dziś w nocy.

– Tak, rozumiem. Czy ona też o tym wie? Czy jest przytomna?

– Nie. Jest wciąż nieprzytomna, już od ośmiu godzin. Collis skinął głową. Nie wiedział, co jeszcze powinien powiedzieć. Siostra Agnieszka przeczekwała chwilę, a potem oznajmiła: – Przyszłam też jeszcze z innego powodu. Collis podniósł wzrok.

– „Kalifornia” zarzuciła dziś rano kotwicę w porcie, w zatoce. Ma odpłynąć w poniedziałek rano. Zdaje mi się, że nie zaraził się pan febrą, więc będzie się pan mógł zabrać do San Francisco.

– To już za cztery dni.

– Właśnie.

– No a gdyby... gdyby Mrs West żyła jeszcze za cztery dni? Siostra Agnieszka milczała.

Collis przemierzał kamienną podłogę oficyny, a potem odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy.

– Siostra nie sądzi, że to możliwe, prawda?

– Szansę są bardzo nikłe, Mr Edmonds.

Wytarł kark ręcznikiem. Był tak zmęczony, że sam już nie wiedział, co czuje. Całe dnie spędzał beczynn timer w oficynie, oczekując na wiadomości o Hannie, pisząc listy i wyglądając przez okno, walcząc z nocnym upałem, duchotą i plagą owadów. Mogłyby w ten sposób upłynąć mu całe lata, a on nawet nie zauważyłby różnicy. Skwar i nuda równikowego klimatu zdawały się odbierać mu całą ochotę na jakiegokolwiek aktywne lub pożyteczne zajęcia, więc czasem stał przez pół godziny i nie był w stanie zdecydować, czy ma dalej tak stać, czy też może wolałby znowu usiąść.

– Wiem, że zrobiły siostry wszystko, co w ich mocy – rzekł cicho. – Jest siostra bardzo życzliwa. Nie tylko dla Mrs West, ale i dla mnie.

Popatrzył na nią. We framudze drzwi, jak w ramkach, była krucha i delikatna jak madonny z obrazów Botticellego. Zupełnie nie rozumiał, jak taka czarująca, atrakcyjna, młoda kobieta może być równie uduchowiona. Jeśli zostanie w tym szpitalu w Panamie, to w ciągu dwóch, trzech lat prawie na pewno umrze. A może nie uda jej się nawet przeżyć i tego.

– Zastanawiałem się, czy nie ma czasem siostra ochoty rzucić tego wszystkiego i wyjechać stąd na zawsze. Czy choćby brała siostra taką możliwość pod uwagę? – zapytał.

– A czemu miałabym rzucać to wszystko? Całe moje życie jest teraz związane z tym właśnie miejscem.

– Wiem. A na dodatek śmierć zwiąże z nim siostrę jeszcze bardziej, na całą wieczność.

– Martwi się pan o to, co się ze mną stanie? – Siostra Agnieszka uśmiechnęła się do niego obojętnie. – To bardzo ładnie z pana strony.

– Ale?

– Ale nie mogłabym zostawić szpitala. Bóg potrzebuje mnie właśnie tutaj.

– Mówi to siostra, zdając sobie sprawę z tego, że nie dożyje siostra dwudziestych piątych urodzin?

– Taka jest wola Boska.

Collis spojrział na ogród za jej plecami. Wiedział doskonale, że jego argumenty na nic się tu nie zdadzą. Jak mógł w ogóle sądzić, że uda mu się ją jakoś przekonać, aby stąd wyjechała? Śmiechu warte! I w ogóle, czy to jego sprawa? Co to jego może obchodzić, czy ona umrze, czy przeżyje? Po jaką cholere wtyka nos w nie swoje sprawy? Ogoniasta papuzka usiadła na gałęzi liściastego krzewu na zewnątrz i zagwizdała w wilgotnym porannym powietrzu. Collis spojrział również na siostrę Agnieszkę i wzruszył ramionami.

– Zaczynam traktować siostrę jak kogoś bliskiego – rzekł głosem tak łagodnym, na jaki tylko było go stać. – Nie staram się siostrze przypochlebić. Po prostu tak ni z tego, ni z owego przyszło mi nagle do głowy, że może uda mi się jakoś otworzyć siostrze oczy na to, że ten szpital to jeszcze nie cały świat i że liczą się w życiu także inne rzeczy. Wiem, że to idiotyczne z mojej strony. W ciągu tych dwu lat i tak zrobiła siostra więcej niż większość ludzi w ciągu całego swojego życia. Bóg może być tylko za to siostrze wdzięczny. Dlaczego siostra nie zostawi tego, póki jest jeszcze siostra młoda? Póki jest jeszcze siostra wśród żywych.

– Proszę się o mnie nie bać – odparła siostra Agnieszka. – Bóg i Najświętsza Paniienka mają mnie zawsze w swojej opiece.

Zamilkła na chwilę, a potem dodała: – Jestem jedynaczką, wie pan. Mój ojciec ma małą cukierenkę w Lokeren. Rodzice byli tacy dumni, kiedy wstąpiłam do klasztoru. Starali się mnie od tego oczywiście odwieść, ale kiedy zobaczyli, że nic nie zmieni mojej decyzji, byli bardzo dumni. Podziwiali moją determinację.

Collis ujął ją za rękę.

– I ja również siostrę podziwiam – powiedział. – I tak wiedziałem, że siostra nie zmieniałaby zdania. Ale mam nadzieję, że zapamięta siostra, iż starałem się ją przekonać, i że nie będzie o mnie siostra źle myślała.

– Muszę już iść – rzekła siostra Agnieszka. – Mamy dzisiaj trzy nowe siostry z Francji.

Przyjechały pociągiem z Aspinwall. Musimy je przywitać i wyjaśnić im, co będzie należało do ich obowiązków.

Przytrzymała rękę Collisa w swojej, a potem wspięła się na palce i pocałowała go w policzek, dotykając białym, wykrochmalonym kornetem jego ramienia.

– Myślę, że będzie pan kiedyś sławny – powiedziała z wielkim przejęciem. – Mam tylko nadzieję, że nie zapomni pan o mnie i że nie zapomni pan o powodach, dla których, jak panu wyjaśniłam, muszę zostać.

– Nie zapomnę – powiedział.

Otworzył przed nią drzwi.

– Czy przyjdzie jeszcze siostra później, aby powiedzieć mi, co z Hanną?

– Oczywiście.

Stał przy drzwiach i patrzył, jak oddała się po ogrodowej ścieżce. Wreszcie jej kornet znikł za krzewami, jak przelatująca tuż nad ziemią rybitwa. Potem Collis wrócił do swoich pustych, pobielanych pokoi i zmarszczył brwi jak ktoś, kto właśnie zdał sobie sprawę? że zaniedbał jakąś niesłychanie ważną sprawę, ale nie jest w stanie przypomnieć sobie, co to było. Dzwon szpitalny na wieży wybił na nieszpory i spłoszył trzy czarne sępy, które usadowiły się na gliniastym zwieńczeniu muru. Zakołowały, szeleszcząc skrzydłami, a potem sfrunęły z powrotem na dawne miejsce.

*

W środku nocy Antoni, jamajski woźny, zapukał do drzwi oficyny i wywołał Collisa na salę. Byli już tam siostra Agnieszka, siostra Rozalia i ojciec Ksawery. Stali przy łóżku Hanny, wycieńczonej i złanej potem, przy świetle naftowej lampki i było jasne, że stan zdrowia Hanny znacznie się

pogorszył. Cerę miała przerażająco sinożółtą, a prócz tego wstrząsały nią dreszcze i majaczyła w gorączce. Była w agonii.

– Jest przytomna – rzekła siostra Rozalia, zakonnica w średnim wieku, z okazałym „biustem, utykająca na jedną nogę. – Dlatego zdecydowaliśmy się zawołać pana. Może chce się pan z nią pożegnać.

– Czy to już koniec? – zapytał Collis, opuszczając wzrok na wykrzywioną bólem, woskową twarz Hanny. Była teraz zupełnie do siebie niepodobna; jej twarz wyglądała jak śmiertelna maska odlana z wosku. Tylko błyszczące w gorączce oczy i lekko zgrzytające zęby mówiły mu, że nadal była prawdziwą, żywą istotą; i tylko obrączka ślubna na ręku przypominała mu, że to była na pewno Mrs West.

– Jej stan jest krytyczny – rzekła siostra Agnieszka. – Jeśli gorączka nie ustąpi, może umrzeć już przed świtem.

– Gorączka bardzo rzadko ustępuje – dorzucił ojciec Ksawery. – Zdarza się to od czasu do czasu, ale nieczęsto. Zresztą, chyba sam pan widzi, jak bardzo jest chora.

Collis spojrział na nich, a potem ukląkł przy łóżku Hanny. Majaczyła i mamrotała coś, rzucając głowę z jednej strony poduszki na drugą. Jej twarz oblana była potem. Od czasu do czasu kaszlała, a za każdym kasznięciem z jej ust wypływały czarne bryzgi krwi, które siostra Rozalia ścierała rąbkiem płóciennej szmatki.

– Haniu? – powiedział Collis.

Jęknęła i wyciągnęła rękę, jakby chciała złapać coś w powietrzu, ale nie odpowiedziała.

– Haniu? – powtórzył.

Tym razem potrząsnęła głową, zacharczała i zaśliniła brodę. Collis poczekał chwilę, a potem znowu się podniósł.

– Myślę, że jest zbyt... Nie był w stanie wykrztusić z siebie ani słowa więcej. Zacisnął pięści i dotykając nimi ust, starał się zapanować nad sobą. W mroku oddziału Ogrójca, w tę gorącą, prawdziwie tropikalną noc, zrozumiał, że oto właśnie stracił ją już na zawsze. Zakonnice usiadły na brzegu łóżka Hanny delikatnie jak stado gołębi i ocierały z jej twarzy pot, ale ani ta troska, ani poświęcenie, ani bezinteresowna chrześcijańska opieka nie były przecież w stanie wyrwać jej z kleszczy żółtej febry.

– Dziękuję, że mnie siostry zawołały – rzekł Collis. – Ale chyba nic tu po mnie.

Wyszedł z sali i wrócił do ogrodu. Stał przed drzwiami swojej oficyny, spojrział w górę i nagle zdał sobie sprawę, że na niebie pojawiły się gwiazdy. Wilgotne chmury, które przez ostatnie tygodnie wisały ciągle nad Panamą, rozwiały się wreszcie. Zastanawiał się, czy to dobry znak, czy też może po prostu duszy Hanny łatwiej będzie się wznieść i połączyć z aniołami, bez których nigdy przecież nie była szczęśliwa.

*

Rankiem, o dziesiątej, nie czuła się wcale lepiej. Czekał w korytarzu na oddziale Ogrójca przez jakiś czas, ale siostra Agnieszka nie chciała go wpuścić do środka. Gorączka osiągnęła punkt krytyczny. Wrócił do swojej oficyny i wypił ostatnią butelkę hiszpańskiego wina, które Antoni kupił dla niego w mieście. Było to jednak o wiele za mało, aby uśmierzyć ból. Tego popołudnia, po obiedzie z gotowanej ryby i ryżu, zawieziono go oślim zaprzęgiem do biura Amerykańskiego Przedsiębiorstwa Transportu Morskiego, gdzie musiał potwierdzić bilet na podróż do San Francisco. „Kalifornia” miała odpływać z Panamy o siódmej rano, posuwając się wzdłuż § wybrzeża, z postojami w Tehuantepec, Guadalajara, Santa Barbara i wreszcie w San Francisco. W biurze o wysokim suficie, z marmurowymi kontuarami i wiązkami lepów na muchy, Collis musiał przedstawić siedzącemu za biurkiem Panamczykowi w granatowym mundurze zaświadczenie, że po wejściu w kontakt z fiebre amarilla trzymany był w izolacji i że teraz uznany został za wolnego od zarazy. Panamczyk wczytywał się w listę bez pośpiechu, wodząc po każdym słowie końcem ołówka i zatrzymując się od czasu do czasu, aby przyjrzeć się Collisowi wzrokiem, w którym czaiła się nieufność. W końcu jednak podstemplował bilet i oddał Collisowi jego zaświadczenie, trzymając je na ostrzu nożyka do cięcia papieru, tak aby nie zarazić się przez dotyk.

Collis wyszedł z biura i wsiadł do zaprzęgu. Młody Hiszpan cmoknął językiem na osła i potoczyli się z trzaskiem i piskiem przez ulicę. Wjechali pod górę po Avenida Central na szeroki, zarzucony śmieciami Rynek Katedralny, w cieniu bliźniaczych wież z piaskowca, gdzie księża uganiaли się z takim pośpiechem, jakby Panama City miała za chwilę zatonać w morzu, a staruszkowie siedzieli i palili cygara, jakby to, czy tak się stanie rzeczywiście, było im najzupełniej obojętne. Promienie słońca odbiły się nagle oślepiającym błyskiem od iglicy jednej z wież, otoczywszy ją złocistą aureolą. – Zatrzymaj się tu na sekundę, dobrze? – powiedział Collis do woźnicy.

Chłopak bez słowa wykonał polecenie i zaprzęg zatrzymał się przy chodniku. Collis, z oczami utkwionymi w katedrze, zsiadł z wózka i przeszedł na drugą stronę rynku. Wszedł po schodach, a potem przez otwarte podwoje do stęchłego wnętrza katedry.

Jeśli katedra ta była kiedykolwiek wzorem przepychu, to czasy jej świetności dawno już minęły. Było tam okno z krzykliwie pstrokatym witrażem. Niektóre szybki były poprzestawiane, a innych brakowało; przy kapliczce Najświętszej Maryi Panny wznosił się migoczący las gromnic, większość z nich ku pamięci zmarłych, na których brak Panama nie mogła się uskarżać. Katedra pełna była starowinek, które klęczały na modlitwie, a oprócz nich, na tylnej ławce, z maleńkim lustreczkiem, które leżało na oparciu klęcznika, przy modlitewniku, siedział jakiś dziwny gość, bezceremonialnie strzygąc włosy z uszu nożyczkami.

Collis nigdy przedtem nie był w katedrze rzymskokatolickiej, choć miał kolegę, Irlandczyka, który raz go namawiał, żeby pójść na mszę w Nowym Jorku. Wsunął się onieśmielony w ławkę kościelną i przyklęknął, spoglądając na staruszki, żeby zobaczyć, czy katolicy modlą się inaczej niż protestanci, a potem przymknął oczy i odmówił modlitwę za Hannę.

Była to bardzo prosta modlitwa, ale skierował ją do Matki Boskiej, ponieważ wiedział, że Hanna wierzyła w nią i jej ufała. Nie prosił o to, żeby Hanna przeżyła. To zdawało się być teraz w ogóle nie do pomyślenia. Ale prosił o szczęście dla niej w niebie i o to, żeby wiedziała, że ktoś ją kochał tu, na ziemi.

Pochylił głowę naprzód i oparł ją na twardym drewnie ławy kościelnej. Szeptał pod nosem: – Proszę, daj pokój jej duszy. Zasługuje na tyle. Proszę. Przyklęknął na chwilę w ciszy, a potem zdał

sobie sprawę, że nie ma już nic więcej, o co mógłby prosić. Wstał i opuścił katedrę, zostawiając dolara, na którego tak naprawdę nie było go stać, w puszcze na jałmużnę. Upał był tak straszny, że wszystko zdawało się rozpływać w powietrzu. Po drugiej stronie rynku, w oślepiającym świetle słońca, czekał osli zaprzęg. Collis podszedł doń, ze zwieszoną głową, a słońce piekło go w kark.

Siostra Agnieszka czekała już na niego przy bramie szpitalnej. Zobaczył ją z daleka, kiedy byli jeszcze na wzgórzu. Wózek wtoczył się na dziedziniec, a ona podbiegła bliżej; złapała za mosiężną poręcz oparcia.

– Proszę szybciotko iść za mną – powiedziała.

– O co chodzi? – zapytał. – Czy coś z Hanną?

W odpowiedzi kiwnęła tylko głową i szeleszcząc powiewającym na wietrze habitem, poprowadziła go do szpitala. Collis ześlizgnął się z wózka i poszedł za nią przez szerokie dębowe drzwi, przez korytarz i kamienną, nagą posadzkę poczekalni, na oddział Ogrójca. Nie miał wątpliwości, że Hanna umarła.

Był tego absolutnie pewien. Kiedy pojechał załatwić bilet, Pan Bóg i Najświętsza Dziewica zabrali mu ją bezpowrotnie. Zwrócił się w stronę drzwi i prawie że zderzył się z ojcem Ksawerym, który właśnie przyszedł, się z nim zobaczyć.

Collis objął wzrokiem całą salę. Wokół łóżka Hanny nie było już gazowej zasłonki. Trzy zakonnice uwijały się z prześcieradłami i powłoczkami na poduszki, a siostra Agnieszka szła pospiesznie w ich kierunku, ponaglając je po hiszpańsku, żeby robiły to prędzej, prędzej.

Potem odwróciła się i kiwnęła na Collisa. Właśnie wtedy, w tym momencie, Collis zrozumiał, że Hanna była tam nadal. Siedziała teraz na łóżku, podparta poduszkami, nie tylko żywa, ale i przytomna. Oczywiście, była nadal bardzo blada, a oczy jej zdawały się przymglone z wyczerpania, ale była świadoma i nawet się uśmiechała.

Collis przemierzył całą salę i zdawało mu się, że nie ma jej końca. Wreszcie stanął przy łóżku Hanny, podczas gdy zakonnice, młode dziewczątka z Reims, o pyzatyh buźkach, zgromadziły się wokół nich i przyglądały mu się dobrodusznie, pękając z dumy.

– Gorączka ustąpiła – wyjaśniła siostra Agnieszka. – Nie spodziewaliśmy się tego, ale wygląda na to, że najgorsze już minęło. Infekcja już nie wróci. Wygląda na to, że Mrs West przeżyła tę chorobę, Bogu niech będą dzięki.

Ani Collis, ani Hanna nie mogli początkowo wydobyć z siebie głosu. Collis wziął ją za rękę, chudą i kościstą po pięciu dniach wycieńczającej choroby, i trzymał ją w swoich dłoniach, jakby to był najcenniejszy skarb, jaki kiedykolwiek posiadał. Siostra Agnieszka, która krzątała się dotąd ochoczo, nagle odwróciła się i wyjęła z białego habitu chusteczkę, a trzy młodziutkie zakonnice z Reims, które w ciągu najbliższych kilku miesięcy czekała niechybna śmierć, roniły łzy radości, wcale nie starając się tego ukryć.

– Haniu – wyszeptał Collis głosem ochryplym ze wzruszenia. – Haniu. Tak bardzo się o to modliłem.

Uśmiechnęła się do niego i prawie niedosłyszalnie wyszeptała: – Dziękuję ci za to, najdroższy. Collis spojrział na siostrę Agnieszkę.

– Kiedy to się stało? – zapytał. – Czy to naprawdę już po wszystkim?

Siostra Agnieszka kiwnęła głową przez łzy.

– Dziś rano, o świcie, przeszła najgorszy kryzys. Siostra Rozalia siedziała przy niej od trzeciej do dziesiątej. Miała wysoką temperaturę, ale przestała pluć krwią i kiedy pana jeszcze nie było, gorączka zaczęła opadać. Nie wiemy, jak to się stało ani dlaczego. Czasem, bardzo, bardzo rzadko tak się dzieje. Ale na pewno przezwyciężyła gorączkę i jeżeli będzie na siebie uważać, to powinna szybko wrócić do zdrowia.

Zatrzymała się, a potem dodała: – Jest jedną z niewielu, których Bóg oszczędził, aby służyli mu dłużej tu, na ziemi. Tak się cieszę.

– Jak długo jeszcze będzie musiała tu zostać – zapytał Collis.

– Prawdopodobnie z tydzień lub dwa. Musimy pomóc jej nabrać sił, jeśli nie chcemy, żeby poddała się znowu gorączce.

– To cud. Po prostu sam nie mogę uwierzyć własnym oczom.

– Czy chce pan tu przy niej trochę zostać? – zapytała siostra Agnieszka. – O, tutaj jest krzesło. Może pan porozmawiać przez parę minut. Ale proszę nie przemęczać zbytnio Mrs West.

– Siostró Agnieszko – rzekł Collis.

Zakonnica wykonała półobrót, ale nie spojrzała mu prosto w oczy.

– Chcę tylko podziękować, siostró Agnieszko – powiedział Collis, starając się wyrazić to wszystko, co do niej czuł, w kilku prostych słowach. Wiedział, że winien jest jej o wiele więcej, ale nic innego nie był jej w stanie ofiarować. Zresztą, cokolwiek by powiedział, ona miała swój własny, wewnętrzny głos, który był dużo bardziej przekonujący niż jego słowa, choćby z głębi serca płynące. Stała tam przez chwilę, wciąż unikając jego spojrzenia, a potem skinęła leciutko głową na znak, że usłyszała. Wreszcie odwróciła się i odeszła, posuwając się między rzędami łóżek, a potem zniknęła mu z oczu za drzwiami.

Collis usiadł przy łóżku Hanny. Szukał słów, aby wyrazić to, co czuł. Wyglądała, jakby postarzała się w ciągu tych pięciu dni o piętnaście lat, a jej profil był wycięty tak ostro, jakby wyrzeźbiony został z białego alabastru. Skóra na jej policzkach zdawała się niemal przezroczysta, a jej złote włosy wydawały się poszarzałe, suche i równie srebrzyste jak światło księżycowe; może ubocznym skutkiem choroby był zanik pigmentu.

– Nie wierzyłem wcale, że coś takiego może się stać – rzekł Collis. – Zmówiłem za ciebie modlitwę w katedrze, w drodze powrotnej. To chyba jakieś czary.

Hanna zwróciła się w jego kierunku. Jej uśmiech był nikły, ale ciepły. Wyciągnęła ku niemu rękę, a on ujął je w swoje dłonie i przycisnął do nich wargi.

– Bóg to żadne czary – wyszeptła. – Musiał mieć jakiś cel, skoro zechciał mnie oszczędzić. Może uznał, że powinnam zaznać z tobą prawdziwego szczęścia tu, na ziemi.

– Nie wiem, jaki był Jego cel. I prawdę powiedziawszy, wszystko mi jedno. Ale jestem niewypowiedzianie szczęśliwy, że oszczędził mi siebie.

Przez jakiś czas trwali w milczeniu, a potem Hanna powiedziała: – Posłuchaj, musisz mnie tu zostawić. Jedź do San Francisco. Siostra Agnieszka mówiła mi, że „Kalifornia” jest już tutaj i że pojechałeś, żeby wykupić miejscówkę.

– Ale to było, zanim się dowiedziałem, że wyzdrowiejesz – powiedział Collis. – Na Boga, Haniu, to było wtedy, kiedy sądziłem, że przed niedzielą będę na twoim pogrzebie.

– Wiem, wiem. Ale to nic nie zmienia. Musisz jechać.

– Ani mi się śni – powiedział Collis. – Chcę tu zostać, dopóki nie wrócisz do zdrowia.

Odtąd nigdy cię już nie opuszczę.

Pokręciła głową z wysiłkiem.

– Collis, zrozum, musisz jechać. Muszę przemyśleć jeszcze wiele spraw, zanim zdecydujemy się na wspólne życie.

– Co znowu musisz przemyśleć? Kochasz mnie czy nie? Uśmiechnęła się.

– Wydaje mi się, że tak.

– No to nie myśl już o niczym innym.

– Collis, to niemożliwe – powiedziała. – Jest jeszcze wiele nie rozwiązanych problemów. Nie mogę tak po prostu zjawić się w San Francisco i oznajmić Walterowi, że znalazłam sobie kogoś innego. Muszę go jakoś do tego przygotować. Muszę to zrobić delikatnie.

– Haniu, tak czy tak, jego uczucia zostaną zranione. Nie ma po co bawić się w czułe słówka.

– Nie masz racji. Walter jest moim mężem i zawsze wysyłał mi pieniądze na utrzymanie, odkąd tylko założył swój sklep. Zawsze o mnie dbał, na swój sposób. Musiałabym być bez serca, zupełnie bez żadnej wrażliwości, żeby go tak nagle, bez uprzedzenia, opuścić. To nie po chrześcijańsku.

– Nie po chrześcijańsku? A co chrześcijaństwo ma w ogóle z tym wspólnego?

– Uczucia chrześcijańskie są zawsze ważne, Collis. Przecież sam modliłeś się dzisiaj za mnie, nie zapominaj o tym. Jak trwoga, to do Boga, a potem wszystko ma iść w niepamięć?

Tak nie można.

– Nie miałem na myśli świętokradztwa ani nic takiego – rzekł Collis. – Po prostu myślę, że uczciwiej i prawdopodobnie nawet mniej boleśnie byłoby przedstawić Walterowi całą sprawę jasno i bez ogródek już na wstępie.

– Być może – powiedziała. Przez długą chwilę nie odzywała się, przelatykując ślinę i łapiąc oddech.
– Ale muszę mieć czas na przemyślenie wszystkiego i czas na wyzdrowienie.

– Mógłbym tu przecież zostać, nie przeszkadzając ci wcale.

– Sam dobrze wiesz, że to niemożliwe. A poza tym jestem pewna, że nie mógłbyś nawet pozwolić sobie na dłuższy pobyt w Panamie. Nie stać się na to finansowo. Jeśli będziesz bez przerwy unieważniał bilety, biuro podróży każe ci wreszcie dopłacić do normalnej ceny. No, a poza tym, co będzie z tym robieniem majątku w San Francisco? A? Im wcześniej zaczniesz, tym lepiej.

– Po prostu nie chcesz, żebym się tu pałętał, widzę to dobrze. Czy tak postępują dobrze wychowane kobiety: „Żegnaj i więcej się nie zobaczymy”, tak?

– Nie, nie – wyszeptwała. – To nie to. Ale musisz dać mi szansę, żebym stanęła na nogi.

Zeszłej nocy o mało nie umarłam. Byłam o krok od śmierci. Czułam, że jeśli okażę choćby cień słabości, jeśli się poddam, to wciągną mnie w swoje czeluści straszne ciemności i będzie po mnie. Stanęłam twarzą w twarz z własnym ja, Collis, zrozumiałam, kim jestem, jakby ktoś postawił przede mną zwierciadło, w którym odbijała się nie tylko moja sylwetka, ale i moja dusza. Przeraziło mnie to. Zdawało mi się, że już umarłam. I kiedy przyszłam do siebie dziś po południu, kiedy cię tu nie było, przez chwilę zdawało mi się, że jestem już w niebie, że ziemia umyka mi spod stóp.

Collis wpatrywał się w nią przez jakiś czas w milczeniu. Zrozumiał, co starała się mu powiedzieć. Chciała czuć się pewniejsza siebie i zdać sobie jasno sprawę z tego, czego oczekuje od życia, zanim zdecyduje się podjąć ostateczną decyzję, co do Waltera. Chciała też wiedzieć jeszcze coś innego. Chciała zobaczyć Waltera, aby być zupełnie pewną, że naprawdę już nic do niego nie czuje, aby przekonać się, że jego bokobrody są naprawdę tak odpychające, jak je pamięta, i że jest w istocie nudziarzem.

Gdyby nie miała okazji tego zrobić zaraz po przyjeździe do San Francisco, nie zaznałaby spokoju. Ucierpiałaby na tym jej miłość do Collisa. Ten brak stabilizacji irytowałby ją.

Wiedziała, że musi sama to jakoś przezwyciężyć. Dlatego właśnie chciała, aby Collis pojechał do San Francisco wcześniej, w pojedynkę. Ona popłynie późniejszym statkiem i to da jej szansę zobaczenia wreszcie tego sklepu na Montgomery Street. Wśród wstążek, koronek i zatrząsek będzie mogła przekonać się spokojnie, czy oprócz stałego dochodu, przyzwoitości i małżeńskiego obowiązku, zostało jeszcze coś z tego jej buntowniczego małżeństwa.

Collis odwrócił się na chwilę, zwróciwszy wzrok, ponad głowami chorych i umierających kobiet, w stronę popołudniowych promieni słońca.

– Nie umiem nazwać tego, co zrodziło się między nami, Haniu – rzekł w zadumie – ale cokolwiek to jest, nie chciałbym tego utracić.

– Ja też nie – rzekła Hanna. – Ale dasz mi trochę czasu, prawda?

Pokiwał głową.

– Dobrze.

Właśnie wtedy siostra Rozalia weszła na salę, kuśtykając, z bukietem kwiatów nazbieranych w szpitalnym ogrodzie.

– Mrs West – powiedziała głosem nie znoszącym sprzeciwu. – Musi się pani teraz przespać. Jest pani nadal chora, droga pani.

– Muszę już iść – powiedział Collis. – Zameczam cię.

– Nie, nie. Wcale nie. Jesteś cudowny. Nie ma drugiego takiego pod słońcem. Teraz wreszcie będę mogła przyjść ze sobą do ładu.

– Jeśli będziesz się jutro lepiej czuła, to jeszcze pogadamy – powiedział Collis i delikatnie uściśnął jej rękę. Zwrócił się do siostry Rozalii: – Czy mogę ją już teraz pocałować?

Siostra Rozalia zmarszczyła brwi.

– To zależy od pana, Mr Edmonds. Lekarze nie mieliby nic przeciwko temu, ale co na to Bóg Wszechmogący, tego nie jestem pewna.

Collis nachylił się nad Hanną i złożył na jej ustach delikatny pocałunek.

– No, jeśli lekarze nie zabraniają, to może i Bóg Wszechmogący mi jakoś odpuści. Pójdę na ryzyko – a niech tam!

Potem opuścił salę i wszedł do ogrodu. Stał z rękami na biodrach pijany ze szczęścia, nie mogąc złapać tchu, jakby przybiegł tu od stacji na piechotę.

*

Zobaczył się z Hanną na krótko o szóstej rano, w poniedziałek, w towarzystwie siostry Rozalii i siostry Hildy. Było jeszcze nadal ciemno i sala tonęła w półmroku, a zakonnice krążyły po niej jak białe widma. Hanna była słaba i wyczerpana, ale siostra Rozalia zapewniła Collisa lakonicznie, że zjadła miskę kleiku i że stan jej zdrowia znacznie się poprawił.

– Zostawię adres na poczcie po przyjeździe do San Francisco – powiedział Collis cicho.

– W każdym razie, jeśli nie będę miał od ciebie żadnych wiadomości przez miesiąc, to zajdę do sklepu.

– Nie zawiodę cię – wyszeptała Hanna. – Przrzekam, że nie zawiedziesz się na mnie.

Collis pocałował ją w czoło, a potem podniósł się z krzesła. Wpatrywał się w nią przez jakiś czas, jakby robił jej w myślach zdjęcie, podziwiając przy tym ładny, nieco niesymetryczny rysunek jej twarzy. Wreszcie jednak odwrócił się i wyszedł z sali, stukając butami o wypastowaną podłogę, a potem przeszedł przez hol, gdzie czekały już na niego kuferek i walizka.

Kiedy opuszczał szpital oślim zaprzęgiem i oddalał się przez poryte koleinami ulice w pierwszym świetle dziennym, nie było nigdzie śladu siostry Agnieszki. Odwrócił się raz czy dwa, ale nie mógł ujrzeć jej twarzy w oknie. Niedługo potem wzięli ostry, spadzisty zakręt i szpital Serca Jezusowego zniknął im z oczu.

Bezzębny przewoźnik, w okropnie wystrzępionym słomkowym kapeluszu, przetransportował go na parowiec „Kalifornia”. Statek, z flagą Zjednoczenia powiewającą na rufie, stał zakotwiczony w szarej, porannej mgle. Na maszcie nie było żagli, a z komina buchały czarne kłęby dymu. Łódka Collisa, kołysząc się jak papierowa zabaweczka przy ocembrowaniu wanny z lanego żelaza, podpłynęła pod sam kadłub „Kalifornii”. Rzucono im linę, którą przewoźnik złapał energicznie w obie ręce.

Collis zapłacił dwadzieścia pięć centów za przewóz i wdrapał się po kołyszącej się drabince zwieszanej z czarnej, błyszczącej ściany statku. Wciągnięto na pokład jego bagaż i steward, z twarzą pomarszczoną jak stary zeschnięty włoski orzeszek, wskazał mu drogę w dół dwuosobowej kajuty. Choć „Kalifornia” miała może o tuzin więcej kajut niż „Virginia”, była i tak przepelniona; pełno tu było żigolaków i komiwojażerów oraz dam w poplamionych i wygniecionych sukniach, które wyraźnie miały już po dziurki w nosie podróży parowcami i kolejami.

Rozpakowując się i układając rzeczy na dole w kajucie, Collis posłyszał zgrzyt kotwicy.

Maszynaria parowa została wprawiona w ruch. Podszedł do bulaja i popatrzył raz jeszcze na Panamę porzrzucającą nieporządnie na zakrzywionym cypelku. W oddali, prawie na horyzoncie, dostrzegł dach szpitala Serca Jezusowego.

– Dobry Boże – wymamrotał do siebie.

Potem wrócił do swojej walizki i wyjął z niej nocną koszulę, szylkretowy grzebyk i zegarek podróżny.

5

Parowiec turbinowy „Kalifornia” przepłynął przez Złote Wrota* rankiem 21 września 1857 roku, w miesiąc i siedem dni od wyruszenia z przystani w Nowym Jorku. Spowita w srebrzystą mgłę zatoka robiła wrażenie nawiedzanej przez duchy, jak jezioro, przez które musieli przedzierać się umierający nordyccy bohaterowie, aby znaleźć się w Valholli*. Kiedy więc „Kalifornia” zawyła rozpaczliwie i, ni z tego, ni z owego, oczom pasażerów ukazały się rzędy butwiejących, porzuconych szalup wznoszących się i opadających na falach oceanu, rozkołysanych na kotwicach, dokładnie w tym miejscu, gdzie ich dawni właściciele pozostawili je lata, lata temu, Collis nie mógł oprzeć się wrażeniu, że oto dotarł na sam koniec świata – że wszystkie jego dotychczasowe marzenia i ambicje zostały pogrzebane na wieki.

Po raz pierwszy od czasu, gdy wykupił bilet w biurze Przedsiębiorstwa Transportu Morskiego w Nowym Jorku, ogarnęło go obce mu dotąd uczucie lęku – lęku przed nieznanym. Wiedział już od Andrew Hunta, że San Francisco nie było bynajmniej rajem na ziemi; że roilo się tu od złodziei, oszustów i spekulantów, ale spodziewał się, że przynajmniej zawita do słonecznej, ciepłej zatoki,

gdzie życzliwi mieszkańcy będą machać do nich chusteczkami, wznosząc powitalne okrzyki. Oczekiwał przynajmniej jakiejś rubasnej wesołości. Jakże się pomylił!

Spowita w perłowszary, upiorny całun „Kalifornia” przepływała ociężale obok skleconych naprędcie prowizorycznych magazynów, starych ruder i walących się falochronów, choć w samym porcie, na nadbrzeżu, panowała niesamowita wrzawa; pracownicy portowi, tragarze i jacyś mężczyźni walący w skrzynie pakunkowe młotami i podbijakami, zdawali się wykonywać swoje codzienne obowiązki z dziką pasją, zupełnie nieporuszeni przybyciem kolejnego transportowca.

W końcu, gwizdząc przeciągle u kresu swojej podróży, „Kalifornia” zwolniła, zawróciła i podpłynęła bokiem do Przystani Broadwayowskiej, u stóp Telegraph Hill. Maszyneria parowca zwolniła obroty i statek przybił do brzegu tak blisko, że jego kadłub uderzył o drewniane pale nadbrzeża.

Collis stał wyprostowany i wpatrywał się przez mgłę w pociemniałe wzgórza San Francisco, które rozciągały się przed nim, upstrzone chatami, budami i namiotami; mgła zgęstniała jeszcze od dymów z rozlicznych ognisk i palenisk, przy których właśnie przyrządzano poranną strawę. W części, która mogła być dzielnicą śródmiejską, zauważył kompleks bardziej zadbanej, murowanych rezydencji oraz ceglaste banki i hotele. Ale dla przybysza z Nowego Jorku, który przyzwyczajony był do eleganckich omnibusów i prywatnych kabrioletów toczących się w ścisłości po wysadzanych drzewami alejach, wśród cienistych ogrodów, i do ulic zabudowanych solidnymi domami z piaskowca, San Francisco wyglądało jak dekoracyjne śmietnisko, jak na łapu-capu pozbierana kolekcja złomu, belek z odrzutu i brezentowych płacht, wśród których, miotając się w szale na zaprzężonych w woły furmankach albo pieszo i wrzeszcząc wniebogłose, uwijali się ludziska o zawziętej, dzikiej niezłomności, przyodziani w najskromniejszą zbieraninę kapeluszy, jaką Collis kiedykolwiek miał okazję widzieć.

Na zachód, w kierunku Presidio, wzgórza zdawały się ładnie zalesione, ale spoza dymu, mgły i ruder Collis nie mógł dojrzeć nic oprócz łysych piaszczystych wierzchołków i karłowatych drzewek na zboczach.

W dole, w samym porcie, panował potworny harmider: sprzedawcy, dokerzy i agenci hotelowi – całe tłumy handlarzy wszelkiego pokroju i autoramentu – przekrzykiwali się nawzajem, a huk młotów i wycie syren były wręcz ogłuszające. Collis nie oczekiwał powitania godnego bohatera. W końcu ci mieszkańcy San Francisco, którzy nie przepawali się tu z mozołem przez góry i doliny Ameryki, konno albo z taborem wozów, odbyli tę samą 5450-milową podróż i przepłynęli przez Cieśninę Panamską dokładnie tak, jak i on sam. Ale sądził, że choćby jeden braterski uścisk dłoni i jakaś skromna, przyjacielska zachęta dla pokrzepienia serc byłyby bardziej na miejscu niż ten obojętny, samolubny rwetes. Wydawało mu się, że przybycie parowca miało taki sam efekt, jak włożenie kija w mrowisko – oto cała ludność San Francisco, niczym kolonia termitów, zebrała się na przystani, gotowa przewrócić statek do góry dnem, jak tylko spuszczone zostanie pomost, i splądrować wszystko, co nie było mocno przymocowane do pokładu.

Pomny na przestrogi Andrew Hunta, przepchnął się łokciami do przodu poprzez tłum pasażerów stojących rzędkiem przy balustradzie i odnalazł swój kuferek. Stał przy nim i nawet kiedy korpulentny sprzedawca dachówek cofając się, nadepnął mu na nogę, Collis nie ruszył się z miejsca, nie spuszczać oka ze swojej własności.

W końcu, z wielkim hukiem pomost został zrzucony na nadbrzeże i zanim jeszcze którykolwiek z pasażerów zdążył postawić na nim nogę, czereda rozgorączkowanych mężczyzn w płaskich

beretach, kraciastych marynarkach i obwisłych frakach wdarła się na pokład parowca, wyklócając się, rozpychając łokciami i nagabując każdego pasażera z osobna, czy ma on może jakiś towar, który chciałby od razu upłynnić: wyroby włókiennicze, pasmanteryjne, perfumy, narzędzia wiertnicze albo wódki. Każdy z tych natrętów miał przy sobie malutką sakiewkę z błyszczącymi, migotliwymi opiłkami złota; każdy powiewał nią ostentacyjnie przed nosem zaskoczonych pasażerów albo wysypywał jej zawartość na otwartą dłoń, aby skusić nieostrożnych naiwniaków do szybkiej sprzedaży. Większość nowicjuszy nie miała jeszcze czasu przekonać się, że skrzynia fasoli miała tu większą wartość niż złoto i że damy z South Parku i prostytutki ze śródmieścia płaciły za artykuły luksusowe, takie jak mydło czy perfumy, bajońskie sumy.

Ciągnąc za sobą kufer i torując sobie drogę łokciami poprzez nieprzebrane tłumy, Collis dotarł wreszcie na ląd i znalazł się na przystani wśród ciekawskich gapiów, brodatych marynarzy, Chińczyków w obwisłych sombreroach i całej rzeszy tutejszych osiedleńców – zarośniętych, brodatych i wąsatych facetów o przepalonej cerze, przyodzianych w czerwone, wypłowiałe flanelowe koszuliny, bryczesy zwisające z pośladków jak puste worki, w kapeluszach nasadzonych na same oczy i płynącym z ust nieprzerwanym potokiem przekleństw. Nędzne dzielnice San Francisco miały ich pod dostatkiem – wszyscy podobni do siebie jak dzieci jednego ojca. Później Collis stykał się z takimi ludźmi raz po raz: w każdym szynku, przy każdej baryłce piwa, w każdym burdelu albo czekając w kolejce na pocztę na list, który prawie nigdy nie przychodził. Należeli oni do tego typu pionierów, którym się nie powiodło: typ przegranego gościa, który spóźnił się o dwa lata i przybył na poszukiwanie złota w roku 1851, sklepikarz, który przepuścił w karty cały swój dobytek.

Przysadzisty Meksykanin w sombrero z frędzelkami i brudnej koszuli prowadził przez tłum obwisłego konia i mały wózek, zaczepiając każdego, kto wyglądał na nowo przybyłego.

W końcu zbliżył się do Collisa i zapytał: – Hotel, senor? Ja weźmiem pana kuferek.

– Jeszcze nie teraz – odparł Collis. – Posłuchaj, czy znasz faceta o nazwisku Hunt?

Andrew Hunt? Ma sklep spożywczy.

Meksykanin wytarł nos rękawem, pociągnął nosem i zamyślił się.

– Znam sefiora Munta – rzekł wreszcie. – Ma stadninę koni. To nie ten?

– Nie, nie; mnie chodzi o Hunta, nie o Munta. Stojący w pobliżu mężczyzna, o sumiastych wąsiskach, w czarnym garniturze, który wisiał na nim niczym pusty worek po kartoflach, wtrącił swoje trzy grosze: – Ja znam jednego Hunta. Tłusty jegomość, co się jąka. Ma sklep na Kearny przy targowisku.

– To nie ten – rzekł Collis.

Człowiek w workowatym, czarnym garniturze wyglądał na obrażonego.

– Jak to nie ten? Chodzi o Hunta, no nie? Przeklęte włóczęgi ze Wschodu.

Odszedł na sztywnych nogach, gderając pod nosem. Meksykanin też się oddalił, ciągnąc za sobą wózek i konia. Nagabywał każdego napotkanego pasażera, aż Collis zauważył, że przyczepił się do Pearsonów, rodziny z Nowej Anglii o ziemistych, niezdrowych cerach, z którymi Collis zamienił

parę słów na statku. Po krótkich pertraktacjach Meksykanin zaczął ładować bagaż Pearsonów na swój wózek. Collis usłyszał, jak przyrzeka, że będzie na nich czekał pod hotelem Yerba. Osobiście Collis nie ręczyłby własną głową za szansę Pearsonów, że po przyjeździe rzeczywiście znajdą tam swój bagaż.

Przepchnął się w stronę ojca rodziny, który niegdyś był nauczycielem i dalej nosił okulary w metalowej oprawce oraz szare garnitury, na których znać już było ząb czasu, i rzekł: – Na pana miejscu, Mr Pearson, pojechałbym z nim razem, chyba że chce się pan za zawsze pożegnać ze swoim bagażem.

Mrs Pearson, w szarym czepeczku, i z nosem równie wydatnym jak dziób pelikana, zamrugła oczami.

– Naprawdę tak pan myśli?

Collis pokiwał głową.

– Jestem o tym głęboko przekonany. Oni tu w ten sposób zarabiają na życie, żerując na ludziach takich jak państwo.

– Poczekaj no chwilę! – zawołał Mr Pearson do woźnicy.

Meksykanin wdrapał się już właśnie na szmacianego kozła w przedzie wózka. Pomachał do nich ręką na uspokojenie.

– Niech pan się nie obawia, senior. Ja zabierze siem w oka mgnieniu pod hotel Yerba. Pan siem nic nie przejmuje.

Collis przepchnął się na przód wózka i przytrzymał konia za uzdę.

– Nigdzie nie pojedziesz, słyszysz? Chyba, że ten pan pojedzie razem z tobą.

Meksykanin spojrzał na niego podejrzliwie.

– A pana co do tego, senior?

– Mnie nic do tego – odparł Collis. – Ale nie ruszysz się z tego miejsca, chyba że ten pan pojedzie z tobą i na tym koniec.

Meksykanin szarpnął za zmierzwionego wąsa.

– Mój koń, ona za słaby – powiedział. – Pan rozumie? Za słaby na bagaż i mnie, i na ten pan.

– Nie wygląda mi na takiego znowu zdechlaka – odparł Collis. – Ale tak czy tak, jak się martwisz o tego konia, to prowadź go, idąc piechotą, a ten pan niech wsiądzie na wózek.

– To siem nie robi – rzekł nieprzejednany Meksykanin.

– A czemu nie, może mi będziesz łaskaw wyjaśnić?

– Nie muszem nic wyjaśniać. Spływaj, ty.

Collis ściągnął wodze jeszcze mocniej. Koń przestraszył się w pierwszej chwili, ale Meksykanin musiał poczekać, aż Collis zdecyduje się wypuścić lejce z dłoni.

– Łapy z dala od mój koń – zażądał Meksykanin.

Collis potrząsnął głową.

– Jak pozwolisz temu panu pojechać razem z tobą, to puszcze. Ale nie wcześniej.

– Nigdy tego nie robiem. Nik ze mnom nie jeździ.

– No to rozładuj bagaż z tego starego grata, i to już, bo inaczej dam ci w mordę.

Meksykanin odczekał przez moment w napięciu, zagryzając wargi. A tłum ciekawskich zgromadził się już wokół nich, przyglądając się Collisowi i woźnicy z wielkim rozbawieniem.

Potem, bez ostrzeżenia, Meksykanin ryknął: „Wio, hetta! Wio, wio” i trzasnął z bata po plecach konia.

Collis był na to przygotowany. Pociągnął za lejce jeszcze silniej, a koń parsknął i stracił równowagę na deskach nadbrzeża. Tłumek zaczął się już właśnie rozchodzić, kiedy wózek wywrócił się nagle z wielkim hukiem, a bagaże Pearsonów rozsypały się po szosie.

Meksykanin starał się uskoczyć w bezpieczne miejsce, ale kolano utkwilo mu pomiędzy szprychami wywracającego się wózka i przewrócił się na plecy. Tłumek gapiów zawył radośnie z podniecenia. W to im graj, że doszło do mordobicia – nieważne kto komu lepiej przyłoży.

Pearsonowie, wzburzeni, z policzkami czerwonymi z zażenowania, pozbierali swoje kufry i walizy. Meksykanin podniósł się na nogi, kuśtykając, podskakując i zaklinając się na imiona świętej Katarzyny i świętej Teresy, i na tuzin innych świętych. A każdemu przekleństwu towarzyszyły gesty z pogroźkami w stronę Collisa; trzymał się jednak z dala od niego, wyprzegając swojego kucyka i pomagając mu stanąć niezdarnie na nogi; potem podniósł wózek przy akompaniamencie wrzasków rozentuzjasmowanej, rozhukanej gawiedzi.

Mr Pearson podszedł do Collisa i uściskał mu dłoń.

– To, co pan dla nas zrobił, wymagało wielkiej odwagi – powiedział. – O mało nie daliśmy się nabić w butelkę. Kiedy już się urządzimy, proszę przyjść do nas w niedzielę na obiad. Proszę zostawić adres na poczcie, a my się z panem skontaktujemy.

Collis otrzepał rękawy surduta. Jakiś wyrostek z tłumu gapiów podał mu kapelusz.

– To nic wielkiego. Nie ma sprawy. Ale mówiono mi, że trzeba tu bardzo uważać. Na każdym kroku. Prawie wszystkiego tu brakuje, oprócz złota, więc za rzeczy codziennego użytku płaci się bajońskie sumy.

Mrs Pearson, z twarzą zakrytą kapeluszem, spod którego wystawał tylko jej wydatny nos, załamała rękę i wykrzyknęła: – To nie do uwierzenia! To po prostu nie do uwierzenia!

Collis ujął jej dłoń w zmiętej rękawiczce, podniósł ją do ust, a potem obdarzył Mrs Pearson uśmiechem.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział.

Mrs Pearson zarumieniła się, bąknęła coś szybko, zażenowana, a potem wróciła do swoich dwu niepowabnych córek w kucykach, które stały, obserwując całe zajście bez najmniejszego zainteresowania.

Przepchnął się znowu przez tłum, w stronę miejsca, gdzie zostawił swój kufer.

Początkowo nie mógł go znaleźć i przez jedną straszną chwilę pomyślał, że podwędził go z przystani Broadway Wharf jakiś miejscowy opryszek. Ale pryszczaty wyrostek z fajką w zębach powiedział: – Tam je pana bagaż, panoczku – i wskazał skinieniem głowy na zieloną ścianę drewnianego budynku, który stał przy molo, i gdzie mieściło się biuro podróży.

Collis przepchnął się w stronę budynku i rzeczywiście, nie ma co, był tam jego kufer i walizka, choć na kufrze siedział z nogą założoną na nogę i kapeluszem nasuniętym na oczy niski jegomość z wydatnym brzuszkiem, w krzykliwym, kraciastym garniturze w rudozielonym kolorze i jaskrawożółtej kamizelce. Miał wydęte, baniaste policzki, przypieczone jak kurczaki z różną, rude wąsiska i bulwowaty, przetłuszczony nos. Kiedy Collis zbliżał się do niego, zdjął z głowy kapelusz i pomachał nim w jego stronę, ale nie zadał sobie trudu, żeby powstać.

– Dzień dobry – powiedział.

– Dzień dobry – odparł Collis. – Dziękuję, że zechciał pan rzucić okiem na mój bagaż w czasie mojej nieobecności.

– Okiem? Jakim okiem? Dupskiem go przytrzymałem, do jasnej ciasnej – zaśmiał się grubas. – Sprzed oczu można wszystko świsnąć, no nie?

– No tak, rzeczywiście – przyznał Collis nieco zakłopotany. – Chyba ma pan rację.

Facet wyciągnął krótką łapę i uścisnęli sobie dłonie na przywitanie.

– Słyszałem, jak żeś się pan dopytywał na przystani Andy Hunta – powiedział. – Nazywam się Charles Tucker. Mam sklep w Sacramento. Andy Hunt to mój dobry kumpel.

Jestem tu dziś, żeby kupić artykuły żywnościowe i gospodarskie. Muszę przyznać, że masz pan styl. Podobasz mi się.

– Nazywam się Collis Edmonds. Jestem z Nowego Jorku – rzekł Collis.

– Tak, Andy mówił mi o panu. Mówił, że został pan z jakąś panią, która złapała żółtą febrę. No i co? Już po niej?

– Nie, nie, całkiem wyzdrowiała – odrzekł spieszenie Collis. – Pewnie nie był to taki znowu ciężki atak. I ja też się jakoś uchroniłem od zarazy.

– Sam to widzę – rzekł Charles Tucker, wciskając znów swój kowbojski kapelusz na głowę.

Nagle popatrzył gdzieś ponad ramieniem Collisa i wrzasnął wysokim, zgrzytliwym głosem: – Wang–Pu! A zgarnij no tam te wszystkie tekstylia, co je mają na pokładzie. Żadnych bo, żadnych ale! Cały ten kram, do pioruna.

Collis odwrócił się i rozejrzał wokoło; wprawdzie w ciżbie ludzi na przystani nie było widać nikogo, do kogo Charles Tucker mógłby się tak wydzierać, ale jego głos był tak donośny, że Wang–Pu „mógłby go usłyszeć choćby i z ładowni pod pokładem „Kalifornii”.

– Wygląda pan na dżentelmena – zauważył, odwracając się znowu do Collisa, jak gdyby nigdy nic.
– A kapitalik jaki pan masz?

– Niestety, nic a nic. Mój wygląd to wszystko, czym mogę się poszczycić. Bank ojca splajtował w zeszłym miesiącu, a ja sam miałem trochę długów honorowych. Nie mówiąc już o bardzo przykrych sprawie z pewną panią o bardzo złej reputacji.

– A tam! Tym się pan nie przejmuj – rzekł Charles Tucker. – Zapomnij pan o tym. Nie ma tu jednej żywej duszy, w całej tej mieścinie, która by nie zostawiła za sobą cuchnącej kupki gnoju na Wschodzie. Co się liczy, to to, że jesteś pan dżentelmenem. To pańska mocna karta; graj nią pan, a dobrze na tym wyjdiesz.

– To mniej więcej esencja tego, o czym Andrew mówił na statku – przyznał Collis.

– I dobrze gadał – rzekł Charles. – Palisz pan? Cygaro? Właśnie myślę, co by pan mógł teraz zrobić, jakby pan tu mógł zastartować. Hazardzik, mówisz pan? Hazardzista z pana?

Karciarz?

– Nie stronie od tego, wyznać muszę – przyznał Collis.

– Ile pan masz dokładnie przy sobie?

Collis nigdy się jeszcze przedtem nie spotkał z takim bezceremonialnym sposobem bycia.

Zawahał się, prawie zająkał, a potem rzekł: – Eeee... około stu pięćdziesięciu dolarów. Może parę centów mniej. A bo co?

– Będziesz pan musiał mieć forszę na stawki, o to chodzi. Sto pięćdziesiąt ujdzie od biedy na początek, ale jeśli będziesz pan musiał pożyczyć, to chętnie służę pomocą. Podoba mi się pański styl, rozumiesz pan. Prawdziwy z pana dżentelmen. Nie mamy ich tutaj tak wielu, w San Francisco. Są tacy, co chcą uchodzić za dżentelmenów, jak ci z Towarzystwa Pionierów Kalifornijskich, czyli wszyscy, którzy przybyli tu przed 1 stycznia 1848 roku. A ludziskom ze Wschodu to taki jeden z drugim wcale by się nie wydał dżentelmenem. Jakby nie było, warto mieć jednak między nimi paru przyjaciół, a ja mogę pana przedstawić tu i tam.

– To bardzo wspaniałomyślnie z pana strony – rzekł Collis.

– Żadna tam wspaniałomyślność – odparł Charles. Wyciągnął swoją zniszczoną, skromną cygarniczkę, poczęstował Collisa cygarem, odgryzł koniuszek swojego cygara i wypluł go na

nadbrzeże. Znalazł zapalki i zapalił. – Powiem panu, dlaczego to nie żadna wspaniałomyślność, bo ja chcę coś od pana w zamian. Jak się pan tu już urządzisz, to chciałbym, żebyś pracował dla mnie. Podoba mi się pański styl. Dodasz pan mojemu biznesowi trochę klasy. I nieugięty z pana chłop, to się od razu rzuca w oczy.

Collis dokładał wszelkich starań, żeby powstrzymać nagły atak kaszlu. Cygara Charlesa Tuckera były potwornie mocne, a poza tym od kolacji poprzedniego wieczora nie miał nic w ustach; a i to były tylko resztki posiłku z końca podróży: siekanka z wołowiny i kartofle. Zdał sobie też nagle sprawę z tego, że jest wykończony.

– Czy zna pan jakieś niedrogie miejsce, gdzie mógłbym się zatrzymać? – zapytał Collis Charlesa. – Porządna kąpiel i parę godzin snu dobrze by mi zrobiły.

– Ma się rozumieć. Właśnie do tego zmierzałem – rzekł Charles.

Zeskoczył z kufra Collisa, przygładził rogi kamizelki i stanął obok niego, prawie sześć cali niższy od Collisa, ale dziarski i prosty w plecach; widać było, że gdyby przyszło co do czego, dałby jeszcze w pysk temu i owemu, i że nie da sobie w kaszę dmuchać – co to, to nie.

– Możesz się pan zatrzymać tam, gdzie ja się zwykle zatrzymuję, jak jestem w mieście – powiedział. – To porządny hotelik; przyjaźnię się z właścicielką. Tak prawdę mówiąc, to taki burdelik na Dupont Street, ale mają tam pięć czy sześć pokoi, które bez ujmy na honorze może zająć wizytujący dżentelmen; a oprócz kasyna mają najładniejsze panienki w całym mieście. Moja żona myśli, że zatrzymuję się w Rasselte House. To taki szanujący się hotel, bardzo porządny jak na San Francisco, ale jak upieką tam panu placka, to będzie twardy jak podeszwa, a ich pokojówki są równie wstrętne jak parowce turbinowe. Lepiej niech pan się zatrzyma u Janki Zadupczanki; długoletnie doświadczenie przemawia przeze mnie, proszę pana.

– Janki Zadupczanki? – zapytał Collis ze zdziwieniem.

– Nie pożałujesz pan – Charles wyszczerzył w uśmiechu zębiska. – Poczekaj pan chwilę, niech no gwizdnę na mego woźnicę. Bili! Podjedź no tutaj, dobra? Aha, no właśnie.

Janka Zadupczanka to bardzo wyjątkowa osoba. Spodobasz się jej pan, ręczę za to. Lubi ludzi z klasą. Nazywają ją Zadupczanka, bo był tu kiedyś pożar i straż pożarna, która przyjechała, to był Piąty Oddział Ochotniczy Zagacie. Janka wynagrodziła każdego z tych strażaków osobiście, pojmujesz pan; nie muszę chyba tłumaczyć w jaki sposób? O, chodź pan już; to właśnie mój powóz.

Przeciskając się powoli przez tłum na przystani, podjechała ku nim podniszczona bryczka powożona przez Murzyna w przekreconym na bakier meloniku. Murzyn zszedł, przywiązał cugle, podniósł kufer Collisa jakby to było lekkie piórko, i wrzucił go na tylne siedzenie.

Potem skłonił się, uśmiechnął przesadnie, otworzył drzwi przed Collisem i pomógł mu wejść do środka.

– To jest Billy – rzekł Charles w ramach wyjaśnienia. – Billy zawiezie pana do Janki Zadupczanki. Powiedz jej pan, że Charlie Tucker cię przysyła i że chciałby pan wynająć pokój na cały tydzień. Przegryź pan coś i wyśpij się porządnie, a ja przyjadę z Andy Hunttem około siódmej, a potem wstąpimy na kolację do hotelu International.

Do Janki Zadupczanki nie było wcale tak daleko, ale na ulicach panował taki tłok i hałas, że zanim Billy zdołał przebrnąć, rozpychając się, do skrzyżowania ulic Dupont i Pine, upłynęło prawie dwadzieścia minut. Siedząc na popękany od słońca skórzany siedzeniu bryczki, Collis nie mógł się nadziwić dobiegającym zewsząd burzliwym wybuchom śmiechu, dźwiękom muzyki i całej tej hałaśliwej krzątaninie. Cała ludność San Francisco zdawała się wiecznie gonić za czymś, biegnąc w tę i we w tę, bez ładu i składu, od rana do nocy, zatrzymując się tylko na posiłki lub łyceczki piwa.

Najpierw, kiedy przeprawiali się przez Broadway, wyjeżdżając z przystani i przedzierając się przez dzielnicę, która – jak się później dowiedział – nazywała się Sydney Town, Collis obawiał się, że San Francisco może okazać się bardziej prymitywne, niż to sobie przedtem wyobrażał. Zabudowa w tej części miasta składała się z prostych chałup albo wręcz pozostawionych na brzegu i opuszczonych przez dawnych właścicieli szalup, które zupełnie bezsensownie przerobione zostały na pakamery i hotele. Co drugie prawie drzwi reklamowały się jako knajpy, a drewniane szyldy głośiły: „Piwo warzone” albo „Piwo słodowe”, a wewnątrz męska klientela, w podtrzymywanych na szelkach drelichach, siedziała, podpierając się łokciami, nie racząc nawet zdjąć czapek z głów. Dzień schodził im na zażartych kłótniach, burdach, wyzwiskach i szturchańcach. Wprawdzie wzdłuż ulic ułożono chodniki z desek, ale prawie nie było ich widać, bo albo zatłoczone były tłumami przechodniów, albo zatarasowane wzniesionymi na chybił trafił namiotami lub przybudówkami, w których przez półtorej godziny można było przepuścić w karty sześć miesięcy pracowitego dorobku, jaki człowiek uciulał sobie przy płukaniu złotonośnego piasku. Można też tam było przystrzyc się u włoskiego, cyrulika, a potem przylizać i namaścić czuprynę brylantyną Taylora, a nawet wyrwać zęba.

W innych budynkach, obok szynków, mieściły się sale taneczne, stołówki, rozwalające się pensjonaty, urzędy handlowe albo pokątne kasyna. Na ulicach roiło się od dokerów i marynarzy, a Chińczycy nosili tobołki bielizny do prania i ogromniaste pudła; zewsząd dobiegały dźwięki gitary oraz miarowe kroki stąpających po chodnikach mężczyzn w ciężkich, roboczych buciskach. Kopacze i wiertacze złota oraz przypadkowi hazardziści w zakurzonych surdutach, o czerwonych karkach, prażyli się w słońcu, popijając whisky i ciskając karty na stojące pionowo beczki. A ponad tą wrzawą, niczym gołębie gruchające w gołębniku, prostytutki z okien na piętrach wykrzykiwały swoje sprośne zachęty.

Dalej na południe budynki wyglądały jednak porządniej i wkrótce minęli hotele o stalowych kondygnacjach, murowane banki z czerwonej cegły, francuskie restauracje i eleganckie sklepy tekstylne. Collis przyglądał się wytwornym damom pod parasolkami i dżentelmenom ubranym bardzo szykownie, nawet wedle nowojorskich standardów. Ale na chodnikach dalej roiło się od pieszych, a na ulicy dalej panował zgiełk i wrzawa; zewsząd dobiegał ich stukot powozów, furmanek i konnych omnibusów. Hałas, ścisk i ruch niejednej manhatańskiej damie z towarzystwa kazałyby się położyć przynajmniej na godzinę z zimnym kompresem na głowie. Na rogu Portsmouth Square utknęli w korku ulicznym wozów dostawczych; furmani nie szczydzili sobie nawzajem wyzwisk, jak również niezwykle obrazowych przekleństw. Potem, przy Sacramento Street, musieli zatrzymać się, żeby przepuścić orszak pogrzebowy wielkości mniej więcej jednego batalionu, który sunął przy akompaniamencie dzwonów, bębenków i cymbałów. Na dodatek jakiś nieokrzesany Chilijczyk, z miną, która nie zdradzała najmniejszego skrępowania, wybrał sobie akurat porę obiadową na przeprowadzenie stada pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu wołów w stronę portu.

Niemal przez pięć minut Collis i Billy stali unieruchomieni przy skrzyżowaniu ulic Dupont i California, podczas gdy liche, powłóczące nogami, pogryzione przez muchy było przechodziło obok nich.

W końcu, przepoceni na wskroś i zakurzeni, dobrnęli do dwupiętrowego budynku na Dupont Street, świeżo pomalowanego na elegancki, zgniózielony kolor, ze złotymi ozdóbkami i wyczyszczonymi na połysk kagankami przy drzwiach. Był to najlepiej utrzymany budynek na całej ulicy. Położony był zarówno dla wygody, jak i prestiżu, pomiędzy przychodnią dra W. Carra i biurami Filantropijnego Towarzystwa dla Pań.

Naprzeciw, przy stolikach na zewnątrz siedziała grupka bezrobotnych wałkonii, pijąc, grając w karty i pykając z fajek. Kapelusze mieli mocno naciśnięte na oczy, aby osłonić się przed rażącym blaskiem południowego słońca. Kiedy Collis zeskakiwał z bryczki i przechodził przez ulicę, aby zadzwonić do drzwi Janki Zadupczanki, wlepili w niego ślepia i ostentacyjnie wodzili za nim wzrokiem. Billy rozhuśtał kuferek Collisa i postawił go na ziemi zamasyżycie.

– Całkiem przyjemne miejsce. Czyściutkie, zadbane – rzekł Collis tonem swobodnej konwersacji.

Billy, oparty o kufer, wrzucił tylko ramionami. Nadal nikt nie podchodził do drzwi, więc Collis zadzwonił jeszcze raz. Teraz wałkonie z naprzeciwka gapili się na niego bez żenady, nie odrywając od niego oczu. Przestali nawet grać, choć ciągle trzymali w dłoniach karty, a fajki zawisły w bezruchu pomiędzy zaciśniętymi zębami. Nawet paru przechodniów też obróciło się w jego stronę, rzucając mu ciekawskie spojrzenia. Pilnowanie własnego nosa zdecydowanie nie leżało w zwyczaju mieszkańców San Francisco.

– Nie wygląda na to, żeby mieli zamiar otworzyć – rzekł Collis, skrępowany.

– Może wszyscy w łózkach – zauważył Billy.

– W łózkach? Przecież to dopiero pora obiadowa. Sam środek dnia pracy.

– Właśnie dlatego wszyscy w łózkach – zarechotał Billy.

Collis zadzwonił jeszcze raz. Tym razem, zupełnie niespodziewanie, drzwi frontowe otworzyły się i ukazała się w nich wysoka, przystojna kobieta w tycjanowskim koku upiętym czarnymi wstążkami. Zeszła na chodnik i stanęła na wprost Collisa. Zęby miała popsute, ale w swojej wydekoltowanej, czarnej atłasowej sukni, która ukazywała zdrowe, jędrne, usiane piegami piersi, wyglądała tak ponętnie, że nikt by na to nie zwrócił uwagi. A nawet gdyby zwrócił, to i tak miałby na nią chrapkę. Wałkonie z naprzeciwka zawyli z zachwyty i zaczęli gwizdać i tupać nogami, wprawiając Collisa w jeszcze większe zakłopotanie.

– Jak się masz, Billy? – rzekła spokojnie kobieta do woźnicy, a potem, bawiąc się dalej bezmyślnie brylantowym naszyjnikiem, zwróciła swoje zielonoszare oczy na Collisa.

Przypominała Collisowi typ kobiet, które ze znajomością rzeczy potrafiłyby wprowadzić młodych chłopców w arkana sztuki kochania, szepcząc cicho słowa i westchnienia zachęty, kołyszając lubieżnie pełnymi udami. Kobieta dygnęła leciutko, prawie niedostrzegalnie, w stronę Collisa.

– Widać, że jest pan przyjacielem Charlesa – powiedziała, ukazując w uśmiechu popsute zęby. – A przyjaciele Charlesa są moimi przyjaciółmi. Szczególnie tacy dżentelmeni, jak pan. Różnych tu miewamy klientów. Są gusta i guściki, wie pan, więc miło czasem gościć tu kogoś z klasą.

– Collis Edmonds, Madame, z Nowego Jorku – przedstawił się Collis. – Mr Tucker wspomniał, że mógłbym się tu zatrzymać na parę dni. Jeśli to pani odpowiada, oczywiście.

Rzucił jej jedno ze swoich ognistych, przeciągłych spojrzeń, w którym kryła się namiętność nie spełnionej miłości i które zawsze topiło lód w niewieścich sercach; wiedział od razu, że jego obecność będzie dla niej bardzo miłym, pożądanym ciężarem. Wytworny, ubrany z fasonem dżentelmen, rzadko prawdopodobnie gościł w tych progach. I ona sama, i jej dziewczęta, były pewnie tak spragnione dobrego towarzystwa, że przyjęłyby go do siebie już chociażby tylko dla samych jego spinek przy kołnierzyku. Podała mu rękę do pocałunku i rzekła; – Właściwie nazywam się Jane Spalding, ale większość ludzi woła na mnie Janka Zadupczanka. Ale czemu stoi pan tak za drzwiami? Proszę wejść do środka. Wygląda na to, że przydałby się panu kieliszek czegoś mocniejszego, a może i coś na przekąskę.

Janka Zadupczanka wprowadziła go do mieszkania. Zagracony, wycackany i udekorowany z przesadnym przepychem przedpokój nadawał ton całemu wnętrzu. Collis rozglądał się wokół, zdumiony. Ściany wyłożone były ciemnoczerwonym aksamitem. Wszędzie wisiały ogromne zwierciadła, płaskorzeźby i okropne olejne malowidła, na których Hiszpanki o smutnych oczach leżały bez uśmiechu w zarośniętych chwastami ogrodach. Były tam też zegary ściennie i komódki zapchane tandetnymi, ozdobnymi glinianymi i chińskimi wazami ze źdźbłami trawy pampasowej oraz gablotki pełne motyli i owadów. Ponad drzwiami, które prowadziły do pokoju gościnnego, wisiała wypolerowana mosiężna płytką z wygrawerowaną nazwą Piątej Ochotniczej Brygady Strażackiej na Zagaciu, a pod nią napis: Exegi monumentum aere perennius.

Billy wniósł kufer Collisa, a Janka Zadupczanka obdarowała go pobłażliwym uśmiechem i rzekła: – Proszę zanieść to na górę, Billy, na trzecie piętro. Później Henrietta da ci kufel piwa w kuchni. Mr Edmonds, zechce pan łaskawie pójść za mną.

Collis dał woźnicy Billy'emu pięćdziesiąt centów za fatygę i poczuł się nieco urażony, kiedy Billy, zanim wsunął monety do kieszeni kamizelki, nadgryzł je, by sprawdzić, czy nie są fałszywe. Ale Billy wyszczerzył tylko zęby w uśmiechu i rzekł: – Tu, w tym mieście, Mr Edmonds, nie warto nikomu ani niczemu ufać. Niech pan sobie zapamięta moje słowa. Niech pan nawet nie ufa samemu sobie.

Collis przyjrzał mu się z zainteresowaniem, pytając: – A Mr Tucker? Jemu też nie powinienem ufać?

Uśmiech Billa rozszerzył się jeszcze na te słowa.

– O tak! – powiedział. – Panu Tuckerowi to można ufać, nie ma sprawy. Można mu ufać, że obędzie pana żywcem ze skóry i sprzeda ją panu z powrotem jako ostatni krzyk mody prosto z samego Paryża. Może pan ufać, że to zrobi na pewno.

Collis pomyślał nad tym chwilę, a potem powiedział: – To mi się podoba. Zdaje się, że nieźle tu się będę bawić.

W salonie, przy malutkim stolyczku nakrytym białą, koronkową serwetką, Collis jadł lekki obiad złożony z wędzonej domowym sposobem szynki, szparagów kalifornijskich, sałatki ziemniaczanej na zimno i świeżych owoców, podczas gdy Janka Zadupczanka przyglądała mu się frywolnie z solidnej, pluszowej, fioletowej otomany. Od czasu do czasu uśmiechał się do niej znad talerza, a ona odwzajemniała mu się tym samym, ale nie odzywali się prawie do siebie. Sącył chłodne wino z bombki na wysokiej nóżce, ale nie był pewien, czy mu rzeczywiście smakuje. W porównaniu z tym, jakiego zwykł kosztować w Nowym Jorku, było dużo słodsze i bardziej pachniało stęchlizną. Był przekonany, że cztery czy pięć kieliszków przyprawiłoby go pewnie o zabójczego kaca.

*

W salonie, ocienionym od słońca, choć równie zagraconym, jak przedpokój, panował przyjemny chłód. Wisiały w nim ciężkie welwetowe draperie ze złocistymi sznurami; stały tam również marmurowe statuetki nimf umykających na palcach przed napastnikami; rzeźbiony, drewniany kominek zastawiony był fotografiami, dekoracyjnymi muszlami, lampami, dzierganymi serwetkami i całą masą innych duperelków. Ale jednocześnie wazony pełne były świeżo ciętych, pachnących kwiatów i pogodne popołudnie, po porannej mgle, wprawiło go w lepszy nastrój.

– No i co? Trochę pan odzipnął? Posilił się pan trochę? – zapytała Janka Zadupczanka.

Wytarł usta serwetką i skinął głową.

– Od miesiąca nie miałem w ustach takich delicii.

– Ale wino panu nie smakuje?

– Ooo... jest... jest trochę niezwykle. Miejscowe?

– Produkują je w Napa Valley. Indianie ubijają winogrona bosymi nogami w nieckach z wołowej skóry, a potem fermentują je w skórzanych workach.

Collis uniósł swój kieliszek do światła z wyraźnym niepokojem.

– Tak mi się też właśnie zdawało, że smak jest raczej niecodzienny – rzekł Collis, dobierając słów, aby nie urazić miłej gospodyni.

Janka Zadupczanka wybuchnęła perlistym śmiechem.

– Podałam je tylko dlatego, że to taka lokalna ciekawostka. Mamy tu pełno francuskich win. Kiedy pan wypocznie, dziewczęta otworzą panu butelkę szampana.

– Dużo ma tu pani dziewcząt? – zapytał Collis.

– W tej chwili pięć. Kiedyś miałam osiem, ale jedną zamordowali jakieś trzy miesiące temu, kiedy przechodziła przez rynek po ciemku, a dwie zrobiły karierę i odeszły.

– Musi tu być bardzo trudno o dobre dziewczęta.

– Tu jest bardzo trudno o jakiegokolwiek dziewczęta. Ale forsa bardzo dobra. Dziewczyna może tu przyjechać ze Wschodu i zbić majątek w trzy lata, a wszystko w złocie i w srebrze.

Lata temu miałam dziewczynę z Armenii, która umiała zwijać się jak wąż w węzełki; wie pan, cyrkówka. Płaciło się dwadzieścia dolarów za seans. Opuściła miasto bogatsza niż wszyscy kupcy, bankierzy i poszukiwacze złota razem wzięci. Nawet się panu nie śni, jak się tu można wzbogacić.

Collis wstał od stołu i podszedł do okna. Na zewnątrz, przez koronkowe firanki, zobaczył malutkie zarośnięte krzakami podwóreczko, a obok niego zaplecza drewnianych sklepików i szynków. Poza nimi widać było płaskie dachy dzielnicy bankowej i śródmieścia San Francisco i nagi szczyt wzgórza Fern Hill – Paprociej Górki – wierzchołek, który później Collis nauczył się nazywać Nob Hill – Łbia Górka. Łbia Górka była tak stroma, że nie można na nią było wciągnąć konia z powozem, wobec czego nikt tam nie mieszkał.

– A panią co tu przywiodło? – zapytał Collis. – Sądząc po akcencie, pochodzi pani z Baltimore albo z okolic.

– Trafił pan prawie w dziesiątkę. – Jane uśmiechnęła się do niego. – Wyrosłam w Catonsville. W wieku lat szesnastu wyszłam za mąż za marynarza i o ile się nie mylę moi rodzice uznali to za łaskę niebios. Nigdy mnie zbyt nie lubili. Mój ojciec był kancelistą bankowym, a matka miała nie po kolei w głowie.

– Całkiem nie po kolei, powiedziałbym, skoro wyrzekła się takiej córki.

– Dziękuję za komplement, ale prawdę mówiąc, w tamtych czasach nie byłam taką znowu czarującą istotą. Miałam akurat tyle wdzięku, co sosnowa deska, więc oczywiście mój marynarz wziął czym prędzej nogi za pas i zostawił mnie na lodzie. Utopił się koło Assawoman Island, w cztery miesiące później, no i dobrze mu tak. Wróciłam do domu, do ojca i matki, ale ciągle były z nimi takie awantury, że w końcu od nich uciekłam.

– Pozwoli pani, że zapalę? – zapytał Collis.

– Bardzo proszę. W tym pudełku z masy perłowej, obok wypchanego orła, są bardzo dobre cygara.

Collis wyjął cygaro i usiadł na otomanie obok pani domu. Popołudniowe słońce przedzierało się, roziskrzone, poprzez dym z cygar, a twarz Janki Zadupczanki rozplywała się na przemian i pojawiała ponownie, niczym wspomnienie.

– Zarobiłam pierwsze nieuczciwe pieniądze w kącie cyrkowego namiotu – ciągnęła dalej – pewnego deszczowego dnia w Mousie, w stanie Kentucky. Z facetem, który opiekował się menażerią; dał mi osiemdziesiąt dwa centy, czyli wszystko, co miał przy sobie w drelichach.

Nie był młody – musiał być pod pięćdziesiątkę albo i więcej, ale zachowywał się delikatnie i chyba dlatego poczułam, że ten rodzaj zarobkowania nie przyniesie mi żadnej ujmę.

Sprzedawałam się cały czas po drodze, aż dotarłam do Omaha, w Nebrasce, a z Omaha przejechałam przez cały kraj, pracując wszędzie, gdzie potrzebowałam pieniędzy.

Collis przetarł oczy. Zaczynał czuć się bardzo zmęczony.

– Tu przyjechałam w 1847 roku – opowiadała dalej Janka Zadupczanka. – Pracowałam wówczas pod starym hotelem City, na rogu ulic Clay i Kearny. To było prawdziwe grzędawisko rozpusty, nie ma co. Ale można było nurzać się w złocie i zarobić setki dolarów przez jedną noc, jeżeli się człowiek nie wahał robić tego byle jak, byle gdzie i z byle kim.

Collis popatrzył na nią z niepokojem.

– Szokuję pana? – zapytała. – Muszę pana z góry uprzedzić: nie przebieram w słowach i nie wstydzę się swojej przeszłości.

– Nie, zupełnie mnie to nie dziwi ani nie szokuje – odparł Collis. – Zastanawiam się tylko, jak będę mógł rywalizować z ludźmi takiego pokroju, jak pani i Charles Tucker.

– Rywalizować? A po co miałby pan z nami rywalizować? Przecież jesteśmy pana przyjaciółmi.

– Tak, wiem. Oczywiście. – odpowiedział. – Daliście państwo tego dowód bardzo wyraźnie. Ale jestem prawie zupełnie splukany i jeśli mam zapewnić sobie jakiś przyzwoity byt, będę musiał nauczyć się rywalizacji. Więcej niż rywalizacji. Żeby się wybić, będę się musiał nauczyć wygrywać.

Janka Zadupczanka poprawiła na sobie czarną suknię.

– A czym się pan zajmuje? – zapytała.

– Nic konkretnego. Gram hazardowo. Ale do tej pory, jeszcze do zeszłego miesiąca, utrzymywali mnie rodzice, a życie na garnuszku u rodziców nie wyostrza wrodzonych zdolności. Znam się trochę na finansach, ale trudno powiedzieć, że jestem w tej dziedzinie geniuszem. Jeżdżę konno. Ćmię cygara – prawdę mówiąc, kurzę jak komin fabryczny.

– A co sugerował Charles?

– Uważa, że powinienem zacząć od kasyna. Ale z tego, co zauważyłamadziś rano, wygląda na to, że cała ludność San Francisco to szczwane lisy w tym względzie.

Janka Zadupczanka podniosła się z otomany. Przeszła po kwiecistym chodniku na drugą stronę pokoju i stanęła przy oknie, które wychodziło na Kearny Street.

– O jednej rzeczy musi pan zawsze pamiętać w San Francisco – powiedziała bez uśmiechu. – Każdy, kto się tu znalazł, porzucił wszystko, co kiedykolwiek posiadał, ażeby zacząć wszystko od nowa. To urodzeni hazardziści – mają ryzyko we krwi; inaczej wcale by się tu nie znaleźli. Nawet ta moja decyzja, żeby wsiąść do tego pociągu, co jechał przez Sierra Nevada, to przecież też było ryzyko. A pana decyzja, by zabrać się statkiem z Nowego Jorku aż tu, na drugi koniec świata – czy to nie ryzyko? W San Francisco, jeśli chce pan rywalizować z innymi i do tego jeszcze wygrywać, musi pan być również przygotowany na to, że może pan wszystko stracić. Wszyściuteńko, co pan posiada: pieniądze, dobre imię, cały dobytek.

Odwróciła się do niego przodem. Pod luźną suknią widać było wypukłość jej piersi.

– Nawet godność osobistą – zakończyła posepnie.

*

Przebudził się dopiero, gdy było już prawie całkiem ciemno. Kiedy otworzył oczy, nie był pewien, gdzie się znajduje, i leżał, wpatrując się ze zdumieniem w figurynkę pasterki na mahoniowym nocnym stoliczku. Z dołu, z ulicy, dobiegały go głośne rozmowy i turkot powozów i furmanek, ale nie wiedział, skąd się brał duszący zapach perfum, zmieszany z zapachem gotowanej kolacji; niebieska kwiecista tapeta też była mu zupełnie obca. Popatrzył na róg swojej białej, haftowanej powłoczki, na poduszkę, na prześcieradło, a potem przed siebie na niebieskie drzwi z błyszczącymi, mosiężnymi gałkami. Wygramolił się z pościeli i nago podszedł do okien z zasuniętymi żółtymi zasłonami. Skąpane w promieniach zachodzącego słońca, z dachami domów, kominami i flagami leniwie powiewającymi na wietrze, roziskrzone tą szczególną jasnością typową dla wieczorów w San Francisco, ze wzgórzami w oddali, które opływał już fioletowy zmierzch, rozciągało się miasto, do którego przywiodły go pech i własna głupota i w którym będzie musiał nauczyć się teraz żyć. Nie tylko żyć, ale i wybić się. Bo nigdy już więcej nic od nikogo nie dostanie. Nigdy nie będzie już nic miał, chyba że sam to zarobi albo wygra, albo ukradnie.

Ktoś zapukał do drzwi i odezwał się głos Janki Zadupczanki: – Collis? Już szósta. Zdaje się, że mówił pan, że Charles będzie tu około siódmej.

– Właśnie się obudziłem! – odkrzyknął. – Będę na dole za parę minut.

– Lepiej się pan teraz czuje? – zapytała. – Przy obiedzie wyglądał pan bledziutko.

– Dziękuję, czuję się świetnie. – Aha... chciałby pan dziewczyny dzisiaj na noc? Wolałabym wiedzieć zawczasu, jeśli można, tak żebym mogła zorganizować im wieczorne zajęcia.

– Nie sądzę, – żeby mnie jeszcze było na to stać, Mrs Spalding.

– Dzisiaj niech będzie na rachunek firmy. To pana pierwsza noc w San Francisco. I proszę nie zwracać się do mnie per Mrs Spalding. Nazywam się Jane.

– Wobec tego będę ogromnie zobowiązany, Jane. Ogolił się przed małym lusterkiem z porcelanową ramą, przy świetle zachodzącego słońca. Potem ubrał się w jedną z koszul, które wykrochmaliły mu zakonnice w szpitalu Serca Jezusowego. Mimo to czuć było jeszcze od niej ten szczególnie zapach tropikalnej pleśni, i na moment przeniósł się myślami do Panama City: do siostry Agnieszki i do Hanny. Będzie musiał przejść się jutro na Montgomery Street i rzucić okiem na sklep Waltera Westa. Zawsze lubił wiedzieć, z kim idzie w zawody. A poza tym perspektywa ewentualnego spotkania i pogawędki z Walterem Western, jeszcze przed przyjazdem Hanny, niesamowitość całej tej sytuacji podniecały go do pewnego stopnia.

Ponieważ mieli iść na kolację do restauracji, Collis założył czarny frak, białą wykrochmaloną kamizelkę i wieczorowe spodnie. Usiadł na łóżku i naciągnął czarne lakierki, a potem znowu stanął przed lustrem, aby zawiązać czarny krawat z perłową szpilką.

Wyprostował uderzeniem pięści elegancki cylinder i wsadził go na głowę zawiadając, na bakier. W końcu to było San Francisco, dziki Zachód, a nie sobotni wieczorek na Broadwayu.

Przyjrzał się sobie w lustrze ze wszystkich stron i postanowił, że najlepiej będzie wyglądać na znudzonego życiem zawadiakę, światowca, który bywał tu i ówdzie i którego nic już nie zdoła zdziwić, zaskoczyć ani zaszokować.

Zszedł na parter. W połowie drogi rzucił okiem przez otwarte drzwi jednego z pokoi.

Zobaczył róg szerokiego, dębowego łoża, bardzo wzorzysty chodnik i mały pozłacany taboret. Zobaczył również gołe nogi dziewczyny, która siedziała na taborecie w pozie tancerki, przewiązując podwiązkę. Jednak życie w San Francisco zapowiadało się mniej przygnębiająco, niż się tego wcześniej obawiał.

Charles i Andrew jeszcze nie przyjechali, ale Janka Zadupczanka czekała już w salonie z francuskim szampanem w kubelku z lodem i truskawkowymi wafelkami. Obok niej, w błyszczącej kobaltowo – niebieskiej sukni z głębokim dekoltem i przy – marszczonym staniczkiem, siedziała drobniutka, filigranowa, młodziutka Brazylijka, z ciemnymi włosami ufryzowanymi elegancko w loczki i wielkimi, nieśmiałyymi oczami. Była obwieszona do przesady biżuterią – cała w brylantowych pierścionkach, spineczkach i złotych łańcuszkach – ale co się tu dziwić, skoro większość prostytutek z San Francisco tak się właśnie ubierała.

Miały dostęp do rzadkich i poszukiwanych artykułów w jednym z najbardziej rozwiązłych miejsc na kuli ziemskiej i drogo sobie za to kazały płacić. W salonie unosił się zapach drogich, francuskich perfum, który wydał się Collisowi niezwykle erotyczny.

– To jest Urszula – rzekła Janka Zadupczanka, wstając z matriarchalnym szelestem sukni. – Urszulo, przywitaj się, proszę, z panem Edmondsem. Urszula to nasz najnowszy nabytek, Collis. Jestem pewna, że przypadniecie sobie do gustu. To panienka z doskonałą ogładą towarzyską; wszędzie umie się znaleźć.

Szampan był wytrawny i zimny i chociaż czuć było wyraźną różnicę smaku w porównaniu z szampanem z Nowego Jorku, było to coś, co przypominało, w przyjemny sposób, cywilizację. Collis zwrócił się do Urszuli: – I jak ci się wiedzie w San Francisco, malutka. Podoba ci się tutaj?

Urszula uśmiechnęła się i kiwnęła głową, ale nic nie odpowiedziała. Janka Zadupczanka, siedząc majestatycznie na swojej fioletowej pluszowej kanapie, wyjaśniła: – Nie wysilaj się na żadną konwersację. Strata czasu. Ona i tak nic nie rozumie. Widzisz, jak to jest: ogładę towarzyską to ona ma, ale po angielsku ani w ząb.

– Jest absolutnie czarująca – rzekł Collis, wznosząc ku niej swój kieliszek.

Właśnie wtedy zadźwięczał dzwonek u drzwi wejściowych i Collis usłyszał, że drzwi się otwierają, a potem z przedpokoju dobiegły go męskie głosy. Do salonu wkroczyli Charles Tucker i Andrew Hunt, obaj ziejący wódką i obaj pełni animuszu, ubrani, w przeciwieństwie do Collisa, w codzienne garnitury i filcowe meloniki.

Andrew Hunt uściśnął dłoń Collisa tak serdecznie, jakby odnalazł bliskiego, a od dawna nie widzianego krewnego, i poklepał go parę razy po ramieniu. Charles Tucker był nie mniej wylewny, choć adresatką jego uprzejmości była Janka Zadupczanka, a ściśle mówiąc, jej kształtny, wydatny biuścik. Collis zrozumiał od razu, że jeśli Charles i Jane nigdy nie byli, w pełnym tego słowa znaczeniu, kochankami, komercyjnie czy też prywatnie, to Charles na pewno nie miałby nic

przeciwko temu, aby się nimi stali, i to jak najszybciej. Janka Zadupczanka naląła wszystkim szampana i całe towarzystwo, w wyśmienitym nastroju, rozsiadło się w fotelach.

– Nie jestem pewien, czy ten tu oto gość to bohater, czy też kompletna fujara – zauważył Andrew, wyciągając dłoń i kładąc ją na ramieniu Collisa. – Kiedy zobaczyłem, jak odchodzi z tą kobietką, z tą, jak jej tam, Mrs West, i z tymi zakonnkami, panie dziejku, to byłem święcie przekonany, że już go więcej żywym nie zobaczę. Tak mówię, jak było, nic nie zmyślam. I tak mi, panie, przeszło przez głowę: proszę, jeszcze jedna ofiara pcha się prosto w paszczę tej paskudnej zarazy.

– Widać Opatrzność nad nim czuwała – rzekła Janka Zadupczanka, delikatnie odsuwając dłoń Charlesa Tuckera ze swoich kolan.

– Opatrzność czy co innego – zawyrokował Andrew. – Cieszę się niezmiernie, żeś uszedł z życiem. A ta cała twoja Mrs West? Też się jej udało z tego wykaraskać?

– Tak, jest cała i zdrowa, na szczęście – rzekł Collis, a głos jego zdradzał więcej tkliwości, niż by sobie tego życzył. – Była wciąż jeszcze na rekonwalescencji, kiedy wyjeżdżałem.

Andrew Hunt mrugnął do Janki Zadupczanki.

– Moim skromnym zdaniem Collis miał słabość do tej całej Mrs West. Więcej niż tylko słabość, bym powiedział. Trzeba być zakochanym po uszy albo łasym na pieniądze – wtrącił Charles.

– Ooo! Z tą kobietą, z tą całą Mrs West, miałby i kochanie, i pieniążki – rzekł Andrew.

– Jak tylko przyjechałem, to postanowiłem sobie, że rozejrzę się po tej pasmanterii, co jej mąż ma na Montgomery Street. I, panie dziejku, żeby nie skłamał, interesik idzie jak z płatkami.

– A co się stało z Marią–Mamušką? Gdzie się ona podziewa? – zwrócił się Collis do Andrew Hunta.

– Ta Metyska? – Andrew wzruszył niedbale ramionami. – A kto ją wie? Ale San Francisco to nie Nowy Jork. Wpadniesz na nią wcześniej czy później, jeśli będzie ci na tym zależało. Albo nawet, jak ci na tym nie będzie zależało.

Charles zerknął na zegarek.

– Czas na nas, panowie – oznajmił. – Raz, że z głodu aż burczy mi w brzuchu, a dwa, że jeśli mamy zamiar pomóc Collisowi w znalezieniu pieniędzy, to nie możemy strawić całej nocy na przeżuwanie.

Janka Zadupczanka zbliżyła się do nich, podtrzymując wdzięcznie w dłoni fałdy sukienki, i dołąła im szampana.

– Wróćcie tu jeszcze później, prawda? – zapytała. – W saloniku zjedzą się karciarze na faraona i może Natalia zagra nam na pianinie, chyba że Mr Tibbet zabierze ją dzisiaj do siebie.

– Wobec tego musimy dać ci lekcję śpiewu – rzekł Andrew do Collisa, krzyżując swoje długachne, chude nogi i sadowiąc się wygodnie w fotelu z wyrazem rozbawienia na twarzy.

– Mówiłeś, że chcesz się jakoś wkręcić w to towarzystwo z South Parku, tak czy nie? No to, panie dziejku, nie ma na to lepszego sposobu. Collis Edmonds, słynny baryton z Nowego Jorku. Zakładam, że śpiewasz barytonem.

– W ogóle nie śpiewam – zaprotestował Collis. – Gdybym podawał się za wokalistę, wykopsaliby mnie z South Parku jeszcze szybciej niż tych wszystkich nieudacznym konkurentów, którzy smalą cholewki do Sary Melford.

Janka Zadupczanka uniosła brwi ze zdziwienia.

– To już słyszałeś o Sarze Melford?

– Andrew opowiadał mi o niej na statku. I rzeczywiście takie z niej nieosiągalne bóstwo?

– zapytał Collis.

– Oj, tak. Laurence Melford pilnuje jej dwadzieścia pięć godzin na dobę. Oka z niej nie spuszcza. Nie wiem po co, bo ona sama taka zimna jak ryba. Nie mówię, śliczna dziewczyna, ale nikomu jeszcze tu w San Francisco nie udało się do niej trafić. David Broderick twierdzi, że czeka, aż jaki książę albo co najmniej hrabia będzie tedy przejeżdżał. Za nikogo innego nie pójdzie.

– David Broderick to taki nasz tutejszy senator – wyjaśnił Charles Tucker, wyjmując cygaro. – Nietęgi w gębie, trza powiedzieć, ale sklepikarze i kopacze złota mają go w wielkim poważaniu. Swój chłop, porządny gość. Mnie tam on nie przeszkadza. Ale Laurence Melford go nie znosi. Nazwał go ciemnym robolem, i to prosto w oczy, uważasz.

Collis poczęstował się cygarem Charlesa, a Urszula podniosła się z krzesła i podeszła, by przyciąć je i podać mu ognia. Kiedy się już porządnie paliło, uklękła przy nim i włożyła mu je delikatnie do ust, głaszcząc go długimi palcami po policzku. Jej leciutka, błękitna jedwabna sukienka szeleściła i muskała go namiętnie, a perfumy były mocne i egzotyczne. Z bliska zauważył, że miała na policzku mały pieprzyk i że jej rzęsy były długie i przyczernione proszkiem antymonowym.

– Rozpieszczacie mnie, naprawdę. Życie nie umierać – powiedział Collis, czując nagły przypływ sił witalnych i zadowolenia. – Teraz wydaje mi się, że chyba jednak dobrze zrobiłem, wyjeżdżając z Nowego Jorku.

Charles podniósł się i wygładził kamizelkę na swoim pękatym brzuszysku.

– Tu, w tej miejscinie – powiedział – każdy może osiągnąć to, co chce, i robić co mu się żywnie podoba. A teraz jazda – wrzucimy coś na ząb, a potem spróbujemy szczęścia w kartach.

*

Restauracja w hotelu International na Jackson Street była dużo bardziej hałaśliwa niż hotele w Nowym Jorku, w których Collis zwykł jadać obiady, ale jedzenie było dobre i równie wykwintne, a goście przynajmniej siedzieli przy stołach z odkrytymi głowami. Collis, Andrew i Charles usiedli przy stoliku w kącie sali, a kelner o odstających, czerwonych uszach, w białym fartuchu, podał im wodę z lodem i butelkę czerwonego wina, tak skwaśniałego, że można by nim było wyczyścić całe

rodzinne srebro. Wznosili toasty za bezpieczne przybycie Collisa do San Francisco i za to ich spotkanie. Collis nie zaproponował toastu „za nasze szczęście”. Nie był jeszcze pewien, czy będzie mu ono sprzyjało.

Charles pokazywał mu znane osobistości i milionerów z San Francisco. Po drugiej stronie sali, też w kącie, przy stoliku, na pół ukryty za paprocią doniczkową, siedział niski mężczyzna złoścącymi oczami, z kozią bródką i włosami na jeża. Pożerał baranie udko, jakby je złapał na talerzu na gorącym uczynku, i raz po raz wymachiwał widelcem w stronę nieurodzivej, okrągłutkiej damulki z piórami w kapeluszu, jakby starając się tym zaakcentować ważność swoich wypowiedzi.

– To jest skarbnik Towarzystwa Kalifornijskich Pionierów – rzekł Charles. – Facet zupełnie bez poczucia humoru, więc jeśli się kiedyś gdzieś na niego natkniesz na jakimś przyjęciu, to nie staraj się dowcipkować. Nazywa się William Tecumesh Sherman.

Podczas gdy kelner poszedł zamówić dla nich zupełną zółtówią, Charles dał znowu Collisowi kuksańca w bok i skinął w stronę mężczyzny w średnim wieku, o ostrym profilu i siwych włosach. Stał z rękami w kieszeniach kamizelki, tak że jego wystające łokcie wyglądały jak rozłożone skrzydła.

– To Hall McAllister. Ten, co się tak indyczy. Prokurator generalny. Oho, dzisiaj to wielka szycha. Ale wzbogacił się na mące i fasoli. Sprzedawał je poszukiwaczom złota.

– Dlatego właśnie mnie czasem tak cholera bierze, psiakrew – rzekł Andrew, odłamując kawałek razowca z bochenka chleba, który leżał na środku stołu, i wpychając go sobie do ust.

– Taka to była biedota, że pozał się Boże, takie nic, jak to tu przyjechało. A teraz, ani się waż, panie, oddychać tym samym powietrzem. Nie chodzi mi o ich styl życia – to rozumiem.

Sam bym żył jak panisko, gdybym miał za co. Ale nie powinni zapominać, jak się dorobili tych swoich majątków.

– O, na przykład ten tutaj – powiedział Charles, wskazując na tłustego jegomościa o ciemnej twarzy, z serwetką założoną wokół kołnierzyka niczym śliniaczek. – To Sam Shields. Wzbogacił się na kupnie gruntów pod Sacramento. Jałowa ziemia, sam ugór. Wrzucił trochę cynku do strumyka i porobiły się grudki, niby jak żyłki złota. Sprzedał te działki sto razy drożej, niż za nie zapłacił; w Kalifornii jest cała masa zbankrutowanych inwestorów, którzy chętnie oddaliby trzy miesiące życia, żeby go tylko zobaczyć za kratkami.

Kelner przyniósł zupełę. Była świeża, gorąca, z mnóstwem krewetek oraz kawałkami flądry i zółwia, doprawiona szcudrze śmietanką i sherry. Collis nagle zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo tęsknił za dobrym jedzeniem, i zajął w milczeniu przez dobre pięć minut, podczas gdy Charles i Andrew rozmawiali o gwoździach, drutach i cenach smarów. Obaj byli kupcami pełną gębą: skupowali towary i sprzedawali je dla zarobku. I nie obchodziło ich nic innego poza tym, żeby móc sprzedać swój towar z zyskiem.

Jedząc ze smakiem, Collis rozglądał się wokoło. Ściany restauracji pomalowane były kremową, połyskliwą farbą. Wisiały na nich stylowe lustra w mahoniowych oprawkach, które iskrzyły się, odbijając światło z tuzina niewielkich szklanych żyrandoli. Głowy łosi i niedźwiedzi zawieszono na drewnianych tarczach zdawały się przyglądać im ze zdziwieniem, a kalifornijskie pejzaże –

większość z nich raczej prymitywna – wisiały obok napuszonego portretu prezydenta Jamesa Buchanana. Kelnerzy w wykrochmalonych fartuchach, z włosami przylizanymi brylantyną, uwijali się pomiędzy stolikami, palmami doniczkowymi i śmiejącymi się, mlaskającymi i gestykułującymi biesiadnikami, zachowując przy tym dystans zabieganych pielęgniarek. Po drugiej stronie sali, kelner – krajczy, w wysokim białym cylindrze i czarnym fraku, odkrajał bladokrwiste kawałki lekko przypieczonej wołowiny z największego udźca, jaki Collis kiedykolwiek widział w życiu: w przekroju był wielkości niedużego dębowego pniaka.

Andrew i Charles zakończyli właśnie rozmowę na temat ceny nierafinowanego cukru i tego, jak tu, u diabła, ma niby człowiek zarobić na długoziarnistym ryżu, i zajęli się teraz polityką. Jak większość mieszkańców San Francisco i Sacramento, byli republikanami, abolicjonistami, a ich stan, Kalifornia, nadał wolność niewolnikom w kompromisowym roku Porozumienia z 1850 roku. Ale nawet tu, na tym dalekim wybrzeżu Pacyfiku, 2700 mil od Waszyngtonu, czuli się zaniepokojeni, a nawet zagrożeni coraz bardziej zawziętymi kłótniami na temat praw Murzynów albo raczej na temat braku takich praw i zażartą dyskusją o tym, czy zachodnie terytoria powinny pozostać stanami niewolników, czy też lepiej byłoby nadać czarnym prawa obywatelskie. Te kłótnie niszczyły długoletnie przyjaźnie, a nawet doprowadziły do rozbicia niektórych małżeństw. Wśród rycerstwa z South Parku, na Rincon Hill, widać było ten podział bardzo wyraźnie: Jankesi i południowcy odnosili się do siebie nawzajem z bardzo lodowatą uprzejmością. Andrew opowiadał właśnie Charlesowi, jak młody Willie Gwin, syn wysoko postawionego senatora zakłócił pewien bankiet, oznajmiając, że już czas najwyższy, by Południe poszło własną drogą i zbrojnie oderwało się od Waszyngtonu.

Charles wdrobił chleb do zupy i wypił mieszanekę, siorbiąc przy tym bardzo głośno.

– Nie zanosz się na nic dobrego, tu ci muszę przyznać rację – powiedział, ocierając z wąsów kropelki zupy. – Ale do wojny nie dojdzie. Jakoś mi się nie wydaje, żeby sprawy mogły zajść aż tak daleko.

– A ty, Collis, co o tym myślisz? – zapytał Andrew. – Twój ojciec obracał się wśród polityków, prawda?

Collis odłożył łyżkę.

– Tak, to prawda – potwierdził. – Ale głównie wśród tych chłystków z Partii Demokratycznej, a jeśli chcecie znać moją opinię w tym względzie, to powiem wam, że ci są najgorsi. Kupa tchórzów i ugodowców. Jeśli dojdzie do wojny, to tylko przez nich, chociaż to niby im właśnie najbardziej zależy na utrzymaniu pokoju. Faceci w stylu mojego ojca, którzy myślą tylko o tym, żeby nie stracić na swoich plantacjach. Faceci tego pokroju, jak ten tutaj – powiedział, kiwnąwszy głową w stronę Starego Kozła, Buchanana.

– Powiesili tu ten portret tylko po to, żeby klienci mogli rzucać w niego widelcami – rzekł Andrew lakonicznie.

Charles skończył swoją zupę i odstawił miskę.

– Mogą sobie rzucać w niego widelcami, ale każdy musi przyznać, że gdyby nie on, to już dawno doszłoby do wojny domowej. Może nie? Jeżeli uda mu się nie dopuścić do secesji Południa i jakoś utrzymać w kupie to całe Zjednoczenie przez jakiś czas, to zakład dziesięć do jednego, że Kongres skleci jakiś kompromis na temat niewolnictwa, zanim się zaczną nawzajem wybijać.

Wytarł głośno nos i dodał: – Wojna niczego nie rozwiąże. Popieram abolicjonistów i popieram wyzwolenie dzieci dzisiejszych niewolników, kiedy uzyskają pełnoletność. Ale przyzwoity kompromis jest zawsze lepszy niż wojna. Tak mi się wydaje.

Collis pokręcił głową.

– Moim zdaniem, mylisz się. Co to znaczy: przyzwoity kompromis? Nie ma czegoś takiego. A już szczególnie nie, kiedy w grę wchodzi niewolnictwo. To zupełnie tak, jakby się żądało od właściciela domu, żeby zawarł umowę z włamywaczem i zgodził się, żeby jego pies szczekał, ale nie gryzł. Moim zdaniem, najwyższy czas, żeby zacząć gryźć. Czas, żeby wreszcie znaleźli się w Waszyngtonie ludzie, którzy stawiają czoło południowcom.

– Nie rozgłaszałbym tak tego na twoim miejscu, Collis – rzekł Andrew, ścisząc głos.

– Parę stolików za tobą siedzi David Terry, a to gorąca głowa i zapalony południowy patriota. To ten, co wcina sałatkę jarzynową. Jeszcze usłyszysz, że oczerniasz Południe i zastrzeli cię, zanim zdążysz pisnąć choćby słowo.

Charles, ignorując to przyjacielskie upomnienie, dorzucił: – John Frémont chciał stawić czoło południowcom, przynajmniej tym chłystkom, co siedzą okrakiem na barykadzie, i sam widzisz, co się stało. Ze świecą szukaj takiego zagorzałego zwolennika Frémonta jak ja: mówię świętą prawdę. Ale Frémont przegrał wybory i musimy zgodzić się na jakiś czas na Buchanana. Jedyne, co możemy teraz zrobić, to zważyć to, czego byśmy chcieli, przeciw temu, czego możemy racjonalnie oczekiwać.

Collis oparł się na krzesło, podczas gdy kelner zabierał puste talerze po zupie.

– Frémont nie miał po prostu doświadczenia – powiedział. I wystraszył finansistów na Wall Street. Wiem, że mój ojciec bał się go jak diabeł święconej wody. Ale następnym razem mógłby więcej zdziałać.

Charles wzruszył ramionami.

– Moim zdaniem, nie będzie sobie tym więcej zawracał głowy. Ta klęska go naprawdę ubodła. Podobno ma chandrę i łązi po tym swoim domu osowiały, a Jessie twierdzi, że ma po dziurki w nosie polityki i życia, i w ogóle wszystkiego. Całkiem możliwe, że się znowu zajmie budową kolei. Andrew aż się zachłusnął i parsknął ironicznie.

– Kolei? To już lepiej niech pielęgnuje tę swoją chandrę.

– Dlaczego? O co ci chodzi? – zapytał Collis. – Słyszałem, że w swoim czasie był nawet wziętym geometrą.

– Kto go tam wie? Ludziska dużo gadają o tych wspaniałych wyczynach Johna Frémonta.

Ale tak prawdę mówiąc, to nic z tych jego planów nie wyszło. Tylko się rozczarował, i tyle – rzekł Andrew.

– Myślałem, że znalazł całkiem niezłą trasę – odparł Collis. – Przesmyk Bawoli, czy coś takiego.

– Tak zwany Bawoli Trakt, choć przypuszczam, że niewiele bawołów tamtędy przechodziło. Nie, nie, to było w roku 1848, Frémont otrzymał polecenie, żeby znaleźć drogę z St Louis do San Francisco. No wiesz, był przecież geometrą w wojsku, więc wszyscy myśleli, że uda mu się znaleźć odpowiednie przejście przez Góry Skaliste. I że kolej przejedzie tamtędy tak gładko, jakby sobie człowiek chciał przejść spacerkiem po leśnej ścieżynie. Nawet dali mu wtedy przydomek Odkrywca. Ale to wszystko kpiny, panie dziejku.

Zgubił się z całą ekipą w górach Sangre de Cristo podczas zadyмки śnieżnej i stracił dziesięciu ludzi. Po prostu zamarli na śmierć. Miał szczęście, że znalazła ich grupka Indian Utahów, bo inaczej wszyscy by zamarli. No, ale on się do tego nie przyznaje, – On ci powie coś zupełnie innego, jak ci będzie o tym opowiadał.

– Nieważne. Więc myślisz, że nie będzie kandydował w wyborach w 1860 roku? – dopytywał się Collis.

– Nie ma mowy – wtrącił Charles. – Rzetelny z niego chłop, ale nie umie przegrywać.

I, w moim przekonaniu, nie łatwiej mu się przebić przez te wszystkie przeszkody w stolicy, jak przez te skały w Sangre de Cristo.

– Tak myślisz? To niedobrze – rzekł Collis. – Potrzeba nam ludzi jego pokroju, żeby stawić czoło tym wszystkim Buchananom i Douglasom i obnażyć ich prawdziwe oblicze. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby Douglas wysunął swoją kandydaturę z ramienia Partii Demokratycznej. Bóg świadkiem, że potrzeba nam kogoś, kto odważy się wreszcie wystąpić i powiedzieć, że każdy nowy kompromis w sprawie niewolnictwa, który narzucają nam właśnie tacy ludzie, jak Douglas, to nowe pęta na nogach Murzyna.

– Może jednak mógłbyś mówić trochę ciszej – powiedział Andrew. – Nie żebym się z tobą nie zgadzał. Ale wolałbym wyjść stąd cały i zdrowy, a nie posiekany na kawałki.

– A ja myślę, że taki ugodowy demokrata to dla nas najlepsze wyjście – wtrącił Charles.

– Tylko nie myślcie, że z nimi trzymam – co to, to nie. To kupa mięczaków, bezkręgowców. Ale gdybyśmy mieli prezydenta republikanina, który by się otwarcie o wszystkim wypowiadał i mówił, co republikański prezydent mówić powinien, to by rozbił całe Stany, ani byśmy się obejrzeni.

– Wojna i tak jest nieunikniona, nawet jeśli ciągle będziemy iść na kompromis – argumentował Collis. – A im dłużej będziemy iść na kompromis, tym gorzej będzie, kiedy zaczną się rozruchy. To tak, jakby się przyciskało pokrywę nad gotującą się kaszą, siadało na niej i miało nadzieję, że nie wykipi.

– Oj, chyba przesadzasz. Przesadzasz trochę – rzekł Charles.

Collis popatrzył mu prosto w oczy.

– Nie sądzę – powiedział. – Dyskutowałem raz na ten temat z senatorem Douglasem, już parę lat temu. Przyszedł do nas na kolację, do domu rodziców w Nowym Jorku, na Dwudziestej Pierwszej Ulicy, zaraz potem, jak jego projekt włączenia nowych terytoriów, Nebraska i Kansas, do Zjednoczenia, przeszedł w parlamencie. W oczach mojego ojca Douglas był prawdziwym

bohaterem naszych czasów. Wznosili nawzajem toasty na swoją cześć i śmiali się ze swoich dowcipów, a Douglas oczywiście popisywał się bombastycznie napuszonym patriotycznym krasomówstwem i gdybyście widzieli wtedy tę rozlazłą, wredną ropuchę to też by się wam wszystkiego odechciało, mówię wam.

Collis pochylił się do przodu, opierając łokcie na stole.

– Wypytywałem go o ten nebraski projekt ustawy głównie dlatego, że wtedy jeszcze niezbyt dobrze rozumiałem, o co w nim w ogóle chodzi. Zapytałem, dlaczego proponuje, żeby nowe terytoria miały prawo samostanowienia w sprawie niewolnictwa, żeby mogły decydować indywidualnie, czy wolą utrzymać, czy też obalić niewolnictwo, a on zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem odparł, że jest zwolennikiem władzy ludu i uważa, że każdy powinien mieć prawo do tego, by decydować o własnym losie. „Osobiście” – tak mi właśnie powiedział – jest mi to całkowicie obojętne, czy będą głosować za, czy przeciw niewolnictwu.

Andrew pokiwał głową.

– A ty na to, jak cię znam, bratku: „Sęć w tym szanowny panie senatorze, że nie ma, psiakrew, najmniejszej szansy, że będą głosować przeciwko. A jakby się znalazł jaki szaleniec, co by otwarcie opowiadał się za obaleniem niewolnictwa, to mu te oprychy z Południa, panie dziejku, tak złożą skórę, że sobie na całe życie popamięta”.

Collis zaśmiał się serdecznie.

– Niedużo się pomyliłeś. Sens był mniej więcej taki, tylko słowa bardziej wyszukane. Ale Douglas powiedział, że jego zdaniem nie da się obalić niewolnictwa. Że jest tego pewien. Ale jeśli taka jest właśnie wola narodu, to on się nie będzie przeciwstawiał, niezależnie od tego, co sam o tym myśli. I wtedy właśnie zwrócił się do mojego ojca, który sam żeruje na dochodach z Południa, i powiedział, że jest przekonany, iż większość bankierów na Wall Street jedzie na tym samym wózku, że mają intratne inwestycje na Południu, tak że jeśli będzie głosować za niewolnictwem, to jego kumple na Południu na pewno go za to nie znienawidzą. A przede wszystkim – a pamiętam, co mówił, jakby to było wczoraj – powiedział, że tak między nami mówiąc (a liczy w tym na naszą dyskrecję), chciałby, aby Kansas i Nebraska przyłączyły się wreszcie do Zjednoczenia, bez dalszej zwłoki i bez zbytnich waśni na temat niewolnictwa, ponieważ wplątał się w jakieś interesy z inwestorami z Chicago, którzy chcieli budować kolej żelazną z Chicago na Zachód, przez Council Bluffs, ale dopóki Kansas i Nebraska nie ustanowią własnych rządów lokalnych, będą mieli w tej sprawie związane ręce.

– Tak, sam o tym słyszałem – rzekł Andrew. – Masz rację Collis, włosy stają człowiekowi dęba na głowie, kiedy się o tym słyszy. Na co nam przyszło, jeśli taki jeden gnojek może prawie rozbić całe Zjednoczenie tylko dlatego, że chce sobie napchać kieszenie forszą przez realizację jakiegoś prywatnego projektu kolejowego.

– No właśnie, o to mi chodzi, kiedy mówię, że ci sami ludzie, którzy niby chcą uniknąć wojny, właśnie ją na nas sprowadzą, tak czy tak – rzekł Collis. – Będą się podlizywać południowcom, a tamci będą doić coraz więcej, aż wreszcie przyjdzie czas, że będziemy musieli powiedzieć: „Dosyć tego. Koniec, kropka. Trzeba się wreszcie z tym rozprawić”.

– Więc twoim zdaniem wojna jest nieunikniona? – zapytał Charles.

– Albo wojna, albo coś takiego. To zależy od tego, kto zajmie miejsce Starego Kozła.

Kelner pojawił się znowu koło nich z wózkiem na kółkach, pełnym srebrnej zastawy stołowej. Zdjął pokrywę z całym kunsztem prestidigitatora – tutaj befsztyki z rusztu, tu znowu pieczony kurczak, tam smakowicie przyrumienione frytki, placki kukurydziane, zielona fasolka, zapiekane pomidorki, a jeszcze gdzie indziej kasza jęczmienna. Hokus– pokus, bardzo proszę! Potem sprawnie umieścił przed każdym gorący, lśniący talerz i zręcznie nałożył każdemu porcję.

Collis i Andrew zamówili stek. Każda porcja musiała ważyć ze dwa funty. Z zewnątrz skórka była przypieczona i chrupiąca, a wewnątrz mięso ociekało krwią. Kurczak Charlesa był pieczony na maśle, doprawiony rozmarynem i wydawał z siebie mocny ziołowy zapach.

Charles wznosił kieliszek burgunda.

– A oto mój toast. Żeby nam kiszki poskręcało! – Patrzył z satysfakcją, jak dwie porządne łyżki zapiekanej bułki tartej lądują zgrabnie na jego talerzu, obok kurczaka.

Jedli przez jakiś czas w milczeniu, czasem tylko prosząc o dokładkę sosu, chleba albo o dolewkę wina. Wokół, to wznosząc się, to opadając, rozbrzmiewał śmiech i zgłębki rozbawionego towarzystwa z wyższych sfer, z San Francisco. Dźwięk ten nie przypominał w niczym nowojorskiej wrzawy, jaką Collis pamiętał z wieczorów spędzonych na mieście.

Zamiast poufnych urywków rozmowy, prowadzonych z wyszukaną dykcją typową dla mieszkańców Wschodu, przerywanych od czasu do czasu wybuchami szyderczego śmiechu, zewsząd dobiegało go tutaj nieprzerwane kwakanie, jakby nie kończące się stado wędrownych kaczek przelatywało nad ich głowami. Collis uniósł parę razy głowę i zobaczył, jak Charles wpycha sobie połowę kurzej piersi do ust, a William Tecumesh Sherman, przy swym stoliku w kącie po drugiej stronie sali, z głową zwieszoną nad talerzem, wypluwa z ust jakąś chrząstkę z taką samą dziką zawziętością, z jaką ją przedtem pożerał. Po odkrojeniu jeszcze kawałka steku Collis zdał sobie nagle sprawę z tego, że nie czuje się już zmęczony, a już zdecydowanie nie jest głodny i właśnie dlatego tak małostkowo czepia się tej pozornej barbarzyńskości San Francisco.

– Zachłanność, a nie filozofia popycha nas do wojny, panie dziejku – rzekł Andrew.

– No cóż, każdy dba o swoje interesy – odparł Charles. – Zamówiłem transport lodu z Sitka, w lipcu, sześćset ton i wyładowałem go z zatoce San Francisco; trochę sprzedałem od ręki, a resztę przewiozłem do Sacramento parowcem i ciuchcią. Czteryście ton się roztopiło, a i tak zarobiłem na tym dziewięćset dolarów. Niby mała rzecz, a cieszy, jak to mówią.

– To doskonale. Gratulacje! – rzekł Collis. – Ale handel towarami przemysłowymi albo lodem nie zależy od niewolników. Miarkuję, że południowcom nie zależy na tym, czy Murzyni będą mieli zapewnione prawa konstytucyjne, czy nie, tylko na tym, czy ich stać na wyzwolenie niewolników, czy też zbytnio by ich to uderzyło po kieszeniach.

– Prezesa Sądu Najwyższego Taneya jakoś nie stać na wyzwolenie swoich poddanych – zgodził się Charles.

Była to sarkastyczna aluzja do sprawy Dreda Scotta, w której decyzja zapadła w marcu.

Dalej toczyły się nad nią zażarte dyskusje. Prezes Sądu Najwyższego, otwarcie popierany przez prezydenta, zawyrokował, że niewolnik Dred Scott (który wniósł pozew do sądu o wolność, argumentując, że od czterech lat mieszka w wolnym stanie) jest nadal niewolnikiem i „nie ma żadnych praw, z którymi liczyć by się musiał biały człowiek”. Rozwścieczyło to abolicjonistów: w ich odczuciu pakowano im niewolnictwo siłą do gardła.

Andrew, odkrawając bez pośpiechu wielkie kawały steku, które znikwały w czeluściach jego jamy brzusznej, jakby to była studnia bez dna, zauważył: – Prezes Sądu Najwyższego Taney wpędzi nas jeszcze któregoś dnia do grobu.

W końcu odłożyli noże i widelce, a Collis zostawił na talerzu z funt nie dojedzonego mięsa. Z kurczaka Charlesa zostały tylko kosteczki, jak szkielet rybackiej łodzi zakotwiczony na wybrzeżu ziarenek mamałygi, a Andrew zapamiętałe wycierał sos z talerza ostatnią kromką razowego chleba.

– Nie przejmuj się, Collis – rzekł Andrew – jak tylko się wyśpisz porządnie, to i apetyt ci zaraz wróci.

Charles rozsiadł się wygodnie na krześle i dyskretnie odpiął dwa guziki u dołu kamizelki.

– Jak już jesteśmy przy Fremontie i Douglasie, to wiecie co? Ten natręt, co to chce budować kolej żelazną, znowu, mi wiercił dziurę w brzuchu na ten temat. W zeszłym tygodniu, w Sacramento.

– I co mówił? – zapytał Andrew.

– A pieprzył coś o transkontynentalnej kolei żelaznej. Twierdził, że jest pewien, że mógłby przeprowadzić linię Sacramento Valley prościuteńko przez Sierra Nevada. Taki z niego wariat, że może by mu się to i nawet udało, kto wie? Ale nudziarz z niego nieprzeciętny. A co mnie tam do jakichś pociągów? Tyle o nich wiem, że robią mnóstwo hałasu, zostawiają po sobie kłęby dymu i że przywożą mi produkty z portu. A ten tylko by głądził o przekopach, niwelacjach, nasypach i tunelach. W głowie mi się od tego wszystkiego kręci.

– Collis też gadał o kolei transkontynentalnej, kiedy przejeżdżaliśmy przez Cieśninę Panamską – rzekł Andrew. – Bałem się, że jak tylko zejdziesz ze statku, to zaraz pobiegnie układać tory.

– Każdy, kto się przeprawia przez Cieśninę, zaczyna rozprawiać o kolei transkontynentalnej – rzekł Charles. – Nie ma co do tego wątpliwości, że gdybyśmy mogli taką kolej wybudować, to byśmy się wzbogacili jak cholera. Szczególnie, jeśli dojdzie do wojny domowej i trzeba się będzie tak jakoś ustawić, żeby się ta cała zaszana sprawa nie wymknęła spod kontroli.

– To samo mówiłem Collisowi – przyznał Andrew. – Gdyby się komu udało zbudować taką kolej, facet by się wzbogacił bardziej niż sam cysorz.

– Kto taki? – dopytywał się Charles.

– Wszystko jedno – odparł Andrew.

– Ten gość w Sacramento, ten natręt od kolei.... czy on rzeczywiście wierzy, że mógłby poprowadzić drogę żelazną poprzez góry? – zapytał Collis.

– Tak twierdzi. Ale nie zapominaj, że to fanatyk. A to, co mówią fanatycy, trzeba zawsze rozcieńczyć w soku cytrynowym i occie. Rozmawiałem na ten temat z pułkownikiem Charlesem Wilsonem – prezesem Przedsiębiorstwa Kolejowego Sacramento Valley – i on mówi, że zbudowanie dwóch mil torów kolejowych, tylko do kopalń złota w Folsom, pochłonęło wszystkie jego fundusze i wyczerpało wszystkie siły. Może i ten jego natręt od kolei byłby nawet i w tym lepszy, bo trza powiedzieć, że zna to od podszewki, ale gdzie on się tam rwie, żeby poprowadzić kolej przez Sierra Nevada. Nie, nie. To istne szaleństwo.

Współczesna, nowoczesna lokomotywa może się najwyżej wspiąć na pagórek pod kątem nachylenia stu szesnastu stóp na milę, wiedzieliście o tym? Tak mi mówił pułkownik Wilson.

A to jest takie płaskie wzniesienie, że ledwo by je człowiek zauważył gołym okiem.

Kelner przyniósł im jeszcze jedną butelkę burgunda i nalał odrobinę Charlesowi do kieliszka.

– Nalewaj, chłopcze, nalewaj – rzekł Charles z rozdrażnieniem w głosie. – Nie może być gorsze od tego, czym nas uraczyłeś poprzednio.

Wcale tym nie speszony kelner odparł spokojnie: – Jak pan sobie życzy, Mr Tucker. – I napełnił kieliszki.

– Tak jak mówiłem – kontynuował Charles, zginając kartę menu w taki sposób, aby przedstawiała strome zbocza zachodnich pasm Sierra Nevada – żadna współczesna lokomotywa nie mogłaby się przedrzeć przez te góry, bo zbocza są zbyt strome. A nawet gdyby się komu udało znaleźć jakąś zygzakowaną trasę slalomem pomiędzy górskimi szczytami, z odpowiednim kątem nachylenia, uważasz, to i tak pewnie nic by z tego nie wyszło, bo krzywa torów kolejowych musi mieć promień długości trzystu stopni. Tak twierdzi pułkownik Wilson. Inaczej lokomotywa wyskoczy z szyn.

– A mimo to ten natręt od kolei dalej utrzymuje, że by się to dało zrobić, tak? – zapytał Andrew. – Mimo że karty menu w tej restauracji mają grzbiety zbyt spadziste nawet dla najnowocześniejszej lokomotywy?

– A wiesz, czemu John Frémont nalegał, żeby znaleźć odpowiednie przejście? – odciął się Charles. – Zobacz, Wydział Zbrojeń wysłał aż cztery ekspedycje, żeby znaleźć przejście przez Góry Skaliste i Sierra Nevada. Cztery! I wiesz, dlaczego wszyscy utrzymywali – wszyscy jak jeden mąż – że jest takie przejście? Dlatego, że już tam dobrze posmarowano im łapy, a poza tym czuli, że mają za sobą poparcie polityków. Akurat takich, jak ten kumpel Collisa, ten cały senator Douglas. Ci, co niby to znaleźli przejście od południa, mieli poparcie Jeffa Davisa i wszystkich tych twardogłowych polityków z Południa, a ci, co znaleźli przejście przez równiny i ziemie północne, ci byli opłacani przez Jankesów.

– A nie mogli mówić, że znaleźli takie przejście dlatego, że je naprawdę znaleźli? – skomentował Andrew.

Charles grzmotnął pięścią w stół.

– Akurat! Jak naprawdę znaleźli takie przejście, mój ty panie mądraliński, to dlaczego nie zabrali się od razu do budowy kolei, ha? Przecież odtąd minęły już trzy... nie... nawet cztery lata. Moim zdaniem, to wszystko gruszki na wierzbie, i tyle.

– A jak się ten twój natręt od kolei nazywa? – zapytał Collis.

– Theodore Jones – powiedział Charles. – Nawet porządny z niego gość tak na co dzień, nie powiem. Ale niech cię Bóg broni wspomnieć coś na temat drogi żelaznej. Annie, jego żona, często wpada do sklepu na pogaduszki z Klarą. Całkiem mili ludzie. Tylko trzeba uważać, o czym się z nim mówi. Bo jak tylko ci się wypnie jakieś nieodpowiednie słowo, jak „kąt nachylenia” albo „podkład kolejowy” albo „hamulce”, to zaraz mu się język rozwiązuje i będzie ci nawijał, przez godzinę w kółko o tym samym.

Collis uśmiechnął się swobodnie.

– Chciałbym go poznać.

– Poznasz go, poznasz, nic się nie martw. Pojedziesz przecież ze mną do Sacramento, co?

Tylko uważaj. Wszyscy wiedzą, że ma fisia na punkcie tej kolei transkontynentalnej.

– Charles – powiedział Collis, tym razem już całkiem poważnie. – Kiedy przejeżdżaliśmy przez Cieśninę Panamską, o mały włos nie straciłem kogoś, na kim bardzo mi zależy. A wszystko przez żółtą febrę. Dlatego idea budowy transkontynentalnej linii kolejowej bardzo do mnie przemawia. I jeśli tam, w Sacramento, macie faceta, który twierdzi, że znalazł trasę na taką linię przez Sierra Nevada, to chciałbym bardzo z nim pogadać.

Charles westchnął z rezygnacją.

– No nic. Mówiąc szczerze i tak nie będziesz miał innego wyjścia. Jak tylko usłyszysz, że się tym interesujesz, sam do ciebie przyleci. Ale moim zdaniem, to strata czasu. Trwoni całą swoją energię na próżno. I ciebie też w to wciągnie. No, bo powiedzmy, niech by i nawet znalazł to przejście przez Sierra Nevada, to co z tego? Musi się potem jeszcze przedrzeć przez Great Basin – a tam wody jak na lekarstwo, mucha by sobie tym pyska nie wymyła; a budulec? – też go tam nie znajdziesz. I jak tu przeprowadzić przez to linię kolejową? A potem są jeszcze Góry Skaliste, wcale nie niższe niż Sierras. Stepy, pustynie i góry. Śniegi albo susze. Jak, u diabła, chcesz przez to przeprowadzić tory kolejowe? To ponad ludzkie siły!

Po smacznym posiłku i dobrym winie, przy koniaku i hawańskich cygarach, rozsiadli się teraz wygodnie na krzesłach, zarumienieni i z wyrazem zadowolenia na twarzach. Rozmowa zesła z kolei na taniec, z tańca na teatr, a z teatru, oczywiście, na kobiety.

– Jest to dla mnie oczywiste, że Collis lubi pewien specyficzny typ kobiecej urody, panie dziejku – rzekł Andrew. – Nieważne, czy to szatynki, jak ta Metyska na parowcu, czy blondyneczki, jak Mrs West. Ale muszą mieć wydatny biuścik, nie jakieś tam płaskie deski, i muszą mieć wyraziste rysy twarzy. A przede wszystkim – dodał, podnosząc głos, co spowodowało protesty Collisa – w ich oczach tlić się muszą ogniki tajemnych pasji. Ogniki, które zdradzają ukryte namiętności i nietuzinkowe, powiedziałbym egzotyczne, jeszcze nie zaspokojone pragnienia.

Collis roześmiał się głośno.

– Egzotyczne, nie zaspokojone pragnienia? Mówisz, jakbyś chciał zachęcić kogoś do kupna perskiego dywanu.

Kelner, w rozsznurowanych butach i z zatkniętym za uchem ołówkiem, podszedł do nich raz jeszcze i zapytał, czy życzą sobie kolejną butelkę brandy. Było już teraz dobrze po jedenastej i w restauracji robiło się coraz ciszej.

Andrew podniósł swój kieliszek i spojrzał na Collisa poważnie, choć oczy miał już nieco zamglone.

– Rzecz w tym – powiedział – co masz zamiar zrobić z tą Mrs West? W tym właśnie cała rzecz.

– West to podobno bardzo porządny gość – wtrącił Charles. – Na twoim miejscu porzuciłbym myśl o przyprawieniu mu rogów. Sam sobie mógłbyś tym zaszkodzić. W każdym razie na pewno nie przyniosłoby ci to żadnego pożytku.

– A jaka jest twoja definicja „pożytku”? – dopytywał się Andrew, sącząc swoją brandy.

Collis starał się uśmiechnąć.

– Sam jeszcze nie jestem pewien, co powinienem zrobić. Mrs West jest kobietą bardzo pociągającą, bez dwóch zdań. Kiedy byłem blisko niej, czułem się, jakby rzuciła na mnie jakiś czar. Wydawało mi się, że muszę ją kochać, czy to po mojej myśli, czy nie. Ale teraz... tak prawdę mówiąc... sam już nie wiem. Moje serce nadal przepelnione jest tkliwością dla niej i sądzę, że gdyby tylko tu była, wystarczyłby jeden jej uśmiech, i przysięgałbym, że ją będę kochać aż do śmierci. Ma taki słodki, zniewalający uśmiech. Jak drżąca orchidea.

– Mów dalej – rzekł Charles rozbawiony.

– Chciałbym bardzo, ale tyle jest jeszcze nie rozwiązanych kwestii. Chodzi mi głównie, oczywiście, o jej małżeństwo z Walterem Western. Nie wiem nawet, jak on wygląda. Ale naturalnie Hanna musi mieć szansę połączenia się z nim. Przecież czekał na nią przez dwa lata. Żał mi chłopca. Jeśli był jej wierny, to się chłop musiał mieć, cholera, na wodzy, przez kawał czasu. Zasluguje na to, żeby dać mu szansę, jak uważacie? Po tym, jak pisał do niej te wszystkie listy i dosypywał do kawy bromu, żeby się nie dać ponieść popędom cielesnym.

– A komu w ogóle kiedykolwiek życie ofiarowuje jakąś szansę w miłości? – rzekł Andrew z uśmiechem, który tak naprawdę nie był wcale uśmiechem. – I powiem wam, że nikt też na nią nie zasługuje. Nikt nie zasługuje na to, żeby być kochanym. Albo się jest kochanym, albo nie i nawet wycie nocą do księżyca tego nie zmienia.

– Jesteś dziś w bardzo filozoficznym nastroju – zauważył Charles.

– Wydaje mi się, że to raczej Collis jest dziś filozoficznie usposobiony – odparł Andrew.

– Może jednak co z oczu, to i z serca?

– Posłuchaj no, a rozwód? – wyjaśnił Collis. – To niebagatelna sprawa. Hanna jest głęboko wierzącą katoliczką z Bostonu i wydaje mi się, że nie ma już ani siły, ani ochoty na ponowną walkę z Kościołem. Zużyła cały swój zasób buntowniczej energii, wychodząc, wbrew woli ojca i matki, za Waltera. On jest protestantem, wiecie panowie, więc rodzina nie była zachwycona. Wycierpiała się już wielokrotnie za ten jeden występki i rozwód teraz może okazać się po prostu ponad jej siły.

– No to co masz zamiar zrobić? – spytał Andrew.

Collis odwrócił wzrok i zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

– Chyba kupię jej bukiet róż – rzekł wreszcie.

Charles wybuchnął śmiechem i aż uderzył pięścią w stół na znak aprobaty. Potem chwycił łańcuszek od zegarka i sprawdził, która godzina.

– No, teraz to już naprawdę na nas czas, panowie, jeżeli chcemy pomóc Collisowi zdobyć trochę pieniędzy. Dalej masz ochotę na partyjkę faraona, Collis, czy może wolałbyś wrócić do Janki Zadupczanki i paść w objęcia tej twojej gołąbeczki, co to grucha tylko po portugalsku?

– Partyjka faraona dobrze by mi zrobiła – odrzekł Collis. – Przynajmniej będę mógł usiąść przy kartach, nie ruszając się od stołu. Jakikolwiek wysiłek fizyczny w tej chwili przyprawiłby mnie o chroniczną niestrawność żołądka.

– Bravo! – odparł Charles. – No to idziemy. Opuścili hotel International, zegnani ukłonami kelnerów, którzy odetchnęli z ulgą, widząc, że wreszcie sobie pójdą, i popchnęli szklane drzwi w mahoniowej futrynie, by wyjść na zewnątrz, gdzie w ciepłym, dusznym powietrzu nocy czekała już na nich bryczka Charlesa Tuckera.

– Jedziemy do Eagle Saloon, Billy – zarządził Charles, a woźnica cmoknął na konia i powóz z klekotem potoczył się po kocich łbach.

Choć zamykano już właśnie hotele i restauracje, wymiatając kurz i śmieci z lepszych lokali na ulicę, San Francisco nadal hałaśliwie tętniło życiem. Po brezentowych ścianach domów gry i rozlicznych namiotów, gdzie mieściły się kasyna, oświetlonych od wewnątrz lampkami górniczymi, błąkały się wyolbrzymione cienie, a miasto nadal wrzało i kipiało w nieustającym ruchu i krzątaninie. Kiedy przechodzili obok jednego z takich namiotów, Andrew zauważył, że czynsz za wynajem wynosił czasem i 40000 dolarów rocznie, więc nawet tylko w ciągu pół roku można zbić niezłą sumkę, gdyby się nim zarządzało.

Z otwartych drzwi każdego z namiotów dobiegały dźwięki muzyki: piskliwe akordy pianina, przeciągłe łkanie akordeonu, ochryply śpiew z balwierni, taneczne dźwięki gitary i rzepolenie skrzypiec. W samym śródmieściu i na okalających je wzgórzach, wszędzie paliły się światła, z lamp, ognisk, pochodni, i Collis nie dziwił się już, że co cztery czy pięć lat w San Francisco wybuchał jakiś pożar o katastroficznych wręcz rozmiarach. W jednym z ostatnich, i to najgorszych, pożarów, tym z 1851 roku, stary hotel City, gdzie Janka Zadupczanka zaczynała swoją karierę jako burdel – mama, spłonął doszczętnie. Pozostały po nim tylko zgliszcza.

Ale przede wszystkim nie mogło ująć uwagi przybysza, że w tym oświetlonym i rozśpiewanym powietrzu nocy, na każdym rogu ulicy, w każdym zakątku miasta, unosił się zapach jedzenia. Tu ostry, pikantny zapach potraw meksykańskich, enchiladas i frijoles refritos, tam woń pionierskiej kuchni, sytnej, choć niewyszukanej, dalej przyrządzanej dokładnie tak samo, jak dawniej w pociągach, które przemykały przez ługowate pustynie Utah i przesmyki Humbolt Range: bigos wiejski z siekaną fasolą i gulasz na kukurydzy, tu znowu morskie frykasy: ostrygi smażone w tartej bułce i prażone ogony homarów przyrumienione na maśle, były też mięsne dania południowoamerykańskie i hawajskie, marynowane potrawy z ananasami, australijska wołowina i jabłka w cieście. I wszędzie, niczym egzotyczne i wciąż powracające wspomnienie, z pokoi na piętrze w walących się ruderach, gdzie paliły się dracenowe latarenki i gdzie szeroko rozwarte

okiennice wpuszczały do środka ciepłe powietrze wrześniei nocy, z wąskich alejek i bocznych, sekretnych wejść, dochodził zapach chińskich potraw: faszerowanej ryżem kaczkę, ryby w galarecie, gorących kasztanów i chrupiącego ryżu, a przede wszystkim – specjalności Chińczyków z San Francisco – ryżowych zrazów, suto omaszczonych duszoną cebulą.

– Kiedyś zabiorę cię do takiej meliny, gdzie sprzedają opium – obiecał Charles. – Wang–Pu, znajomy mojego parobka, jest kierownikiem takiego domu o całkiem niezłej reputacji, niedaleko portu. Mówiąc szczerze, nie wiem, czy jest znowu taka duża różnica między tą meliną a palarnią w Radzie Miejskiej, w Sacramento. Tyle tylko, że Chińczycy palą zwykle na leżąco i nie zdzierają sobie gęby na kretyńskich swarach.

Przybyli do Eagle Saloon na Kearney, na północ od Portsmouth Square, i zeskoczyli z powozu. Mężczyzna z kwaśną miną, w czarnym, zakurczonym garniturze, opierał się o latarnię gazową. Rączka od rewolweru w kolorze kości słoniowej wystawała spod jego fraka. Charles zawołał do niego: – Rzuć no, chłopcze, okiem na tę dryndę od czasu do czasu, dobra? Woźnica musi iść na kolację.

Facet z niezadowoloną miną skinął głową. Był to „stróż” z Eagle Saloon – facet, którego zadaniem było czuwać, żeby zamroczeni alkoholem klienci nie zostali zaatakowani i obrabowani u stóp lokalu. Kiedy już zeszli mu z oczu i uszu, zniknąwszy za rogiem ulicy, mogli sobie wrzeszczeć wniebogłosy – jemu tam nic do tego. Ale kierownictwo wołało, aby ulica była w miarę spokojna i bezpieczna. Bardziej się im to opłacało finansowo.

Billy przeszedł na drugą stronę ulicy do Barreltop Lunch, na miskę smażonej ryby i golonki z duszoną cebulą, podczas gdy Charles wprowadził ich do Eagle Saloon. Kiedy przechodzili obok stróża, wrzucił mu do kieszeni surduta srebrniaka, ale ten, chudy i pryszczaty, z wąziutkimi oczami, pewnie nie więcej niż dziewiętnastoletni, nawet nie zamrużył powiekami.

Kiedy byli już w drzwiach knajpy, na których, na zielonym szkle, wyryte były motywy orłów*, Charles zwrócił się do Collisa i powiedział: – Zapewniam cię, że jeśli jakiś przeklęty poszukiwacz złota albo inny pogromca mułów odważy się świsnąć moje konie, to rozwałę mu łeb własnoręcznie, bez wnikania w szczegóły.

W środku Eagle Saloon panował nieprzeciętny gwar: zewsząd dobiegały ich głośne rozmowy, śmiech i muzyka. Powietrze ciężkie było od dymu z cygar, a wśród tej sinej mgły kelnerki w piórach na głowach i długich czarnych sukniach wyszywanych cekinami przechodziły z tacami whisky i warzonego piwa. Był tam też długi barek, na którym stali bywalcy lokalu, w kapeluszach na bakier i z kciukami za pazuchą, opierali łokcie, a za barem ponury człowieczyzna, z oczami krótkowidza i sumiastym wąsem, nalewał drinki z prawie magiczną prędkością i zręcznością.

Wystrój wnętrza był bardzo kosztowny – wszystkie ściany były lustrzane, a lustra pochodziły z Paryża; miało się wrażenie, że z jednego Eagle Saloon można przejść do drugiego, i jeszcze następnego, i tak bez końca, i że cały lokal to taki bezkresny dworzec kolejowy, po którym zrozpaczeni pasażerowie błądzą godzinami, nie mogąc odnaleźć swojego pociągu.

Collis, w wieczorowych rękawiczkach, wyłamywał palce, tak że aż chrzęściły mu kości.

Ogarnęła go chwilowa panika, typowa dla nie wtajemniczonego nowicjusza, nie dlatego, że nie był pewien swoich umiejętności co do faraona, ale ze względu na hałas, prostacką klientelę i nieznajomość miejsca.

Młoda kelnerka z pyzatą buzią i dużym czarnym pieprzykiem po jednej stronie nosa podeszła do nich i podprowadziła ich do stolika.

Collis zdjął rękawiczki, choć pozostawił na głowie cylinder, i zamówił czystego burbona.

Potem znowu zaczął wyłamywać palce i uśmiechnął się niepewnie w stronę Andrew i Charlesa.

– I co teraz?

– To zależy od ciebie – rzekł Andrew. – Jeśli chcesz zagrać w karty albo w kości, to ustawimy cię przy grze w karty albo w kości. Ale jeśli masz jakiś inny pomysł, to powiedz, a zobaczymy, co się da zrobić.

Collis rozpląszczył dłonie na blacie stolika. W tej dymnej zasłonie pianista, którego ogromne pośladki zwisały ze stołka i trzęsły się jak torby z gotowanym budyniem, bębnił „Bez śladu twa wielka miłość minie”, podczas gdy jedna z kelnerek stała obok niego i wydierała się tak wysokim sopranem, że nikt nie rozumiał ani słowa.

– Nie grałem już od tygodnia, czy nawet dwóch – powiedział Collis. – Może zagramy tak na próbę, żebym się jakoś w to znowu wciągnął.

– Czemu nie – rzekł Andrew. Wyjął skórzany portfel i wytrząsnął zeń na stół trzydzieści czy czterdzieści dolarów w złocie i srebrze. Potoczyły się, zawirowały, a potem upadły na stół.

– Dobra – rzekł Collis. – Założę się o dziesięć dolarów, że następny klient, który wejdzie tymi drzwiami, będzie miał na sobie kraciatą kamizelkę.

– Niech będzie dziesięć dolarów – zgodził się Andrew.

– A to co za głupia gra? – zapytał Charles. – Dziesięć dolarów o kraciatą kamizelkę?

– Grasz z nami? – zapytał Collis.

– Jasne, że tak – odparł Charles. – Ale nigdy w życiu nie słyszałem jeszcze takiej bzdury.

Pogrzebał w kieszeni marynarki, a potem położył na stole dwie pięciodolarowe złote monety.

– Ale może mi jednak powiesz, jak się ta gra nazywa?

Collis nie odpowiedział; siedział z oczami utkwionymi w zielone szybki w drzwiach Eagle Saloon. Widział na zewnątrz czyjaś sylwetkę; potem drzwi się nieco uchyliły, zakołysały i znowu zamknęły. Ktokolwiek się tam znajdował, rozmawiał właśnie ze stróżem albo żegnał się ze znajomymi. Wreszcie drzwi uchyliły się raz jeszcze, dygotały przez chwilę na wpół otwarte, aż w końcu mężczyzna w brązowym garniturze i kraciatej, żółtej kamizelce wszedł do środka i skierował się w stronę baru.

Andrew spojrział na Collisa spod oka, przesuwając dziesięć srebrników po gładkiej powierzchni stołu. Collis ułożył je w równiutką wieżyczkę. Charles również pchnął swoje monety w jego stronę.

– Ten rodzaj gry nazywa się spostrzegawczość, moi panowie. Trzeba się dobrze rozejrzeć po ulicy przed wejściem na salę – wyjaśnił Collis, nie podnosząc nawet oczu. – Za nami stał jeszcze jeden powóz, a w nim siedział ten facet, który właśnie wszedł.

– Nie dam się więcej tak wpuścić w maliny – ostrzegł go Andrew.

– Zobaczmy – odparł Collis. – I w dodatku następnym razem nie będziesz się mógł wykrecać nieznamościami rzeczy.

Charles, szczerze ubawiony, przeniósł wzrok z Collisa na Andrew i z powrotem, a potem ryknął nagle typowym dla siebie, rubasznym śmiechem.

– Może od tej pory powinniśmy zacząć łupić innych, a nie siebie nawzajem – powiedział. – Coś mi się zdaje, że nietrudno nam będzie dojść do porozumienia, Collis.

Kelnerka, z kołyszącymi się na biodrach jedwabnymi frędzelkami i podskakującymi na głowie piórami, zbliżyła się do nich z tacą napojów, a Collis mrugnął do niej, kiedy stawiała przed nim burbona. Musiał przyznać, że było mu teraz sto razy lżej na duszy.

– No to co? Może byśmy tak spróbowali obłupić ten lokalik? – zapytał, łyknąwszy trochę whisky. – Tam, przy tych stolikach po drugiej stronie sali, grają w faraona.

– No to niech będzie faraon – zgodził się Andrew. Opuścili swoje miejsce i przenieśli się bliżej stołów z faraonem, żeby się dołączyć.

Usiedli przy stole, gdzie trzech kopacze złota o szpakowatych bródkach wlewali właśnie ostatni kieliszek wódki – siup! – do zaczerwienionych gardeł, zgarniając wygraną i szykując się do wyjścia. Dłonie ich były zrogowaciałe, a twarze porane bruzdami od ciągłego mrużenia oczu w jaskrawych promieniach słońca, ale garnitury mieli skrojone z doskonałego materiału i skropieni byli taką ilością francuskiej wody kwiatowej na spirytusie, że przez miesiąc można by jej używać jako paliwo, oświetlając niejedną sypialnię w niejednym szanującym się burdelu. Jeden z nich, przechodząc obok, rzucił w stronę Collisa: – Uważaj na krupiera. To kawał skurczybyka; trzyma pod stołem podręczny rewolwer.

Collis spojrział na Andrew i uniósł brwi ze zdumienia. Ale Andrew tylko wzruszył ramionami, jakby takie rzeczy były tu na porządku dziennym, i przystawił mu po prostu krzesło.

Krupier, w jasnokremowym meloniku i pasiastej jedwabnej koszuli, robił wrażenie ponuraka. Oczy miał błękitne i bystre, a wąsy podstrzyżone tak równiutko, jakby je codziennie wy – czesywał zgrzeblem.

– Dobry wieczór, panowie – powiedział i przetasował talię kart.

– Zajmę się podliczaniem, jeżeli nikt nie ma nic przeciwko temu – rzekł Collis.

Krupier przeszył go wzrokiem w milczeniu, ale potem wzruszył ramionami i podał mu liczydła. Były na nich namalowane rysunki wszystkich kart w kolorze pików; przy każdym z nich był drucik, a na nim cztery guziczki. Kiedy rozgrywano jedną z kart, w jakimkolwiek kolorze – bo piki na liczydłach nie miały żadnego specjalnego znaczenia, Collis zaznaczał to, przesuwając guziczki.

Miało to pomóc grającym w zapamiętaniu, co licytują, żeby zapobiec niesnaskom; chociaż tutaj, pomyślał Collis, było to pewnie nieodzowne, żeby się nawzajem nie pozabijali.

– No i jak tam, panowie? Wszystko w porządku? – zapytał krupier. – Może jeszcze życzek czegoś mocniejszego, zanim wystartujemy? – Skinął głową w stronę kelnerki, która poszła do baru, by przynieść im drinka.

Na stole nakrytym zielonym suknem, poplamionym whisky i przepalonym porzuconymi cygarami, wszystkie karty w kolorze pików zostały wywołane po raz wtóry. Zawodnicy mogli kłaść stawki na wybraną przez siebie kartę, decydując, która wygrywa, a która przegrywa.

Robili to, układając po prostu stosik złotych lub srebrnych monet na odpowiednim obrazku.

Jeśli stawiali na przegraną, to na czubku dokładali sześciokątny żetonik z napisem „Eagle Saloon”.

Collis wyjął portfel, wydobyl z niego dziewięćdziesiąt dolarów, wszystkie w srebrnych monetach, dwie trzecie całego swojego dobytku, i postawił na wygraną asów i trójkę, a na przegraną królowych, trzydzieści dolarów na każdą kupkę. Andrew, ze zgaszonym cygarem w zębach, przyglądał się jego posunięciom z uwagą, a potem położył własną stawkę. On też postawił na przegraną królowych. Charles postawił na przegraną asów.

Krupier przytrzymał karty wierzchem do góry, w pudełku rozdzielczym naprzeciw siebie, i wyłożył pierwszą kartę, która nie liczy się w grze. Potem rozegrał następną kartę, piątkę karo, i ta przegrała. Collis zaznaczył to posunięcie na liczydłach, nie spuszczać oczu z pudełka rozdzielczego. Pod piątką karo leżał treflowy as i ten wygrywał.

– Dobra nasza – rzekł Andrew, zapalając cygaro. Krupier, bez cienia emocji, zapłacił Collisowi trzydzieści dolarów. Wszystkie stawki, na wygrywających i przegrywających kartach, były wypłacane po równo. Collis położył trzydzieści dolarów na przegraną dziewiątek.

Krupier wyciągnął zwycięską kartę z pudełka i położył ją na stole, aby utworzyć stosik wygrywających kart. Następną z przegrywających kart, siódemkę kier, położył na przegrywającej kupce. Zapłacił Collisowi następne trzydzieści dolarów, dalej „z miną kota srającego na puszczy”, jak to później podsumował Andrew.

Collis, pobudzony alkoholem i wrzawą w lokalu, doznał nagle jakby olśnienia: zobaczył w myślach – genialnie jasno – całą grę, jakby każdy kolejny ruch przesunął się przed nim jak w kolorowym kalejdoskopie. Miał do tego wyjątkowy talent i nie raz już, jeszcze w Nowym Jorku, wygrał dzięki temu w faraona setki dolarów. Oczyma wyobraźni widział przed sobą całą talię kart, jakby to było jasno oświetlone podium chóru kościelnego, i gdy tylko jedna z kart została rozegrana, wyobrażał ją sobie natychmiast jako biesiadnika, który opuszcza towarzystwo, mówi dobranoc i idzie sobie do domu. Wiedział zawsze doskonale, ile kart zostało już rozegranych i jakie to były karty; wiedział więc też, jakie jeszcze zostały w pudełku. A nawet więcej, obliczał sobie prawdopodobieństwo co do kolejności, w jakiej mogły być następnie rozgrywane.

Oczywiście nie można było przewidzieć, która z odsłoniętych kart będzie wygrywać, a która przegrywać, ale Collis uważał, że po prostu ma do tego nosa, i już. Czy to były czary, czy intuicja, czy też tylko ułuda, zawsze czuł, że jakoś uda mu się dostrzec jakiś ukryty rytm w sposobie, w jakim wychodziły z pudełka – szczególnie, jeśli znał krupiera.

Przy pierwszym rozdaniu postawił tylko trzydzieści dolarów na każdą z trzech kart. Kiedy doszli do dwudziestej czwartej wygrywającej karty, trzy karty przed końcem gry, wygrał dwieście dziesięć dolarów, a przegrał sześćdziesiąt.

– Życzy pan sobie je wywołać? – syknął krupier przez zaciśnięte zęby, ze wzrokiem utkwionym w krawat Collisa.

– Czemu nie – zgodził się Collis. – Powiedzmy, sto pięćdziesiąt dolarów, że to król, dwójka i walet.

Charles i Andrew też rzucili swoje stawki. Krupier odkrył po kolei króla pik, treflową dwójkę i waleta karo. Prawdopodobieństwo, że uda mu się wymienić ostatnie trzy karty w kolejności odkrywania, było cztery do jednego. Krupier pociągnął nosem, szarpnął wąsa, a potem pchnął stos złotych pięćdolarowych monet w kierunku Collisa.

Grali przy tym samym stole przez cztery godziny. O trzeciej nad ranem Eagle Saloon nadal roił się od karciarzy, w powietrzu unosiły się sine, gęste, duszące kłęby dymu z cygar, a wrzawa i śmiech zdawały się głośniejsze nawet niż uprzednio. Pianista, ożywiony kolacją z jajek na szynce, rąbał marsza i porywające pieśni republikańskie, a sędziwy, wyłysiały właściciel sklepu z artykułami gospodarstwa domowego, usiłował zademonstrować swoim kompanom, jak to kiedyś tańczył kadryla z rodziną swojej nieboszczki żony. Na zewnątrz, na ulicy, słychać było strzały z pistoletu, ale dochodziły z tak daleka, że bywalcy Eagle Saloon w ogóle nie zwracali na nie uwagi.

Między Collisem a krupierem zrodził się dziwny rodzaj antagonizmu. Zarówno Andrew, jak i Charles, obaj wyczuli tę lodowatą, nieprzyjemną atmosferę. Collis zauważył, że facet go nie cierpi już w momencie, kiedy tylko usiadł przy stole, i kładł to na karb zwykłej wrogości, którą odczuwali pionierzy, kiedy patrzyli na wytwornie przyodzianego dżentelmena ze Wschodu. Ale w miarę jak Collis zgarniał coraz więcej pieniędzy ze stołu, krupier stawał się coraz bardziej sztywny i lodowaty w obejściu i prawie że nie spuszczał z Collisa wzroku.

Zegar nad barowym lustrem wybił trzecią trzydzieści. Collis wyjął swój zegarek, sprawdził, czy dobrze chodzi, i nakręcił go parę razy.

– Grasz pan dalej, czy nie? – warknął krupier.

– Gram, gram – odparł Collis. – Co się pan tak unosisz?

– Właśnie rozegrałem kartę. Doszło to do pana, czy może pan był za bardzo zajęty tym swoim zegarkiem.

– Rozegrał pan przed chwilą treflową dziewiątkę. Położyłem sto dolarów na przegraną dziewiątek, więc winien mi pan jesteś sto dolarów. No co, grasz pan dalej, czy nie?

Zapadło napięte milczenie. Pomimo gęstego dymu z cygar, krupierowi nawet nie drgnęła powieka. Jego twarz wyglądała jak upiorna, trupia maska bandyty, który przeliczył się i przyplącił to potknięcie życiem.

– Gram – powiedział krótko i rozegrał szóstkę.

O czwartej Collis poczuł, że napięcie pierwszego dnia w San Francisco zaczyna dawać mu się we znaki. Wprawdzie dzięki porządnej drzemce poprzedniego popołudnia wytrzymał do rana w całkiem niezłej kondycji, ale teraz znowu zaczynał go morzyć sen. Zamówił dla każdego jeszcze jedną whisky, a potem zwrócił się do krupiera: – To będzie moja ostatnia stawka. Gra pan dalej?

– Gram – odparł krupier.

Kelnerka przyniosła im whisky i postawiła kieliszki na stole. Spojrzała na stos srebra i złota przed nosem Collisa.

– Jeśli wyjdiesz stąd choćby tylko z połową tej forsy, to dam się odprowadzić do domu – powiedziała. – Ładny z ciebie chłopak.

Z tym samym obojętnym wyrazem twarzy krupier zakomunikował: – Niech tylko spróbuje stąd wyjść choćby z ćwiartką tego, a zaraz przestanie być taki ładniutki.

Charles podniósł wzrok i przeszył go nienawistnym spojrzeniem, a potem zaoponował: – A to co znowu za idiotyczna pogróżka?

Ale Collis wyciągnął dłoń i powstrzymał go przed dalszym atakiem. Czując się dziwnie pewny siebie, obdarzył krupiera jednym ze swoich najszczerzych, melancholijnych uśmiechów.

– Proszę wybaczyć memu przyjacielowi – powiedział. – Chce pan grać w faraona, czy też woli pan spędzić resztę wieczoru na wygrażaniu swoim klientom?

Krupier, po raz pierwszy tej nocy, wyszczerzył zęby w uśmiechu. To, co zostało z jego uzębienia, a nie było tego wiele, miało kolor żółtobrazowy.

Collis zwrócił się do Charlesa i zauważył: – Żałuję teraz, że go tak rozbawiłem.

Rozegrali następną partię. Na początku nowej serii Collis bez przerwy przegrywał, ale gdy dało się już obliczyć z większą dokładnością prawdopodobieństwo, zaczął znowu wygrywać.

Położył trzydzieści dolarów na przegraną dam i następną przegrywającą kartą okazała się właśnie dama. Położył czterdzieści dolarów na przegrywające asy i kolejną kartą był właśnie przegrywający as. Kiedy krupier rozgrywał dwudziestą czwartą kartę, Collis miał już przed sobą prawie tysiąc dolarów.

– Chce pan wywołać pozostałe? – zapytał krupier oschle. – Stawiam cztery do jednego.

Collis ćmił spokojnie swoje cygaro.

– Nie, dziękuję – rzekł słodko.

Krupier popatrzył na niego.

– Poprzednio szedłeś pan bez przerwy o zakład. I to o wielkie stawki.

– Prawda, ale akurat teraz mi się odechciało.

– No to niech ci się znowu zachce.

– A bo co?

– A bo ja tak każę.

– Ty i ten twój rewolwer pod stołem, tak?

Oczy krupiera zabłysły nienawistnie, ale wyraz jego twarzy pozostał niezmacony.

– No właśnie. Ja i ten mój rewolwer pod stołem.

Collis pociągnął łyk whisky, prawie z tkliwością. Potem odstawił kieliszek i rzekł: – No dobra. Założmy się. Wywołam te karty, ale to ja wyznaczam stawkę. A oto ona.

Jeśli przegram, to cała ta forsa tutaj jest twoja, bohaterze od siedmiu boleści. Ale jeśli wygram, to ty oddasz mi swój rewolwer. Nie chcę pieniędzy, tylko ten rewolwer.

– Co ty, Collis! – rzekł Charles. – Przecież jeśli wygrasz cztery do jednego, to nabijesz sobie kieszenie. I to porządnie.

– To nic. Przyjdziemy tu jeszcze jutro – odparł Collis. – Na razie chcę tylko ten rewolwer. Rewolwer tego szalbierza.

– Jak chcesz – rzekł Andrew. – Jeśli chcesz zrobić z siebie idiotę, to twój interes, bardzo proszę. Ta Metyska na statku od razu mówiła, że brak ci piątej klepki.

Krupier szarpnął wąsa, zmarszczył brwi, niepewny, jak się zachować. W końcu przystał na zakład i sięgnął pod zielone sukno pod stołem. Wyłożył swój stalowy rewolwer z długą lufą na stół, a gdy to robił, gracze przy sąsiednim stole nagle zamilkli, szturchając swoich sąsiadów, i zanim ktokolwiek się zorientował, co się dzieje, w Eagle Saloon zapadła kompletna cisza, a stoły wokół nich opustoszały. Collis rozejrzał się po sali i zobaczył, że prawie wszyscy klienci wpatrywali się w niego, ściśnięci mocno w kółeczku, jakby pozowali do fotografii, w kapeluszach na głowach, z cygarami w zębach i obwisłymi kieszeniami surdutów. Pianista, który jeszcze nie zauważył, co się dzieje, walił dalej w klawisze, maltretując bezlitośnie „Zielone wzgórza Virginii”, ale później i on wyczuł, że coś jest nie tak, obrócił się i zakończył swój występ niezręcznym, fałszywym akordem.

– Gotów? – zapytał Collis. – Forsa na stół! Karty mówią: ósemka, piątka i król.

Krupier odchrząknął. Potem wyjął z pudełka ósemkę karo. Andrew rzucił Collisowi szybkie spojrzenie, gryząc zaciśnięte w kułak dłonie, ale Collis, choć nie uszło to jego uwagi, starał się zachować spokój. Była to zasada, której wyuczył go Henry Browne: choćby naokoło wszystko się waliło i paliło, zachowaj zimną krew, przynajmniej staraj się. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że twoi przeciwnicy są przynajmniej równie napięci i zdenerwowani jak ty.

Pod ósemką karo była piątka pik.

Napięcie jeszcze nie opadło. Collis wypuścił dymek z cygara, obserwując reakcję krupiera.

Oczywiście, nie pozostawało mu nic innego, tylko się poddać. Może i Eagle Saloon, podług nowojorskich kryteriów, był nieco hulaszczy, ale nie była to jakaś pokątna melina. Collis wyciągnął rękę przez stół i zagarnął rewolwer. Był cięższy, niż myślał i śmierdział smarem.

– Daj mi swój melonik – zwrócił się do krupiera.

Krupier zamrugął oczami.

– Czego?

– Twój kapelusz. Daj go tu.

Krupier, nieco zdezorientowany, zdjął z głowy kremowy melonik i podał go Charlesowi, który z kolei oddał go Collisowi. Collis przytrzymał kapelusz za rondo i spojrzał przez stół na krupiera, z pistoletem wzniesionym w dłoni, jakby celował mu prosto między oczy.

Nieświadomie krupier otarł wargi wierzchem dłoni.

Całkiem niespodziewanie Collis pociągnął za cyngiel i wypalił w sam środek kapelusza, w górę, pod sufit. Rozległ się wielki huk i denko melonika rozpadło się w drobiazgi. Prawie wszyscy na sali, z wyjątkiem pianisty, który był zbyt otyły, i paru innych, których zamurowało z wrażenia, dali nura pod stoły.

Collis trząśnięty ze zmęczenia i napięcia. Ten rodzaj gry działał mu na nerwy. Ale opanował się i oddając krupierowi kapelusz, powiedział spokojnie: – Masz. Włóż go na głowę.

Krupier obejrzał z niesmakiem swój kapelusz i wykonał polecenie.

Wyglądał jak jakiś włóczykij albo gigantyczny niewypał. Nagle wszyscy odetchnęli z ulgą i wybuchnęli gromkim śmiechem.

– Jak się nazywasz? – zapytał Collis krupiera.

– Dan McReady.

– Skąd jesteś, Dan?

Mężczyzna odchrząknął.

– Hmm, urodziłem się w Vermont. Ale pływałem dużo na statkach rzecznych.

Collis oddał mu rewolwer.

– No to, Dan – powiedział, ale tak cicho, że tylko Charles i Andrew byli w stanie dosłyszeć jego słowa – wszyscyśmy jakoś kiedyś musieli zaczynać tutaj, w San Francisco, i z wszystkich nas – nowicjuszy – zrobiono już nie raz balona. Ale mam nadzieję, że to, co się stało z twoim kapeluszem, nie pozwoli ci zapomnieć o jednym: o tym, że fakt, iż ktoś jest nowicjuszem, nie oznacza jeszcze wcale, że musi być również frajerem.

Dan McReady spuścił wzrok.

– Zabiorę teraz moją wygraną i pójdę się przespać – rzekł Collis. – Ale mam nadzieję, że będziesz tu jutro, bo jeszcze mamy zaległy zakład, pamiętasz? Cztery do jednego. I zrobię wszystko, żeby dostać, co mi się należy.

Zapanowała krepująca chwila milczenia. Potem Dan McReady podniósł wzrok i – o dziwo! – po jego twarzy błąkał się uśmiech, choć bardzo starał się zachować powagę.

– Ty skurwysynu! – Pokazał swoje szczyrby w uśmiechu. – Ty cholerny skurwysynu!

Uścisnęli sobie dłonie; pianista wałnął w klawisze, bębniąc „Mały, biały domek”, a Charles usiadł ciężko, potrząsając głową z niedowierzaniem, jakby właśnie zobaczył tornado, które porywa dom i stawia go z powrotem na jego dawnym miejscu, nie naruszając nawet jednego kwiatka w ogródku.

*

Collis obudził się o dziesiątej. Usłyszał, jak zegar wybija gdzieś wolno godziny. Usiadł na łóżku z rozczochraną czupryną, a jaskrawożółte zasłony w oknach aż poraziły mu wzrok.

Potem, z głową łupiącą od kaca, wygramolił się z łóżka i podszedł do miednicy. Jednak znaleźliśmy się w całkiem cywilizowanym kraju, pomyślał, przyglądając się swojej twarzy w lustrze. Tylko i wyłącznie w cywilizowanym kraju można, nabawić się takiego kaca. Ubrał się z rozmysłem, bez pośpiechu, w prosty jasnobrązowy garnitur i białą koszulę, przewiązaną ciemnobrązowym krawatem. Po zasnurowaniu butów zrobił małą przerwę na odpoczynek i zaczerpnął trochę powietrza. Przypominał sobie bardzo wyraźnie grę w faraona i pamiętał doskonale, jak przestrzelił kapelusz krupiera. Ale nie był zupełnie pewien, co działo się później. Wypili z krupierem jeszcze parę kieliszków whisky na zgodę, a potem przedstawiono go paru stałym bywalcom Eagle Saloon; następnie znów ktoś postawił kolejkę, a o szóstej, kiedy już robiło się całkiem widno, Charles i Andrew, w bryczce Charlesa, odstawili go z powrotem do Janki Zadupczanki. Billy gderał całą drogę i narzekał, że przez te wszystkie nie przespane noce robią mu się pod oczami sine podkowy. Zbyt późno już było na baraszkowanie z Urszulą, nawet gdyby był w stanie wykrzesać z siebie jeszcze trochę energii.

Tuż po północy Janka Zadupczanka zapakowała ją do łóżka z gościem o nazwisku Phepls, który był subiektem w sklepie kolonialnym. Goście gośćmi, ale interes w pierwszym rzędzie.

Collis umył zęby, a potem zszedł na dół na śniadanie. Na półpiętrze spotkał się oko w oko z młodą, wydekoltowaną osóbką, we wzorzystej, płóciennej sukience, która właśnie wychodziła ze swojego pokoju. Jej krągłe piersi trzęsły się przy każdym kroku, jak dwie miseczki ledwie stężałego budyniu. Oczy miała niebieskie, a nosek zadarty; mogła mieć najwyżej lat piętnaście. W uszach miała długie, wiszące kolczyki z brylantami, a na piersiach złoty naszyjnik z szafirem, który dorównywał – zarówno kunsztem, jak i ceną – biżuterii, jakiej nie powstydyłyby się damy z najlepszego nowojorskiego towarzystwa na najbardziej wykwintnym balu.

– Dzień dobry – powitał ją Collis. Dziewczyna dygnęła przed nim leciutko.

– Dzień dobry. Widzę, że przyszedł pan już do siebie. No, może prawie.

– Przyszedłem do siebie? Niby po czym to miałem przychodzić do siebie?

– O! – powiedziała, wydymając lekko wargi. – No to musiało być z panem gorzej, niż myślałam.

– Gorzej niż myślałaś, ślicznotko? A dlaczego w ogóle myślałaś, że było ze mną tak źle?

– No jak to? – odparła. – Przecież dziś rano trzeba było wnosić pana do łóżka. Cztery dziewczyny nad tym pracowały. Janka Zadupczanka musiała pana rozebrać i opatulić kocem.

Wszystkieśmy się temu przyglądały, oczywiście.

Collis spojrzał na nią z niepokojem.

– Nabijasz mnie w butelkę – powiedział. – Jestem absolutnie przekonany, pamiętam to doskonale, że wchodziłem po tych schodach o własnych siłach.

– Tak. Udało się panu do połowy – przyznała. – Ale potem upadł pan równiutko na wznak i leżał tak, i wyśpiewywał wniebogłosy. Oczy miał pan zamknięte zapał się pan i nie chciał się podnieść, więc coś trzeba było na to poradzić.

Collis przełknął ślinę i usiłował stanąć prosto, w godnej szacunku postawie.

– Ach, tak – powiedział. – No, a ile was było?

– Ile nas było – gdzie? Proszę się jaśniej wyrażać.

– Ile was tam było, wiesz, w tym pokoju, kiedy leżałem rozebrany?

Dziewczyna przymknęła oczy i zaczęła liczyć na palcach, poruszając wargami, aby pomóc sobie w kalkulacjach. Collis ścisnął ją lekko za rękę, jakby na znak, żeby nie zadawała sobie więcej trudu.

– Wszystko już jedno – rzekł ochryple. – Jeśli było was aż tyle, to w ogóle nie chcę o tym wiedzieć.

Zaczęli schodzić razem na parter. Collis powiedział: – Chyba wobec tego nie muszę się już przedstawiać. Poznałaś mnie, że się tak wyrażę, od podszewki. Na ogół znajomość tego typu detali stosowana jest tylko w najbardziej intymnych związkach.

Dziewczyna roześmiała się na to radośnie.

– To tylko takie żarty. Tak naprawdę, to wnieśli cię do łóżka Mr Hunt i Mr Tucker. Ale źle było z tobą, oj źle. Gdybyś musiał wracać sam, to ktoś by ci porządnie wpieprzył po drodze, nie ma co.

Ta wulgarność w jej sposobie bycia uderzyła Collisa. Nie pasowała jakoś do takiego młodziutkiego dziewczątka.

– A tobie jak na imię, jeśli można wiedzieć? – zapytał Collis.

– Czemu nie, to żadna tajemnica. Wołają na mnie Klara, chociaż naprawdę nazywam się Clarabelle.

– Wolę Clarabelle. Brzmi dużo romantyczniej. Wykrzywiła twarz w grymasie.

– Eee tam, a mnie się wcale nie podoba. I Klara też mi się nie podoba.

Weszli do salonu na parterze. Collis otworzył przed nią drzwi, a ona znowu dygnęła i weszła do środka. Była już tam Janka Zadupczanka, z włosami upiętymi wstążeczkami i kokardami, w szerokiej, powiewnej, suto obszytej koronką sukni, której rękawki ściągnięte były przy mankietach. Siedziała na otomanie, w przyciemnionych okularach w bursztynowym odcieniu, czytając „San Francisco Bulletin”, zatknięty na długim, zakończonym gałką pręcie.

– Aha, proszę, nasz śpioch budzi się wreszcie do rzeczywistości – powiedziała na dzień dobry. – Tu jest czarna kawa, świeżutko zaparzona, jeśli masz ochotę. Charles mówił mi, żeś narobił tam wczoraj porządnego rwetesu i wygląda na to, że się też trochę podreperowałeś finansowo.

– Pozwoliłem sobie na partyjkę faraona, nic wielkiego – rzekł Collis skromnie. Czuł, że zeszywniały mu mięśnie na twarzy i że mówienie przychodzi mu z wielką trudnością.

Powinno to minąć po talerzu jajecznicy na szynce i kwarcie ciemnego piwa.

– Nic wielkiego? Ho, ho, taka partyjka faraona porusza całe miasto. Nie zdziwiłabym się wcale, gdyby pisali o tym w gazetach. Trzeba będzie kupić dzisiejsze wydanie, żeby zobaczyć, czy jest tam jakaś wzmianka na twój temat.

Collis usiadł na krześle. Klara podeszła do chwiejącego się stolika i nałała kawy.

– Przecież go nie zabiłem – powiedział Collis. – Przestrzeliłem mu tylko na wylot kapelusz.

– Właśnie o to chodzi – wyjaśniła Janka Zadupczanka. – Tu, jak się kogoś zastrzeli, to żadna nowina. Ciągłe tu się strzelają, w San Francisco. Ale kapelusz! Normalnie nie strzela się przecież do kapeluszy. Staniesz się ulubieńcem tłumów, mówię ci. Tu, w San Francisco, wszyscy przepadają za takimi ekscentrycznymi wybrykami.

– W Nowym Jorku byłoby to źle widziane – rzekł Collis. – Gdybym się tak zachował, nikt by się do mnie słowem nie odezwał, przynajmniej przez miesiąc.

– W Nowym Jorku jest mnóstwo innych interesujących rozrywek – odparła Janka Zadupczanka. – Ale tu? Tu nie ma co robić. Wiosną można najwyżej zorganizować piknik na plaży; w lecie siedzi się w domu, ociekając potem. Jesienią mgła taka gęsta, że nic nie widać na dwa palce, a w zimie ciągle pada. Charles zaklina się, że zeszłego roku błoto na Montgomery Street było tak głębokie, że cała furmanka zaprzęzona w woła zatoneła, i nikt jej już więcej na oczy nie widział.

– Przecież jest sala taneczna i teatr – odparł Collis.

– No tak – przyznała Janka Zadupczanka bez entuzjazmu. – Ano właśnie, jak już jesteśmy przy teatrze: mam bilety na przedstawienie do Empire Theatre, na dziś wieczór.

Monolog Rudneya Mulgrave'a. Chcesz ze mną iść?

– Miałem zamiar znowu grać w faraona.

– To nie ucieknie. Zresztą w faraona możesz grać nawet tutaj. Będziemy mieć dzisiaj pełno gości.

Collis wolno popijał swoją kawę.

– Czy ten koncert to jakieś ważne wydarzenie towarzyskie?

– Jasne, że tak. Przecież to premiera.

– Aha! A Laurence Melford też tam będzie?

– Na pewno! – rzekła Janka. – I Sara też, bo chyba o to ci głównie chodzi.

– Nie. Na razie tatuńcio interesuje mnie bardziej niż córeczka. Z tego, co mówił Andrew, wygląda, że to twardy orzech do zgryzienia. Najtwardszy w tym całym towarzystwie wzajemnej adoracji. Jak się jego rozpracuje, to da się rozpracować i innych.

– Tak bardzo ci zależy, żeby się do nich dostać, do tego towarzystwa?

– Tam jest moje miejsce.

– Nie tylko. Tu też jest twoje miejsce. Tu masz przyjaciół, a to najważniejsze.

Collis pochylił głowę na znak, że docenia, i owszem, i dokończył kawę.

– Idę teraz na śniadanie – powiedział do Janki. – A potem przejdę się po mieście, żeby się rozejrzeć, co i jak. Powinienem wrócić przed obiadem.

– Nie włócz się tylko zbyt długo. Charles mówił, że ma zamiar zabrać cię do Auction Lunch, na Sansome Street, i przedstawić znajomym biznesmenom.

Kiedy był już w drzwiach, Klara pomachała mu ręką, a on zaczął rozglądać się za swoim cylindrem. Wisiał w szafie w drzwiach, w przedpokoju, razem z tuzinem innych męskich nakryć głowy: meloników, czapek, beretów i mycek, które prawdopodobnie zostawili tam zapominalscy klienci. Collis włożył rękawiczki, wyszedł na zakurzoną, słoneczną ulicę i skręcił w Stockton Street. Idąc ku pomocy, nie mógł się nadziwić elegancko wyglądającym gmachom, drewnianym i stalowym, i porządnie utrzymanym trotuarom.

Dzień był suchy, jasny i już po paru krokach Collis poczuł się dużo lepiej. Zatrzymał się przy porządnie wyglądającej jadłodajni pod nazwą Mission Eating House, gdzie usiadł samotnie przy drewnianym stole, którego jedna noga była zdecydowanie krótsza niż pozostałe trzy, w otoczeniu kancelistów, sklepikarzy i chłopaków na posyłki. Towarzystwo może nie było najbardziej wyszukane, ale za to zjadł tam obfite śniadanie, składające się ze steku z dziczyzny, smażonego pstrąga, grzanych bułeczek, zapiekanki i żytniego chleba, które popił zimnym piwem warzonym, podanym w kuflu wielkości dobrego wazonu. Była również taca z serem i wędliną, z której wziął sobie kawałek szynki na miodzie i wędzonej wieprzowiny oraz parę marynowanych cebulek.

Po śniadaniu zapalił cygaro i ruszył w kierunku Montgomery Street. Wiedział dobrze dokąd zmierza, więc nie zdziwiło go, gdy znalazł się na chodniku pomiędzy ulicami Bush i Sutter, tuż przed masywnym murowanym budynkiem w kolorze brązowym, nad którym czerwony szyld

głosił: „Pasmanteria, Galanteria i Inne Drobiazgi, Walter West, Właśc.” Collis stał przed sklepikiem bez ruchu przez trzy czy cztery minuty. Przechodnie potrącali go, a zaprzężone w woły furmanki, mozolnie toczące się przez wyboistą, gliniastą nawierzchnię ulicy, skrzypiały, przejeżdżając obok niego, wznosząc tumany kurzu oświetlonego światłem słonecznym. Ale on przez te parę minut myślami był z Hanną, w tropikalnym, szpitalnym ogrodzie, pod szarym, posępnym niebem. Myślał o pocałunkach, których być może nigdy już więcej nie będzie mógł złożyć na jej wargach, o jej dłoniach, których może nigdy już nie będzie trzymał, i o porankach u boku Hanny, których może nigdy, nigdy w ogóle nie będzie. W końcu cisnął cygaro na ulicę i wszedł przez otwarte drzwi sklepu.

W środku było dość ciemno, ponieważ okienka były tam bardzo wąskie i w dodatku zakryte do połowy piętrzącymi się stosami lnianych obrusów i serwetek na wystawie. Nad drzwiami był jednak kolisty lufcik, przez który wpadało światło słoneczne, układając się we wzorki na wyłożonej klepką podłodze i na szklanym kontuarze, gdzie z taśmą mierniczą na ramieniu i z rękami złożonymi na krzyż na ciemnoszarej kamizelce, jak proboszcz, który przygotowuje się właśnie do wygłoszenia swego niedzielnego kazania, stał Walter West. Był brodaty i zadbany, okrągły na pierwszy rzut oka, ale nie za tęgi, z głową lekko przechyloną w bok. Wyglądał dokładnie tak, jak na fotografii, którą Hanna pokazywała mu na statku, i ten fakt rozdrażnił trochę Collisa, jakby Walter West musiał rozpoznać i jego.

Na kontuarze rozłożone były różne rodzaje walencjanki, jedwabne wstążeczki do włosów, grenadynowe woalki, koronkowe lamówki, aksamitne tasiemki, batystowe krajki i szpulki greży. Wszędzie unosił się zapach naftaliny, stęchlizny i bardzo delikatny zapach konwaliowej wody kwiatowej.

Collis podszedł do kontuaru. Walter West uśmiechnął się do niego i uklonił leciutko.

– Dzień dobry. Czym mogę służyć?

Był niższy od Collisa i raczej bez wyrazu. Tak prawdę mówiąc, był to bardzo nijaki typ urody. Jego palce nosiły ślady zadrapań od igieł i ostrych nici, a na serdecznym palcu lewej ręki miał obrączkę. Taką samą jak Hanna.

– Czy ma pan może koszyczki na robótki? – zapytał Collis. – Wie pan, dla mojej siostrzenicy. Bardzo lubi szyć.

Walter West pociągnął w zamyśleniu za bródkę.

– Rozumiem. Oczywiście, mamy bardzo ładny wybór, proszę pana. A w jakiej cenie ma być ten koszyczek?

Collis nie odpowiedział. Nie wiedział nawet, o czym Walter West w ogóle mówi.

Wsluchiwał się w brzmienie jego głosu, a nie w to, co tamten miał do powiedzenia. Był to miły głos, choć dość wysoki jak na mężczyznę. Wreszcie podniósł wzrok i zapytał: – Hmm... Słucham? Przepraszam, zamyśliłem się i nie dosłyszałem.

– Pytałem, w jakiej cenie ma być ten koszyczek. O, widzi pan, tutaj jest jeden, bardzo ozdobny, z obrazkiem na wieczku, lakierowany, a w środku wyłożony satyną. Po dolarze dwadzieścia trzy

centy za sztukę. Ale jeśli to za drogo, mamy też inny rodzaj – ten tutaj jest mniej wyszukany, ale spory, z kwadratowym lustreczkiem na dole. Bardzo ładny wyrób.

Collis rzucił okiem na koszyczki, które rozłożył przed nim na kontuarze Walter West.

Musiał przyznać, że nie ma zielonego pojęcia, który, psiakrew, miał być niby lepszy, i czuł się prawie zażenowany obecnością mężczyzny, który się na tym znał. Jak w ogóle Hanna mogła żyć z takim facetem, który spędza dnie i noce w otoczeniu guzików, zatrzasek i innych podobnych duperelków. Na pewno był to człowiek wartościowy, uczciwy, doskonały materiał na męża, ale przecież taka kobieta, jak Hanna zasługiwała na coś więcej. W każdym razie tak mu się zdawało.

– Czy... czy zdecyduje się pan na zakup, proszę pana?

– Co? Słucham? Bardzo przepraszam.

– Mamy więcej na składzie. Może chciałby pan obejrzeć jeszcze inne?

– Nie, nie, proszę nie robić sobie kłopotu. Te są ... chodziło mi właśnie o ... o coś takiego.

– Więc który z nich bardziej panu odpowiada? Collis sięgnął ręką do kieszeni po portfel.

– Ten... ten lakierowany. O, ten. Dziękuję.

– Zapakować? Można przewiązać ładnie wstążeczką, jeśli to na prezent. To tylko trzy centy więcej.

– Bardzo proszę. To świetna myśl.

Walter West wyjął spod lady różową bibułkę i zaczął zawijać w nią koszyczek. Zginając wprawnie i wygładzając brzegi bibułki, powiedział: – Pan ze Wschodu, prawda?

– Tak – powiedział Collis. – Z Nowego Jorku.

– Nowo przybyły?

– I jeszcze jak! Przyłynąłem na „Kalifornii” dopiero wczoraj rano.

– Przyjechał pan z nadzieją, że zrobi tu pan majątek, prawda? – Na twarzy Waltera Westa pojawił się uśmiech.

– Chyba... chyba tak.

Zapanowało krótkie milczenie, podczas którego Walter West szukał wstążeczki, żeby przewiązać nią pakunek. Potem, pochyliwszy się, szybko przejechał przez nią nożyczkami, aby się zmarszczyła, i dorzucił: – Moja żona jest właśnie w drodze do San Francisco. I też z Nowego Jorku.

– Naprawdę?

Walter West spojrział na niego oczami pełnymi tliwości i nadziei. Collis poczuł się nieswojo. Uśmiechnął się kwaśno, a potem odwrócił wzrok.

– Musiała zostać w domu, kiedy wyjeżdżałem. Ze względu na chorą matkę. Wie pan, jak to jest. Ale teraz jest już w drodze.

– Musi się pan bardzo cieszyć na to spotkanie – powiedział Collis.

– Nawet pan sobie nie wyobraża, jak bardzo – rzekł Walter West. – Ciężko mi było, nie powiem, bo sam miałem na głowie cały sklep. No i samotność też doskwiera, wie pan.

Pisaliśmy do siebie, oczywiście, ale listy to nie to samo. Gdyby była tu na miejscu, to miałbym też pomocną dłoń.

– Oczywiście – rzekł Collis, prosząc Boga, aby Walter West zechciał ograniczyć swoje uwagi do spraw czysto handlowych. Jego zwierzenia sprawiały, że w Collisie zaczęło rodzić się nagle piekielne poczucie winy. Ten poczciwina zdawał się taki bezbarwny, łatwowierny i uczciwy, że zabranie mu Hanny byłoby równoznaczne z ustrzeleniem zająca, który siedzi w słup, nadstawiając słuchy i wylupiając oczy.

– To już dwa lata – rzekł Walter West. – Nie wiem, czy zdarzyło się panu kiedykolwiek żyć przez dwa lata z dala od kobiety, którą pan kochał, ale mówię panu, że to prawdziwa gehenna – w dzień się człowiek zamartwia, a w nocy rozpacza. Powiem panu, że już czasem siadałem w nocy na łóżku, wpatrując się w tarczę księżyca, i myślałem o tym, że ten sam księżyc świeci też i nad moją Hanią, i serce pękało mi z bólu.

– Jestem pewien, że oboje państwo stawiliście czoło tym trudnościom z godnym podziwu samozaparciem – rzekł Collis.

– Dziękuję za dobre słowo. Zrobiliśmy, co było w naszej mocy. Ale to był prawdziwy okres próby, proszę pana. Moja żona rozchorowała się na żółtą febrę w Cieśninie Panamskiej i przez parę tygodni leżała w szpitalu. Kapitan „Kalifornii” zadesperował do mnie wczoraj po południu, że teraz już, Bogu dzięki, przychodzi do siebie.

– Pańska żona ma dużo szczęścia – powiedział Collis prawie szeptem.

– Słucham?

– Powiedziałem, że pańska żona ma dużo szczęścia.

– Tak, chyba ma pan rację. Ale ze mnie to już prawdziwy szczęściarz, proszę pana. Jak wszystko dobrze pójdzie, to będzie tu już za tydzień, a wtedy założę się o wszystkie skarby świata, że będę najszcześniejszym i najdumniejszym mężczyzną w całym mieście.

Walter West skończył opakowywać koszyczek i postawił go energicznie na kontuarze.

– Proszę – powiedział. – Pańska siostrzenica będzie na pewno wniebowzięta.

– Z pewnością – odrzekł Collis.

Wyłuskał dwa dolary z portfela i położył je na kontuarze koło zawiniątka. Zadzwięczały na szklanym blacie.

– Nie obrazi się pan, jeśli zadam panu jedno pytanie? – zapytał Collis.

– Chyba nie. Chociaż chyba zależeć to będzie od pytania.

– No więc... kiedy pan mówił o żonie... że była tak daleko... – Mhm...?

Collis popatrzył na niego z uwagą. Gdyby na twarzy Waltera pojawił się choć cień wahania, chciał być w stanie go wychwycić.

– Czy w czasie tej dwuletniej rozłąki... czy kiedykolwiek przyszło panu na myśl, że może już jej pan nie kocha?

Walter West zmarszczył brwi. Promienie słońca padały mu na dłonie i obrączka, porysowana od ciągłej pracy w samotności, połyskiwała teraz jasno, uroczyście.

– Nie wiem, o czym pan mówi – powiedział wyraźnie obruszony. – Kocham swoją żonę. Kochałem ją zawsze, odkąd tylko się poznaliśmy. Od pierwszego dnia. Może nawet teraz, kiedy los nas rozłączył na te długie lata, kocham ją bardziej niż przedtem. Jeśli to w ogóle możliwe.

Collis słuchał tego z kamiennym wyrazem twarzy. Potwierdziły się jego najgorsze przypuszczenia. Hanna przyjedzie do San. Francisco, a ten zarośnięty szmuklerz*, specjalista od hetki-pętelki, przywiąże ją do siebie swoim psim oddaniem i nieskazitelną wiernością. Po wszystkich tych rozmowach w Panamie, po wszystkich sekretnych obietnicach i zapewnieniach o grzesznej miłości, jego związek z Hanną zawężał się do tego sklepiu z jedwabiem, nićmi i tym bezbarwnym mężczyzną za kontuarem. Wszystko to ważyło zbyt wiele na szalach wagi chrześcijaństwa i poczucia winy, a Collis, dla przeciwwagi, miał akurat tyle do zaoferowania, co puch z dmuchawca.

– Rozmyśliłem się – powiedział nagle Collis.

– Nie rozumiem – rzekł Walter West. – Pod jakim względem?

– Z tym koszyczkiem na robótki. Jakoś wydaje mi się, że moja siostrzenica nie byłaby z niego zadowolona.

– No to... – powiedział Walter West z wahaniem.

– Ale mam dobry pomysł – wyrzucił z siebie Collis, zanim tamten zdążył zaproponować.

– Może dałby go pan swojej żonie, jak tu przyjedzie?

– Mojej żonie? A z jakiej racji miałby pan robić jakieś prezenty mojej żonie?

– No, nie ja. Ale zawinął go pan tak ładnie, i w ogóle... Nie chcę stąd wyjść, narażając pana na straty. Więc zapłacę, a pan może go dać swojej żonie.

– To bardzo ładnie z pana strony – rzekł Walter West, niczego się nie domyślając. – Ale co mam powiedzieć? Że to od kogo? Będzie wiedzieć, że to nie ode mnie.

Collis myślał nad tym przez chwilę. Potem powiedział: – Już wiem. Niech pan jej powie, że to od pewnego cichego, ale bardzo szczerego adoratora.

Walter West spojrział na różowe zawiniątko, potem na Collisa, a wyraz jego twarzy nie był wcale radosny.

– No, co pan? – rzekł Collis. – Przecież to tylko żart. A później może jej pan powiedzieć, jak było naprawdę.

Walter West, nadal naburmuszony, otworzył kasę i wydał Collisowi resztę. Collis wrzucił bilon do portfela, uniósł cylinder i wyszedł na ulicę, nie odzywając się więcej ani słowem.

Gdy był już na chodniku, odwrócił się raz jeszcze i rzucił okiem przez zamykające się za nim drzwi. A tam, na kontuarze, leżało różowe, przewiązane wstążeczką zawiniątko, a nad nim, z brwiami ściągniętymi w głębokim zamyśleniu, pochylał się mąż kobiety, którą Collis kochał.

Przynajmniej tak mu się zdawało.

*

Następnie poszedł w kierunku poczty na Washington Street. Ponieważ wczoraj właśnie „Kalifornia” przywiozła pocztę ze Wschodu, ulica roiła się od ludzi czekających w kolejkach na listy. Była to mieszanina ludzi różnego pokroju i autoramentu: kopacze i wiertacze złota, przetasowani z bankierami, maklerami i posługaczami z wielkich domów towarowych.

Niektórzy rozmawiali, wyklócali się albo witali ze znajomymi, których nie widzieli od ostatniego przyjazdu parowca z pocztą; inni czekali ze spuszczoneymi głowami, posuwając się krok za krokiem do przodu, ku portykowi poczty pod filarami. Gazeciarz w brudnej koszuli chodził wzdłuż kolejki na bosaka, sprzedając „Trybunę”. Collis stanął na końcu kolejki, bo nie miał nikogo, kto mógłby go w tym wyręczyć.

Minęło dwadzieścia minut, zanim dotarł wreszcie do okienka; cała, zdawałoby się, prosta operacja odbierania listów była chaotyczna, nie zorganizowana i hałaśliwa. Urzędnik, z niebieskimi ołówkami za obydwooma odstającymi uszami” szybko przetasował listy pod E i znalazł dwa zaadresowane do Collisa. Collis wyszedł, przepychając się, na zewnątrz. Ręce mu się trzęsły, choć sam nie wiedział dlaczego. Poszedł w kierunku sąsiedniego sklepu spożywczego pod nazwą Garret House, a obok na chodniku znalazł jakieś puste krzesło, więc przysiadł na chwilę. Mężczyzna w niebieskim drelichu, który opierał się o framugę otwartych drzwi sklepu, paląc fajkę, przyglądał mu się z nie ukrywanym zaciekawieniem.

Jeden z listów był od matki. Collis rozpoznał jej ostry charakter pisma. Drugiego pisma nie znał zupełnie. Litery były długie, wąskie, z fikuśnymi zakrętami, i sądząc z wyglądu list był pisany kobiecą dłonią. Najpierw rozerwał list od matki.

Collis, Z wielkim smutkiem muszę cię najpierw zawiadomić, że twój drogi ojciec odszedł od nas na zawsze. Zmarł na zawał serca już trzy dni po tym, jak odpłynąłeś z Nowego Jorku, pomimo niestrudzonych wysiłków lekarzy, by utrzymać go przy życiu.

Wszystkie te kłopoty w pracy zawodowej, jak również problemy w życiu osobistym, okazały się ponad jego wątłe siły.

Sądziś pewnie, że powinnam uznać ten bieg wydarzeń za rzecz nieuniknioną i wybaczyć ci twój stosunek do niego w ostatnich dniach jego tak drogiego mi życia. Ale sprzeniewierzyłabym się moim do niego uczuciom, gdybym miała to uczynić.

Zachowywałaś się bezdusznie i samolubnie i ten sposób traktowania wpłynął wydatnie na pogorszenie się stanu zdrowia twego ojca. Możliwe, że z czasem ci wybaczę, ale teraz jestem w żałobie i wobec tego wolałabym nie otrzymywać żadnych wiadomości ani od ciebie, ani o tobie.

Obie z twoją siostrą staramy się przetrwać godnie to najgorsze. Zatrzymamy się na jakiś czas u znajomych w Sherman, w stanie Connecticut. Mają tam malutką oficynkę.

Dawny przyjaciel twego ojca, Neiman Bennett, jest wykonawcą testamentu i nie szczędzi ani czasu, ani sił, by uporać się z zawłościami tego trudnego przedsięwzięcia.

Pewna jestem, że dołączysz się w myślach do modlitwy za duszę i wieczny odpoczynek twego drogiego ojca, i wierzę, że przyjdzie ci się jeszcze zastanowić głęboko nad tym, jak lekceważenie uczuć naszych bliźnich ściąga na nas ból, rozpacz i żalobę. I że wyciągniesz wreszcie z tego jakieś wnioski na przyszłość.

Matka

Collis przeczytał ten list dwa razy, a potem złożył go w kostkę. Przebiegł wzrokiem wzdłuż kolejki oczekujących przed pocztą interesantów i dostrzegł paru podobnych sobie, zasmuconych i odrętwiałych z rozpaczony ludzi, stojących jak skamieniały, z rozerwanymi listami w dłoniach. Nie mógł powstrzymać łkania, które dławilo go w gardle, a mężczyzna w drelichu zmienił teraz pozycję i wlepił w niego wzrok jeszcze bardziej ostentacyjnie, wcale tym nie zmieszany. Collis nie mógł wprost uwierzyć, że ojciec już nie żył; ten kłótniwy ojciec, który zawsze zdawał się Collisowi niezmienną, trwałą instytucją, tak solidną i nie do obalenia jak łuk niepokonanego wojownika lub fundamenty wieczystego kościoła. Starał się sobie przypomnieć, jak ojciec wyglądał, przywołać na myśl błędne, niesforne oko i siwego wąsa, ale jedyny obraz, jaki stawał mu przed oczami, to była ojcowska kamizelka ze złotym łańcuchem od zegarka.

Tak więc Makepeace Edmonds pożegnał się z tym światem na dobre. Leżał już pewnie pochowany, z marmurowym aniołem stróżem na nagrobku.

Teraz Collis otworzył drugi list. Był napisany na bardzo cienkim, delikatnym papierze, więc rozłożył go na kolanach i przytrzymał dłońią, czytając. W prawym górnym rogu widniała nazwa: Orangeburg, Południowa Karolina, a list był od Alicji Stride.

Collis, drogi przyjacielu, Pewnie zastanawiasz się, dlaczego to ja do ciebie piszę, a nie Delfina. Może więc jeszcze nic nie wiesz, bo gdybyś wiedział, nie dziwiłbyś się niczemu. Ohio Life and

Mutual Trust Company, którego Mr Spooner był wiceprezesem, jak również udziałowcem, splajtowało, i to z wielkim hukiem. Stało się to 24 sierpnia, a za nim poszła cała masa innych banków oraz prywatnych maklerów, i to w równie szybkim tempie. Podobno wszystkie mają zawiesić wypłaty, a ulice pełne są zdesperowanych bezrobotnych. Mój ojciec twierdzi, że to największy kryzys gospodarczy naszych czasów, ale że tak się stać musiało ze względu na liczne spekulacje przy udziałach w kopalniach złota i obligacjach kolejowych, które okazały się całkowicie bezwartościowe.

– No, ten to już mówi wyraźnie ze znajomością rzeczy – wycedził Collis pod nosem, sam do siebie. A potem czytał dalej: Spoonerowie będą chyba musieli się wyprowadzić ze swojej rezydencji i sprzedać wszystko, co mają, żeby spłacić długi. Delfina jest oczywiście jak porażona piorunem i błagała mnie, żebym ci nic nie pisała. Ale ja sądzę, że powinieneś wiedzieć: tak będzie lepiej. Po co masz czekać w nieskończoność na list, który i tak nigdy nie nadejdzie?

Wiem, że ona nadal durzy się w tobie. Ciągłe cię wspomina. Ale w ogóle nawet słyszeć nie chce o tym, że mógłbyś się ożenić z taką żebraczką, i porzuciła myśl o tym, że kiedykolwiek jeszcze się zejdziecie.

Proszę, napisz, co u ciebie słyhać. U mnie wszystko po staremu. Mam nadzieję, że pozostaniemy w kontakcie.

Twoja wierna przyjaciółka Alicja

Niesłuchanym zbiegiem okoliczności bosonogi gazeciarz przebiegł właśnie obok, wymachując „Trybuną” i wołając: – Nowojorskie banki wstrzymują wypłaty! Najświeższe wiadomości z ostatnich etapów Porozumienia.

Collis podniósł się i przeszedł na drugą stronę rynku. Była już prawie dwunasta i wiedział, że musi wracać do Janki Zadupczanki, aby spotkać się z Charlesem. Ale znowu czuł jakoś, że potrzebuje trochę czasu na to, by ochłonąć i przemyśleć wszystko, co się wydarzyło.

Wszystko, co utracił. Skierował się powoli w stronę Sansome Street, minął walące się drewniane rudery i ogniska, ściągając na siebie spojrzenia kopaczy złota, darmozjadów i karciarzy, aż wreszcie dotarł do piaszczystego wzniesienia Telegraph Hill, pod ramię semafora, który sygnalizował przybycie wpływających do portu statków; wiatr mierzwił mu włosy, a błyszcząca w słońcu zatoka rozciągała się u jego stóp.

Nie uronił nawet jednej łzy. Po prostu stał tak skulony, przygarbiony, z rękami w kieszeniach, gdy zegar na ratuszu w śródmieściu wybił donośnie południe, a mewy kołowały i skrzeczały tuż nad jego głową.

6

Kiedy Collis zjawił się wreszcie, tak jak byli umówieni, w Auction Lunch, Charles czekał już tam na niego i machał ręką ponad oceanem strzelistych cylindrów, które kręciły się i falowały jak czarne słupy dymu w porcie pełnym parowców. Bar wypełniony był po brzegi.

W tej ciżbie ludzkiej i zgiełku, wśród mieszaniny śmiechu, wrzasku oraz pertraktacji handlowych kupców i przedsiębiorców San Francisco, Collis miał wrażenie, że zaraz ogłuchnie. Przy drzwiach wejściowych powitał go skinieniem głowy mężczyzna o szerokiej twarzy, z bokobrodami, w aksamitnym cylindrze i wytwornym fraku. Kiedy Collis rozpychał się łokciami, by dotrzeć do barku, przy którym siedzieli Charles i jego znajomi, zauważył ze zdziwieniem, że drugi mężczyzna, w identycznym aksamitnym cylindrze, serwuje drinki i porcuje konserwową wołowinę i marynaty za barem.

– Szykowni tutaj bardzo ci kelnerzy – zauważył Collis, witając się z Charlesem.

– Mhm – odparł Charles. – I nie bez racji. Ale o tym potem. Najpierw przedstawię cię moim znajomym. To jest Lloyd Wintle, prezes Banku Zachodniego, a to Arthur Teach z Pacific Securities. Arthur przysięga, że jest w prostej linii potomkiem pirata Czarnej Bródki.

Jeśli chcesz, to mu wierz, ale jeśli nie chcesz, to nie musisz.

Collis wyciągnął dłoń najpierw do Lloyda Wintle’a, a potem do Arthura Teacha. Wintle był gibki i wysoki, jego nos zwisał ponad brodą, jak flaga na placu defilad w deszczowy dzień. Oczy miał wyblakłe i podkrążone, z ciężkimi worami, a cylinder sterczał na samym czubku jego głowy, krzywo nasadzony. Ale z uścisku dłoni Collis odniósł wrażenie, że ma do czynienia zarówno z człowiekiem raczej zamożnym, stanowczym i rzeczowym, jak i z dobrym fachowcem. Natomiast Arthur Teach, bardziej rostry, zażywny oraz zarośnięty, robił imponujące wrażenie i był zapewne uboższy, bardziej pazerny i politycznie bardziej radykalny.

– Miło mi pana poznać, Mr Edmonds – rzekł Lloyd Wintle, splaszczając gardłowo samogłoski w wymowie, co niezaprzeczalnie zdradzało michigański rodowód. – Charles mówił mi, że ma pan słabość do kart i kolei żelaznych. Przestrześlił pan krupierowi z Eagle Saloon kapelusz na wylot. Słyszeliśmy, słyszeliśmy.

Collis wzruszył ramionami.

– Kolej żelazna interesuje mnie bardziej niż strzelanie do cudzych kapeluszy.

– A czy pewien pan jesteś, że nie cierpisz po prostu na typową panamską gorączkę? – zapytał Arthur Teach. – To taka choroba, której się dostaje, przejeżdżając przez Cieśninę Panamską. Polega ona na tym, że pod wpływem tych wszystkich okropnych przeżyć, na które się człowiek naraża w tamtych stronach, zaczyna się lokować wszystkie nadzieje w budowie transkontynentalnej linii kolejowej. Stąd też tu mamy fanatyków tej idei.

Barman, w wysokim aksamitnym cylindrze, uniósł pytająco brew i Collis zrozumiał, że powinien coś zamówić.

– Czy da się zrobić koktajl burboński? – zapytał.

Barman odpowiedział twierdzącym skinieniem głowy i odwrócił się, by zdjąć z półki butelkę burbona i dzbanek z jabłecznikiem.

– Ten gość, tu, za barem, to Jimmy Flood – rzekł Charles. – A ten przy drzwiach to Billy O’Brien. Jeden miesza drinki i kroi boczek w plasterki, a drugi wita gości. To starzy przyjaciele. Spotkali się w Poor Man Gulch, w Wąwozie Żebraków, rozumiesz, i obaj zdecydowali, że dobrze by było

otworzyć sklepik w San Francisco. Jimmy założył sklep jeździecki, a Billy żeglarski albo może na odwrót. Nieważne. W każdym razie pożar w pięćdziesiątym piątym roku zniszczył ich obu doszczętnie, więc otworzyli Auction Lunch, tutaj, w tej bankierskiej dzielnicy, i moim skromnym zdaniem któregoś dnia będą jeszcze bardzo bogaci. Chociaż nie wzbogacą się na gotowaniu obiadków, o nie. Nadstawiają uszu i przysłuchują się plotkom bankierskim, i skupują wszystkie obligacje, jakie im polecają klienci. I dobrze na tym wyjdą.

Arthur Teach ryknął trochę piwa, otarł piankę, która osiadła na jego sumiastych wąsiskach, i zwrócił się do Collisa: – Czy i pan może się pochwalić tym rodzajem sprytu? Tym rodzajem sprytu, który potrafi przemienić ciężki los w ciężką forszę?

Jimmy Flood przyniósł Collisowi drinka i postawił go na zniszczonym szklanym blacie baru. Collis wziął do ręki swój kieliszek, a potem uniósł go, jakby wznosząc toast za zdrowie Teacha i za powodzenie Wintle'a oraz za przyjaźń z Charlesem. Ale nic nie odpowiedział, a wyraz jego twarzy nie zdradzał zupełnie, co o tym wszystkim myślał; zauważył, że jego zachowanie zbiło z tropu zarówno Teacha, jak i Wintle'a. Collisowi o to właśnie chodziło.

Chciał trzymać tych nowych znajomych w niepewności, przynajmniej przez jakiś czas. Był przecież obcy. Nikt go tu nie znał i on też nie znał tu nikogo; Nie wiedział, gdzie co jest, ani kto z kim i dlaczego, więc uznał, że najlepiej będzie trzymać się sztywno, na dystans i bez zbytej zżyłości.

– Oboje z Mr Wintle'em bez przerwy szukamy okazji, żeby w coś zainwestować. Dzień i noc – wyjaśnił Teach. – Surowce naturalne. Artykuły codziennego użytku. Transport morski i flota handlowa. Takie rzeczy. Ale według nas w każdym przedsięwzięciu muszą być spełnione dwa warunki. Raz, trzeba mieć wizję przyszłości. Trzeba umieć przewidywać. Pan rozumie, co mam na myśli? Ale do tego trzeba jeszcze oceniać sytuację realnie. Oba naraz.

Bo bez tej wizji przyszłości, to człowiek siedzi, panie, na dupie i gnuśnieje. A bez realistycznego podejścia do rzeczy nie sypła się dywidendy. Rozumiesz mnie pan?

Collis pociągnął z kieliszka w zamyśleniu. Dalej nic nie odpowiadał. Charles łypnął okiem na swoich znajomków i wydusił z siebie uśmiezek, który sugerował, że Collis po prostu nie jest dzisiaj w sosie.

– Dlatego właśnie – ciągnął Teach – pozwoliłem sobie na te pytania o pańskie pomysły na temat kolei żelaznej. Choć może uznał pan to za bezczelność z mojej strony. Chodzi mi o te pana marzenia o transkontynentalnej linii kolejowej. Bardzo to piękny pomysł. Górnołotny.

Wspaniała idea. Niech pan nie sądzi, że tego nie pojmuję, ale brakuje mu realizmu, podejścia do sprawy od strony praktycznej. Pan mnie rozumie?

Lloyd Wintle wtrącił posepnie: – Słyszałem już o takim projekcie, żeby przenieść lokomotywę ponad Sierra Neyada za pomocą balonów napełnionych gorącym powietrzem. Że niby to można zawiesić platformy, na których umieściłoby się taką lokomotywę. A znowu ktoś inny twierdził, że można by zebrać armię kretów, która przeryłaby wykop dokładnie pod samiusieńkimi górami. Trzeba nie mieć piątej klepki, żeby z czymś takim wyjeżdżać, zgadza się pan? Ale wierzaj mi pan, ludziskom chodzą po głowie takie właśnie pomysły i przyłazą tu prosić, żeby je sfinansować.

Pięcioletnia armia kretów, a wszystkie uzbrojone po zęby, w pełnym rynsztunku, ha!

Możesz pan to sobie wyobrazić?

Collis zapalił cygaro, które wyjął z kieszeni.

– Masz ochotę na kanapkę z salcesonem? – zapytał Charles, ale Collis pokręcił odmownie głową.

Arthur Teach odstawił swój kieliszek burbona.

– Charles wyrażał się o panu z największym uznaniem, Mr Edmonds. Czy mogę mówić do pana po imieniu? Ale uprzedzam pana, że to, co sobie wyobrażają na Wschodzie na temat Zachodu, te wszystkie bajdoły, to po prostu fura niedorzeczności. Wiemy tu dobrze, jak dbać o własne interesy; jeżeli zdarza nam się od czasu do czasu popołgować sobie i wyrzucić pieniądze w błoto, to nie dlatego, żeśmy się dali wpuścić w maliny, popierając jakiś idiotyczny projekt, ale dlatego że akurat mieliśmy taki kaprys.

Lloyd Wintle pokiwał smętnie głową.

– Był tu jeden taki, co wciskał nam, że potrafiłby przesłać ludzki głos po drucie telegraficznym, masz pan pojęcie? I chciał na to trzydzieści tysięcy dolarów, niby na te eksperymenty. Ludzki głos! Po telegraficznym drucie!

Collis opuścił wzrok.

– Jesteśmy ci bardzo przychylni – rzekł Arthur Teach. – Interesują nas również twoje pomysły, bo Charles twierdzi, że masz w sobie żyłkę do handlu. Ale uważam, że lepiej od razu otworzyć ci oczy, żebyś nie myślał, że górnolotne marzenia i partyjka faraona wystarczą, żeby tu zbić majątek. Do tego potrzebna jest jeszcze głowa na karku. Spójrz na Rancon Hill, na South Park. To się nazywa mieć głowę na karku! A mieć głowę na karku, to znaczy handlować tym, za co ludziska chcą płacić. Powiem ci coś. W następny czwartek będzie tu dostawa koców. Przybije do portu na „Arii”. Tysiące, tysiące koców z czystej, żywej wełny, proszę ja ciebie. I jak ci się wydaje, kto się tam zjawi pierwszy, żeby wykupić każdą jedną sztukę, chociaż to jeszcze lato? Ja, we własnej osobie. Bo za miesiąc będzie już jesień, a jeszcze za następny – zima. I nagle wszystkim tu się zrobi zimno i ludziska zaczną się rozglądać za ciepłym okryciem. I jak ci się zdaje, kto tu będzie właścicielem każdego jednego koca w całym San Francisco? Wiesz już kto. Głowa na karku, proszę ja ciebie, głowa na karku to skarb. Nie jakieś tam bajdurzenia, Collis, tylko głowa na karku. Rozumiesz?

– Ale przecież żeby przeprowadzić drogę żelazną, też trzeba mieć głowę na karku – zauważył Collis.

– Ale pomarzyć można sobie i bez tego. I o to właśnie chodzi. Marzenia, błogie sny, drogi panie.

– Więc nie zainwestowałbyś w projekt budowy drogi żelaznej?

– Nie. Chyba żebym miał wpierw wgląd we wszystkie pomiary oraz wykaz potencjalnych zysków i strat.

– Więc twoim zdaniem królowa Izabela, kiedy finansowała Krzysztofa Kolumba, miała również wgląd we wszystkie pomiary oraz wykaz potencjalnych zysków i strat?

– Miała dostęp do wszelkich nieodzownych informacji. I mnie też niczego więcej nie trzeba.

– Mimo że to takie jasne jak słońce, że transkontynentalna linia kolejowa byłaby najistotniejszym przedsięwzięciem przemysłowym i handlowym w historii tego kraju?

– Historia i doniosłe czyny to nie to samo, co zysk i dywidendy, Mr Edmonds – rzekł Lloyd Wintle bardzo spokojnie. – To są dwie zupełnie różne sprawy. Mr Teach stara się panu wytłumaczyć, że w ostatecznym rozrachunku chodzi przecież właśnie o ten zysk i o te dywidendy.

– Lloyd, przecież sam dobrze wiesz, że Collis dopiero co się tu zjawił – wtrącił Charles, który siedział z nosem spuszczoneym na kwintę. – Nawet się jeszcze porządnie nie rozejrzał.

Jeszcze nie miał czasu, żeby się przekonać na własne oczy, jakie tu są możliwości. Te rozmowy na temat drogi żelaznej to przecież tylko takie gadanie. Tylko taki pomysł, sugestia, a nużby. Na początek, na parę pierwszych miesięcy, Collis pojedzie ze mną do Sacramento i będzie pracował dla mnie.

Teach uniósł rude brwi.

– No, a co Collis na to? Collis uśmiechnął się.

– Jakiej się spodziewasz odpowiedzi?

– Nie wiem – rzekł Teach. – Nie wyglądasz mi na faceta, którego można przykuć do składu z żelastwem i sprzętem gospodarskim i który uzna to za szczyt swoich marzeń i ukoronowanie kariery. Nie, nie, gdyby tak było, nie snułbyś takich planów o transkontynentalnych liniach kolejowych.

Collis, w zamyśleniu, wypuścił dymek z cygara.

– W tej chwili naprawdę, zależy mi na tej pracy u Charlesa. Uważam, że mi się to przyda.

Mam pewne luki w wykształceniu, szczególnie jeśli chodzi o handel. Widzisz, jestem niezły w kartach, potrafię utrzymać się w siodle i jechać konno na oklep. Ale jeśli w ogóle mam zamiar przeprowadzić drogę żelazną przez góry, potrzebne mi są jeszcze inne umiejętności.

Na przykład powinienem znać się na cenie drewna i żelbetonu. Wiedzieć, gdzie kupić haki szynowe i same szyny. I jaki rodzaj lokomotywy będzie najbardziej wydajny w określonych warunkach. I co potrzeba, żeby ją wprawić w ruch. I jak rozliczać się z geometrami i najemnikami. Jak ich przekonać o doniosłości tego przedsięwzięcia. Jak pokazać im jego cel i sens. Jak wzbudzić w nich poczucie dumy i współodpowiedzialności. Potrzeba mi do tego zdolności kierowniczych.

– A w ogóle się na tym na razie nie znasz? – dopytywał się Arthur Teach z nie ukrywaną, ale przyjacielską drwiną. – Nie obraż się, ale reklamujesz się w ten sposób jako osoba wyjątkowo niekompetentna, a co za tym idzie niepowołana do podjęcia takiego zadania.

– No, tu już się naprawdę zapędziłeś, Arturze – zaoponował Charles. – Nikt nie mógłby powiedzieć, że się na tym zna, bo nikt jeszcze nigdy nic takiego przedtem nie wybudował. To nie to samo, co znaleźć fachowca od łatania dziur w stodole.

– No, nie wiem – rzekł Teach. Wychylił duszkiem kieliszek whisky i zakasłał gwałtownie. – Nie jestem pewien, czy taka droga żelazna z jednego końca kraju na drugi, to nie tylko mrzonki, próżne gadanie, przynajmniej jak na razie. I że tak to już zostanie, biorąc pod uwagę rozwój kolejnictwa i inżynierii lądowej w tym kraju. Może za jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat to tak. Ale kto waży się utopić taki porządny kapitalik na ćwierć wieku, panowie?

– Moim zdaniem, dobrze mówisz – rzekł Wintle z wielkim żalem.

Collis wypił do końca swój koktajl, a odstawiając kieliszek, łupnął nim głośno o bar.

– No to, panowie – powiedział – do widzenia.

– Collis – powiedział Charles. – Nie idź jeszcze. Nie powinieneś... – Niestety, nie mam innego wyjścia. Przykro mi. Muszę sobie sprawić nowe buty, to raz.

A do tego wczoraj wieczorem posiałem gdzieś mój biały krawat. Normalnie nie robiłoby mi to różnicy, ale mam iść dzisiaj z Janka Zadupczanką na premierę Rodneya Mulgrave'a.

– A oprócz tego sposób, w jaki dyskutujemy o twoim kolejowym projekcie, który jest teraz twoim oczkiem w głowie, nie przypadł ci do gustu, prawda? – zapytał Arthur Teach.

Zapalając cygaro, nie spuszczał oka z Collisa. Przytrzymał zapalną między palcem wskazującym a kciukiem i wypuścił dym z owłosionych nozdrzy.

Collis westchnął głęboko.

– Mr Teach, Arthur. Trudno mnie nazwać fanatykiem. Wagon czy lokomotywa, dla mnie to jedno i to samo. Ale mam trochę zdrowego rozsądku i ten mój zdrowy rozsądek mówi mi, że z Nowego Jorku do San Francisco statkiem jest ponad pięć tysięcy mil; w to wchodzi też ta okropna przeprawa przez Cieśninę Panamską. A drogą lądową z San Francisco do Nowego Jorku jest tylko trzy tysiące mil. Zdrowy rozsądek mówi mi jeszcze i coś innego. A to, że czy to rolnik, czy górnik, czy hodowca bydła, od Nebraski po Kalifornię, upadłby na kolana i podziękował za kolej żelazną poprzez kontynent, jak za jaki dar boży. Główna kapusta włoskiej zebrana w Utah w poniedziałek mogłaby być podana na maśle w nowojorskiej restauracji już w piątek, a pług odlany i wyostrzony w Pensylwanii dotarłby do gospodarza w Wyoming w ciągu tygodnia. Można by też przemieszczać jednostki wojskowe, szwoleżerów i ich wierzchowce z całym ekwipunkiem i przybyliby akurat na czas bitwy, pełni zapału i energii. To po prostu zdrowy rozsądek, nic więcej, Mr Teach, niezależnie od tego, czy detale techniczne zostały już opracowane, czy też są jeszcze w zarodku.

Teach szarpnął węża i przełknął ślinę, ale się nie odezwał.

– To cię jednak nie przekonuje, prawda? Dalej uważasz, że to wszystko banialuki? – zauważył Collis.

Potem rzucił okiem w stronę Charlesa, ale nic nie udało mu się wyczytać z jego twarzy. Z tego też wynioskował, że Teach i Wintle to prawdopodobnie zupełnie typowi przedstawiciele finansjery San Francisco i że, z zasady, górnolotne marzenia nie wprawiają ich raczej w wielki zachwyty. Zbyt wielu wynalazców i ekscentryków zjeżdżało się do San Francisco, z imponująco brzmiącymi propozycjami i zbyt wiele tysięcy dolarów utopiono już w finansowanie kominów gazowych, które

się paliły, zatrzasek automatycznych, a nawet import egzotycznych serków. Dopóki ktoś nie wystąpi z konkretnymi pomiarami, rysunkami i wykresami, które wykażą niezbicie, że można przeprowadzić kolej żelazną, przez Sierras, przynajmniej do Nevady, i że, kiedy już będzie ona wybudowana, będą z niej przyzwoite zyski dla udziałowców, nie będzie łatwo znaleźć poparcie wśród tutejszych przedsiębiorców. Collis rozumiał ich nieufność. Sam przecież był hazardzistą. I pomimo idyllicznych marzeń o lśniącej lokomotywie, sunącej z sapaniem i pogwizdywaniem poprzez morza szumiących łańców pszenicy, lokomotywie, którą wszędzie witają oklaski i wiwaty i na której cześć osiedleńcy, rolnicy i fabrykanci, zrzucają czapki z głów, a także pomimo wizji amerykańskich stepów, które niedługo mogłyby być zaorane i obsadzone brukselką, i amerykańskich wzgórz, które „obsiać” by można, niby pola makowe, czerwonymi dachówkami gospodarstw rolniczych, sam nie był jeszcze całkowicie przekonany, czy rzeczywiście pociąg mógłby wspiąć się po górach, po zboczach tak stromych, jak ostre, spadziste dachy kościołów, poprzez zasypane śnieżne i zawieje, które byłyby w stanie pochłoniąć, i to bez śladu, cały oddział zwiadowczy wraz z trąbkami i beretami, w kompletnym rynsztunku. A na dodatek wcale nie był przekonany, czy taka kolej żelazna przyniosłaby rzeczywiście dobry dochód. W każdym razie nie czuł tego jeszcze instynktownie. Nie miał jeszcze doświadczenia ani ekspertyzy, by oszacować na oko dochodowość takiego przedsięwzięcia.

– Czy pociąga panów hazard? – zapytał tonem, który sugerował, że nie ma zamiaru zmieniać tematu rozmowy.

– Muszę przyznać, że mnie wcale – odrzekł Wintle. – W moim rodzinnym domu hazard był zawsze źle widziany. Pochodzę z rodziny, która jest głęboko wierząca, wie pan, co mam na myśli.

– Ja natomiast nie stronię od partyjki. Lubię czasem pójść o zakład – rzekł Teach, stukając o bar, by zamówić jeszcze jednego drinka.

Collis uśmiechnął się do niego.

– To dobrze. Wobec tego może się o coś założymy?

Charles również starał się wymusić z siebie cień uśmiechu.

– Collis ma już to do siebie, że lubi się zakładać, no nie, Collis? Wczoraj założył się z Andrew Huntem, że pierwszy facet, który wejdzie do Eagle Saloon będzie miał na sobie kraciatą kamizelkę. I wygrał.

Teach popatrzył na Collisa podejrzliwie. Oczy miał wylupiaste i workowate, jak u ropuchy.

– Więc o co się mamy założyć? – zapytał nie speszony.

– No dobrze – rzekł Collis. – Założę się, że uda mi się zrobić pomiary wzdłuż Sierra Nevada jeszcze przed wiosną i że sfinansuję to z własnej kieszeni oraz że położę pierwsze tory kolejowe przez całą Nevadę za pięć lat. A jeśli wygram, zaprosisz mnie na obiad do hotelu International i zainwestujesz pięćdziesiąt procent swojego kapitału w moją kolej.

Teach myślał nad tym przez chwilę. Potem wyciągnął dłoń, krótkopalczystą i spracowaną, którą zdobił jeden tylko złoty sygnet.

– Zgoda – powiedział. – A jeśli ty, przegrasz, to będziesz musiał mi wypłacić pięćdziesiąt procent twojego kapitału. Ale daruję ci ten obiad – powiedział, unosząc swój kieliszek. – Ta naleweczka zupełnie mi wystarcza na popołudnie.

Salę wypełnił nagle wybuch wesołego śmiechu i podniesione głosy, a Collis miał nieprzyjemne wrażenie, że ziemia zakołowała mu pod stopami.

– Trzęsienie ziemi – rzekł Charles obojętnie.

*

Tego wieczora Collis przygotowywał się do wyjścia bardzo starannie. Z wygranej w Eagle Saloon kupił u Willisa, lokalnego krawca, nową koszulę, nowy krawat i nowy aksamitny cylinder. Na Sacramento Street znalazł również całkiem przyzwoitego szewca i wydał dwadzieścia dolarów na nowe, czarne lakierki.

Zastanawiał się, czy nie nosić żałoby po ojcu przez tydzień lub dwa, ale po trzech koktajlach burbońskich doszedł do wniosku, że nie warto. Ojciec leżał przecież w grobie, trzy tysiące mil od San Francisco, a w dodatku stosunki między nimi nigdy nie układały się najlepiej. Modlitwa za jego duszę będzie musiała wystarczyć i może jeszcze taka bardzo osobista prośba o wybaczenie. Choć matka nigdy się o tym, oczywiście nie dowie.

Na zewnątrz, za oknem sypialni, gdy zawiązywał krawat, niebo było blade, szaroniebieskie, a światła z budynków po drugiej stronie ulicy przedzierały się przez mgłę.

Była ósma wieczorem, zapadał już mrok, z dołu dobiegał go szelest falbaniastych sukien i od czasu do czasu piskliwy wybuch zniecierpliwienia. Janka Zadupeczanka kończyła właśnie swoją wyjściową, pedantyczną toaletę. Pochylił się tuż nad samym lustrem i podciął baczki nożyczkami do paznokci.

O ósmej piętnaście dzwonek u drzwi frontowych zaterkotał raptownie i w przedpokoju zapanował straszny rwetes, ponieważ zjawiała się tam właśnie reszta towarzystwa. Janka Zadupeczanka uwijała się wokół nich w falbaniastej, atłasowej sukni w kolorze śliwkowym, z tiarą długich, strusich piór podskakujących na czubku jej starannie wypracowanej coiffure.

Collis, schodząc w dół, pomyślał, że wygląda jak jakiś egzotyczny ptak. Oprócz Collisa i Janki Zadupeczanki w ich grupie był również Charles Tucker, ubrany w niemodny surdut, z bardzo szerokimi, satynowymi wyłogami. Na jego ramieniu umieszczona była, niczym ozdobna parasolka, drobna dziewczyna o anielskich rysach twarzy, w kapeluszu utkanym taką ilością ozdóbek, że wyglądało to wręcz żenująco, i sukni z ciemnozielonego atłasu. Był tam również gargantuiczny olbrzym, Samuel Lewis, z pofalowaną siwą czupryną i przekrwioną, wysmaganą wiatrem i przepaloną słońcem twarzą, który górował nad swoimi drobniejszymi znajomymi jak napęczniały księżyc w pełni, zwiastujący zniwo, ale nigdy jakoś nie przynoszący w końcu oczekiwanej obfitości. Sam Lewis był prezesem Bullion & Marine, najbardziej wpływowym członkiem Izby Handlowej w San Francisco, ale ze względu na swoje starokawalerstwo i obrzydliwy zwyczaj palenia wyjątkowo cuchnących cygar, nigdy nie udało mu się wkraść w łaski rycerstwa z South Parku. Miał towarzyszyć Jance Zadupeczance, a kiedy, po wejściu do mieszkania, zatrzymał się, by dać jej całusa, wyglądało jakby się schylał nad talerzem włoskiego makaronu.

Collis miał iść z Urszulą – Brazylijką, wystrojoną w błyszczące pomarańczowe atlasy, której wygląd sugerował, że właśnie udało się jej zdobyć piąte miejsce w konkursie piękności na miejscowym odpuszcie w Pipidówce. Spod jej kapturka, upstrzonego wstążeczkami i przewiązanego pod brodą szeroką, powiewną kokardą, wymykały się czarne kręcone loki.

Dygnęła przed nim, biorąc go pod rękę, a gdy się zbliżyła, powiało od niej zapachem duszących, paczulowych perfum.

Dziewczyna umieszczona na ramieniu Charlesa Tuckera, jak się Collis dowiedział później tego wieczora, nazywała się ; Elsie i była córką stolarza o nazwisku Billings. Miał on zakład na Market Street i cieszył się lokalną sławą wśród zawodowców, ponieważ pracował kiedyś na parowcu „Niantic”, który i został ściągnięty z zatoki na ląd i przerobiony przez właścicieli na jeden z pierwszorzędnych hoteli w San Francisco. Elsie miała nienaturalnie wysoki, irytujący głos, który po pewnym czasie zaczął działać Collisowi na nerwy, ale Charles zapewnił go, że znała się za to doskonale na świdrach, heblach i wiertarkach i w ogóle na wszystkim, co dotyczyło stolarstwa.

– Nieczęsto można spotkać dziewczynę, która jednego dnia dogodzi ci w łóżeczku, a drugiego zbije wcale zgrabną etażerkę z desek – rzekł Charles do Collisa, kiedy wychodzili na zewnątrz, na chodnik, by wejść do powozów.

Zniszczona bryczka Charlesa Tuckera czekała już na nich przy krawężniku; Billy siedział na koźle w swoim ciężkim brązowym płaszczu z marglowego tweedu. Charles pomógł Elsie wejść do powozu, a potem usadowił się obok na ławce. Billy zasalutował i rzucił w stronę swojego szefa: – Teatr Empire, Mr Tucker?

– Owszem, Billy, owszem.

Następnie, z wielkim piskiem i łomotem, podjechał kabriolet Sama Lewisa. Był to całkiem szykowny powozik, z błyszczącymi, mosiężnymi okuciami, z czarnym skórzanym daszkiem i karoserią wykończoną błyszczącą, zieloną farbą. Woźnica – z nosem jak wielki czerwony kulfon, który zadziwił nawet samego Collisa, choć na ogół on niczemu się już nie dziwił – miał na sobie szarą liberię, wykończoną mosiężnymi guzami, i czarny berecik. Woźnica zszedł z kozła i pomógł Jance Zadupczance i Urszuli wdrapać się do powozu, a potem podał również rękę Collisowi i Samowi Lewisowi.

Plac wokół teatru, który był otoczony białym krużgankiem i jaskrawo żarzącymi się lampionami, roił się od bryczek, kabrioletów i rozwrzeszczanego pospólstwa. Collis, rozglądając się wokoło, widział czarno – czerwone kolasy bogaczy, milionerów z South Parku, oraz lekkie, żółtobeżowe kariolki rozhlukanych, rozbawionych gołowąsów. Wszędzie panował nastrój podniecenia, a wieczorne powietrze przesycone było mgłą. Wokół mnóstwo było mężczyzn w wyjściowych smokingach, białych krawatach i wyciętych białych gorsach, z laseczkami o ozdobnych srebrnych rączkach, oraz kobiet w aksamitnych, wytwornych pelerynkach i błyszczącej biżuterii. Zapach perfum i dym z cygar unosiły się we mgle, a z alei za teatrem dochodziła mocna woń przypraw do zupy krewetkowej, podgrzewanej na rozżarzonych węgielkach przez Chińczyka z cieniutkim warkoczykiem. Collis nie mógł w ogóle rozróżnić, które z opuszczających karety i przechodzących przez szeroko otwarte drzwi teatru, eleganckich par cieszyły się ogólnym poważaniem, a które nie. Przecież w końcu w mieście, gdzie nawet zwykli kanceliści nosili brylantowe sygnety, a prostytutki paradowały w sukniach sprowadzonych prosto z Paryża, to właśnie godni i dostojni obywatele często zaniedbywali swój wygląd, a nie na odwrót. Collis wskazał głową na pewną prześliczną

istotkę płci żeńskiej, która miała na głowie lśniąca tiarę i przystrojona była w ufarbowane na niebiesko strusie pióra, a Janka Zadupczanka wyjaśniła, że to Harietta DeLancey, najdroższa prostytutka w całym mieście. Ale potem zwróciła również uwagę Collisa na Thomasa Selby i jego żonę, którzy właśnie wysiadali z karety i mieli bardzo zadowolone z siebie miny, oraz na opasłego Milтона Lathamsa i senatora Williama Gwina, dostojnego niczym potężny żaglowiec, z żoną Mary Bell. Ktoś rzucił chińską petardę, która rozprysła się w powietrzu z trzaskiem i sykiem, przy akompaniamencie śmiechów, krzyku i potoku wyzwisk z ust woźnicy, którego konie się wystraszyły.

– Czy widzisz gdzieś Melfordów? – wyszeptał Collis prosto do ucha Janki Zadupczanki.

Potrząsnęła głową.

– Na ogół przyjeżdżają później, tak żeby wszyscy mogli ich podziwiać. Mają własną lożę na przedzie.

– Więc nie ma mowy, żebym ich przeoczył?

– O, nie. Zobacysz ich na pewno, nic się nie martw. Ich kabriolet dotarł jakoś wreszcie przed wejście teatru i z pomocą woźnicy Sama Lewisa zeszli na zatłoczony chodnik. Sam Lewis, którego głowa i ramiona górowały ponad ciżbą ludzką, zapowiedział woźnicy: – Jak już skończą te pienińskie deklamacje, pójdziemy do hotelu Oriental na kolację.

Czekaj tam na nas dokładnie o pomocy.

Woźnica dotknął swojej czapki, salutując uroczyście, wskoczył na kozła i trzasnął z bata.

Collis został na chodniku z Urszulą, starając się usilnie przecisnąć przez tłum miłośników sztuki dramatycznej oraz ciekawskich gapiów, by dotrzeć do szklanych drzwi wejściowych (w ościeżnicy z drewna gruszy) teatru Empire, nie gubiąc przy tym z pola widzenia ogromnej siwej głowy Sama Lewisa.

Foyer teatru wyglądało raczej jak salon gry na tonącym okręcie niż świątynia sztuki.

Entuzjazm miłośników teatru graniczył z histerią. Ponad ich głowami jarzył się wprawdzie ogromny kryształowy żyrandol i wszędzie rozwieszono czerwone kotary, ale i tak nie można było oprzeć się wrażeniu, że Empire jest po prostu pudełkiem, gdzie upchano niesamowitą ilość niezwykle podekscytowanych ludzi, którzy nie mogą już stamtąd uciec. Kiedy wchodzili na widownię, Collis objął Urszulę ramieniem. Zanim znaleźli się wreszcie w loży Sama Lewisa, wygnieci, przepoceni i zażawieni, musieli przepychać się łokciami przez tłum i stoczyć prawdziwą walkę o przetrwanie.

Collis wyjął chusteczkę i przetarł czoło. Choć na zewnątrz było całkiem zimno, wewnątrz teatru Empire panował potworny upał. Sam Teatr zaprojektowany był bardzo tradycyjnie, z pozłacanym proscenium, nad którym dwa cherubinki dęły w rogi myśliwskie, i z ciężkimi draperiami. Zachowanie publiczności było za to dalekie od jakichkolwiek tradycji. Nie wchodzili, by zająć miejsca – jak to było w zwyczaju w teatrach Nowego Jorku – zajęci uprzejmą rozmową, w oczekiwaniu na rozpoczęcie spektaklu. Wyglądało, jakby przyszli tu specjalnie po to, by skakać w dół i w górę, wyklócać się, wydzierać jeden na drugiego, jak tylko mogli najgłośniej, i wymachiwać rękami, tak że widownia na parterze wyglądała jak stado skrzeczących zaciekle

czarno – białych mew, wciśniętych w czarne, wieczorowe fraki albo białe muśliny. Szturchali się, popychali i podrygiwali bez ustanku, a upał na sali był tak potworny, że Collis miał tylko jedno pragnienie: zrobić w tył zwrot i uciec stąd jak najprędzej, choćby i rozpychając się łokciami, na zewnątrz, na dziedziniec, i oprzeć czoło na szybie wystawowej jakiegoś sklepu.

Janka Zadupczanka otworzyła swoją srebrną torebkę na łańcuszku i wyjęła malutką, ciętą piersióweczkę.

– A to by nie pomogło? – wyszeptała do Collisa. – Wyglądasz, jakbyś miał zaraz opuścić na zawsze swoją ziemską powłokę.

Collis wziął od niej z wdzięcznością flaszeczkę, owinał ją w chusteczkę, prędytoko przechylił głowę w tył i pociągnął porządnego łyka. Był to koniak, VSOP. Od razu poczuł ciepło i ulgę w żołądku, puls wrócił do normy, a wzrok stał się bystrzejszy.

– Dzięki – powiedział, oddając jej buteleczkę.

– Ja już bym wolał znaleźć się raczej w piekielnych czeluściach niż tutaj, a ty Collis? – odezwał się Sam Lewis.

Collis odkasznął.

– Hmm... Sam nie wiem. Przynajmniej stąd można się jednak wydostać, kiedy już będzie po wszystkim.

– No, to i prawda – rzekł tamten. – Ale na korzyść czeluści piekielnych przemawia fakt, że cię tam tylko najwyżej przypiekają, a nie każą ci jeszcze do tego oklaskiwać tej pienińskiej pantomimy.

W bocznych drzwiach pojawiła się orkiestra wraz z całym muzycznym ekwipunkiem.

Zajęli miejsca, wertując nuty i potykając się o pulpity muzyczne, a kiedy wreszcie zdawało się, że są już gotowi do występu, zaczęli nagle jeszcze wyjmować chusteczki, wycierając głośno nosy, jakby biorąc odwet na rozhukanej publiczności. W końcu, gdy się już wreszcie ostatecznie usadowili, wszedł dumny jak paw dyrygent, niski Włoch z podkreconymi baczkami i gąszczem siwych włosów. Stał w świetle reflektorów, które oświetlały jego podium, podczas gdy na widowni rozległa się burza oklasków, a nawet okrzyki i wycie, których dostarczała mniej towarzysko wyrobiona publiczność. Następne pięć minut spędzono na płaczącym strojeniu instrumentów.

Sam Lewis zwrócił się do Collisa: – Charles mówił, że wybierasz się z nim do Sacramento, żeby popracować w tej jego spółce z Lelandem McCormickiem. Chcesz się podobno wdroyć w ten ich biznes.

– Nosilem się z tym zamiarem – odparł Collis.

– No, no. Nie ma drugiego takiego wymagającego szefa, jak Leland – zauważył Sam. – Sam zobaczysz.

Wyjął z kieszeni czarną cygarnicę z węzowej skórki i poczęstował wszystkich cygarem, ale Charles i Collis odmówili. Sam włożył jedno cygaro do ust i poklepał się po kieszeni wyjściowego garnituru, aby znaleźć zapalki, ale nikt nie pospieszył, by zaofiarować mu ogień.

– Charles mówił, że chcesz budować kolej żelazną.

– Być może.

– Na twoim miejscu, synu, dałbym sobie spokój z tymi wszystkimi „możami” i zajął się czymś innym. Kolej żelazna to, proszę ja ciebie, istna trucizna. Wiesz, dlaczego tak mówię?

Bo inwestujesz swoją forszę w coś, co jak raz położysz, to już nie ruszysz i kwita. Spójrz na tego całego Theodore’a Jonesa, tego z Sacramento. Pułkownik Wilson sprowadził go, żeby położył dwadzieścia dwie mile torów kolejowych, z Sacramento do Folsom, bo Folsom miało wtedy pełno złota. No i wiesz, co się stało? Przekłete kopalnie się wykończyły i trzy czwarte ludności Folsom rozproszyło się po świecie. I co mu zostało? Dwadzieścia dwie mile podtorza, proszę ja ciebie, i szyn, które wiodą donikąd. A poza tym żaden pociąg nie przebrnie przez Sierra Nevada, chyba że zerwiesz szyny i zaprzęgniesz go zamiast tego w muły.

– No to się załóżmy – rzekł Collis.

Charles uniósł swoją rudą brew i starał się dać Collisowi znak, by ten zachowywał się z większym umiarem, ale Collis się zawzięł. Im dłużej rozmawiał z takimi ludźmi, jak Teach, Wintle i Lewis, i im więcej słyszał od nich, że za nic nie da się poprowadzić kolei transkontynentalnej przez Sierra Nevada, tym bardziej był przekonany, że on właśnie kiedyś dopnie swego. Musi dopiąć swego. Nie dopuszczał po prostu do siebie myśli, że Bóg mógłby stworzyć kraj równie bogaty, równie urodzajny i niezależny po to tylko, żeby trwał tak podzielony przez niedostępne pasma górskie. Sądził również, że Pan i Stwórca nie będzie chciał pozwolić na to, aby tylu ludzi cierpiało i umierało w drodze przez Panamę, chyba że ich śmierć przynajmniej jakoś zainspiruje innych do tego, żeby znaleźli odpowiednią trasę przez Góry Skaliste i Sierra Nevada. Inaczej, jaki to wszystko miałoby sens – i dla człowieka, i dla Boga? Trzeba to będzie kiedyś zrobić, nawet jeśli rzeczywiście jest to zupełnie niemożliwe.

– A o co się chcesz założyć, chłopcze? – zapytał Sam Lewis. – Że poprowadzisz lokomotywę prościutką przez Sierra Nevada?

– Założę się o to, że w pięć lat znajdę przejście przez Sierra Nevada i udowodnię, iż budowa takiej kolei leży w zasięgu ludzkich możliwości – odparł Collis.

– No, a jeśli wygrasz, to co mi każesz zrobić? Rzucić palenie?

– Będzie pan musiał zainwestować sto tysięcy dolarów w moje przedsiębiorstwo kolejowe, nie wnikając w żadne szczegóły.

– Ale przecież ty nie masz żadnego przedsiębiorstwa kolejowego.

– Ale jak tak dalej pójdzie, to coś mi na to wygląda, że będę je miał, i to już wkrótce.

Sam Lewis wypuścił kłębek dymu z cygara przez zaciśnięte wargi.

– Zgoda – powiedział. – Mądrze gadasz. Podobasz mi się. Ale jeśli ci się to nie uda, synu, to co ja z tego będę miał?

– Mr Lewis – rzekł Collis. – Kupię panu ten teatr, specjalnie po to, żeby go pan mógł własnoręcznie podpalić. Dla przyjemności – i tyle.

Sam Lewis uśmiechnął się lekko, marszcząc karminowoczerwone wargi. Potem wyciągnął rękę i uścisnął dłoń Collisa.

– Zgoda! Zgoda! W to mi graj! Wygląda mi na to, że tak czy inaczej wyjdę na swoje, a Bóg mi świadkiem, zawsze miałem ochotę spalić to pienińskie miejsce.

Właśnie wtedy Janka Zadupczanka wyciągnęła dłoń i dotknęła ramienia Collisa. Odwrócił się ku niej, a ona znacząco wskazała ruchem głowy na drugą stronę widowni. Powiódł za nią wzrokiem i zauważył, że kotara przy wejściu do loży Melfordów odsłania się i że dyrektor teatru sam, osobiście, eskortuje znakomitą rodzinę na miejsce.

Janka Zadupczanka bez słowa podała Collisowi lornetkę z masy perłowej, a Collis podniósł ją do oczu. Najpierw zajęła miejsce Anthea Melford, wysoka, posągowa kobieta po czterdziestce. Jej miedzianobrazowe włosy upięte były do tyłu, a tylko parę loczków zwieszało się wokół twarzy. Miała ostre, wyraziste rysy i wysokie kości policzkowe. Collis nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wygląda jak jakaś starożytna grecka władczyni albo jak Agrypina, zmęczona oplakiwaniem prochów Germanicusa i gotowa wreszcie, by zabawić się wśród pospólstwa. W swojej błękitnej atłasowej sukni, brylantach i perłach, posuwała się naprzód dumnie, z godnością, a gdy siadała, zdawało się, że zajmuje swoje miejsce na tronie.

Za nią weszła druga kobieta, w nieporządnej fryzurze i ubrana zarówno biednie, jak i niegustownie w czarną suknię, która w Nowym Jorku wyszła już prawdopodobnie z mody jakieś pięć lat wcześniej. Mogła być daleką krewną lub znajomą Melfordów. Usiadła przy Anthei i ze zdenerwowania upuściła torebkę.

Orkiestra grała Gdy księżyc świeci nad jeziorem, ale oczy wszystkich, ukradkiem lub ostentacyjnie, skierowane były na lożę Melfordów. Ktoś na sali zaczął klaskać, zupełnie bez powodu.

W końcu kotara w loży Melfordów znowu się odsłoniła i oczom zebranych ukazała się dziewczyna, na którą Collis tak nerwowo i w napięciu oczekiwał – Sara Melford. Od razu wiedział, że to ona. Była wyższa od matki i równie wysmukła, ale podczas gdy matka miała włosy zaczesane do tyłu, lśniące, kasztanowe kędziory Sary, z przedziałkiem na środku głowy, opadały luźno wokół jej urzekającej twarzy. Oczy miała piwne, a kości policzkowe wystające, nos wąski, ale prosty. Jej usta były może trochę zbyt pełne, ale całkiem możliwe, że po prostu nałożyła za dużo szminki. Szyję miała długą, o jasnej karnacji, a jej bardzo wydekoltowana, żółta niczym kaczeńce suknia pozwalała dojrzeć pełne, krągłe piersi przyozdobione brylantami i złotem. Wchodząc do loży, zatrzymała się, jakby chciała dać mieszkańcom San Francisco znajdującym się na widowni szansę podziwiania swej niezwykłej urody. Prawdę mówiąc, tego właśnie oczekiwała. Następnie, w całej swej okazałości, zajęła miejsce – wciąż z niezachwianą pewnością siebie i wdziękiem, aż wreszcie otworzyła aksamitny wachlarz gestem, który mógł znaczyć: „No, dosyć już tego dobrego. Mieliście, moim zdaniem, wystarczająco dużo czasu, żeby się napatrzeć”.

Collis spodziewał się, że zobaczy wyjątkowo ładną, może nawet prześliczną dziewczynę.

Ale Sara Melford – z tego, co mógł się zorientować, patrząc na nią przez lornetkę, której ostrość pozostawiała wiele do życzenia – była po prostu istotą wyjątkową; pięknem samym w sobie. Odziedziczyła klasyczne, chłodne rysy matki, ale z domieszką łagodności, które przeniosła na nią w genach rodzina ojca. Była więc nie tylko bardzo zgrabna, ale również po prostu czarująca. Robiła wrażenie zarówno wyniosłej, jak i zmysłowej; zdawało się, że oprócz zimnej elegancji mogła mieć również całkiem przyziemne pragnienia. Collis wyobrażał sobie co by to było, gdyby tak mogli usiąść naprzeciw siebie na jakimś bankiecie, rozdzieleni srebrną zastawą stołową i roziskrzonymi kandelabrami. On zrzuciłby pod stołem buty, tak aby wsunąć stopę pomiędzy jej halki i dotknąć jej nagich, rozpalonych ud, podczas gdy ponad damasceńskim obrusem, udając obojętność, rozmawialiby o badmintonie, wyścigach konnych i plotkowali o najświeższych waszyngtońskich skandalikach.

Sara Melford była rzadkim, cudownym okazem żeńskiego gatunku i Collis zorientował się nagle, że wpatruje się w nią jak zaczarowany. Usiadła w fotelu, doskonale dumna i opanowana, z nieskazitelną pewnością siebie. Taka postawa rodzi się, naturalnie, ze świadomości, że się jest osobą bardzo, bardzo bogatą, bardzo, bardzo wpływową i bardzo, bardzo piękną.

Collis był tak oczarowany Sarą, że początkowo nie zauważył nawet wcale czarnej, imponującej sylwetki, która wsunęła się do łoża i stanęła za plecami Sary. Ale potem zwrócił uwagę, że na oparciu krzesła Sary spoczywa szeroka, opalona dłoń. Powiódł za nią wzrokiem, najpierw ku mankietom koszuli, potem po przedramieniu, aż do szerokachnych barów obleczonej w wyśmienicie skrojony smoking. W końcu skupił swoją uwagę na twarzy Laurence'a Melforda, jednego z najbardziej wpływowych kalifornijskich pionierów, milionera, który zrobił majątek na złocie, whisky, srebrze, nieruchomościach i nierogaciznie.

Tego, który decydował o ludzkich losach – politycznego giganta. Z tego, co Collis był w stanie zauważyć w półmroku łoża Melfordów, był to człowiek o szerokim karku, surowy, z siwymi, krzaczastymi brwiami, niczym generał Zachary Taylor – Stary Szczwany Wyga – tyle tylko, że jego wargi skrojone były nieco łagodniej. Nosił się z przesadnym dostojeństwem, co było poza typową dla nowobogackich dorobkiewiczów, zastępującą sławnych przodków i dostatnie dzieciństwo. Collis widział, jak obraca głową we wszystkie strony, nie jakby szukał po sali kogoś znajomego, ale jakby wspaniałomyślnie pozwalał publiczności podziwiać różne strony swej przystojnej, ale nieprzystępnej, twarzy.

Sara uniosła dłoń i wyszeptala coś do ojcowskiego ucha, a on pochylił się niżej nad jej fotelem. Collis zauważył, że Melford uśmiechnął się, a Sara roześmiała się głośno. Dałby pięćdziesiąt dolarów w czystym srebrze, żeby dowiedzieć się o czym to tak mogą konferować. Odłożył lornetkę i spojrzął na Charlesa Tuckera z wyrazem uznania, ale również i frustracji.

– Niestety, to księżniczka w Szklanej Wieży – zauważyła Janka Zadupczanka. – Tylko niezwykle bogaty, a do tego może i jeszcze utytułowany konkurent, nie mniej przedsiębiorczy niż sam Bret Harte* będzie miał szansę ubiegać się o jej względy.

– Janka ma rację, Collis – rzekł Charles. – Ta dziewczyna to chodząca definicja słowa niepokalana.

– Nie ma takich pośród ziemskich śmiertelniczek – rzekł Collis z uśmiechem.

– Charles miał na myśli nieprzystępna – wtrącił Sam Lewis. – Ale na pewno to idzie, że tak powiem, w parze.

– Mówią, że nigdy się jeszcze z nikim nawet nie całowała – rzekła Elsie. – I że nigdy nawet nie była sama w pokoju z mężczyzną, nigdy, chociaż ma już lat dwadzieścia.

Collis uniósł znowu lornetkę, ale teraz już szybko, jedno po drugim, światła na sali zaczęły wygasać, a łoża Melfordów pogrążyła się w ciemności. Tylko od czasu do czasu dojrzeć jeszcze można było nagły błysk brylantów lub monotony ruch wachlarza. Oświetlenie łupnęła nierówno „Taniec Driad” Augusta Muschlera i wreszcie, z głośnym trzaskiem i furkotem, kurtyna na scenie poszła w górę.

Rozległa się burza oklasków, krzyki, gwizdy i wiwaty, a Collis, wykończony, zdjął rękawiczki wieczorowe i starał się pogodzić z myślą, że przez resztę wieczoru będzie się musiał poddać torturom prowincjonalnej rozrywki.

Na szczęście Rodney Mulgrave nie był aż taki zły, choć Collisowi oczy zaczęły się same zamykać podczas nie kończącej się scenki zatytułowanej „Góral bohater, uznany za zmarłego, powraca do swojej rodzinnej zagrody, gdzie zastaje swoją matkę starowinkę ociemniałą”, w której to scenie Rodney Mulgrave grał zarówno górala bohatera, jak i jego matkę starowinkę, w podwójnej roli, która wymagała od odtwórcy nie lada umiejętności. Musiał on przeskakiwać bez przerwy z jednej strony sali na drugą oraz zmieniać co rusz okrycie.

Zamierzony efekt osiągany był za pomocą chusty, którą szacowny artysta obwiązywał sobie to wokół talii (kilt bohatera), to znowu wokół głowy (chusta matki starowinki). Collis ocknął się akurat w punkcie kulminacyjnym widowiska – niezwykle zresztą wzruszającym – kiedy to matka starowinka pieszczotliwie głaszcze syna po twarzy i zaczyna wreszcie wierzyć, że to naprawdę on, że rzeczywiście powrócił z krwawych trzęsawisk Culloden*, choć Collisowi trudno było zrozumieć, jak widok takiego tłustego kurdupla w chuście okręconej wokół talii, klęczącego na scenie i głaszczącego pieszczotliwie czubek własnego nosa, może wycisnąć z oczu tylu ludzi taką obfitość łez i targać tyle piersi szlochem. Nawet Janka Zadupczanka od czasu do czasu przecierała chusteczką oczy.

W czasie przerwy Collis został w łoży, pogrążony we własnych myślach, paląc w zamyśleniu cygaro. Charles i Elsie wyszli, żeby kupić szampana i czekoladki, a Urszula wyperfumowała się raz jeszcze i wachlowała zamazyście, rozmarzona.

Collis chociaż siedział z pochyloną głową, nie spuszczał wzroku z łoży Melfordów po przeciwnej stronie sali, gdzie Sara z rodziną popijała zimne białe wino i zaśmiewała się serdecznie, jak ci, którzy wiedzą, że są przedmiotem powszechnego uwielbienia. Wpatrywał się najpierw w Sarę, czując, jak jakiś prąd przechodzi mu przez całe ciało, od stóp do głów, na sam widok jej nieprzeciętnej urody, a potem przeniósł wzrok na jej ojca, Laurence’a Melforda, ponieważ to jego właśnie będzie musiał albo pokonać, albo przekabacić na swoją stronę, jeśli zamierza podbić serce Sary, a prócz tego rzucić sobie do stóp całe San Francisco.

Laurence zdawał się równie twardy i nieprzejeđnany jak łańcuchy Sierra Nevada.

W końcu, na parę minut przed końcem antraktu, po którym publiczność ponownie zostać miała uraczona mistrzowskim aktorstwem Rodneya Mulgrave’a – najpierw fragmentami z Szekspira (wyboru dokonał i wstępem opatrzył czcigodny maestro, sam, we własnej osobie), a potem jego własnym „Monologiem samotnego rozbitka z okazji urodzin Washingtona” – Collis przeprosił towarzystwo i wyszedł z łoży. Przeszedł szybko korytarzem, który prowadził na drugi koniec sali

teatralnej, rozpychając się łokciami wśród rzeszy zamożnych młokosów w wieczorowych żakietach i fikuśnie – przewiązanych krawatach oraz wyperfumowanych, wyfiokowanych dziwek w atłasowych sukniach, które przybiegły tu licznie, by zapewnić sobie płatne rendez-vous na wieczór po spektaklu.

Dotknął kotary w tyle łoży Melfordów. Stał przy niej na straży wysoki, jastrzębiooki kamerdyner w żabiozielonym surducie i białych bryczesach po kolana. Kamerdyner nie poruszył się, tylko jego oczy łypnęły w dół na Collisa, jak oko sępa, który kręci się w poszukiwaniu kujota na prerii. Sądząc po akcencie, pochodził z Connecticut.

– Czego pan sobie życzy? Szuka pan kogoś? – zwrócił się do Collisa z zapytaniem.

Collis odchrząknął.

– Tak... eee... właściwie, to tak. Miałem nadzieję, że będę mógł złożyć moje uszanowanie panu Melfordowi. Zauważyłem, że jest tu dzisiaj z rodziną, i... hmmm... miałem nadzieję, że będę mógł złożyć moje uszanowanie.

– Proszę o wizytówkę.

– Wizytówkę?

Kamerdyner uśmiechnął się ironicznie.

– Jak mogę przekazać pańskie wyrazy szacunku bez wizytówki, proszę pana?

– Dopiero co tu przyjechałem. To znaczy, do San Francisco. I nie miałem jeszcze sposobności wydrukować sobie wizytówek.

– Wobec tego proszę o nazwisko.

Collis sam nie rozumiał, dlaczego czuł się tak onieśmielony w obecności tego lokaja z obstawy. Może dlatego, że reprezentował on władzę, bogactwo i absolutne piękno. A może przyczyną była tu bliskość Sary Melford – znajdowała się przecież tylko o dwa kroki od niego. Wprawdzie ukryta była ciągle za kotarą, ale już znalazł się w zasięgu jej magnetycznej siły przyciągania – tej samej siły, która sprawia, że opiłki żelaza układają się na bibułce w najprzeróżniejsze, dziwaczne zygzaki, a metalowe sztaby przyciągają się do siebie nawzajem.

Jedno z praw fizyki. Normalka.

– Powiedz, że to Mr Collis Edmonds z Nowego Jorku – rzekł Collis. Słowa więzły mu w gardle, ale nie chciał, żeby tamten to zauważył. Ale potem nagle, jakby doznał jakiegoś olśnienia, dorzucił:

– Powiedz, że to ten, który wczoraj rano przestrzelił kapelusz krupiera w Eagle Saloon.

– Słucham? – zapytał kamerdyner.

Ale Collis, w ramach perswazji, przechylił tylko głowę na bok i powiedział: – No idź. Powiedz mu to. Słyszałeś przecież.

– Proszę chwileczkę poczekać – rzekł kamerdyner, a potem zniknął za kotarą. Na ułamek sekundy Collis zobaczył poślaczony fotel Sary, jej śnieżnobiałe ramiona, jaskrawożółtą suknię, doleciał go zapach jej perfum – przyjemny aromat bogactwa. Potem kotara znowu się zasunęła i nie pozostawało mu nic innego, jak tylko czekać w korytarzu, ściskając mocno w dłoniach rękawiczki wieczorowe z upokarzającym uczuciem towarzyskiej niższości, którego nigdy jeszcze dotąd nie dane mu było zasmakować.

Usłyszał, jak orkiestra rozpoczyna uwerturę do drugiej części występu Rodneya Mulgrave’a i dałby teraz wszystko za jeden jedyny łyczek z buteleczki Janki Zadupczanki.

Odchrząknął nerwowo parę razy.

Po chwili kotara znowu się rozsunęła i z łoży Melfordów wyłonił się kamerdyner.

– No i? – zagadnął Collis.

Kamerdyner przekręcił głowę na bok, jakby celowo wyszydając manierę Collisa.

– Mr Melford dziękuje za wyrazy uszanowania i ma nadzieję, że będzie się pan dobrze bawił do końca przedstawienia.

– Tylko tyle?

– A czego jeszcze się pan spodziewał? Collis wydał wargi.

– Czy Mr Melford wie, kim ja jestem? Jestem synem Makepeace’a Edmonsa, świętej pamięci Makepeace’a Edmonsa, bankiera z I. P. Woolmer w Nowym Jorku. Nazywam się Collis Edmonds.

– Tak, proszę pana – odparł kamerdyner. – Jest pan również tym dżentelmenem, który wczoraj rano przestrzelił kapelusze krupiera w Eagle Saloon.

– Powiedziałeś mi to?

– Tak, proszę pana.

– A co on na to?

Kamerdyner uśmiechnął się krzywo.

– Powiedział, że bym pana jak najprędzej spławił. I właśnie to usiłowałem uczynić w sposób jak najbardziej – powiedziałbym – elegancki.

W tym momencie kotara zakołysała się lekko i uchyliła na parę cali. Wyłonił się spoza niej sam Laurence Melford, dużo wyższy i bardziej muskularny, niż Collis sobie wyobrażał, w gorsie tak doskonale białym, że jego biel razila aż w oczy. Jego brwi były tak siwe i krzaczaste, że zdawał się patrzeć na Collisa poprzez zmierzwione kępki krzewów. Stał w aurze bogactwa – zapachu brandy, cygar i francuskiej wody kolońskiej.

– Proszę mówić ciszej – warknął głębokim, niskim głosem. – Przepraszam, Mr Melford – rzekł kamerdyner – ale ten pan nalega, żeby z panem porozmawiać, i twierdzi, że na pewno musiał pan już o nim słyszeć.

Laurence Melford celowo obciął Collisa wzrokiem od stóp do głów i pogładził brodę szeroką, spracowaną, ale pięknie wymanikiowaną dłonią. Na palcu jego lewej ręki widniał wielki sygnet z wygrawerowaną gotycką literą M. Tym samym charakterystycznym basso profundo powiedział: – Może i powinienem już o panu słyszeć. Ale nie słyszałem, i tyle.

– No to jeszcze pan usłyszysz – odparł Collis.

– Doprawdy? Mówisz pan, że szturmem weźmiesz San Francisco, tak?

Collis pokręcił głową. Jego pewność siebie rosła teraz, kiedy miał wreszcie przed sobą Melforda – żywego człowieka z krwi i kości, a nie legendę. Zarówno podwładni, jak i klienci ojca, w dniach jego chwały w I. P. Woolmer Bank, bali się go panicznie. Ale Collis nigdy się nie przejmował ani nim, ani w ogóle nikim innym, jeśli stanąć z tym kimś twarzą w twarz i porozmawiać w cztery oczy. Tak jak to mawiał prosto i bez ogródek Henry Browne: „Nigdy się nie bój nikogo, nawet przez chwilę. Pamiętaj, że tak samo jak ty, pędzi on codziennie do wygodki, a tam jego dostojeństwo, dokładnie tak jak i twoje, spuszcza się do kostek”.

– Mam zamiar wziąć szturmem cały ten kontynent – rzekł Collis. – Nie tylko San Francisco.

Laurence Melford drapał się za uchem. Wyglądał na znudzonego.

– Wybuduję kolej, Mr Melford. Kolej, która połączy San Francisco z Nebraską, a Nebraskę z Nowym Jorkiem. Wywrócę do góry nogami całą tę miejscinę, a z nią wszystkich jej mieszkańców.

– Aha – odparł Laurence Melford bez cienia emocji. – I dlatego właśnie chciał mi pan złożyć swoje uszanowanie? Żeby ostrzec mnie, że miasto nie jest wystarczająco duże dla nas obu? I że czas, abym zaczął pakować swoje manele?

– Nie, proszę pana – odparł Collis. – Przyszedłem złożyć wyrazy uszanowania, ponieważ wierzę, że kiedyś zostaniemy przyjaciółmi, a może nawet współnikami, chociaż pan jeszcze wcale się tego nie domyśla.

Laurence Melford wyprostował brzegi kamizelki i opuścił brodę, tak że zwinęła się w kilka fałdek.

– Mr Edwards – rzekł cierpliwie. – Kiedy pobędzie pan tu dłużej zrozumie pan, że są w tym mieście pewne tradycje, ogólnie przyjęte formy towarzyskie i podziały klasowe. Jesteśmy tu podzieleni na rycerzy i – jak się tu wulgarnie przyjęło mówić – łopaciarzy. Nie ze względu na jakieś uprzedzenia czy brak tolerancji, ale po prostu dlatego, że niektórzy z nas byli założycielami Kalifornii i zdobyli w czasie swojego długiego tutaj pobytu, dzięki swojemu doświadczeniu i majątności, prawo, by ustanawiać zasady, jakich trzeba się trzymać w tym mieście. Natomiast inni późniejsi przybysze, muszą zaakceptować kierownictwo i zasady, które ustanawiają założyciele. Jestem przekonany, Mr Edwards, że w Nowym Jorku byłby pan wszędzie mile widziany. Poprawnie się pan wyraża i gustownie ubiera. Ale proszę nie zapominać, że to nie Nowy Jork; jesteśmy, proszę pana, w San Francisco, a tu życie jest zupełnie inne. Niezależnie od tego, jak wysoko by się pan wspiał, nigdy nie będzie pan na równi ze mną, więc oszczędzi pan sobie trudu i rozczarowania, jeśli nie będzie się pan pchać, gdzie pana nie proszono.

Przełknął ślinę, jakby przemawiał na bankiecie.

– A teraz zechce mi pan wybaczyć. Jestem prawdziwym wielbicielem sztuki dramatycznej Mr Mulgrave'a i chciałbym usłyszeć jego monolog.

– Mr Melford – rzekł Collis, gdy milioner odwrócił się do niego plecami i uchylił rąbek kotary.

– Słucham.

– Przyjdzie czas, Mr Melford, kiedy pan mnie rozpozna, tak jak ta matka starowinka rozpoznała swojego bohaterskiego syna górala. Ukręci mi pan nosa i powie: „Mój Boże, to przecie ty”.

Laurence Melford wpatrywał się w Collisa rozognionym wzrokiem. Sam nie wiedział, dlaczego słowa Collisa jakoś głęboko go niepokoiły.

– Sam byłem kiedyś prawdziwym bohaterem, Mr Edwards – powiedział niskim, gardłowym głosem. – I nadal nim jestem.

– Wiem – rzekł Collis. – Ale wie pan, co powiedział Emerson: „Każdy bohater staje się w końcu nudziarzem”.

Laurence Melford zmarszczył brwi, a potem powoli rozchmurzył twarz; a nawet uśmiechnął się leciutko.

– Może i ma pan rację, Mr Edwards. Może i ma pan rację. Ale jeśli jest pan rzeczywiście bohaterem, to i pana czeka ten sam los.

Kotara uchyliła się nagle, tak że Laurence Melford musiał usunąć się na bok. Z oczami otwartymi szeroko ze zdumienia i wachlarzem w dłoni, w drzwiach łoży pojawiła się niespodziewanie Sara.

– Ojczy – powiedziała – co ty tu tak długo robisz?

Z bliska Sara Melford była jeszcze bardziej zachwycająca niż z odległości siedemdziesięciu stóp, widziana tylko przez lornetkę. Emanowało z niej ciepło, taki rodzaj żaru, jakby zarówno jej ciało, jak i osobowość świeciły z dumą blaskiem własnych zalet – spokoju, urody i opanowania. Collis zwrócił uwagę, że jej oczy były ciemne, ale z cętkami błękitu, i że na jej lewej piersi, z boku, nisko na dekolcie widniał duży pieprzyk. Brylantowy naszyjnik w kształcie pięciokątnej gwiazdy, który wisiał wokół jej szyi, musiał kosztować pięćdziesiąt, albo sześćdziesiąt tysięcy dolarów.

Laurence Melford wyciągnął dłoń i podał córce ramię, świadomie lub nieświadomie starając się trzymać z daleka od Collisa.

– Ucieliśmy sobie taką drobną, filozoficzną pogawędkę, kochanie – powiedział. – Ale nie mamy już sobie nic więcej do powiedzenia, więc wracam do was.

Sara podniosła wzrok. Popatrzyła na Collisa, jakby był interesującym okazem psa niezwyklej rasy, który zabłąkał się przypadkowo w jej salonie.

– Nie przedstawiś nas sobie, ojczy? – zapytała. – Wygląda całkiem zajmująco.

– Nie ma potrzeby – rzekł Laurence Melford. Jego zwiotczone wargi zachowały uśmiech, choć patrzył na Collisa wzrokiem, który ostrzegał: „Nie waż się do niej zbliżyć.

Wara! Nie dla ciebie takie delicje. Lepiej wybij to sobie od razu z głowy”.

Collis, częściowo, żeby zrobić na złość Melfordowi, a częściowo, ponieważ Sara naprawdę go zauroczyła, skłonił się grzecznie, do pasa.

– Collis Edmonds, Miss Melford, świeżo przybyły z Nowego Jorku. Ten, który wczoraj nad ranem przestrzelił kapelusze krupiera w Eagle Saloon.

Sara uśmiechnęła się promiennie.

– Słyszałam o panu! No proszę, czy to nie zabawne? Słyszałam, jak Dezzie rozmawiała o panu dzisiaj przed południem z woźnicą. Dezzie to moja pokojówka, Desdemona. Robi się pan sławny, Mr Edmonds. No proszę!

– Musimy wracać, córciu – nalegał Laurence Melford. – Słyszę, że występ Mr Mulgrave’a już się zaczął.

– Chyba tak – rzekła Sara, poruszając rytmicznie wachlarzem. Jej głos był wysoki, liryczny, melodyjny – jeden z tych, które Collis zawsze uważał za niezwykle pociągające.

Ale to, co robiła z wachlarzem, intrygowało go jeszcze bardziej niż jej głos. Znał dobrze całą grę sekretnych szyfrów i sygnałów, które młode dziewczęta przekazywały swym ukochanym za pomocą wachlarza i chusteczki, a nawet balowego karnecika, i jeśli doświadczenie Collisa z Nowego Jorku mogło tu podsuwać jakąś wskazówkę, to Sara Melford wyraźnie mówiła: „Chciałabym cię bliżej poznać”.

Obdarzył ją swoim najgorętszym, uwodzicielskim spojrzeniem, pełnym bólu, cierpienia i melancholii, jakby już raz kochał, ale uczucie to legło w gruzach pod ciężarem nieszczęść i okrucieństwa losu. Spojrzała na niego raz jeszcze i źrenice jej oczu znowu się rozszerzyły.

Zrozumiał, że przynajmniej zwrócił na siebie jej uwagę. A może i trochę więcej.

– A czym się pan trudni, Mr Edmonds? – zapytała. – A może jest pan po prostu człowiekiem z towarzystwa?

Collis odparł głosem, w którym tlił się nieutulony żal: – Należałem do towarzystwa, Miss Melford. Wychowany zostałem na dżentelmena. W Nowym Jorku miałem niezależne źródło dochodów.

– Ale? – spytała Sara Melford.

Collis spuścił wzrok. Wyraz jej twarzy i ton głosu zdawały się być pełne słodyczy i współczucia, może też ruchy wachlarza zdradzały jakieś tam zainteresowanie, ale była równie przebiegła, tak jak i ojciec, i jeśli Collis wiedział coś o dwudziestoletnich dziewczynach, była nawet twardsza, niż jej tatuńcio to sobie wyobrażał.

– Moja rodzina zaplątała się w pewne inwestycje, które okazały się całkowicie bezwartościowe. Straciliśmy wszystko, a mój ojciec, przybity tą klęską, zmarł w wyniku różnych nieprzewidzianych komplikacji.

– Rozumiem. Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

– No cóż. Przynajmniej wiem, że mój ojciec cieszył się lepszą częścią swojego życia równie intensywnie, jak potem nienawidził tej gorszej. A teraz ja jestem tu, w San Francisco, aby samemu zrobić majątek.

Sara uniosła wachlarz, rozpostarła go szeroko i popatrywała ponad wygiętym w łuk wachlarzem na Collisa. Para pytających oczu wlepiła się w niego sponad dekoracyjnego obrazka perskiego ogrodu z pawiami.

– No, już, Saro – rzekł Laurence Melford. – Jestem przekonany, że Mr Edwards też chce obejrzyć to przedstawienie. Prawda, Mr Edwards?

– Nie, nie – rzekła Sara. – Chciałabym go zapytać, w jaki sposób ma zamiar zrobić ten majątek. W jakiej dziedzinie? Uważam, że jest bardzo dzielny.

– Gadał tam coś o kolejach żelaznych – burknął Laurence Melford. – A teraz, córciu, naprawdę musimy już iść.

– Koleje żelazne? Ale przecież w San Francisco nie ma kolei żelaznej. To znaczy jakiejś liczącej się kolei żelaznej.

– Ale będzie, Miss Melford – rzekł Collis. – Ja ją wybuduję.

Laurence Melford znowu mu przerwał: – Łudzi się pan, że ją pan wybuduje, drogi panie. Ale uwierz mi pan, to się panu nigdy nie uda. A teraz proszę już... – Mr Melford – rzekł Collis dużo ostrzejszym tonem. – Założę się z panem, o cokolwiek pan będzie się chciał założyć, że mi się to uda.

Gniew wykrzywił twarz Laurence'a Melforda.

– Nie pójdę z panem o żaden zakład, Mr Edwards. Nie zakładam się z parobkami.

– Ojczy! – napomniała go Sara.

– Ach, najmocniej pana przepraszam – poprawił się Laurence. – Zapomniałem, że wy, ludzie kolei, macie tam swoją specjalną nomenklaturę, prawda? Więc jak się mam do pana zwracać? Zwrotniczy?

Collis nabrał oddechu.

– Mr Melford – powiedział – założę się o pańską córkę.

Wszyscy zamarli w bezruchu z przerażenia. Sara zerknęła na ojca z miną wielce niepewną, a kamerdyner cofnął się o parę kroków. Potem, bez słowa, Laurence Melford popchnął swoją córkę za kotarę, tak że zniknęła im z oczu tak nagle, jakby to była jakaś magiczna sztuczka

prestidigitatora. Przez moment napięty, sceniczny głos Rodneya Mulgrave'a rozbrzmiewał w korytarzu: „Widzimy tylko uwiedzione dziewczyny, pokrzywdzonych starców, kradzieże i bijatyki”*

– Opowieść zimowa – rzekł Collis, zdziwiony, że jeszcze pamięta.

Laurence Melford ziajał wściekłością i nie wywarło to na nim najmniejszego wrażenia.

Wygrażał Collisowi przed nosem swoim krótkim, grubym paluchem, a potem głosem niskim i głębokim, niczym dudniąca cysterna, powiedział: – Nie wiem, ktoś pan zacz i skąd cię diabli przygnali. Co więcej, wcale nie chcę wiedzieć.

Ale ostrzegam cię: nie raz miałem już do czynienia z podobnymi pętakami – szubrawcami i łowcami majątków. Kiedyś kazałem powiesić faceta w twoim wieku na żerdzi przy ratuszu, żeby mu ptaszyska wydziobały wszystkie wnętrzności. Jeżeli zobaczę choćby tylko jeszcze raz, jak kręcisz się koło mojej rodziny, ty chamie, wsadzę cię raz dwa za kratki, i to tak szybko, że ani się obejrzysz. Dobrze wiesz, że mogę to zrobić, jeśli tak mi się będzie podobało. Lepiej uświadom to sobie wreszcie, ty zuchwalcze. A teraz zmiataj stąd, zanim policzę ci wszystkie gnaty.

– Zakład dalej stoi – rzekł Collis. – Jeśli będzie mnie pan obrażał, wyzywając mnie od parobków, to do stu katów, pokażę panu, co taki parobek potrafi. Będę tyrał jak jaki parobek i wybuduję tę przeklętą kolej choćby po to, żeby udowodnić, że parobek nie gorszy od pastucha, szczególnie kiedy ma u swego boku jego córkę.

– Ty nikczemny gnojku! – ryknął Laurence Melford. – Gdybyś ty wiedział, ilu takich jak ty wyrzuciłem za łeb sprzed moich drzwi, twoja noga by tu nie powstała. Nie śmiałyś się do mnie zbliżyć.

Kamerdyner postąpił krok naprzód i zaczął odpinać mankiety surduta, a Collis spojrział na niego z niepokojem.

– I tak już idę – powiedział Collis. – Ale jestem pewien, że się jeszcze spotkamy, kiedy ja będę w lepszym położeniu, a pan w lepszym humorze, jak pan sądzi?

Melford zeszywniał z wściekłości, a potem rozsunął kotarę, swojej łoży. Ale zanim wrócił do rodziny, jeszcze raz machnął Collisowi palcem przed samym nosem.

– Ostrzegam cię – powiedział. – Zaklinam cię na wszystkie świętości – przestań pan wtykać nos w nie swoje sprawy.

– A co mi tam – odparł Collis. Ukłonił się plecami znikającego Laurence'a Melforda, a potem specjalnie nastąpił kamerdynerowi na nogę i oddalił się szybko, obróciwszy się tylko raz, na rogu korytarza, by machnąć cerberowi ręką na odchodnym. Potem, podniecony, trzęsąc się z napięcia i emocji, wrócił do łoży Sama Lewisa, po drugiej stronie holu.

– No i co? Wskórałeś coś? – zapytała Janka Zadupczanka. – Widziałam tam trochę zamieszania w ich łoży.

Collis wyjął chusteczkę i wytarł czoło.

– Chyba tak – powiedział, przysuwając sobie krzesło. – Przynajmniej z Sarą Melford.

Nie jestem pewien, jeśli chodzi o tatusia. Może to jeden z tych facetów, którzy nie mogą zostać twoimi przyjaciółmi, dopóki nie staną się twoimi wrogami.

– Nie mogłeś sobie znaleźć gorszego wroga, tu, w San Francisco – skomentował Charles. – A i w niej nie znajdziesz szczerego przyjaciela. Daj sobie z nimi spokój, dobrze ci radzę.

Collis potrząsnął głową.

– Nie mogę. Nie mogę ignorować takiego wpływowego zarozumialca. Który ma w dodatku taką córkę, jak Sara.

– No nic – rzekła Janka Zadupczanka, wzdychając ciężko. – Cma zawsze ciągnie do światła.

*

Tego wieczora Collisa znowu poniosło do zadymionych czeluści Eagle Saloon, jak kogoś, kogo nawiedza ten sam, powtarzający się sen. Bez wahania przysiadł się do stołu Dana McReady, gdzie grano w faraona. Dan McReady nie raczył go prawie zauważyć, tyle tylko, że rzucił mu ukośne spojrzenie spode łba. Ale obaj wiedzieli dobrze, po co Collis się zjawił i o jaką pójdzie stawkę. Atmosfera, jaka wytworzyła się między nimi, udzieliła się również wszystkim innym w salonie; wiele stołów zwinęło po prostu manatki, bo pijący i karciarze z cygarami w zębach, sącząc wytrawną whisky, zgromadzili się wokół Collisa i McReady'ego, by przyjrzeć się ich potyczce.

W pożyczonej od Janki Zadupczanki skórzanej teczce Collis przyniósł tysiąc dolarów, które wygrał poprzedniej nocy. Licytował równo, śmiało i z pewnością siebie, ale przez pierwszą część wieczora nie miał dużo szczęścia. Kiedy wybiła pierwsza rano, był prawie dwieście dolarów do tyłu.

Zamówił koktajl burboński i tym razem barman wysłał młodego posługacza po dzbanek jabłeczniaka. Nie żalowali whisky – mieszanka była mocna i podano ją Collisowi w grubym, szklanym kuflu. Collis wypił prawie połowę i rozluźnił biały krawat.

Grali aż do świtu, aż słońce jutrzeńki zaczęło przebijać przez ryte szklane drzwi, rzucając cienie na kontury orłów na zakurzonej, wyłożonej klepką podłodze. Potem przeliczyli swój utarg i Collis zauważył, że ma o sześćset dolarów więcej niż poprzedniej nocy. Podczas gdy zgarniał co do niego należało, upychając w teczce swoją dolę i zapinając paski, Dan McReady wyciągnął spod stołu swój biały kapelusz z przestrzelonym denkiem. Collis skinął głową na znak, że zrozumiał ten symboliczny gest, który oznaczał przyznanie się do porażki, i zanim wyszedł, wypił do końca swojego drinka jednym haustem.

*

Grał w Eagle Saloon codziennie przez cały tydzień, oprócz niedzieli. Czasami towarzyszyli mu przyjaciele, Andy Hunt i Charles Tucker, czasami grał z nieznanymi. Ale każdego wieczora Dan McReady czekał na niego przy swoim stole, choć nigdy nie odzywali się do siebie ani słowem i nie

zajmowało ich nic innego oprócz gry w faraona, godzina po godzinie, przez calutką, wypełnioną dymem noc, aż do białego świtu.

W poniedziałek i wtorek Collis bez przerwy przegrywał. W te wieczory Dan McReady kończył ostentacyjnie tasowanie kart i opuszczał stół jeszcze przed odejściem Collisa. Ale w następną wieczory Collis licytował więcej i wygrał swoją największą życiową stawkę, tak że o świcie, w czwartek, miał sakwy złotych monet wartości prawie ośmiu tysięcy dolarów.

Wkładając je do worka, rzekł do McReady'ego: – Wyjeżdżam na jakiś czas. Mam parę ważnych spraw do załatwienia. Ale nie zapomnę o tobie.

McReady potarł przystrzyżonego wąsa opuszkami palców. Trudno było cokolwiek wyczytać z jego błękitnych oczu.

– Jest interes do zrobienia – rzekł Collis. – Duży interes. Duża forsa.

McReady pokiwał głową.

– O ile nic takiego, za co można zadyndać?

– Wyglądam na krętacza?

– A bo ja wiem? A Parrott? A McMullin? Oni też, myślałby kto, niewiniątka.

Collis odpowiedział uśmiechem.

– Kręctwo kręctwu nie równe.

McReady trzasnął talią kart o stół, żeby wyrównać brzegi.

– Trzeba wiedzieć, z czego się można wywinać, a z czego nie.

– Jasne – zgodził się Collis. – Sam nie nadstawiałbym karku, gdybym nie wiedział, co jest grane. Więc jeśli masz ochotę się dołączyć, to dam ci znak, kiedy przyjdzie czas, a wtedy zdecydujesz się, co zrobić.

– Zgoda – kiwnął głową tamten.

Podszedł do nich barman w pasiastym fartuchu, w białej koszuli z rękawami podtrzymywanymi w łokciu gumką. Oświetlało go światło jutrzenki, kiedy zatrzymał się na chwilę, jakby pozował do zdjęcia, z rękami na biodrach i czarnym niedopałkiem papierosa zwisającym między zębami. Jeszcze wiele lat później Collis przypominał go sobie w tej pozie, bo nie da się łatwo wymazać z pamięci tych klasycznych fizjonomii kalifornijskich kresowców.

– A co by panowie powiedzieli na buteleczkę francuskiego szampana? – zapytał barman.

Collis spojrział na Dana McReady'ego, a potem skinął głową przyzwalająco.

– Niezła myśl – powiedział. – Trzeba to opić, McReady. Trzeba to opić.

*

W czwartek po południu, pod niebem szarym i zamglonym, Collis przywiosłował do zatoki San Francisco na malusieńkiej łódeczce, którą wynajął za pięć dolarów. Miał na sobie białą koszulę, beżową kamizelkę i czarny aksamitny cylinder. Na rufie łódki leżała skórzana teczka, którą pożyczył od Janki Zadupczanki, i złożony w kostkę surdut.

Zatoka pogrążona była w ciszy, a wody oceanu spokojne. Wiosłował rytmicznie, a dulki jęczały i skrzeczały, podskakując niezdarnie jak drewniane marionetki. Przystań i nadbrzeże rozplywały się stopniowo we mgle, aż wreszcie całe miasto znikło z pola widzenia i Collis został zupełnie sam, wiosłując zawzięcie w stronę Złotych Wrót, jakby był jedyną ludzką istotą, która pozostała na tej ziemi.

W sklepie z artykułami żeglarskimi na California Street, gdzie ceny były naprawdę wygórowane, kupił sobie kompas i mapę regionu zatoki. Mimo to, kiedy dotarł wreszcie bezpiecznie do brzegu, odłożył wiosła i zarzucił na południowym cypelku Złotych Wrót niewielką kotwicę na długiej linie; uznał, że cała operacja warta jednak była zachodu. Dzień był ciepły jak na tę porę roku. Podmuch wiatru od oceanu był tak słaby, że nie zdołał nawet rozwiać mgły, ale Collis zarzucił surdut na ramiona i łyknął trochę brandy z flaszeczki Janki Zadupczanki. Zawsze to lepiej pokrzepić się żdziebeńko, niż żeby się jakieś choróbsko miało do człowieka przyplątać. Woda szemrała, szeptała i kołysała się wokół niego łagodnie. Dla zabicia czasu zapalił cygaro. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że była druga pięćdziesiąt; miał więc jeszcze pół godziny do przybycia „Arii”. Zaczął nucić pod nosem cicho, sam do siebie, jedną z piosenek z recitalu Rodneya Mulgrave’a.

Właśnie zamierzał łyknąć sobie raz jeszcze z piersióweczki, kiedy usłyszał przeciągłe, niskie uuuuuuuuuuu. Podniósł wzrok i spojrzał w stronę spienionych fal przy Złotych Wrotach.

Początkowo trudno mu było dostrzec cokolwiek. Ale potem, w absolutnej ciszy, wyłonił się dziób statku, a za nim jego kadłub, maszty i cały takielunek. Wytężając wzrok, Collis dojrzał napis „Aria”.

Przyszedł czas, by zacząć wiosłować, i to wiosłować bardzo szybko. Przeciął linę kotwiczną kozikiem, włożył wiosła w dulki, a potem skierował się w stronę szarego, śliskiego kształtu „Arii”, wytężając wszystkie siły. Już po paru uderzeniach zatchnął się, ale pracował dalej, ciągnąc wiosła przez spienione wody zatoki z zacieklą determinacją człowieka, który wie, że ma nieprzyjaciół, których musi pokonać i którym musi pokazać, na co go stać.

– Ahoj! Aria! – wrzasnął, obracając głową przy wiosłowaniu. – Ahoj! Aria!

Nie było odpowiedzi ani znaku życia. Statek handlowy, migocząc we mgle przyćmionymi światłami nawigacyjnymi prześlizgnął się obok niego bez pośpiechu, w absolutnej ciszy, jakby został opuszczony przez swoją załogę. Ale Collis nie ustępował, wiosłując uparcie, ponieważ wiedział z łamów i prasy, z kolumn poświęconych marynarce handlowej w San Francisco, że „Aria” zarzuci kotwicę w zatoce niedaleko stąd . i że nikt z portu nie zdoła go już teraz ubiec. Dotrze do niej, zanim ją zauważą w punkcie obserwacyjnym na Telegraph Hill.

Zaciskał zęby, stękał i obracał z całych sił wiosłami, aż na dłoniach porobiły mu się bąble.

Przeklinał teraz każdą nie przespaną noc i każde wypalone cygaro, ale i tak wiedział, że się nie podda. W końcu udało mu się ją dogonić; kołysząc się i podrygując w górę i w dół na spienionych wodach zatoki, znalazł się tuż przy burcie „Arii”.

Usłyszał plusk i trzask zarzucanej kotwicy.

– Ahoj, Aria! – zawołał znowu, odkładając wiosła. Łajba podnosiła się i opadała we mgle. – Ahoj, Aria! Jest tam kto?

– Ahoj, ahoj! Czego tam? – odparł poirytowany głos. Collis zanurzył prawe wiosło w morzu i przewiosłował naokoło, ażeby sprawdzić, kto się odezwał. Spojrzał w górę i ujrzał opasłego, brodatego marynarza, z głową ogoloną na kapucyna, który pochylał się nad olinowaniem „Arii”. Drugi marynarz, szczupły, wyglądający na południowego Europejczyka, przyszedł mu w sukurs.

– Macie tam gdzie kapitana na pokładzie? – zapytał Collis.

Ten gruby wzruszył ramionami.

– Ano pewnie. Co pan sobie wyobrażasz, żeśmy go zgubili po drodze, czy jak?

– Chciałbym z nim zamienić parę słów.

– Zależy ktoś pan jest i czego chcesz.

– Powiedz mu, że jestem kupcem z San Francisco i że mam przy sobie dużo złota.

– No, wobec tego da się zrobić. Włóż pan na pokład. Collis otarł pot z czoła rękawem surduta.

– Uff, to świetnie. Mam dosyć tej zakichanej szalupy.

Marynarz zniknął na chwilę, a potem spuszczone z poręczy drabinkę linową i Collis wymanewrował swoją łódkę tak, że ustawiła się bokiem do zaskorupiałego kadłuba „Arii”.

Przywiązał łódkę, przestępując z nogi na nogę dla zachowania równowagi, zarzucił torbę na ramię i zaczął wspinać się niezdarne na pokład po szaleńczo rozkołysanej drabince.

Rozkaszał się, kiedy przerzucił nogi przez poręcz i wskoczył na zawalony rupieciami bak „Arii”, pomiędzy zaszmelcowane smołą olinowanie, wyciągarki, ręczne kołowroty i postrzępione sieci.

Drobny mężczyzna z rozczapierzoną, bródką, o oczach jasnych jak oczy elfa, w marynarskiej czapce i lejbowatym szarym pulowerze, zbliżył się do niego, stąpając ciężko po pokładzie. Nie wyciągnął dłoni na powitanie, tylko stanął o kilka stóp dalej, z rękami w kieszeniach. Grubas z wielkim hałasem wciągnął właśnie na pokład drabinkę linową i pogwizdywał niedbale przez zęby.

– Czy mam przyjemność z kapitanem? – zwrócił się Collis do drobnego mężczyzny z głośnym zapytaniem.

Tamten przymknął na chwilę oczy, jakby sygnalizował, że owszem, właśnie tak.

– Kapitan Heikefelt, prawda? Kapitan Erik Heikefelt. Drobny człowieczyna znowu przymknął oczy.

Collis postąpił krok naprzód.

– Słyszałem, że wiezie pan towary, które chciałbym zakupić. Kapitan Heikefelt zdjął czapkę i otarł ją od wewnątrz zieloną chustką do nosa. Jego jasne, falujące włosy, dokładnie takie same jak i broda, rozczapierzały się w lekkim podmuchu morskiego wiatru niczym puchate dmuchawce.

– Mam kawę – rzekł z wyraźnym szwedzkim akcentem. – Kawę, koce i narzędzia górnicze.

– Więc może pomówimy o cenach? – zapytał Collis.

Kapitan Heikefelt zepchnął czapkę na tył głowy tak porządnie i prosto, jakby wymierzył uprzednio kąt nachylenia poziomicy.

– Chodźmy do mojej kabiny – powiedział. – Nie lubię rozmawiać o interesach na pokładzie.

Collis podreptał za nim do kapitanki. Na polakierowanych na wysoki połysk drzwiach widniała zakurzona tabliczka z napisem: Kapitan. Heikefelt skinął w jej stronę głową i rzekł: – Ten okręt pochodzi z Dolnej Saksonii, z Bremerhaven. Poprzedni właściciel stracił go, kiedy rozszedł się z żoną.

Collis wszedł za nim do niezwykle schludnej, pełnej map i wykresów kabiny, z dużym zielonym biurkiem o skórzanym blacie i mosiężnymi kinkietami.

– Ja bym się tym wcale nie przejmował – powiedział, siląc się na wesołość. – Przynajmniej dzięki temu jest pan zawsze na świeżym powietrzu.

Heikefelt łypnął na Collisa spod oka.

– Chce pan sznapsa? – zapytał. – Wygląda pan, jakby sam się pan nawdychał za dużo świeżego powietrza.

– Bardzo chętnie, dziękuję – rzekła Collis.

Kapitan otworzył szklaną szafeczkę, która stała na dębowym stole przy drzwiach wejściowych, i nalał dwa malutkie kieliszeczki cierpkiego, gęstego sznapsa; powiedział: Skoal i wychylił swoją porcję, jakby go ktoś rąbnął pięścią w brodę.

– Skoal – powtórzył Collis z lekkim wahaniem i zrobił to samo. Sznaps był wyjątkowo mocny, ale również i bardzo rozgrzewający. Prawdę powiedziawszy, Collis poczuł, że zaczyna go palić w żołądku, jakby buchała z niego para w kotle parowym. Łzy nabiegły mu do oczu, aż musiał zdjąć swój aksamitny cylinder, i otrzeć oczy chusteczką.

Kapitan Heikefelt wskazał na wysoki, drewniany taboret.

– Proszę siadać – powiedział. – Wtedy będziemy mogli przystąpić do omawiania interesów.

Collis przysunął sobie taboret i usiadł na nim, a kapitan rozsiadł się za biurkiem, na swoim obrotowym krześle ze skórzanym oparciem. Collis zauważył, że nie było na biurku rodzinnych fotografii, pamiątek ani upominków. Tylko pióra, ołówki, cyrkle, kompasy i mapy. Albo kapitan Heikefelt, wypływając w morze, wołał zapomnieć o domowych pieleszach, albo może jego żoną i kochanką była tylko „Aria” i nikt więcej.

– Dziwi mnie, że wiezie pan koce – rzekł Collis od niechcienia. – Myślałem, że kawa byłaby jedynym opłacalnym produktem.

Kapitan Heikefelt nalał po sznapsie.

– Oczywiście – powiedział. – Ale armator dostał mnóstwo koców z jakiejś fabryki w Anglii jako spłatę za długi. Wie pan – albo koce, albo w ogóle nic. więc wzięli te koce.

Tysiące koców. Jeszcze pan nigdy nie widział tylu naraz na własne oczy.

Odchylił znowu głowę i łyknął sznapsa.

– Skoal – powiedział, wycierając usta.

– Skoal – rzekł Collis i wychylił swój kieliszek. Drugi łyk smakował zdecydowanie lepiej niż pierwszy. Tym razem nie zatchnęło go z zaskoczenia, tylko przyjemne ciepło rozpląnęło mu się po całym ciele. Gdyby miał na to dosyć czasu, pomyślał Collis, być może sznapsy odciągnęłyby go od koktajli burbońskich, co nie byłoby znowu takie złe, skoro w całym słowniku wyrazów bliskoznacznych nie dałoby się znaleźć gorszego na kaca trunku niż właśnie koktajl burboński.

– W tym klimacie koce mogą przynieść straty handlowe – zauważył ostrożnie Collis.

Kapitan Heikefelt wzruszył ramionami.

– W zimie jest tu całkiem zimno. Ludzie będą potrzebowali koców.

– Niech pan im to powie właśnie teraz. Będzie pan miał szczęście, jeśli weźmie pan pięćdziesiąt centów za sztukę. Ile ich pan tam masz?

– Dwadzieścia pięć ton koców, każdy po pięć funtów wagi. To jest dziesięć tysięcy koców.

– Dwadzieścia tysięcy? – powtórzył Collis. – Cała ludność San Francisco to tylko osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt tysięcy. Ma pan zamiar sprzedać dziesięć tysięcy koców osiemdziesięciu tysiącom ludzi w samym środku najcieplejszej jesieni, jaką tu mają od sześciu lat?

– Nie mam innego wyjścia – rzekł kapitan Heikefelt z westchnieniem. – Tak mi kazał armator. Ja sam, gdybym mógł wybierać, sprzedawałbym kawę, kilofy i szpadle. Może jeszcze na jedną nóżkę?

Tym razem powiedzieli Skoal prawie jednocześnie i wychylili równocześnie zawartość kieliszków. Collis zauważył, że rzeczywiście robi mu się bardzo ciepło, i poczuł się wyjątkowo zadowolony z samego z siebie. Nadzwyczajnie, jak takim sznapsom udało się sprawić, że czuł się taki pewny siebie, stanowczy, opanowany.

– Na ogół – powiedział Collis do kapitana Heikefelta bardzo poważnie – na ogół kupuję tylko artykuły, które mogę szybko sprzedać: kawę, sól, lód, takie rzeczy.

– Lód rzeczywiście trzeba sprzedać bardzo szybko – zgodził się kapitan Heikefelt.

– Właśnie – rzekł Collis. – Ale zazwyczaj handluję tymi artykułami, których mogę się pozbyć w ciągu jednej doby. Nie mam gdzie magazynować takich, co wolno idą. Dla innych to też duży kłopot. W San Francisco nie ma gdzie magazynować towarów.

– Wiem – rzekł kapitan Heikefelt. – Mówiono mi już o tym wcześniej.

Collis wstał i podszedł do drzwi wejściowych. Na zewnątrz dalej było mgliście, a niewyraźne kontury dalekich baraków składowych na przystani były ledwie, ledwie widoczne gołym okiem.

– Ale powiem panu, co mógłbym zrobić – rzekł konspiracyjnym szeptem. – Ponieważ taki z pana równy gość i wygląda pan na takiego, co to umie ubić na boczkę interesik na własny rachunek i nie puścić na ten temat do nikogo pary z gęby, złożę panu ofertę na te koce.

Kapitan znowu nalał dwa sznapsy. Wychylił swój kieliszek od razu i kichnął głośno, ale Collis powstrzymał się przed wypiciem. Zauważył, że po każdym sznapsie przychodził taki moment, kiedy przyjemne ciepło zamieniało się w szmer w łepetynie, a chciał mieć umysł jak najbardziej jasny, kiedy przyjdzie czas na dobiecie targu.

– Mam na oku taki składzik, gdzie mógłbym przez jakiś czas zmagazynować te koce, a potem sprzedać je po sztuce – wyjaśnił Collis. – Właściciel tej składnicy to mój przyjaciel, więc nie zedrże ze mnie skóry, jeśli chodzi o czynsz. Muszę przyznać, że i tak dużo na tym nie zarobię, ale pał sześć zarobki – w końcu zostaliśmy kumplami, no nie? A i tak uda mi się jakoś z tego wycisnąć parę dobrych kolacyjek, a i zostanie jeszcze co nieco na kobietki, nie ma sprawy.

Kapitan Heikefelt, ze zmierzwioną blond czupryną, przyglądał mu się jasnymi oczami, tak zamglonymi, że chyba musiał już widzieć Collisa potrójnie.

– więc co to ma być? – zapytał. – Prywatna transakcja? Z rączki do rączki?

– Można by to i tak nazwać. Kupię te koce od pana po siedemdziesiąt centów za sztukę.

Ale pan powie swojemu armatorowi, że udało się panu sprzedać tylko za sześćdziesiąt centów. To daje panu dziesięć centów razy dziesięć tysięcy do własnej kieszeni, a dziesięć centów razy dziesięć tysięcy to tyśiąc dolarów.

Kapitan Heikefelt zdjął z głowy swoją marynarską czapkę i położył ją na biurku do góry nogami.

– Tysiąc dolarów, ha? – powiedział. Pochylił się w przód i popatrzył w czapkę, jakby spodziewał się, że znajdzie już tam te pieniądze. – Tysiąc dolarów, mówisz pan?

– Właśnie. A wszystko rączka do rączki.

– Napij się pan jeszcze – rzekł kapitan Heikefelt, skinąwszy głową w stronę Collisowego kieliszka ze sznapssem. Collis wziął go do ręki, powiedział Skoal i wychylił do dna. Miał teraz wątpliwości,

czy naprawdę mu to tak bardzo smakowało. Kołysanie zakotwiczonej „Arii”, połączone z duchotą w kabinie Heikefelta sprawiały, że omal nie dostał torsji.

– No, a pan? – zapytał kapitan Heikefelt. – Co pan będzie z tego miał? Po co panu te koce, skoro tak trudno się ich pozbyć?

Collis uśmiechnął się do niego porozumiewawczo.

– Przedobrzyłem w interesie, który robiłem dla kumpla. Za dużo zarobiłem. Muszę teraz stracić trochę tych pieniędzy, inwestując je nie katastrofalnie, ale raczej niezbyt korzystnie.

Muszę zakopać ten ekstra zysk pod czymś, co będzie go trzymać w ciepłe i ciszy przez jakieś parę miesięcy, a koce właśnie nadają się do tego doskonale.

Kapitan Heikefelt pokiwał głową, przytakując, jakby to wyjaśnienie całkiem do niego przemawiało. Nalał jeszcze, bardzo chwiejnie, dwa kieliszki sznapsa, a potem pociągnął prosto z butelczyny.

– Tysiąc dolarów, ha! A to mi gratka! – powiedział po paru minutach zastanowienia. – Tysiąc dolarów to jest coś.

– No to jak? Zgoda? – zapytał Collis.

Kapitan Heikefelt wyjął swoją zieloną chustkę i wytarł w nią nos.

– Ma pan czas na jeszcze jednego?

– To, mówi pan, interes ubity? Kapitan Heikefelt zamknął oczy.

– Wszystkie kwity na te koce leżą tu gotowe na biurku. Siedem tysięcy dolarów, tak? W złocie.

– Zgadza się. Mam je w woreczkach po tysiąc dolarów każdy. Nie będzie pan miał żadnego kłopotu – może pan natychmiast włożyć jeden z nich do własnej kieszeni.

– No to za ten interes! Chłaśnijmy sobie jeszcze raz – rzekł kapitan Heikefelt.

– Właśnie tego się obawiałem – podsumował Collis.

*

W sobotę Charles Tucker miał zjawić się po Collisa u Janki Zadupeczanki zaraz o siódmej rano. Dzień był słoneczny, ale rześki, a w powietrzu czuć było pierwszy październikowy chłód. Potem mieli jechać na Market Street i około ósmej wraz z Billym – woźnicą Charlesa Tuckera – oraz Wang–Pu, jego chińskim parobkiem, zabrać się parowcem „Wallace. S.

Martin” do Sacramento. Collis miał wciągnąć się w handel artykułami gospodarskimi i tekstylnymi; nie mieli zamiaru powrócić do San Francisco aż do listopada. Charles poradził Collisowi, żeby nie ubierał się w wełnianą bieliznę, tylko w letnie, bawełniane rzeczy, ponieważ w

głębi ładu było o tej porze roku dużo cieplej, „a trudno wyobrazić sobie gorszą męczarnię niż podróż do Sacramento w wełnianych kalesonach, kiedy bawełna jest bardziej przewiewna”.

Charles Tucker zjawił się tuż po siódmej, a Billy, woźnica, wdrapał się na górę, do pokoju Collisa, by znieść kufer do powozu. Janka Zadupczanka, w białej porannej sukni z blado – żółtym kwiecistym haftem, wkroczyła do przedpokoju, gdy Collis schodził już w dół po schodach, stąpając krok w krok za woźnicą.

– Do widzenia – rzekła, dygając. – Mam nadzieję, że szczęście dopisze ci w Sacramento. A jak będziesz w mieście, to wstąp do nas w gości. Będziesz tu zawsze mile widziany.

Collis nachylił się nad nią i złożył na jej policzku całusa. Pachniała perfumami, jakich kiedyś używała jego matka, i przez chwilę miał nieodparte wrażenie déjà vu. Ale potem wyprostował się i rzekł spokojnie: – Dziękuję, Jane. Może jeszcze kiedyś będę ci musiał przypomnieć o tej obietnicy.

7

Dla tych, którym życie na krańcu świata zdawało się niedostatecznie burzliwe, podniecające czy hulaszcze, dla tych, którzy zawiedli się w swoich oczekiwaniach i biadolili, że za mało im jeszcze karciarstwa, opilstwa, rozpusty i wyuzdania, parowiec turbinowy „Wallace S. Martin” okazał się wymarzoną, pływającą nagrodą pocieszenia.

Był to stary, zmurszały statek rzeczny, poszarzały od słońca, z odpryskującą po bokach farbą, ale pruł równiutko na pomoc, pomiędzy rdzawobrazowymi pasmami gór, które okalały zatokę San Paolo pod przejrzystym, bezchmurnym niebem, a potem, rozbrzmiewając śpiewem i śmiechem, w takt tanecznych hołubców przy akompaniamencie akordeonu, skręcił na wschód, obok Benicii, i poprzez bagniste, wzburzone wiatrem wody zatoki skierował się w stronę ujścia rzeki Sacramento. W piwiarniach o niskich, spadzistych stropach karciarze przepuszczali w pokera albo faraona resztki pieniędzy, których nie udało im się jeszcze roztrwonić podczas trzytygodniowego pobytu w San Francisco. Siedzieli, nie zdejmując z głów ogromniastych kapeluszy i popijając nieklarowaną whisky, jakby to był uniwersalny środek leczniczy na wszelakie dolegliwości. Na pokładowym deptaku, w cieniu brezentowych parasoli, wiejska kapela złożona z sześciu czy siedmiu Polaków, w czerwonych flanelowych koszulach i wypłowiałych portkach podtrzymywanych w pasie sznurkiem, rznąła na smyczkach i ostro dęła w dudy, zawodząc sprośne ludowe śpiewki, w których wyraz „dupa” powtarzał się prawie w każdej zwrotce. Na pasażu, przy rufie, bezbarwne i pospolite, niczym ómy w snopach słonecznych promieni, które wdzierały się do środka przez szyby, paradowały dziewczęta w spranych, wypłowiałych spódnicach. Czasem siadały na kolanach brodatych mężczyzn w melonikach, którzy palili długie cygara i pociągali nonszalancko portwajn.

Sprzedawały się po dwa dolary za numer na wąskich, drewnianych, politurowanych po bokach przyczach. Kursowały regularnie jak przewoźnicy albo pokątni handlarze, oferując podróżnym swoje usługi.

Collis poszukał schronienia przed spiekotą południowego słońca w barze na pięterku, przy sterburcie, i rozsiadł się wygodnie przy bufecie. Ubrany był w jasnopopielaty garnitur, pepitkową kamizelkę i jasnoszary kapelusz z szerokim rondem. Pili z Charlesem szampana!

Charles miał na sobie obcisły kremowy garnitur i kapelusz w marchewkowym kolorze, który pasował mu jak ulał do wąsów. Pił z nimi również Wang–Pu, chiński pomocnik Charlesa, który nosił się bardzo konserwatywnie, przyodziany w czarny, dzienny surdut, czarny krawat i szare, pasiaste spodnie. Obok nich siedziała grupka karciarzy, handlarzy z Sacramento, którzy zgarbieni i pochyleni nisko nad stołem, starali się uciąć sobie jeszcze parę ostatnich partyjek faraona, zanim znowu znajdą się pod komendą swoich zacnych, cnotliwych małżonek.

Charles pełen był animuszu i wylewności, wyraźnie ciesząc się na powrót do domu.

Zakupił trochę tekstyliów i artykułów sprzętu gospodarskiego, wszystko w bardzo dobrym gatunku, które płynęły właśnie w głąb ładu parowcem „Boroughmore” i które powinny dotrzeć do Sacramento za parę dni, dokładnie na otwarcie wielkiej wyprzedaży. Charles zwierzył się im w sekrecie, że takie dwa tygodnie w San Francisco to wszystko, co potrzeba, żeby utrzymać się w dobrej, męskiej formie, a przynajmniej jemu osobiście wystarcza to jak najzupełniej. A tak prawdę powiedziawszy, to ma już po dziurki w nosie tych wszystkich kosztownych panienek i ciężko strawnego żarcia. Powracał więc też ochoczo do bardzo niewyszukanej diety Mrs Tucker, nie mówiąc już ojej całkowicie niewyszukanej aparycji.

Collis zauważył jednak, że Charles zmienił się jakoś od czasu, gdy siedział na kufrze Collisa w porcie na Broadwayu. Nadal wprawdzie rąbał otwarcie to, co myślał i wydawał się wcale nie mniej impulsywny niż zazwyczaj, ale zarówno jego otwartość, jak i impulsywność nabrały cech niemalże dyktatorskich. W San Francisco, kiedy Charles dowcipkował sobie i opowiadał kawały, można się było z tego pośmiać, jeśli człowiek miał na to ochotę. Ale tutaj, trzydzieści mil od Sacramento, entuzjastyczne uznanie dla bystrości dowcipu Charlesa Tuckera zdawało się obowiązkowe.

– Spójrz tam – rzekł Charles, wskazując cygarem ku pomocy, na kolonie drewniaków w rozsypce, wylaniających się spoza drzew w górskiej kotlinie. – Ta osada nazywa się Benicia.

To była swego czasu stolica Kalifornii; tylko przez rok, w pięćdziesiątym trzecim. Istne szaleństwo, powiadam ci. Generał Vallejo, pobratymiec twojego przyjaciela Laurence’a Melforda, zakupił całą tę ziemię, o tu, naokoło, i założył tę osadę, mając nadzieję, że się z czasem rozrośnie w duże miasto i że on sam zbije majątek na cenach gruntów. Nazwał to miejsce Benicia, na cześć swojej żony. Gdybyś kiedyś miał, że tak powiem, przyjemność poznać Mrs Franceskę Benicię Carillo Vallejo, nie dziwiłbyś się, dlaczego cały ten projekt spalił na panewce. Taka z niej szpetna pokraka, że słów mi brak. Jak to ty na nią mówisz, Wang–Pu?

Wang–Pu pociągał wolno, w zamyśleniu, swoją whisky.

– Maskala, Mr Tucker. Oklopna maskala.

Charles zarechotał ordynarnie, a Collis poczuł, że i jego twarz wykręca się w krzywym uśmiechu. Nie było mu wprawdzie wcale do śmiechu, ale czuł, że dopóki nie wybada dobrze terenu wokół Charlesa i nie zapozna się z ustalonymi regułami gry, trochę pochlebstwa nie zaszkodzi, a może się jeszcze nawet kiedyś bardzo przydać. Nie żeby nie lubił Charlesa.

Charles zawsze był krewki, ale szczery, a w stosunkach towarzyskich prostoduszny. Serce na dłoni. Collis nie zareczyłby jeszcze własną głową za jego prawość w interesach. Ale wyczuwał też, że może się dużo od Charlesa nauczyć, a kiedyś, w przyszłości, jak przyjdzie co do czego, wykorzystać jego przedsiębiorczość przy realizacji własnych, nieposkromionych ambicji.

„Wallace S. Martin” sunął dalej monotennie, a muzyka, gryzący dym z cygar, a od czasu do czasu i jakaś zmieciona przez wiatr karta unosiły się beztrąsco na szkarłatnych falach rzeki Sacramento. Charles, po sytym śniadaniu ze steku, jajek na miękko i whisky, oznajmił, że idzie się na chwilę położyć w ramach sjesty, jak ich nie omieszkał zapewnić, choć Collis zauważył, że zatrzymał się przy zejściu pod pokład i kiwnął głową na jedną z wyblakłych, podobnych do ciem panienek, które przechadzały się u wylotu baru. Collis odwrócił wzrok.

W końcu to nie jego sprawa, jakich rozrywek szuka sobie Charles Tucker, tym bardziej, że jednak był on naprawdę jego serdecznym przyjacielem, i jeśli nie liczyć Andrew Hunta, najbardziej zagorzałym zwolennikiem w całym San Francisco. Wang–Pu zauważył jednak cierpko: – Moim zdaniem, Mr Tucker przeniesie się na jakiś czas; w słodką krainę nirwany, z dala od występku i rozpusty na tym padole łez. Nie sądzi pan, Mr Edmonds?

Collis popijając, spojrzał na Wang–Pu ze zdumieniem, prawdziwie zaskoczony. Równie dobrze mógłby się spodziewać, że usłyszy, jak czyjś piesek salonowy zaczyna raptem robić uwagi na temat pogody. Tak naprawdę Collis nie zwracał dotąd uwagi na tego Chińczyka.

Wang–Pu był w końcu tylko zwykłym służącym, parobkiem Charlesa i on sam nigdy przedtem nie słyszał z jego ust żadnych sarkastycznych komentarzy. Ale teraz, w promieniach wczesnopołudniowego słońca, które rozświetlały barenki na parowcu, Wang–Pu ukazał mu się nagle w nie znanym dotąd świetle. Collis po raz pierwszy dojrzał w nim człowieka z krwi i kości, mężczyznę, w którego piwnych oczach, podłużnej, północnochińskiej twarzy i uśmiechu malowała się ludzka solidarność i głębokie zrozumienie dla słabostek tego świata.

– Od jak dawna pracujesz dla Mr Tuckera? – zapytał Collis.

Wang–Pu uśmiechnął się.

– Osiem lat. Siedem dni w tygodniu, bez przerwy.

– Masz rodzinę?

– Żonę, dwóch synów i córkę. Zostawiłem ich w Lian–huachi koło Changcheng.

– Changcheng?

– To Mur Chiński. Ten, który wzniesiono po to, aby trzymać barbarzyńców z daleka od ludzi cywilizowanych, takich jak właśnie my sami.

– Myślisz, że ludzie tacy jak ty i tacy jak ja różnią się bardzo od siebie? – zapytał Collis.

Wang–Pu wzruszył ramionami.

– Ból odczuwamy tak samo, jeśli o to panu chodzi. Żaden biały diabeł nie jest w stanie wyobrazić sobie, jak bardzo tęsknię za moją rodziną w Chinach.

– Więc dlaczego ich opuściłeś?

Wang–Pu odwrócił się, wyjrzał przez zakurzone okno i utkwiał wzrok w spokojnych wodach zatoki Suisun.

– W Chinach nie było możliwości zarobku. Moja żona pochodzi z bardzo dobrej rodziny, ale żniwo było marne przez długie lata; przyszły potworne powodzie, po których nastąpiły równie potworne susze. więc w końcu zdecydowałem się opuścić rodzinny kraj i szukać szczęścia gdzie indziej. Nie mogłem już więcej znieść, że moja żona stara się skroić nową * sukienkę ze starych szmat. Nie mogłem patrzeć, jak dzieci wiotczą w moich ramionach z niedożywienia. Myślę, że pan nie ma dzieci, Mr Edmonds.

Ale powiadam panu, nie ma gorszej boleści, niż trzymać w objęciach własne dziecko i czuć przez skórę jego chude kosteczki, i widzieć jego oczy, tak wielkie i apatyczne, i takie głodne.

Lepiej już wyjechać i pracować w obcym kraju dla zarobku, żeby poprawić jego byt. Mniej to boli.

Collis nic nie odpowiedział, ale siedział przez dłuższy czas w milczeniu, z łokciami na stole.

– Rozmawiałeś o tym kiedy z Charlesem? – zapytał Collis. Wang–Pu pokręcił głową.

– Nie rozumiem, dlaczego mu o tym nie powiedziałaś – rzekł Collis. – A już zupełnie zachodzę w głowę, dlaczego mówisz o tym właśnie mnie.

– Pana los związany jest z losem Charlesa, ale go przerasta – rzekł Wang–Pu.

– Co masz na myśli? – zapytał Collis.

– Panem kieruje jakaś siła, która przerasta nawet pana – wyjaśnił Wang–Pu. – Głęboko w duszy posiada pan również pewną wrażliwość, która jest na razie tylko podświadoma, ale której posłuszne jest pańskie sumienie. I ja odwołuję się do tej właśnie wrażliwości. Jest pan człowiekiem, który rozumie ludzki strach – zarówno swój własny, jak i strach innych ludzi – i to właśnie zaprowadzi pana do wielkości.

– A ty skąd możesz to wiedzieć? Jasnowiedzem jesteś jakimś czy co? – zachnął się Collis.

Wang–Pu uniósł dłoń, jakby chciał mu podziękować za komplement.

– Tu, w Kalifornii, każdy musi być jasnowiedzem, bo stąd już nie ma powrotu. Tu trzeba przeć naprzód, przed siebie. Życie nauczyło nas tu, przez te wszystkie lata, że wolno nam patrzeć tylko w tym jednym kierunku.

– Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego mi to wszystko opowiadasz. Przecież nie rozmawiałbyś tak z Andrew Hunttem, prawda?

– Próbowałem. Ale trudno coś z niego wytrząsnąć w tym względzie. Więc w końcu zacząłem udawać, że wszystko, co mu kiedyś powiedziałem, to tylko taki żart, i że po prostu cytowałem Konfucjusza. Ale za to panu mam coś innego powiedzenia.

Collis nic nie odpowiedział, tylko oparł się o poręcz krzesła, czekając, aż Wang–Pu zacznie mówić. Wang–Pu rozlał resztkę whisky do kieliszków, każdemu na dwa, trzy palce, a potem powiedział: – Jeśli chce pan zbudować tę kolej, Mr Edmonds, niech pan zaangażuje do pracy chińskich najemników.

Collis potarł ręką brodę. Milczał przez jakiś czas skonsternowany, a potem pochylił się trochę do przodu, splatając dłonie.

– Hmmm – powiedział. – Mam nadzieję, że wybaczysz mi to, co teraz powiem, ale – ogólnie rzecz biorąc – rasa chińska nie jest specjalnie dobrze zbudowana fizycznie. Zawsze myślałem, że przy budowie kolei najlepiej zatrudnić Polaków albo Irlandczyków, bo to chłopcy jak dęby, proszę ja ciebie. Muskularne.

– Tak się może na pozór wydawać. – Wang–Pu uśmiechnął się wyrozumiale. – Ale jeśli chodzi o cechy charakteru, to my, Chińczycy, nie mamy sobie równych. Niech pan tego nie lekceważy. Chińczycy są tak pracowici, że każdy, nawet najgorliwszy Europejczyk, to przy nich po prostu leń. Trzeba na to spojrzeć w aspekcie historycznym – na ten typowo chiński, głęboko zakorzeniony kult pracy. Przez tysiąclecia uprawialiśmy na niezmiernych obszarach pola ryżowe i co roku musieliśmy stawiać czoło katastrofalnym klęskom żywiołowym. Prawie co roku powodzie na rzekach Jangcy i Huang–Ho obracały nasze żniwo w perzynę. Fizycznymi wielkoludami nie jesteśmy, to fakt, ale nie brak nam wytrwałości, której nie zdoła się oprzeć nawet i sama Sierra Nevada.

– A skąd masz znowu taką pewność, że w ogóle wybuduję tę kolej? – zapytał Collis. – Bo ja sam, psiakrew, nie mam jeszcze wcale takiej pewności.

– Aha! Ale zapomniał pan, że ja znam dobrze Teodora Jonesa. Kombinacja jego technicznej ekspertyzy z pańską aurą przeznaczenia musi przynieść zamierzony efekt. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Teodor Jones zajmie się już wszystkim od strony technicznej. Pan natomiast będzie to w stanie ustawić w perspektywie historycznej, bo z tego, co się zdołałem zorientować, ma pan pewną wizję przyszłości, która i mnie nie jest obca.

Więc wspólnie będziecie mieć wszystko, czego wam trzeba, żeby wcielić wasz plan w życie: zarówno techniczną ekspertyzę, jak i twórczą inspirację. A wtedy i Chińczycy będą mogli wziąć udział w realizacji przedsięwzięcia jako idealna siła robocza. Proszę tylko posłuchać mojej skromnej rady – nadają się do tego doskonale.

– A ty? Co ty sam z tego będziesz miał? – zapytał Collis trochę za ostro.

Wang–Pu znowu się uśmiechnął, jakby potrafił czytać w myślach Collisa – typowego Jankesa – jak w otwartej księdze.

– Co ja z tego będę miał? – odpowiedział. – Ano, oczywiście, mam też na względzie i własne interesy. Jeśli zdecyduje się pan, gdy już się wszystko wyklaruje, zatrudnić przy budowie kolei chińskich najemników, to ja ich będę dla pana rekrutował, a potem nadzorował ich robotę. Znają mnie dobrze na Sacramento Street, czyli na Tong Yan Gai, po naszymu. Na pewno nieźle mi pan za to zapłaci, a jednocześnie da mi to szansę, by stać się częścią pańskiego przeznaczenia.

Collis poczuł się dziwnie poruszony.

– Nie mam żadnych nadprzyrodzonych właściwości, wierzaj mi – zwrócił się do Wang–Pu zakłopotany.

Wang–Pu popijał niespiesznie swojego drinka.

– Wiem, Mr Edmonds. Ale jest pan jednym z tych, którzy zostali powołani, by wypełnić na tym świecie pewne historyczne zadanie. Jest pan jak taki zawias, niech mnie pan dobrze zrozumie, na którym zawieszona jest przyszłość tego kraju.

– Chyba mi pochlebiasz. Jestem gofy jak święty turecki. Przyjęto mnie dopiero do terminu, żebym wyuczył się kupieckiego fachu. Nic poza tym.

– Mimo to nie znam lepszego kandydata.

– Twoja angielszczyzna jest zadziwiająco poprawna, jak na Chińczyka.

– Pańskie poczucie własnej wartości jest zadziwiająco przytępione, jak na arystokratę.

Collis zaśmiał się dosadnie, a Wang–Pu przyłączył się do niego chichocząc piskliwie, co jeszcze bardziej rozśmieszyło Collisa. Zaśmiewali się tak dobre trzy czy cztery minuty, nie mogąc się opanować, a potem jeszcze siedzieli razem dalej, ocierając oczy chusteczkami do nosa, starając się zdusić w sobie zdławiony chichot.

– Nie wiedziałem, że Chińczycy mają poczucie humoru – rzekł wreszcie Collis. – Zawsze miałem wrażenie, że straszne z was ponuraki.

– Tak, Zachód ma zupełnie inne poczucie humoru! – przyznał Wang–Pu. – Ale my też lubimy się pośmiać.

Znowu wytarł oczy i włożył chusteczkę do rękawa. Potem; zerknął na złoty zegarek, który wyjął z kieszeni surduta.

– Czas na moje lekarstwo. Przepraszam pana na chwilę – powiedział tonem usprawiedliwienia.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego – rzekł Collis.

– Wrzód. Muszę się kurować trzy razy dziennie.

– Bierzesz kaolin?

Wang–Pu uśmiechnął się wyrozumiale.

– Proszę pana, przecież pan wie, że jestem Chińczykiem. Trzymam się zaleceń tradycyjnej chińskiej medycyny.

Wang–Pu otworzył zniszczoną, brązową skórzaną teczkę, która leżała oparta o nogi jego krzesła. Schylił się, włożył rękę do środka i wyjął stamtąd lakierowane pudełeczko z wygrawerowanymi pozłacanymi obrazkami chińskich liter. W pudełeczku wywiercone były dziurki wentylacyjne w kształcie liści i kiedy Wang–Pu odemknął wieczko, Collis zrozumiał dlaczego. W środku pudełeczko podzielone było na przegródki. W jednej przegródce umieszczony był płaski spodeczek z cienkiej porcelany, w drugiej buteleczka ciemnego płynu ze szklaną zatyczką, a w trzeciej, ułożone na białej wacie, leżały trzy młode myszki, jeszcze całkiem różowe i nie owłosione, ale bardzo ruchliwe i ożywione.

Collis spojrział niepewnie na Wang–Pu. Wang–Pu jednak nadal się tylko uśmiechał i postawił spodeczek na stole. Nalał doń trochę ciemnego płynu, a potem chwycił jedną z myszek za ogon i zanurzył w płynie, jakby obtaczał pulpet w ubitym żółtku jajka.

– To jest sos sojowy – wyjaśnił Wang–Pu. – Nie ma on żadnych właściwości leczniczych. Biorę go tylko dla smaku.

– Dla smaku? – spytał Collis, wciąż nie mogąc uwierzyć własnym uszom i oczom. Ale zanim zdążył dodać coś jeszcze, Wang–Pu przechylił głowę w tył, podniósł wiercącą się mysz do otwartych ust i popchnął sobie do gardła. Przełknął ślinę i odetchnął głęboko, aż biedne stworzenie zniknęło zupełnie w czeluściach jego żołądka.

– Naprawdę nie rozumiem, w czym ci to może pomóc – zauważył Collis z obrzydzeniem.

Wang–Pu wzruszył ramionami.

– Mysz pęka w środku, a ciepła krew przepłukuje mój wrzód. Tak przynajmniej mówi teoria.

Collis czekał na dalsze wyjaśnienia, ale Wang–Pu nic już więcej nie powiedział, tylko gołnął sobie jeszcze jeden łyk whisky, odłożył swoją podręczną apteczkę i rozsiadł się, przyglądając się brzegom Solany, które przesuwwały się obok nich. Wpatrywał się w odludne, wysuszone na pieprz ugory, gdzie kołujące ptactwo unosiło się jak liście na zastygłym letnim stawie.

*

Collis drzemał w swoim fotelu, kiedy późnym popołudniem parowiec przycumował w Sacramento. Otworzył oczy i zobaczył zarośnięty drzewami brzeg rzeki, a za nim, w powietrzu falującym z gorąca tak, że przyprawiało o zawrót głowy, małe miasteczko z niskimi, parterowymi domkami oraz sklepami i gospodami ułożonymi równiutko w szachownicę. Ze zdumiewająco błękitnego nieba jak na tę porę dnia, zachodzące słońce rzucało ostatnie blaski na uliczki pełne lepianek i drewniaków. A w oddali, za kanciastym gmachem ratusza i ponad gęstwiną dachów śródmieścia, poprzez rozległą, fioletoworóżową dzikość drzew i gołej ziemi, Collis zobaczył dalekie, niesamowite szczyty Sierra Nevada.

Wyprostował kapelusz, otrzepał rękawy surduta, a potem wstał i podszedł do balustrady.

Na przystani bujały się przycumowane do nadbrzeża parowce i mniejsze szalupy, a na rzece roiło się od pontonów, które zabierały pasażerów na brzeg ze statków zakotwiczonych w głębi rzeki. Ich wiosła zanurzały się w roziskrzanej słońcem wodzie, układając się w oślepiające, zygzakowate wzorki.

Charles wyłonił się spod pokładu z twarzą jeszcze czerwienią – szą niż zazwyczaj i włożył kciuki pod kamizelkę.

– No, Collis – odetchnął głęboko. – Tak więc jesteśmy w domu.

Collis pokiwał głową. W zakurzonej powietrzu unosił się zapach dębowego drzewa. Na brzegu roiło się od wozów, furmanek i dyliżansów, a grupa mężczyzn w kraciastych, flanelowych

koszulach i niebieskich roboczych bryczesach paliła fajki i przyglądała się, jak parowiec zarzuca kotwice. Na baku mężczyzna o wysokim, ochrypłym głosie śpiewał, przygrywając sobie na akordeonie:

Oj, pomnę ci ja, pomnę, te słodkie kłamstwa, co o żyłach złota truto nam; A kto je widział, kto?

Na północy, wokół małego cypelka i pod szerokim drewnianym mostem, leżało zalane wodą pole zwane Bagnami Suttera. Na południu, w odległości około jednej mili, za przecinką drzew, wznosiły się gęste kłęby dymu, ciężkie, smoliste i gnały z wiatrem na wschód.

– Tamtędy właśnie biegnie kolej Sacramento Valley z Folsom – wyjaśnił Charles. – Zabiorę cię tam za dzień lub dwa, żebyś sobie pogadał z pułkownikiem Wilsonem, chyba że sam wstąpi wcześniej do sklepu na pogawędkę.

Collis zmierzył wzrokiem odległość pomiędzy kłębami dymu a podnóżem gór na horyzoncie. Słyszał już przedtem, że na Zachodzie są jeszcze bezgraniczne, nieujarzmione przestrzenie, ale co innego słyszeć o tym, a co innego przyjechać tu, do Sacramento, w takie gorące popołudnie i mieć przed sobą, jak okiem sięgnąć, bezkresne pola tej doliny. Ogarnęło go zwątpienie, czy w ogóle będzie w stanie wybudować choćby tylko jeden krótki odcinek linii kolejowej z jednej strony miasta na drugą, nie mówiąc już o transkontynentalnej kolei żelaznej.

– Nigdy bym nie pomyślał... – powiedział cicho.

– Nigdy byś nie pomyślał, że co? – dopytywał się Charles, zadowolony, że jest już wreszcie na miejscu.

– Sam nie wiem... – rzekł Collis. – Ta wolna przestrzeń... wiesz... te bezkresy... – Bezkresy? – powtórzył Charles, jakby nigdy przedtem nie spotkał się z takim określeniem. – No, tak to tu właśnie jest, w Kalifornii. Góry i doliny, i otwarte, niezmierzone przestrzenie. Tu dopiero można naprawdę odetchnąć świeżym powietrzem.

Znad brzegu rzeki dobiegł ich gruby, gardłowy głos, który wołał w ich stronę „Hej, hej”; na gościńcu stał wysoki mężczyzna z bokobrodami, w zapiętym po szyję porannym surducie.

Miał ciemną karnację, a rysy twarzy szkockie i tak kanciaste, jakby każde zgięcie wylupane było wyszczerbionym dłutem. Surdut opinał mu się na potężnej klatce piersiowej i pękatym jak antałek brzuszysku. Stał koło niewielkiej bryczki, zaprzężonej w dwa kasztanki, ale robił wrażenie osiłka, który sam z łatwością mógłby unieść cały zaprzęg na swoich barach.

– To mój partner, Leland McCormick – rzekł Charles, wymachując w kierunku brzegu rzeki obiema rękami. McCormick też machnął ręką w ich kierunku i uchylił kapelusza.

– Mam drut koleczasty! – darł się Charles. – Starczy, żeby opasać dokoła całą pomocną Kalifornię.

– A węgiel? Przywiozłeś węgiel na opał? – odkrzyknął McCormick.

– Wystarczy, żeby usmolić wszystkim mordy w całym tym zasranym mieście, tak że nie odróżnisz pana od czarnucha.

McCormick ryknął grubym, gburowatym śmiechem. O parę kroków dalej, na pokładzie, Billy, woźnica, robił dobrą minę do złej gry, uśmiechając się niepewnie. Z ogłuszającym hukiem i wzniecającym tumany kurzu, zrzucono ze statku na brzeg pomost i trzeba było wysiadać.

Kiedy znaleźli się na popękany od słońca gruncie, podali sobie ręce na powitanie i Collis został oficjalnie przedstawiony.

– A jak tam Andrew? Jak tam mu się opłaca ten jego hurtowniczy handel spożywczy?

Wychodzi jakoś na swoje?

– Na ogół tak. Jest trochę zachołu z magazynowaniem – odparł Charles, pakując się do powozu. – Ale i tak wynajął mi jeden ze swoich baraków na skład australijskiego węgla, wszystkiego trzysta ton, pod warunkiem, że mu potem porządnie wyczyszczę całe pomieszczenie. A do tego znalazł się tam i kącik na pierwszy handlowy interesik młodego Collisa.

McCormick rozejrzał się, by sprawdzić, czy wszystkie kufry zostały już załadowane. Billy i Wang-Pu sami organizowali sobie dojazd do sklepu Charlesa wynajętą furmanką. W powozie McConnicka znalazłoby się pełno miejsca dla wszystkich, ale Collis domyślił się, że ani Charles, ani Leland nie pozwoliliby sobie na żadne tego typu poufałości ze służbą.

Przynajmniej nie tu. Nie w Sacramento. – Szczególnie Leland na pewno nigdy by do tego nie dopuścił. Robił wrażenie zarozumiałego ponuraka, który zawsze za wszelką cenę chce zachować twarz.

– Pana pierwszy handlowy interesik? – Leland zwrócił się teraz do Collisa z leciutko szkockim akcentem. Mówił tonem protekcyjnym, głosem, w którym czuć było lekceważenie. Collis zrozumiał, że Leland będzie się starał go upokorzyć. Ciemne, głęboko osadzone oczy Lelanda też nie wróżyły nic dobrego. Nigdy nie patrzyły wprost, na Collisa; jego wzrok zawsze utkwiony był ostentacyjnie w jakimś bardziej interesującym obiekcie – na przykład w końskich uszach albo w słomkowym sombrero przechodzącego obok Chińczyka. Minęli dom towarowy Wildmore & Glazier oraz Chop House u Stanton, później z turkotem potoczyli się w podskokach po wyboistym gościńcu, aż wreszcie skręcili na wschód, w K Street.

Collis, podpierając się dla równowagi stopą o podłogę powozu, wyjął z kieszeni cygaro i osłaniając je dłonią od wiatru, zapalił. Pochylony, rzucił okiem na zaciśnięte na lejcach ręce Lelanda z ciężkimi, złotymi sygnetami na każdym palcu. Pachniało od niego jakąś francuską wodą kolońską. Nie był to zapach rażący, ale na tyle silny, aby przypomnieć tym, którzy wracali z podróży, że są niedomocy i przepoceni.

– Dostałem cynk, że „Aria” zawinie do portu w zatoce San Francisco z ładunkiem koców – rzekł Collis opisowo. – Ubiegłem konkurencję, bo podpłynąłem tam łódką, zanim jeszcze statek zakotwiczył na przystani, i wykupiłem wszystkie, co do jednego.

– Koce? – zdziwił się Leland.

– Sprzedam je jak tylko pierwsze przymrozki dadzą się ludziskom we znaki – wyjaśnił Collis.

Charles parsknął śmiechem.

– To był właściwie pomysł Arthura Teacha. Od niego to wyszło – wyjaśnił Lelandowi szczerze ubawiony. – Ale poczciwy Teach popełnił błąd i wygadał się przed Collisem, no i aniśmy się obejrzeni, jak nasz Collis powiosłował do zatoki i sprzątnął je wszystkie Teachowi sprzed nosa. Chciałbym widzieć jego minę, kiedy pontony „Arii” przybiły na brzeg i powiedziano mu, że wszystkie koce już zostały wysprzedane. Nie żałowałbym pięciu dolarów w złocie za takie widowisko. Spotkałem go potem w Barry & Patter’s Saloon; miał zamiar powiesić Collisa nogami do góry na ostatnim piętrze budynku Straży Obywatelskiej, jak zająca na pasztecik.

– Tylko się tak zgrywał, mam nadzieję – rzekł Leland.

– Tylko się tak zgrywał – zapewnił go Collis.

Leland pociągnął nosem.

– W San Francisco – powiedział – nigdy nic nie wiadomo. Mieszkańców San Francisco można odróżnić od dzikusów tylko po tym, że się fikuśniej ubierają i żrą ostrygi w tartej bułce.

Podczas jazdy Collis rozglądał się po K Street. W porównaniu z ulicami San Francisco była bardziej małomiasteczkowa i zaniedbana – to od razu rzucało się w oczy. No, może najwyżej Sydney Town, ta okropna zbieranina baraków, namiotów i podejrzanych spelunek, pomiędzy ulicami Kearny i Sansome, na północ od Broadwayu, tuż przy wjeździe do miasta, koło portu, nie była wcale dużo lepsza. Ale San Francisco miało jednak murowane bulwary, solidne budynki o metalowych kondygnacjach i zabezpieczone przed pożarem teatry. Tu i ówdzie można się nawet było natknąć na marmurowy krużganek, a biurowce i urzędy miejskie miały wystrój wcale szykowny. Natomiast Sacramento zdawało się sklecone głównie z drewna i żółtawej, mulistej gliny.

Najlepiej prezentowały się budynki po północnej stronie K Street. Wyglądały porządnie i zasobnie, były też największe w zasięgu oka – szczególnie sklep żelazny, pod numerem 54, z werandą od frontu i ładnymi, kształtnymi oknami na pięterku. Dopiero kiedy podjechali bliżej, a Leland McCormick ściągnął cugle, Collis zauważył szyld, który wisiał od frontu, z pięknie wykaligrafowanymi literami: „Tucker & McCormick, Sprzęt Gospodarski”, a pod nim: „Węże gumowe, pasy, proch, lonty, sznury, bloki, węgiel, dziegieć i inne”.

– No, no – rzekł Collis z podziwem, nie ruszając się z miejsca, podczas gdy Leland zeskakiwał na ziemię i przywiązywał konie do jednego z filarów werandy. – Świetnieście się tutaj urządzili, nie można powiedzieć.

Leland uniósł nieco głowę, ale nie na tyle, aby spojrzeć Collisowi prosto w oczy.

– Wszystkiego dorobiliśmy się ciężką harówką, modlitwą i sprytem, a zajęło nam to lata pracy – powiedział.

Potem odwrócił się do Charlesa.

– Chodź na górę. Jane uszykowała dziś kolację specjalnie dla ciebie. Wie, że przepadasz za drobiem.

Collis poczuł, że odstawiono go bezceremonialnie do kąta. Zatrzymał się na chwilę, czując lekki skurcz w mięśniach policzkowych, ale potem wyrzucił na wół wypalone cygaro i zszedł na chodnik. Jeśli chce zbić majątek w Kalifornii, to musi zabiegać o względy ludzi takich, jak Charles i Leland, i zapewnić sobie ich poparcie, niezależnie od tego, jak go tu będą traktować. Posuwał się więc za nimi, wymijając baryłki z dziegiem i zwoje sznurów, ku cienieściej werandzie, a potem przez sklep i dalej, aż do schodków przy drzwiach od podwórka.

Sklep był ponury i pachniał smarem, stęchlą jutą i naftą. Leżały tam stosy włochatych i ostrych sznurów, wysokie po sam sufit w kremowym kolorze, oraz zwoje splątanej siatki na druciane ogrodzenia, po dziesięć centów za wał. Były tam również blaszane, żłobione gonty, esówki, gumowe węże, sprężynowe wagi i pompy tłoczące. Dla Collisa, który nigdy przedtem nie był w sklepie z żelastwem, to pierwsze zetknięcie z domem handlowym Tucker & McCormick okazało się niemałym przeżyciem. Wszędzie potykał się człowiek o niecodzienny, dziwny sprzęt z kutego żelaza albo hartowanej stali, w otoczeniu haków, sprężyn, suwaków oraz całej masy innych niezwykłych narzędzi, których prawdziwego przeznaczenia Collis mógł się tylko domyślać. Zaczął się nawet zastanawiać, czy w ogóle kiedykolwiek będzie w stanie zgłębić arkanu sztuki handlu żelaziem, zwłaszcza gdy przechodząc obok jakiejś sterty pudełek, Leland zwrócił się do Charlesa: – Przydałoby nam się parę iniektorów Hancocka. Dotarli do korytarza, ze schodami wiodącymi na górę, i Leland przepuścił ich przed sobą uprzejmie. Korytarz wyłożony był dywanem i unosił się w nim zapach pieczonego kurczaka. Potem znaleźli się w holu prowadzącym do rozmaitych pomieszczeń” gdzie stały proste, ale całkiem przyzwoite mahoniowe biurka, gięte krzesła, jak również liczne kwietniki i żardynierki, z których zwieszały się bujne paprocie i asparagus niczym kipiące zdrowiem, rozhuwane, młodzieńcze latorośle. Stamtąd skęcili w jakieś drzwi i znaleźli się w pokoju gościnnym, którego okna z obszerną, imponującą loggią wychodziły na zakurzoną ulicę. To właśnie tu, na obitej aksamitem sofie, siedziała drobna kobieta z okazałym nosem, w sukni z czarnego jedwabiu i białym koronkowym kołnierzykiem. Jej czarne włosy zaczesane były gładko do tyłu, a z pulchnych uszu „zwieszały się dwa ogromne kolczyki z granatem. Oczy miała j wyłupiaste i pełne melancholii. Na jej kolanach spoczywał miniaturowy jamniczek, którego głaskała, a raczej pocierała tak zawzięcie, jakby to była jakaś trudna do wywabienia plama na sukience.

Charles skierował się w jej stronę po czerwono – niebieskim, wzorzystym chodniku, wziął do ręki jej dłoń i złożył na niej szarmancki pocałunek.

– Jane – powiedział. – Wyglądasz kwitnąco. Po prostu kwitnąco. Jeszcze piękniej niż zazwyczaj. Jak prawdziwa kusicielka z Sacramento.

Collis stał w drzwiach, z kapeluszem w dłoniach; uśmiechnął się do niej lekko na powitanie. Przywodziła mu na myśl portrety królowej Wiktorii, które widział niegdyś w nowojorskich gazetach. W zachowaniu też zdawała się równie władczą. Zrobiła na nim wrażenie starej jędry, bez dwóch zdań. Ale skłonił się lekko, gdy Leland wystąpił naprzód, uściskał jej rękę w swoich dłoniach i przedstawił Collisa jako „naszego nowego młodszego subiekta, aniołku”.

– Miło mi pana poznać – powiedziała Jane McCormick. – Przyjechał pan ze Wschodu, prawda?

– Tak, proszę pani. Z Nowego Jorku.

– Hmm – mruknęła Jane McCormick, jakby Nowy Jork był jakąś zabita dechami dziurą albo jedną z tych zapuszczonych osad poszukiwaczy złota, które otaczały Sacramento.

– Jak na młodszego subiekta w sklepie żelaznym ubiera się pan wyjątkowo wytwornie – zauważyła z przekąsem.

– W Nowym Jorku należałem do klasy uprzywilejowanej, proszę pani. Niestety, pewne bardzo przykre wydarzenia zmusiły mnie, bym szukał szczęścia gdzie indziej – odparł Collis. Tylko tyle mógł z siebie wydusić, biorąc pod uwagę, że jeszcze parę miesięcy temu w Nowym Jorku nie zadawałby sobie wcale trudu, żeby odpowiedzieć choćby tylko półgębkiem takiej nadętej, drobnomieszczańskiej jejmości.

Jane McCormick pokiwała głową z zadowoleniem.

– Aha. No, ale mam nadzieję, że roboty się pan nie boi?

– Nie. I mam nadzieję, że będę miał okazję nauczyć się wielu nowych rzeczy.

– Ale czy nie jest pan zbyt ambitny? Ambicja u młodszego subiekta byłaby chyba niepożądana, jak pan sądzi?

Collis pokręcił lekko głową.

– Nie, proszę pani. Choć z drugiej strony nasuwa się pytanie, jak młody subiekt pozbawiony ambicji może w ogóle aspirować do tego, by w przyszłości otrzymać bardziej odpowiedzialne stanowisko.

Jane McCormick zmrużyła trochę swoje wylupiaste oczy i spojrzała na niego podejrzliwie.

– Gdyby Bóg był łaskaw pobłogosławić mnie własnym potomstwem, na przykład synem – powiedziała – powiedziałabym mu, że powszedni trud i znój, oddanie naukom katechizmu i szacunek okazywany bliźnim razem wzięte rozwinęłyby jego charakter w dostatecznym stopniu. Przerost ambicji nie jest świadectwem dojrzałości, Mr Edmonds, ani do niej nie prowadzi, tak jak zachłanność nie prowadzi do bogactwa.

Collis podniósł wzrok i wyjrzał przez okno na ulicę. Zaczęło się ściemniać. Nad pomocną Kalifornią osiadła typowa w tym regionie wieczorna szarówka, a światła miasta migotały, rozświetlając dolinę Sacramento. Usłyszał z dołu nawoływanie i terkot przejeżdżającej obok furmanki.

Pokojówka, Murzynka w białym fartuszkach, weszła do salonu i zapaliła lampy naftowe, których było cztery czy może pięć, tak że pokój robił teraz wrażenie sceny teatralnej.

– Naturalnie, ma pani rację, Mrs McCormick – odezwał się wreszcie, przenosząc na nią wzrok.

– Kiedy wreszcie zjawi się tu Mary? – zapytał Lelard, odpinając surdut i rozsiadając się w największym fotelu w całym salonie. – Dziwne, że jeszcze jej tu nie ma.

– Powiedziała, że będzie tu przed siódmą – zapewniła ich Jane. – Musiała jeszcze załatwić parę spraw przed jutrzejszym wieczorkiem towarzyskim.

Charles także osunął się na fotel i ruchem głowy wskazał na pokryty czerwonym brokatem fotel, zapraszając, by Collis rozgościł się w nim wygodnie.

– Mary – powiedział całkiem delikatnie, biorąc pod uwagę, że Mary była jego żoną, a jednak nie przyjechała tu, żeby go powitać po powrocie z San Francisco – Mary uważa, że obowiązki pani domu mają priorytet w życiu niewiasty. Mężowie w tej klasyfikacji zajmują dalekie drugie miejsce.

– Pożycie małżeńskie Charlesa i Mary wzięło początek w krainie niebieskiej, jeśli nie od razu w sarnim raju – rzekła Jane, siląc się ciężko na dowcip.

Collis wymusił z siebie nieprzekonywający uśmiech, ale było jasne, że Leland ani nie rozumiał poczucia humoru swojej żony, ani go nie doceniał. Skrzyżował dłonie i oznajmił: – W styczniu będzie rok, odkąd zostałem senatorem stanowym. Postanowiłem, że będę się znowu ubiegał o stanowisko gubernatora.

– Moim zdaniem dobrze robisz – przyznał mu rację Charles. – Ale nie masz tam przypadkiem czego do picia? Zaszło mi w gardle po tej podróży statkiem.

– Mamy trochę madeiry – wtrąciła Jane McCormick. Odwróciła się do Collisa i dodała tonem usprawiedliwienia, w którym słychać było skrucę: – Tego mieszkania używamy tylko wtedy, gdy jest wielki ruch w interesie. Mamy dom z widokiem na rzekę. Bardzo elegancki dom.

Rozmowa nie kleiła się, ale wreszcie, w jakieś dwadzieścia minut później usłyszeli zgrzyt otwierających się na dole drzwi, a potem szelest sukien w korytarzu. Wszyscy mężczyźni podnieśli się, gdy w drzwiach salonu pojawiła się ascetyczna, siwowłosa kobieta w wełnianej, granatowej pelerynie z merynosów i surowym, granatowym kapturze. Jej świdrujące oczka przy bladych, kwadratowych policzkach wyglądały jak dwa maleńkie, wypukłe ziarnka grochu, a jej usta, równe i wąskie, przypominały otwartą szczyrykiem kopertę. Trzymała w ręku nieładną czarną torbę.

Charles postąpił naprzód i pocałował ją w policzek. Była trochę wyższa od niego albo przynajmniej takie robiła wrażenie. Przyjęła pocałunek w taki sposób, w jaki pomnik przyjmuje ptaka, który siada mu na chwilę na ramieniu: jestem tu, bo takie jest moje przeznaczenie; muszę jakoś znieść te drobne, choć jakże dokuczliwe zniewagi.

– Domyślam się, że nie znalazłeś wolnej chwili, żeby wpaść do Lathamsów – zwróciła się do Charlesa lodowato.

Charles chrząknął leciutko w odpowiedzi.

– No tak! Ale nic nie szkodzi. I tak się strasznie wywyższają, zarozumialcy – zawyrokowała Mary Tucker i wystąpiła na środek pokoju tak, ażeby wszyscy mogli podziwiać jej brzydotę.

Collis zrozumiał teraz, dlaczego Charles chodził do teatru w eskorcie Janki Zadupczanki i dlaczego płacił młodym dziewczynom, takim jak Elsie. Po miesiącu czy dwóch u boku Mary widok milutkiej kobiecej buziuni musiał być równie pożądany jak łyk zimnego piwa na ugaszenie pragnienia. Tak prawdę powiedziawszy, nie odmówiłby i teraz kufelka, gdyby tylko ten bufon McCormick trzymał choć trochę piwa w lodzie dla gości. Natomiast jeśli chodzi o Jane i Mary, to dwaj wspólnicy handlowi z Sacramento poślubili dwa najbardziej odpychające i szkaradne babska w całej Kalifornii.

Collis czuł się głodny, spragniony i załamany. Żałował teraz, że nie został w San Francisco. Wygrane z kasyna starczyłyby mu w zupełności na skromne utrzymanie. Teraz, z perspektywy

czasu, tu, w obecności Tuckerów i McCormicków, pobyt w burdeliku Janki Zadupczanki na Dupont Street, malutki, ale własny pokój na poddaszu, kolacje z szampanem i wesołe dziewczynki na każde zawołanie zdawały się prawdziwym rajem na ziemi. Gdyby tylko tam, w ciemnościach nocy, nie było tych cholernych Wysokich Sierras, tak nieprzebranych i nieodgadzionych. Gdyby tylko nigdy nie wymyślono kolei żelaznych.

Mary Tucker zbliżyła się teraz do Collisa, więc złożył jej lekki ukłon, ujął jej dłoń w swoje ręce i podniósł ją do pocałunku.

– Charles mówił mi tyle o pani – powiedział. Starał się bardzo, aby w głosie jego brzmiały szczerść i szacunek.

– Jestem ostoją jego życia – odparła oschle Mary. – Gdyby nie ja, nie miałby pojęcia o swoich obywatelskich powinnościach. Ale ja zawsze uważałam, że zachowywanie porządku publicznego to nasz święty obowiązek. Mam nadzieję, że włączy się pan czynnie w działalność naszego lokalnego chóru Wesołych Drozdów, Mr Edmonds.

– Nie jestem pewien, prawdę mówiąc – odparł Collis. – Wesołość to jeden z tych artykułów, których nie mam akurat w nadmiarze.

Mary Tucker uśmiechnęła się półgębkiem, wcale nie ubawiona, a potem zwróciła się do Jane McCormick: – Jane, moja złota, musisz poprosić swojego Johna o przepis na gulasz z kurczaka.

Będzie, jak znalazł, gdy wielebny ojciec Spratt zjawi się u nas z wizytą. Chcemy podjąć go u siebie obiadem.

W końcu pokojówka, Murzynka, poprosiła ich do pokoju stołowego i przez następne dwie godziny siedzieli przy drżącym świetle z dziesięciu lojówek, posilając się zupą cebulową, pieczonym kurczakiem z mamałygą i marynowaną żółtą fasolką, bekonem, sałatką pomidorową i szarlotką na deser. Na zewnątrz mroczna noc stawała się coraz bardziej głęboka, a ich odbite w pociemniałych szybach sylwetki wyglądały jak upiorne widma przy wieczery. Collis, wymęczony po podróży i jeszcze nie zadowolony w Sacramento, sam czuł się obco, jak cień własnego siebie, więc jadł posiłek w milczeniu, podczas gdy Charles i Leland rozmawiali o cenach węgla, smoły i saletry potasowej, a Jane i Mary słodziutkim głosem prześcigały się w złośliwościach, licytując się, która nosi elegantsze niedzielne kapelusze. W końcu wszystko to okazało się jednak ponad jego siły. Albo od razu, od samego początku, postawi na swoim, albo też przepadnie w labiryncie zaściankowych, filisterskich swarów, z którego, jak się domyślał, dużo inteligentniejsi od niego ludzie nie zdołali się nigdy wygrzebać. Jeśli będzie obcował na co dzień z Tuckerami, McCormickami oraz wielebnym ojcem Sprattem i włączy się aktywnie w działalność chóru Wesołych Drozdów, sam się wpakuje w potworną kabałę. A wtedy, pomyślał z przerażeniem, jego marzenia o budowie drogi żelaznej przez Sierra Nevada rozpadną się, przywalone stertą śrubek i stempli wahadłowych, zagłuszone kościelnymi hymnami i plotkarstwem na sąsiedzkich podwieczorkach.

– Mam zamiar zbudować kolej żelazną – oznajmił nagle, ni z tego, ni z owego. – Aż do samej Nebraski.

Charles spojrział na niego z niezadowoleniem. Leland, walcząc z kawałkiem podsmażonego bekonu, zmarszczył czoło nad talerzem z wyraźną dezaprobatą, a wybredne małżonki, których talerze nadal były pełne, obie jadły tylko jednym zębkiem, prześcigając się nawzajem w

grymasach, wyprostowały się na swoich krzesłach jak na komendę i wlepiły w Collisa wzrok, jakby dopiero co beknął nad talerzem.

– Collis ma bzika na punkcie budowy kolei transkontynentalnej – rzekł Charles z udaną wesołością, która jednak nikogo nie zmyliła. – Prawdę mówiąc, założył się z paroma ludźmi w San Francisco, że uda mu się przeprowadzić potrzebne pomiary i położyć pierwsze szyny w jakieś pięć, no może najwyżej sześć czy siedem lat.

Leland przeżuwał swoją porcję bekonu naumyślnie bez pośpiechu. Potem, przełknąwszy ostatni kąsek, jakby dla podkreślenia wagi swojej wypowiedzi uniósł nad stołem widelec i, wymachując nim w prawo i w lewo, skierował go wreszcie w stronę Collisa.

– My, Kalifornijczycy – powiedział tonem człowieka, który przemawia do stanowej Komisji do Spraw Finansów – robimy wszystko z myślą o przyszłości tego stanu. Mamy na względzie dobro jego mieszkańców i staramy się by wszystkie inwestycje przynosiły bezpośredni pożytek tutejszym przemysłowcom. Nie przekona mnie pan, że kolej transkontynentalna przyniosłaby Kalifornii finansowe lub socjalne korzyści. O tak, Wschód chętnie ogołociłby nas doszczętnie z naszych zasobów, a przysyłał w zamian letników, darmozjadów, kryminalistów i awanturników.

Zatrzymał się na chwilę, a potem dorzucił: – Słyszałem już nieraz te bajdy o kolei transkontynentalnej. Niemało tu takich w gorącej wodzie kąpanych szaleńców. Teodor Jones na ten przykład, i jeszcze paru innych. Więc, Mr Edmonds, nie życzę sobie słyszeć więcej o tym ani słowa, jeśli chce pan tu u mnie pracować, bo w moim pojęciu to pomysł wiarołomny, a w dodatku zupełnie idiotyczny.

– No, ale dlaczego? Przecież taki projekt mógłby się kiedyś naprawdę urzeczywistnić.

Nie wierzysz w to? – wtrącił Charles tonem pojednania, biorąc Collisa w obronę przed gniewnym wybuchem Lelanda.

Leland odłożył na bok swój widelec.

– Czy się da kiedyś urzeczywistnić, czy nie – rzekł, cedząc słowa – prawda jest taka, że ci, co się na to porywali, jak z motyką na słońce, stracili ostatnią koszulinę na grzbiecie, a do tego, za przeproszeniem, ostatnie gacie na siedzeniu. Kosztowałyby to miliony dolarów i zajęłoby lata, a co gorsza, obrabowałoby Kalifornię z jej największego politycznego kapitału – mam tu na myśli naszą izolację.

– Nie chce pan chyba przez to powiedzieć, że po prostu oblatuje pana strach – powiedział Collis.

Leland spojrzął na niego z pogardą.

– Strach? Niby przed czym, Mr Edmonds? Przed pańskimi banialukami? – A po chwili przenosząc wzrok na Charlesa, dorzucił: – No właśnie, Charles, mówiłeś coś o tych pompach, prawda? Więc co z tymi pompami?

Collis utkwiał wzrok w ostrym, prostym profilu Lelanda.

– Zmiana tematu nie zmienia mego przeznaczenia, Mr McCormick.

– Pana przeznaczeniem – odparł cierpko Leland – jutro rano (i to jeszcze niejedno jutro rano) będzie sporządzenie szczegółowego remanentu, tu, w moim sklepie. Jestem w pełni świadom tego, mój panie, że zmiana tematu nie odwróci biegu wydarzeń.

*

Przez następne dwa tygodnie Collis krążył po sklepie z blokiem do pisania, ołówkiem w dłoni i cygarem zaciśniętym pomiędzy zębami, z twarzą bladą i rozdrażnioną, licząc i spisując suwaki, zapalniki i beczułki prochu, a potem znowu licząc i równie skrzętnie spisując rydle ogrodnicze, gwintownice, śrubokręty, podnośniki i gumowe węże. Czuł się znudzony, a do tego zły, przede wszystkim na samego siebie, że musi siedzieć cały dzień w tym zatłuszczonym smarem sklepie, wykonując takie upokarzające, przyziemne czynności. Nawet o siódmej, kiedy zamykano już sklep, jego samopoczucie wcale się nie poprawiało, ponieważ musiał wracać do czerwono-ielonej rezydencji Charlesa Tuckera, niedaleko Fortu Suttera.

Tam pochylony obok Mary Tucker nad miską brunszwickiej polewki i bezsmakowego hinduskiego puddingu, musiał się przysłuchiwać jej nudnym wywodom na temat parafialnych wieczorków i herbatek towarzyskich dla pań, podczas gdy Charles pomrukiwał, chrząkał albo stękał w najprzeróżniejszych tonach, by okazać to zainteresowanie, to zdziwienie, to żal, a to znowu dezaprobatę, nie mówiąc jednak właściwie ani słowa. Po kolacji Collis wypalał na werandzie cygaro, a potem przychodził już czas na spoczynek na wąskiej, mosiężnej, surowej pryczy.

Siedząc na beczce smarowidła do czyszczenia siodeł, na werandzie sklepu, w trzeci czwartek swego pobytu w Sacramento, w koszuli z rękawami i białej panamie*, którą zakupił do pracy na powietrzu, Collis zastanawiał się, po kiego czorta w ogóle tu się pchał. W San Francisco Charles obiecywał mu złote góry, ale teraz wyglądało na to, że porzucił myśl o awansie dla Collisa i zamierzał go trzymać w nieskończoność jako chłopaka na posyłki.

Leland, którego zwykła bufonada przekształcała się od czasu do czasu w momenty potwornego przygnębienia, podczas których łąził po sklepie, potykając się na każdym kroku i przeklinając wszystko, na czym świat stoi, również nie pałał chęcią podania Collisowi ręki.

Jeśli tak dalej pójdzie, myślał Collis, to nigdy nie będzie w stanie zrealizować swoich planów, chociaż musiał przyznać, aczkolwiek z wielką niechęcią, że znał już teraz ceny podkładów, haków szynowych i kolejowych progów, jak również ceny angielskich stalowych szyn (60 dolarów za tonę, dostawa na Wybrzeże Wschodnie), ich długość (15 stóp), a nawet i ciężar (39 i pół funta za każdy jard). Czytał z zapalem specjalistyczne pisma techniczne i periodyki, poukładane w sterty na zapleczu magazynu i wprost nie mógł się nadziwić, że Zjednoczenie szczyliło się dwudziestoma siedmioma tysiącami mil torów kolejowych, które kosztowały w sumie 920 milionów dolarów. Dowiedział się też paru istotnych szczegółów z zakresu mechaniki, głównie z dziedziny konstrukcji lokomotyw. W swojej sypialni o kremowych ścianach, na trzecim piętrze kamienicy Charlesa Tuckera, Collis, pochylony nad rysunkami diagramów kominów dwuwylotowych, metalowych podwozi i kotłów parowych, głowił się godzinami nad ich skomplikowaną strukturą, podczas gdy jego gospodarze chrapali już smacznie, każde w swojej własnej sypialni.

Obudził się we wczesnych godzinach rannych, kiedy nasi zewnątrz było jeszcze całkiem ciemno. Patrzył na wypalony, knot lampy naftowej i wykres nowego, bissellowskiego podwozia – obracającego się na czopie, który dalej leżał tak, jak go Collis wczoraj w nocy zostawił, na

zniszczonej, pozszywanej ze skrawków starych, niepotrzebnych materiałów wełnianej narzutce na łóżko.

Ale kiedy usiadł przed sklepem tuż po dziesiątej rano, sumując sterty skobli, doszedł do wniosku, że mógłby równie dobrze znaleźć dokładnie te same techniczne nowinki w San Francisco, w Bibliotece Handlowej albo w Instytucie Technologii.

Zarówno Charles, jak i Leland, zdawali się robić wszystko, co w ich mocy, by Collis nie był w stanie zdobyć żadnego praktycznego doświadczenia. Tu, w Sacramento, u siebie w domu, Charles stracił swój zwykły dobry nastrój i nie był wcale tak uczynny i serdeczny jak w San Francisco, a Leland nie ukrywał nawet swej wrogości. Może byli zazdrośni albo po prostu bez wyobraźni – kto wie? To zresztą bez znaczenia. Jediną istotną, palącą dla Collisa sprawą był brak możliwości wykształcenia w sobie zdolności kierowniczych, bo tych nie mógł się przecież wyuczyć, pełniąc funkcję niewykwalifikowanego posługacza.

Właśnie odłożył na bok ołówek z myślą o tym, by iść do środka i pomówić z Charlesem o swoich odczuciach, kiedy na K Street pojawiła się mała, zwrotna bryczka powożona bez większego pośpiechu przez brodatego młodziana w długim, dziennym surducie. Powóz zatrzymał się po drugiej stronie ulicy, młody człowiek uwiązał konia, poprawił kapelusz, a potem skierował się pod numer 54, mrużąc oczy w jesiennym, październikowym słońcu.

– Czym mogę służyć? – zapytał Collis.

Młody człowiek uśmiechnął się przyjaźnie. Oczy miał jasne, przenikliwe, a zachowywał się całkiem swobodnie. Musiał pochodzić z dobrego środowiska, bo bródkę miał podciętą bez zarzutu, a wąsy wypomadowane brylantyną.

– Chciałbym się widzieć z Mr Tuckerem? – odrzekł i wyciągnął rękę na przywitanie. – Nazywam się Teodor Jones. Pan tu dopiero od niedawna, prawda?

Collis wstał i uściśnął jego dłoń z wielkim zapałem.

– Collis Edmonds – powiedział – z Nowego Jorku.

Spada mi pan prosto z nieba. Od dawna już chciałem pana poznać.

– Naprawdę? – zapytał Teodor Jones. – To moja sława sięga już aż tak daleko?

– Charles powiedział mi coś na pana temat. Zdaje się, że mamy pewne wspólne zainteresowania.

Teodor, zaskoczony, unióśł brwi w wyrazie zdziwienia.

– Nie mówi pan chyba o transkontynentalnej kolei żelaznej?

Collis zrozumiał nagle, dlaczego Teodor przyjął jego entuzjastyczne słowa tak sceptycznie.

Bo i jakże inaczej? Czyż Collis nie siedział właśnie przed sklepem na pękatej baryłce smaru, w zakurzonym kapeluszu, z wyrazem twarzy podrzędnego kancelisty o dochodach, mówiąc oględnie, nie do pozazdroszczenia? Jak mógł wyglądać teraz w oczach natręta od kolei? Na pewno nie jak te grube ryby, które zazwyczaj inwestują w takie sprawy.

– Jestem tutaj tylko tymczasowo – zapewnił go Collis tonem usprawiedliwienia. – Charles Tucker to mój dobry kumpel, widzi pan, więc odciążam go trochę w obowiązkach.

Ale mam również własny kapitał. Albo przynajmniej będę miał, kiedy powrócę do San Francisco i upłynię moje aktywa.

– więc naprawdę jest pan zainteresowany budową kolei? – zapytał ostrożnie Teodor Jones, z jedną stopą na stopniu werandy.

– Mr Jones – wyjaśnił Collis. – Przepląnąłem przez Cieśninę Panamską iomalże nie straciłem kogoś bardzo drogiego memu sercu. Na żółtą febrę.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia. Ale teraz już całkiem wydobrzała, mam nadzieję?

Collis wrócił wzrok.

– Tak. Chyba już całkiem wydobrzała.

Teodor tarł w zamyśleniu brodę, wpatrując się w Collisa, zatroskany. W swoim czasie na pewno wyszydzano go i ośmieszano, więc wyglądało na to, że chce się najpierw upewnić, czy Collis nie jest jednym z takich żartownisiów, którym tylko w głowie figle i psikusy. Był człowiekiem o całkiem miłym sposobie bycia i na pewno nieprzeciętnej inteligencji, ale poczucia humoru miał akurat tyle, co na lekarstwo. Collis rozumiał to nawet do pewnego stopnia. Kiedy umysł zajęty jest wizją przyszłości takiego rodzaju, jak kolej transkontynentalna przez Sierra Nevada, nie pozostaje w nim dużo miejsca na zdawkowe żarty i facecje.

– Wobec tego – rzekł wreszcie Teodor – powinniśmy może pogadać o tym jeszcze, co?

Ma pan pół godzinki czasu? Z Charlesem mogę się zobaczyć kiedy indziej. To nic pilnego.

– Jasne. I tak miałem właśnie zrobić sobie małą przerwę.

– To doskonale. Jeśli chce pan skoczyć jeszcze do środka po surdut, to bardzo proszę.

Spotkamy się po drugiej stronie ulicy w Sutter House.

Collis wszedł do mrocznego, pachnącego szarym mydłem wnętrza sklepu, gdzie na drewnianym zydelku siedział Charles Tucker. Pochylał się nad księgami rachunkowymi z miesięcznym wykazem wpływów i rozchodów, jego rękaw podtrzymywała w łokciu gumka.

Collis zdjął swój dzienny surdut z kołka i oznajmił: – Wychodzę na pół godziny.

Charles podniósł wzrok znad sterty papierzyków i spojrzał na Collisa z wyrzutem. Ale kiedy zobaczył, że Collis otrzepał już surdut i wyciągnął rękę po kapelusz, powiedział tylko „W porządku” głosem, w którym wyczuwało się rozdrażnienie, i wrócił do swoich podliczeń i rachunków nabitych na metalowe pręciki.

Sutter House, po drugiej stronie ulicy, był zarówno pensjonatem, jak i stołówką; słynął z bigosu z grzybami, który był jego specjalnością. Ów szacowny zakład należał do jednookiego, opasłego gościa – byłego kucharza w restauracji pociągu – o nazwisku Bilton.

Podobno jego drugie oko, jak przynajmniej sam utrzymywał, stopiło się, kiedy pieczony na rożnie prosiak w pośmiertnym odwiecie chlusnął mu w twarz gotującym tłuszczem. Bilton, nie grzesząc skromnością, zaklinał się, że potrafi przyrządzić każde danie, od mięsa wiewiórczego po koninę, wszystko, co mu się tylko nawinie pod rękę, tak że nawet najbardziej wybrednym smakoszem ślinka do gęby pocieknie na sam widok.

Collis przeszedł przez ulicę i pchnął dwuskrzydłowe drzwi.

Wewnątrz unosiła się woń tłustego mięsa i zapach świeżo parzonej kawy. Teodor Jones siedział w kącie przy jasnozielonej, drewnianej boazerii, z nogą założoną na nogę, mieszając łyżeczką piankę w filiżance czekolady.

– Ale ziąb, no nie, Mr Edmonds? – zagadnął Bilton. – Na co dziś mamy ochotę?

Collis, który nie jadł jeszcze śniadania, spojrzął na tablicę z jadłospisem za ladą i zamówił talerz serdelków i suszonych jabłek oraz pół kwarty czarnej kawy.

– Bez obrazy, ale jakoś mi pan nie pasuje do Sacramento – rzekł Teodor.

– Nie ma sprawy. Ale przecież pan też ze Wschodu, z Wybrzeża, prawda?

Teodor skinął głową.

– Wychowywałem się w Bridgeport, w Connecticut, prawdę mówiąc. Ale kiedy się jest inżynierem lądowym, nigdzie się długo miejsca nie zagrzewa.

– Ale chyba tu, w tych stronach i w dzisiejszych czasach nie tak łatwo o posadę dla inżyniera lądowego?

– Ma pan rację. Kiedy zamknięto kopalnie złota w Folsom, zarząd firmy Sacramento Valley wstrzymał budowę kolei. To bardzo krótkowzroczna decyzja, ale tu, w Kalifornii, krótkowzroczność jest na porządku dziennym. Tu ludzie nie rozumieją znaczenia budowy drogi żelaznej przez Sierra Nevada, a ci, co rozumieją, mają pietra i nie chcą się wychylać.

Collis podniósł solniczkę i przyjrzał się mikroskopijnemu, zniekształconemu odbiciu swojej własnej twarzy w lustrzanym wieczku.

– A pan? Naprawdę jest pan przekonany, że to możliwe? – zapytał Teodora.

Teodor skinął głową.

– Rzecz to nie tylko możliwa, ale i nie cierpiąca zwłoki, zarówno społecznie, jak i politycznie. Niech pan posłucha. Trzy lata temu Sekretarz do Spraw Wojny złożył w Kongresie raport, w którym zalecił, by przeprowadzić transkontynentalną kolej żelazną wzdłuż Szlaku Południowego. To oczywiście istne szaleństwo. Szlak Południowy biegnie przez takie pustkowia, że Kit Carson* powiada, iż wilki pozdychałyby z głodu. Mało tego, Szlak Południowy zahacza w dodatku o

granicę z Meksykiem i południowi politycy musieli opracować specjalny plan i zakupić od rządu meksykańskiego ziemię, żeby pozwolić na przebieg kolei. Ale im oczywiście taka własna droga żelazna jest absolutnie niezbędna. Cała przyszłość gospodarki Południa jest od niej uzależniona. I dlatego właśnie Jeff Davis, nasz prawny, bezstronny i sprawiedliwy Sekretarz do Spraw Wojny, który również – tak się jakoś dziwnie składa – ma wielki kapitał zainwestowany w plantacje w Missisipi, tak entuzjastycznie popiera ten projekt.

Collis oparł się o poręcz krzesła, kiedy Bilton stawiał przed nim czubaty talerz serdelków z suszonymi jabłkami, razowym chlebem, świeżutkim, śmietankowym masłem, a do tego emaliowany kubek aromatycznej czarnej kawy. Nadział serdelka na widelec, podczas gdy Teodor nie spuszczał z niego wzroku. Teodor robił wrażenie faceta, który może rozkoszować się widokiem jedzenia, a nawet czuć od czasu do czasu, że warto by coś przekąsić, ale którego apetyt podporządkowany jest zazwyczaj temu, co dzieje się w jego głowie.

– Da vis zarządził dokładne zbadanie Szlaku Południowego – ciągnął dalej Teodor. – Flora, fauna, klimat, surowce naturalne, co pan tylko chce. Zabierze to pewnie lata. Ale nawet jeśli zostawić politykę na boku, jeśli zignorować fakt, że południowa kolej umocni niewolnictwo i pozwoli gospodarce Południa przybliżyć się do Kalifornii, a co za tym idzie wyobcować Pomoc, Davis i tak jest w błędzie. W wielkim błędzie, proszę pana. Jestem inżynierem lądowym i geometrą, Mr Edmonds, i wiem, co nam trzeba. Zanim ukończyłem lat dwadzieścia osiem, miałem już na swoim koncie budowę kolei Niagara Gorge i przez lata pracowałem dla przedsiębiorstwa kolejowego Erie w Buffalo. Potrzebne jest nam centralne, bezpośrednie połączenie ze Wschodem, czyli linia kolejowa, której budowa byłaby względnie tania i która przechodziłaby przez Góry Skaliste i Sierra Nevada, tam gdzie można będzie znaleźć dostęp. Chodzi o to, żeby taka kolej była naprawdę przydatna, proszę pana.

Collis wytarł usta serwetką i łyknął gorącej kawy. Na brzegu jego talerza usiadła mucha, więc odpędził ją ruchem ręki. Zakołowała nad talerzem, odfrunęła, a potem wróciła z powrotem.

– Ale czy da się w ogóle znaleźć takie przejście przez Sierra Nevada?

Teodor Jones spuścił głowę i przyglądał się piance topniejącej w filiżance czekolady.

Potem znowu podniósł wzrok.

– Nie znalazłem jeszcze idealnego przejścia – przyznał z pokorą. – Jest oczywiście Przełęcz Donnera, dawna droga emigrancka, gdzie tylu nieszczęśników wymarło z głodu i wycieńczenia w czterdziestym szóstym roku, ale to dosyć strome zbocze. Ale mogą być i inne przejścia. Jestem pewien, że są jeszcze inne przejścia. Z tym, że trzeba by poświęcić na pomiary długie miesiące pracy, a niech mi pan uwierzy, warunki są bardzo ciężkie.

– Ale mówi pan tak, jakby był pan przekonany... – O, tak. Jestem głęboko przekonany, że wszystko da się zrobić. Wiem, że ludziska biorą mnie za wariata, fanatyka kolejowego i że przezywają mnie natrętem od kolei. Nawet moja żona uważa, że nikt sobie i tak nic nie robi z tego, co mówię, i że trwonię czas, energię i zdolności na próżno. Ale moim zdaniem ktoś się kiedyś do tego weźmie i dopnie swego.

Wiem to dobrze, tak jak wiem, że po świętach będziemy mieć rok 1859. Musimy więc robić swoje i nie przejmować się ludzkim gadaniem.

Collis odłożył widelec. Popatrzył przez stół na pełnego młodzieńczej werwy człowieka z równo przystrzyżoną bródką i wyrazem łagodności w szarych oczach i jego twarz rozpromieniła się w uśmiechu. Wreszcie usłyszał to, co chciał usłyszeć, i nie mógł ukryć swego zadowolenia.

– A teraz ja coś panu powiem – powiedział Collis trochę ochryple. – Pewnej nocy w Aspinwall, w Cieśninie Panamskiej, wyszedłem przed hotel i poszedłem rzucić okiem na lokomotywę, która stała na Front Street. Lało jak z cebra, a ta ciuchcia wyglądała jak jakiś wielki, błyszczący, rozświetlony potwór, który za jednym zamachem może rzucić człowieka w jakieś nieoczekiwane, szalone przygody i nieznanne, zagadkowe losy. Jest w tym coś z romantycznego mistycyzmu, nie zaprzeczam. Owszem, sam to rozumiem, że w moim zachwycie dla maszynierii kolejowej więcej jest romantyzmu niż praktycznej wiedzy, choć odkąd przyjechałem do Sacramento, staram się przyswoić sobie jak najwięcej czysto technicznych informacji o najnowszych modelach wagonów i lokomotyw. Ale kiedy myślę o przyszłości tego kraju, to raczej w kategoriach władzy i kapitału. Chciałbym, żeby ten cały naród, a w tym również ja sam, mógł kiedyś zebrać obfite żniwo z dobrze ulokowanych, mądrych inwestycji. Widzę wtedy oczami wyobraźni dwunastokołowe lokomotywy, ciągnące za sobą z mazołem nie kończące się sznury wagonów pasażerskich i towarowych, które wiją się w serpentynach na stokach Sierra Nevada. Nie ma w tym ani krzty romantyzmu, tylko zwykły, zdrowy rozsądek.

Teodor zwilżył wargi językiem.

– Ale nie stara się mnie pan czasem nabić w butelkę, Mr Edmonds?

– Ależ skądże! – zapewnił go Collis.

– Tak pan mówi?

– Gdzieżbym śmiał! Założyłem się, proszę pana, o tysiące dolarów, pewien, że znajdę przejście przez te góry, zrobię wszystkie niezbędne pomiary i założę przedsiębiorstwo budowy transkontynentalnej kolei żelaznej, a wszystko w nie więcej niż pięć lat. Co by na to powiedziała cała finansjera z San Francisco, gdybym ośmielił się nie wywiązać ze zobowiązań? Oskaltowałiby mnie, proszę pana, i to publicznie, dla przykładu. Ta mniej godna szacunku połowa bankierskiego światka nie omieszkałaby zalać mi sadła za skórę, i to z największą rozkoszą. Nie znam nikogo oprócz pana, kto byłby w stanie pomóc mi w realizacji mojego przedsięwzięcia, więc skąd panu w ogóle przyszło do głowy, że staram się nabić pana w butelkę?

Teodor zmarszczył brwi.

– Założył się pan, że wybuduje pan taką kolej, zanim się pan jeszcze upewnił, czy to w ogóle technicznie możliwe do zrobienia?

– Mhmmm.

Teodor westchnął głęboko.

– No cóż – zauważył nie bez zdziwienia. – Wiary to chyba panu rzeczywiście nie brakuje.

– Ani wiary, ani pewności. Odkąd tylko opuściłem Nowy Jork, mam takie głębokie przeświadczenie, taką pewność, że Bóg tworzy pewne prądy historyczne, które unoszą nas na swych falach. Nie jestem bardzo religijny, więc niech mnie pan nie pyta o szczegóły.

Niezbadane są wyroki niebios. Ale wiem, że modliłem się do Boga i że moje prośby zostały, do pewnego stopnia, wysłuchane. I wiem także, że kiedy postanowiłem, że muszę znaleźć w życiu jakiś godziwy cel, zdałem się na Opatrzność i Bóg tak mną pokierował, że czuję, iż stanę się... jakby tu powiedzieć... wykonawcą Jego woli.

Teodor wypił do końca czekoladę, przyglądając się Collisowi znad brzegu filiżanki.

Potem, ocierając wąsy, zapytał: – Więc mogę na pana Uczyć? Widział pan broszurkę, którą wydałem?

– Może pan na mnie liczyć. Ale broszurki jeszcze nie widziałem.

– O Boże! To wspaniale! – wykrzyknął Teodor podniecony. – O Boże! To się naprawdę nazywa uśmiech losu! Ma pan rację – sam dobry Bóg musiał mi tu pana zesłać.

Tylko tak to sobie mogę wytłumaczyć. Musi pan przyjść do nas na kolację, kiedy się już pan tutaj zdomowi. Annie się bardzo ucieszy. Nie będzie to żadne wystawne przyjęcie. Tak po prostu, coś na przekąskę, ale na pewno się pan nie obrazi, prawda?

– Mówiąc między nami, i naprawdę proszę to zachować tylko dla siebie – zwierzył się Collis – nie może być już nic gorszego niż brunszwicka polewka wedle recepty Mary Tucker. Wydaje mi się, że ten jej cały John gotuje na wosku i opiłkach żelaza, które wymiata ze sklepu.

– No cóż, my nie mamy żadnych Johnów. Annie zawsze sama gotuje. To wyjątkowa kobieta, wie pan? Musiała się ze mną przemieszczać dwadzieścia razy w ciągu ostatnich sześciu lat. Towarzyszyła mi od Nowego Jorku do Kalifornii, ani przez chwilę nie utyskując na własny los. A nie obeszło się bez wielu wyrzeczeń, nie mówiąc już o tym, że uszy jej puchną od mojego bezustannego gładzenia o transkontynentalnej kolei Pacific Railroad. Mimo to zawsze jest taka pogodna. Dopiero co wróciliśmy z Nevady, gdzie robiłem pomiary na kolejki górnicze w korytarzach kopami srebra. A ona od razu się tu zagospodarowała, w Sacramento, bez słowa skargi i tak ślicznie urządziła nasze mieszkanie. Mało tego – w dodatku to ona zajmuje się wychowaniem naszej córki, pomimo tych wszystkich kłopotów i przeciwności losu.

Collis nabił na widelec ostatni kawałek jabłka i włożył go sobie do ust.

– Chyba zdaje pan sobie sprawę z tego, że będziemy musieli pojechać do Waszyngtonu, jeżeli na serio mamy zamiar zabrać się do Tradowy tej kolei. Grunt to zdobyć poparcie Kongresu. Szczególnie, jeśli Jeff Davis tak energicznie zabiega o tę południową trasę.

– Wiem o tym – rzekł Teodor. – Miałem zamiar wybrać się na Wschód w lutym i zobaczyć, co się da zrobić, żeby wyrobić sobie chody w partii republikańskiej.

– Pojadę z panem – rzekł Collis. – Chyba będę sobie musiał wyostrzyć zębiska politycznie jak i komercyjne, więc nawet lepiej jak zacząć od zaraz.

– Oj wyostrzy je pan sobie, wyostrzy – uśmiechnął się Teodor. – I to nie tylko zębiska, ale i pazury. Najbardziej wpływowi ludzie w obu izbach parlamentu należą do kliku Davisa.

Tam idzie walka na noże, proszę pana. Centralna linia kolejowa poplątałaby im szyki. Te całe ich latyfundia ległyby odłogiem, a niewolnicza gospodarka zmarłaby śmiercią naturalną, niczym uschnięta winorośl.

– Poznałem już paru z tych kacyków – rzekł Collis. – Prestona Brooksa z Południowej Karoliny, Stephena Douglasa z Illinois. Douglas bywał u nas na przyjęciach w Nowym Jorku.

Znam też Alexandra Stephensa z Georgii.

– I proszę nie zapominać o Williamie Stridzie – wtrącił Teodor. – Tak się zaangażował w tę kolej przez Szlak Południowy, że niektórzy proponują, aby ochrzcić ją Stride Pacific.

– William Stride? – rzekł Collis z naciskiem, zamieniając się cały w słuch. Na moment stanął mu przed oczami hotel Astor Place w Nowym Jorku i jego własna osoba twarzą w twarz z mężczyzną o orlim nosie i bokobrodach, który ukrywał swoje oblicze w cieniu; z człowiekiem, który celowo zdradził i w końcu doprowadził również do śmierci jego ojca, Makepeace'a.

– Zna go pan? – zapytał Teodor.

Collis odwrócił głowę na bok i w otoczce dymu z cygar wyjrzał przez zakurzone okno.

– Tak – odparł głosem przyciszonym. – Tak, jeśli się nie mylę.

*

Charles miotał się z wściekłością, kiedy Collis wrócił do sklepu w godzinę później.

Skończył właśnie swoje poduczenia, posprzątał na półkach, a teraz przechadzał się po wyłożonej deskami podłodze sklepu z żelastwem, przyglądając od czasu do czasu sztywną stójkę kołnierzyka i planując wybuch oburzenia godny wszechmocnego pana i władcy.

– Aha – rzekł na widok Collisa, wsiąkawszy nos w chusteczkę. – Jesteś wreszcie.

– Jak widzisz – rzekł Collis, zdejmując z głowy kapelusz. Charles szarpnął nerwowo za swoje bokobrody.

– Nie muszę ci chyba mówić, że nie było cię przez ponad godzinę.

– Niemożliwe! Rozmawiałem z tym twoim natrętem od kolei, tym całym Teodorem Jonesem.

– A ty coś tak sobie nabił łeb tą przeklętą koleją? – warknął Charles.

Collis zdjął teraz surdut i powiesił go obok kapelusza.

– Sam nie wiem – odparł z przesadną uprzejmością. – Mógłbym równie dobrze zapytać: a ty coś tak sobie nabił łeb tym przeklętym żelastwem? Tymi sznurzyskami i iniektorami Hancocka?

Charles, rozeźlony, przechylił podejrzliwie głowę na bok.

– Może powinienem ci przypomnieć, że kiedy przybiłeś do portu na Broadwayu, nie miałeś w San Francisco ani jednej przyjaznej duszy. No, może oprócz Andy Hunta. I że bezmyślnie zostawiłeś na pastwę losu cały dobytek w jednym kufierku, tak że gdyby nie ja, byle obwieś byłby ci go sprzątnął sprzed samego nosa. Może powinienem ci przypomnieć, że to ja oprowadziłem cię po San Francisco, to dzięki mnie miałeś wolny wstęp do miejscowych lokali rozrywkowych i lunaparków i to ja przywiozłem cię do Sacramento i dałem ci zatrudnienie, jak również zakwaterowanie.

Collis podwinął rękawy.

– Zgoda. To wszystko prawda, Charles. Zrobiłeś to i jestem ci za to niezmiernie wdzięczny.

– Ale?

– A czy mówiłem, że jest jakieś „ale”? – zapytał Collis.

– Nie, ale wyczułem to w podtekście.

– No cóż – powiedział Collis. – Moja dozgonna wdzięczność jeszcze ci nie wystarcza, prawda?

– Nie. Jeśli chcesz wiedzieć, oczekuję również pracy w pełnym wymiarze godzin.

– Przestań, Charles. Zupełnie cię nie poznaję. Taki był z ciebie równy gość w San Francisco, taki zgrywus, zawsze gotów, żeby się zabawić, o każdej porze dnia i nocy.

Dziewuszki, alkohol, karty. I byliśmy na równej stopie, nie uważasz? Więc powiedz, skąd ta nagła zmiana?

Charles szarpał w zakłopotaniu krzaczaste bokobrody.

– Musisz zrozumieć, że tu mi nie wypada. Tu jestem szacownym obywatelem. Jednym z filarów całej społeczności.

– To już nie możesz być przy tym starym, dobrym kumplem?

– Nie w tym rzecz – rzekł Charles. – Zupełnie nie w tym rzecz. Tylko widzisz, Leland uważa, że powinieneś odsłużyć taki okres w terminie, żeby się wdrożyć do zawodu. I Mary też tak uważa.

– Mary uważa, że powinienem spędzać dni i noce na podliczaniu całych stosów gwoździ?

Charles odwrócił wzrok, zażenowany.

– Ona... hm... ona w pewnym sensie ma nawet rację. Nie można się tego zawodu wyuczyć w parę tygodni. Potrzeba na to lat.

– Czy to twoja opinia, czy też opinia Mary? A może Lelanda? I nie powiedziałeś mi jeszcze, co sądzi o tym Jane i jak ona pokierowałaby moim życiem.

– Wszyscy jesteśmy tego samego zdania – odparł Charles. Policzki mu płonęły z zakłopotania.

– Wobec tego wszyscy jesteście w błędzie – rzekł Collis. – A już szczególnie ty, bo miałeś okazję poznać mnie w San Francisco i od razu wiedziałeś dobrze, z kim masz do czynienia. Jak stawiam na coś, to wygrywam. Chcę się wybić i wzbogacić i nic mnie nie powstrzyma, żeby dopiąć swego. Takie mi wpojono przekonania, bo pochodzę z nowojorskiej arystokracji, Charles. My mamy to we krwi. I choć nie chciałbym się tu przed tobą wywyższać, lepiej będzie, jeśli to sobie wreszcie uświadomisz. I nie tylko ty, ale i ten twój wspólnik, i obie wasze wielce czcigodne małżonki.

Zakasał energicznie rękawy.

– Gdybyście mi dali szansę – ciągnął dalej – wyuczyłbym się tego fachu w parę tygodni. Wiem już nawet, do czego służy iniektor Hancocka. Do podnoszenia wody pod naciskiem pary. więc widzisz – tak sprawy stoją.

Charles złapał się oburącz za krawędź drewnianego kontuaru i nacisnął nań z całej siły, jakby robił codziennie ćwiczenia gimnastyczne.

– Nie wiem naprawdę, czego ci trzeba, Collis – powiedział rozdrażniony. – Nie wiem, czego ty w ogóle oczekujesz? Czego jeszcze możesz więcej oczekiwać?

Podniósł głowę i przejechał wzrokiem po rzędach beczulek z kitem uszczelniającym, chemiczną farbą do malowania stodół i politurą do powozów.

– To jest bardzo intratny biznes, Collis – kontynuował. – Ma przed sobą świetną przyszłość i doskonałe, solidne podstawy. Za dziesięć, dwadzieścia lat mógłbyś się stać bardzo zamożnym człowiekiem.

– Za dziesięć, dwadzieścia lat? Żarty chyba sobie ze mnie stroisz?

Charles wpatrywał się w niego zdumiony i zakłopotany.

– Mówię z własnego doświadczenia.

Collis podszedł bliżej do niego, a kiedy się odezwał głos jego brzmiał miękko i pojednawczo. Ale w słowach, które wypowiadał, była zarówno buńczuczność, jak i uszczypliwość nowojorskiego zawadiaki, choć obie te cechy zostały nieco przytemperowane bankructwem ojca, sytuacją z Hanna West i morderczą przeprawą przez Cieśninę Panamską.

– Charles – powiedział Collis, cedząc słowa. – Harowałeś w pocie czoła przez dwadzieścia lat, żeby do czegoś dojść, ponieważ jesteś kupcem z krwi i kości; należysz do klasy, dla której handel, to po prostu frajda. Orałeś jak wół, ponieważ nie masz sam o sobie zbyt wygórowanego mniemania, a ambicję uważasz za rzecz zbędną, ba! nawet niebezpieczną. Ale ty to nie ja, Charles. Różnimy się od siebie całkowicie. Owszem, podałeś mi rękę w ciężkich chwilach, nie zaprzeczam. No, ale i co z tego? Ja, mój drogi, należę do klasy uprzywilejowanych, urodziłem się po to, by obracać kapitałem, czy już go mam, czy jeszcze nie. A wobec tego mam również zdolności przywódcze. Podszlifuję je raz dwa, jak się patrzy, aż zabłyszczą w całej swej okazałości.

– O czym ty gadasz, do jasnej cholery? – przerwał mu wreszcie Charles.

Collis wsadził rękę do kieszeni i uśmiechnął się.

– Mówię o tym, Charles, przyjacielu, że jeśli nie zaczniesz mnie traktować jak współnika, a nie jakies wynies – przynieś – pozamiataj, to będziemy się musieli pożegnać. Jestem gotów ustąpić i pozostać tu u ciebie w terminie, ale jak dotąd, nie miałem okazji niczego się nauczyć. Ciągłe tylko odmierzam tasiemcowe długości lontu i odważam całe tony śrubek i pinezek; jeśli to się nie zmieni, obaj kiedyś tego pożałujemy.

Charles otarł twarz rękawem. Pociągnął nosem.

– Rozumiem, o co ci chodzi – powiedział. – Rozumiem twoją sytuację i chciałbym być w stanie jakoś ci pomóc.

– Chciałbyś być w stanie jakoś mi pomóc?

– No, wiesz, o co mi chodzi.

– Nie za bardzo – odparł Collis.

Charles już właśnie otworzył usta, żeby coś powiedzieć, gdy nagle mosiężny dzwonek nad drzwiami zaterkotał przeraźliwie i do sklepu wkroczył Leland McCormick w całym swoim majestacie. Minę miał jeszcze bardziej nadętą niż zazwyczaj, ponieważ właśnie sobie postanowił, że musi wyglądać na człowieka, którego niełatwo zadowolić i który głowę ma wiecznie zaprzątniętą sprawami handlu żelastwem o doniosłym znaczeniu. Stał na środku sklepu w ciemnoszarym fraku i czarnym, wysokim cylindrze i rozejrzał się wokół z największą, nie ukrywaną pogardą.

– Brakuje nam pasów transmisyjnych. To po prostu skandal! – powiedział bez przywitania. – Albo to, albo inwentaryzacja Mr Edmondsa nie była tak skrupulatna, jakbyśmy sobie wszyscy mogli tego życzyć.

Collis uśmiechnął się szyderczo i prowokująco. Ale Charles pospieszył z wyjaśnieniem: – Celowo nie sprowadzam nadwyżek. Mieliśmy zbyt wiele zażaleń. Polecam teraz przegubowe pasy transmisyjne. – Przynajmniej rozciągają się w krytycznym momencie, a nie pękają.

Collis wyjął cygaro z kieszeni surduta, który wisiał na kółku, a następnie pochylił się nad kontuarem, rozglądając się za pudełkiem zapalek. Potem powiedział stanowczo: – Moja inwentaryzacja była skrupulatna aż do przesady, Mr McCormick. Ale to, zdaje się, nie ma tu już najmniejszego znaczenia.

Leland odwrócił się w jego stronę, ale odczekał z odpowiedzią. Kiedy coś było mu nie w smak albo kiedy ktoś działał mu na nerwy, wybałuszał jedno oko, a drugie przymykał gniewnie dla wyrażenia najwyższej dezaprobaty.

– A czemuż niby ma to nie mieć tu już najmniejszego znaczenia, Mr Edmonds? – zapytał ostrożnie, starając się wy badać grunt.

, – Ponieważ, Mr McCormick, był to ostatni remanent, jaki dla panów sporządziłem.

– Ach, tak. Więc chce pan nas opuścić?

– Niekoniecznie. Ale będę do tego zmuszony, jeżeli nie osiągniemy jakiegoś kompromisu co do mojej roli tutaj, w tym sklepie.

Przez jakiś czas Leland nie spuszczał wzroku z Collisa. Wreszcie odkasznął głośno, donośnie i spojrzął w inną stronę. Potem wziął się pod boki.

– Marnuję się tutaj – dorzucił Collis. – Wielka mi filozofia, taki remanent! Każdy głupi to potrafi, żeby tylko umiał zliczyć do tysiąca. Mój potencjał umysłowy, jak również moje wrodzone zdolności nie są tu w żadnym stopniu wykorzystywane. Powiem więcej: są one kompletnie zaprzepaszczone. Być może celowo.

Leland zanurzył ręce w otwartej skrzyni gwoździków, wodząc po nich dłonią, jakby to były małe, srebrne rybki.

– Aha. Wyraźnie przemawia przez pana to typowo wschodnie poczucie własnej wartości – rzekł, nie przerywając tej zabawy. – Nigdy nie mogłem się nadziwić, skąd się to u was bierze. Kiedy pan wreszcie zrozumie, że tutaj, w Kalifornii, jak cię widzą, tak cię piszą?

Ludzkiego szacunku nie zdobywa się pozycją tatusia ani tak zwanym dobrym urodzeniem, ale ciężką, mozolną pracą.

– Tere – fere! Co mi pan tu będziesz wciskał takie brednie! W bajeczki dla grzecznych dzieci mam wierzyć, czy jak? – powiedział Collis jowialnie. – Wy, na Zachodzie, wyczuleni jesteście na podziały klasowe bardziej niż cały Wschód razem wzięty. I to bez porównania. Niech mi pan tutaj nie wpiera, że traktuje pan Mr Biltona z Sutter House, z naprzeciwnika, jak równego sobie i tej pańskiej uroczej małżonce, chociaż robota mu się w rękach pali i już nie raz udowodnił, że jest człowiekiem uczciwym i wartościowym.

– Czysta demagogia – warknął Leland, wypuszczając do skrzyni przez palce ostatni gwóźdź. – I proszę mi tu nie palić. Za dużo tu prochu i lontu. Jeszcze nas wysadzi w powietrze i wylecimy wszyscy razem prościutko do czyśca. Nie będzie nawet czasu na zmówienie choćby jednej zdrowaśki.

Collis zapalił cygaro, zaciągnął się nim głęboko i cisnął wypaloną zapałkę na podłogę.

– A będzie to pierwsza rzecz, którą zrobimy rzeczywiście razem. Jak na razie widzę dobrze, że robi pan wszystko, abym nie mógł wybić się ponad pozycję chłopaka na posyłki i specjalisty od przekładania rupieci z szufladki do szufladki.

Mięśnie na policzkach Lelanda zadrgały nerwowo.

– Pożera pana ambicja – powiedział. – W tym cała bieda.

– Ambicja? Ma się rozumieć! Ale nie byłoby w tym żadnej biedy, gdyby pan tylko pozwolił rozwinąć mi skrzydła. Przeciwnie, zobaczyłby pan, że dobrze by pan na tym wyszedł. Zamiast tłamsić moje aspiracje, dlaczego nie stara się ich pan wykorzystać dla własnego dobra? Ja bym tak zrobił na pana miejscu. Gdybym był na pana miejscu, wykorzystałbym każdą uncję mojej ambicji i każdy najdrobniejszy przejaw zapału na pożytek firmy Tucker i McCormick, a już szczególnie na pożytek McCormicków.

Leland stał w milczeniu. Collis chodził wokół kontuaru, a z jego twarzy nie znikał uśmiech. Poza jego plecami, na ponurej ścianie, obok kondygnacji drewnianych regałów, wisiał kalendarz na rok 1857 z całkiem przyzwoitą reprodukcją litografii uwieczniającej pożar San Francisco z 3 maja 1851 roku i ukazującej uciekinierów, którzy wdrapują się w panice na Telegraph Hill, niczym rzędy maciupeńkich robaczków świętojańskich.

– Jane uważa... – odezwał się Leland.

– Właśnie o to chodzi – przerwał mu Collis. – Te dwa babsztyłe, Jane i Mary, kręcą wami i tą waszą firmą, a wy obaj tańczycie, jak wam zagrają, jak te marionetki w teatryku kukielkowym.

– Nonsens! Głupie gadanie! – bronił się Leland.

– Doprawdy? – postawił się Collis. – Niech więc pan zapyta Charlesa, co on sam myśli na temat mojego udziału w zarządzaniu firmą. Nie o to, co – w jego przekonaniu – myśli o tym Mary albo pan, Mr McCormick, ale jaki jest na to jego osobisty pogląd.

Leland świdrował swojego współnika wzrokiem.

– Charles? – zwrócił się do niego z zapytaniem. Charles przełknął ślinę. Wyglądał jak chodzące nieszczęście.

– Uważam, że Collis ma rację, Leland. No, przynajmniej częściowo. Owszem, na początek trzeba go było zaangażować do najprostszych prac, żeby się przekonać, czy będzie w stanie rozróżnić jeden koniec gwoźdźcia od drugiego. Ale z niego twarda sztuka, proszę ja ciebie. Jak się zawezmie, to nie ustąpi. Dokładnie tak, jak i ja. A przy tym jest równie przeczulony na punkcie swojej klasowej przynależności, jak i ty. Jeśli nie pozwolimy mu wysunąć się na czoło, no cóż, myślę, że będziemy ciągnąć za uzdę dobrego konia, bo niemiły nam widok, jak jego zadek wyprzedza nas o dobrą milę.

Leland napuszył się jeszcze bardziej, a potem rzekł bardzo oględnie: – Jane martwi się, że zastąpi pan dobry materiał tandetą. A nam nie chodzi o zewnętrzny blichtr. Solidność to nasz znak firmowy. Jane ma wątpliwości, czy można na panu naprawdę polegać. I czy nie brakuje panu czasami tej wytrwałości, na której opiera się handel sprzętem gospodarskim i której wymaga się od kierownictwa sklepu.

– Innymi słowy, fakt, że mój umysł nie został jeszcze dostatecznie przytępiony, mąci jej spokój i spędza sen z powiek.

– Słucham?

– No, mogłoby się przecież jeszcze okazać – Boże broń! – że zabłysnę bardziej niż jej małżonek. A w takim przypadku jej wpływy w biznesie zostałyby poważnie ograniczone, prawda? I do czego by to wszystko było podobne?

– Opacznie zrozumiał pan moje słowa. Moja żona nic takiego nie miała na myśli.

– Możliwe – rzekł Collis. – Ale to niestety nic nie zmienia. Albo dogadamy się jakoś w sprawie mojego współudziału w interesie, albo składam wymówienie. Nie mam nic poza tym do dodania.

Leland popatrzył na Charlesa, ale ten wzruszył tylko niechętnie ramionami.

– No dobrze – rzekł Leland, cedząc słowa. – Proszę nam dać czas do rozpatrzenia i przedyskutowania pańskiej propozycji. Nie żądam chyba zbyt wiele?

Collis kiwnął głową na znak przyzwolenia. Sam nie rozumiał dlaczego, ale zaczynał naprawdę lubić tego Lelanda. Oczywiście, nudziarz z niego i zarozumialec jakich mało, ale czyż nie musiał szczyć się jakimiś przymiotami umysłu, skoro żyjąc u boku takiej sekutnicy jak ta jego cała Jane, potrafił jeszcze gadać całkiem do rzeczy? Collis był przekonany, że taka wiedźma już dawno by mu zrobiła wodę z mózgowicy.

Rozmyślając o zameźnych białogłowach, przypomniał sobie nagle małżonkę Waltera Westa i obaj – Charles i Leland – nie mogli się nadziwić, jak wyraz jego twarzy zmącił się znieacka, niczym woda, którą z ukosa razi wiatr. Zniknęło gdzieś rozbawienie, a zastąpił je nieutulony smutek.

*

– Proszę do środka – rzekła Jane McCormick.

Uchylił drzwi trochę szerzej i oto ukazała mu się w całej krasie: siedziała na kozetce, z ilością wdzięku nie większą niż główka czosnku i cerą w takim samym poszarzałym kolorze.

Wlepiła w niego wylupiające oczy. Miała na sobie suknię z żółtej satyny, upstrzoną lamówkami i kokardeczkami, podpiętą pod szyję ozdobną kameą. Pasowała na ten mglisty, październikowy poranek jak pięść do nosa. Obżarty jamnik spał w kącie pokoju, wydzielając raz po raz bardzo nieprzyjemne wonie. Za to sama Mrs Jane McCormick skropiona była od stóp do głów lawendą.

– To ładnie z pana strony, że zechciał się pan pofatygować tu do mnie na górę – powiedziała. – Zechce pan usiąść?

Collis usiadł w dużym, wygodnym fotelu, ale zauważył, że słońce świeciło mu tam prosto w oczy, więc przeniósł się na mniejsze krzeselko, obok kozetki. Było to również posunięcie strategiczne, bo teraz, ilekroć Jane McCormick chciała spojrzeć w jego stronę, tylekroć musiała dokonywać głową bardzo, niezręcznego półobrotu. Uśmiechnął się do niej przymilnie, choć, Bóg mu świadkiem, sam nie wiedział, po jaką cholere. Mógłby równie dobrze uśmiechać się tak do morsa – i miałby z tego tyle samo uciechy.

– Napije się pan kawy? – zapytała.

Collis skinął głową.

– Miałbym również ochotę na jedno z tych ciasteczek z pomarańczą, jeśli można prosić.

– Oczywiście. Spraw mi pan tym ogromną przyjemność. No i gdzie się podziała ta nieznośna dziewczyna?

Collis rozpiął swój poranny surdut i rozluźnił się trochę psychicznie. Milczał jednak, dopóki pokojówka nie zniknęła na dobre w czeluściach kuchni, a potem wypalił bez wstępnych

formalności: – Co za prześliczna suknia. Nie widziałem tak prześlicznej sukni, odkąd opuściłem Nowy Jork.

Zmieszana Jane zamruwała powiekami.

– O... – zdołała tylko wymamrotać. Jej ręka powędrowała ku broszce przy szyi. – O, bardzo panu dziękuję za ten miły komplement.

– To nie żaden komplement, Mrs McCormick, tylko święta prawda. A to są dwie zupełnie różne rzeczy.

Jej policzki zaróżowiły się na chwilę, jak policzki chińskiej lalki z czerwonymi plackami rumieńców, ale chwilę później znowu zbladły. Wzięła się w garść, wyprostowała plecy i przegięła szyję, pochylając się lekko w lewą stronę, garbiąc się w ramionach, gotowa na rozpoczęcie przemowy.

– Wczoraj wieczorem Mary i Charles byli tu u nas na kolacji – powiedziała. – Przy przystawkach rozpatrywaliśmy w najdrobniejszych szczegółach pańską propozycję.

– Rozumiem – rzekł Collis.

Nie można było nic wyczytać z jego twarzy, co wprawiło ją w ogromne zakłopotanie.

Przyglądała fałdy spódnicy. Jej dłonie były szerokie i kanciaste.

– Spada na mnie obowiązek przekazania panu naszej decyzji, ponieważ Leland wyjechał dziś do Auburn – ciągnęła, skonfundowana. – Ale oprócz tego stało się też tak dlatego, że mam drugi co do wielkości, po Lelandzie, udział w naszej spółce i kiedy Leland pewnego dnia opuści nas, by połączyć się ze swoim Stwórcą, zarządzanie tą firmą spadnie na moje barki. Więc pojmuję pan, że to, co się dzieje w tym przedsiębiorstwie, jest dla mnie ogromnie istotne. W grę wchodzi tu mój przyszły dobrobyt. Muszę więc mieć na względzie, by kierownictwo firmy podejmowało roztropne, przemyślane decyzje i nie roztrwaniało naszego dorobku na lekkomyślne widzimisię.

– Ma mnie pani za lekkoducha? – zapytał Collis. Podniosła wzrok, pokrywszy się rumieńcem.

– No... no nie. Naprawdę nie. Nie w tym rzecz.

– Nie gniewam się – odparł Collis. – W końcu pani sama też ma w sobie coś z płoczej, niewinnej trzpiotki. To mnie właśnie u pani tak pociąga.

Dotknęła dłonią broszki, twarzy i przylizanych, bezbarwnych, mysich włosów.

– Z płoczej, niewinnej trzpiotki? Ja? Proszę się nie silić na pochlebstwa. Zawsze stapałam twardo po ziemi.

– Pani delikatna powierzchowność panią zdradza. Niemożliwe, żeby nie kryło się pod nią wrażliwe, romantyczne serce. Nawet jeśli będzie pani zaprzeczać, to i tak nie uwierzę.

– Ja... doprawdy, Mr Edmonds. Proszę już tak nie mówić.

– A czy może być w tym coś złego, kiedy się mówi od serca? Odetchnęła tak ciężko, jakby nie mogła złapać tchu.

– Mr Edmonds. Wie pan dobrze, że jestem kobietą zamężną. Niezależnie od tego, co dzieje się w pańskiej duszy, proszę sobie nie wyobrażać, że skoro tylko znaleźliśmy się sam na sam, może pan wyrzucić zasady dobrego wychowania przez okno.

Collis miał ochotę wyrzucić za okno jamnika. Nazywał się Urqhart, bo Jane lubiła szczycić się swoim szkockim pochodzeniem. Ale zachował zimną krew i odwrócił się do niej profilem, spuszczać rzęsy i nadając swej twarzy wyraz bólu i cierpienia. Delfina mawiała, że wygląda w takich chwilach „jak zбитy piesek”.

– Proszę nie sądzić, że pańskie uczucia nie wzruszają mnie do głębi, Mr Edmonds – Jane pospieszyła z wyjaśnieniem. – Widzę, że są szczere, i wiem, że nie ma w nich nic uwłaczającego kobiecej godności. Tyle tylko, że nie wolno mi przyjmować żadnych komplementów oprócz tych, które płyną z dobrego wychowania.

Collis podniósł głowę. Grał tak dobrze, że nie zdziwiłby się wcale, gdyby udało mu się nawet wycisnąć parę łez. Jane McCormick przyglądała mu się przez chwilę; na jej twarzy malowało się współczucie, melancholia, ale również i podniecenie. Potem uniosła ku niemu dłoń, nieśmiało, jakby dawała z brzegu znaki żeglarzom, hen, na otwartym morzu, niepewna, czy je dostrzegli, czy też nie.

– Nie będzie pani o mnie źle myśleć, Mrs McCormick, prawda? – zapytał Collis ochryple.

Jane była wyraźnie poruszona. Skubała skórki przy paznokciach, a potem odwróciła się i patrzyła przez okno w nie ukrywanej rozterce.

– Prawdę mówiąc – powiedziała – doszliśmy do wniosku, że lepiej będzie odłożyć decyzję o pańskim współpartnerstwie na jakiś czas.

– Odłożyć? Na jak długo?

– Nie wiem, Mr Edmonds. Sama już nie wiem, co o tym myśleć. To wszystko takie skomplikowane. W końcu to tylko Leland tak sugerował. Mówił, że może lepiej będzie dla pana, jeśli pobędzie pan tu jeszcze przez jakiś czas w Sacramento, zanim się pan zdecyduje na przystąpienie do spółki.

– Ach tak, rozumiem. A pani? Co pani na to?

– Ja... Sądziłam, że ma rację.

Collis wstał i stanął po przeciwnej stronie pokoju. Rozsunął koronkową firanę i popatrzył na zachód, na zarysy gór Sierra Nevada. Nie był pewien, czy owe białe kształty rozplywające się w lśniącej, pierzastej mgle, to góry, czy też może tylko chmury. Zresztą, co za różnica.

Wyglądały upiornie, ale nęciły swoją niesamowitą urodą i Collis słyszał ich zew. Tam, hen, wysoko w górach, kryły się tajemne przejścia, przez które emigranci przedzierali się z całym swoim dobytkiem na zaprzężonych w muły furmankach. Tam, wysoko, znajdował się wydeptany,

zaśnieżony trakt, przez który kiedyś przeprowadzi się kolej ku Wschodowi, a jego dzisiejsze wysiłki ukoronowane zostaną zarówno chwalebna sławą, jak i okazałym majątkiem.

Jane McCormick czekała na jego odpowiedź, ale ponieważ się nie odzywał, rzekła potulnie: – Naprawdę tak panu zależy na tym współdziale? Nie wygląda pan na człowieka, który resztę życia ma zamiar spędzić na handlu sprzętem gospodarskim.

Collis, dalej wpatrywał się w szczyty Sierra Nevada.

– Wycierpiałem już w życiu bardzo wiele, Mrs McCormick – powiedział wreszcie. – Jeżeli pisane mi jest w ogóle jeszcze trochę szczęścia, to czemu nie w handlu sprzętem gospodarskim właśnie? Gwoździe, lonty i pasy transmisyjne mają pewien swoisty, nieokreślony urok, nie sądzi pani?

Jane McCormick ściągnęła brwi nie przekonana. Collis opuścił znowu firankę. Potem podszedł do kozetki i przyklęknął na chodniku obok Jane, składając razem ręce, jakby miał zamiar się modlić lub może oświadczyć.

– Zależało mi na tym współdziale, Mrs McCormick, ponieważ sądziłem, że pozwoliłoby mi to przebywać blisko pani. Z dystansem, ale jednak w pobliżu – powiedział. – Ale teraz, kiedy już pani wie, co czuję, kiedy już pani wie, jakim darzę panią uwielbieniem i szacunkiem, sam dobrze rozumiem, że to absolutnie niemożliwe. Nie mogę tu zostać. Nie byłbym w porządku wobec pani. Jakże bym śmiał skazywać panią na codzienne obcowanie ze mną, prywatnie i służbowo, na wspólne posiłki... skoro teraz już pani wie, jak bardzo... – Collis... Mr Edmonds... Proszę... proszę tak nie mówić. Jestem pewna, że znajdzie się jakieś wyjście. Jestem pewna, że dla pana dobra i dla dobra firmy Tucker i McCormick będę w stanie zachować hart ducha i samozaparcie. Nie musi pan wcale wyjeżdżać.

Collis nie mógł wprost uwierzyć własnym uszom.

– Pomówię z Lelandem – wyrzuciła z siebie szybko, bojąc się, że ta zaczarowana chwila zaraz się ulotni i Collis zmieni zdanie. – Powiem mu, że powinien się pan do nas dołączyć zaraz. Nawet od jutra, o ile zdążymy przygotować wszystkie dokumenty.

Collis powstał z klęczek. W drzwiach pojawiła się pokojówka. Niosła kawę na czarnej, lakierowanej tekturowej tacy i postawiła ją na malutkim trójkątnym stoliczku, który stał obok kozetki. Spojrzała na Mrs McCormick, potem na Collisa, zrobiła głupią minę, obróciła się na pięcie i wyszła. Z pomalowanego w różyczki imbryka z Limoges unosił się ku górze aromatyczny zapach parzonej brazylijskiej kawy. Były również pomarańcze i ciasteczka na maleńkim talerzyczku.

– Ale chyba będę musiał zainwestować w to trochę własnych pieniędzy? – spytał Collis.

– Nie mam w tej chwili przy sobie zbyt dużo gotówki.

– Ale przecież już niedługo powinien pan mieć jakieś zyski z tych koców, prawda? Mogę panu pożyczyć potrzebną kwotę do Nowego Roku. Może nawet Leland mógłby to tak zorganizować, żeby akcje zostały przekazane panu na kredyt.

Collis wziął z talerzyka ciasteczko i nadgryzł je jednym zębem.

– Hmm... – powiedział, ociągając się jeszcze.

– Niech pan wyrazi na to zgodę, naprawdę bardzo proszę.

Wyciągnął ku niej rękę. Ścisnęła ją w swych dłoniach i spojrzała na niego błagalnie.

– No dobrze – powiedział. – Jeśli jest pani zupełnie pewna, że nie będę zakałą w pani życiu.

Jane poczuła się tak uszczęśliwiona, że aż klasnęła w dłonie niczym pensjonarka. Potem, pociągając nosem z podniecenia, rozlała kawę Usiedzieli teraz obok siebie na kozetce, popijając mokkę i chrupiąc pyszne ciasteczka, spoglądając na siebie raz po raz błyszczącymi ze wzruszenia oczami, jakby znali jakąś wspólną tajemnicę, o której nikt inny nie powinien się dowiedzieć.

Później Collis zamknął się w komórce na zapleczu sklepu, zaryglował drzwi i wyjął z szafki z ćwiekami do podłogi nie dopita butelkę burbona. Nalał sobie porządnie, na trzy czy cztery palce, do emaliowanego kubka i pił wielkimi łykami, szybko i w napięciu, jak ktoś, kto właśnie spieszy się na pociąg. Wiedział już teraz, że oto zaczyna się w jego życiu nowy, nieodgadniony, pełen nieprzewidywanych zdarzeń okres. Przerazało go to. Onieśmielało. Bał się własnego ja.

*

Tego wieczora, kiedy Leland powrócił z Auburn w przybrudzonej surducie i zakurczonym kapeluszu, zatrzymał się przy werandzie sklepu obok skwierczącej lampy, gdzie miały się ćmy, trzepocząc skrzydłami i długo przyglądał się Collisowi, który odpoczywał w plecionym trzcinowym bujaku, z kieliszkiem whisky z wodą sodową w rękę i egzemplarzem „Złotego Wieku” na kolanach. Niedaleko, w mroku, siedział Wang–Pu, który również dopiero co powrócił z podróży do Placerville, a teraz pykał z małej chińskiej, alabastrowej fajeczki.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Leland.

Collis złożył magazyn i spokojnie odparł: – Siódma piętnaście. Zamknęliśmy sklep kwadrans temu.

Leland zdjął z głowy kapelusz i otrzepał go o słupek przy werandzie. Collis znowu pociągnął łyk burbona, nie przerywając czytania. Wang–Pu również siedział w milczeniu.

– Rozmawiał pan z Mrs McCormick? – zapytał Leland.

– Mhmm – odparł Collis, nie podnosząc oczu znad gazety.

– No i co?

– No i nic. Rozmawialiśmy i tyle. Mrs McCormick powiedziała mi, jakie są wasze odczucia w tej sprawie.

– Więc już pan wie, że postanowiliśmy odłożyć na razie decyzję w sprawie współpartnerstwa?

– Tak.

– I co? Czy ta decyzja pana zadowala?

– Zadowala mnie jedna rzecz, Mr McCormick. A to, że pańska szanowna małżonka postanowiła już dłużej nie zwlekać i dopuścić mnie do waszej spółki od ręki.

Zapadło grobowe milczenie. Tylko ómy terkotały nieprzerwanie, a lampa naftowa skwierczała dalej obok nich. Leland podniósł głowę i popatrzył w górę, jakby przez sufit werandy usiłował dojrzeć, co się dzieje na piętrze, w salonie Mrs McCormick. Jakby spodziewał się, że poprzez sprężyny i jaśki na kozetce przebije się do mózgu swojej żony, by spenetrować jej sposób myślenia. Potem, bez jednego słowa, skierował się ku drzwiom wejściowym, otworzył je jednym z pobrzękujących na łańcuchu kluczy i zniknął we wnętrzu sklepu.

Wang–Pu pykał obojętnie z fajeczki. Siedzieli obaj z Collisem w ciszy, gdy drzwi na górze otworzyły się, a potem zamknęły z łomotem, i słychać było podniesione, zdenerwowane głosy. Słyszeli, jak Leland wrzeszczał: – Oszalałaś, kobieto!? Czyś ty zupełnie rozum postradała? A potem piskliwy głos Jane: – Cały szkopuł w tym, że nie potrafisz odróżnić utalentowanego człowieka od zapchlonego kundla.

Ale w końcu okno salonu zamknęło się z trzaskiem i mogli już tylko usłyszeć ciężkie stąpanie po podłodze nad ich głowami, skrzywienie butów i strzępy rozmowy.

– Tak to już jest, że po wielkiej ciszy przychodzi wielka burza – rzekł Wang–Pu filozoficznie, uśmiechając się sam do siebie zagadkowo.

*

Teodor Jones mieszkał w małym kwadratowym domku na peryferiach miasta, od południa, na R Street, niedaleko torów linii kolejowej Sacramento Valley, które wiodły aż do Folsom.

Uliczka wysadzona była rachitycznymi drzewkami i krzaczkami. Collis, ku wielkiemu oburzeniu Lelanda, pożyczył od Mrs McCormick na tę okazję maleńką bryczkę i powoził wzdłuż brzegu rzeki, wypoczęty i pełen animuszu. Cieszył się już na samą myśl o smacznej kolacji.

Był to drugi dzień listopada. W zachodzącym słońcu niebo przybrało delikatny kolor dojrzałej kukurydzy, a rzeka Sacramento, wijąca się w serpentynach na południe przez niziny i błotniste zagony regionu Solano, miała ten sam odcień, tylko posrebrzany. Parowce turbinowe przycumowane na Front Street kołysały się, jasno oświetlone ze wszystkich stron, a ich czarne, smoliste kominy i maszty odcinały się od reszty otoczenia. Naprzeciwko, na zachodnim brzegu rzeki, ktoś grał na akordeonie, wyśpiewując kolejarski przebój „Z drogi!” Dał zimny, południowo – zachodni wiatr.

Jadąc tak klusem w szpalerze cienistych drzew, które okalały rzekę, Collis usłyszał wysoki, przeciągły świst lokomotywy, a kiedy skierował się w stronę stacji kolejowej, przy ulicy, gdzie mieszkał Teodor Jones, ujrzał ogromną, brunatnobrazową ciuchcę, typ 4–4–0, z kominem w kształcie dzwonu, która cofała się wzdłuż gościńca, pchając z sześć czy siedem wagonów towarowych, a także ozdobny, zielony wagon osobowy dla załogi. Lokomotywa zadzwęczała dzwonkiem i w kłębach czarnego dymu, w kaskadach iskier, które fruwały wokół niczym robaczki świętojańskie, sunęła majestatycznie po torach, które skręcały ku prywatnym magazynom aspinwallowskim.

Collis ściągnął lejce i jechał teraz stępą, przyglądając się z zafascynowaniem jak błyszczący pociąg znika na bocznicę w kłębach pełzającej wokół zderzaka pary, zgrzytając kołami po stalowych torach.

W dwie czy trzy minuty później był już pod domem Jonesów. W oknie od frontu paliło się łagodne światło i gdy wjechał bryczką na podwórze i przywiązał konia do drzewa, zobaczył, że zasłony się nieco uchylały i że Teodor Jones wygląda przez okno. Przeszedł po wyłożonej deskami werandzie do frontowych drzwi i zapukał.

Czekał przez moment, wsłuchując się w daleki łoskot lokomotywy i delikatny szum wiatru w koronach drzew. Poczł zapach płacuszków z dyni.

Teodor Jones otworzył drzwi i uściśnął mu serdecznie dłoń.

– Proszę, proszę, wejdz. Nie mogłem się już doczekać na to spotkanie. Daj mi tu swój kapelusz.

Collis wszedł do środka. Znalazł się w maleńkim przedsionku, gdzie wisały surduty, kapelusze oraz popsuty barometr. Potem były jeszcze drzwi, a za nimi niemalże kwadratowy salonik, gdzie na kominku buchał wesoło ogień, by odpędzić wieczorny ziąb. W saloniku stały solidne, dębowe, ciosane meble, często spotykane w czynszowych mieszkaniach w tamtych czasach. Ściany wyłożone były żółtym papierem ściennym w różyczki i obwieszone obrazkami świętych, w niewyszukanych, klonowych ramkach. W jednym rogu, naprzeciwko drzwi wejściowych, zarzucone mapami i otwartymi książkami, stało biurko z żaluzjowym zamknięciem, a na nim kałamarz z atramentem i paląca się jasno lampa naftowa. Na podłodze walało się z dziesięć czy dwadzieścia egzemplarzy „Amerykańskiego Magazynu Kolejowego” z pozaginаныmi rogami.

Zaskrzybiały drzwi od kuchni i do pokoju weszła młoda kobieta z twarzą zaczerwienioną od buchającego z pieca żaru. Widać było, że dopiero przed chwilą zdjęła z siebie kuchenny fartuszek. Była niewysoka, miała najwyżej pięć stóp i cal, ale twarz miała ładną, owalną i delikatną, z kasztanoworudymi włosami, które upinała w kok w tyle głowy. Robiła wrażenie osoby praktycznej i bezpośredniej, takiej, co to nie da sobie w kaszę dmuchać tylko dlatego, że twarz ma piegowatą, a ręce całkiem brązowe. Jedynie kobieta, która pomagała swemu mężowi w pracy, mogła być tak osmagana słońcem. Collisowi, przyzwyczajonemu do kobiet, które chroniły się przed słońcem i oceniały woalkami i parasolkami, przypadła do gustu ta nacętkowana, filigranowa dziewczuszka. A gdy się skłonił, by wziąć jej dłoń w swoje ręce do pocałunku, całkiem przypadkowo spojrzął na biały krążek, który został na serdecznym palcu po obrączce, gdy ją zdjęła do gotowania.

– Annie, to jest właśnie Collis Edmonds – rzekł Teodor, wkładając kciuki za tweedową kamizelkę i opierając się o framugę kominka. – A to, Collis, moja droga żoneczka Annie.

– Cieszę się, że mogę panią poznać. Prawdziwy to dla mnie zaszczyt.

Annie usiadła na jednym z ponurych foteli i rozprostowała fałdy spódniczki. Miała na sobie ciemnobrązową suknię obszytą białą koronką, prostą, ale nietuzinkową, i siadając naprzeciwko, Collis zauważył, że taka też właśnie była sama Annie. Prosta, ale nietuzinkowa.

Nie używała kosmetyków ani perfum, a paznokcie miała krótko obcięte i nie polakierowane.

Jedyną biżuterią, jaką dostrzegł, był maleńki, złoty medalionik na złotym łańcuszku, który, jak się Collis domyślał, zawierał pewnie podobiznę Teodora i ich córki Kate.

– Słyszałam dużo o panu od moich znajomych ze sklepu spożywczego – rzekła Annie z uśmiechem, który był grzeczny, ale dziwnie pozbawiony ciepła. – Mówili, że pobił pan Lelanda McCormicka jego własną bronią, nie tracąc przy tym jego zaufania. Collis założył nogę na nogę.

– O, nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Wie pani, jak to się plotki roznoszą. Od samego początku, od mojego przyjazdu do Sacramento, jesteśmy z Lelandem na bardzo przyjacielskiej stopie.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Annie – wtrącił Teodor. – Nie powinnaś tak mówić.

– Przepraszam – rzekła Annie, choć w jej głosie nie czuć było wcale skruchy. – Mam tę okropną przywarę, że zawsze mówię to, co myślę, czy to się komu podoba, czy nie.

– To, że podejrzewa pani nieszczerść w moich stosunkach z Lelandem, nie rani wcale moich uczuć – odrzekł Collis. – Prawdę mówiąc, uważam, że to stary, głupi cymbał. Ale Sacramento to mała miejscina, a ja tu jestem sklepikarzem i muszę zachowywać się zgodnie z ogólnie przyjętymi zasadami.

– Albo się pan bawi ze mną w ciuciubabkę, albo z pana cynik jakich mało – rzekła Annie.

– Rzeczywiście, w pani interpretacji tak to może wyglądać – rzekł Collis. – Ale zapewniam panią, że żadne z tych określeń tutaj nie pasuje. Prawdę mówiąc, uważam oba za bardzo krzywdzące. Staram się zrobić majątek i wobec tego muszę dbać raczej o własne interesy niż o interesy innych. Ale nie jestem cynikiem, a już zdecydowanie nie staram się bawić z panią w ciuciubabkę.

Teodor sięgnął po starą fajkę z korzeni wrzośca, która leżała na kominku, i chuchnął w nią parę razy, by się upewnić, czy aby nie jest zapchana.

– Ale najwspanialsze jest to – powiedział – że już od dawna pasjonuje cię idea budowy kolei transkontynentalnej.

– Czy aby na pewno? – indagowała Annie. – To znaczy: naprawdę tak to pana pasjonuje?

Collis patrzył długo w jej nakrapiane, migdałowe oczy. Nie mrugnęła nawet ani się nie zarumieniła, ani nie odwróciła wzroku.

– Nie pozwoliłaby pani nikomu skrzywdzić swojego męża, prawda? – powiedział ostrożnie. – Broniłaby go pani do upadłego?

– Tu, na Zachodzie, my, kobiety, musimy mocno stać na ziemi. Nie zawsze jest czas albo warunki na czysto kobiece zachcianki.

– A jednak pani jest bardzo kobieca, mimo wszystko. Wzruszyła ramionami.

– Wyrobił już pan tu sobie, niestety, reputację pochlebcy i intryganta. Moja sąsiadka, Martha Malone, twierdzi, że tym właśnie sposobem wkradł się pan w łaski Jane McCormick – trzepocząc

przed nią rżęsami i prawiąc jej przez dwie godziny dusery. Niestety, powiem panu prosto z mostu, że ze mną się to panu nie uda. Pochlebstwa zupełnie na mnie nie działają. Lubię, żeby mnie doceniano, ale znam swoje wady i zalety.

Teodor, napełniając fajkę machorką, nie mógł powstrzymać się od głośnego chrząknięcia, którym starał się pokryć rozbawienie.

– Zobaczysz, Collis, że Annie kieruje się zawsze własnym rozsądkiem.

Collis rozsiadł się wygodnie w fotelu, przyglądając się jej ze szczerym, przyjacielskim zainteresowaniem.

– Nie uszło to mojej uwagi – powiedział. – Rzadki to przymiot w dzisiejszych czasach.

– Napije się pan whisky, czy może wolałby pan kufelek zimnego piwa? – zapytała Annie.

– Nie odmówię kieliszka whisky, dziękuję – rzekł Collis. – Moje zużyte, wschodnie gruczoły smakowe nie przyzwyczyły się jeszcze do tutejszego piwa. Ale się nie poddaję, nadal próbuję.

– Na początku wprost nienawidziłem tego piwka – zauważył Teodor. – Ale, ale, właśnie przyszedł mi do głowy całkiem niezły pomysł. Co ty na to? Browary San Francisco nie mają wyboru: muszą warzyć piwo metodą krausenowską, to znaczy przez naturalną fermentację. Tu, na Zachodzie, za mało mają lodu, żeby osiągnąć to za pomocą dwutlenku węgla, jak to się robi gdzie indziej. Ale gdybyśmy wybudowali kolej biegnącą poprzez całutki kontynent, to można by zwozić tu lód w wagonach towarowych i kto wie czy nie zarobiliśmy jeszcze na boczku, inwestując w wytwórnię piwa.

Collis uśmiechnął się do Annie, odbierając z jej rąk kieliszek z czystą whisky.

– Hola, hola! Najpierw zbudujmy tę kolej – rzekł głosem w którym słycać było stanowczość. Widać było, że na Annie nic innego nie wywrze najmniejszego wrażenia: tylko szczerść, upór i determinacja.

– Ja też to zawsze Teosiovi powtarzam – powiedziała. – Najpierw tory, a dopiero potem górnolotne marzenia.

Teodor, wyraźnie kontent ze spotkania, pykając z fajeczki, z rękami w kieszeniach, tylko się uśmiechał dobrodusznie. Takie łagodne prześmiewki nie zdołałyby go zniechęcić do projektu budowy drogi żelaznej przez kontynent. Była to rzecz zbyt bliska jego sercu.

Przy kolacji, zgromadzeni wokół nakrytego czerwonym, J płóciennym, kraciastym obrusem stołu, zastawionego gładkimi półmiskami z duszonym mięsem ze śliwkami, mamałygą, bigosem z kukurydzą, Jonesowie opowiedzieli Collisowi o pierwszych latach swego małżeństwa, o dniach spędzonych w północnej części stanu Nowy Jork i sielankowych wakacjach w Catskills, a także o pracy Teodora w wąwozie Niagara i przedsiębiorstwie kolejowym Erie. W zamian Collis opisał im, ubarwiając tu i ówdzie, swoje szczenięce lata w Nowym Jorku § i wyjaśnił, jak krach finansowy zniszczył doszczętnie i doprowadził do śmierci jego ojca.

Pomyślał nagle o matce i siostrze Maude i z niespodziewanym poczuciem winy zaczął się zastanawiać, jak im się wiedzie.

Jeszcze później, przy kominku, Annie usiadła obok lampy naftowej, szyjąc i cerując, a Collis i Teodor rozprawiali dalej o kolejach żelaznych. Od czasu do czasu Collis rzucał okiem w stronę Annie, a ona odpowiadała mu albo tylko spojrzeniem, albo i uśmiechem, ale był to uśmiech szczęśliwej mężatki, kobiety, która ciałem i duszą należy do kogoś innego. Wiedział, że nigdy nie będzie dla niego niczym więcej, jak tylko dobrą znajomą, no, może i sojuszniczką. Ale nadszedł chyba wreszcie czas, by znaleźć paru nowych sojuszników i nie robić sobie więcej wrogów.

– Na Wschodzie podjęto już liczne badania nad możliwością przeprowadzenia kolei żelaznej aż po Góry Skaliste. Niektóre są naprawdę doskonałe. Człowiekiem, którego trzeba mieć tam na oku, jest Thomas Durant, jeden z dyrektorów linii Rock Island. Zawsze utrzymywał, że budowa linii transkontynentalnej to zwykła konieczność. Wyznaczył nawet jednego ze swoich młodych inżynierów i mają już teraz przeprowadzić wszystkie potrzebne pomiary i obliczenia na zachód od Council Bluffs, przynajmniej do Laramie – mówił Teodor.

– Znasz tego inżyniera? – zapytał Collis, unosząc swój kieliszek whisky ku światłu promieni na kominku.

– Osobiście to nie. Ale dużo o nim słyszałem. Nazywa się Grenville Dodge i zdobywał praktykę pod okiem głównego inżyniera z Rock Island, Petera Deya. Thomas Durant wysłał Dodge'a na pomiary do kotliny Platt River już prawie dwa lata temu i z tego, co słyszałem, zaczął już nawet szkicować bardzo interesujące mapy.

Zapalił znowu fajkę i wrzucił wypaloną zapałkę w ogień.

– Wszystko oczywiście sprowadza się do tego, którą z dróg zatwierdzi ostatecznie Kongres. Faceci z Hannibal & St Joseph starają się usilnie przeforsować projekt linii transkontynentalnej od St Joe na zachód. No, a ma się rozumieć, większość przedsiębiorców z Południa wolałaby, żeby brała ona początek w Memphis albo nawet w Nowym Orleanie.

Moim zdaniem najbardziej oczywistym rozwiązaniem jest więc przejście przez Council Bluffs, w Nebrasce, jako przedłużenie linii Rock Island, ponieważ stamtąd na zachód droga jest już prosta i równa, a do tego wydaje mi się, że znalazłby się tam jakiś porządny trakt – jeśli nie ze dwa lub trzy – wiodący z Laramie, przez Góry Skaliste, do Salt Lake City. Ale trzeba się będzie nad tym porządnie napocić i nagłówkować. Tak jak mówiłeś: musimy sobie znaleźć poparcie w kręgach osób bardzo wysoko postawionych.

– Mam dobrą znajomą w Waszyngtonie – rzekł Collis. – Jest córką Williama Stride'a.

– A samego Stride'a dobrze znasz?

– Miałem okazję poznać go. Nie zaliczyłbym jednak siebie w poczet przyjaciół czy popleczników Stride'a. Ale on nam jest niepotrzebny. Jeśli jego córka przedstawi nas kongresmanom, to będzie to świetny początek.

– Co za hipokryzja! – rzekła Annie. – Nie chciałabym, ażeby ktokolwiek użył w ten sposób mojej przyjaźni.

Collis odwrócił się do niej i skinął głową na znak, że zgadza się z jej opinią.

– W normalnych okolicznościach, Mrs Jones, zgodziłbym się z panią absolutnie. Ale w tym przypadku chodzi o pewne nie rozliczone jeszcze porachunki i kiedy opowiem pani pewnego dnia, jak senator Stride potraktował moją rodzinę, jestem pewien, że zrozumie mnie pani.

– Zemsta to strasznie niska pobudka. Jak można budować na niej nadzieję na taką wspaniałą, transkontynentalną kolej? – zauważyła Annie.

Twarz Collisa pozostała bez wyrazu.

– Wiele wspaniałych osiągnięć ludzkości zrodziło się z bardzo niskich pobudek, proszę pani – odparł Collis. – A w tym przypadku wendeta może okazać się nawet bardzo pożyteczna.

– Eeee tam – rzekł Teodor, wyraźnie zażenowany. – Powiedzmy, że powinniśmy jechać jak najszybciej do Waszyngtonu i rozpocząć działalność w kularach Kongresu. – Zaczął rozwijać ręcznie naszkicowaną mapę doliny Sacramento. – Najpierw to w ogóle musimy przekonać jakichś potencjalnych inwestorów, że z każdego etapu wstępnych badań i pomiarów będą mieli pokąźne zyski. Jeśli sfinansują, powiedzmy, tylko wstępne pomiary w dolinie Sacramento i ani kroku dalej, to udowodnimy im, że można wykorzystać ten króciutki odcinek traktu na zwózkę korkodębu z tamtejszych lasów do miasta i rozpocząć kwitnący handel surowcem drzewnym. Jeżeli sfinansują nas do Nevady, to pokażemy im, że można ekonomicznie wykorzystać to połączenie do obsługi lokalnych kopalń. Jeśli zgodzą się zainwestować wyłącznie w same pomiary i ani grosza w budowę, to im dowiedziemy, że nawet jeśli nie uda nam się przeprowadzić tamtędy drogi żelaznej, to i tak będzie można użytkować ten trakt jako szosę dla furmanek.

Oparł się plecami o poręcz krzesła.

– Zwykłych, prostych ludzi pasjonuje już od dawna idea drogi żelaznej – powiedział. – Ale Kongres i prywatni przedsiębiorcy to kupa mięczaków, piątego nic się w tej sprawie nie rusza. W Kongresie kumoterstwo i łapownictwo są na porządku dziennym. Wszystkie grabie grabią dla siebie: jedni ciągną na Pomoc, drudzy na Południe i nie mogą nigdy dojść do porozumienia. A do tego Wydział Zbrojeń i ci ich, pożałuj Boże, eksperci zawsze muszą wtrącić jeszcze swoje trzy grosze. A zapewniam cię, że nie widziałeś jeszcze drugiej takiej bandy szachrajów i kombinatorów. A prywatni inwestorzy nie włożą w nic złamanego centa, chyba że im się to zwróci pięciokrotnie w ciągu jednego tygodnia, więc wołają pakować forszę w nieruchomości, kopalnie złota albo hodowlę bydła. W cokolwiek, byle tylko nie w koleje.

– Wobec tego – rzekł Collis – musimy skoncentrować nasze wysiłki na urabianiu wpływowych osobistości. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko starać się przemówić do ich kieszeni. Nie będzie to wcale takie trudne w moim przekonaniu, jeśli wpierym pokażemy im, że potrafimy przedrzeć się przez Sierra Nevada.

Teodor zwinął z hałasem mapę.

– Ja znajdę takie przejście – rzekł w stronę Collisa, z oczami błyszczącymi w świetle kominka. – Ale może napijesz się jeszcze kawy?

*

W ciągu paru następnych dni Leland, wprawdzie bardzo niechętnie, musiał wreszcie przyznać sam przed sobą, że Collis okazał się współnikiem obowiązkowym i wydajnym i że firma Tucker & McCormick z pewnością nie zachwieje się w posiadach ani jej założyciele i dyrektorzy nie pójną z torbami przez niezdrowe aspiracje tego przybłądy. Przestał już nawet wypominać swojej żonie, że to ona właśnie nalegała, aby przekazać piętnaście procent udziału w firmie na Collisa, pod groźbą, że się do niego więcej nie odezwie i że będzie musiał spożywać wszystkie posiłki w swoim gabinecie. I choć dalej przechadzał się po sklepie napuszony, z miną wiecznego malkontenta, jakby go bezustannie zalewała żółć, zauważył z satysfakcją, że Collis dwoi się i troi, kontrolując umowy handlowe zainicjowane przez Wang–Pu, by dostawy z San Francisco docierały na czas, i ćwicząc w sztuce inwentaryzacji młodego, bledziutkiego subiekta, Fredericka Puga, cherlaka, który nosił o pięć numerów za duży granatowy fartuch i zawsze zwracał się do Collisa per „szefie”.

Charles także nie narzekał. Po pierwsze udział Collisa w zarządzaniu firmą odciążał go zdecydowanie. A poza tym jego szykowny wygląd i czarujące maniery przyciągały wielu nowych klientów albo raczej klientek. Wchodziła taka młoda, zapłoniona dzierlatka do sklepu i od razu zapominała; po co tu właściwie przyszła. Ale był ostrożny, bo Mary, jego żona, nie znosiła Collisa, a już szczególnie nie mogła mu darować tego, że tak otumaniał jej przyjaciółkę, Jane McCormick.

– Jak tylko ten lowelas z piekła rodem zakręci się koło niej, to nogi się jej robią jak z waty; kolana się pod nią uginają. Biedna Jane – gderała niezadowolona.

W ostatnim tygodniu października sklep prosperował tak znakomicie, że Collis zdecydował się na wyjazd do San Francisco na tydzień lub dwa, by przekonać się, jak się sprawy mają z jego kocami. Zamierzał też przy tej okazji pozalatawać parę innych rzeczy: przede wszystkim pomówić z Andrew Huntem o możliwości założenia przedsiębiorstwa kolejowego, a może i przekonać Lloyda Wintle’a, by zgodził się zainwestować w ten projekt.

Co się tyczy Arthura Teacha, to zdecydował, że lepiej przeczekać i w nic go na razie nie angażować, tym bardziej że i tak – o ironio losu! – będzie on kiedyś zmuszony zainwestować w budowę kolei ze względu na ten ich zakład. Poza tym chodziło oczywiście o Hannę. Teraz na pewno była już w San Francisco i spotkała się ze swoim mężem. Wiedział, że będzie musiał się z nią spotkać, by spojrzeć prawdzie w oczy i zdać sobie jasno sprawę ze swoich do niej uczuć. Pewnego wieczora usiadł na brzegu łóżka i zacisnął mocno powieki, starając się sobie przypomnieć jak wygląda. Ale obraz jej twarzy wymykał się jego pamięci. I choć wyobrażał sobie złociste pukle jej włosów i delikatny profil, ciągle stawał mu przed oczami tylko ten jeden moment: tych parę chwil, kiedy po raz pierwszy spojrzął na nią na wietrznym pokładzie parowca „Virginia”.

Wreszcie, w chłodny czwartkowy poranek wsiadł na parowiec turbinowy „Yuba”, należący do Kalifornijskiego Przedsiębiorstwa Transportu Morskiego. Był to czyściuteńki, wy – chuchany, wycackany stateczek, z błyszczącymi, mosiężnymi balustradami i pokładem wyłożonym piaskowcem; każda zacna gospodyni mogłaby podróżować nim w komforcie i bez ujmy na honorze. Dowiedział się później, że „Wallace M. Martin” osiadł na mieliźnie i niechcący zajął się ogniem, tak że cała ferajna hazardzistów i prostytutek brnęła w wodzie, by wydostać się na brzeg w Solano, podkasawszy kiecki i nogawki portek po samą brodę i unosząc ze sobą każdą butelkę whisky, jaką się tylko dało uratować, podczas gdy poza ich plecami buchały w górę siarczyste płomienie, aż wreszcie cały statek eksplodował z wielkim hukiem.

Zarezerwował sobie kajutę i większą część podróży spędził na swojej koi, czytając „Sacramento Union”, wlepiając wzrok w pobielany sufit i rozmyślając o Hannie. Zszedł do stołówki i zjadł trochę wędzonej ryby, popijając posiłek słodkim, białym kalifornijskim winem, a potem poszedł się

przejsć i wypalić cygaro. Z nikim nie wdawał się w pogawędki i czytał właśnie w swojej kajucie, gdy „Yuba” przycumowała na przystani Jackson Street w San Francisco i gdy usłyszał znajomą wrzawę: nawoływania dokerów, agentów hotelowych i trajkot motłochu na Embarcadero.

Pech chciał, że schodząc na ląd po pomoście, smagany wieczornym wiatrem z zatoki, zobaczył w porcie Arthura Teacha. Znajomy bankier stał obok zwrotnej czarnej bryczki, pochłonięty rozmową z dwoma postawnymi mężczyznami w średnim wieku, w których Collis rozpoznał współników ze spółki przewozowej na Washington Street. Miał przez chwilę nadzieję, że tłum ludzi wokół parowca zablokuje Teachowi widok i że on, Collis, będzie mógł przejść obok nie zauważony. Doszedł jednak do wniosku, że co tam: w końcu współzawodnictwo w handlu jest dozwolone, a nikogo przecież nie oszukał. Teach będzie musiał przełknąć gorzką pigułkę i zaakceptować go takim, jakim jest, tak jak to zrobił Leland.

Przeszedł na drugą stronę przystani i uniósł kapelusz.

– Arthur. Panowie. Moje uszanowanie.

Arthur Teach popatrzył na Collisa, nie kryjąc zdziwienia. Miał na sobie zielony garnitur, który pił go pod pachami, co sprawiało, że był nie w humorze. Spojrzał na swoich koleśków z firmy przewozowej, jakby chciał wyczytać z ich twarzy, czy Collis jest tam rzeczywiście, czy tylko mu się to przywidziało, a potem znowu przeniósł wzrok na Collisa.

– I jeszcze masz, cholera, czelność... – wybełkotał.

– Myślałem, że w handlu wolnorynkowym i w kochaniu wszystkie chwytaki są dozwolone – uśmiechnął się Collis. – Musiałem się w końcu porządnie nawiosłować, żeby się tam zjawić przed tobą.

Jeden z dryblasów z firmy przewozowej nagle wyciągnął do Collisa dłoń.

– Na Boga! – powiedział. – Pan jesteś Collis Edmonds, prawda? Ten, który sprzątnął naszemu Arthurowi towar tuż sprzed samego nosa? Bardzo miło mi pana poznać.

Uścisnęli sobie dłonie, a potem drugi mężczyzna, jego współnik, także przywitał się z Collisem.

– Jeśli udało się panu przechytryć Arthura i sprzątnąć mu towar sprzed nosa, to równy z pana gość – rzekł ten pierwszy. – Bo pod tym względem mało kto może dorównać naszemu Arthurowi. No co, może nie, Arthur?

– Są tacy, co tak myślą, nie mogę zaprzeczyć – przyznał Arthur bez entuzjazmu.

– Wobec tego uważam, że nie powinniście już boczyć się na siebie; jesteście przecież kolegami po fachu, tak czy nie? – powiedział handlowiec. – Chodźmy do Banku Exchange Saloon i napijmy się na zgodę. A może warto by i coś przekąsić, jak myślicie? Dopiero co zszedł pan ze statku, Mr Edmonds?

– Tak, właśnie.

– Wobec tego każe woźnicy zabrać pański kufer do hotelu. Gdzie się pan zatrzyma?

– W hotelu International.

– Doskonale. Idziesz z nami, Arthur?

Początkowo Arthur miał minę raczej niewyraźną, ale potem, wbrew Własnej woli, nawet się uśmiechnął.

– No dobra – powiedział. – W takiej małej mieścinie do nikogo nie warto nosić urazy w sercu. Ale uprzedzam cię, Collis Edmonds. Przy pierwszej sposobności odpłacę pięknym za nadobne. Zrobię to, jak mi Bóg miły, i uśmieję się z tego w kułak, a porządnie.

– Dziękuję za ostrzeżenie – rzekł Collis. – A teraz powiedz mi, jaka tu u was pogoda.

Łapią już pierwsze przymrozki? Czas, żeby rzucić te koce na rynek?

Arthur Teach roześmiał się, szczerze ubawiony.

– I co o tym myślisz, Garreth? – zwrócił się do jednego z przedsiębiorców? – Czy to nie jawna bezczelność? W żywe oczy?

– Tu bez cwaniactwa długo nie wyżyjesz – zauważył Garreth, kiedy wsiadali do powozu Arthura Teacha. – A już trzeba po prostu zuchwalstwa, żeby zarobić przyzwoite pieniądze.

A czy ta wyzywająca pogarda dla nakazów etyki i wymogów ludzkiej przyzwoitości wyjdzie mu jeszcze kiedyś na dobre – czas pokaże.

*

Dzień po dniu Collis zaczynał poznawać coraz lepiej San Francisco Z okna swojego pokoju na czwartym piętrze eleganckiego, pieciokondygnacyjnego hotelu International, który był jednym z najbardziej prestiżowych w mieście, spoglądał na Jackson Street, a potem przeniósł wzrok ku iskrzącym się od północy światłom Barbary Coast, tego siedliska rozpusty pomiędzy ulicami Pacific i Vallejo, gdzie niczym chwasty pieńczyły się podrzędne sale taneczne, karczmy, domy publiczne, gar – kuchnie i marynarskie spelunki. Wsparty łokciami na okiennym parapecie, widział przed sobą solidne gmachy banków i urzędów z ciemnoczerwonej, wypalanej cegły, w dzielnicy handlowej, a za nim malownicze wybrzeże.

Jeszcze siedem czy osiem lat temu hotel International stał prawie nad samym brzegiem morza, ale ciągle niwelacje zatoki przy użyciu drewnianych bali i piasku z południowych okolic San Francisco rozciągnęły śródmieście aż po Davis Street, a nawet i jeszcze dalej, zagarniając przy okazji opuszczone szalupy i porozbijane falochrony. Dawniej wiele przedsiębiorstw przy Montgomery Street, które teraz dzieliło od morza parę dobrych działek, podawało swój adres jako „Montgomery Street przy plaży”.

Tym razem Collis wiedział już, jak poruszać się po mieście tramwajami konnymi linii Yellow & Red lub też dorożkami przedsiębiorstwa komunikacji miejskiej Sutter Street, wszystkie po dziesięć centów za przejazd. Wiedział również, gdzie się stołować, i przez pierwsze pięć dni pobytu w San Francisco jadał u Gobeya, w Ladies' and Gents' Oyster Parlour, na Sutter Street, który słynął z

przepysznej zupy żółwiowej. Do Del – monica, na O'Tarrell Street, chodził na prażone homary, a do Buon Gusto, gdzie pewnego wieczora zaprowadził go kiedyś Charles, na swój nowy ulubiony przysmak – cioppino.

Załatwił parę spraw służbowych, kupując pasy transmisyjne, śruby i ręczne pompki.

Wałęsał się po mieście i przy okazji sprawił sobie dwa nowe garnitury i trochę trykotowej bielizny. Kupił też jesionkę, ponieważ ochłodziło się już wyraźnie, poranki stały się mgliste i wilgotne, a znad poszarzałych wód oceanu dął zimny, przenikający do kości wiatr. Trzeba się było bez zwłoki brać do upływniania koców.

Przy tym wszystkim Collis trzymał się z daleka od miejsca i ludzi, którzy najwięcej dla niego znaczyli. Unikał lokalu Janki Zadupczanki na Dupont Street i pilnował się, aby go czasem nie poniosło do sklepu Waltera Westa na Montgomery Street. Nie odwiedził nawet Andrew Hunta w biurze na Pine Street, przy California Market, ponieważ nie chciał rozmawiać o kolei, dopóki nie pozabawia wszystkich innych rzeczy, którymi musiał się zająć w San Francisco. Dokuczała mu samotność, więc przesiadywał godzinami w Banku Exchange Saloon, popijając ryżówkę i koktajle burbońskie. Wracał do hotelu z łupiącym bólem głowy i prawie co wieczór walił się na łóżko, wsłuchując się w turkot rozklekotanych powozów i furmanek na ulicach Jackson i Montgomery i rechot podochoconych stałych bywalców miejscowych szynków. Jeszcze przez długie lata wracał później myślami do tych beznadziejnych, milczących nocy, przeglądając się w nich jak w zwierciadle w jakimś obcym, mrocznym pokoju; wywarło to na nim tak silne wrażenie, że starał się usilnie nigdy już więcej nie pić w samotności.

Szóstego dnia po przyjeździe szykował się przez dwie godziny, zanim wreszcie w popielatym fraku i szarym welurowym cylindrze opuścił hotel. Mróz szczypał z rana dotkliwie, a na szybach okiennych gmachów urzędów i hoteli osiadał szron. Ogolił się bardzo starannie, uczesał i przetaił dłonie wodą kolońską Lamot. Wychylił naprędce filiżankę kawy w hotelowym barze, narzucił jesionkę i wyszedł na dwór. W piersiach gniotło go z podniecenia.

Z ulicy Jackson skręcił w Montgomery i skierował się na północ. Pomaszerował obok Monkey Block, dzielnicy bohemy artystycznej San Francisco, gdzie oprócz tego mieściły się również Bank Exchange Saloon i włoska restauracja „U Coppy'ego”. Miał ochotę na coś mocniejszego, ale nie chciał, żeby załatywało od niego wódką, kiedy znowu spotka się twarzą w twarz z Hanną. Szedł spacerkiem w upiornej mgle, sam niepewny, czy to jawa, czy też sen.

Doszedł wreszcie na róg ulic Bush i Montgomery. Tuż przed nim, w odległości zaledwie kilku kroków, znajdował się sklep, który reklamował się jako „Pasmanteria, Galanteria i Inne Drobiazgi. Walter F. West, Właśc”.

Przystanął. Z ust leciała mu para, a rzęsy pokryły się szronem. Potem ruszył dalej, przeszedł parę kroków po chodniku i zatrzymał się przed sklepem.

Hanna wyszła z otwartych drzwi sklepu i wpadła prosto na niego. Stało się to tak nagle i niespodziewanie, że żadne z nich nie mogło przez chwilę uwierzyć, że to wszystko prawda.

Powiedziała po prostu: – Przepraszam.

– Haniu? – rzekł Collis.

Spojrzała na niego przerażona. Była wątła, zabiedzona, niższa niż sobie przypominała, i musiała stracić ze dwadzieścia albo i trzydzieści funtów wagi. Jej jasne, zaczesane do tyłu włosy schowane były pod prostym, ciemnoszarym czepkiem z koronkowym obszyciem, a ubrana była w ponurą, szarą pelerynę. Jej twarz zdawała się również szara i bezbarwna, jak czarno – biała fotografia na ciemnym kartonie za szkłem, a oczy, choć nadal równie szerokie i uczuciowe jak dawniej, zdawały się nienaturalnie duże i błyszczące w gorąco.

– Collis? – zapytała. – To ty? Naprawdę ty? Zerknął do środka przez otwarte drzwi sklepu.

– Jest tam Walter? – zapytał.

– Oczywiście. Właśnie obsługuje klienta.

Chwycił ją za rękę. Przez rękaw sukienki poczuł, że była krucha i koścista.

– Może byśmy poszli gdzieś porozmawiać? Nie chcemy przecież, żeby nas tutaj zobaczył.

– Collis, nie mogę. Wysłałam tylko, żeby kupić chleb.

– Ale przecież musimy porozmawiać. Przyjechałam tu specjalnie po to z Sacramento.

Przykryła usta dłonią i odwróciła się od niego. Zmieniła się. Choroba i nawał kłopotów życiowych wyryły na jej twarzy swoje piętno, ale z profilu wyglądała równie urzekająco jak tego pierwszego dnia na „Virginii”, a może nawet cierpienie wyostrzyło jeszcze to piękno, nadając jej wygląd nie chcianej, porzuconej sierotki.

– Przyjechałam dwa tygodnie temu na „Monterey” – rzekła Hanna. – Potrzebowałam odpoczynku i nie miałam siły, żeby skreślić do ciebie choćby parę słów.

– Dostałaś mój list? Zostawiłem adres na poczcie. Spojrzała na niego oczami pełnymi winy.

– Niestety, nie wiem nawet jeszcze, gdzie jest poczta. Ścisnął ją za ramię.

– Haniu – powiedział. – Tak się przecież umawialiśmy. Miałem zostawić adres na poczcie – i tak też właśnie uczyniłem. A ty miałaś się ze mną skontaktować od razu, jak tylko się tu zjawisz. Tak czy nie?

– Przepraszam, Collis. Nie czułam się najlepiej.

– Ale jednak chodzisz po zakupy? Na to starcza ci jakoś siła? Poczta jest całkiem blisko, parę domów dalej, na północny wschód.

– Proszę, puść mnie – powiedziała. – Walter może nas przyłapać.

Zignorował jej prośby.

– Umawialiśmy się w Panamie, że zostawię adres, a ty że się ze mną skontaktujesz, prawda?

– Aleja jeszcze nie wiem, gdzie jest poczta – upierała się i nieprzejednanie.

Puścił jej dłoń.

– I nie chcesz wiedzieć, mam rację? Miałaś nadzieję, że może zapomnę. Więc nie, nie zapomniałem. Myślałem o tobie bez przerwy, odkąd tylko zostawiłem cię tam, w tej Panamie.

– Collis – powiedziała ledwie dosłyszalnie. – Nie wypada sprzeczać się na samym środku ulicy. Ludzie się za nami oglądają.

Nie miał ochoty rozejrzeć się, żeby sprawdzić, czy tak było w istocie, nie chciał w ogóle na nic patrzeć. Tylko na nią. Serce waliło mu w piersiach jak oszalałe. Dziwne, ale miał wcześniej przeczucie, że tak się właśnie skończy to ich pierwsze spotkanie. Nie zmniejszyło to jednak wcale jego cierpienia. Dostał dreszczy i oblewały go zimne poty, jakby się rozchorował na grypę. Odeszła parę kroków, kierując się na północ, ku skrzyżowaniu ulic Montgomery i Bush, a on posuwał się za nią mechanicznie, nie spuszczać jej z oczu, jakby w szoku, z przekonaniem, że w sumie jednak wcale jej na nim nie zależało. A zresztą czemu miałyby jej na nim zależeć? Na co jej on teraz, kiedy właśnie wyzdrowiała i połączyła się ze swoim mężem? Po jaką cholere miałoby się z nim teraz wiązać, skoro znowu miała opiekuna, nie musiała troszczyć się o swoją przyszłość i cieszyła się ogólnym poważaniem zacnej mężatki? Nie będzie się z nim przecież teraz patyczkować, skoro pogodziła się ponownie ze swoim Stwórcą.

– Haniu – zdołał jeszcze wykrztusić, chociaż ścisnęło go w gardle.

Nie odpowiedziała i odwróciła głowę w inną stronę. Z tyłu, w tym ponurym, surowym czepku i pelerynie, wyglądała jak leciwa, byle jaka baba.

– Haniu, powiedz mi przynajmniej... Nic do mnie nie czujesz?

Podniosła na niego oczy.

– W ogóle nie czuję się zbyt dobrze – rzekła w odpowiedzi. – Siostry zrobiły, co mogły, żebym mogła powrócić do zdrowia, ale mój organizm jest nadal bardzo osłabiony po tej żółtej febrze. Mało osłabiony: wyniszczony. Powiedziały mi zresztą, że już nigdy nie dojdę do siebie tak naprawdę. Sam widzisz, jak wyglądam. Ciągle niedomagam i tak już zostanieie.

– Czy właśnie dlatego nie chciałaś się ze mną skontaktować? Bo nie chciałaś, żebym zobaczył cię w takim stanie?

Pokręciła głową.

– Skłamałabym, gdybym powiedziała, że tak, choć to byłby najlepszy wykręt. Ale ciebie nie chcę okłamywać. – Spojrzała na niego przez ramię i uśmiechnęła się do niego boleściwie. – Kiedy wreszcie dobiłam do San Francisco, po tej długiej, wyczerpującej morskiej tułaczce, pragnęłam tylko jednego: znaleźć się w domu pod troskliwym okiem dobrego, oddanego męża. Nie w głowie mi były miłostki i romanse. Nie myślałam nawet o wielkiej miłości. Chciałam przyłożyć głowę do poduszki i wypocząć w jakimś zacisznym miejscu, gdzie ktoś mnie przygarnie i utuli. Nie chciałam, żeby mnie wychwalano, jak ślicznie wyglądam. Nie chciałam, żeby się ubiegano o moje względy i starano mi się przypodobać. Pragnęłam zwykłych, powszednich dni i zwykłych, powszednich, ciepłych uczuć, a była tylko jedna osoba, która mogła mi je ofiarować.

– Więc mam rozumieć, że to, co się stało w Panamie, to tylko taki przelotny kaprys? – rzekł Collis z oburzeniem. – Chciałaś wypróbować swoją miłość do Waltera, ale tak, żeby nie przeciągnąć struny, i sprawdzić również przy okazji siłę swoich przekonań religijnych, a ja akurat nawinałem się pod rękę, więc użyłaś mnie do tego bez skrupułów. Lubujesz się widać w melodramatach i nie omieszkałaś wykorzystać mnie w roli porzuconego amanta.

– Collis, proszę... – Co „proszę”? Proszę, zapomnij, żeśmy się kiedykolwiek spotkali? Proszę, zapomnij, że wzbudziłaś we mnie namiętności, jakich nigdy przedtem nie zaznałem? Jeśli sądzisz, że miałem dosyć czasu, żeby z tego ochłonać, to się mylisz. Haniu, byłem tu, w San Francisco, potem w Sacramento, pracowałem, ba!, tyrałem dzień i noc jak dziki osioł. Zarobiłem pieniądze, znalazłem przyjaciół, a wszystko w ciągu dwóch miesięcy. Ale o tobie nie mogę zapomnieć. I nigdy nie zapomnę.

Robiła wrażenie wyczerpanej.

– Naprawdę nie wiem, co ci na to odpowiedzieć – powiedziała.

– Powiedz mi to, co mówiłaś w Panamie. Powiedz, że mnie nigdy nie opuścisz.

Wydała z siebie desperacki okrzyk „och”, jakby dała już za wygraną i nie chciała więcej o tym słyszeć.

– Wiem, że tak mówiłam – powiedziała. – I bardzo tego żałuję.

– Nie wierzę! To nieprawda.

– Ależ tak, Collis, to prawda. To święta prawda. Jak mam cię przekonać?

Chciał ją przyciągnąć do siebie, ale wykręciła się i uwolniła z jego objęć.

– Jak tak możesz mówić? – spytał z wielkim żalem. – Po tym wszystkim, co przeszliśmy razem w Panamie. Jak tak możesz mówić?

Zdawała się chłodna i opanowana. Było w niej wciąż jeszcze coś z tej dawnej, ulotnej, nie odwzajemnionej namiętności, którą wyczuł po raz pierwszy na pokładzie parowca „Virginia”, ale wyraźnie podjęła już decyzję w tej sprawie, więc cokolwiek by powiedział, jakkolwiek by prosił, krzyczał, błagał, stracił ją pewnie na zawsze. Zaczął się teraz zastanawiać, dlaczego w ogóle jej kiedykolwiek pragnął. Opuściła się w wyglądzie, zbabiała i jej chudość, a także nieustępliwość, działały mu na nerwy.

A jednak, mimo wszystko, coś go w niej poruszało do żywego. Jakaś nieuchwytna siła, mistyczne, głęboko ukryte poczucie przeznaczenia, dokładnie takie samo jak to, które wzbudzały w nim szczyty Sierra Nevada. Jakby tylko i wyłącznie ona, Hanna, mogła stać się towarzyszką jego życia. W San Francisco, w Sacramento, pośród gór i nieujarzmionych przestrzeni Ameryki, czekało na niego nowe, wspaniałe życie i tylko ona była w stanie pomóc mu w realizacji jego zamierzeń.

– Więc to wszystko fałsz, puste słowa? – zapytał. – Wszystko, co mi obiecywałaś?

– Nie – odparła.

– No więc dlaczego? Dlaczego nie napisałaś? Choćby nawet po to, żeby mi powiedzieć, że już mnie nie kochasz.

– Przepraszam – powiedziała. Zakryła dłonią usta.

– Nie wiem już sama, jak ci to wszystko wytłumaczyć – odezwała się znowu. – Nie wiedziałam, o czym pisać. Chyba się ciebie bałam. Sama nie wiem.

Długo jeszcze stali obok siebie na rogu zamglonej ulicy, potrącani przez przechodniów – handlarzy, interesantów i chilijskich dokerów w niebieskich, wełnianych drelichach. Po gliniastym skrzyżowaniu toczyły się, skrzypiąc i klekocząc, drabiniaste wozy i furmanki.

– A Walter? Czy... eee... ucieszył się, że przyjechałaś? Kiwnęła głową. Łzy napłynęły jej nagle do oczu i przylepiły się do rzęs.

– No tak – powiedział Collis. – Pewnie, że tak. Dlaczego znowu miałby się nie ucieszyć?

Westchnął ciężko, ale mimo to starał się uśmiechnąć..

– Chyba po prostu zadurzyłem się w tobie – powiedział. – Jakoś zdołam wybić sobie to wszystko z głowy. Jestem teraz bardzo zajęty. Zostałem wspólnikiem w sklepie ze sprzętem gospodarskim w Sacramento, na piętnaście procent. Robota pali mi się w rękach. Kupujemy, sprzedajemy. Takie rzeczy.

– Przepraszam – powtórzyła.

Wyciągnął dłoń i delikatnie ujął ją za podbródek.

– Nie przepraszaj – powiedział, jak mógł najdelikatniej. – To wcale nie twoja wina.

Tak się stało, no i już, nie ma rady. Coś się zaczęło, coś nas z sobą połączyło, ale teraz się kończy. No trudno. Taki los.

Przytrzymał jej rękę w swoich dłoniach, a była koścista i bezwładna – jak ręka kobiety, w której sercu miłość obumarła. Załkała parę razy, niepocieszona, a on poczuł, że jego własne oczy również wilgotnieją, z żalu i rozczarowania.

Zegar na gmachu Biblioteki Handlowej wybił jedenastą, a jego czyste, donośne dźwięki przesyły mgliste powietrze, jak zarzucane z łomotem kotwice jedenastu porzuconych okrętów.

– Chyba już sobie pójdę – powiedział Collis. Patrzyła, jak przechodził na drugą stronę Bush Street.

W tym właśnie momencie zaprzężony w trzy konie wóz straży pożarnej z remizy strażackiej nr 2, na Kearny Street, wyłonił się z mglistej zasłony i przejechał obok z rozpędem, podzwaniając dzwonkiem alarmowym, śpiesząc do pożaru na targowisku. Konie, dysząc i buchając z nozdrzy parą, stapały po błocie, rozbryzgując naokoło czarną maź, a wyglansowany, mosiężny wehikuł podrygiwał za nimi na wybojach. Na koźle, w strażackim hełmie i zapiętym pod samą szyję mundurze, siedział dumnie wyprostowany strażak, świadomy swojej własnej ważności.

Kiedy wóz strażacki oddalił się wreszcie i odsłonił jej widok, Collis zniknął w tłumie przechodniów na trotuarze, a Hannie nie pozostało już nic innego, jak tylko kontynuować samotnie spacer przez Montgomery Street, aż do niewielkiej piekarni pod nazwą „Nowy Wiek”. Stała w kolejce przy kamiennym kontuarze, wśród wrzawy rozmów i zapachu świeżo wypiekanych bochenków chleba. Obok, przy stolikach, klienci chrupali pumpernikiel, popijając śniadanie kawą lub aromatyczną herbatą. Oczy miała suche, ale nie widzące, a dłonie ściśnięte w pięści na brzuchu. Gniotła w palcach pugilares gestem bezbronnego dziecka, które potrzebuje miłości i opieki.

Młoda Niemka za kontuarem musiała powtórzyć kilkakrotnie „Co dla pani?”, zanim wreszcie doczekała się odpowiedzi.

*

Po obiedzie Collis poszedł zobaczyć się z Andrew Huntem w biurze na Pine Street, które mieściło się na ostatnim piętrze wąskiego budynku o stalowej konstrukcji i bardzo stromych, krętych schodach. Andy siedział przy starym, zniszczonym biurku, które kiedyś należało do Joe Downeya, jednego z pierwszych miejskich archiwariuszy San Francisco, który tym się tylko popisał, że upił się na umór podczas pierwszych wyborów municypalnych, niezdarnie sfalszował ich wyniki i sam ogłosił się burmistrzem, dzięki czemu przeszedł na zawsze do historii.

Ale to właśnie biurko sprzyjało przedsiębiorczym talentom Andy Hunta, które zresztą zmieniały mu się w zależności od nastroju, a także w zależności od konsumpcji burbona i krakersów.

Andy miał na sobie krzyczący zielono – pomarańczowy sportowy surdut w szkocką kratę i zielony kapelusz z szerokim rondem. Pochylony nad oceanem ksiąg, weksli i rachunków frachtowych, pisał właśnie jakiś służbowy list, stawiając na papierze śmieszne, pochylone w tył kulfony, a jego długie nogi okręcały się wokół fotela, jakby korespondencja ta była dla niego potworną mordęgą, a akrobacje i wygibasy przynosiły mu ulgę w cierpieniach. Nad jego głową lampa gazowa paliła się łagodniejszym płomieniem.

– Collis – powiedział, nie przerywając sobie, bazgrząc coś z wielkim zacięciem na kartce papieru. – Do diaska! Jak się masz?

– Jeszcze się pytasz! Poczekaj chwilę, niech ochłonę. Zasapałem się – rzekł Collis.

– Każdy wpada tu z wywieszonym ozorem, muszę przyznać. To daje mi przewagę w pertraktacjach, sześć do czterech, od razu na początku spotkania. Szczególnie z komornikami albo urzędasami z Rady Miejskiej. Nikt przecież nie będzie ci suszył łba o głupie trzydzieści dolarów za czynsz, kiedy nie może nawet złapać tchu, żeby wykrztusić z siebie „Ratunku!” Collis przeszedł parę kroków po gołej, wyłożonej deskami podłodze. Na ścianach biura, wisiały mapy, harmonogramy zajęć i zamówienia handlowe, łopocząc w powiewach wiatru z otwartego lufcika.

– Skąd wiedziałeś, że to ja? – zapytał Collis, kładąc cylinder na stercie jakichś papierzysków. – Przecież nie wiedziałeś o moim przyjeździe do San Francisco.

Andy Hunt spojrzał na niego spod oka, a potem rzucił mu szybki, lisi uśmiešek.

– Wiem dobrze, co się dzieje w porcie i okolicach – powiedział. – Uszy i oczy mam zawsze otwarte. Inaczej się nie da w interesach. No, a poza tym Arthur Teach sarkał i fukał na twój temat w zeszłym tygodniu w Capitain Cooker Saloon. Powiedział, że masz tupet rozjuszonego tryka, a moralność kaczki.

Collis uśmiechnął się z satysfakcją.

– Jego szczęście, że nie mam pojęcia, o czym gada, bo inaczej żądałbym satysfakcji.

Andy odłożył na bok pióro, wyprostował wreszcie nogi i podniósł się z fotela.

– No, ale dobrze, że jesteś. Świetnie wyglądasz. No i Charles pisał, że jesteście teraz współnikami.

– Tak – powiedział Collis. – Właśnie między innymi dlatego chciałem się z tobą zobaczyć.

– Prawdę mówiąc, oczekiwałem cię dużo wcześniej. Nie wypominając, oczywiście. Ale moglibyśmy zrobić sobie jakiś wypad któregoś wieczora. Na Stockton Street jest nowiuteńki dom schadzek; słyszałem, że mają tam trzy dorodne dziewczuszki, każda, panie dziejku, nie więcej niż piętnastka i można sobie z nimi poswawolić całą noc, ile wlezie, po prostu za bezcen.

Collis podszedł do okna. Miało kształt wachlarza i wychodziło na wschód, na Market Street i na zatokę. Bomstengi kliperów i skunerów powiewały we mgle ponad dachami milczących sklepów, biur, banków i urzędów w dzielnicy handlowej.

– Musiałem najpierw zobaczyć się z Hanną – powiedział.

Zdawało się, że Andy sposepniał raptownie. Nastroszył się i przyczaił.

– Aha – powiedział ostrożnie.

– Więc już wiesz?

– No, wiesz. Montgomery Street nie jest znowu tak daleko. Nogi mnie tam czasem same zaniosą, pod ten dom towarowy Westa.

– Więc nie muszę ci mówić, że wróciła do męża? Andy pokiwał głową ze współczuciem.

– Wróciła i już się tam zupełnie nieźle zdomowiła. Na to wygląda. Prawdę mówiąc, widziałem ich razem na ulicy i muszę powiedzieć, że mnie porządnie zamurowało, jak tu stoję. Szli pod rękę, panie dziejku, i wyglądało, że dobrze im ze sobą. Chociaż muszę przyznać, że Hanna nie całkiem jeszcze wydobrzała. Takie to teraz chudzieńkie, wymizerowane.

– To prawda – przyznał Collis. Andy podrapał się po karku.

– Może to dlatego, wiesz? – powiedział. – Może potrzebuje kogoś, kto będzie się nią zajmował i nie będzie jej wchodził w drogę.

– Ja bym jej wcale nie wchodził w drogę – powiedział Collis. – Mógłbym się nią zaopiekować nie gorzej niż Walter West. Przecież robiłem to w Panamie; nikt się tam nią nie chciał zaopiekować, tylko ja.

– Jasne. Wiem o tym dobrze – przyznał Andy. – Ale czy pomyślałeś o tym, że nie w głowie jej teraz zaloty? Bo jeszcze niezbyt dobrze się czuje? Kobieta lubi być w pełni sił, wiesz, kiedy chce zdobyć mężczyznę, który się jej podoba. Może najpierw musi jakoś przyjść do siebie, a potem, jak już wyzdrowieje, to się z tobą skontaktuje i spróbuje jeszcze raz.

Collis odszedł od okna i spojrzał posępnie na Andy'ego.

– Chyba nie. Z tego, co mówiła dziś rano, to nie. Ładnie to sobie wszystko wykoncypowałeś, ale naprawdę uważam, że straciłem ją na zawsze.

– A to taka straszna tragedia? Collis wzruszył ramionami.

– Zależy, co masz na myśli, mówiąc o tragedii. Ona nie widzi w tym żadnej tragedii.

Andy popatrzył uważnie na Collisa.

– Założę się z tobą o kolację u Delmonica, że dla niej to też tragedia.

– No to dlaczego powiedziała, że mnie nie kocha?

– Bo tak mówią wszystkie zakochane kobiety, kiedy są zazdrosne. Chcą cię w ten sposób wybadać, pojmujesz. One same mogą ciągnąć do ciebie bardziej niż mucha do miodu, ale chcą się najpierw upewnić, co ty do nich czujesz. Dlatego ci mówią, że nie chcą cię więcej znać i tego typu bzdury, a tylko patrzą, co ty na to.

– Co ja na to? Ano, chyba pójdę się upić.

Andy machnął ręką z irytacją, jakby odrzucał z góry taki idiotyczny pomysł.

– Ty się nigdy nie upijasz. Masz mocny łeb. A poza tym w ogóle nie warto się upijać przez baby. Konie, to co innego. Albo jak się przegra kupę forsy w faraona. Ale baby?

Collis wyjął cygara i poczęstował Andy'ego, ale ten odmówił.

– Słuchaj no, Collis – powiedział. – Nie bierz sobie tego aż tak bardzo do serca. Jest dzisiaj taki niby wieczorek towarzyski u Johna Frémonta; dostałem zaproszenie. Możesz iść ze mną, jak chcesz. Prawdę mówiąc, powinieneś tam pójść – to moja rada. Poznasz Johna i Jessie, a przecież już dawno, jeszcze na statku, obiecałem ci, że cię im przedstawię. No, a z tego, co wiem, będzie tam również Laurence Melford. Z całą rodziną.

– Laurence Melford? – upewnił się Collis.

– Mhm. Laurence Melford, sam we własnej osobie. I Anthea, i Sara, a nawet podobno Grant Melford, młodszy brat Sary. Właśnie wrócił z gimnazjum w Massachusetts.

Collis zapalił cygaro.

– Andy, naprawdę nie jestem w nastroju na takie przyjęcie. Zjem kolację i położę się do łóżka. Tak będzie najlepiej.

– A co tam takie gadanie! Co ty jesteś, panie dzieju, pustelnik jaki czy co? Pójdiesz ze mną i sam zobaczysz, że będziesz z tego zadowolony.

– Andy, po prostu mi się nie chce. Andy spojrzał na niego przebiegle.

– Przecież zależy ci na Sarze Melford, prawda?

– Oczywiście, że zależy mi na Sarze Melford – rzekł Collis. Czuł się zmęczony i myśl o Melfordach, ich królewskich pozach i prowincjonalnej arogancji była mu szczególnie niemiła.

Andy rozsiadł się znowu w fotelu, z nogami na biurku, przyciskając piętami nie dokończony list.

– Moim zdaniem powinieneś zebrać się w kupę i iść. Wiele drzwi wśród socjety z San Francisco otworzy się w ten sposób przed tobą, i co więcej, na pewno dowie się o tym Hanna, a może nawet zmieni zdanie i nie będzie się chciała z tobą pożegnać za zawsze. Na kobietę najlepiej działa zazdrość, szczególnie kiedy uważa, że to ty powinieneś być o nią zazdrosny.

– Będziesz mi tak wiercił w brzuchu dziurę, dopóki nie ustąpię, tak? – zapytał Collis zmęczonym głosem.

– A coś ty myślał? Pewnie, że tak!

– W takim razie przełamię się jakoś i pójdę, chociaż wcale mi się nie chce. Mieszkam w hotelu International. Przyjedź po mnie wieczorem, kiedy ci tam będzie pasować.

– No dobra. To jedna sprawa załatwiona – rzekł Andy. – A teraz pewnie chciałbyś pomówić o tych kocach?

– Nie. Nie chcę o nich mówić. Chcę je sprzedać. Andy umieścił koniec języka w mięśniach na policzku.

– Czy zależy ci na tym, żeby opylić je od ręki? To znaczy, czy musisz upłynnić je właśnie teraz, zanim wyjedziesz z San Francisco?

– Muszę koniecznie. Leland i Charles nalegają, żebym się wypłacił w terminie.

Wprawdzie przekazali już na mnie piętnaście procent akcji w firmie Tucker & McCormick, ale pod jednym, żelaznym warunkiem: że ich spłacę w gotówce przy końcu miesiąca.

– Mówili jakiego miesiąca?

– Oczywiście, że tak. Listopada. Tego miesiąca.

– Listopada pięćdziesiątego siódmego roku?

Collis spojrzał na Andy'ego, rozdrażniony.

– Co się stało? – zapytał. – Coś nie w porządku?

– Nie, nie. Nic takiego znowu wielkiego... – odparł Andy niepewnie.

– No, to co się tak wijesz jak piskorz. Moje koce są nadal w twoim magazynie, tak czy nie?

– Tak, tak.

– No, to w czym rzecz?

Andy zdjął nogi z biurka i zwałił je z hukiem na ziemię. Potem położył rękę na kolanach i zmarszczył brwi, wlepiając wzrok w jakiś nieokreślony punkt, jakby przycupnąwszy na desce w podwórkowym wychodku, starał się rozgryźć jakiś wyjątkowo trudny, a nie cierpiący zwłoki problem.

– Najpierw muszę cię zapewnić, że ja zupełnie nie maczałem w tym palców – powiedział w ramach wyjaśnienia.

– W czym nie maczałeś palców?

– W tym pożarze. Nie maczałem w tym zupełnie palców. Tu, w San Francisco, to jest na porządku dziennym. Wiesz, ludziska, panie dziejku, palą ogniska, pitraszą na dworze, palą łojówki. Poza tym pełno tu bandziorów i rozbójników. Wiesz jak to jest – połowa San Francisco ma świetny ubaw, jak co stanie w płomieniach, a druga połowa podkłada ogień, żeby im dostarczyć rozrywki. Więc człowiek jest, panie dziejku, jak się to mówi, między młotem a kowadłem.

– Chcesz powiedzieć, że moje koce się spaliły? – zapytał Collis.

Serce w nim zamarło, jakby dostał wiadomość, że stracił rodzoną matkę. – Te wszystkie koce? Cała ta moja inwestycja poszła z dymem?

– No nie, nie spaliły się tak zupełnie. Co to, to nie – rzekł Andy. – Są tylko takie, jakby tu powiedzieć... trochę przy – smalone po brzegach, wiesz, jak przypalone placki. A te na górze, no, większość z nich, mają dziury, ale... hm... może udałoby ci się jeszcze jakoś parę uratować. Ja straciłem pięć ton mąki owsianej i dwadzieścia galonów terpentyny, wszystko w tym samym pożarze.

Collis przetarł dłońmi oczy. Nie wiedział, co powiedzieć. Prawdę mówiąc, chciało mu się płakać, ale napłakał się już dosyć jak na jeden dzień. Przez coś, co też się właśnie wypaliło.

Coś delikatniejszego i cenniejszego niż koce.

– I co u diabła mam teraz zrobić? – zapytał, nie mogąc wyjść z szoku.

Andy skrzywił się i wydał wargi.

– Zupełnie nic. Nie możesz z tym nic zrobić. Nic tu nie poradzisz, bo nic nie było ubezpieczone. Musisz wrócić do Eagle Saloon i spróbować szczęścia w faraonie.

Collis zwiesił głowę. Gryzł zawzięcie paznokcie kciuka. Co za przeklęty, cholerny dzień.

Nic innego, tylko kara boska, do stu piorunów. Najpierw Hanna, a teraz to. A ten najeżony skurczybyk Teach, ten dopiero się będzie brał pod boki. Uśmieje się, aż mu się będą portki trzęsły.

Zmarszczył brwi. Zresztą Teach na pewno już o tym wie. Kiedy jednak rozmawiali ze sobą na przystani, a potem w Bank Exchange Saloon, nic o tym jakoś nie wspomniał. A może jednak jeszcze nic o tym nie wie? Collis spojrzął na Andy'ego.

– Kto wie o tym pożarze? – zapytał.

– Całe miasto. To był, widzisz, akurat wieczór, więc widowisko było nawet całkiem efektowne, nie powiem. Widziałeś kiedy dwanaście galonów terpentyny w płomieniach? W straży pożarnej myśleli, że zajmie się hotel Maritime i jeszcze i druga połowa tej całej cholernej ulicy.

– A Teach? Arthur Teach? Czy on też o tym wie?

– No pewno, że tak. Moja strata, jego zysk – tak to już jest w interesach.

. – Ale czy wie, że moje koce też tam były? Andy miał już coś na końcu języka, ale powstrzymał się i spojrzął na Collisa spod oka, marszcząc podejrzliwie brwi.

– Nie bardzo wiem, co ty tam sobie kombinujesz w tym twoim cwaniackim łbie – rzekł ostrożnie.

– Po prostu nie wiem, czy Teach zdaje sobie sprawę z tego, że te koce były tam, w tym magazynie.

– Tego nie wiem – rzekł Andrew. – Ale chyba nie. Skąd miałby wiedzieć? Nikt o tym nie wiedział. Nie ich zaszany interes.

– To dobrze. Na to właśnie liczyłem – odparł Collis. Podniósł się z krzesła. – Wiesz, gdzie jest biuro Arthura?

– Jasne, na California Street, pomiędzy ulicami Kearay i Montgomery, dokładnie naprzeciw Pacific Club. Ale jednak wolałbym wiedzieć, co ty tam knujesz.

Collis wyprostował swój szary cylinder i przyglądał brzegi kamizelki.

– Spotkamy się dziś wieczorem w hotelu International. Nic ci więcej nie mogę powiedzieć.

Collis pchnął uchylone drzwi, a Andy powiódł za nim wzrokiem, przyglądając się, jak unosi kapelusz, kłania się drwiąco i wychodzi. Wpatrywał się jeszcze jakiś czas w puste miejsce przy poręczy schodów. Potem westchnął, pokręcił głową i wrócił do swej pomiętej epistoły. Za oknem mgła zaczynała się powoli rozrzedzać i wyglądało na to, że do wieczora powinno się zupełnie przejaśnić. Niebo było zaćmione i bezbarwne, a ze wschodu dął wiatr, który zwiastował ciepłą niedzielę.

Wybiła piąta po południu. Arthur Teach, po dniu spędzonym pracowicie w biurze Pacific Securities, szykował się właśnie do wyjścia. Jego kancelaria, z wysokim sklepieniem i ścianami

wyłożonymi boazerią z sekwoi, stanowiła wyśmienity przykład kalifornijskiego gotyku. Promienie popołudniowego słońca, które rozjaśniały również poddasze Andy Hunta, padały w snopach światła na parkiet, nadając pomieszczeniu wygląd staroświeckiego klasztoru.

Arthur składał pod każdym listem zamaszyste, fikuśne podpisy, ostrząc już sobie apetyt na smażone małże i zimnego szampana. Ktoś delikatnie i nieśmiało zapukał do drzwi. Za rytą szybą w drzwiach, stał niczym topielec na dnie zmaconej wody w stawie Pudgett, kancelista, czekając z dłonią na klamce, aż szef da mu znak, że może wejść.

Arthur sam do siebie zamruczał pod nosem „Jasny gwint”, a potem zawołał: – Proszę.

Pudgett wsunął głowę przez uchylone drzwi i uśmiechnął się przepaszająco.

Rozczochrane włosy sterczały mu na głowie we wszystkich możliwych kierunkach, a na czubku jego nosa tkwiły maleńkie okulary.

– Przepraszam, że pana fatyguję o tak późnej porze, Mr Teach, ale ktoś chce się z panem zobaczyć. Mówi, że to bardzo pilna sprawa, której się za nic nie da odłożyć, ale że z pewnością będzie pan nią zainteresowany.

– Na pewno zapomniałeś zapytać, jak się nazywa – warknął Arthur.

– Nie, proszę pana, nie zapomniałem. Nazywa się McReady, proszę pana. Mr Daniel McReady.

Arthur podpisał jeszcze jeden list, pociągnął nosem, osuszył bibułą atrament i wrzucił kopertę do drewnianej szufladki oznaczonej napisem „Akta podpisane”.

– A skąd on jest? I czego chce?

– Tego mi nie powiedział, proszę pana.

– Wobec tego będzie musiał uzgodnić ze mną termin spotkania wedle ogólnie przyjętych zasad. Nie mogę przyjmować ludzi, którzy nie raczą nawet wyjaśnić, po co się chcą ze mną zobaczyć. Jeśli odmawiają podania przyczyny swojej wizyty, to ja równie dobrze mogę odmówić widzenia się z nimi.

Pudgett zwilżył wargi językiem.

– Powiedział, żebym wspomniał o kocach, proszę pana. O jakimś wyjątkowym ładunku koców.

Ręka Arthura zawisła nad ostatnim listem. Odbijające się w stalówce promienie migotały niczym jaśniejąca gwiazdka.

– Cooo? – spytał cicho.

– Nie wiem, o co mu chodzi, proszę pana. Ale mówił, żebym wspomniał o kocach.

Arthur spojrział na nie podpisany list. Odłożył pióro. Pudgett obserwował go niepewnie zza drzwi.

– No dobra – rzekł wreszcie Arthur. – Niech wejdzie.

Pudgett zniknął za drzwiami, a Arthur czekał, nie ruszając się z miejsca. List leżał przed nim dalej nie podpisany, a ze stalówki kapął miarowo atrament, rozlewając się w wielkiego, czarnego kleksa tuż nad słowami „Z poważaniem”.

Chmury przesłoniły słońce, a klasztorne snopy światła rozplywały się w nicłość, jeden po drugim.

– Mr McReady, proszę pana – zaanonsował Pudgett i drzwi otworzyły się gwałtownie, jakby pchnął je ze złością ktoś w potwornie kwaśnym humorze.

Dudniąc okutymi buciskami o wypastowany parkiet, podszedł do niego niski, krępy jegomość w brązowym garniturze w prążki; jego oczy miały odcień nie obrobionych, matowych opali, a ogólnie robił wrażenie ofiary losu.

Arthur powstał i wyciągnął rękę na powitanie. Dan McReady potrząsnął wściekle głową i spojrzał na wyciągniętą w swym kierunku dłoń, jakby zaraz miał zamiar ją ugryźć. Ale po chwili również wyciągnął dłoń i uściśnął rękę Arthura, a następnie z przeraźliwym wręcz łomotem osunął się na skórzany, wysadzany ozdobnymi metalowymi talarkami fotel.

– Mój kancelista powiedział mi, że przychodzi tu pan w sprawie koców – rzekł Arthur.

– Eheee.

Arthur odwrócił się w jego stronę.

– Ehe? – powtórzył głosem, który zachrobotał jak papier ścierny.

Ale Dan McReady nie stracił kontenansu.

– Ehe. Przychodzę w sprawie koców. Nadmieniłem o tym pańskiemu kanceliście.

– Ach tak – rzekł Arthur, opierając się o biurko. – A czy i ze mną zechce pan o nich porozmawiać?

– A czego bym się miał certować? Tylko że najprzód trza by ustalić cenę.

– A jaką cenę?

– Godziwą cenę, Mr Teach. Zwyczajnie, godziwą cenę.

– Naturalnie – rzekł Arthur Teach. – Jeżeli nie będzie między nami rozbieżności w poglądach co do wysokości „godziwej ceny”.

Wysokość „godziwej ceny” nie zdawała się robić wielkiego wrażenia na Danie McReady, bo nic się nie odezwał. Zamiast tego sięgnął do kieszeni surduta i wyjął starannie złożoną kartkę papieru, którą rzucił na biurko Arthura. Arthur obszedł biurko dokoła i podniósł zwinięty świstek.

– To jest rachunek za ładunek z „Arii” – rzekł McReady w ramach wyjaśnienia. – Jeśli umie pan czytać, to zobaczy pan, że został wydany na koce, dwadzieścia pięć ton koców po pięć funtów wagi sztuka.

– Tak – rzekł Arthur, cedząc słowa, nie odrywając wzroku od zmiętego świstka papieru.

– To jest rzeczywiście ten rachunek. Ale czy wolno zapytać, jak on się dostał w pańskie ręce? Sądziłem, że znam właściciela tych koców, i wiem na pewno, że to nie pan.

Dan McReady wzruszył ramionami, jakby miał głęboko w nosie, co Arthur mógł o tym wszystkim sądzić.

– Kupił je pan? – dopytywał się Arthur. – Ile pan zapłacił?

– Należą tymczasowo do mnie, proszę pana, jako zastaw za przegraną w karty. Grubą przegraną. Zajmuję się hazardem, widzi pan. Zawodowo. Może pan popytać naokoło, a zobaczy pan – ludziska znają mnie wszędzie. Tak się akurat złożyło, że grałem w pokera z poprzednim właścicielem tych koców, a on przegrał dwanaście tysięcy dolarów.

– Aha. I dał panu te koce w zastaw? Za długi?

– Właśnie, proszę pana. Chociaż w umowie stoi, że jeśli uda mu się zebrać gotówkę przed północą, to koce wrócą do niego. Znaczą się, jeżeli nie uda mi się ich wcześniej odsprzedać, rzecz jasna.

Arthur Teach przyglądał się wąsiska. Nie odzywał się ponad minutę; w przygniatającej ciszy czuć było wzrastające napięcie. Spoza rytych, szklanych drzwi słychać było brzęk kluczy oraz klekot porządkowanych kałamarzy i odkładanych do pudełka stalówek. Ciężki, salamandrowski sejf zamknął się z trzaskiem na noc.

– A dlaczego przychodzi pan z tym właśnie do mnie, jeśli wolno wiedzieć? – rzekł wreszcie Arthur.

Bez zmrużenia oka Don McReady odpalił: – Wiem dobrze, co się dzieje w kregach handlowych. Słyszałem, że te koce zostały zakupione od kapitana „Arii”, zanim jeszcze statek zarzucił kotwicę. To już dzisiaj tajemnica poliszynela.

– Tak – przyznał Arthur niechętnie. – Chyba rzeczywiście wszyscy już o tym wiedzą.

Znowu zapadło milczenie, ale nie trwało długo. Tym razem przerwał je McReady: – No więc chce pan te koce, proszę pana? Dla mnie to tylko kłopot i tyle.

Arthur przełknął ślinę.

– Jak już mówiłem uprzednio, wszystko zależy od ceny.

– Cena zależy od pogody, nie sądzi pan, proszę pana? Akurat teraz mamy całkiem ładną pogodę; na razie jeszcze za ciepło na koce, więc nie mógłbym z czystym sumieniem żądać za nie zbyt wiele. Powiedzmy dwa dolary za koc, tyle żeby pokryć wydatki, w co wchodzi tantiema od utargu, magazynowanie i koszty własne.

– Dwa dolary? – Arthur zmarszczył brwi. – To będzie... chwileczkę... dziesięć tysięcy kocy; dwadzieścia pięć tysięcy ton, to będzie... dwadzieścia tysięcy dolarów!

– Eheee – przyznał Dan McReady. – Zgadza się. Dobrze pan to sobie wszystko obliczył.

– Nie ma mowy – rzekł Arthur. To za drogo. Dwadzieścia tysięcy dolarów! Nie, nie. Pan je przecież dostał za dwanaście tysięcy. Chyba nie sądzi pan, że powinienem panu dopłacić jeszcze osiem tysięcy tylko za samą dostawę?

Twarz McReady’ego nie zdradzała nawet najmniejszego wzruszenia. Wyglądał jak jeden z tych szyderych oprychów na listach gończych – o kamiennych rysach twarzy, albo trochę tępawy kuzynek, który spogląda z tła poźółkłej, czarno-białej fotografii rodzinnej.

– Płaci pan nie tylko za samą dostawę, proszę pana – powiedział do Arthura konspiracyjnym szeptem. – Płaci pan również za przywilej otrzymania ich z rączki do rączki, bez konieczności licytacji na giełdzie oraz za ogromną satysfakcję, którą przyniesie panu rewanż na poprzednim właścicielu.

Karciarz odwrócił twarz w stronę okna.

– Wie pan równie dobrze jak ja, że gdzieś w styczniu, jak się już porządnie oziębi, te koce osiągną cenę od czterech do pięciu dolarów za sztukę, albo i więcej. Jeśli się pan zdecyduje na ten zakup, nawet po dwa dolary za sztukę, to i tak pozbawi pan poprzedniego właściciela od dwudziestu do trzydziestu tysięcy dolarów zysku. Jak nie więcej. I czy nie będzie on wtedy, kurczę pieczone, zgrzytał zębami? A pan? Czy nie będzie pan wtedy uchodził za najprzewrotniejszego handlarza na całej Montgomery Street? Niech no tylko kto wtedy panu podskoczy, to ho, ho!

– Dwa dolary to i tak za dużo – upierał się Arthur.

– W ogóle nie ma nawet o czym mówić.

– Jak pan chce – odparł Dan McReady. – Nie moja strata, czy je pan weźmiesz, czy nie. Dla mnie to żaden uszczerbek, jak pan pozwoli, żeby szansa rewanżu przeszła panu koło nosa. Niech pan tylko pamięta, że na razie jest jeszcze ciepło, słońce stoi jeszcze dość wysoko, ale mówią, że o północy ma się oziębić. A wtedy może będę musiał podnieść cenę za każdą godzinę pańskiego wahania. Teraz, dwadzieścia po piątej, cena stoi na dwa dolary za sztukę, ale o dziesiątej może być już trzy dolary, a o jedenastej trzy pięćdziesiąt.

Wstał i odepchnął od siebie krzesło. Podniósł z biurka Arthura swój rachunek za koce i przytrzymał go w górze między palcami.

– Sam pan widzi, że to oryginał, nie jakiś tam nędzny duplikat. A jak chce pan rzucić okiem na koce, to są w magazynie Parkinsona, na Davis Street.

Arthur Teach zatrzymał się przy oknie. Pokusa była ogromna. Odegrać się na Collisie Edmondsonie, a przy tym zarobić na tych kocach o połowę więcej, niż to sobie początkowo wykalkulował – no, to by była dopiero gratka! Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy! I bardzo słusznie! Słuszna nagroda za poniesione straty, zarówno materialne, jak i moralne.

Zdobyłby też renomę cwanego franta i zamknął gęby tym, co’ szeptali poza jego plecami: „Ach, ten nasz biedny Arthur, pocziwina”. Żółć go zalewała na samą myśl o tych kpiąco – współczujących uśmieszkach, kiedy tylko kto wspomniał o kocach. Odetchnął głęboko.

– A czy przyjąłby pan pokwitowanie zamiast gotówki? – zapytał. – Tylko do jutra rana, zanim otworzą banki. .

Dan McReady potrząsnął głową odmownie. Był to ruch ledwie dostrzegalny, ale wymowny.

– No, to wobec tego jesteśmy w kłopotcie – rzekł Arthur. – Nie mam w zwyczaju nosić przy sobie, wokół pasa, dwudziestu tysięcy dolarów w złocie i pod żadnym pozorem nie wolno mi zaciągać osobistych pożyczek z sejfu przedsiębiorstwa.

Wyraz twarzy Dana McReady nie zmienił się.

– Pańskie zmartwienie, proszę pana – powtórzył. – Na cokolwiek by się pan zdecydował, to wszystko zależy od pana.

Arthur skrzywił się i pomyślał nad tym raz jeszcze.

– Te koce – zapytał – to czysta żywa wełna, tak?

– Wyśmienity gatunek, proszę pana.

– A są w dobrym stanie?

– Nie mogłyby być w lepszym, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności.

Arthur wahał się jeszcze przez moment, a potem schylił się nad biurkiem i uderzył w nieduży mosiężny dzwoneczek. Za chwilę Pudgett wsadził głowę przez uchylone drzwi.

– Pudgett, zamknąłeś już na noc sejf?

– Dopiero co, proszę pana.

– Wobec tego proszę go otworzyć i przynieść mi tu dwadzieścia tysięcy dolarów w złotych monetach. I proszę to pokwitować, tak żeby przedsiębiorstwo miało pokrycie na tę sumę, dopóki nie otworzą banków jutro z samego rana.

Pudgett zerknął najpierw na Arthura, a następnie na Dana McReady, ale potem zniknął za drzwiami, żeby wykonać polecenie. Arthur założył kciuki za rogi tabaczkowej kamizelki i uśmiechnął się do Dana McReady nieznacznie, ale prawie tryumfalnie.

*

Pod willą Frémontów – budynkiem z białymi arkadami, który stał po południowej stronie zakola w zatoce San Francisco – w rozświetlonych, rozbrzmiewających dzwoneczkami kolumnach zjeżdżały się powozy rycerstwa i co bogatszych i bardziej dystyngowanych przedstawiciele łopaciarzy. Konie parskały, potrząsając grzywami. Stangreci rozsiedli się na niskim kamiennym murku, który okalał wjazd na dziedziniec, a mgliste wody zatoki, zroszone drobniutkim kapuśniaczkiem, miały kolor fiołkowofioletowy.

Poprzez szyby oszklonej werandy, oczka w głowie Jessie Frémont, migotały wiszące żyrandole i widać było wystrojone damy oraz szykownie ubranych dżentelmenów, roześmianych, zatopionych w inteligentnych rozmowach. Bret Harte, który spóźnił się trochę, zauważył, jak tylko wszedł: – Dziś wieczór, tu, w tym domu, więcej jest brylantów niż w całej Południowej Afryce, a atlasu i jedwabiu tyle, że starczyłoby na przyodziewek dla niejednej potężnej słonicy.

Było to jedno z tych spotkań towarzyskich, które pani domu, Jessie Frémont, lubiła najbardziej: udało jej się zgromadzić pod jednym dachem tych, którzy reprezentowali bogactwo, towarzyską oglądę, talenty krasomówcze, olśniewającą urodę oraz zwodniczą zalotność. Kojarzyła ich przy tym w sobie tylko właściwy sposób, tak że rumiani duszpasterze wdawali się ni z tego, ni z owego w spory z anemicznymi hazardzistami z Sansome Street, a młodzi, awangardowi literaci zabawiali, nie bez prowokacji, damy o łabędzich szyjach z South Parku. Początkowo południowa arystokracja z Rincon Hill trzymała się od Jessie z daleka. Była ona wszakże Jankeską, a przy tym żoną ostatniego republikańskiego kandydata na prezydenta. Wkrótce jej wesole, zajmujące i wystawne wieczorki zyskały sobie jednak ogólną aprobatę i zakreślano je w kalendarzach towarzyskich z równą gorliwością, jak bale maskowe u Belli Gwin albo sute bankiety wydawane przez Isaaca Friedlandera.

Collis i Andy przyjechali wynajętym fiakrem o ósmej, po paru kieliszkach ponczu Pisco w barze hotelu International. Collis miał pod oczami sine podkowy, a cerę nienaturalnie bladą.

Ale owa bladość nadawała mu wygląd romantycznego, pozbawionego złudzeń amanta, więc gdy w swoim wieczorowym surducie i wykrochmalonym białym kołnierzyku wchodził po schodach krużganka Frémontów, z wnętrza willi, spoza wachlarzy i falbanek pionierskich cór z South Parku, rozległy się szepty uznania i podniecony szczebiot.

Weszli do jasno oświetlonego przedpokoju, wyłożonego marmurem w arabski deseń.

Lokaj, Murzyn w upudrowanej peruce, odebrał od nich kapelusze, laski i palta, a potem jeszcze inny lokaj wprowadził ich do salonu, gdzie zaanonsowano ich przybycie. Na widok połyskujących wokół zwierciadeł i migotliwych świateł, w otoczeniu zatopionych w towarzyskiej pogawędce gości, Collis poczuł nagły przypływ tęsknoty za Nowym Jorkiem.

Taka nostalgia chwyta czasem wygnańca na obczyźnie, gdy usłyszy rozmawiających płynną angielszczyznę podróżnych albo gdy zniemacka podrażni mu nozdrza zapach przyrządzanego domowym sposobem dorsza, po latach jedzenia baraniny w indyjskich korzonkach. Odkąd przyjechał do San Francisco, nie był jeszcze na żadnym bankiecie towarzyskim i prawie już zapomniał, co to za rozkosz poflirtować sobie z roztrzepanymi podlotkami i pogadać do rzeczy z dobrze sytuowanym i wysoko postawionym, ale mocno podchmielonym dżentelmenem. Po zerwaniu z Hanną, po długich tygodniach spędzonych wśród handlarzy żelastwem i kołtuńskich, zrządzających mieszczek z Sacramento, na nic nie był tak bardzo łasy jak na kokieterijne spojrzenia płci pięknej i na uznanie w towarzystwie równych sobie klasowo. Kiedy lokaj zaanonsował: „Mr Andrew Hunt i Mr Collis Edmonds”, stanął prawie na baczność, z głową wysoko podniesioną, przeżąc dumnie pierś i prostując się w ramionach.

Ze stojącej obok grupki podtatusiałych panów w czarnych frakach i ich obwieszonych biżuterią małżonek wysunęła się drobna, ciemnowłosa kobieta, ubrana w skromną, ale bardzo elegancką suknię z delikatnego, białego batystu, haftowaną w chabrowe kwiatki, z całą masą koronkowych halek pod spodem. Usta miała pełne, a twarz pociągłą, z wyrazem łagodności w dużych, migdałowych oczach, jak u egipskiej księżniczki. Wyciągnęła na powitanie dłoń do Andy Hunta i

powiedziała: – Mr Hunt. Świetnie, że się pan jednak zjawił. Widzę, że przyprowadził pan również ze sobą znajomego.

Andy skłonił się szarmancko.

– Mam nadzieję, że nie sprawi to państwu kłopotu, Mrs Frémont. Pomyślałem sobie po prostu, że wcześniej czy później będą go państwo chcieli poznać, ponieważ jest predestynowany do tego, by przejść do historii tego miasta. Mrs Frémont, mam zaszczyt przedstawić pani pana Collisa Edmondsa z Nowego Jorku. Collis, to jest Mrs Jessie Benton Frémont.

– Ho, ho! – rzekła Mrs Frémont, gdy Collis ujął jej dłoń i musnął brylant na jej palcu w delikatnym pocałunku. – Muszę wyznać, że doszły już nas słuchy o panu, Mr Edmonds.

Zyskał tu już pan sobie reputację, jak by tu powiedzieć, zawadiaki.

– Zawadiaki, proszę pani? – zapytał rozbawiony. Wygląda bardzo młodo, pomyślał ze zdziwieniem, biorąc pod uwagę, że wyszła przecież za męża za Johna Frémonta ponad dziesięć lat temu, kiedy on ruszył na zwiad Szlakiem Oregońskim z Kitem Carsonem i Fitzpatrickiem Złamaną Rączką, i że słynny bestseller na temat Zachodu, który wyszedł spod pióra Frémonta, powstał również przy jej współudziale. Nie mogła mieć zresztą więcej niż trzydzieści jeden, może trzydzieści dwa lata, a była świeża i świadoma swej urody niczym dwudziestolatka.

Mrs Frémont zrobiła skromną minkę i spuściła oczy.

– No, nie wiem już sama, co mogłoby być lepszym dowodem czupurności niż przestrzelanie na strzepy cudzych kapeluszy albo wiosłowanie w drewnianym czólnie do zatoki, żeby zdmuchnąć komuś sprzed nosa zarobek.

Collis wyprostował się i oddał jej nieco szyderczy ukłon.

– Osobiście, Mrs Frémont, uważam to po prostu za dowód znakomitego poczucia humoru, na miarę naszych czasów. Wolę tak o tym myśleć.

Mrs Frémont roześmiała się radośnie i perliście. Ci z zaproszonych gości, którzy stali najbliżej, odwrócili się podejrzliwie, aby zobaczyć, co ją tak rozbawiło. Szturchano się i szeptano po kątach, a niejedne brwi ściągnęły się w wyrazie najwyższej dezaprobaty. Socjeta San Francisco była nadal niemal chorobliwie przeczulona na punkcie swych prostackich początków z czasów Bear Flag* oraz braku utytułowanych praprzodków, protegowała więc swój złoty krąg zazdrośnie, traktując kupców i rozpychających się łokciami dorobkiewiczów z wyszukaną pogardą. Jednak ze względu na to, że Collis miał wygląd i maniery dżentelmena ze Wschodu, nie mogli go jakoś zaszufłakować jako parweniusza, co wprawiało ich teraz w ogromną konsternację. A poza tym, jeśli udało mu się rozśmieszyć Jessie Frémont w ciągu paru pierwszych minut znajomości, to może jednak istotnie miał rodowód i obycie, które pozwolą mu okazać się w niedalekiej przyszłości cenną towarzyską zdobyczą. Drażniło ich, że nie wiedzieli kto on zacz, skąd się tam nagle wziął i czynnie stanie się aby niebawem „gwoździem” nadchodzącego sezonu. Zawistne matrony z South Parku wzięły go zaraz na języki, a niewinne pogaduszki oraz głośne dyskusje na sali zamieniły się w konspiracyjny szept.

– Muszę pana – natychmiast przedstawić mężowi – oznajmiła Jessie Frémont. – Nie jestem pewna, czy przemówi do niego pańskie poczucie humoru, ale lubi poznawać świeżo upieczonych Kalifornijczyków i brać ich na spytki, aby dowiedzieć się, co sądzą o tym mieście.

– Na początku wydawało mi się, że San Francisco to po prostu rozłożony na pagórku cygański tabor – rzekł Collis. – Ale dziś widzę, że jest w tym wszystkim swoiste piękno, swoisty czar, swoisty styl, a wszystkie te trzy przymioty uosabia Pierwsza Dama San Francisco.

Tu skłonił się w jej stronę. Mrs Frémont oblała się rumieńcem.

– Cóż z pana za pochlebca, Mr Edmonds. Lepiej przedstawię już pana mężowi, zanim uda się panu zupełnie mnie zawojować.

Przeprosiła na chwilę kółko swoich poprzednich rozmówców i powiodła Collisa i Andy'ego poprzez tłum ciekawskich gości, niczym dwóch dostojnych, europejskich magnatów. Był to jeden z niezawodnych towarzyskich chwytów, nawet jeśli chodziło tylko o nierozgarniętych baranów ze Schlezwika – Holsztynu. Collis wczuł się w swoją rolę doskonale i przechodząc przez zastawiony doniczkowymi palmami, statuetkami i rokokowymi meblami salon, rozdawał na prawo i na lewo ukłony i czarujące uśmiechy.

Na zewnątrz, na oszklonej werandzie, było chłodniej, a rozmowy zdawały się mniej hałaśliwe. Collis rozpoznawał twarze bankierów i finansistów z Montgomery Street oraz wiele innych zarośniętych i cieszących się ogólnym poważaniem fizjonomii, które widywał w Barry & Patter's i w Auction Lunch. W kącie, w wypalonym fotelu, brodaty mężczyzna o płomiennym spojrzeniu perorował coś z wielkim ożywieniem w gronie młodych, oczarowanych dam.

– To Herman Melville* – wyjaśniła mimochodem Jessie Frémont, gdy przechodzili obok. – Bardzo obiecujący, utalentowany młody człowiek. Zna pan jego utwory?

– Niestety, wyznać muszę, że ostatnio moje lektury ograniczają się do nalepek na butelkach z odtrutkami na kaca. Ale to chyba typowe dla San Francisco, prawda? Najpierw libacja, potem kolacja, a lektura na samym ostatku.

Posuwając się za Jessie Frémont, znaleźli się teraz w tej części werandy, która wychodziła na zatokę. Na zewnątrz zrobiło się już całkiem ciemno. Jeszcze tylko parę fiołkoworóżowych pierzastych chmurek snuło się po niebie od zachodu, ponad górami.

Collis rozpoznawał Johna Frémonta z fotografii, które widywał w kalifornijskich gazetach.

Był mężczyzną nie więcej niż średniego wzrostu, o śniadej, zmęczonej twarzy i podkrążonych, melancholijnych oczach. Rozmawiał z wysokim mężczyzną, który stał tyłem do Collisa, a mówiąc pociągał za bródkę, jakby chciał się upewnić, czy jej aby na pewno nie zgubił gdzieś w tumanach kurzu na wędrownym szlaku albo brnąc po pas w śniegu na zboczach Sierra Nevada. Wieczorowy surdut wisiał na nim, jakby właściciel schudł bardzo od czasu ostatniej przymiarki, a nieporządnie zawiązany krawat dyndał mu smętnie na koszuli.

Mimo to jednak był zdecydowanie przystojny i kiedy Jessie podeszła do niego, obrzucił ją na powitanie melancholijnym spojrzeniem, którym podbił serce niejednej ślicznotki.

Jessie ujęła go za ramię.

– John, kochanie. Pozwól, że ci przedstawię pana Collisa Edmondsa z Nowego Jorku.

Pana Andrew Hunta nie muszę ci chyba przedstawiać.

Ważnie wtedy wysoki mężczyzna, z którym rozmawiał John Frémont, odwrócił się w ich stronę. Był to Laurence Melford. Twarz miał zmęczoną z niedospania, po hucznych, całonocnych biesiadach i popijawach. Nie wyciągnął ręki na powitanie, ale skłonił się nieznacznie w stronę Andy Hunta, a potem w stronę Collisa, i rzekł: „Moje uszanowanie” głębokim, niskim głosem, który był zarówno dystyngowany, jak i groźny.

– I jak się panu podoba nasze miasto, Mr Edmonds? – spytał John Frémont. – Znalazł już tu pan jakieś godziwe zakwaterowanie? Mamy doskonałe hotele, wcale nie gorsze od nowojorskich, ale niestety, zawsze przepelnione. Bez przerwy zjeżdżają się tu ludziska z całej Ameryki.

– Musiały tu zajść ogromne zmiany w ciągu ostatnich lat – zauważył Collis. Mówił do Johna Frémonta, ale wpatrywał się w Laurence’a Melforda. Melford natomiast skoncentrował całą swą uwagę na marmurowej posadzce werandy i przysłuchiwał się tej konwersacji z miną zasłużonego „dyrektora szkoły, który słyszał już więcej idiotycznych wymówek niż sam święty Piotr u wrót raju.

– Zmiany? – rzekł John Frémont. – Tak, oczywiście. I to zasadnicze zmiany. – Jego głos brzmiał prawie nostalgicznie. – Na przykład kiedy Sam Upham zjawił się tu najpierw w lecie czterdziestego dziewiątego roku, zainstalował się w kabinie starego kutra, który kupił za sto dolarów, a wszystko, co miał to był worek mąki za stół i skrzynia gwoździ za taboret.

Musiał spać w poprzek, bo kabina była o osiem cali krótsza od niego. To było, proszę pana, na Happy Valley, przy końcu Market Street, od południa, na bagnach. I wie pan co? Wyjechał na rok, a jak wrócił, to na tym miejscu, gdzie kiedyś stała jego szalupa, zastał tylko pogorzelisko, ale za to wokół betonowe gmachy. Tak to się zmieniło, proszę pana.

– Mówi pan, jakby żał panu było tamtych lat.

– Naprawdę? – rzekł Frémont. – Nie, chyba nie. Może mi żał tylko pionierskiego ducha. Zacięcia. Ci pierwsi przybysze byli również bardzo uczciwi. Można było na tygodnie zostawić cały dobytek bez dozoru i nikt tego nie ruszył. Dzisiaj to już oczywiście niemożliwe.

– Dzisiaj to miasto to po prostu siedlisko rozpusty – wtrącił Laurence Melford, mówiąc jakby sam do siebie. – Na – zjeżdżało się tu takiego tałatajstwa, grandziarzy, nicponi, a za nimi przyleciała w te pędy cała zgraja dziwek i stręczycieli.

John Frémont ściągnął z zażenowaniem brwi, nie wiedząc, co o tym myśleć, a potem szybko zmienił temat.

– Ale nie powiedział nam pan jeszcze, czym się pan trudni, Mr Edmonds. Ma pan własny biznes, czy jest tu pan tylko przejazdem?

– Pracuję aktualnie w handlu sprzętem gospodarskim – odpowiedział Collis. – Zna pan Lelanda McCormicka i Charlesa Tuckera? Zostałem ich współnikiem w Sacramento.

– To bardzo porządni ludzie – rzekł Frémont. – Bardzo porządni. Dobrze pan zrobił, że wszedł pan z nimi do spółki.

– To dopiero początki – odparł Collis. – Moim celem jest wybudowanie kolei. Do tego zmierzam.

Laurence Melford popatrzył na niego spode łba. Potem odwrócił się i spojrział przez szybę werandy na zewnątrz, jakby nie miał zamiaru wysłuchać raz jeszcze trucia Collisa na temat kolei.

– Kolei... – odpowiedział jak echo John Frémont. – O! Co za zbieg okoliczności! Ja sam zajmowałem się swego czasu projektem budowy drogi żelaznej, choć podejrzewam, że moje plany musiały być nieco bardziej ambitne od pańskich. Chodziło mi o Unię kolejową Pacific przez Góry Skaliste. A ciężko było, powiem panu, bardzo ciężko. Zawieje śnieżne takie, jakich pan nigdy jeszcze w życiu na oczy nie widział. Straciliśmy jedenastu ludzi.

Zamarzli na kość. Mówią, że to była najgorsza śnieżycza od wielu, wielu lat.

Potem Frémont uśmiechnął się nieznacznie. Wyglądało, że myślami był zupełnie gdzie indziej, daleko stąd.

– Większość członków mojej ekipy wyszła jakoś z tego cało, dzięki Bogu – dorzucił. – I znaleźliśmy odpowiednią drogę pod budowę takiej kolei, Bawoli Trakt. Ale to były ciężkie czasy, bardzo ciężkie.

– No, a co z tą koleją? Nie porzucił pan chyba swoich planów? Kiedy ma pan zamiar wprowadzić ten projekt w życie? – zapytał ostrożnie Collis.

– Co? – ocknął się nagle Frémont. – Kiedy? No, proszę pana, wszystko w swoim czasie. Kongres musi najpierw znaleźć na to pieniądze w swoim budżecie i wyrazić zgodę na rozparcelowanie gruntów pod budowę. Potem muszą być przeprowadzone wszystkie pomiary; trzeba przygotować podkłady i ułożyć tory. Ale nie zdziwiłbym się, gdyby pociągi jeździły już przez Bawoli Trakt w obie strony, tam i z powrotem, przez calutką Amerykę, zanim jeszcze stanę przed obliczem mego! Stwórcy; nie zdziwiłbym się wcale. I jeśli nazwą jedno z tych przejść w Górach Skalistych moim imieniem, to, przyznać muszę, wcale się nie obrażę.

Pogładził się jeszcze po brodzie i pokiwał głową. Potem zauważył, że prawie zapomniał o swoich gościach, więc podniósł głowę, spojrział na Collisa i spytał: – No a pana kolej? Proszę mi powiedzieć coś na ten temat. Mówi pan, Sacramento? To co? Chce pan ją połączyć z linią Sacramento Valley? Co pan będzie budował? Jakies odgałęzienie?

– Nie, proszę pana. Moje aspiracje nie są wcale aż takie skromne.

– No, to... niechże zgadnę... Chce pan przeprowadzić kolej żelazną z Oakland do Sacramento?

Collis pokręcił głową przecząco.

– Nie ten kierunek. Ja chcę zbudować kolej z Sacramento na wschód, poprzez Sierra Nevada, do Salt Lake City, a może i dalej, do Laramie, i jeszcze raz na wschód, wzdłuż czterdziestego pierwszego równoleżnika, do Omaha w Nebrasce.

Laurence Melford prychnął lekceważąco na cały głos i nawet John Frémont też miał minę wielce niepewną. Zanim zdobył się na odpowiedź, przyjrzał się dobrze Collisowi, przekręcając głowę w bok, jakby chciał się upewnić, czy ten aby nagle nie zbzikował albo czy nie stroi sobie z niego głupich żartów.

– No cóż, Mr Edmonds – rzekł wreszcie po chwili milczenia. – To bardzo ambitny program. Ale proszę się nie obrażać, że zapytam: czy ma pan w tej dziedzinie ekspertyzę?

Czy jest pan inżynierem albo choćby topografem?

– Nie – odparł Collis.

– Więc może ma pan znajomych w Kongresie? Środki finansowe?

– Ani jedno, prawdę powiedziawszy, ani drugie.

– Wobec tego, przyjacielu – oznajmił John Frémont z satysfakcją – przykro mi, ale to po prostu czyste mrzonki. Rozumiem dobrze pana ambicje. I wczuwam się w pańskie motywy. Niezupełnie zgadzam się z panem co do trasy. Ale, pomijając te wszystkie względy, nie ma pan najmniejszej szansy, żeby ułożyć choćby tylko trzydzieści mil szyn kolejowych, nie mówiąc już o trzech tysiącach!

Frémont spojrział na Laurence'a Melforda, jakby szukając w nim poparcia, i z jego pogardliwej miny wyczytał, iż on sądzi, że mają najprawdopodobniej do czynienia ze zwykłym parweniuszem-gadulą, który klepie coś trzy po trzy: bez pieniędzy, bez poparcia i bez przyjaciół w Waszyngtonie. Pocieszyło go to. Odetchnął z ulgą. Mimo że John Frémont chełpił się głośno odkryciem trasy przez Bawoli Trakt, tak po cichu, w głębi duszy wołał, aby pomysł transkontynentalnej kolei od Pacyfiku po Atlantyk pozostał chlubną, ale nie spełnioną narodową fantazją, więc temat ten w domu odkrywcy był wciąż jeszcze tematem tabu. Myśl o tym, że ktoś inny może położyć szyny w miejscu, gdzie on sam doznał sromotnej, mrozącej krew w żyłach klęski, była mu wielce niemiła. Raniło to jego poczucie osobistej godności. A już szczególnie, gdyby tym kimś miał się okazać taki rozłajdaczony gówniarz, jak ten cały Collis Edmonds, który przywłókł się prosto z salonów gry i spelunek nowojorskich wyższych sfer.

– Niech pan już weźmie pod uwagę tylko pierwszą przeszkodę – rzekł Frémont z kwaśnym uśmiechem. – Nie jakieś tam pagórki, tylko Sierra Nevada! No, niech pan sam tylko pomyśli – żadna lokomotywa nie wdrze się na takie zbocza. Przełęcz Donnera leży mniej więcej sześć tysięcy stóp nad poziomem morza! A... te... kąty nachylenia są bardzo ostre. A tam znowu, gdzie nie jest aż tak stromo, nie znajdziesz pan prostej drogi. Więc pański topograf będzie miał nie lada trudny wybór: albo urwiste zbocza, albo kręte serpentyny.

Collis cofnął się o krok, gdy lokaj wnosił tacę z szampanem. Wzięli po kieliszku i wtedy dopiero Collis rzekł spokojnie, jakby przeświadczony o własnej słuszności.

– Jeśli chodzi o Sierra Nevada, to zgadzam się z panem całkowicie. Te szczyty są nie do przebycia. Tak mi przynajmniej mówiono. Ale dlaczego moja kolej nie byłaby w stanie jakoś pokonać tych trudności, skoro twierdzi pan, że pańskiej niemalże się to udało?

Frémont odchrząknął speszony: – To jest właśnie kwestia ekspertyzy, Mr Edmonds. Moja kolej nie była mrzonką amatorów. Była planowana przez fachowców i dlatego udało się nam nawet znaleźć przejście – przez góry. Niech pan nie zapomina, że nazywają mnie tu odkrywcą.

– Tak, oczywiście – rzekł Collis głosem, w którym słychać było zaledwie szczyptę sarkazmu.

– Tak – upierał się Frémont. – Bo niech pan nie zapomina, że kiedy pan był jeszcze sztubakiem, gołowąsem, ja już pracowałem jako geometra w Wojskowym Korpusie Topograficznym i układałem tory z Charleston do Cincinnati. I niech pan również nie zapomina, że znam od podszewki cały Kongres i jego metody działania. Nie może pan tak po prostu zabrać się do budowy kolei transkontynentalnej, bo taki ma pan akurat kaprys. Musi pan mieć poparcie i fundusze z Waszyngtonu.

– Oczywiście – rzekł Collis. – No przecież! Byłbym zapomniał! Ojciec pańskiej szacownej małżonki to nie kto inny, tylko sam senator Benton z Missouri. On przecież bardzo popiera ideę budowy transkontynentalnej kolei, jak słyszałem?

– Tak – rzekł Frémont głosem, w którym czuć było rozdrażnienie. – Tak, można by tak powiedzieć.

– Wie pan co – ciągnął Collis – zawsze mnie to uderzało, że uznał pan właśnie Bawoli Trakt za najodpowiedniejszy szlak pod budowę kolei transkontynentalnej. Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności! Biegnie on przecież na zachód od St Louis i łączy właśnie stan pańskiego teścia z wybrzeżem Pacyfiku. Co za niesamowity przypadek.

Frémont obrzucił Collisa nienawistnym spojrzeniem. Collis natomiast obdarzył go przyjaznym, niewinnym uśmiechem i nawet zwrócił się do Andy'ego z zapytaniem: – Nie uważasz, Andy, że to naprawdę wyjątkowy zbieg okoliczności?

– Mam nadzieję, że nie sugeruje pan, iż senator Benton i ja działaliśmy w zмовie dla własnych, prywatnych interesów – rzekł John Frémont. – Bo jeśli tak, to żądam, aby wycofał pan natychmiast to, co pan powiedział.

Collis zamrugał oczami ze zdumienia.

– Mój drogi Mr Frémont! Dlaczego w ogóle miałbym sugerować coś równie ohydne i podłego? Ależ skądże!

– Nie jestem całkowicie przekonany, czy pańskie uwagi były rzeczywiście tak niewinne – rzekł Frémont.

– Nie staram się wcale pomniejszyć znaczenia pańskiego odkrycia – odparł Collis. – Absolutnie nie. Jest pan bardzo utalentowanym inżynierem i dał pan tego dowód już niejedyn raz. Żeby w ogóle znaleźć przejście przez Sierra Nevada wzdłuż trzydziestego ósmego równoleżnika!... no, to dopiero trzeba mieć wybitne, nieprzeciętne zdolności! Mój własny konsultant twierdzi na przykład, że nigdy by mu nawet przez myśl nie przeszło, żeby robić pomiary na przejściu przez Sangre de Cristo. Tak jak nie przyszłoby mu nawet do głowy, żeby robić pomiary na ratuszu w centrum miasta. Ale pan jednak tego dokonał! Toś pan dopiero dał po nosie tym wszystkim niedowiarkom, którym się nawet nie śniło, że taka droga żelazna może być najpierw wytyczona przez polityka, a dopiero potem potwierdzona przez geometrów, zamiast na odwrót, jak się to na ogół dzieje.

– Chcę wierzyć, Mr Edmonds, że słowa, któreś pan właśnie wypowiedział, nie są jeszcze jednym dowodem pańskiego obrzydliwego zuchwalstwa – rzekł Laurence Melford złowieszczo.

– I nie myli się pan, Mr Melford. Nie miałem nic złego na myśli – zapewnił go Collis.

– Po tysiącokroć wolałbym zostać pańskim przyjacielem niż pańskim wrogiem.

– Dziękuję, ale na brak przyjaciół chwilowo nie narzekam – odparł Melford. – Za to jeśli chce pan przynajmniej zapewnić sobie moją neutralność, to pozwolę sobie zasugerować, aby odsunął pan myśl o kolei żelaznej na bok i poświęcił się bez reszty handlowi sprzętem gospodarskim. Radziłbym również, aby przeprosił pan, tu, w tej chwili, pana Frémonta – należą mu się pańskie przeprosiny.

Collis spojrział na Melforda ze zdumieniem, a potem przeniósł wzrok na Frémonta. Andy ścisnął swoją lampkę wina w obu dłoniach, a minę miał bardzo niewyraźną.

– Przeprosić pana Frémonta? – wycodził Collis pomiędzy zębami. – A za co znowu miałbym się przed nim kajać?

– Za pańskie impertynenckie zachowanie, czy było zamierzone, czy też nie – rzekł Laurence Melford.

Collis śmiało spojrział Laurence'owi Melfordowi prosto w oczy.

– Jeśli mowa tu o jakiejś impertynencji, a mam nadzieję, że wybaczą mi panowie, jeśli to, co powiem zabrzmie niezwykle serio, to doszukiwać się jej należy głównie u tych, którzy popierają nieludzkie wymogi południowej gospodarki opartej na niewolnictwie, i tych, którzy tańczą jak im tamci zagrają. To oni powinni przeprosić, bo to oni przedkładają własne zyski i wpływy polityczne nad naglące potrzeby całego tego narodu. John Frémont uniósł dłoń, jakby chciał powstrzymać ten potok wymowy.

– Myślę, że za bardzo się tutaj rozpalamy, Mr Edmonds – powiedział. – To jest przyjęcie, spotkanie towarzyskie, a nie mównica w senacie. Doceniam pańską prostolinijność, ale musi pan zrozumieć, że Mr Melford i ja również mamy bardzo szczerze, głębokie przekonania. Tak czy tak kolej transkontynentalna to jeszcze nadal tylko marzenie, a nie rzeczywistość. I upłyną jeszcze długie, długie lata, zanim marzenia te zdołają się urzeczywistnić. Potrzeba na to wiele wstępnych badań i pomiarów.

– Tu właśnie jest pan w błędzie – rzekł Collis. – Gdyby się miało poparcie i odpowiednich fachowców, można by wytyczyć trasę tej kolei w ciągu pięciu lat, a szyny ułożyć w dziesięć.

– Panu się to i tak nie uda – rzekł Laurence Melford. – I na pewno nie wzdłuż czterdziestego pierwszego równoleżnika.

– Proszę mi wybaczyć – Collis nie dawał za wygraną – ale przemawia przez pana człowiek, który posiada połowę swojego kapitału na plantacjach w Virginii.

– Szatańskie nasienie! Zuchwalec! – zachnął się Laurence Melford.

– A tak! – odciął się Collis. – Nie zaprzeczam. I właśnie bardzo dobrze. Żeby tę kolej wybudować, potrzeba nie lada samozaparcia, jeśli chce pan znać moje zdanie na ten temat.

Tylko szatańskim, nadprzyrodzonym chyba samozaparciem przedrzeć się można przez przekupstwo, kumoterstwo i nieudacznictwo naszych polityków w Kongresie, które już od dawna wstrzymują budowę tej kolei. Ludzie w Panamie umierają na żółtą febrę. Mężczyźni, kobiety, dzieci padają na trakcie emigranckim z wycieńczenia. Ale co tam to kogo, psiakrew, obchodzi. Byleśmy tylko nie odważyli się położyć torów od Pomocy. Albo od Południa. Albo pomiędzy Północą i Południem. Albo gdziekolwiek, gdzie nie jest to po myśli zakłamanym kongresmanom i wszystkim tym, co czepiają im się fraków.

– Mamy więc oczywiście przez to rozumieć, że pana ręce są absolutnie czyste. Pan nie splamiłby sobie rąk czymś równie brudnym i cuchnącym, jak dobro osobiste czy prywatny interes – rzekł Laurence Melford szyderczo. – Pan zaoferuje, oczywiście, swoje usługi przy budowie kolei z dobroci swego jakże czulego serduszka.

Collis dopił do końca szampana. Był słodki, ale zimny, musujący i orzeźwiający.

– Zbuduję tę kolej z wielu względów – odpowiedział spokojnie. – Naturalnie, dla pieniędzy. Dla prestiżu. Dla zaspokojenia własnej dumy i osobistej satysfakcji. I dla kobiety, którą kiedyś znałem.

– Ale, Mr Edmonds, skąd ta pewności że rzeczywiście uda się to panu osiągnąć? – zapytał John Frémont. – Byłby to najwspanialszy projekt, jaki kiedykolwiek przedsięwzięto w historii inżynierii lądowej. Poruszyłoby to cały naród od podstaw. Wymagałoby to nieprzeciętnych umiejętności w dziedzinie miernictwa oraz nowych metod tunelowania, obróbki drewna i metali, jak również rewolucyjnych przemian w konstrukcji mostów i wiaduktów. Nawet geniusz musiałby się nad tym dobrze nagłówkować, mówiąc szczerze. A pan nie jest przecież nawet inżynierem.

Collis obracał w dłoniach pusty kieliszek.

– Musi mi się udać, Mr Frémont, ponieważ nikomu innemu się to nie udało i nigdy nie uda. Mogą sobie marzyć o żelaznych drogach. Mogą śpiewać peany i szkicować optymistyczne mapy. Mogą wysyłać fachowe ekspedycje, które toną w zaspach śnieżnych na szlakach w Górach Skalistych. Ale nie mogą zbudować kolei, ponieważ boją się, że rozbiją przez to cały naród. Boją się, że stracą na tym pieniądze i wpływy polityczne. Ale mnie na tym wszystkim nie zależy. Do diaska! Ani trochę! I jeśli tego nie zrobię, to umrę, nie pozostawivszy po sobie nic, tylko pijaństwo, dziwki i hazard... i może miłość, którą mogłem zdobyć... ale którą przegapiłem... niestety.

Laurence Melford, ze wzrokiem wlepionym w podłogę, zdarł papierową opaskę z cygara i popukał w nie, żeby sprawdzić, czy nadaje się do palenia.

– Więc Południe ma zostać wyizolowane tylko dlatego, że jakiś nowojorski goguś stara się udowodnić, że wart jest więcej od myśliwskiego charta. Tak mamy to rozumieć?

Collis potrząsnął głową.

– Nie, Mr Melford – powiedział. – Przeinacza pan moje słowa. Nie o to wcale chodzi.

Chociaż sądzę, że nie robiłoby mi to różnicy, gdyby tak było rzeczywiście.

– Pański krytycyzm nie jest ani trochę konstruktywny – i powiedział John Frémont. – Sam pan dobrze wie, że jestem republikaninem, ale jednak... – Ale jednak co? – spytał Collis. – Ale jednak powinniśmy przymknąć oczy na niewolnictwo, tak?

– Nie, nie w tym rzecz – rzekł Frémont szorstko. – Tylko że jeśli uda się osiągnąć jakiś polityczny kompromis pomiędzy Północą a Południem, kolej będzie mogła wtedy przebiegać przez jakieś przejście zadowalające obie strony. W moim przekonaniu trzydziesty ósmy równoleżnik nadaje się do tego doskonale.

– Być może – rzekł Collis. – Nie zaprzeczam. Ale w moim przekonaniu Południe zostanie wyizolowane, ponieważ nigdy nie pójdzie na kompromis. A jeszcze smutniejsze jest to, że zostanie wyizolowane ze względu na swoje położenie geograficzne. Sekretarz do spraw wojny i senator Benton mogą zedrzczyć sobie gardła, starając się nas przekonać, że najlepsze drogi wiodą na zachód od St Louis albo od Fort Smith, czy Preston w Teksasie. Ale na próżno – to się na nic nie zda.

Zarówno John Frémont, jak i Laurence Melford trwali w milczeniu. Laurence Melford odciał koniuszek cygara złotym nożykiem ozdobionym brylantami, ale słuchał, i było jasne, że to, co słyszał, bardzo mu się nie podobało.

Collis natomiast ciągnął dalej: – Człowiek, który naprawdę zna się na rzeczy, bo zaplanował tę kolej starannie, mój inżynier, twierdzi, że jest tylko jedna, bezsporna droga. Zna on terytorium Nebraski, Góry Skaliste i Wielki Basen jak własną kieszeń. A przede wszystkim zna doskonale Sierra Nevada i jego zdaniem pierwsi pionierzy znaleźli najłatwiejsze przejście, bo po prostu nie mieli innego » wyjścia. Tak to jest, psiakrew! Leży ono mniej więcej na czterdziestym pierwszym równoleżniku i Mr Frémont wie o tym równie dobrze jak ja. Południe może sobie skakać Północy do gardła, ile mu się tylko żywnie podoba, ale gorzkie fakty są takie, że cały ten region i jego oparta na niewolnictwie gospodarka zostaną pozostawione na łasce losu, jak tylko i przeprowadzi się drogę żelazną z jednego wybrzeża na drugie. 1 Takie już jest położenie geograficzne tego kraju. Bóg tak chciał – i zresztą bardzo dobrze. Akurat na to zasługują ci z Południa. My, Jankesi, wszyscy tak właśnie uważamy.

Laurence Melford nie odzywał się ani słowem. Była to cisza zwiastująca burzę, podobna do tej, która wisi w powietrzu pomiędzy błyskawicą i pierwszym uderzeniem pioruna. Kiedy wreszcie przemówił, jego tubalny głos brzmiał złowrogo.

– Dobrze, że przynajmniej pokłada pan ufność w Bogu, Mr Edmonds. Będzie pan bardzo potrzebował Jego pomocy, jeśli nie przestanie się pan wszystkim naprzykrzać z tymi swoimi niedorzecznymi pomysłami.

Ale John Frémont był bardziej dociekliwy.

– A kto jest pana ekspertem kolejowym? – wypytywał Collisa. – Chyba nie Jack Dellman, prawda? Albo może Teodor Jones?

– To musi być Jones – rzekł Laurence Melford. – Dellman wyjechał na studia inżynierskie do Europy, do Londynu.

John Frémont uśmiechnął się do Collisa ze współczuciem.

– Jeśli pana mierniczym ekspertem jest Jones, Mr Edmonds, to doprawdy, radzę uważać.

To fanatyk, i to mówiąc bardzo oględnie. Niech pan nie wyrzuca pieniędzy w błoto i nie marnuje czasu; natknij się pan na zaśniewaną górę, gdzie nawet koza by się nie przedarła, nie mówiąc już o dziesięciokołowej lokomotywie. Sam pan jeszcze zobaczy.

– Będę bardzo ostrożny – zapewnił go Collis. – I jeśli pan chce, to zaproponuję panu to, co już wcześniej zaproponowałem paru finansistom z San Francisco. Założę się z panem, że przeprowadzę wszystkie potrzebne pomiary i będę gotów do ułożenia torów w nie więcej niż pięć lat.

Laurence Melford wydał pogardliwie wargi. Ale John Frémont rzekł: – Zgoda. Śmiałość z pana, jakich mało. Założę się o co pan chce.

– Nie żądam wiele – rzekł Collis. – Tylko wieczorek dla uczczenia tego wydarzenia tu, w tym domu, gdzie pan i pańska małżonka będą gospodarzami, dokładnie tego dnia, kiedy moje plany budowy transkontynentalnej linii Pacific–Atlantic będą już prawnie zatwierdzone.

John Frémont roześmiał się nagle głośno.

– Mój Boże – powiedział. – Ma pan wrodzony talent do podjudzania ludzi. Mój Boże, to święta prawda. Nie może się pan temu oprzeć, prawda? Po prostu wysłał to pan z mlekiem matki.

– Staram się tylko mówić to, co myślę. John Frémont wyciągnął dłoń.

– Ha! – powiedział. – Nie jestem jeszcze pewien, czy pana naprawdę lubię, ale widzę, wyraźnie, że zdaniem Laurence’a kierują panem najnikczemniejsze, najniższe pobudki we wszystkim, do czego przykłada pan rękę. Mimo to przyjmuję zakład. Umowa stoi – i jeśli pan wygra, wydam bankiet z tej i okazji. Ale chcę czegoś w zamian, gdyby pan przegrał. Pan § będzie świadkiem tego zakładu, dobrze, Mr Hunt?

– Jak najbardziej – rzekł Andy.

– Gdyby pan przegrał, Mr Edmonds, i nie zdołał przeprowadzić tych pomiarów – rzekł John Frémont – życzę sobie, aby opuścił pan Kalifornię i żeby pańska stopa więcej tutaj nie powstała.

Collis podniósł wzrok. Nie mógł uwierzyć własnym uszom. Czyżby słyszał to naprawdę z ust Johna Frémonta?

– To raczej bardzo drakońskie żądanie, nie uważa pan? – rzucił Andy Hunt.

Frémont potrząsnął energicznie głową.

– Proszę pamiętać, panowie, że Kalifornia należy do mnie. I to już od 1849 roku. To ja wciągnąłem na maszt flagę w Sonomie i to ja uczyniłem z tego miasta to, czym jest ono dzisiaj. Kto nadał nazwę Złotym Wrotom? Niech pan się spyta, kogo pan chce, a każdy panu powie. Ja, proszę panów. A kto tu zaprowadził cywilizację, prawo i porządek? Ja! Nikt inny tylko ja!

Collisa kusilo już, żeby spytać, kto nadużywał swojej władzy i odmówił ustąpienia ze stanowiska gubernatora San Francisco na rzecz generała Kearny, zarabiając tym samym na krótki pobyt w więzieniu. Ale pomyślał, że jak na jeden wieczór, to i tak wsadził kij w mrowisko pewnie już za

głęboko; zamiast tego skinał więc tylko głową w stronę Johna Frémonta na znak, że podejmuje rękawicę.

– Jeśli taka jest pańska wola – nie ma sprawy. Tak czy tak życie w tym regionie nie będzie wiele warte bez kolei. No, ale porzućmy już wreszcie ten temat. Przecież to przyjęcie to nie forum politycznych waśni, prawda? Gdzie tu można coś przegryźć i może potańczyć?

– Bufet jest w pokoju obok – rzekł Frémont. – Musi pan spróbować wędzonych ostryg.

Pochodzą prosto z prywatnych łowisk Mr Melforda i są doprawdy wyśmienite.

– To wspaniale – rzekł Collis. – A czy oprócz ostryg Mr Melford przywiódł również ze sobą swoją córkę?

– Sara jest tu ze mną, oczywiście – odburknął Laurence Melford. – Ale zrobi pan sobie samemu prawdziwą przysługę, jeśli będzie się pan od niej trzymał z daleka.

– Jest pan człowiekiem potwornie nieugiętym, Mr Melford – odparł Collis.

– Tak. A z pana za to jeszcze gorszy szatan, niż myślałem początkowo.

– Hmm – odrzekł na to Collis. – Wie pan, co Shelley raz powiedział: Czasem i w diable siedzi prawdziwy arystokrata.

*

Po przeciwnej stronie salonu, na niewielkim, drewnianym podium, kwartet smyczkowy zaintonował właśnie kadryla i kilka ładniejszych dziewcząt oraz paru młodych mężczyzn podniosło się do tańca. Collis zatrzymał się na chwilę i przyglądał się im z rękami w kieszeniach; byli tak sztywni i nie wyrobieni, że nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

Wino i stylowy taniec – te dwie rzeczy, jak widać, przedzierały się tu ze Wschodu z ogromną trudnością.

– Widziałem raz konie z oddziału szwoleżerów polskiej armii. Tańczyły dużo lepiej niż ci tutaj – rzucił Collis w stronę Andy’ego.

Andy skrzywił się z niesmakiem.

– Brakuje nauczycieli tańca, w tym cały ambaras, panie dziejku. Najlepszym był Ralph Durkee, ale zabrał się do poszukiwania złota.

– Tancmistrz, zawodowiec, pojechał kopać złoto? Andy pokiwał głową.

– Ano tak. Przy kopaniu wszyscy są, widzisz, równi. Nie ma lepszych ani gorszych.

Każdy jest wart tyle, ile mu się uda wykopać. Poproś Charlesa, niech cię zabierze w takie miejsca jak French Corral albo Nigger’s Hill. Jak się jest w Rzymie, to trzeba zobaczyć papieża, no nie? Ci

tutaj to w twoim pojęciu, mówisz, niezgrabiasze? No to wybierz się raz na jakąś sobotnią potańcówkę do Dutch Fiat, a tam ci dopiero ręce opadną!

Po pewnym czasie, gdy zbrzydło im już wreszcie bezmyślne wgapienie się w nieudaczne pląsy młodego towarzystwa z San Francisco, Collis i Andrew podeszli do bufetu, który nakryty był w pokoju obok, pod ogromnym olejnym pejzażem uwieczniającym orkan nad Sonomą. Stół był pięknie zastawiony srebrnymi wazonami i udekorowany kwiatami, a sam bufet przypominał kształtem grzbiety i podnóża Sierra Nevada. Potrawy ułożone były w wieżyczki, przyozdobione pomarańczami i cytrynami oraz plasterkami gruszek adwokackich.

Były tam smażone małże w muszelkach; przydymione po brzegach, szkarłatnoczerwone prażone homary; krewetki w galarecie; pieczenie z indyka z chrupiącą skórką; barani udziec; szynki, śledzie, zimne nóżki, gdzie głowa ubitego prosiaka miała brwi, z pociętej w wąskie pasemka słoniny; gorąca wieprzowina; z fasolą oraz nieprzebrana po prostu różnorodność owoców, serów, orzechów i ciasteczek.

Collis i Andy posilili się i wypili jeszcze szampana, a gdy wybiła dziewiąta trzydzieści, Collis, porządnie już wstawiony, chciał czym prędzej zalecać się do Sary Melford. Jego szampański nastrój był wprawdzie nieco przytłumiony i sam zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że czuł się tak rozkosznie głównie dlatego, że się upił, ale nie zależało mu już na Hannie. Zupełnie nie. I jeśli uwzięła się, by strawić resztę swego życia u boku takiego szmuklerza, to, Bóg mu świadkiem, niech jej będzie.

– No, mam nadzieję, że powstrzymasz się już teraz od robienia takich burdów – odezwał się kwaśno Andy.

– Pewno, że tak – rzekł Collis, rozgrzany na twarzy i z oczami, które zachodziły łzami.

– Cały szkopał w tym, Andy, że nie dowierzasz mojej nowojorskiej kurtuazji i obyciu.

Jestem dżentelmenem, że pozwolę sobie przypomnieć, a poza tym liczba mnoga od „burdy” jest „burd”, a nie „burdów”. Jednak czegoś mnie tam w szkole nauczyli, więc sam widzisz.

– Jedyne, czego zdołali cię nauczyć w tej twojej szkole, to tego, jak się bez przerwy wymądrzać – odciał się Andy.

– Nauczyłem się tam też geografii, mój drogi. A nawet John Frémont, pomimo całego tego stażu w Wojskowym Korpusie Topograficznym, nie może się tym pochwalić.

Nauczyłem się, że Południe jest na południu, Północ na północy, a Zachód na zachód od Wschodu.

Collis, przepaszając i uśmiechając się pobłaźliwie, z wyższością, torował sobie drogę wśród wścibskich matron z towarzystwa, w sukniach kopiastych niczym ślubne torty, i wśród panów w wykrochmalonych kołnierzykach i z wykarbowanymi bokobrodami, a Andy posłusznie dreptał za nim, krok w krok, aż znaleźli się znowu w salonie. Rozglądał się wszędzie, ponad głowami tańczących par, ale nigdzie nie widział Sary Melford i zaczął się niepokoić, że może już wyszła. Poprosił nawet Andy'ego, żeby też się za nią rozejrzał, ale ten, wyciągając szyję i wypatrując oczy, pokręcił wreszcie głową, zniechęcony.

– Widzę tylko las głów, a wszystkie, jedna w drugą, takie same, jak jakie wierzby rosochate w wierzbinię.

Zupełnie niespodziewanie Sara pojawiła się w drzwiach okalającej willę werandy w towarzystwie wysokiego, barczystego młodziana. Nie mógł być to nikt inny, tylko Grant, jej młodszy brat.

Miała na sobie nisko wyciętą, błyszczącą suknię wieczorową w kolorze ciemnej akwamaryny. Włosy miała upięte w kok, a jej duże oczy podkreślone były makijażem. Była jeszcze piękniejsza, niż ją Collis sobie przypominał, i szła przez salę wyprostowana, zmysłowa i czarująca, z takim wdziękiem, a zarazem szlachetną dumą, że wszystkie głowy odwróciły się w jej kierunku.

Collis usłyszał nawet, jak ktoś mówił: – Ta mała Melfordów!... Dziewczyna jak malowanie! Co za uroda! Co za szyk! To się może na niej jeszcze kiedyś zemścić.

Grant natomiast był chłopcem postawnym, grubokościstym, kropka w kropkę wyglądał jak ojciec, ale był mniej hardy i raczej pozbawiony pewności siebie. Brat i siostra stanowili wprawdzie bardzo ładną, dobraną parę, ale tylko dlatego, że byli do siebie tak bardzo podobni. Grant miał bujną, niesforną czuprynę i głęboko osadzone oczy, a nos zadarty jak dzióbek dzbanka do herbaty. Rękawy jego fraka były przykrótkie, a kołnierzyk zbyt obcisły, co uwypuklało jeszcze bardziej masywną budowę ciała. Pewnie wyrósł z zeszłorocznych rzeczy od ostatnich wakacji.

– No cóż – powiedział Andy z rezygnacją w głosie. – Oto ona. Lepiej idź teraz narozrabiaj i będziemy to już mieć za sobą.

Kwartet smyczkowy kończył kotyliona; rąbał go z takim zacięciem, jakby muzyka była zwykłym, pospolitym śledziem w szarej łusce, którego kazano im wypatroszyć i posiekać równo na filety. Collis czekał na odpowiednią okazję, więc gdy tylko zamilkły ostatnie dźwięki melodii, przepchnął się wśród tancerzy, przepaszając gorąco, gdy nadepnął niechcący na palce jakiejś niskiej, niepokazanej paniusi, i zaszedł rodzeństwo Melfordów od tyłu. Rozmawiali właśnie układnie z obwieszoną sznurami pereł i brylantów leciwą księżną z South Parku, która kręciła na wszystkie strony długą, łabędzią szyją. Zauważyli Collisa dopiero wtedy, gdy znalazł się tuż za nimi.

– Mr Melford – rzekł Collis z wyszukaną grzecznością. – Czy pozwoliliby mi pan zatańczyć z pańską siostrą? Byłby to dla mnie ogromny zaszczyt.

Grant Melford odwrócił się i Sara również. Grant był o dobrą głowę wyższy od Collisa.

Brwi miał czarne, krzaczaste, a buzię puciołowatą i rumianą, ale nie od nadmiaru trunków, tylko po prostu jak młody człowiek.

– A czy my się znamy, proszę pana? – zapytał bardzo ostrożnie.

Sara, z przewrotnym uśmieszkiem, odparła: – Nie, Grant, ty nie znasz tego pana. Ale ja tak. Pan jest tym panem z teatru, prawda?

Tym, który tak rozzłościł ojca?

– To nie kto inny, tylko ja – rzekł Collis, pochylając głowę w ukłonie. – Mr Collis Edmonds, do państwa usług.

– Co to znaczy, że rozzłościł pan ojca? – dopytywał się Grant.

– Nic poważnego – zapewnił go Collis. – Więc jak będzie z tym tańcem?

Grant naburmuszył się i nasrożył: – Chcesz z nim zatańczyć, Saro? – zapytał ostrożnie.

Sara rozłożyła swój wachlarz i energicznie poruszyła nim parę razy.

– Będę zachwycona – powiedziała. – Nigdy jeszcze nie tańczyłam z podobnym awanturnikiem.

Grant wyglądał teraz jak chodzące nieszczęście. Dostał od ojca jasne instrukcje, aby pilnować siostry i sprawować nadzór nad doborem jej partnerów do tańca, a Collis miał wyraźnie wszystkie cechy fircyków, których ojciec nakazał surowo trzymać od niej z daleka: wszystkich „wygadanych, wystrojonych padalców, tych którzy tak diabelnie podobają się twojej siostrze”.

Powiedział więc: – Nie jestem pewien, czy powinnaś z nim zatańczyć, Saro. Lepiej zapytam taty. Mr Edwards, tak?

– On, nie wygłupiaj się, Grant, naprawdę! – rzekła Sara. – Jestem wystarczająco dorosła, żeby sama wybierać sobie partnerów do tańca. I jeśli będę miała ochotę zatańczyć z Mr Edmondsem, to na pewno ty mi nie zabronisz, i tyle.

Kwartet smyczkowy, uraczywszy się ukradkiem paroma kufelkami piwa, które schowane było pod pulpitem, zabrał się znowu dziarsko do roboty. I z miejsca, gdy tylko rozległy się dźwięki muzyki, niedźwiedziowaty młodzian, z twarzą różową jak dojrzała truskawka, zaczął przeciskać się przez ciżbę gości ku Sarze, a Collis zgadywał, że musiał on być kolejnym partnerem w karneciku balowym Sary. Wyciągnął więc do niej rękę i powiedział: – Zatańczymy? Zanim będzie za późno?

Poprowadził ją na wylakierowany parkiet i dołączyli do trzech innych par, z których dwie, w średnim wieku, były sztywne jak drewniane kukły na drucikach, a trzecia, młodsza, niezdarna i bez doświadczenia.

Ale co tam. Kwartet zaciął chwacko pierwszą część kadryla Le Pantalón na sześć ósmych. Collis tańczył bez wysiłku, z nonszalancją nabytą dzięki doskonałym lekcjom tańca, a także przez lata praktyki na balach w kręgach nowojorskiej socjety. Sara poruszała się z elegancją zrodzoną z piękna, równowagi i doskonałej pewności siebie.

Ich współtancerze potykali się, galopując za szybko i nie do taktu, ale ani Collis, ani Sara tak naprawdę wcale tego nie zauważali, chyba że tamci zgubili krok albo niechcący objęli się o siebie; ale w takich chwilach zwinna para po prostu omijała bokiem zawadę. Nie spuszczała z siebie oczu, a salon migotał i wirował wokół nich, jakby znaleźli się na samej osi kuli ziemskiej.

W drugiej części, pod nazwą L'Été, kadryl zmienił takt na dwie czwarte, a Collis poczuł się zamoczony szampanem, muzyką, śmiechem i blaskiem lampionów. Wiedział już przedtem, że Sara Melford była dziewczyną prześliczną i pociągającą „z wabikiem”, ale w miarę jak jej twarz przybliżała się i oddalała w rytm kontredansa jak zwodnicza zjawia, po prostu zauroczyła go swoją urodą. Nie mogli ze sobą rozmawiać w czasie tańca, ale jej oczy, płonące, roziskrzane i radosne, mówiły same za siebie.

Od czasu do czasu, w półobrocie, Collis rzucał okiem na Granta, który stał na baczność, nadymając buzię, z miną prowadzonego na ścięcie skazańca, nie mogąc się wprost doczekać, żeby ten kadryl się skończył.

Wreszcie zamilkły ostatnie tony La Pastourelle, a jedna z tancerek, niewysoka, okrągłutka Morawianka z brylantowym naszyjniku, tak się zdyszała, że nie mogła złapać tchu, aż jej mąż pospieszył z pomocą, podając jej ramię. Młodsza para, uśmiechając się nerwowo, wycofała się natychmiast i zniknęła w poszukiwaniu napoju. Collis i Sara zostali na parkiecie zupełnie sami. Wyciągnął do niej rękę i rzekł delikatnie: – Czy chce się pani czegoś napić? Tańczyliśmy przez cały czas i nie mieliśmy nawet okazji zamienić ze sobą choćby słowa.

Podeszła do niego, szeleszcząc jedwabnymi halkami i falbanami.

– A czy naprawdę potrzeba słów, aby wyrazić najgłębsze uczucia?

Pokręcił głową przecząco.

– Kobiety takie jak pani mają w sobie tyle ekspresji, że to zupełnie zbyteczne.

Nie ukrywała zdziwienia. Uniosła brwi i w ostatniej chwili powstrzymała się od podania mu swej dłoni.

– Myślałem, że jestem w ogóle jedyna w swoim rodzaju.

– Prawie. A poza tym żadna nie dorównuje pani urodą. Nagle zbliżył się do nich Grant.

Stanął naprzeciw Collisa z rękami na biodrach i z twarzą jeszcze bardziej nadętą i pochmurną niż poprzednio.

– Właśnie rozmawiałem o panu z ojcem, Mr Edmonds. Składa panu swoje uszanowanie i prosi, żeby pan raczył zostawić Sarę w spokoju. Przekazuję panu jego własne słowa.

Dlaczego nie zatańczy pan z kimś własnego pokroju?

Collis podniósł dłoń.

– I czego się pan tak ciska, Mr Melford? Widzi pan przecież, że nie uprowadziłem pańskiej siostry przemocą ani jej nie uwiodłem. Stoї tu przed panem cała i zdrowa; a nawet się uśmiecha – i to z własnej, nieprzymuszonej woli. Zatańczyła raz ze mną, wielkie mi rzeczy, i jak na razie nic się takiego nie stało. A jeśli zechce zatańczyć raz jeszcze, to na pewno pan jej tego nie zabroni.

– Właśnie, że zabronię.

– Nie sądzę – odparł Collis.

– Guza pan szuka? Chce pan w nos? – stawał się Grant.

Collis wolno wypuścił rękę Sary. Zrobiło mu się nagle zimno, bo w tańcu spocił się pod pachami. Nic go tak nie wyprowadzało z równowagi jak tacy podskakiwacze, którzy szukali byle zaczepki do bójki. Zapominał się wtedy zupełnie i przestawał kierować się rozumem.

Nie lubił odstawiać chojraka i na ogół unikał podobnych konfrontacji; wolał zaniechać zwady, zanim doszło do rękoczynów. Ale nie w tym przypadku. Nie z takim smarkaczem, gołowąsem, który ma się za bohatera i stara się go zastraszyć swoimi pogrózkami. Trzeba mu dać nauczkę, „pokazać, gdzie pieprz rośnie”, jak to mawiał Henry Browne. Sara wyczuła zmianę w zachowaniu Collisa.

– Grant – wtrąciła czym prędzej, zalękniona. – Już dobrze. Zatańczymy tylko jeszcze jeden jedyny raz.

– Ojciec na to nie pozwoli. I ja też nie – odpowiedział.

Stał nadal nadąsany. Z wysuniętą dolną szczęką, ze wzrokiem utkwionym nieruchomo w Collisa, przypominał niemrawego karpia.

Collis spojrział na Sarę i wzruszył niechętnie ramionami.

– No cóż – powiedział. – Podejrzewam, że życzenia pani brata są dla nas rozkazem.

Intelektem nie przerasta bukata i wobec tego jest głęboko przeświadczony, że robi to wszystko dla pani dobra.

– Bukata? – spytał Grant Melford. – A co to jest bukata?

– Niby akademik, a taki niedouczek. Jakby nigdy książki w ręku nie miał – powiedział Collis, udając przesadne zdudzenie.

– A właśnie że miałem. Proszę w to nie wątpić. Ale co to jest bukata?

Mówił teraz tak głośno, że wszyscy naokoło zwrócili głowy w ich stronę, aby zobaczyć, co się dzieje; nawet kwartet smyczkowy przycichł nieco na estradzie. Wypieki wstąpiły na rumianą twarz Granta, a czoło zrosiło się potem. Nie rozumiał, że robi z siebie widowisko – zbyt się przejął swoją rolą obrońcy honoru Sary. Dostał od ojca wyraźne polecenie, by przeganiać takich ogierów jak ten cały Collis Edmonds i starał się gorliwie wypełniać swoje obowiązki w tym względzie.

Collis wygładził mankiety rękawów koszuli.

– Bukat – rzekł tonem wyjaśnienia – pochodzi od celtyckiego słowa bucco, co tłumaczy się jako cielę. Mniej więcej oznacza to, że zachowuje się pan, jak wysmażony na podszwę sznycel cielęcy od łopatki.

Nie zauważony przez syna, Laurence Melford ukazał się w drzwiach werandy w towarzystwie Johna Frémonta i zatrzymał się za plecami Granta. Wywołało to ogólną konsternację. Po sali przeszedł szmer dezaprobaty i zmieszał się z dźwiękami popularnej melodii, płynącej nieprzerwanie spod smyczków sumiennych muzykantów. Wszystkie oczy skierowały się najpierw na Collisa, potem na Sarę, aż wreszcie przeniosły się na Granta, a w końcu na samego Laurence'a Melforda i z powrotem na młodych przeciwników. W pokoju obok jakaś kobieta, nieświadoma tego, co się dzieje w salonie, roześmiała się bardzo głośno, z nie ukrywanym rozbawieniem.

Grant otarł pot z czoła wierzchem dłoni.

– Proszę to odwołać – rzekł głosem, który drżał z napięcia. – Proszę to natychmiast odwołać.

Sara uczyniła parę kroków w tył. Collis spojrział na nią, ale ona pokręciła tylko głową w jego stronę tak leciutko, że prawie niedostrzegalnie. Atmosfera robiła się coraz bardziej przygniatająca: wchodziła tu w grę urażona męska duma. Obrażony płonął słusznym gniewem.

– Ani mi się śni – powiedział Collis. – Co za bezsensowne żądanie! Dlaczego miałbym odwoływać tę niewinną uwagę, skoro to rzetelna prawda? Tego się nie da ukryć.

Grant nie był w stanie opanować wzburzenia.

– Wobec tego, proszę pana – zapiszczał nienaturalnym dyszkantem – żądam satysfakcji.

Collis wlepił w niego wzrok, a potem parsknął śmiechem.

– Pfff! Satysfakcji? A w jaki sposób, można wiedzieć? Chce pan, żebym przyrządził pana w sosie musztardowym i zaserwował na talerzu z fasolką?

– Żądam satysfakcji! – wrzasnął Grant.

Collis, bez pośpiechu, z przesadnym namaszczeniem, zaczął ściągać rękawiczki, a potem zwinął je w rulonik.

– Chyba pan nie wie, o czym pan mówi – powiedział.

– Uchybił mi pan. Proszę mnie natychmiast przeprosić. Albo, jeśli nie, to żądam satysfakcji – odgrażał się Grant.

Zapadło milczenie, które przerwał wreszcie Laurence Melford. Rzekł tonem głębokim i łagodnym: – Grant... – Ojczy, proszę, tylko się nie wtrącaj – odparł tamten głośno. – Jestem dorosłym mężczyzną i sam odpowiadam za własne czyny.

– Grant – powiedział Laurence. – Mam na uwadze zarówno twoją dumę osobistą, jak i twoje bezpieczeństwo. Ten człowiek celowo prowokuje podobnych tobie ludzi. Nie może się po prostu od tego powstrzymać – już się taki urodził. Mnie też starał się sprowokować. Ale jeśli damy się ponieść emocjom, wyjdziemy z tej potyczki poturbowani i pokonani.

– Powiedział na mnie „cielak”.

Laurence Melford zszedł po schodkach werandy i zbliżył się do syna. Nie raczył nawet spojrzeć w stronę Collisa. Wpatrywał się tylko w swego syna, który w dwudziestym roku życia stanął nagle przed koniecznością podjęcia ryzykownej, daleko w skutkach idącej decyzji.

– Oczywiście, że nazwał cię cielakiem – rzekł Laurence Melford łagodnie. – To do niego podobne. Jeśli chodzi o dobór słów, które potrafią ranić ludzi do żywego, to nie ma on sobie równych. I – choć przykro mi, że muszę mu to przyznać – pewnie się jeszcze wzbogaci, wybije i zawsze dopnie swego. A wiesz dlaczego tak się stanie? Bo ma niezwykły dar w wyszukiwaniu określeń, które ludzi szokują, irytują i wyprowadzają z równowagi. Nie daj się ponieść emocjom. Zachowuj się,

jak przystało na dojrzałego mężczyznę. Zyskasz w oczach ludzkich dużo więcej szacunku, jeśli nie pozwolisz się sprowokować. Przecież on tylko na to czeka.

– Ojciec – rzekł Grant. – Proszę cię tylko o wsparcie.

– Nie musisz o nie prosić. Zawsze będziesz je miał, chyba dobrze o tym wiesz? – odparł Laurence Melford, kładąc rękę na ramieniu syna. – Ale nie ma sensu ryzykować życiem bez najmniejszej potrzeby. Nie zwracaj na niego uwagi. Traktuj go jak powietrze. Jesteś wart stu takich jak on.

Grant Melford znowu przejechał dłonią po czole. – Podniósł wzrok na Collisa i powiedział: – Co pan wybiera? Wybór broni, jak również daty spotkania należy do pana.

– Grant – fuknął na niego ojciec.

Grant strzepnął z siebie rękę ojca, jak rozgoryczony porażką piechur, który zrywa z ramion żołnierskie epolety.

– Zabraniam! – Laurence Melford podniósł teraz głos. – Kategorycznie zabraniam! Pod żadnym pozorem nie pozwolę na pojedynek!

– Muszę bronić swojego honoru! Nie powstrzymasz mnie! – wrzasnął Grant.

– Honoru!? Nazwał cię cielakiem i jak mi Bóg miły zachowałeś się jak cielak, bo pozwoliłeś mu się sprowokować.

– Twój ojciec ma rację, Grant – rzekł Collis. – „Nie powinieneś się tak miotać z wściekłości.

Laurence Melford obrzucił go szybkim, nienawistnym spojrzeniem.

– Jest tylko jedna rzecz, którą chcę od pana usłyszeć – powiedział. – Chcę, żeby pan przeprosił mego syna.

– Tego się właśnie obawiałem – rzekł Collis.

– Mam rozumieć, że pan odmawia?

– Sam go pan przed chwilą nazwał cielakiem. Trudno, żebym odwoływał uwagę, która zdobyła sobie aprobatę tak znakomitej osobistości.

– Sam widzisz, ojciec, że nie ma innego wyjścia – wtrącił Grant. – Jest krnąbrny i uparty jak osioł. Taki bezczelny cham – trzeba przytrzeć mu nosa.

– Wszystko mi jedno, Grant. Na pojedynek nie pozwolę. Laurence Melford rozejrzał się wokoło. Muzyka kadryła ucichła już teraz zupełnie, a zgromadzeni goście szeptali i przyglądali się im, skonsternowani i zdezorientowani.

– Czy moglibyśmy dokończyć tę dyskusję w jakimś zacisznym miejscu? – zapytał Laurence Melford Johna Frémonta. Frémont skinął głową i spojrzał na nich ze smutkiem.

– Chodź tędy, Laurence – powiedział i poprowadził ich z głównego salonu przez wyłożony boazerią korytarz, do małego gabinetu. Poza ich plecami Jessie Frémont zabrała Sarę Melford i jej matkę do prywatnych pokoi. Sara wyglądała na wzburzoną i przerażoną.

Gdy tylko wyszli, wszczęły się na temat tego zajścia gorące dyskusje, niczym wznoszący się poryw wiatru, który pokłada kłosa dojrzałej pszenicy.

– No więc – rzekł Laurence Melford, zamykając za sobą drzwi gabinetu. – Może załatwimy to jakoś polubownie?

– Trzeba temu chamowi po prostu dobrze wygarbować skórę – rzekł Grant agresywnie.

Laurence Melford zwrócił się do Collisa.

– Ile pan chce? – zapytał bez ogródek, tonem handlowca, który chce dobić targu. – Takie rzeczy to dla mnie nie nowina, proszę mi wierzyć, więc niech się pan nie stara tu wykręcić kota ogonem. Wszystko jest jasne.

Collis zapalił cygaro. Wrzucił zapalną porcelanową popielniczkę na biurko.

Zaskwierczała leciutko i zgasła.

– Może zdziwi to pana, Mr Melford, ale wcale nie chodzi mi o pieniądze.

– A tam takie gadanie! Akurat! Mr Edmonds! – rzekł Laurence Melford. – Sam pan przecież mówił, że potrzebny panu kapitał. Ile pan chce? Tysiąc dolarów? Dwa tysiące? Ile będzie mnie to kosztowało, żeby odczepił się pan wreszcie ode mnie i od mojej rodziny?

Collis machnął dłonią, żeby odegnać od siebie dym z cygara.

– Coś mi mówi, że zupełnie opacznie zinterpretował pan sobie tę naszą drobną wymianę zdań, proszę pana – powiedział. Mówił bardzo spokojnie. – Nie zrobiłem nic złego.

Zatańczyłem kadryla z pańską córką i grzecznie zamieniłem z nią parę słów. Tam, skąd pochodzę, takie zachowanie w kulturalnym towarzystwie jest nie tylko uważane za stosowne, ale wręcz pożądane.

– Nie staram się wcale podważać pańskiego obycia towarzyskiego – odparł Laurence Melford. – Ale w tej sytuacji to sprawa zupełnie nieistotna. Fakt pozostaje faktem, że obraził pan mojego syna i że żąda on albo przeprosin, albo satysfakcji.

– Pozwolę sobie zasugerować, żeby położył to na karb młodości i niedoświadczenia – rzekł Collis. – Jeszcze nie raz usłyszysz gorsze wyzwiska, szczególnie, jeśli pójdzie w ślady swego ojca. I tak jak ojciec będzie się musiał nauczyć zachowywać zawsze zimną krew.

– W jego wieku, w czasach mojej młodości, Mr Edmonds, byłem w gorącej wodzie kąpany, podobnie jak on i też się biłem, ponieważ ja nie miałem ojca, który mnie kochał i któremu zależało na tym, abym żył. W tym wypadku nie pozwolę Grantowi na pojedynek ani nie oczekuję żadnych przeprosin. Ale chcę, żeby coś wreszcie do pana dotarło, Mr Edmonds.

Wara od mojej rodziny! Wara ode mnie i od Sary. Bo jeśli będzie się pan nam nadal naprzykrzał, przysięgam, że nie cofnę się przed niczym. Ostrzegam pana. Nie będę się bawił z panem w subtelności.

– Więc co mi pan zrobi? – spytał Collis. – Rzuci mnie pan na pożarcie bandytom z Barbary Coast? A może rybacy z Whitehall wyłowią moje storturowane, zbeczeszczone zwłoki z pańskiego przestępnego łowiska z ostrygami?

Mięśnie na policzku Laurence'a Melforda zadrgały nieznacznie.

– Nie igraj pan z ogniem – powiedział. – Przekona się pan, że nie rzucam słów na wiatr.

Poprawił na sobie surdut i zarówno Collisa, jak i Granta obrzucił surowym spojrzeniem, żeby dać im do zrozumienia, że nie żartuje. Potem odwrócił się, otworzył drzwi i wyszedł z gabinetu, nie mówiąc więcej ani słowa. Grant przeczekał chwilę, a gdy ojciec zniknął za drzwiami, wyrzwał jeszcze, by się upewnić, że nie ma go nigdzie w pobliżu. A potem, wciąż rozgorączkowany, rzekł do Collisa, zniżając głos: – To, co mówi mój ojciec, niczego nie zmienia. Nazwał mnie pan cielakiem i albo pan to odwoła, albo żądam satysfakcji.

Collis uśmiechnął się do niego kwaśno.

– Proszę, Grant, postaraj się o tym wszystkim zapomnieć, i Twój nadroższy tatuńcio nie omieszka z pewnością spuścić mnie do zatoki z uwieszonym u szyi kamieniem. Jeszcze ci mało?

– Nie ustąpię.

– Co za idiotyczne, staroświeckie maniery. Nie ma w tym żadnego bohaterstwa, zapewniam cię. Pojedynek może być – tylko albo nudny, albo tragiczny, a czasem i jedno, i drugie. To, co powiedziałem, to był tylko taki żart. Jeżeli nie wydał ci się zabawny, przecież nikt cię nie zmusza, żebyś pękał ze śmiechu. Mój Boże, gdybym zrobił z siebie takiego idiotę w Nowym Jorku, to nawet hycel nie zaprosiłby mnie do siebie na kolację.

– Czy odwoła pan tę zniewagę?

– Nie, Grant. Zdecydowanie nie.

– Wobec tego niech będą pistolety – rzekł Grant.

– Pistolety? – spytał Collis z niedowierzaniem. – Nigdy się jeszcze nie strzelałem z pistoletu.

– To nie moja sprawa. Zresztą, musi pan wypalić tylko raz. Spotkamy się po północnej stronie jeziora Merced jutro, punktualnie o siódmej rano. Proszę przyprowadzić ze sobą sekundanta. Ja przywiozę pistolety i wynajmę lekarza.

– Chyba pan postradał wszystkie zmysły!

– Być może. Ale mam swój honor. I jak pan będzie wyglądał, jeśli nie zjawi się pan tam, żeby się ze mną zmierzyć? Ha?!

– Przynajmniej będę dalej żywy – odparł Collis. – A przy tym, dodać należy, pan też.

Nie jest tak łatwo zachować dumę, kiedy się leży twarzą w błocie, z dziurą w skroni.

Grant otarł pot z czoła chusteczką do nosa.

– Wolę polec z bronią w ręku niż tchórzliwie znosić takie zniewagi.

Collis palił cygaro i wpatrywał się smutno w młodego Melforda. Oczy miał podkrążone.

Grant zaciskał mocno pięści w nerwowym oczekiwaniu. W końcu Collis strzepnął popiół z cygara i rzekł z westchnieniem: – W porządku. Punktualnie o siódmej rano. Niech pan przyniesie szampana i dwa kieliszki. Przy odrobinie szczęścia, może obaj chybimy.

*

W drodze powrotnej do hotelu International Collis i Andy nie zamienili ze sobą ani słowa.

Jeden o nic nie pytał, a drugi z niczego się nie tłumaczył. Wynajęta dorożka terkotała i kołysała się po wybojach na Montgomery Street, a wokół nich tliły się i migotały światła San Francisco. Collisowi szumiało w głowie od nadmiaru szampana; cały ten wieczór zdawał się umykać przed nim jak w zamazanym kalejdoskopie muzyki, śmiechu, smażonych krewetek, zatraskiwanych drzwi i wrzasków. Na rogu ulic Montgomery i California gitarzysta w szerokim sombrero z frędzelkami szarpał zawzięcie w struny, przytupując sobie do taktu piętą o deski chodnika. Grał skoczne kawałki fandango.

Collis odwrócił wzrok w drugą stronę, gdy przejeżdżali obok sklepu Waltera Westa, pomiędzy ulicami Sutter i Bush, ale kątem oka dostrzegł, że przez żaluzje w oknach na drugim piętrze przedziera się pomarańczowe światło lampy naftowej, a wewnątrz poruszają się cienie. Zacisnął pięści i zasznurował usta. Nie chciał sobie nawet wyobrazić, co się tam dzieje. Nie chciał myśleć o tym, jak Hanna rozpina suknię, zdejmuje obszyte wstążeczką bufiaste reformy i sięga dłonią, by dotknąć innego mężczyzny. Nie chciał sobie wyobrazić, jak pocięte ostrymi niemi palce Waltera Westa wodzą pieszczotliwie po jej twarzy albo głaszczą jej lśniące, jasne loki. Gdyby tylko mógł zrozumieć, dlaczego właściwie ją kocha, może byłoby mu jakoś łatwiej pogodzić się z tym wszystkim. Ale niestety nie miał się czego ucześcić prócz tych chaotycznych wspomnień z Panamy. Jak mógł w ogóle dojść sam ze sobą do ładu, zrozumieć własne uczucia, skoro nie pozostało mu nic oprócz tej ich ostatniej rozmowy; a i ta wymykała mu się już teraz z pamięci. Miał jeszcze tylko w oczach obraz Hanny, gdy tak stała, ze łzami w oczach, pod sklepem swego męża Waltera Westa.

– Więc dogadałeś się jakoś w końcu z Melfordem, tak? – rzekł wreszcie Andrew.

– Mhm. Mnie więcej – odparł Collis.

– Hm, hm... Nie musisz mi się zwierzać, jak nie chcesz. To nie moja sprawa. Tyle tylko, że wyszedłeś z tego gabinetu z taką miną, jakby ci kto dosypał dwie łyżki soli do szampana.

– Dogadaliśmy się – rzekł Collis. – Wkrótce sprawa będzie rozwiązana.

– Możesz mi o tym opowiedzieć w szczegółach, jak wyleczysz kaca – powiedział Andrew i wyszczerzył w uśmiechu zębiska. – Jak się już porządnie wyśpisz, to wpadnij do mnie do biura. Pójdziemy sobie na pyszne flaczki w Poodle Dog.

Collis wykrzywił się ze wstrętem.

– Dziękuję, Andy. To mi dopiero proponujesz specjały.

Skęcili na rogu Jackson Street i zatrzymali się przed International Hotel. Chodnik na zewnątrz roił się od powracających z restauracji lub z teatru przechodniów. Nie brak było również eleganckich prostytutek w błyszczących atłasach, wyrostków, którzy gotowi byli lecieć na posyłki za pół centa, pucybutów, dorożkarzy i milczących gazeciarzy, którzy opierali się o gazowe latarnie, sprzedając egzemplarze „Varieties”. Była już prawie pierwsza, ale San Francisco nadal tętniło życiem.

Collis wyszedł z powozu i wyciągnął rękę na pożegnanie. Andy uściśnął mu dłoń i rzekł: – No to dobranoc. Wypij sobie wyciąg z mięty, zanim się położysz. I pij dużo wody.

Musisz jakoś przyjść do siebie, panie dziejku. Nie możesz tak wyglądać jutro rano.

– Dziękuję, Andy. No to do jutra.

Collis stał na chodniku i patrzył, jak dorożka wykręciła i skierowała się w stronę Montgomery Street. Andy uniósł kapelusz i rzucił mu chytry uśmieszek. Wtem Collis uświadomił sobie, że może już nigdy więcej nie zobaczy swego przyjaciela i na tę myśl aż oblał się zimnym potem.

– Andy! – zawołał. Ale Andy pomachał mu tylko ręką, uśmiechnął się i pokręcił głową na znak, że nic nie słyszy. Dorożka zatrzymała się na chwilę, aby przepuścić brezentowy wóz z ładunkiem piwa, który toczył się na południe po Montgomery Street, a potem zniknęła mu z oczu.

W recepcji hotelowej, na okrągłej, czerwonej, skórzanej pufie, z twarzą ukrytą w cieniu palmowych liści, siedział Dan McReady. Wyglądało, jakby siedział tam murem od dobrych paru godzin. Collis podszedł w jego stronę i stanął obok niego z kapeluszem w dłoniach.

Oczy Dana McReady nadal były utkwione w okienku recepcji. Palił skręta, który chwiał mu się między zębami.

– Rozmawiałem z Teachem – powiedział ze swym charakterystycznym, osobliwym akcentem, rodem z Vermont, z Louisiany. – Prawdę mówiąc, było to bardzo interesujące tete-à-tete.

– No i?

– Kupił je. W końcu. Dwadzieścia tysięcy w złocie, monetach i bilonie.

– Zamknąłeś to wszystko w hotelowym sejfie?

– Najpierw odważyłem i wziąłem swoje dziesięć procent.

Collis włożył kapelusz na głowę.

– Mam nadzieję, że było to nie więcej niż dziesięć procent.

– O to nie ma obawy.

Collis usiadł obok niego.

– A pożar? Wszystko załatwione?

McReady kiwnął głową, żeby go uspokoić.

– Czekałem tylko na znak, że można zaczynać. Ja jestem gotów. Chcesz sobie popatrzeć?

Papieros zgasł mu w ustach, więc Dan McReady podał mu ognia. Zaciągnął się parę razy, aż czubek skręta zajął się ogniem.

– Masz najlepszego specja w tym fachu – powiedział. – Gordona Jarvisa z Nowej Południowej Walii. Ten by potrafił podpalić gradową chmurę, gdyby mu tylko zapłacić należycie.

– No dobra. To chodźmy. Nie ma co zwlekać.

Wyszli za zewnątrz hotelu i wynajęli zniszczonego fiakra, który stał po drugiej stronie ulicy. Znowu otoczyła ich grupka prostytutek, ale Dan McReady odepchnął je i wycedził coś przez zęby, nie przebijając widać w słowach, bo się od razu wycofały. Otworzył drzwi powozu przed Collisem i rzekł do dorożkarza: – Skrzyżowanie Davis i Sacramento. Ale żwawo. Śpieszy się nam.

Powietrze było mroźne, a w dorożce panował taki ziąb, że z ust leciała im para. Dan McReady siedział wyprostowany, z rękami założonymi na kolanach, jakby jechał na przyjęcie weselne. Noc była pochmurna i mglista, a w powietrzu unosił się zapach dymu, mgły i chińskich szaszłyków.

– Jesteś pewien, że Teach niczego się nie domyśla?

– A gdzie by tam! Nie zapłaciliby przecie dwudziestu tysięcy dolarów, gdyby zwietrzył pismo nosem. Pałał chęcią rewanżu. Po prostu kipiał, żeby się tylko zemścić. Uśmiełbyś się na jego widok.

Collis wyglądał przez okno. Dorożka potoczyła się z turkotem na południe, na Battery Street, obok Kantora Kupieckiego. Była już prawie pierwsza trzydzieści. Za pięć i pół godziny może już go nie będzie pomiędzy żywymi. Może będzie leżał w sosnowej trumnie na północnym brzegu jeziora Merced. Powieki zamykały mu się ze zmęczenia. Dotknął ich' opuszkami palców. Zastanawiał się, czy mu położyć złote monety na oczach. Nielatwo było o złoty bilon w owych czasach.

– Może mógłbyś mi oddać pewną przysługę – rzekł Collis do Dana McReady.

– Przysługę? – karciaż odwrócił głowę i spojrzał na niego. Trudno było coś wyczytać w jego oczach.

Collis przełknął ślinę.

– Mam... eee... mam pojedynek. Myślałem, że może mógłbyś... tego... iść tam ze mną.

Jako mój sekundant.

– Pojedynek? A kto się dziś, u diabła, pojedynkuje?

– Wygląda na to, że ja... Nie chciałem tego, ale akurat tak jakoś wyszło.

Dan McReady wyjął skręta z kieszonki na piersi surduta i włożył go do ust. – A o co poszło? – spytał Collisa, szukając jednocześnie zapalek. – O kobietę?

– To Grant Melford – wyjaśnił Collis. – Ten szczeniak Laurence’a Melforda. Cały nabzdyczony, zaperzony i napompowany godnością swej zacnej rodziny.

– Wobec tego mam nadzieję, że rozwalisz mu łeb – mruknął Dan McReady.

– Więc pójdziesz ze mną?

– Co miałbym nie pójść? Jeśli chcesz. Lubię sobie popatrzeć, jak się trzepie dupę południowcom, bo tylko na to zasługują.

Collis uśmiechnął się niepewnie.

– Skąd wiesz, że wygram. Przecież może być całkiem odwrotnie.

– Gdzie tam! Sam się kiedyś raz strzelałem, na takiej bocznej uliczce w Vicksburg. No, nie był to pojedynek w całym tego słowa znaczeniu, ale na to samo wyszło. Straszna rozróżba, jak tak teraz o tym myślę. Byłem spokojny, dlatego wygrałem. Ten drugi facet odskoczył w bok, a ja tylko po prostu podszedłem do niego, przystawiłem mu do głowy pistolet i powiedziałem: Jak mi nie odłożysz tu, w tej chwili tej pukawki, to przywitasz się ze świętym Piotrem. I to zara.

– Chciałbym mieć twoją pewność siebie.

Dan McReady znowu zapalił papierosa.

– Pamiętaj tylko, że pistolet ciężkiego kalibru to niezbyt celna broń. Bardzo niecelna.

Więc im mniej się ruszasz, tym większą masz szansę trafić w to, do czego masz zamiar strzelić. Trzymaj pistolet obiema rękami, celuj pomału i dokładnie i nie zastanawiaj się nad tym, co robi twój przeciwnik. Jeśli to naprawdę taki narwaniec, jak mówisz, to jest nadzieja, że nie trafi. Kula cię ominie i wyląduje po drugiej stronie Ameryki, na wschodnim wybrzeżu.

Nie gryź się tym.

Dorożka dotarła wreszcie na róg ulic Davis i Sacramento. Dan McReady otworzył drzwi, wyszedł na ulicę i spojrzał na Collisa jak sufler w melodramatycznym spektaklu.

– Na ogół umierają ci, co nie chcą umierać – zauważył twardo, chociaż z uśmiechem. – Ci, którym wszystko jedno, o, ci na ogół zawsze się jakoś wywiną.

Collis wysiadł za nim i podał dorożkarzowi dolara.

– No tak, to można powiedzieć, że mnie pocieszyłeś – powiedział gorzko. – Mam tylko nadzieję, że nie zabiorę ze sobą tych słów do grobu.

– Naprawdę się boisz? – zapytał McReady. Wymawiał „boisz” jak „bojjisz”.

Collis popatrzył na niego.

– Pewno, że tak – odpowiedział. – A’ ty byś się nie bał?

Dorożka skręciła w boczną ulicę, zgrzytając żelaznymi okuciami, oddalając się od śródmieścia. Davis Street we wczesnych zimowych godzinach rannych nie była bynajmniej zacisznym, przytulnym, bezpiecznym zakątkiem. Ryzyko przebywania w tej okolicy nie ograniczało się zresztą do wdychania wyziewów z cuchnących kałuży zatechłej wody, które zbierały się w piaszczystych grajdółkach po brzegach zatoki. Słynęła ona jako siedlisko stręczycieli, szubrawców i wypuszczonych warunkowo z więzienia bandziorów, dla których rozbicie komuś głowy żelaznym łomem, żeby ukraść portfel, to była pestka, po prostu chleb powszedni. Collis nie był pewien, co gorsze – stać na tym ponurym wydmuchowie, szczękając z zimna zębami, w oczekiwaniu na Gordona Jarvisa, czy też stanąć twarzą w twarz z Grantem Melfordem i jego pistoletem. Ciarki mu przeszły po plecach. Miał katar i prosił Boga, żeby pozwolił mu znaleźć się znowu w Nowym Jorku.

W końcu zauważył niską, kręłą postać, która zbliżała się do nich, kuśtykając po Sacramento Street od strony Battery.

Nieznajomy podszedł prosto do Dana McReady i Collisa i rzekł bez wstępnych grzeczności: – Wszystko gra. A to kto?

– Klient – rzekł Dan McReady. – Bardzo go to wszystko interesuje.

– Nie ufa nam?

Dan spojrział na Collisa i uśmiechnął się szyderczo.

– Może tak, a może nie. A może po prostu piroman z niego, jak ty sam.

Gordon Jarvis wyszedł teraz z cienia. Miał na sobie marynarską kurtkę, ręk w ogóle nie wyjmował z kieszeni, a jego mała; okrągła główka przykryta była dzianą rybacką czapczką z wełny. Nos miał krzywy, policzki pokryte białymi bliznami i brakowało mu dwu przednich zębów. Zajeżdżało od niego, i to porządnie, holenderskim dżinem. Za to oczy rozświetlały mu twarz jak dwa węgielki, złapane w druciance przy palenisku.

– Uszanowanie – rzekł z wyraźnym australijskim akcentem Wyciągnął rękę i Collis przywitał się z nim uściskiem dłoni. Wzdrygnął się, kiedy poczuł, że Jarvis ma tylko trzy palce, bez kciuka. Walczył z sobą, by nie wyrwać swojej dłoni z obrzydzeniem.

– Dan mówił, że już wszystko gotowe – rzekł Collis. Jarvis pokiwał głową. 1 – Wystarczy jedna zapalniczka – I po krzyku. Powiniś – I my mieć całkiem niezły pożar. Powiedziałem chłopakom z Piątej Brygady Straży Pożarnej, żeby dali nam jakie pół godziny, zanim się tu zjawią.

– Nikt nie widział, jak przewoziliście koce? Jarvis otarł nos rękawem.

– My nie amatory, szanowny panie. Przewieźliśmy wszystkie koce z magazynu pod brezentem, a jak kto pytał, co tam wieziemy, to my mówili, że to zgniłe skóry. Zostawiliśmy je w Parkinsonie już przed siódmą i tam je zamknęli. Mr Stoddard dał nam wszystkie konieczne rachunki i bardzo jest kontent, że się dziadostwo zajmie ogniem. Jest dobrze ubezpieczony, na wyrost, więc będzie mógł sobie w to miejsce postawić porządny, murowany magazyn.

– To świetnie – rzekł Collis bez przekonania.

– No to dobra. Idziemy. Zabawa dopiero się zaczyna.

Szli przez przesiąknięte deszczem drewniane chodniki Davis Street aż do California Street.

Z dala dochodziły ich słabe dźwięki pianina, od czasu do czasu powietrze rozdzierał jakiś pojedynczy krzyk, ale na ogół noc była cicha i spokojna. Nadbrzeżne dzielnice nasycone były wilgocią, a mgła spływała na miasto niczym żałobny całun.

Dan McReady rozkaszał się nagle bardzo głośno i kichnął „a – psik!”, a Collis popatrzył na niego, żywiąc w sercu nadzieję, że nie zakręci mu się w nosie akurat w momencie, gdy on, Collis, będzie właśnie celował w Granta Melforda.

Magazyn Parkinsona był to walący się barak, zbity ze starych belek z dawnej przystani Howisona. Jego fundamenty zapadały się już od pięciu czy sześciu lat, w miarę jak podmywał go wolno, ale skutecznie, osad z zatoki, tak że ściany jego chyliły się teraz do ziemi, a dach gubił gonty.

– Jak sobie chcecie popatrzeć, to stójcie tu – rzekł Gordon Jarvis i przeszedł na drugą stronę stanowczym krokiem niezgrabnego goryla.

Papieros Dana McReady znowu zgasł, ale tym razem krupier nie starał się go zapalić.

Stanął w przekrzywionym na bakier kapeluszu, krzyżując ręce na piersiach i pociągając regularnie nosem z zadowolenia, w oczekiwaniu na pierwsze znaki triumfu Gordona Jarvisa.

Collis natomiast pogwizdywał przez zęby. Naokoło nich sąsiedzkie prowizorki i dobudówki rzucały na ziemię zastygłe cienie.

W końcu dobiegł ich suchy trzask ognia. Collis spojrzął na drugą stronę ulicy, wyteżając wzrok w ciemnościach, i zobaczył gęste, szare kłęby dymu, pełnące spod oszalowań magazynu Parkinsona. Potem pojawiły się pierwsze języki ognia i za parę minut cały budynek stanął w płomieniach jak wielkie, czarne cielsko smoka. Ogień trząsał, syczał, skwierczał i skomlał i oto już zaczęły zawałać się pierwsze krokwie i stropy, tak że cały budynek zachwiał się i przechylił jeszcze bardziej na lewo.

Nagle, całkiem niespodziewanie, rozległ się przeciągły świst i poprzez szpary w deskach Collis zobaczył, że całe wnętrze magazynu zajął oślepiający, wszechpotężny ogień. Dan McReady pociągnął nosem i rzekł: – To tran. Gordon zawsze lubi postawić beczułkę tranu w pobliżu, żeby lepiej grzało. O!

Popatrz tylko, jak to pięknie wszystko idzie sobie teraz z dymem.

Ogień rozprzestrzenił się teraz, nieposkromiony, jak śmiertelna zaraza, przed którą nie zdoła się uchronić żadna belka ani deska. Gęsty, duszący dym, gnany umiarkowanym, wschodnim wiatrem, unosił się teraz nad miastem. Zgodnie z umową zawartą z Gordonem Jarvisem, a może nawet i wbrew t umowie, Piąta Brygada Straży Pożarnej stawiała się przy pożarze i Collis usłyszał syrenę strażackiego wozu, tętent końskich kopyt i turkot kół.

Chociaż było już teraz zdecydowanie za późno, by chłopcy w hełmach i mundurach strażackich mogli coś na to poradzić, ich I pompy i sikawki nadszedły paradnie wielką kawalkadą, wśród pisku, zgrzytu i skowytu wozów oraz sprzętu strażackiego, by zapobiec rozprzestrzenianiu się ognia. Za parę minut skrzyżowanie ulic Davis i California wypełniło się parszczącymi, podrzucającymi głowami końmi, strażakami–ochotnikami w błyszczących, mosiężnych hełmach i mundurach z mosiężnymi guzami oraz całym niezbędnym ekwipunkiem: węzami, pompami, cysternami. I w te pędy zbiegła się zewsząd wścibska hałastrą i z portu, i z dzielnic handlowych, by nacieszyć oczy widowiskiem. Głos dzwonek i buczących parowych zaworów brzmiał już wprawdzie dość przeraźliwie, ale nie był w stanie zagłuszyć najbardziej ponurego ze wszystkich dźwięków – dudniącego grzmotu walącego się budynku. Od czasu do czasu, gdy główne belki padały wśród gradu iskier, wśród tłumu przebiegał osobliwy jęk, w którym słyhać było jednocześnie zachwyt i przerażenie, a konie w uprzęży przebierały nerwowo kopytami. Pożar w San Francisco wydawał się Collisowi niemal regularnym obrzędkiem, w którym wszyscy z upodobaniem odtwarzali wyznaczone sobie role: nie tylko ochotnicze brygady straży pożarnej oraz gapie, ale również i podpalacze.

Bez nich, tych piromanów, byłoby w końcu o wiele i mniej pożarów, a wspaniałe brygady pożarnictwa nie miałyby okazji popisywać się swoim kunsztem.

Z magazynu znowu doszły ich trzaski i wybuchy, a poprzez szpary w deskach Collis mógł dojrzeć stosy płonących, sztuka po sztuce, koców ze świetnej angielskiej wełenki. Spojrzał w niebo. Iskry wzlatywały w mgliste powietrze nocy i wirowały wokoło, jak fajerwerki dla uczczenia zakończonego sukcesem przedsięwzięcia.

– Czysta robota, no nie? – rzekł Dan McReady.

– Pewnie, że tak – przyznał Collis bez entuzjazmu. – Nigdy przedtem nie widziałem jeszcze takiego pożaru. Jakoś ten widok działa na mnie strasznie przygnębiająco.

– A co w tym znowu takiego przygnębiającego? Nikt na tym nic nie traci, a strażacy mają dobry ubaw.

– Arthur Teach na tym traci. – Collis poczuł, że twarz mu pała jak w gorączce nie tylko na skutek bliskości gorejących płomieni, ale i w przypiływie skruchy z powodu tego, co uczynił.

– Jasne – rzekł Dan McReady, poprawiając rondo kapelusza. – Ale Teach powinien być ostrożniejszy. Może i zemsta jest czasem słodka, ale na ogół drogo się za nią płaci.

– Zapłaciłeś już Gordonowi Jantisowi? – spytał Collis.

– Jeszcze nie. Ma się tu z nami spotkać, jak już będzie po wszystkim.

Strumienie wody z sikawek i pomp zalewały teraz magazyn i w dziesięć minut ogień zawęził się do kilku posępnych, stłamszonych jęczyczków. Grupa ochotników przedostała się przez boczną bramę

pakamery i zabrała się z zapalem do rozbijania maleńkiej budki przylegającej z jednej strony do magazynu Parkinsona, a z drugiej do sąsiednich drzwi przedsiębiorstwa przewozowego.

Collis zwrócił się do Dana McReady: – Chyba jemu się nic nie stało?

Dan McReady energicznie pokręcił głową.

– To najlepszy specjalista w tym fachu. Dlatego właśnie jego wybrałem. Deportowano go do Nowej Południowej Walii za piromanię. Podpalił salę koncertową we wschodnim Londynie. W środku było siedemdziesięciu ludzi; mieli cholerne szczęście, że się tam nie usmażyli we własnym tłuszczu.

– To nie znaczy wcale, że tym razem nie popełnił jakiejś omyłki.

– Słuchaj – rzekł Dan McReady głosem, w którym nagle zabrzmiał gniew. – Sam tego chciałeś, tak czy nie? No to masz. Dwadzieścia tysięcy dolarów i koce spalone na amen.

– Tak, ale... – O Gordona się nie martw. Nic mu się nie stanie – dorzucił Dan McReady. – Musiał się pewnie wydostać od tyłu i poszedł naokoło budynku. Zaraz tu będzie, nic się nie bój.

Czekali na rogu Davis Street prawie dwadzieścia minut. Wybiła trzecia. Straż pożarna ugasiła ogień i nad całą okolicą unosiły się kłęby gryzącego dymu. Z magazynu Parkinsona nie zostało prawie nic, tylko zwęglone belki i czerniejący popiół. Strażacy przedzierali się poprzez zgliszcza w swych mosiężnych hełmach, zaśnieżonych od gorąca i wilgoci, zamierzając się siekierami na cokolwiek, co się jeszcze ćmiło, i zanosząc się od kaszlu. Jeden z nich pogwizdywał popularną, kolejarską piosenkę Stephena Massetta „Z drogi!": „Ludzie myślący, wstawać! Do dzieła! W dzień i w nocy!” McReady przygryzł wargi.

– Nic nie rozumiem – odezwał się nagle. – Powiedział mi przecież, żeby tu na niego czekał. O tu, w tym miejscu. „Czekaj tu na mnie”, powiedział. Mówił, że zajmie mu to z pięć minut.

Collis czuł się zbyt zmęczony, by czekać dalej.

– Jeśli taki z niego kuty na cztery nogi wyga, jak mówisz, to przyjdzie po swój udział, nawet jeśli będzie cię musiał znaleźć w biurze. Nie zrobiłby ci przecież prezentu z takiego pożaru. Musi zarobić swoje, jeśli ma trzymać język za zębami. No, chodźmy już wreszcie napić się czegoś, na miłość boską. W gardle mi zaschło. Pali mnie tam, jakby to był komin pieca hutniczego.

– Może dajmy mu jeszcze pięć minut – McReady ściągnął brwi. Był niespokojny.

– Dan – powiedział Collis, znużony. – On już nie przyjdzie. Może wpadnie się z tobą zobaczyć jutro, ale to zupełnie jasne, że dzisiaj już nie przyjdzie.

– W porządku – rzekł McReady, nadal się jednak ociągając. – Chyba masz rację.

Opuścili swój punkt obserwacyjny i przeszli na drugą stronę ulicy. Jeden ze strażaków zawołał do nich: – Uwaga! Nie deptać po sikawkach!

Musieli więc zejść na bok, gdy mokry brezentowy wąż prześlizgnął się obok nich niczym lśniaca anakonda. Chmura smolistego dymu zasnęła wszystko grubą zasłoną, ale potem opadła na ziemię. Strażacy, pobladli ze zmęczenia, umorusani sadzą, wyglądali jak grupa kłownów na pogrzebie.

Przechodząc obok wypalonych ścian magazynu, od strony California Street, usłyszeli jak jeden ze strażaków woła: – Kapitanie! Niech no pan tu pozwoli na chwilę!

Collis nawet się nie zatrzymał, ale Dan McReady złapał go za rękaw.

– Poczekaj. Tylko chwileczkę.

Collis westchnął ciężko i stanął w miejscu. Kapitan brygady, w spiczastym kaszkiecie i wypastowanych na glans buciskach, przedzierał się przez zgłiszcza w ciasnej marynarce, która obciskała jego wielkie, wypasione brzuszysko i bryczesy opięte z tyłu na równie wypasionych pośladkach. Trzech czy czterech strażaków dołączyło do niego i wkrótce połowa brygady stała wokół, potrząsając głowami i komentując wydarzenie. Collis nie słyszał, co mówią, z powodu ciągłego syku pary wydobywającej się z pompy.

– Mój Boże! – powiedział nagle McReady i wspiał się po osmalonych belkach, które jeszcze godzinę temu stanowiły południową ścianę budynku. Zaczął przeciskać się i potykać przez pogorzelnisko. Poślizgnął się dwa razy i rozdarł sobie mankiety przy nogawkach spodni.

– Dan! O co chodzi, do diaska? – spytał Collis.

Ale potem, poprzez rząd strażackich gumiaków, wzrok jego padł na miejsce, w które tak uparcie wpatrywał się Dan McReady. Zawahał się na moment, a potem ostrożnie wspiał się sam na belki. Poczul, że serce w nim słabnie z przerażenia. Wszystko wydawało się złym snem. Strażacy nie spojrzeli nawet na niego, gdy dołączył do nich i spojrzeli na to, co znaleźli.

Był to Gordon Jarvis. Po dłoni o trzech palcach Collis poznał od razu, że to on. A poza tym wiadomo było, że to nie mógł być kto inny. Był jednak poparzony, zniekształcony nie do poznania. Być może beczka z tranem wybuchła przedwcześnie. Być może potknął się, przewrócił i zwichnął nogę; być może dostał ataku serca. Nikt się tego już nie dowie, przez jakie musiał przejść męczarnie, bo Gordon Jarvis nigdy nie będzie już mógł o tym nikomu opowiedzieć.

Collis znalazł się z powrotem na chodniku i wtem zorientował się, że ucieka. Zapach spalonej wełny przywodził mu na myśl upiorny odór zwęglonych ciał. Stał tam przez dwie czy trzy minuty, obejmując wzrokiem całą California Street, aż do chińskiej dzielnicy, gdzie na wietrze wczesnego poranka huśtały się czerwono – zielone lampiony. I co ma teraz zrobić? Co powiedzieć? Zresztą, za niecałe cztery godziny ta sama ambicja, która przywołała Gordona Jarvisa na Davis Street i obróciła wszystko w popiół, poprowadzi teraz Collisa na północny brzeg jeziora Merced. Collis nie mógł zaprzeczyć, że się boi. Być może Laurence Melford i John Frémont mieli jednak rację co do kolei transkontynentalnej? Może to on się mylił? Być może marzenie o tym, by spiąć oba brzegi Ameryki niczym żelazną klamrą, było zuchwalstwem zadufanego w sobie pyszałka, nie mniejszym niż projekt budowy wieży Babel na wybrzeżu. Przecież nawet John Frémont stracił przy tym dziesięciu ludzi; zamierzli w górach, które wzięły swoją nazwę od krwi Jezusa Chrystusa*.

Dan McReady zbliżył się wreszcie do niego i położył mu – rękę na ramieniu. Był biały jak prześcieradło, a kapelusz ścisnął kurczowo w obu dłoniach.

– Znałem go od lat – rzekł prawie szeptem. – Dziwak był z niego, wiesz, i zbój, jakich mało. Ale jak człowiek był w potrzebie, to nigdy nie odmówił pomocy. Zawsze chętnie podłożył ogień, nie trzeba go było prosić dwa razy.

Collis nie odpowiedział, tylko potarł swój usmolony policzek czubkami palców.

– Nie przeraża cię to? To, co spotkało Jarvisa? – zapytał Dan McReady.

Collis popatrzył na niego długo i poważnie.

– W Panamie – powiedział ochryple – modliłem się do Boga o czyjeś życie i to życie zostało ocalone. Ale mam już teraz na sumieniu dwie osoby: taką dziewczynę w Nowym Jorku i teraz Gordona Jandsa i zastanawiam się, czy Bóg nie postanowił właśnie, żebyśmy zostali teraz osądzeni.

– Eeee tam! Jesteś przemęczony i zdenerwowany. Przecież to nie ty zabiłeś Gordona Jandsa. Gordon Jarvis stał się, że tak powiem, ofiarą własnego losu.

– Właśnie, że nie. Tu się mylisz. Jest ofiarą mojego losu. Tak jak i tylu innych ludzi. Tak zresztą nawet jak i ja sam.

– Nie wiem nawet, o czym gadasz – rzekł Dan McReady. Spojrzał znowu na stojących w kółku strażaków.

– Chciałbym być w stanie ci to jasno wytłumaczyć. Sam chciałbym to pojąć, zrozumieć – mówił dalej Collis.

Znowu zerwał się wiatr, a mgła kładła się ciężko na ziemi. Ciemne włosy Collisa potargały się, jakby ktoś zmierzwił je palcami.

– Czuję się tak, jakbym stał na pomoście wagonu jakiegoś upiornego pociągu – widma – odezwał się znowu. – Pędzi on coraz szybciej i szybciej, a ja jestem zupełnie bezsilny – nie mogę go zatrzymać, nawet kiedy ludzie giną pod jego kołami.

Dan McReady wyciągnął zmiętego skręta.

– To, chłopie, nazywa się przeznaczenie. Każdy jedzie jakimś tam swoim pociągiem.

Niektóre, zżerane rdzą, wloką się i zatrzymują przy każdym najdrobniejszym przejeździe; inne błyszczą w całej swej świetności i lecą jak strzały. Tak to już musi być. Ale uwierz mi, a wiem to, bo sam do tego doszedłem własnym przemyśleniem, wszystkie w końcu dojeżdżają do tej samej stacji. I czy to te ślamazarne, czy ekspresowe, prymitywne czy wycackane świcidelka – to i tak, proszę ja ciebie, jeden diabeł: większość ludzisków uważa, że cała zaszracona podróż nie warta była tej ceny, którą musieli zapłacić za przejazd.

Collis zacisnął mocno oczy. Paliło go pod powiekami. Potem powiedział: – No to może zamienimy się miejscami? Chcesz mnie zastąpić w pojedynku?

Rozstali się na rogu ulic Montgomery i California. Dan McReady wracał do swego pensjonatu na Stockton Street, żeby się przebrać i ogolić. Przyrzekł, że odbierze Collisa sprzed hotelu

International tuż po szóstej rano, tak żeby mieli czas na dojazd nad jezioro Merced, nie spóźniając się na pojedynek.

– Tylko nic nie pij – ostrzegął Collisa Dan McReady. – I nie staraj się zasnąć. Wykap się, najlepiej w zimnej wodzie, i włóż czystą bieliznę. Łatwiej się strzela w czystych kalesonach. Nie wiem dlaczego, nie pytaj mnie.

Collis patrzył, jak McReady znika w ciemnościach. W oknie na górze, po drugiej stronie ulicy, paliło się dalej światło i ktoś grał na altówce tak smutno i tklawie, jakby właśnie utracił, lub może utraciła, wielką miłość. Collis stał bez ruchu na rogu ulicy jeszcze przez jakiś czas, a potem, zacięty w sobie, ruszył na pomoc, w stronę hotelu. Będzie musiał jeszcze coś przelknąć, zanim stanie oko w oko ze swoim przeznaczeniem.

Gdy Collis zjawił się na wietrznym brzegu jeziora Merced, pod listopadowym niebem zasnutym czarnymi jak krucze skrzydła chmurami, Grant Melford czekał już tam na niego w towarzystwie dwóch sekundantów i lekarza. Wiatr świszczwał w otwartym polu, kołysząc pozółkłe, jesienne trawy, i dzwonił Collisowi w uszach, aż mu od tego pękały bębunki. Dan McReady zapłacił woźnicy dwa dolary i kazał na siebie czekać, a Collis stał w milczeniu przy kołach wynajętej dorożki. Pięćdziesiąt jardów od nich, w czarnej pelerynie i wysokim, aksamitnym cylindrze, Grant Melford przyglądał mu się z uwagą, marszcząc z wysiłku czoło.

Collis starał się uśmiechnąć, choć sam nie wiedział po co.

Wreszcie powóz został odprawiony tak, aby woźnica nie mógł słyszeć strzałów. Trzeba było przywitać się z obecnymi. Collis ruszył w ich stronę po trawniku, a Dan kroczył tuż za j nim uroczyście. Collis miał na sobie swój poranny, popielaty surdut, świeżo wyprasowany tego ranka przez służbę hotelową, a Dan McReady ubrany był w surdut z brązowego tweedu w jodełkę i okrągły, biały kapelusz. Palił papierosa.

Twarz Granta Melforda była obrzękła i pobladła jak budyń waniliowy. Chyba przez całą noc nie zmrużył oka. Jednym z jego sekundantów był młody, poważny człowiek, który wyglądał na studenta. Twarz miał opaloną, a pod nosem mały wąsik. Mrużył ciągle swoje jasnoniebieskie oczy jak jakiś nieco zbzikowany sędzia w rozgrywkach badmintona. Drugi był chyba służącym, bo stał o parę kroków z tyłu, a obszerny poranny surdut, jak po starszym bracie, wisiał na nim niezgrabnie. Miał wielki nos, kręcone włosy w kolorze miedzi i w ogóle się do nikogo nie odzywał, choć Collis słyszał, że burczał coś pod nosem sam do siebie.

Jeszcze dalej, na niskiej, zarośniętej trawą grobli, czekał doktor, niczym sęp na gałęzi. Był to starszy, szpakowaty mężczyzna z bujną czupryną i w wąziutkich okularach. U jego stóp leżała wytarta, brązowa torba. Zakaszłał ciężko, gdy Collis skinął lekko głową w kierunku Granta i jego sekundantów, mówiąc na powitanie: – Dzień dobry, panowie. Co za obrzydliwa pogoda. Pożegnać się z życiem, w taki dzień!

– Co za los!

Grant odpowiedział nerwowym skinieniem głowy.

– Dzień dobry, Mr Edmonds. Oto moi sekundanci: Mr Snaith i Mr O'Rourke. A to nasz lekarz, dr Mince.

Collis uśmiechnął się do każdego z osobna, trochę krzywo. Doktor, zupełnie niespodziewanie, pomachał mu ręką. Grant oddychał głęboko i nierówno.

– Podejrzewam, że nie jest pan przygotowany na odwołanie uwag z wczorajszego wieczora – zwrócił się do Collisa.

Collis rzucił okiem w stronę Dana McReady, ale ten tylko wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Twój pojedynek, chłopie. Chciałeś się bić, to się bij”.

Studenciak, Mr Snaith, stał obok z wielkim, mahoniowym pudłem w rękach, trzymając palec na zamku i nie otwierając wieka. Czekał na odpowiedź.

Collis przełknął ślinę. Zdawało mu się, że jest zupełnie gdzie indziej. Gmiotło go w piersiach i nie wiedział, jak się uwolnić od tego ucisku. Wiatr targał surdudem Collisa, a gnane silnym podmuchem stado mew opadło na wzburzoną taflę jeziora niczym porwane kartki listu z wieścią o jakimś tragicznym wydarzeniu.

– Nie – rzekł Collis. – Nie odwołam.

– I nic nie zmieni pańskiego postanowienia?

– Powiedziałem już, że nie. Czy słowo „nie” ma dla pana jeszcze jakieś inne znaczenie?

Grant zwilżył wargi językiem.

– Dobrze wiec. W taki razie nie pozostaje mi nic innego, jak tylko dać panu wybór pistoletu. Mr Snaith?

Mr Snaith nacisnął zamek i podniósł wieko mahoniowego pudła. Podeszedł do Collisa po trawniku i podsunął mu je pod sam nos z miną zaciętą, pogrzebową. Gdyby nie te nerwy, Collis chyba wybuchnąłby śmiechem. Obejrzał pudełko i życzył sobie, żeby już było, psiakrew, po wszystkim.

Ułożone pięknie na zielonym pluszu leżały tam dwa pistolety z długą lufą, z lakierowanymi, drewnianymi rękojeściami. Były proste, gładkie i pachniały smarem.

Mosięzna płytką na boku pudła głosiła: „Lafoucheux”.

– Proszę wybrać jeden z nich, Mr Edmonds. Oba są naładowane i oba mogą wypalić tylko jeden raz – powiedział Mr Snaith.

Collis podniósł pistolet, który leżał po jego stronie. Potrzymał go przez chwilę niezręcznie w dłoni, czując pod palcami jego ciężar i chłód.

– W porządku – powiedział. – Ten będzie mój.

Mr Snaith podeszedł teraz z kolei do Granta Melforda, a ten wyjął z pudła drugi pistolet. Na mroźnej grobli lekarz znowu się rozkaszał. Była dokładnie siódma dwie. Collis poczuł nagle, że ma ochotę iść za żywopłot, żeby się wysiusiać. Jeszcze tego brakowało! Trzeba się pojedynkować z pełnym, bolącym pęcherzem! Co za przebrzydły dzień!

Mr Snaith zamknął pudło.

– Panowie – powiedział z typowym bostońskim akcentem, zjadając końcówki wyrazów.

– Bardzo proszę jeszcze tylko o chwilę uwagi. Regulamin mówi, że mają panowie stanąć do siebie tyłem, a potem odmierzyć dwadzieścia kroków każdy, odwrócić się i wypalić, wedle własnego uznania. To wszystko. Niech was Bóg ma w swojej opiece.

Collis spojrział w dół na swój pistolet.

– Przecież ja nawet nie wiem, jak się z tego strzela – bąknął w stronę Dana McReady. – Jak to się robi?

Dan McReady wyjął papierosa z ust. Trzymał go między kciukiem i palcem wskazującym.

– To Lafoucheux – powiedział. – Robią je specjalnie do pojedynków. Nie ma gorszego paskudztwa. Wystarczy, że połachoczesz cyngiel i – buch! – już po wszystkim. Więc w żadnym wypadku nie kładź palca blisko cyngla, dopóki nie wycelujesz i nie będziesz gotowy do strzału.

– Aleja się boję – rzekł Collis. – Wiesz co? Cholernie się boję, psiakrew.

– Pewnie, że tak – odparł Dan McReady obojętnie. – Tylko się nie zesraj ze strachu, bo zapomnisz, co ci mówiłem. Trzymaj pistolet oburącz, celuj bez pośpiechu. Odciągnij kurek kciukiem i leciutko pociągnij za cyngiel. To wszystko. A teraz idź już i rozwał łeb temu skurwysynowi.

Mr Snaith uniósł w górę czerwoną chusteczkę. Zatrzepotał na wietrze.

– Uwaga, panowie. Gotowi? Grant Melford odkrzyknął głośno: – Jam zawsze gotów, Mr Snaith, by bronić swego honoru! Collis spojrział na Dana McReady i wykrzywił się z niesmakiem. W odpowiedzi odkrzyknął: – Jam zawsze gotów, Mr Snaith, odpłacić szaleństwem za szaleństwo.

Mr Snaith obrzucił Collisa niezadowolonym spojrzeniem, ale potem uniósł chusteczkę ku górze i trzymał ją tak przez parę sekund, a potem opuścił dłoń na znak, że można zaczynać.

Collis odwrócił się i zaczął iść przed siebie. Łąka była pochyła i nierówna. Przed sobą, w oddali, widział czekający wynajęty powóz i przyszło mu na myśl, że mógłby po prostu tak iść przed siebie, a potem przyspieszyć kroku, biegiem, biegiem, i dotrzeć do powozu, zanim ktokolwiek zorientowałby się, że uciekł. Za powozem widać było szczyty Fern Hill, a poza nimi śródmieście San Francisco w dymnej, szarej zasłonie z palenisk, przy których przyrządzano właśnie śniadania. Odkaszlnął. Potknął się i prawie przewrócił o piaszczysty pagórek.

Ocknął się z zamyślenia. Cholera! Zapomniał, że ma odmierzać dystans. Ile to już było kroków? Dwanaście? Piętnaście? A jeśli Grant Melford wystrzeli, zanim Collis zdąży się 466 odwrócić? Nerwowo obejrzał się za siebie. Zobaczył plecy Granta, który dalej liczył.

Stawiał wielkie kroki i w swym porannym surducie wyglądał jak ogromniasty, spasiony kruk.

To chyba już. Dziewiętnaście, dwadzieścia. Stop. Obrót. Grant Melford również się właśnie odwracał. Odległość czterdziestu kroków nie była wcale taka duża, jak to sobie Collis wyobrażał.

Widział dalej, i to całkiem wyraźnie, pobladał twarz Granta i nawet pieprzyk na jego brodzie. O mój Boże. Jakie to wszystko dziwne.

Grant Melford uniósł pistolet. Collis był tak pochłonięty całym rytuałem pojedynku, że prawie zapomniał, co ma robić. Ale potem dostrzegł Dana McReady, który stał tam niewzruszony w swoim brązowym tweedowym surducie i meloniku, i przypomniał sobie jego ostrzeżenie: „W żadnym wypadku nie kładź palca blisko cyngla, dopóki nie wycelujesz i nie będziesz gotowy do strzału. Trzymaj pistolet oburącz; celuj bez pośpiechu”.

Ledwie zdołał unieść swój pistolet, usłyszał klapnięcie, jakby ktoś zamykał grubą książkę.

Collis drgnął, wbrew własnej woli, i fala krwi uderzyła mu do mózgu. Czekał, aż przesyje go kula. Porażony strachem, zapomniał, że gdyby rzeczywiście został postrzelony, to leżałby już teraz na ziemi i żaden dźwięk nie doszedłby do jego bębenków usznych.

Nic się nie stało. Collis popatrzył na Granta Melforda i zauważył, że stał w trawie z wyrazem niemal komicznego przerażenia na twarzy, unosząc w górę krzaczaste brwi, z buzią otwartą w szerokie „o”. Za nim, gnany wiatrem, pełzał biały dymek z pistoletu. W podnieceniu musiał dotknąć cyngla swego Lafoucheux, zanim zdążył wycelować, i czuły pistolet wypalił w nicosc.

Echo poniosło łagodnie głos wystrzału ponad jeziorem. W oddali stado poruszonych ptaków wzleciało w niebo, ale teraz już wracały znowu na dawne miejsce. Mr Snaith i Mr O'Rourke odwrócili jednocześnie głowy i wlepili wzrok w Collisa. W ich oczach malowało się teatralne niemal przerażenie, wcale nie mniejsze od tego, które widział w oczach Granta Melforda. Collis nie ruszał się z miejsca. Stał wyprostowany, dzierżąc w dłoniach swego Lafoucheux, celując prosto w głowę Granta Melforda.

Zrozumiał nagle, co to jest prawdziwa wszechmoc. Nie miał teraz absolutnie zamiaru zabić Granta Melforda. Byłaby to więcej niż zbrodnia, byłby to wielki błąd. Ale Grant przecież o tym nie wiedział. Zresztą, zgodnie z melodramatycznym kodeksem postępowania młodego Melforda, Collis miał całkowite prawo zastrzelić go tu, na miejscu, wedle własnego widzimisie. Nieszczęsny młokos stał z rękami po bokach, na baczność, z twarzą wykrzywioną bólem, ale honorowo. Collis udał, że wymierza i celuje z namysłem. Wyczuwał dobrze to napięcie, tę agonię każdej chwili przed ostatecznym wystrzałem.

Grant Melford i jego sekundanci nie wiedzieli jednak, że gdyby Collis go zabił, zaakceptowałby tym samym idiotyczne przekonanie, że uszczypliwe uwagi mogą być wymazane tylko przez rozlew krwi, w pojedynku, z bronią w ręku. I, co gorsza, straciłby doskonałą okazję, by obłaskawić starego Melforda. Dotąd zionął on w stosunku do Collisa nienawiścią – teraz, aczkolwiek Bardzo niechętnie, będzie musiał przyznać, że ma u niego dług wdzięczności za ocalenie synowskiego życia.

Mr Snaith rzekł bardzo napiętym głosem: – Może pan strzelać, kiedy pan będzie gotów, Mr Edmonds.

– Dziękuję, Mr Snaith! – odkrzyknął Collis.

Widział, że Dan McReady, z papierosem w zębach, obserwuje go z umiarkowanym zainteresowaniem. Uniósł swój pistolet wysoko ponad głowę i wystrzelił w powietrze, pod niebo. Poczul ból w okolicy nadgarstka i usłyszał potworny huk.

Mr O'Rourke zaczął nagle klaskać, ale przestał natychmiast, zgromiony lodowatym spojrzeniem Granta Melforda. Bładość na jego twarzy zastąpił teraz krwawy rumieniec.

Wyraźnie sądził, że takie rozwiązanie sprawy przynosi mu ujmę. Podszedł do Collisa majestatycznie i stanął przed nim na trawie, z rękami na biodrach, zaciskając pięści.

– Nie musiał pan tego robić, wie pan o tym dobrze – powiedział głośno. – To niehonorowo strzelać celowo w powietrze.

Collis zwiesił pusty pistolet lufą ku ziemi. Uśmiechnął się.

– Wścieka się pan, bo wyszedł pan na idiotę. Ale ja wyszedłbym na jeszcze większego idiotę, gdybym pana zastrzelił. A teraz, czy możemy wreszcie uważać tę sprawę za zakończoną?

Grant odetchnął głęboko.

– Przypuszczam, że tego właśnie wymaga etykieta.

– No to świetnie – rzekł Collis. – A o szampanie pan nie zapomniał?

Grant spojrział na niego i Collis zauważył ze zdumieniem, że dolna warga chłopaka zadrgała nerwowo.

– Przy... przyniosłem tylko... tylko jeden kieliszek – wyjąkał.

Łzy nabiegły mu do oczu, więc szybko odwrócił się na pięcie i pobiegł w stronę powozu, który czekał nad brzegiem jeziora. Minał Mr Snaitha i Mr O'Rourke'a, nie zamieniwszy z nimi ani słowa. Doktor zakaszlał, podniósł z ziemi swoją lekarską torbę i podreptał niespiesznie za Grantem. Coollis stał bezczynnie i wpatrywał się w nich, bo tak jak inni nie wiedział, co dalej robić, ani jak się zachować.

W końcu Mr Snaith podszedł do Collisa i wyciągnął rękę po pistolet. Collis podniósł swego Lafoucheux, przyjrzał mu się z uwagą, a potem pokręcił głową w kierunku Mr Snaitha.

– Pamiątka – powiedział. – Drobnie upomnienie, że w obronie tak zwanego własnego honoru można ponieść śmierć z rąk człowieka, którego się prawie wcale nie zna.

9

Wyjechał do Sacramento w następny poniedziałek. Czuł się wykończony i właściwie to cieszył się, że już wraca. W głębi kontynentu było dużo cieplej, więc stał na pokładzie parowca turbinowego w rozpiętej jesionce. Parowiec podpłynął bokiem do nadbrzeża, a turbiny mąciły błotnistą wodę rzeki, zamieniając ją w brunatną pianę. Pracownicy portowi i przygodni gapie, oparci o drzewa i słupy, tworząc łańcuch ludzkich sylwetek i fizjonomii, przypatrywali się, jak statek cumuje.

Już z daleka Collis zobaczył, że Wang-Pu, w porannym surducie i kapeluszu, czeka na niego w cieniu czerwonej jarzębiny. Parę kroków za nim, przywiązany do poręczy, stał konny zaprzęg Jane

McCormick, który widocznie Wang–Pu od niej wypożyczył. Wymowa tego faktu nie uszła bacznej uwagi Collisa, tak że aż uśmiechnął się sam do siebie. Ta pospolita Mrs McCormick musiała bardzo się za nim stęsknić.

Przed wyjściem na ląd Collis zamienił parę słów z jednym z marynarzy, mężczyzną w pasiastej, dżersejowej koszulce, którego głowa miała zarówno kolor, jak i kształt mosiężnego rondla. Poprosił go, by ten dopilnował rozładunku. Chodziło o to, żeby zakupione w San Francisco materiały dostarczyć bez żadnej zwłoki i niepotrzebnych komplikacji pod numer 54, do sklepu na K Street. Dał majtkowi dwie pięciodolarowe monety, a ten przytrzymał je w kciukach, pieczętując brudnymi paznokciami, a potem wrzucił obie do zawieszanej na szyi irchowej sakiewki.

Collis zszedł po deskach pomostu, a Wang–Pu zbliżył się do niego, unosząc kapelusz.

– Dzień dobry, Mr Edmpnds. I jak tam podróż? Wszystko w porządku?

– Pianino na statku było rozstrojone, a ostrygi nieświeże, ale pomijając to, całkiem nieźle.

– Pozdrowienia i wyrazy szacunku od Mrs McCormick.

– Właśnie widzę.

Przeszli przez zakurzoną Front Street i wsiedli do powozu. Wang–Pu strzelił z bata obok końskich uszu; skręcili na południe i jechali teraz kłusem w stronę K. Street. Popołudniowe promienie słońca załamywały się w szprychach kół i przedzierały przez szumiące liście jarzębin i czarnej wiśni.

– Mr Jones dopytywał się o pana – rzekł Wang–Pu.

– O! No i co?

– Mówi, że chce jechać do Waszyngtonu w lutym i że już zarezerwował bilety na „Kalifornii”.

– Trzeba powiedzieć, że plany ma bardzo dalekosiężne – zauważył Collis.

– Możliwe – rzekł Wang–Pu.

Collis obrócił głowę i przyjrzał mu się z uwagą.

– Możliwe? Co masz na myśli? Wiesz pewnie coś, czego ja jeszcze nie wiem.

Wang–Pu spojrział na niego z drwiną w oku.

– Jeśli chce pan wiedzieć, to utrzymuję bliski kontakt z moim dobrym znajomym, Chińczykiem z San Francisco. Dopiero co, ot, parę dni temu, pisał mi właśnie o pewnym pożarze na Davis Street. Podobno spalił się tam pewien magazyn. Mam tu ten list w kieszeni.

Szkoda, że nie umie pan czytać po naszymu, bo list pełen jest subtelnych aluzji. Jeden z symboli ma mniej więcej takie znaczenie: „ten, który dał się wykiwać raz, doznał tego po raz wtóry”.

Collis wyduł wargi obrażony, ale potem odprężył się i nawet uśmiechnął.

- Nic się nie da przed tobą ukryć, jak widzę. Wang–Pu znowu strzelił z bata.
- Tajemnice to wśród Chińczyków waluta wymienna, nie gorsza od waszego handlu prochem i gwoździami.
- Aha, rozumiem. Więc powiedziałaś już Teodorowi, że się znowu odkułem.

Wang–Pu przytaknął skinieniem głowy.

- Pozwoliłem sobie zauważyć, że skoro ocyganił pan Mr Teacha, sprzedając mu przepalone koce, a potem, na dokładkę, podłożył pan ogień jeszcze raz, żeby zatrzeć ślady pierwszego spalania, to musi pan być opętany ideą kolei transkontynentalnej Sierra Pacific nie mniej niż on sam. Albo może jeszcze bardziej.
- Więc kupił te bilety do Waszyngtonu na podstawie twojej rekomendacji?
- Można to i tak ująć.

Collis pograżył się przez jakiś czas we własnych myślach, a potem zapytał: – Dlaczego to robisz? Jaki masz w tym cel? Wang–Pu zszedł z powozu i wyprostował przekrzywiony kapelusz.

- Mój cel, Mr Edmonds? Tylko taki, aby wypełnić misję, która już wcześniej została zapisana w gwiazdach.
- Co zostało zapisane w gwiazdach? Że Teodor Jones zaciągnie mnie do Waszyngtonu, bo jakiś wścibski Chińczyk powiedział mu, że to dobry pomysł?
- Niech się pan nie unosi, Mr Edmonds – rzekł Wang–Pu. – Wszystko się toczy zgodnie z przepowiednią. Zasięgnąłem rady trzech wróżbitów i wszyscy byli co do tego zgodni.
- I co ci powiedzieli? Żebyś miał na oku nowojorskiego dandysa w aksamitnym cylindrze?

Promienie zachodzącego słońca oświetlały szczupłą sylwetkę Wang–Pu, z główką owalną jak migdałek; odbijały się od lewego ramienia rasowego Chińczyka z Północy niczym oślepiające epolety.

- Używali metafor, jak to mają w zwyczaju – wyjaśnił spokojnie Wang–Pu. – Ale powiedzieli mi, że jako pierwszy spośród moich rodaków stanę u wrót przyszłości, w odległych pasmach gór. Że w towarzystwie białego diabła poprowadzę setki Chińczyków do wielkiego dzieła. I że razem zbudujemy drogę, jakiej świat jeszcze nie widział. Powiedzieli, że dane mi będzie otrzeć się o szaty wielkiej sławy i chwały.
- Pewnie po prostu gromadzą skrzętnie potrzebne im informacje. Muszą mieć w tym dużą wprawę. Widocznie wiedzieli, że się przyjażnisz z Theodore Jonesem.
- Nie, Mr Edmonds. To było już wiele lat temu, jak tylko przyjechałem do San Francisco.

Było to dawno, zanim jeszcze poznałem pana, Mr Jonesa i w ogóle kogokolwiek z moich obecnych znajomych.

Collis przypatrzył się Wang–Pu, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że widzi go po raz pierwszy w życiu. Było to niesamowite. Raptem ten zabawny Chińczyk, ten służący, wydał mu się kimś zupełnie innym – człowiekiem, którego los był tajemniczo powiązany z jego własnym.

– Musimy o tym jeszcze kiedyś porozmawiać – rzekł Collis.

– Wiem – odparł Wang–Pu, jakby umiał czytać w jego myślach.

Collis rozejrzał się po K Street i zatrzymał wzrok na fasadzie budynku, gdzie pod numerem 54 mieścił się sklep ze sprzętem gospodarskim i żelaznym.

– Muszę chyba zawiadomić teraz Lelanda i Charlesa, że już jestem. Może byśmy pogadali jutro?

– Oczywiście. Proszę wstąpić do mnie, Mr Edmonds, a ja przygotuję skromną, chińską kolację: duszone w mięsny sosie pomidory, potrawkę z głowy lwa i wędzoną kaczkę.

– Brzmi to bardzo zachęcająco.

– To tradycyjne danie chińskie.

Stali teraz obok siebie sztywno, jak dwaj obcy sobie ludzie, którzy właśnie przed chwilą zostali sobie przedstawieni. Dopiero teraz obaj zrozumieli, dlaczego ich jakże odmienne pod każdym innym względem losy sprowadziły tu, w to samo miejsce i w tym samym czasie, i dlaczego w ich oczach odbijały się białe śniegi wysokich Sierras.

*

Tego wieczora Collis i McCormickowie poszli na kolację do Tuckerów. Kalifornijskim Pino Noir wzniesli toast za ich nową spółkę, a potem Charles, tęym nożem, walczył z kawałkiem łykowatej pieczeni, podczas gdy Mary częstowała wszystkich przegotowaną brukselką i wodnistym sokiem owocowym. Collis opowiedział im o swojej podróży do San Francisco i o towarach, które tam zakupił, choć nie wspomniał ani słowem o l'affaire des cowertures* (było to określenie, którego używał później Teodor Jones, ilekroć przyszło mu wspomnieć o pożarze koców z „Arii”). Zachował również dla siebie sprawę pojedynku z Grantem Melfordem. Wiedział już teraz, że jeśli będzie chciał postawić na swoim w sprawie kolei, to będzie musiał ich wszystkich przechytrzyć. Tymczasem chciał uśpić ich czujność, dopóki nie będzie gotów.

Po żalonym ananasowym puddingu Collis wreszcie wyjął sakiewkę pełną złota, którą Dan McReady zostawił w sejfie w hotelu International. Uniósł ją i potrząsnął, tak że zabrzęczała głucho, jak tylko brzęczą bryłki złota, a potem podał ją przez stół Lelandowi.

– Mimo to nadal chciałbym wiedzieć, jak udało ci zarobić na spalonych kocach – rzekł Charles, obierając ja scyzorykiem.

– Jak się ma co do sprzedania, zawsze się znajdzie na jakiś kupiec. Miałem szczęście i tyle.

– Ile tu jest? – spytał Leland, marszcząc czoło z najwyższej dezaprobaty.

– Wystarczy na wykupienie akcji. Można będzie temu poszerzyć asortyment.

Leland spojrzał niechętnie na sakiewkę i wytarł usta serwetką.

– Wiesz co – powiedział – dalej trudno mi jakoś w to uwierzyć, że człowiek twojego pokroju, z twoim pochodzeniem, chce się zaangażować w handel żelastwem. Wiem, co mówiłeś o zdobywaniu doświadczenia i tak dalej; pamiętam to. Ale wyczuwam w tym jakiś fałsz.

Collis' sączył swoje wino i nie spieszył się z odpowiedzią. Za to Charles ujął się za Collisem.

– Przecież już nie raz dał dowody swego entuzjazmu i zaangażowania. I to się liczy.

– Zapłaciłem w złotej walucie – rzekł Collis – a to się liczy jeszcze bardziej. Jeśli wietrzysz wszędzie podstęp, to twoja i sprawa.

– Nie poddaję w wątpliwość twojej uczciwości – rzekł Leland, rozdrażniony.

Collis odepchnął krzesło i wstał.

– Mary – powiedział. – Chciałbym podziękować ci za kolację. Jane, dziękuję za miły wieczór. Dziękuję Charles.

Przez chwilę panowała krępująca cisza. Potem Collis zwrócił się do Lelanda i oddał mu drwiąco uniżony ukłon.

– Kiedyś jeszcze zostaniemy przyjaciółmi, Leland. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

– Przyjaciółmi? – rzekł Leland pochmurnie. – Ano, zobaczymy.

Następnego dnia piegowaty rudzielec z poczty przyszedł z listem do Collisa. List przyplynał na parowcu „Persefona”, który przez jego własny statek został wyprzedzony w drodze do i Sacramento. „Persefona” osiadła na mieliźnie, w mulistym korycie rzeki, i została ponownie uruchomiona dopiero we wtorek, we wczesnych godzinach rannych.

Collis przeprowadzał właśnie kontrolę dostawy towarów, które przybyły z San Francisco.

Stał na zewnątrz sklepu, w samej tylko koszuli, z cygarem w zębach, nadzorując pracę trzech pracowników najemnych, którzy wtaczali beczki gwoździ i prochu do sklepu. W Sacramento nigdy nie brakowało nędzarzy i tułaczy, którzy wdzięczni byli za parę godzin zatrudnienia.

Powietrze było chłodne i świeże, a od rzeki dmuchał południowo-wschodni wiatr.

Collis obejrzał list z obu stron, zanim wreszcie otworzył kopertę. Chłopak stał, nie spuszczać z niego wzroku. Koperta była z delikatnego welinu i zalakowana zielonym woskiem. Nie mógł odczytać herbu na pieczęci, ale wyglądało jakby odcisnięto ją ciężkim sygnetem. Atrament był czarny, a pismo kształtne, wyrobione.

Rozdarł kopertę kciukiem. Goniec sterczał tam dalej, więc Collis zanurzył ręce w kieszeni kamizelki, wyjął dwa centy i podał je chłopakowi. Ten zawahał się na moment, a potem puścił się biegiem z powrotem.

List był pisany z Colusa, South Park, San Francisco i mówił, co następuje:

Szanowny Mr Edmonds,

Dowiedziałem się z opóźnieniem o tym, co zaszło pomiędzy panem a moim synem, Grantem, nad brzegiem jeziora Merced. Chciałbym zaznaczyć, że aczkolwiek w moim przekonaniu owe pożałowania godne wydarzenia nastąpiły w dużej mierze wskutek pańskich prowokacyjnych komentarzy, niemniej jednak wdzięczny jestem za powściągliwość w pojedynku i za to, że zaniechał pan odebrania życia memu synowi, co zarówno prawo, jak i etykieta, pozwalały panu zrobić.

Mam nadzieję, że jeżeli będziemy mieli szansę jeszcze kiedyś się spotkać, będziemy mogli okazać sobie uszanowanie, jak przystało na dżentelmenów, i zapomnieć o tej niechęci, jaka się między nami wytworzyła.

Przynajmniej ja czuję się zobowiązany za darowanie życia memu synowi.

Podpis był godny i wyrazisty: Laurence S. Melford. Collis przeczytał list jeszcze raz. Potem złożył go i wsunął do kieszeni kamizelki. Na razie niech na tym stanie. Ale przyjdzie czas, że będzie to może akurat dźwignia, której będzie potrzebował, aby obluźować nacisk, jaki hierarchia wszechmocnych armatorów, przedsiębiorców przewozowych i właścicieli dyliżansów z South Parku wywierała na handel w pomocnej Kalifornii. Jeśli chodzi o budowę kolei, to będą oni równie nieprzystępni i wyniośli jak Sierra Nevada i dwa razy tak nieprzejednani.

Jeden z dorywczych pracowników przerwał na chwilę pracę i zapalił fajkę.

– Hej! Ty tam! – krzyknął Collis. – Pal sobie gdzie indziej! Zabierz swoją należność od Mr Tuckera, w sklepie, i zjeżdżaj stąd! Nie chcę cię tu więcej widzieć!

Ręka mężczyzny zadrżała przy zapalaniu fajki. Był wyraźnie zaszokowany. Miał na sobie czerwoną flanelową koszulę i połatane bryczesy, jakie nosili niegdyś, w pionierskich czasach, poszukiwacze złota.

– No, idziesz czy nie? – rzekł Collis. – Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

Mężczyzna pyknął z fajeczki, potem wyjął ją z ust i splunął.

– Idę – powiedział. – Ale ciebie niech dunder świsnie. Collis odwrócił wzrok.

– Właśnie – powiedział, pochłonięty całkowicie własnymi myślami.

*

Spotkali się z Teodorem Jonesem na obiedzie w restauracji Thomas, na G Street. Usiedli w prostopadłej, drewnianej niszy i zamówili po talerzu gryczanej kaszy i pieczoną dziką kaczkę,

która, jak zażądali, była tylko lekko przysmażona i dymiąca. Popijali posiłek kalifornijskim piwem. Lokal wypełniony był po brzegi stanowymi kongresmanami i miejscowymi sklepikarzami, a kelnerzy w długich niebieskich fartuchach uwijali się między stolikami, roznosząc tace z piwem i klopsikami.

– No więc – rzekł Teodor, odłamując kawałek świeżego, razowego chleba i smarując go masłem. – Co teraz?

– Chyba musimy wybrać się do Waszyngtonu – rzekł Collis. – Wydaje mi się zresztą, że i tak masz już to wszystko dokładnie opracowane.

Collis odciął udko kaczki i wziął je w rękę.

– Jedna rzecz mnie jednak nadal niepokoi – powiedział z pełnymi ustami. – A to, że nie znaleźliśmy jeszcze przejścia przez Sierra Nevada. Co zrobimy, jeśli będą nas pytać o to w Waszyngtonie? Jeśli będą chcieli to mieć czarno na białym?

– To im pokażemy, nie martw się. Wyrysujemy czerwoną kreskę przez Sierra Nevada i powiemy, że to nasza trasa.

– Czerwoną kreskę? Byle jak, byle gdzie? Teodor skinął głową.

– Nauczysz się tego jeszcze, jak już się wciągniesz w intrygi polityczne. Blef to dziewięćdziesiąt procent wygranej. A poza tym większość członków parlamentu to takie zakute łby, że nie mają zielonego pojęcia o topografii. Nie rozeznaliby się nawet we własnym ogródku, a co tu mówić o Sierra Nevada.

– Ale przecież w końcu będziemy musieli naprawdę znaleźć odpowiednią trasę.

– Ojej, oczywiście – rzekł Teodor. – Jak tylko przyjdzie odwilż i stopnieją zimowe śniegi, mam zamiar wyruszyć w góry i rozejrzeć się wstępnie w terenie.

Collis wytarł dłonie serwetką.

– Naprawdę myślisz, że je znajdziemy? – zapytał Teodora bardzo poważnie.

– Przejście? No jasne, że tak.

– Chciałbym mieć twoją wiarę.

– Wiara nie ma z tym nic wspólnego. Jest to kwestia prawdopodobieństwa geograficznego w połączeniu z potencjałem technicznym.

– Ale prawdopodobieństwo plus potencjał to jeszcze nie pewność.

– Posłuchaj – powiedział Teodor. – No to może pójdziesz ze mną, jak pojedę w góry na poszukiwanie trasy w przyszłym roku? Może wtedy sam zobaczysz, o co mi chodzi. Szkoda, że nie widziałeś tej drogi żelaznej, którą zbudowałem w wąwozie Niagara. Trzech doświadczonych topografów twierdziło, że to przekracza ludzkie możliwości. Ale ja się nie przejmowałem, tylko podwinąłem rękawy i wziąłem się do roboty. Dopiero jak już było po wszystkim, jak już zaczęły

kursować tamtędy pociągi, zorientowałem się, że właściwie to oni chyba mieli rację. To rzeczywiście przekraczało ludzkie możliwości.

Collis uśmiechnął się rozbawiony.

– Wybierz się tam ze mną – rzekł Teodor. – Jeśli jeszcze nigdy nie byłeś w tych górach, będzie to dla ciebie prawdziwa uczta. Co za powietrze! Doskonałe na układ oddechowy. I na przemianę materii.

– W porządku – powiedział Collis. – Pojedziemy razem. I może też powinniśmy zabrać ze sobą Wang–Pu, jaki myślisz?

– Czemu nie? Po powrocie sam będzie mógł powiedzieć tym swoim domniemanym chińskim najemnikom, w co się pakują.

Kelner przyniósł im dwa świeże kufle piwa. Collis uniósł swój kufel w górę i rzekł: – Za naszą podróż do Waszyngtonu! Teodor skinął głową.

– Za naszą podróż! I za dzień, kiedy będziemy ją mogli wreszcie odbyć pociągiem!

*

Zima w Sacramento minęła spokojnie; dzień upływał po dniu, niczym światło załamujące się w szprychach kół powozów. Każdego ranka Collis wstawał o szóstej, zakładał czystą koszulę, popielaty surdut i szedł do sklepu. Każdego ranka sprzedawał lonty, proch i śrubki, przeprowadzał inwentaryzację, organizował dostawy – słowem – zarządzał sklepem.

Obiad jadał w Merchant Association Club, często siedząc samotnie w kącie, przy stoliku.

Na tydzień przed Bożym Narodzeniem wyprowadził się z domu Tuekerów i wynajął mieszkanie na drugim piętrze kamienicy przy J Street, z widokiem na Fort Suttera. Czasami spędzał wieczory samotnie, czytając, kurząc cygara i popijając whisky, ale trzy czy cztery razy w tygodniu szedł do Aubury Saloon na H Street albo do Duffy House na I Street, gdzie grał w faraona do drugiej albo trzeciej w nocy.

Na rogu ulic Ósmej i L, u Madame Pangborn, był również całkiem znośny burdel – solidny, czteropiętrowy budynek w ceglastym kolorze, z zielonymi żaluzjami, które zawsze były spuszczone. Collis chodził tam raz albo dwa razy w miesiącu; wiodły go stęchłym korytarzem jędrne pośladki którejś z miejscowych piękności, ubranej tylko w jedwabny, wiązany gorsecik. Potem leżał w łóżku i wdychał zapach perfum i potu, wsłuchując się w monotonne dźwięki pianina; na dole, w salonie, wynajęty taper bębnił piętą w podniszczony chodnik.

Boże Narodzenie spędził u Teodora i Annie Jonesów. Był to przyjemny, wzruszający dzień i Collis zauważył, że zaczyna darzyć ich obojga głębokim przywiązaniem. Teodor wypatroszył gęś, a po kolacji wymienili prezenty. Collis kupił Teodorowi monografię Mont Savage, w Maryland, ze szczególnym uwzględnieniem rozwoju kolejnictwa w tym regionie, dla Annie zaś miał buteleczkę wody kwiatowej o różanym zapachu. Od Jonesów dostał podróżny neseserek z brzytwą,

nożyczkami i grzebieniem; na każdym przedmiocie widniał wygrawerowany monogram: C. E. Stali przy kominku i śpiewali kolędy, bliscy sobie, szczerze ukontentowani.

Na początku 1858 roku Collis zacieśnił również przyjaźń z Wang–Pu. Nie afiszowali się z nią specjalnie, nie chodzili na wspólne obiady, ponieważ takie zachowanie dla kupca o pozycji Collisa byłoby zupełnie niestosowne; więc obaj – i Collis, i Wang–Pu – zdecydowali, że w interesie budowy kolei transkontynentalnej leży, aby Collis utrzymywał swój status społeczny. Ale często spędzali razem wieczory w przytulnym zaciszu mieszkanca Wang–Pu, gdzie Collis nauczył się siadać na podłodze z nogami na krzyż i jeść pałeczkami i gdzie chińskie frykasy – wędzona kaczka, chińska kapusta oraz wieprzowe zimne nóżki – mile łechtały jego podniebienie.

Wang–Pu opowiadał o rodzinnych majątkach w pomocnych Chinach, podczas których jadło się tyle rzecznych raków, że potem wszyscy siedzieli po kostki w skorupach. Mówił również o buddyźmie, o chińskich pogrzebach i weselach. Kreślił swoją wizję przyszłości i dzielił się z Collisem swoimi przemyśleniami.

W takie wieczory Collis odzyskiwał poczucie wewnętrznego spokoju i harmonii. I chociaż nadal z zapałem rozwijał swoje projekty budowy kolei i jak najprędzej chciał wcielić je w czyn, zaczął lepiej rozumieć własną psychikę i własne ambicje, które sprecyzowały się teraz i przybrały kształty nie mniej wyraziste niż same szczyty Sierra Nevada.

Pewnego wieczoru, gdy popijali właśnie wino ryżowe, Wang–Pu powiedział: – Rzadko się zdarza, żeby człowiek miał marzenie, za którego realizację chętnie oddałby całe swoje życie. Prawdziwi z nas szczęściarze.

– Oddałbyś życie za tę kolej?

Wang–Pu pokiwał głową.

– Tak. I myślę, że ty też.

– Nie wiem – rzekł Collis. – Chyba wolałbym już raczej dalej tłuc się parowcami.

Wang–Pu odstawił swoją porcelanową filiżankę.

– Możliwe. Ale co tam śmierć! Taka śmierć jednego osobnika, to rzecz zupełnie nieistotna w obliczu sławy.

W końcu nadszedł luty i trzeba było zbierać się do wyjazdu. Charles nawet bardziej niż Leland, kipiał z wściekłości, że Collis wyjeżdża na tak długo, ale interes w sklepie szedł jak – z płatka, a Collis przyrzekł, że nie będzie go dłużej niż trzy miesiące, przynajmniej jeśli to będzie możliwe. Pożyczył sobie od Wang–Pu podróżny sakwojaż i sprawdził parę razy, czy na pewno zapakował swój najlepszy wyjściowy surdut i białe koszule. W końcu Waszyngton był kolebką życia towarzyskiego Ameryki. Wreszcie, w rześki środowy poranek Wang–Pu zawiózł Collisa służbowym powozem do przystani na rzece Sacramento. Tam Collis spotkał się z Teodorem, po czym wsiedli obaj na turbinowy parowiec „Occidental” i wyruszyli w drogę.

*

„Kalifornia” zabrała ich aż do Panama City. Dzień był pochmurny, a po Sacramento powietrze zdawało się duszne i wilgotne, prawie nie do zniesienia. Mieli dzień postoju, w oczekiwaniu na pociąg do Aspinwall, więc Collis poszedł do szpitala Serca Jezusowego. W ciemnym korytarzu, pod krucyfiksem, zapytał młodą flamadzką zakonnicę, czy mógłby się zobaczyć z siostrą Agnieszką. Korytarz pachniał, tak jak przedtem, mydłem i zupą jarzynową.

Zakonnica pokręciła głową i powiedziała: Je regrette...* Stał na szpitalnym cmentarzu z kapeluszem w dłoniach, a Teodor Jones czekał nie opodal, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, wpatrzony w szare półkole panamskiego portu, który leżał w dole, u stóp wzgórza. Na kamieniu nagrobnym wyryte było jej imię. Tyle tylko.

Żadnej wzmianki o tym, że była taka młoda i że jej ojciec miał cukierenkę w Lokeren. Ani o tym, że kiedyś dodawała otuchy młodemu Amerykaninowi, który był w Panamie przejazdem z kobietą, nie swoją żoną i że kobieta ta zapadła na żółtą febrę. Nie wspominał również o tym, że w miesiąc później sama zaraziła się żółtą febrą i zmarła po ciężkich cierpieniach.

Parę minut później Teodor zbliżył się do niego i stanął obok.

– Tak mi przykro – rzekł współczująco. Collis przełknął ślinę i pokiwał głową.

– Była taka młodziuteńka, do diaska. Taka młodziuteńka. I bardzo ładna.

– Uspokój się. Nie bierz sobie tego tak do serca. Na pewno dobrze wiedziała, co ją czeka.

W końcu to ona sama dokonała tego wyboru.

– Wiem. Ale jednak mnie to boli. Zdaje mi się, że opłakiwanie bliskich mi ludzi nad ich grobami to całe moje przeznaczenie.

– Takie jest przeznaczenie każdego śmiertelnika.

Collis spuścił wzrok.

– To jedna z tych rzeczy, na Zachodzie, do których się jeszcze nie zdążyłem przyzwyczaić.

– Ale się przyzwyczaisz. Niestety – rzekł Teodor, kładąc rękę na ramieniu Collisa. – I możesz uważać się za szczęśliwca, że los nie doświadczył cię w sposób jeszcze bardziej okrutny. Dwu z moich serdecznych przyjaciół zmarło na cholera w zeszłym roku, zaraz po przyjeździe do San Francisco. Ktoś obliczył, że na każdym pięciu osiedleńców jeden umiera w sześć tygodni po przybyciu do Kalifornii, a trzech z pozostałych czterech w ciągu następnych trzech miesięcy.

Odprowadzeni przez starego, przygarbionego Murzyna w słomkowym sombrero, opuścili dziedziniec szpitalny i zamknęli za sobą bramę.

Przez jakiś czas szli po błotnistej plaży, przy akompaniamencie rozbijających się o ochronne nadbrzeża fal, które miały konsystencję ciepłej, zawieszistej zupy. Potem, po zachodzie słońca, wrócili do Grand Hotelu na kolację. W ramach profilaktyki przed żółtą febrą i dyzenterią, popili stołówkowe zrazy nelsonskie z fasolką burbonem.

Tej nocy w Grand Hotelu Collis usiadł w przepeczonej pościeli na swym masywnym łożu z baldachimem i zapalił naftową lampę. Przez otwarte okiennice wdzierał się podmuch chłodnego, morskiego wiatru znad Pacyfiku. Tapeta w jego pokoju odpadała ze spleśniałych ścian, a hotelowa kanalizacja rzeźbiła niczym umierający w gorączce chory. Nalał sobie kieliszek whisky i stanął przyglądając się swemu odbiciu w porysowanym lustrze. Nigdy jeszcze nie wyglądał tak staro. Młody starzec, przytłoczony tragedią ludzkiego istnienia.

*

Wpłynęli na rzekę Potomac w ostatni czwartek lutego, późnym popołudniem. Collis i Teodor, oparci o poręcz sterbur – ty parowca „Charleston”, wpatrywali się w szerokie widła rzeki, gdzie wschodni dopływ, Eastern Branch, łączył się z głównym nurtem wody, a potem w nieregularne kształty waszyngtońskich zabudowań na horyzoncie. Wreszcie ich oczom ukazały się bezlistne drzewa, murowane gmachy, a w oddali kolumny nie ukończonego jeszcze Kapitolu, na razie bez kopuły, wzniesionego na planie kwadratowym. W mieście były szerokie, błotniste aleje, tłoczne od pojazdów oraz konnych zaprzęgów komunikacji miejskiej, a także wąziutkie, kręte boczne zaułki i uliczki. Z kominów domków jednorodzinnych i kamienic wzbijał się w niebo dym, pędzony mroźnym wiatrem w kierunku wschodnim.

Sprzed gmachu marynarki wojennej, ciągnięta ku srebrzysz tej rzece przez trzy nieduże parowe holowniki, fregata z flagą na maszcie wypływała właśnie w morze.

„Charleston” miał przycumować w Georgetown, gdzie znajdowały się biura przedsiębiorstwa żeglugi śródlądowej. Sunął statecznie pod prąd, płosząc luźne stada podgorzałek; kiedy przepływał obok Mount Vernon, włączona przez kapitana syrena zahuczała przeciągle, a mężczyźni, pasażerowie statku, zdjęli z głów czapki, by złożyć hołd pamięci George’a Washingtona. Wkrótce minęli śródreeczne wysepki, a potem ich oczom ukazała się półkolista linia portu w Georgetown, w porcie zaś rzędy dwu- i trzymasztowych szkunerów. Od zachodu, wysoko na wzgórzu, ciemniejące w ostatnich promieniach zachodzącego zimowego słońca, wznosiły się budynki uniwersytetu w Georgetown, ale samo miasto zdawało się zbieraniną drewnianych baraków składowych, biurowców oraz rozsianych na pagórku budynków mieszkalnych i zarośli.

Collis wyprostował się i zapiął pod szyję jesionkę. Był blady, nie ogolony i wyczerpany po podróży. W drugim dniu ich pobytu w Panamie zaczęły się ulewy, a co za tym idzie roztopy, wskutek czego pociąg do Aspinwall opóźnił się o dwa dni. Potem, w okolicach Przylądka Lęku, w jednej z turbin „Charlestona” zacięło się łożysko, więc kołysali się na wodzie przez pół dnia, unieruchomieni, zdani na pastwę nieprzyjemnego, południowo – wschodniego wietrzyska. Collis miał ochotę łyknąć sobie porządny kieliszek brandy i paść do łóżka na dwanaście godzin.

Syrena „Charlestona” zawyła nisko i przeciągle i podpłynęła bokiem do wysokiego, drewnianego nadbrzeża. Natychmiast przycumowano doń statek i spuszczone pomost, a czarni tragarze wbiegli na pokład, by znieść kufry podróżnych na ląd.

– A więc – rzekł Collis głosem słabym ze zmęczenia – oto zaczyna się ta współczesna krucjata.

Teodor przeciągnął się z lubością.

– Mylisz się – odparł tonem wyjaśnienia. – To tylko kontynuacja uprzednich wysiłków.

Wszystko zaczęło się o wiele wcześniej, już bardzo dawno temu, kiedy pierwsi pionierzy, na wozach krytych starą plandeką, zaczęli snuć marzenia o połączeniu kolejowym z resztą Ameryki.

– Skąd wiesz, że pierwsi pionierzy myśleli o podróżach koleją?

– A zdarzyło ci się kiedykolwiek podróżować krytą furmanką?

Collis potrząsnął głową.

– Kiedy się człowiek telepie krytą furmanką przez dzikie stepy i pustynie, tyłek dyktuje, co ma myśleć głowa. Marzy się wtedy o miękkich, wyściełanych siedzeniach i możliwości rozprostowania kości choć na chwilę.

Zeszli na ląd. Zapadł zmrok, a nadbrzeże oświetlone było jedynie migoczącymi łożowymi kagankami. Stukot ich ciężkich, podróżnych butów rozlegał się echem po przystani.

Cuchnąca, kryta dorożka zabrała ich aż do Waszyngtonu, podskakując po nie wybrukowanych ulicach. Collis zauważył, że powieki robią mu się coraz cięższe, więc usiadł sztywno, wyprostowany, aby nie usnąć. To byłoby raczej bardzo niewskazane, w wynajętej dorożce i w obcym mieście. Zdarzało się, i to wcale nie tak rzadko, że nieszczęśni podróżni budzili się w rowie, obrabowani, na peryferiach miasta, w samej tylko bieliźnie. I to ci, którzy mieli jeszcze dużo szczęścia.

Noc była bezksiężycowa, więc wzdłuż Pennsylvania Avenue paliły się gazowe latarnie. W powietrzu unosił się zapach nafty i końskiego łajna.

W końcu dotarli do oświetlonego własnymi gazowymi latarniami hotelu Willard's, budynku o podstawie prawie kwadratowej, i drzwi ich dorożki otworzył umundurowany portier ze smętnie spuszczonej siwym bokobrodami, w zielonym, aksamitnym cylindrze.

Wyszli z powozu. Collis zapłacił dorożkarzowi sześć centów i dorzucił pensa na napiwek.

Prowadząc ich przez mahoniowe wahadłowe drzwi, portier wymamrotał pod nosem: – Damskie towarzystwo? Panowie reflektują?

Collis położył rękę na jego zdobionym złotymi frędzlami galonie: – Przyjacielu – powiedział. – Następnym razem, jak będziesz proponował przyjeźdnym swoje pokątne usługi, upewnij się, że ci, którym je oferujesz, nie noszą na sobie śladów trzech tygodni morderczej podróży. Spójrz tylko na nas! Chcemy się wykapać, wypić coś, zjeść i porządnie się wyspać. Damskie towarzystwo może poczekać.

Zajęli wspólnie dwupokojowy apartament z łazienką na drugim piętrze. Miał on wysoki sufit i wyłożony był ponurym, brązowym dywanem. Pachniał stęchlizną i zleżałymi cygarami, a zapach ten przywiódł Collisowi na myśl Nowy Jork. Na ścianie wisiał obraz: „Widok na rezydencję prezydenta po podróży z 24 sierpnia 1814 roku”, przedstawiający ruiny Białego Domu w szczerym polu.

Podczas gdy Teodor brał kąpiel, Collis zdjął buty i wypoczywał w fotelu. Mały Murzynek, goniec hotelowy, przyniósł im butelkę Old Tattę whisky, dzbanek zimnej wody i egzemplarz „Evening

Star”. Upchnął koks i drewniane szczapy na kominku, a potem życzył im dobrej nocy i „spaniałych snów, panowie”.

Collis przejrzał gazetę. Sporo miejsca poświęcono w niej zanieczyszczeniu waszyngtońskiej wody; Collis zerknął na stojącą na stole tacę z dzbankiem wody i postanowił, że wypije chyba jednak po prostu czystą whisky. Gazeta ustosunkowana była również krytycznie do propozycji podniesienia opłat za przejazd parowcem z Aleksandrii do Waszyngtonu z dwunastu i pół do piętnastu centów. Prognoza pogody „od Morose Telegraph do Ochronki Smithsona” zapowiadała dżdżysty piątek i maksymalną temperaturę około czterdziestu sześciu stopni.

Teodor wyszedł z łazienki w bamboszach i błękitnym szlafroku. Brodę miał mokrą i wyglądał jak wyłaniająca się z nurtu rzeki wydra. Nalał dwa kieliszki i usiadł obok Collisa, grzejąc stopy przy kominku.

– Widzę, że coś cię gnębi – zauważył. – I to nawet bardzo.

Collis upuścił gazetę na podłogę.

– Chyba jestem po prostu zmęczony.

– Nie masz żadnych wątpliwości co do naszego przedsięwzięcia, mam nadzieję.

– Nie – rzekł Collis. – W każdym razie nie więcej niż zazwyczaj.

Stuknęli się kieliszkami i wypili. Collis rozkaszał się, aż musiał wyjąć chusteczkę, bo czysta whisky paliła go w gardle.

– Nie będę przed tobą udawał – rzekł Teodor – że stoi przed nami niełatwe zadanie.

Musimy pochlebstwami wyczarować poparcie paru kongresmanów. W dodatku teraz, kiedy tyle się gada o secesji Południa i kłopotach na terytorium Nebraski. Ale chyba możemy spróbować, no nie?

– Jasne – odparł Collis. – Przebijanie głową murów to moja specjalność. Nabrałem już w tym dużej praktyki.

Teodor zaniepokoił się jeszcze bardziej.

– Jesteś coś dzisiaj wyraźnie nie w sosie. Idź, wykąp się. Woda jest wspaniała, gorąca.

Collis przetarł oczy tyłem nadgarstka.

– Chyba to ten przyjazd na Wschód tak mnie wybił z równowagi, wiesz? Przejdzie mi to, nie martw się. Ale czujesz, jak tu cuchnie? Co za stęchlizna – siekierę można by zawiesić w powietrzu. Nietrudno wyobrazić sobie tych obleśnych staruchów, spasionych kongresmanów, którzy przyprowadzają tu swoje wypindrzone dziwki, albo siedzą całe noce, rznąc w karty, rozprawiając przy tym o niewolnictwie i korupcji politycznej, jakby wszystko było dla nich tylko grą.

– Wiem dokładnie, co masz na myśli – powiedział cicho Teodor.

Collis rozluźnił krawatę.

– Kiedy znalazłem się po raz pierwszy na Zachodzie, w zeszłym roku, ogarnęło mnie przerażenie. Obawiałem się, że straciłem wszystkich przyjaciół; czułem się potwornie osamotniony. Ale teraz, kiedy znowu jestem na Wschodzie, cały ten światek wydaje mi się taki obcy, taki staroświecki, a wszędzie aż czuć wzajemną nieufność i podejrzliwość. Wisi to po prostu w powietrzu i cuchnie. Cieszę się, że jesteś tu ze mną, bo inaczej chyba bym tego nie wytrzymał.

Teodor zsunął z nóg kapcie.

– Nie przejmuj się tym zbytnio. Niezależnie od naszych osobistych sympatii i antypatii, będziemy jakoś musieli temu stawić czoło. No, idź, wykąp się teraz, a ja ci jeszcze naleję whisky.

Collis wypił swoją Old Tatę whisky i podniósł się z fotela.

– Masz rację – powiedział. – Wystarczy tego biadolenia.

– Chcesz coś zjeść?

– No pewno. Ale nic ciężko strawnego. Może niech przyniosą stek z duszoną cebulą i butelką szampana.

Teodor podniósł się, żeby zadzwonić na służbę hotelową.

– Czekaj tylko, a zobaczysz jaki ten twój stek będzie malutki. – Uśmiechnął się. – Wtedy dopiero naprawdę, zrozumiesz, że jesteś na Wschodzie.

*

Następnego dnia Collis obudził się dopiero o pierwszej po południu. Kiedy wreszcie wstał z łóżka i odsunął w oknach ponure, brunatne zasłony, przepowiadany deszcz już ustał, chociaż niebo nadal było szare, zasnutę ciężkimi chmurami, a od wschodu dął przejmujący wilgocią wiatr.

Nalał sobie mocnej whisky z pozostawionej na tacy, na wpół opróżnionej butelki. Zatchnął się i wzdrygnął, ale przynajmniej wódka poprawiła mu krążenie i przepłukała usta po śnie i wczorajszym tytoniu. Potem podszedł do drzwi sypialni Teodora i zapukał, żeby sprawdzić, czy młody inżynier kolejnictwa też już się obudził. Nie było odpowiedzi, a kiedy uchylił drzwi, zobaczył, że Teodor nie tylko już się obudził, ale musiał wstać, ubrać się i wyjść, bo nie było go w swoim pokoju.

Wykąpany, ogolony i ubrany w poranny surdut, Collis zszedł wreszcie na dół, do restauracji, i – o dziwo – zastał tam również Teodora. Zamówił marynowane ostrygi, kotlet cielęcy Malakoff i cytrynowe lody. Teodor był już po obiedzie, ale zamówił jeszcze jedno piwo i dzbanek kawy.

– Co za rozkosz! Prawdziwe, normalne piwo! Pierwszy raz po tylu latach! Pycha. – Uśmiechnął się. – Niebo w gębie.

– Możesz tu sobie żłopać to swoje piwsko – rzekł Collis. – I wcinać to wschodnie żarcie. Ja bym sobie wypił kalifornijskiego piwa i poszedł na miskę cioppino u Bazzura.

– Widzę, że przesiąkłeś już Zachodem do szpiku kości – rzekł Teodor. – Niewiele czasu ci to zabrało, trzeba przyznać.

Kelner przyniósł ostrygi. Pochylony nad talerzem Collis przysłuchiwał się propozycjom Teodora co do rozkładu ich zajęć. Sącząc z lubością swoje piwo, Teodor zasugerował, że przede wszystkim od razu, tego samego dnia, powinni zobaczyć się z Alicją Stride. Zostało im jeszcze trochę czasu po południu, więc powinni dowiedzieć się, czy byłaby tak uprzejma i zorganizowała parę spotkań z senatorami, którzy okazaliby jakiegokolwiek, nawet najbardziej nikłe, zainteresowanie koleją.

Potem, w niedzielę, powinni złożyć wizytę paru kongresmanom. W dni wolne od pracy, soboty i niedziele, nudzili się oni w swoich hotelach albo pensjonatach i stęsknieni za ciepłem domowego ogniska, skwapliwie skorzystaliby z zaproszenia na obiad lub też kolację. A przy pieczonej wołowinie i butelce szampana, jak również w miłym towarzystwie, można by wszczać krzepiącą pogawędkę na temat podróży po Ameryce koleją transkontynentalną.

Rozsiadłszy się wygodnie na swoim krześle, przy cygarach i mocnej, czarnej kawie, Collis zapytał Teodora: – A kto stanowi dla nas największe zagrożenie? Chodzi mi o przedsięwzięcia kolejowe, nie o Kongres.

– Hannibal & St Joseph – co do tego nie ma żadnych wątpliwości – odparł Teodor. – Są bardzo przedsiębiorczy, sprawni i doskonale zorganizowani. Jeśli nie zwolnią tempa, to powinni ukończyć połączenie z Missisipi do Missouri mniej więcej ... no, kiedy? ... w połowie roku. Budują równocześnie z dwóch stron wyznaczonej trasy, więc ubiegli wszystkich i zdołali już ułożyć torę wzdłuż brzegów Missisipi.

Collis kurzył swoje cygaro w milczeniu. Teodor wyprostował się nad stołem i przejechał paznokciem po obrusie.

– Jeżeli uda im się zbudować kolej na zachód od St Joe, to jesteśmy w kropce. Mogą nam pokrzyżować plany, w zależności od tego, co zamierzają dalej. Jeśli nakreślą trasę przez Góry Skaliste, w Pueblo, to moglibyśmy jeszcze, od biedy, połączyć się z nimi w Utah; ale jeżeli przeprowadzą całą linię na południe, poprzez Raton Pass i Alburquerque, i wcisną się do Kalifornii przez terytorium Nowego Meksyku, to leżymy na obie łopatki, przyjacielu.

– W moim przekonaniu – rzekł Collis – tylko jedna rzecz może dać przewagę trasie pomocnej nad południową.

– No pewnie – odparł Teodor. – Wszystko zależy od tego, kto lepiej zapłaci kongresmanom.

– Oczywiście, tego że nie wolno bagatelizować, zgadzam się z tobą całkowicie – przyznał Collis. – Ale jeśli dojdzie do secesji i stany południowe oderwą się od Zjednoczenia, to nic już nie zagrozi pomocnej trasie.

– Naprawdę sądzisz, że do tego dojdzie? Że się oderwą? Wiem, że wiele się o tym mówi.

– Skąd mogę wiedzieć? Nie znam przecież ich sekretne planów – powiedział Collis. – Ale słyszałeś, co nie tak dawno mówił o południowcach senator Badger. Są przyparci do muru. Jeśli nie ogłoszą niezawisłości, to znajdą się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Nie będzie im wolno korzystać ze wspaniałych bogactw naturalnych kraju, którego są przecież obywatelami. Nie będą

mogli prowadzić wymiany handlowej ani też poruszać się swobodnie po kraju w asyście swojej służby, do czego są przyzwyczajeni już od paru dobrych pokoleń.

Nie, nie – nie mogą tego wszystkiego zaakceptować – byłoby to dla nich zbyt upokarzające.

Collis wypuścił przez nos kółeczko dymu z cygara, które zakołowało i rozbiło się o stół.

– Jestem zdecydowanie przeciwnikiem niewolnictwa – dorzucił. – Ale wyobraź sobie, jak się oni muszą teraz czuć – wszyscy ci południowi plantatorzy i politycy. No powiedz sam – nie myślałbyś o secesji, gdybyś był na ich miejscu?

Teodor przekręcił głowę w bok i rzucił mu łobuzerskie spojrzenie.

– Myślę, że świetnie sobie poradzisz w kularach. Mam tylko nadzieję, że ich tak potrafisz podkręcić, żeby od razu chwycili za broń.

– Nie sędzę. Na to jeszcze za wcześnie. Teraz do wojny domowej nie dojdzie. Może za jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat. Albo i jeszcze później. Albo i wcale. Ale to nieważne.

Nam wystarczy sama groźba secesji. Jeżeli będzie wystarczająco realna powinniśmy być w stanie urobić sobie paru kongresmanów i nakłonić ich do poparcia pomocnej trasy. Sam tylko pomyśl – włożyłbyś miliony dolarów w kolej Sierra Pacific, gdybyś wiedział, że w każdej chwili mogą ją zagarnąć secesjoniści? Bo ja nie.

– Nie wiedziałem, że masz takie głębokie przekonania polityczne. Zaskakujesz mnie.

Collis uśmiechnął się.

– Kiedyś to była zabawa, gra salonowa, rozumiesz, żeby rozzłościć ojca. Należał do tej bandy psubratów z Wall Street. Szuja jakich mało, Panie świeć nad jego duszą.

– Czy to naprawdę nic więcej tylko salonowa gra? Czy może rzeczywiście wierzysz w to, co mówisz?

Zapadło chwilowe milczenie. Na zewnątrz znowu się rozpadało, a deszcz bębnił w ponure okna hotelowej restauracji. Koła powozów skrzypiały i trzeszczały, grzęznąc w gęstym, mazistym błocie. Pomimo ambitnych rozwiązań architektonicznych i imponujących gmachów rządowych, pyszniących się w całym swoim majestacie przy szerokich alejach, stolica Federacji była nadal miastem zaniedbanym, nie wykończonym i niehigienicznym.

Massachusetts Avenue, która na planie miasta wyglądała jak jakaś wspaniała arteria komunikacyjna, w rzeczywistości mogła poszczycić się jedynie kilkoma porządnymi kamienicami, a u wylotu zwężała się i przemieniała w gliniaste, błotniste grzędzawisko. Po Pennsylvania Avenue przechadzały się krowy i kozy, a ich łajno pogarszało jeszcze stan dróg w stołecznym mieście.

– Wolę się nad tym nie zastanawiać – rzekł wreszcie Collis tonem wyjaśnienia. – Są rzeczy, które wolałbym usunąć z życia i z pamięci, ale w niektóre naprawdę wierzę. Mam bardzo mocne, ostro sprecyzowane przekonania i skryzalizowane pragnienia. Nigdy nie myślałem, że będę w coś wierzył tak głęboko. Sam się nawet czasem dziwię, skąd się to u mnie bierze, ale nie staram się tego analizować, bo boję się, że znowu sobie biedy napytam i zacznie się stara śpiewka.

Tumiwizizm, znieczulica i marnotrawstwo – to było całe moje życie. Takie było ze mnie prawdziwe nicpotem. Nieprzydatne nikomu, a już najmniej samemu sobie.

– Ten stan ducha... ta zmiana w twojej życiowej postawie nastąpiła nie tak dawno temu, prawda? Coś się do tego musiało przyczynić.

Collis palił swoje cygaro. Wydał usta i wypuścił jeszcze jeden krążek dymu.

– Owszem. Masz rację. Chyba po prostu zrozumiałem, że ja to nie moi rodzice. Że jestem niezależną, samodzielną jednostką. Już przedtem przekonałem się, że mam więcej zdrowego rozsądku i samozaparcia niż ojciec. Ale pozostawała jeszcze matka. Pośrednio, że tak powiem, dalej walczyłem z nią bez ustanku. Ale pewnie i tak w ogóle nie rozumiesz, o czym ja gadam.

– O, nie, przeciwnie. Chyba wiem, co masz na myśli – rzekł Teodor. – Spotkałeś kobietę, która przypomniała ci twoją matkę, sprawdziłeś na niej swoje siły i zwyciężyłeś.

Collis przytaknął skinieniem głowy. Teodor nic się nie odezwał przez chwilę, ale potem przeciągnął się na swoim krześle i ziewnął.

– Lepiej już chodźmy na spotkanie z tą twoją znajomą, Alicją Stride – zasugerował. – Bo jak nie, to chyba zaraz zmorzy mnie sen, tu, na tym miejscu.

*

W 1854 roku senator Stride kupił za 4200 dolarów w gotówce czteropiętrową murowaną kamienicę przy Osiemnastej Ulicy, na południe od Pennsylvania Avenue, którą zajmował ilekroć znalazł się w Waszyngtonie. Zimą lubił tu przyjeżdżać z rodziną, ponieważ był to okres niezwykle ożywiony towarzysko. Należało wydawać bankiety, przyjmować gości i czynić honory domu, a zarówno jego żona Małgorzata, jak i córka Alicja, spisywały się w tej roli znakomicie. Trzepotały rzesami i szeptały spod wachlarzy słodkie pochlebstwa, a południowi – demokraci, dla których kobieta była kobietą tylko jeśli umiała flirtować, wdzięczyc się i przypocholebiać, przepadali wprost za panią i panną Stride. Poseł William Aiken z Południowej Karoliny, który był właścicielem ponad tysiąca niewolników, nazywał Małgorzatę Stride „Gwiazdą z G Street”, a Alicja była ulubienicą szczególnie „Małego Koryfeusza z Georgii”, Aleksandra Stephensa.

Dalej lało jak z cebra, kiedy Collis i Teodor wysiadali z dorożki obok pomalowanego na czarno parkanu, okalającego kamienicę senatora Stride’a. Obok, na rurze gazowej, rozmokły plakat przyrzekał nagrodę w wysokości jednego centa za wydanie w ręce policji uciekiniera, terminatora stolarskiego, Ezekiela O’Toole’a, ostrzegając przy tym uroczyście, że ktokolwiek ośmieliłby się „zatrudnić wyżej wymienionego, albo udzielić mu schronienia, znajdzie się w kolizji z prawem”.

Collis przystanął w deszczu, przeczytał ogłoszenie, a potem odwrócił się, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– I takie rzeczy dzieją się nawet tutaj, w samej stolicy – powiedział.

Teodor wzruszył filozoficznie ramionami.

– Tylko parę bloków od Białego Domu, w każdy czwartek, jest cotygodniowa giełda niewolników. Musimy się tam wybrać w przyszłym tygodniu, a wtedy się przekonasz, co naprawdę oznacza niewolnictwo.

– A po co mi to. Nie moja sprawa – odparł Collis. Weszli schodami do kamienicy senatora Stride’a i pociągnęli za zmoczony sznurek od dzwonka. Czekali. Furmanki i powozy turkotały obok nich po ruchliwej Osiemnastej Ulicy, a deszcz bulgotał w ulicznych rynsztokach. W końcu drzwi kamienicy senatora Stride’a otworzyły się i pojawił się w nich czarny służący w białej wykrochmalonej koszuli i czerwonym fraku.

– Słucham panów? Czy są panowie umówieni?

Collis podał mu swoją wizytówkę, którą wyrobił sobie po nieprzyjemnej wymianie zdań ze służącym Laurence’a Mel – forda w teatrze Empire. Głosiła ona: „Collis Edmonds, 54 K Street, Sacramento. Kalifornia”. Służący wziął ją w swoje dłonie w białych rękawiczkach, ale nawet nie zerknął, żeby zobaczyć, co tam jest napisane. Pewnie zresztą nie umiał wcale czytać. To przecież właśnie senator Stride pierwszy zadeklarował w parlamencie, że „dać czarnuchowi książkę do ręki, to czyn o wiele bardziej okrutny, niż nauczyć konia koloratury operowej; bo jeśli koniowi nie śniłoby się nawet, żeby wystąpić na deskach teatru Forda, to czarnuch uwierzyłby zaraz, że może już od tej pory rozmawiać z białym na równej stopie; a to byłoby śmiechu warte”.

– Chciałbym się widzieć z Miss Alicją Stride, jeśli jest, oczywiście, w domu – rzekł Collis.

Murzyn kiwnął głową.

– Zaraz sprawdzę, proszę pana. Proszę chwileczkę poczekać.

Teodor stał cierpliwie, podczas gdy spływający z okapu nad gankiem deszcz dudnił w denko jego cylindra. Rzucił Collisowi szybki, krzepiący uśmiech. Po paru minutach służący wrócił do nich i oznajmił: – Miss Alicja przyjmie panów za momencik. Proszę wejść.

Weszli do ponurego przedpokoju, oświetlonego skąpo paroma świecami. Po jednej stronie stała duża dębowa serwantka z mosiężnymi uchwytnymi, po drugiej – wieszak pełen mokrych peleryn. Szerokie schody wiodły na piętra w ciemność.

– Nastroj jak w rodzinnym grobowcu – zauważył Teodor, gdy służący odbierał od nich cylindry i peleryny.

Collis poprawił mankiety rękawów.

– Tak też właśnie przypominam sobie senatora Stride’a. Jako śmiertelnie ponurego typu.

– Tędy proszę – powiedział służący i poprowadził ich do poczekalni. – Miss Alicja prosiła, żeby się panowie zechcieli rozgościć.

Przez jakiś czas przechodzili się po poczekalni, a potem usiedli naprzeciw siebie w dwóch fotelach, milczący, przytłoczeni ponurym otoczeniem. W oknach, za plecami Collisa, wisały grube, koronkowe firany, a na nich jeszcze ciężkie, aksamitne zasłony, przyozdobione zakurczonymi frędzlami; zdawały się one zaduszać nawet to nikłe, zielone światło, które wdzierało się do wnętrza z deszczowej ulicy. Trzeba by tu było porządnie wyteńczyć wzrok, gdyby się miało ochotę

poczytać Biblię albo jakąkolwiek gazetę. Był tam również groteskowy, rzeźbiony w liście winogron kominek, a nad nim królowało ogromne zwierciadło, jedno z tych, w które przybysze wpatrują się, a potem ukradkiem dotykają policzków, by sprawdzić, czy czasami nie zarazili się gdzieś trądem.

Czarny marmurowy zegar z ozdobnymi złoconymi detalami stał samotnie na samym środku kominka. Collis wyjął zegarek, żeby sprawdzić, która godzina, i zegar okazał się przygnębiająco dokładny.

Teodor podniósł głowę i spojrzał na olejny obraz, który wisiał obok na ścianie. Popękana farba i gruba warstwa werniksu sprawiały, że trudno było odróżnić, co przedstawia, ale Teodor odchylił się trochę i powiedział: – To jest portret. Starszy jegomość w upudrowanej peruce. Pewnie jakiś przodek senatora Stride’a.

Collis wstał i przyjrzał się portretowi z bliska.

– Tak – powiedział. – Nawet do niego podobny. Ma ten sam wygląd łysego jastrzębia, ze wzrokiem utkwionym nieruchomo w jakąś tłusciutką ofiarę.

Teodor uśmiechnął się.

– Wiem, o czym mówisz. Ale chyba nie boli cię jeszcze ta sprawa z ojcem? Nie powinniśmy tu przychodzić, jeśli to cię jeszcze tak boli. W końcu zawiniłeś w tamtej sprawie nie mniej niż senator Stride.

– Wcale nie zaprzeczam, że to była głównie moja wina – rzekł Collis, patrząc poważnie na senatora.

– Ale mimo to nie rozgrzeszysz senatora Stride’a? Collis kiwnął głową, potwierdzająco.

Teodor westchnął ciężko, z niepokojem, a potem zakrył usta dłonią.

– Znowu zaczniesz moralizować i kwestionować pobudki mojego postępowania, tak? – rzekł Collis. – Masz mi za złe, że szukam pomocy u człowieka, do którego czuję odrazę.

– Nie – rzekł Teodor. – Nie mam wcale takiego zamiaru. Ale rzeczywiście uważam, że powinieneś głębiej zastanowić się nad zasadami moralnymi, które wyznajesz. To by ci nie przyniosło żadnego uszczerbku.

– Ach, rozumiem ... Więc nadal myślisz o Arturze Teachu i l’affaire des couvertures?

– Myślę o tobie, prawdę mówiąc. Zdajesz się ostatnio potwornie bezpardonowy, zarówno w stosunku do innych, jak i wobec siebie samego.

– Inni też są bezpardonowi wobec mnie – odparł Collis.

– Hmm, wiem o tym – rzekł Teodor. – Ale nawet Annie zauważyła, że stajesz się coraz bardziej apodyktyczny, zawzięty w sposobie bycia, a twój krytycyzm jest zawsze cięty i taki bezwzględny.

– Powinno cię to cieszyć. Tylko uporem i stanowczością będziemy w stanie sprostać naszemu zadaniu.

Teodor uniósł brwi, jakby wzruszał ramionami.

– Może masz rację. Tylko mam nadzieję, że stawiając ciągle na swoim, nie zdepczesz przy tym ludzkich uczuć.

– Myślisz, że mógłbym ci wyciąć taki sam numer, jaki wyciąłem Arturowi Teachowi, tak?

– No ... tak. Chyba tak.

– Ale ta kolej, to przecież twój projekt, Teo. Wszystkie plany i pomiary inżynierskie są twoje.

– Wiem o tym – rzekł Teodor. – Ale plany i pomiary inżynierskie to jeszcze nie wszystko. Żeby stały się rzeczywistością, potrzeba również idei, skryzalizowanej wizji, prawda? Ty ją masz. A czyje imiona utrwalają się w ludzkiej pamięci? Wizjonerów czy inżynierów? Hannibala czy faceta, który go przeprowadził przez Alpy?

Przez parę chwil Collis nie odpowiadał. Stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach, a po jego wychudłej twarzy błąkały się cienie.

– Obiecuję ci coś, Teodorze Jones, a Bóg mi świadkiem, że nigdy się z tego nie wycofam.

Kiedy już nasza kolej zostanie wybudowana, umieścimy twoje imię na honorowym miejscu, w widocznym punkcie, tuż obok nazwy samego przedsiębiorstwa kolejowego.

Właśnie wtedy drzwi się otworzyły i zdyszany głos powiedział: – Collis!

Collis odwrócił się i oto zobaczył przed sobą Alicję Stride, j rozpromienioną, z rękami złożonymi jak do modlitwy, niczym 1 dziecko w czasie Wigilii, w szarej, aksamitnej sukni z kremowym, koronkowym kołnierzykiem i koronkowymi mankietami. Weszła do pokoju na palcach, w sznurowanych półbutkach, i pocałowała ich obu w policzki, cmok–cmok, a potem roześmiała się perliście, prawdziwie uszczęśliwiona.

Collis ujął jej dłonie w swoje ręce i uściśnął je delikatnie. Nic się nie zmieniła, tyle tylko, że teraz jej włosy przyozdobione były wstążeczkami. Nadal tryskała energią, nadal trzymała się z godnością, ale jej nos nie był ani trochę krótszy, a jej brwi nie były mniej krzaczaste niż dawniej i Collis nie mógł oprzeć się wrażeniu, że była typem dziewczyny, która nie flirtowała z mężczyznami, tylko się z nimi droczyła, pozwalając sobie na kpinki i docinki, aby przyciągnąć ich inteligentną ripostą, ponieważ nie osiągnęłaby tego wyglądem.

– Zmizerniałeś – rzekła Alicja do Collisa. – I taki jesteś opalony! Jeśli zostaniesz w Kalifornii, to będziesz pierwszym czarnym republikaninem, który jest naprawdę czarny.

– A ty zupełnie się nie zmieniłaś, Alicjo – rzekł Collis. – Jesteś nadal dokładnie taka, jaką cię zawsze pamiętam. Czarująca.

– Nie odpisałeś mi – wydeła wargi, udając obrażoną. A zresztą, może istotnie czuła się dotknięta.

– Wiem – odparł Collis. – I chodziło mi to po głowie od tygodni. Ale jak mógłbym wyrazić słowami to, co czuję?

Alicja przekrzywiła na bok główkę.

– Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli. Ale ponieważ zawsze byłeś złotousty, przechylam szalę wątpliwości na twoją korzyść. No dobrze, ale gdzie twoje dobre maniery?

Nie przedstawiłeś mnie jeszcze twemu przystojnemu przyjacielowi.

Teodor uklonił się powściągliwie.

– Przeważnie to dla mnie zaszczyt poznać panią, Miss Stride. Nazywam się Teodor Jones.

Jestem inżynierem kolejnictwa, z Kalifornii.

– Skromność przez niego przemawia – rzekł Collis. – To najlepszy inżynier i topograf w całym kraju.

– Pasjonujące!

– Pasjonujące? I to jak! – rzekł Collis. – Zresztą, to zasadniczo cały powód, dla którego w ogóle się tutaj znajdujemy. Oprócz oczywiście okazji, aby odnowić naszą niezapomnianą znajomość.

– Jak to ładnie z twojej strony, że nie zapomniałeś tego dorzucić na sam koniec – zauważyła Alicja z przelotnym, szyderczym uśmiechem.

– Żartuję sobie – rzekł Collis. – Nie raz, głęboką nocą, w Sacramento, budziłem się i myślałem o tobie, wsłuchując się w wycie kojotów do księżyca i łkanie wiatru, który gnał od strony kopalń złota.

– A co ci bardziej przywodziło na myśl moją osobę, jeśli można wiedzieć? – spytała Alicja ironicznie. – Te kojoty, czy te kopalnie złota?

– Księżyc, oczywiście – zapewnił ją Collis. – Tak świetlisty i niedosięgly, że próżno wyją do niego stęsknione kojoty. I próżno marzą o nim kopacze złota, bo choćby nie wiem jak się wzbogacili, nigdy nie będzie ich stać na taki luksus.

Na moment zapadła pełna napięcia cisza, a potem Alicja nagle roześmiała się głośno, perliście, wysokim, radosnym śmiechem. Teodor znowu zasłonił usta dłonią, ale tym razem, żeby zdusić śmiech.

– Obrzydliwy bezwstydniku! – rzekła wreszcie Alicja. – Czy nie mam racji, Mr Jones?

Co to za obrzydliwy bezwstydnik. Ośla by przekonał swymi pochlebstwami, tak że biedne zwierzę musiałyby w końcu uwierzyć, że jest koniem wyścigowym. Całe szczęście, że nie ma tu Delfiny. Padłaby tutaj nieprzytomna od nadmiaru kadzidła.

– A co z Delfina? – spytał Collis. – Czy jest nadal w Nowym Jorku? Alicja pokręciła głową.

– Jest teraz tutaj, w Waszyngtonie. Po tym krachu finansowym w zeszłym roku w jej rodzinie wydarzyła się straszna tragedia. Jej ojciec... no cóż... jej ojciec jest w szpitalu.

Usiłował odebrać sobie życie, połykając tłuczone szkło. Lekarze obawiają się, że umyślowo nigdy już nie przyjdzie do siebie. Matka wzięła to sobie bardzo do serca i wyjechała do Bostonu. Mieszka tam teraz z ciotką Delfiny. Ale Delfina przyjechała tutaj, do nas, ponieważ zawsze się bardzo przyjaźniłyśmy, i również dlatego, że mój ojciec to jej chrzestny.

– I mieszka tu z wami? W tym domu? – dopytywał się Collis.

– Była tu z nami przez jakiś czas, tak. Ale pisałam ci w liście, że nie chciała stać się dla nikogo ciężarem. Ani dla rodziny, ani dla przyjaciół. Staraliśmy się, oczywiście, wybić jej to z głowy i mówiliśmy, że może tu zostać tak długo, jak długo zechce. Ale to się na nic nie zdało. Powzięła nieodwołalne postanowienie i po sześciu czy siedmiu tygodniach znalazła zatrudnienie.

– Nie mogę w to uwierzyć – rzekł Collis. – Delfina? Z jej pozycją społeczną?

– Nie doceniasz jej – rzekła Alicja. – To dziewczyna z charakterem. Śliczna, figlarna i kokieteryjna, ale również bardzo, bardzo dzielna.

– Ale jaka to praca? Chyba nie w sklepie? Alicja uśmiechnęła się do niego.

– Nie, nic z tych rzeczy. Pracuje jako guwernantka. Opiekuje się dziećmi senatora Carlslake’a. Widziałam się z nią dopiero co, w zeszłym tygodniu, jak wychodziła z tym drobiazgiem do parku, na popołudniowy spacer. Czuje się świetnie, choć jest, oczywiście, trochę przy gaszona.

Teodor przełknął ślinę.

– Czy to jakaś twoja przyjaciółka, Collis?

– Tak. No, przynajmniej była nią, zanim wyjechałem z Nowego Jorku.

– I nic się pod tym względem nie zmieniło, uwierz mi, Collis – zapewniła go Alicja. – Choć obawiam się, że nie zmieniło się również to, o czym pisałam w liście. Nie chce się z tobą spotkać. Nie teraz, w swoim obecnym położeniu.

– Nonsens – rzekł Collis. – Co z tego, że jest bez grosza i bez rodziny. Kiedy wyjeżdżałem z Nowego Jorku, sam miałem w kieszeni tylko paręset dolarów. A co tu po sobie zostawiłem? Wstyd i upokorzenie.

– Ale z kobietą, to zupełnie inna sprawa – rzekła Alicja. – Kobieta potrzebuje dobrze sytuowanej rodziny, żeby nie czuła się zmuszona akceptować propozycji małżeństwa tylko dla wygody. Żeby mężczyzna, za którego się wydaje, nie musiał martwić się o zapewnienie jej dostatniej przyszłości i nie miał prawa jej wypominać, że wyszła za niego dla pieniędzy.

Albo dla domowego ogniska. Chce również wnieść mężowi w posagu odpowiednie wiano i poślubić go w uroczystej ceremonii, za którą zapłacił jej ojciec.

– Ale przecież, według prawa, to chyba właśnie jest obowiązkiem twojego ojca? Przecież ona ma tutaj rodzinę. Przecież ma was.

Alicja uśmiechnęła się smutno.

– Oczywiście, że tak. Ale Delfina jest nieprzejednana.

Uważa, że musi po prostu pogodzić się ze swoim okrutnym losem. Przychodzi tu czasem na obiad lub na kolację i zawsze zapraszamy ją na wszystkie przyjęcia. Ale ona upiera się przy swoim i nie chce zostać.

Zapanowało krótkie, przygnębiające milczenie. Potem Alicja powiedziała: – No ale nic. Chodźmy na herbatę. Może pójdziemy do oranżerii, a Hubert przyniesie nam poczęstunek. Czy lubi pan babkę biszkoptową, Mr Jones? To była specjalność kuchni Marty Washington. Piekła ją zawsze na specjalne uroczystości w Mount Vernon, a moja babka wzięła od niej przepis.

Alicja pociągnęła za taśmę dzwonka i czarny kamerdyner Hubert pojawił się znowu.

Poprowadził ich ponurym korytarzem w głąb mieszkania i otworzył przed nimi drzwi do oranżerii. Potem ustawił dla nich przy stole pomalowane białą farbą żelazne krzeselka ogrodowe, a oni usiedli sztywno, skrepowani, i czekali na herbatę.

Pochmurne, dżdżyste popołudnie sprawiło, że oranżeria miała wygląd sali w pałacu Neptuna. Wokół nich wiły się wszędzie i pięły ozdobne rośliny o ciemnozielonych liściach i nawet liście akantu na dekoracyjnych filarach zdawały się wypuszczać pędy. Deszcz bębnił bezustannie o szklany dach ponad ich głowami, a potem spływał strugami do rynsztoka.

– Prawdę mówiąc – odezwał się wreszcie Teodor – przyszliśmy prosić panią o pomoc.

Na twarzy Alicji pojawił się bezbronny uśmiech.

– Ach, tak. No ale na co ja mogłabym się panom przydać? Nie rozumiem.

– Możesz okazać się bardzo pomocna – wtrącił Collis. – Widzisz, musimy pogadać z senatorami i kongresmanami na temat budowy tej żelaznej kolei Sierra Pacific. Im więcej ich będzie, tym lepiej.

– Aha, więc przyjechaliście do Waszyngtonu na zakulisowe rozmowy.

– Tak, głównie po to. I żeby wybadać, co sądzą na temat naszych planów.

– Zaskakujesz mnie, Collis. Nigdy bym jakoś nie pomyślała, że weźmiesz się do budowy kolei. W ogóle nigdy nie wyobrażałam sobie siebie w roli przedsiębiorcy. Dla mnie byłeś zawsze beztroskim, niestatecznym sowizdrzałem, który przed nikim się nie spowiada ani nie opowiada. Przed nikim w ogóle, a już najmniej przed politykami albo akcjonariuszami.

– Zmieniłem się w ciągu tych ostatnich pięciu miesięcy – rzekł Collis.

Przyjrzała mu się uważnie, głębokim spojrzeniem. Jej oczy skrzyły się w blasku zroszonej deszczem oranżerii, jak kropelki perlistej fontanny. Było coś w wyrazie jej twarzy, co do złudzenia przypominało mu jej ojca, jakby pod maską grzeczności i wdzięku kryła się osobowość ogromnie zimna i nieprzystępna. Drażniło go to potwornie.

– Zauważyłam to właśnie – powiedziała. – Nigdy przedtem nie przyszedłbyś do mnie z prośbą o pomoc; pod żadnym pozorem. Wiem, jak trudno ci się było przełamać, żeby prosić mego ojca o pieniądze.

– Więc jakże stąd wyciągasz wnioski? – spytał Collis.

– To oczywiste – rzekła Alicja. – Wniosek stąd taki, że ta kolej to dla ciebie wszystko.

Twoje największe pragnienie.

Teodor rzucił Collisowi pełne niepokoju spojrzenie, ale ten rozsiadł się wygodnie na swoim krześle, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– No a jeśli nawet, to co z tego? Może właśnie znalazłem swoje powołanie? I co w tym złego?

– Nic a nic – droczyła się z nim Alicja. – Prawdę mówiąc, jest w tym nawet pewien swoisty, romantyczny czar. Ale jeśli rzeczywiście tak gorąco pragniesz, aby realizacja twoich planów doszła wreszcie do skutku, i pokładasz we mnie tyle związanych z tym nadziei, to muszę prosić w zamian o przysługę.

Collis spojrzał na nią podejrzliwie.

– Nie żądam wielkich poświęceń ponad ludzkie siły – zapewniła go z figlarnym uśmieszkiem. – Chcę cię tylko prosić, żebyś towarzyszył mi w przyszłym tygodniu na przyjęciu w Białym Domu. Harriet Lane wydaje wieczorek taneczny dla swoich przyjaciół w Waszyngtonie, z młodszej generacji, i choć pan poseł Taylor pytał mnie już, czy nie moglibyśmy wybrać się tam razem, ja wolałabym iść z tobą.

Teodor, rozbawiony, zauważył: – Trudno to nazwać herkulesowym zadaniem, Collis. Prawdę mówiąc, zazdroszczę ci.

– Naturalnie, że nie jest to zadanie herkulesowe. – Alicja popatrzyła na nich filuternie.

– Nie mówiąc już o niezaprzeczalnej przyjemności asystowania bardzo dostojnej damie z najlepszego, waszyngtońskiego towarzystwa. Będziesz mógł tam poznać wielu młodych kongresmanów i zanudzać ich całą noc swoimi opowieściami o kolei żelaznej.

– Teodor musi iść z nami – rzekł Collis. – W końcu to on jest ekspertem w tej dziedzinie.

– Teodor będzie również bardzo mile widziany. Mam nawet dla niego partnerkę. Młodą damę, która uważa, że brody zostały zaplanowane przez naszego Pana i Stwórcę tylko po to, aby mogły łachotać ją po policzkach.

– Niestety, ale jestem żonaty – rzekł Teodor.

– Nie sądzę, aby to miało jakiegokolwiek znaczenie – rzekła Alicja. – Ona też jest mężatką. Jej mąż to senator Fredericks, który właśnie w tym miesiącu wyjechał do Minnesoty, by czuwać tam przy łóżku swego umierającego ojca.

Teodor otworzył już właśnie usta, żeby zaprotestować, ale Collis spojrzał na niego ostrzegawczo, wzrokiem, który mówił: „Nie teraz. Poczekaj. Najpierw musimy załatwić to, po cośmy tu przyjechali”. Więc Teodor starał się robić dobrą minę do złej gry, złożył ręce na piersiach i zgiął się w pół na swym krześle, jakby cierpiał na niestrawność żołądka. Właśnie wtedy Hubert wniósł tacę z herbatą. Na tacy stał srebrny, gregoriański imbryk, który Brytyjczycy zostawili w Bładensburgu, a także delikatne filiżanki z porcelany z Sevres.

– A teraz – rzekła Alicja, częstując wszystkich herbatą – niech tylko pomyślę ... komu by was tu przedstawić? Oprócz kongresmanów przydałoby się również paru prawników i bankierów. Na pewno znajdą się tacy, którzy będą zainteresowani waszym pomysłem.

Podawała Collinsowi filiżankę herbaty i dodała: – Znam doskonałego krawca, gdybyś chciał wystąpić w przyszłym tygodniu w eleganckim garniturze.

Ale Collins pokręcił głową.

– Dziękuję. To ładnie z twojej strony. Ale kongresmani i prawnicy zupełnie mi wystarczą.

*

Po burzliwej, wietrznej nocy nadszedł suchy i rześki ranek. Błoto na ulicach Waszyngtonu zaczęło już krzepnąć, kiedy Collis zmierzał w stronę rezydencji senatora Carslake’a.

Wszędzie walały się śmieci. Podarte skrawki papieru fruwały w powietrzu, a nieliczne drewniane chodniki zapaćkane były końskim łajnem. Collis szedł z rękami w kieszeniach, nie wyjmując z ust cygara.

Dom senatora Carslake’a znajdował się tylko o parę ulic od rezydencji senatora Stride’a.

Był to jeden z siedmiu gmachów na Dziewiętnastej Ulicy, przy Pennsylvania Avenue. Stał obok narożnej kamienicy, w której mieszkał niegdyś z żoną Dolley były prezydent – James Madison. Collis podszedł prosto do drzwi frontowych i zadzwonił.

Czekał dwie czy trzy minuty, zanim śniady Mulat otworzył wreszcie drzwi.

– Tak, słucham pana? Czy państwo pana oczekują? – zapytał.

– Przyszedłem zobaczyć się z guwernantką, Miss Spooner – odparł Collis.

– Bardzo mi przykro, proszę pana, ale regulamin zabrania służbie przyjmowania w domu państwa swoich gości.

– Wobec tego chciałbym się widzieć z senatorem.

– Przykro mi, ale nie ma go w domu. Wyjechał do Baltimore.

– No to z Mrs Carslake.

– Pani ma migrenę, proszę pana, bardzo mi przykro. Collis wyjął z kieszonki surduta wizytówkę.

– To w takim razie czy byłbyś łaskaw zostawić to na komodzie w przedpokoju dla Miss Spooner? Postaraj się, żeby to otrzymała jak najszybciej.

– Nie mogę. Regulamin zabrania służbie przyjmowania wizytówek, tak samo jak przyjmowania gości.

Collis westchnął, a potem prychnął, zirytowany.

– więc co mam, twoim zdaniem, zrobić? Podciąć sobie żyły i wypisać wiadomość na frontowych schodach własną krwią?

Mulat popatrzył na niego z niepokojem.

– Schody frontowe myje się o dziesiątej rano, p—sze pana, więc to się na nic nie zda.

Collis zdjął z głowy cylinder i ostrożnie przetarł wypustkę chusteczką. Mulat stał w drzwiach, przyglądając mu się cierpliwie. Wiatr unosił luźne kawałki słomy i ciskał je o murek ogrodzenia. W końcu Collis spojrział znowu na Mulata i rzekł: – No dobra.

Cokolwiek bym powiedział i tak nie odnosi to żadnego skutku. Możesz już zamknąć drzwi.

Collis opuścił rezydencję Carslake'ów, skręcił w Dziewiętnastą Ulicę i skierował się na południe. Czuł się osamotniony i przygnębiony. Rozmyślał o Delfinie całą noc. Rzucił się na łóżku, aż skopał całą pościel. Musiał wreszcie wstać i wypić porządny kieliszek Old Tate whisky, inaczej w ogóle nie mógłby zasnąć. Nigdy nie sądził, że będzie miał okazję zobaczyć się z nią w tak niedługim czasie. Wyobrażał sobie, że po opuszczeniu Nowego Jorku spędzi w Kalifornii całe lata, włócząc się po świecie bez celu, w ubóstwie i poniżeniu. Pozwolił sobie o niej zapomnieć. Nawet kiedy dowiedział się z listu Alicji, że firma Ohio Life & Mutual splajtowała i że Delfina została nedzarką, starał się o niej w ogóle nie myśleć i obraz jej powoli zacierał się w jego pamięci, jak twarz na nieudanej fotografii, zamazanej nadmierną ilością azotynu srebra.

Ale teraz, gdy była tak blisko, odżyły wszystkie wspomnienia i fala ciepła i czułości zalała jego serce. Całą noc nawiedzał go i kusił zamglony obraz tych ostatnich wspólnie spędzonych chwil w salonie Spoonerów. Zdrzemnął się na chwilę i usłyszał jej szept: „Collis, kochanku ty mój, mój jedyny”. Jej głos zdawał się tak rzeczywisty, tak wyraźny, że aż usiadł na łóżku i rozejrzał się po pokoju, żeby sprawdzić, czy na pewno jej tam nie ma.

Przechodząc przez F Street, ominąwszy paroma susami chłopską furmankę wypełnioną po brzegi jarzynami, zobaczył przed sobą troje dzieci.

W pierwszej chwili nie zorientował się, że były to właśnie te dzieci, dzieci senatora Carslake'a, które przystanąły przy krawężniku, na F Street, w drodze powrotnej ze spaceru.

Był tam blady dziewięcioletni chłopczyk w brązowym tweedowym paltku, siedmioletnia dziewczynka, z główką w kasztanowych loczkach, z rączkami okrytymi białą futrzaną mufką, oraz czteroletni brzdąc w ogrodniczkach, trzymany za rękę przez piastunkę.

Collis uchylił już właśnie cylindra, kiedy raptem dotarło do niego, że ma przed sobą Delfinę. Zdawała się jeszcze drobniejsza niż dawniej, a jej włosy upięte były w kok i schowane pod surowym, granatowym czepkiem. Suknię miała niebieską, a na niej czarną pelerynkę; wygląd jej mówił sam za siebie: nie była matką maluchów, tylko płatną niańką.

Matki zazwyczaj nie zabierały ze sobą dzieci, a jeśli już, to najwyżej powozem, na przejażdżkę.

Zawołał: „Delfino!” i aż ścisnęło go w gardle ze wzruszenia.

Jej uwaga skupiona była całkowicie na podopiecznych. Musiała przeprowadzić ich bezpiecznie przez wyboistą ulicę. Podniosła wzrok, a jej oczy były duże i marzycielskie, tak jak zawsze. Jej pełne, karminowe usta były lekko rozchylone, a policzki zaczerwienione od mrozu. Buzię miała tak prześliczną, że zaczął się zastanawiać, czemu w ogóle kiedykolwiek opuścił Nowy Jork, p& i to tylko, by spotkać ją tutaj, w tych dziwnych i smutnych okolicznościach, na waszyngtońskiej ulicy, po której hulał wiatr. Delfina wyciągnęła dłoń i przytrzymała starszego chłopczyka za rękę. Dziewczynka spojrzała w górę i powiedziała: – Spoonerówna, o co chodzi? Na co jeszcze czekamy?

Ale Delfina powiedziała: – Ciii, Amelio. Ten pan jest dżentelmenem.

– Nie wiedziałem, że służba ma znajomych wśród dżentelmenów – zaskrzeczał starszy chłopiec. – Myślałem, że służbie nie wolno.

– Delfino? – powtórzył Collis.

Spuściła wzrok. Patrzyła na biały kwiat w jego butonierce, nie na niego.

– Collis, czy to naprawdę ty? – spytała ledwie dosłyszalnym szeptem.

– Tak – odpowiedział. – To naprawdę ja.

– Myślałam, że wyjechałeś do Kalifornii – powiedziała. – Nie sądziłam, że... – Nie – rzekł Collis. – I ja też nie. Ale tak wyszło, że i wkręciłem się w projekt budowy drogi żelaznej, więc przyjechałem tu na zakulisowe rozmowy w kularach kongresu.

– Drogi żelaznej? – zapytała, jakby nie zrozumiała, o co mu chodzi. Starszy chłopczyk powiedział: – Spoonerówna, wiesz chyba przecież, co to droga żelazna? Chyba każdy to wie – nawet ty. Wracamy już wreszcie czy nie? Kucharz mówił, że będzie dziś na obiad pieczony kurczak, a ja zdycham z głodu.

– Ernest – rzekła Delfina z roztargnieniem. – Jak ty się wyrażasz?

– Przepraszam – odciął się Ernest. – Nie „zdycham z głodu”, tylko Jestem bardzo głodny”.

– To już lepiej – rzekła Delfina.

– Czy możemy się kiedyś spotkać? – spytał Collis. – Będę tu przynajmniej przez miesiąc.

– To zupełnie niemożliwe. Przepraszam, ale to zupełnie niemożliwe.

– Czy tego cię uczą w domu senatora Carlslake’a? „Przepraszam, ale to zupełnie niemożliwe”?

– Collis, naprawdę nie mogę, i tyle. Nie jestem już teraz damą z towarzystwa. Zgodziłam się do służby. Pracuję jako bona do dzieci.

Collis wyciągnął dłoń i przytrzymał ją za rękę. Nie uczyniła nic, aby się uwolnić.

– Nie bądź śmieszna – powiedział. – Nie jesteś wcale żadną służącą i nigdy nią nie będziesz, słyszysz? Spójrz na siebie. Jesteś prześliczna!

– Służbie nie wolno wyglądać prześlicznie – powiedziała, odwracając się od niego. Jej oczy były pełne łez. – Tak już zostanie, Collis. Myślałam, że wyjechałeś na zawsze.

– Alicja twierdzi, że nie chciałaś zostać ze Stride’ami, chociaż cię o to błagali – rzekł Collis.

– Mój ojciec nigdy nie przyjąłby jałmużny. Nie mogę zbezczcić jego pamięci.

– Ale przecież jeszcze żyje? Wyjęła chusteczkę i otarła oczy.

– Tak. Ale lekarze mówią, że nie przeżyje roku.

– A Winifreda, twoja matka?

– Z nikim nie chce rozmawiać. Jak ojciec umrze, to ona chyba pójdzie zaraz za nim. Jest teraz taka chuda – nigdy byś jej nie poznał. Pamiętasz, jak dobrze kiedyś wyglądała?

Stali przez jakiś czas, nic nie mówiąc. Obok nich przetoczyła się turkoczająca furmanka, a Ernest przestępował z nogi na nogę. Amelia poskarżyła się: – Zimno mi.

– Czy masz czasem wychodne? – spytał Collis. – Jakieś wolne popołudnie?

– We wtorki. Pomiędzy drugą a szóstą. Collis przelknął ślinę.

– Może byśmy się więc wtedy spotkali? Moglibyśmy pójść razem na obiad. Albo na spacer do parku, jeżeli nie masz już tego ostatnio powyżej uszu?

Wyglądała tak ślicznie i tak smutno, że Collis nie mógł już tego dłużej znieść.

– Delfino – nalegał. – Nic mnie to nie obchodzi, że straciłaś majątek i rodzinę. Dla mnie jesteś zawsze moją kochaną Delfina. A nawet więcej – bo podziwiam twoją dumę i odwagę. Dla mnie jesteś cudowna. Czy nie rozumiesz, jak bardzo jesteśmy do siebie podobni? Oboje straciliśmy wszystko, a teraz oboje staramy się odbudować naszą pozycję. Co stoi na przeszkodzie, żebyśmy się dorabiali wspólnie, razem?

Pokręciła głową. Łzy leciały jej z oczu strumieniami po policzkach i z tego żalu nie mogła z siebie wydusić ani słowa.

– Może moglibyśmy po prostu porozmawiać? – spytał Collis. – Może moglibyśmy usiąść przy kawce i ciasteczkach i pogadać o dawnych czasach?

– Spoonerówna – powiedział Ernest przez nos. – To już naprawdę skandal. Czas, żebyśmy wracali na obiad. Chodźże wreszcie albo powiem ojcu, że flirtowałaś z jakimś mężczyzną.

Collis odwrócił się w stronę chłopaka i ofuknął go: – Jeśli nie przestaniesz natychmiast skamleć, to spuszczę ci porcieta i sprawię takie lanie, że ci skóra zejdzie z... – Cicho, Collis. Nic już nie mów. Naprawdę. Proszę.

– Przepraszam – rzekł Collis. – Nie chciałem zachować się ordynarnie.

– To nie o to chodzi, kochany – odparła Delfina. – Wcale nie o to. Możesz kłać, ile wlezie, a ja i tak będę cię kochać. Kochałam cię od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałam.

– Wobec tego dlaczego się bronisz? Dlaczego nie chcesz iść ze mną na kolację? Jeśli mnie kochasz, to idź i powiedz Mrs Carslake, żeby sobie znalazła kogoś innego na twoje miejsce. Jedź ze mną do Kalifornii.

Delfina dotknęła dłonią wymykającego się spod czepka ciemnego kosmyka włosów.

– Teraz już na to wszystko za późno, Collis – rzekła cicho. – Wybacz mi.

– Nic nie rozumiem. O czym ty mówisz? Dlaczego jest już na wszystko za późno?

– Nie pisałeś – powiedziała. – Więc myślałam, że straciłam cię na zawsze.

– No tak. Ale przecież wróciłem. I proszę cię, żebyś ze mną wyjechała. Mam dla ciebie szczerze, głębokie uczucia. Jakich jeszcze chcesz na to dowodów?

Spojrzała na niego zamglonymi od łez oczami, a potem wyciągnęła dłoń i bardzo delikatnie pogładziła go po policzku.

– Po prostu jest już za późno – wyszeptała. – Kiedy przyszedł Nowy Rok, a ja wciąż nie miałam od ciebie żadnej wiadomości... Spuściła głowę. Wstażeczki jej czepka rozwiewał wiatr. F Street była szara i mroźna, a mężczyzna o czerwonej twarzy, z wiklinowym koszem na głowie, przeszedł, człapiąc obok nich, uderzając w gong i wołając: – Karpie! Karpie! Trzydzieści sześć centów za sztukę!

– Uległam dżentelmenowi, który usilnie starał się o moje względy.

– Dżentelmenowi? Jakiemu dżentelmenowi? O czym ty mówisz?

Podniosła na niego oczy, jak to zrobiła tego pierwszego dnia w restauracji Taylor, na Broadwayu. Jej rzęsy były mokre od łez.

– Nie mogę powiedzieć tego głośno przy dzieciach – powiedziała tak cicho, że ledwie słyszał, co mówi. – Chodzi o ich ojca.

– Senatora Carslake'a?

Pokiwała głową.

– Ależ na miłość boską! Przecież mieszkasz pod jednym dachem z jego żoną.

– Tak. I ona dobrze wie, co się dzieje.

Collis przygryzł wargi. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Czuł się, jakby dostał obuchem w głowę, ocknął się z zamroczenia i przekonał, że obrabowano go doszczętnie ze wszystkiego, co posiadał. A wszystko przez jego bezmyślność i lenistwo. Wszystko przez ten jego egoizm!

Nie napisał przecież wcale do Delfiny. Dlaczego miałyby sądzić, że się jeszcze kiedyś zejną?

Dlaczego miałyby zachować swoją czystość? Usprawiedliwiał się jednak sam przed sobą za to zaniedbanie, ponieważ nigdy nie przypuszczał, że jeszcze tu kiedyś powróci. Przynajmniej nie tak szybko. Ale myśl o tym, że jego ponownie rozbudzone marzenia, aby ubiegać się o rękę Delfiny, zostały w jednej chwili obrócone wniwecz, i to w taki ohydny sposób, zraniła go najbardziej. Widział raz senatora Carlslake'a w Nowym Jorku i z tego, co pamiętał, był to opasły choleryk, nieokrzesany prymityw.

Delfina ciągnęła dalej: – Nie mogę ci wiele powiedzieć na ten temat. Ale kiedy urodził się Michał, Mrs Carlslake nie mogła dłużej spełniać swych małżeńskich powinności wobec senatora. Dostała jakiegoś zakażenia, czy coś; nie wiem dokładnie. Więc toleruje się układ, tak aby go zadowolili i jednocześnie utrzymać własną pozycję w waszyngtońskim towarzystwie.

– Co tam znowu tak szepczesz, Spoonerówna? – rzekł; Ernest szorstko. – Musimy wracać do domu.

Collis zlekceważył go całkowicie.

– Ale ty, Delfino? – zapytał. – Ale ty? Chodzi tu przecież o ciebie. Chyba go nie kochasz? Nie uwierzę, że możesz w nim być zakochana.

– Nie, nie jestem w nim zakochana.

– Wobec tego dlaczego ty zgadzasz się na ten układ? Delfino! Włosy stają mi dęba na głowie, jak o tym myślę!

– Zgadzam się na to, bo tak już jest. Bo nie ma innego wyjścia.

Z oczu Delfiny znowu trysnęły łzy.

– Gdybym mogła przyjść do ciebie, tak jak tam w Taylorze, z dobrym posagiem i błogosławieństwem ojca i matki... gdybym mogła stanąć przy ołtarzu jako dziewica, wsparta na twoim ramieniu – to co innego. Ale teraz jest już za późno. Tamte czasy minęły bezpowrotnie. Nie mogę połączyć się z tobą, nie mając grosza przy duszy, bez rodziny... I nie mogę połączyć się z tobą po tym, jak oddałam się mężczyźnie, na którego ty nie raczyłyś nawet splunąć. Po prostu nie mogę.

– Przyjdę tutaj we wtorek po południu – powiedział Collis.

– Nie, Collis. Ani we wtorek, ani nigdy. Proszę.

– Delfino... – Muszę już iść. Dzieci spóźnią się na obiad.

Delfina wzięła Michałka za rękę, a potem troskliwie przeprowadziła Amelię i Ernesta przez ulicę. Collis szedł tuż za nią, ale nawet się nie obejrzała, nie zwolniła kroku, więc gdy dotarli do pomocnego rogu F Street zatrzymał się i pozwolił jej odejść. Skręciła w Pennsylvania Avenue. W połowie drogi Ernest odwrócił się i pokazał mu język.

Collis stał bez ruchu, przygarbiony, patrząc, jak się oddalają, i zaciskając pięści. Poczł w piersiach ucisk na myśl, że nic nie może na to poradzić. W końcu sylwetki Delfiny i małych Carslake'ów zmały w perspektywie Dziewiętnastej Ulicy. Guwernantka w granatowym czepeczku, z trojgiem swoich podopiecznych w zimowych paltkach, pod niebem zasnutym śniegowymi chmurami – to wszystko, co zostało z jego marzeń. Collis oddychał z wielkim trudem. Para leciała mu z ust w mroźnym powietrzu. Delfina weszła po schodkach do domu senatora Carslake'a i zniknęła za drzwiami.

*

Harriet Lane była siostrzenicą prezydenta Buchanana; ponieważ Stary Kozioł zaprzepaścił jedną miłość swego życia w jakiejś głupiej sprzeczce, kiedy był jeszcze bardzo młody, Harriet pełniła oficjalnie – i to z wielkim powodzeniem – obowiązki pani domu. Waszyngtońska południowa elita przepadała za nią. Robiła, co mogła, by podtrzymać patriotycznego ducha południowej szlachty, organizując wieczorki towarzyskie i bankiety, a w poczet swych najbliższych przyjaciół zaliczała rodziny polityków z Georgii, Alabamy i Karoliny.

Stride'owie, oczywiście, byli jej szczególnie bliscy.

Harriet okazała się całkiem ładną blondyneczką, z oczami, które miały być – jak głosiła legenda – fiołkowe, ale z bliska były po prostu błotnisto niebieskie. Nosiła się z hauteur*, która była troszeczkę za bardzo haute*, aby można ją było brać całkiem na serio, ale Alicja uważała ją zawsze za lojalną, dowcipną przyjaciółkę i ceniła jej przywiązanie do Wuja Jema.

Więc co z tego, jeśli prezydent był rzeczywiście mięczakiem, ugodowym chłystkiem? W towarzystwie czarował wszystkich swym ujmującym sposobem bycia. A już nie miał sobie równych jako gościnny, serdeczny gospodarz domu. Przyjęcia Harriet, słynące z lekkich i przyjemnych konwersacji, eleganckiej muzyki i wyszukanych smakołyków, stanowiły doskonałe dopełnienie zalet pana prezydenta.

– Nie będziesz dzisiaj zbyt kąśliwy albo buńczuczny? – spytała Alicja, gdy zatrzymali się w powozie senatora Stride'a przy Ścianie Południowej Białego Domu. Było to prawie tydzień później, w pierwszy piątek marca. Mróz zelżał, powietrze było świeże, ale łagodne, a znad rzeki Potomac wiał ciepły, południowy wiatr, który wpadał teraz do powozu przez otwarte okna.

– Przecież dobiliśmy targu, prawda? – rzekł Collis. – Ty nas wkęcasz w kręgi senatorów i kongresmanów, a my w zamian dostarczamy eskorty.

– Mówisz, jakbym cię tu prowadziła siłą na łańcuchu.

– Przepraszam. Nie miałem takiego zamiaru. Cenię sobie twoje towarzystwo i wdzięczny jestem za okazaną pomoc i przychylność.

Alicja podniosła głowę, pociągnęła wydatnym nosem i wachlowała się przez chwilę bez słowa wachlarzem z rzeźbioną alabastrową rączką.

– Czasami, Collis Edmonds – odezwała się wreszcie – trudno mi cię rozgryźć.

Teodor siedział naprzeciwko, wciśnięty w obite skórą, ponure siedzenia, i nic się nie odzywał. Oszczędzał wszystkie siły na później, kiedy trzeba będzie zabłysnąć elokwencją w rozmowie z jakimś senatorem albo kongresmanem. Dziś ich zadaniem będzie namówić jak najwięcej wpływowych polityków, by poparli budowę kolei Sierra Pacific. Mieli już przedsmak tego, co ich czeka. Ten wieczór to naprawdę ostatni dzwonek, żeby jeszcze coś od kogoś wydębić. Do tej pory wszystko szło jak z kamienia. W niedzielę i na początku tygodnia spotkali się z kilkoma członkami Izby Reprezentantów, zarówno demokratami, jak i republikanami – abolicjonistami, oraz z sześcioma członkami Senatu. Doświadczenie to przybiło zarówno Teodora, jak i Collisa. Ba! Obu kompletnie wyprowadziło z równowagi.

Nie licząc się z kosztami, fundowali panom kongresmanom kolacje w restauracji Balzera, na I Street. Przyglądali się, jak ci wytrawni politycy pozerają kopiałe talerze cielęciny, pieczonej wołowiny i wędzonej szynki, przepłukując mięsne dania francuskimi winami i angielską brandy. A jednak nie wskórali prawie nic. Nikt nie okazał większego zainteresowania koleją Sierra Pacific. Tak naprawdę, to nauczyli się tylko jednej ważnej rzeczy na temat pertraktacji w kularach Kongresu. Najlepiej wyłożył im to senator Salomon Chase, z Ohio, przy kolacji w Willard's Hotel. Siedział z nimi przy stole, opychając się bez żenady, opróżniając talerz po talerzu i butelkę po butelce, tak że przez godzinę widzieli tylko jego krzaczaste brwi i pokryty wątrobowymi plamami czubek łysej pały. Potem otarł usta serwetką, podniósł wzrok i oznajmił: – Wyborna kolacja. I dyskurs na temat pociągów również niezmiernie interesujący. Ale to za mało.

– Za mało? – powtórzył Collis, zaskoczony. Senator uśmiechnął się dobrodusznie i potrząsnął głową.

– Jeśli żeglując poprzez kuluary parlamentu, chcecie złapać w sieci poparcie, którego wam potrzeba, musicie się wyposażyć w przynęty najwyższej jakości.

– Co on miał na myśli, mówiąc o „przynętach najwyższej jakości”? – zachodził później w głowę Teodor. – Co jeszcze możemy im zaofiarować, oprócz przednich win, wystawnych kolacji i udziału w naszej spółce?

Collis, rozsiadłszy się w hotelowym fotelu i zrzuciwszy z nóg ciężkie buty, wyjaśnił: – Przynętą najwyższej jakości jest gotówka. Ci wszyscy kongresmani to szajka pazernych szwindlarzy. Można ich sobie zjednać tylko łapówką. Trzeba im będzie ponapychać kieszenie, aż zaczną pękać w szwach.

Teodor, załamany, także usiadł.

– No dobrze, ale skąd weźmiemy na to pieniądze? Przecież dopóki nie uzyskamy ich poparcia, nie będziemy mieć żadnych środków finansowych, a znowu nie uzyskamy ich poparcia, jeżeli nie będziemy w stanie ich przekupić. To istne błędne koło.

– Trzeba je będzie jakoś zatrzymać w biegu.

Powóz Stride'ów utknął w korku pojazdów przed Białym Domem i musiał czekać na przejazd. Collis również pogrążył się we własnych myślach, ale nie rozmyślał o przekupnych senatorach i kongresmanach, którzy gotowi byli – jak najbardziej – skorzystać z zaproszenia na kolację, ale nie zadawali sobie wcale trudu, żeby posłuchać, co się do nich mówi. Był to pod każdym względem obrzydliwy tydzień. Również ze względu na Delfinę.

Collis usiłował zobaczyć się z nią w poniedziałek, wtorek i środę. Czekał na rogu Dziewiętnastej Ulicy, przy Pennsylvania Avenue, z twarzą zakrytą szalikiem, w razie gdyby go miała rozpoznać przed czasem i starała się uniknąć tego spotkania. Przechadzał się po chodniku, dopóki się nie ściemniło. Ale się nie pojawiła. Nie było jej nawet we wtorek, w dzień, kiedy miała mieć wychodne. Dopiero w środę wieczorem, kiedy wreszcie postanowił, że musi zapytać o nią w domu chlebobawców, dowiedział się, co się stało. Ciemnoskóry kamerdyner powiedział: „Miss Spooner zabrała dzieci do Richmond na jakiś czas. Na życzenie Mrs Carslake”.

Collis stał przez jakiś czas na rogu ulicy, gdzie lata temu gromadki dzieci z okolicznych domów zbierały się przed oknami Dolley Madison, przyglądając się, jak żona prezydenta karmi z ręki swoją papużkę. Więc tak to wszystko się skończy: swaty, które zaaranżowała jego matka w zмовie z Winifredą Spooner, romantyczne spotkanie w restauracji Taylor, flirtjij konna przejażdżka do Central Parku. Przypomnił sobie jej słowa: „Widać to palec Boży. Niebiosa rozgniewały się i zesłały j na nas te nieszczęścia. Ja byłam zbyt natarczywa, a ty za bardzo lekkomyślny. Bóg uznał za stosowne rozdzielić nas”.

Palec Boży, pomyślał. Okrutna, bolesna kara, która godzi w samo serce.

– Że też ci lokaje nie mogą się jakoś pospieszyć – powiedziała Alicja. – To doprawdy karygodne!

Collis wychylił się z okna powozu. Trzymane przez służbę pochodnie oświetlały kręte schody, które wiodły na południowy krużganek Białego Domu. Tamtędy też wprowadzano gości Harriet Lane do środka. Zewsząd dobiegały ich głośne rozmowy i śmiechy. Collis zobaczył młode damy w muślinowych i aksamitnych sukniach oraz mężczyzn w czerwonych albo zielonych frakach, modnych kamizelkach i fikuśnych krawatkach. Wysoki, młody człowiek, który przeszedł właśnie obok ich powozu, miał nawet brwi i bokobrody ufarbowane na niebiesko, żeby mu pasowały do fraka. W wieczornym powietrzu unosił się zapach perfum.

W końcu ich powóz dobrnął wreszcie pod drzwi wejściowe i czarny kamerdyner w zielonym smokingu i upudrowanej na biało peruce szarpnął za klamkę u drzwi ich powozu.

Collis i Teodor zeskoczyli na ziemię i pomogli wysiąść Alicji. W swych czarnych frakach i wykrochmalonych białych koszulach wyglądali bardzo po nowojorsku. Alicja natomiast, ubrana modnie w wiśniową, aksamitną suknię obszytą długimi białymi, jedwabnymi wstęgami i wiśniową narzutkę wykończoną koronką z Nottingham, nie odstawała od reszty otoczenia. Czarny, młody lokaj poprowadził ich po kamiennych schodach do środka, podczas gdy drugi chłopak, także Murzyn, odprowadził ich powóz. Wiatr huczał głośno, uderzając w płomień pochodni.

We wszystkich oknach na Ścianie Południowej paliły się światła, a w przedsionku pełno było pochłoniętych rozmową gości. Collis, skrępowany, wyobcowany i zły na siebie, że dał się tu zaciągnąć, forsował sobie i Alicji przejście wśród tej ciżby ludzkiej. Teodor, skrzywiony i przeпоcony, posuwał się tuż za nim i kiedy udało im się wreszcie przepchnąć przez tłumy w

salonie, musiał wyjąć wielką białą chustkę i otrzeć pot z twarzy. Naokoło nich, w korytarzach i przedpokojach, w niezwykle wymyślnych pozach stały grupki młodych fircyków w ondulowanych fryzurach, a także damy z Południa, piękne niczym białe, porcelanowe pasterki. Ramiona miały odsłonięte, suknie śmiałe, wysoko wycięte, a ich wysoki, perlisty śmiech rozbrzmiewał wszędzie jak drżący dźwięk cennego kryształu. Była to prawdziwa złota młodzież: synowie i córki najzamożniejszych i najbardziej wpływowych właścicieli niewolników z Virginii, Georgii, Louisiany i Missisipi.

Reprezentowali wielki kapitał, ulokowany w bawełnie, owocach, bydło oraz murzyńskich niewolnikach. Reprezentowali Południe, w całej jego dumie, w kulturze, w kurtuzaji, ale i w pogardzie dla tych, do których nie uśmiechnęła się fortuna. Żadne z nich nie wiedziało jeszcze o Antietam*.

Doszli wreszcie do Izby Wschodniej, w której Harriet Lane przyjmowała gości. Żyrandole raziły ich w oczy, a ścisk wyperfumowanych ludzkich ciał i żar bijący ze świec sprawiały, że gorąco było niczym w piecu. Collis zauważył później, że można by tam było upiec cietrzewia, zanim zdążyłby przelecieć z jednej strony salonu na drugą. Ściany były pastelowe, w perłowiebieskim kolorze, obwieszane portretami Goerge'a i Marty Washingtonów oraz Thomasa Jeffersona, w złotych ramach, oraz sielankowymi pejzażami okolic Harper's Feery i Wielkiego Wodospadu Potomac. W głębi sali, przy oknie, niewielka orkiestra grała właśnie kotyliona, ale zupełnie ją zagłuszał hałas prowadzonych głośno rozmów. .

Alicja przedstawiła Collisa Harriet Lane, która siedziała na rokokowym krześle, wachlując się z całej siły i podając rękę do pocałunku każdemu, kto przyszedł się z nią przywitać. Miała na sobie srebrzystą, jedwabną suknię i naszyjnik z rubinów i brylantów, a jej kasztanowe włosy przyozdobione były srebrnymi grzebykami i diamentami. Musiała być całkiem ładną kobietą, ale tym razem jej twarz, purpurowa z gniewu i gorąca, nie wróżyła nic dobrego.

Alicja powiedziała im później szeptem, że wygląda dzisiaj wyjątkowo niekorzystnie. Pewnie pokłóciła się z dostawcami albo z kucharzami, a może z orkiestrą, czy nawet swoją krawcową. Tak czy tak zmierzyła Collisa od stóp do głów niechętnym spojrzeniem i odezwała się do niego raczej ostro, jakby naraził się jej samym tylko swoim, przybyciem: – Co za posepny strój, Mr Edmonds – powiedziała, odwracając od niego wzrok. – Mam nadzieję, że nie stracił pan ostatnio nikogo z rodziny.

– To mój zwykły, wyjściowy garnitur, Miss Lane – rzekł Collis z ukłonem. – Przykro mi, jeśli sądzi pani, że wygląda żałobnie.

– Wygląda bardzo snobistycznie, prawdę mówiąc – odpaliła Harriet Lane. – Tylko Jankes może przyjść na waszyngtońskie przyjęcie tak fatalnie ubrany i jeszcze się tym tak ostentacyjnie chełpić.

– Proszę mi wybaczyć moją śmiałość – rzekł Collis – ale tylko Jankeska może być tak na tym punkcie przeczulona.

Harriet Lane odwróciła się znowu w jego stronę.

– Owszem, tak, wyrosłam w Pensylwanii, Mr Edmonds. Ale moje serce jest tutaj.

Collis uśmiechnął się.

– I któż by się temu dziwił? Czy w ogóle można by spotkać serce, które nie wolałoby znaleźć się gdziekolwiek, byle nie w Pensylwanii?

Alicja wzięła go pod ramię.

– Chodź już, Collis – nalegała. – Trzeba sprawdzić, jakie to przysmaki przygotowała dla nas Miss Lane w swym bufecie. A potem może potańczymy.

Wycofali się z zasięgu wrogości Harriet Lane, a pąsowy dekolt Alicji, płonącej ze wstydu i rozgrzania, zdawał się gryźć z jej własną suknią.

– Naprawdę, Collis – powtarzała teraz. – Zupełnie cię nie rozumiem. Chyba się po prostu uwziąłeś, żeby ubliżyć wszystkim dookoła.

Collis wziął ją pod rękę i poprowadził do bufetu, który umieszczony był pod podłużnym lustrem, po wschodniej stronie sali. Stały tam wspaniałe srebrne misy z lodem, pokryte mgiełką skraplającej się pary, w których świeżo otwarte ostrygi z Potomacu połyskiwały w świetle żyrandoli. Było też pieczone, lekko tylko przyrumienione, w kolorze malwy, saignant* oraz kureczaki i sałatki z homarów, tak misternie udekorowane, że mistrzowie kucharscy musieli chyba dłużej nad nimi mozolnie godzinami. Zanim Alicja zdążyła zaprotestować, Collis kazał jednemu z obsługujących lokai nałożyć jej pełny talerz szynki, ostryg i jęczmyków w galarecie. Dla siebie wziął całego wędzonego bażanta, podczas gdy Teodor, zachowując większy umiar, nałożył sobie trochę sałatki z homarów, a potem usiadł przy jednym ze stołów, w samym kącie.

– Nie wiem, jak w ogóle spojrzeć jeszcze Harriet prosto w oczy – poskarżyła się Alicja.

– Piękne mi podziękowanie za to, że cię przedstawiłam tyłu znakomitym osobistościom.

– Prosiłaś, żebym ci towarzyszył na przyjęcie – rzekł Collis z pełnymi ustami. – Nie uprzedziłaś mnie, że będę musiał również kłaniać się w pas byle patałachom, tym twoim znajomym.

– Jak możesz tak w ogóle mówić o Harriet. Ona wcale nie jest żadnym patałachem. Jest wspaniałą kobietą. Wrażliwą, piękną i wartą dwudziestu pięciu takich jak ty!

Collis odkroił jeszcze kawałek bażanta.

– Nie przejmowałbym się tym na twoim miejscu, Alicjo. Stary Kozioł będzie pełnił jeszcze ten urząd tylko przez dwa lata, a potem już będzie nieważne, czy przyjaźnisz się z panną Harriet, czy też nie.

– Jak śmiesz! Jak ci nie wstyd? Co za krzywdzące insynuacje!

Collis wypił łyk zimnego wina.

– Wcale mi nie wstyd, moja droga, bo właśnie w końcu odkryłem, jakim miejscem jest ten twój Waszyngton. Jest to siedziba rządu, oczywiście, ale jednocześnie siedlisko obłudy, korupcji, podejrzanych machinacji i prywaty. Nie ma takiego szachrajstwa znanego ludzkości, które tu nie znalazłoby dla siebie azylu.

– Nie wiedziałam, że taki z ciebie świętoszek – rzekła Alicja.

– Nie roszczę sobie wcale do tego pretensji. Powiem ci coś, Alicjo. Kiedy przepuszczałem w karty majątek rodzinny, łajdaczyłem się po Nowym Jorku i spędzałem noce w burdelach na Green Street, myślałem: ze świecą szukać gorszego ode mnie wcielonego diabła! Ale odkąd tu przyjechałem i przejrzałem ten cały Kongres, tych jego polityków – zmieniłem zdanie. W porównaniu z nimi jestem dopiero raczkującym amatorem: Nie widzisz sama, że to gniazdo kukiełek, które siedzą, otwierając szeroko dzioby, w oczekiwaniu na łapówkę albo, jakikolwiek inny tłusty kasek. Nie bawię się w kaznodzieję, nie przyszedłem tu, żeby wygłaszać kazania. Wręcz przeciwnie, składam hołd ich nietuzinkowym umiejętnościom: udało im się przecież upaść tak nisko, a nie przebili przy tym ziemskiej skorupy.

– Mam nadzieję, że nie włączasz w to mojego ojca – rzekła Alicja, odkładając widelec.

Collis spojrział na jej widelec, a potem na nią.

– A gdybym? Czy bardzo by cię to zabolalo? Pomyślała nad tym chwilę. Potem znowu podniosła widelec.

– Nie, chyba nie. Wiem, do jakich musi się uciekać podstępów i jakie stosować chwyt, żeby przetrwać.

– No dobrze więc – rzekł Collis. – Dajmy mu zatem prawo do przetrwania, nawet jeśli oznacza to rozładnianie kapitału akcyjnego i sprzedaż gruntów, które istnieją tylko na mapie.

– To nie była jego wina, ta sprzedaż parceli w Oregonie. Sam też je kupił od kogoś z mapy.

Collis uniósł dłoń.

– Nie twierdzą wcale, że to była jego wina. Mówię tylko, że tu się prowadzi gry ciemne, dwulicowe i że jeśli mam zamiar osiągnąć to, czego pragnę, będę musiał nauczyć się także grać znaczone kartami.

Teodor odkroił mięso przy pazurach homara.

– Collis stara się po prostu pani wyjaśnić, że w tej podróży straciliśmy nasze polityczne dziewictwo – wyjaśnił łagodnie.

Alicja pociągnęła za naszyjnik.

– Ach, rozumiem. No to wobec tego przypuszczam, że w pewnym sensie należą się wam powinszowania.

– Myślisz, że się bardzo zmieniłem, prawda? – spytał Collis.

Alicja popatrzyła na niego uważnie.

– Tak – rzekła z naciskiem. – Zmieniłeś się bardzo.

– Żałujesz teraz, że mnie tu ze sobą przyprowadziłaś?

– Nie... niezupełnie. Tylko trochę.

– Czy chodzi tylko o Harriet Lane? – spytał Collis. – Czy może jeszcze coś tkwi poza tym? Jakaś sprawa natury osobistej?

Milczała. Jego oczy zaszyły mgłą, niczym szlachetne kamienie, na które ktoś nagle chuchnął.

– Prawda jest zawsze bolesna, nie sądzisz? – spytała.

– Masz rację.

Uśmiechnęła się smutnym uśmiechem.

– Wobec tego – powiedziała – jeśli prawda jest taka bolesna, może lepiej ją przemilczeć. Wolę słodkie kłamstwa.

– W porządku – rzekł Collis. – Dobiliśmy przecież targu: ten wieczór należy do ciebie.

Możemy więc prawić sobie słodkie kłamstwa, ale skoro już tak musi być, powinniśmy się przy tym dobrze bawić.

Alicja była bliska łez, ale Collis odsunął krzesło, wstał i podał jej ramię.

– Czy zechciałaby pani zatańczyć ze mną, Miss Stride? – zapytał. – Byłby to dla mnie wielki zaszczyt.

– Dziękuję – wyszeptała Alicja, tłumiąc łkanie.

Teodor, z okruszkami małży na brodzie, został sam. Sączył samotnie swoje wino i delektował się sałatką z homarów, podczas gdy Collis i Alicja włączyli się do tańca. Od czasu do czasu podnosił głowę, żeby nie stracić ich z oczu, i nie mógł się nadziwić, jak spokojny był Collis, jaki pewny siebie, jakby wszystko spłynęło po nim jak po maśle: i tęsknota za Hanną, i zadra W sercu po Delfinie. Nie mógł również nie zauważyć, że Alicja tańczyła jak pogrążona we śnie, a migoczące światła żyrandoli Białego Domu odbijały się w jej oczach.

*

Było już parę minut po północy, kiedy Collis, Teodor i Alicja wyszli z powozu, który zatrzymał się pod drzwiami rezydencji senatora Stride'a na Osieemnastej Ulicy. Na ganku paliła się lampa naftowa, ale ulica była zupełnie nie oświetlona. Powóz podjechał do stajni na dziedzińcu, podczas gdy Collis odprowadził Alicję po schodach do samych drzwi i zastukał.

Teodor, który wypił o pół butelki wina za dużo, stał na chodniku, starając się usilnie zapiąć swoją wieczorową pelerynę. Mimo iż podchodził do zadania z całym pietyzmem, którego wymagała ta skomplikowana operacja, nie zapominając przy tym ani na chwilę, że musi zachowywać się godnie, trud jego zdawał się całkiem daremny. Drzwi otworzył służący Hubert, ale kiedy Alicja wchodziła do środka, a Collis zdejmował kapelusz, by powiedzieć jej dobranoc, w przedpokoju, za Hubertem

ukazała się wysoka sylwetka senatora Stride'a w szlafroku i fezie; chyba właśnie miał zamiar iść do łóżka.

– Kogo ja widzę! Czy mnie aby wzrok nie myli? No, no, to przecież Mr Edmonds, sam, we własnej osobie! – rzekł głośnie senator.

– Tak, ojciec – rzekła Alicja. – Spędziliśmy razem i wieczór.

– Ho, ho, Mr Edmonds – rzekł senator, przemierzając wielkimi krokami przedpokój i podchodząc do drzwi wejściowych. – Kiedy słyszałem o panu ostatnim razem, wyjeżdżali pan do Kalifornii, bez grosza przy duszy i widoków na przyszłość. No i jak? Czy to panu się tam nie podobało, czy też to pan się nie podobał w tamtych stronach?

Zaśmiał się tubalnie, szczerze, sam do siebie. Nic się nie zmienił. Tak jak dawniej był zadufany w sobie i nieprzystępny, a w jego oczach dalej kryły się niedobre cienie.

– Wyjechałem do Kalifornii, aby odbudować majątek, który mój ojciec stracił w Nowym Jorku, w niezwykle przykrych okolicznościach – rzekł Collis lodowato. – A panu nic do tego, mogę tylko dodać.

– Urażona miłość własna, nic innego! – rzekł senator Stride. – A niesłusznie! Polityka i finanse, drogi panie, są to, rzecz by można, bitwy, wielkie bitwy. No a w bitwie nie obejdzie się bez rannych. Taki już jest ten nasz świat.

– Co innego zostać rannym – odparł Collis – a co innego polec na polu bitwy. Mój ojciec umarł, kiedy I.P. Woolmer zbankrutował, a pan mógł go uratować. Gorzej jeszcze, I.P.

Woolmer pociągnął także za sobą Ohio Mutual, i George Spooner dostał przez to pomieszania zmysłów, a to jeszcze gorsze niż śmierć.

– Widzę, że jest pan dziś w wisielczym nastroju – rzekł senator Stride. – Ale może nie odmówiłby pan kieliszeczka? Może trochę koniaczku, na rozgrzewkę? Ja sam nie piję, wie pan, ale łyknę sobie z panem trochę soku owocowego.

Collis zawahał się, ale Alicja ujęła go za ramię.

– Oczywiście, że wstąpisz na drinka, prawda? Jakby to było miło, gdybyście doszli jakoś z ojcem do porozumienia.

– Niech tak będzie – rzekł Collis. – Ale jest tu ze mną również mój przyjaciel, Teodor Jones.

Senator uśmiechnął się do niego.

– Wiem, wiem.

– Jak to?

– Tu, w Waszyngtonie, gdybym miał klapki na oczach, a watę w uszach, długo bym się nie uchował – wyjaśnił senator. – Wiem dobrze, co was tu sprowadza, gdzie się obracacie, i czekałem tylko na okazję, żeby wyłuskać z was całą prawdę na ten temat.

– Teodor! – zawołał Collis. Teodor zamrugał z ulicy oczami.

– Przeklęta peleryna – powiedział. – Nie mogę jej zapiąć za żadną cholere.

Collis zszedł na dół, wziął Teodora pod ramię i wprowadził na ganek.

– Senator chciałby porozmawiać o kolei – wyjaśnił Collis. – Nie jesteś za bardzo pijany? Potrafisz mu przedłożyć wszystkie szczegóły na temat finansów, inżynierii i pomiarów topograficznych.

– Z pamięci! – zapewnił go Teodor. – Każdy najdrobniejszy detalik. Wszyściutko z pamięci.

– To dobrze – rzekł senator Stride. – Proszę, niech pan wejdzie.

Alicja pożegnała się z nimi w ponurym przedpokoju. Musnęła Collisa w policzek na dobranoc i pobiegła na górę. Senator Stride wprowadził Collisa i Teodora do biblioteki, gdzie w marmurowym kominku, nie mniej bezosobowym i ponurym niż Partenon, dogasały posępnie ostatnie bierwiona i gdzie na półkach, obok ksiąg z dziedziny polityki, historiografii, hodowli koni i muzykologii, stały popiersia Sokratesa i Tertuliana, o oczach pustych i bez wyrazu. Na chodniczku, przy kominku, obok skórzanej kanapy i porozstawianych w nieładzie foteli, z miną zawiedzionego hedonisty, w zamierającym ciepłe dopalających się polan, wygrzewał się tłusty, rudy kocur. Po drugiej stronie pokoju, w rogu, stało pianino, a na nim walały się zapisane w pięciolinie kartki. Senator Stride podszedł do pianina podniósł wieko i zagrał parę taktów muzyki, której Collis nie rozpoznał.

– Uwertura Symfonii e-moll Antona Eberla – rzekł senator z kwaśnym uśmiechem. – Eberl był bliskim przyjacielem Mozarta i, moim zdaniem, mógłby być o wiele, wiele lepszy.

Ale tak to już jest, nie sądzi pan, Mr Edmonds? Liczy się styl. Ten zaćmiewa nawet największy talent.

Teodor usiadł w fotelu i starał się przywrócić swoim oczom ostrość, rozciągając je na boki palcami, tak że wyglądał jak skośnooki Chińczyk.

– Chce pan powiedzieć, że ludzie naprawdę wartości zawsze w końcu zostaną zdeptani przez motłoch – rzekł Co – – Nie, nie to miałem na myśli – odparł senator. Zamka pianino. – Sokrates powiedział, że człowieka wielkiej prawości nikt i nic nigdy nie zdoła zniszczyć – ani za życia, ani poi śmierci. I jeśli zastosuje pan tę maksymę w stosunku do swego ojca, to musi pan przyznać, że to się nawet bardzo potwierdza. Pana ojciec padł ofiarą własnego matactwa, na długo przedtem, jak przyszedł pan prosić o pieniądze. A stało się taki dlatego, że starał się stosować nieuczciwe chwyt w uczciwej grze. Natomiast gdyby stosował uczciwie chwyt w nieuczciwej grze, nikt by go nie ruszył. Nawet ja.

Hubert wszedł z tacą kieliszków. Nalał Collisowi hojnie koniaku, a senatorowi podał świeżo wyciśnięty sok. Teodor i odmówił drinka gestem dłoni. Każdy ruch przychodził mu z wielkim wysiłkiem.

Kiedy służący wyszedł, Collis powiedział: – Z tego, co słyszałem, nie powiedziałbym, żeby pan był uczciwszy niż inni, senatorze, o ile wybaczy mi pan moją j szczerłość. Żeby nie szukać daleko: ten szwindel z parcelami w Oregonie i malwersacje w kolejowej spółce akcyjnej Milwaukee. Zaszargał pan sobie opinię i przyłgnęło do pana miano aferzysty.

Senator nie przestawał się uśmiechać.

– Chyba jednak pan nie rozumie, co mam na myśli. Albo nie chce pan zrozumieć, Mr Edmonds. Oba powyższe incydenty to istna hańba. Wiem to dobrze. Wielu niewinnych inwestorów utopiło w nich swój majątek. I bardzo tego żałuję. Ale jednocześnie muszę tu dodać, że mój osobisty udział w tej sprawie był absolutnie bez zarzutu. Nie udowodni mi pan żadnego kręactwa. Nie miałem pojęcia, na żadnym etapie negocjacji, że sprzedaje się nie istniejące grunty ani że rozdrabniane są kapitały akcyjne.

Usiadł na kanapie i postawił nie dopitą szklankę soku na kominku.

– Co mam robić pana zdaniem, Mr Edmonds? Wycofać się zupełnie z jakichkolwiek transakcji handlowych? Bo to właśnie musiałbym uczynić, aby nigdy nie splamić sobie rąk.

Nie mam co do tego absolutnie żadnych wątpliwości, że i w przyszłości szwindle, kradzieże i defraudacje będą kwitły w całej Ameryce. Bez tego się nie obejdzie. Co więcej – nie mam absolutnie żadnych wątpliwości, że i moje nazwisko będzie się z nimi w jakiś sposób wiązać.

Ale gdybym, śladami Poncjusza Piłata, umywał ręce od wszystkiego, co nie jest kryształowa czyste, moje miejsce zajęliby inni, dużo gorsi ode mnie. Typy spod ciemnej gwiazdy, dwa razy tak pazerne i dwa razy tak wyrachowane; czekaliby tylko, żeby poderżnąć gardło ludziom takim, jak pański ojciec i George Spooner. Nie mógłbym z czystym sumieniem nazwać się bezinteresownym altruistą.

Zarówno w handlu, jak i w mojej działalności w Kongresie, kieruję się chęcią zysku. Ale tego nie ukrywam. Otwarcie się do tego przyznaję. I nawet jeśli jestem łapczywy, to przynajmniej nie ugryzę ręki, która mnie karmi. Jak coś od kogoś skorzystam, to zawsze się odwdzięczę.

Collis również usiadł i z wielką wprawą obracał w rękę kieliszek koniaku, by wydobyć cały właściwy aromat.

– Nie jestem pewien, po co mnie pan tu zaprosił – powiedział. – Myślałem, że ma pan znaczący udział w Hannibal & St Joseph i że wraz z Jeffem Davisem i całym jego lobby popiera pan trasę południową.

– Oczywiście – odrzekł senator Stride. – Moim zdaniem pierwsza kolej transkontynentalna musi być wybudowana na południe od trzydziestego ósmego równoleżnika, inaczej dojdzie do, politycznego i gospodarczego rozłamu.

– Więc chce mnie pan powstrzymać? Senator Stride ściągnął brwi.

– Powstrzymać? Dlaczego znowu miałbym pana powstrzymywać? Z tego, co słyszałem, nie brakuje panu ani determinacji, ani wytrwałości, żeby sprostać temu zadaniu. No a do tego trudno by o lepszego inżyniera przy realizacji takiego projektu niż tu obecny Mr Jones. – Rzucił okiem w stronę Teodora. – Przynajmniej kiedy jest trzeźwy.

– Upił się tylko dlatego, że poczuł się odarty ze wszystkich złudzeń – wyjaśnił Collis. – Nikt tutaj, w Waszyngtonie, nie kwapił się z pomocą. Nikt nie chciał nam podać ręki. Ba!

Choćby wysłuchać naszych argumentów!

– Wcale mnie to nie dziwi. Ale ja jestem gotów wysłuchać panów. Prawdę mówiąc, jestem gotów posunąć się nawet dalej. Jestem gotów, mianowicie, włożyć w to własną gotówkę, aby pomóc panu w założeniu przedsiębiorstwa kolejowego. Collis spojrzął na senatora spod oka.

– Słucham? Czy aby dobrze słyszę? Doprawdy, nie pojmuję.

Senator przyglądał mu się rozbawiony.

– Pewnie pan teraz myśli: gdzie tu sens? gdzie logika? Ano, proszę pana, nie postradałem wcale wszystkich zmysłów Wbrew pozorom – to jedyne wyjście. Nie mogę zaprzeczyć, że wolałbym, aby pierwsza kolej transkontynentalna biegła zachód od St Joseph, albo Memphis, albo nawet Vicksburga. Ale przemysł północny to też wielki kapitał. Tamci przedsiębiorcy też będą potrzebować pewnego dnia kolei transkontynentalnej, nawet jeśli to nie będzie pierwsza kolej. Wolałby się zabezpieczyć i mieć w niej swój udział.

Przez długą chwilę Collis nie spuszczał wzroku z senatora. Potem odwrócił się w stronę Teodora.

– Słyszałeś, senator chce nas poprzeć.

Teodor podniósł na niego wzrok.

– To prawda – rzekł Collis. – Dobrze słyszałeś. Senator”1 chce nas poprzeć.

– A czego chce w zamian? – wybełkotał niewyraźnie Teodor.

Senator pogłaskał rudego kocura pod brodą.

– Udziału – powiedział. – Tylko tyle.

Zapadło milczenie. Polana na kominku poruszyły się i upadły raptem na kratę, a snop iskier buchnął siarczyście w komin.

– Na początek włożę w to dziesięć tysięcy dolarów – kontynuował senator. – To powinno pokryć koszty tej podróży i pierwsze wydatki związane z zakładaniem spółki akcyjnej w Kalifornii.

– A pomiary? – dopytywał się Teodor. Był wprawdzie trochę zamroczony alkoholem, ale nie zamarł w nim duch geometry i znał doskonale swoje priorytety. – Już same tylko mapy i rysunki techniczne trasy przez Sierra Nevada kosztować będą trzydzieści pięć tysięcy dolarów.

– To już musicie jakoś sami sobie zorganizować – rzekł senator Stride. – Byłaby to z mojej strony wielka nieostrożność, gdybym wam sfinansował cały projekt. Ale akcjonariusze w waszym przedsiębiorstwie powinni pokryć w większości pozostałe koszty.

Wstał i podszedł wolno do pianina. Podniósł wieko i zaczął grać jedną ręką jakąś liryczną, słodką melodię.

– Kiedy już zrobicie pomiary trasy przez Sierra Nevada – mówił dalej – podkreję tu paru kongresmanów i senatorów, aby was poparli. I demokratów i republikanów. Nie macie pojęcia, ilu z nich ma wobec mnie dług wdzięczności.

Grał, a Collis słuchał. Teodor zaczynał już trzeźwieć i nie spuszczał oczu z Collisa, wpatrując się w niego z niepokojem. Collis podniósł palec, aby ostrzec Teodora, że ma siedzieć cicho. Był to dziki kraj, gdzie każdy fałszywy krok można było przypłacić życiem.

Albo przynajmniej wpaść, przez własną głupotę, w poważne tarapaty.

– Oczywiście, będziecie również potrzebować własnych pieniędzy – wyjaśnił senator Stride. – Niektórzy członkowie parlamentu są zupełnie bez skrupułów i będą głosować tylko wtedy, kiedy się im zapłaci. Złotem. Ale kiedy już zrobicie pomiary i ustalicie, że da się położyć tory tam, gdzie waszym zdaniem rzeczywiście jest to możliwe, ja poruszę tu wszystkie sprężyny, żeby rozkręcić całą sprawę. Mogę wam dać listy polecające z pieczęcią Kongresu. Zabierzecie je do Kalifornii i dzięki nim powinniście zebrać odpowiednią kwotę, a potem możecie przywieźć gotówkę do Waszyngtonu, zapłacić gdzie i komu trzeba, i tak dalej.

Kongres to taka fontanna pieniędzy: im więcej się w nią wlewa, tym więcej z niej wytryska.

– Ale przecież przeprowadzenie wszystkich pomiarów zabierze nam lata – rzekł Teodor.

– Mnie na tym nie zależy. Prawdę mówiąc, w to mi graj. Najpierw chciałbym, żeby ukończono trasę południową, bo raz, że mam już w niej zainwestowany spory kapitał, a dwa, że umocniłaby ona, moim zdaniem, pozycję Południa. Jeff Davis mówił mi, że pierwsze sprawozdania topograficzne powinny być już gotowe za dwa lata. Więc nawet jeśli wam to zajmie trzy, cztery lata, to bardzo dobrze. Albo nawet i pięć.

Teodor przygryzł wargi.

– Dwa lata! To wcale nie tak dużo! – rzekł z niepokojem.

– Pewnie, że nie – przyznał senator Stride. – Dlatego właśnie złożyłem wam tę moją ofertę. I tak wiem, że południowa Unia zostanie wybudowana wcześniej niż wasza, bo już teraz jest daleko bardziej zaawansowana. Ale równocześnie nie mam żadnych złudzeń co do tego, że kiedyś musi powstać i pomocne połączenie. W tym różnię się od wielu moich kolegów z Kongresu, którzy starają się do tego nie dopuścić.

Zakończył swój koncert efektownym akordem, a potem przyjrzał się im z uwagą. Jego oczy były ciemne i głębokie.

– Niektórzy twierdzą, że dojdzie w tym kraju do wojny. Moim zdaniem, to guzik prawda.

Podobnie jak inni nienawidzę tych przeklętych Jankesów za to, że tak wydoili Południe, Ale emocje sobie, a interes także sobie. Zresztą, myślę, że ten kraj będzie musiał się jakoś wreszcie nauczyć rozwiązywania własnych problemów. Najpierw wybudujemy trasę południowej a potem, pięć czy sześć lat później – dla politycznej równowagi – również i pomocną.

– A w ten sposób nie ucierpi pańskie konto bankowe, czyż nie tak? – zauważył Collis.

Senator milczał przez chwilę, a potem powiedział: – W rzeczy samej! – I zaśmiał się na sam koniec. Kiedy senator powrócił do Symfonii e–moll Eberla, Teodor dał Collisowi znak, żeby ten nachylił się bliżej do niego.

– Dwa lata – wyszeptał. – Jak my zrobimy wszystkie pomiary w dwa lata? Nie wiem nawet, czy uda nam się znaleźć odpowiednie przejście.

Collis wyprostował się na krześle.

– Ja je znajdę – powiedział bardzo cicho. – Zawsze wierzyłem, że tam jest, więc inaczej być nie może.

– Nie byłeś jeszcze w tych górach. To może zabrać całe lata.

– Wiem – rzekł Collis. – Dlatego musimy zabrać się do’ tego natychmiast, bez dalszej zwłoki. Jak tylko wrócimy do Sacramento.

Senator Stride przerwał swój koncert. Patrzył na Collisa przez jakiś czas, jakby zastanawiając się nad czymś głęboko.

– Czy nadal uważa pan, że to ja zabiłem pańskiego ojca? – zapytał.

Collis postawił swój kieliszek na małym stolyczku do wina, który stał obok niego. Nie chciał już pić.

– Wolałbym odłożyć sąd o tym na później – rzekł spokojnie.

Przez jakiś czas senator Stride nic nie odpowiadał. Potem kiwnął leciutko głową.

– Więc jednak czegoś się pan nauczył, Mr Edmonds, prawda? Nareszcie czegoś się pan nauczył.

10

Dotarli do Sacramento 21 sierpnia 1858 roku. Po wycieńczającej przeprawie przez Cieśninę Panamską obaj rozchorowali się na grype, która zaatakowała również przewody pokarmowe, więc przez pierwszy tydzień obaj oddali się pod opiekę Annie Jones, w domu Teodora na R Street. Przynosiła im rosół i ciepłego, żutniego chleba i tyle jajek, na ile ją tylko było stać, tak że już w następną niedzielę nabrali sił i kolorów i mogli wreszcie pogрузić się w wielogodzinnych dyskusjach, bez konieczności odwiedzania co parę minut wychodka w tyle podwórka. Słońce zaczęło już przygrzewać, a dni stawały się coraz dłuższe, więc siadali, dla wypoczynku, przed domem, w cieniu drzew. Collis strugał nożem drewniany patyk, a Teodor pykał ze swojej fajeczki; z odległości można by ich było wziąć za dwu sędziwych, pogodzonych z życiem emerytów. Tyle tylko, że ich rozmowy dotyczyły nie wspomnień, ale przyszłości: snuli plany na temat przeprawy przez Sierra Nevada. Rozmawiali o Przełęczy Johnsona i Slippery Ford i Steam Boat Springs. W piasku pod stopami kreślili mapy topograficzne i roztrząsali do znudzenia doświadczenia Teodora w terenie wysokogórskim, z okresu kiedy robił pomiary pod budowę drogi transportowej do kopalni srebra w Nevadzie.

Każdego dnia rano Collis szedł do sklepu na K Street, a dwa lub trzy razy w tygodniu na kolację do Charlesa i Mary. Początkowo Charles patrzył na niego wilkiem, ponieważ uważał, że Collis nadużył jego zaufania, wyjeżdżając do Waszyngtonu natychmiast po przystąpieniu do spółki. Ale któregoś wieczora Collis poszedł do domu Tuckerów i zadzwonił do drzwi, a gdy Charles otworzył, Collis miał minę, która zwiastowała jakąś ważną nowinę.

Charles, rozgrzany i czerwony jak burak, chodził po mieszkaniu w samym gorsie i kamizelce. Palił cygaro. Zamknął drzwi za Collisem i wyszedł na werandę. Parę kłębków dymu z cygara pognało przez podwórko. Usiadł na poręczy werandy, mrużąc oczy w jaskrawych promieniach zachodzącego słońca.

– Widzę, że znowu cię coś ugryzło – zauważył.

– Chodzi o ciebie, Charles. O ciebie i o Lelanda.

– Chyba nic poważnego? Przecież interes idzie doskonale.

– No, powiedzmy sobie tak: ty masz, czego chciałeś. Przyjechałem do Sacramento, włączyłem się do handlu. Świeża krew, nowe pomysły. Takie rzeczy.

Charles kiwnął głową na znak, że nie zaprzecza.

– Jeżeli nie nosisz się z zamiarem urządzenia sobie regularnie, co dwa, trzy miesiące, wycieczek na wschodnie wybrzeże, to mogę powiedzieć śmiało, że nieźle się nam wszystko układa.

Collis wyjął z kieszeni cygaro.

– Prawdę mówiąc, przyszedłem, żeby porozmawiać właś – ; nie o tych „wycieczkach”.

W tej podróży poznałem parę, gorzkich prawd na temat życia i uświadomiłem sobie jasno, jak trudno będzie zbudować transkontynentalną kolej żelazną poprzez Sierra Nevada. Nie chodzi mi o samo układanie torów i całą budowę, tylko o pertraktacje na szczeblu parlamen – ‘tarnym.

– Czy to oznacza, że wybiłeś sobie wreszcie z głowy ten szaleńczy pomysł?

– Miałeś nadzieję, że tak?

Charles obejrzał z uwagą wilgotny koniuszek cygara i przyklepił kawałek rozdartej bibułki śliną.

– W pewnym sensie. Nie twierdzę, że nie przydałaby się nam taka kolej tu, w Sacramento. Że nie zyskałyby na tym handel; nie ma dwóch zdań. Ale nie wierzę, tak naprawdę, że to da się zrobić, nie za naszego życia w każdym razie. Uważam, że trwonisz swój czas i nasze pieniądze. Coś takiego może zaistnieć za jakieś dwadzieścia lat, ale nie wcześniej.

– Doskonale – odparł Collis.

– Doskonale?

– Cieszę się, że przyznajesz przynajmniej, że to się może zdarzyć, nawet jeśli my nie dożyjemy już tych czasów. Lepsze to niż potępiać w czambuł całą ideę, bez dyskusji.

Widzisz, mam taki pomysł. Chciałbym, żebyśmy założyli przedsiębiorstwo kolejowe i przeprowadzili pomiary przez Sierra Nevada. To znaczy ty i ja, i Leland, i może paru innych kupców z Sacramento.

Charles spojrział na niego z ukosa.

– Chcesz, żebym włożył w to przedsiębiorstwo własne pieniądze? To tak jakbyś prosił, żebym je wyrzucił w błoto.

– Właśnie tu jesteś w błędzie. Nic nie stracimy na tych pomiarach, nawet jeśli kolej nigdy nie zostanie wybudowana. Jeśli nie uda nam się zdobyć poparcia Kongresu, w sensie zarówno politycznym, jak i finansowym, to po prostu wybudujemy drogę tranzytową poprzez terytorium Nevady i nałożymy myto.

Charles pyknął parę razy w cygaro, zanim zorientował się, że zgasło. Collis zapalił zapałkę, pocierając ją o słup werandy, i podał mu ognia. Charles splótł dłonie w koszyczek, osłaniając zapałkę od wiatru i, zanim zdobył się na odpowiedź, znowu się zaciągnął.

– Ile ci potrzeba na te pomiary?

– Trzydzieści, może trzydzieści pięć tysięcy. Wystarczyłoby nam siedmiu ludzi. Każdy włożyłby po pięć tysięcy i to by akurat pokryło wszystkie koszty.

Znowu zapadło milczenie. Potem Charles powiedział: – Coś ty ze mną zrobił, człowieku? Coś ty ze mną zrobił?

– O co ci chodzi?

– Widzisz – rzekł Charles, dobierając z namysłem słowa – zanim tu przyjechałeś, to ja królowałem w tym mieście; ja i Leland, my obaj. Ale odkąd cię poznałem, mam wrażenie, że zostaję zepchnięty na dalszy plan. Nie myśl, że mam ci to za złe. Nie mam do ciebie żadnych pretensji. Żadnych. Lubię cię nawet takim, jakim jesteś, i lubię twój styl przy robocie. Od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłem cię na przystani, od tego pierwszego dnia, kiedy przyjechałeś do San Francisco, wiedziałem... wiedziałem, że się dogadamy.

– Ale? – spytał Collis łagodnie. Charles wzruszył ramionami.

– Nie wiem, czy będę się potrafił dobrze wysłowić, ale to jest tak: to ty przejąłeś kierownictwo sklepu w swoje ręce i nawet Mary zaczyna się już do ciebie przekonywać.

Najlepiej ujął to Wang–Pu. W zeszłym miesiącu, kiedy byłeś w Waszyngtonie, powiedział mi: „Ten Mr Edmonds wyśle nas wszystkich w podróż pociągiem po całej Ameryce, czy się nam to podoba, czy nie”.

Przez chwilę siedzieli znowu w ciszy. Collis wlepił wzrok w ziemię. Drzewa rzucały cienie na wyłożoną klepką podłogi werandy.

– Może i Wang–Pu ma rację – powiedział, a głos miał ochryply, gdy to mówił. – Może po prostu płyniemy z prądem historii i nie mamy wyboru. Ani ty, ani Leland, ani ja.

Charles nic nie odpowiedział. Palił przez chwilę, a potem wstał i rozsunął kratę w drzwiach werandy.

– Mary oczekuje paru osób dziś wieczorem. Zbierają się na śpiewanie psalmów. Lepiej już pójde. Chcę się jeszcze zanim przyjdą.

– A co z przedsiębiorstwem? Chcesz się nad tym zastanowić??

Charles pokręcił głową.

– Nie. Jutro wypiszę ci czek na pięć tysięcy dolarów.

– Naprawdę?

– Sam nie wiem dlaczego, Collis, ale tak.

– A Leland? Porozmawiasz z nim.

– Rozumie się. Zrobi to, co i ja. Niech cię o to głowa nie boli. Collis odgarnął włosy z czoła palcami.

– Mówisz? – rzekł, czując drzenie w łydkach. – No to dzięki.

*

W trzy dni później, w ponurej, mahoniowej kancelarii notariuszy Lelanda McCormicka na H Street, jedenastu mężczyzn zebrało się, by spisać akt rejentalny o powołaniu do życia, Przedsiębiorstwa Kolejowego Sierra Pacific. Za szerokim biurkiem z zielonym, skórzanym blatem, na którym rozłożone były dokumenty przedsiębiorstwa, siedział rejent, Mr Frederick Drew, w wykrochmalonym kołnierzyku na stojce i binoklach, a obok niego niechlujny kancelista, który kiwał się w przód i w tył i drapał w kostkę.

Naprzeciw nich, w nierównym półokręgu, siedzieli: Collis, Charles, Leland, Teodor i młody prawnik z San Francisco, o przepalonej słońcem twarzy, z której schodziła skóra, reprezentujący Andy'ego Jacksona Hunta. W pokoju znajdowało się również pięciu innych handlarzy, wszyscy w ciemnych surdutach: Edward Willard Jr., Stanley Montrose, Bryan M. ; Meadows, Percival Giddings i John Dunthrope. Na okiennym I parapecie wznosiły się sterty pożółkłych od słońca ksiąg prawniczych.

Wśród pokastywań, niuchania tabaki i odgłosu drapiących o papier stalówek, Leland McCormick wybrany został na prezesa Sierra Pacific, a Charles Tucker na szefa budowy; Collis Edmonds uzyskał funkcję skarbnika, a Andrew Hunt – sekretarza. Teodor Jones został oficjalnie zatrudniony jako główny inżynier i geometra przedsiębiorstwa.

Potem wszyscy zgromadzeni przenieśli się do Murphy Street Hotel, na drugą stronę ulicy, gdzie wzniesli uroczysty toast za powodzenie firmy, a Leland wygłosił zawiłą tyradę na temat pionierskiego ducha tych, którzy żyli i pracowali w północnej Kalifornii. Collis stał w rogu, przy

barze, z kieliszkiem whisky, której prawie nie tknął. Teodor, z drugiego końca sali, rozpalony na twarzy, promieniejący szczęściem, uniósł pytająco brwi. „Co ci jest? Coś nie tak?” mówiło jego spojrzenie.

Collis uśmiechnął się do niego krzepiąco, żeby go uspokoić i tak nie mógłby mu przecież wytłumaczyć, że ostatnio ciągle rozmyślał o Hannie i o Delfinie. Chciał jakby pochwycić jeszcze zapach przelotnych wspomnień, zanim pochłonie ich całkowicie budowa Sierra Pacific.

– Już wkrótce – mówił Leland – Sacramento uzyska dostęp do sławetnych targowisk Wschodu, gdzie niczym pracowite mrówki uganiają się zabiegani mieszkańcy wiosek i miast.

Połączy nas – obywateli tego wielkiego, wielkiego, powtarzam, kraju – wspaniały szlak komunikacyjny, jakiego nie widział jeszcze świat. Już wkrótce, panowie, wysiłki nasze uwieńczone zostaną sukcesem. Zaiste, sprawiedliwa to nagroda za nasz dzisiejszy trud i znój.

Nie wspominał przy tym ani słowa, że sam nie wierzy w to, co mówi. Żywił on bowiem, w głębi duszy, nieodparte przekonanie, że kolej Sierra Pacific nigdy nie dojedzie dalej niż do Nevady. Mimo że jak przyznawał w myślach, byłoby to oczywiście bardzo zyskowne.

Collis spuścił wzrok i wpatrywał się nieruchomo w swoją whisky. Potem podniósł kieliszek i wychylił drinka jednym haustem.

*

Golił się właśnie w swojej sypialni w mieszkaniu na J Street, gdy usłyszał głośnie, niecierpliwe kołatanie do drzwi wejściowych. Usłyszał jak Watkins, czarny posługacz, szura nogami po korytarzu, aby otworzyć drzwi. Kołatanie powtórzyło się znowu, jeszcze głośniejsze i bardziej natarczywie. Collis rozciągnął palcami skórę na policzku i ostrożnie podgolił baczki.

Drzwi wejściowe otworzyły się wreszcie i z parteru dobiegły go głosy. Oplukał wygiętą brzytwę.

Był to początek października. Od pamiętnego dnia, w którym zrodziło się Przedsiębiorstwo Kolejowe Sierra Pacific minęło już prawie siedem miesięcy, a lato nie przyniosło żadnych szczególnie ciekawych wydarzeń. Z Waszyngtonu dobiegły ich wieści, że Kongres nadal jest podzielony w sprawie niewolnictwa, ale senator Stride, w krótkim liście do Collisa i Teodora, odrzucał pogłoski na temat wojny domowej jako „niczym nie uzasadnioną histerię”. Pytał, jak postępują wstępne badania i czy mają już w zasięgu wzroku jakąś trasę przez Sierra Nevada.

Collis jeszcze nie odpisał. Prawda była taka, że Teodor zajęty był nadal gromadzeniem niezbędnego sprzętu technicznego i opierał swoje projekty raczej na topograficznym prawdopodobieństwie niż na niezbitych faktach. Szczyty Sierra Nevada jaśniały w późnym, popołudniowym słońcu nie mniej dziewiczo i niedostępnie niż poprzednio. Pędzące po ich zboczach pociągi nadal pozostawały tylko w sferze marzeń. Collis opróżnił swoją malowaną w kwiatki miednicę i wy – tarł ją ręcznikiem. Potem poszedł do salonu, gdzie na parapecie okiennym wisiała czysta, biała koszula. Włożył ją na siebie,; a kiedy zaczął zapinać guziki, ktoś znowu zapukał, tym razem j do pokoju.

– Kto tam? – spytał Collis. – Właśnie się ubieram.

– To ja, Teodor. – Słysząc było, że jest zdyszany i niezwykle podniecony. – Otwórz drzwi, prędko! Co za wspaniała nowina!

Collis podszedł do drzwi, żeby wpuścić Teodora, a ten wpadł do pokoju, rozpychając się jak niedźwiedź. Kołnierzyk jego surduta wywinięty był na lewą stronę, a krawat zwisał wokół szyi nie związany. Za to jego oczy płonęły entuzjazmem. Trzymał w ręku jakąś kopertę i wymachiwał nią na wszystkie strony.

– Najwspanialsza nowina! Nigdy byś nie uwierzył! To po prostu spełnienie wszystkich marzeń!

Collis zamknął drzwi i wrócił w głąb pokoju, upychając rogi koszuli w spodniach.

– No dobrze – powiedział oziębło. – To już mów, o co chodzi.

– Dostałem właśnie ten list, dopiero dziś rano. Z Dutch Fiat, u podnóża Sierra Nevada.

Musisz go natychmiast przeczytać! Czytaj! Proszę.

Collis wziął od niego list i otworzył go bez pośpiechu. Był pisany na kremowym, urzędowym blankiecie z wydrukowanym nagłówkiem: „Apteka, Dutch Fiat. Daniel F. Kates, Właściciel. Wyroby Farmaceutyczne, Toaletowe i Inne”. Pod spodem, pod nagłówkiem, sepiowym atramentem, stanowcza i wyrobiona dłoń napisała:

Drogi Mr Jones,

Zapoznałem się z Pańskimi artykułami i broszurami na temat kolei Sierra Pacific i jestem pod wrażeniem Pańskich idei na temat drogi żelaznej, która połączyłaby Kalifornię z równinami Wschodu. Nie mam co do tego absolutnie żadnych wątpliwości, że zyskałaby na tym bardzo nasza gospodarka.

Szukając drogi transportowej na wschód od Dutch Fiat, która połączyłaby moją małą osadę z terytorium Nevady, natknąłem się niedawno na korytarz wiodący przez skaliste grzbiety Sierra Nevada, który dla mego niedoświadczonego oka zdaje się o wiele łagodniejszy, mniej spadzisty niż dawny szlak emigrancki.

Pomyślałem, że może byłby Pan zainteresowany przeprowadzeniem tam wstępnych pomiarów. Korytarz ten biegnie na południe od jeziora Donnera, a na północ od pasma, które leży nad jeziorem Biglera. Można mnie zastać na ogół tu, w mojej aptece, ponieważ jako lekarz, a zarazem farmaceuta, czuję się w obowiązku służyć miejscowej ludności. Byłbym zaszczycony, gdybym mógł poprowadzić Pana przez grzbiety Sierra Nevada w dogodnym dla Pana terminie.

Zawsze do Pańskich usług

Daniel F. Kates

Collis odłożył list.

– No i co? – zapytał. – Sądysz, że warto się tego ucześcić? To jednak jakaś szansa, i to się właśnie liczy. A gdyby się tak nam poszczęściło, to zaoszczędzilibyśmy całe lata pracy.

Jeśli to prawda, moglibyśmy nakreślić trasę w rok, albo i jeszcze mniej.

– Tylko się za bardzo nie podniecaj – ostrzegł go Collis. – To tylko farmaceuta, nie topograf i nie geometra. Jemu się może wydawać, że to idealny trakt pod kolej żelazną, a dla ciebie to będzie zwykła górską perć, ośli szlak. Wiesz, o co mi chodzi? Co on wie o krzywiznach i kątach nachylenia? Czy on się na tym choć trochę zna? Na czym on się w ogóle zna?

Teodor wziął znowu list do ręki i przeczytał go raz jeszcze; bardzo uważnie.

– Wygląda mi na trzeźwego gościa. I czytał moje broszury, więc musi wiedzieć, przynajmniej, czego szukam.

– W porządku – rzekł Collis. – Przyznaję. Ale jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać na pewno. Musimy się tam sami rozejrzeć.

– Pojedziesz ze mną? – upewnił się Teodor.

– Ma się rozumieć. Jestem skarbnikiem spółki akcyjnej \$ Sierra Pacific czy nie? Wang– Pu też musi jechać z nami. Powie nam, czyjego chińscy robotnicy będą w stanie sprostać zadaniu w takich trudnych warunkach terenowych. Teodor szarpał nerwowo za bródkę.

– To naprawdę nadzwyczajne – powiedział. – To coś niesamowitego! Będziesz musiał sobie sprawić ciepłe palto, oczywiście, i kozaki. I czapkę z nausznikami. Dostaniesz wszystko bez kłopotu w firmie Percival Giddings. Sam nie mogę w to jeszcze uwierzyć! Aha, i nie zapomnij o ciepłej bieliźnie. Jest tam okropnie zimno, nawet późną jesienią. Collis! To naprawdę cudownie!

Collis zapinał spodnie.

– Chcesz iść ze mną na śniadanie? – zapytał. – Mam ochotę na jajecznicę z szynką w Western Rooms.

– Nie, nie. Muszę już pędzić i zacząć od razu wszystkie przygotowania. Muszę powiedzieć Annie, czego będę potrzebował do ubrania. Muszę wyjąć moją najlepszą poziomnicę.

– W porządku – powiedział Collis. – Kiedy chcesz wyruszyć w drogę?

– Co dzisiaj mamy? Czwartek? Powinniśmy wybrać się w poniedziałek. I nie zapomnij o rękawicach.

– Jasne, że nie – rzekł Collis. – Gdzież bym śmiał zapomnieć o rękawicach!

Teodor zatrzymał się w drzwiach, z ręką na klamce.

– A... i jeszcze coś. Wiem, że to zabrzmiało makabrycznie, ale J trzeba się przygotować na najgorsze. Może tam być bardzo niebezpiecznie, szczególnie, jeśli złapie nas śnieżna zawieja.

Więc jeśli masz kogoś, do kogo chciałbyś napisać, to... hmm... pomyśl o tym.

Collis słuchał cierpliwie, a potem uśmiechnął się do niego wyrozumiale.

- Nie będziesz mnie prosił, żebym zapakował do plecaka również i całun, mam nadzieję.
- To nie przelewki, Collis. Pamiętasz, co się stało z ekspedycją Johna Frémonta?
- No dobrze, Teo. Napiszę do matki i siostry, zrobię testament i zamówię dla siebie kamień nagrobny u Grossera i Bucha. A tymczasem pójdę do Wang–Pu i zobaczę, czy ma ochotę wybrać się tam z nami.

*

Dzień był słoneczny, suchy i wietrzny. Wyjechali z Sacramento w poniedziałek. Jechali wozem służbowym, który po obu stronach miał wymalowaną czarnymi literami nazwę firmy „Tucker i McCormick”. Pożyczyli ze stajni na K Street dwie świeże kasztanki i wzięli ze sobą cały stos koców, a także tygodniową zmianę odzieży i bielizny. Collis miał na sobie kapelusz z niskim denkiem i szerokim rondem i brązowy wełniany płaszcz. Teodor zaś ubrany był w niebieską bawełnianą kurtkę, którą nosił ongiś przy budowie kolei, oraz słomkową panamę.

Wang–Pu, który siedział z tyłu, przy pościeli, wyglądał, jakby jechał do wujcia na wesele, w czarnym fraku i wysokim, czarnym cylindrze.

Nie rozmawiali dużo podczas podróży. Przejechali pszeniczne ścierniska i szare, ogołocone z liści zagajniki. Po południu, minawszy Folsom i Rocklin, zaczęli wspinać się wyboistym gościńcem w kierunku kotliny American River. Trzęśli się po kamieniach, zakurzeni, z trudem prostując obolałe plecy, i z wyrazem rezygnacji na zmęczonych twarzach.

Collis palił cygara i ocierał pot z twarzy; raz po raz łykał sobie dla kurażu trochę sherry z butelki, którą trzymał pod siedzeniem wozu.

Wjechali w rejon górniczy. Jadąc pod górę gościńcem, minęli najpierw pokryte zeschlą trawą łąki i wjechali w gęstą dębinę, gdzie załamujące się promienie słońca układały się w niesamowitą grę świateł i barw, by wyłonić się wśród kanionów i górskich przełęczy, które leżały nagie, wymyte przez hydrauliczne maszyny górnicze. Krajobraz był dziki i pustynny.

Obnażone skały szczyrzyły swoje szczerbate zębiska, jak tragicomiczne maski starych pionierów, poszukiwaczy złota, i zewsząd grzbiety Sierra Nevada eksponowały bezwstydnie swe sterczące zębra.

Wzdłuż gościńca, mila po mili, drewniane kanały wodne ściągały wodę z wartkich górskich potoków do kopalń, a muliste koryto American River, które to znikало im z oczu, to znowu wyłaniało się tuż przed nimi, wyglądało jak żółta serpentyna. Żółto-brunatna ziemia, splukana spod górskich podnóży tysiącami galonów pod wysokim ciśnieniem, spływała po górskich zboczach, wypełniając rzekę szlamem. Szlam ten toczył się potem dalej, na zachód, do rzeki Sacramento, i w dół, do zatoki San Francisco, zanieczyszczając wodę i zakazując łowiska ostryg.

- Kiedyś pełno tu było pstrągów – powiedział im Teodor. – Ale dziś nawet zębaczowi nie dałbym żadnej szansy na przetrwanie.

Mrużąc oczy, Collis rozglądał się wokoło. Wielkie głązy skalne lśniły w promieniach jesiennego słońca, a od dawna już nie używane, zapadnięte kanały wodne wyrzucały z siebie kaskady spienionej wody. Czasem mijali opuszczone osady górnicze, z wałącymi się lepiankami, ale głównie, godzina po godzinie, przemierzali bezludne kotliny, otoczeni grzebieniami, z których zeszkrobano i wydrapano każdą najmniejszą grudkę ziemi. Zbocza gór leżały pokierszowane, wymaltretowane ciągłymi wybuchami; aby dostać się do żyły złota, wysadzano je przy użyciu dwunastu albo piętnastu beczek prochu, a potem wypłukano i precedzano każde najdrobniejsze ziarenko cennego kruszcu.

Collis miał wrażenie, że podróżują przez powierzchnię jakiejś opustoszałej, pradawnej krainy, w której ciszę mąciło tylko skrzywienie kół i głuchy świst górskiego wiatru. Ponad nimi czerwoniopióre jastrzębie kołowały w jaskrawym błękicie nieba.

Ale teraz wjeżdżali już w góry, a górnicze kotliny ustępowały miejsca rozpadlinom. Na stromych zboczach, po obu stronach drogi, jeżyły się kanadyjskie świerki, sosny, jodły i cykuty. W rześkim, chłodnym powietrzu unosił się zapach igliwia, a poprzez smukłe pnie drzew mogli już teraz dojrzeć szczyty Sierra Nevada, równie białe jak lukrowane migdały.

Mijali osady górnicze, z rzędami na łapu–capu skleconych glinianek; w każdej był maleńki sklepik oraz garkuchnia, która służyła również za knajpę. Czasami zarośnięci mężczyźni w zakurzonych kapeluszach pozdrawiali ich grzecznym „Niech będzie pochwalony”, ale na ogół przyglądali się im w milczeniu.

Pierwszą noc spędzili w przydrożnym rowie. Spali otuleni w koce, w sosnowym zagajniku, przy ognisku, pomni na czyhające zewsząd niebezpieczeństwa. Pełno tu było dzikiej zwierzyny, jak również zwyrodniałych złoczyńców. Następnego ranka napoili konie w jednym z rozwalonych kanałów, a potem Collis i Teodor ogolili się lodowatą wodą i mydłem.

Wang–Pu dbał o swoją bródkę po swojemu, jak to robił w Chinach, wrywając każdy włoszek z osobna.

Dotarli do Gold Run, sześćdziesiąt cztery mile od Sacramento, tuż przed południem.

Powietrze było rześkie i czyste, a na słupie łopotała na chłodnym, górskim wietrze flaga.

Sama osada – kilka glinianych chałup – stała na polanie, w otoczeniu sosen i sekwoi, i wyglądała całkiem przytulnie. Szeroki kanał wodny wił się zygzakiem ze szczytów, pośród drzew i wreszcie przez górskie zbocza, które dawały tej osadzie rację bytu. Teodor zatrzymał wóz obok skleconego naprędcy płotu, i wysiedli.

Bezzębny mężczyzna z siwą brodą opierał się o drzwi garkuchni. Z blaszanego komina unosił się gęsty dym, a nozdrza ich podrażnił smakowity, syty zapach gulaszu. Dziadek gwizdał przez bezzębne dziąsła i spluwał od czasu do czasu na iglaste poszycie.

– Ostre powietrze, co nie? – zauważył, gdy przywiązali konie i zbliżyli się do niego.

– Dobrze na płuca, nie to co w dolinach – rzekł Teodor. – Jak daleko stąd do Dutch Fiat?

– A to zależy. Jedne ludziska chyże, to im niedaleko. A drugie marudne... – Nam się bardzo spieszy.

Dziadek zerknął przez ramię do kuchni, aby stwierdzić, czy mu się mięso nie przypala.

Potem rzekł: – Nie więcej niż dwie godziny. A znacie tam kogo?

– Owszem, Daniela Katesa – rzekł Teodor.

– A! Naszego doktora? Chybaście nie chorzy, co?

– Nie, nie. W interesie.

– Aaa! To co innego. Ale uważajcie bardzo na siebie. Mielimy tu zeszłego roku zarazę.

Ludziska padały jak muchy; jak te szyszki z jodły.

Collis zajrzał do wnętrza zadymionej kuchni. Rzędy rzeźniczych toporów wisiały na długiej żerdzi, a na ceglastym palenisku stał wielki, przykopcony sadzą kocioł. Pociągnął nosem i wchłonął zapach gulaszu.

– Ładnie pachnie – zwrócił się do mężczyzny. – Z czego zrobiony?

– Jak zawsze.

– To znaczy?

– Ano, widzicie, mam tu dwadzieścia dwie gęby do wyżywienia, nie licząc własnej. No to wrzucam jedenaście wiewiórek, dwie sójki, parę orzechówek i osiem funtów zieleniny.

Collis pokiwał głową ze zrozumieniem. Ale poczuł nagle, że nie jest już wcale taki głodny.

– Mam nadzieję, dziadku, że odcinacie dzioby i ogony przed gotowaniem?

Dziadek „splunął zamasyście.

– Jak czasem. Dziś żem odciął. Chcecie spróbować?

– O, nie, nie, naprawdę. Dziękujemy.

Ale zaakceptowali jego zaproszenie na gorącą kawę. Wzięli emaliowane kubki i usiedli na skraju zadrzewionej grobli, popijając czarny, cierpki napar i przyglądając się pracującym na zboczach wzgórz kopaczom złota. Z wierzchołka pagórka, drewnianymi kanałami, woda kierowana była do wysokich, zbitych z desek skrzyń, a spod spodu odchodził długi, brezentowy wąż, który wił się po skalistym zboczu. Na dole, u podnóża górki, stał mężczyzna, ściskając w dłoniach umieszczony u wylotu dyszy mosiężny prysznic, którym splukiwał złotonośny piasek ze skalnych ścian.

– Widzicie ten strumień wody? – zapytał dziadek, stając za ich plecami. – Leci z taką cholerną siłą, że gdyby człek stanął naprzeciw przecięłoby go wpół.

– Dziękujemy za ostrzeżenie – rzekł Collis. Wytrząsnęli fusy po kawie na ziemię, dali dziadkowi dolara napiwku, odwiązali konie i znowu wsiedli na wóz. Skrzypiąc i stukocząc po kamienistej

drożynie zostawili za sobą Gold Run i wspinali się dalej pod górę, poprzez sosnowe lasy, ku Dutch Fiat. Zerwał się mroźny wiatr, więc Collis zapiął palto.

– Robiłeś już tu kiedyś jakieś pomiary w tych stronach? – spytał Collis.

Teodor pokręcił głową.

– Prawie nic. Troszeczkę. Byłem w kotlinie Carson River i niżej, na południowym brzegu jeziora Biglera, a potem wróciłem do Sacramento przez Carson Pass, ale muszę przyznać, że porzuciłem myśl o pomiarach w tych stronach. Żeby nie skłamać, nigdy nie wierzyłem, że da się znaleźć lepsze przejście niż przełęcz Donnera, na północ od jeziora. Jak dobijemy na miejsce, sam zrozumiesz, dlaczego nie miałem dużej nadziei. W zimie jest tam jeszcze gorzej, oczywiście.

Przejechali przez sosnowy zagajnik i oto ukazała się przed nimi maleńka, zakurzona osada, Dutch Fiat, z jedną szeroką ulicą i flagą na słupie. Wszędzie panowała martwa cisza, tak charakterystyczna dla osad górniczych, których żyły już się wypompały. W tej głuszy odgłos skrzypiących kół wozu zdawał się nienaturalnie głośny i natrętny, choć gdy podjechali bliżej, usłyszeli gdzieś w pobliżu płacz dziecka i fałszywe dźwięki pianina.

Zlokalizowanie apteki Daniela Katesa przyszło im bez najmniejszego trudu. Był to jeden z niewielu dwupiętrowych budynków przy ulicy, a na tarasie przed domem siedziało pięciu czy sześciu mężczyzn – kilku siwobrodego dziadków i młodszy mężczyzna o sumiastych, obwisłych wąsikach, który opierał swoje zniszczone bucioro o jeden z pobielanych filarów werandy. Dwoje czy troje dzieci, w getrach i koszulkach po kolana, grało w klasy w brudnym piasku. U szczytu werandy umocowany był ociosany z grubsza drządek, z którego zwisał wielki, pomalowany złotą farbą, aptekarski tłuczek. W oknie apteki pozłacany szyld głosił: „Wyroby Farmaceutyczne, Toaletowe i Inne”, a nad futryną drzwi wejściowych plakietki reklamowały tytoń „Star Tobacco”.

Wang–Pu przywiązał konie, a Collis i Teodor weszli od razu do apteki. Wewnątrz było chłodno i ciemno i pachniało karmelkami, miętą oraz olejkiem goździkowym. Szklane gablotki i witryny wypełnione były po brzegi specyfikami medycznymi, takimi jak „Preparat na ból zęba dra Griffitha”, „Kokosowe płatki mydlane do twardej wody” czy „Kryształki kamforowe Eastmana”, a z tyłu, na półkach, stały szklane słoje kandyzów, zielone i pomarańczowe, oraz preparaty dla pań, między innymi „Tonik do twarzy Biała Lilia (nie zawiera ołowiu, arsenu ani bizmutu)”. Za kontuarem stał rumiany na twarzy, niski mężczyzna w okularach i białym fartuchu. Miał pełne bokobrody, kiedyś jasne, ale teraz po prostu białe, i wyłupiaste, niebieskie oczy. Wyglądał jak człowiek, który nie da sobie w kaszę dmuchać ani zapędzić się w kozi róg, ale który na każde zawołanie spakuje swoją lekarską torbę, by spieszyc z pomocą, nawet w najbardziej trzaskającym mroź.

– Mr Kates? – zapytał Collis.

– Doktor Kates, jak tu na mnie wołają – rzekł właściciel apteki. – Czym mogę służyć?

– Nazywam się Collis Edmonds. Jestem z Przedsiębiorstwa Kolejowego Sierra Pacific.

To jest Teodor Jones, inżynier kolejnictwa, a to Wang–Pu, nasz pomocnik.

Doktor Kates wyszedł zza kontuaru i mocno uściśnął dłoń Collisa. Potem przywitał się z Teodorem i Wang–Pu, a bokobrody aż mu się zjeżyły z radości. Jego serce wzbierało dumą.

– Jak się cieszę, że panowie przyjechali. Zaczynałem już wątpić, że się tu panowie w ogóle zjawią. W końcu Dutch Fiat to taka zabita dechami wioska. Ongiś była to osada górnicza, ale teraz, tak Bogiem a prawdą, nic już tu nie ma. Napiją się panowie oranżady? A może coś mocniejszego?

– Piwkiem bym nie pogardził – przyznał Collis.

– Mam tu antałek kalifornijskiego piwa North Beach. Chwileczkę, niech no tu tylko zawołam mojego chłopaka. Przypilnuje sklepu, a my sobie pogadamy. Nie potrafię wyrazić słowami, jaką mi panowie sprawili miłą niespodziankę.

„Chłopak” doktora Katesa, jego syn, okazał się trzydziestoletnim mężczyzną z baczkami, wyższym i ciemniejszym od ojca, ale równie sympatycznym w obejściu. Przewiązał sobie wokół pasa biały fartuch, gdy tymczasem doktor Kates wprowadził ich do małego pokoiku na zapleczu i zaprosił, by usiedli przy kuchennym stole nakrytym zielonym, pasiastym obrusem z bawełnianej przędzy. Collis popatrzył przez okno: na spadzistym zboczach pagórka rozciągał się prostokątny ogród, gdzie kawałki białego materiału powiewały niczym chorągiewki, by odstraszyć ptactwo od warzywnika; za ogródkiem zaczynał się gęsty sosnowy las. Doktor Kates nalał każdemu po kufelku piwa, a potem sam dosiadł się do nich przy stole.

– Nie wiedziałem, czy uwierzy pan w to, co pisałem, czy nie, w tym cały ambaras – zwrócił się do Teodora. – Gdyby się pan popytał tutejszych górników, o jaki przesmyk przez Sierra Nevada, to ho, ho!, powiedzieliby panu, a jakże!, oni znają setki takich przejść! Znają takie, gdzie można wyjść na spacer w samej koszuli, z bobasem w wózek, jak to nie! Ale poproś ich pan tylko, żeby zlokalizowali to przejście, o!, to wtedy nagle zaczynają się płatać.

A, to już takie stare czasy, powiedzą panu. Albo: o!, teraz to pewnie już tam śniegiem przywaliło. Albo: eee... co za pech, ale się tam zrobiło rumowisko i wszystko przysypało.

– Większość ekspertów na Wschodzie uważa, że takie przejście przez Sierra Nevada, które nadawałoby się pod kolej żelazną, w ogóle nie istnieje – rzekł Collis.

Doktor Kates wypił piwo, a na jego wąsach osiadła pianka.

– Wiem. Ja też tak kiedyś zresztą myślałem. Ale akurat rok temu poszedłem piechotą na rekonesans. Lubię to, wiecie panowie. Zazwyczaj jestem bardzo zajęty, bo mnie tu potrzebują: a to, panie, zęba wyrwać, a to nastawić zwichniętą kostkę. Tak że od czasu do czasu lubię się od tego oderwać i, w samotności, zapomnieć na jakiś czas o odrze, zapaleniu gardła i bólach porodowych. Taka wyprawa w góry zawsze działa na mnie kojąco. Sami zresztą zobaczycie. Nic tylko ja i te szczyty, i może jakaś bystra krynica w dole, pode mną.

– Jest pan człowiekiem, któremu udało się osiągnąć wewnętrzny spokój i harmonię – rzekł Wang-Pu.

Doktor Kates uśmiechnął się.

– Pewnie tak. Chyba można by to i tak ująć. Ale jednocześnie zależy mi na tej osadzie, więc kiedy wędruję sobie tak po górach, dla czystej przyjemności, rozglądam się również za jakim dogodnym przejściem przez Sierra Nevada. Pomyślałem sobie: Dutch Fiat jest na wymarciu, bo wyczerpały

się tu wszystkie zasoby złota. Ale gdyby je tak połączyć z terytorium Nevady, gdyby mogło stać się placówką na trasie pomiędzy kopalniami srebra a Sacramento, to by znowu odżyło.

– Więc rozglądał się pan – wtrącił Teodor. – I co pan znalazł?

– To, o czym pisałem w liście. Taki przesmyk górski, w miarę prosty i płaski. Na szosę nadawałby się znakomicie.

– Tak, ale widzi pan, te kąty nachylenia i krzywizny, które są wystarczające dla wozów, mogą się okazać zbyt ostre dla lokomotywy – rzekł Teodor.

– Rozumiem to jak najbardziej – odparł doktor Kates. – Dlatego właśnie prosiłem, żeby pan tu przyjechał i rzucił swoim fachowym okiem. Osobiście, oczywiście, chciałbym bardzo, aby mogła tędy przebiegać kolej, ponieważ Dutch Fiat ogromnie by na niej skorzystało. Ale ja się na tym znam jak wół na poezji, więc może pan nie podzieli mego optymizmu w tej kwestii.

– Czy będzie pan mógł poświęcić nam trochę czasu, żeby nas tam poprowadzić? – spytał Collis. – Nasza spółka akcyjna pokryje wszystkie koszty.

– Nie musicie mi za nic płacić – odparł doktor Kates. – Jeśli okaże się, że przejście, które odkryłem, nadaje się na drogę żelazną, to będzie to dla mnie wystarczająca nagroda.

Kiedy chcecie wyruszyć?

– Jutro rano – rzekł Collis.

– Hmm. Trochę to nagle na mnie spadło, prawdę mówiąc. Muszę spytać Nathana, czy może zająć się sklepem. Ale myślę, że w zasadzie da się to jakoś załatwić. Tak, w zasadzie chyba tak.

– A jaka tam teraz pogoda? – wypytywał Teodor.

– Różnie bywa. W kratkę. Jest już trochę wczesnego śniegu. Sam wierzchołek leży na wysokości siedmiu tysięcy stóp nad poziomem morza, więc mam nadzieję, że przywieźliście ze sobą ciepłą odzież. W Sacramento to pewnie jeszcze jesień, ale tu mamy już zimę.

– Spodziewaliśmy się tego – rzekł Collis. – Jesteśmy przygotowani.

– Ekipa Donnera* w czterdziestym szóstym też niby była przygotowana – przypomniał im doktor Kates. – Jeden ze starych pionierów znalazł ich ciała. Wstrząsający widok, to wam tylko powiem.

– U nas, w Chinach, jest takie porzekadło: „Jeżeli twoja droga wiedzie prosto w paszczę lwa, to nie pozostaje ci nic innego, tylko modlić się, żeby nie zacisnął szczęki” – odparł Wang-Pu spokojnie.

*

Doktor Kates oddał im do użytku dwa pokoje na górze, dokąd wnieśli swoje koce i zaopatrzenie. Stały tam dwa wąskie łóżka i wyświechtana sofa; z okna widać było lasy, a za nimi wierzchołek Mount Rosę w śnieżnej czapie.

Zrzucili buty i odpoczywali przez godzinę, a potem doktor Kates wszedł do nich na górę; zapukał do drzwi i zaprosił ich na spotkanie z paroma mieszkańcami Dutch Fiat. Popołudnie upłynęło im więc na leniwych, towarzyskich pogawędkach. Wstąpili do Mrs Fitzpatrick, która przyjechała do Kalifornii sześć lat wcześniej i przez jakiś czas mieszkała w Yankee Jims, dopóki Mr Fitzpatrick nie został niesłusznie oskarżony przez jednego ze swych współpracowników o kradzież złota, za co obcięto mu uszy, a potem rozstrzelano.

Poczęstowała ich kawą i andrutami, a okruszynki, które zostały na stole, skrzętnie zebrała do fartuszka i wytrząsnęła na podwórko kurczętom.

Siedzieli na pniu w cieniu sosen i rozmawiali ze starym Wallisem, pionierem z czterdziestego dziewiątego roku, którego twarz była tak miękka, tak brązowa i tak pomarszczona jak gruszka ulegąłka. Opowiadał o czasach, kiedy Auburn nazywało się jeszcze Rich Dry Diggings i kiedy ludzie wypruwali sobie nawzajem bebechy szpadlami, w bójkach o to, kto powinien wyflukiwać złotonośny piasek z suchego koryta strumienia.

– To byli strosne dni, ale sia nie powrócom – rzekł stary Wallis.

Wieczorem zgromadzili się na werandzie apteki i słuchali fragmentów z Księgi Cudów; jeden ze starych pionierów czytał opowieść o wielbłądzie, którego autor określał jako „najbrzydsze zwierzę, jakie znam”. Wiatr świszczął i zawodził w sosnowym zagajniku, a doktor Kates kiwał się rytmicznie w przód i w tył. Wreszcie zrobiło się zbyt ciemno, by czytać dalej, więc wszyscy rozeszli się do swoich domów, na kolację i do łóżka.

*

Następnego ranka, kiedy wyruszali w drogę, było bardzo pochmurnie. Ciemnozielone zbocza gór leżały spowite w pierzynę z chmur. Zarzucili na ramiona plecaki i włożyli ciepłe palta, rękawice i długie buty, o grubych, żłobionych podszwach, do wspinaczki po górach.

Tylko Wang–Pu nie chciał się rozstać ze swoim cylindrem.

– Jestem zawsze dzentelmenem, gdziekolwiek by to było – powiedział. – Nawet i tu, w tych górach.

Opuścili Dutch Fiat i wspinali się wyżej i wyżej. Na prawo, spoza drzew, migotał północny dopływ American River, a rzeka South Yuba leżała gdzieś na lewo od nich, więc znajdowali się pomiędzy dwiema rzekami, a pod stopami mieli naturalny granitowy zwał – nic więcej nie pozostało po prahistorycznej prawierówni. W miarę jak posuwali się przed siebie, wiatr rozpędzał stopniowo chmurzyska. Kiedy znaleźli się wreszcie prawie tysiąc pięćset stóp ponad kotliną American River, zgrzani i przepoceni, mieli szczerą ochotę zrezygnować z dalszej wspinaczki. Zatrzymali się na szerokim skalnym urwisku, zdjęli plecaki i podzielili butelką wody oraz flaszczką whisky.

– To dopiero przedsmak tego, co nas jeszcze czeka – rzekł doktor Kates, odwijając bochenek razowego chleba i kawałek tłustego żółtego sera. – Popatrzcie w dół, a zobaczycie, skąd przyszliśmy, od Dutch Fiat, a jak się obejrzyjecie za siebie, to zobaczycie, dokąd idziemy, akurat na sam czubek dawnego szlaku emigranckiego.

Collis przesłonił oczy, bo oślepiły go jaskrawe promienie słońca. Przed nimi, pokryte sosnami, milczące grzbiety Sierra Nevada zdawały się trwać w oczekiwaniu, w swoim królewskim majestacie. Były wysokie, tak potężne i takie ciemne, że gdy chmury zawadziły o ich wierzchołki, wydawało się Collisowi, że cały świat kołuje mu pod nogami.

W czasie tego krótkiego postoju obaj, Collis i Teodor, byli bardzo małowinni. Wypili, zjedli chleb, a potem pozbiali swoje manatki i wyruszyli w dalszą drogę. Przez całe popołudnie wdrapywali się wyżej i wyżej, aż ujrzeli pokryte śniegiem szczyty gór. Zapadał zmierzch, a lodowaty wichur wzmagał się i wzmagał, więc Collis podciągnął wyżej rękawice, i postawił kołnierz u palta.

– Bardzo tu zimno w tym roku – zauważył doktor Kates. – Z jego ust unosiła się para przy każdym oddechu. – Ja już kiedyś złapałem się w śnieżną zamieć i prawie że, psia krewo, zamarłem na śmierć. Jeśli chcecie przeprowadzić tędy kolej, musicie wybudować obwałowania przeciwniebowe, szczególnie w kotlinach, gdzie się wszystko osadza.

Kiedy wdrapywali się ku Lake Valley, u wrót lasu Teodor pozostał w tyle, ponieważ mniej więcej co dwadzieścia minut zatrzymywał się, żeby zapisać coś w notatniku z urwanym rogiem, mierząc jednocześnie wysokość i temperaturę.

– Jak dotąd, wygląda to całkiem niezłe – powiedział, podnosząc wzrok i wpatrując się w wierzchołek góry. Grzbiety gór lśniły w promieniach zachodzącego słońca, jak polewane lukrem. Ale poza nimi niebo było pęsejne i szare, a wiatr ciągle się wzmagał.

Pierwszą noc spędzili w Bradley Hay Camp, które było zbieraniną niszczących sosnowych chat, dawno już porzuconych na pastwę losu, odwiedzanych teraz przez wiewiórki i ciekawskie niedźwiedzie. Collis przełknął kubek odgrzanego bulionu z szynką i groszkiem strączkowym, który doktor Kates ugotował poprzedniego wieczora, a potem zrobił sobie z koców posłanie w kącie chałupki i zasnął. Dokto* Kates spał po drugiej stronie chatki, głośno chrapiąc.

W środku nocy obudziło Collisa trzaskanie drzwi. Leżał prawie godzinę, wsłuchując się w wycie wiatru i nocne odgłosy lasu. Tu, w górach, nie wiedzieć czemu, czuł się bliżej Boga niż kiedykolwiek przedtem. Sam nie mógł sobie tego wytłumaczyć, Sprawiały to oczywiście wysokość i cisza, ale nie tylko. Może po prostu zbliżał się teraz do tego, czego – jak sądził – Bóg od niego oczekiwał.

Opuścili Bradley Hay Camp następnego ranka, parę minut przed ósmą. Teodor odnotował w swoim notesie ołówkiem: „7.56, Hay Camp. Temperatura 39 termów*, ciśnienie 24 aneroidy*”. Było jeszcze zimniej niż poprzedniego dnia, a w dodatku już przez pierwsze dwie czy trzy godziny wspinaczki przemoczył ich do suchej nitki ulewny deszcz. Wykończeni, wlekli się noga za nogą, pod górę, po błotnistym, wyboistym szlaku, ślizgając się po mokrych głazach, wśród jodeł usianych srebrzystymi paciorkami deszczu, a naokoło nich wznosiły się góry, schowane za perlówoszarą kotarą posuwającej się ściany deszczu.

Deszcz ustał około południa i o 12.23 termometr wskazywał 43 termy, a barometr 23.77 aneroidy. Wiatr zaciął na grani, gdzie zatrzymali się na kolejny posiłek. Zjedli trochę chleba i serdelków, spoglądając na rozciągającą się w dole kotlinę American River. Doktor Kates, z pełną buzią, powiedział: – Piękny stąd widok, prawda?

– Chciałbym, żeby moje stopy mogły czuć podobną rozkosz jak moje oczy – odrzekł Wang–Pu.

Wdrapywali się powoli jeszcze przez następne dwie godziny. Zostawili American River w tyle i przedostali się od północy w kotlinę spienionej rzeki South Yuba, która rozbijała się z całą siłą o granitowe skały. Tutaj zimno było przejmujące, i kiedy zbliżali się ku rozpadlinie, gdzie South Yuba przepływa przez najwyższe wzniesienie Sierra Nevada, ponad siedem tysięcy stóp nad poziomem morza, zaczęły tańczyć wokół nich pierwsze płatki śniegu, przylepiając się im do ubrań.

O czwartej siedemnaście, potykając się, dotarli wreszcie na szczyt. Śnieg padał coraz gęstszy i gęstszy, a ciężkie płyty fruwały ponad ciemnymi grzbietami gór, niczym chmury mroźnej szarańczy. Collis ledwie mógł dostrzec otaczające ich ze wszystkich stron wysokie szczyty Sierra Nevada. Ale zatrzymał się na chwilę i, z kołnierzem postawionym dla osłony przed wiatrem, wdychał mroźne powietrze z bolesną satysfakcją. Oto miał przed sobą te tajemnicze góry, które przywoływały go od tak dawna. Oto znalazł się w miejscu, które odmienił całe jego życie. Gdyby mógł, wykrzyczałby z całych sił ten żal, który przygniatał mu piersi. Oto im wreszcie wszystkim pokazał – ojcu, matce, nieudacznej siostrze, Jance Zadupczance, Charlesowi Tuckerowi, Lelandowi McCormickowi, a także jego nieurodziwej żonie. Wszystkim tym, którzy traktowali go z protekcyjnym lekceważeniem, jak byłe łajdaka, byłe kabotyńca; tym, którzy go strofowali i potępiali, i w ogóle nie mieli o nim wysokiego mniemania. Wszystkim tym, którzy go kochali, albo przynajmniej twierdzili, że go kochają, a potem odbierali mu tę miłość. Wszystkim tym, którzy przez niego umarli. A przede wszystkim – samemu sobie.

– No, chodź już, Collis! – zawołał Teodor. – Nie chcemy, żeby nas tu zastały ciemności. Doktor mówi, że śnieżycy może być jeszcze gorsza!

– Pobiliśmy ich, Teo, wiesz o tym!?

– Nie mów hop, zanim nie przeskoczysz. Musimy jeszcze znaleźć odpowiednie przejście poprzez Sierra Nevada.

– Myślisz, że je znajdziemy?

– Mam nadzieję. Doktor jest głęboko przekonany, że tak. Wang–Pu czekał na nich przy szlaku. Przecierał czystą chusteczką lamówkę na cylindrze. Chociaż wdrapywali się po górach w śniegu, były na nich siódme poty, bo wspinaczka była bardzo męcząca.

– W tej sprawie musimy zostawić ostatnie słowo górom – powiedział Chińczyk. – Tylko one powiedzą nam, czy chcą się nam poddać, czy nie.

– Myślisz, że góry „mają własną wolną wolę”? – spytał Collis. – Tak jak kobiety?

Wang–Pu włożył cylinder z powrotem na głowę i zacieśnił rzemyki plecaka.

– Te góry? Na pewno – odparł cicho.

Teraz schodzili w dół, wzdłuż urwistego gardła wąwozu rzeki South Yuba, a grzbiety górskie, które mieli za sobą, osłaniały ich od żywiołu wiatru i śniegu. U schyłku dnia śnieg ustał, a oni minęli cichy las sosnowy i zatrzymali się nad jeziorem Donnera, gdzie doktor rozluźnił plecak i upuścił go na ziemię.

– Możemy się tu zatrzymać na nocleg – powiedział. – Rano ruszymy w stronę rzeki Truckee.

W zastygłej, brunatnej tafli jeziora, jak w zwierciadle, odbijało się bure niebo. Wokół jeziora sterczały ostre wierzchołki sosen, a w ich gałęziach głuchy wiatr gwizdał swoją beznamiętną melodię. Czuli się jak grupka rozbitków, bezdomnych i zapomnianych przez współziomków. Po drugiej stronie jeziora dwa pokryte śniegiem szczyty górskie stopniowo rozplywały się w ciemnościach i mgle.

Wang–Pu, nadal w cylindrze, zbierał wióry i chrust na podpałkę. Usiedli na brzegu jeziora; doktor Kates podgrzał w blaszance fasolówkę i zaparzył kawy, a kiedy wreszcie skończyli jeść i pić, zrobiło się zupełnie ciemno. W ognisku zgasły ostatnie iskierki ognia, więc usadowili się na swoich kocach, zapalili fajki i cygara i wdychali w płuca chłód czystego powietrza znad jeziora i zapach sosen – słowem, aromat obozowiska pod gołym niebem.

Przez ponad godzinę rozmawiali o wszystkim, co zdarzyło się tego dnia, i o tym, jak pójdą rano, a potem opatulili się po same uszy w koce i poszli spać.

W nocy silny powiew mroźnego wiatru wygasił ich ognisko i porozrzucił żarzące się węgielki nad brzegiem jeziora.

*

Nazajutrz, około południa, niebo miało kolor zużytej ścierki, a wiatr, zupełnie niespodziewanie, zmienił kierunek i dał teraz od pomocnego zachodu, od Alaski, przez kanadyjskie Góry Nadbrzeżne i Wodospady, żaląc się i skomląc płaczliwie ponad szczytami Sierra Nevada, jak bezański kundel o lodowatych zębiskach.

Coraz więcej pędzonych wiatrem płatków śniegu wirowało wokół nich, a termometr Teodora wskazywał temperaturę, poniżej której woda zamarza.

Wszyscy czterej szli teraz na wschód, to wspinając się, to znów zjeżdżając w dół po skalistych zboczach, kuląc się z zimna w lodowatym wietrzysku i zasłaniając usta szalikami.

Collisowi nigdy jeszcze w życiu nie było tak cholernie zimno, a poryw radości, jaki odczuwał, gdy znaleźli się na szczycie, zastąpiło teraz potworne zmęczenie, spotęgowane pękającymi na stopach pęcherzami i bólem w łydkach. Doktor Kates był pewnie przyzwyczajony do takich wypraw po granitowych zboczach Sierra Nevada, ale Collis nie miał potrzebnej do takich wędrówek kondycji. Teodor widocznie też nie, bo kuśtykał dwadzieścia jardów za nimi, z wyrazem twarzy, który przypominał Collisowi świętego Sebastiana. Wang–Pu też musiał przeżywać męczarnie, ale dzięki naukom buddyzmu, które sobie przyswoił, był uodporniony na ból, więc szedł bez słowa skargi, niezmordowanie, jakby wybrał się spacerkiem do misji Dolores w niedzielne popołudnie.

Doktor Kates zatrzymywał się od czasu do czasu na skalistych urwiskach, żeby go mogli dogonić, ale gdy tylko się do niego przybliżyli, wysuwał się znowu naprzód, pomykając przez kotlinę jak białobroda koza.

Przez jakiś czas Collis dotrzymywał mu nawet kroku, więc rozmawiali.

– Myślę, że moje życie ułożyłoby się zupełnie inaczej, gdyby moja żona nie umarła – rzekł doktor Kates. – Było to przy naszym trzecim dziecku, przy porodzie. Starłem się uratować i ją, i dziecko,

ale to była beznadziejna sprawa. Nie pomógłby tam nawet najlepszy kalifornijski specjalista, więc oboje umarli. Pochowałem ich za domem. Duży grób i mały, ze słowami: „Zespoleni na wieki wieków w matczynej miłości”. Ale kiedy już poradziłem sobie z rozpaczą, zrozumiałem, że ona sama, gdyby żyła, chciałaby, żebym nie ustawał w pracy i żebym żył życiem spokojnym i ofiarnym, więc tak też właśnie uczyniłem. Myślę, że to właśnie śmierć Wilhelminy sprawiła, że poszedłem w góry, na poszukiwania, bo za jej życia nigdy bym się na to nie zdobył.

– Mam wrażenie, że pana Wilhelmina nie była ostatnią osobą, która złożyła swoje życie w ofierze tej kolei, w taki czy w inny sposób – rzekł cicho Collis.

Doktor Kates otarł z brody sople lodu.

– No cóż – powiedział – to jest właśnie bogactwo tego kraju, prawda? Nie gmachy ani mosty, ani żelazne drogi, tylko zwykli, prości ludzie. Mimo to byłbym zobowiązany, gdyby mógł pan nazwać jedno z tych przejść jej imieniem, albo może któryś z pojazdów kolejowych, albo coś takiego.

Collis spojrzał na niego.

– Postaram się – powiedział bardzo łagodnie. Przedzierali się teraz przez kotlinę South Yuba, otoczeni ścianą lasu i wysokimi, granitowymi skałami, a zbocze było nadal wystarczająco łagodne, by pozwolić na przejazd dwunastokołowej lokomotywie. Kiedy usunie się stąd głązy, niektóre oskardami, a niektóre, te bardziej odporne, materiałami wybuchowymi, będą mogły tędy przebiegać dwunastowagonowe pociągi, zarówno towarowe, jak i osobowe, nawet najbardziej wypełnione i zatłoczone – co do tego nie ma już teraz żadnej wątpliwości. Będą pędzić z Sacramento po grzbietach Sierra Nevada, pomiędzy rzekami American i South Yuba, przez kotlinę, gdzie oto znaleźli się właśnie oni: Collis, Teodor, doktor Kates i Wang–Pu.

Pomimo pęcherzy na nogach Teodor zapalał się z każdą chwilą coraz bardziej. Bez przerwy pociągał Collisa za rękaw i kiwał z satysfakcją białą od szronu brodą.

– Jak dotąd, wszystko gra – mówił. – Naprawdę wszystko gra.

– I faktycznie można by puścić tędy pociąg? Przez tę kotlinę?

– Jak najbardziej! Absolutnie, bez wątpienia. Wprawdzie sama rzeka jest bardzo kręta, ale przecież nasza kolej nie musi przechodzić wzdłuż jej koryta. Można ją puścić po zboczach – zrobiłem to samo z Niagarą. Technicznie nie będzie to wcale trudne do wykonania. Jest tylko jedna krzywa, co do której nie jestem całkiem pewny, tuż ponad jeziorem, ale możemy zawsze zrobić nasyp na stokach gór, a to nie będzie takie znowu kosztowne.

– Jesteś tego pewien? – spytał Collis. – Mam wrażenie, że to lita skała.

– O, jestem przekonany, że większość to luźne kamienie – odparł Teodor. – Zwietrzałe i całkiem łatwe do usunięcia. Wywiezie się je stąd w parę tygodni.

– No, jeśli tak uważasz – odparł Collis bez przekonania. – Mam nadzieję, że nie przemawia przez ciebie niepoprawny optymizm.

Teodor stanął w miejscu i przeszył go wzrokiem. Oczy miał podkrążone i przekrwione z zimna, a brodę i włosy zlepione lśniącoymi soplekami lodu.

– Chcę ci coś powiedzieć, Collis – powiedział dobitnie, głosem ochrypłym z przejęcia.

– Choćby te góry były z żelaza, kolej musi tędy przebiegać i już.

Collis popatrzył na niego, a potem przeniósł wzrok na Wang–Pu, który czekał cierpliwie, targany wiatrem, o parę kroków dalej, nie odzywając się ani słowem. Wang–Pu odpowiedział również spojrzeniem, które mówiło: „Czas pokaże”.

– No dobrze, Teo – rzekł Collis i ruszył dalej.

Aż wreszcie nadszedł moment, na który wszyscy czekali z takim niepokojem. Potykając się o odłamki granitowych głazów, dobrnęli wreszcie do ukrytej głęboko w górskiej głuszy, zamaskowanej ze wszystkich stron kotliny. Za nimi i przed nimi wznosiły się wysokie szczyty Sierra Nevada, strome, zalesione, ciemne i pokryte śniegiem. Z prawej strony, od południa, ujrzeli rzekę, której spienione wody rozbijały się o czerwone skały granitowego koryta. Przecinała kotlinę, rozgałęziając się u wylotu, zaledwie paręset stóp poniżej miejsca, gdzie się właśnie znajdowali.

Doktor Kates zatrzymał się i zakreślił ręką szeroki łuk.

– To jest właśnie to – klucz do całej sprawy. Rzeka płynie w dół, od jeziora Biglera, a potem, niedaleko stąd, zaczyna się rozgałęziać. Odnoga na lewo od nas to South Yuba, która płynie tam, skąd przyszliśmy, aż do jeziora Donnera, a potem przez góry, do Kalifornii. Ale druga odnoga, ta na wprost przed nami, to rzeka Truckee; ta płynie na północny wschód, akurat u podnóża gór, do Nevady.

Teodor przysłonił oczy i popatrzył przed siebie, w kierunku Truckee. Od wschodu kotlina rzeki była rozległa i dużo łagodniejsza niż zygzakowaty parów South Yuby. Wprawdzie śnieżna kurzawa przesłaniała im widoczność, ale doktor Kates zapewnił ich: – Dalej jest nie gorzej niż tutaj – całkiem prosto, przez całą drogę.

– To nie do uwierzenia! – wyszeptał Teodor. – No popatrz, Collis. To po prostu nie do uwierzenia.

Doktor Kates dodał: – Idąc prosto przed siebie, można przedostać się na terytorium Nevady w dwie, może trzy godziny. Potem rzeka przecina kotlinę Stemboat i biegnie w góry Washoe. Stamtąd skręca na północny zachód, ale to nic nie szkodzi, bo wtedy jesteśmy już w Wielkim Basenie i rzeka nam niepotrzebna.

Collis otarł śnieg z twarzy wierzchem rękawicy.

– No i co, profesorze? – zwrócił się do Teodora. – Wygląda, żeśmy dopięli swego?

Dobra nasza! Będziemy jednak chyba mieć tę naszą wymarzoną kolej?

Teodor popatrzył na niego rozpromieniony.

– Zdaje mi się, że masz całkowitą rację.

– Wygląda na to, że góry dały nam swoje przyzwolenie – rzekł Wang–Pu z uśmiechem.

– Bardzo poetycznie powiedziane – rzekł Collis. – Ale czy sądzisz, że twoi Chińczycy daliby sobie radę z tymi skałami?

– Wytrwałość to nasza cecha narodowa. Pod tym względem nie mamy sobie równych.

Jak każecie im rozbić te skały, to je rozbiją, bez zmrżenia oka. Żadna siła ich nie powstrzyma.

– A co? Nie mówiłem? – rzekł doktor Kates chełpliwie. – Nie mówiłem, że znalazłem przejście?

– Panowie – rzekł Teodor – uważam, że aż się prosi uczczenie tej podniosłej chwili.

Doktor Kates otworzył swój plecak i wyjął z niego butelkę bimbru. Wytarł szyjkę i puścił butelkę w obieg; każdy z nich podnosił ją do ust i łykał, a dobrze, nie żałując sobie. Śnieg sypał bez ustanku, a oni wznosili toasty na cześć nowo odkrytej drogi pod kolej żelazną. Na tle mrocznych zboczy Sierra Nevada zdawali się tak maleńcy jak pyłek na zmarzniętej szybie okiennej.

– Za naszą kolej Sierra Pacific – rzekł Collis i wypił jeszcze łyka. Zakrztusił się, odkaszlnął i przez moment nie mógł złapać tchu.

– Na czymś pan to pędził? – zwrócił się do doktora Katesa. – Na nafcie?

– To najszlachetniejsza kartoflanka pod słońcem – zaprotestował doktor Kates. – Zawsze dodaję kapinkę czystego spirytusu, dla smaczku i powonienia.

– Psiakrew, dobrze, że przynajmniej nie paliłem! – rzekł Collis, oddając mu butelkę. – Wyleciałbym w powietrze jak beczka prochu.

Była już teraz prawie trzecia, a śnieg sypał coraz bardziej obficie. Złowrogie chmurzyska miały kolor zaśniedziałego ołowiu, a wiatr wzmagął się i wzmagał.

– Lepiej już wracajmy – rzekł doktor Kates. – Chyba, że chcecie rozłożyć się obozem w kotlinie Truckee.

– To dopiero październik – rzekł Teodor. – Niedługo powinno się wypogodzić.

– Założymy się? – spytał doktor Kates. – Tu, na tej wysokości, zamieć śnieżna złapała mnie raz w końcu września. To zależy od kierunku wiatru, widzi pan. Jeśli zacznie dąć od pomocnego zachodu, to biada nam.

Schowali butelkę bimbru, umocowali plecaki na ramionach i udali się w drogę powrotną przez kotlinę South Yuba. Kotlina Truckee, z obietnicą wojaży przez Nevadę, Wielki Basen i Góry Skaliste, została za nimi w tyle. Zerwała się straszna wichura, a w zadymce stracili całkowicie orientację w terenie. Collis zapadł się dwa razy po kolana w grząskich zaspach i musiał chwycić się ostrych wyrw skalnych, żeby wydostać się na powierzchnię. Wygrzebując się mozolnie spod zwałów śniegu, widział zgiętą, ciemną sylwetkę Teodora. Przed nim, na czele ekipy, niczym zwodnicze widmo, ledwie dostrzegalny w śniegowej zawiei, posuwał się doktor Kates. Collis odwrócił się raz czy dwa, a Wang-Pu, ze schyloną głową ciągnął za nimi. Wydawało im się, że idą tak dniami i nocami, bez końca. Zimno było nie do wytrzymania. Collis zgubił czapkę w tej zawierusze i wkrótce jego włosy i brwi pokryła gruba warstwa śniegu. Spuchły mu uszy i nos – zdawały się teraz trzy razy większe niż zazwyczaj, i stracił czucie w dłoniach. Nie widział przed

sobą nic, tylko białą zasłonę śnieżycy i Teodora, i nic poza sobą, tylko Wang–Pu i znowu śnieżystą zasłonę. Gdyby nie doktor Kates, który narzucał tempo, sunąc naprzód bez chwili oddechu, zgubiliby się w ciągu paru minut. Collis miał wrażenie, że męczy go jakiś idiotyczny, wyczerpujący sen, w którym cały świat, spulchniony i jedwabisty, rozpruł się jak puchowa poduszka i kołuje teraz w gęsim pierzu.

Kiedy znaleźli się na szczycie górskiego grzbietu, zamieć uderzyła w nich z całą siłą.

Wiatr był tak porywisty, że Collis ledwie mógł oddychać. Doktor pomachał do nich, z twarzą wykrzywioną z zimna, i krzyknął: – Nie zatrzymujcie się! Teraz już będziemy schodzić w dół! Tylko się nie zatrzymujcie!

Teodor machnął do niego rękawicą na znak, że zrozumiał.

Przez następną godzinę pogrążali się w biel niczym w wieczysty sen. Collis czuł, że szron klei mu rzęsy, tak że nawet mrużenie oczu na wietrze sprawiało mu ból. I choć było już po szóstej, a ponure niebo zasnuwane było sinymi chmurami, jaskrawa biel raziła go w oczy, tak że krzywił się raz po raz, a mięśnie na policzkach robiły wrażenie zamrożonych w ohydny grymasie. Głębokie zaspasy śnieżne pokryły kotlinę South Yuby, tak że wszyscy czterej musieli podnosić nogi i wyciągać je ze śniegu, stąpając jak wyczerpane konie na paradzie. Collis zobaczył, że Teodor potknął się dwa razy i nawet doktor Kates zwolnił kroku.

Przymknął oczy i skoncentrował się na marszu. Śnieg prószył mu prosto w oczy.

Odrętwiały z zimna i oślepiiony śniegiem, był przekonany, że niedługo upadnie i taki będzie kres tej szaleńczej wędrówki. Po jaką cholere wyteżać wszystkie siły, skoro ten marsz prowadzi donikąd? Po jaką cholere ciągnąć się noga za nogą w przenikającym do kości wietrze? Po jaką cholere walczyć, skoro i tak z góry wiadomo, że ta walka zakończy się klęską?

Otworzył oczy i zobaczył, że Teodor upadł w śnieg. Collis dał susa przed siebie, tak prędko, jak tylko mógł, dysząc ciężko z wysiłku. Złapał Teodora pod pachy, żeby pomóc mu wstać. Teodor podniósł się nieco, ale potem osunął się znowu na ziemię i leżał w głębokiej zaspie na boku, z twarzą przykrytą bieluteńskim śniegiem.

– Teodor! – krzyknął Collis. Rzucił desperacko okiem przed siebie i zobaczył, że doktor Kates znika w zawiei. – Teodor! Wstawaj na litość boską!

Teodor otworzył oczy, ale zdawało się, że w ogóle nie widzi Collisa. Pokręcił głową słabiutko, prawie niedostrzegalnie, i wymamrotał: – Nie mogę. Przemarłem do szpiku kości.

– Musisz. Jeśli zgubimy doktora Katesa, to po nas. Rusz to swoje dupsko i wstawaj. No, jazda!

Wiatr świszcział i huczał wokół nich, więc Collis musiał pochylić się do przodu, żeby usłyszeć, co mówi Teodor.

– Idź sam – wyszeptał Teodor. – Zostaw mnie tutaj. Weź ze sobą mapy i notes.

– Przestań się wygłupiać, do cholery. Wstawaj, idziemy!

– Nie mogę, Collis, już po mnie. Przemarłem do szpiku kości.

Collis wstał, żeby zobaczyć, czy uda mu się dostrzec gdzieś doktora Katesa, ale ze wszystkich stron otaczała ich gruba śnieżna zasłona, a doktor Kates zniknął mu z oczu.

– Teodor! – wrzasnął Collis. – Wstawaj, kretynie! Pomyśl o Annie.

Teodor zamknął oczy.

– Nie mogę.

Collis spojrzął za siebie, tam skąd przyszli, żeby zobaczyć, czy nie ma gdzieś w pobliżu Wang–Pu. Ale śnieg był tak gęsty, że Wang–Pu mógł minąć ich o parę kroków dalej, a oni i tak by go nie zauważyli.

Collis nachylił się nisko nad uchem Teodora.

– Słuchaj, ty idioto, ty kolejowy natręcie – powiedział dosadnie – jak nie ruszysz natychmiast tych swoich zwłok ze śniegu i nie zaczniesz maszerować, to żaden odcinek kolei nie zostanie nazwany twoim imieniem. Żaden! Ani jeden kącik, ani jeden zakręt, ani jedna najmniejsza stacyjka. Więcej – nie będzie nawet wychodka z napisem „Teodor Jones”.

Teodor uniósł nieco głowę.

– A żeby cię wszyscy diabli, Edmonds! – powiedział. Collis wyciągnął dłoń. Teodor patrzył na nią długą chwilę, mrugając powiekami, żeby odgonić płatki śniegu z rzęs. Potem powoli wyciągnął własną dłoń. Collis chwycił ją natychmiast, a Teodor, skostniały z zimna, sztywny niczym drewniana kukła, pozwolił mu postawić się na nogi. Collis podtrzymywał go przez dłuższą chwilę, czekając, aż miotany wiatrem Teodor odzyska równowagę. Wreszcie Teodor kiwnął głową na znak, że teraz już da sobie radę sam i ruszył przed siebie, powłócząc nogami, przystając od czasu do czasu, żeby złapać tchu. Collis trzymał się ciągle w pobliżu, to popychając go naprzód, to znowu, przy każdym silnym porywie wiatru, podpierając własnym ciałem, tak aby Teodor mógł utrzymać się w pozycji stojącej.

Przez jakiś czas chroniły ich od wiatru sosnowe drzewa, rosnące na zboczach od strony rzeki South Yuba. Wicher dudnił głucho i upiornie pośród gór, jakby były one nawiedzone przez duchy, a sosny zdawały się wymachiwać do nich gałęziami, jak szukający ratunku rozbitkowie.

Potem znowu znaleźli się na otwartej przestrzeni. Schodzili ciągle w dół, to jedno wiedzieli na pewno. Ale w śnieżnej zadymce nie mieli zielonego pojęcia, w jakim idą kierunku.

Lodowaty wicher hulał i wył na zboczach gór, zagarniając wszystko dookoła jak rwąca fala morska. Collis poślizgnął się, upadł i toczył się dwadzieścia stóp w dół, po stromej skarpie, przyduszony śniegiem. Ale nic mu się nie stało, więc wstał i poczekał na Teodora, który włókł się chwiejnie po zboczu góry, aż wreszcie dogonił Collisa.

– Jak się czujesz? – Collis krzyknął w stronę Teodora.

– Już nie mam sił. Daleko nie zajdę.

– Idziemy cały czas w dół – rzekł Collis, wskazując kierunek dłonią w rękawiczkach, by Teodor zrozumiał, o co mu chodzi. – Powinniśmy niedługo wydostać się z tej zawiei.

Teodor nic nie odpowiedział, tylko wpatrywał się w niego przekrwionymi oczami.

– Idziemy – odparł Collis, popychając go naprzód. Collis długo jeszcze pamiętał, jak zmęczenie w nogach i odrętwiający mróz prawie że zwały go z nóg. Pamiętał, jak potykał się o ostre głązy pokryte grubą warstwą śniegu. Czasami to właśnie te zasy śnieżne, głębokie na dwie, trzy stopy, pozwalały mu zachować równowagę, i chroniły przed upadkiem.

Pamiętał, że wyciągał Teodora ze śniegu, raz po raz pomagał mu wstać na nogi, pchając go całym ciałem do przodu, nawet kiedy już sam opadał prawie z sił. Pamiętał, jak przeklinał na czym świat stoi, żeby tylko zmusić Teodora do dalszego wysiłku, i pamiętał, że przeklinał Boga i śnieg, i doktora Katesa, i cały swój zakichany los.

Wreszcie jednak, w godzinę czy dwie później, kiedy znaleźli się niżej i weszli w las, wiatr zelżał, a śnieżycza zamieniła się w deszcz ze śniegiem. Było nadal zimno, ale zostawili już zamieć w tyle, za plecami, i posuwali się teraz w ciemnościach, z nierówną, niekontrolowaną energią ludzi zmordowanych, którzy wiedzą, że najgorsze mają już za sobą. Szli w milczeniu, nawet nie przeklinając. Byli absolutnie wyczerpani i dygotali z zimna.

Teodor wyciągnął dłoń i przytrzymał Collisa za ramię. Zwolnili kroku.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – wyszeptał Teodor ochryple.

Collis wyjął chusteczkę, która była już przemoczona do suchej nitki, i otarł deszcz z twarzy.

– Nie mam pojęcia – powiedział. – Ale chyba nie zboczyliśmy zbyt z drogi. Nie mijaliśmy przecież ani American River, ani South Yuby, więc chyba idziemy cały czas na zachód.

– W Bogu pokładam nadzieję, że się nie mylisz. Nawet gdybym przeszedł przez Rio Grandę w tej śnieżycy, to i tak bym pewnie nie zauważył.

Byli teraz w głębi lasu. W powietrzu unosił się zapach mokrego sosnowego igliwia i prawie nie słyszeli własnych kroków na miękkim podsyciu. Było tak ciemno, że Teodor wpadał ciągle na drzewa i nie przestawał kłąć pod nosem. Szli siłą rozpędu, ponaglani własnym zmęczeniem. Czasami ślizgali się na walających się luzem kamieniach, a Collis zwichnął nogę na splątanych korzeniach sosny. Ale słuchając skowytu wiatru, który dał ponad nimi w gałęziach drzew, wiedzieli, że są już ocaleni.

Skoro tylko poprzez rozkołysane gałęzie strzelistych sosen spostrzegli ognisko w Bradley Hay Camp, Collis przystanął, opierając się o chropowatą korę drzewa.

– Widzisz tam? – zapytał Teodora.

– To Bradley Hay Camp. To na pewno Bradley Hay Camp – odparł Teodor.

Zeszli po stromym, podmokłym zboczu, które odgradzało obozowisko od południa, i w pięć minut później byli już na miejscu. Poszli wydeptaną ścieżką i zobaczyli przed sobą chatę i żarzące się jasnym płomieniem, sypiące iskry ognisko, ułożone z wielkich kłoców drewna w stos w kształcie

wigwamu. Nawet tu, przez ostatnie parę jardów, Collis podtrzymywał Teodora ramieniem, ale wreszcie dobrnęli do drzwi chaty, a wewnątrz zastali doktora Katesa.

Siedział przy piecu w dziurawych skarpetach, z których wystawały palce, susząc przy ogniu swoje futrzane buciory i podgrzewając kawę w dzbanku.

Na ich widok doktor zerwał się na równe nogi. Jego oczy napełniły się łzami.

– Bóg miłosierny miał was w swojej opiece! Żyjecie! Dzięki ci, Boże miłosierny.

Myślałem, że was zgubiłem.

Pomógł Teodorowi usiąść przy piecu. Collis usiadł obok niego, odsznurowując cholewki butów. Doktor Kates przyniósł dwa kubki i nalał do obu kawy.

– Wang–Pu już tu jest? – spytał Collis. – Myśleliśmy, że minął nas po drodze.

Doktor Kates zasepił się.

– Jakoś tak mi się zdawało, że pewnie się wszyscy trzej razem trzymacie.

Collis spojrział na Teodora. Nie przyszło mu nawet do głowy, że Wang–Pu mógł zostać w tyle, w tej zawiei. W pewien sposób założył z góry, że wrodzony spryt i instynkt samozachowawczy Chińczyka przeprowadzi go bezpiecznie przez Sierra Nevada, bez pomocy kuśtykających białych diabłów. Pomyślał o zrównoważonym, sarkastycznym Chińczyku z okolic Wielkiego Muru i przygryzł wargi z niepokojem.

– Może powinniśmy wrócić i postarać się go odnaleźć – powiedział bez przekonania.

Wiedział, że sam jest za słaby, aby się choćby podnieść, a co tu mówić o ponownej milowej wspinaczce w ciemnościach.

– To się na nic nie zda – odparł doktor Kates. – Nie ma mowy, żebyśmy go teraz znaleźli. Chyba że leciał tutaj na łeb na szyję. Miejmy nadzieję, że ma tyle zdrowego rozsądku, żeby iść stale w dół, i że nie poślizgnął się i nie złamał nogi.

Teodor popatrzył na swój parujący kubek kawy.

– Mój Boże – powiedział. – Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

Siedzieli przez jakiś czas w milczeniu. Wiatr świszczął poprzez pokryty mchem dach chałupy.

– Możemy iść od razu z rana – rzekł wreszcie doktor Kates. – Powinniśmy do tego czasu odzyskać siły.

– Ale czy w takim śniegu można w ogóle przeżyć? – spytał Collis. – Czy słyszał pan o podobnym przypadku?

Doktor Kates potarł brodę w zamyśleniu.

– Nie w takim spacerowym ubraniu, jakie on miał na sobie. Nie ma szans. Zmęczylby się, położył, i to byłby koniec.

– Możemy się tylko modlić, żeby udało mu się uciec przed śnieżycą – rzekł Collis.

– Tak – odparł doktor Kates. – Niestety, nic więcej nie możemy na razie dla niego zrobić.

*

Nazajutrz rano był jasny, a niebo tak niebieskie, że prawie fiołkowe. Zjedli serdelki z fasolą, na schodku na zewnątrz chatki, a potem spakowali plecaki i wyruszyli na poszukiwanie Wang–Pu. Collis czuł się tak, jakby duży niedźwiedź przyłożył mu prawym i lewym sierpowym, a nogi miał zeszywniałe i pokryte sińcami. Ale świeży, łagodny wiatr i zapach sosnowych lasów działały na niego kojąco, więc kiedy skończyli śniadanie, był gotów powrócić w góry i stawić czoło śnieżnym zaspom.

Wdrapywali się przez godzinę skrajem lasu, ponieważ doktor Kates uważał, że Wang–Pu najprawdopodobniej schodziłby tą samą trasą, jaką poszli Teodor i Collis. Prawie się do siebie nie odzywali. Teodor pokasływał raz po raz i wycierali chustką nos, a Collisowi zdawało się, że młody topograf z Sacramento musiał złapać grypę. Dzień był ciepły i pogodny; a w ciszy słychać było kapanie topniejącego śniegu i szczebiot mysikrólików. Ponad lasami, kiedy tylko wynurzali się na nagie, granitowe skarpy, widzieli szczyty Sierra Nevada, które rozciągały się majestatycznie w zasięgu pięćdziesięciu mil. Wierzchołki gór nadal spowite były w chmury, wrogie i złowróżbne, ale przez noc wiatr znowu zmienił kierunek i doktor Kates uważał, że nie było już groźby zawiei.

Przeczesali szlak, w tę i z powrotem, siedem czy osiem razy. Przedzierali się przez skaliste rozpadliny i brnęli mozolnie w grubych zaspach śnieżnych, ale mimo to do południa ich poszukiwania nie przyniosły żadnych rezultatów. Słońce stało wysoko nad ich głowami, rzucając cienie wokół ich kolan, a oni mrużyli oczy w jaskrawej bieli śnieżnego puchu.

Collis do końca życia zachował w pamięci moment, kiedy wreszcie znaleźli Wang–Pu.

Było już po piątej, ale słońce późnego popołudnia nadal ścieliło wokół ciepłe promienie.

Głęboki fiolet porannego nieba zamienił się wczesnym popołudniem w liliowe srebro i śnieg miał również ten sam delikatny odcień. Minęli czarne wystające głazy i doszli do trójkątnego poletka śniegu, gładkiego i czystutkiego, nie naruszonego stopą ludzką. Teodor zanosił się kaszlem. Doktor Kates przysłonił oczy.

– A to co? – zapytał.

Collis spojrział w tamtą stronę, ale nic nie zauważył. Ale doktor Kates wskazał teraz ręką.

– Tam. Zaraz na lewo od tych skał.

Collis przymrużył oczy. Jaskrawość słońca prawie go oślepiła. Obok małego, kanciastego głazu, ustawiony na śniegu, jakby go ktoś tam specjalnie umieścił, tkwił aksamitny cylinder Wang–Pu.

Nie mieli sił, żeby biec. Obeszli trójkątny pagórek naokoło, odgarniając śnieg, aż wreszcie dotarli do miejsca, gdzie był cylinder. Teodor wziął go do ręki. Na naszywce był napis: „Weingott & Son, Kapelusznicy, San Francisco”, a Teodor powiedział tylko: – Tak. To jego.

Rozdzielili się teraz i zaczęli przeczesywać zbocze, aż gładka warstwa śniegu naniesiona przez wiatr zamieniła się w prawdziwy labirynt. Ale dalej nic nie znaleźli. Zdawało się, że nie było tam ani ptaka, ani zająca, ani wiewiórki, nie mówiąc już o Chińczyku z Pekinu. Ale Collis wdrapał się na skałę, żeby zobaczyć, czy nie da się gdzieś dostrzec Wang–Pu z wysoka – i rzeczywiście, znalazł go.

Skały ułożyły się w nieforemny równoległobok i w tym właśnie wgłębieniu leżał Wang–Pu w śniegowej pościeli, jak na marach. Twarz miał siną, a wargi pokryte szronem – ostatni oddech zamarzył mu na ustach w lodowatym wietrze. Jedna ręka leżała zgięta na jego klatce piersiowej.

Collis odwrócił się i zawołał: – Teodor!

Teodor, który znajdował się właśnie mniej więcej w połowie ośnieżonego zbocza, spojrział w górę. Doktor Kates także podniósł głowę. Collis rzekł spokojnie: – To tutaj.

*

W łagodny, słoneczny październikowy poranek wysłali ciało Wang–Pu parowcem turbinowym „Ulysses” do jego chińskich przyjaciół w San Francisco. Stali na brzegu rzeki Sacramento, patrząc, jak parowiec wykręca i odpływa wolno z nurtem rzeki. Parę jardów dalej stało pięciu członków rodziny Yeong Wu, chińskich ogrodników z Sacramento Valley, którzy przyjaźnili się z Wang–Pu. Ubrani byli w białe kaftany, których szerokie rękawy powiewały na wietrze.

Charles nasadził na głowę cylinder.

– No cóż – powiedział. – Nic więcej nie możemy zrobić.

Leland, rozgrzany i przepocony, zauważył: – Może i tak. Ale nie wróży to chyba nic dobrego tej kolei, skoro człowiek może zamarznąć na śmierć, w połowie października, dokładnie przy trasie kolejowej, którą proponujemy na użytek matek i dzieci.

Jane trzymała go pod rękę, ukryta w cieniu cytrynowej parasolki, która nadawała jej twarzy wyraz poźółkłej, zwiotczalej zrzędy. W tym czasie okazywała ostentacyjnie, że Collis nie jest już jej faworytem i że ona, osobiście, nie ufa jego intencjom.

– Ta zamieć to był wybryk natury – rzekł Collis. – Tak przynajmniej twierdzi doktor Kates. Na ogół nie sypie tak obficie w październiku, a nawet jeśli, to przecież nasza droga żelazna będzie zabezpieczona wałami przeciwsnieżnymi.

– Zupełnie ci nie żal Wang–Pu? – spytał Leland. – Od wielu lat był naszym lojalnym, oddanym pracownikiem. A ty ciągle swoje; widać, że wcale nie przejąłeś się jego śmiercią.

Collis wyciągnął cygaro.

– Może i Wang–Pu był u ciebie w służbie od wielu, wielu lat, Leland, ale ty, tak naprawdę, nigdy go nie znałeś. Nie tak jak ja. Więc przestań mi tu wytykać bezduszość. Ja zmówiłem już własną modlitwę za Wang–Pu i kiedy ukończymy budowę tej kolei, jego imię nie pójdzie w niepamięć.

Charles przełknął ślinę.

– Skoro już jesteśmy przy temacie, Collis, to myślę, że czas, abyśmy usiedli razem i przedyskutowali porządnie, raz jeszcze, całe to przedsięwzięcie, tę kolej Sierra Pacific.

– Już cię tchórz obleciał, tak? Ze względu na Wang–Pu?

– Nie chodzi tylko o Wang–Pu. W ogóle o całą sprawę. Leland i ja dużo o tym rozmawialiśmy, jak tu ciebie nie było.

Szli wzdłuż brzegu rzeki, w stronę powozów. Collis przystanął, by zapalić cygaro.

– I coście zdecydowali? – zapytał, zaciągając się głęboko. – Że ten cały pomysł budowy kolei to jednak szaleństwo? Że spółka akcyjna Sierra Pacific powinna stać się filią spółki Tucker i McCormick i skupić się na sprzedaży gumowych węży i łójówek?

– Chodzi tu o intratność całego przedsięwzięcia – warknął Leland. – Nic nie wskazuje na to, że taka kolej transkon – tynentalna mogłaby być kiedyś w pełni wykorzystana. Ci, co mieszkają na Wschodzie, wolą tam zostać; a my, tu, na Zachodzie, wcale ich zresztą nie potrzebujemy. Po co mają się nam tu szwendać po ziemi, która dla nas stała się ziemią rodzinną?

Collis uśmiechnął się do Lelanda wyrozumiale.

– Po prostu masz pietra, prawda? – powiedział. – Masz pietra przed zewnętrznym światem i współzawodnictwem. Boisz się ryzyka finansowego. No cóż, jedyne, co mogę ci w tej sytuacji poradzić, to to, że dorosły mężczyzna, taki jak ty, powinien nabrać nareszcie odwagi i stawić czoło trudnościom życiowym, nawet tym najbardziej skomplikowanym.

– Widzę, że nic nie zdoła przytemperować twojego zuchwalstwa – rzekł Leland.

– Nie chcę tu robić żadnych osobistych wycieczek pod jego adresem – wtrącił Charles – ale czy jesteś pewien, że Teodor nie stara się zbagatelizować potencjalnych trudności?

Zawsze go nazywali kolejowym szaleńcem. Może jest tak entuzjastycznie nastawiony do tego projektu, że zobaczył tę całą trasę przez różowe okulary.

Collis wsiadł do powozu, rozsiadł się wygodnie i zdjął cylinder.

– Ja też widziałem to przejście – powiedział do swoich wsporników. – Więcej: o mało się tam, psiakrew, nie pożegnałem z tym światem. I Teodor też. Ale kiedy wybudujemy kolej przez przełęcz Donnera i kotłinę Truckee, nasi pasażerowie będą całkowicie bezpieczni. W komfortowych warunkach, popijając kawę, będą mogli wyglądać przez okna i podziwiać strome zbocza gór, gdzie zginął Wang–Pu, w słodkiej nieświadomości o ofierze, którą złożył naszej idei. Powinniście kiedyś wybrać się do Dutch Fiat i pogadać o tym z doktorem Katesem. On mówi, że Ameryka to przede wszystkim my, ludzie, jej obywatele. I ma rację.

Leland poprawił kołnierzyk.

– Może nawet i masz zupełną słuszość – przyznał wyniośle. – Twoje przejście może być właśnie dokładnie przejściem, którego nam potrzeba. Ale obaj z Charlesem zdecydowaliśmy, że droga żelazna nie musi iść wcale dalej niż do Nevady. Możemy mieć całkiem przyzwoity roczny dochód z transportu artykułów przemysłowych do osad i obozów górniczych w tamtych stronach. Po co mielibyśmy wyrzucać pieniądze na górnolotne marzenia? Po co nam się pchać aż do Salt Lake City? Na miłość boską, człowieku, komu by się śniło, żeby się tłuc przez pustynię Humbolt!

Collis nie miał ochoty kłócić się dalej z Lelandem. Kiedy Leland upierał się, żeby przemawiać jak biskup z kazalnicy, rozsądek nakazywał, aby przytaknąć mu skinieniem głowy, powiedzieć: „oczywiście”, i nie dolewać oliwy do ognia. Co gorsza, Leland znalazł dziś w swojej żonie sprzymierzeńca. Mało było w tym sojuszu małżeńskiej miłości, a dużo urazy do Collisa, ale tak czy inaczej Jane, uczepiona ramienia męża, powtarzała: „No właśnie, Leland”, i „Masz rację, Leland”, a mile tym polectany prezes kolejowej spółki akcyjnej Sierra Pacific sądził, że każde słowo, które wypowiada, powinno zostać zapisane w Biblii złotymi literami.

– Nie podejmowaliśmy takiego ryzyka, Collis, kiedy stratowaliśmy w handlu żelastwem – wtrącił Charles. – Więc nie warto i teraz zaczynać.

Collis kiwnął głową.

– No dobrze. Może pomówimy o tym później. Teraz chcę iść od razu do sklepu, żeby sprawdzić, co z tymi skrzyniami zapalników, które miały przyjechać z San Francisco dziś rano.

Mary Tucker, w jasnej, wzorzystej sukni i czepku, który sprawiał, że jej twarz wyglądała jak księżyc w pełni, powiedziała: – Musimy jak najszybciej zatrudnić kogoś na miejsce Wang–Pu.

– Za parę miesięcy wybiorę się do San Francisco – odparł Collis. – Znam kilku przyjaciół Wang–Pu. Może uda mi się znaleźć kogoś, kto się nada.

Leland wyprostował się i rzekł, napuszony: – Tylko się upewnij, że to ktoś o nieposzlakowanej opinii, uczciwy, z dobrymi referencjami, i przywieź go tu najpierw na próbę, żebyśmy go mogli wybać.

– Nie kibic żółtków – rzekła Jane. – Szczególnie takiej zwykłej hołoty. Pałają stare gazety i myślą, że to czarna magia. A poza tym kradną. I sprzedają młode dziewczęta na niewolnice.

– Tak – rzekł Collis. – To prawda, nie da się zaprzeczyć. Są niemal równie przesądni i zdeprawowani jak my sami.

Jane przeszła Collisa nienawistnym spojrzeniem. W jej wylupiastych jak dwie kuleczki oczach nietrudno było wyczytać, co o nim myśli. Miała mu za złe, oczywiście, że ją tak perfidnie podpuścił, zbałamucił, a potem wzgardliwie odepchnął. Collis osiągnął zamierzony efekt, więc odpowiedział tylko skinieniem głowy, które ktoś nie wtajemniczony mógłby wziąć jedynie za dowód najwyższego szacunku.

Gdy dotarli pod numerem 54 K Street, Collis zauważył krępego mężczyznę w poplamionej sosem kamizelce i bokobrodach, który siedział na schodkach ze zwiniętą w trąbkę gazetą w kieszeni płaszcza. Był to George Kamp z „Sacramento Record”. Przyszedł żeby przeprowadzić z Collisem

wywiad na temat nowo odkrytej trasy przez Sierra Nevada. Kiedy Collis wysiadał z bryczki, podniósł się i otrzepał kurz ze spodni na siedzeniu.

– Czy mam przyjemność z panem Collisem Edmondsem? – zapytał.

– Tak.

– To proszę przyjąć moje gratulacje – rzekł George Kemp, wyciągając dłoń na powitanie. – Jest pan teraz sławny: – Dziękuję – rzekł Collis. – Proszę do środka. Właśnie mieliśmy zamiar otworzyć butelkę sherry.

W tym samym czasie „Ulysses”, na którym w prostej sosnowej trumnie płynęły śmiertelne szczątki Wang–Pu, znalazł się w miejscu, gdzie rzeka Sacramento brała ostry zakręt na południowy zachód, i miasto, gdzie Wang–Pu mieszkał i pracował, znikło z pola widzenia.

*

Tego samego dnia, późnym wieczorem Collis wybrał się samotnie nad rzekę. Drzewa szeptały między sobą w wieczornym powiewie wiatru. W ręku Collis trzymał kopertę.

Zawierała popioły z krótkiego listu, który Collis napisał do Wang–Pu, życząc mu spokoju i wszelkiej pomyślności tam, dokąd się właśnie udawał. Collis nie wiedział, czy taki gest był w zgodzie z religią Wang–Pu, czy też kłócił się z jej praktyką, ale zgadywał jednocześnie, że nie miało to wielkiego znaczenia, jeśli dusza Wang–Pu będzie mogła usłyszeć jego przesłanie.

Stał przez jakiś czas na stromym pagórku, nad brzegiem rzeki, wpatrując się w wartki nurt Sacramento. O parę kroków dalej, oparty o pień drzewa, siedział czarny tragarz z przystani, podśpiewując pod nosem rzewną, nie dokończoną piosenkę, którą wyraźnie sam układał na poczekaniu.

W końcu Collis uniósł zalakowaną kopertę, zamachnął się z całej siły i rzucił ją w kierunku rzeki. Upadła płasko na wodę, zakołowała, a potem pomknęła z nurtem rzeki. Collis powiedział cicho: „Żegnaj”.

Odczekał jeszcze chwilę, a potem wrócił na K Street. Noc była ciepła i spokojna, jakby cała Kalifornia oddawała cześć pamięci Chińczyka, Wang–Pu.

*

Tak się złożyło, że minął prawie rok, zanim Collis znowu wybrał się statkiem do San Francisco. Był to monotony rok; rok konsolidacji spółki Edmonds, Tucker & McCormick; rok usilnych starań, by wzbudzić zainteresowanie apatycznych inwestorów nowo odkrytą trasą Sierra Nevada; rok przemyśleń i wspomnień o Hannie, której obraz majaczył przed nim jak we mgle, gdy zamroczony alkoholem, w kłębach dymu z cygar, wpatrywał się w nieposkromione przestrzenie doliny Sacramento.

Młody Frederick Pugh przejął większość obowiązków Wang–Pu i okazał się chłopakiem całkiem bystrym i sumiennym. Mimo to Collis nadal nosił się z zamiarem zatrudnienia w sklepie

Chińczyka, gdyż zawile targi na przystani wymagały wyrafinowanej wirtuozerii, właściwej tylko przybyszom z Orientu.

Ale wczesną jesienią 1859 roku, zmęczony i opalony słońcem (lato było wyjątkowo długie i upalne tego roku w Sacramento), Collis wsiadł na „Excelsior” i popłynął na wybrzeże.

Szykowała się okazja zakupu ładunku sznurów i lin z Dalekiego Wschodu. Oprócz tego chciał też porozmawiać z Andym, który tracił zainteresowanie kolejną. Trzeba go będzie przekonać, że nowa trasa przez Sierra Nevada nadaje się idealnie pod budowę transkontynentalnej kolei żelaznej. Andy, jeśli tylko miał na to właśnie ochotę, był mistrzem dyplomatycznej perswazji, a „Collis bardzo potrzebował moralnego wsparcia, choćby tylko dla przeciwwagi podejrzliwości Lelanda i zapalczywości Charlesa.

Zjadł obiad w Ladies & Gents Oyster Parlour, u Gobeya, na Sutter Street. Chciał przygotować sobie przed spotkaniem cały zestaw przekonywających, niepodważalnych argumentów, którymi może uda mu się przekabacić Andy’ego na swoją stronę. Poza tym samotny obiad wyniesie go dużo taniej, ponieważ Andy, w momencie kiedy kelner zbliżał się właśnie z rachunkiem, miał w zwyczaju przeproszać i wychodzić do toalety. Collis usiadł przy zniszczonym, porysowanym stole i, łyżka po łyżce, wykończył miskę gulaszu z raków, zagryzając świeżym, razowym chlebem. Dokładnie naprzeciw niego tłusty, czerwony na twarzy jegomość w zielonym fraku, oświetlony żółtawym światłem słonecznym, które wpadało do środka przez kolorowe szybki w witrynie, rozprawiał głośno o Ah Toy, chińskiej kokocie, która była kiedyś najbardziej wziętą prostytutką w San Francisco. Wynosił pod niebiosa zarówno jej szyk, jak i urodę. „Splamiona gołębica o najbardziej wyszukanych piórkach”, zauważył grubas i roześmiał się rubasznie.

Collis wyszedł z restauracji tuż po drugiej i, dla lepszego trawienia, udał się w stronę biura Andy’ego spacerkiem. Od czasu do czasu zdejmował cylinder i przecierał czoło, gdyż popołudnie było parne i pochmurne. Zastanawiał się, czy nie powinien wstąpić do świątyni Kong Chów, żeby zapalić za duszę Wang–Pu gromnicę. Ale po obiedzie wypił chyba za dużo szampana i teraz szumiało mu w głowie.

Właśnie kiedy skręcał na rogu Stocken Street, zatrzymał się obok niego jakiś ciemnoniebieski powóz. Konie prychały, potrząsając grzywami, a stangret zawołał: – Proszę pana! Mr Edmonds! Proszę pana!

Collis przystanął i podniósł wzrok. Popatrzył najpierw na stangreta w aksamitnym cylindrze, a potem zerknął do wnętrza powozu. Była to niewielka bryczka, której framugi okien i ciemnoniebieskie zasłony były w tej samej tonacji co cała karoseria. Trudno się było zorientować, kto znajdował się w środku. Dopiero gdy zauważył na drzwiach pozłacany inicjał „M”, domyślił się, kto to taki. Ktoś pociągnął za klamkę i odemknął leciutko drzwi, a ponieważ stangret celowo odwracał głowę w inną stronę, Collis zorientował się, że powinien wskoczyć do środka.

Wnętrze powozu było ciemne i nasycone zapachem perfum. Oparta o niebieskie, aksamitne poduszki, niczym samotna biała lilia o błękitnych płatkach w ogrodzie lilii nad Nilem, siedziała Sara Melford. Miała na głowie kapelusz przybrany bielutkimi kwiatami, a w dłoniach trzymała biały wachlarz. Jej oczy, szeroko rozstawione, wpatrywały się w Collisa uparcie. Zdjął cylinder i usiadł niezręcznie naprzeciw niej.

– Mr Edmonds – powiedziała z pewną afektacją. – Zdziwiłam się, gdy zobaczyłam, że to pan. Dawno już pana nie widziałam. Aż musiałam poprosić Martina, żeby się zatrzymał.

Uniosła dłoń do pocałunku, a Collis ujął ją w swoje ręce.

– Wielki to dla mnie zaszczyt zobaczyć się znowu z panią – rzekł, ważąc każde słowo.

– Jak długo zamierza pan zabawić w San Francisco? – spytała Sara. – Sądziłam, że na ogół interesy trzymają pana w Sacramento.

Collis wypuścił jej dłoń.

– Jestem tu po to, by zdobyć poparcie dla mojej kolei. Między innymi.

– Ach, oczywiście. Ta pańska kolej. Ojciec coś o tym wczoraj wspominał. W „Bulletinie” był dość długi artykuł na ten temat.

– Tak? I co pisali?

Sara uśmiechnęła się nieznacznie.

– Zachwycali się pańską odwagą, prawdę mówiąc. Pisali, że znalezienie przejścia przez Sierra Nevada wymagało od pana ogromnego poświęcenia. Ale nie wierzą, że zostaną tam kiedykolwiek położone tory.

Zamilkła na chwilę. Collis nic nie mówił.

– Czy to prawda, że był pan o krok od śmierci? – spytała. – Czy może to tylko wyobraźnia jakiegoś reportera z gazety?

– To prawda – odparł lakonicznie.

– O! – powiedziała. – No to muszę powiedzieć, że cieszę się, że jednak się pan uratował.

– A co mówił na ten temat pani ojciec?

– Ojciec? Niewiele. Ale chyba wywarło to na nim wielkie wrażenie. Powiedział, że może i będzie miał pan rzeczywiście dość cholernego tupetu, żeby dopiąć swego. To znaczy, żeby zbudować tę kolej.

Collis popatrzył w dół na swój cylinder.

– Nie jestem pewien, czy mi się to rzeczywiście uda – powiedział cicho. – Straciłem tam, w tych górach, przyjaciela. A moi współdziaławcy to nie waleczni mężowie o lwich sercach, mówiąc jak najdelikatniej.

– Jaka szkoda!

– Proszę się nade mną nie litować.

Odwróciła się do niego profilem i wyjrzała przez okno po drugiej stronie. Blade światło dzienne wdzierало się nieśmiało do powozu. Przez delikatny materiał sukni widział uwydatnione fiszbinami

obcisłego gorsetu kształty jej jędrnych piersi. Była niezwykle pociągająca. Mimo to wołał jednak trzymać się od niej z daleka. Sam nawet dobrze nie wiedział dlaczego.

– Nie chciałbym pani dłużej zatrzymywać – powiedział. – Dokąd się pani wybiera?

– Tylko do krawcowej. Muszę sobie sprawić suknię balową. Mam przymiarke dziś po południu..

– A pani ojciec? Czy nie byłby zagniewany, gdyby wiedział o tym naszym spotkaniu?

– Oczywiście, że tak. Ale Martin nic mu nie powie. Nie puści pary z ust – zdobył w tym względzie znakomite przeszkolenie.

Collis czekał jeszcze przez chwilę, ale zdawało się, że Sara nie miała już nic więcej do dodania.

– Czy to wszystko? – zapytał. – Chciała się pani ze mną po prostu przywitać, i nic więcej?

– A co w tym złego? – spytała. Potrząsnął głową.

– Zupełnie nic. Zależy tylko, dlaczego chciała to pani zrobić. Wytworne młode damy nie mają na ogół w zwyczaju zapraszać obcych mężczyzn do swoich powozów, chyba że kryje się za tym coś więcej.

– Czy tak podchodzą do tego w Nowym Jorku? – dopytywała się Sara.

– Tak. Ostatnio jak tam byłem, tak właśnie wszyscy myśleli.

– Wobec tego muszą tam mieć bardzo wybujałą wyobraźnię, w tym Nowym Jorku.

– Tak pani sądzi?

Sara oblała się rumieńcem.

– Owszem. Nie wiem nawet, co się pan stara zasugerować.

– Nie starałem się absolutnie niczego sugerować – zapewnił ją Collis z uśmiechem. – Zastanawiałem się tylko, czy stałem się obiektem pani zainteresowania, bo darowałem życie pani bratu, czy też dlatego, że pani ojciec jest w stosunku do mnie bardzo niełaskawy i podejrzliwy. A może, dlatego że mam w sobie więcej werwy niż większość tych pulchniutkich, kalifornijskich młodych trutki, których pani rodzice zdają się zawsze zapraszać na przyjęcia.

Sara przygładziła fałdki swojej sukni.

– Jest pan bardzo arogancki. W Kalifornii jest mnóstwo młodych ludzi, którzy warci są pięćdziesięciu takich jak pan.

– No tak, jak najbardziej. Sam to wiem – przyznał Collis. – Ale w rozumowaniu pani ojca ci, którzy są naprawdę męscy, są potwornie nieokrzesani, a znowu tym okrzesanym daleko do męskości.

Sara nie spuszczała z niego wzroku. Jej oczy były fascynujące – ciemne, głębokie i wilgotne. Przez chwilę wydawała się zaszokowana tym, co właśnie usłyszała, ale potem nagle wydeła wargi i parsknęła śmiechem.

– To nie do wiary! – powiedziała. – Jest pan co do joty tak okropny, jak to głosi pańska niesława.

Collis wyciągnął dłoń i wziął ją za rękę.

– Może byśmy się jeszcze kiedyś spotkali?

– Może – rzekła Sara. – Rozłożyła wachlarz. – A teraz niech pan już idzie, zanim Martin zacznie wyciągać fałszywe wnioski.

– Myślałem, że jest specjalnie tresowany, żeby trzymać język za zębami.

– Pewnie, że tak. Ale są wnioski, które trudniej utrzymać za zębami aniżeli inne.

Collis uniósł rękę Sary do ust i pocałował ją delikatnie, a potem wziął z siedzenia swój cylinder.

– Cała przyjemność po mojej stronie – rzekł, otwierając drzwiczki powozu.

Wyszedł znowu na ulicę i stanął na rogu, patrząc jak powóz wykręcił i potoczył się ulicą Sutter. Potem szedł dalej spacerkiem w stronę biura Andy’ego Hunta. Całe to spotkanie wydało mu się tak nierzeczywiste, jakby błąkał się w lunatycznym śnie, w którym pojawiały się enigmatyczne, zdumiewające marzenia i ciepłe, ale nieprawdziwe, uśmiechy.

*

Popołudniowe spotkanie z Andym Huntem nie przyniosło zamierzonych rezultatów. Andy głowił się właśnie nad jakąś trudną operacją handlową, w której chodziło o zakup chińskich krewetek, i słuchał tylko jednym uchem o kłopotach Collisa z Lelandem i Charlesem i o problemach związanych z ich koleją.

– A co to za różnica? Byleśmy tylko na tym jakoś zarobili – powtarzał bez przerwy, grzebiąc wściekle w stosach rozwalonych na biurku papierzyków, w poszukiwaniu umowy handlowej na suszone abalony. – No bo po co się w to w ogóle pakujemy? Dla zysku – tak czy nie?

– Oczywiście, że dla zysku – zapewnił go Collis. – Ale im większe ryzyko, tym większy zysk.

Andy świdrował go wzrokiem.

– Przecież dałem ci już pięć tysięcy. Czego jeszcze chcesz?

– Chcę, żebyś miał wiarę w słuszność naszej sprawy. I w nasze zwycięstwo.

Andy znalazł nareszcie kontrakt, którego szukał.

– Wiarę to ja mam w niedzielę – powiedział. – Przez resztę tygodnia kieruję się rozsądkiem.

– Rozumiem. – Collis podrapał się dłonią po policzku, zrezygnowany. – No to ... czy mogę liczyć na to, że przynajmniej twój rozsądek będzie mi przychylny, skoro już nie wolno mi liczyć na nic innego?

Andy zmarszczył czoło, jakby nie zrozumiał ani słowa z tego, o czym rozmawiali.

– Czy wiesz, że słowo „abalony” pochodzi z hiszpańskiego? – zapytał. – Zawsze myślałem, że to chińszczyzna.

*

Collis sam nie wiedział, dlaczego spróbował jeszcze raz. Zastanawiał się nad tym jeszcze w wiele lat później, ale pamiętał tylko, że zostało mu trochę czasu przed spotkaniem w Zachodnim Banku Handlowym. Za niepełną godzinę miał przedyskutować z nimi możliwość zaciągnięcia dodatkowej pożyczki na zakup urządzeń mierniczych. Szedł ulicą Montgomery, oglądając wystawy sklepowe i zastanawiając się, jaki to niewielki, ale cenny podarunek, zmiękczyłby serce Jane McCormick, po jego powrocie do Sacramento. Były tam statuetki arlekinów, wyrzeźbione z zębów kaszalota, i misterna europejska porcelana z Shreve & Company, ale ponieważ znał Jane, wątpił, czy doceniłaby ona zęby wieloryba albo nawet malowane talerzyki. Zatrzymał się naprzeciwko drogerii, osłaniając oczy przed oślepiającymi promieniami słońca, które odbijały się w szybach wystawowych, i przyglądał się mydełkom i drobiazgom toaletowym. Potem poszedł dalej, do sklepiku ze starociami, i obejrzał wyroby z chińskiego alabastru i francuskie wachlarze.

Dopiero wtedy podniósł wzrok i popatrzył na zakurzoną szybę okienną. A w niej, odwrócona, odbijała się Montgomery Street: kryta furmanka podrygiwała na wybojach, a po drugiej stronie ulicy znajdował się sklep z naprzeciwka. Nad sklepem widniał szyld: TSEW RETLAW, a na chodniku na zewnątrz, z rękami założonymi na plecach, stał sam Walter West, rozkoszując się mglistym, popołudniowym słońcem.

Collis stał jak przykuty, wlepiając wzrok w zwierciadlane odbicie. Bardzo wytworna dama, cała w falbanach, w szerokiej tiurniurowej sukni, musiała rozepchnąć się łokciami, aby go wyminąć, a Collis uchylił wprawdzie w jej stronę cylindra, ale się nie usunął. Wyjął zegarek i stwierdził, że do spotkania w banku, o czwartej, zostało mu jeszcze czterdzieści minut.

Całkiem niespodziewanie Walter West zniknął we wnętrzu swojego sklepu. Po chwili znowu się pojawił, tym razem w cylindrze, i ruszył po Montgomery Street, w stronę California Street, a tam skręcił w prawo i zniknął Collisowi z oczu.

Collis zwilżył wargi językiem. Odczekał jeszcze minutkę, żeby się upewnić, że Walter West na pewno nie powróci, a potem odwrócił się i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Zatrzymał się przed drzwiami sklepu. Poczul ucisk w klatce piersiowej, a serce waliło mu jak młotem. Potem wszedł do mrocznego wnętrza, które pachniało lnianymi obrusami i szarpiami, i podszedł do kontuaru.

Stała tam, z głową pochyloną nad pudełeczkiem pełnym kolorowych guziczków, które sortowała w zależności od wielkości. Jej jasne włosy upięte były grzebyczkami z masy perłowej; miała na sobie

prostą niebieskoszarą suknię. Wpatrzony w nią Collis stał przy kontuarze i tym razem zrozumiał jasno, dlaczego tak bardzo jej pragnął, i jak to się stało, że przywiązała go do siebie w Panamie. Tylko że nadal nie potrafiłby wyrazić tego słowami. Nie było w tym żadnego logicznego wytłumaczenia, tylko raczej rodzaj objawienia. Wiedział po prostu, że ją kocha.

– Za chwilę będę do pana dyspozycji – powiedziała, wyjmując guziki.

Początkowo Collis nic się nie odzywał. Podziwiał delikatność jej rysów, regularną Unię czoła i foremny nos. Widać było, że nabrała sił, bo jej cera wyglądała teraz dużo zdrowiej.

Ciemnowłosa, czarnooka Sara Melford była wprawdzie zachwycająca – prawdziwa arystokratka: piękna, urocza, dumna – ale za to Hanna miała w sobie coś, co przywodziło Collisowi na myśl blask słońca w gałęziach drzew, błyszczącą taflę jeziora, drzenie fuksji w ogrodach San Francisco.

– Chciałbym kupić koszyczek na robótki – powiedział Collis cicho. – Dla mojej siostrzenicy.

Hanna podniosła głowę. Guziki, które sortowała, rozsypały się po podłodze. Niektóre, większe, potoczyły się, zawirowały, aż w końcu również upadły.

– Collis – wyszeptała.

Próbowała się uśmiechnąć, ale uśmiech ten zamarł przedwcześnie na jej wargach.

– Pomyślałem, że wstąpię, żeby się dowiedzieć, jak się czujesz.

Dotknęła ręką włosów, jakby nagle zdała sobie sprawę, że wygląda nieporządnie.

– Dobrze, dziękuję – powiedziała, nie mogąc złapać tchu. – W każdym razie dużo lepiej. A ty? Czytałam o twojej wyprawie w góry, w zeszłym roku, ale ostatnio nic o tobie nie słyszałam.

– U mnie wszystko w porządku. Trzech z nas wyszło z tego cało, tylko z odmrożeniem.

Ale straciłem bliskiego przyjaciela, Chińczyka. Zamarzył na śmierć.

– To straszne! Pisali, że szukałeś przejścia pod budowę drogi żelaznej.

– Znaleźliśmy je – rzekł Collis.

– Więc jednak ta jego śmierć nie poszła może na marne? Śmierć tego twojego przyjaciela, Chińczyka?

– Chyba nie. Spuściła wzrok.

– Dalej chcesz budować tę kolej? Nie byłam pewna, czy jeszcze nadal o tym myślisz.

– Kobiety i dzieci dalej muszą się przeprawiać przez Cieśninę Panamską.

Nie podnosiła oczu.

– Mówisz o mnie, prawda?

Collis wziął do ręki jeden z guzików i obracał go w palcach.

– I tak, i nie – odpowiedział.

Uśmiechnęła się szybko, wyrozumiale. Mahoniowy zegar wybił pół do piątej.

– Pamiętasz tę pierwszą noc w Aspinwall? – zapytał. – Zobaczyłem tam pociąg, który stał przed hotelem, tuż przy ulicy, i wtedy właśnie po raz pierwszy zacząłem myśleć o budowie kolei transkontynentalnej. Pomyślałem sobie: dlaczego nie? To by się dało zrobić.

Jeżeli pociąg może przejechać przez takie wąskie pasmo lądu, to dlaczego nie przez cały kontynent?

Zamilkł na chwilę, a potem dodał łagodnie, najłagodniej jak potrafił: – Sęk w tym, że sama świadomość takich ogromnych możliwości, to za mało. Żeby się te marzenia ziściły, potrzebna jest również inspiracja, której mi brakowało, dopóki ciebie nie poznałem.

– Proszę, nie mów tak – rzekła cicho. – Nie wolno ci tak mówić.

– Dlaczego nie? Dlatego, że powiedziałaś mi, że nie chcesz mnie więcej znać? Czy ze względu na Waltera?

– Nie wiem. Ze względu na wiele różnych rzeczy.

– Myślisz, że to tylko puste słowa? Podniosła głowę i popatrzyła na niego.

– Nie – powiedziała. – Wydaje mi się, że mówisz prosto od serca. Ale sama nie wiem, dlaczego tak mi się wydaje.

Collis uśmiechnął się do niej niewesoło.

– Ja też tego zupełnie nie rozumiem. Ale czy to ważne?

– Ogromnie ważne. Nie powinieneś mnie kochać. Nie powinieneś tu wcale przychodzić.

– Tylko tędy przechodziłem. Chciałem się z tobą zobaczyć.

– Po tym wszystkim, co ci powiedziałam? Pokiwał głową.

– Pewnie myślałeś, że zrobiła się ze mnie straszna cnotka i sekutnica – powiedziała, a to otwarte, samokrytyczne wyznanie wstrząsnęło nim do głębi.

– Sam już nie wiem, co myślałem – powiedział głosem, w którym zabrzmiało zdziwienie.

Położyła dłonie na płaskim kontuarze i rozłożyła guziki na szkle.

– Chciałam, żebyś tak właśnie myślał. Myślałeś, że jestem nijaką, schorowaną babą, nieprzeciętną dewotką i nabożniwą. Myślałeś, że wierność i oddanie Waltera to wszystko, czego pragnę; że sortowanie guzików i odmierzanie tasiemek to moje życiowe powołanie.

Myślałeś, że wszystko, przez co razem przeszliśmy, i o czym rozmawialiśmy w Panamie, to tylko głupie, płonne marzenie. I że oddałeś serce kobiecie, która nie ma ani dosyć odwagi, ani wystarczająco silnych przekonań, żeby przeanalizować własne uczucia.

Collis ściągnął brwi.

– Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć. Hanna spojrzała na niego wzrokiem, w którym była zarówno duma, jak i bunt.

– Nie będę ukrywać, że starałam się wyrzucić z duszy uczucie, które mam dla ciebie.

Modliłam się z zakonnkami w Panama City. Szczególnie dużo rozmawialiśmy o tym z siostrą Agnieszką i wyznałam jej, że cię kocham. Powiedziała, że powinnam szukać pomocy u Najświętszej Pani, która poprowadzi mnie z powrotem na drogę świętego sakramentu małżeństwa, i że powinnam się ciebie wyrzec.

– Siostra Agnieszka ci to powiedziała?

– Tak – wyszeptła Hanna. – I sądziłam wtedy, że ona ma rację. Przyjechałam do San Francisco ze stanowczym postanowieniem, że będę się starała uratować moje małżeństwo z Walterem. A gdybym cię spotkała, to powiem, że to, co nas ze sobą złączyło, było tylko zwykłym zadurzeniem. I że można to nawet wybaczyć i usprawiedliwić, ale na tym koniec.

– I właśnie to mi wtedy powiedziałaś, prawda?

– Aha – skinęła głową. – Ale nie zapominaj, że byłam chora. Może teraz, kiedy czuję się już dużo lepiej, brzmi to jak jakaś bardzo nedorzeczna wymówka. Ale wówczas byłam słabsza niż niemowlę i ledwo starczało mi sił, żeby przeżyć z dnia na dzień. A poczciwy Walter był dla mnie taki dobry. Żywił mnie i pielęgnował. Nikt inny by tak o mnie nie zadbał.

Nie, Collis, nawet ty nie byłbyś do tego zdolny.

Collis przełknął ślinę.

– Chyba Walter rzeczywiście ma taki matczyzny charakter.

Uśmiechnęła się.

– Nie bądź dla niego zbyt surowy.

– Wcale nie zamierzałem. Chyba po prostu nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Nie wiem, czego oczekiwałem, kiedy tu wchodziłem, ale na pewno nie tego.

– Ja nie oczekiwałam już niczego. Nie sądziłam, że cię jeszcze kiedykolwiek ujrzę – rzekła Hanna.
– W każdym razie nie wierzyłam, że nadarzy się jeszcze okazja, żeby sobie tak otwarcie porozmawiać.

– Chcesz przez to powiedzieć, że to, co wtedy mówiłaś, nie było prawdą? Haniu! Chcesz powiedzieć, że mnie kochasz?

Nie odpowiadała. Collis pokręcił głową z niedowierzaniem.

– No a Walter?

– Powiedziałam mu o nas wszystko. O wszystkim, co się stało. Musiałam.

– Po co? Mogłaś przecież udawać, że byliśmy tylko towarzyszami podróży.

– Wiem. Ale nie powiedziałam mu tego ze względu na niego, tylko ze względu na samą siebie. Myślałam, że jeśli wyznam mu wszystko, to, co do ciebie czuję, to... to... może jakoś przestanę cię kochać.

Zapadło pełne napięcia milczenie. Na zewnątrz, po trotuarze, przewijały się tłumy ludzi, a powozy turkotały na Montgomery Street, ale oni nie zwracali na to uwagi. Zajęci byli tylko sobą; myśleli o tym, co dla siebie znaczą. Jeszcze długo, długo później Collis zastanawiał się, jak się zrodziło to uczucie. Zazwyczaj jego romanse zaczynały się przyjemnym flirtem i skradzionym pocałunkiem. Albo przewrotną kokieterią, w której tak lubowała się Delfina.

Ale zresztą teraz wyszło wreszcie na jaw, jakie płochę było to uczucie Delfiny. Ale z Hanną było zupełnie inaczej. Inaczej również niż z arystokratyczną Sarą Melford – mistrzynią dowcipnej, aluzyjnej finezji.

Z Hanną natomiast wiązała go naturalna bliskość, poczucie wewnętrznego spokoju i ciepła, które Collis mógł tylko zinterpretować jako pierwsze doświadczenie dojrzałej i pełnej miłości. Zdał sobie sprawę, z szacunkiem i zdziwieniem, że żadne z nieporozumień nie zdołało tego zniweczyć. Z głębokim przejęciem powiedział: – Haniu... Spojrzała na niego oczami błyszczącymi od łez.

– Nigdy się nie dowiesz, jak bardzo za tobą tęskniłam – odparła. – Walczyłam i walczyłam, i modliłam się każdej nocy, a dalej nie mogłam o tobie zapomnieć. Przez ostatnie dwa lata myślałam tylko o tobie, o nikim innym.

Collis odsunął na bok stertę pudeł z kapeluszami i wszedł do niej za szklany kontuar.

Wyciągnął rękę, a ona podała mu swoją.

– Nie możesz zostać zbyt długo – powiedziała. – Walter poszedł tylko do biura Wells Fargo.

– No a jeśli nawet wróci, to co? – spytał Collis. – Jeśli nadal mnie kochasz i pragniesz być ze mną, to i tak się będzie musiał kiedyś dowiedzieć.

– Nie mogę go zranić, Collis. To bardzo szlachetny człowiek.

– Więc co zrobisz? Zostaniesz z nim całe życie, udając małżeńską miłość i przywiązanie?

Pokręciła nerwowo głową.

– Nie wiem. O, Collis! Sama nie wiem, co mam zrobić! Już prawie uwierzyłam, że nigdy cię więcej nie zobaczę.

Collis mocno uściśnął jej dłoń. Wyczuł pod palcami obrączkę. Hanna zdawała się taka krucha, taka filigranowa, że chyba mógłby nosić ją na rękach, jak dziecko. Tonem, który zabrzmiał niemal jak pytanie, powiedział: – Pocałuj mnie. Spojrzała na niego.

– Nie mogę. Walter będzie tu za chwilę.

– Wobec tego im szybciej, tym lepiej. Mniejsze ryzyko.

– Collis, nie mogę.

Przygarnął ją do siebie. Chciała się odsunąć, ale tym razem wiedział, że nie pozwoli jej odejść. Pochylił się naprzód i dotknął wargami jej policzka, a potem ust, a potem już nic na świecie nie byłoby w stanie go powstrzymać. Na swym policzku czuła jego szorstki zarost i zapach mocnej wody kolońskiej, zmieszany z zapachem tytoniu, który zawsze przypominał jej dni spędzone wspólnie na „Virginii”. Rozchyliła leciutko wargi.

Odsunęli się od siebie, dalej trzymając się za ręce. Wyglądali teraz jak pozująca do zdjęcia w gabinecie fotograficznym para dwojga młodych ludzi, którzy właśnie dali na zapowiedzi.

Jej jasne loki lśniły wokół głowy niczym aureola, a na twarzy malowało się podniecenie i ulga, ale jednocześnie lęk przed tym, co będzie musiała uczynić.

– Nie chcę wywierać na ciebie żadnej presji, Haniu – powiedział. – Żadne z nas nie zniosłoby chyba tego, ani ja, ani ty. Sama musisz podjąć decyzję w tej sprawie.

Spojrzała na niego, jakby chciała, żeby to on powiedział jej tu i teraz, że wszystko się zmieniło, że to koniec jej pożycia z Walterem i że zabierze ją ze sobą już dzisiaj, w tej chwili.

Ale potem łagodnie puściła jego dłoń, spuściła wzrok i starała się zaakceptować jego słowa.

– Będę w San Francisco do poniedziałku – powiedział. – Może zastanów się nad tym jeszcze przez ten tydzień, pomyśl, co chcesz zrobić, a potem daj mi znać, zanim wyjadę.

– Collis – powiedziała. – Nie jestem pewna, czy to najlepsze rozwiązanie. A jeśli Walter... Collis przejechał dłonią po czole.

– Haniu, nie ma dla nas teraz innego rozwiązania. Jest tylko jedno wyjście: jeśli chcesz odejść od Waltera, to musisz to zrobić otwarcie, z godnością. Raz na zawsze.

– To by oznaczało rozwód.

– Tak, wiem – odparł Collis. – Dlatego musisz mieć parę dni na przemyślenie całej sprawy.

Objęła wzrokiem cały sklep. Spojrzała na bele materiałów pod oknem i na szklaną witrynę, gdzie gipsowy manekin stał wystrojony w wieczorową suknię.

– Gdybym się tutaj dziś nie zjawił, to co byś zrobiła? Zostałbyś z Walterem?

Uśmiechnęła się zakłopotana.

– Tak, chyba tak. Ale życie składa się z takich właśnie niespodziewanych przypadków, prawda? Przecież to był czysty przypadek, że cię w ogóle poznałam. Gdyby nie Mrs Edgeworth, to wyjechałabym do Kalifornii następnym statkiem. Ale tak się wszystko ułożyło... Zatrzymała się. Wzruszyła ramionami. Collis wyciągnął rękę i dotknął jej jasnego loka.

– Powiem ci, co zrobimy – powiedział cicho. – W niedzielę po południu pojedę do misji Dolores. Stawię się tam o trzeciej. Będę czekał przy maszcie, obok krużganku, przez godzinę. Jeśli naprawdę chcesz porzucić Waltera, jeśli naprawdę chcesz się związać ze mną, to pojedź tam również dylizansiem Yellow Line. Tam się spotkamy. Jeśli nie, to poczekam do czwartej, a potem... potem wrócę do domu.

*

W czwartek wieczorem Collis spotkał się z Danem McReady w Eagle Saloon. Dan zaprowadził go do chińskiej restauracji U Deara, na Sacramento Street. Na zewnątrz, w powiewach letniego wietrzyka, kołysały się błyszczące, czerwone lampiony, a z kuchni na zapleczu dochodził zapach miodu i chińskich przypraw.

Rozsunęli zasłonę z paciorków i weszli na salę o bardzo niskim sklepieniu, gdzie Chińczycy siedzieli przy niziutkich stoliczkach, jedząc pałeczkami krewetki, bambusowe kielki i podsmażane dania jarzynowe. Siedziało tam również paru białych diabłów, którzy posługiwali się nożami i widelcami. Restauracja U Deara cieszyła się ogromnym powodzeniem wśród kalifornijskich biznesmenów z dzielnic finansowych głównie dlatego, że właściciel mówił łamaną angielszczyzną, a jego córka była delikatną, śliczną dziewczyną i zawsze witała białych diabłów uprzejmym uśmiechem.

Miss Dear, w błyszczącej, czerwonej sukni, z długimi, prostymi włosami przewiązanymi czarną szarfą, podreptała przed nimi w głąb restauracji, gdzie znajdowały się cztery prywatne nisze, każda odgradzona od reszty sali dekoracyjnymi przepierzeniami, w których były również maleńkie okienka. Wprowadziła Dana i Collisa do najbliższej niszy, na lewo, – a potem oddała im głęboki ukłon.

Popijając zieloną herbatę i pykając z fajeczki, która pachniała jak palone, suszone kwiaty, siedział tam już niski Chińczyk w czarnej, mandaryńskiej kalotce i czarnej jedwabnej koszuli ozdobionej haftem w ptaki.

– Collis, to jest Mr Yee – rzekł Dan McReady. – Mr Yee, to jest Mr Collis Edmonds z Przedsiębiorstwa Kolejowego Sierra Pacific. Chińczyk dał znak ruchem dłoni, żeby usiedli.

– Bardzo mi miło pana poznać – powiedział. – Czytałem o panu w zeszłym roku w „Golden Hill News”.

– Wspominali pewnie o Wang–Pu – rzekł Collis.

– Tak – rzekł Mr Yee. – Wielu naszych ludzi oplakiwało śmierć Wang–Pu.

Miss Dear wróciła ze świeżym czajniczkiem herbaty i dwiema dodatkowymi filiżankami.

– Jedli już panowie? – spytał Mr Yee. – Specjalnością lokalu jest wędzona kaczka.

Polecam. Czerwona, gotowana wieprzowina z kałamarnicą jest również całkiem niezła.

– Herbata zupełnie wystarczy, dziękujemy – odparł Collis.

Siedzieli przez jakiś czas, popijając wywar z zielonej herbaty, a potem Mr Yee odstawił swoją filiżankę.

– Przyjaźnił się pan z Wang–Pu, Mr Edmonds – powiedział, i nie było to bynajmniej pytanie.

Collis skinął głową.

– Wang–Pu często mówił o panu. Mówił, że przyszłość narodowości chińskiej w San Francisco jest w zasięgu pańskiego oddechu. To takie chińskie powiedzenie, które oznacza, że pana życie jest powiązane z ich losem.

– Czuję się zaszczycony – rzekł Collis.

– Bez potrzeby – odparł Mr Yee. – Nikt z nas nie wybiera sobie drogi, po której przyszło nam iść.

– Wierzę w przeznaczenie – rzekł Collis. – Ale nie jestem fatalistą. Mógłbym spakować teraz, w tej chwili, wszystkie swoje manatki, wrócić do Sacramento i spędzić resztę życia jako przeciętnutki detalista w handlu sprzętem gospodarstwa domowego.

Mr Yee pokręcił głową.

– Myli się pan. Tego nie mógłby pan uczynić. Tak zresztą jak i ja sam. To, czego pan musi dokonać, zostało zapisane w pana losach przed wiekami i pozostanie na wieki w pamięci przyszłych pokoleń.

– Być może.

Dan McReady wyjął z kieszeni czerwoną szmatkę i wytarł w nią nos.

– Mr Edmonds chciałby porozmawiać z panem na temat zatrudnienia chińskich robotników. Robotników, którzy wybudowaliby dla niego kolej, Mr Yee.

Mr Yee nalał sobie jeszcze herbaty i spojrzał na osadzające się na dnie filiżanki liście.

– Wiem, Mr McReady. Wszyscy członkowie naszego tongu* wypowiedzieli się już na ten temat.

Collis nic nie odpowiedział. Wiedział od Wang–Pu, że pełna szacunku cisza jest po tysiącokroć cenniejsza niż najbardziej czcigodne słowa.

– Jak tylko będą panu potrzebni robotnicy, to ich zaraz dostarczymy – rzekł Mr Yee. – Setki, tysiące ludzi. Ilu będzie trzeba. Przyjeżdżają tu z Chin co tydzień, a my zwerbujemy ich dla pana. Powie pan słowo – będą na pana zawołanie.

– A czego oczekuje pan w zamian? – spytał Collis. Mr Yee podniósł dłoń, jakby w geście samoobrony.

– Niczego. Łączy nas wspólny los. Nie oczekujemy, że zapłaci nam pan za to tylko, iż poddajemy się woli przeznaczenia.

Collis wyjął z kieszeni notes i nabazgrał trzy czy cztery słowa ołówkiem.

– Zapisalem tu sobie, żeby nie zapomnieć – zwrócił się do Mr Yee. – Kiedy ukończymy już budowę kolei, Sierra Pacific złoży w chińskich przedsiębiorstwach dotacje w wysokości jednego dolara za każdego chińskiego robotnika, który będzie pracował przy torach. Jak chińskie przedsiębiorstwa będą tymi pieniędzmi gospodarować, to już ich sprawa.

Ale mam nadzieję, że użyją ich na poprawę budownictwa mieszkaniowego i szkolnictwa.

Mr Yee spojrział Collisowi prosto w oczy. Potem powiedział: – Widzę, że się jednak nie pomyliłem. To pan jest tym właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Dan McReady pociągnął nosem.

– O co chodzi? Jakim właściwym człowiekiem? Mr Yee uśmiechnął się do niego.

– Mr Edmonds wie, o czym mówię. Prawda, Mr Edmonds?

– Chyba spróbuję tej wędzonej kaczki, jeśli mają ją dzisiaj w jadłospisie – rzekł Collis.

– A ty, Dan? Masz ochotę na wędzoną kaczkę?

Misja Dolores została założona uroczyście w 1776 roku, jako najdalej wysunięta na północ hiszpańska placówka na zachodnim wybrzeżu Ameryki. Teraz stała obdrapana i chyląca się ku upadkowi, pomiędzy jałowymi wzgórzami południowo-zachodniej części San Francisco, z cmentarzem porośniętym trawą pampasową, krzewami jałowca, paprociami i mirtem. Ptaki siadały na glinianym dachu, w poszukiwaniu chleba i skórek pomarańczy, które zostawiali tu niedzielni spacerowicze, jeźdźcy konni i rodziny na pikniku.

Collis przeszedł się wokół budynku, wymachując cylindrem dla ochłody. Potem przystanął na chwilę obok jednej z glinianych pobielanych ścian i wypalił cygaro. Widział stamtąd maszt, ale wołał schować się w cieniu. Dzień był bezchmurny i bezwietrzny, słońce skwarne i jarzące, a dziedziniec cały w kurzu.

Dziesięć po trzeciej wszedł do środka i rozejrzał się po kościele. Było tu ciemniej i chłodniej, ponieważ gliniane, grube na cztery stopy ściany, stanowiły doskonałą izolację przed żarem słonecznym. Były tu ozdobne ołtarze, prawie dziewięćdziesięcioletnie, rzeźbione w Meksyku, które przypląnęły do San Francisco na parowcu, oraz posągi świętych, wyciosane przez miejscowych Indian. Sufit pomalowany był na niebiesko, czerwono i bładozielone.

Collis stał tam przez chwilę w cieniu, a potem łamiącym się głosem, zażenowany, rozpoczął modlitwę.

– Drogi Boże – mówił, jakby zaczynał list do kolegi z zagranicy. – Nie wiem jeszcze dobrze, czego żądasz ode mnie; ani nawet, czy w ogóle rzeczywiście czegośkolwiek żądasz.

Ale wydaje mi się, że za tym wszystkim kryje się Twoja wola, bo przerasta to przecież ludzkie możliwości.

Zamilkł na chwilę. Czuł się jak skończony idiota. Ale z drugiej strony wydawało mu się jakoś, że Bóg naprawdę znajdował się z nim razem w tej kaplicy. I zdawało mu się, że czekał teraz, aby on, Collis, mówił dalej.

– Wielu ludzi poniosło śmierć – mówił Collis ochryple. – Najpierw Kathleen Mary, w hotelu Monument. Potem ojciec, a potem jeszcze Wang–Pu. Wielu ludzi się też nacierpiało, i bardzo tego żałuję. Hanna musiała wiele wycierpieć i Delfina; i matka na pewno też, nie zaprzeczam. Mam tylko nadzieję, że to Ty mnie prowadzisz, Panie. Mam tylko nadzieję, że to Ty jesteś przy mnie w każdej chwili, że kierujesz moim życiem, bo gdyby się to wszystko nie udało, gdybym nigdy nie wybudował tej kolei, to... sam nie wiem, do diabła, na co by to się wszystko zdało. Przepraszam, nie miałem zamiaru powiedzieć „do diabła”.

Odczekał jeszcze parę minut. Słyszał wycieczkowiczów, którzy śmiali się na zewnątrz.

Ktoś dmuchał w gwizdek bez ustanku.

– Nie opuszczaj mnie, Panie – wyszeptał w końcu. – Mam nadzieję, że nie żądam zbyt wiele; wiem, że nie zawsze postępowałem uczciwie i rozsądnie. Tylu ludzi zdaje się pokładać nadzieję w tych moich planach. Diabelnie trudno poradzić sobie z tym wszystkim w pojedynkę.

Spojrzał na krucyfiks na glinianej ścianie.

– Przepraszam – powiedział.

Nie był pewien, co jeszcze Bóg chciałby od niego usłyszeć. Opuścił wzrok na podłogę.

Przez otwarte podwoje słychać było szum trawy pampasowej.

Wyszedł z kościoła i szedł jakiś czas pomiędzy nagrobkami. Stał prawie pięć minut przed płytą z napisem: lei reposit Athalie Baudichon avec Charles et Blanche ses deux Enfants trois victimes de l'horrible explosion du Steamboat Jenny Lind le 11 Avril 1853. Priezpour eux*. Ogarnął go smutek, a potem nagle zmęczenie. Zaczął iść, a potem usiadł na chwilę przed drzwiami misji, na chropowatym kamiennym murze, w odległości zaledwie paru stóp od masztu.

Była już czwarta. Parę pierzastych chmurek zakryło słońce. Collis włożył rękę do kieszeni i zorientował się, że skończyły mu się cygara. Cztery zmięte niedopałki leżały w szarym kurzu pod jego stopami. Pochylił się w przód, z łokciami na kolanach, i gwizdał niemelodyjnie przez zęby. Wiedział, że Hanna już się nie zjawi. Nie pięć po czwartej. Gdyby naprawdę chciała, byłaby tu już o trzeciej. .

Niektórzy jednodniowi wycieczkowicze zaczęli zbierać swoje torby i koszyki z resztkami prowiantu i kierować się w stronę dylizansów Yellow Line. Powiew wiatru wzbudził tuman kurzu i poruszył koła linowe masztu tak, że zaklekotały żałośnie, łomocząc sznurami o słup.

Hiszpański proboszcz przeszedł przez dziedziniec, ze zwieszoną głową, a Collis patrzył na niego, dopóki nie zniknął mu z oczu.

No cóż, pomyślał. Tak się to wszystko kończy. Wstał, otrzepał frak i włożył na głowę cylinder. Miał bilet powrotny do San Francisco i myślał o tym, że wróci teraz do hotelu International, przebierze się, a potem zje kolację u Delmonica z Danem McReady. Może się nawet upije, wznosząc toast za toastem za pomyślność Waltera Westa, za jego wytrwałość i szlachetność, i za zwykłe, głupie szczęście. Niech diabli porwą wszystkich szmuklerzy, pomyślał. Niech ich wszystkich porwą diabli, i to do samego piekła. Przeszedł po nierównych kocich łbach dziedzińca misji w stronę pętli dylizansów Yellow Line. Jeden z nich właśnie przyjechał z miasta; pasażerowie wychodzili na zewnątrz, a konduktor przytrzymał konie.

Wiatr pełzał z głuchym pomrukiem po zakurzonej ziemi.

Mężczyzna o krzaczastych bokobrodach, w brązowym fraku, wyszedł z powozu i odwrócił się, by podać rękę drobnej blondynce w szarej sukni. Collis nie od razu zorientował się, co się dzieje, ponieważ mężczyzna zdawał się traktować kobietę jak kogoś bliskiego, jakby była jego żoną albo bratanicą. Ale gdy Collis podszedł bliżej, zauważył, że konduktor pomaga kobiecie przenosić dwie wielkie walizy i mniejszy, skórzany kuferek, i wtedy właśnie zrozumiał, że mogła to być tylko Hanna. Tylko ona.

– Haniu – powiedział. I głos uwiązał mu w krtani.

Nawet go nie słyszała; była zbyt zajęta poszukiwaniem drobnych napiwek dla konduktora. Ale Collis szedł już ku niej, prawie biegnąc, a artysta fotograf ujął ich razem właśnie w tym momencie – dwie drobne sylwetki, pod bezchmurnym niebem – jego, z cylindrem w dłoniach, ją, gdy właśnie uniosła głowę. To zdjęcie zostało nawet potem wystawione w Marchants Hall w San Francisco, choć podpis nie ujawniał ich tożsamości.

11

Zarezerwował jej osobny pokój w hotelu International nie dlatego, żeby kierownictwo hotelu robiło trudności paniom i panom z towarzystwa, którzy chcieli wynająć wspólny pokój w celu, jak się to określało, „prywatnych rozmów”, ale dlatego że San Francisco było miastem prowincjonalnym, a Collis osobą powszechnie znaną, więc podwójna rezerwacja nie uszła – by uwagi brukowych piśmideł, czatujących tylko na skandale.

Przed wszystkim żadne z nich nie chciało, po tym, co już zrobili, upokarzać dodatkowo Waltera, a poza tym Hanna tego wieczora była nadal bardzo nieśmiała, roztrzęsiona i przerażona własnym postępowaniem.

Na kolację w hotelowej restauracji na dole zamówili rybę. Collis przytrzymał Hannę za rękę i powiedział: – Byłem pewien, że już nie przyjdiesz. To prawdziwy cud.

– Cud? Wzruszył ramionami.

– No, taki mały cudzik. Nie całkiem wskrzeszenie Łazarza, ale, powiedziałbym, wskrzeszenie dusz. Jakby duch we mnie wstąpił po tym, co się stało.

– Tak – przyznała. – Ja też czuję się podniesiona na duchu. Wydaje mi się, że znowu jestem taką młodziutką, głupiutką gąską. Nie zawiedziesz mnie, prawda? Na pewno mnie nie zawiedziesz?

– Dlaczego pytasz? Nadal mi nie dowierzasz? Poglądziła delikatnie jego dłoń, dotykając zmarszczek na zgięciach palców.

– Nie, to nie to – powiedziała, a łza, która zawisła na jej rzęsach, zaśniła jak samotny brylant w pierścionku.

– Powiedziałas Walterowi, że odchodzisz od niego na zawsze?

Kiwnęła głową.

– W ogóle by się nie pogodził z tą myślą, gdybym nie postawiła sprawy na ostrzu noża.

Prosiłby, żebym się nie spieszyła, żebym mu jeszcze dała szansę, żebym poczekała i zobaczyła, czy moje uczucia się nie zmieniają.

Zamilkła, a potem dodała: – Był całkiem rozbity. Chyba płakał więcej niż ja. Ale powiedział, że postara się zrozumieć i że jeśli naprawdę go nie kocham, to on nie będzie się przeciwstawiał.

– Nie sprzeciwi się rozwodowi?

Hanna odwróciła wzrok. Wokół jej twarzy wiły się bursztynowe loki. Z profilu wyglądała na tak zastygłą i melancholijną, że mogłaby pozować do portretu Rupunzel, czekającej na swojego zagubionego księcia.

Spuściła wzrok.

– Nie rozmawialiśmy o rozwodzie.

– A dlaczego? Przecież to właśnie samo sedno tej całej sprawy.

– Na to jeszcze za wcześnie – powiedziała. – Odeszłam od niego, owszem, ale nawet się jeszcze nie rozpakowałam. Nie mogę myśleć o przyszłości, dopóki moja teraźniejszość nadal jest nie ustabilizowana.

– Aha. Więc wolisz żyć ze mną w grzechu, niż zerwać wszystkie więzy z Walterem.

Podniosła głowę.

– Nie będziemy żyli w grzechu, Collis. Nie myśl, że nie zmagalam się z tą myślą całymi godzinami. Ale doszłam do wniosku, że szukanie własnego szczęścia, nawet jeśli to rani Waltera, to nie grzech. Kiedy jestem z tobą, czuję się szczęśliwa. Kocham twoją energię i kocham twoją determinację. I przyrzekam ci, kochanie, że przedyskutujemy sprawę rozwodu z Walterem przy najbliższej dogodnej okazji.

Collis odłożył widelec ze złotośledziem i uniósł ku niej kieliszek szampana.

– To wobec tego – powiedział – za nasze zdrowie. Za nasze szaleństwo i za naszą przyszłość. I za naszą miłość.

Hanna nawet się nie zawahała. Uniosła swój kieliszek. Potem łyzy zakręciły się w jej oczach i powiedziała: – O, Collis. Nie zawieźdź mnie, proszę. Tylko mnie nie zawieźdź.

O dziesiątej rozstali się i każde z nich udało się do własnego pokoju – Collis na czwartym piętrze, a Hanna na trzecim. Collis wykapał się, ogolił, a potem usiadł, okręcony ręcznikiem,

z kieliszkiem burbona i wieczorną gazetą w dłoni, żeby jakoś ochłonać po burzliwych wydarzeniach tego dnia. Nie był całkowicie pewien, czy Hanna chciała, żeby się u niej zjawił, a jeśli tak, to kiedy. Pocałowała go w usta namiętnie i z wielkim uczuciem, kiedy odchodził spod drzwi jej pokoju, i powiedziała mu „dobranoc” takim tonem, jakby sugerowała późniejsze spotkanie. Ale im bardziej Collis się nad tym zastanawiał, tym bardziej wątpił, czy rzeczywiście to miała na myśli.

Pokropił się lawendową wodą kolońską, przyczesał włosy i zaczął się ubierać w świeżo wypraną koszulę i wieczorowe ubranie. Oczywiście, na pewno chciała, by przyszedł do jej pokoju. Na pewno chciała mu się oddać, zapewniał sam siebie w myślach. Inaczej po co by zostawiła Waltera? Mimo to trudno mu było czasami zrozumieć zarówno uczucia Hanny, jak i jej sposób rozumowania; ciągle powracał pamięcią do tej nocy na pokładzie „Virginii”, kiedy nie wpuściła go do swojej kajuty. Nie miał ochoty powtarzać tego samego przedstawienia w czcigodnych progach hotelu International.

Podszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł na zewnątrz. Potem zmienił zdanie i wrócił z powrotem. Zobaczył swoje odbicie w lustrze nad kominkiem akurat w momencie, gdy zagryzał wargi. Gdyby tylko wiedział, czego ona od niego oczekuje. Ale potem usłyszał za drzwiami wysoki, dziewczęcy śmiech i pomyślał, a niech to wszystko diabli wezmą.

Rozgniewałem ją przedtem, więc jeśli nawet rozgniewam ją jeszcze raz, to znowu wielkie mi rzeczy. Przecież ją kocham – i tylko to się liczy.

Na dole, przed drzwiami numeru 304, wyprostował poły swojego surduta, przyglądził dłonią włosy i zapukał. Potężna matrona o siwych włosach, ze sznurami błyszczących pereł, przetoczyła się obok niego dostojnie, niczym masywna kolubryna, a on szybko i niezręcznie skinął głową w jej stronę na powitanie.

W końcu po drugiej stronie drzwi zazgrzytała zasuwka i Collis usłyszał miękki, bostoński akcent Hanny. Powiedziała: – Wejdz, kochanie.

Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Pokój Hanny był mniejszy niż jego własny, oświetlony tylko jedną lampką, z kloszem z matowego szkła. Hanna siedziała na brzegu forniowanego łóżka, z rozpuszczonymi, jasnymi włosami i błyszczącymi oczami. Miała na sobie długą, koronkową koszulę nocną z szerokimi rękawami i ozdobnymi mankietami.

Przypominała swym wyglądem ślicznego, smutnego serafinka.

– Właśnie... eee... tego... pomyślałem, że wstąpię... – rzekł Collis niepewnie.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń.

– Czekałam na ciebie – powiedziała. Podszedł do niej i wziął jej dłoń w swoje ręce.

– Na pewno niczego nie żałujesz? – zapytał.

– Żałuję, że musiałam przy tym zranić Waltera – powiedziała. – Iz biegiem czasu będę też na pewno żałować innych rzeczy. Ale jak długo będę jasno zdawać sobie sprawę z własnych pragnień, jak długo nie będziesz oczekiwał ode mnie, że nigdy już więcej nie pomyślę o przyszłości, tak długo, jestem pewna, wszystko będzie się układało idealnie.

Collis pochylił się i pocałował jasny przedziałek na jej włosach.

– Kocham cię – powiedział. – Ale nie oczekuj ode mnie, że stanę się ideałem. Nigdy nim nie byłem i nigdy nim nie będę.

Podniosła ku niemu twarz, a on pocałował jej czoło, zamknięte powieki, a wreszcie usta.

– Wcale nie chcę ideału – wyszeptła. – Chcę ciebie. Potem dotknęła go delikatnie lewą ręką, ostrożnie, jak niewidoma dziewczynka badająca dotykiem dłoni, czy osoba, którą ma przed sobą, jest rzeczywiście kimś bliskim, kogo odnalazła po latach rozłąki.

Usiadł przy niej na łóżku i wziął ją w ramiona, czując ciepło i delikatność jej ciała przez sute warstwy koronki.

Upozowani byli jak para kochanków w ilustrowanym romansie; brakowało im jedynie przepasanych szarfami cherubinków, dzierzących bukietki kwiatów w różanych, cikliwych ramkach.

– Napawasz mnie lękiem – szepnęła mu cicho do ucha. – Miewam o tobie sny, których sama nie mogę sobie wytłumaczyć. A jednak od momentu, gdy cię pierwszy raz ujrzałam, wiedziałam jakoś, że cię będę kochać. Że inaczej być nie może.

Całował jej usta, raz po raz, tak żeby nie mogła już nic więcej powiedzieć. Nie chciał słyszeć o tym, że Hanna może mieć jeszcze jakiejkolwiek wątpliwości, albo że nadal trudno jest jej znaleźć usprawiedliwienie dla ich romansu. Najpierw całował ją delikatnie, ale w miarę jak jego uczucia wzbierały, jego pocałunki stawały się głębsze i bardziej żarliwe.

– Haniu – powiedział, okręcając jej jasne loki wokół palców. – Po co ty w ogóle kiedykolwiek wychodziłaś za męża?

– Ciii... – powiedziała.

– Dlaczego nie uchowałaś się dla mnie pod kloszem? – nalegał. – Dlaczego w ogóle czułaś potrzebę, żeby stanąć na ślubnym kobiercu z mężczyzną takim jak Walter?

Hanna położyła mu palec na ustach.

– Walter to dobry człowiek. Szlachetny i troskliwy. A poza tym, gdyby nie on, to przecież nigdy byśmy się nie spotkali, więc powinieneś być za to wdzięczny losowi.

– Spotkalibyśmy się jakoś. Założyłbym się o duże pieniądze, że jakoś byśmy się spotkali.

Uśmiechnęła się.

– Nie igraj z miłością. To za duża stawka.

Następny pocałunek był jeszcze dłuższy, jeszcze bardziej gorący – oboje pragnęli, aby trwał wiecznie. Ale kiedy ich usta rozchyliły się i kiedy popatrzyli na siebie z tak bliska, że źrenice ich oczu zdawały się czarne i zamglone, wiedzieli, co stanie się za chwilę. Collis wstał, podszedł do drzwi i przekręcił mosiężny klucz w zamku. Potem, stojąc tyłem do światła, zdjął swój wieczorowy surdut i odpiął mankiety koszuli. W przytłumionym świetle lampy, w nieskazitelnie białej koszuli i białej, wyjściowej kamizelce, był wyjątkowo przystojny; jeszcze przystojniejszy niż zazwyczaj. Coś go zmieniło od przyjazdu do Kalifornii – może doświadczenie, a może świadomość tego, czego naprawdę chce od życia.

Niezależnie od przyczyn lub przyczyny tych zmian, zdawał się teraz bardziej dojrzały i bardziej zrównoważony, a Hanna wiedziała, że może go kochać jako człowieka z charakterem, a nie tylko jako przystojnego zawadiakę. Odkryła u niego tę nową, ledwie uchwytną, ale jakże ujmującą cechę dopiero wczoraj w sklepie i gdyby Collis wiedział, jak bardzo przechyliło to szalę zwycięstwa przeciwko Walterowi na jego stronę, może miałby się bardziej na baczności, myśląc o Hannie.

Zbliżywszy się do Collisa, Hanna poczuła zapach lawendy. Myślała o tym, że jest ambitny i przebojowy. Inaczej niż poczciwy Walter, który przeszedłby sto jardów po rozżarzonych węgielkach, żeby tylko ją przy sobie zatrzymać. A jednak, kiedy mu powiedziała o swojej decyzji, siedział dalej w sklepie jak oniemiały, nie mogąc wydusić z siebie ani jednego słowa, które by ją przekonało, żeby została, albo nawet zatrzymało na pięć minut w drzwiach.

Collis usiadł w nogach łóżka i zdjął swoje błyszczące, wieczorowe spodnie. Potem, kiedy wstał, by rozpiąć koszulę, Hanna pochyliła się nad nocną szafką, dmuchnęła w szklany klosz lampy i przykręciła knot, by zgasić światło. Przesiąknięty zapachem perfum pokój zatopił się w ciemnościach i słychać już było tylko szelest ubrań.

Collis wskoczył do łóżka nago. W blasku nikłego światełka, które wdzierało się przez ciężkie, brązowe kotary, widział jej jasne loki rozrzucone na poduszce i zarys twarzy, choć mrok nie pozwalał mu dojrzeć, jakie się na niej malowały uczucia.

Położył się obok niej i zaczął ją całować; tym razem odpowiedziała z nagłością, która go zaszokowała i pobudziła jeszcze bardziej.

– Jesteś jak marzenie – powiedział, oddychając szybko i nierówno – jak pokusa zesłana tutaj z jakiejś mitycznej krainy.

Nie odpowiedziała, tylko oddała pocałunek i wpiła się wargami w jego usta.

Wodził ręką wzdłuż jej ciała, czując przez koronki koszuli emanujące z niej ciepło. Kiedy dotknął dłonią jej uda, chwycił koronkowe fałdy koszuli w palce, bez pośpiechu, jakby chciał zmiąć w garści miłosny list, i podwinął fałbanki, odsłaniając jej kolana, potem uda, aż wreszcie talię. Wstrząsnął nią dreszcz, nie z zimna, ale z zawstydzenia – leżała przed nim bez żadnej osłony, rozchylając lekko uda.

– Haniu – wyszeptał Collis, błędząc palcami po jej nagim łonie. Bezwiednie rozsunała jeszcze bardziej uda, niezdolna oprzeć się požądaniu, pragnąc gorąco, by jego dłoń dotarła i tam, w ostatni zakątek jej ciała, do którego nikt inny prócz jej ślubnego małżonka, Waltera, nie miał dotąd dostępu.

Być może kiedyś, za kilka miesięcy, opowie Collisowi o swoim pożyciu seksualnym z Walterem; o jego nieudolności, jego niezdarnych pieszczotach, zawsze nie w porę. A zresztą, może nigdy mu o tym nie powie. W tej chwili pragnęła tylko tego, co się jej święcie, a raczej wbrew świętemu sakramentowi, należało.

Poczuła teraz, jak Collis w porywie namiętności napręży wszystkie mięśnie i wygina się w łuk. Położyła jedną dłoń na jego muskularnej klatce piersiowej, a drugą wodziła po jego biodrach, wystających łopatkach i dotykała mięśni na karku i plecach. A potem, niemal przerażona własną śmiałością, sięgnęła dłonią między jego uda i gładziła go pieszczotliwie, bez żadnych zahamowań.

Wymamrotał coś niezrozumiale, a potem poczuła na swych policzkach i powiekach jego pocałunki. Wreszcie, poddając się zarówno własnemu, jak i jej pragnieniu, zaczął wchodzić w nią powoli, czując, jak dreszcz wstrząsa całym jego ciałem.

Zacisnęła mocno oczy. Grzech cudzołóstwa został popełniony. Nic gorszego już się stać nie może. Ale czyż nie okazałaby przynajmniej Bogu swojej szczerzej skruchy, czyż nie udowodniłaby, że naprawdę żałuje swojego wiarołomstwa, gdyby starała się powstrzymać Collisa właśnie teraz, w momencie penetracji? Mogłaby jeszcze dowieść, że potrafi się przełamać w chwili największej pokusy.

Ale tymczasem usłyszała swój własny, zdyszany głos: – Teraz... proszę, Collis, teraz... Poczuła, jak wślizguje się w nią tak głęboko, jakby powszechne ciężenie ruszyło z posad cały świat, a pokój kołysał się i chwiało od gwałtownych wstrząsów. W przyływie namiętności, a także dla zachowania równowagi, zwarła mocniej uda. Wyszedł z niej do połowy, a potem jednym pchnięciem wsunął się w nią znowu, jeszcze głębiej, biorąc w swoje posiadanie najbardziej intymne zakamarki jej ciała. Jakże inny był ten akt miłosny od nieudolnych wysiłków Waltera, który wzdygał się tylko na koniec i staczał z niej raptownie.

Collis nie zatrzymywał się. Wsuwał się w nią rytmicznie, z całej siły, głębiej, głębiej i jeszcze głębiej, aż zaczynała wątpić, czy będzie to w stanie wytrzymać. Odchodziła od zmysłów.

Słyszała nad sobą jego szybki, ciężki oddech, oddech mężczyzny płonącego pożądaniem.

Słyszała również, jak chrzęści pod nimi słomiany materac. I jeszcze czyjś śmiech – ale nie Collisa; śmiech, który pochodził z dalekiego świata przyzwoitości i błahych flirtów. Ale przede wszystkim czuła, jak przez jej ciało przechodzi mrowie, niczym musująca woda sodowa, niczym orzeźwiający, chłodny śnieg. A Collis wchodził w nią głębiej, wciąż głębiej; nigdy, w najśmielszych marzeniach, nie wyobrażała sobie, że mogłaby być kiedykolwiek pobudzona do tego stopnia. Nie dbała już więcej o cudzołóstwo ani o obyczajność; nie dbała już nawet o Boga; zatraciła się w sobie do reszty, tak, że nie wiedziała już w końcu, gdzie się znajduje i co się z nią dzieje.

Być może krzyczała, a może tylko tak jej się zdawało. Czuła wstępujące w siebie cudowne napięcie i nie wiedziała sama, czy chce je zaspokoić, czy też nie, bo na pewno ogarnie ją i obezwładni, a nawet pochłonie tak jak gwałtowne trzęsienie ziemi. Ale jak mogła to powstrzymać, skoro ich ciała

złączyły się w jedno i zespały z coraz większą mocą, w nie kończącym się rytmicznym uścisku?

Ale wnet nastąpiło przebudzenie; odezwało się sumienie, które krzychało, że to, co się dzieje, nie jest wcale kataklizmem natury. W bolesnym przeblasku świadomości zdała sobie zniemacka sprawę z tego, że w obcym, ciemnym pokoju hotelowym oddaje się mężczyźnie, który nie jest jej mężem; że leży w objęciach pełnego wigoru młodego człowieka, który wchodzi w nią coraz głębiej i którego pożąda tak namiętnie, że aż unosi w górę biodra, co dla przyzwoitej, szanującej się kobiety jest przecież niewybaczalną obrazą moralności.

W końcu, pod wpływem bojaźni religijnej i hamulców psychicznych, całe jej jestestwo zachwiało się gwałtownie, jak budynek na krawędzi upadku, kołysząc się na niepewnych fundamentach poczucia winy, małżeńskiego obowiązku i samozaparcia, gubiąc na wstępie gzymsy, potem parapety okienne, a wreszcie gonty dachówek, aż Collis pociągnął nosem, a ona poczuła wzmożone tętno, dreszcz i cały gmach jej życia począł walić się w gruzy, w tumultie dni, miesięcy i całych lat, wśród szczątków roztrzaskanych fotografii, zrujnowanych przyjaźni, zniweczonych powinności i rozdartych serc.

– Teraz już naprawdę należysz do mnie – powiedział Collis cichutko, całując ją delikatnie.

Otworzyła oczy, starając się dojrzeć go w mroku. Poczula zapach tytoniu i burbona, a także świeży aromat mydła i lawendy. Obezwładnił ją nagły przypływ ciepła w żyłach, więc przeciągnęła się leniwie.

– Może jednak istotnie należałoby załatwić tę sprawę rozwodu raczej wcześniej niż później – zauważyła.

Odwrócił się w jej stronę pytająco.

– Widzisz – mówiła dalej, jakby starała się usprawiedliwić tę nagłą zmianę decyzji – chcesz mnie zabrać ze sobą do Sacramento, prawda? A ta twoja Jane McCormick nie przebaczy nam tego, że żyjemy w grzechu.

– Rzeczywiście – przyznał ostrożnie.

Znowu milczenie. Wreszcie Hanna znowu zagaiła: – Słyszę w twoim głosie wahanie. Jakbyś wcale nie chciał, żebym się rozwiodła. Powiedz prawdę.

– Jak to nie. Oczywiście, że tego chcę. Jeżeli zastanowiłaś się nad tym głęboko, żebyś potem nie żałowała jakiejś pochopnej decyzji.

Pocałowała go tak leciutko, że ledwie poczuł ten pocałunek.

– Mówisz bez przekonania. Czy ogarnęły cię jakieś wątpliwości?

– Mnie? Ależ skądże! Co ci w ogóle przyszło do głowy?

– No więc właśnie chcę rozwodu z Walterem. Wiem to na pewno.

Ktoś zapukał do drzwi. Kobięcy głos, zaciągając, zapytał: – Czy pościelić łóżko, proszę pani?

Hanna znowu pocałowała Collisa. A potem odrzyknęła: – Później, proszę. Na razie jestem bardzo zajęta.

Collis prychnął ze śmiechu i usiadł na łóżku.

– Kiedy porozmawiasz z Walterem? – zapytał.

Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego nagich pleców, kreśląc palcami niewidzialne tatuaże.

– Miałam nadzieję, że ty to zrobisz.

– Ja?

– No tak. Jak mężczyzna z mężczyzną. Wiesz, co mam na myśli.

W mroku Collis przyjrzał się jej uważnie.

– Niezupełnie – odpowiedział.

*

Zdecydował, że zostanie w San Francisco jeszcze przez tydzień. Dni były pogodne, ale bardzo mroźne. Hanna spędzała większość czasu w hotelu International, w swoim pokoju albo schodząc na herbatę do hotelowej świetlicy, ale czasem, w wolne popołudnia, kiedy Collis nie był zajęty organizowaniem dostaw piroksyliny* albo nakrętek dla firmy Tucker, MrCormick i Edmonds, brał ją na spacer po plaży nad Pacyfikiem albo do chińskiej dzielnicy, aby pochodzić po sklepach i wypatrzeć ciekawe restauracje.

Niemalże jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki stał się bardzo znany na Sacramento Street, a chińscy złotnicy i szewcy kłaniali mu się w pas, gdy przechodził obok. Ta przedziwna ufność, jaką zdawało się pokładać w nim środowisko chińskie, jakby widziało jego przyszłość dużo wyraźniej niż on sam, onieśmiała go w pewnym stopniu.

W środę spotkał się znowu z Mr Yee, który poradził, żeby Collis zawarł bliższą znajomość z przywódcą stowarzyszenia On Leong Tong, niejakim Mr Kwangiem. Mieszkający z nim tymczasowo dziewiętnastoletni krewny ma podobno smykałkę do handlu, a zatem nadawałby się doskonale jako sukcesor Wang–Pu. Chociaż w tłumaczeniu z chińskiego nazwa stowarzyszenia brzmiała „Izba Czystego Sumienia”, On Leong Tong był w chińskiej dzielnicy głównym ośrodkiem trudniącym się handlem niewolnicami, a Mr Kwanga niepokoiło zainteresowanie, jakie jego młody kuzyn okazuje towarowi, więc być może zgodzi się, by go odstąpić.

Ich pierwsze spotkanie odbyło się na tarasie drugiego piętra okazałego domu Mr Kwanga na Jackson Street. Taras ten wychodził na prywatny ogród z fontannami i palmami.

Jaskrawopióre barwne papużki ćwierkały i świergotały radośnie, a dziewczęta, równie piękne i nietuzinkowe jak papużki, przyniosły im świeżo wykrochmalone serwetki, słodczyce i cygara.

Mr Kwang musiał być już po siedemdziesiątce, ale jego twarz była niezwykle gładka, a włosy nadal czarne. Nie miał zupełnie zębów, więc każdy kęs okręcał w ustach wielokrotnie językiem. Miał na sobie szlafrok z czystego jedwabiu, przetykany złotą nicią, który musiał kosztować tysiące dolarów. Parę stóp za nim stał milcząco, z szacunkiem, jego krewny, Kwang Lee, i bardzo powabna młoda osóbką, pół – Azjatka, w obcisłej sukni w pawie oka.

Collis domyślał się, że miała lat około jedenastu lub dwunastu, chociaż Mr Kwang zapewnił go, że nie zna lepszego „koliberka”. Koliber – Wang–Pu wyjaśnił mu pewnego wieczora – była to dziewczyna biegła w miłości francuskiej, tak zwanej fellatrice.

Po skończonym posiłku Mr Kwang powiedział: – Słyszałem, że poszukuje pan subiekta do pracy w swoim sklepie.

– Kupca, mówiąc ściśle. Kogoś, kto przyjeżdżałby regularnie z San Francisco i zapewniał regularne dostawy towaru. – Popukał się parę razy w czoło. – Kogoś z głową na karku, kto nie będzie kantował.

Mr Kwang pokiwał głową i uśmiechnął się.

– Kwang Lee będzie pasował jak ulał. Nie można wierzyć, kiedy wokoło kręcą się dziewczęta, ale pod każdym innym względem jest pracowity i przebiegły. Pobędzie z 1 albo dwa z panem i pańskimi współnikami w Sacramento i jakoś wyjdzie na ludzi.

– Z tego, co mówił Mr Yee, nadaje się do tej roli; znakomicie.

– Chce go więc pan zatrudnić na próbę? – spytał Mr Kwang.

– Dwadzieścia pięć dolarów na miesiąc plus wyżywienie i zakwaterowanie; przedsiębiorstwo zawsze pokrywa koszty podróży służbowych.

Nie oglądając się nawet za siebie, Mr Kwang zwrócił się do Kwang Lee: – Załatwione. Spakujesz się Kwang Lee, i w sobotę pojedziesz z nim do Sacramento.

Kwang Lee skinął głową.

– Nie pożałujesz tego, Kwang Lee. Mr McCormick, Mr Tucker i ja sam, wszyscy trzej często robimy wypadki w różne miejsca. Jeśli wejdiesz w biznes już teraz, to za parę lat ustawisz się świetnie w życiu.

Kwang Lee znów skinął głową, ale nadal nic się nie odezwał. ‘ Mr Kwang podniósł dłoń, a dziewczyna, która wysunęła się z wnętrza mieszkania, przyniosła dwie rzeźbione alabastrowe fajki i tytoń.

– To są specjalne fajki do palenia opium z czasów dynastii Tang – rzekł Mr Kwang. – Ale ja sam nigdy nie palę opium. Tylko idiotycie potrzebne są senne marzenia.

– Ja mam marzenie – rzekł Collis ostrożnie.

– Wiem – odparł Mr Kwang. – Ale pana marzenie z czasem stanie się najzwyczajszą rzeczywistością, inaczej niż marzenia wywołane przez opium. Pana marzenie tak bardzo kiedyś spowszedniało, że ludzie nawet nie bada o tym wspominać.

– Chciałbym mieć pana pewność.

– Nie – rzekł Mr Kwang. – Chciałby pan mieć mój spokój ducha.

Collis ściągnął brwi. Nie był zupełnie pewien, co Chińczyk miał na myśli.

– Za bardzo się pan ugina pod brzemieniem życiowych przeszkód – kontynuował Mr Kwang, ostrożnie upychając tytoń w maleńkim cybuchu fajeczki. – Nie potrafi pan patrzeć na nie tak jak ja, mówiąc po prostu: „Oddalcie się”.

– To bardzo atrakcyjna filozofia – przyznał Collis. – Ale nie ma ani odrobiny nadziei, że Sierra Nevada zniknie nagle z powierzchni ziemi tylko dlatego, że ja sobie tego życzę.

– Sierra Nevada nie stoi panu na przeszkodzie – rzekł Mr Kwang obojętnie.

Collis spojrzał na niego uważnie.

– Co pan ma na myśli?

– Jest pan teraz znaną osobistością w San Francisco, Mr Edmonds. Jest pan tutaj na cenzurowanym. Rozumiem, że pewien sklepikarz jest dziś dla pana największą przeszkodą.

– To znaczy...?

Mr Kwang uniósł dłoń.

– Może lepiej nie roztrząsajmy tej kwestii; nawet tu, w prywatnym zaciszu tego domu, ściany mają uszy, a służba, tak jak papugi, może nauczyć się mówić – i to nie zawsze w najbardziej dyskretnych miejscach.

– Dama, którą ma pan na myśli, wystąpi z pozwem o rozwód – rzekł Collis. Wyjął ziarenko dyni z maleńkiej porcelanowej miseczki stojącej naprzeciwko, rozgryzł je zębami, tak jak uczył go Wang-Pu, a potem wyjadł cały środek.

Mr Kwang zapalił zapalniczkę i pociągał łagodnie z cybucha fajeczki.

– Rozwód to nie zawsze honorowe rozwiązanie, prawda? Trudno zachować twarz, żeniąc się z rozwódką, czy nie mam racji?

– Zachować twarz?

– Pan dobrze rozumie, o czym mówię, Mr Edmonds. Był pan przyjacielem Wang-Pu.

Collis poczuł się nieswojo.

– więc co mam zrobić? Doprawdy, nie jestem pewien, co pan sugeruje, Mr Kwang.

– Zrobić? – powtórzył Mr Kwang, z twarzą tak gładką jak wyłuskany migdał. – Wcale nie sugeruję, że powinien pan robić cokolwiek. W tym właśnie leży sedno całej sprawy.

Niech pan zachowa spokój. Niech pan nic nie robi, a pana przeszkoda zniknie sama, przekona się pan.

*

W piątek Collis i Hanna zjedli obiad na placu targowym California, w Darbee & Immel's; zamówili ogromny kopiec skorupiaków, dwa małe rumsztyki i dzbanuszek gorącej kawy.

Collis spędził większość dnia z Andy Huntem, wyklócając się z nim na temat kolei, a później, po południu, miał iść do Horace'a Johnsona, jednego z dyrektorów Pacific Mail, z nadzieją, że może uda mu się złagodzić opozycję tego przedsiębiorstwa transportu morskiego w stosunku do kolei. Johnson wypowiedział się już raz publicznie, że jedyną gwarancją bezpieczeństwa i rozwoju gospodarki Kalifornii jest izolacja tego stanu od reszty kraju i że zbudowane połączenia kolejowego ze Wschodem zniszczyłoby „za jednym zamachem zarówno jej polityczną stabilność, jak i siłę nabywczą pieniądza”.

Johnson nie wspomniał oczywiście o tym, że połączenie kolejowe zniszczyłoby bardzo intratny monopol właścicieli dyliżansów i parowcowych przedsiębiorstw przewozowych.

Hanna była blada i prawie nic nie jadła. Collis zdawał sobie sprawę, że to pobyt w San Francisco, tylko parę kroków od Waltera, odbija się na niej niekorzystnie. Według wszelkich znanych Collisowi definicji miłości Hanna kochała go dużo bardziej niż Waltera i na pewno nadal chciała rozvodu. Ale poryw tej pierwszej wspólnej nocy przytłumiony został oczekiwaniem tego, co przyniesie jutro; siedziała najczęściej samotnie w pokoju hotelu International, wpatrując się w popołudniowe światło, które ścieliło się po wzorzystych tapetach i podłogach. Ogarnęły ją wątpliwości: może to zadurzenie nie jest warte ceny, którą będzie musiała za nie zapłacić: ceny utraty szacunku, harmonii małżeńskiej i czystego sumienia wobec Boga.

Collis domyślał się, że traciła odwagę. Kiedy kochali się w czwartek, była zupełnie rozkojarzona. Wiedział, że jeśli nie podejmie szybkich, zdecydowanych kroków, aby odbudować jej społeczną pozycję, może ją utracić.

– Po rozmowie z Johnsonem pójde do sklepu i zobaczę się z Walterem – powiedział przy kawie.

Podniosła wzrok, a oczy jej rozszerzyły się.

– Przyrzekasz?

Collis przytaknął skinieniem głowy. W stołówce panował gwar i ścisk, a stukot pustych skorupiek po talerzach, oczyszczanych z talerzy, brzmiał jak kastaniety.

– Chcę cię mieć wyłącznie dla siebie, Haniu – dodał Collis i wyciągnął dłoń po jej rękę.

– Tak – powiedziała czule, ale jakby niepewnie. – Ale nie bądź dla niego okrutny, dobrze? Nie będziesz... – Będę się z nim obchodził jak z pękniętym jajkiem – zapewnił ją Collis.

Hanna podniosła do ust filiżankę, zorientowała się, że była pusta, i postawiła ją z powrotem na stole.

– Wobec tego będę czekać na ciebie w hotelu – powiedziała. – Nie będziesz długo, prawda? Nie będziesz mnie trzymał zbyt długo w niepewności?

Collis nie odpowiedział. Nie będzie wiedział nic, dopóki nie porozmawia z Walterem.

Podszedł do nich kelner z białą ściereczką przewieszoną przez ramię i spytał lakonicznie: „Można zabrać?” Collis wzruszył w jego stronę ramionami, co mogło oznaczać, że tak.

W godzinę później, w wyłożonej dębową boazerią kancelarii Pacific Mail, Collis stał przy oknie poczekalni, wpatrując się w trójkątny układ ulic przy Montgomery Street. Hanna czekała na niego, a on czekał na swoje spotkanie z Horace’em Johnsonem. Wypalił już dwa cygara, co wyraźnie irytowało piersiastą – i bardzo zasadniczą – recepcjonistkę, a miał ochotę na jeszcze jedno.

Wreszcie jednak wybiła trzecia i drzwi gabinetu Horace’a Johnsona otworzyły się. Ukazał się w nich sam Horace – wielgachny, szerokachny, przysadzisty, chłop z krzepą, powszechnie znany w San Francisco obżartuch i hulaka; czerwony na twarzy, posiwiał, z binoklami osadzonymi na mięsiwie swego nochala. Zaprosił Collisa gestem dłoni, jakby kierował ruchem drogowym.

– Wiem dobrze, co tu pana sprowadza – powiedział głębokim, tubalnym głosem.

– Chciałbym po prostu zacieśnić naszą znajomość i dojść do porozumienia – rzekł Collis ostrożnie.
– Nie oczekuję, że uzyskam pańskie poparcie.

Johnson usiadł w wielkim, wygodnym, skórzanym fotelu i skrzyżował palce.

– I bardzo dobrze, Mr Edmonds, bo inaczej byś się pan bardzo rozczarował.

Rozmawiałem już z tym pana współnikiem, tym w kraciastym surducie. Wyszczekany osobnik nie powiem; i nie w ciemny bity. Zgodziłem się dziś na to spotkanie tylko po to, żeby przedstawić panu mój pogląd na tę sprawę bez ogródek, osobiście – tak jasno, jak tylko, psiakrew, potrafię.

– Dziękuję za szczerość – odparł Collis z kwaśnym uśmiechem. – Słyszałem, że nie przebiera pan w słowach, tak jak nie przebiera pan w środkach ani w wiktuałach.

Johnson wpatrywał się w niego przez chwilę, a potem zakrztusił się ze śmiechu.

– Podoba mi się pańska bezczelność, Mr Edmonds. Zawsze lubiłem ludzi z tupetem. Ale niech pan zważy moje słowa, kiedy pan będzie tu, w Kalifornii, tak długo jak ja i kiedy pan również wyhoduje sobie kałdun, z którego będzie pan mógł być dumny.

Poklepał się po brzuchu jak sztubak, któremu dobrze powiodło się w szkole.

– Wybuduję kolej transkontynentalną, Mr Johnson. Chcę, żeby dochodziła aż tutaj, do San Francisco. Czy Pacific Mail nie zaprzestanie robić mi pod tym względem trudności?

Johnson podrapał się po policzku, koło ucha.

– Pacific Mail nie będzie jedynym przedsiębiorstwem, które będzie panu robić trudności, Mr Edmonds. Niech pan nie sądzi, że to tylko my i Kalifornijska Żegluga Parowcowa albo promy, takie jak Wells Fargo. Wie pan, kto panu będzie robić trudności? Powiem panu: wszyscy kalifornijscy przedsiębiorcy, którzy mają już dość i pana, i tej pańskiej bandy sklepikarzy z Sacramento, i waszych idiotycznych projektów. Gdyby udało się panu doprowadzić tę swoją kolej tu, do San Francisco, do samej przystani, to tak naprawdę zdobyłby pan kontrolę nad całym regionalnym transportem morskim, więc na dobrą sprawę miałby pan w ręku całe miasto.

– Wiem o tym – odparł Collis. – Ale to przecież właśnie postęp. Tego pan nie powstrzyma. Pewnego dnia kolej będzie przebiegać przez Sierra Nevada i co pan wtedy zrobi? Rozłóż pan swoje brzuszysko na torach i zagrozi lokomotywie drogę?

– Powiem panu jeszcze tylko jedną rzecz – warknął Johnson. – Nasze przedsiębiorstwo transportu morskiego i inne przedsiębiorstwa, które stanowią gros miejscowego kapitału, odpierać będą z całą mocą wasze usiłowania, by doprowadzić linię kolejową do San Francisco. Uprzedzam: nie wygra pan z nami, – więc nie powącha pan ani grosza z tych zakładów z Arturem Teachem, Laurence'em Melfordem i innymi facetami.

– A skąd pan o nich wie?

Horace Johnson potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć: „To żadna tajemnica”, a potem dodał: – Sam się z panem załóżę. Za każdy nadmorski jard; gdzie ułoży pan swoje tory, kupię panu butelkę brandy.

Collis włożył na głowę cylinder i klepnął w denko parę razy.

– Mr Johnson – powiedział, wyciągając do niego dłoń. – Czeka mnie zatem okropna pijacka dekada.

*

Dużo później, rozmawiając na osobności z Hanną, w zaciszu jej pokoju hotelowego, kryjąc twarz w mroku nocy, starł się sam zrozumieć, czyja to była wina. Horace'a Johnsona, że trzymał go tak długo w swoim gabinecie? Jego własna, że rozmawiał tak otwarcie z Mr Kwangiem? Czy też może samej kolei, tej lśniącej, apokaliptycznej wizji, która domagała się ofiar z ludzkiego życia i cierpienia.

Kolej zdawała się żadna krwi. Collis rozumiał teraz, dlaczego ludzie tacy jak Horace Johnson bali się jej panicznie. On sam też myślał o niej z przerażeniem. Czuł, jakby i on, i jego wspólnicy z Sierra Pacific byli w posiadaniu jakiegoś tajemniczego stalowego miecza, równie magicznego i mitycznego jak Excalibur*, który, obnażony, jednym cięciem był w stanie przeciąć wszystkie powiązania Ameryki z jej tradycjami i przeszłością. Przygnębiła go ta myśl, ale i fascynowała zarazem. Wiedział, że będzie go musiał dźmierzyć w dłoni któregoś dnia, a cała Ameryka zmieni swe oblicze bezpowrotnie.

Wyszedł z biura Horace'a Johnsona kwadrans po trzeciej. Ochłodziło się, więc zapiął rękawiczki. Zatrzymał się przed trafiką, aby wypełnić cygarnicę, a potem poszedł w stronę pasmanterii Waltera Westa. Jego serce biło równo, ale bardzo silnie. W swojej obszernej szarej jesionce czuł się, jak terminator w zakładzie pogrzebowym, który zajmuje się pogrzebem pożycia małżeńskiego.

Dzwonek nad drzwiami sklepu zabrzączał głośno, a Collis pchnął drzwi i wszedł do środka. Sklep zdawał się dziwnie pusty i głuchy. Collis zatrzymał się, potem zrobił parę kroków po deskach podłogi i zawołał: – Mr West? Jest tam kto?

Sztywne manekiny w witrynie sklepu, o jaskraworóżowych twarzach, uśmiechały się do niego, patrząc, a nie widząc. W snopach słonecznego światła unosił się kurz z nici i tkanin bawełnianych. Wnętrze przesiąknięte było zapachem naftaliny i siemienia lnianego. W podwórku obok jakaś kobieta wołała: – William, William! Kici, kici, kici!

– Mr West? – zawołał ponownie Collis. Znowu nie było odpowiedzi. Przeczekał parę sekund, a potem podszedł do kontuaru i z całą siłą nacisnął na mosiężny dzwonek.

Brzęk dzwonka zamarł w powietrzu. Collis odwrócił się plecami do kontuaru i odetchnął głęboko. Już samo przyjście tutaj na rozmowę z Walterem Westem o rozwodzie Hanny wymagało od niego nie lada odwagi. Ale ta głucha cisza i to oczekiwanie w zimnym sklepie były sto razy gorsze.

Usłyszał jakiś chrobot i znowu się odwrócił. Nadśluchiwał, zatrwożony. Tętniło mu w uszach, aż myślał, że z bólu popękają mu bębniaki. Cisza przez parę chwil, ale potem znowu chrobot i coś, co mogło być szeptem, który zdawał się dochodzić zza kontuaru.

Collis ostrożnie obszedł bele bawełnianej tkaniny z kraciastej przędzy, doszedł do samego końca kontuaru i nachylił się nad nim. Spojrzał, a widok ten zmroził mu krew w żyłach i przyprowadził o dreszcze. Po plecach przeszły mu ciarki. Bele płowóżółtego perkalu po drugiej stronie lady zbryzgane były krwią.

– O mój Boże! – Collis nie mógł złapać tchu. Odsunął bele na bok i wszedł za kontuar.

A tam, wśród uwalanych krwią kwitariuszy i postrzępionych taśm mierniczych, z włosami i brodą pozlepianymi czarną, mazistą jak melasa posoką, leżał Walter West.

Collis zesztyniał z przerażenia i grozy. Stykał się już przedtem ze śmiercią: widział wielu ludzi zabitych, przejechanych przez powozy, a nawet ciała dzieci pędzone nurtem East River, ale już sama ilość krwi, w której skąpane było ciało Waltera Westa, napawała go obrzydzeniem. To wprost nie do pomyślenia! Jak ktoś w ogóle mógł mieć aż tyle krwi?

Drżącymi rękoma Collis przyciągnął ku sobie jedną z beli i przykucnął na niej obok ciała szmuklerza. Ledwie zdołał wydusić z siebie parę słów. Wyszeptał delikatnie: – Mr West? Walter?

Ale Walter West nie otwierał spuchniętych oczu, a gdy Collis przyłożył cztery palce do jego zamkniętych ust, nie poczuł oddechu. Być może słyszał wcześniej jego ostatnie tchnienie: ten chrobot i ten szept.

Collis poczuł, że wszystko przewraca mu się w żołądku. Z bliska dostrzegł wyraźnie, co się stało. Walter West zaatakowany został kindzałami albo toporami tak ostrymi, że niektóre z ran na jego

twarży były nie szersze niż cieniutkie, czerwone włoski. Ramiona i dłonie posiekane miał w sposób barbarzyński, co mogło oznaczać, że usiłował bronić się przed napastnikami.

Tweedowa kamizelka pocięta była w zakrwawione strzępki i tylko łańcuszek od zegarka trzymał się w miękkim wyrzuceniu jasnorożowego jelita.

Collis powstał z klęczek. Zrobiło mu się nagle duszno i gorąco. Przygnębiał go już sam widok sklepu. Zaczął się pocić i trząść, jakby cierpiał na chroniczne zapalenie płuc. Podszedł do drzwi i stał tam przez jakiś czas, wpatrując się w dobrze sobie znaną, zwyczajną ulicę, która nagle wydała mu się nierzeczywista, jak nie z tego świata.

Wiedział, że nie może wezwać policji. Żył z żoną Waltera Westa w związku, który nawet sędzia śledczy o najbardziej otwartym umyśle uważałby za niestosowny. Stanowiłoby to motyw zbrodni pierwszej klasy. Musiał odejść, i to odejść dyskretnie, przez nikogo nie zauważony.

Nacisnął cylinder na czoło. Potem szybko zszedł po schodkach na chodnik i zamknął za sobą drzwi. Usłyszał przeraźliwy brzęk dzwonka. Przeraźliwy, tak. Ale nie na tyle, żeby obudzić umarłego, pomyślał Collis.

Idąc na północ przez Montgomery Street, aż do Clay Street, oblewał się zimnym potem.

Następnie skręcił w prawo i zszedł mechanicznie w dół, na nadbrzeże. Szedł brzegiem morza, aż doszedł do przystani na Pacific Street, nie zwracając uwagi na furmanki i powozy ani na hałaśliwą bieganinę kupców, przewoźników i sztauerów*. Potem skręcił w boczną alejkę i przepchnął się do okrytej niesławą knajpy stręczycieli, pod nazwą „Wesołek”. Smród był tam i tłok nieprzećiętny, ale Collis koniecznie musiał się czegoś napić, choćby i w towarzystwie marynarzy, pijaków i tanich dziwek. Rozpychając się łokciami w stronę baru, gdzie łysy Murzyn ze złotymi kolczykami w uszach napelniał kufle kalifornijskim piwem, Collis poprosił szorstko o burbona. Murzyn postawił przed nim całą butelkę Kentucky Eagle i kieliszek. Ci, którzy przychodzili pić do „Wesołka”, na ogół nie szukali zapomnienia w wymierzonych, mikroskopijnych porcyjkach.

Wypił kieliszek jednym haustem i nalał sobie drugiego. Młoda dziewczyna, z ufarbowanymi na czarno włosami i plackami jaskrawego, czerwonego różu na policzkach, przepchnęła się w jego kierunku. Pachniała potem i konwaliami. Staniczek jej jasno – brązowej, hiszpańskiej sukni był rozsznurowany, tak że na wierzchu sterczały jej sutki.

Ścisnęła Collisa niedwuznacznie za udo i spytała: – Postawisz kieliszek grzecznej dziewczynce, skarbenku? Wlepił w nią nie widzące oczy. Walter West leżał porąbany w kawałki na podłodze swojego sklepu, a to Collis właśnie, akurat tydzień temu, zgotował mu takie piekło. Słodki Jezu Chryste, pomyślał, jak mało – tak naprawdę – pragniemy rzeczy, o które się modlimy.

Poszedł piechotą aż do Janki Zadupczanki. Nie wiedział, dlaczego czuł takie nieodparte pragnienie, by udać się właśnie do niej, ale poszedł prościutko w tamtą stronę, nie myśląc wcale o tym, by najpierw zobaczyć się z Hanną w hotelu International. Nie ustalił sobie jeszcze, jak ma powiedzieć o tym Hannie, a poza tym chciał się najpierw przed kimś wygadać; przed kimś, kto będzie mu współczuł i zrozumie jego szok na widok zbroczonego krwią ciała Waltera Westa. Potem będzie musiał jakoś poradzić sobie z jej szokiem. Janka Zadupczanka będzie mu również mogła dostarczyć alibi, a to nie bagatelka, szczególnie teraz, w tych czasach, kiedy prawo stara się być takie wszędobylskie.

Janka Zadupczanka przyjęła go w salonie. Była ubrana, o ironio losu! – na czarno, po śmierci ulubionego klienta. Umarł we wtorek – starszy bankier, który przez dziesięć lat hojnie dzielił się z nią zawartością swego grubego portfela oraz swoim skąpym nasieniem i zawsze nazywał ją swoją „owieczką”.

Janka nie była specjalnie zadowolona z wizyty Collisa i odwróciła się do niego, gdy usiłował ją pocałować w policzek. Jak królowa półświatka, którą zresztą była rzeczywiście.

Albo jak matka.

– Napijesz się czegoś? – spytała. – Kieliszeczek postawiłby cię na nogi.

– Dziękuję, mam dość. Piłem na przystani.

Patrzyła na niego jakiś czas w milczeniu, wyprostowana. Jej piegowate piersi wznosiły się pod obcisłą, czarną krezą staniczka.

– Coś się stało – powiedziała, a jej głos zabrzmiał nieco łagodniej. – Posprzeczaliście się z Hanną, czy co?

Nie mógł z siebie wydobyć ani słowa. Pod wpływem whisky i wstrząsu, którego doznał tak niedawno, napuchły mu wargi i mówienie przychodziło mu z wielkim trudem.

– Dziś po południu poszedłem zobaczyć się z jej mężem, żeby porozmawiać o rozwodzie.

Myśleliśmy, że najlepiej będzie, jeśli spotkam się z nim twarzą w twarz. Najuczciwiej. Ale kiedy tam zaszedłem, zastałem go martwego.

– Martwego? Jak to martwego?

– Właśnie tak. Zamordowanego. Poćwiartowanego na kawałki jak sztuka mięsa. Sam się sobie dziwię, że nie zwróciłem całego obiadu. Tyle krwi... mój Boże.

– Widział cię tam kto? – spytała Janka Zadupczanka, która lubiła podchodzić do rzeczy od strony praktycznej.

– Chyba nie. Od razu wyszedłem.

– No, to przynajmniej jedno błogosławieństwo boskie – powiedziała. – Jeśli ktoś spyta, to spędziłeś popołudnie tutaj z moją nową dziewczyną, Laurą z Denver. Jest brunetką i ma na udzie znamię w kształcie Wyspy Rodezyjskiej.

– Wyspy Rodezyjskiej? – spytał Collis z niedowierzaniem. Janka Zadupczanka wstała, szeleszcząc czarną spódnicą.

– Czy domyślasz się, kto to mógł zrobić?

– Nie mam zielonego pojęcia. Zdarzają się napaści na poszukiwaczy złota. Albo na karciarzy. Ale na sklepikarza?

Janka Zadupczanka położyła mu dłoń na ramieniu.

– Czy ktoś, oprócz Hanny oczywiście, wiedział, że miałeś zamiar tam dzisiaj iść? Czy ktoś wiedział, że byłeś tam w pobliżu?

– Tuż przed pójściem do Westa miałem spotkanie z Horace’em Johnsonem z przedsiębiorstwa transportu morskiego Pacific Mail. Ale on chyba nic nie wie o Hannie. Do głowy by mu nie przyszło, że mogę mieć coś wspólnego ze śmiercią Waltera Westa.

– Musisz uważać na Horace’a. To tłuścioch, ale szczwany lis.

– Znasz go?

Janka Zadupczanka uśmiechnęła się do niego.

– Horace Johnson, mój drogi, oprócz jedzenia i picia ma jeszcze inne apetyty. To jeden z moich stałych klientów.

Collis spojrział na Jankę Zadupczankę z głową przechyloną na bok.

– Nie powiedziałaabyś mi czasami... eee... jakie... jakiego rodzaju są te apetyty? To wykluczone?

– Nie powinnam.

– No a jeśli słyszał o Hannie? Zresztą, jeśli nawet nie wie o tym jeszcze, to na pewno wcześniej czy później się dowie, jak już się pobierzemy. Czy nie byłoby bezpieczniej, gdybym wiedział co nieco na jego temat? Coś dla samoobrony?

Janka Zadupczanka przyznała mu rację skinieniem głowy. Potem machnęła ręką i rozsiadła się, szeleszcząc falbanami sukni. Postawiła swój kieliszek obok, na stoliczku do wina.

– Horace Johnson – powiedziała bez żadnego wstępu – I jest zapalonym entuzjastą kategorii sportowej, która nosi miano „dyscypliny”. Lubi być przywiązywany kajdankami do łóżka. Znęcają się nad nim naraz dwie, czasem trzy dziewczyny.

– Horace Johnson? – spytał Collis, unosząc brwi ze zdziwienia.

– I to wcale nie jest taki odosobniony przypadek. Mężczyźni, którzy mają wielką władzę, ci, którzy wzbudzają w innych postrach, potrzebują takiej chwili, gdy sami zdani są całkowicie na łaskę kogoś innego. Mam tu senatorów stanowych, którzy przyjeżdżają na „dyscyplinę” aż z Sacramento.

Collis pogładził się w zamyśleniu po brodzie.

– No a Mrs Johnson? Czy ona nie może zaspokoić jego potrzeb w tym względzie?

Janka Zadupczanka wybuchnęła śmiechem. Jej śmiech był cierpki, tak jak i sherry.

– Musisz się jeszcze dużo nauczyć na temat towarzystwa z San Francisco, mój mileńki.

Mrs Esther Harris Johnson jest córką Milwarda Harrisa, prezesa Komisji Stanowej do Spraw Żeglugi Morskiej. Bardzo surowa, wyniosła i pobożna matrona, seksualnie w ogóle nie w guście Horace'a. Ale za to jej rodzinne powiązania pozwoliły Pacific Mail przejąć kontrolę nad całym transportem morskim w okolicy. Horace Johnson nie ożenił się z nią, oczywiście, z miłości ani nawet dla „dyscypliny”. Po to przychodzi tutaj. To było małżeństwo z rozsądku, nic więcej.

– No, no! – powiedział Collis.

Życiowa mądrość Janki Zadupczanki, jej znajomość świata i ludzi oraz kompletny spokój zaczynały wpływać na niego kojąco. I po raz pierwszy, odkąd klęczał nad poćwiartowanym ciałem Waltera Westa, pozwolił sobie na okrutną, ale nieodpartą myśl, że Hanna jest teraz wdową, że zyskując wolność, nie straci w oczach ludzkich szacunku, i że nie trzeba będzie myśleć o rozwodzie.

– Kto powinien powiedzieć o tym Hannie? – spytał cicho. – Ja sam? To znaczy o tym, że znalazłem zwłoki Waltera?

Janka Zadupczanka wzruszyła ramionami.

– Rób, jak chcesz. Ja uważam, że byłoby roztropniej poczekać, aż ktoś inny przyniesie jej tę wiadomość.

– Tak – przyznał Collis.

Pozłacany zegar wybił piątą. Nie ruszał się z miejsca przez jakiś czas, a potem pochylił się i pocałował Jankę Zadupczankę prosto w usta.

– Moje kondolencje z powodu twojego bankiera. Odwróciła głowę.

– Dziękuję. Kondolencje z powodu twego sklepikarza. Ale dla nas, którzyśmy tu zostali, życie toczy się dalej, prawda?

Po drodze do hotelu International, przed spotkaniem z Hanną, Collis złożył wizytę jeszcze jednej osobie. Tą osobą był Dan McReady w Eagle Saloon. Dan zajęty był właśnie przy stołach z faraonem, odciążając dwu brodatych kopaczy złota z uciulanych w pocie czoła, przez siedem długich miesięcy, pieniędzy, ale poprosił jednego z krupierów, by ten zastąpił go na momencik, a sam podszedł do baru i przysiadł się do Collisa.

– Dan – rzekł cicho Collis konspiracyjnym szeptem. – Co ty wiesz na temat tego Mr Kwanga?

Dan wychylił duszkiem kieliszek whisky, odkaslnął i skrzywił się niesamowicie.

– Chyba nie więcej niż inni. To kawał skurwysyna. Ale dotrzymuje słowa. Ten zawsze wie dobrze, z której strony wiatr wieje.

– To znaczy?

– To znaczy wyświadczy ci dziś przysługę, ale będzie oczekiwał w zamian jeszcze większej pojutrze.

– Tego się właśnie obawiałem.

– Nie rozumiem?

– To proste. Powinienem był pomyśleć o tym wcześniej. Kiedy poszedłem porozmawiać z Mr Kwangiem, tak się stało, że wspomniałem o Walterze Weście. Wiesz, mężu Hanny.

Powiedziałem nieopatrznie, że oprócz Sierra Nevada małżeństwo Hanny z Walterem Western jest jedną z przeszkód w realizacji moich planów.

– A on co na to?

– Powiedział, żebym się nie przejmował, czekał spokojnie, a przeszkoda sama zniknie.

– I?

– Walter West został zamordowany. Dziś po południu, we własnym sklepie.

Dan McReady otworzył oczy ze zdumienia, a potem jego twarz przybrała wyraz głębokiego smutku, starając się przesadnie wyrazić ból i potępienie.

– To okropna nowina. A jak umarł?

– Chyba topory albo kindżały. Jakieś straszne cholerstwo. Rozcięli mu jelita, nie zdzierając nawet guzików przy kamizelce.

– To sprawka Kitajców, nie ma dwóch zdań – potwierdził Dan. – Zabijają ludzi tak, jak siekają swoje żarcie. Białe użyłby broni palnej i rozłupał mu po prostu czachę.

Collis odsunął swego drinka. Zamilkł na chwilę, a potem nadstawił kieliszek na dolewkę.

– Wygląda mi na to, że Mr Kwang wyświadczył mi przysługę. Bardzo to po koleżeńsku z jego strony, nie uważasz?

Drzę na myśl, czego oczekuje w zamian. Dan McReady wydał policzki.

– Powie ci, jak przyjdzie czas. A tymczasem na twoim miejscu liczyłbym własne błogosławieństwa i miał nadzieję, że Mrs West jakoś się z tego otrząśnie po pierwszym szoku.

– To mnie właśnie najbardziej martwi – rzekł Collis. – Jestem pewien, że strasznie ją to załamie.

Dlatego właśnie siedział teraz w pokoju Hanny, bez światła, podczas gdy Hanna chodziła z kąta w kąt, z zaczerwienionymi od płaczu oczami. Wypił za dużo burbona i spędził zbyt wiele godzin, przemawiając do niej łagodnie, tonem pełnym współczucia – z tego wszystkiego zaschło mu w gardle. Czuł się wykończony, a jego umysł pławił się w whisky; pragnął jak najszybciej położyć się do łóżka. Ale, na jego nieszczęście, Hanna nie mogła usiedzieć spokojnie w miejscu. Zaciskając pięści, starała się, bezskutecznie, zrozumieć, dlaczego, dlaczego, dlaczego Walter musiał przyplącić to życie. Pytała samą siebie setki razy, czy to była jej wina, czy też zwykła niesprawiedliwość losu, która zawsze uderza w pechowców, a szczęściarzy pozostawia bez szwanku.

Dowiedziała się o tym, co się stało, już przed powrotem Collisa. Goniec, młody chłopak, został wysłany do hotelu International z depeszą i czekał na swój napiwek, podczas gdy jej oczy, w miarę jak czytała, zachodziły mgłą. Depesza powiadamiała ją, że jej mąż zmarł z upływu krwi na skutek odniesionych ran. Wlepiała w gońca wzrok i z jakiejś przyczyny zdawało się jej, że był to syn, którego ona i Walter tak bardzo kiedyś pragnęli. Wyszepiała „Christopher”, ale przez łzy rysy chłopca zniekształciły się jak w krzywym zwierciadle.

Kiedy Collis zapukał do jej pokoju, otworzyła drzwi z twarzą białą jak prześcieradło.

– Nie poszedłeś zobaczyć się z Walterem – powiedziała. Jej głos zabrzmiał dziwnie głucho, jakby przystawiła do ust pustą filiżankę.

– Ja... tego... eeee... nieeeee... Nie... bo pomyślałem, że może... tego... musimy jeszcze porozmawiać. Nie byłem pewien, co mam mu... Przeszyła go wzrokiem, który zamknął mu usta.

– Przyszedł tu goniec z depeszą. Walter został zamordowany.

Collis nie próbował nawet udawać. Był na to zbyt zmęczony. Zamiast tego po prostu został w jej pokoju, podczas gdy ona wyrzucała z siebie poczucie winy, cierpienie i rozpacz, że czuje mniej bólu niż powinna. Dopiero gdy się kompletnie wyczerpała, gdy wyplakała oczy do sucha i kiedy mówiła po prostu po to, żeby nie musieć myśleć, przypomniał jej o najprostszym i najważniejszym ze wszystkich faktów.

– Haniu – powiedział – jesteś teraz wdową. Spojrzała na niego. W pokoju było tak ciemno, że ledwo mogli dojrzeć siebie nawzajem.

– Może gdybyś tam poszedł, uratowałbyś mu życie – powiedziała.

Collis naburmuszył się.

– Może. Ale może i ja zostałbym zamordowany.

– Nie mów tak. Nie mogę tego znieść.

– Haniu, przecież nie przywrócę ci go żadną siłą. Nie mogę zmienić biegu wypadków.

Nie poszedłem się z nim dziś zobaczyć i tyle. Nie wiem, dlaczego został zamordowany. Może miał jakichś wrogów w biznesie, o których ty nic nie wiedziałaś. Może miał jakieś długi.

Stanąła w kącie pokoju, odwracając się do niego plecami.

– Będę nosić po nim żałobę – powiedziała cichutko.

– Jak długo?

– W Bostonie byłoby to przez rok. Ale ze względu na okoliczności tu wystarczy pół roku.

– Żyjemy w nowoczesnym świecie, Haniu. Życie pędzi i łeb na szyję. Sześć miesięcy to kawał czasu. Wiele rzeczy może zmienić.

– Wiem, Collis. Ale straciłam męża i czy kochałam prawdziwie, czy nie, będę nosić po nim żałobę.

Pochowali Waltera Westa w cztery dni później, we wtorek, i na cmentarzu Lone Mountain.

Zbiegiem okoliczności z Presidio dochodził dźwięk trąbki – widocznie trębacz ćwiczył przed I występem. Był to mroźny, rzeński dzień; żałobnicy posuwali się I wolno po porządnie utrzymanych alejach cmentarnych, a para I szła im z ust przy każdym oddechu. Było tam paru przyjaciół Waltera, większość z nich sklepikarze, i krepy przedstawiciel Stowarzyszenia Handlowców, który raz po raz zerkał na swój ciężki kieszonkowy zegarek. Collis stał przez jakiś czas nad grobem, z odkrytą głową, parę kroków za nim Dan McReady, a Kwang Lee, w błyszczącym, czarnym cylindrze, zatrzymał się grzecznie obok świeżo posadzonych cyprysów.

Andy Hunt, w jaskrawym surducie w kolorze wrzosu, czekał na Collisa przy bramie cmentarnej. Policzki miał czerwone i nie mógł złapać tchu.

– Andy! – rzekł Collis, odciągając go na bok. – Coś ty taki zaaferowany? Co się stało?

– Właśnie wracam z Embarcadero – odparł Andy. – Przyszła wiadomość ze Wschodu.

Właśnie przyплыnęła na „Sonorze”. John Brown z grupą dwudziestu ludzi zaatakował Harper’s Ferry w Wirginii i wdarł się do zbrojowni Stanów Zjednoczonych. Okupował ją nawet przez jakiś czas, nawołując do powstania.

– I co? – dopytywał się Collis. – Czy chwycili za broń?

Andy pokręcił głową.

– Brown został osaczony przez marynarzy i pojmany. Dwóch jego synów zginęło w tym starciu. Jego chyba też powieszają. Po prostu wziął całą sprawę niewolnictwa w swoje ręce, a nie miał potrzebnych środków, by doprowadzić ją do końca. Ale to oczywiście postawiło pod broń całe Południe, więc wygląda, że jednak dojdzie wreszcie do secesji.

Hanna czekała na Collisa parę kroków dalej, wsparta na ramieniu wysokiej, szpetnej kobiety, Fredy McPherson. Collis położył dłoń na ramieniu Andy’ego, by pomóc mu ochłonać z podniecenia.

– Pomówię z tobą później. Teraz muszę iść na stypę.

– Ale wiesz, co to oznacza? – zasyczał Andy. – Jeśli Południe odłączy się i będzie wojna, to będą musieli wybudować kolej, i to na naszej trasie.

– A coś ty się tak nagle podniecił koleją? – spytał Collis. – Kiedyśmy się widzieli ostatnim razem, pochłonięty byłeś bez reszty łowiskami krewetek i importowanym budulcem.

– Collis – rzekł Andy, szczerząc zęby w uśmiechu. – Niech nikt nigdy nie odważy się powiedzieć, że Andrew Jackson Hunt, z imieniem takim jak Andrew Jackson Hunt, panie dziejku, jest ślepy i nie potrafi odczytać, co stoi wypisane na murze.

– A wiesz przynajmniej, co ten napis na murze głosił? – wtrącił Collis. – Mene, tekell, fares. Co oznacza: „zważone, policzone, rozdzielone”.

Andy uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Jest tylko jedna rzecz, którą chciałbym liczyć, Collis, przyjacielu: pieniądze, grube pieniądze z tej kolei.

Collis zawahał się na moment. Potem jednak zauważył, że Hanna zaczyna się już niecierpliwić, więc uściśnął dłoń Andy'ego w bardzo oficjalny sposób, jakby przyjmował jego najszczerze kondolencje. Podszedł do Hanny i objął ją ramieniem. W jej oczach lśniły łzy: być może wycisnął je zimny wiatr.

*

Hanna zjawiała się w Sacramento poblada, przybita i w czerni, ale mimo wszystko był to dla Jane McCormick duży cios. Cóż z tego, że Hanna przezornie wynajęła pokoje w pensjonacie Wallis House, na H Street, cichym i szanującym się hoteliku prowadzonym przez niegdysiejszego kaznodzieję, który skreślił kark, kiedy dotknięci jego kazaniami poszukiwacze złota wrzucili go do jednego z kanałów wodnych. I cóż z tego, że nie widywała prawie wcale Collisa. Czasami szli razem do restauracji na obiad, ale na ogół Hanna spędzała czas na czytaniu lub na rozmowach ze swoim gospodarzem, którego popychała w wózku inwalidzkim. Pomimo to Jane nie miała już teraz żadnych wątpliwości, że ta ładna, skromna blondynka omotała Collisa i że ten od samego początku dworował sobie z niej, z Mrs McCormick, i bawił się jej uczuciami.

Leland, który i tak nigdy go szczególnie nie lubił, szybko wyczuł tę wrogość swojej żony wobec Collisa i wziął to za milczące przyzwolenie, by utrudniać mu życie przy każdej najmniejszej sposobności, w czym zresztą nie miał sobie równych.

Tylko entuzjazm Charlesa Tuckera dla kolei podtrzymywał Collisa na duchu. W minionym roku Charles chodził zły i lepiej było omijać go z daleka. Mary trzymała go w domu, w Sacramento, więc tęsknił za Janką Zadupczanką, jak za „workiem pcheł”. Ale dzięki nowinie o ataku Johna Browna na Harper's Ferry i pogłoskom, że teraz to już na pewno Południe odłączy się od Zjednoczenia, Charles ożywił się i zaczął wierzyć, że budowa kolei rzeczywiście dojdzie do skutku. Niech no tylko doprowadzą tory do kopalni srebra na terytorium Nevady, a już przyniesie mu to prestiż, okazały dochód, a co najważniejsze, usadzi wreszcie Mary. Już on jej wtedy pokaże, kto tu spodnie nosi!

Koleje to nie sprzęt gospodarski, a obozowiska kolejowe to nie kobiece buduary. Koleje to męska sprawa. Koleje to pędzące w kłębach dymu lokomotywy Milhollanda, z kołami napędowymi na siedem stóp, zawalane smarem i czarne od sadzy. Z kolejami, wiadomo, idą w parze siarczyste przekleństwa, materiały wybuchowe, harówka przy kopaniu podtorza i układaniu szyn.

Gdyby zabrali się do budowy kolei, Charles zacząłby wreszcie używać życia, zawsze pierwszy do wypitki i do wybitki, łasy na ostrygi i panienki o pulchniutkich pośladkach, ale i nieprześcigniony w robocie. Kiedy tylko rozmawiali o kolei, Charles robił do Collisa oko, a Collis, w duchu ubawiony, też mrugał do niego w odpowiedzi porozumiewawczo. Każdy komunikat ze Wschodu, im bardziej alarmujący tym lepiej, zbliżał ich do siebie i zacieśniał ich przyjaźń.

Teodor był w listownym kontakcie z Waszyngtonem; pisał prawie co tydzień do ich republikańskich sojuszników – tych, których zwerbowali pochlebstwem lub przekupstwem, jak; również i tych, z którymi naprawdę się zaprzyjaźnili. Z tej korespondencji dowiedzieli się, że w Partii Demokratycznej nastąpił rozłam: na czele „twardogłowych” popleczników niewolnictwa stanął John Breckinridge z Kentucky, a umiarkowanym „mięczakom” przewodził teraz Stephen Douglas. Z drugiej strony północne środowiska handlowe nadal odnosiły się do republikanów podejrzliwie. Za to jankescy robotnicy masowo popierali Partię Republikańską.

Najważniejszym jednak wydarzeniem było pojawienie się na arenie politycznej młodego prawnika, adwokata, niejakiego Abrahama Lincolna, który oburzony stanowiskiem Prokuratora Generalnego, Taney’a, w sprawie Dreda Scotta, jakoby Murzyni nie mieli żadnych praw, które biały człowiek miałby obowiązek respektować, stanął na czele republikanów z Illinois i prowadził ostrą kampanię prezydencką na rok 1860.

Teodor nawiązał z Lincolnem korespondencję w roku 1857, po jednej z jego słynniejszych rozpraw sądowych. Armator parowca turbinowego „Effie Afton” z Missisipi został pozwany do sądu i oskarżony o celowe zniszczenie mostu na rzece Devenport, po którym przebiegała droga żelazna Rock Island. Lincoln wystąpił z ramienia kolei. Ci, którzy znali podłoże tego procesu, rozumieli doskonale jego znaczenie. Było to pierwsze otwarte starcie pomiędzy gospodarką Południa, dla którego żegluga śródlądowa stanowiła rację bytu, gdyż to właśnie parowcami kursującymi po rzece Missisipi dowożono do St Louis i Nowego Orleanu żywność, surowiec drzewny i bydło z centralnego Zachodu, a gospodarką Pomocy, której dobrobyt zależał od kolei, przewożącej artykuły przemysłowe poprzez kontynent do Chicago i Nowego Jorku.

Lincoln argumentował w sądzie, że przedsiębiorstwa kolejowe mają takie samo prawo do użytkowania rzek jak i inne przedsiębiorstwa żeglugi śródlądowej i że wymiana handlowa z Zachodem jest nieuniknionym krokiem na drodze gospodarczego, a zarazem politycznego rozwoju Ameryki. Kiedy stało się jasne, że Lincoln ma ogromne szansę na zdobycie republikańskiej nominacji w wyborach prezydenckich, Teodor wygrzebał swoje własne zapiski z posiedzenia sądu i podsunął je Collisowi pod sam nos, stukając w kartki palcem wskazującym dla poparcia swojej wypowiedzi.

– Oto nasz człowiek, Collis – powiedział. – Jeśli Lincoln zdobędzie nominację i wygra wybory, to pojedziemy natychmiast do Waszyngtonu i, na Boga, wywalczymy sobie naszą kolej!

Collis siedział w pokoju gościnnym Jonesów, posilony przepyszny pasztecikiem wypieku Annie.

– Lincoln? – spytał Collis. – A co nasz dobroczyńca, William Stride, powie o tym, jeśli zaczniemy się kręcić koło Lincolna?

– Nie sądzę, abyśmy musieli liczyć się w tej sprawie z opinią senatora Stride’a – rzekł Teodor, siadając w bujanym fotelu i krzyżując nogi w kostkach. – Bo jeśli Lincoln wygra wybory na płaszczyźnie abolicjonizmu, to nie ma cienia wątpliwości, że Jeff Davis i cała reszta Południa odłączą się od Zjednoczenia i to nie w ciągu najbliższych paru miesięcy, ale najbliższych paru tygodni. I ten cały senator Stride, który ulokował większość swojego kapitału w akcjach południowej trasy kolejowej, może nam wtedy, mój drogi, podskoczyć.

*

W początkach roku 1860, gdy zaczęła się wiosna, a śniegi na szczytach Sierra Nevada poczęły tajać, Collis widywał się częściej z Hanną. Zabrał ją ze sobą na tańce do sali kupieckiej, 1 gdzie wśród śmiechów, oklasków i ognistego rzępolenia na skrzypczkach zademonstrowali sztywnonogim sklepikarzom z Sacramento swoje nabyte na Wschodzie umiejętności. Hanna dalej nosiła na ramieniu krepę, ale przepowiednie Collisa sprawdziły się: życie nabrało tempa i całoroczna żałoba stawała się uciążliwa dla młodej, pełnej życia wdowy, która miała do tego bardzo energicznego konkurenta.

Tego właśnie popołudnia, kiedy przysłała wiadomość, że powieszono Johna Browna, Collis i Hanna wyjeżdżali poza miasto nowym zaprzęgiem Collisa, na północny wschód, aż do starej farmy Vallejo, z dostawą smoły i rynien.

Był to ostatni dzień stycznia 1860 roku. Niebo było błękitne, bezchmurne, a koła furmanki toczyły się głośno po wyboistym gościńcu. Collis miał na sobie tweedowy garnitur w szaro–białą pepitkę, a Hanna ubrana była w ciemnobrązową pelerynę i brązowy czepeczek. Jej blade dłonie spoczywały na kolanach jak dwa ptaszki.

– I co z kolejną? – zapytała. – Są jakieś nowiny?

Collis potrząsnął głową.

– Od zeszłego tygodnia ani widu, ani słyhu. Chociaż muszę przyznać, że egzekucja Johna Browna może nam się przydać.

– Chyba nie chcesz, żeby rozpętała się wojna pomiędzy Pomocą i Południem?

– Tu nie chodzi o to, czego ja chcę. Wojna jest nieunikniona. Gdyby chodziło tylko o spór moralny na temat niewolnictwa, to co innego. Polityczne rozgrywki w Kongresie też można by jakoś wyciszyć. Ale tu w grę wchodzi duże pieniądze – posiadacze tych ogromnych majątków nie dadzą ich sobie wydrzeć bez walki.

– A ty sam na tym skorzystasz?

– Wojna postawi nas na nogi.

Hanna popatrzyła na płaski krajobraz doliny. Odległe szczyty gór zdawały się dziwnie bliskie, jak makieta.

– Chyba czas, żebym zdjęła żałobę – powiedziała.

Collis rzucił okiem w jej stronę.

– Naprawdę? Mówisz poważnie? Kiedy?

– Dzisiaj. Zaraz.

Odwróciła się w jego stronę, a jej piękne, duże oczy zwilgotniały. Potem zdarła z rękawa czarną opaskę i zrzuciła ją na ziemię. Zmięty, wgnieciony w błoto przez jedno z kół zaprzęgu, skrawek czarnego materiału został poza nimi na gościńcu.

Collis ściągnął lejce i zatrzymał konie. Otaczała ich cisza, przerywana tylko lekkim powiewem wiatru z północnego wschodu i wierzganiem kopyt końskich. Collis wpatrywał się w Hannę długo, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Nie myślisz już o Walterze? Wzruszyła ramionami.

– Czasem. Ale wtedy staram się sobie przypomnieć, jak się czułam w tej pasmanterii na Montgomery Street, nie mając w perspektywie nic prócz wiecznej pokory Waltera i łokci perkalu do odmierzania przez długie lata. Kiedy poznałam ciebie, Collis, zrozumiałam, że nie imponują mi pokorni mężczyźni.

– Hmm – odparł Collis.

Zapanowało bardzo długie milczenie. Wiatr świszczął pomiędzy szprychami kół furmanki.

Collis strzelił z bata i popuścił cugli, a konie ruszyły znowu. Hanna, zaskoczona, musiała przytrzymać się mocno siedzenia, żeby uchronić się przed upadkiem.

– I to już wszystko? – spytała. – Nie masz mi już nic więcej do powiedzenia?

Spojrzał na nią, ale nie odpowiedział.

Jechali tak, turkocząc, jeszcze przez jakieś pół mili, a potem nagle Hanna ściągnęła lejce.

Konie zaryły kopytami w piasku, zabręczały dzwoneczki w uprzęży.

– Nic mi już więcej nie masz do powiedzenia? – dopytywała się Hanna, pāsowa z gniewu i zażenowania.

Collis potrząsnął głową. Podobała mu się ta zabawa. Teraz, kiedy Walter już nie żył, a Hanna zdjęła po nim żalobę, mógł ją traktować tak, jak na to zasługiwała: jako młodą, śliczą kobietę, która wie, czego chce od życia. Kochał ją. Kochał, tak, że ani razu od czasu przyjazdu do Sacramento nie po z nią do łóżka. Czekał na tę właśnie chwilę, podobnie : jak i Hanna. A może nawet jej to oczekiwanie dłużyło jeszcze bardziej, ponieważ skosztowała raz namiętności, którą potem musiała się znowu wyrzec na jakiś czas.

– A co mam powiedzieć? – droczył się z nią.

– Cokolwiek – ofuknęła go. – Cokolwiek, tylko nie! „hmm”.

Collis włożył rękę do kieszeni surduta i wyciągnął buteleczkę brandy.

– No to może: „Napijmy się”? – zapytał. Wyduła wargi i odmówiła odpowiedzi. Collis znowu chwycił za lejce.

– W porządku – powiedział. – No to może: „Czy mogę prosić panią o rękę?” Przez moment nie był pewien, czy tym razem nie przeholował.

Wpatrywała się w niego lśnącymi od łez oczami i nie mógł nic wyczytać z jej twarzy. Ale potem połknęła łzy i skinęła głową – i wiedział już, że wszystko jest nadal w porządku.

Nagle zauważył, że jego własne oczy też zrobiły się idiotycznie wilgotne.

– No dobrze – powiedział. – To w takim razie jedna sprawa załatwiona. Zajmijmy się więc dostawą tych rynien.

*

Jeszcze przed ślubem Collis zastanawiał się wiele razy nad tajemnicą swojego związku z Hanną. Teodor ślęczał nad swoimi wykresami i zapiskami, kreśląc wciąż nowe mapy podnóża Sierra Nevada, a on siadał na ganku przed domem Jonesów, palił cygaro i pytał samego siebie: „Jak to jest?” Dlaczego los złączył ich razem i wyrzucił wszystko do góry nogami, żeby tylko zaspokoić ich pragnienia. Ta ich miłość to nie był przecież jakiś poryw burzliwej namiętności; raczej wzajemne, łagodne ciepło i zrozumienie. Ale właśnie przez to zdawała się jeszcze silniejsza i po stokroć bardziej podniecająca.

Spytał raz nawet Teodora, co on myśli na ten temat, ale Teodor tylko odłożył na chwilę cyrkle, zdjął okulary w metalowej oprawce, podrapał się za uchem i popatrzył na Collisa z przyjaznym, choć cokolwiek nieśmiałym uśmiechem.

Collis i Hanna dali na zapowiedzi w tydzień po ich wyprawie do farmy w Vallejo i ustalili datę ślubu na połowę marca 1860 roku. W pojęciu Teodora zdecydowali się pobrać, bo się polubili i tyle. Nie podzielał on poglądów Collisa na temat przeznaczenia i opatrności.

Podług filozofii Teodora ludzie kształtowali własny los, już to pracując w pocie czoła, już to przekupując masowo skorumpowanych kongresmanów.

W pierwszym tygodniu marca Teodor przyszedł do sklepu żelaznego, żeby zobaczyć się z Charlesem, Lelandem oraz Collisem, i położył na kontuarze zwoje map. Wszyscy trzej zgromadzili się teraz wokół rysunków, jak mecenas sztuki, którzy zapłacili z góry grubszą forszą za obraz olejny, i teraz właśnie mieli okazję się przekonać, jak się udał i czy opłaci im się powyższa inwestycja.

– Nie ma absolutnie wątpliwości, że szlak jest w miarę prosty i łagodny; spokojnie można tamtędy przeprowadzić kolej – wyjaśnił Teodor. – Nie będzie nawet trzeba budować zbyt wielu mostów, choć podejrzewam, że będę musiał połączyć brzegi rzeki Little Bear. I nie potrzeba nam zbyt wielu tuneli. Najtrudniejszy będzie ten na samym grzbiecie pasma górskiego, tuż pod Przełęczą Donnera, bo trzeba się będzie przebić przez tysiąc pięćset stóp twardej skały, jeśli chcemy wywiercić tam korytarz pod tory drogi żelaznej.

– Tysiąc pięćset stóp to chyba nie taka znowu wielka przeszkoda? – rzekł Leland pytająco.

Teodor wzruszył ramionami.

– Zależy od wytrzymałości skał. Nie badałem ich jeszcze w szczegółach, oczywiście, ale z tego, co widziałem, jak się tam wdrapywaliśmy, to twarda, lita skała.

– A jak już przedostaniemy się przez ten grzbiet, to co potem? – spytał Collis.

Teodor wyprostował się.

– Jak już przedostaniemy się na drugą stronę, zostanie jeszcze do wywiercenia co najmniej jakieś sześć czy siedem tuneli. Trzeba się będzie wgrzyźć w zbocza gór, bo inaczej musielibyśmy posuwać się wzdłuż szlaku emigranckiego, który jest strasznie kręty. Ale ten szczytowy tunel to kluczowa sprawa. Kiedy zostanie ukończony, będziemy mogli przewieźć pociągiem naszych robotników i cały ciężki sprzęt aż do wysokich Sierras i budowa drogi żelaznej do Nevady powinna pójść jak z płatka.

– Kiedy złożymy u władz podanie z prośbą o rejestrację tej drogi? – indagował Leland.

– Na razie utopiliśmy w tym wszystkim kupę forsy, a zysku jak nie ma, tak nie ma. I nie zanosi się na żadną poprawę pod tym względem.

– Zanim wystąpimy z prośbą o rejestrację, musimy przeprowadzić szczegółowe pomiary trasy – powiedział Teodor. – Jest to praca w terenie, w samych górach, i na pewno zajmie dobrych parę tygodni, jeśli nie miesięcy.

– No a koszty? – dopytywał się Leland.

– Jeszcze co najmniej dwadzieścia tysięcy dolarów. Nie licząc tego, co już włożyliśmy w to przedsięwzięcie do tej pory.

Charles włożył ręce do kieszeni.

– Dwadzieścia tysięcy dolarów? A skąd ty wytrzaśniesz dwadzieścia tysięcy dolarów?

– Panowie – odparł Teodor. – Wszyscy jesteśmy współnikami w tej kolejowej spółce akcyjnej. Dlatego ujmę to nieco inaczej, Charles. Rodzi się pytanie skąd my wytrzaśniemy te dwadzieścia tysięcy dolarów.

– Senator Stride? – zasugerował Collis. Leland wyduł policzki jak banie i pokręcił głową.

– Wątpię, czy twój przyjaciel senator będzie chciał w to włożyć jeszcze choćby centa. Nie w tej chwili. Sam wiesz, jak teraz sprawy stoją w Waszyngtonie.

– Problem polega na tym – rzekł Teodor – że ani tu, ani w San Francisco nikt nam nie udzieli poparcia finansowego. Miejscowi kupcy grają na zwłokę; nie chcą się angażować, dopóki nie otrzymamy rządowej licencji. Chcieliby też najpierw zobaczyć na własne oczy parę mil ułożonych torów. A środowisko handlowe San Francisco zionie nienawiścią. Sam Lewis przyrzekł mi pieniądze, ale nawet on się wycofał.

– Nie możesz po prostu zarejestrować tych map? – spytał Charles.

Teodor pokręcił głową.

– Nie. To tylko prowizorka. Nie zmierzyłem jeszcze kątów nachylenia ani nie sporządziłem kosztorysu całej budowy.

– No więc – rzekł Leland, przełykając ślinę – co zrobimy? Przecież nie możemy już zaciągać więcej kredytów.

Collis usiadł na brzegu kontuaru i rzekł w zamyśleniu: – A ja mam pomysł.

– Pomysł wart dwadzieścia tysięcy dolarów? – chciał wiedzieć Charles.

– Może nawet trzydzieści tysięcy dolarów. Albo i więcej.

– A gdzie zdobędziesz taką sumę? – zadrwił Leland. – Na ogół więcej kosztujesz, niż produkujesz.

– Tylko posłuchajcie – rzekł Collis. – Wydaje mi się, że jest tylko dwóch ludzi, którzy mogą nam pomóc. Pierwszy to senator Stride, który już i tak był gotów włożyć dziesięć tysięcy dolarów z własnej kiesy, żeby zainwestować w tę kolej, a jeśli zaistnieją sprzyjające okoliczności, przekona się go jakoś i na pewno da więcej. Drugim jest Laurence Melford.

– Laurence Melford nie posiadałby się z radości, gdybyśmy usmażyli się żywcem w piekle, a z nami nasza kolej – odparł Charles. – Chyba nie spodziewasz się poparcia z jego strony?

– Ale zgadzacie się chyba ze mną, że to klucz do całej tej sprawy? – zauważył Collis. – Po Parrocie jest najbogatszym człowiekiem w San Francisco, a jednocześnie przywódcą środowiska kupieckiego. Wszyscy się z nim liczą. Jeśli jego nie da się nakłonić, żeby dał przyzwolenie kolei, to nikt nie włoży w ten projekt złamanego centa. To możemy sobie od razu wybić z głowy.

– Głupstwa pleciesz. – Leland machnął ręką lekceważąco. – Akurat uda ci się nakłonić Laurence’a Melforda do poparcia kolei transkontynentalnej! Już to widzę! Spróbuj zadźgać pchłą tasakiem, na to samo wyjdzie.

Teodor jednak, który znał Collisa i potrafił iść tokiem jego rozumowania, powiedział: – No dobrze. Powiedzmy nawet, że uda ci się jakoś przekonać Melforda. Przynajmniej zamknąć mu usta, żeby zaprzestał wrogiej ofensywy. To i tak zostaje jeszcze Stride.

– To fakt, że politycznie Stride stąpa po bardzo grzaskim gruncie, ale podał nam już raz rękę i nie ma powodu, żebyśmy nie mogli prosić go o dalszą pomoc.

– A jeśli odmówi?

– To wtedy wszystkie waszyngtońskie gazety dowiedzą się o pewnej bardzo nieprzyjemnej sprawie, w którą się zaplątał. Dowiedzą się o tym, że wziął pod opiekę zubożałą, pozbawioną środków do życia córkę swego starego przyjaciela, którego przedsiębiorstwo splajtowało w krachu pięćdziesiątego siódmego roku, i o tym jak sprzedał tę nieszczęsną, niewinną dziewczynę drugiemu senatorowi, u którego haruje biedaczka jak wyrobница, a przy tym zaspokaja cielesne żądze swego chlebobdawcy.

– Co za bzdury! Kompletne brednie! – rzekł Leland. – Nie możesz,..

Ale Teodor przerwał mu.

– Nie zrobiłbyś tego – rzekł, zwracając się do Collisa. – Nie zrobiłbyś tego, prawda?

Pomyśl tylko o Delfinie. Taki skandal zrujnowałby jej życie. A poza tym to wcale nieprawda.

– A właśnie, że prawda. Z grubsza biorąc – rzekł Collis. – W sam raz, żeby obnażyć Stride’a jako sprzedajnego typa. A to się wcale nie mija z prawdą.

– Ale reputacja Delfiny!

– Przecież śpi z Carslake’em, tak czy nie? Połowa Waszyngtonu na pewno i tak o tym wie. A poza tym jest tylko niańką i garkotłukiem. Co to za reputacja?

– Mówię o jej reputacji moralnej! – wrzasnął Teodor, zaszokowany. – Czy ona ciebie wciągnęła do rynsztoka, kiedy ty byłeś nędzarzem, a ona jeszcze nadal mogła się pławić w dostatku?

– Proponowałem jej, że ją ze sobą zabiorę – odparł Collis, również wzburzony. – Ofiarowałem jej wszystko, co posiadałem.

– A ponieważ ona odmówiła, to uważasz, że zasługuje na takie upokorzenie? Nawet jeśli zrujnujesz jej przez to całe życie?

Collis nabrał powietrza.

– Teodor – powiedział – ta kolej zrujnowała już życie wielu ludziom. I, na Boga, nie koniec na tym! Wielu innych się jeszcze przez nią nacierpi.

– Kolej, kolej. Ciągłe tylko słyszę od ciebie: kolej, kolej. Chyba cię opętało. Mówisz o niej, jakby to było jakieś bożyszczko. Powtarzasz, że trzeba poskromić Sierra Nevada, jakby te góry były ważniejsze niż człowieczeństwo: twoje własne człowieczeństwo albo człowieczeństwo w ogóle.

Teodor stał, wpatrując się w Collisa, z trudem łapiąc oddech ze wzburzenia.

– Collis, ta kolej to dla mnie wszystko – mówił dalej wstrząśnięty, starając się opanować drżenie głosu. – Żyłem i oddychałem tą ideą przez całe lata, z roku na rok, nawet wtedy, gdy się ze mnie wyśmiewano i gdy wytykano mnie palcami. Natręt od kolei to właśnie ja. I dumny jestem z tego.

Ale słodki Jezu Chryste, gdzie mi tam do twojej obsesji. Nawet ja nie mogę pojąć takiego zaślepienia.

Collis rozejrzał się po swoich współnikach. Leland stał w osłupieniu, z rękami założonymi na brzuchu. Charles otworzył usta ze zdziwienia, jakby czekał cierpliwie, żeby mu wleciała do gardła mucha. Teodor dalej nie spuszczał oka z Collisa. Oczy miał podkrążone od ciągłego ślęczenia nad książkami i wykresami.

– Kolej uczyni z nas ludzi wielkiej miary – rzekł Collis spokojnie. – Wzbogaci również i uczyni wielkim nasz kraj; a wielkości nie osiąga się bez poświęceń.

– Dobrowolnych czy też wymuszonych pod presją – to bez znaczenia. Tak mamy to rozumieć? – rzekł Teodor z goryczą w głosie.

– Może zresztą wcale nie będziemy musieli się uciekać do takich wybiegów – rzekł Collis. – Ale jeśli chcemy utrzymać ideę kolei przy życiu, to musimy walczyć o każdego centa, o każdą piędź ziemi, nie przebijając w środkach. Inaczej wszystko przepadnie.

Spartaczymy całą sprawę i tyle.

Teodor pozbierał gniewnie swoje rysunki i mapy.

– Możesz się do mnie zgłosić, kiedy uzbierasz swoje dwadzieścia tysięcy dolarów – powiedział. – Ale proszę, nie mów mi, jak ci się to udało, bo może będę się czuł zmuszony porzucić cały projekt raz na zawsze.

Collis zapalił cygaro.

– Ale zostanie ci za to jedno pocieszenie, Teo – powiedział, gdy inżynier odwrócił się do niego plecami i odmaszerował w stronę drzwi. – Kiedy pewnego pięknego dnia wsiądziesz sobie do pociągu, serce ci będzie rosło na samą myśl, że pomimo wszystkich tych świństw i cuchnących machlojek, dzięki którym udało się ją wybudować, ty sam pozostałeś bez skazy, niczym biała lilia.

Teodor przystanął, ale się nie odwrócił. Collis wypuścił dym z cygara.

– I co? Nadal chcesz, żeby jedna ze stacji nosiła twoje imię?

*

W dniu ślubu Hanny i Collisa na niebie było zaledwie parę pierzastych chmur. Prosta, skromna uroczystość przeprowadzona została przez sędziego Boardmana w podwórku na I Street. Od południa wiał niezwykły jak na tę porę roku gorący wiatr, który targał błękitną, jedwabną suknię Hanny. Wyglądała ładnie, choć na jej twarzy malowało się zmęczenie, gdy wychodziła wsparta na ramieniu Collisa z ogrodzonego pobielanym płótnem podwórka do lakierowanego powozu, który miał ich zabrać pod numer 54 K Street na poranną ucztę weselną.

Fotograf uchwycił ich w momencie, gdy wsiadali do powozu; Charles podtrzymywał Hannę za łokieć, a Collis stał obok z gołą głową, marszcząc w słońcu nos i mrużąc oczy.

Leland został ujęty z kciukami wsuniętymi pod klapy porannego surduta. Mary, ubrana na białe, sztywne i surowe, wyglądała jak wyrzeźbiony niewprawną ręką anioł na płycie nagrobnej. Jane McCormick wcale się nie zjawiała, wymawiając się okropnym bólem głowy.

Ból ten kazał jej pospuszczać wszystkie żaluzje i zamknąć się w salonie w towarzystwie jamnika, który leżał w kącie pokoju, posapując przez nos i psując powietrze.

Kiedy pojazd nowożeńców odjeżdżał, Kwang Lee, przejęty do głębi swoją rolą, wypuścił na cześć młodej pary fajerwerki. Charles wezwał wszystkich, by wzniesli dziewięć razy wiwaty, „hip-hip-hurra!”, i zauważył, że ostatnie pięć wykrzykiwał sam jeden. Nie, żeby nie lubiano Hanny i Collisa. Po prostu przeciętni mieszkańcy Sacramento byli już zmęczeni nie słabnącą energią i nadpobudliwością Collisa, a Hanna miała opinię zamkniętej w sobie.

Pierzaste chmurki stały bez ruchu na niebie. Annie Jones pomachała w ich stronę kapeluszem, gdy orszak ślubny przejeżdżał obok jej zabudowań, ale Teodor miał dalej wzrok wbity w ziemię.

– Nadal jest zły na ciebie? – spytała Hanna, wsparta na ramieniu Collisa.

Collis przytaknął.

– Ale to tylko przejściowe fochy – powiedział. – Poczekaj, niech tylko zdobędę te pieniądze, których mi potrzeba na ukończenie budowy kolei.

Poranna uczta weselna przygotowana została przez firmę gastronomiczną Zeitmana pod dozorem Mary Tucker. Dlatego też, pomimo iż wszystkie dania były wyśmienicie przygotowane, nie znalazły się wśród nich żadne wymyślne rarytasy, lecz tylko solidne, pożywne potrawy. Dwadzieścia osób zasiadło do stołu w pokoju stołowym na górze, w budynku przy 54 K Street, podczas gdy trzech kelnerzy, Chińczycy, serwowali bigos, cielęcinę, baranie udka i pudding z karpili. Pili kalifornijskie piwo, słodkie białe wino Napa Valley oraz sherry, a toastom nie było końca. Leland wygłosił mowę, która trwała ponad dwadzieścia minut i w której określał Collisa raz po raz jako „naszego nieocenionego badacza odległych szczytów”. Collis wstał, aby odpowiedzieć na te toasty, i rzekł: – Chciałbym podziękować tym wszystkim tu, w Sacramento, którzy pokładają we mnie wiarę, a nawet i tym, którzy mi nie ufają. Wszyscy wiecie, że ja i moi koledzy podjęliśmy się bardzo trudnego i kontrowersyjnego zadania, które jeśli zostanie uwieńczone sukcesem, wzbogaci nasze miasto i przyniesie doniosłe zmiany w całym kraju. Potrzeba nam poparcia i natchnienia do pracy, a ja znalazłem i jedno, i drugie, w mojej, tu obecnej, żonie. Niczego więcej nie pragnę.

Rozległy się oklaski i owacje. Nawet Teodor uderzał rączką łyżki o stół i uśmiechał się do Annie, która siedziała naprzeciw niego. Po swoim wystąpieniu Collis usiadł i spojrzał najpierw na Hannę; uderzył go jej spokój i opanowanie. Nowa pozycja społeczna Mrs Collis Edmonds z Sacramento nadała jej ogromnej pewności siebie i teraz uśmiechała się do wszystkich z wyraźną dumą, tak że Collis sam zaczął się zastanawiać, kto tu kogo bierze w posiadanie.

Charles wstał, zachwiał się nieco i wznosił kielich.

– Z mojej strony – powiedział – chciałbym dodać, że Collis Hanna Edmonds swoim przyjazdem otworzyli nowy rozdział w dziejach Sacramento. Nie mogę się doczekać przyjścia na świat ich dwojga pierwszych potomków. Najpierw dziecka, oczywiście, ale zaraz potem nowiuteńkiej kolei. Kiedy się już one narodzą, Edmondsowie będą jedyną parą w całej Sulter County z jednym niemowlakiem, który w nocy płacze, a drugim – który gwizdże.

Collis podziękował mu uśmiechem. Popatrzył znowu na Hannę i wziął ją za rękę. W promieniach popołudniowego słońca wyglądała jeszcze ładniej niż zazwyczaj: taka dumna, wytworna, pewna siebie. Rozmyślał o tym, bawiąc się jej palcami i nową obrączką, którą włożył na jej dłoń dopiero godzinę temu. I myślał: nie znam cię jeszcze, Mrs Edmonds.

Zupełnie cię nie znam. Ale to nie szkodzi, mamy czas – jeszcze się poznamy.

Spojrzał przez stół, ponad srebrną zastawą, świecami i karafkami do wina, i złapał wzrok Teodora. Teodor przez jakiś czas wytrzymał jego spojrzenie, ale potem celowo się odwrócił.

*

Nigdy przedtem nie myślał o swoim mieszkaniu na J Street jak o domu; aż do dzisiaj. Żona właściciela – potwornie gadatliwe babsko – która zawsze, rok po roku, nosiła staroświecki czepek, i w domu i do wyjścia, upiękniła salonik nowożeńców świeżymi kwiatami, wypolerowała meble i powiesiła na ścianie reprodukcję, którą oboje z mężem podarowali Collisowi w prezencie ślubnym. Obraz ten przedstawiał przeprawę nowych osiedleńców, na czele z Danielem Boone'em, przez Cumberland Gap i wywierał na patrzących raczej przygnębiające wrażenie.

Collis przeniósł Hannę przez próg i usiadł, trochę zadyszany, na sofie. Uśmiechnęła się i wyciągnęła ku niemu ramiona, a on pochylił się do przodu, żeby pocałować ją w usta.

– I co, Mrs Edmonds? – powiedział.

– I co, Mr Edmonds? – odparła. Usiadł obok niej.

– Napijesz się sherry? Albo może poprosimy Mrs Hawkins, żeby przyniosła trochę herbaty?

Hanna pokręciła głową.

– W tej chwili, kochany, nic mi więcej nie trzeba oprócz ciebie.

Znowu ją pocałował.

– Jeśli nasze małżeństwo i wszystkie te długie, długie lata spędzone wspólnie, o których mi mówiłaś, będą zawsze równie wspaniałe jak właśnie teraz, to chyba będę bardzo, bardzo szczęśliwy.

– Chyba?

Uśmiechnął się zawadiacko.

– Wiem na pewno.

Wstał podszedł do okna. Na zewnątrz, na zakurzonym chodniku J Street, grupka dzieci grała w berka, zaśmiewając się radośnie.

– Nie przedyskutowaliśmy jeszcze sprawy potomstwa, prawda? – powiedział. Odwrócił się w jej stronę, tak żeby widziała, że mówi tylko na pół serio. – No, wiesz, zanim się pobraliśmy, jakoś w ogóle o tym nie rozmawialiśmy.

Ona również podniosła się i podeszła do okna po wzorzystym chodniku. Przytuliła się do niego, delikatnie, ale tak naturalnie, jakby robiła to przez całe lata.

– Przyjdą w swoim czasie, jeśli taka będzie wola boska.

– Dziwiłem się nawet, że nie miałaś... hmm... że nie mieliście dzieci z Walterem.

Spuściła wzrok. W promieniach zachodzącego słońca jej rzęsy zdawały się miękkie i lśniące. Na rzeźbionym orzechowym stoliku obok niej wazon z wiosennymi kwiatami rzucał cień, który przypominał kształtem kobiecą sylwetkę.

– Walter... nie był szczególnie pobudliwy... w tych sprawach – powiedziała tonem równie łagodnym jak gasnące światło słoneczne.

Collis przełknął ślinę.

– Aha. No to już lepiej o tym nie mówmy. Nie chciałem cię wprowadzić w zakłopotanie.

Uniosła ku niemu twarz.

– Nie wprowadziłeś mnie wcale w zakłopotanie – powiedziała. – Należałam przedtem do innego mężczyzny. Nie mogę udawać, że było inaczej. Ty też przecież miałeś przedtem wiele innych kobiet. Jesteśmy chyba wystarczająco dorośli, żeby mówić o tym otwarcie. Jesteśmy małżeństwem, a jednocześnie parą kochanków.

– No... tak – odparł Collis, skrepowany. Uśmiechnęła się.

– Jeśli chcesz porozmawiać o potomstwie, to oczywiście, dlaczego nie? Ale uważam, że Charles ma rację. Będziemy mieć dwoje dzieci: naszego biologicznego syna i naszą kolej. I jeśli chcesz wiedzieć, które z nich jest dla mnie w tej chwili ważniejsze, to muszę jednak powiedzieć: kolej.

Collis wydobył się z jej objęć i podszedł do sekretarzyka, gdzie stała karafka z sherry.

Odkorkował ją i nalał sobie spory kieliszek, a potem, popijając wino, przyglądał się Hannie pytająco, ale w milczeniu.

– Często powtarzasz, że ta kolej uczyni cię wielkim, że cel uświęca środki – powiedziała, zniżając głos – i że aby dopiąć swego, nie można się cofnąć przed niczym.

Teodor ma ci to za złe.

– To prawda – przyznał Collis.

– Widzisz, ja natomiast zgadzam się z tobą pod tym względem absolutnie; od a do z, całym sercem – powiedziała, odwracając się ku niemu. – Ponieważ dzięki kolei staniesz się bogaty, sławny i wpływowy, tak jak tego pragniesz. Będziesz mógł wybrać sobie styl życia, który ci najbardziej odpowiada, i przestawać z ludźmi własnej klasy i własnego kalibru.

Będziesz wtedy traktować różnych Melfordów i innych takich jak maluczkich sklepikarzy, bo oni nie dorastają ci do pięt. W przyszłości, w Kalifornii, nie będzie się mówić o Vallejo czy Fremoncie. Będzie się mówić o Collisie Edmondsie, który przeprowadził pierwszą transkontynentalną drogę żelazną przez zbocza Sierra Nevada.

Collis milczał. Ale Hanna podeszła do niego, dotykając suknią podłogi, i ujęła go za rękę.

– Zrobimy wszystko, żeby urzeczywistnić twojej wspaniałe, wielkie marzenie o kolei transkontynentalnej – powiedziała. – Wszystko, co będzie w naszej mocy. Nauczyłam się jednej

gorzkiej prawdy: nie można trzymać się kurczowo zasad konwencjonalnej moralności i wiary. Pobożność nie powinna być równoznaczna z umartwianiem ciała i duszy ani z rezygnacją z ziemskich pragnień i zamierzeń. Nawet gdyby Walter nie został zabity, to i tak bym się z nim rozwiodła, wbrew Kościołowi i całemu społeczeństwu. Ta kolej to potrzeba twego serca; jestem” tu po to, aby cię umacniać w przekonaniu, że to, co robisz, jest słuszne.

A ludzie niech sobie myślą, co im się żywnie podoba. Mogą mówić, że to nieszlachetne albo niemoralne. Dla mnie to nie ma najmniejszego znaczenia.

Zawahała się, a potem dodała: – Nie wiesz nawet, jak dobrze cię znam, Collis. Chyba nawet bardziej niż ty sam.

Wzięłam cię za męża, ponieważ cię kocham, ale i dlatego, że chcę, abyś zrealizował swoje mrzenie, i również po to, aby stać się częścią tego spełnienia.

Przez parę minut panowało milczenie. W końcu Hanna powiedziała: – Rozumiesz mnie? Collis pocałował ją.

– Rozumiem. I kocham cię.

*

Tej nocy ich miłość nabrała nowych kształtów. Kiedy położyli się obok siebie, pozwolili każdemu pocałunkowi trwać długo, całe minuty, a każdej pieszczocie zwielokrotnić się i rozciągnąć, w oświetlonej światłem księżyca sypialni, jak oddalające się echo sentymentalnej melodii. Kiedy Collis po raz pierwszy objął Hannę i przygarnął ją do siebie jako jej męża, ona powoli wpijała się paznokciami głęboko w mięśnie na jego grzbiecie i przyciągnęła go do siebie, jakby chciała, by ją udusił; a pod sam koniec, w szczytowym punkcie tego aktu miłości, jęczała i pociągała nosem zarówno z rozkoszy, jak i z rozczarowania, że już po wszystkim.

Collis usiadł potem na łóżku, wsparty na puchowej poduszce, patrząc, jak nagie światło księżyca pada na chodnik i oświetla srebrne grzbiety jego szczotek do włosów. Hanna przytuliła się do niego i powoli usnęła.

Zastanawiał się, czy będzie mógł jej kiedykolwiek powiedzieć o Mr Kwangu i przysłudze, jaką wyświadczyło mu Stowarzyszenie On Leong. Myśl, że będzie musiał ukrywać przed nią na zawsze, przez resztę ich małżeńskiego pożycia jego własny, przypadkowy udział w śmierci Waltera, zdawała mu się nie do zniesienia. Każde kłamstwo stawałoby mu kością w gardle.

Koło łóżka leżała cygarnica i przez moment zastanawiał się, czy nie zapalić. Ale potem przypomniał sobie, że Hanna nie była już teraz jego kochanką, była żoną, i pewnie sprzeciwiłaby się paleniu w sypialni. Przez jakiś czas przyglądał się jej uśpionej twarzy i powiódł palcem po jej zamkniętych powiekach i kształtnym nosku. We śnie wyglądała starzej, ale nadal prześlicznie. Zastanawiał się, czy śniły się jej szczyty wysokich Sierras.

*

Kwang Lee był mrukliwy, a czasami sarkastyczny w sposobie bycia, ale po pewnym czasie przywiązał się do Collisa podobnie jak Wang–Pu i służył mu równie sprawnie i równie lojalnie. W przeciwieństwie do Wang–Pu nie lubił wyszukanych strojów i zazwyczaj nosił na głowie płócienną czapkę, z daszkiem przekręconym do tyłu, lśniącą czystą niebieską koszulę i fartuch sklepowy z tuzinem przeróżnych kieszonek. Mieszkał w pokoju na zapleczu sklepu, sam sobie gotował posiłki w dużym, chińskim saganie i pił mnóstwo świeżo zaparzonej herbaty Dragon Well.

Czasami Collis towarzyszył mu na miseczkę wieprzowiny tung–po* albo bekonu i zupy z bambusowych kielków, a Kwang Lee opowiadał mu żartobliwie o swoim dzieciństwie w Hangchow. Ale nie było między nimi tej samej zażyłości, jaka kiedyś łączyła Collisa z Wang–Pu. Kwang Lee był to kuty na cztery nogi spryciarz, a do tego kawalarz i trudno się było domyślić, czy opowiada swoje prawdziwe przeżycia, czy też zmyślane facecje.

Kiedyś Collis zapytał go, czy według Mr Kwanga należy się zawsze odwdziżyć za wyświadczone przysługi, nawet jeśli się o nie nie prosiło.

Kwang Lee mieszał w saganie fasolkowe kielki, a cały pokój zadymiony był na niebiesko.

– Mówi pan o Mr Weście? – zapytał bez ogródek. Collis uniósł brwi.

– Więc to jednak jego sprawka?

– Pewnie, że tak. Chyba sam pan nie podejrzewał nikogo innego?

– Nie, chyba rzeczywiście nie.

Kwang Lee dorzucił do kielków krewetki i dolał rybnego sosu, a potem wymieszał całość energicznie.

– Musi pan uważać na Mr Kwanga – powiedział. – On zawsze mówi, że dobry uczynek to niezawodny sposób, aby podporządkować sobie ludzi. Tym jednym dobrym uczynkiem Mr Kwang zmienił całe pana życie, prawda?

– No, niby tak – odparł Collis bez entuzjazmu. Kwang Lee spojrzał na niego znad swojej miski i uśmiechnął się chytrze.

– W takim razie pewnego pięknego dnia Mr Kwang będzie oczekiwał czegoś w zamian, w dowód wdzięczności.

Collis wziął w rękę pałeczki i zanurzył je w saganie. Włożył do ust trochę fasolowych kielków i krewetek dla spróbowania. Smakował je bez pośpiechu, a potem powiedział: – Trzeba dodać trochę sosu sojowego.

Kwang Lee uśmiechnął się i sięgnął po jedną z niebieskich glinianych buteleczek z przyprawami.

*

Collis i Hanna opuścili J Street i wynajęli duży biały dom, z dala od centrum miasta, na I Street. Hanna zaczęła urządzać mieszkanie i dekorować je w stylu, który uważała za stosowny dla skarbnika kolejowej spółki akcyjnej Sierra Pacific i jego małżonki. Znalazły się w nim więc obite aksamitem sofy i ciężkie fotele oraz intarsjowane stoliczki. Hanna lubiła barwy pastelowe, szare i jasnoniebieskie, więc w niektóre dni wewnątrz domu zdawało się senne i mgliste, jak nie z tego świata.

Żyli w zgodzie i wzajemnym szacunku, choć oboje zdawali sobie sprawę, że przyjdzie jeszcze czas, gdy oboje poddani zostaną próbie, w której zmierzą się ze sobą ich żywe temperamenty. Ale to stanie się w momencie rozpoczęcia budowy kolei, gdy trzech sklepikarzy z Sacramento będą już gotowi, by wyrzucić cały świat do góry nogami.

W pierwszych dniach września Teodor wybrał się znowu do Waszyngtonu. Była to jeszcze jedna rozpaczliwa próba, by zebrać fundusze konieczne do przeprowadzenia pomiarów na terenie Sierra Nevada. Napisał do swoich współników, że „nie ma widoków na rozpoczęcie budowy kolei w bliskiej perspektywie, ponieważ – choć wszyscy przyznają, że to doskonały pomysł – nikt się nie kwapi, by poprzeć entuzjazm twardą walutą”.

Leland, który wahał się przez ponad rok, podjął w końcu decyzję, by ubiegać się o stanowisko gubernatora Kalifornii. Właściwie to wolałby poczekać z wysunięciem swojej kandydatury aż do następnych wyborów, ale Jane sarknęła, rozdrażniona zaciągniętymi pożyczkami i ilością pieniędzy zamrożonych w obligacjach kolejowych. Gdyby Leland zamieszkał w rezydencji gubernatora, miałby przynajmniej okazję, dzięki swemu stanowisku i kontroli nad finansami stanowymi, sprawować pieczę nad dotychczasowymi inwestycjami.

Collis zauważył z uśmiechem, że to trąci korupcją, ale Leland odparł ze złością, że trąci to tylko starym, dobrym, zdrowym rozsądkiem.

Ten rok przyniósł również wyraźne zaostrzenie się konfliktu między południowcami i Jankesami. Pewnego wieczora w salonie Willarda Manninga doszło do zażartej kłótni pomiędzy samym Manningiem, który pochodził z Wirginii, a młodym człowiekiem z Illinois o nazwisku Sturgeon. Doprowadzony do furii Manning wyciągnął nóż i ugodził Sturgeona w twarz i klatkę piersiową. Towarzystwo z San Francisco wrzało, a atmosfera w mieście stała się napięta i podszyta strachem.

We wtorek, po wypadku ze Sturgeonem, kiedy Collis wrócił do domu z pracy, Hanna siedziała w ich jasnym, przestronnym salonie, haftując serwetkę na kominek. Pocałował ją na powitanie, a potem podszedł do szafki z drzewa grusowego, żeby nalać sobie drinka.

– Słyszałaś, co się stało w South Parku? – zapytał.

– O Willardzie Manningu? Tak. Kwang Lee przyniósł mi tę wiadomość. I co o tym sądzisz?

Collis odwrócił się.

– Co ja o tym sądzę? Ja w ogóle nic nie sądzę. Wiem tylko, że zarówno Pomoc, jak i Południe, stają się coraz bardziej i agresywne. Tego typu zajścia są zapowiedzią działań zbrojnych. To zwiastuny wojny.

Hanna odłożyła haft na kolana. Jej jasne włosy zaczesane były w koszyczek i podpięte grzebykiem, co nadawało jej twarzy zimny, nordycki wygląd.

– Nie sądzisz, że czas, abyś wybrał się do San Francisco i rozmówił z Laurence’em Melfordem?

– Z Melfordem? To znaczy, masz na myśli naszą kolej?

– Oczywiście, że tak. Co innego mogłabym mieć na myśli? Właśnie teraz jest na to odpowiedni moment, bo nikt nie jest pewien, kto wygra w wyborach prezydenckich. Nawet Lauren – ce Melfrod nie będzie na tyle głupi, żeby zignorować możliwość wojny. Musi się liczyć z perspektywą objęcia urzędu prezydenta przez Lincolna.

Collis wymieszał sobie koktajl burboński, a potem przeszedł się w zamyśleniu po pokoju.

– Miałem zamiar poczekać na wyniki wyborów. Ale chyba masz rację.

Hanna wyciągnęła do niego dłoń.

– Jeśli wygra Douglas albo Breckinridge, to Melford zupełnie cię zlekceważy. Jeśli wygra Lincoln, to wszystkich ogarnie taka panika, że w ogóle nie będą mogli jasno myśleć, a już na pewno nie o kolei. Teraz jest najważniejsza pora, nie sądzisz? Łatwiej dobić targu, grając na uczuciach ludzkiej trwogi. Pewność zasklepia ludzi w ich przekonaniach.

Collis uściskał jej dłoń.

– Haniu, kochanie – powiedział. – Kiedyś jeszcze zabłyśniesz w handlu. Zobaczysz.

Uśmiechnęła się.

– Znam swoje własne słabości, Collis. Dlatego widzę je też u innych.

– Nawet u mnie? – zapytał. Kiwnęła głową z wielką satysfakcją.

– Człowiek bez słabości to jak ogród bez furtki, kochanie. Collis popijał drinka i rozmyślał nad planem, który sobie ułożył, żeby obezwładnić Laurence’a Melforda. Pokładał w Bogu nadzieję, że się powiedzie. Ale jeszcze bardziej pokładał w Bogu nadzieję, że Hanna nigdy się o tym nie dowie.

*

Collis usilnie starał się ją przekonać, by została w domu, kiedy on pojedzie rozmówić się z Laurence’em Melfordem, ale nawet nie chciała o tym słyszeć. Miała ochotę odwiedzić paru znajomych w San Francisco, pochodzić po sklepach, a także wybrać się na grób Waltera.

Collis, który przed ślubem nie miałby zbyt wielkich kłopotów z wyperswadowaniem jej tego zamiaru, teraz odkrył, że upór Hanny był wprawdzie cichy, ale żelazny. Pokojówka, Lilah, spakowała więc kufer Hanny, wypełniając go po brzegi koszulami nocnymi, sukniami oraz buteleczkami kosmetyków, i Hanna popłynęła z Collisem do San Francisco. Na pokładzie parowca „Renown” siedziała w swoim najelegantszym kremowym kapeluszu i pod parasolką.

Zatrzymali się w hotelu International, głównie ze względów sentymentalnych. Kierownik hotelu przywitał się z Collisem uściskiem dłoni, a Hannę obrzucił podejrzliwym spojrzeniem.

– To Mrs Edmonds – wyjaśnił Collis, nie podnosząc nawet oczu znad rejestru.

Kierownik zatarł dłonie i powiedział: – Naturalnie... – Prawdziwa Mrs Edmonds – wyjaśnił Collis, odkładając pióro. – Pobraliśmy się w marcu, w Sacramento.

– Rozumiem – rzekł kierownik. – Winszuję.

Hanna zachowała kamienną powagę i celowo stroiła niezadowolone miny. Dopiero kiedy znaleźli się sami w pokoju hotelowym, po odejściu tragarza, wybuchnęła śmiechem.

– Biedaczysko – powiedziała. – Widziałeś jego minę? Naprawdę nie mógł uwierzyć, że ten postrach San Francisco, Mr Edmonds, dał się wreszcie zaciągnąć do ołtarza.

Collis wyjął z kieszeni zegarek.

– Rzeczywiście – rzekł z wymuszonym uśmiechem. – Nie mógł w to uwierzyć, no proszę.

Hanna wyprostowała się w fotelu.

– Nie wyglądasz wcale na rozbawionego. Nie śmiesz cię to?

– Jak to nie. To bardzo zabawne.

– Ale się nie śmiesz... Collis wzruszył ramionami.

– Myślałem o Melfordzie.

Zdjęła z głowy kapelusz i rzuciła go na łóżko.

– Wiem, kochany. Przepraszam. Nie powinnam robić takich frywolnych uwag.

– Nie, nie. Wcale nie. Lubię, kiedy jesteś frywolna. To znak, że czujesz się szczęśliwa.

Przedtem byłaś zawsze taka poważna, taka przygnębiona.

Collis podszedł do niej i pocałował ją w usta, wyraźnie zaprzątnięty własnymi myślami.

Starął się uśmiechnąć, ale wiedział, że jej nie oszuka. Zawahał się chwilę, a potem otworzył kufer i wyjął zeń papierowy pakunek, w którym owinięta była jego koszula.

– Chyba nie wychodzisz od razu? – zapytała Hanna.

– Muszę. Muszę powiadomić Andy’ego i Dana, że już tu jestem, a potem chcę iść do Laurence’a Melforda, żeby wyznaczyć datę spotkania.

– Aha, no to doskonale – powiedziała Hanna, starając się ukryć, jak bardzo rozczarowana jest tym pośpiechem, i okazać, że wcale jej nie zależy na jego towarzystwie. – Wobec tego nie pogniewasz się, jeśli pójde do Liebesa i przymierzę parę nowych sukienek.

– Pewnie, że nie. A wieczorem pójdziemy na kolację do Poodle Dog”. Co ty na to?

– Brzmi to niezwykle zachęcająco – powiedziała Hanna nieco impertynencko i skierowała się w stronę łazienki.

Collis chwycił ją za ramię. Nie odwróciła się, by spojrzeć na niego, ale przystanęła, spuszczając lekko głowę.

– Naprawdę wszystko jest w porządku, uwierz mi – rzekł Collis. – Obmyśliłem wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

– Oczywiście – rzekła Hanna.

– Odnoszę wrażenie, że mi nie ufasz.

– Niby dlaczego?

– Właśnie nie wiem. Ale kiedy powiedziałem, że pójde zobaczyć się z Andym i Danem... Hanna odwróciła głowę i delikatnie, tkliwie dotknęła wargami jego ust.

– Jeśli uważasz, kochanie, że tak będzie najlepiej dla kolei, to dla nas też tak będzie najlepiej – powiedziała.

*

– Chyba zwariowałeś – rzekł Andy Hunt. – To za ciężka artyleria.

– Nie widzę innego wyjścia – odparł Collis. – Możemy jeszcze najwyżej przystawić mu pistolet do łba i oznajmić, że tak ma być i już, czy mu się to podoba, czy nie.

– Można za to porządnie beknąć – wtrącił Dan Mc Ready.

Collis usiadł. Zebrali się w zagraconej kancelarii Andy’ego, na Pine Street, zaraz po piątej po południu; na zewnątrz zaczęło właśnie padać. Grube, mokre krople spływały po szybach okien niczym łzy wszystkich świętych.

Andy, w tabaczkowym surducie, żuł wielki kawał tytoniu. Dan McReady, w pasiastym garniturze z serży, przetykał ślinę raz po raz. Wyglądał bardzo oficjalnie. Było jasne, że ani on, ani Andy, nie odnieśli się entuzjastycznie do planu Collisa.

– Chodzi o bodziec – wyjaśnił Collis. – Laurence Melford zareaguje tylko wtedy, kiedy będzie sądził, że zagrożone jest dobre imię jego rodziny albo podstawa ich egzystencji. A ponieważ w żaden sposób nie uda się nam uszczuplić jego finansów, musimy się jakoś dobrać do córeczki.

– Rozumiesz, mam nadzieję, że rozedrze cię na kawałki i przybije twoje serce na drzwiach frontowych rezydencji Melfordów, jeśli cokolwiek się nie powiedzie – rzekł Andy.

– Moje zresztą też, jak się dowie, że ci pomagałem.

– Ja mam szczęście – rzekł Dan McReady. – Ja nie mam serca.

– Posłuchajcie – wyjaśnił Collis. – Najważniejsze jest to, że chociaż Laurence Melford jest do mnie wrogo nastawiony, zawierza mi, jeśli chodzi o dobro swoich dzieci. Po tym pojedynku z Grantem podziękował mi listownie za to, że wystrzeliłem w powietrze. Mogłem rozłupać szczeniakowi czaszkę i miałbym prawo po swojej stronie. On to dobrze wie. Ale sądzi, że jestem altruistą i że muchy bym nie skrzywdził, chyba że we własnej obronie.

– A to prawda? – spytał szorstko Andy.

– Wszystko jedno – odparł Collis. – Może tak, może nie. Liczy się to, że ta opinia pomoże nam w wykonaniu tego delikatnego zadania.

Andy wypluł brązowy sok z tytoniu w mosiężną spluwaczkę przy biurku.

– Kiedyś i tak się dowie, że to my. Na pewno. No bo kto inny by się tego podjął? Jaki miałby motyw? – powiedział Dan McReady.

– Każdy mógłby to zrobić. I to z tego samego powodu co my – dla pieniędzy – odparł Collis.

– Tak czy tak, możemy wdepnąć w gówno – rzekł Andy. – Nie uśmiecha mi się wcale zawisnąć z balkonu na drugim piętrze z pętelką u szyi, tylko ze względu na kolej.

Collis powstał.

– Więc nie chcesz mieć z tym nic wspólnego? – zwrócił się do Andy'ego.

– Tego nie powiedziałem – zachnął się Andy. – Mówiłem tylko, że to kompletne szaleństwo.

Collis uśmiechnął się.

– No to w porządku. Czuj – czuj – czuwaj! Należysz do naszej szajki.

Dan McReady zakrztusił się ze śmiechu.

12

Po południu, kiedy Hanna wypoczywała w hotelu International, Collis wziął dorożkę i pojechał na południe, przez Kearay Street, plac Targowy, a potem znowu na południe przez Trzecią Ulicę, i w górę, po niższym zboczu Rincon Hill, do South Parku. Był podenerwowany i ciągle bębnił palcami w parapet okna dorożki. Popołudnie było pochmurne i wyglądało, że za chwilę lunie deszcz.

South Park była to elegancka dzielnica murowanych domków w stylu londyńskim, tworzących kształt elipsy i wznoszących się niemal sto stóp nad poziomem średnieścicia, na własnej, niebosiężnej górze. To tutaj właśnie, wokół przepysznego ogrodu, z daleka od ścisku, zgiełku i smrodów z przystani i targowisk, rozlokowali się milionerzy oraz damy z towarzystwa. Ogród ów otoczony był wysokim parkanem z kutego żelaza i jedynie mieszkańcy South Parku mieli klucze do jego bram.

W tym właśnie okresie panowało w South Parku ogólne poruszenie – i zresztą, nic dziwnego. Rodziny, które zamieszkiwały tę dzielnicę, pochodziły w większości z Południa, czerpały dochody z południowych plantacji i pracy niewolników. Za kilka lat wiele z nich zostanie zrujnowanych. Za kilka lat, wcześniej niż ktokolwiek mógłby się tego spodziewać, przedsiębiorstwa tramwajowe przekopią Drugą Ulicę, przetrną Rincon Hill prawie dokładnie po przekątnej i zburzą bezpowrotnie ten bajkowy światek. Dzisiejsze Rincon Hill leży pogrzebane na wieki pod wielkomięskimi magistralami wiodącymi na Bay Bridge.

Collis wysiadł z dorożki przed numerem 12, South Park, i kazał woźnicy poczekać na siebie. Fasada budynku była płaska, balustrada wokół werandy świeżo odmalowana, a mosiężne klamki u drzwi wypolerowane do połysku. Wizytówka na drzwiach głosiła, że rezydencja nazywała się „Całusa”. Siateczkowe firanki w oknach udrapowane były po bokach w wyszukane meandry i przewiązane białymi, jedwabnymi kokardami. W środku, na jednym z frontowych okien, Collis zauważył białą papugę w białej klatce. Zadzwoił: Drzwi otworzył natychmiast czarny kamerdyner.

– Słucham pana? – rzekł Murzyn.

– Mam list do Miss Melford. Byłbym wielce zobowiązany, gdybyś przekazał go jej do rąk własnych.

Kamerdyner wyciągnął dłoń w białej rękawiczce. Collis najpierw udał, że podaje mu list, ale potem nagle wyrwał mu go już prawie z samej ręki.

– Miss Melford, zrozumiano? – powiedział. – Nie tatuńcio czy mamuńcia, nie braciszek Grant. Miss Melford we własnej osobie.

– Tak, proszę pana. Rozumiem, proszę pana – odpowiedział kamerdyner.

– Zuch chłopak! – rzekł Collis i podał mu list oraz pięćdziesiąt centów. Kamerdyner nie raczył podziękować ani nawet choćby skinąć głową, tylko zamknął Collisowi drzwi prosto przed samym nosem i zostawił go na zewnątrz, w wilgotnym, popołudniowym wietrze.

No dobra. Jedna sprawa z głowy. Pierwsza część planu wykonana pomyślnie. Teraz musiał zacząć przygotowania do reszty. Odszedł od drzwi i skinął na dorożkarza.

Gdy dorożka toczyła się po wijących się serpentynach alei, wokół prywatnych ogródków i poruszanych wiatrem kwiatów oraz starannie wypielęgnowanych zielonych trawników, Collis wyprostował się na ławce i spojrzał przez tylne okienko na rezydencję Melfordów. Zdawało mu się, że ręka niewidzialnego obserwatora rozsuwa na chwilę siateczkowe firanki. Potem firanka opadła, a Collis uśmiechnął się sam do siebie niewesoło. Jedna słabostka łączy biedaków i bogaczy – wścibstwo. I to właśnie ludzka nienasycona ciekawość ułatwi mu zawarcie przymierza z Laurence'em Melfordem.

– Dokąd jedziemy, proszę pana? – spytał dorożkarz, kiedy podrygiwali, tocząc się po balach Trzeciej Ulicy.

– Jackson Street – odparł Collis. – Do rezydencji Mr Kwanga, jeśli wiesz, gdzie to jest.

– Jak to nie, proszę pana – rzekł dorożkarz, cmokając, by przynaglić konia. – Pewnie, że wiem.

Mr Kwang zajęty był podliczaniem rachunków. Siedział po turecku w mrocznym raczej pokoju, oświetlonym tylko chińską lampą oliwną z kloszem wykonanym z cieniutkiego, matowego szkła, w kolorze niebiesko – białym. Pisał na kartkach ryżowego papieru bambusowym pędzelkiem, a od czasu do czasu jego palce przebiegały po stojących obok alabastrowo – ebonitowych liczydłach. Guziczki liczydeł gruchotały po drutach jak salwy muszkietowego ognia.

Collis wprowadzony został do środka i przez jakiś czas stał w milczeniu, podczas gdy Mr Kwang dalej podliczał kolumny cyfr. Wreszcie jednak Mr Kwang spojrzał na niego i rzekł: – Mr Edmonds! Proszę, niech się pan rozgości.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – rzekł Collis. – Nie miałem czasu ustalić daty spotkania.

Mr Kwang odłożył pędzelek do malutkiego porcelanowego kałamarza z atramentem.

– Jest pan przyjacielem Chińczyków, Mr Edmonds. Zawsze jest pan tu mile widziany.

Collis zdjął kapelusz i usiadł na podłodze.

– Raz już wyświadczył mi pan przysługę, Mr Kwang. Twarz Mr Kwanga pozostała bez wyrazu.

– Zainwestowałem w przyszłość środowiska chińskiego. To nie żadna przysługa, Mr Edmonds. Pomagając panu w rozwiązywaniu osobistych trudności, zapewniłem, mam nadzieję, zatrudnienie dla chińskich robotników przy budowie transkontynentalnej drogi żelaznej.

– Tak – rzekł Collis uroczyście. – Chyba tak. – Napije się pan herbaty? – spytał Kwang – Nie, dziękuję. Nie mam na to czasu. Przyszedłem tu z bardzo konkretną sprawą.

– Ach – rzekł Mr Kwang. – A czego panu potrzeba? Pieniądzy? Żałuję, ale tu pomóc panu nie mogę. Mój kapitał zamrożony jest prawie całkowicie w nieruchomościach i niewolnikach.

– Nie chodzi mi o pieniądze – rzekł Collis. – Potrzebne mi opium.

– Opium? Zdziwiał mnie pan! Chyba nie dla siebie? Collis pokręcił głową.

– O, nie. Nic z tych rzeczy. Potrzebna mi dawka, która uspiłaby kogoś na godzinę czy dwie. Akurat tyle, żeby dana osoba nie była w stanie się zorientować, co się z nią dzieje.

Mr Kwang popatrzył na swoje rachunki.

– To jakaś ogromnie nieuczciwa sprawa, Mr Edmonds. Chce pan wykorzystać kogoś, kto w normalnych okolicznościach nie byłby wcale skłonny panu pomóc.

– Bardzo trafne spostrzeżenie, Mr Kwang.

– Nie bez przyczyny jestem przywódcą stowarzyszenia On Leong, Mr Edmonds.

Collis przełknął ślinę.

– Więc jak? Pomoże mi pan?

– Możliwe. Ale muszę dać panu opium w płynie. Nie można nakłonić kogoś do palenia wbrew jego woli.

– Zapłacę – rzekł Collis. – Nie oczekuję niczego za darmo. Mr Kwang patrzył na niego przez jakiś czas, ale wyraz jego gładziutkiej twarzy był dalej nieprzenikniony. Potem klasnął w dłonie i w drzwiach ukazała się dziewczyna w sukni z turkusowego jedwabiu – najlepszy koliber w jego haremie. Powiedział coś do niej szybko w dialekcie hokkijskim. Skinęła głową i wyszła, drobiać kroki.

– Słyszałem, że się pan ożenił – rzekł Mr Kwang, czekając na jej powrót. – Powinienem złożyć panu gratulacje.

– Kwang Lee panu powiedział?

– Nie pamiętam. Mam tylu informatorów! Wiem dokładnie, co się dzieje w Sacramento, w Napa, w Sonomie i w Oakland, tak szybko, jak tylko przybiją do brzegu promy. Handluję żywym towarem, Mr Edmonds, tak jak pan handluje żelastwem, wobec tego muszę mieć sprawny wywiad.

Dziewczyna powróciła i podała Mr Kwangowi małą fiołkę zalakowaną woskiem. Mr Kwang podał ją Collisowi.

– W tej fiołce jest opium w płynie – powiedział. – Niech pan uważa. Jeśli pan przedawkuje, może pan zatrzymać pracę serca.

Collis wziął buteleczkę i schował ją do kieszeni surduta.

– Będę uważał – zapewnił go z przekonaniem. Mr Kwang uśmiechnął się nieznacznie.

– Proszę mi teraz nie płacić. Ale gdy dopnie pan swego przy użyciu tego płynu, może mi pan podarować kolejarską chorągiewkę jako pamiątkę.

– Skąd pan wie, że to ma coś wspólnego z koleją? Mr Kwang znowu sięgnął po pędzelek.

– Wyrabia tu już pan sobie reputację, Mr Edmonds. Wszystko do czego się pan zabiera ma jakiś związek z koleją.

Collis przyjrzał się Mr Kwangowi uważnie. Z głębi mieszkania dobiegł ich dźwięk gongu, jak wspomnienie z dalekiego kraju, z dawno porzuconego świata. Collis powstał, przystanął na chwilę, skłonił się, a potem odwrócił i skierował w stronę drzwi wyjściowych.

– Jest takie chińskie powiedzenie, Mr Edmonds, prawie niemożliwe do przetłumaczenia.

Ale znaczenie słów jest takie: kto się stara kupić sobie przyszłość, może to zrobić tylko kosztem przeszłości – powiedział Mr Kwang.

Collis zatrzymał się na chwilę przy bambusowej zasłonie.

– Twardy z pana człowiek, Mr Kwang – odpowiedział. – Więcej ma pan hartu niż ja.

Ale proszę dać mi czas.

Czekał na odpowiedź, ale usłyszał tylko klekotanie liczydeł. Popchnął bambusową zasłonę, wydostał się na wąski balkonik, a potem zszedł kamiennymi schodami na ulicę.

*

Ostatnią tego dnia wizytę złożył na rogu Pine Street, w zakładzie fotograficznym „W.P.Naylor, Zdjęcia i Fotogramy”. Była to mała zakurzona pracownia, zarzucona statywami i rolkami negatywów, w której unosił się drażniący nozdrza zapach podsiarczanu sodu. W oknie stały oprawione w złote ramki portrety fotograficzne W. L. Winna, jednego z ojców modnych w San Francisco budek z wodą sodową, oraz zdjęcie szpetnej kobiety w białej sukni, która wyraźnie pozowała na Ofelię.

Collis wszedł do środka i uderzył w mosiężny dzwonek na kontuarze. Czekał przez chwilę, a potem uderzył weń jeszcze raz. Wreszcie z zaplecza pomieszczenia dobiegł go odgłos czyichś kroków i przekleństw. Wkrótce wyłonił się stamtąd chudy młody człowiek, w koszuli z podwiniętymi rękawami i poplamionej kwasem kamizelce, w okularach usadowionych w dzikiej gęstwinie przedwcześnie posiwiałych włosów.

– O co chodzi? – warknął niegrzecznie.

Collis podał mu list polecający od Andy’ego Hunta. Młody człowiek obejrzał kopertę ze wszystkich stron kilka razy, aż wreszcie rozerwał ją poplamionym na pomarańczowo kciukiem. Przeczytał szybko, pociągnął nosem, a potem wsadził pomięty list z powrotem do koperty.

– Chyba wie pan, jakie mogą być konsekwencje tego, o co pan prosi? – rzekł młody człowiek, a mięśnie na jego policzku zadrgały nerwowo.

Collis przytaknął.

– Dlatego właśnie Mr Hunt wysłał mnie do pana. Podobno potrafi pan trzymać język za zębami.

– Potrafię doskonale przejrzeć nieczne zamysły Mr Hunta. Znowu wyjął list z koperty i przeczytał go ponownie.

– Fotografika to jeden z najwspanialszych rodzajów sztuki – rzekł, przygryzając wargi.

– Nie sądzi pan, że to świętokradztwo używać jej do takich celów?

– Nazwijmy to po prostu postępem – rzekł Collis.

– Postępem? No tak, może i racja. Jeżeli zastosowanie najnowocześniejszej technologii w celu wyłudzenia pieniędzy szybciej i sprawniej niż w przeszłości można nazwać postępem, to rzeczywiście mamy tu z tym do czynienia.

– Domyślam się, że na ogół niecenzuralność aż tak pana nie gorszy – rzekł Collis z kwaśnym uśmiechem. – Mr Hunt powiedział od razu: „Wal prosto do Naylora. To najlepszy spec w tej branży”.

Młody człowiek wyplątał okulary ze zmierzwionej czupryny i założył je sobie na nos.

Popatrzył na Collisa oczami tak bladymi i zimnymi jak oczy łososia złowionego w rzece Sacramento.

– Mr Naylor już nie żyje – powiedział. – Umarł wiele lat temu na zapalenie płuc. Ja nazywam się Figgis, ale wszyscy dalej nazywają mnie Naylor. Tak wygodniej, ze względu na ciągłość firmy.

– Pomoże mi pan? – spytał Collis.

– Dlaczego nie? Ale gdzie i kiedy?

– Za dwa dni. Najprawdopodobniej u Janki Zadupczanki.

– Aha, no tak. Pracowałem już tam kiedyś.

Collis zdjął skórzaną rękawiczkę z jednej ręki, wyjął cygaro i zapalił.

– Jakieś sprośne fotki? – spytał Mr Figgisa.

– Niech się pan tu tak nie wywyższa – odparował fotograf. – To, o co mnie pan prosi, jest równie plugawe. Nawet bardziej.

Collis skinął głową.

– Dlatego właśnie przyszedłem się z panem zobaczyć osobiście. Żeby się przekonać, czy z pana rzeczywiście taki swój chłop, godny zaufania klawy facet, jak mi mówiono.

Mr Figgis zawahał się na moment, dalej zagryzając wargi. Potem, całkiem niespodziewanie, sięgnął pod ladę i wyciągnął pięknie oprawiony w czerwony marokin album, z wytłoczonym złotym liściem. Położył go płasko i otworzył na pierwszej stronie, tak ażeby Collis mógł się dobrze przyjrzeć. W środku, oprawiony w owalną ramkę z sepii, widniał portret pulchnej nagiej dziewczyny, z włosami zaplecionymi w warkocze i naszyjnikiem z kwiatów.

– Widzi pan? – rzekł Mr Figgis. – Dla pana to może tylko „sprośna fotka”. Może się pan wykrzywić, aż gęba panu spuchnie, ale to jednak też sztuka.

Collis przekartkował album. Były tam zdjęcia rozmarzonych dziewcząt, siedzących na tle sztucznej leśnej scenerii, dziewcząt całujących na wiejskich mostkach swoje przyjaciółki, dziewcząt w kościstych, nagich ramionach wąsatych dżentelmenów z podwiązkami na owłosionych udach.

– Pięćdziesiąt dolarów za album – zauważył Mr Figgis, jakby ta cena podnosiła w jakiś sposób wartość artystyczną fotografii.

Collis zamknął album.

– Jak się pan wykaże i zrobi mi pół tuzina fotografii jakiej takiej jakości, przyjdę z powrotem i zapłacę panu dwa razy tyle.

Mr Figgis spojrział w dół na album i zmarszczył czoło.

– Mam nadzieję, że to nie jakaś ryzykowna zabawa? – zapytał. – Nie lubię się płatać w żadne podejrzanе kombinacje.

– Podejrzanе kombinacje? – powtórzył Collis. Pokręcił głową, a potem, nie mówiąc już więcej ani słowa, wyszedł z zakładu i skierował się w stronę dorożki, która czekała na niego na Pine Street.

Mr Figgis patrzył na niego przez zakurzone szyby wystawowe, a później słońce rzuciło mu nagle na twarz cień złotej litery N, tak że wyglądał jak wojownik indiańskiego szczepu, który pomalował się, szykując do walki.

Collis i Hanna zjedli kolację w Poodle Dog, w jednym z prywatnych apartamentów na górze. W każdym apartamencie był salon, łazienka, a nawet sypialnia. Wynajmowane były głównie przez panów i panie z towarzystwa, którzy chcieli zjeść, a potem pofiglować na osobności, z dala od ciekawskich ludzkich spojrzeń. W bocznej ścianie budynku restauracji było nawet oddzielne wejście, gdzie zawołowane damy w przebraniu mogły wysiąść z powozu nie zauważone i wślizgnąć się cichaczem bezpośrednio na jedno z trzech wyższych pięter.

Collis lubił to otoczenie ze względu na jego przepych: można tu było zjeść w odosobnieniu znakomitą kolację, w zaciszu aksamitnych i brokatowych draperii. Hanna, która czuła się nieswojo od momentu ich przyjazdu do San Francisco, wyglądała jednak na skrepowaną.

– Czy ustaliłeś datę spotkania z Laurence’em Melfordem? – zapytała Collisa, pochylona nad koktajlęm z krewetek w śmietanie z dodatkiem brandy.

– Skontaktowałem się z jego adwokatem – rzekł Collis, nie podnosząc oczu znad talerza.

– Ale co mu powiesz, nawet jeśli zgodzi się z tobą zobaczyć? Ciągłe powtarzasz, że wszystko sobie ułożyłeś i że masz plan. Ale nie chcesz mi powiedzieć, co to za plan.

– Bo to raczej skomplikowana sprawa, wiesz – rzekł Collis, popijając krewetki rykiem szampana. – Nie chciałem, żebyś sobie tym zawracała głowę, dopóki wszystko nie zostanie zorganizowane.

– Collis – powiedziała. – Przecież właśnie po to tu jestem. Dlatego właśnie wyszłam za ciebie za mąż. Ja chcę sobie zawracać głowę twoimi sprawami, niezależnie od tego, czy już wszystko zorganizowałaś, czy jeszcze nie. Proszę, nie myśl, że powinnam się dowiadywać o twoich przedsięwzięciach dopiero, kiedy zostaną już pomyślnie sfinalizowane. Przecież nie jesteś kotem, który sądzi, że musi przynieść swojej pani zdechłą mysz, żeby jej sprawić przyjemność.

Collis uśmiechnął się.

– Jesteś idealną żoną, Haniu, wiesz o tym?

– Bardzo bym chciała, żeby tak było naprawdę. Ale nie mogę być idealną żoną, bo ty mi na to nie pozwalasz.

– Ja ci na to nie pozwalam? A co takiego robię, żeby ci w tym przeszkodzić?

Odłożyła widelec.

– Wszystko trzymasz w tajemnicy przede mną. Nie powiedziałaś mi, jak masz zamiar przekonać Laurence'a Melforda, aby zgodził się na budowę kolei. Na miłość boską, Collis, przecież to był właśnie mój pomysł, żeby przyjechać do San Francisco. Możesz chyba przynajmniej powiedzieć mi, jaki masz plan. Może nawet udałoby mi się wprowadzić jakieś korzystne poprawki.

Ręka Collisa z widelcem zawisła nad talerzem.

– Wątpię – powiedział.

– Jak możesz wątpić, skoro nie dałeś mi nawet możliwości pomyśleć nad tym?

Collis wytarł usta serwetką.

– Haniu, najdroższa moja, chyba po prostu nie rozumiesz dokładnie, o co w tym wszystkim chodzi. Laurence Melford to nie jakiś tam zwykły przeciwnik, nie jakiś tam zacofany handlarz z Południa, który nie zna się ani w ząb na nowoczesnym kolejnictwie. To cholernie bogaty, bezpardonowy i wpływowy adwersarz. Nie cofnie się przed niczym, żeby tylko nie dopuścić do przeprowadzenia drogi żelaznej przez Sierra Nevada. I to nie tylko dlatego, że to by go uderzyło po kieszeni i osłabiło jego społeczną pozycję. Nie dopuści do tego, ponieważ gdyby kolej została wybudowana, to cały jego świat, w którym czuje się tak bezpiecznie, ległby w gruzach. Jest nie tylko rozjuszony, ale i przerażony, i dlatego trzeba z nim bardzo uważać.

– Oczywiście, przecież zdaję sobie z tego sprawę – rzekła Hanna. – Ale to tylko jeszcze jeden powód, żebyś szukał we mnie oparcia. Jeśli jest taki groźny, taki bezpardonowy, to chyba właśnie powinieneś mi się zwierzyć.

Collis odsunął na bok talerz z krewetkami. Przez chwilę usuwał językiem kawałek mięsa, który utkwiał mu między zębami. Potem powiedział: – W zwykłych okolicznościach, Haniu, zgodziłbym się z tobą, naturalnie, że tak.

– A dlaczego te okoliczności są aż takie nadzwyczajne?

– Mój plan jest... jest raczej niecodzienny. Uśmiechnął się do niej przepraszająco.

– Powiedzmy, że omija nieco ogólnie przyjęte przepisy prawne.

– Jak ta sprawa z kocami? Collis przytaknął.

– Mniej więcej.

Wyciągnęła dłoń ponad stołem, a opuszki jej palców dotknęły jego ślubnej obrączki.

– Chyba mnie jednak nie doceniasz – powiedziała. – Wcale nie tak łatwo mnie zaszokować. Nie potępiam wszystkiego w czambuł i nie jestem przeczulona na punkcie prawości. Wychowałam się w wierze katolickiej i staram się żyć zgodnie z przykazaniami Biblii, ale Bóg patrzy na świat równie trzeźwo i dorzecznie jak i my. Wie dobrze, że ludzie muszą handlować i prowadzić interesy, aby polepszyć byt całego społeczeństwa. Jeśli to, co planujesz, nie krzywdzi nikogo i nie przynosi nikomu ujmy, to jestem pewna, że będzie ci w stanie wybaczyć. Albo przynajmniej zrozumieć.

Collis położył swoje dłonie na jej rękach.

– Przecież to dla kolei żelaznej – powiedziała. – Pomyśl o czasach, kiedy o mało nie umarłam na żółtą febrę. Pomyśl o tych wszystkich ludziach, których w przyszłości ocalisz od morowego powietrza w Panamie. Twój plan może być nielegalny, ale jeśli nikogo nie skrzywdzisz, jeśli przyniesie pożytek ogółowi, to nikt nie będzie miał prawa cię za to potępić.

Przez długi czas Collis nie odrywał od niej wzroku. Patrzył w jej błyszczące, niebieskie oczy, na wystające kości policzkowe, na włosy tak jasne jak kłosa pszenicy. Myślał, sam nie wiedząc dlaczego, o wspólnie spędzonych nocach, o tym, jak się kochali, i jak wodził wtedy dłonią po jej jedwabistych piersiach. Dotknął własnego policzka i przypomniał sobie, jak obudził się rankiem, po ich nocy poślubnej, z odciskiem haftu poduszki na skórze.

– Haniu – powiedział cicho. – Ożeniłem się z tobą, bo się w tobie zakochałem. Była to namiętność gorąca i szczerą, której jednak nie byłem w stanie sobie wytłumaczyć. Teraz już wiem, co ją wzbudziło, oprócz twojej urody. Jesteś żoną budowniczego kolei, właśnie dokładnie taką, jakiej mi trzeba. Tryskasz energią. Jesteś uparta i bardzo zmyślna. Ożeniłem się z tobą, bo po prostu naprawdę nie mógłbym ożenić się z nikim innym.

Hanna zarumieniła się i uśmiechnęła.

– Ja czuję to samo, jeśli chodzi o ciebie. Ktoś dyskretnie zapukał do drzwi.

– Otwarte! Proszę wejść! – zawołał Collis i do pokoju wsunął się kelner. Przyniósł następne danie i sprzątnął puste naczynia. Obsługując ich, odwracał taktownie wzrok, i nawet gdy Hanna powiedziała: „Proszę się nie krępować. Jesteśmy bardzo czcigodnym małżeństwem”, dalej trzymał głowę schyloną i czym prędzej opuścił pokój.

Collis uniósł nakrycie półmiska, w którym leżał jego pasztecik z jagnięcia, i gorąca, aromatyczna para buchnęła mu prosto w twarz.

– Zachodzę w głowę, jak ludziom chce się barszkować w tym lokalu, po takim żarciu, jakie tu serwują – powiedział, chwytając za widelec. – Do tego jeszcze dojdzie kapłon na kości, szynka w sosie z szampanem i udo sarny.

– Collis – powiedziała Hanna. – Mój gorset zaczyna się robić wyraźnie za ciasny.

Obrzucił ją szybkim spojrzeniem. Była to niezwykle pikantna uwaga; o takich rzeczach nie wspominało się w normalnej rozmowie. Ale wiedział dobrze, po co to powiedziała: żeby mu dać do zrozumienia, że „należy do paki”, i że wobec tego on może naprawdę bez wahania wyjaśnić jej, jak ma zamiar pokonać Laurence’a Melforda.

Odłożył widelec.

– Haniu – powiedział. – Naprawdę nie mogę ci powiedzieć, jaki mam plan. Nie teraz.

Proszę, nie gniewaj się na mnie za to, że trzymam to przed tobą w tajemnicy.

Chwilowy uśmiech ulotnił się z jej twarzy. Potem pojawił się znowu, ale tym razem wyraźnie wymuszony.

– No dobrze – powiedziała. – Jeśli uważasz, że naprawdę nie możesz mi powiedzieć, to uszanuję twój sąd. Jesteś moim mężem i muszę zaakceptować to, co mówisz.

Przez resztę wieczoru rozmowa zupełnie się nie kleiła. Hanna jadła jednym zębem i nie tknęła nawet brzoskwiniowej szarlotki. Sprzątając ostatnie naczynia, kelner złapał wzrok Collisa, a wyraz jego twarzy był tak zbolący, jakby szansę Collisa na przednią nocną rozrywkę wyglądały raczej mizernie.

Gdy kelner wyszedł z pokoju, Collis zauważył: – Ten facet nie ocenia moich widoków na dzisiejszą noc zbyt wysoko.

– Jaki facet?

– Klener. Właśnie ruchem głowy złożył mi wyrazy najgłębszego współczucia.

Hanna wyniośle odwróciła głowę.

– I całkiem możliwe, że wcale się nie myli.

*

Następnego dnia rano siedział właśnie przy swoim sekretarzyku, w apartamencie hotelu International, pochłonięty korespondencją służbową, kiedy zorientował się, jakie znaczenie ma dla niego dzisiejsza data. 18 września 1860 roku. Urodziny ojca. Dzień w którym trzy lata temu przyrzekł Marii–Mamuśce, że spotka się z nią w południe przed sklepem Waltera Westa, na Montgomery Street.

Wyprostował się na krześle i ściągnął poły zielonego jedwabnego szlafroka na piersi, okręcając go mocniej wokół pasa.

Z sypialni obok słyszał od czasu do czasu pobrzękiwanie filiżanki, ponieważ Hanna jadła śniadanie w łóżku. List był do Lelanda i miał popłynąć do Sacramento najbliższym promem.

Pióro zawisło nad nie dokończonym zdaniem: „... i siedemdziesiąt pięć ton żelaznych podpór budowlanych”, a na papierze został kleks w kształcie kaczki.

Powiódł w zamyśleniu dłonią po czole. Czy w ogóle warto wybrać się na to spotkanie? A może i tak już nie żyje? Miałaby dużo szczęścia, żeby uchować się aż tak długo. Woda pita w San

Francisco jest taka zanieczyszczona i wszędzie czyhają na nowo przybywających zakaźne choroby. A do tego jeszcze ryzyko porodu. Collis wyobrażał już sobie jej szkielet i czaszkę o pustych oczodołach, pogrzebane gdzieś w piaszczystej glinie na cmentarzu Lane Mountain.

Albo może, zgwałcona, ograbiona, z podejrzanym gardłem, leży gdzieś na dnie zatoki San Francisco, na głębokości trzydziestu stóp.

W końcu nie ma wobec niej żadnych zobowiązań. Zignorowała go ostentacyjnie na stacji w Panamie. I nawet gdyby jakoś przeżyła i uchroniła się przed rzeźniczką, to i tak pewnie zupełnie już zapomniała o tym rendez-vous. Trudno by ją nazwać, wedle ulubionego określenia Lelanda, osobą „obowiązkową”.

Mimo to Collis podniósł się jednak i poszedł na palcach w stronę sypialni. Stał, przyglądając się Hannie, która siedziała w łóżku w białym, koronkowym nocnym kaftaniku.

Po chwili przerwał milczenie: – W południe muszę iść na spotkanie. Nie mogę się wykręcić.

– Ach, tak? – spytała, udając, że cała jej uwaga skupiona jest właśnie na grzance.

Wszedł do sypialni i usiadł na krawędzi łóżka.

– Haniu – poprosił. – Postaraj się zrozumieć. Odnosisz się do mnie niechętnie.

Spojrzała na niego, nie przerywając jedzenia.

– Dziwi cię to, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności?

– Haniu, dobrze wiesz, że wyjaśnię ci w szczegółach cały plan, jak już wszystko dobrze pójdzie. W chwili, gdy będę mógł powiedzieć: „Załatwione”, od razu się o wszystkim dowiesz.

– Jestem twoją żoną, Collis. Mam prawo wiedzieć teraz. Nabrał powietrza, jakby miał zamiar zrobić jakąś szorstką uwagę, ale potem odetchnął tylko i powiedział, podnosząc się z łóżka: – Wrócę o trzeciej. Mogłabyś zaprosić którąś ze swych znajomych na obiad.

Odstawiła tacę ze śniadaniem.

– Zrobię, co będę uważała za stosowne – odparła. A potem dodała jeszcze z uśmiechem: – Dokładnie tak, jak ty.

– Haniu – rzekł Collis przymilnie.

– Collis – odparła, ale widać było, że nie uległa jego pochlebstwom.

Chciał ją zaczarować swoim spojrzeniem, przybierając słodziutką minkę, ale ona tylko leciutko potrząsnęła głową w jego stronę.

– Pal to diabli! – wrzasnął wreszcie na odchodnym. – Czy nie rozumiesz, że naprawdę nie mogę ci powiedzieć?

*

Sklep Waltera Westa na Montgomery Street doprowadzony został do ruiny. Story były spuszczone, a drzwi zabite sosnowymi deskami, żeby zabezpieczyć lokal przed atakami miejscowych rabusiów, którzy inaczej rozgrabiliby go doszczętnie. Postrzępiony plakat głosił: „Sklep zamknięty z powodu nagłej śmierci właściciela. Lokal i towary do nabycia na giełdzie”. Collis podszedł do jednego z bocznych okien i wytarł kurz, starając się zajrzeć do środka, ale zobaczył tylko przewrócone krzesło i bele materiału.

Zastępca szeryfa przeprowadził śledztwo w sprawie zabójstwa Waltera Westa „z bezprzykładną ofiarnością”, ale po przesłuchaniu licznych przywódców różnorodnych tongów i utwierdzony w przekonaniu niejedną buteleczką ciepłego ryżowego wina, doszedł ostatecznie do wniosku, że Walter zamordowany został „pod wpływem osobistej urazy” przez „nieznanego sprawcę pochodzenia azjatyckiego”. Prawda była taka, że służba śledcza z San Francisco cierpiała na stały niedobór personelu; zatrudnieni oficerowie policji nie rozumieli sekretnych układów środowiska chińskiego, a poza tym sami bali się jego przywódców. O wiele łatwiej więc było skorzystać z ich gościnności bez komentarza i, posiliwszy się mięsnym gulaszem, zostawić ich w spokoju, nie wtykając nosa w ich ciemne machlojki.

Collis oparł się o poręcz, gdzie przywiązywano konie, przed sklepem Waltera, przechylił rondo kapelusza tak, aby osłaniało mu oczy przed mglistym, południowym słońcem, i czekał.

Przechodząc obok, wielu przechodniów obrzucało go ciekawskim spojrzeniem, rozpoznając jego twarz ze zdjęć, które ukazały się z pięć czy sześć razy w kalifornijskich gazetach. Collis uśmiechnął się raz czy dwa do paru ładniejszych dziewcząt, które minęły go na chodniku, i wyjął z kieszeni zegarek, aby sprawdzić, która godzina. Da jej dziesięć minut, a potem już go nie ma.

Mała niebieska kariolka zatrzymała się tuż obok niego. Odsunął się, a stangret zeskoczył z kozła, otworzył drzwi i położył schodki. Po kiego licha ma niby czekać dalej? Ani mu się śni.

Zamiast tego zabierze Hannę na obiad do jakiegoś supereleganckiego lokalu i może uda mu się ją tym ugłaskać. Naprawdę wolałby niczego przed nią nie ukrywać. Ale gdyby wyjaśnił jej wszystkie tajniki swego planu, wprowadziłoby to ją bez wątpienia w, okropne zakłopotanie. I sam też czułby się zakłopotany, gdyby mu przyszło wyjawić wszystkie szczegóły sprawy.

Kiedy pasażerka niebieskiej kariolki przy pomocy stangreta schodziła po schodkach na chodnik, nawet nie spojrzał w jej stronę. Był wprawdzie świadom obecności kobiety w niebieskiej pelerynie i kapeluszu z piórami i nawet cofnął się, aby pozwolić jej przejść, ale jego oczy utkwione były w chodnik, więc nie od razu zauważył jej długie czarne włosy i głęboko wyciętą bluzkę, w hiszpańskim stylu.

– Collis? – jej głos wyrwał go z zamyślenia.

Wlepił w nią wzrok. Nie rozpoznał jej nawet od razu. Zdawała się wyższa, dużo bardziej atrakcyjna, a jej haftowana peleryna była ślicznie skrojona, stylowa i wyraźnie bardzo kosztowna. Jej włosy upięte były grzebyczkami wysadzanymi brylantami, a w uszach miała błyszczące brylantowe kolczyki. Trzymała parasolkę z gracją i zachowywała się bardzo swobodnie.

Ale tak – to jednak była ta sama skośnooka Maria–Mamuśka, o miękkich, zmysłowych, lekko rozchylonych ustach. Patrzyła na niego z radością i rozbawieniem, a kiedy podszedł bliżej, dała mu lekkiego szyderczego szturchańca w bok. Wzdał jej dłoń w swoją rękę i dalej wpatrywał się w nią w milczeniu.

– Ha! – powiedziała. – Widzisz! Pamiętam jak dziś. 18 września, urodziny twojego ojca, o dwunastej w południe. Często przechodziłam koło tego sklepu i zastanawiałam się, czy ty też jeszcze pamiętasz.

– Wyglądasz naprawdę prześlicznie – powiedział. – Myślałem czasem o tym spotkaniu z tobą i zastanawiałem się, jak teraz wyglądasz. Ale nawet mi przez myśl nie przeszło, że tak wypiękniałaś.

Nachyliła się i pocałowała go w policzek. Pachniała Eau de 1’Isle, perfumami, które robiły furorę w tym sezonie.

– Przybywającemu do San Francisco mogą przydarzyć się trzy rzeczy: albo człowiek tu umiera, albo stoi w miejscu, albo się bogaci.

– A ty się wzbogaciłaś – Collis uśmiechnął się do niej szeroko.

– I ty też, z tego, co słyszałam. Moja pokojówka zawsze czyta mi gazety. Lubię wiedzieć, co w trawie piszczy.

– A dziecko? – zapytał. – Masz dziecko?

– Chłopczyka – odparła. – Ma już prawie trzy latka. Strasznie podobny do ojca, ale to nie szkodzi. Postaram się, żeby wyrósł na dżentelmena.

Nie zwracając uwagi na przechodniów, Collis nagle przyciągnął do siebie Marię–Mamuśkę i złożył na jej ustach pocałunek.

– Co za wspaniałe spotkanie – powiedział. – Wyglądasz zachwycająco. Wprost nie mogę wyjść z podziwu!

– Może wpadłbyś do mnie na obiad? – zaproponowała. – Mieszkam na Bush Street.

Musisz mi opowiedzieć wszystko o sobie i o kolei.

– Doskonały pomysł!

Weszli do powozu, a stangret zamknął za nimi drzwi. Był to niski, apatyczny Meksykanin, z wąsami oklapniętymi jak wodorosty.

– Do domu, Miss Paradise? – zapytał, a Maria–Mamuśka skinęła głową potwierdzająco.

– Miss Paradise? – spytał Collis, kiedy trzęśli się po wybojach Montgomery Street. – Tak się teraz nazywasz?

– To był pomysł importera win. Powiedział, że wszystkie damy z półświatka powinny mieć pseudonimy zawodowe.

– Niezupełnie chwytam.

Przytrzymała go za ramię i pocałowała w ucho. Blask promieni słonecznych odbitych w górnych szybkach lufcików rozświetlał wnętrze powozu.

– Gdy przyjechałam do San Francisco, pracowałam najpierw w cukrowni u Mr Gordona, pakując worki ciemnego cukru. No wiesz – byłam w ciąży, co miałam robić? Ale kiedy i urodził się George i znowu doszłam do siebie, postanowiłam, że muszę się jakoś lepiej urządzić. Mr Gordon zawsze mi radził, żebym wykorzystała moje naturalne walory, i tak też zrobiłam. Nazwałam George’a po Mr Gordonie, rozumiesz.

– A jak zaczynałaś?

Maria–Mamuśka przysunęła się bliżej i przytuliła do niego. Collis miał nadzieję, że nie przesiąknie zapachem perfum Eau de l’Isle, bo to dałoby Hannie zbyt wiele do myślenia.

Miał zamiar kupić je dla niej w prezencie, ale jakoś zaniedbał to do tej pory.

– Pomógł mi właśnie Mr Gordon – rzekła Maria–Mamuśka. – Znał pewną damę o nazwisku Mary Miller, na Geary Street. Ona prowadzi bardzo szanujący się dom schadzek.

Bardzo dystygowany: dziewczyny pięknie poubierane, herbata, ciasteczka dla klientów, rozumiesz. Mają nawet na ścianie napis: „Wulgarność surowo wzbroniona”.

– Więc wzięłaś się za najstarszy zawód świata? Maria–Mamuśka podniosła dumnie głowę.

– I nie żałuję. Bawiłam się doskonale. Miło wspominać każdą chwilę i każdego mężczyznę. Może gdybym pracowała w jakiejś ruderze na przystani Meigg, to by mi się wszystkiego odechciało. Ale Mary Miller nauczyła mnie, jak dbać o siebie, i wysłała do dobrego doktora.

Collis rozsiadł się wygodnie w ciemnoniebieskim pluszowym siedzeniu powozu.

– A kiedy założyłaś własny interes?

– Kiedy poszłam po raz pierwszy do Opery i zobaczyłam Bellę Core i inne właścicielki burdeli całe w perłach i biżuterii, wystrojone w prześliczne suknie. Zrozumiałam, że muszą być bardzo bogate. I pomyślałam sobie: Nie jestem wcale brzydsza od Belli Core, więc co stoi na przeszkodzie, żebym i ja się wzbogaciła?

– Wspomniałaś coś o importerze win... – No właśnie – rzekła Maria–Mamuśka konspiracyjnym szeptem. – To właściwie sekret, ale tobie powiem. Wielu z nich pomaga w finansowaniu lupanarów, bo tam idzie dużo szampana, rozumiesz. Zarabiają na tym mnóstwo pieniędzy, wiesz, więc dzierżawią lokal, płacą czynsz i meblują mieszkanie, a niektórzy nawet wykupują z aresztu dziewczyny, które zostały zatrzymane jako zwykłe prostytutki. Ja zwróciłam się do firmy Dunglas & Spółka, bo słyszałam, że to porządna firma. Rozmawiałam z samym Mr Dunglasem. Naprawdę poszedł mi na rękę. Kupił mi dom, umeblował i jeśli sprzedam piętnaście skrzyń francuskiego szampana na tydzień, mogę zawsze na niego liczyć.

Collis nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

– Zawsze wiedziałem, że dzielna z ciebie dziewczyna – powiedział. – Dałaś tego dostateczny dowód tej nocy, w Panamie, kiedy powiedziałaś mi prosto w oczy, że nie spełniłem twoich oczekiwań. Miałem tylko nadzieję, choć bardzo nikłą, muszę przyznać, że jakoś się uchowiałaś i że urodziłaś zdrowe dziecko.

– Myślałeś o mnie, chociaż się ożeniłeś? – spytała Maria–Mamuśka z łobuzerskim uśmieszkiem.

– O tym też twoja pokojówka znalazła w gazetach wiadomość?

– Jasne. I gratuluję. Chyba tego chciałeś, prawda? To przebojowa kobieta; taka, która wie, czego chce.

– Takie na tobie zrobiła wrażenie, kiedy ją zobaczyłaś po raz pierwszy?

Maria–Mamuśka znowu go pocałowała.

– A tobie się pewnie zdawało, że to takie godne litości biedactwo, co to ani be, ani me.

Zahukane kobieciątko, które samo jedzie taki świat drogi, aż do San Francisco, po to tylko, by połączyć się z mężem, chociaż już zapomniało, jak należy go kochać. Ale, zważ moje słowa, ona dobrze wiedziała, czego chce, od momentu, kiedy zatrzymała na tobie oko. Od samego początku. Aha, tu mamy chłopaczka, jak się patrzy, z głową na karku, który nie da sobie w kaszę dmuchać, pomyślała. I w końcu cię omotała. Cwaniara.

Collis ujął dłoń Marii–Mamuśki. Jej paznokcie były teraz długie i pięknie wypielegnowane. Na każdym palcu miała złoty pierścionek, z brylantem, szafirem albo szmaragdem z Ameryki Południowej.

– Chyba jednak wyrobiłaś sobie o Hannie fałszywe mniemanie – rzekł Collis. – Odeszła od męża, ale nie zrobiła tego pochopnie.

– No pewnie. To zabójstwo ułatwiło jej znacznie podjęcie decyzji.

Collis nie chciał o tym mówić.

– To była tragedia – powiedział, odwracając wzrok.

Maria–Mamuśka wyciągnęła dłoń i dotknęła jego policzka,!

– Przepraszam – powiedziała. – Nie chciałam cię urazić*; Proszę zapomnij o tym, co powiedziałam. Może zamiast tego opowiedziałbyś mi o swojej kolei, co? A w ogóle to, co cię sprowadza do San Francisco?

*

Maria–Mamuśka mieszkała na Bush Street, w wąskim, czteropiętrowym, pierniczkiowym budynku z balustradami i balkonami, jednym z sześciu w kolonii domków na jednym placu.

Dyskretna szarość i biel fasady mogły zmylić na pierwszy rzut oka nie wtajemniczonego obserwatora, ale połysk mosiężnych futryn i fikuśne zwoje koronkowych firanek zdradzały jakoś, że był to przybytek rozkoszy, a nie dom mieszkalny czy też pensjonat.

Wychodząc z powozu na chodnik, Collis włożył rękawiczki i powiedział: – Bardzo okazała kamienica. Muszę pogratulować młodemu panu Dunglasowi, jeżeli będę miał kiedykolwiek zaszczyt zawrzeć z nim znajomość.

– Ani mi się waż! – upomniała go Maria–Mamuśka, podciągając suknię, by łatwiej jej było wysiąść z powozu.

Zwolniła stangreta i wprowadziła Collisa do środka. Wnętrze, w pastelowych, kremowych, tytoniowo brązowych i zgniło – zielonych barwach, nie było tak zagracone jak u Janki Zadupeczanki. Na ścianach wisiały portrety pulchnych, roześmianych, nagich kobiet, o skórach białych i lśniących i cielących oczach bez wyrazu. W każdym kącie stały spluwaczki i popielniczki, tak że mieszkanie nie przypominało wyglądem przesłodzonego burdelu; raczej panowała w nim atmosfera męskiej palarni.

Śliczna Chincezka w fartuszkach pokojówki czekała, by zabrać pelerynę Marii–Mamuśki.

Collis podał dziewczynie swoje rękawiczki i laseczkę, a ona skłoniła się przed nim z szacunkiem.

– Chcę, żeby moi goście czuli się swobodnie – powiedziała Maria–Mamuśka, wprowadzając Collisa do salonu. – W niektórych domach publicznych biedni klienci nie ośmielą się ani zakląć, ani zapalić, ani pożartować. Oczekuję, oczywiście, kurtuazji, ale nie każe panom gromadzić się wokół pianina i wyśpiewywać hymnów, tak jak to robi Mrs Kahn.

I serwuję alkohol.

– O! To chętnie napiłbym się szampana – powiedział Collis.

Maria–Mamuśka pociągnęła za brązową, aksamitną taśmę dzwonka.

– Musisz spróbować trochę naszych kołdunów, skoro tu już jesteś. Lubisz chińską kuchnię?

– Nie mam wyboru. Muszę. Wygląda na to, że środowisko chińskie obrało mnie swoim nieoficjalnym bohaterem dziesięciolecia. Obiecałem im pracę na kolei przy układaniu torów, wiesz, i budowie tuneli.

– Więc jesteś tutaj tym razem w sprawie drogi żelaznej?

Collis stanął plecami do kominka. Maria–Mamuśka, rozpostarłszy fałdy niebieskiej, błyszczącej sukni, usiadła na kanapie, naprzeciwko. W bladym świetle wczesnego popołudnia wyglądała jak nieśmiała, erotyczna fantazja malarza – amatora: płomienna, dzika kochanka, wystrojona w jedwabie i koronki, z koronkową, wyszywaną perłami kryzą wokół szyi, brylantami we włosach i wydatnym biuścikiem pod skąpym staniczkiem z czystego, haftowanego batystu.

– Chcę przekonać środowisko handlowe z San Francisco, że opłaci im się finansować tę kolej – wyjaśnił. – Nie przekonamy Kongresu, że naprawdę znaleźliśmy odpowiednią trasę, jeśli nie

przeprowadzimy w górach dokładnych pomiarów, a na to trzeba grubej forsy. Na razie nas na to nie stać, prawdę mówiąc.

– Chyba nie sądzisz, że coś z nich wyciśniesz? – spytała Maria–Mamuśka. – W gazetach pisało, że nienawidzą kolei.

– Pożyczą mi pieniędzy, jeżeli Laurence Melford nakłoni ich do tego.

– Laurence Melford? Ale przecież on jest najgorszy ze wszystkich! Gruba ryba. Liczą się z nim nawet ci z rycerstwa. A w dodatku to południowiec. Kiedy Laurence Melford mówi hop, to wszyscy skaczą.

– Właśnie dlatego muszę koniecznie zdobyć jego poparcie – powiedział Collis.

Maria–Mamuśka nachmurzyła się.

– Chyba oszalałeś. Nie poparłby cię, nawet gdybyś przystawił mu pistolet pod sam nos.

– No a gdybym tak, używając tylko takiej metafory, przystawił mu właśnie pistolet pod sam nos?

– Używając czego?

– Takiej metafory. To znaczy, że tak naprawdę nie zamierzam mu wcale przystawiać pistoletu pod sani nos, ale mam; zamiar zrobić coś, co w rezultacie też skłoni go do ustępstwa.

Weszła Chinceczka z szampanem. Wzięli po kieliszku i wzniesli w milczeniu toast. Collis podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Maria–Mamuśka, mrużąc oczy w jaskrawym świetle słońca, widziała tylko kontury jego twarzy.

– Muszę przyprzeć Laurence’a Melforda do muru. Uderzyć w najbardziej czuły punkt.

Jeśli będzie myślał, że Sara jest w niebezpieczeństwie, to zrobi wszystko i powie wszystko, żeby tylko wyciągnąć ją z tarapatów.

– Chcesz ją zabić? Albo zagrozić, że ją zabijesz? To czyste wariactwo! Melford każe cię powiesić.

– Co ty! Nie mam wcale zamiaru wyjeżdżać z takimi pogroźkami! Zasugeruję tylko, że mogę wystawić na szwank jej reputację, a to dla Laurence’a Melforda, dżentelmena z Południa i opiekuńczego, do przesady, tatusia, gorsze niż śmierć.

Maria–Mamuśka popijała szampana. Patrzyła na niego znad kieliszka pytająco, marszcząc czoło w zamyśleniu.

– Posłuchaj. Melfordowie to znana rodzina. Od razu na samym początku, jak tu tylko przyjechałem, dowiedziałem się, że Laurence Melford uważa swoją córkę za chodzący ideał bez skazy. Wykopsał wszystkich konkurentów do jej ręki spod drzwi swojej rezydencji jak uprzykrzonych kundli spod jatki. Ma obsesję na tym punkcie. W jego pojęciu Sara to południowy kwiat, nieskazitelny, niepokalany, czarowny i powabny. Więc pomyślałem sobie, powiedzmy, że ktoś mu udowodni, że tak wcale nie jest. Więcej, zagrozi, że jeśli Melford nie zmięknie – wszyscy dowiedzą się prawdy o Sarze. Jak on wtedy na to – , zareaguje?

Maria–Mamuśka wachlowała się powoli jedną ręką.

– Chyba zaczynam rozumieć, o co ci chodzi. Masz na myśli szantaż. W grę wchodzi dobre imię jego córki. Ale jak to zrobisz?

– Chyba nie powinienem ci tego mówić. Maria–Mamuśka roześmiała się dźwięcznie. Był to przyjazny, serdeczny śmiech.

– Nie powinieneś, ale pewnie powiesz. Mężczyźni lubią mi się zwierzać. Właśnie dlatego tak dobrze powodzi mi się w tej profesji. Zawsze powtarzam, że jak człowiek chce się wygadać, to łatwiej pomówić z prostytutką, niż z kimkolwiek innym.

Łatwiej niż z własną żoną. Właściwie to z własną żoną chyba najtrudniej.

– Jak ty się zmieniłaś przez te ostatnie trzy lata! Taka jesteś teraz rozsądna. Nabyłaś życiowej mądrości.

– Tak. – Uśmiechnęła się. – Nauczyłam się wiele na temat samej siebie i na temat mężczyzn. Na ogół w lupanarach mężczyźni mogą tylko zaspokoić swoje cielesne żądze. Ale ja tutaj dbam o wszystko.

Collis wziął cygaro z kominka. Potrząsnął nim koło ucha, potem zerwał opaskę, odciął koniuszek i zapalił. Maria–Mamuśka patrzyła na niego z uznaniem.

– Masz styl, wiesz o tym? – powiedziała dobrodusznie. Uśmiechnął się do niej.

– Ty też. Nie znam drugiej takiej burdel – mamy. Miałem zamiar wtajemniczyć w to Jankę Zadupczankę, ale może ty mogłabyś mi pomóc zamiast niej. Jeżeli oczywiście, chcesz mnie wysłuchać.

– Zanim zaczniesz – przerwała Maria–Mamuśka – powiedziałeś o tym wszystkim Hannie?

Spojrzał na nią, wypuszczając złożonymi w ciup ustami dymek z cygara. Potrząsnął głową.

– W porządku – skinęła głową, jakby rozumiała dobrze dlaczego. – No to mów. Jaki masz plan.

*

– Jest list do ciebie – powiedziała Hanna. – Przyszedł tu o trzeciej, doręczony przez prywatnego gońca. Pieczęć na kopercie mówi „M”. Chyba od Melforda.

– Nie gniewasz się już na mnie? – spytał, biorąc od niej kopertę i oglądając z bliska stempelek.

Miała na sobie satynową, beżową suknię z białymi wypustkami przy staniczku i mankietach. Jej jasne włosy ufrizowane były w loki, wyglądała jak klasyczna piękność.

Spojrzała na niego i wzruszyła ramionami, a potem wyciągnęła dłoń i chwyciła go za rękaw.

– Nie, oczywiście, że już nie. Kocham cię. Pocałował ją. Przycisnął ją mocno do siebie i znowu pocałował. Emanowało z niej ciepło, pachniała mydłem i perfumami. Rozpoznał natychmiast ich zapach. Wyprostował się i przechylił głowę w bok, tak jak to robił ojciec, kiedy miał zamiar o coś zapytać.

– Eau de l'Isle? – indagował. – Gdzie je kupiłaś?

Udała, że czuje się urażona.

– A ciebie co to obchodzi?

– Obchodzi mnie, bo jesteś moją żoną – powiedział. – A przede wszystkim dlatego, że cię kocham.

– Świetny powód – powiedziała, udając, że już trochę mięknie.

Usiadł przy sekretarzyku i zaczął otwierać list nożykiem do papieru. Milczenie. W końcu podniósł wzrok.

– I co pisze Laurence Melford? – spytała.

– To nie od samego Laurence'a Melforda, prawdę mówiąc, tylko od jego kancelisty.

Pisze, że Laurence Melford nie widzi żadnego powodu, dla którego miałby się ze mną spotkać, i że jego sprzeciw wobec kolei transkontynentalnej pozostaje nadal niewzruszony.

– O! „No i co teraz zrobisz?”

Collis zmiął list pomiędzy palcami w kulkę.

– Co zrobię? Zrobię dokładnie to, co zamierzałem zrobić. Będę się trzymał mego planu.

– Planu, o którym nie chcesz mi powiedzieć?

– Właśnie. Planu, o którym nie chcę ci powiedzieć. Prychnęła niezadowolona.

– Dobrze więc. Jeśli nie chcesz mi powiedzieć, to nie. Ale chyba ubiorę się teraz do wyjścia i pójdę na kolację. I na twoim miejscu nie liczyłabym, że wrócę wcześniej niż za dwie godziny.

– Haniu – powiedział prosząco.

Ale ona tylko trzasnęła drzwiami i zostawiła go w sypialni, tak że zwracał się do ściany.

Westchnął i usiadł przy sekretarzyku. Nie powinien aż tak się przejmować fochami Hanny.

Ostrożnie odwinął list i rozprostował go na wytłaczanym, skórzanym blacie stołu brzegiem dłoni. Przeczytał list znowu, poruszając ustami, w zanikającym świetle, które wślizgiwało się do pokoju przez okno.

Drogi Mr Edmonds, Miał pan szczęście, że dał pan swoje zaproszenie memu najbardziej zaufanemu, serdecznemu kamerdynerowi, który oddał mi je do rąk własnych, tak jak mu pan kazał. Będzie mi bardzo przyjemnie spotkać się z panem o trzeciej, dwudziestego, w W. L. Winn: czekam z niecierpliwością na to towarzyskie rendez-vous. Słyszałam, że się pan ożenił. Czy mam pogratulować? I jeszcze jedno pytanie: czy to nie robi różnicy?

Łączę wyrazy szacunku

Sara Melford

Collis podpałił list zapalką i za minutę zostały z niego tylko czarne zwęglone płyty w popielniczce. Rozprószył zapach dymu lokalną gazetą.

Plan był bardzo prosty, ale nowatorski, a przy tym ryzykowny. Nikt nigdy przedtem nie próbował szantażować nikogo przy użyciu kompromitujących fotografii. Collis przynajmniej nigdy nie słyszał o podobnym przypadku; wiedział że powodzenie tego projektu zależeć będzie w równej mierze od temperamentu Laurence'a Melforda, jak i od jego własnej kompetencji oraz koordynacji poszczególnych zadań.

Jeśli Laurence Melford nie wpadnie w panikę i przemyśli całą sprawę logicznie, to szybko się zorientuje, że praktycznie rzecz biorąc, nikt nie byłby w stanie zaszargać, na szeroką skalę, reputacji jego córki. Można by, rzecz jasna, wydrukować pocztówki i wysłać do paru bardziej szacownych domów w San Francisco. Prawdopodobnie również J. Walter Walsh, wydawca lokalnego brukowca, opublikowałby jakąś odbitkę w swoim piśmie „Illustrated Varieties”, a „California Police Gazette”, którą interesowały głównie walki kogutów i nieobyczajne skandaliki, wspomniałaby zapewne w kolumnie plotkarskiej o istnieniu kompromitujących fotografii Sary Melford. Całkiem możliwe, że nawet „Bulletin” znalazłby miejsce na powściągliwą notatkę o „środkach nacisku z zastosowaniem nowoczesnej technologii”.

Ale ze względu na pozycję Laurence'a Melforda i na jego majątek, nawet Walsh pomyślałby dwa razy, zanim ośmieliłby się coś opublikować, chociaż chełpił się publicznie w swoim piśmie, że tylko pięć pozwów o zniesławienie było właśnie w toku przeciwko jego „Varieties”. Gdyby Melford zachował zimną krew, mógłby bez trudu przekonać każdego, komu pocztówki wpadną jakoś w ręce, że są to po prostu sfabrykowane w celu wywołania skandalu falsyfikaty.

Collis liczył jednak na to, że Melford wpadnie w szewską pasję i straci panowanie nad sobą. Podobnie jak przy odkrywcze ostatnich trzech kart w faraonie, Collis zgadywał teraz, na] z doświadczenia, na pół intuicyjnie, że Laurence Melfordl będzie się skręcał ze złości, niezależnie od tego, czy te zdjęcia dostaną się w ręce tylko jednej niepowołanej osoby, czy też dowie się o nich byle bubek, byle gnojacz czy inny kocmołuch w kalifornijskich suterach. Uważał się za południowego dżentelmena, a Sara była jego córką. Reputacja rodziny tą grunt.

Collis wiedział, że tylko absolutna anonimowość zapewni powodzenie tego przedsięwzięcia. Nikt nigdy, pod żadnym pozorem, nie może wpaść na jego trop, bo gdyby kiedykolwiek wyszło na jaw, że to on spletał Laurence'owi Melfordowi takiego psikusa, Collis nigdy nie zaznałby już spokoju. Jego życie byłoby w ciągłym zagrożeniu. Byle przybłęda, karierowicz czy łowca majątku, poprzysiągłby mu zemstę, żeby przypodobać się najbardziej wpływowemu człowiekowi w San Francisco i zarobić przy tym na boku parę dolarów. Dlatego właśnie Collis miał wątpliwości, czy zwierzyć się Jance Zadupczance ze swoich planów. Wielu jej klientów miało powiązania z

Melfordem. Ciągłe podejmowała u siebie konserwatystów wrogo nastawionych do kolei. A oprócz tego miała za długi jęzor.

Wygadała się przed nim o upodobaniach Horace'a Johnsona co do „dyscypliny” – i bardzo dobrze; ale czy przypadkiem nie plotkowała o Horace'em o nim, o Collisie?

19 września po południu, Collis spotkał się z Andym, Danem McReady i Mr Figgisem, fotografem, w kancelarii Andy'ego Hunta, na Pine Street. Na wielkim arkuszu brystolu, który przypiął do ściany, wyrysował mapę i wyjaśnił szczegóły planu.

– Sara odpisała mi, że chętnie spotka się ze mną o trzeciej w Fountain Head, u W. L.

Winna. Będę tam na nią czekał i zrobię wszystko, żeby rzucić się w oczy kelnerom. Będę ich bez przerwy wypytywał, która godzina, tak żeby mnie sobie zapamiętali. Pięć po trzeciej, a możliwe, że nawet później, powóz Sary zatrzyma się na ulicy przed lokalem. I to jest właśnie punkt kulminacyjny całego przedsięwzięcia. Andy zorganizował ogromny wóz dostawczy, załadowany skrzyniami ryb, który skręci w tę ulicę, gdy tylko podjedzie tam powóz Sary.

Zatrzyma się tak blisko, że Sara będzie zmuszona wysiąść sama przed hotelem, tak żeby jej stangret mógł natychmiast odjechać, nie tarasując drogi. On sam nie będzie niczego podejrzewał oczywiście, ponieważ będzie przekonany, że pomaga jej któryś ze służących Winna, którym tak naprawdę będziesz ty, Dan, w tunice zapiętej na złote guziki i służbowej czapce.

– Nie mówiąc już o sztucznych wąsach.

– Właśnie – rzekł Collis. O wąsach i spluwie..

– A co potem? – spytał Mr Figgis, zaskoczony.

– Odrobinka przemocy – rzekł Collis. – Dan weźmie Sarę pod rękę i popchnie ją za węgiel budynku, nie rozluźniając uścisku. Tam, w bocznej alejce, będzie już czekać na nich wynajęty powóz. Powie jej, żeby szła za nim spokojnie i że nic się jej nie stanie, jeżeli będzie grzeczna, cicha i posłuszna. Powóz zabierze ją tak prędko, jak się tylko da, na Bush Street, a Dan przewiąże jej oczy chusteczką. To bardzo ważne. Nie powinna się nigdy dowiedzieć, dokąd została uprowadzona.

Collis sięgnął po maleńką, zalakowaną woskiem fiolkę od Mr Kwanga, która leżała na biurku Andy'ego, w rogu. Wziął ją do ręki.

– Jak tylko przestąpi próg mieszkania Marii, Andy i Dan przytrzymają ją i dadzą jej nalewkę z opium. Nie wiem, kiedy zacznie działać, ale woźnica Sary nie będzie wszczynał alarmu przez co najmniej godzinę, albo więcej, a to powinno nam dać mnóstwo czasu. Kiedy Mr Figgis skończy swoje zdjęcia, Dan odwiezie Sarę na róg ulic Trzeciej i Harnson, wypuści ją, a potem ucieknie.

Andy rozwalił się na krześle, położył nogi na biurku i dłużył w zębach w zamyśleniu.

– Wszystko to brzmi kapitalnie – powiedział. – Ale ja tu widzę trzy słabe punkty. A jak się ta cała operacja zawali, to koniec z nami. Co zrobimy, jeśli Sara zignoruje ostrzeżenie Dana i zacznie krzyczeć o pomoc? Albo jeśli się wyrwie? A poza tym dalej nie jestem przekonany, że musimy się uciekać do takich wybiegów, żeby zebrać pieniądze. Przecież moglibyśmy jeszcze popukać do

różnych drzwi, pogadać z paroma bankierami. Potrzebujemy tylko dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. To by się dało jakoś uciuć.

Collis rzucił ołówek, zniecierpliwiony.

– Chyba nigdy niczego nie zrozumiesz! Dwadzieścia tysięcy dolarów to za mało.

Dwadzieścia tysięcy dolarów pójdzie od razu na pomiary, które Teodor musi przeprowadzić w terenie. Musimy zapewnić sobie poparcie na następne dziesięć, może nawet dwadzieścia lat. Potrzeba nam długoterminowych inwestycji. A Kongres to co? Jak mamy sobie zagwarantować ich poparcie? Jak mamy ich przekonać, żeby zaaprobowali właśnie naszą trasę? Czym zapłacimy za pierwsze tory i nasze pierwsze i lokomotywy? Chodząc od drzwi do drzwi i zbierając co łaska na ten chlubny cel? Błagając o jałmużnę bankierów z San Francisco? No, jak ci się wydaje? Przecież ten projekt będzie nas w sumie kosztował miliony dolarów. Miliony! A to oznacza, że musimy przekabacić na swoją stronę najbardziej wpływowych przedsiębiorców z San Francisco i unieszkodliwić opozycję.

– W porządku – rzekł Andy, podnosząc dłonie w obronnym geście, jakby chciał się poddać. – Myślę tylko, że cały ten projekt jest raczej niesamowity, to wszystko. Kto słyszał, żeby szantażować kogoś fotkami?

Collis odkaszlnął. Zbyt dużo ostatnio palił. I zbyt dużo pił.

– Ale to się kiedyś przyjmie – rzucił niedbale w stronę Andy'ego. – Kiedyś to będzie na porządku dziennym. Sami zobaczycie.

– A jeżeli coś się rzeczywiście nie powiedzie i zostaniemy przyłapani na gorącym uczynku, to co wtedy? – spytał Mr – To się wszystkiego wyprzemy – rzekł Collis. – Będziemy utrzymywać, że ktoś się strasznie głupio pomylił i że my jesteśmy absolutnie niewinni.

– A jak i to nie chwyci?

– To wtedy zwijamy manatki i dajemy nura do Nevady, i to tak szybko, że się będzie za nami kurzyło – odparł Collis z krzywym uśmiechem.

Andy podniósł się z krzesła.

– Jednej rzeczy dalej nie rozumiem. Jak wytłumaczysz Laurence'owi Melfordowi, że miałeś z jego córką potajemną schadzke? Przecież sam wiesz, że na pewno mu powie. I woźnica też. Nie sądzisz, że będzie podejrzewał od samego początku?

– Widzisz, tu się właśnie mylisz – rzekł Collis. – Jeśli sam pójde do Laurence'a Melforda i wyjaśnię mu, że chciałem się zobaczyć z Sarą w tajemnicy, na pożegnalnej, romantycznej randce, to będzie skłonny mi uwierzyć, że nie miałem nic wspólnego z uprowadzeniem Sary. Pod tym względem lepiej się nie wypierać. Przyznaj się do małego występku, to cię ludziska rozgrzeszą z dużego.

– No nie wiem – rzekł Andy bez przekonania. – Nie jestem pewien, czy to się powiedzie. Laurence Melford to twarda sztuka.

– A co na tym tracimy? – spytał Collis. – Nawet jeśli Melford nie zgodzi się nam pomóc, dalej nie będzie wiedział, że to my. Nie będzie miał żadnych dowodów. Za to my będziemy w posiadaniu najwspanialszej kolekcji fotografii Sary Melford jaką tylko można sobie wyobrazić. Osiągną wysoką cenę jako pocztówki.

– Hmm – mruknął Andy niechętnie.

Collis wyciągnął dłoń.

– Zawrzyjmy pakt – powiedział. – Zgódźmy się, że wypróbujemy ten plan. I zgódźmy się, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby się powiodł. Jeśli będzie kłapa, to otwarcie przyznam, że nie miałem racji i że powinniśmy spróbować bardziej konwencjonalnych środków. Ale osobiście uważam, że się uda i że za tydzień cała ta prowincjonalna, zabita dechami dziura i jej zakiszeni we własnym sosie handlarze padną przed nami na kolana.

Przez moment Andy wlepił wzrok w wyciągniętą przez Collisa dłoń, ale wreszcie podał mu swoją. Potem Dan McRea – dy i Collis uścisnęli sobie ręce. Mr Figgis nie ruszył się z miejsca, ale powiedział: – W porządku. Ja też spróbuję. Jeżeli zapłacicie za mnie kaucję, jeśli będzie wsypa.

*

Tej nocy Collis nie mógł wcale zasnąć w swej sypialni w hotelu International. Kanalizacja bulgotała i klekotała, w pokoju na górze ktoś zawodził fałszywie piosneczki zachodnich osadników, a z ulicy na dole słyhać było odgłosy bójki. Wreszcie, po jakiejś godzinie, Collis usiadł na łóżku, a potem wstał i wyszedł na palcach z sypialni do salonu, zamykając za sobą drzwi. Zapaliwszy lampę, zasiadł przy sekretarzyku z kartką z hotelowego notesu i piórem.

„Droga Haniu” – napisał. Zmarszczył czoło, starając się skupić myśli, i siedział przez dwie czy trzy minuty z piórem zanurzonym w kałamarzu.

„Przez ostatnie parę dni trudno było ze mną wytrzymać. Sam to wiem” – pisał. Skreślił „trudno” i zamienił je na „niełatwo”.

„Chcę jednak, żebyś wiedziała, że kocham cię ogromnie i całym sercem i nigdy w życiu nie zrobiłbym niczego, co mogłoby cię zranić. Jesteś promieniem słońca w moim życiu. Moją przyjaciółką i moją żoną. Jesteś dla mnie inspiracją. Kiedy przedrzemy się wreszcie przez Sierra Nevada, będę mógł w końcu myśleć tylko o tobie, tak jak właśnie teraz, w tej chwili, dziękując pokornie memu Stwórcy, że w swej dobroci pozwolił się nam spotkać przypadkowo i połączyć w tak szczęśliwym związku”.

Przez jakiś czas siedział, czytając raz po raz to, co napisał, a potem posypał papier piaskiem, by wysuszyć atrament. Nie wiedział właściwie, dlaczego chciał przelać swoje uczucia do a Hanny na papier. Mógł ją przecież obudzić i powiedzieć jej, jak bardzo ją kocha.

Ale jakoś czuł, że słowo pisane bardziej do niej przemówi. Będzie mogła wyciągnąć list z kieszeni i przeczytać go, kiedy zostanie sama w hotelu.

Kryło się za tym zapewne również poczucie winy, że trzyma swój ryzykowny plan w tajemnicy przed nią. Przypomniawszy sobie, jak matka mówiła: „Kto by dbał o rodzinne powinności, gdyby nie ta złośliwa bestia – głos sumienia?” Zastanawiał się przez chwilę, jak się czuje matka i czy Maude udało się jakoś wyjść za mąż. Stanąc na ślubnym kobiercu z Maude – no, to ci dopiero pokuta!

Skreślił parę słów do Charlesa; tym sposobem będzie mógł wysłać list do Sacramento już jutro. Do San Francisco przybił holenderski okręt. Można by się u nich zaopatrzyć w urządzenia miernicze i techniczne, a kapitan na pewno opuściłby cenę, gdyby Charles wysłał skrzynię świeżych owoców, zakupionych na targu w Sacramento.

Na górze świeżo upieczony kalifornijski osadnik wydierał się ochryple:

„O nigdy nie zapomnij tej słodkiej Betsy z Pike, co przeszła przez wielkie góry z kochankiem zwanym Ike, Z dwoma wołami w jarzmie oraz łaciatym psem, Z zadziornym kogutem z Szanghaju i wieprzkiem płowym jak len.

Collis miał po same uszy „Słodkiej Betsy z Pike” i postanowił, że nazajutrz rozmówi się ostro z kierownictwem hotelu.

Dzień był słotny. Collis podszedł rano do okna i wyjrzał na zewnątrz. Deszcz zaczął o szyby, kosił w furmanki, które wlokły się z trudem, grzęznąc w błotnistych wyrwach ulicy, bębnił w parasolki i dachy domów. Miał nadzieję, że ulica przed lokalem Winna nie będzie zbyt wyboista. Miał również nadzieję, że Sara nie zrezygnuje zupełnie z tego spotkania.

Niektóre dziewczęta z San Francisco nigdy nie wychodziły z domu w brzydką pogodę, w obawie, że zabłocą sobie suknie i poplamiają jedwabne pończochy.

Hanna siedziała na łóżku.

– Późno wczoraj położyłeś się spać, kochanie – zauważyła.

– Nie mogłem usnąć.

– Niepokoisz się?

Odwrócił się i przeszedł na drugą stronę pokoju w rozchełstanej koszuli.

– Dlaczego miałbym się niepokoić? Spóźniają się dzisiaj z kawą, nie sądzisz?

– Chodzi o ten plan, prawda? – spytała. – Nie jesteś całkiem przekonany, że na pewno wszystko gładko pójdzie.

– Pójdzie jak z płatka – upierał się, otwierając szufladkę biurka i wyjmując świeżą bieliznę. – Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości.

Milczała przez jakiś czas, a potem powiedziała: – Muszę ci coś powiedzieć. Kocham cię, wiesz?

Wyprostował się, trzymając kalesony w górze, jakby to była jakaś blada, skulona zjawia, w pelerynie zapiętej na guziki.

– Ja też cię kocham – powiedział i wiedział, że mówi szczerze.

Na dole w restauracji zjedli śniadanie złożone z wędzonej ryby i jajecznicy. Potem Collis poprosił portiera, by ten wynajął im dorożkę, i pojechali z Hanną na Telegraph Hill, gdzie spacerowali w milczeniu prawie przez godzinę, trzymając się za ręce, schowani przed deszczem pod dużym czarnym parasolem Collisa. Ciężkie, srebrne strugi deszczu przesłaniały im widok na Złote Wrota, a wzgórze San Francisco wznosiły się wokół nich jak wyspy na odległym, tropikalnym oceanie. Żaluzje w oknach domów na Telegraph Hill były pospuszczane, a drzwi zaryglowane. Było cicho i spokojnie; słychać było tylko bulgotanie wody w rynsztokach i sporadycznie zgrzyt kół jakiejś furmanki, prowadzonej niezręcznie w dół po skarpie, przez bezludne ulice.

Collis i Hanna przeszli spacerkiem na południowe zbocze wzgórza, ku Washington Street, i zauważyli, że zaczęło się przejaśniać. Powalęsali się po Little Chile, gdzie grała muzyka i gdzie podrażnił im nozdrza ostry zapach chilijskiego gulaszu, wydostający się z na wpół otwartych drzwi kuchennych. Zdawało im się, że deszcz bębni w parasol Collisa w rytm południowoamerykańskich melodii tanecznych, a zabłocone, ciemnoskóre dzieci puściły się za nimi biegiem, dopraszając się o parę centów jałmużny.

Zjedli obiad w niemieckiej restauracji na Montgomery Street, patrząc na siebie przez okrągły stół nakryty obrusem tak białym, że przyprawiał o zawrót głowy. Reszta wyłożonej ciemną boazerią sali pogrążona była w półmroku. Pomieszczenie wyglądało jak bank i gdyby nie to, że z drugiego końca sali, gdzie Deustches Club wydawał właśnie jakiś bankiet, dochodził ich głośny śmiech, i gdyby nie kelnerzy serwujący im białe wino i Haxe z zastawionych po brzegi tac, Collis czułby się jak w I.P. Woolmer Bank, w Nowym Jorku, przed tą całą chryją, która zmusiła go do wyjazdu. Pokroił swoją porcję golonki i rzekł cicho: – Przeprowadzam mój plan dziś po południu.

Hanna wlepiała w niego wzrok.

– Już? Tak szybko? To nie za wcześnie? Niczego nie zaniedbałeś?

– Zacząłem organizować wszystko od chwili, kiedy zeszliśmy ze statku. Wszystko jest dopięte na ostatni guzik.

– Dużo czasu ci to zajmie?

– Mam nadzieję, że nie. Ale zrobiłabyś mi wielką przysługę, gdybyś zachowała spokój, nie wspominała nikomu, gdzie jestem, i czekała na mnie w hotelu, dopóki nie wrócę.

– A późno wrócisz?

Przełknął ślinę i unióś kieliszek z winem.

– Możliwe. Ale się nie denerwuj. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, a jeśli wszystko dobrze pójdzie, to przed wyjazdem do Sacramento wzbogacimy się o tysiące dolarów.

Uniosła kieliszek w dyskretnym toaście.

– Szkoda, że nie mogę ci dać całusa – powiedziała.

Uniósł, w odpowiedzi, swój kieliszek.

– Szkoda, że nie możemy się pokochać – wyszeptał i zauważył z rozbawieniem, że spiekła raczka. Delektował się tym nie mniej niż wybornym winem.

Kiedy znalazł się przed kawiarnią W.L. Winna, była za dziesięć trzecia. Z powodu deszczowej pogody okna ze złożonym sztyldem były zaparowane, więc nie sposób było dojrzeć, co się dzieje w środku. Zatrzymał się przy frontowym baldachimie, złożył parasol i potrząsnął nim energicznie parę razy, strzepując zeń krople deszczu. Portier patrzył na niego ze swojego schronienia w przedsionku, jak suseł w suchej jamie, i nie ruszył się nawet, żeby podejść i pomóc Collisowi. To była właśnie dobra strona pluchy, pomyślał Collis.

Prawdopodobieństwo, że prawdziwy portier ukaże się w drzwiach, zderzy z podstawionym portierem i spowoduje niepotrzebne zamieszanie, zmniejszało się wielokrotnie.

Collis minął wóz załadowany skrzyniami ryb, który czekał już za rogiem. Dwa sześciolatnie woły oczekiwały wodą, a woźnica, Chilijczyk, siedział przycupnięty, nakryty mokrym workiem. Collis musiał przyznać, że Andy spisał się doskonale. Chwiejne skrzynie z rybami umieszczone były jedna na drugiej, wysoko i robiły wrażenie niestabilnych, a w poprzek sterczały ze wszystkich stron jakieś haki i żerdzie. Nie było mowy, żeby powóz Sary mógł podjechać do krawężnika i przepuścić wóz z rybami. Stangret ryzykowałby, że zedrze z powozu połowę lakieru. Collis wyjął zegarek kieszonkowy, sprawdził, ile ma jeszcze czasu, a potem wszedł do kawiarni.

W jasno oświetlonym, udekorowanym liściastymi palmami wnętrzu panował gwar i tłok.

Młodziutkie dziewczątka szczebiotały z ożywieniem przy herbatce. Wystrój lokalu był bardzo elegancki: stały tu meble z kutego żelaza, a żelazne filary pomalowano na kolor kremowy.

Collis stał w drzwiach, wyciągając szyję i starając się objąć wzrokiem całą salę, ponad lodami truskawkowymi, kremowymi ptysiami oraz lasem puszystych i pierzastych kapeluszy, aby sprawdzić, czy nie ma tam jeszcze Sary. Ale nie, jasne, że nie. Była zbyt dobrze wychowana, by zjawić się punktualnie. Jeden z kelnerów podszedł do Collisa i zapytał, czym może służyć.

– Chciałbym stolik dla dwojga osób – powiedział Collis, dalej rozglądając się za Sarą.

– Oczekuję pewnej młodej damy; powinna tu być już niedługo.

– Bardzo proszę. W głębi sali jest stolik, jak raz na taką okazję. Proszę za mną.

– Widzę wolny stolik przy oknie – rzekł Collis.

– Przepraszam bardzo, ale ten jest zarezerwowany. Nie pan pozwoli za mną.

Collis dyskretnie chwycił kelnera za przegub dłoni. Wy – kręcił mu z całej siły rękę, dla poparcia swego argumentu a potem wsunął w dłoń kelnera dolara i zacisnął na niej swoje palce, tak aby moneta nie upadła na ziemię.

– Powiedziałem, że jest wolny stolik przy oknie – powtórzył.

Kelner zamrugał oczami.

– Tak, proszę pana. Przez chwilę nie zauważyłem.

*

Collis usiadł, odwinął ogon fraka i sięgnął po kartę menu. Za kasą, na ścianie, wisiał mahoniowy zegar, który wskazywał dwie minuty po trzeciej. Kasjerka starała się upiąć swoje srebrne włosy spinkami. Collis szybko przeleciał wzrokiem po karcie, a gdy podszedł do niego kelner, zamówił czarną kawę i roladę.

– Jaką roladę, proszę pana. Z kremem cytrynowym, waniliowym czy borówkowym?

– Wszystko jedno. Byle nie była czerstwa.

– Wszystkie nasze wyroby cukiernicze są świeżego wypieku – zapewnił go kelner, wyraźnie urażony.

– Czekam na moją roladę – warknął Collis.

Kiedy kelner się oddalił, Collis przetarł szybę bawełnianą rękawiczką. Powozu Sary nie było jeszcze w zasięgu oka. Nic, tylko przemoknięci przechodnie i grzęznące w błocie furmanki. Modlił się tylko, żeby któryś z ociekających wodą powozów, które podrygiwały na wyboistej ulicy, nie wepchnął się przed powóz Sary i nie unieruchomił w ten sposób stangreta. Znowu spojrzął na zegar. Wskazówka zadrżała, zapiszczała i stanęła na dwunastce.

Kelner postawił przed Collisem kawę i łupnął niegrzecznie w stolik talerzykiem z roladą cytrynową. Collis z roztargnieniem dziabnął w ciastko parę razy malutkim widelczykiem, posiekał je na drobne kawałki, a potem spojrzął na rozpaćkaną roladę zupełnie bez apetytu.

Wypił ze dwa czy trzy łyki kawy, ale wcale mu nie smakowała. Widział, że z drugiego końca sali kelner przygląda mu się nienawistnie, i choć grało mu to na nerwach, wiedział, że wszystko idzie zgodnie z planem. Niezależny świadek, który przypomni sobie jego twarz w odpowiednim momencie.

Wskazówka zegara zadrgała na pięć po trzeciej. Przy sąsiednim stoliku dwie młodzietki gąski zachichotały głośno, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu, a Collis popatrzył na nie zirytowany. Wypił do końca kawę i niechcący połknął ziarniste fusy. Za oknem na ulicy interesanci, urzędnicy i chłopcy na posyłki niczym podwodni płetwonurkowie w niesamowitym śnie, przemoczeni do suchej nitki, brodzili w błocie, targani porywistym wiatrem.

Osiem po trzeciej Collis wyjrzał przez okno i nagle pojawił się tam powóz Melfordów. Po ciemnoniebieskiej politurze spływały duże krople deszczu, a stangret Martin siedział sztywno na koźle w nieprzemakalnej pelerynie. Serce Collisa zakołatało szybko i nierówno; natychmiast przetarł znowu szybę, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Wóz ze skrzyniami ryb! Gdzie u diabła jest ten wóz ze skrzyniami ryb!? Martin pociągał już za cugle, hamował i Collis widział, jak błoto rozbryzguje się spod metalowych obręczy kół. Spojrzał w stronę przedsonka, aby upewnić się, czy portier dalej ukrywa się przed deszczem, ale czarna peleryna potężnej matrony zasłaniała mu widok. Odwrócił się znowu w stronę okna.

No! Nareszcie te skrzynie! Zgrzytając po zabłoconej ulicy jak piła po metalowej sztabie, chwiejna fura wypełniona przemoczonymi skrzyniami i stertą rupieci zajechała przed kawiarnię. Koła jej ugrzęzły prawie do połowy w błocie, a woły wlokły się noga za nogą.

Chilijczyk stanął na koźle, trzaskając z bata raz po raz i klnąc na czym świat stoi tak głośno, że nawet Collis słyszał go z wnętrza kawiarni, i jakoś wóz powoli posuwał się naprzód.

Collis zobaczył, że Sara wychodzi sama, bez pomocy stangreta, z otwartych drzwi powozu. Martin odwrócił się na koźle i machnął do Chilijczyka dłonią, żeby poczekał chwileczkę.

– Jo bedem czekać! A juźci! – wrzasnął Chilijczyk – Tu zem staną! i tu bedem stał.

Uklapi taki dupę i myśli, że panisko. Won mi stąd!

Martin krzyknął w odpowiedzi coś, czego Collis nie mógł dosłyszeć. Ale Chilijczyk tylko pokręcił głową odmownie i znowu trzasnął z bata, tak że jego niesamowicie wielgachny ładunek posuwał się nadal w stronę powozu Melforda, nie zwalniając ani trochę tempa. Collis siedział na krześle jak na gwoździach, zaciskając pięści z niepokoju. Teraz, na miłość boską!

Teraz!

Wszystko poszło jak w zegarku. Pełna synchronizacja!; Z bocznej alejki wybiegł wąsaty Dan McReady w niebieskim mundurze portiera i ujął Sarę za rękę, jakby wygrał ją na odpustowej loterii. Klaniając się i kiwając głową, zręcznie pomógł jej zejść z powozu na chodnik, a jednocześnie rozłożył nad nią wielki zielony parasol Winna, tak że Martin nie był w stanie zobaczyć jego twarzy.

Dan sprytnie zamknął z trzaskiem drzwi powozu, gwizdnął przeraźliwie przez zęby i wrzasnął: – Możesz jechać, przyjacielu!

Martin zawahał się, ale Chilijczyk wydzierał się znowu: „Won mi stąd! No, ruszaj!”, więc cmoknął na konie i odjechał powozem Melforda. Sylwetka Sary, ubranej skromnie, ale elegancko w szary płaszcz, stojącej na chodniku pod parasolem Dana, mignęła mu na chwilę przed oczami. Zauważył, że się uśmiecha, przyglądając się ruchliwej ulicy. Ale potem Chilijczyk z pralni przeszedł pod oknem Winna z koszem bielizny na głowie, a gdy Collis znowu spojrział przez okno, już jej nie było.

Nie słyszał nawet turkotu oddalającej się dorożki, która wyjeżdżała z bocznej alei. Ledwie mógł uwierzyć, że już po wszystkim. Usiadł na swoim krześle z kutego żelaza, czując się potwornie wyczerpany. Co najgorsze, będzie musiał przeczekać tu jeszcze jakieś dziesięć minut, żeby zapewnić sobie niepodważalne alibi. Zawołał kelnera i zamówił jeszcze jedną filizankę kawy.

– Czy ten zegar dobrze chodzi? – zapytał. – Moja znajoma miała tu być o trzeciej.

– Nie ma drugiego równie punktualnego zegara w całym mieście – odparł kelner szyderczo.

Collis łyknął jeszcze trochę kawy, a minuty wlokły się jedna za drugą, tak strasznie pomału! Miał wrażenie, że spędził u Winna całutki dzień. W końcu dwadzieścia po trzeciej kelner znowu zbliżył się do niego i otrzepał obrus serwetką.

– Pańska znajoma chyba już nie przyjdzie. Może jej coś wypadło – zauważył.

– Na to wygląda – warknął Collis, starając się zapanować nad nerwami.

– Nie chciałem pana urazić – rzekł kelner. Collis rzucił na stolik dwa miedziaki.

– Wiem, że nie chciałeś – powiedział. – Ale liczą się uczynki, a nie dobre chęci.

*

Zapłacił za kawę przy kontuarze, otrzepał płaszcz i wyszedł na dwór. Było jeszcze widno, choć niebo zasnuwane było chmurami. Na rogu kiwnął na fiakra i kazał zawieźć się na Sacramento Street. Rozsiadł się na mokrym, skórzanym siedzeniu, odpalając cygaro od cygara i przyglądając się niecierpliwie kroplom deszczu, które podrygiwały na szybach i ściekały na ziemię. Kiedy dojechali do remizy na rogu Sacramento i Kearny, zastukał w ścianę budy, żeby woźnica się zatrzymał. Potem zeskoczył na chodnik. Deszcz zelżał nieco, a w kałużach odbijały się pierwsze nieśmiałe promienie słońca. Całe szczęście, bo teraz musi dojść do Bush Street na piechotę, trzy ulice dalej, do następnej remizy, z nadzieją, że nie wpadnie na nikogo, kto mógłby go rozpoznać. Dopiero wtedy jego alibi będzie kompletne.

Wszedł do mieszkania Marii–Mamuśki w butach ubabranych błotem. Młodziutka Chinczka wpuściła go do środka, wzięła od niego płaszcz i parasol i podała mu aksamitne, haftowane kapcie w jaskrawym zielonym kolorze. Andy Hunt, ubrany w wyzywający brązowy garnitur w jodełkę, czekał na niego niecierpliwie w głównym salonie.

– No i co? – spytał Collis. – Wszystko gra?

– Mam nadzieję, że nie będzie wpadki – rzekł Andy. – Mój Boże, Collis, gdyby coś nie wypaliło ...

– Nic się nie stanie – rzekł Collis szorstko. – Co się dzieje? Dotarła tutaj?

– Jasne. Dan przewiązał jej oczy i tak dalej. Zaprowadziliśmy ją do sypialni Marii–Mamuśki, od podwórka. Chcesz zobaczyć?

– Dostała opium? Andy skinął głową.

– Opierała się najpierw i nie chciała wypić. Ale Maria znalazła doskonałe wyjście.

Powiedziała jej, że to nie trucizna i że jak nie wypije, to się jej obetnie włosy. No i to pomogło. Wypiła od razu, bez kwękania.

Collis wyjął zegarek.

– Kiedy to było?

– Niedawno. Dziesięć minut temu, czy coś koło tego.

– A Figgis? Jest tam już?

– O, tak. Ten był tu już o trzeciej.

Collis zamyślił się na moment, a potem powiedział: – W porządku. Chodźmy na górę. Zobaczymy, jak sprawy stoją.

Weszli po wąskich, wyłożonych miękkim chodnikiem schodach na półpiętro. Tam Andy otworzył pierwsze drzwi na prawo i wprowadził Collisa do maleńkiego przedpokoiku z ciemnofioletową tapetą, fioletową, aksamitną kanapą i dwoma pluszowymi fotelami. Andy podszedł do ściany i skinął na, Collisa. Collis stanął obok niego. Andy uniósł maleńką drewnianą klapkę na ścianie i przyłożył oko do wizjera. Po drugiej stronie była większa sypialnia, gdzie trzymano Sarę.

– Daj no, niech i ja popatrzę – rzekł Collis. Andy położył palec na ustach, żeby go uciszyć.

Przez wizjer widać było tylko kawałek pokoju: statyw Mr Figgisa i rąbek sukni Marii–Mamuśki. Przez chwilę Collis w ogóle nie był w stanie dostrzec Sary. Może już była uśpiona?

Może rozbierała ją już pokojówka Marii–Mamuśki? Odwrócił się w stronę Andy’ego i szepnął: – Nie widzę jej. Chyba opium zaczęło już działać.

Ale właśnie w tym momencie, gdy Andy szykował się, by znowu zerknąć przez wizjer, dźwięczny głos powiedział wyraźnie: – Naprawdę nie rozumiem, po co mnie tutaj trzymacie. Mój ojciec każe was powiesić.

Każdego po kolei.

Andy spojrzał krzywo na Collisa.

– Nie jest znowu taka bardzo śpiąca, co?

Collis znowu przyłożył oko do wizjera. Tym razem zobaczył, że Sara chodzi energicznie, dumna i wyprostowana, po pokoju, z rękami założonymi na piersiach. Nie zdjęła jeszcze nawet ani szarego płaszcza, ani kapelusza. Potem zobaczył Dana McReady, zaczerwienionego i spoconego, którego sztuczne wąsy zwisały luźno z jednego policzka. Następnie znowu pojawiła się Sara, równie przytomna i oporna jak przedtem.

– Jesteś pewien, że ten twój Mr Kwang cię nie oszukał?

– Skąd mogę wiedzieć? – odparł Collis. – Przecież się na tym nie znam. Nie wiem nic na temat opium.

– No, jak nie chrapnie sobie zaraz, to po nas – rzekł Andy. – Wypić opium, to wypić, jak się jej zagroziło obcięciem włosów. Ale się nie rozbierze. O co zakład?

– Psiakrew! – zaklął Collis sam do siebie. Zobaczył, że Sara znowu przespacerowała się po pokoju.

Usłyszeli trzaskanie za drzwiami, a potem w przedpokoju pojawił się Dan, a za nim Maria–Mamuśka. Oboje byli spoceni i załamani. Maria założyła czarną maskę obszytą po bokach koronką, ale na widok Collisa zerwała ją i wyrzuciła.

– No – powiedziała Maria–Mamuśka – na pewno nie możesz zarzucić tej damie, że z niej wielki śpioch.

– Nawet nie ziewa – dorzucił Dan.

Collis usiadł na kanapie i popatrzył na nich w milczeniu. Jeśli nie zdobędą tych fotografii, to uprowadzenie Sary na nic się nie zda. Sara wróci do rodziny nietknięta, zupełnie bez szwanku, za cenę dwóch dorożek, chilijskiego wozu z rybami, dwu filiżanek kawy i cytrynowej rolady, której nawet nie tknął, a on sam wyjdzie na idiotę. Ale najgorsze, że będzie musiał wrócić do Hanny i przyznać się, że jego cudowny, sekretny plan, o który się tak zawzięcie wyklócali, spalił kompletnie na panewce.

– To wszystko przez tego chińskiego skurczybyka Kwanga – rzekł Andy. – Pewnie ci dał butelkę wina ryżowego albo świńskie siuski. Albo jakąś azjatycką przyprawę stołową.

Collis wzruszył ramionami.

– Powiedział, że to opium w płynie, i do tego mocne. Ile jej daliście?

– Cztery łyżki, jak kazałeś.

– No to nic nie rozumiem – rzekł Collis. – Powiedział mi wyraźnie, że jeśli damy jej więcej niż parę kropel, to padnie. Ostrzegał mnie, żeby nie przedawkować, bo to trucizna.

A tam! Wierzysz Kitajcom! – rzekł Andy. – Kluski z makiem z pasternakiem, hokus– pokus.

– No i co teraz zrobimy? – spytała Maria–Mamuśka. – Jeśli nie uśnie, to nie możemy zrobić zdjęć.

– Właśnie myślę – rzekł Collis. – Musi być z tego jakieś wyjście.

– Mógłbym jej przyłożyć – zasugerował Dan McReady, zawsze chętny do usług.

– A co ty tam bredzisz! Głupstwa opowiadasz – rzekł Collis. – Cały dowcip polega na tym, żeby jej nie skrzywdzić. W każdym razie nie fizycznie.

– Moglibyśmy przytrzymać ją tu do rana, aż uśnie w sposób naturalny.

– A potem co? Przecież nie można zrobić zdjęć w nocy. I tak będzie już trudno, chyba że wyjdzie słońce.

– Może powinniśmy ją wypuścić – rzekła Maria–Mamuśka.

– I może powinniśmy jej powiedzieć, o co tu chodzi – wtrącił ostro jeszcze jeden głos; głos osoby kulturalnej i wykształconej.

Podnieśli głowy, kompletnie zaszokowani. W otwartych drzwiach stała Sara Melford w swoim szarym płaszczu, wyprostowana, opanowana i dalej zupełnie przytomna. Zaraz za nią Mr Figgis wzruszał lekceważąco ramionami i krzywił się z niesmakiem, sugerując, że starał się ją zatrzymać, ale bezowocnie.

– Czy to porwanie? – spytała Sara, wchodząc do pokoju. – Czy to na serio, czy to tylko taki żart? Collis, widząc cię tu; wnioskuję, że to tylko żart.

Collis dotknął palcami powiek, jakby chciał, żeby cała ta scena zniknęła mu sprzed oczu.

Potem znowu otworzył oczy, przekonał się, że to jednak rzeczywistość, i westchnął ciężko.

– No więc co? – spytała Sara. – Nie powiesz mi, kim są ci dziwni ludzie i dlaczego mnie tu przywieźli?

Collis wstał i zwiesił głowę.

– Przepraszam, Saro. Zapomniałem o dobrych manierach. To przez zaskoczenie. To jest Maria – znajdujemy się właśnie u niej w mieszkaniu. A to Mr Dan McReady z Eagle Saloon.

Mr Andrew Jackson Hunt z kolejowej spółki akcyjnej Sierra Pacific. O, a ten pan za tobą, to Mr Figgis, fotograf.

– Nic nie rozumiem – rzekła Sara. – Trzymasz mnie tu dla okupu? Masz mnie zamiar sprzedać handlarzom białych niewolników? I dlaczego miałeś zamiar robić mi jakieś zdjęcie?

Collis odwrócił się w stronę Marii–Mamuśki.

– Chyba dobrze by było się czegoś napić – powiedział.

Maria–Mamuśka skinęła głową.

– Jasne – powiedziała i wysunęła się z pokoju. Dygnęła przed Sarą, przechodząc obok niej.

– Andy, Dan – rzekł Collis, dając im do zrozumienia, że wolały porozmawiać z Sarą w cztery oczy. Wyszli obaj z nosami na kwintę. W drzwiach Dan odkleił sztuczne wąsy, krzywiąc się z bólu.

– Może zechciałabyś usiąść – rzekł Collis.

– No dobrze – odparła Sara. Przeszła na drugą stronę pokoju i usadowiła się wygodnie na fioletowej kanapie. – A ty może zechciałbyś mi wyjaśnić, o co tu chodzi.

– Czy mogę zapalić?

– Widać, że musisz uspokoić nerwy. To jednak poważna sprawa, tak? – rzekła Sara. – Nie tylko jakiś żart, żeby podenerwować ojca.

– Hmm, i tak, i nie – przyznał Collis. – To żart, bo ani przez chwilę nie mieliśmy zamiaru cię skrzywdzić. A poza tym, to coś całkiem nowatorskiego, czego nikt przedtem jeszcze nie próbował. Więc to też jakby taki figiel. Ale jakoś wszystko się poplątało.

Sara pochyliła się do przodu. W gasnącym świetle dnia jej oczy błyszczały jasno, a brylant na jej kryzje mienił się barwami tęczy i migotał świetlistymi gwiazdeczkami. Collis czuł zapach jej perfum i zrozumiał, że zapomniał już, jaka była śliczna i jaka zmysłowa.

– Tak naprawdę, wcale nie chciałem cię w to wplątać – rzekł Collis. – Przede wszystkim nie chciałem wykorzystywać w ten sposób twojej przyjaźni. Ale są inne względy, bardziej palące. Niestety, nadajesz się naprawdę doskonale do tego, co chciałem zrobić.

– Ale co chciałeś zrobić? – spytała. – Dalej jeszcze się tego od ciebie nie dowiedziałam.

Collis wyprostował się i podszedł do wizjera po drugiej stronie pokoju. Uniósł klapkę i oświetlony słońcem snop kurzu wpadł do mieszkania. Chyba przestało padać, pomyślał. Co go podkusiło, żeby w ogóle wyjeżdżać z czymś takim. Jego plan był zupełnie niedorzeczny.

– Widzisz, w sprawach handlowych twój ojciec to mój śmiertelny wróg – powiedział. – Ja muszę za wszelką cenę wybudować moją kolej, inaczej się nie wzbogacę. On natomiast za żadne skarby świata nie może do tego dopuścić, inaczej straci wszystko, co posiada.

Znaleźliśmy się więc na dwóch przeciwległych biegunach inie ma mowy, żeby się dało ten konflikt zażegnać, chyba że jeden z nas ucieknie się do niezbyt etycznych środków.

Odwrócił się ku niej i uśmiechnął z rezygnacją.

– Dlatego tu właśnie jesteś. Posłużyłaś mi jako taki właśnie nie całkiem etyczny środek.

Chciałem cię znarkotyzować nalewką z opium. Potem Maria–Mamuśka, która wystąpiła tutaj w roli przyzwoitki, rozebrałaby cię do negliżu, a Mr Figgis zrobił parę kompromitujących zdjęć. Następnie mógłbym wysłać kilka wybranych odbitek twemu ojcu, żądając w zamian pieniędzy. Podpisałoby się je oczywiście anonimowo, jako Gang Fotografików albo coś takiego. Nazwa zresztą nieważna.

Sara popatrzyła na niego, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

– On by nie zapłacił. Wywróciłby do góry nogami całe San Francisco, żeby znaleźć sprawców i powiesić ich na pierwszej napotkanej gałęzi.

– Właśnie – rzekł Collis. – Tylko że nigdy by ich znalazł.

– Nie – przyznała mu rację. – Chyba rzeczywiście. Nawet ja nie wiem, gdzie jesteście.

Collis znowu usiadł, wypuszczając dym z cygara.

– Wysłalibyśmy potem drugie zdjęcie, a może i trzecie, podwyższając stawkę. Twój ojciec miotałby się z wściekłości. Potem, w odpowiednim momencie, ja sam zjawiłbym się u niego w biurze. Doszły mnie słuchy, powiedziałbym, że ktoś go szantażuje, chcąc wyłudzić pieniądze. Rozgniewałby się na mnie najpierw, a nawet podejrzewał, że maczałem w tym palce. Ale moje alibi byłoby niepodważalne i po jakimś czasie musiałby mnie wysłuchać. Ja zaoferowałbym się jako pośrednik w tej sprawie. Przyrzekłbym, że zdobędę jakoś zarówno same zdjęcia, jak i wszystkie negatywy co do jednego, jeżeli wyświadczy mi w zamian przysługę. Nie prosiłbym o

wiele – tylko tyle, żeby wycofał się z aktywnej opozycji wobec kolei Sierra Pacific i ogłosił w „Evening Bulletin”, że uważa kolej za rzecz nieuniknioną, pożądaną i korzystną dla każdego, kto chce w nią zainwestować.

Zamilkł na chwilę. Potem Sara powiedziała: – I nic więcej? Zdecydowałeś się na wyreżyserowanie tego całego przedstawienia, te wszystkie fotografie i ten niby szantaż tylko po to, żeby mój ojciec ogłosił publicznie te parę słów?

– Twój ojciec to wyrocznia w San Francisco, sama chyba wiesz. Jego słowa są święte.

Całe środowisko kupieckie czeka tylko na wskazówki Laurence’a Melforda, tak jak i wszyscy pionierzy. On to czyste złoto, krezus całą gębą, obrońca prawa, moralności i porządku.

– Tak – rzekła, marszcząc brwi. – Chyba jednak jestem na ciebie zła, Collis.

– Hmm – powiedział. – Wcale mnie to nie dziwi. Proszę, wybac mi, zrozum moje intencje i zapomnij o całej tej sprawie. Więcej nie będę się uciekał do takich wybiegów.

– Nie będziesz musiał.

– Słucham?

– Powiedziałam, że nie będziesz musiał. Wiem, co ta kolej dla ciebie znaczy. Czytałam o tobie w gazetach. Poza tym sama nie jestem głupia i rozumiem dobrze, jak odmieni ona życie w San Francisco. Potrzebna jest dla rozwoju kulturalnego i intelektualnego tego miasta. To będzie nasz okno na świat.

Dzięki niej dowiemy się, jak żyją inni ludzie i w co się ubierają. Czy wiesz, jak ja się czuję, zakładając suknię, która jechała tu przez sześć miesięcy wokół Przylądka Horn, wiedząc, że zanim nawet ktoś zatrzyma na niej oko, jest już niemodna od dziewięciu miesięcy? A co to za upokorzenie chodzić do teatru na przedstawienia, których już od niepamiętnych czasów nie wystawia się w Nowym Jorku. Przez ten absurdalny monopol transportowy mój ojciec i jego poplecznicy trzymają nas tu stłamszonych, w izolacji, jak jakąś bandę wiejskich głupich jasiów na pagórku.

Collis przechylił głowę w bok pytająco.

– Czy chcesz powiedzieć, że ty zgadzasz się z projektem budowy kolei?

– Czy się zgadzam! A co ty sobie myślisz? Kolej odmieniłaby całe moje życie!

Mogłabym pojechać do Nowego Jorku. Mogłabym zamówić nowe stroje i książki, wiedząc, że otrzymam je, już za miesiąc. Mój ojciec popełnij[[]] jeden kardynalny błąd, Collis: wychował mnie na kulturalną, wykształconą, szykowną i inteligentną młodą damę. A ja nie jestem tu jedyna. W South Parku pełno jest zamożnych chłopców i dziewcząt, którzy myślą dokładnie tak samo jak ty. Jesteśmy inteligentni, towarzysko wyrobieni, ale odcięci od cywilizacji. I wcale nam się to nie podoba.

– O! – wykrztusił Collis. Nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć.

Sara podniosła się, podeszła do niego i wzięła go za rękę.

– Posłuchaj – powiedziała. – Twój plan może się jeszcze powieść, ale zrobimy go moim sposobem.

– Chcesz, żebyśmy to zrobili? Chcesz, żebyśmy... ty naprawdę chcesz, żebyśmy zrobili te zdjęcia i zaszantażowali twego ojca?

Twarz Sary rozpromieniła się w uśmiechu.

Potem dziewczyna kiwnęła głową na potwierdzenie.

– Nie całkiem rozebrana, co to, to nie – rzekła, grożąc mu palcem. – Kilka zdjęć w samym gorsecie, to wszystko. Ale zawsze możemy przecież udawać w naszym liście z pogroźkami, że mamy jeszcze coś więcej w zanadrzu. Coś bardziej pikantnego.

– My? – spytał Collis, któremu trudno było wykrztusić z siebie cokolwiek.

– Tak, my. Chyba jesteśmy konspiratorami, prawda? Ja na równi z tobą, skoro zgadzam się na te zdjęcia z własnej; nieprzymuszonej woli.

– No, tak – potwierdził Collis, chociaż bez przekonania. Ale jak możesz szantażować tak własnego ojca. To przecież... hm... przecież to jednak twój ojciec.

Sara pochyliła się i złożyła na czole Collisa pocałunek.

– Nic mu się przez to nie stanie, mój drogi. Nie straci przecież na tym ani pieniędzy, ani prestiżu, ani w ogóle nic. Wszyscy wokół niego tak skaczą, tak mu się podlizują, że jak tylko powie, że on popiera kolej, całe środowisko handlowe pewnie natychmiast mu przykłaśnie i zacznie wychwalać jego dalekowzroczność i odwagę. Będą kręcić głowami i pytać samych siebie: dlaczego my o tym wcześniej nie pomyśleliśmy.

Uśmiechnęła się do Collisa, a za chwilę dodała: – Nie skrzywdziłabym go, Collis, za żadne skarby świata. Kocham go. Ale wychował mnie, na swoje szczęście czy nieszczęście, na niezależną, młodą kobietę i ta kobieta, którą tak właśnie ukształtował, uważa, że kolej przekształci to miasto w najbardziej interesujące miejsce na ziemi.

Ktoś zapukał nieśmiało do drzwi.

– Proszę wejść – rzekł Collis. Z wyrazem niepokoju na twarzy wsunęła się do pokoju Maria-Mamuśka, niosąc na tacy dwa kieliszki szampana.

– Przynieś jeszcze szampana, Mario, i dołącz do nas. I poproś tu Andy'ego, Dana i Mr Figgisa. Aż się tu prosi o toast! – powiedział Collis.

*

W ciągu tego popołudnia nauczył się lekcji, która w późniejszym czasie zmieniła radykalnie jego opinię na temat kobiet; lekcji, która w nadchodzących latach umocniła jego małżeństwo z Hanną,

jak również pogłębiła przyjaźń z Sarą Melford. Mr Figgis zrobił dziesięć czy dwanaście zdjęć Sary, ubranej tylko w gorset z różowymi sznurówkami, leżącej na łóżku z zamkniętymi oczami, jakby była pod narkozą. A w czasie seansu Collis i Sara rozmawiali o jej ojcu, o towarzystwie z San Francisco i o paru nowych kalifornijskich debiutantkach.

– Nie wiem, czego spodziewali się po nas nasi rodzice – rzekła Sara. – W końcu odziedziczyliśmy po nich pionierskie cechy: hart ducha, ambicję, a oprócz tego wspaniałego genetycznego dziedzictwa dali nam również majątek, pozycję społeczną i doskonale wykształcenie. Jak mogli w ogóle oczekiwać, że wyrośniemy na potulne, uległe, grzecznutkie pensjonarki, które będą chodzić na tatusinym pasku i zadowolą się ucześnieczaniem na przyjęcia?

– Ale twój ojciec na pewno chce dla ciebie jak najlepiej – rzekł Collis.

– Chcieć dobrze, a czynić dobrze to nie to samo. Czasem potrafi być bardzo wyrozumiały i ukochany, ale na ogół to uparty jak osioł reakcjonista. Nie daje mi żadnej wolności w wyborze chłopców. Chodziłam przez jakiś czas z czarującym Francisem Bretem Harte, ale tylko dopóty, dopóki ojciec się o tym nie dowiedział. Bret jest naprawdę wyjątkowo błyskotliwy i w dodatku pełni funkcję sekretarza przy dyrektorze Mennicy. Trudno o bardziej godną szacunku pozycję dla młodego człowieka. Ale nie, mój ojciec mówi, że to gryziپیórek i w ogóle dla mnie nieodpowiedni.

– Czy może się pani przestać wiercić? – pożalił się Mr Figgis spod stęchłych czeluści czarnej płachty, którą przykryty był aparat fotograficzny.

– Dlatego właśnie mi pomagasz? – spytał Collis. – Żeby pokazać ojcu, że nie jesteś jednak taką staroświecką księżniczką nie z tego świata?

– Mam swoją godność – powiedziała Sara. – Ale mam również własną receptę na życie, a w polityce kieruję się wyłącznie własnymi przekonaniem.

Collis wstał i zaczął przechadzać się po pokoju z rękami w kieszeniach.

– Wiesz co? – powiedział. – Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy w teatrze, kiedy zjawiałaś się tam ze swoją rodziną, chyba zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia.

– Tak. Rzeczywiście tak jakoś działałam na mężczyzn – powiedziała Sara całkiem swobodnie.

– Na statku z Nowego Jorku Andrew Hunt powiedział mi, że jesteś nieporównywalnie piękna, ale również niedotykalna. Ojciec trzyma ją pod kluczem, powiedział, i nikt jej nie dostanie, chyba jaki baron albo książę. Albo najlepszy przyjaciel teścia Johna Frémonta.

Sara odpowiedziała uśmiechem. W gorsecie, który uwypuklał jej wydatny, zgrabny biuścik, z nóżkami w jedwabnych pończoszkach i podwiązkach, wyglądała zmysłowo i pociągająco. Oczywiście, Collis widział to dobrze. Nawet Maria–Mamuśka patrzyła na przebieg akcji z miną pełną uznania.

– I nadal kochasz się we mnie? – spytała Sara.

– Oczywiście – rzekł Collis. – I nigdy nie przestanę. Ale wolałbym cię raczej kochać jako serdeczną przyjaciółkę niż jako nałożnicę. Gdybym cię uwiódł, gdyby udało mi się wdrapać na szczyt tej szklanej wieży, gdzie cię umieszczono, nasza znajomość potrwałaby prawdopodobnie nie

dłużej niż tydzień. Zdobyłbym tę wieżę, o której marzy każdy mężczyzna w San Francisco o jakiej takiej potencji, no i co by mi z tego przyszło? Nie, nie.

Dzisiaj dowiedziałś, że jesteś nie tylko piękna, ale również mądra i inteligentna, a ja to sobie cenię dużo bardziej.

– A oprócz tego jesteś teraz żonaty – zauważyła Sara. – I tylko mi nie mów, że nie jesteś zakochany do szaleństwa w swojej żonie.

Collis uśmiechnął się zawadiacko.

– No tak. I tu też masz rację.

Zaczęli się razem śmiać, a Mr Figgis wyplątał się spod swojej narzuty, zirytowany.

– Chcecie mieć te zdjęcia, czy nie? – warknął w ich stronę.

Collis objął Mr Figgisa ramieniem.

– Jasne, że chcemy, bracie. Od tej chwili zamieniamy się w skamieniałe posągi, przyrzekamy. Ale, ale, powiedz mi, Saro, zanim znowu wrócisz do pozowania, co powiesz ojcu, kiedy znajdziesz się z powrotem w domu?

*

Wrócił do hotelu International przed szóstą. Przejaśniło się, deszcz ustał, a zachodzące słońce rozciągało oślepiające blaski ponad nagim wierzchołkiem Fern Hill. Wieczór był jasny i pogodny. Hanna ubierała się już do wyjścia, mając nadzieję, że Collis nie spóźni się na kolację. Wszedł do pokoju, podszedł do niej i pocałował ją, a ona usiadła przy swojej toalecie.

– No i jak poszło? – zapytało jej odbicie w lusterku. Znowu ją pocałował.

– Wszystko się kompletnie pokićkało, a potem samo rozprostowało. Opowiem ci wszystko przy kolacji. Co byś powiedziała na Delmonica?

Odwróciła się na stołku i spojrzała na niego.

– Uwielbiam Delmonica – rzekła z nieobecny uśmiechem. – Naprawdę wszystko poszło jak z płatka?

Zrzucił płaszcz, rozluźnił krawat i zaczął rozpinać koszulę.

– Mam nadzieję, że okażesz mi wyrozumiałość – powiedział. – Zresztą, jestem pewien, że tak. Jesteś bardzo wyrozumiałą, inteligentną żoną.

– Pochlebiasz mi.

– Nie, wcale nie. Mówię szczerą prawdę. I jednak powinienem był powiedzieć ci o tym wcześniej, od samego początku. Teraz, gdy jest już po wszystkim, przyrzekam ci jedną rzecz.

Przyrzekam ci solennie, że nigdy już więcej nic przed tobą nie zataję. Nie tak jak teraz, z tym planem. Bo, na Boga, skoro nawet Sara Melford widzi w tym przedsięwzięciu jakiś sens po tym wszystkim, co musiała przeze mnie wycierpieć, to wiem na pewno, że ty też to zrozumiesz.

Hanna zatrzepotała rzęsami.

– Sara Melford? – zapytała.

*

Poszedł zobaczyć się z Laurence’em Melfordem w tydzień później, w restauracji Hotel du Commerce. Był to gwarny lokal o bardzo wysokim suficie. Kelnerzy uwijali się po sali, rozwożąc na politurowanych wózkach homary, bażanty i kotlety z zająca w sosie salami*, a nad wszystkim górowały ochryple głosy przedsiębiorców, którzy wypili o jeden koktajl za dużo i rozmawiali o jedną oktawę za wysoko.

Laurence musiał zauważyć Collisa, ponieważ spuścił nieco głowę. Wyraźnie nie chciał, żeby ten go rozpoznał. Ale Collis podszedł bez wahania do jego stolika, ukłonił się i rzekł: – Czy zechciałby pan poświęcić mi chwilkę czasu, Mr Melford?

Laurence Melford był w towarzystwie Andrew Crawforda, bardzo bogatego dostawcy portowego. Crawford wyprostował się na krześle, trochę zaszokowany wtargnięciem Collisa, ale Laurence Melford nie podniósł nawet oczu.

– Jestem na prywatnym obiedzie, Mr Edmonds – burknął z niechęcią swoim niskim głosem. – Jeśli chce się pan ze mną zobaczyć, proszę zgłosić się do mojego sekretarza. On wyznaczy panu datę spotkania.

– Naprawdę sędzę, że lepiej by było, gdybym mógł z panem porozmawiać właśnie teraz.

Przepraszam za kłopot, Mr Crawford. Moje uszanowanie. Zechce mi pan wybaczyć? I co u pana? Wszystko w porządku?

– Wszystko było, zaiste, w doskonałym porządku, Mx Edmonds, dopóki nie spotkałem tutaj pana – rzekł Crawford, wycierając usta serwetką i odsuwając od siebie talerz pieczonej sarniny.

Laurence Melford uśmiechnął się kwaśno.

– Lepiej, żeby pan sobie stąd poszedł, Mr Edmonds – zasugerował. – Moja służba czeka na zewnątrz. Proszę mi nie przeszkadzać, bo będę musiał poprosić, żeby pana stąd wyproszono.

W rogu sali maître d’hotel, z nosem koloru śliwki, w koszuli z ząbotem, przyglądał im się kątem oka. Zauważył, że obecność Colliśa drażniła Laurence’a Melforda i podszedł do nich, żeby sprawdzić, co się dzieje.

– Stolik dla pana? Bardzo proszę – powiedział, starając się odepchnąć Collisa od Laurence’a Melforda.

– Nie, dziękuję – odparł Collis, nie patrząc nawet w jego stronę. – Ale jeśli popchniesz mnie jeszcze raz, dostaniesz sójkę w bok. Nie będę się z tobą patyczkował.

Laurence uniósł dłoń.

– W porządku, Carlo. Poradzę sobie jakoś. Mr Edmonds lubuje się w tego typu przedstawieniach, więc przechodzimy przez nie regularnie, choć rzecz to dla mnie wyjątkowo męcząca.

– Nie chcę panu zajmować dużo czasu – rzekł Collis. – Mam tylko jedno do powiedzenia: fotografie.

Policzki Laurence’a Melforda zapadły się, a jego oczy pociemniały. Andrew Crawford zauważył tę zmianę i ściągnął niepewnie brwi.

– Larry? – powiedział. – Chcesz, żebym cię zostawił? Nie mam nic przeciwko temu, jeżeli to jakaś ważna sprawa.

Laurence Melford zawahał się przez chwilę, a potem skinął głową.

– Może na momencik, Andrew, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Carlo, czy mógłbyś, proszę przenieść obiad pana Crawforda do tamtego stolika? O, tam. I proszę, przynieś panu Edmondsowi coś do picia.

Andrew Crawford wstał, a Collis usiadł na jego miejscu. Zanim zjawił się kelner, by zabrać talerz Crawforda, Collis odkroił już sobie kawałek sarniny i żuł ją spokojnie, czekając na drinka. Laurence Melford przyglądał mu się z wyższością boga na szczycie Olimpu.

– No więc? – zapytał, gdy Carlo, postawiwszy przed Collisem koktajl burboński, oddalił się od stolika.

– No więc – rzekł Collis, wodząc palcami po krawędzi swego kieliszka – słyszałem, że znalazł się pan w tarapatkach. Słyszałem również, że chodzi tu o odbitki fotograficzne, kompromitujące kogoś z członków pańskiej rodziny.

– Jak się pan o tym dowiedział? – spytał szorstko Laurence Melford.

– Mr Melford. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, byłem tutaj, w San Francisco, nowicjuszem. Ale dziś jestem trochę bardziej au courant.

– Podejrzewam, że to nikczemne świństwo to właśnie pańska sprawa.

– Mr Melford. Jestem szanującym się i szanowanym handlarzem sprzętu gospodarskiego, z bardzo szacownego miasta. Jestem także udziałowcem w przedsiębiorstwie kolejowym Sierra Pasific. Chyba nie sądzi pan poważnie, że zaplątałbym się w taką obrzydliwą aferę?

– Przeciwnie. Powiem panu otwarcie, że jestem o tym całkowicie przekonany – rzekł Laurence Melford. – Ale nie sądzę, abym mógł to kiedykolwiek udowodnić.

Collis pociągnął z kieliszka i przepłukał usta koktajlem burbońskim.

– Tak się składa, że mam przyjaciół wśród przywódców wielu chińskich ugrupowań, Mr Melford. Gdyby nie pańskie rasistowskie uprzedzenia, postaralby się pan zaskarbić sobie także ich życzliwość. Tego wymaga zdrowy rozsądek. To spryciarze, jakich mało. Nic się przed nimi nie ukryje. Nie ma drugich takich w całym mieście.

– To banda łobuzów – warknął Laurence Melford.

– Rzeczywiście – zgodził się Collis. – Ale tylko łobuzy wiedzą, co planują inne łobuzy; oni właśnie donieśli mi, że uprowadzenie Sary w zeszłym tygodniu ma związek z pewnym bardzo nowatorskim, choć nielegalnym przedsięwzięciem. A ich źródła są niezawodne.

Laurence Melford bawił się widelcem. Starał się stłumić w sobie gniew, ale trząsał się cały ze złości do tego stopnia, że kieliszki i talerz podrygiwały na stoliku.

– Nie będę owijał w bawełnę – rzekł Collis. – Dowiedziałem się zupełnie przypadkowo – ot! szczęśliwy traf! – kto był sprawcą tego przestępstwa. To szajka zdeprawowanych rzezimieszków, bez żadnych zasad moralnych i bez żadnych skrupułów. Sara miała szczęście, że wyszła z tego bez szwanku. Ale uprzedzam, że nie cofną się przed niczym, jeśli coś będzie nie po ich myśli.

– Ach, więc występuje pan tu w roli ich plenipotentą – rzekł Laurence Melford.

– Myli się pan. Przyszedłem tu dziś zobaczyć się z panem, bo tak się szczęśliwie składa, że możemy dobić targu. Te dranie mają u mnie dług wdzięczności, i to wcale okazały – gdyby nie ja, od dawna siedzieliby już za kratkami. Więc gdybym poszedł do nich w pana imieniu i nalegał, aby teraz oni, w zamian, wyświadczyli mi przysługę i oddali kompromitujące negatywy, bardzo trudno by im się było wykręcić.

Laurence Melford przeszył go nienawistnym spojrzeniem, jak kula z muszkietu. Jego oczy zwęziły się gniewnie, ale powiedział tylko: – O! Naprawdę? No a czegoż by pan żądał w zamian? Collis uśmiechnął się z satysfakcją.

– Lubię korzystać z nadarzających się okazji, Mr Melford – nie mogę zaprzeczyć. Jak tylko usłyszałem o tej plugawej sprawie, pomyślałem sobie, aha, a to mi gratka! No proszę, można będzie popchnąć trochę sprawę kolei Sierra Pasific.

– Doprawdy? – warknął Laurence Melford. – A w jaki sposób?

– Wydostanę dla pana te negatywy, jeśli przestanie pan blokować mój projekt budowy drogi żelaznej – rzekł Collis. – Domagam się, żeby przestał pan podjudzać środowisko handlowe przeciwko kolei i pozwolił przedsiębiorcom inwestować w ten projekt. Żądam również, aby przestał pan manipulować rządem stanowym, który nigdy nie przyzna nam żadnych funduszy z państwowej kiesy, jeżeli będzie pan ciągle wicherzył przeciwko nam.

Proszę również wysłać list do głównych gazet w San Francisco, w których oznajmi pan, że po zastanowieniu doszedł pan do wniosku, iż budowa kolei transkontynentalnej to rzecz nieunikniona.

Laurence Melford siedział przez długi czas bez ruchu, przygarbiony. Widać jednak było, że wewnątrz kipi z wściekłości, ponieważ raz po raz rąbał w stół ostrzem widelca. W końcu odezwał się: – To pan za tym stoi, Edmonds. Nie myślę się, prawda? Nie jakiś tam anonimowy gang.

To pan uprowadził moją córkę, to pan sprofanował jej niewieścią skromność. To pan skombinował te wszystkie fotografie. To pan pisał te wszystkie listy z pogrózkami, żądając zapłaty, wiedząc, psiakrew, od samego początku, że nie o pieniądze tu wcale chodzi. Ty łajdaku!

Collis skończył swojego drinka niewzruszony i wytarł usta brzegiem obrusa.

– Może pan sobie myśleć, co się panu podoba. Ale, jak to już pan sam zresztą słusznie zauważył niecałe pięć minut temu, i tak nie uda się panu tego udowodnić. Złożyłem panu ofertę. Proste rozwiązanie, które ani nie szkodzi Sarze, ani nie uchybia pańskiej godności osobistej; wydaje mi się, że powinien pan na to przystać. Zresztą chyba nie ma pan innego wyjścia.

– Powinienem się być domyślić, czym ty pachniesz od pierwszej chwili, odkąd cię tylko poznałem, ty gadzino – syknął Laurence Melford. – Powinienem był zwietrzyć pismo nosem.

Collis nie odpowiadał. Korciło go, żeby wyjawić przed nim kolaborację Sary. To by zamknęło Laurence'owi Melfordowi usta na kłódkę, ale pociągało za sobą ryzyko, że cały plan mógłby się zawalić. Maître d'hotel przeszedł obok, zmierzyszy Collisa nienawistnym spojrzeniem, a Collis podniósł swój kieliszek, informując go tym samym, że chce zamówić jeszcze jeden koktajl burboński. Tamten zawahał się, ale Laurence Melford spojrzał na niego porozumiewawczo, więc wziął niechętnie kieliszek Collisa i odszedł, by go napęnić.

– Stawia pan zbyt wygórowane żądania – powiedział Laurence Melford. – To właśnie izolacja Pomocnej Kalifornii od Wschodu zapewnia mi mój dobrobyt; a oprócz tego jestem południowcem i orientuję się doskonale, że budowa kolei transkontynentalnej byłaby zgubna dla gospodarki Południa. Ale mimo to ubiję z panem interes, Edmonds. Potrzebne wam inwestycje? No dobra – zainwestuję w ten projekt około pięćdziesięciu tysięcy dolarów, ale zastrzegam z góry: musi to być utrzymane w ścisłej tajemnicy. A poza tym wycofa pan swoje żądanie, żebym pisał jakieś oświadczenia do prasy i popierał oficjalnie kolej żelazną.

Collis wyprostował się na krześle.

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów? W obligacjach, które będzie można spieniężyć?

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów w złocie. Rozłożę spłaty na sześć miesięcy.

– No! Teraz pan mówisz do rzeczy! Ale jeśli nie chce pan poprzeć kolei publicznie, to dlaczego ją pan prywatnie finansuje?

– Bo tak się składa, że wiem, ile koleje kosztują – rzekł Laurence Melford. – Tak się składa, że znam cenę towarów, cenę lokomotywy, cenę surowca drzewnego i cenę siły roboczej. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów daleko pana nie zaprowadzi. Może uda się wam zakupić jedną estakadę przy moście na rzece. Będzie to tylko kropla w morzu i jeśli zwróci mi pan te fotografie za powyższą cenę, to bardzo proszę, pańska sprawa. Ale na pewno nigdy nie okażę publicznie poparcia dla kolei – kontynuował. – Gdybym to uczynił, sprzeniewierzyłbym się własnym, głęboko zakorzenionym zasadom. Publicznie podważyłbym moją wiarę we wszystko, co prezentuje Południe. Wydałbym

Północną Kalifornię w łapska tych bezwzględnych kanciarzy, północno – wschodnich przemysłowców. Nawet reputacja mojej córki nie jest tego warta.

Collis podniósł się z krzesła. Carlo, maître d’hotel, podchodził właśnie z następnym drinkiem, ale spojrzawszy na Collisa, stanął o parę kroków dalej i czekał, zagryzając wargi.

Przez jakiś czas Collis wpatrywał się w Laurence’a Melforda, a potem zapiął bez pośpiechu rękawiczki.

– Podziwiam pańską rzetelność, Mr Melford – powiedział. – Szkoda tylko, że nie mogę również podziwiać pańskich przesądów i prywaty, które tak błędnie nazywa pan swoimi „zasadami”. Pod takim szyldem ciemięży się Murzynów, odmawiając im wszelkich ludzkich praw. Pod takim szyldem celowo pozbawia się mieszkańców tego stanu możliwości korzystania z najnowszych zdobyczy nauki i techniki. A wszystko, by zaspokoić zachłanność paru spekulantów, którzy zdobyli monopol w podstawowych dziedzinach handlu.

Cierpliwość Laurence’a Melforda posunięta była do granic wytrzymałości. Ścisnął w pięści widelec tak silnie, że wyginał go w pałąk, jakby zrobiony był z lichego cynku, a nie ze szlachetnej stali. Maître d’hotel odwrócił się i wprawnie odrzuciwszy głowę w tył, wypił przeznaczony dla Collisa koktajl burboński.

– Mr Melford – rzekł Collis – proszę zapakować te pięćdziesiąt tysięcy dolarów w pięć worków, po dziesięć tysięcy dolarów każdy. Niech dostarczy je do Sacramento, na 54 K Street, specjalny posłaniec. Czy wie pan, ile ich tam jest, tych zdjęć?

– W liście jest napisane, że dziesięć – rzekł Laurence Melford sztywno.

– No dobrze – kiwnął głową Collis. – Za każdy worek złota dostanie pan z powrotem dwa negatywy w zalakowanej kopercie. Mam nadzieję, że rozumie pan powody, dla których muszę przedsięwziąć takie nadzwyczajne środki ostrożności.

– Jeszcze kiedyś zawiśniesz, moja w tym głowa – rzekł Laurence Melford. – Poczekaj tylko.

– Już pan zapomniał, że mogłem rozwalić pańskiemu synalkowi łeb i że sam pan mi listownie dziękował za uratowanie mu życia? A poza tym, niezależnie od tego, kto wyreżyserował to całe uprowadzenie, pańska córka jest cała i zdrowa, nie może pan temu zaprzeczyć. I jeszcze jedno. Te pięćdziesiąt tysięcy dolarów pójdzie na obligacje kolejowe, które zostaną zapisane na pańskie nazwisko i wysłane panu wraz ze zdjęciami, tak że kiedy kolej wreszcie zacznie przynosić zyski, pan również na tym skorzysta, choć wcale pan na to nie zasługuje.

Collis pochylił się nisko i powiedział prosto do ucha Laurence’a Melforda: – To jest właśnie moje przeznaczenie, Mr Melford. Szasta mną na wszystkie strony, ale paraliżuje tych, którzy stoją mi na przeszkodzie. Przegrał pan, chociaż nie z własnej winy, więc proszę skończyć spokojnie obiad w towarzystwie Mr Crawforda i dziękować Bogu za Jego szczodroliwość.

Collis nie dał Laurence’owi Melfordowi szansy odpowiedzi. Kiwnął głową w stronę kierownika sali oraz Andrew Crawforda – da, a potem szybko opuścił restaurację.

*

W miesiąc później, po powrocie do Sacramento, otrzymał długi list od Teodora. Ton listu był wyjątkowo ciepły i przyjazny. Teodor opowiadał o swoich skromnych sukcesach: udało mu się zdobyć poparcie paru kongresmanów i senatorów i całkiem możliwe, że otrzyma pozycję etatowego geometry przy komisjach parlamentarnych do spraw kolei żelaznych, od Atlantyku po Pacyfik, zarówno w Izbie Reprezentantów, jak i w Senacie.

Teodor pisał:

Rozmawiałem przez godzinę z Mr Lincolnem. Entuzjastycznie przyjął wiadomość, że znaleźliśmy z dr Katesem, drogę pod tory kolejowe. Prywatnie obiecał mi, że jeśli wygra wybory, będzie popychał sprawę naprzód. Postara się, aby jak najszybciej zatwierdzono ustawę o transkontynentalnej kolei żelaznej. Niepokoi mnie tylko jedna rzecz: jeśli Lincoln uważa kolej za sprawę nie cierpiącą zwłoki, to znaczy, że jego zdaniem secesja Południa, a co za tym idzie może i wojna domowa, są nieuniknione.

Południowi politycy po prostu go nienawidzą, to jasne. Nazywają go afrykańską małpą i adwokacina od siedmiu boleści, z niewyparzoną gębą.

List kończyło długie post scriptum. Collis podszedł z listem do okna i czytał przy świetle dziennym. Hanna, która siedziała obok, czytając książkę, spojrzała na niego i zauważyła na jego twarzy zarówno poruszenie, jak i gniew.

Spotkałem się dwa razy z senatorem Stride'em. Upierał się, że poparł już naszą kolej bardzo szczerze finansowo i że nadeszły teraz ciężkie czasy dla wytrawnych polityków z Południa, takich jak on sam, więc nie ma najmniejszego zamiaru wkładać własnych pieniędzy w północne projekty przemysłowe. Jednak spontanicznie (czego bardzo się wstydzę) przypomniałem mu o losie Delfiny i jego wobec niej obowiązkach. Skutkiem tego zgodził się zainwestować w kolej kwotę dwudziestu tysięcy dolarów, co wystarcza na pokrycie wszystkich kosztów pomiarów na terenie Sierra Nevada, i z żalem muszę przyznać, że nie odmówiłem. Proszę, przyjmij moje przeprosiny. Mam tylko nadzieję, że nie zrobiłem niczego, co by mogło zaszkodzić Miss Spooner.

Collis rzucił list na biały koronkowy obrus. Zakrył usta dłonią i spojrzał na porozrzucane kartki, ale nic się nie odezwał. Hanna podniosła się z fotela.

– Czy coś się stało? – spytała.

– Co? – spytał z roztargnieniem.

– Pytam, czy coś się stało?

– O nie, nie. Nic takiego. To tylko list od Teo.

– To dlaczego jesteś taki wzburzony?

Wzruszył ramionami.

– Tak chyba rzeczywiście jestem poirytowany. Zadziwiające jak niesmaczne wydają nam się występki bliźnich, nawet jeśli nie różnią się wcale od naszych własnych.

Hanna nie podniosła listu; zamiast tego podeszła do mego i położyła mu rękę na ramieniu.

– Chodźmy do okna od podwórka – powiedziała. – Jest jeszcze wystarczająco widno, żeby popatrzeć na szczyty Sierra Nevada.

13

Wydarzenia, które miały miejsce jesienią i zimą 1860 oraz wczesną wiosną następnego roku: wybór Abrahama Lincolna na stanowisko prezydenta i co za tym idzie, oderwanie się Południowej Kalifornii od Zjednoczenia – zdawały się mieszkańcom San Francisco i Sacramento dziwnie odległe i nierela – ne. Były częścią dalekiej, narodowej katastrofy, o której postępach dowiadywali się tylko z komunikatów, przywożonych z wielotygodniowym opóźnieniem na parowcach Pacific Mail albo za pośrednictwem jeźdźców konnych z Pony Express. Nagle izolacja, jak dotąd prawdziwa chluba Pomocnej Kalifornii, stała się źródłem skrywanej frustracji, a w salonach South Parku i kularach giełdy San Francisco blady strach wyolbrzymiał do karykaturalnych wręcz rozmiarów każdą pogłoskę i każdą świeżą wiadomość ze Wschodu.

David Terry publicznie nazwał Lincolna „służalcem czarnuchów”, a John Frémont, na przyjęciu suto zakrapianym alkoholem, określił Jeffersona Davisa jako „najniższą formę biologiczną w zbiorniku wiarołomstwa”.

Ale wszystkie wypadki na Wschodzie były tak oddalone, że zdawały się raczej widowiskiem teatralnym niż rzeczywistym kryzysem politycznym. Nawet Collis, któremu zależało gorąco, by ten ogólnonarodowy spór przybrał nareszcie jakiś określony kierunek, w jedną albo w drugą stronę, tak żeby on sam mógł podjąć zdecydowane kroki w sprawie kolei Sierra Pacific, nawet Collis odnosił wrażenie, że lęk, który wzbudzały komunikaty z Waszyngtonu, był tylko lękiem teatralnym, jaki odczuwa widz, gdy w kulminacyjnym punkcie melodramatu jękną żałośnie klawisze pianina i zadrzą płacziwie struny skrzypiec.

Ciężko mu było uwierzyć, że naprawdę doszło do secesji.

Zdawało mu się, że siedzi na balkonie w sali teatralnej, przystawiając do oczu nieostrą lornetkę, podczas gdy teatralny iluzjonista ostentacyjnie przepiłowuje śliczną, młodą dziewczynę na pół. Z odległości nie może jednak przekonać się niezbitcie, czy młode dziewczę zostało naprawdę poćwiartowane; a jeśli nawet tak, to ze względu na dystans jest zupełnie bezsilny i nie może jej w żaden sposób ocalić.

Mimo to San Francisco opętała, wedle słów Andy Hunta, „secesyjna fiksacja”, i wciąż toczyły się na temat wojny zagorzałe dyskusje. Szczególnie zapaleni do bitki zdawali się południowcy, a przyjęcia i bankiety stały się areną politycznych rozgrywek. Pszenne rogaliki często służyły za amunicję, a czasem dochodziło do walki na noże.

Tego wieczora, kiedy do San Francisco dotarły wieści, że odłączył się Teksas, atmosfera na zimowych ulicach miasta naelektryzowana była przerażeniem, a jednocześnie kipiała radosnym, agresywnym podnieceniem. Strzelano w powietrze i nawet w chińskiej dzielnicy, na Sacramento Street, bito na alarm w gongi.

Był to prolog do najsmutniejszego i najtragiczniejszego dramatu wojennego stulecia – już niedługo pożoga wojenna ogarnie całą Amerykę. Ponad 2 miliony 250 tysięcy mężczyzn wzięło udział w powstaniu; spośród nich ponad 25 procent poległo w walce. Konfederacja powołana do życia przez zbuntowane stany obejmowała obszar 750 tysięcy mil kwadratowych – większy niż cesarstwo utworzone przez Napoleona po piętnastu latach zbrojnej kampanii. Co więcej, południowych polityków stanowych, żołnierzy i zwykłych, prostych ludzi, łączyła miłość do ziemi ojczystej – miłość zarówno wierna i głęboka, jak porywcza i nieposkromiona. Od dnia, w którym wysunięto kandydaturę Abrahama Lincolna na stanowisko prezydenta, stało się dla nich jasne, że miłości tej grozi zagłada. Nadszedł czas, by stawić czoło katastrofie, albo się ugiąć. Nadszedł czas na Bull Run*, Shiloh*, Antietam i Gettysburg*. Nadszedł czas na żelazne drogi.

Teodor, świeżo podekscytowany zwycięstwem Lincolna w wyborach prezydenckich, pojechał do Waszyngtonu jeszcze raz, a w dwa dni po inauguracji, 4 marca 1861 roku, Lincoln powiedział mu w czasie prywatnej audiencji: „Nawet gdybym stał się teraz wyjątkowo pojednawczy, wojna jest nieunikniona; to mus dla Południa”. Lincoln zapewnił raz jeszcze Teodora o swoim poparciu dla kolei transkontynentalnej i dał mu szylkretowe pióro jako pamiątkę.

Następnego dnia, kiedy Teodor pakował właśnie swój podróżny kufer, wybierając się w drogę powrotną do Kalifornii, przysłała wiadomość z Richmond, że Jefferson Davis, który w ubiegłym miesiącu zaakceptował – aczkolwiek niechętnie – prezydenturę Stanów Skonfederowanych, zdołał już zebrać 100 tysięcy zbrojnych ochotników.

Teodor pisał do Collisa:

Nie ma już teraz cienia wątpliwości, że stanęliśmy na wielkim rozdrożu. To jest właśnie ów historyczny moment; którego nadejścia oczekiwaliśmy już od dawna; tragiczny punkt zwrotny w dziejach tego kraju. Tu, w Waszyngtonie, odczuwa się bardzo wyraźnie rozgoryczenie i oszołomienie tą nowiną, zarówno na płaszczyźnie narodowej, jak i indywidualnej. No ale (nareszcie!) może teraz w końcu ruszy nasza kolej i będziemy mogli zaśpiewać sobie „Z drogi!”.

Załączył wycinek z „Petersburg Express”, który mówił: „Zwycięstwo Lincolna to po prostu klęska narodowa. Niech nas Pan Bóg chroni przed burzą, która wisi nad nami w powietrzu”.

Collis pokazał ten list Lelandowi. Leland nie miał zdania co do tego, jak realna może być groźba wojny domowej. Poza tym był teraz zbyt zajęty swoją kandydaturą na gubernatora Kalifornii z ramienia Partii Republikańskiej i nie chciał zawracać sobie głowy czymkolwiek innym. Pochłonięty był bez reszty pisaniem tasiemcowych i zawiłych przemówień politycznych, których wygłaszanie ćwiczył co wieczór, stając przed wielkim zwierciadłem, z ręką włożoną pod klapę surduta, imitując w ten sposób nieświadomie Davida Webstera.

Charles natomiast wierzył bardzo głęboko, że dojdzie do wojny, że musi dojść do wojny, ponieważ nie widział innej możliwości, by wydobyć się ze szponów Mary. Pomimo tych różnorakich

zapatrywać, żaden z nich nie miał już teraz cienia wątpliwości, że wydarzenia zimowe umożliwią wreszcie Sierra Pacific rozpoczęcie budowy kolei żelaznej. Jefferson Davis i co bardziej zagorzali zwolennicy trasy południowej, opuścili właśnie Waszyngton i przenieśli się do Richmond. Na placu boju pozostali dwaj rywale: Sierra Pacific i Union Pacific; Collis uważał, że rządowi federalnemu nie pozostanie w tej chwili nic innego, jak tylko zaakceptować proponowaną przez ich przedsiębiorstwo trasę pod budowę kolei. Nic już nie powinno stanąć na przeszkodzie, by prawnie zatwierdzić pomiary Teodora w Dutch Fiat, Przełęczy Donnera i wzdłuż koryta Truckee. Zastraszony możliwością skandalu, senator Stride sfinansował pracę geometry w terenie tak szcudrobliwie, że Teodor mógł nawet pozwolić sobie na pewne luksusy. Zabierał, mianowicie, na niektóre ze swoich licznych ekspedycji Annie, a ona ilustrowała jego obliczenia malunkami. Powstał w ten sposób całkiem spory zbiorek świetnych akwareli kalifornijskiej roślinności.

Nie zawiódł również Laurence Melford: tak jak zostało umówione, w zamian za zwrot fotografii dostarczył pięćdziesiąt tysięcy dolarów w złocie. Collis zużył już te pieniądze, złożony zamówienie na pierwsze odcinki torów, po pięćdziesiąt dolarów za tonę, i na ich pierwszą lokomotywę, z pojemnikiem na węgiel i wodę, z fabryki Zerah Colburn w Paterson w New Jersey. Powiedział Lelandowi, że nazwie tę pierwszą lokomotywę „Jane McCormick” i choć Leland nie był tym wcale zachwycony, Jane zmiękła wyraźnie wobec Collisa i nawet wysłała Hannie parę słoiczków konfitur w koszyku.

Chociaż Collis na nic się nie uskarżał i zdawał się bez reszty pochłonięty pracą, Hanna czuła, że jest podminowany. Na drugim piętrze ich eleganckiego i wygodnego mieszkania Collis miał własny gabinet i wchodząc tam, Hanna często zastawała go tej zimy przy oknie; stał nieruchomo, z rękami w kieszeniach, z czołem opartym o szybę, wlepiając nie widzące oczy w ulicę na dole.

Postarzał się też. Z prawej strony pojawiły mu się na głowie kosmyki siwych włosów; kości na policzkach stały się kanciaste, a skórę porały zmarszczki. Zauważył, że coraz częściej zawodzi go pamięć. Zostawiał nie dopitego drinka na stole, a nalewał sobie nowego.

Zapomniał o urodzinach Hanny i musiał się jakoś zrehabilitować, kupując jej brylantowo-szafirowy pierścionek, który kosztował go prawie dwa tysiące dolarów.

A wszystko, dlatego że nagle w duchu przestał wierzyć, by jego marzenie mogło się kiedykolwiek urzeczywistnić. Wydarzenia polityczne tego roku, które tak podniecały Teodora, rozczarowały go i przygnębiły. Dlaczego Lincoln nie zatwierdził natychmiast ich trasy kolejowej? No co jeszcze czekał, teraz, gdy Południe oderwało się od Zjednoczenia?

Collis zaciągnął już wszelkie możliwe pożyczki i obawiał się, że jeśli żaden z rządów, ani stanowy, ani federalny, nie da im przyzwolenia, to jego sławetne przedsiębiorstwo kolejowe Sierra Pacific będzie musiało ogłosić bankructwo, zanim jeszcze on i jego wspólnicy ułożą choćby jeden króciuteński odcinek torów.

Któregoś dnia, w kwietniu, zwabiona ciepłym powiewem letniego wiatru, który dmuchał nad doliną Sacramento, Hanna zeszła na werandę od strony podwórka i zasiała tam Collisa; siedział rozparty w bujanym fotelu, wyciągając nogi, z rękami w kieszeniach i cygarem zaciśniętym między zębami. Przez długą chwilę stała obok niego w milczeniu, z wyrazem łagodności na twarzy, z włosami upiętymi do tyłu grzebykami, w różowej sukni, która w szarówce wieczora nabrała liliowego odcienia.

– Smutno ci, prawda? – spytała w końcu.

Wyjął z ust cygaro.

– Smutno?

– Nie zadowala cię to, co ofiarowuje ci życie. Pragniesz czegoś więcej. Ale czego?

Sławy? Czy tylko miłości?

– Twoja miłość wystarcza mi w zupełności.

– Ale zostaje jeszcze sława. A tej ci dać nie mogę.

– Sam nie jestem pewien, czy rzeczywiście jej tak bardzo pragnę. Chcę tylko dokonać czegoś w życiu, czegoś istotnego.

– I dokonasz – zapewniła go Hanna, kładąc dłoń na jego ramieniu.

Wyciągnął rękę i położył ją na jej dłoni.

– Chciałbym mieć twoją pewność. W każdym liście od Teodora jest tyle optymizmu i obietnic, a jednak co tak naprawdę zdołaliśmy osiągnąć? Znaleźliśmy przejście przez Sierra Nevada, zrobiliśmy wszystkie potrzebne pomiary i wnieśliśmy podanie o zatwierdzenie naszej trasy. Wszystko za własne pieniądze. No a teraz co? Czy naprawdę musimy czekać, aż dojdzie do wojny? Czy też powinniśmy przekopać cię przez góry gołymi rękami?

– Collis – powiedziała Hanna. – Nie wolno ci tracić nadziei.

– Wiem. – powiedział. – Ale czasem mam już po prostu wszystkiego powyżej uszu.

Miałem kiedyś wspaniałe marzenia – oczyma duszy widziałem pędzące po torach przez cały kontynent, hen, aż po linię widnokregu, pociągi. Ale teraz, gdy tylko zaczynam o tym myśleć, cały obraz rozplywa mi się przed oczami, topnieje, jakby był ulepiony ze śniegu.

– Collis – rzekła Hanna. – Bóg znajdzie jakieś wyjście.

– Bóg? – rzekł Collis pytająco. – Może jednak lepiej zostawić Boga w spokoju. Już i tak mieszałyśmy Go w nasze sprawy o parę razy za dużo.

– Nie sądzisz, że zechciałby nam pomóc jeszcze raz? Collis wypuścił jej dłoń z uścisku, wstał i podszedł do balustrady na werandzie. W małym, zakurczonym podwóreczku rosły rzędy jabłoni. Promienie zachodzącego słońca przedzierały się przez listowie, więc drzewa zdawały się rozżarzone, niczym pochodnie na tle fioletowego nieba.

– Nie chcę nadużywać Jego dobroci, to wszystko – rzekł Collis cicho. – Modliłem się, żeby twoje życie zostało ocalone – i przeżyłaś. Modliłem się, abyśmy się mogli pobrać – i tak się stało. Ale w życiu nie ma nic za darmo. Albo się płaci za cuda samemu, albo, co gorsza, płaci za nie kto inny. Tego się właśnie obawiam najbardziej. Ta kolej pociągnęła już za sobą wiele ofiar – wolę nawet o tym nie myśleć. Tylko Bóg jeden wie, co by się wydarzyło, gdybym znowu prosił o Jego boską interwencję.

- Próbować nigdy nie zaszkodzi – rzekła Hanna z naciskiem. – Modlitwy nigdy nie za dużo.
- Tak uważasz? – rzekł, odwracając wzrok. Wyciągnęła ku niemu dłoń.
- Przecież to właśnie dzięki modlitwie zesłaliśmy się i jesteśmy teraz razem. Co w tym złego?
- I tak nigdy tego nie zrozumiesz. Hanna zmarszczyła czoło.
- Co cię naszło, Collis? Mówisz, jakbym zrobiła coś potwornego.

Wlepił w nią wzrok.

– Może i zrobiłaś. Może wmówiłaś we mnie, że Bóg czuwa nade mną. A ja uwierzyłem, że wobec tego spełnią się wszystkie moje zachcianki. Co mam sobie żałować? Mogę zapragnąć, że wybuduję kolej poprzez niebrzebyte łańcuchy gór; wolno mi rujnować reputację statecznych kobiet, szantażować cieszących I się powszechnym szacunkiem biznesmenów, a nawet zabierać życie niewinnym ludziom.

– Nigdy nikomu nie zabrałaś życia.

– Nie?

– Pewnie, że nie. I te wszystkie inne rzeczy, to też wcale nieprawda. Nie wyrządziłaś nikomu żadnej krzywdy. Po prostu czujesz się załamany i tyle. Poczekaj, jak tylko Teo wróci z Waszyngtonu, to od razu poczujesz się lepiej. Bóg to rozumie, naprawę, i odpuszcza nam nasze winy.

– Mam nadzieję. Inaczej już teraz smażyłbym się w ogniu . piekielnym, na wieki wieków amen.

– Collis – rzekła Hanna. – Przestań tak mówić. Przez chwilę korciło go, by powiedzieć jej o Walterze i o stowarzyszeniu On Leong. I choć wiedział dobrze, że byłaby to z jego strony wielka nieostrożność, zaczął już nawet mówić: – Trudno ci w to będzie uwierzyć, Haniu... Ale jakoś słowa te rozplynęły się w łagodnym powietrzu wieczora, jakby to była tylko jakaś zmyślona, wykrętna wymówka, wykaligrafowana na skrawkach cieniuteńkiego jedwabiu, które poniósł ze sobą wiatr, tak że znikły Collisowi zupełnie sprzed oczu.

Hanna na pewno wolałaby pozostać w słodkiej nieświadomości. Nawet jeśli się czegoś domyśla, będzie się czuła lepiej, jeśli prawda zostanie przemilczana.

– Ach, ten twój Bóg – powiedział, potrząsając głową. – Jak to wygodnie mieć Go za protektora.

Hanna spojrzała na niego, zaciskając wargi. Potem odwróciła się i dumnie wyprostowana przeszła na drugą stronę werandy ku szklanym drzwiom, unosząc w dłoniach suknię, by nie zawadzić o wystające drzazgi.

– Nie przeciągaj struny, Collis – ostrzegła go. – Ja ze swej strony modłę się do Boga, żeby ta twoja kolej została wreszcie wybudowana. Staram się znosić cierpliwie twoje chimery, ale mam już tego dosyć. Mam dosyć twoich fochów i twoich humorów. I twojego wiecznego malkontenctwa.

Trzasnęła drzwiami, wychodząc. Collis zawahał się na chwilę, a potem wyskoczył za nią.

Dogonił ją przy schodach od podwórka, w ciemnym kącie korytarza, na parterze. Złapał ją za ramię i odwrócił ku sobie. Na jej twarzy malowało się wzburzenie i bunt, a w jej wzroku kryło się wyzwanie.

– No i co? – spytała. – Co teraz zrobisz? Uderzysz mnie?

– Za kogo ty mnie masz? – warknął.

Zawahała się. Jej twarz, skryta do połowy w cieniu, była jasna i piękna, jakby i ona sama była marzeniem.

– Uczepiłeś się obsesyjnie jednej idei – rzekła łagodnie – ponieważ uważasz, że to wszystko, czego możesz oczekiwać od życia. Nabrałeś kredytów i boisz się, że nie będziesz ich w stanie spłacić. A w dodatku Mr Lincoln nie podjął jeszcze ostatecznej decyzji w sprawie kolei, więc obawiasz się, że twoja idea może zostać na zawsze zaprzepaszczona. I wtedy co ci pozostanie? Handel sprzętem gospodarskim do spółki z Charlesem i Lelandem?

Jak miałbyś wówczas zamiar spędzić resztę życia? Siedząc wieczorami w salonie, kurząc cygara i przyglądając się, jak szydełkuje? Albo może przycupnęlibyście obaj z Teodorem na podwórkowej ławeczce, jak te dwa stetryczale ramole, i wałkowali w kółko tę samą starą śpiewkę: co by było, gdyby ... Collis złapał za koronkowy staniczek jej sukni i haftowany bawełniany biustonosz, który miała pod spodem, i rozerwał je z całą siłą jednym szarpnięciem, odsłaniając prawą pierś Hanny. Wydała z siebie krótki, niemalże teatralny okrzyk, częściowo rzeczywiście z zaskoczenia, a częściowo w odpowiedzi na teatralny gest.

– Wybuduję tę kolej – wyszeptał. Patrzyła w jego oczy, płonące w mroku korytarza. – Wybuduję tę kolej i nie minie dziesięć lat, a przejdiesz się pociągiem jak królowa.

Przyrzekam.

Powiódł muskularną dłonią po jedwabistej skórze na jej ciepłej piersi i delikatnie, a jednocześnie prowokacyjnie, dotknął kciukiem sutka. Odrzuciła głowę w tył, jakby oczekiwała, że pocałuje ją w szyję.

Nachylił się nad nią, rozchylając lekko wargi. Zawahał się, a potem, tłumiąc wybuch namiętności, pocałował ją bardzo czule w usta.

– Wiem o tym, kochany – powiedziała. – Przepraszam.

Nic nie odpowiedział. Dom stał pogrążony w ciszy i szarówce letniego wieczora. Służba miała wrócić dopiero przed kolacją. Wyszli w południe na targ, a potem mieli wychodne. Z salonu, od strony ulicy, gdzie Hanna trzymała w białej klatce swoją białą papuzkę, kakadu, dobiegało ich skrzeczenie i chrobotanie.

Collis ujął Hannę za przegub dłoni, otworzył drzwi wiodące na schody od podwórka i wprowadził ją na górę. Schody prowadziły do drzwi ich sypialni; Collis pociągnął za klamkę, a światło zachodzącego słońca rozpełzło się po półpiętrze. Potem pochylił się i wziął Hannę na rękę. Gdyby nie ta – odsłonięta pierś pod rozdartym staniczkiem, wyglądałaby jak panna młoda. Jemu zresztą

zdawała się o wiele bardziej atrakcyjna i pociągająca niż jakakolwiek nowo zaślubiona oblubienica. Różowa suknia opinała jej kibić jak płatki różowej malwy, a jasne, lśniące włosy spływały jej na ramiona.

Położył ją na obszernym łożu, na kołdrze, i zrzucił z siebie kamizelkę, koszulę i spodnie.

Patrzyła na niego bez uśmiechu, chociaż wzbierało w niej już pożądanie. Ich pokój był ciepły i przytulny, a różowe szkło rozpylaczy do perfum na toaletce migotało niczym czarodziejski eliksir.

Collis wskoczył do łóżka nago. Przybrał ostatnio na wadze, ale jego ciało było nadal muskularne. Wyszeptał: „Haniu”, a w szepcie tym było wiele różnych treści, wiele uczuć i wiele znaczeń. Było w nim pragnienie, satysfakcja spełnionej miłości, a jednocześnie stanowczość i zdecydowanie. Hanna ujęła w dłonie rąbek spódniczki i podciągnęła ją w górę, ukazując białe, suto obszyte koronką reformy.

Kochał się z nią powoli. Fajansowy zegar na kominku wybijał godzinę po godzinie.

Otwierała od czasu do czasu oczy i zdawało się jej, że to zapada się w sen, to znowu budzi do rzeczywistości. Chwilami, kiedy leżała na wznak, a Collis pieścił ją i wodził ręką po jej nagim ciele, ogarniało ją leniwe, błogie upojenie. Ale potem znowu, oddychając ciężko, oboje czuli wstępujące w nich silne napięcie; spoceni, nie rozluźniali jednak uścisku. Poddała się jego woli i po raz pierwszy w życiu zakosztowała zmysłowych wrażeń, których istnienia nigdy się nawet nie domyślała. I jeszcze długo potem, przez wiele, wiele lat, nosiła je w sercu niczym skarb, rozkoszując się odkryciem nowych namiętności, pielęgnując je w myślach i powracając do każdej z osobną pamięcią, jakby przewracała hebanowo czarne karty w prywatnym albumie Mr Figgisa, wypełnionym erotycznymi fotografiami.

Ale wreszcie Collis nasycił pragnienie, jego wzburzenie opadło i ich akt miłosny dobiegł końca. Usiadł nago na krześle pod oknem i wpatrywał się w nią w milczeniu prawie przez dziesięć minut. Od czasu do czasu kierowała na niego wzrok, a czasami zamykała oczy, czując jeszcze pocałunki, które złożył na jej wargach, i przyjemne odprężenie w całym ciele.

Przyszło jej do głowy, że chyba zaszła w ciążę, i ta myśl wydała się jej bardzo zabawna.

Roześmiała się głośno, sama nie wiedząc dlaczego.

– Co cię tak śmieszy – zapytał Collis.

– Nic – odparła. – Po prostu śmieję się.

– To dobrze – powiedział. Uśmiechnął się, ale nie ruszył się z miejsca, a za jego plecami, w górnym rogu okna, pojawił się księżyc.

*

12 kwietnia konfederackie moździerze otworzyły ogień na Fort Sumter. W trzy dni później, po upadku Fort Sumter, prezydent Lincoln wezwał naród do broni. Wybuchła wojna domowa.

Ozędzie Lincolna dotarło do San Francisco z kilkudniowym opóźnieniem, ale kiedy wiadomość rozeszła się po mieście, odzew był natychmiastowy i gorący.

Mężczyźni, często sąsiedzi z tej samej ulicy, pakowali podrózne sakwojaże i wyjeżdżali, by bić się po stronie Zjednoczenia albo po stronie rebeliantów. W Bank Exchange Saloon spotkało się pewnego dnia dwu młodych ludzi z South Parku – dwaj serdeczni przyjaciele z ławy szkolnej; wzniesli toast szampanem, życząc sobie nawzajem powodzenia, a następnego dnia wsiedli na ten sam statek, który zabrał ich do Panama City. W pociągu, w drodze do Aspinwall, grali razem w karty, a potem, na przystani, zroszeni ciepłym, tropikalnym kapuśniaczkim, uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie i weszli każdy na inny statek – jeden do Charleston, drugi do Nowego Jorku. Obaj polegli w bitwie – jeden pod Chancellorsville, a drugi pod Fredericksburg. Obaj mieli po lat dwadzieścia.

Zarówno John Frémont, jak i William Tecumesh Sherman, opuścili San Francisco i popłynęli na wschód, by zasilić szeregi armii Zjednoczenia. A dom Frémontów, który znajdował się w militarnie newralgicznym punkcie zatoki, zarekwirowało wojsko, więc Jessie też musiała się zeń wyprowadzić. Szklana weranda, na której kiedyś Collis wyklócał się z Johnem Frémontem i Laurence'em Melfordem, została zdemolowana, a w jej miejsce wzniesiono murowane fortyfikacje, gdzie ustawiono armaty.

David Terry odpłynął na Południe, aby połączyć się z konfederatami. Pustogłowy William Gwin, syn senatora Gwina, zaciągnął się już wcześniej do armii konfederackiej razem z Grantem Melfordem. Sam senator Gwin, podejrzany o to, że werbował młodych mężczyzn dla południowej armii, po okresowym pobycie w więzieniu skazany na wygnanie, popłynął z żoną, Mary Bell, i resztą rodziny do Francji.

Wyjechał nawet Dan McReady, aby się zaciągnąć do ochotniczych hufców w Connecticut.

W Sacramento Collis i wylaźił wprost ze skóry, nie mogąc się doczekać, kiedy projekt ustawy o subwencjach dla budowy kolei i linii telegraficznych od rzeki Missouri po Ocean Spokojny zostanie wreszcie przedstawiony Kongresowi do rozpatrzenia. Ile jeszcze trzeba będzie czekać, aby politycy w Waszyngtonie zdecydowali się na wybór trasy? Teo donosił w liście, że chociaż Kongres zdawał się przychylnie nastawiony do projektów spółki Sierra Pacific, to ich odwieczni rywale – przedsiębiorstwo kolejowe Hannibal & St Joseph – nadal starali się przeforsować swoją ideę linii kolejowej, która brałaby początek w St Joe. Pisał również, że James C. Stone, prezes Zachodniego Przedsiębiorstwa Kolejowego Leavenworth & Pawnee, zatrudnił profesjonalnego lobbystę, aby popchnąć sprawę ich własnej trasy, z Missouri. Collis chodził stale rozgorączkowany, nie chciał nic jeść i mimo wysiłków Hanny, by go jakoś uspokoić, nie potrafił zapanować nad nerwami.

W lipcu Armia Potomac, najliczniejsza armia w dziejach ówczesnej Ameryki, została rozgromiona pod Buli Run przez powstańców, a jej żołnierze uciekali w rozsypce, szukając schronienia przed pogonią w ciasnych, błotnistych zaułkach Waszyngtonu. Przez następne trzy lata wojna pustoszyła okoliczne wioski i miasteczka pomiędzy dwiema stolicami, które znajdowały się w odległości zaledwie 110 mil od siebie. Gdy Collis czytał reportaże ze Wschodu miał wrażenie, że ogień trawi mu wszystkie wnętrności.

*

Minęła jeszcze jedna zima. W końcu, w kwietniu 1862 roku, Collis zdecydował, że musi sam wybrać się do Waszyngtonu. Wziął ze sobą Kwang Lee i rankiem, 6 kwietnia, odpłynęli z przystani na Fort Street w Sacramento. Hanna została w powozie, pod cytrynowożółtą parasolką, i pomachała mu na do widzenia chusteczką. Stał przy balustradzie parowca i przesłał jej dłonią pocałunek.

Na łóżku pod poduszką, zostawił list:

Wiem, że mój porywczy temperament często dawał ci się we znaki przez te wszystkie lata, które spędziliśmy razem, ale chciałbym, żebyś wiedziała, że kocham Cię ponad życie i że Twoje wsparcie oraz wyrozumiałość są dla mnie cenniejsze niż złoto. Kiedy kolej zostanie wreszcie wybudowana, wielu ludzi przypisywać sobie będzie zasługi w realizacji tego wiekopomnego dzieła, ale ja jeden będę wiedział, że to Ty byłaś jego inspiracją. Ta kolej zaistnieje dzięki Tobie, bo Ty dodawałaś mi siłę w chwilach zwątpienia i załamania.

Miał w San Francisco dwa dni postoju przed odpłynięciem parowca, więc odwiedził Andy Hunta, który z pomocą Marii–Mamuśki robił kokosowe interesy na dostawach i „usługach” dla wojska. Sama Maria–Mamuśka, obwieszona perłami i brylantami, wyglądała wyjątkowo atrakcyjnie i prawie każdy dżentelmen z San Francisco, który gustował w „pensjonatach” wysokiej klasy, odwiedzał jej czteropiętrową pierniczkową kamienicę na Bush Street, gdzie podawano kruche ciasteczka, szampana i gdzie nie skąpiono l’amour.

Collis poszedł nawet na drinka z Arturem Teachem, który wprawdzie z ociąganiem, ale jednak w końcu przebaczył mu l’affaire des couwrtures, i nawet bardzo chętnie rozmawiał o ewentualnych inwestycjach w budowie kolei Sierra Pacific. Do San Francisco docierały wieści o tym, jak rebelianci, siejąc spustoszenie, obracali w ruinę połączenia kolejowe w Missouri. Wyszadzili dynamitem mosty, rozbierali tory, demolowali wagony i chwyтали do niewoli ekspertów technicznych. Uprawdzili nawet prezesa spółki Hannibal & Joseph i grozili, że rozwałą mu łeb, jeśli nie przestaną tamtędy kursować pociągi. Kolej Leavenworth również znalazła się na łasce i niełasce konfederatów i pomimo koneksji Jamesa Stone’a w sferach rządowych, nikt już teraz nie miał wątpliwości, że jedynym bezpiecznym szlakiem jest trasa na zachód od Omaha.

– Moim zdaniem masz zgodę Kongresu w kieszeni – rzekł Artur Teach. – A kiedy już otrzymasz potwierdzenie na piśmie, to możesz się zgłosić o pomoc finansową do Pacific Securities.

– Biorąc pod uwagę te koce, to bardzo wspaniałomyślnie z twojej strony – rzekł Collis i uniósł swój kieliszek.

– Biorąc pod uwagę koce, to jedyny sposób, żebym odzyskał moje pieniądze – burknął Artur i prychnął niechętnie.

Tego ranka, gdy Collis i Kwang Lee mieli odpłynąć do Panama City na parowcu „Gulf of California”, wydarzyło się coś dziwnego i zarazem okropnego. Collis właśnie golił się w łazience swego apartamentu w hotelu Oriental, kiedy usłyszał pukanie do drzwi. Przewiesił ręcznik przez ramię i z pianą na policzkach wyszedł zobaczyć, kto to taki. Był to Kwang Lee, ubrany już w szary tweedowy podróżny garnitur i szare długie buty.

– Wchodź, wchodź – powiedział Collis. – Ale musisz trochę poczekać. Nie jestem jeszcze gotowy.

– Proszę sobie nie przeszkadzać, Mr Edmonds – rzekł Kwang Leet zamykając za sobą drzwi. – Niech pan nie przerywa toalety, a ja tymczasem podzielę się z panem pewną wiadomością.

– O co chodzi? – spytał Collis, przechylając głowę w tył, by zgolić zarost pod nosem.

Oplukał brzytwę i przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze. Pomyślał, że grzybieje w oczach; niemal z dnia na dzień przybywa mu zmarszczek. Osiwił już przez tę ciągłą niepewność.

– Moja gęba jest bardziej poorana niż zbocza Sierra Nevada – mruknął sam do siebie.

– Spotkałem paru znajomych z chińskiej dzielnicy – rzekł Kwang Lee, zdejmując kapelusz i siadając w fotelu Collisa. – Dowiedziałem się od nich czegoś na temat Sary Melford. Na pewno to pana zainteresuje.

– Na temat Sary Melford? A co oni mogą o niej powiedzieć? Ci twoi znajomi z chińskiej dzielnicy? Przecież nie mają z nią nic wspólnego.

– Przeciwnie, proszę pana. Ostatnio Sara Melford odwiedza regularnie, co dwa czy trzy tygodnie, rezydencję Han Fara ze stowarzyszenia Kwong Dak, chociaż ubrana jest zawsze w pelerynę i kaptur, żeby nikt nie mógł jej rozpoznać.

Collis odwrócił się w stronę Kwang Lee i spojrzał na niego przez uchylone drzwi łazienki, marszcząc czoło. Z pokoju obok dochodziły ich odgłosy małżeńskiej kłótni. Hotel Oriental miał ścianki cienkie jak z tektury – dla nikogo w całym mieście nie było to żadną tajemnicą.

– A po co tam chodzi? – spytał Collis.

– Hang Far nie chciał mi z początku powiedzieć – rzekł Kwang Lee. – Ale obiecałem mu, że jak przyjdzie czas, zatrudni pan w swoim przedsiębiorstwie kolejowym jego krewnego Hang Ching, więc zmienił i powiedział mi wszystko, co wie na ten temat.

– Mam nadzieję, że Hang Ching nie będzie aspirował zbyt wysoko i zadowolony się pozycją pomagiera przy kuchni polowej – rzekł Collis. – No ale co ci powiedział Han Far o Sarze Melford?

– Sara składa mu te wizyty już od ponad roku, od czasu awantury z ojcem. Stary Melford odkrył, że jego córka nadal widuje się, poza jego plecami, z Mr Francisem Bretem Harte i zabronił jej surowo dalszych spotkań z nim albo z kimkolwiek innym, jeżeli on sam nie da jej na to swego przyzwolenia. Hang Far nie zna, oczywiście, wszystkich szczegółów, ale podobno Sara Melford popadła w straszną depresję. Wie pan, naprawdę kochała się w Mr Harte. Chciała, żeby Hang Far dał jej coś na uspokojenie nerwów. Hang Far najpierw odmówił, ale w końcu się ugiął, bo zapłaciła krocie, a on para się w końcu handlem, więc sam pan rozumie.

Collis wyszedł z łazienki i obrzucił Kwang Lee wściekłym spojrzeniem.

– Co ty opowiadasz? – zapytał. – Czego od niego chciała? Co to znaczy: „coś na uspokojenie nerwów”. Co przez to rozumiesz?

Kwang Lee rozłożył bezradnie ręce.

– Jak się kto uweźmie, żeby się samemu zniszczyć, to nie pomogą żadne perswazje – powiedział.

– Masz na myśli opium? – spytał Collis. – Sara Melford chodzi do stowarzyszenia Kwong Dak po opium?

Kwang skinął głową.

Collis poklepał się dłonią po policzku. Podeszedł do biurka, a potem znowu zawrócił. Mój Boże, pomyślał, to przecież moja wina. Gdybym nie dał jej tej nalewki, nigdy by się nie dowiedziała, jakie właściwości ma opium. Musiało jednak wtedy na nią podziałać. Może w ogóle tylko dlatego zgodziła się pozować do tych zdjęć, że była pod narkozą. A wszystko przeze mnie i moją kolej.

– Posłuchaj – powiedział Collis do Kwang Lee. – Muszę się natychmiast zobaczyć z Hang Farem. Jeszcze dzisiaj rano. Muszę się dowiedzieć, kiedy znowu zjawi się u niego Sara.

Trzeba będzie odłożyć wyjazd. Nie opuszczę San Francisco, dopóki się z nią nie zobaczę. Leć dziś po południu do biura podróży i zmień nam rezerwację.

*

Wciśnięty w wyjściowy czarny frak i białą koszulę z wyłożonym kołnierzykiem, Hang Far okazał się pękatym grubaskiem, który w przeciwieństwie do Mr Kwanga mieszkał w rezydencji zbudowanej i wyposażonej na wzór zachodni. Ściany zdobiła dębowa boazeria, obrazy olejne w złożonych ramach przedstawiały polowania na lisy na Starym Kontynencie, a meble były również bardzo angielskie i bardzo staroświeckie. Kiedy służący wprowadził Collisa i Kwang Lee do biblioteki, gospodarz domu pochylał się właśnie nad lokalną gazetą, zaciągając się cygarem. Był to ciemny pokój, z rzędami obłożonych w skórę woluminów, zdominowany przez ogromne, dubeltowe biurko z rzeźbionego mahoniu. Pachniało tam atramentem, tomiskami ksiąg i chińską herbatą. Collis zauważył, że na ścianie nad kominkiem wisiał jedyny w tym domu chiński obraz – widok na wąwóz Yangtze w Szachuan.

– O której oczekuje pan Miss Melford? – spytał Collis.

– O trzeciej – rzekł Hang Far. – Czym mogę pana poczęstować?

Może napiłby się pan trochę chińskiej herbaty, Cloud Mist, z górskich okolic Lu. Jest bardzo smakowita.

Collis rozsiadł się w obszernym, pluszowym fotelu.

– Nie, dziękuję. Za to chętnie wypalę z panem cygaro – powiedział. Wszyscy trzej czekali w milczeniu. Wielki mosiężny zegar na biurku odmierzał minuty, jękając głośno swoje nie kończące się tik – tak, tik – tak. Collis siedział z rękami złożonymi na kolanach i gapił się na Hang Fara, jakby go chciał zaszytletować wzrokiem, ale Hang Far uśmiechał się sam do siebie raz po raz, jakby w duchu bardzo go coś śmieszyło.

Było to w dwa dni po tym, jak Kwang Lee przyniósł Collisowi wiadomość o Sarze.

Wykupili miejscówki na parowiec „Halethorpe”; mieli odpłynąć więc dopiero w środę w następnym tygodniu. Hang Far zapewnił Kwang Lee, że Sara przyjdzie w czwartek po kolejną porcję laudanum. Za cenę stu dolarów zgodził się, żeby przyszedł również Collis.

O trzeciej dwadzieścia w drzwiach biblioteki ukazał się służący Hang Fara.

– Młoda dama już czeka w pokoju gościnnym. Mam wprowadzić? – powiedział, patrząc na Collisa spode łba.

Hang Far wyszeptał coś szybciotko po chińsku w odpowiedzi, a służący odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Collis wstał i prawie w tym samym momencie do pokoju wkroczyła Sara. Zatrzymała się w drzwiach, z obleczoną w białą rękawiczkę dłonią na wypolerowanej klamce, i stanęła dumnie, wyprostowana, z wyrazem twarzy, który nie zdradzał żadnych emocji. Miała na sobie bardzo jaskrawą, niebieskoturkusową pelerynkę z jedwabiu, haftowaną i obszytą lamówkami, oraz kapelusz z woalką, na którym kołysały się trzy turkusowe pióra, ale cerę miała okropnie wyniszczoną i Collis zauważył, że zbrzydła od ich ostatniego spotkania.

Pacynkami różu starała się dodać swoim trupiobladyim policzkom koloru, ale w rezultacie wyglądała jak tragiczny klaun. Wpatrywała się w Collisa bez śladu zdziwienia, obojętnie, oczami, pod którymi widniały sine podkowy.

– Saro! – rzekł Collis ze ściśniętym gardłem.

– A, to ty – powiedziała oschle. – Dlaczego... Co tu robisz?

– A jak myślisz? Usłyszałem o tobie od Mr Hanga.

– Aaa – odparła. – No właśnie, zapomniałam, że masz tylu kumpli wśród Chińczyków.

No i co tam u ciebie?

– Wszystko gra. W przyszłym tygodniu wyjeżdżam do Waszyngtonu. Ale ty? Lepiej powiedz o sobie.

– Ja? – rzekła Sara wymijająco. – No cóż, mój drogi. Ja też czuję się znakomicie. A moje samopoczucie poprawi się jeszcze wydatnie, kiedy dostanę od Mr Hanga moje lekarstwo.

Collis chwycił ją za ramię.

– Saro – powiedział. – Musisz z tym skończyć.

– Skończyć? A to niby dlaczego? Chyba nigdy jeszcze nie wyglądałam tak apetycznie?

Teraz dopiero jestem prawdziwą królową San Francisco. Nie sądzisz?

– Nie wiem, co się z tobą stało – rzekł Collis, a jego głos łamał się ze wzruszenia. – Wyglądasz na strasznie schorowaną.

– Schorowaną? – spytała, wyrywając się z jego uścisku. – No tak, istotnie, zawsze przed spotkaniem z Mr Hangiem czuję się nieco niedysponowana. Ale zaraz potem przychodzę do siebie. Prawda, Mr Hang?

Hang Far wzruszył lekceważąco ramionami.

– Saro – rzekł Collis. – Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, jak wchodziłaś do łoża w teatrze Empire, ubrana w żółtą suknię, stało się dla mnie jasne, dlaczego mężczyźni tracą dla ciebie głowy. Byłaś piękna, kobieca, czarująca.

Sara wyciągnęła dłoń i złapała się poręczy fotela, a potem osunęła się, osłabiona na poduszki.

– Tak – powiedziała z ciężkim westchnieniem, jak dziewczynka, która tłumi w piersi łkanie. – Może i masz rację. Francis zawsze mi to powtarzał: „Saro, jesteś uosobieniem wdzięku, chodzącą definicją słowa ekstaza”.

– Musiałaś go bardzo kochać... Bezwiednym gestem Sara dotknęła piór zdobiących jej kapelusik.

– Kochałam go bezgranicznie. Ale to stare dzieje.

– I co on by powiedział, gdyby cię teraz zobaczył? Sama powiedz!

– Oh, chyba by go poniosło. Nie znosi Chińczyków, rozumiesz. Zawsze uważał, że to ordynusy, pogańskie nasienie. Ale zresztą wszystko jedno. Chodzi teraz z kimś innym. Co się stało, to się nie odstanie.

– Więc po co umartwiasz się dalej tą trucizną? – spyta! Collis. – Nie widzisz, że rujnujesz sobie zdrowie?

– Wręcz przeciwnie. To doskonałe lekarstwo. Przynosi mi ulgę. Uśmierza ból – rzekła Sara. – Rozgrzewa mnie, kiedy się trzęsę z zimna.

Collis uklęknął przy niej na pasiastym, tkanym chodniku i wziął ją za rękę. Przez bawełną rękawiczki wyczuł jej kościste palce. Wychudła jak szczapa, a pelerynka i narzuta wisały na niej jak na kołku. Miała figurę zagłodzonej szwaczki, dziadówki.

– Chodź teraz ze mną – powiedział Collis. – Zabiorę cię do doktora Coopera. On ci pomoże i jakoś to przezwycięzysz. Raz dwa dojdiesz znowu do siebie.

– Najpierw chcę mojej nalewki – upierała się Sara.

– Nie – powiedział Collis. – Odtąd nie będziesz już jej potrzebowała.

– A coś ty się zrobił nagle taki troskliwy? – spytała Sara. – Wcale się tym jakoś nie przejmowałeś, kiedy robiłeś mi te zdjęcia. Znarkotyzowałeś mnie i tyle. Nie widać było, żeby cię gryzły wyrzuty sumienia.

– I właśnie dlatego czuję się teraz podwójnie odpowiedzialny – odparł Collis. – Nie wiedziałem, że tak to na ciebie podziała... I nie wiedziałem też przecież nic o Mr Harte.

Mr Hang podszedł do biurka, otworzył szufladkę i wyjął z niej małą szklaną fiolkę.

– Proszę, to dla pani – powiedział.

– Mr Hang – rzekł Collis gniewnie. – Niech pan to natychmiast stąd zabierze.

– Mr Edmonds – rzekł Hang Far. – Zgodziłem się wprowadzić na pańską wizytę, ale z ociąganiem i pod warunkiem, że zjawi się tu pan tylko w roli neutralnego obserwatora. Proszę się nie wtrącać w moje sprawy. Handluję tym, czym chcę handlować. I mam do tego prawo.

Collis powstał z klęczek.

– Uważa pan, że ma pan prawo rujnować ludziom życie? Sam pan widzi, do czego ją pan doprowadził!

– Sama tego chciała – rzekł Hang Far.

Collis wyrwał Hang Farowi z ręki buteleczkę, odkorkował ją i odwrócił do góry dnem.

Laudanum rozlało się na biurku i chodniku i zostawiło mokre plamy na porzuconej przez Hang Fara gazecie.

– Hmm, wy, biali, lubujecie się widać w dramatycznych gestach. – Hang Far nie dał się zbić z pantałyku. – Na szczęście mam w domu cały zapas laudanum.

– Miss Melford nie weźmie tego więcej do ust – rzekł Collis. – Chodźże już, Sara, idziemy.

– Zostaw mnie – rzekła Sara. – Przestań się wreszcie wtrącać w moje życie.

Collis złapał Sarę za przegub dłoni, wyciągnął ją siłą z fotela i obrócił w stronę lustra nad kominkiem.

– Przyjrzyj się tylko sobie! – wrzasnął. – Zobacz tylko, jak ty wyglądasz!

Sara popatrzyła w lustro, a potem przeniosła wzrok na Collisa.

– Masz rozliczne talenty, mój drogi, a do tego styl – powiedziała spokojnie. – Podziwiam również twoją determinację. Ale na zbawiciela ludzkich dusz nie nadajesz się zdecydowanie, to ci mogę od razu powiedzieć. A wiesz dlaczego? Bo ambicja, która tobą kieruje, jest destruktywna. A teraz byłabym ci wdzięczna, gdybyś raczył się stąd oddalić.

Chcę zostać z Mr Hangiem sam na sam. Co tutaj robię, to wyłącznie moja sprawa.

– Powiem wszystko twojemu ojcu.

– I tak ci nie uwierzy! Nawet nie będzie cię chciał wysłuchać. Po tym szantażu jesteś w jego oczach stracony!

– Saro! – powiedział Collis. – Na miłość boską! Saro! Sara uniosła woalkę. Przeraziła go kredowa bladość jej twarzy.

– Możesz mnie pocałować, jeśli chcesz – rzekła z godnością, która zdawała się teraz wymuszona.

Nie ruszył z miejsca. Po drugiej stronie biurka Hang Far uśmiechał się do niego jak gościnny właściciel chińskiej restauracji. Potem Collis odwrócił się i powiedział: – Chodźmy stąd, Kwang Lee. Czas już na nas.

Na zewnątrz, na Jackson Street, włożył rękawiczki i spojrzał w górę, w zapłakane niebo.

Pierwsze krople wiosennego deszczu zrosiły deski na chodniku.

– I nie wyciągnie pan stamtąd Miss Melford? – spytał Kwang Lee. – Pozwoli jej pan tam zostać?

– A co mam zrobić? – odparł Collis z goryczą. – Jestem zupełnie bezsilny.

*

Przybyli do Waszyngtonu ostatniego dnia maja 1862 roku. Podczas podróży parowcem turbinowym „Ulysses”, na którym opuścili Aspinwall nie mieli okazji zetknąć się oko w oko z koszmarem wojny, ponieważ marynarka wojenna Zjednoczenia była dużo silniejsza niż marynarka wojenna Konfederacji. Niedaleko wybrzeża podpłynął do nich wprowadzie rebeliancki pancernik, ale w końcu przesłał im tylko sygnał „szczęśliwej podróży”. W pobliżu portu Charleston Collis i Kwang Lee ujrzeli także na horyzoncie blokadę statków Zjednoczenia.

Sam Waszyngton, nadal równie niechlujny i nie wykończony jak niegdyś, stał się zatłoczoną bazą wojskową Zjednoczenia, a pomnik Waszyngtona dalej robił wrażenie samotnego kołka w samym środku wysypiska śmieci. Ale tym razem, oprócz zwykłej rzeszy polityków, miasto gościło w swoich murach stu pięćdziesiąt tysięcy armię żołnierzy, których trzeba było gdzieś zakwaterować. W parkach porozbijano obozy i ustawiono tymczasowe baraki, a drzewa pościnano na budowę drewniaków, zapór i barykad. Na bocznicach, wzdłuż Maryland Avenue, przetaczano lokomotywy i wagony kolejowe, a platformy przewożące działa grzęzły w gliniastym błocie na ulicach jeszcze głębiej niż przedwojenne dorożki i jednokonki.

Ale w mieście nadal wrzało życie. Chociaż komunikacja miejska prawie nie istniała, a nie oświetlone ulice leżały pogrążone w ciemnościach, co wieczór odbywały się tu szumne przyjęcia, a gazeta „Washington Star” narzekała, że w kasynach roi się od umundurowanych oficerów. Sam prezydent ograniczył swoje życie towarzyskie po śmierci syna, który zmarł w lutym tegoż roku, ale mimo to nadal gremialnie uczęszczano na popularne bankiety w Białym Domu, tak że miejscowi kieszonkowcy mieli z tego wcale pokaźny dochód.

Collis nie był w stanie zarezerwować sobie hotelu, ale Teo znalazł mu apartament na Connecticut Avenue, na drugim piętrze domu opuszczonego przez senatora Irwina Teasdale’a z Arkansas. Pierwsze piętro zajmował pułkownik Merrit „Kostka” Bonham, z nowo uformowanego Oddziału Balonów Wojskowych, choć sądząc po odgłosach, które dobiegały z parteru, Kostka mało latał balonami, a za to dużo pił i urządzał dzikie orgie w towarzystwie tłustych dziewczyn o potwornie skrzekliwych głosach. W apartamencie Collisa Kwang Lee zajął mały pokój od podwórka, który

udekorował, nie wiedząc czemu, plakatem ze spektaklu „Chata wuja Toma” i gdzie ustawił swój sagan i czajniczek do herbaty.

Teo przytył, a cera jego straszyla bledością charakterystyczną dla codziennych bywalców kularów Kongresu i kawiarni na Pennsylvania Avenue. Przybycie Collisa przyjął chyba z mieszanymi uczuciami: odetchnął z ulgą, bo potrzebował entuzjastycznego wsparcia upartego zapaleńca, któremu leży na sercu sprawa kolei, ale z drugiej strony niepokoił się, że żywiołowy temperament Collisa może zniszczyć wszystkie, nawiązane w wyniku układów politycznych, waszyngtońskie kontakty, które kosztowały go wiele nerwów, wiele zachodu i wiele nie przespanych nocy.

Przyszedł zobaczyć się z Collisem po jego przyjeździe. Oczy miał podpuchnięte z niedospania, a brodę zaniedbaną i rozczochraną.

Przechadzał się po salonie wynajętego apartamentu Collisa w poplamionym zupą garniturze, głęboko czymś zaprzątnięty, ze wzrokiem mętym i nieobecnym.

Collis, ubrany w surowy, szary surdut, siedział nieruchomo w fotelu i przyglądał mu się z zainteresowaniem.

– Niby już jesteśmy tak blisko celu, a mimo to tyle jest jeszcze nie rozstrzygniętych kwestii – rzekł Teo. – Jak tylko komisja wydaje się już gotowa, by zatwierdzić trasę Sierra Pacific, ktoś zaraz zakłada sprzeciw albo wyjeżdża z jakimś pytaniem czy propozycją innego rozwiązania.

– To może za mało na nich naciskasz? – zasugerował Collis.

– W ogóle na nich nie naciskam. Gdybym to zrobił, to by się jeszcze bardziej zaparli.

Wręcz przeciwnie: staram się ich obłaskawić. Cała nadzieja w Lincolnie – ciągnął Teo. – Jest bardzo przychylnie nastawiony do trasy Sierra Pacific – Union Pacific, ale niestety tak pochłonięty wojną, że w ogóle nie można się do niego zbliżyć.

Collis podniósł się z fotela.

– Napijesz się czegoś? – zapytał. – Kieliszek dobrze by ci zrobił, coś mi się wydaje.

Teo przetarł dłonią oczy.

– Rzeczywiście – przyznał. – Chyba masz rację. Collis miał już właśnie zamiar zadzwonić na Kwang Lee, gdy usłyszał, że ktoś dobija się do drzwi wejściowych na dole.

Kołatanie powtórzyło się jeszcze raz, a potem w korytarzu rozległo się szuranie: to Kwang Lee schodził w kapciach po schodach, by zobaczyć, kto to taki. Po chwili Kwang Lee wrócił.

Wszedł do salonu i wręczył Collisowi wizytówkę.

– Wprowadź panią – rzekł Collis.

W drzwiach ukazała się Alicja Stride w długim ciemnoniebieskim płaszczu i w kapturze.

Była blada, a jej oczy błyszczały jak w gorączce. Podeszła do Collisa, zacierając dłonie, kuląc się w ramionach i wpijając łokcie w bok, jak trzęsąca się z zimna babuleńka.

– Collis – wyszeptała.

Collis wyciągnął dłoń i ujął ją pod ramię.

– Alicjo, moja droga – powiedział. – Co się stało? Co ty tu robisz? Wyglądasz na schorowaną.

– To tylko grypa – powiedziała. – Zima była mroźna, a brakowało leków, więc w całym mieście wybuchła epidemia.

– Usiądź, proszę – rzekł Collis i delikatnie powiódł ją w stronę fotela. – Powiedz mi, co cię tu sprowadza. Kwang Lee, zaparz nam świeżej herbaty.

Alicja rozluźniła pasek od płaszcza i szybkim ruchem dłoni odgarnęła włosy w tył głowy.

– Chodzi o ojca – powiedziała. – Znalazł się w strasznym niebezpieczeństwie i nie wiem, co zrobić, żeby go uratować. Kiedy usłyszałam, że jesteś w Waszyngtonie, to... to oczywiście od razu pomyślałam, że muszę się z tobą zobaczyć.

– A co się stało? – spytał Collis. Alicja odparła: – Ta wojna... wiesz... Po zwycięstwie Lincolna w wyborach prezydenckich wyjechaliśmy z Waszyngtonu i przenieśliśmy się do Richmond. Ojciec należał do grona tych, którzy przekonali Alexandra Stephensa, że powinien on objąć stanowisko wiceprezydenta Konfederacji. Wszystko było w porządku i wszyscy czuliśmy się znakomicie, aż do listopada, kiedy ojciec zaczął nalegać, żebyśmy wrócili do naszej rezydencji w Culpeper i starali się zabezpieczyć co cenniejsze obrazy i srebro. Powiedział, że jeśli sytuacja na froncie ulegnie pogorszeniu, to będzie ich potrzebował. Rozumiesz, obawiał się, że wpadną w łapska Jankesom.

Collis przysunął krzesło i usiadł obok niej.

– Mów dalej – poprosił.

– No wiesz, chyba sam wywołał wilka z lasu – rzekła Alicja. – Wraciał właśnie z całą furą wartościowych przedmiotów i kosztowności, kiedy natknął się na oddział Zjednoczenia.

Wpadł w ich zasadzkę, i dostał się do niewoli. Kiedy powiedział im, kim jest, i pokazał na dowód dokumenty, przewieźli go z powrotem do Waszyngtonu i zamknęli w więzieniu.

Trzymali go bez sądu przez cztery miesiące, wygrażając się, że go oskarżą o zdradziecki spisek, szpiegostwo i całą masę innych wymyślonych zbrodni.

– I gdzie on teraz jest? – spytał Collis.

– Uciekł. Przyjechałam do Waszyngtonu w styczniu, z pomocą senatora Harrisa z Filadelfii. Wykorzystałam wszystkie środki prawne, żeby wyciągnąć ojca z więzienia, ale odpowiadano mi bez przerwy, że jest bardzo ważnym zakładnikiem i wobec tego będą go tak trzymać w nieskończoność. Ale któregoś dnia, bez mojej wiedzy, ojciec przekonał paru oficerów, żeby pozwolili mu odwiedzić starego znajomego w Georgetown. Wysłali go pod eskortą dwu uzbrojonych ludzi, ale jak tylko się tam zjawili, mój ojciec i ten jego przyjaciel rozbroili

wartowników i obu zabili. Ojciec uciekł, a teraz ukrywa się w Waszyngtonie u sympatyzującej z Południem rodziny.

Collis przyjrzał się uważnie Alicji.

– No ale co ja mogę na to poradzić? – zapytał. – Jestem tylko kalifornijskim przedsiębiorcą ze spółki kolejowej, przebywającym tymczasowo w Waszyngtonie w sprawach służbowych.

– O, nie. To nieprawda! – zaprzeczyła żarliwie Alicja. – Masz zawsze tyle mądrych pomysłów. Jestem pewna, że znajdziesz sposób, żeby wydostać ojca z Waszyngtonu.

– Żądasz ode mnie bardzo wiele – rzekł Collis. – Twój ojciec jest tu znaną osobistością. Każdy pierwszy lepszy szeregowy armii rozpoznałby chyba jego twarz bez najmniejszej trudności i nie wahałby się przebić go bagnetem. Jeśli zabił dwóch strażników, to jest mordercą, a sama dobrze wiesz, jaka kara grozi za udzielanie pomocy takiemu przestępcy.

– Collis – rzekła Alicja. Jej oczy napełniły się łzami. – Jesteś dla mnie ostatnią deską ratunku. Inaczej przecież bym cię o to wcale nie prosiła.

Collis zamyślił się głęboko. Teo, którego wzburzyła obecność Alicji, stał przy oknie, bębniąc palcami o szybę. Dźwięk ten przypominał rozbijające się o szybę krople deszczu albo daleki tętent końskich kopyt.

– No dobrze, Alicjo – powiedział w końcu Collis.

Teo zamarł w bezruchu, a w salonie zapanowała absolutna cisza.

– O, Collis! – rzekła Alicja. – O, Collis. Dziękuję.

– Nie ciesz się tak z góry – rzekł Collis. – To będzie bardzo kosztowna operacja, a przy tym nie mogę wcale zagwarantować jej powodzenia.

– Ojciec ma mnóstwo pieniędzy. W czasie mojego pobytu w stolicy udało mi się upłynnić większość naszych papierów wartościowych. Powiedz tylko, ile będzie trzeba.

– Collis – rzekł ostro Teo. – Czy nie sądzisz, że i tak już wydoiliśmy wystarczająco senatora?

Collis, zniecierpliwiony, potrząsnął głową.

– Nie mam zamiaru wyciągać od niego pieniędzy, Teo. Chcę mu pomóc. A w trakcie działań wojennych pomoc nieprzyjacielowi, szczególnie nieprzyjacielowi tak poszukiwanemu jak senator Stride... no cóż... taka pomoc jest rzeczą bardzo kosztowną.

– Na miłość boską! – rzekł Teo.

– Przestań się tak zaklinać – ofuknął go Collis. – Fakt pozostaje faktem, że to morderca i jeńiec wojenny, a do tego uciekinier. Przecież nie da się go wydostać z Waszyngtonu i przetransportować na Południe za darmo.

– Nie masz nawet zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać – rzekł Teo. – Dopiero co przyjechałeś do Waszyngtonu.

Collis ujął obie dłonie Alicji w swoje ręce.

– Wyciągnę jakoś twego ojca, nic się nie martw. Musi tylko czekać na moje instrukcje.

Kiedy będziesz znowu tędy przechodzić i zobaczysz przybitą na drzwiach frontowych czerwono-biało-granatową rozetkę, to zapukaj, a ja ci przedstawię szczegóły mojego planu.

Do salonu wszedł Kwang Lee i postawił na stole tacę z gorącą, aromatyczną herbatą. Teo popatrzył na tacę, potem na Collisa, a potem wyszedł gniewnie z pokoju, z dumnie podniesioną głową.

*

Podczas swoich beztrudnych lat młodości w nowojorskich salonach gry Collis nauczył się, że jeśli podstęp uda się raz, to zawsze uda się po raz wtóry. Dlatego właśnie, nie licząc się z kosztami, wynajął na dwie godziny pokój z oknami od południa w hotelu Columbia, na Pennsylvania Avenue. I dlatego właśnie również, przez następne dwa dni, prowadził pertraktacje z kongresmanem Haroldem Watkinsem z Minesoty, a oprócz tego zwrócił się o pomoc do pewnego dżentelmena, który prowadził mały specjalistyczny zakład na Dziewiątej Ulicy, a przy tym słynął w niektórych kręgach z taktownej dyskrecji. Potem, w następny poniedziałek, przybił rozetkę na drzwiach domu senatora Teasdale'a i czekał na przyście Alicji. Spotkanie w hotelu Columbia zostało zaplanowane na drugą trzydzieści po południu, w środę. O tej właśnie porze, czego świadom był jedynie Collis oraz dyskretny dżentelmen z Dziewiątej Ulicy, światło słoneczne rozświetlało jasno całość salonu, tak że obiektyw aparatu fotograficznego mógł z łatwością zdjąć osobę siedzącą pod oknem w jednym ze starannie usytuowanych foteli. Ale oczywiście poseł Harold Watkins, z twarzą koloru dojrzewającej jagody, wciśnięty w trawiasty garnitur z setki, wdrapując się z wysiłkiem na górę, po stromych hotelowych schodach nie miał o tym zielonego pojęcia. Nie wiedział też o tym mężczyźnie w kapeluszu nasuniętym na oczy, który opuścił pośpiesznie prywatną bryczkę, przeszedł na drugą stronę ulicy i skierował się w stronę hotelu, zasłaniając twarz otwartą dłonią.

Collis czekał na posła Watkina przy wejściu.

– Nie pożałuje pan tej wizyty, zapewniam pana – zwrócił się Collis z przyjaznym uśmiechem do zdyszanego kongresmana. – Taka okazja, mogę to śmiało powiedzieć, trafia się tylko raz.

Watkins, niczym zziębnięty hipopotam, okrążył cały salon, wycierając kark chusteczką do nosa i powtarzając bez ustanku: – Schody. Nie wspomniałeś pan nic o schodach. W ogóle bym nie przyszedł, gdybym wiedział o tych schodach.

Wreszcie jednak ochłonął nieco, a w chwilę później rozległo się dyskretnie pukanie i w drzwiach pokoju ukazał się senator Stride.

Pomimo długotrwałego pobytu w więzieniu i sędziwego wieku, trzymał się doskonale i nie tracił kontenansu, chociaż zdawało się, że jego głęboko osadzone oczy, zawsze bardzo ciemne, jeszcze pociemniały od czasu, gdy Collis widział go po raz ostatni. Przywitał się uściskiem dłoni najpierw

z Collisem, a potem z posłem Watkinsem, i wreszcie obaj interesanci Collisa usiedli w wyznaczonych dla siebie fotelach pod oknem. W głębi pokoju, zza zasłoniętych kotarą drzwi, wystawała szyjka obiektywu; Collis usłyszał całkiem wyraźny pstryk, kiedy dyskretny dżentelmen z Dziewiątej Ulicy zrobił im pierwsze zdjęcie. Ale żaden z gości nie zwrócił na to uwagi.

– I na co to panu przyszło, senatorze? – rzekł Watkins – Na co to panu przyszło? Kto jak kto, ale właśnie pan w takich opałach! No, no! Tegom się nigdy nie spodziewałem!

– A ja się nigdy nie spodziewałem, że ujrzę ten kraj spustoszony bratobójczą wojną domową – odparł senator Stride. Jego tubalny głos, zdarty wyniszczającym pobytem w więzieniu, zabrzmiał bardziej ochryple niż zazwyczaj, ale nadal był ostry i stanowczy.

– Z tego, co mówił Mr Edmonds, chce się pan wydostać cichcem z Waszyngtonu i potrzebuje pan pomocy – rzekł poseł Watkins.

– Istotnie – senator Stride skinął głową potwierdzająco. – Naturalnie, zapłacę, ile będzie trzeba.

Poseł Watkins podrapał się paluchem po nosie i sapnął z wysiłkiem.

– Będzie to pana kosztować dwadzieścia tysięcy dolarów. Taniej się nie da. Wie pan, jak to jest: tu łapóweczka, tam obiadek, no i inne wydatki organizacyjne.

– Nie będę się targował – odparł kwaśno senator Stride. – Muszę wyjechać jak najprędzej z Waszyngtonu, bo jak mnie znowu złapią, to czeka mnie kula w łeb.

Poseł Watkins poruszył brwiami. Jego plamiasta łysa pała przypominała Collisowi dymiący na talerzu śliwkowy pudding posypany cynamonem. Znowu pstryk – tak głośny, że twarz Collisa wykrzywiła się w grymasie.

– Oczywiście dojdą i inne wydatki – rzekł poseł Watkins. – Będę musiał wynająć powóz i łódkę, a także opłacić przewoźnika, który zgodzi się przewieźć pana przez Potomac.

– Więc ile w końcu? – spytał senator Stride. Poseł Watkins wyjął policzki w zamyśleniu.

– To będzie razem... w sumie... około dziesięciu tysięcy – powiedział.

– To znaczy wszystkiego trzydzieści tysięcy, tak?

– Plus pięć na wydatki osobiste. Tak. Trzydzieści pięć tysięcy.

Senator Stride spojrział na Collisa ponuro, ale on tylko wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nic nie może na to poradzić. Działał w końcu tylko jako pośrednik, a senator Stride naprawdę nie miał wielkiego wyboru. Albo musiał się zdać na posła Watkina i przystać na jego cenę, albo ryzykować stryczek na dziedzińcu waszyngtońskiego mamra.

– Niech będzie – rzekł senator Stride i odpiął kamizelkę akurat na tyle, aby mogli zobaczyć przewiazaną wokół pasa płócienną sakiewkę. Poseł Watkins rozsiadł się w swoim fotelu i lizał wargi z nie ukrywaną rozkoszą, podczas gdy senator Stride odliczył dwadzieścia tysięcy dolarów w złotych monetach i ułożył je na stolyczku, który ich rozdzielał, w siedmiu prościutkich wieżyczkach. Popołudniowe słońce wpadało do pokoju przez nagie szyby okien i oświetlało

połyskujące monety, jakby miało na ich punkcie obsesje i wszystko inne było mu obojętne. Przed spotkaniem Collis zdjął koronkowe firanki, żeby rozjaśnić pomieszczenie, ale teraz samo złoto senatora Stride'a nadawało blasku światłu słonecznemu zza szyby.

Poseł Watkins pochylił się naprzód, a jego policzki zajaśniały złociście w świetle odbitych od monet promieni.

– Widzę, że możemy dobić targu, senatorze – powiedział.

Spoza zasłony dał się słyszeć jeszcze jeden głośny, natrętny pstryk.

Collis siedział w milczeniu, podczas gdy poseł Watkins zgarniał pieniądze i wkładał je do skórzanej sakiewki. Ale gdy tylko kongresman zaczął się podnosić z fotela, Collis rzekł cicho, ale zaczepnie: – No to jedna transakcja zawarta. A teraz co do drugiej... – O? – rzekł poseł Watkins ostrożnie. – Jakiej drugiej?

– No cóż – rzekł Collis – ja sam jeszcze nie dobiłem, z panem targu. A pozostaje nam jeszcze nie rozwiązana jak do tej pory kwestia zatwierdzenia przez Kongres trasy kolejowej1 Sierra Pacific. Kwestia ustawy o transkontynentalnych drogach żelaznych. Musimy to jeszcze przedyskutować.

– A co ma piernik do wiatraka? – rzekł Watkins, opierając się o stół przy wstawaniu. – Nie widzę powiązania. Uchodźcy polityczni i koleje transkontynentalne to dwa różne zagadnienia i nie mam zamiaru omawiać ich na tym samym posiedzeniu. Będę musiał teraz pana pożegnać.

– Niestety, myli się pan – rzekł Collis, tarasując drzwi przed obleczonym w trawiastą setkę brzuszyskiem Watkinsa. – Dzięki zdobyciom nauki i techniki, a także osiągnięciom współczesnej fotografiki uchodźcy polityczni i koleje transkontynentalne są nierozzerwalną częścią jednej i tej samej sekretnej umowy.

– Jakiej nowoczesnej fotografiki? O czym pan gada? Collis wyciągnął dłoń i odsłonił kotarę, gdzie ukryty za wielkim aparatem fotograficznym, mrugając oczami w blasku światła jak suseł odgrzebany w ciemnej norze, stał dyskretny dżentelmen z Dziewiętej Ulicy, w przyciemnionych okularach i z wypomadowanym na sztywno wąsem.

– Zrobiliśmy panu właśnie kilka bardzo interesujących fotografii, panie pośle Watkins.

Nadzwyczaj interesujących! Uwieczniliśmy pana, mianowicie, w momencie, gdy przyjmował pan pieniądze od senatora Stride'a, który – jak wszystkim ogólnie wiadomo – jest poszukiwanym przez wojsko i policję zbiegiem. I jeśli zależy panu na tym, by nie wpadły one w niepowołane ręce tych, którzy czyhają tylko, żeby zniszczyć pańską karierę, albo tych, którzy nie omieszkaliby wsadzić pana do ciupy za konszachty z nieprzyjacielem, to będzie pan musiał zaprzestać w stosunku do kolei Sierra Pacific destrukcyjnej działalności w Parlamencie i pouczyć swoich koleśków oraz zwolenników, by zrobili to samo.

– Zjeżdżaj stąd, ty gnido, i to już – rzekł dumnie Watkins. – Nie zastraszysz mnie.

– Nie? Naprawdę? A dlaczegożby nie? Czyżby tęsknił pan za samotną, więzienną celą? A może pańskie dobre imię i perspektywa dalszej znakomitej kariery politycznej to dla pana sprawy zupełnie obojętne?

Watkins zbliżył się do Collisa i dyszał mu prosto w twarz oddechem, w którym czuć było obiadowe brandy. Uniósł grubokościste, pękate łapsko i pchnął Collisa w klatkę piersiową.

– Nie zastraszysz mnie, bo gdybyś pokazał komu te zdjęcia, to i ty sam też musiałbyś się tłumaczyć, co robiłeś w towarzystwie zbiega i mordercy i dlaczego nie starałeś się go nawet zatrzymać. Tobie też grozić będzie więzienie i hańba.

Collis uśmiechnął się do niego wyrozumiale.

– Pan nie rozumie, panie pośle Watkins. Wysłałem już wcześniej mojego chińskiego pomocnika. Powinien tu być niedługo z powrotem w towarzystwie oficerów żandarmerii.

Senator Stride, który do tej pory siedział w swoim fotelu w milczeniu, teraz odwrócił się nagle w stronę Collisa i popatrzył na niego zaszokowany.

– To zasadzka! Zdradziecki podstęp! – wycedził. – Haniebnie oszukał pan moją córkę.

Collis zamyślił się na chwilę, a potem rzekł: – Dla pana to może być zdradziecki podstęp. Ale może słowo „zemsta” byłoby bardziej odpowiednie w tych okolicznościach.

– Mój Boże! Człowieku, ty nie masz zupełnie skrupułów – rzekł senator Stride. Powstał z fotela, z twarzą, na której malowała się rozterka, a potem włożył rękę pod płaszcz i wyjął stamtąd krótki rewolwer. Wymierzył w Collisa, nic nie mówiąc. Poseł Watkins odsunął się, przerażony, a zza kotary doszedł ich odgłos zbijanego szkła; to fotograf z Dziewiątej Ulicy upuścił soczewkę z aparatu.

– Ach, więc chce mnie pan zastrzelić – rzekł Collis nienaturalnie wysokim, drżącym dyszkantem, choć starał się za wszelką cenę zachować zimną krew. Miał wrażenie, że ktoś okręca mu szyję postronkiem. Nagle, z uczuciem ukłucia w sercu, uświadomił sobie szczegóły pokoju hotelowego, w którym się znajdował; zauważył poplamioną wilgocią tapetę, zakurzone rośliny, zabrudzone sadzą wiadro na węgiel przy kominku, i pomyślał: tutaj umrę.

Senator Stride trzymał wycelowany w Collisa rewolwer prawie przez minutę. Potem opuścił rękę. Collis patrzył na niego z niepokojem, niepewny, czy tamten nie zmieni jeszcze zdania.

– Powiniennem rozwalić ci łeb – powiedział senator Stride z żalem w głosie. – W końcu to wojna i miałbym do tego całkowite prawo. Ale nie zrobię tego. To byłoby niehonorowo.

– Niehonorowo? – spytał Collis.

– A tak, właśnie – rzekł senator Stride. – Jest to jedna z tych wartości, o które biją się konfederaci, i mam nadzieję, że to się nie zmieni. Galanteria, odwaga i honor. Cechy prawdziwego dżentelmena.

Przez chwilę w pokoju panowała absolutna cisza, a potem senator Stride ruszył z miejsca, wyminął bez słowa Collisa i posła Watkinsa, otworzył drzwi i wyszedł na klatkę schodową. I zanim którykolwiek z nich zdołał zareagować, stanął na szczycie schodów, wymierzył pistolet prosto w usta i wystrzelił. Rozległ się straszny, ogłuszający huk, od którego Collisowi zaczęło dzwonić w uszach. Potem senator odwrócił się, upadł i stoczył na drugie piętro głową w dół, z piętami w powietrzu. Chmura niebieskiego dymu zawisła nad górną balustradą, a rozbryzgana krew osiadła na poplamionej tapecie.

Poseł Watkins szcząkał zębami.

– Muszę stąd iść – powiedział. – Na Boga! Nie mogą mnie tu zastać.

Collis złapał go za rękaw tak gwałtownie, że aż zajęczał.

– Nie zapomnij pan o ustawie kolejowej, panie pośle?

Poseł Watkins odetchnął głęboko, a potem powiedział: – No dobrze. Nie będę jej więcej blokował. Ani ja, ani moi stronnicy. A ciebie i twoją duszę niech pochłonie ogień piekielny.

Miał już właśnie zamiar oddalić się czym prędzej, gdy Collis znowu chwycił go za ramię.

– A złoto, panie pośle? Ponieważ teraz, po śmierci senatora, nie będzie już pan miał żadnych wydatków, chyba te pieniądze panu niepotrzebne.

Poseł popatrzył na sakiewkę, a potem podał ją niechętnie Collisowi.

– Proszę odesłać sakiewkę do mojego biura, kiedy już zostanie opróżniona z pieniędzy – powiedział. – To prezent od mojej nieboszczki żony.

– Byłaby z pana bardzo dumna, gdyby wiedziała, jak się tu pan spisuje – rzekł Collis. – Te pieniądze wróca do córki senatora Stride’a. Nie zwróci jej to wprawdzie ojca, ale mojego też nikt ani nic mi już nie zwróci.

– Muszę już iść – rzekł poseł Watkins.

Collis patrzył, jak grubas schodzi spiesznie po schodach. Zewsząd dobiegał trzask otwieranych drzwi – to goście hotelowi wychylali głowy z pokoi, żeby zobaczyć, co się stało. Watkins musiał przepychać się obok nich, z kapeluszem nasuniętym na oczy, tak aby nikt nie mógł go rozpoznać. Waszyngton był miastem niewielkim, a politycy wszędzie byli dobrze znani.

Senator Stride leżał na podeście schodów, z twarzą skapaną w kałuży krwi. Żył jeszcze.

Oddychał ciężko i nierówno, a przez jego ciało przebiegały drgawki. Jakaś kobieta włożyła mu delikatnie do ust skrawek zmoczonego w brandy prześcieradła. Trudno powiedzieć, czy to mu przyniosło jakąś ulgę, czy nie, bo w dwie czy trzy minuty wydał z siebie ostatnie tchnienie.

Collis zamknął za sobą drzwi pokoju hotelowego i popatrzył na fotografa, który w pośpiechu pakował swój aparat i klisze. Fotograf rzucił mu nerwowe, rozpaczliwe spojrzenie, a potem skoncentrował się na upychaniu sprzętu w polerowanym dębowym pudle.

Collis podszedł do okna, przesłonił dłonią oczy od słońca, a potem popatrzył w dół, na ulicę. Czuł się wyczerpany, jakby dopiero co wziął udział w wielogodzinnym, morderczym maratonie.

– To ja już sobie pójdę, Mr Edmonds – rzekł fotograf. – Wyślę panu zdjęcia jutro rano.

– Dobrze – odparł Collis. A potem jeszcze łagodniej dorzucił: – Dobrze.

*

– Teodor wpadł w istny szal, kiedy dowiedział się, co się stało. Przyszedł na spotkanie z Collisem w barze hotelu Emmett House, na Pennsylvania Avenue, pomiędzy ulicami Siódmą i Ósmą, jeszcze bardziej znękany niż zazwyczaj, z odwiązanym krawatem zwisającym luźno wokół szyi i wyłogami marynarki na lewej stronie.

– Teo – rzekł Collis z przesadną troską. – Ta sprawa kolei kompletnie cię wykańcza.

Napij się czegoś, od razu poczujesz się lepiej.

– Nie chcę pić i nie potrzebuję twojego współczucia – zasyczał Teo. – Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Ani z tobą, ani z resztą tych, pożałuj Boże, dyrektorów waszej kolejowej spółki. Nie chce mieć nic wspólnego z tą bandą pazernych oszustów i złodziei.

Collis, uniósł dłoń, by zwrócić na siebie uwagę barmana, I Potem przeniósł wzrok na Teodora i w tym właśnie momencie' i jaskrawe promienie słońca wpadły do środka przez żółte szybki hotelowych okien, a kłęby dymu z cygara, które wirowały wokół głowy Collisa, zabłyśły niczym diabelski krąg.

– Odkąd zacząłem się zajmować koleją Sierra Pacific, ciągle tylko słyszę gadanie na temat honoru i prawości moralnej – rzekł Collis łagodnie. – Ale bez nacisków, bez podstępów, bez uciekania się do wszelkich możliwych wybiegów nasza wspaniała, legendarna kolej pozostanie na zawsze w sferze marzeń. Nigdy o tym nie zapominaj, Teo.

Barman postawił przed Teodorem whisky. Teodor spojrzął na kieliszek; rzucił na ladę dolara, a potem sztywno wyszedł z baru.

*

W ciągu kilku następnych tygodni podczas negocjacji na szczeblu parlamentarnym, Collis i Teodor byli prawie nie – ; rozłączni. W salach obrad, w apartamentach hotelowych, w restauracjach, nawet na pokładzie statku marynarki wojennej, przycumowanego na rzece Potomac, siedzieli ramię przy ramieniu i walczyli o swoją kolej zgodnie i żarliwie. Dopiero u schyłku dnia, po pracy, gdy z popielniczek w zadymionych pokojach usunięto stopy rozgniecionych niedopałków z cygar i pozbierano ze stołów wszystkie dokumenty, Teodor wracał natychmiast do swojego hotelu, nie zamieniając z Collisem ani słowa, a Collis szedł na kolację z takim czy innym kongresmanem albo do swojego mieszkania na Connecticut Avenue.

Otrzymanie zezwolenia na budowę kolei Sierra Pacific było teraz dla nich obydwu najbardziej palącą potrzebą. Ale obydwaj również dobrze wiedzieli, że gdy tylko zdobędą to, po co tu przyjechali, Teodor będzie się starał za wszelką cenę wykupić cały udział w przedsiębiorstwie i wykluczyć zeń Collisa i jego współników. Teodor pragnął, aby ta kolej stała się dla przyszłych pokoleń pomnikiem współczesnej myśli naukowej i technicznej.

Collisowi i Lelandowi przypisywał jedynie chciwość, prywatę oraz bezlitosną wzgardę dla wszelkich ludzkich uczuć.

I tak, pod koniec czerwca, kiedy Armia Potomac nadal usiłowała wdrzeć się w głąb Wirginii, podstawowe warunki ustawy o kolei transkontynentalnej zostały wreszcie uzgodnione. Wszyscy kongresmani, którzy przyczynili się do podjęcia tej uchwały, zostali szczerze wynagrodzeni: otrzymali udział w przyszłych zyskach z eksploatacji drogi żelaznej w postaci obligacji kolejowych, a Thaddeus Stevens, poseł z Pensylwanii, jeden z największych potentatów przemysłowych w Ameryce, właściciel licznych zakładów metalurgicznych, nalegał, aby przy budowie kolei używano tylko i wyłącznie materiałów z krajowych hut żelaza i stali.

Ustawa o transkontynentalnej kolei Pacific przyznała przedsiębiorstwu Sierra Pacific dziesięć mil ziemi, w oddzielnych odcinkach, po obu stronach wyznaczonej trasy, za każdą ułożoną milę torów. Na dodatek – o co zawzięcie walczył Collis – przedsiębiorstwo miało otrzymać od rządu pożyczkę w wysokości 16 tysięcy dolarów za każdą milę torów biegnącą przez równiny oraz 32 tysiące dolarów za każdą milę w Wielkim Basenie i aż 48 tysięcy dolarów za taki sam odcinek przeprowadzony przez Sierra Nevada 1 lipca 1862 roku, w brzydki, ponury dzień, Armia Potomac zaczęła wycofywać się z Wirginii po bitwie pod Malvern Hill. Powietrze przesiąknięte było wilgocią, a od zachodu zbierały się czarne deszczowe chmurzyska, które zwiastowały burzę. Tego właśnie popołudnia Collis otrzymał w swoim wynajętym apartamencie wiadomość, że prezydent Lincoln podpisał ustawę o transkontynentalnej kolei Pacific.

Po odejściu gońca Collis zawołał Kwang Lee i kazał przynieść sobie drinka. Kwang Lee wszedł, niosąc na maleńkiej tacy whisky. Ubrany był w elegancki szary frak i świeżuteńką białą koszulę.

– No, no! Ale się wystroiłeś! – rzekł Collis, biorąc od niego drinka.

– Tak, proszę pana. Słyszałem o kolei. Dobra wiadomość, no nie? Proszę przyjąć moje gratulacje.

– Dziękuję, Lee – powiedział Collis i wypił duszkiem swoją whisky.

Potem siedział w swoim fotelu jeszcze prawie godzinę, nie ruszając się z miejsca. Na zewnątrz wypogodziło się i przestało padać; z ulicy dobiegał go zgrzyt sunących ulicami wozów pancernych, naładowanych bronią. Była dopiero piąta i na dworze było jeszcze całkiem widno, a krople deszczu, które przylepiały się do okna, zamigotały tak jak niegdyś w hotelu Monument, tak dawno, dawno temu. Tak dawno, że Collis nie mógł już nawet zliczyć wszystkich tych minionych lat.

*

W dwa dni później w Sacramento Hanna wyszła z domu krótko po zachodzie słońca i podeszła do frontowej bramy, przy której Juno, ich czarny służący, czekał cierpliwie z powozem. Wieczór był ciepły i mglisty, typowy dla Zachodu, a konie niecierpliwiły się w zaprzęgu.

Hanna wsiadła do powozu i wzięła lejce w dłonie.

– Powinnam wrócić niezadługo, Juno – powiedziała. – Może za jakąś godzinę albo dwie. Jadę do Mrs Weiss na kolację.

– Dobrze, p'sze pani – rzekł Juno. – Proszę na siebie uważać.

Hanna cmoknęła na konie, a one ruszyły truchtem naprzód. Jechała wartko w stronę śródmieścia Sacramento, w kierunku domu Mrs Weiss na J Street. Ale gdy tylko powóz zniknął Junowi z oczu w szarówce wieczoru, zawróciła i skierowała się na skrzyżowanie ulic Ósmej i L.

Czuła, że znowu zapiera jej dech w piersiach, tak jak za pierwszym razem, kiedy jechała z wizytą do Mrs Pangborn. Mimo to i wbrew natrętnym wyrzutom sumienia przekonana była, że podjęła słuszną decyzję. Nawet myśl o tym, że sprzeniewierzyła się własnej religii nie była w stanie odwieść jej od tego zamiaru.

Jadąc po L Street, zastanawiała się, czy ta jej dawna religijność nie była po prostu namiastką prawdziwej miłości. Więc to naprawdę był tylko fałsz? Te wszystkie modlitwy do Świętej Dziewicy – czy to były tylko puste słowa? Jak ją teraz ocenia Bóg? Jak zbłąkaną owieczkę, której będzie mógł przebaczyć i którą wspaniałomyślnie przygarnie w swoje ramiona? Czy jako duszę przekłątą, grzesznicę, która złamała zarówno piąte, jak i szóste przykazanie, skazaną nieodwołalnie na wieczne potępienie?

Spojrzała w górę, ponad rzędami dachów drewnianych domków, na jaśniejące w granacie nieba gwiazdy. Zadrżała. Może po prostu robiło się już chłodniej. Może napawała ją lekko myśl o błyszczących instrumentach Mrs Pangborn.

A może wzburzył ją widok samych gwiazd, które zwieszały się nad nią wyniośle – niebosięzne niczym oskarżycielscy świadkowie jej grzechu.

– Przebacz mi – wyszeptała, ale sama czuła, że jej modlitwa zabrzmiała fałszywie. Jeden z koni kłapał uszami.

W dzień ślubu obiecała Collisowi, że ich pierwszym dzieckiem będzie kolej. Dotrzyma tego przyrzeczenia. Collis przecież żył tylko tym; tylko tym oddychał i tylko o tym snił. Tyrał w sklepie żelaznym, żeby zarobić więcej pieniędzy na kolej. Nie brał do ręki żadnej innej książki, żadnej innej broszury – tylko te, które dotyczyły żelaza i stali, wiaduktów oraz lokomotyw. Gdyby dziecko przyszło na świat, zanim zostanie podpisana ustawa o kolei, to Collis w ogóle by się nim nie cieszył. Przeciwnie. Na pewno uznałby je za kulę u nogi.

Stanowiłoby tylko przeszkodę w realizacji jego zamierzeń. Przynajmniej Hannie tak się zdawało i nie mogła znieść tej myśli. Chciała, żeby ich pierwsze dziecko było dla Collisa całym światem.

W ubiegłym roku zaszła w ciążę w kwietniu, w miesiącu, w którym wybuchła wojna.

Najpierw postanowiła utrzymać ciążę, ale w lipcu zmieniła zdanie. Ślimacze postępy ustawy kolejowej doprowadzały Collisa do szału. Chodził jak struty i pisał do Teodora, który przebywał w Waszyngtonie, wściekle listy, gryząc się finansami, zaprzątnięty bez reszty sprawami przedsiębiorstwa Sierra Pacific. Hanna natomiast przechodziła w milczeniu istną gehennę. Będę musiała zabić mojego dzieciaczka, pomyślała pewnego słonecznego poranka w połowie lipca. Lepiej, żeby maleństwo wróciło do nieba i spędziło wieczność w niewinnej radości, niż żeby urodziło się w świecie, w którym ojciec przedkładałby dobro swego przedsiębiorstwa kolejowego nad dobro własnego pierwородnego synka.

Akurat zgadła się z hardą, zylastą, niską kobietą, która sprzątała kościół w każdy poniedziałek. Stały w upalnym słońcu na cmentarnej alei, wśród rzędów drewnianych tabliczek nagrobnych. To właśnie ta kobieta poleciła Hannie Mrs Pangborn, która często wykonywała tego typu „drobne zabiegi”, kiedy któraś z jej dziewcząt znalazła się w kłopotcie.

W dzień później Collis wrócił do domu z 54 K Street dopiero późnym wieczorem, bo musiał przedyskutować coś z Lelandem, a Hanna w tym czasie wsiadła do powozu i pojechała samotnie na róg ulic Ósmej i L, dokładnie tak jak dziś.

Collis nigdy się o tym nie dowiedział. Ani też, zapewniała siebie w myślach Hanna, nigdy się o tym nie dowie w przyszłości.

Dotarła na róg Dziewiątej Ulicy o zmroku, tak żeby nie można było rozpoznać z okien lupanaru jej powozu. Z wnętrza płynęły dyskretne, ledwie słyszalne dźwięki melodii „Czerwone i białe róże”. Z twarzą ukrytą pod gęstą siatką woalki, otulona w czarny płaszcz, którego poły rozwiewał wiatr, Hanna przeszła na drugą stronę zakurzonej ulicy, podeszła do drzwi frontowych kamienicy Mrs Pangborn i zapukała.

Jedna z dziewcząt Mrs Pangborn wpuściła ją do środka – blondynka z kręconymi włosami, o upudrowanych różem policzkach i tłusciutkich pośladkach. Hanna była przekonana, że już ją gdzieś widziała. Tak, na pewno! W ciastkarni Oppenheimera. Musiała tam pracować w ciągu dnia. Serwować ciastka w dzień, a puszczać się w nocy – to dopiero niesamowity sposób zarabiania na życie! Pokój wyłożony był tapetą w czerwone chryzantemy, a w przedpokoju unosił się zapach perfum i tytoniu. Ogarnęło ją przerażenie.

Mrs Pangborn czekała już w salonie. Był to mały zatęchły pokój, w którym znajdowała się wielka serwantka, regał pełen książek pornograficznych z zagiętymi rogami oraz wysoki porcelanowy Dalmatyńczyk z obłupanym uchem. Rozstawiono długi, mahoniowy, rozkładany stół, a Mrs Pangborn przykryła go białym prześcieradłem. Na komodzie stała porcelanowa miska z wodą, a obok niej przyrządy chirurgiczne, ręczniki i bandaże.

– No co, kochaniuśka – rzekła Mrs Pangborn. – Znowu masz kłopot, tak?

Nie było w jej głosie ani wymówki, ani zdziwienia. Ksiądz mógłby nie dać Hannie rozgrzeszenia na spowiedzi, ale Mrs Pangborn, drobna kobietka o twarzy upudrowanej na różowo, ostrych rysach bobra i rudych, upiętych w loczki włosach, spod których zwisały ciężkie brylantowe kolczyki, była osobą wyrozumiałą i tolerancyjną. Parała się pokątną ginekologią od lat i para rozkraczonych nóg nie była dla niej żadną nowością. Podczas gdy Hanna stała jeszcze ciągle w drzwiach, Mrs Pangborn włożyła na siebie kwiecisty fartuch i uśmiechnęła się do niej krzepiąco.

– Ostatnim razem wszystko dobrze poszło, co? – spytała. – Bez problemów, bez komplikacji? No to i dzisiaj też tak będzie.

Hanna poczuła dziwną słabość, jakby zapadała właśnie w sen. Ale uznała słowa Mrs Pangborn za znak do rozpoczęcia zabiegu, więc zdjęła płaszcz i położyła go na oparciu sofy.

Potem odwróciła się w stronę Mrs Pangborn, a ta zręcznie odpięła jej suknię.

W parę minut później Hanna leżała na stole operacyjnym, w niewygodnej pozycji, z poduszką pod głową dla podpórki, z uniesioną wysoko halką, rozstawiając szeroko uda, aby ułatwić Mrs

Pangborn pracę. Mrs Pangborn umyła ręce i przystawiła bliżej lampę naftową, ponieważ było jej za ciemno.

– Napiłaby się pani czegoś? – spytała Hannę. – Mam buteleczkę brandy w kredensie.

Hanna pokręciła głową.

– Nie, nie, proszę... proszę sobie nie przeszkadzać.

Mrs Pangborn sięgnęła po swoje przyrządy, a Hanna położyła głowę na poduszce i zamknęła oczy. To już ostatni raz, dobry Boże. Przysięgam, że to się więcej nie powtórzy. Po wejściu w życie ustawy o kolejach Collis będzie spokojniejszy i będziemy mogli pomyśleć o założeniu rodziny. Następnym razem, kiedy zajdę w ciążę, nic nie będzie tak ważne dla Collisa jak jego pierwsze dziecko.

Mrs Pangborn wyczuła ręką macicę, a Hanna wydała z siebie okrzyk bólu: „Aaa!” – No już, no już. To nic wielkiego – usłyszała kojący głos Mrs Pangborn. – Nic wielkiego. Wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Potem Mrs Pangborn pochyliła się nad Hanną i powiedziała głośno: – Nawet się, kochaniutka, nie obejrzysz i będzie po wszystkim.

Hanna popatrzyła na tandetną litografię na jednej ze ścian burdelu Mrs Pangborn. Widniała na niej postać srogiego Indianina, który spoglądał na Szlak Mariposa w Yosemite. Pomyślała, że jeszcze nigdy w życiu nie widziała Indianina. Jakie to dziwne – mieszkała tu, na Zachodzie, już od tylu lat – a jeszcze nigdy nie widziała Indianina.

Pomyślała też o Collisie i starała się wyobrazić sobie w myślach jego twarz. Mój kochany Collis, pomyślała, a oczy jej zaszyły łzami.

– No co, kochaniutka? Zabolało? Uraziłam cię niechcący, tak? – zapytała Mrs Pangborn.

– Nie, nie – wyszeptała Hanna. – Nic mnie nie boli. Zupełnie nic.

Listy minęły się w Panama City. List Collisa dotarł właśnie nad Pacyfik pociągiem z Aspinwall, a list pisany przez Jane McCormick przyplłynął do Panamy na parowcu „Icarus” firmy Pacific Mail.

List Collisa donosił:

Wspaniała nowina! Dzisiaj prezydent Lincoln podpisał w końcu ustawę kolejową i przyznano nam prawie wszystkie subwencje, na które liczyłem. Nie potrafię nawet wyrazić słowami, jak bardzo się cieszę, chociaż z drugiej strony, po tych długich latach walki i zwątpienia, nie mogę jakoś skakać do góry z radości. Jestem raczej trochę przygaszony. Wybieramy się teraz z Teodorem do Nowego Jorku, gdzie złożymy zamówienie na tory i cały sprzęt. Zarejestrujemy również Sierra Pacific jako przedsiębiorstwo nowojorskie, żeby zdobyć w ten sposób dodatkowe fundusze.

Powinienem wrócić do Sacramento nie później niż we wrześniu, więc głowa do góry!

A Jane McCormick pisała:

Z przykrością pragnę donieść o tragicznej nowinie. Dziś, późnym wieczorem, po całodziennych poszukiwaniach służba i znajomi znaleźli ciało Mrs Edmonds w powozie na rogatkach miasta. Wczoraj wieczorem Mrs Edmonds wyjechała powozem do Mrs Weiss na kolację. Ponieważ nie wracała długo do domu, o pomocy państwa służący, Juno, zaalarmował sąsiadów, którzy natychmiast wszczęli poszukiwania. Mrs Weiss nie widziała się z Mrs Edmonds ani też nie była z nią umówiona na spotkanie.

Dr Gizzard dokonał już sekcji zwłok i jest zdania, że poroniła, i w rezultacie zmarła z upływu krwi.

Powrót do Nowego Jorku, po długich latach spędzonych w Kalifornii, był dla Collisa wzruszającym, ale i nieoczekiwanie bolesnym doświadczeniem. Parowiec turbinowy „Adriane” pruł we mgle przez spienione fale w stronę nowojorskiej przystani, a Collis ujrzał dachy domów i iglice kościołów wokół Battery Park. Odwrócił się z bijącym sercem i przeszedł po pokładzie, a Kwang Lee posuwał się o parę kroków za nim.

Collis podszedł do Teodora, który opierał się o balustradę, wpatrzony w Governors Island.

– Cieszysz się, że jesteś znowu w Nowym Jorku? – spytał Collis Teodora.

Teodor wzruszył ramionami.

– Ty sam też nie jesteś w siódmym niebie, z tego co widzę.

– To właśnie tutaj, mniej więcej w tej odległości od portu, zobaczyłem Hannę po raz pierwszy – rzekł Collis. – Zanim ją poznałem, nie miałem po co żyć. Nie miałem żadnego celu, niczego nie dokonałem i z niczego nie mogłem być dumny.

– więc co się zmieniło? – spytał Teodor lodowato. Collis stanął przy nim, patrząc na niego z żalem w oczach.

– Naprawdę tak mnie nienawidzisz? – zapytał. – W końcu osiągnęliśmy wszystko, czego pragnęliśmy. Ty, w każdym razie na pewno zrealizowałeś wszystkie swoje marzenia.

Jak tylko zbierzemy wystarczającą ilość żelaza i stali, możemy zabrać się do budowy kolei.

– I po jaką cholere? Owszem, chciałem wybudować kolej, ale nie za taką cenę.

Wreszcie statek przycumował w porcie. Odebrali bagaże i pojechali fiakrem do hotelu St Nicholas, na rogu Spring Street i Broadwayu. Collis nie odzywał się podczas jazdy, tylko patrzył przez okno na umykające przed oczami ulice.

Nie spodziewał się, że Nowy Jork zmieni się aż do tego stopnia, ale czas i wojna zrobiły swoje. A może zresztą zawodziła go już pamięć? Zdawało mu się, że na ulicach panuje jeszcze większy tłok, a ścieki zapchane są jeszcze bardziej cuchnącymi odpadkami. Budynek robiły wrażenie uboższych, jakby podupadły od czasu jego wyjazdu, choć z drugiej strony powstało wiele nowych barów i hoteli, a niedaleko hotelu St Nicholas znajdował się wspaniały nowoczesny dom towarowy. Gdyby

Collis wybrał się na przedmieście, zobaczyłby jeszcze więcej zmian. Dzielnice mieszkalne od strony wschodniej rozciągały się teraz aż po Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicę, a część garncarskiego rynku na Park Avenue, pomiędzy ulicami Czterdziestą, Dziewiątą i Pięćdziesiątą, została oddana pod budowę szpitala kobiecego. Później będzie się – tam mieścił hotel Waldorf–Astoria.

Jedynym wolnym apartamentem w St Nicholas – o ironio losu! – był apartament dla nowożeńców na drugim piętrze. Collisa bawiła ta sytuacja, więc wynajął go, choć cena była bardzo wysoka, i tak naprawdę nie było ich stać na takie luksusy.

– Czyż to nie wspaniały zbieg okoliczności, Teo? Tylko los potrafi się zdobyć na taką złośliwość! – zauważył, gdy wprowadzono ich na górę. – Wkrótce czeka nas rozwód, ale musimy przedtem zakosztować rozkoszy ślubnej alkowy.

Teo skrzywił się z niesmakiem, ale nic nie odpowiedział. Portier otworzył przed nimi drzwi, więc weszli do środka. Nic dziwnego, że był to najsłynniejszy apartament w całym mieście. „Putnam’s Monthly” nazywał go „skandalicznie przebogaty” i donosił, że „nieśmiałe panny młode stają podobno jak wryte na widok takiego przepychu”.

W sypialni stało masywne łóże palisandrowe, wyściełane białymi koronkami i satyną, zarzucone satynowymi poduszkami i ozdobione u góry białym satynowym baldachimem.

Nawet ściany apartamentu wyłożone były satyną, a rzeźbione meble w stylu francuskim suto pozłacane. Z sufitu zwieszały się cztery kryształowe żyrandole, ścieląc swoje migotliwe światło na białych satynowych draperiach.

Na odchodnym portier wyrecytował grzecznościową formułkę: – Życzę panom przyjemnego pobytu w gościnnych progach naszego hotelu.

Collis dał mu hojny napiwek i uśmiechnął się zawadiacko.

– Wygląda na to, że będziemy musieli spać w jednym łóżku – burknął Teodor niechętnie.

Collis usiadł na skraju satynowej narzuty i odsznurował buty.

– Hmm, wiesz, jak to się mówi – uśmiechnął się w odpowiedzi. – Czasami wspólna łóżnica to zło konieczne.

– Mam zadzwonić po drinki, czy sam to zrobisz? – spytał Teodor. – Chce mi się pić.

Mógłbym wypić całą East River.

– Szampana?

– Czemu nie? Trzeba chyba oblać ten nasz rozwód, prawda?

Collis nacisnął guzik mechanicznego nadajnika, który przesłał metalowy krążek oznaczony „Usługi hotelowe – apartament nowożeńców”, do biura na pierwszym piętrze.

– Dziwi mnie, że nie wstawili do pokoju kwiatów – zauważył. – Powinni, nie uważasz, dla szczęśliwej, gruchającej parki, takiej jak właśnie my?

Ktoś zapukał do drzwi.

– Ale się prędko uwinęli – rzekł Collis do Teodora. – Odzwyczailem się od takiego tempa. Chyba jednak w Sacramento życie toczy się dużo wolniej.

Podszedł do drzwi po srebrnoszarym dywanie.

Ale to nie były usługi hotelowe, tylko goniec z urzędu łączności z depeszą. Zasalutował i przeprosił, że wiadomość nie czekała na Mr Edmondsa w hotelu od razu po jego przyjeździe, ale rebelianci uszkodzili linie telegraficzne z Waszyngtonu i właśnie dopiero co je naprawiono.

Collis wziął telegram, zasalutował chłopakowi w odpowiedzi i dał mu dwa miedziaki.

Potem wrócił w głąb pokoju, rozdzierając kopertę kciukiem.

Wiadomość była od pułkownika Merritta „Kostki” Bonhama, który niechcący otworzył list zaadresowany do Collisa i wysłał go również natychmiast do Nowego Jorku. Ale nadawca telegramu sądził, że ze względu na stan wojenny mogą być opóźnienia na poczcie, wobec czego postanowił wysłać dodatkowo tę depeszę. Po tym rozwlekłym wstępie telegram donosił: „Pana żona nie żyje”.

Teodor zmarszczył brwi.

– Collis? – zapytał. – Collis? Co ci jest?

Collis osunął się na krzesło. Czuł się, jakby dostał obuchem w głowę. Zakrył twarz dłońmi, a potem znowu położył ręce na kolanach. Łzy spływały mu po twarzy, choć sam nawet o tym nie wiedział.

Hanna nie żyje. Hanna? Nie mógł uwierzyć. A jednak było to napisane czarno na białym w telegramie, a później jeszcze przyjdzie list z potwierdzeniem tej okropnej wiadomości.

Odwrócił się w stronę Teodora, a cały ślubny apartament rozmazywał mu się przed oczami w satynową, łzawą plamę, rozcieńczoną w mglistym blasku słonecznego światła.

– Hanna nie żyje – powiedział nie do Teodora, tylko sam do siebie.

Teodor podszedł bliżej i wyjął mu z ręki telegram. Przeczytał go i powiedział: – Mój Boże, Collis. Mój Boże, to straszne. Collis potrząsnął głową.

– Nie mogę w to uwierzyć. Nie piszą nawet dlaczego.

Teodor położył ręce na ramionach Collisa.

– Chcesz wrócić do Sacramento? Zarezerwuję ci miejsce na parowcu.

– A po co? Zanim list dotarł do Waszyngtonu, musiał upłynąć już i tak prawie miesiąc, a ja też pewnie znalazłbym się w Sacramento dopiero za jakieś cztery czy pięć tygodni.

Pochowali ją już do tej pory, Teo, a grób może poczekać.

– Ach, tak – odparł Teodor. – Z praktycznego punktu : widzenia masz rzeczywiście rację.

– Z praktycznego punktu widzenia!? – wrzasnął Collis ochryple. – Nie ma tam już nic oprócz grobu. Dlatego wolę nie wracać. Nie ma już Hanny. Nie ma mojej żony. Tylko kopczyk na miejscowym cmentarzu, z tabliczką nagrobną. Chciałoby ci się wracać, gdyby nic więcej nie pozostało po Annie?

– Collis, nie chciałem... – Nie wiem, czego chciałeś! – krzyknął Collis. – Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

Ale czas, żeby ktoś ci wreszcie powiedział, że nie jesteś wyrocznią w sprawach prawości, moralności i ludzkich cnót. Czas, żeby ci ktoś wreszcie powiedział, że to twoje marzenie to nie jakaś nadprzyrodzona świętość! To coś o wiele ważniejszego, bo z takich właśnie marzeń wyrosnie przyszłość tego kraju! To zwykła, surowa konieczność! Nie staraj się stawiać go na piedestale, bo zabierzesz mu tym samym jego żywotność. Moralność to nie górnolotne marzenia, Teo, tylko konkretna akcja, działanie. Temu krajowi potrzebne są drogi żelazne po to, żeby mógł się rozwijać, i po to, żeby ludzie nie umierali na próżno od zarazy, a nie dlatego żeby jakiś świętoszkowaty inżynier mógł popisać się przed całym światem swoją inteligencją.

– Przepraszam – rzekł Teo, zaciskając wargi.

– Na miłość boską! – powiedział Collis, nadal pełen goryczy i żalu, a potem zauważył, że nic więcej nie może już z siebie wydusić. Ukrył twarz w dłoniach i zaszlochał; w piersiach czuł przygniatający ból, a lzy dławiły go w gardle. Teodor nie wiedział, jak się zachować, więc tylko stał obok niego w milczeniu.

Trochę później, gdy zabrakło mu już łez, Collis wyjął chusteczkę i wytarł nos. Ktoś znowu zapukał do drzwi i tym razem otworzył je Teodor.

– To usługi hotelowe – powiedział. – Dalej chcesz tego szampana?

– A czemu nie? – rzekł Collis, choć słowa więzły mu w krtani.

– Dwie butelki szampana, dobrze? Tylko migiem. Pospiesz się – powiedział Teodor do chłopaka.

Potem zamknął bezszelestnie drzwi i stanął nieruchomo w absurdalnej, niebiańskiej białości alkowy ślubnej hotelu St Nicholas: Teodor był ciężki, otyły, niechlujny i zbyt przybity, by wydobyć z siebie chociaż jedno słowo, które pocieszyłoby jakoś Collisa.

Po pewnym czasie usiadł ze zwieszoną głową, założył ręce na brzuchu i pograżył się we własnych myślach, stęskniony za Sacramento.

*

Początkowo uczucie boleści, które ogarnęło Collisa po śmierci Hanny, było jak rozbita i zdeptana fotografia w szklanej oprawie; czuł się zdruzgotany, ale jednocześnie nie był w stanie uświadomić

sobie w pełni, że naprawdę nie ma jej już wśród żywych. Nie był przecież przy jej śmierci ani nie widział ciała. Przypominał sobie, jak wsiadała do powozu na przystani na Front Street, pod cytrynowożółtą parasolką, unosząc dłoń w smutnym, pożegnalnym geście.

Dopiero gdy zmniejszył się uśmierający efekt czterech butelek szampana, zaczął rozumieć, że złamana ramka była teraz pusta, a fotografia zabrana na zawsze. Choćby przemierzył świat, żeby ją odszukać, choćby spędził resztę swego życia na poszukiwaniach, nigdy już nie odnajdzie Hanny.

Przez pierwszy dzień szalał z rozpacz do tego stopnia, że Teodor wolał trzymać się od niego z daleka. Poszedł piechotą przez miasto, na brzeg East River, i siedział przez całą godzinę na trawiastym pagórku, u wylotu Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy, paląc cygara i wpatrując się w kutry rybackie i statki parowe na Whithall.

Zaraz po czwartej po południu Collis wynajął dorożkę i pojechał na Washington Square w odwiedziny do Henry Browne'a. Miał ochotę porozmawiać z kimś bliskim, z kimś, kto zgodziłby się go wysłuchać, kto by go pożałował i pomógł choć na chwilę utulić ból po śmierci Hanny. Kazał dorożkarzowi poczekać na siebie, a sam wszedł po schodach rezydencji Henry'ego, zbudowanej w stylu greckiego renesansu, i zapukał w drzwi.

Czekał prawie minutę, aż wreszcie ktoś podszedł do drzwi i uchylił je zaledwie na cztery cale; z wnętrza domu wyłoniła się chuda, ziemista, podejrzliwa twarz, a kwaśny głos zapytał: – O co chodzi?

Collis uchylił cylindra.

– Chciałbym się zobaczyć z Mr Henry Browne'em. Czy dalej tu mieszka?

– Tak. A kim pan jest?

– Jestem jego starym przyjacielem. Nazywam się Collis Edmonds. Czy zastałem go w domu?

– Tak. Mr Browne nigdzie nie wychodzi. Zapanowało niezręczne milczenie.

– No to dobrze – rzekł Collis. – Proszę więc mu powiedzieć, że tu jestem, z łaski swojej.

– Czemu nie. Ale to się na nic nie zda.

– Jak to?

Odźwierny zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

– Jest pan jego przyjacielem, mówi pan?

– Tak. Spotykaliśmy się kiedyś często z Mr Browne'em w Gem Saloon. Chodziliśmy razem na drinki.

– A, no to co innego.

– A co to za różnica? – spytał Collis zupełnie zbity z tropu.

– No bo w takim razie mogę panu powiedzieć, co się przydarzyło panu Browne’owi.

Może pan wejdzie na chwilę, proszę.

– Dziękuję.

Drzwi się otworzyły i bardzo wysoki, pająkowaty mężczyzna w zakurzonej czarnej surducie i zielonej satynowej kamizelce, która wyglądała, jakby ją używano do czyszczenia srebra, wprowadził Collisa do przedpokoju. Panował w nim straszny zaduch, połączony z wonią arniki i maści leczniczych. Szpitalny zapach. Zapach, który przywodził na myśl choroby i ambulatoria.

– Nazywam się Whitworth – rzekł mężczyzna, wprowadzając Collisa do salonu. – Jestem pielęgniarzem. Opiekuję się Mr Browne’em.

– A co? Nie czuje się dobrze? – spytał Collis.

Mr Whitworth zawahał się i wlepił w Collisa swoje wilgotne niebieskie oczy.

– Można by to i tak ująć – zauważył po długim namyśle. – Rzeczywiście tak by to można było ująć.

Widok Henry Browne’a zaskoczył Collisa całkowicie. Henry siedział pośrodku salonu na wózku inwalidzkim i zdawał się pogrążony we śnie. Pokój nic się nie zmienił od czasu ostatniej wizyty Collisa. Tak jak dawniej stały tu karafki z rytego szkła, słoiki z tytoniem i wieszaki na fajki, ale widać było, że od dawna nikt ich nie używał. Wszystko, oprócz niewielkiego stoliczka, który stał przy wózku Henry Browne’a, pokrywała cienka warstwa kurzu. Stoliczek zarzucony był fiołkami, ampułkami, strzykawkami, tabletkami w papierowych torebkach, kroplami do oczu oraz słoikami pełnymi przeróżnych maści.

– Henry? – rzekł Collis delikatnie. Nie było odpowiedzi. Wypowiedziane przez Collisa imię opadło w półmrok salonu niczym ptak, który przysiadł na drutach telegraficznych.

– Całkiem możliwe, że pana słyszy, ale ma... no cóż... ma bardzo ograniczoną zdolność mówienia.

Collis niespiesznie okrążył fotel swego przyjaciela i powoli zorientował się, jaki tragiczny los przypadł mu w udziale. Połowa jego twarzy, której Collis nie był w stanie dojrzeć stojąc w drzwiach, była kompletnie zmasakrowana. Nie było policzka, tylko gołe zęby, wystające ze zdeformowanej masy mięsa. Prawe oko wзираło z oczodołu, mleczone i niewidzące. Nie było po tej stronie głowy włosów, a z ucha został tylko kawałek chrząstki.

Mr Whitworth przyglądał się Collisowi z uwagą. Potem otworzył owalne pudełko, wyjął szczyptę tytoniu i wepchnął ją głęboko w lewą dziurkę od nosa.

– Koszmar wojny – powiedział ostrym, nienaturalnym głosem.

Collis nic nie odpowiedział. Cóż mógł na to poradzić? Stał nieruchomo i wpatrywał się w groteskową ruinę, która kiedyś była jego kompanem do wypitki i do wybitki, jego najlepszym przyjacielem. Przypomniał sobie tę noc, kiedy nawiewali razem przez Bowery. Pamiętał beztrudne hulanki, brewerie i hece. Pamiętał Henry Browne’a.

Mr Whitworth wytarł głośno nos i obejrzał dokładnie chusteczkę.

– Mr Browne bezzwłocznie odpowiedział na wezwanie do broni – powiedział. – Pojechał prosto do Waszyngtonu, by wstąpić do Armii Potomac, i otrzymał stopień porucznika. Tak mi przynajmniej mówiono. Ja zostałem zatrudniony tylko po to, żeby się nim opiekować. Otrzymuję wynagrodzenie z odsetek jego prywatnego kapitału oraz nieruchomości.

– Ale jak to się stało? – dopytywał się Collis.

– A jak pan myśli? Zresztą, czy to on jeden? Dużo takich. Jeśli mają szczęście, to umierają od razu. On został ranny pod Manassas Junction, pod Bull Run. Konfederacki granat wybuchł obok i wyrwał mu połowę twarzy. Nie wiem nawet, czy rozumie nadal po angielsku.

Nigdy nic nie mówi.

Collis odczekał parę minut, a potem zwrócił się do Mr Whitwortha: – Chyba nic tu po mnie, prawda?

– Chyba nie – odparł Mr Whitworth.

Collis przetarł oczy. Wydawało mu się, że przez cały tydzień nie zmrużył oka. Wycofał się z salonu, a Mr Whitworth człapał krok w krok za nim. Potem wyszedł przed drzwi frontowe na ulicę.

– Nie ma problemów, jeśli chodzi o finanse, prawda? – spytał Mr Withwortha.

– Oj, nie – odparł Mr Whitworth. – Doktor jest zdania, że nie przeżyje więcej niż sześć czy siedem miesięcy, a pieniędzy jest w bród.

Collis włożył rękę do kieszeni i podał Mr Whitworthowi swoją wizytówkę.

– To mój adres w Kalifornii – powiedział. – Byłbym zobowiązany, gdyby mógł pan powiadomić mnie o jego śmierci.

– Dobrze – odrzekł Mr Whitworth.

Collis zszedł po schodach i skierował się w stronę dorożki, która czekała na niego przy krawężniku. Było to jedno z tych ciepłych, dziwnych popołudni, gdy wydaje się człowiekowi, że pchnął niechcący niewłaściwe drzwi, przeszedł przez próg i cały świat nagle zmienił się nie do poznania, bez jego wiedzy. Spojrzał jeszcze raz na Mr Whitwortha, a on, nie wiedząc czemu, pomachał mu ręką na pożegnanie.

*

Przez następne trzy dni Collis i Teodor starali się zorganizować fundusze potrzebne im na budowę kolei Sierra Pacific. Wysiadywali godzinami w pustych, głuchych urzędach bankowych na Wall Street, czekając, aż prezesi banków powrócą wreszcie z obiadu i raczą porozmawiać z nimi o finansach. Prowadzili negocjacje z maklerami giełdowymi, inwestorami, ryzykantami i hazardzistami. Spotykali się z inżynierami i producentami stali.

Rozmawiali z każdym, kto chciał ich wysłuchać.

Pod koniec ich pierwszego tygodnia w Nowym Jorku stało się dla nich jasne, jakie czekają na nich przeszkody: przyjdzie im stawić czoło obojętności, niezdecydowaniu i zwykłej podejrzliwości. Wielu inwestorom po prostu trudno było uwierzyć w to, że kolej transkontynentalna może być naprawdę wybudowana albo że w ogóle ktokolwiek będzie chciał nią podróżować. Inni kręcili nosem i sugerowali na odczepkę, żeby skontaktowano się z nimi po wojnie. Ale znakomita większość po prostu gapiała się na nich bezmyślnie zza biurka i wruszała ramionami.

Prezes jednego z banków powiedział im wprost, że raz już podróżował pociągiem pospiesznym, który pędził z prędkością czterdziestu mil na godzinę, i nic nie można było przeczytać ani niczego przemyśleć, nie mówiąc już o tym, że nie było się w stanie usłyszeć własnego głosu. I nawet kiedy Collis zapewnił go, że pociągi Sierra Pacific będą jeździć z prędkością dwudziestu pięciu mil na godzinę, upierał się, że ludzie powinni poruszać się piechotą albo na końskim grzbiecie, ale na pewno nie przy użyciu parowozów.

– Ludzie nie zostali stworzeni po to, żeby ich ciągał po całym kontynencie, jak jakie zabawki, monstualny czajnik na kółkach. To wbrew ludzkiej naturze.

Pewnego popołudnia wydarzyło się coś, co wstrząsnęło Collisem do głębi. Jechał fiakrem w Drugiej Alei i przypadkowo spojrzął na kobietę, która przypominała mu Hannę. Kazał dorożkarzowi natychmiast się zatrzymać i poszedł za nią spory kawał drogi, przepychając się przez tłumy ludzi na ulicach. Wreszcie kobieta zatrzymała się przy Stuyvesant Square, zamierzając widać przejść na drugą stronę ulicy. Była blondynką i może jej nos kształtem przypominał rzeczywiście nieco nosk Hanny, ale na tym kończyło się podobieństwo. Wrócił do dorożki z sercem ściśniętym z żalu i rozpacz. Hanna nie żyje, powtarzał sobie w myślach.

A nawet gdyby żyła, to przecież i tak byłaby daleko stąd. A może to jej dusza starała się nawiązać z nim kontakt za pośrednictwem tej obcej kobiety? Nie, nie, co za idiotyczne myśli; umysłowa aberracja. Przynajmniej wolałby, żeby to była tylko umysłowa aberracja.

Ale najbardziej wstrząsnął nim moment, w którym ujrzał ponownie matkę. Było to tuż po godzinnym, ciężko strawnym obiedzie z A. G. Harrimanem ze spółki kredytowej Harriman Investment Trust, w hotelu Collamore, na rogu Broadwayu i Spring Street. Zjedli miskę zawieszistej zupy grochowej, a po niej przesolonego dorsza w brandy i gorące paszteciki mięsne.

Potem przyszły ciastka i brandy, a oni dalej nie byli w stanie osiągnąć satysfakcjonującego obie strony porozumienia co do możliwych inwestycji Harrimana w Sierra Pacific. Wreszcie opuścili restaurację hotelową i na frontowych schodach podali sobie na pożegnanie ręce, uzgodniwszy, że podejmą dalsze negocjacje w tej sprawie za jakieś dwa dni. Właśnie wtedy Collis zobaczył w hotelowym foyer matkę. Szła wsparta na ramieniu nieznanego mężczyzny.

Odruchowo zrobił krok naprzód, żeby się z nią przywitać. Ale potem ścisnął z całej siły pięścią dłoń A. G. Harrimana i obrócił go w kółeczko, niby przyciężką baletnicę, tak aby zażywna postać bankiera zasłoniła go przed wzrokiem matki.

– Co pan wyprawiasz, do diabła! – ryknął Harriman. Collis przyłożył palec do ust i zasyczał: „Ciii...” Matka kroczyła dumnie, dotykając suknią podłogi, pochłonięta bez reszty własną osobą, i Collisowi zdawało się, że nawet gdyby podszedł wprost do niej i ujął ją za rękę, miałyby poważne

trudności z rozpoznaniem kto on zacz. Skupiła całą uwagę na swej jaskraworóżowej sukni i narzutce w tym samym kolorze, nie zdając sobie widać sprawy z tego, że wygląda krzykliwie, grymaśnie i jakoś dziwnie po męsku, jak przebrany za kobietę mężczyzna.

Obok niej stąpał wysoki, korpulentny jegomość z bokobrodami przyczernionymi farbą do włosów firmy Myron Parker („szeroka gama kolorów, od brązu po hebanową czerń”). Miał na sobie szary surdut i nosił się niezwykle pompatycznie. Gdy znaleźli się przy krawężniku, uniósł swoją laseczkę, i natychmiast podjechał do nich prywatny powóz w obrzydliwym rudobrazowym kolorze. Collis nie wypuszczał ręki A. G. Harrimana ze swojej dłoni i ze swego ukrycia; znad ramienia bankiera przyglądał się matce, która kiwała bez przerwy głową, z przylepionym do twarzy uśmiechem, ponieważ sądziła, że takie zachowanie dodaje jej wdzięku i słodyczy. Korpulentny jegomość pomógł jej wsiąść do powozu, a potem sam usadowił się wewnątrz i zamknął za sobą drzwi. Był taki rosły i masywny, że ruszając z miejsca powóz wyraźnie przechylił się na bok pod jego ciężarem.

– Co też pan wyprawiasz, do stu katów? – burknął opryskliwie A. G. Harriman, uwalniając rękę z uścisku Collisa.

– Nie mogę tego wytłumaczyć, taki drobny wyskok – odparł Collis i po raz pierwszy od czasu, gdy dostał wiadomość o śmierci Hanny, poczuł się rozbawiony. Zastanawiał się, co porabia jego siostra Maude, i doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej mieszka w Drugiej Alei z mężem wyznania episkopaliańskiego, który zawsze nosi sztywne kołnierzyki na stojąco.

I na pewno gorzko się użala na napływ ubogich imigrantów w te okolice. Maude zawsze miała pełno wiary, ale mało nadziei, a miłosierdzia ani na lekarstwo.

Po powrocie do ślubnego apartamentu w hotelu St Nicholas zastał Teodora pochylonego nad biurkiem, z piórem w dłoni. Pisał właśnie długi list do Annie. Na widok Collisa, Teodor zakrył swój list dłonią.

– Co cię tak cieszy? – zapytał Teodor. – Dobrze ci poszło z A. G. Harrimanem?

– Z Harrimanem poszło mi fatalnie – odparł Collis, nalewając sobie drinka. – Ale za to z matką wszystko ułożyło się doskonale.

– Widziałeś się z matką?

– Widziałem matkę, ale ona mnie nie widziała. Tak właśnie, jak tego chciałem.

Teodor podrapał się piórem po brodzie.

– Dziwak z ciebie, Collis. Gdyby nie to, że ci tak nie dowierzam, chyba mógłbym nawet pokochać cię jak rodzzonego brata.

*

Wrócili do Sacramento w sierpniu. Najpierw piekli się w upalnym słońcu na parowcu, który pruł przez East Coast. Potem mieli kilka dni opóźnienia w panamskiej dżungli, a następnie znaleźli się

na innym jeszcze parowcu i płynęli na północ, po falach oceanu w kolorze cynowołowiowych talerzy. Pięcioro pasażerów zmarło na żółtą febrę, a jeden oszalał i wyskoczył za burtę. Ciemnowłosa Meksykanka w czarnym siateczkowym szalu nie spuszczała z Collisa oczu, ale on nie zwracał na nią uwagi. Myślał o Hannie.

Jane McCormick i Mary Tucker czekały już na przystani, kiedy ich parowiec turbinowy przycumował w Sacramento. Annie przybiegła parę minut później, zadyszana, przepraszając gorąco za to spóźnienie.

– O, Collis, tak mi przykro. Nie potrafię znaleźć słów, by wyrazić mój żal – powiedziała.

Collis wziął ją za rękę. Z nieba lał się na ziemię południowy żar, tak że wszystko zdawało się pływać i rozmywać w powietrzu. Nawet cienie kurczyły się w jaskrawych promieniach upalnego słońca.

– Pochowaliście ją po katolicku, mam nadzieję? – spytał Collis.

Annie skinęła głową.

Później, po południu, Collis poszedł na cmentarz przy kościele katolickim na J Street.

Otworzył szeroko drewnianą, pobielaną bramę i szedł po spieczonej ziemi, pod niebem czarnym jak okładka modlitewnika. Z tyłu, za kościołem, w skąpym cieniu rachitycznego drzewka znalazł wreszcie drewnianą tabliczkę. Na grobie leżała przewrócona do góry dnem pusta urna, a wokół wałało się parę zwiędłych kwiatów. Collis przyklęknął i wyprostował urnę, a potem powoli wyciągnął dłoń i powiodł palcami po wyrytych na tabliczce literach: Hanna Amelia Edmonds. Najukochańsza żona Collisa. 1862.

Pod spodem ktoś umieścił werset z Księgi Apokalipsy: „A nie potrzeba im światła lampy ani światła słońca, bo Pan Bóg będzie świecił nad nimi i będą królowali na wieki wieków”*, a przemoczona deszczem i wysuszona słońcem kartka papieru zwinęła się w rulonik.

Collis przeczytał te słowa i jego wargi zadrżały z rozpacz, a oczy napelniły się łzami.

– Haniu – rzekł głośno. – O mój Boże, Haniu.

*

W deszczowe styczniowe popołudnie następnego, 1863 roku zebrali się na przedmieściu Sacramento na uroczystą inaugurację budowy drogi żelaznej Sierra Pacific. Leland, który wybrany został na pierwszego republikańskiego gubernatora Kalifornii po jedenastu latach rządów Partii Demokratycznej, o mało nie pękł z dumy. Obnosił swoje dostojeństwo, napuszony, jeszcze bardziej szumny niż mroźne, zimowe wietrzysko. Stał na drewnianym podium, w wysokim czarnym cylindrze na głowie i z kroplami deszczu na sumiastych wąsiskach, i kierował wszystkich na wyznaczone im miejsce.

Ale nawet Leland przyćmiony został przez nowiutką lokomotywę. Był to model 4–4–0 z piecem drzewnym, z którego wyrastał ogromny komin w kształcie megafonu, i z mosiężnym, błyszczącym

dzwonem o przepięknie wypracowanych krzywiznach. Specjalnie na tę uroczystość parowóz wypolerowano do połysku, a wilgoć i chłód powietrza nadały kodowi srebrzysty, metaliczny brzask; na tłokach i tulejach łączących gromadziły się kropelki oliwy.

Przejęci własną rolą, palacz i maszynista uwijali się ochoczo w czerwonej budce maszynisty, a posłuszna ich woli lokomotywa wydawała z siebie raz po raz przeciągły gwizd.

Zgromadzeni gapie, w buciskach ubabranych błotem, kulili się pod czarnymi, świecącymi w deszczu niczym kolonia żuków, parasolami, podziwiając okazały, ukośnie ścięty zderzak oraz wielkie koła parowozu. To właśnie ta lokomotywa ucieleśniała szaleńczą, nieposkromioną ideę transkontynentalnej drogi żelaznej, a nie gubernator Leland McCormick, pomimo całego swego pompatycznego krasomówstwa. Już teraz sam jej widok zapierał dech w piersiach, chociaż, prawdę powiedziawszy, nie miała jeszcze dokąd jechać, ponieważ z otrzymanych dotąd funduszków Collis był w stanie ułożyć tylko bardzo króciutki odcinek torów: w sam raz pod lokomotywę, tender oraz jeden wagon osobowy, który zresztą nie nadszedł jeszcze nawet z Nowego Jorku.

Sam Collis, z gołą głową, ściskając w obu dłoniach swój cylinder, stanął na uboczu. Stracił na wadze, zmizerniał, a w jego bokobrodach pojawiły się siwe włosy. Obok niego stał Teodor ze swoją żoną, Annie. Lata ciągłych rozjazdów – z Sacramento do Waszyngtonu i z powrotem – oraz nie kończące się, denerwujące pertraktacje na temat jego oczka w głowie, kolei transkontynentalnej, wywarły na nim swoje piętno. Przyplącił to wszystko zdrowiem i wyglądał wręcz tragicznie. Zgarbaciały, pękaty, z zaniedbaną, wystrzyżoną nierówno bródką, przypominał wynędzniałego, starego kundla.

Był tam również Andy Hunt, ubrany w wyjątkowo surowy, całkiem gustowny garnitur, oraz Charles z uwieszoną na swoim ramieniu Mary, która na prawo i lewo rozdawała pobłażliwe uśmiechy. A oprócz tego w tłumie roiło się od dżentelmenów, którzy wyraźnie czuli się nieswojo, ponieważ wysłani zostali przez różne banki i przedsiębiorstwa transportowe z San Francisco, aby zrelacjonować przebieg uroczystości Przedsiębiorstwu Transportu Morskiego Pacific Mail, Wells Fargo oraz innym zainteresowanym stronom, takim jak Laurence Melford i Artur Teach. Collis wysłedził ich natychmiast i wysłał tam Kwang Lee, który z polecenia swego pracodawcy uraczył każdego z nich wyborynym cygarem i dodał pięćdziesiąt dolarów w złocie na zachętę.

Redaktor naczelny „Sacramento Union” tak pisał o tym wydarzeniu: „Była to uroczystość zarówno podniosła, jak i niepokojąca. Zauroczeni widokiem lokomotywy, nie mogliśmy oprzeć się ani przez chwilę euforii na myśl, że budowa drogi żelaznej, która rozciągać się ma od Sacramento po Omaha, naprawdę się wreszcie rozpoczęła. A jednocześnie zdaliśmy sobie sprawę, że oto jesteśmy świadkami nieodwracalnych zmian zarówno gospodarczych, jak i społecznych, w historii tego kraju”.

Tylko nieliczni Kalifornijczycy przyznawali mu rację. Wszyscy przybyli tu, by zobaczyć nowiuteńki parowóz i usłyszeć kwieciste oracje Lelanda, ale większość raczej nie wierzyła, że Collis, Leland, Andy i Charles tak naprawdę zdołają przeprowadzić kolej przez całe Sierras.

Jeden z krytyków tego projektu wypowiadał się na łamach prasy San Francisco, że Sierra Pacific to tylko „oszukańczy szwindel paru cwaniaków, którzy chcą dorwać się do kalifornijskiej skarbnicy stanowej i wyłudzić grubą forszę od łatwowiernych inwestorów”.

Leland wołał dyplomatycznie przemilczać tego rodzaju zarzuty, między innymi i dlatego, że nie tak dawno, za poradą Jane, przekonał kalifornijskich parlamentarzystów, aby przyznali Sierra Pacific

subwencje w wysokości 10 tysięcy dolarów na każdą milę torów ułożonych w granicach stanu. Użył także swoich wpływów jako gubernator i po długotrwałych zabiegach otrzymał zgodę władz federalnych na subskrypcje obligacji kolejowych w wysokości pół miliona dolarów. A w dodatku kreślił właśnie projekt ustawy o obligacjach stanowych, które przyniosłyby przedsiębiorstwu 600 tysięcy dolarów w gotówce. Wyborcy San Francisco mieli się wypowiedzieć na jej temat w kwietniu, więc Leland nie chciał się specjalnie wdawać w publiczną, niekontrolowaną pyskówkę na temat afer handlowych, matactw i zakulisowych kombinacji.

A jednak, pomimo tych wszystkich zabiegów, przedsiębiorstwo Sierra Pacific wciąż cierpiało na niedobór funduszy. W 1863 roku większość rodowitych Amerykanów nie ruszała się z domu na dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. Myśl o kilkudniowej podróży pociągiem, pędzącym z prędkością dwudziestu pięciu mil na godzinę, zdawała się czystą fantazją, produktem wyobraźni wyobraźni. Nawet specjaliści w dziedzinie kolejnictwa odnosili się do projektu bardzo sceptycznie – szczególnie ci ze Wschodu, gdzie niezmierzone przestrzenie odległych zachodnich kresów zdawały się równie niedosiężne jak księżyc w granacie nieba. Komodor Cornelius Vanderbilt, który właśnie nabył linię New York Central i Erie, pomiędzy S Nowym Jorkiem i Chicago, wykupując w nich większość akcji, wypowiedział się następująco: „Budowa kolei znikąd donikąd z państwowej kiesy zdecydowanie nie jest przedsięwzięciem legalnym”.

Teodor zaś stał cały czas ze wzrokiem wbitym w podmokłą ziemię, wyczerpany i zawiedziony, odarty ze wszelkich złudzeń, podtrzymywany przez Annie, jakby nie był w stanie ustać na własnych nogach. I nawet kiedy pierwsza lokomotywa Sierra Pacific zagwizdała tryumfalnie na rozpoczęcie uroczystości, a przemoczone flagi zatrzepotały dumnie na zimnym, popołudniowym wietrze, nie podniósł wcale oczu.

Leland uniósł dłoń, by uciszyć zebranych, i rozpoczął swoje przemówienie: – Panie i panowie, mieszkańcy Sacramento... oraz czcigodni goście zarówno ci, którzy tu przybywacie z czystej ciekawości, jak i ci, którzy macie tu do spełnienia inne, pokątne misje (tu rozległy się szydercze śmiechy i chichoty). Ze względu na kapryśną pogodę ograniczę się w mojej wypowiedzi tylko do paru najistotniejszych szczegółów. Przede wszystkim pragnę zaznaczyć, że dzień dzisiejszy to początek jednego z największych społecznych i technicznych przedsięwzięć, jakich kiedykolwiek podjęła się ludzkość... Ta lokomotywa to dopiero pierwszy z wielu rączych, żelaznych rumaków, które przewozić będą ludzi oraz cenne produkty z miast i wiosek wschodniej Ameryki do Sacramento i z powrotem... a później również do San Francisco; te szyny to dopiero pierwsze parę stóp z wielu, wielu mil lśniących stalowych torów, które przemierzą pustynie, góry, rzeki i kaniony...” Leland rozprawiał tak przez dziesięć minut, a Collis słuchał w milczeniu. Deszcz nie przestawał siąpić, a drobne kropelki spływały po jego twarzy niczym łzy. Myślał o przechwałkach Lelanda. Żelazne rumaki, kolejowe połączenie z całą Ameryką – dobre sobie! Wszystko to brzmiało bardzo zachęcająco, ale po prawdzie wojna spowodowała straszną inflację i chroniczne niedostatki. Małutka lokomotywa, która właśnie syczała i dymiła przed ich oczami, kosztowała dziś 13 688 dolarów, podczas gdy przed wojną można było kupić duży, dziesięciokołowy parowóz za 10 tysięcy dolarów. A tona torów, za którą kiedyś płaciło się 60 dolarów, wzrosła do 112 i w dodatku tory trzeba było zamawiać w Bostonie, a opłaty przewozowe przez Cieśninę Panamską, wokół Przylądka Horn, były wręcz karygodnie wysokie.

Popyt na szpadle, taczki, materiały wybuchowe, haki szynowe, oskardy i przyrządy sygnalizacyjne przekraczał wielokrotnie podaż, a poza tym ciągle istniało ryzyko, że cały transport zostanie zarekwirowany przez wojsko na potrzeby armii w wojnie przeciwko konfederatom.

Collis dopiero co starał się sprzedać pakiet papierów wartościowych syndykatowi biznesmenów z San Francisco. Po „gruntownym rozpatrzeniu propozycji” postanowili „poczekać i zobaczyć, jak pójdzie budowa kolei”. Collis wątpił, czy uda im się w ogóle poprowadzić kolej dalej niż do Roseville, tylko parę mil od Sacramento, jeśli wszyscy potencjalni inwestorzy też będą reagować podobnie. Podliczając poprzedniego wieczora rachunki przedsiębiorstwa, obliczył, że już samo przeciągnięcie linii poza miasto kosztowałoby ich ponad 12 milionów dolarów. 600 tysięcy dolarów Lelanda to kropla w morzu. Tyle będą musieli włożyć w parę mil stalowych torów.

Charles, który również był przy tym, wydał policzki z rezygnacją i powiedział: – Będziemy musieli cholernie ciężko harować i tyle, Collis. Jeśli ludzie wahają się, żeby inwestować, to nie pozostaje nam nic innego, jak tylko zakasać rękawy, podwinąć nogawki u portek i skrzyknąć chłopaków do roboty: „Bywajcie tu, a miagiem! Do dzieła!” Collis zamknął księgę rachunkową.

– Ale na razie mam ochotę umyć ręce i wycofać się z tego wszystkiego na dobre.

Teodor w ogóle się wtedy nie wypowiadał. Milczał zawzięcie.

Leland trzymał teraz jedną rękę wzniesioną w górę, przyciskając drugą swój surdut. Dla każdego, kto już przedtem cierpiał podobne katusze, zmuszony do wysłuchania w całości którejs z jego pompatycznych oracji, był znak, że zbliżał się punkt kulminacyjny przemówienia i że niedługo, dzięki Bogu, Leland wreszcie skończy.

– Przyjaciele – perorował dalej Leland. – Począwszy od dziś, czeka nasze Sacramento, jak również całą Kalifornię, okres prosperity, ponieważ droga żelazna Sierra Pacific połączy obywateli tego kraju, na Wschodzie i na Zachodzie, w jedno postępowe, idealne społeczeństwo, w jeden szczęśliwy naród. Rozkwitnie handel wymienny, jak również współpraca gospodarcza i techniczna. Stworzymy tu, panie i panowie, prawdziwy raj na ziemi.

Rozległy się sporadyczne oklaski, a potem Leland dorzucił: – Ta nasza pierwsza lokomotywa nosić będzie imię „Gubernator McCormick”. Boże, pobłogosław wszystkie jej podróże i daj jej długi spokojny żywot.

Collis zerknął na Jane. Przyrzekli jej przecież kiedyś, że lokomotywa zostanie ochrzczona jej imieniem, ale w ostatnim momencie Leland oznajmił, że to byłoby „niewskazane”.

Gubernator Kalifornii nie może mieszać w sprawy publiczne swojej żony. Ktoś mógłby posądzić go o kumoterstwo albo coś takiego. A w ogóle to kto jest w końcu prezesem spółki?

Collis wcale się z nim o to nie wyklócał. Ta lokomotywa była i tak zbyt mała na długodystansowe podróże i prawdopodobnie wkrótce zakończy niechlubnie swoją karierę, przetaczając na bocznicę wagony towarowe. Zdaniem Collisa, z imieniem takim jak „Gubernator McCormick”, nie zasługiwała wcale na lepszy los.

Deszcz bębnił w kocioł parowozu, a wiatr wywiewał czarny dym z komina na ulicę.

Małeńka orkiestra dęta, która chroniła się do tej pory pod pasiastym namiotem, łupnęła „Z drogi!”, a Leland zaśpiewał do wtóru skrzypiącym barytonem.

Collis opuścił trybunę i szedł ulicą, wymijając kałuże, a kiedy się przypadkowo odwrócił, zobaczył, że Mrs Pangborn, w przemoczonym kapeluszu, kieruje się w jego stronę, unosząc wdzięcznie falbanki sukni, by nie poplamić jej błotem.

– Mr Edmonds – powiedziała zdyszana. – Mr Edmonds, muszę pogratulować panu tej wspaniałej lokomotywy.

– Dziękuję, Mrs Pangborn – rzekł Collis. – Cieszę się, że jest jednak ktoś, kto wierzy w nasze możliwości.

– I jeszcze coś... – Jeszcze coś?

– Tak, to właściwie raczej prywatna sprawa.

Collis rozejrzał się wokoło, ale nikt nie zwracał na nich uwagi.

– A o co chodzi? Proszę mówić.

– Hm... – rzekła Mrs Pangborn. – Myślałam, że może lepiej by było, gdyby przyszedł pan do mnie dziś wieczorem. Widzi pan, mam u siebie gościa. Jest to ktoś, kto pana zna i kto chciałby się z panem znowu zobaczyć.

– Gościa? Ale kto to może być? Mrs Pangborn podniosła palec do ust.

– Zobaczymy się dziś wieczorem, Mr Edmonds. Najlepiej o dziewiątej, jeśli nie sprawi to panu kłopotu.

*

Parę minut po dziewiątej Collis zapukał do drzwi domu Mrs Pangborn. Drzwi otworzyła natychmiast milcząca Chinezka i Collis wprowadzony został do głównego salonu, przesiąkniętego zapachem perfum. Mrs Pangborn czekała już tam na niego, bawiąc się z małym kotkiem, który miał przewiązaną wokół szyi różową wstążeczkę.

– Ach, Mr Edmonds – powiedziała, podnosząc się i dygając. – Tak się ciszę, że pan przyszedł.

– Długo tu nie zabawię. Spiesz mi się – odparł Collis cierpko. Nie chciał, aby widywano go u Mrs Pangborn. W środowisku przedsiębiorców z Sacramento było zbyt wielu bigotów i faryzeuszy, a także zbyt wielu antykolejowych lobbystów, którzy chętnie wykorzystaliby każde najdrobniejsze uchybienie moralne, byle tylko udowodnić, że Collis nie nadaje się na lidera przedsiębiorstwa kolejowego, które będzie zajmować się przewozem kobiet i dzieci.

– No cóż – rzekła Mrs Pangborn z uśmiechem. – Nie będziemy pana zatrzymywać. Lin Lee, poproś, proszę, tę nową dziewczynę, żeby zeszła tu do nas na dół.

Collis stał na środku pokoju, wyprostowany, sztywny i oficjalny, w ciemnoniebieskim surducie, dzierżąc w dłoniach swój aksamitny cylinder. Mrs Pangborn zapytała, czy nie napiłby się szampana, ale potrząsnął odmownie głową. Zbyt był pochłonięty problemami finansowymi i

komercyjnymi swojego przedsiębiorstwa, aby przywiązywać jakąkolwiek wagę do tego wyreżyserowanego przez Mrs Pangborn cyrkowego widowiska.

Dopiero kiedy drzwi się otworzyły i do salonu wkroczyła dumnie i kokieteryjnie dziewczyna ubrana w jaskrawą purpurową suknię, z włosami upiętymi w loczki i przybranymi purpurowymi strusimi piórami, Collis zapomniał zupełnie o „Gubernatorze McCormicku” i o tym, jak mu się uda zebrać w przeciągu jednego miesiąca dwanaście milionów dolarów. Zauważył perłowy naszyjnik, brylanty i ogromny szmaragd na jej śmietankowym dekolcie i odniósł wrażenie, że czas nagle się zatrzymał i że ostatnie sześć lat rozplynęło się niczym światło zgaszonego chińskiego lampionu.

– No i co? – rzekła Delfina, dygając przed nim leciutko. – Mój widok wyraźnie wprawił cię w istne osłupienie.

– Dziwi cię to? Nie sądziłem, że cię jeszcze kiedykolwiek zobaczę. A już na pewno nie w takim miejscu.

Delfina rozejrzała się wokoło.

– Czysto tu i schludnie. To szanujący się dom, z doskonałą reputacją. Podobno większość klientów to religijni, bogobojni dżentelmeni.

– Nie mogę wprost uwierzyć, że to ty.

Delfina obeszła go powoli wokoło, uśmiechając się sama do siebie.

– A dlaczego nie? Dlatego że ta twoja brodata małpa groziła ojcu Alicji szantażem?

Dlatego że miał zamiar publicznie nazwać mnie kurwą, która się puszcza z senatorem Carslake'em? Dlatego że w twoim własnym pojęciu młoda kobieta, która raz zszargała sobie opinię, jest na zawsze przekreślona i można pomiatać nią jak brudną szmatą?

– Nigdy nie przebierałaś w słowach. I widzę, że nadal nie brakuje ci tupetu.

– A ty zawsze byłeś zadufanym w sobie egoistą. I jak widzę, taki też pozostałeś.

Obserwowałam cię dzisiaj na tej uroczystości. Założę się, że w ogóle nie wiedziałeś, gdzie jesteś i co się wokół ciebie dzieje. Żyjesz w świecie własnych urojonych złudzeń, Collis Edmonds, i nie dopuszczasz do siebie żadnych innych myśli.

– Może jednak napiję się tego szampana – zwrócił się Collis do Mrs Pangborn.

Delfina podeszła do Collisa, wzięła go za ramię i spojrzała mu prosto w oczy. Była teraz oczywiście starsza, ale dalej prześliczna, i Collis przypomniał sobie ten moment, kiedy po raz pierwszy podniosła na niego swoje oczy w Taylorze. Przypomniał sobie ciepło, które zalało mu wówczas serce.

– Prawdę mówiąc – rzekła cicho Delfina konfidencyjnym tonem – ty i ten twój owłosiony kumpel oddaliście mi wielką przysługę. Zamiast znosić do końca życia niedole i poniżenie w domu senatora Carslake'a, zdecydowałam, że skoro moja reputacja została już i tak całkowicie zszargana, to lepiej przestać się tym przejmować. Pożyczyłam od senatora pieniędzy i wynajęłam sobie

apartament na Pennsylvania Avenue. Miałam z tego wcale niezły dochód, proszę ja ciebie. Senatorzy, kongresmani, a potem żołnierze, kiedy wybuchła wojna.

Mrs Pangborn podała Collisowi szampana, a on wychylił kieliszek jednym haustem.

– Więc – rzekł Collis, ocierając usta – stoczyłaś się po równi pochyłej.

– O, nie, nie! – rzekła Delfina. – Nie stoczyłam się po niej sama. Zostałam zepchnięta.

– No a co cię przyniosło tu, do Sacramento? – zapytał.

– Dokładnie to samo, co przyгнаło tu Eleonorę Dumont i wszystkie inne panienki, które odwiedzały Denver, Nevada City albo Kansas. To samo, co Martę Jane Canary albo Carlę Amorato.

– Więc zostałaś płatną prostytutką? – spytał Collis, choć intonacja jego głosu wskazywała, że było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Martwi cię to?

Spojrzał na nią i wzruszył ramionami.

– To twoje życie. Mnie nic do tego.

– I nie czujesz się wcale odpowiedzialny za mój tragiczny upadek?

– Chyba nie. Przyczyną twojego upadku był krach pięćdziesiątego siódmego roku, prawda? To i ten twój brak hamulców moralnych. No i senator Stride.

– Ty oczywiście posłużyłeś się jedynie moim upadkiem dla własnej korzyści – powiedziała Delfina. – Nie byłeś aż tak grubiański, by się do niego w jakikolwiek sposób przyczynić.

Collis wypił szampana i podał kieliszek Mrs Pangborn.

– Jeśli tak uważasz... – rzekł ostro w stronę Delfiny.

– Collis – powiedziała Delfina.

– Co?

– Mogę być z tobą szczerą, co mi tam. Chyba nigdy nie byłam tak powściągliwa, jak powinna być dziewczyna z dobrego domu. Zawsze leżało to w mojej naturze, było to coś, z czym zawsze starałam się walczyć. Degradacja – seksualna degradacja – jakoś zawsze mnie dziwnie fascynowała.

Collis nie ruszył się z miejsca. Delfina stała z głową lekko pochyloną w bok, z rękami złożonymi na piersiach, jakby miała zamiar rozpocząć arię operową. Twarz jej pałała, jakby była pod wpływem szampana albo opium.

– No cóż – rzekł Collis. – Chyba już sobie pójdę.

– Nie chcesz wysłuchać mnie do końca, tak? – dopytywała się Delfina. – Nie chcesz w ogóle słyszeć, co mam do powiedzenia.

– I po co ci to, Delfino? Nie jestem tym samym mężczyzną, którego spotkałaś w Nowym Jorku. Mam teraz obowiązki. Mam wspólników handlowych, których nie mogę skompromitować. Jestem wdowcem i dalej noszę żałobę.

– Tak, wiem – rzekła Delfina. – Proszę, przyjmij moje kondolencje.

– Dziękuję za dobre serce. Jeśli pragniesz w zamian mojego współczucia i moich pokornych przeprosin, to bardzo proszę – oto one.

Collis odwrócił się i powiedział do Mrs Pangborn: – Dziękuję za szampana. I dziękuję za zorganizowanie tego spotkania. Przykro mi, ale odbiegło ono daleko od moich oczekiwań.

– C'est la vie – rzekła Mrs Pangborn z okropnym francuskim akcentem.

Collis podszedł do drzwi. Delfina nie ruszała się z miejsca: utkwiała wzrok w miejsce, gdzie przedtem siedział Collis, albo może w przeszłość. Przy drzwiach Collis zatrzymał się i rzekł miękko: – Delfino... Nie spojrzała nawet na niego. Nie podniosła głowy.

– Przekonasz się sama, że ten cały słynny dziki Zachód, to w gruncie rzeczy taka maleńka, prowincjonalna dziura – mówił dalej Collis. – Łatwo się tu natknąć na starych wrogów i starych przyjaciół; trzeba tylko popytać wokoło. Pomimo tych niesamowitych odległości wszyscy się tu jakoś znają.

Zawahał się, a potem dokończył: – Przekonasz się też sama, że czasami lepiej zostawić tych starych przyjaciół lub starych wrogów w spokoju, szczególnie, jeśli życie nie głaskało ani ciebie, ani ich po głowie.

Delfina trwała w milczeniu. Collis czekał jeszcze przez moment, a potem włożył na głowę cylinder, skłonił się Mrs Pangborn i wyszedł bez słowa.

14

Podstawowym punktem Ustawy o transkontynentalnych drogach żelaznych z 1862 roku było zastrzeżenie, że zanim rząd zacznie wypłacać subwencje i nadawać prawa własności, zainteresowane przedsiębiorstwa muszą ułożyć czterdzieści mil torów kolejowych na wybranym przez siebie odcinku proponowanej na ten cel trasy. Collis nie przejmował się tym wtedy zbyt, ale teraz nagle okazało się to przeszkodą niemal nie do pokonania.

Przedsiębiorstwo Sierra Pacific było właścicielem lokomotywy, tendra, jednego wagonu osobowego i około dwóch mil rdzewiejących torów, które prowadziły akurat na peryferie miasta.

Oprócz tego udało im się przygotować dodatkową milę pod kolejny odcinek torów, ale po prostu nie było ich już stać, żeby posuwać się dalej. Każda mila drogi kosztowała ich 11 500 dolarów, ponieważ na każdą trzeba było zużyć 400 torów; za tonę płacono 115 dolarów, a tyle dokładnie

wały cztery stalowe tory. A w powyższe ceny nie wchodził ani surowiec drzewny, ani haki torowe, ani pensje robotników, ani w ogóle nic więcej.

Leland zaczął przebąkiwać coś, żeby poprowadzić drogę tylko do Nevady i może w ogóle nie układać na niej torów, ale po prostu przerobić ją na przejezdną drogę i nałożyć myto na użytkowników. Teodor wyklócał się z nim gorąco przez parę tygodni, ale potem przestał się w ogóle do kogokolwiek odzywać i chodził jak struty. W październiku 1863 roku przyszedł do Collisa z wizytą i oznajmił, że znowu jedzie na Wschód i tym razem zabiera ze sobą Annie.

Był już wieczór; Collis spędził cały dzień w swojej bibliotece. Chociaż po śmierci Hanny zatrzymał służbę, większość czasu spędzał w bibliotece, pokoju stołowym albo małej sypialni, a reszty domu właściwie wcale nie używał. Nie traktował go jednak jako kaplicy czy relikwiarza; nigdzie nie było nawet zdjęć Hanny. Tyle tylko, że w tych czasach cała jego uwaga skupiona była na kolei i potrzebował jedynie miejsca, gdzie mógł pracować, miejsca, gdzie mógł się posilić, i miejsca, gdzie mógł się wyspać.

Charles, który często przechodził koło jego domu późnym wieczorem, po zebraniach w klubie, zauważył, że światło pali się tam jeszcze długo po północy.

– Gdyby do wybudowania Sierra Pacific wystarczyło tylko poświęcenie i nic więcej, to już do tej pory bylibyśmy het poza Sierra Nevada – mawiał często do swoich znajomych.

Ale oczywiście samo poświęcenie to za mało, i dlatego właśnie utkwili w martwym punkcie.

Teodor usiadł, zakłopotany, w jednym z wielkich bibliotecznych foteli, podczas gdy Collis kończył podliczenia w księdze rachunkowej. Potem Collis zdjął małą niebieską krymkę, którą ostatnio zawsze nosił przy pracy, i uśmiechnął się do Teodora nieobecny uśmiechem.

Teodor pomyślał, że wygląda jak cień samego siebie.

– Aha – powiedział Collis. – Annie mówiła mi, że znowu cię niesie na Wschód.

– Tak – odparł krótko Teodor.

– I będziesz starał się dopiąć swego? To znaczy, postarasz się wykupić wszystkie akcje w naszym przedsiębiorstwie; ponieważ uważasz nas za bandę nieuczciwych, zdeprawowanych handlarzy?

– Tak – rzekł znowu Teodor.

– A nie przyszło ci nigdy do głowy, że może nikomu innemu na całym świecie nie uda się doprowadzić tego przedsięwzięcia do samego końca? I to właśnie dlatego, że ktoś naprawdę szlachetny, o nieskazitelnej uczciwości, musiałby się z tego już dawno wycofać, i to lata temu?

– Leland nie chce, żeby droga doszła dalej niż do Nevady. Nie jest to dla mnie, bynajmniej, porywająca idea.

– Nie można mieć o to do niego pretensji. Po prostu stara się znaleźć jakieś praktyczne wyjście z sytuacji. Sam wiesz, jak stoimy obecnie finansowo. To tylko taki krótkoterminowy plan, by wyrównać ubytki w księgach rachunkowych.

– Linia transkontynentalna nigdy nie miała być przedsięwzięciem krótkoterminowym – rzekł gniewnie Teodor. – Została poczęta na wielką skalę i tylko ludzie wielcy, dalekowzroczni, będą w stanie doprowadzić ten projekt do końca. Collis powoli zapalił swoje cygaro.

– Wiesz co, Teo? – powiedział. – Ty i ja nadal moglibyśmy być przyjaciółmi i współnikami w pracy.

Teodor pokręcił głową.

– Może rzeczywiście masz rację, mówiąc, że nikt inny oprócz ciebie i Charlesa nie zdoła nigdy wybudować Sierra Pacific. Ja jednak wciąż jeszcze mam nadzieję, że jest inaczej, i jadę do Waszyngtonu, aby zbierać wystarczającą ilość funduszy, wykupić was i udowodnić, że się mylicie. Nie pozostaje mi nic innego, Collis. Nie chcę się płatać w budowę drogi żelaznej, która może zostanie ukończona, a może nie, w zależności od aktualnego widzimisię jej właścicieli. Nie chcę też mieć na sumieniu tego całego przekupstwa, szantażu i zwykłego ludzkiego cierpienia, które w twoim pojęciu są nieodłączną częścią przedsięwzięcia.

Collis zamyślił się nad tym, a potem obszedł wokół swoje biurko. Wyciągnął dłoń do Teodora, jakby chciał mu pogratulować dwudziestu lat pracy w przedsiębiorstwie i życzyć wszelkiej pomyślności po przejściu na emeryturę. Teodor po raz pierwszy zwrócił uwagę na głębokie zmarszczki wokół oczu Collisa i na przeredzoną nad czołem czuprynę. Wyglądał jak podtatusiały pan około czterdziestki, a nie jak młody mężczyzna zaraz po trzydziestce.

Słońce zaszło właśnie na dobre i pokój pogrążył się w mroku. Teodor złapał rękę Collisa w swoje obie dłonie i powiedział: – Żegnaj Collis. Nie chciałbym, żebyśmy kiedykolwiek zostali wrogami.

– My dwaj? – Collis uśmiechnął się. – Przecież my zawsze byliśmy wrogami. I tak już pozostanie na zawsze. Opiekuj się Annie.

Teodor podszedł do drzwi, otworzył je i zaszalutował niezdarnie na pożegnanie. Collis nic już nie powiedział. Ale kiedy Teodor wyszedł, siedział jeszcze do późna w nocy w swojej bibliotece, zastanawiając się, jaki go czeka los.

*

Dowiedział się w miesiąc później. W listopadzie otwarto właśnie transkontynentalną linię telegraficzną i depesza, która przyszła z Waszyngtonu bezpośrednio do San Francisco, doręczona została do biura Andy Hunta. Andy Hunt wysłał ją następnego dnia parowcem do Sacramento i w ten sposób dotarła wreszcie pod numer 54 K Street w momencie, gdy Collis zbierał się właśnie do wyjścia. Jechał do Roseville, żeby pogadać z mieszkańcami tego miasteczka o kolei. Telegram donosił:

Teodor Jones zmarł na żółtą febrę, którą zaraził się w Panamie. Proszę powiadomić wszystkich przyjaciół i znajomych.

Annie Jones

Collis przeczytał telegram dwa razy, a potem wrócił do sklepu. Był tam Charles, który pomagał Kwang Lee sporządzić zamówienie na materiały wybuchowe. Od razu zauważył zmianę w wyrazie twarzy Collisa i podszedł do niego, wyciągając ręce, jakby sądził, że Collis zaraz upadnie.

– Co się stało? – zapytał.

Collis pokazał mu telegram. Charles przeczytał, a potem wydał policzki, prychnął na cały głos i oparł się o kontuar, z rękami na biodrach.

– Cholera! – powiedział.

– Czy to nie ironia losu? – rzekł Collis. – Zmarł, ponieważ nie ma jeszcze kolei transkontynentalnej. Ponieważ jego własne marzenie nie zdążyło się jeszcze urzeczywistnić.

– Czy możemy jeszcze zrobić coś dla niego? – spytał Charles.

Collis zamyślił się, a potem skinął głową.

– Jasne, że tak. Możemy wybudować dla niego Sierra Pacific.

– My? A za czyje pieniądze, jeśli wolno wiedzieć? – dopytywał się Charles.

*

Na wiosnę 1864 roku Sierra Pacific wyczerpała wszystkie możliwe do zaciągnięcia kredyty. Collis miał osobisty dług w wysokości prawie dwóch milionów dolarów, więcej, niż kiedykolwiek posiadał lub zarobił w swoim życiu – wszystko w żyrowanych na procent lub bankowych pożyczkach. Chociaż sama droga podchodziła już prawie pod Newcastle, na odcinku trzydziestu jeden mil zdołali na niej ułożyć tylko osiemnaście i pół mili torów; daleko im było jeszcze do tych uzgodnionych czterdziestu mil, których żądał rząd federalny.

Leland, który jesienią chciał jeszcze doprowadzić linię kolejową choćby tylko do Nevady, teraz proponował likwidację przedsiębiorstwa, żeby ocalić, co się da z zainwestowanego weń kapitału.

Ale Collis nie chciał o tym słyszeć. Nie ze względu na Teodora, chociaż oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, że teraz, gdy Teodor już nie żył, właściciele przedsiębiorstwa mogą sobie wreszcie pozwolić na odważniejsze posunięcia. Do tej pory skrupuły moralne bogobojnego inżyniera – wizjonera wiązały im jednak często ręce. Nie robił tego również jeszcze ze względu na Hannę i ze względu na swoje własne marzenia, aby przeprowadzić kolej przez wysokie Sierras.

Właściwie żadne wizje ani dylematy moralne nie miały tu już w tej chwili nic do rzeczy.

Chodziło teraz po prostu o przetrwanie finansowe. Była to walka o byt. Co więcej, w listopadzie znowu miały się odbyć wybory prezydenckie, w których raz jeszcze miał kandydować Abraham Lincoln, od samego początku entuzjastycznie nastawiony do drogi żelaznej Pacific. Chociaż Collis nie wątpił w jego zwycięstwo, szczególnie po Gettysburgu, był zbyt cyniczny w stosunku do życia, by zawierzyć cały swój pięciomilionowy dług wyborcom federalnym i ich kaprysom. Lepiej wykorzystać obecność w Białym Domu przychylnego im Lincolnowi już teraz niż ryzykować w

nowym roku konieczność porozumienia się z McClellanite albo jakimś demokratą, który wybił się w stanie wojennym.

Wspólnicy zebrali się w salonie na 54 K Street w mroźny marcowy wieczór. Charles i Collis rozłożyli rachunki przedsiębiorstwa na podłodze i wszyscy czterej kurzyli cygara, wyklócali się i popijali burbona, aż do ósmej wieczorem.

Collis, rozebrany do koszuli, powiedział: – Nie ma innej rady. Muszę pojechać znowu do Waszyngtonu i znowu się rozejrzeć.

Może uda mi się jakoś wycofać z ustawy tę klauzulę o czterdziestu milach torów.

Andy Hunt wskazał palcem na rachunki.

– Nawet jeśli rzeczywiście dopniesz swego, to i tak nie uda ci się zebrać wystarczających funduszy, aby ciągnąć to dalej. Z Sacramento do podnóży Sierra Nevada jest ponad trzydzieści mil, a teren tam absolutnie płaski, więc nie otrzymamy z tej rządowej pożyczki więcej niż szesnaście tysięcy dolarów za każdą milę. Nie starczy nawet na wypłaty dla robotników.

– No ale przynajmniej jest to jakaś szansa – upierał się Collis. – Moim zdaniem uda mi się jeszcze zaciągnąć jakieś osobiste pożyczki, a wtedy będziemy mogli ułożyć dodatkowe piętnaście czy szesnaście mil torów.

Leland, rozparty w fotelu, z wielkim kieliszkiem whisky w dłoni, skinął głową lekceważąco i przybrał minę wieszca.

– Andy ma rację, Collis. Ułożymy czterdzieści mil torów, no i co nam z tego przyjdzie?

Wydebimy od rządu najwyżej szesnaście tysięcy dolarów za milę, a w naszej sytuacji finansowej to po prostu kropla w morzu. Czyste szaleństwo! Nie ma sensu się w to pakować.

Collis wstał i podszedł do okna. Na zewnątrz, na K Street, ładowano na furmankę zwoje siatki na ogrodzenie, ponieważ sklep na dole był nadal otwarty. Kwang Lee rozmawiał właśnie z wysokim, smukłym farmerem. W wieczornym powietrzu unosiły się chmary tańczących ciem.

Nagle Collis odwrócił się w stronę Lelanda.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, to słyszałem, że baza Gór Skalistych znajduje się gdzieś na brzegach Mississipi. Na to wskazuje podobno układ tamtejszych skał i rodzaj gleby. Mam rację?

Leland wzruszył ramionami.

– No może. I co z tego? Zdaje się, że to jedna z tych naukowych osobliwości.

– Może i tak – odparł Collis. – Ale to może się nam przydać. Leland, ty jesteś gubernatorem Kalifornii. A gdyby tak stanowy geolog okazał się na tyle usłużny, by ogłosić, że baza Sierra Nevada znajduje się raczej bardziej na zachód, niż by się to mogło wydawać na pierwszy rzut oka?

Leland zmarszczył brwi.

– Masz na myśli... podretuszowanie... hmm... map geologicznych?

– A czemu nie? Każda równina zawiera w sobie obcą glebę – skały i glinę, które w procesie erozji zostały naniesione z gór z nurtem rzeki. Gdyby stanowy geolog stwierdził kategorycznie, że tu, na równinie, są pokłady gleby z górskich zboczy, to kto ośmieliłby się zaprzeczyć, że Sierra Nevada zaczyna się na przedmieściach Sacramento?

– Trzeba by to wszystko przeprowadzić legalnie – rzekł Leland z wahaniem. – Musiałbym wysłać geologa, aby przeprowadzić niepodważalne badania.

– To się samo przez się rozumie – wtrącił Andy. – Wszystko legalnie. Ale wiesz, Collis, może to jest rzeczywiście dobra myśl? Rząd udzieli nam czterdziestu ośmiu tysięcy dolarów pożyczki na każdą milę torów, którą ułożymy przez Sierra Nevada. Jeśli Sierras zaczynają się już tu, w Sacramento, to zarobimy na tym ekstra milion dolarów w gotówce. No a, nie oszukujmy się, przydałoby się nam to ogromnie.

– Gdybyś tak pomówił z rządowym geologiem – rzekł Collis do Lelanda. – A ja zamienię słówko z posłem Watkinsem telegraficznie. Już widzę, jak się ucieszy, że będzie się mógł przysłużyć i przedłożyć nasz raport prezydentowi.

– No dobra, niech tak będzie – rzekł Leland. – Trochę tu w tym matactwa, ale warto spróbować.

– Sęk w tym – wtrącił Charles – że dalej nie rozwiązuje to problemu tego zastrzeżenia o czterdziestu milach. Nawet jeśli niektóre z torów przyniosą nam czterdzieści osiem tysięcy za milę, i tak nie będziemy w stanie położyć czterdziestu mil bez jakiejś dodatkowej pomocy finansowej.

– Właśnie do tego zmierzam – rzekł Collis. – Planowałem znowu wybrać się do Waszyngtonu, żeby zobaczyć co się da zrobić w sprawie wniesienia poprawek do Ustawy o drogach żelaznych z 1862 roku. Tym razem zabiorę ze sobą trochę pieniędzy i przekażę je gdzie trzeba. Zwykle, jawne przekupstwa. Nauczyłem się już, że Kongres to tylko sfera wilków, a żeby te wilki obłaskawić, trzeba po prostu rzucić im kawał surowego ścierwa.

– A ile to będzie kosztować, twoim zdaniem? – spytał Charles.

– Ćwierć miliona dolarów. Ale za to wszystko pójdzie po naszej myśli, nic się nie martwicie. Przyrzekam!

Leland uniósł brwi, a Andy gwizdnął przeciągle.

– Ćwierć miliona dolarów? – spytał Charles – To strasznie drogo, cholera. Opłaca się podejmować takie ryzyko?

– Mamy do wyboru: albo to, albo bankructwo – rzekł Collis.

– Ale przecież moglibyśmy użyć te ćwierć miliona na ułożenie torów – wtrącił Leland.

– Ile torów? Trzech mil? Czterech mil, nie więcej. Nie, Leland. Jedyne sposob, żeby się z tego wszystkiego wykaraskać, to łapówki. Tak się załatwia sprawy w Kongresie. Opłaci się kogo trzeba, to i podejmą sprzyjające nam decyzje.

Leland westchnął.

– No dobrze. Chyba wiesz, co robisz. Ale jakie świadectwo wydaje taka sytuacja administracji państwowej? Czy to nie woła o pomstę do niebios?

– A gdyby tobie ktoś ofiarował łapówkę, to byś nie wziął? – spytał Collis.

Leland popatrzył na niego, rozdrażniony.

– Owszem, ale musiałaby to być przyzwoita łapówka – powiedział.

– I tylko od kogoś, kogo i tak bym lubił i popierał.

*

W ciągu następnych paru tygodni Collis spotykał się z Delfina dwa razy. Nie udało mu się porozmawiać z nią na osobności, a zresztą sam nie wiedział, czy rzeczywiście tego pragnie.

Ale ponieważ jeździła wszędzie w zielonym lando, cała w koronkach i falbanach, w towarzystwie Mrs Pangborn i paru innych jej pupilek, domyślił się, że nie wyjedzie tak szybko z Sacramento.

Nie mógł wprost uwierzyć, że to ta sama śliczna i zalotna dziewczyna, którą znał z Nowego Jorku, ale przecież zawsze była obcesowa i rozwydrzona, seksualnie rozbudzona, więc kiedy wymknęła się spod rodzicielskiej kurateli po bankructwie ojca, stoczyła się w bagno rozpusty. Co za haniebny upadek! Wszystkie mity o grzecznutkich pensjonarkach i francuskich baletnicach, które dla zabawy spędzały frywolnie wakacje w lupanarach, były niczym więcej tylko wymysłem bujnej męskiej wyobraźni. Klientami prostytutek w Nevada City czy Alder Gulch były często typy spod ciemnej gwiazdy, nieokrzesane chamy, i nawet sprytne, energiczne dziewczyny, takie jak ciesząca się bardzo złą sławą Marta Jane Canary, szybko się zużywały. Do Miss Canary przyłączył się przydomek Jadowitej Marcysi. Collis zastanawiał się, jak będą mówić w przyszłości o Delfinie.

Kiedy zobaczył ją po raz drugi na K Street, koło poczty, odwróciła się ku niemu, uśmiechnęła i skinęła głową. Odpowiedział jej wtedy sztucznym, wymuszonym uśmiechem, ale kiedy rozmyślał o niej później, zauważył, że mimo wszystko jakoś go rozczula, i że chętnie znowu by się z nią zobaczył. Postanowił, że skontaktuje się z nią zaraz po powrocie z Waszyngtonu.

Podróż do Waszyngtonu wiosną 1864 roku była męcząca i uciążliwa. W Panamie bez przerwy lało jak z cebra. A oprócz tego, u wybrzeży Georgii natknęli się na konfederacką blokadę morską, wobec czego parowiec przez bite osiem godzin kołysał się w jednym miejscu na wzburzonych falach.

W Waszyngtonie Collis musiał zatrzymać się w drugorzędnym hotelu Capital, choć nie miało to i tak większego znaczenia, ponieważ zajęty od rana do nocy pertraktacjami w sprawie nowelizacji Ustawy o transkontynentalnych drogach żelaznych, wracał do swojego pokoju tylko po to, żeby się wyspać, przebrać lub ogolić. W hotelu naprzeciwko mieszkał Thomas Durant, wiceprezes Union Pacific, chudy, energiczny mężczyzna z ciemną kozią bródką. Przyjechał do Waszyngtonu dokładnie w tym samym celu co i Collis i również przywiózł mnóstwo pieniędzy na podpiacenie kongresmanów.

Collis wybrał się któregoś wieczora na kolację z Durantem, żeby przedyskutować w szczególach sprawę rozdziału „funduszy dyspozycyjnych” (było to ulubione powiedzonko Duranta). Przedsiębiorstwo Union Pacific, które na mocy ustawy z 1862 roku uzyskało prawo budowy kolei na zachód od Omaha, tonęło w długach. Nie udało im się nawet dobrać na przedmieście, choć w 1864 roku Omaha była osadą o powierzchni zaledwie paru mil kwadratowych, z rzędami drewnianych chałup na obu brzegach Missouri.

Przez jakiś czas Durant znęcał się bezlitośnie nad kotлетem cielęcym, a potem wypił duży kieliszek czerwonego wina.

– Musimy dopiąć swego przy użyciu wszelkich dostępnych nam środków. To nasz moralny obowiązek – zwrócił się do Collisa. – A wobec tego nikt nas nie ma prawa za to potępiać. Stoi przed nami doniosłe zadanie. Jeśli zaczniemy bawić się w ceregiele i liczyć z opina mas, to w ogóle nigdy nic nie wskóramy.

Collis uśmiechnął się.

– Widać zostaliśmy ulepieni z jednej gliny.

Durant pokręcił głową.

– My? Ale gdzie tam? Ty to jesteś wizjoner, a ja tam wcale nie. Ja po prostu uważam, że jak paru lebskich ludzi się bogaci, to przy okazji korzysta z tego reszta społeczeństwa.

Zarobimy na tej kolei krocie, Collis; tyle że się nam to jeszcze nawet w głowie nie mieści. I dobrze. Zasłużyliśmy sobie na to. To taka nagroda za nasze trudy. A znowu cały kraj też na tym skorzysta, bo ludziska będą mogli przysyłać swoje wyroby i poruszać się swobodnie z jednego krańca kontynentu na drugi za całkiem znośną cenę.

Collis spłukał się prawie do ostatniego centa. Całe 250 tysięcy dolarów poszło jak z dymem, a oprócz tego każdy parlamentarzysta, który wyraził ochotę współpracy, otrzymał obietnicę dalszych zysków i dodatkowych przywilejów.

Durant też nie zasypiał gruszek w popiele, a nawet zaćmił Collisa kunsztem zawodowego dyplomaty i negocjatora. Przywiózł do Waszyngtonu 437 tysięcy dolarów. Pieniądze te pochodziły z kasy U. P., i choć później oskarżano go o to, że sporą sumkę włożył do własnej kieszeni, dowiedziono bezsprzecznie, że już sam tylko bankiet dla kongresmanów w Willard's Hotel kosztował go prawie 19 tysięcy dolarów.

Sam Collis nie posiadał się z radości, że zdobył entuzjastyczne poparcie kongresmana Oakesa Amesa z Massachussetts, obiecując kontrakt na wszystkie szpadle i łopaty fabryce, której właścicielem był brat kongresmana, Oliver.

W początkach lata wszystko zostało wreszcie zaklepane. Prezydent Lincoln sam życzył sobie, by rozpoczęto budowę kolei jak najprędzej, a podpłacony Kongres nie robił więcej żadnych trudności. Nowo opracowana Ustawa o transkontynentalnych drogach żelaznych z 1864 roku, przeszła przez Kongres jak po maśle, a prezydent podpisał ją od ręki, nie wnikając w żadne szczegóły. Collis otrzymał wszystko, czego chciał.

Podwojono przydział gruntów pod budowę kolei. Zamiast dziesięciu mil kwadratowych po jednej lub drugiej stronie torów, na wyznaczonych odcinkach, przyznano im dwadzieścia mil kwadratowych. A co najważniejsze, nie musieli czekać na rządowe pożyczki w wysokości 32 i 48 tysięcy dolarów za milę do momentu, aż uda im się ułożyć wreszcie tory. Wystarczy, żeby przygotowali nasyp pod tory na odcinku dwudziestu mil, a otrzymają dwie trzecie tych pieniędzy. Tylko jedna trzecia zostanie wstrzymana i wypłacona w późniejszym terminie.

W rezultacie ustawa z 1864 uczyniła z nich, przedsiębiorców Sierra Pacific i Union Pacific, największych potentatów i właścicieli ziemskich w całym kraju. Po ukończeniu budowy będą w posiadaniu ponad dwudziestu milionów akrów – więcej niż Connecticut, Massachusetts i Vermont razem wzięte. No i oczywiście, co najważniejsze, mieli wreszcie dostateczne środki finansowe, by zacząć układać tory.

Późnym wieczorem, tego dnia, gdy została zatwierdzona powyższa ustawa, poseł Watkins zjawił się w hotelu Capitol i wręczył Collisowi kopertę.

– Proszę nie otwierać – rzekł z obleśnym, chełpliwym uśmiechem. – To tylko oficjalne potwierdzenie na piśmie, że Sierra Nevada wznosi się tam, gdzie ją umieścił stanowy geolog. Sam prezydent wyraził na to swoją zgodę.

– No to w takim razie – rzekł Collis – zapraszam na drinka. Nie odmówi pan?

Poseł Watkins uniósł dłoń na znak, że ależ skąd, oczywiście, że nie.

– Wygląda na to, że moja wytrwałość, jak również ślepa wiara godna Abrahama, rzeczywiście przeniosły góry – powiedział.

*

Collis zatelegrafował natychmiast do Andy Hunta w San Francisco. Poleciał mu, żeby przy użyciu kredytu z Banking Trust w San Francisco przedsiębiorstwo zaczęło natychmiast układać dodatkowe tory. Tyle, ile się da. „Gubernator McCormick” kursował już pomiędzy Sacramento i Roseville z opłatą za bilet w jedną stronę w wysokości 1 dolara 85. Teraz Collis chciał przedłużyć tę trasę jak najprędzej, żeby załapać się na pożyczkę rządową i wydostać od nich każdy możliwy grosz.

Popłynął najbliższym parowcem do Panamy. Wiadomości z frontu były bardzo niepomyślne dla Zjednoczenia, więc i tak miał dużo szczęścia, że udało mu się przedostać w miarę szybko. Przed samym wyjazdem poszedł jeszcze na śniadanie z Thomasem Durantem i na stopniach hotelu Capitol uścisnęli sobie ręce na pożegnanie.

– Może się jeszcze spotkamy – rzekł Durant. – Gdzieś tam na równinach, albo w Wielkim Basenie – gdziekolwiek zejdą się nasze drogi żelazne. I mam nadzieję, że obaj będziemy już wtedy dużo szczęśliwsi i bogatsi.

Niedaleko wybrzeża Florydy parowiec z Panamy wpadł w ogon huraganu i Collis był chory przez dwa dni. W Aspinwall, ze względu na opóźnienie pociągu, spędził trzy dni w obskurnym pokoju hotelowym, trzęsąc się w gorączce. Mdłości oraz nieograniczone ilości burbona Kentucky przykuły

go do łóżka, a niecierpliwił się, żeby jak najprędzej się stamtąd wydostać. Myślał o Teodorze, który zmarł na żółtą febrę, i zastanawiał się, czy Bóg ma zamiar wymierzyć mu taką samą karę.

Wreszcie w końcu maja dotarł do San Francisco i natychmiast skontaktował się z Andy Huntem, aby dowiedzieć się, jak idzie budowa kolei. Biuro Andego było zamknięte na cztery spusty, ale znalazł go w Bank Exchange Saloon, w towarzystwie Sama Lewisa i Lloyda Wintle'a. W barze było duszno i ciemno od dymu, a kiedy Collis wszedł do środka, wiele brwi uniosło się w wyrazie zdziwienia i wiele hałaśliwych rozmów zamieniło się w konspiracyjny szept. Wiadomość o nowelizacji Ustawy o transkontynentalnych drogach żelaznych dotarła do San Francisco w dzień, gdy ją podpisano, i ponad połowa stałych bywalców knajpy przypomniała sobie o swoich zakładach z Collisem. Postawili dwa, trzy tysiące dolarów – a niektórzy nawet dużo więcej – sądząc, że nie uda mu się nigdy przeprowadzić linii kolejowej przez Sierra Nevada.

– Sam! Lloyd! Jak się macie! – rzekł Collis, wyciągając rękę na powitanie.

– Nieźle, nieźle, można wytrzymać. Niepokoją mnie trochę wiadomości z frontu, to wszystko – rzekł Lloyd. – Za to ty wyglądasz mizernie. Chory jesteś, czy co?

– Niestety, tak. Ale po paru dniach odpoczynku i kilku koktajlach burbońskich wszystko będzie jak ta lala. Andy, jak tam nasza kolej?

– Posuwamy się powoli, ale systematycznie – odparł Andy. Collis podniósł dłoń, żeby zamówić drinka. Barman znał już jego upodobania, więc tylko skinął głową nieznacznie, prawie niedostrzegalnie, jak wprawny cinkciarz zawodowiec.

– Muszę przyznać, że mnie rozczarowujesz – zwrócił się Collis do Andy'ego. – Im więcej ułożymy torów, tym szybciej dobierzemy się do federalnych pożyczek.

– Owszem. Ale nie ma cudów! – rzekł Andy. – Charles cały czas pracuje na trasie i udało mu się doprowadzić tory do Newcastle. Przewóz pasażerów powinien się rozpocząć w przyszłym miesiącu; dziesięć srebrniaków na milę.

Collis wyciągnął rękę po swojego drinka, który stał na kontuarze obok Sama Lewisa.

– No tak, pewnie, że lepsze to niż nic. Przynajmniej załapiemy się na pierwszą wypłatę.

Ale oprócz torów chciałbym popchnąć naprzód budowę nasypu, bo za to właśnie nam zapłaca.

– Mamy kłopoty z siłą roboczą – rzekł Andy. – Charles telegrafował dopiero wczoraj, prosząc o więcej ludzi. Mamy kilkuset Irlandczyków, najemników, którzy pracują przy budowie nasypu, tuż za Newcastle, ale to próżniaki i moczymordy, a do tego malkontenci. Już teraz kręcą nosami na zarobki.

Collis skinął głową.

– Przewidziałem to już dawno, dwa lata temu. Z tym sobie poradzimy. Zostanę w San Francisco jeszcze przez kilka dni i porozmawiam z Mr Yee. Zobaczę, ilu Chińczyków uda mi się nam zwerbować do pracy.

Andy skończył swoje piwo.

– Chyba nie mówisz o tych Chińczykach poważnie? Zawsze myślałem, że to tylko żart.

Wiem, że Charlesowi nie będzie się to wcale podobało.

– Bo nie wie, na co ich stać.

– Ale przecież to chuderlaki. Wątle toto, słabowite, no nie? – wtrącił Lloyd Wintle. – No, wiesz, weź takiego przeciętnego Chińczyka i postaw go obok przeciętnego Irlandczyka.

Zaraz widać różnicę. Przeciętny Irlandczyk – ten dopiero ma mięśnie. Taki, proszę ja ciebie, może nawet przenieść góry. Ale przeciętny Chińczyk? Co ci po nim? Chyba nie sądzisz, że wybudujesz kolej przez Sierra Nevada przy pomocy śmiesznych liliputów w miskowatych kapeluszach i niebieskich piżamach?

– I jedzą jakoś po pogańsku – dorzucił Sam Lewis. – Nie wyżywisz chińskiego hufca wieprzowiną i fasolówką. Ten cały ich ryż i wodorosty, i kielki bambusowe. Jak ty ich tam wykarmisz?

Collis pokręcił głową, grzecznie, ale stanowczo.

– Nie macie o niczym zielonego pojęcia. Nie zapominajcie, że Wang-Pu był moim serdecznym przyjacielem, a Kwang Lee jest mi teraz nawet jeszcze bliższy. Wiem, czego Chińczycy mogą dokonać, i co myślą o kolei. Wiem przecież dobrze, co jedzą. To żaden problem – przyprowadzą ze sobą własnych kucharzy. Poczekajcie tylko, któregoś dnia zabiorę was na zbocza wysokich Sierras, i wtedy dopiero powiecie mi, czy taki przeciętny Chińczyk nie dorównuje przeciętnemu Irlandczykowi! Sami zobaczycie!

Tak jak to sobie założył, Collis wpadł tego wieczora do restauracji Deara, żeby zobaczyć się z Mr Yee. Zjadł trochę mięsnego gulaszu i wieprzowiny i czekał na jego przyjście.

Mr Yee zjawił się w towarzystwie krewnych z Kantonu, ale przeprosił ich na parę minut i przysiadł się do Collisa.

– Nie widziałem pana od miesięcy – powiedział. – Wszystko posuwa się zgodnie z planem?

– Słyszał pan o Ustawie o transkontynentalnych drogach żelaznych?

– Oczywiście – rzekł Mr Yee. – To pan wynegocjował nowe warunki? Jest pan gotów?

Będzie pan wreszcie budował tę kolej?

Collis skinął głową.

– Za dwa dni wracam do Sacramento i wtedy od razu zaczniemy układać tory. Piorunem!

Własnym oczom pan nie uwierzy!

– I dotrzyma pan słowa?

– Właśnie po to tu jestem. Potrzeba mi już teraz, od ręki, stu robotników, a później zatrudnię jeszcze więcej. O wiele, wiele więcej. Proszę to wszędzie rozgłosić, że każdy sprawny fizycznie Chińczyk będzie mile widziany przy budowie naszej drogi żelaznej i że mogą się ze mną skontaktować za pana pośrednictwem.

– Doskonale – rzekł Mr Yee. – Mam nadzieję, że Wang–Pu jest świadom tego, że dotrzymał pan swego przyrzeczenia.

Collis patrzył na Mr Yee znad filiżanki gorącej zielonej herbaty.

– Wang–Pu na pewno nigdy w to nie wątpił, Mr Yee – odpowiedział.

*

Przed wyjazdem z San Francisco chciał złożyć jeszcze jedną wizytę. Wziął dorożkę i dojechał aż do samej Happy Valley, a potem udał się na piechotę w stronę Calusa House, w South Parku. Niebo było pogodne, rozświetlone słońcem.

South Park chylił się już wyraźnie ku upadkowi. Wiele domów świeciło pustkami.

Opuścili je południowcy, którzy w czasie wojny stracili swoje ulokowane w tytoniu i bawelnie kapitały. Równiutki trawniczki w ogrodach zarosły gąszczem chwastów, a z płotów odpadała farba – aż się prosiły o odmalowanie. Izolacja od śródmieścia, która niegdyś była główną atrakcją tej dzielnicy, teraz nagle stała się jej podstawowym mankamentem. South Park zdawał się wyludniony i zaniedbany.

Collis poszedł prosto do domu Melfordów i zapukał. Czekał przez jakiś czas, a potem czarny służący otworzył drzwi i rzekł bez żadnego zdziwienia: – Mr Edmonds, proszę wejść. Mr Melford zobaczył pana już z daleka i zaprasza pana do środka.

Collis zawahał się. Przyszedł tylko po to, żeby dowiedzieć się o zdrowie Sary; nie wiedział, czy Melfordowie w ogóle będą chcieli z nim rozmawiać. Ale służący stał cierpliwie przy drzwiach, otwierając je przed nim na oścież, jakby Collis był tu bardzo mile widzianym gościem, więc w końcu zdecydował, że może skorzystać z zaproszenia.

Zastał Laurence’a Melforda w salonie; stał przy weneckich oknach wychodzących na ładnie utrzymany, niemalże geometryczny ogród, który znajdował się za domem, od strony podwórka. Salon urządzony był bez przepychu, ale widać w nim było bogactwo. Stała tam osiemnastowieczna angielska serwantka, wypełniona oryginalną porcelaną z Worcestershire, a nad marmurowym kominkiem wisiał portret namalowany przez Fransa Halsę. Zasłony były aksamitne, rdzawo – brązowe, a dywan ręcznie tkany, sprowadzony z Belgii.

Sam Laurence Melford ubrany był w czarny frak i czarny krawat, a na lewym ramieniu nosił czarną krepę. Wyglądał o dziesięć lat starzej – siwy, przygnieciony rozpaczą, udręczony wojną. Skórę miał pomarszczoną, jak zwiędłe jabłko, które wałało się przez parę dni na talerzu.

Collis skłonił się lekko i rzekł: – Mr Melford.

Laurence Melford odwrócił się i skłonił głową na przywitanie.

– Napiłby się pan czegoś? – zwrócił się do Collisa. – A może cygaro?

– Nie, dziękuję.

– Wobec tego może przynajmniej pan usiądzie. Nie zabiorę panu dużo czasu.

Collis odwrócił się za siebie, podwinął frak i rozsiadł się na angielskiej sofie, obitej materiałem w takim samym rdzawym kolorze jak zasłony.

– Jest pan w żałobie – zwrócił się do Laurence’a Melforda. Laurence Melford skinął głową.

– Tak. Grant został zabity sześć tygodni temu w Tennessee.

– Przykro mi. Naprawdę tak mi przykro.

Laurence Melford stał nadal przy oknie w blasku dziennego światła.

– Tak – powiedział dziwnie nie swoim głosem, w którym słychać było drżenie. – Wiem, że mówi pan szczerze.

Potem odszedł od okna w głąb pokoju.

– Wie pan co? Zawsze uważałem pana, Collis, za zwykłego parweniusza, za nikczemnego, chamskiego gnojka jednego z tych osiedleńców z młodego pokolenia, którzy przyjechali do Kalifornii tylko po to, żeby wykorzystać jej naturalne bogactwa, nie oferując nic w zamian.

– Rozumiem pańskie uczucia – rzekł Collis. – Chyba sam też bym tak myślał na pańskim miejscu.

– Ale – kontynuował Laurence Melford – ale teraz... teraz myślę, że się jednak myliłem. Nie jest pan wcale ani tak niebezpieczny, ani taki nikczemny. O, nie mogę powiedzieć, że pana kiedykolwiek lubiłem i prawdopodobnie dalej pana nie lubię... ale to, co mówił pan o naszych historycznych zadaniach... no cóż... tu miał Pan rację. To nie pana się bałem. Właściwie, to nie pan mnie niepokoił. Tak naprawdę bałem się po prostu perspektywy tych zmian, których pan sam byłeś jedynie zwiastunem.

Zastanawiał się nad czymś przez chwilę, gładząc się po policzku, jakby sam nie był pewien, kim jest, a potem powiedział: – Pan nie był chorobą, tylko jednym z jej symptomów. Ta choroba to chciwość, eksploatacja wszystkiego, co ta ziemia może zaofiarować; to obojętność na jej tradycje i naturalne piękno; to brak poszanowania pamięci tych, którzy bili się, aby uczynić z tego pustkowiecia krainę mlekiem i miodem płynącą. Tak naprawdę to nawet wcale nie pańska wina.

Wprawdzie nadal twierdzą, że był pan bez skrupułów, ale cóż; pańskie przeznaczenie dało panu na to licencję. Obserwuję z uwagą wszystkie pańskie poczynania, Mr Edmonds, i pewien teraz jestem, że przedrze się pan przez Sierra Nevada.

Collis odczekał chwilę, a potem zapytał: – A jak się czuje Sara?

– Sara? O, zupełnie dobrze. Pojechała z wizytą do przyjaciół, do Calistogi. Jakoś się przemogła i przezwyciężyła te... te trudności.

– Czy nadal uważa pan, że to wszystko moja wina?

– Do pewnego stopnia, chyba tak – rzekł Laurence Melford. – Ale i moja też, oczywiście. Uczyniłem z niej więźnia we własnym domu. Nigdy nie puszczałem jej na zabawy, na które się wyrywała, i nie pozwoliłem jej chodzić z chłopcami, którzy jej się podobali. No ale chciałem, żeby zachowywała się jak dobrze wychowana panna z dobrego domu, z Wirginii, a nie jakaś samowolna chłopaczara z Północnej Kalifornii. Z jednej strony robiłem wszystko, żeby wyrosła na osobę samodzielną, a z drugiej ograniczałem jej wolność, więc nic dziwnego, że czuła się w tym wszystkim zagubiona. Ale jak na przyjaciela pan sam też nieładnie postąpił, prawda? Chodzi mi o te fotografie... Collis patrzył na niego przez długi czas.

– Więc wie pan, że to ja?

– A któż by inny? Widać w tym było od razu pański zmysł organizacyjny. Pod tym względem jest pan geniuszem. Ale w końcu Sara sama o wszystkim opowiedziała matce i o tym, że sama zgodziła się pozować, też. Właśnie zwłaszcza to jej wyznanie pozwoliło mi przeanalizować samego siebie, a także zmiany, jakie zachodzą w Kalifornii.

Collis nic nie odpowiedział. Laurence Melford okrążył sofę, na której siedział Collis, i stanął przed nim, gładząc się dłonią po policzku, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Pewnie zastanawia się pan, co myślę o tych pięćdziesięciu tysiącach dolarów, które panu zapłaciłem. No cóż, proszę się nie obawiać – nie będę żądał ich zwrotu. Niech tam leżą, zainwestowane w tę pańską drogę żelazną Sierra Pacific. Po tych pańskich intrygach w Waszyngtonie widzę, że nic już pana nie powstrzyma, więc pewnie to nawet całkiem bezpieczna inwestycja. Ale chciałbym dostać kwit z potwierdzeniem, że jestem jednym z udziałowców, na wypadek, gdyby znowu chciał pan spłatać mi jakiegoś psikus.

Collis również uśmiechnął się do Laurence'a Melforda i pokiwał głową.

– No dobrze. Zaraz z rana każę naszym adwokatom sporządzić wszystkie potrzebne dokumenty.

Podniósł się do wyjścia, a Laurence Melford odprowadził go do drzwi. A kiedy włożył cylinder i odwrócił się, by się pożegnać, Laurence Melford powiedział nagle: – Mam nadzieję, że nie zrozumie pan tej naszej rozmowy opacznie.

– To znaczy? – spytał Collis.

– Proszę nie sądzić, że pochwalam pański tupet i pańskie postępowanie. Ani mi się śni.

Przyznaję jedynie, że kieruje nami przeznaczenie, że pewne zmiany historyczne są po prostu nieuniknione i że wreszcie nauczyłem się to wszystko akceptować.

Collis zamyślił się nad tym, a potem wykrzywił twarz w grymasie.

– Chyba ma pan rację – powiedział. – Historia rządzi się własnymi prawami i nic na to nie można poradzić.

Wyszedł, a Laurence Melford, stojąc nieruchomo w otwartych drzwiach frontowych, odprowadził go wzrokiem. Collis odwrócił się dwa razy, ale nie uniósł dłoni na pożegnanie. A kiedy się odwrócił po raz trzeci, Laurence Melford zniknął wewnątrz mieszkania i zamknął za sobą drzwi.

*

W końcu wyjechał za Newcastle, żeby przekonać się na własne oczy, jak idzie praca przy torach, i przyglądał się irlandzkim i chińskim najemnikom, którzy walili oskardami i łopatami przy budowie podtorza. Nie mógł się nadziwić tej kolonii naprędce skleconych namiotów, dymiących ognisk, gdzie przygotowywano posiłki, i rzędom platform towarowych, naładowanych żelaznymi torami. Miał na sobie buty jeździeckie i ciepłą jesionkę z podpinką, ponieważ był już wrzesień, a kolej stopniowo zaczynała wspinać się w górę, u podnóża Sierra Nevada.

Parę jardów przed nim stała największa i najpotężniejsza lokomotywa, jaką posiadali „City of Sacramento”. Była to dziesięciokołówka, skonstruowana specjalnie dla nich w Filadelfii.

Była im absolutnie niezbędna, i to natychmiast, więc Collis zamówił ją na Wybrzeżu Wschodnim, skąd wysłano ją w częściach do Aspinwall, a stamtąd została przewieziona na platformach towarowych aż do Panama City. Potem załadowano ją na parowiec i przetransportowano drogą morską przez Pacyfik, aż do San Francisco. No i wreszcie wysłano ją transportowcem śródlądowym, kursującym na rzece Sacramento, i w trzydzieści pięć dni dotarła do celu swej podróży. Choć jak na taką podróż, z Filadelfii do stacyjki u podnóża Sierra Nevada, była to rzeczywiście prędkość rekordowa, cała operacja kosztowała Sierra Pacific bardzo drogo: ponad 32 tysiące dolarów.

Collisa niepokoił jeszcze jeden poważny problem finansowy. Federalne pożyczki przychodziły wprawdzie w stałych ratach, ale wypłacano je w papierowych banknotach, w Kalifornii zaś jedyną walutą, która się naprawdę liczyła, było złoto, więc żeby zapłacić robotnikom, zaopatrzyć się w haki szynowe oraz pokryć wszystkie inne wydatki, Collis musiał wymieniać papierowe banknoty na sztaby złota. Kurs papierowego dolara był bardzo niski: pięćdziesiąt siedem centów za dolara, a to oznaczało, że tracili ponad czterdzieści procent z tych cennych tysięcy dolarów za milę, które przesyłał im rząd.

Collis dwoił się i troił, żeby jakoś wyrównać te straty. Robotnicy Sierra Pacific ukończyli budowlę drogi transportowej aż po Dutch Fiat, a od 1 lipca Collis nałożył wysokie myto na wozy dostawcze, które przewoziły towary do Washoe, Humboldt i Reese River. Ale mimo to przedsiębiorstwo dalej znajdowało się na krawędzi bankructwa i każdego ranka Leland, Collis i Charles siadali przy stole, w sklepie pod numerem 54, popijając kawę i kłócąc się zawzięcie, czy warto to dalej ciągnąć, czy też nie.

Ale pewnego czwartkowego poranka, przeglądając rachunki, zauważyli, że się jednak ostatnio trochę podreperowali finansowo: trzydziestojednomilowe połączenie kolejowe pomiędzy Sacramento i Newcastle zaczynało przynosić jaki taki dochód. I między innymi, właśnie dlatego Collis wyjechał z Sacramento pociągiem o 6.15, wysiadł na końcowej stacji Sierra Pacific, a potem udał się dalej konno, żeby zobaczyć, jak idzie budowa kolejowego odcinka drogi żelaznej. Chciał również pomówić z Charlesem o chińskich robotnikach.

Powietrze było rześkie, choć Collis podejrzewał, że dzień będzie skwarny po południu.

Słysząc było miarowy brzęk zrzucanych z platform szyn, a potem, natychmiast, wściekły zgrzyt młotów przy wbijaniu haków. Mężczyźni, którzy podnosili i umocowywali tory, pracowali w milczeniu.

Charles wyszedł z zakurzonego namiotu z napisem „Kierownik budowy” i podszedł do Collisa. Twarz miał czerwoną jak burak, wysmaganą letnim wiatrem i przepaloną słońcem, ale nie brakowało mu ani energii, ani animuszu. Był teraz w swoim żywiole, w towarzystwie sobie podobnych mężczyzn. Jadł, pił, palił i przeklinał, nie przebierając w słowach; i choć chroniczny brak kobiet w górniczych osadach u podnóża Sierra Nevada dawał mu się czasem we znaki, na ogół znosił to doskonale.

Zresztą od czasu do czasu odwiedzała ich jakaś tania, ale ofiarna prostytutka z Wappo, a to mu podobno zupełnie wystarczało, aby „nie stracić nic z męskiego wigoru”.

A co najważniejsze, udało mu się uciec daleko od Mary, i to może na długie, długie lata.

Służbowo, oficjalnie.

– No, jak tam idzie? – spytał Collis, kiedy Charles zbliżył się do niego.

– Ta twarda opoka, o tam, przed nami, opóźnia tempo – odparł Charles. – Mamy tu do wydrążenia łącznie osiemset stóp litej skały, przeciętnie na głębokość sześćdziesięciu trzech stóp.

Staraliśmy się kopać, ale to świństwo nie lepsze niż granit, więc zaczęliśmy wysadzać prochem. Sęk w tym, że brakuje nam już prochu.

Collis przesłonił oczy i spojrzał przed siebie. Lesiste zbocza Sierra Nevada wznosiły się tu stromo, więc żeby przeprowadzić tędy płaski nasyp kolejowy, będą musieli wciąć się w tę skałę klinem. Pamiętał to miejsce z tej ich pierwszej wyprawy, kiedy jechali tędy na spotkanie z doktorem Katesem, na wstępne pomiary. Jakoś nie przyszło mu wtedy wcale do głowy, że droga, którą jechali furmanką, może okazać się nieprzejezdna dla lokomotywy.

– Ile ci potrzeba tego prochu? – zapytał Collis, mrużąc oczy w jaskrawych promieniach słońca.

– Cztery, może pięć tysięcy beczek. Trzeba jeszcze będzie rozwalić niejedną skałę.

– No dobrze – powiedział Collis. – Zobaczę, co się da zrobić.

Resztę dnia spędził na inspekcji warunków mieszkaniowych na budowie i przyglądał się robotnikom przy pracy; chciał wyrobić sobie zdanie na temat ich wydajności. Zjadł podany w blaszance prosty obiad, złożony z wieprzowiny i sucharów, i popił to wszystko whisky z kubka do kawy, tak aby robotnicy nie mogli się zorientować, co pije. W drodze powrotnej miał złapać pociąg osobowy nr 3 z Newcastle do Sacramento, ale przed samym odjazdem wziął Charlesa na stronę.

– Masz teraz stu Chińczyków – powiedział. – Nie powiedziałaś mi jeszcze, jak się sprawują.

Charles pociągnął ręką za nos.

– Nie jestem pewien, czy jestem z nich naprawdę zadowolony – powiedział.

– Nie pracują uczciwie?

– Pracują bardzo dobrze – zawsze gotowi już na pierwszy gwizdek, czego nie można powiedzieć o Irlandczykach. Ale trzymają się tylko ze sobą. Pitraszą własne żarcie, chlają te swoje napary i najwyżej od czasu do czasu któryś tam zakurzy fajkę z opium. Wielkie mi rzeczy!

– Charles – napomniął go Collis. – Jesteśmy tu po to, żeby wybudować drogę żelazną.

To nie cyrk wędrowny tobie na uciechę. Musimy ukończyć tę budowę, a w moim przekonaniu Chińczycy nadają się do tego znakomicie. Wyślę ci zaraz, w połowie przyszłego tygodnia, jeszcze setkę i masz ich traktować sprawiedliwie. Zrozumiano?

Charles nic nie odpowiedział, tylko przejechał dłonią po opalonym karku i odwrócił głowę w stronę końcowej stacji, gdzie właśnie zrzucano z platformy kolejny tor, gotowy do połączenia z resztą. Znowu dał się słyszeć metaliczny łoskot, który słyszy się tylko przy budowie kolei. Był to jeden z głosów Ameryki.

– Wracam do Sacramento o piątej – rzekł Collis. – Postaram się jak najszybciej dostarczyć ci prochu na Bloomer Cut.

Charles uniósł dłoń w niemym salucie, a Collis natychmiast odwrócił się i odszedł.

*

Starął się o ten proch przez pięć tygodni. Najpierw zatelegrafował z prośbą o pomoc do sekretarza wojny, Edwina Stanton, ale odpowiedziano mu odmownie. Stanton uważał przedsiębiorców kolejowych za oszustów i intrygantów, przy czym nie omieszczał poinformować o tym Collisa bez owijania w bawełnę.

Collisowi pozostało tylko jedno wyjście. Bez wiedzy Stanton napisał do prezydenta Lincoln, prosząc o przydział prochu. Lincoln, który nie wiedział, co Stanton myśli na temat przedsiębiorców kolejowych, podpisał bezzwłocznie zezwolenie na dostawę prochu, oświadczając jednocześnie, że rozumie „tę nagłą potrzebę”.

Było to u schyłku lata, a wczesną jesienią Charles i jego ludzie wysadzili skalistą ścianę i posuwali się do przodu, w kierunku Dutch Fiat i dalekich wierzchołków wysokich Sierras.

Potem nadeszła mroźna zima i musieli bez przerwy odkopywać zasy śnieżne, aby dostać się do nasypu kolejowego.

Charles wysłał Collisowi list w tonie minorowym:

Zimno jak cholera, a robota idzie jak z kamienia. A w dodatku moja pani z Wappo przestała nas odwiedzać ze względu na odległość i pogodę. Aha, nawiasem mówiąc, będę potrzebował jeszcze Chińczyków. Przynajmniej ze stu, i to jak najprędzej.

Na każdym kolejnym odcinku budowy Sierra Pacific Charles potrzebował coraz więcej chińskich robotników. Głęboki parów w Sailor's Spur zasypany został całkowicie granitem i iłupkiem, ręcznie wyrąbanym przez przyodzianych w niebieskie kufajki Chińczyków.

Każdy nowy ładunek wydobyty ze skalistych zboczy, które wznosiły się przed ich oczami, dowożono do parowu zaprzężoną w konie furmanką. Collis pojechał do San Francisco w marcu 1865 roku i z pomocą Mr Kwanga wszedł w kontakt z chińskimi pośrednikami pracy, a oni natychmiast udali się do Chin, gdzie w wioskach w Kantonie rekrutowali młodych mężczyzn i chłopców do pracy w Kalifornii. Pośrednicy pożyczali świeżo – zatrudnionym najemnikom pieniądze na przepłynięcie parowcem – wszystkiego czterdzieści dolarów – i odciągali to sobie potem z procentem z pensji przy budowie kolei.

Charles, choć niechętnie, musiał przyznać, że Collis nie pomylił się co do Chińczyków.

„Podejmują się każdego zadania – napisał do Collisa. – Kiedy napełnialiśmy parów Sailor's Spur, pędziłem ich do roboty 24 godziny na dobę, i w ogóle się nie skarżyli.”

*

W czasie swojej kolejnej wizyty w San Francisco Collis wybrał się do świątyni Kong Chów na Pine Street i zapalił kadzidła dla Wang-Pu. Nie powiedział o tym nikomu i nikt się o tym nigdy nie dowiedział oprócz bóstw, którym Wang-Pu oddawał cześć za życia. Później zszedł samotnie na kolację do restauracji w hotelu International i po raz pierwszy uświadomił sobie, że stał się obiektem ogólnego zainteresowania. Wokół szeptano na jego temat i udało mu się nawet uchwycić parę zwrotów, takich jak „kolejowy milioner” i „Sierra Pacific”.

Wtedy dopiero tak naprawdę zdał sobie sprawę, jakiego się podjął zadania – jak doniosłe było jego przedsięwzięcie.

Nawet teraz, kiedy linia kolejowa biegła już do Dutch Flat, wielu liczących się polityków, nadal nie dopuszczało do siebie myśli, że zostanie ona kiedykolwiek ukończona. Rywal Lelanda w kalifornijskim senacie, demokratą, oznajmił, że nawet jego własne wnuki nie będą jeszcze miały okazji przejechać się pociągiem, a przynajmniej on, osobiście, nie postawiłby na to złamanego centa. Wszystko to tylko głupie bajdoły, a dyrektorzy przedsiębiorstwa to albo kupa idiotów albo wydrwigroszy.

Collis wiedział doskonale o tych wszystkich komerażach, ale trzymał nerwy na wodzy. Na cmentarzu kościoła rzymskokatolickiego w Sacramento znajdowała się tabliczka nagrobna, do której musiał wracać, a to zobowiązywało go już na zawsze.

*

Jesienią 1864 i wiosną 1865 roku doniesienia z frontu, które przychodziły do Sacramento z Waszyngtonu, wskazywały, że zbliża się klęska konfederatów. W kilka tygodni po odwiedzinach Collisa u Charlesa, w Bloomer Cut, William Tecumseh Sherman, którego Collis widział kiedyś zmagającego się z kotлетem schabowym w jednej z restauracji w San Francisco, zdobył Atlantę i

puścił całe miasto z dymem. W następnym miesiącu Sheridan przeszedł jak burza przez Shenandoah Valley. Dzięki tym nieoczekiwanym sukcesom Zjednoczenia na polach bitwy Lincoln w listopadzie został ponownie wybrany na prezydenta, co zapewniało, że nadal będzie przychylnie nastawiony do budowy transkontynentalnej drogi żelaznej.

Zimą nadeszły wieści, że Sherman wtargnął w sam środek konfederackich stanów, siejąc spustoszenie, podpalając domy i gospodarstwa rolne, a także rujnując fabryki, aby za jednym zamachem załamać zarówno gospodarkę, jak i ducha Południa. 3 kwietnia, w upalne, leniwe popołudnie, do Sacramento dotarła wiadomość telegraficzna, że stolica secesjonistów, Richmond, wpadła wreszcie w ręce generała Granta*. W sześć dni później komunikaty wojenne podawały, że Lee* złożył wreszcie broń w Appomattox.

Najbardziej wstrząsająca wiadomość przyszła jednak pięć dni później, w Wielki Piątek, 14 kwietnia. Prezydent Lincoln został zamordowany w Ford's Theatre, w Waszyngtonie, gdzie poszedł zobaczyć drugorzędną sztukę Nasz kuzynek z Ameryki. Zginął z ręki zamachowca z Południa, Johna Wilkesa Bootha, który oznajmił, że była to zemsta za upadek Wirginii.

W Niedzielę Wielkanocną, 16 kwietnia, gdy mieszkańcy Sacramento zgromadzili się w ciszy przed kościołem fundamentalistów*, aby oddać hołd pamięci swego zmarłego prezydenta, Collis znowu spotkał się z Delfina.

Oboje spóźnili się na nabożeństwo. Collis do późnych godzin wieczornych zajęty był podliczaniem rachunków swojego przedsiębiorstwa kolejowego; Delfina spędziła popołudnie, zabawiając dwóch lojalnych republikanów, którzy chcieli zapomnieć o swej rozpaczce z powodu śmierci Lincolna przy alkoholu, cygarach i w podwójnym akcie kopulacji. Obaj ci czcigodni dżentelmeni, chodzące cnoty obywatelskie, siedzieli teraz w kościelnych ławach obok swoich małżonek, w otoczeniu rodzin, niczym pełni chrześcijańskiej pokory wzorowi mężowie.

Kościół był tak przepelniony, że Collis musiał stanąć na zewnątrz, na ganku. Delfina stała trochę z tyłu, przy parkanie, z głową zwieszoną w modlitwie. Ubrana była w elegancki czarny płaszcz i czarny kapelusz, a wszystkie jej ozdoby były również w czarnym kolorze.

Ponieważ i tak trudno było zrozumieć cokolwiek z tego, o czym mówił ksiądz na ambonie, więc Collis przeszedł przez zakurzony dziedziniec kościelny i stanął obok Delfiny, z rękami złożonymi jak do modlitwy i ze spuszczoną głową. Po niebie pełzały pierzaste pasemka chmur, a leciutki powiew wiatru poruszał czarne pióra na kapeluszu Delfiny.

– Delfino – powiedział.

Uniosła głowę. Jej twarz ukryta była pod ciemną siatką koronki, haftowanej w drobniutki czarny rzucik, ale mimo to widział jej piękne, duże oczy i łagodne, niemal dziecięco różowe wargi.

– Przyszłam tu, by oddać cześć pamięci Abrahama Lincolna – powiedziała. Wprawdzie nie dokończyła swojej wypowiedzi, ale zabrzmiało to, jakby miała zamiar dodać: „Na pewno nie przyszłam, żeby zobaczyć się tutaj z tobą.” Collis uśmiechnął się do niej krzywo.

– To straszna tragedia. Nie zdążył nawet zobaczyć społeczeństwa, o które walczył.

– A jakie to ma, twoim zdaniem, znaczenie? – spytała Delfina. Wewnątrz kościoła kongregacja zaintonowała Psalm 24: „Kto wstąpi na Pańskie wzgórze? Kto stanie na świętym miejscu?” Paru spóźnialskich na dziedzińcu przed kościołem również dołączyło się do chóru.

– Co cię tu trzyma, w Sacramento? – zwrócił się Collis do Delfiny. – Myślałem, że wyprowadzisz się zaraz po przyjeździe do San Francisco.

– Mam swoje powody – odparła Delfina. – Nie muszę ci się chyba z nich spowiadać?

– Ale mam nadzieję, że nie jesteś tu ze względu na mnie?

– Rzeczywiście! Jeszcze czego! A niby po co miałabym latać za tobą na sam koniec świata?

Collis odwrócił wzrok i spojrział na drugą stronę ulicy, gdzie w cieniu drzew, przez których gałęzie przebijały ostatnie promyki słońca, zgromadzili się zacy mieszkańcy Sacramento: mężczyźni w świątecznych surdutach, kobiety w kapeluszach i sukniach kościelnych.

– Myślałem, że kiedyś mnie kochałaś – powiedział Collis. – Tak jak i ja kochałem ciebie. Więc sądziłem, że twój pobyt tutaj może mieć z tym coś wspólnego.

– Aaa, teraz rozumiem! – powiedziała. – Powrót do czasów młodszej miłości, dokładnie tak, jak w tych powieściach za dwa miedziaki.

– Czy muszę ci przypominać, że sam kiedyś pojechałem za tobą do Waszyngtonu? – spytał Collis. – I czy muszę ci przypominać, jaką mi wtedy dałaś odpowiedź?

Delfina spojrzała w dół na swoje złożone ręce. .

– Nie – powiedziała. – Nie musisz mi o tym przypominać. Ani też nie musisz mi przypominać, że ponieważ zawiodłeś się w swoich oczekiwaniach, uważałeś za stosowne zdeptać wszystkie moje ludzkie uczucia, że lekkomyślnie zabiłeś we mnie resztki godności osobistej, bo tak ci akurat pasowało ze względu na tę twoją kolej. Collis złapał ją za ramię.

– Jeśli mnie tak nienawidzisz, to dlaczego tu jesteś?

– Powiedziałam ci już: mam swoje powody.

– Kręcisz coś! – nalegał Collis.

Nie mógł nic wyczytać w wyrazie jej twarzy.

– Możesz sobie myśleć, co ci się żywnie podoba – powiedziała. – Ale ani to czas, ani miejsce na takie rozmowy. Może lepiej by było, żebyś przyszedł i porozmawiał ze mną jutro wieczorem u Mrs Pangborn.

– Nie chcę, żeby mnie widywano u Mrs Pangborn.

– No to może wobec tego ja wpadnę do ciebie? Wiem, gdzie mieszkasz.

Collis zawahał się. Zauważył, że paru co bardziej ciekawskich członków kongregacji odwraca już głowy i szepcze teraz na jego temat. Delfina była dobrze znana w mieście jako jedna z pupilek Mrs Pangborn i ze względu na układy społeczne było rzeczą niepożądaną, aby widziano go w jej towarzystwie.

– No dobrze – rzekł Collis szeptem. – Jutro o dziewiątej. A potem głośno powiedział: – Mam nadzieję, że ta odpowiedź naświetliła pani nieco okoliczności, które przyczyniły się do śmierci naszego drogiego prezydenta, Miss Spooner.

I odszedł od niej z grzecznym ukłonem. Delfina w odpowiedzi dygnęła w jego stronę szyderczo.

*

Spóźniła się. Była już prawie dziesiąta, kiedy jej powóz zatrzymał się wreszcie przed domem, od strony podwórka. Usłyszał dzwoneczki upręży, a potem skrzypienie poręczy, do której przywiązywała konia. Pił na umór i odpalał cygara od cygara. Podskoczył natychmiast do drzwi i otworzył je, zanim zdążyła zadzwonić.

– Aha – powiedział, nie mogąc złapać tchu. – Jednak przyszedłeś.

Weszła do środka. Miała na sobie kasztanową suknię, wyszywaną drobnymi, łezkowatymi perełkami, i czarną pelerynkę z kasztanowymi lamówkami. Włosy miała ondulowane w loczki i pachniała jakimiś francuskimi perfumami, których nazwa uleciała Collisowi z pamięci. Przypominały mu coś... albo kogoś... ale nie był pewien ani kogo, ani co.

Wprowadził ją do salonu. Od śmierci Hanny mało kiedy w nim przebywał, więc zdawał się zimny i obcy. Delfina przeszła się w kółko po pokoju, wodząc palcami po książkach, ornamentach i wazonach, aż w końcu przystanąła przy połączonym zwierciadle, które wisiało nad kominkiem, i uśmiechnęła się do własnego odbicia w lustrze.

– Chcesz się czegoś napić? – spytał Collis. Skinęła głową.

– Kieliszek słodkiego białego wina, jeśli można.

Collis podszedł do trójkątnego stolika, na którym w wiaderku, wypełnionym kostkami lodu, chłodziły się cztery butelki wina i butelka szampana. Nalał Delfinie drinka, a potem podszedł do niej z kieliszkiem w ręku.

– Chyba należą ci się moje szczerze przeprosiny – powiedział.

Wzięła od niego kieliszek. ; – Przeprosiny? A za co? Za to, że dokucza ci samotność?

– Samotność? – zapytał.

Zdjęła kapelusz i usiadła na sofie bez zaproszenia.

– Tak tylko mogę sobie wytłumaczyć twoje usilne dążenia do odnowienia naszej znajomości.

Uśmiechnęła się. Collis popatrzył na nią niepewnie.

– Chcę cię przeprosić za krzywdę, którą ci wyrządziłem, to wszystko. Poprosiłem, żebyś tu przyszła... chciałem z tobą porozmawiać... bo... ze względu na stare, dobre czasy. Kiedyś przecież byliśmy w sobie zakochani... Dlaczego mamy teraz być do siebie wrogo nastawieni... Delfina wlepiła w niego wzrok, a potem roześmiała się wysokim, srebrzystym śmiechem.

– Ze względu na stare, dobre czasy? Collis! Sądzisz, że dalej jestem tą nieśmiałą, namiętą wprawdzie, ale milutką i niewinną istotką, którą znalazłeś z Nowego Jorku? Czy takie masz nadal o mnie wyobrażenie? Po tych wszystkich burdelach i lupanarach, w których zabawiałam mężczyzn, przechodząc z rąk do rąk? Po Wirginia City, Denver i Kanas? Po tym, jak te wszystkie przepocone kmiotki i kupczyki, i zachłani panowie parlamentarzyści pokrywali mnie i... – Przestań! – krzyknął Collis. – Nie chcę o tym słyszeć!

Delfina wzruszyła ramionami, popijając wino.

– Wolę ci zaoszczędzić, mój drogi, wstydu ubiegania się o kurwę, jakby to była namiętna, ale niezbrukana dziewczyna.

Collis odetchnął głęboko.

– Posłuchaj – powiedział. – Chcę przez to powiedzieć, że jestem gotów zapomnieć o tych wszystkich mężczyznach; Delfina otworzyła szeroko usta ze zdziwienia.

– Ty jesteś gotów o nich zapomnieć? Ty jesteś gotów zapomnieć o tych wszystkich mężczyznach? Dobrze sobie! A co to ma w ogóle, z tobą wspólnego? Ja też bym chciała zapomnieć o tych wszystkich mężczyznach. Bardzo bym chciała. Sęk w tym, że nie mogę.

Jakoś tak się składa, że ta moja uparta łepetyna nie pozwala mi wymazać z pamięci tych wszystkich trzeszczących materaców i tej cuchnącej tytoniem i wódką śliny i tej obrzydliwej, mokrej spermy.

– Na miłość boską, Delfino! – bąknął Collis. – To przecież poniedziałek wielkanocny, a ty wyrażasz się jak... – Jak kurwa? – rzuciła Delfina głośno, zaczepnie, bez żenady.

Collis podniósł bezradnie dłonie. Nie spodziewał się, że tak to się wszystko potoczy.

– Przykro mi – powiedział. – Żałuję tego, co się wydarzyło, i za wszystko przepraszam.

– Mnie też jest przykro – powiedziała. – Wszystko bym oddała, żeby tylko zawrócić wskazówki zegara i stanąć przed tobą czysta, nieskalana, tak jak w Nowym Jorku. Ale nie mogę. Widziałam zbyt wiele, Collis, i doświadczyłam zbyt wiele; i to, co ci przedtem powiedziałam, to też prawda. Żyję po prostu życiem, które zawsze mi było pisane. Tak zresztą jak i ty.

Wahadło zegara na kominku odbiło światło lampy w oczach Collisa, jak gasnąca namiętność z dalekiej, zapomnianej przeszłości. Pochylił się i delikatnie pocałował Delfinę w usta, a kiedy znowu podniósł głowę, jej oczy były zamknięte, a wargi rozwarte, więc znowu ją pocałował.

Dotknęła jego twarzy palcami.

– Collis – powiedziała. – Naprawdę sądzisz, że człowiek może o wszystkim zapomnieć?

– Nie wiem – powiedział. Serce ścisnęło mu się z żalu.

– Chyba nie – powiedziała. – Można chyba wybaczyć, ale nie zapomnieć.

Collis pochylił się ku niej, aby znowu ją pocałować, ale tym razem jakoś odwróciła głowę i podrapała go po twarzy piórami z kapelusza. Nachmurzył się i nie chciał wypuścić jej dłoni z uścisku, ale odwróciła się do niego plecami i odeszła, zamiatając suknią podłogę. Stała po drugiej stronie pokoju, wyprostowana, pewna siebie i uniosła lekko dłoń, by nałożyć rękawiczkę. Wyprężoną jak struna, naciągała energicznie każdy palec z osobna.

– Przyjdzie czas, w co nie wątpię, że uda mi się jakoś przebaczyć ci w głębi ducha – oświadczyła lodowato. – Ale nigdy nie zapomnę krzywdy, którą mi wyrządziłeś. Ani krzywd, które wyrządziłeś wszystkim tym, co stanęły ci na drodze. Chciałeś dopiąć swego za wszelką cenę, prawda? Przedrzeć się przez Sierra Nevada i zbić majątek? No więc ty i te twoje góry jesteście siebie warci. Jesteście jednakowo zimni i wyniośli, a zamiast serca macie zimne głązy.

– Delfino... – rzekł Collis.

– Nie, Collis – powiedziała. – Mam ci jeszcze tylko jedno do powiedzenia. Coś ważnego. Chyba powinieneś o tym wiedzieć. A może zresztą to taka osobista zemsta, a przy okazji zrozumiesz lepiej samego siebie, jak się o tym dowiesz.

– Wątpię, żeby twoje gadanie pomogło mi zrozumieć samego siebie – odburknął Collis, zły jak osa.

Wszystko się w nim burzyło. Jak ona się do niego odzywa, ta dziwka podrzędnej kategorii? Co ona sobie myśli? Że do kogo tak się zwraca? Do jakiegoś wyuzdanego utracjusza? Sowizdrzała? Nie, nie, moja panno! Masz teraz przed sobą Collisa Edmonda – milionera. Albo przynajmniej potencjalnego milionera.

– Posłuchaj tylko – rzekła Delfina. – Zgadałyśmy się o tobie z Mrs Pangborn w zeszłym tygodniu, a to, co mi powiedziała, wstrząsnęło mną. Wiesz o dziecku?’ – O dziecku? – spytał Collis. – O czym mówisz?

– Hanna zaszła w ciążę, ale się z tym przed tobą nie zdradziła. Zamiast tego udała się do Mrs Pangborn na skrobanę, żebyś się o tym nie dowiedział.

Collis patrzył na Delfinę z przerażeniem.

– Dziecko? – powtórzył. – Ale to było przecież już później... to ją zabiło.

– Nie – rzekła Delfina. – To wcale nie było później. Wygląda na to, że nie rozumiesz, że było dwoje dzieci. Pierwsze, które Mrs Pangborn usunęła z sukcesem... a potem drugie... – Hanna była ze mną w ciąży dwa razy i nic nawet o tym nie powiedziała? Nie wierzę w to! Głupstwa pleciesz!

– Może. Ale jak mi nie wierzysz, to zapytaj Mrs Pangborn. Powie ci, jeśli zgodzisz się ją za to sownie wynagrodzić i przyrzekniesz, że nie podasz jej do sądu. Twoje pierwsze dziecko popłynęło rzeką Sacramento do morza, w papierowej torbie; ale przy drugim były powikłania.

Mrs Pangborn przebiła niechcący jednym z przyrządów macicę i zabiła i twoją żonę, i twoje nie narodzone dziecko. Wywiozła Hannę w jej własnym powozie na przedmieście, żeby zatuszować ten drobny incydent, i zostawiła ją tam, no i oczywiście w ten sposób wyglądało to na naturalne poronienie. Ale jednak ją zabiła. A raczej zabiło ją twoje dziecko. Albo raczej to ty ją zabiłeś.

Collis zbladł jak prześcieradło. Czuł, że krew odpływa mu z twarzy i z dłoni i nie był w stanie wykrztusić z siebie ani słowa.

– Ja ją zabiłem? – wycedził wreszcie przez zaciśnięte zęby, starając się opanować drżenie warg. – Jak to ja ją zabiłem? Przecież nic o tym w ogóle nie wiedziałem. Na miłość boską, Delfino, ona przecież nic mi nawet o tym nie powiedziała!

Delfina ponownie okrążyła cały salon bez pośpiechu.

– Nie powiedziała ci, bo bała się mieć z tobą dzieci; bała się, że będziesz je traktować jak piąte koło u wozu. Nic dla ciebie przecież nie istniało, tylko ta kolej.

– Co ty opowiadasz?!

– Sama dokładnie nie wiem, jak to tam było naprawdę – przyznała Delfina. – Ale taki mi powiedziała Mrs Pangborn. Twoja żona nie chciała żadnych dzieci, dopóki kolej nie zostanie ukończona. Wiem od Mrs Pangborn, że Hanna przyrzekła ci to w dzień waszego ślubu.

Collis opuścił się ciężko na krzesło.

– Mój Boże – powiedział. – Mój dobry Boże. Nie mogę w to uwierzyć! Hanna i dwoje nie narodzonych dzieci, a wszystko po to, aby ułożyć czterdzieści mil torów kolejowych.

Delfina przypatrywała mu się przez chwilę. Był wstrząśnięty.

– Musiałam ci to powiedzieć, Collis. Nie mogłabym tego przed tobą zataić, nawet gdybym nie chciała cię zranić.

– Zraniłaś mnie. Udało ci się. Masz, czego chciałeś – odparł z drżeniem w głosie.

Podeszła do niego i stała obok przez chwilę. Potem pocałowała go delikatnie w czoło.

Spojrzała na nią nie widzącymi oczami.

– Idziesz już? – zapytał.

– Chcesz, żebym sobie poszła?

– Nie. Zostań. Proszę!

– Po co? Po to, żebym cię mogła dalej ranić. Jeszcze ci mało? Twoje dziecko popłynęło rzeką aż do San Francisco, twoja żona wykrwawiła się na śmierć we własnym powozie... A wszystko przez tę twoją obsesję.

Collis milczał przez jakiś czas, ale w końcu wyszeptał: – Zostań.

Delfina pokręciła głową.

– Musiałbyś mi zapłacić, a to by ci się na pewno nie uśmiechało. I tak już za dużo mnie kosztujesz. Wiesz, jak to jest – czas to pieniądz.

– Zostań – powtórzył.

– Nie, Collis – odparła. – Dobrze ci tak. Zostaniesz sam jak palec. Na nic innego zresztą, nie zasługujesz. Powinieneś wreszcie uświadomić sobie chociaż raz, przez ten jeden wieczór, że Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

– Ty kurwo – rzucił w jej stronę, z bólem i odrazą.

– A tak! – odparła dumnie, delektując się jego rozpaczą.

*

Po tym poniedziałku wielkanocnym 1865 roku Collis rzucił się w wir obowiązków niczym furia. Tyrał przy budowie kolei z zaciekłością, która przerażała Lelanda. Chociaż oficjalnie kierownikiem budowy był Charles, Collis jeździł na teren budowy dwa do trzech razy w tygodniu, anemiczny, osowiały, ubrany w czarny frak i czarny aksamitny cylinder. Był tak szorstki w obejściu i wychudzony w tych czasach, że irlandzcy robotnicy nazywali go między sobą krukami, a chińscy robotnicy – Yama, imieniem chudego, eleganckiego demona, który władał Pitrisem, czyli piekłem.

Pierwszym sprawdzianem odnowionej pasji oraz wytrzymałości Collisa okazały się pokłady stwardniałego łożyska, na które rębacze Sierra Pacific natknęli się w odległości pięćdziesięciu siedmiu mil od Sacramento, na jednym ze zboczy Sierra Nevada, prawie dwa tysiące stóp ponad spienionym nurtem American River. To tutaj właśnie Collis, Teodor i Wang-Pu zatrzymali się kiedyś z doktorem Katesem na południowy, obozowy posiłek.

Inżynierom kolejnictwa to urwisko wydawało się tak nieprzystępne i złowrogie, że natychmiast ochrzczili je Przylądkiem Horn. Zwieszało się pod kątem siedemdziesięciu pięciu stopni, dokładnie ponad korytem rzeki, a jednak musieli się jakoś tamtędy wdrzeć, aby przeprowadzić drogę żelazną.

Pewnego wietrznego popołudnia Collis udał się na inspekcję, a Charles stapał za nim ciężko, nachmurzony. Kwang Lee, ubrany w bardzo długą tweedową jesionkę, trzymał się parę stóp za Collisem.

– No tak. To typowe dla Teodora – rzekł Charles, wskazując palcem na szkice miernicze w miejscu, gdzie widniał Przylądek Horn. – Wszędzie tam, gdzie w rzeczywistości jest twarda opoka, on widział zawsze tylko miękki, sypki piasek.

Collis podniósł głowę i spojrzał na wierzchołek urwiska. Był szary, chropowaty i niemalże całkowicie bezdrzewny. Z bliska wyglądał jak jeden z barów ziemskiego globu.

– Trzeba to będzie wysadzić prochem, prawda? – spytał Collis Charlesa.

Charles przytaknął skinieniem głowy.

– Tylko że jak, cholera, mam niby umieścić minerów na urwisku nachylonym pod kątem siedemdziesięciu stóp, tak żeby mogli wywiercić dziury na ładunki wybuchowe?

Collis zamyślił się chwilę, a potem przywołał do siebie Kwang Lee.

– To tylko taki pomysł. Powiedzmy, że Chińczycy wdrapią się na szczyt skały i zainstalują tam dźwigarki. I powiedzmy, że spuści się ich w koszach po frontowej ścianie łożupka, tak żeby mogli wiercić, gdzie im się podoba. Zgodzą się na coś takiego? Jak myślisz?

Charles uniósł brwi w wyrazie zdziwienia, ale Kwang Lee zmierzył Przylądek Horn uważnym spojrzeniem i powiedział: – Myślę, że podjęliby się tego zadania z zapalem i szcycili swoim osiągnięciem, Mr Edmonds. Czy mam im przekazać pańskie instrukcje?

– Byłbym bardzo zobowiązany.

Charles patrzył za oddalającym się Chińczykiem.

– Niech mnie diabli porwą – powiedział tylko.

W ciągu następnych kilku tygodni chińscy najemnicy, spuszczeni dźwigarkami po skalistym grzbiecie, zawieszeni czternaście stóp ponad korytem American River, uzbrojeni w ręczne wiertarki, młoty i beczki prochu, stopniowo i metodycznie wysadzali stromą ścianę urwiska, do ostatniego kamienia.

Chińczycy lubowali się osobliwie w nacinaniu lontów ładunków z prochem na różne długości, więc gdy sygnalizowano, że wszystko już gotowe, i gdy sami, wciągnięci przez współpracowników po przedniej ścianie Przylądka Horn, znaleźli się w bezpiecznej odległości, wszystkie miny wybuchły jednocześnie, z przeraźliwym, rozlegającym się szerokim echem hukiem. Collis sprowadził z San Francisco wielu bankierów, aby mogli przyjrzeć się wysadzaniu Przylądka Horn. Był to spektakl bardzo widowiskowy i świetny jako reklama dla przyciągnięcia potencjalnych inwestorów.

Latem 1866 roku Collis zobaczył Delfinę tylko raz, a ona zignorowała go zupełnie. W tydzień później dowiedział się, że opuściła Sacramento i zamieszkała w San Francisco, w domu publicznym na Dupont Street. Słyszał jeszcze potem o niej często, głównie od Marii– Mamuśki, ale nigdy już się więcej nie spotkali.

Zimą 1866 roku chińscy budowniczowie kolei rozpoczęli roboty nad ostatnim i najdłuższym z sześciu tuneli, który prowadził Sierra Pacific na szczyty górskich grzebieców.

Kiedy się już tam znajdują, pozostanie jeszcze do wykopania dziewięć innych tuneli, zanim kolej dobrnie wreszcie na równiny w Nevadzie. Charles dzień i noc głowił się już nad rozdziałem poszczególnych zadań przy ich budowie. Ale najgorszym „cholerstwem”, jak sam zwykł był mawiać, był ten właśnie tunel szczytowy, obaj z Collisem, osobiście nadzorowali roboty na placu budowy.

Aby ukończyć tunel szczytowy, musieli wywiercić otwór wysokości dwudziestu stóp w litej skale długości 1659 stóp, ponad 7000 stóp nad poziomem morza. Nawet latem byłoby to nadzwyczaj

forsowne zadanie, ale ostra zima 1866/67 roku zawiodła Collisa na granice fizycznej i emocjonalnej wytrzymałości. Była to walka z żywiołem. Ponad czterdzieści śnieżnych zawiei naniosło w górach zasy py tak głębokie, że Chińczycy musieli poprowadzić tunel przez sam śnieg, żeby dotrzeć do skalnej ściany.

Tej zimy Charles trzy razy starał się nakłonić Collisa, żeby tego zaniechać. Ale Collis nawet nie chciał o tym słyszeć i nie dawał za wygraną. Jeśli on sam wytrzyma jakoś ten trzaskający mróz w wysokich Sierras, to dlaczego niby Chińczycy nie mają być na to odporni, a także, nawiasem mówiąc, Charles. Każdego dnia Collis odwiedzał oba końce tuneli – załogę, która stopniowo torowała sobie drogę pod górę, i załogę, która jednocześnie torowała sobie drogę w dół. Każdego dnia widział, jak ostrza wiertarek łamały się na twardej opoce granitu, a przepoceni robotnicy wiercili dziury, które musiały być wystarczająco głębokie, by umieścić w nich potrzebny ładunek wybuchowy. Każdego dnia, bez spoczynku, Collis przemierzał wzdłuż i wszerz swój drewniany barak na zachodnim końcu tunelu, analizując rozłożone na stole mapy i wykresy, wpatrując się w zasnu te śniegiem okna.

W marcu Leland wybrał się na teren budowy tunelu szczytowego i przywiózł ze sobą wędzoną szynkę, funt dobrego tytoniu z Wirginii i butelkę nitrogliceryny. Nitrogliceryna została właśnie wyprodukowana w Europie i okazała się doskonałym materiałem wybuchowym. Prawdę mówiąc, europejscy inżynierowie nazywali ją właśnie „olejem zapalnym”. Collis nie zwrócił nawet uwagi na szynkę ani na tytoń, ale od razu zawołał swoich chińskich, zwinnych niczym małpy, minerów, aby poddać próbie nowy materiał wybuchowy.

Collis trzął się cały z podniecenia. W ciągu kolejnych trzech tygodni Chińczycy przy użyciu nowego produktu wysadzili litą granitową skałę do ostatniego kamienia, a około 15 kwietnia Charles przyznał, że może przedrzeć się przez góry do końca lipca.

Dzień później dowiedzieli się z depeszy telegraficznej z San Francisco, że przesyłka nitrogliceryny, która przechowywana była na zapleczu biura Well Fargo, wybuchła bez żadnego widocznego powodu, zabijając dwunastu przechodniów i zamieniając ulicę w kałużę krwi. Pod koniec tygodnia, pomimo usilnych starań, kłótni i dyplomatycznych wybiegów Lelanda i jego zwolenników, wszystkie transporty nitrogliceryny do Kalifornii zostały zawieszane do odwołania. Collis szalał.

Wziął bryczkę i pojechał samotnie wzdłuż nasypu drogi żelaznej, aż do Dutch Flat. Było to słoneczne popołudnie, więc po raz pierwszy od miesiąca założył beżowy płócienny surdut i płaski biały kapelusz. Ściągnął cugle konia przed apteką–drogerią doktora Katesa i wszedł do środka.

Nic się tam nie zmieniło. Wewnątrz nadal unosił się ten sam zapach tabletek na kaszel i mydła, który Collis pamiętał z ich pierwszej wizyty z Teodorem. Za kontuarem, odważając sole kąpielowe, stał sam doktor Kates.

– Doktorze? – powiedział Collis.

Doktor Kates przyglądał mu się, wyteżając wzrok przez grube szkła okularów, a potem uśmiechnął się szeroko, rozpoznawszy, z kim ma do czynienia.

– Collis Edmonds! No, niech ja skonom! Myślałem, że siedzisz sobie w wygodnym fotelu za biurkiem w San Francisco. Nie sądziłem, że włączysz się jeszcze po tym pustkowiu.

Skończył odważanie swoich soli, a potem skinął na Collisa i poprowadził go do pokoju na zapleczu.

– Czego się napijesz? Kawy, herbaty czy może czegoś mocniejszego?

– Kawy. Mam przed sobą ciężki dzień.

– Domyślam się. Wcałe mnie to nie dziwi. Jak ta droga żelazna pnie się teraz pod górę!

– rzekł doktor Kates. – Poszedłem na trasę tydzień temu i aż trudno mi było uwierzyć, że kładzicie tory dokładnie wzdłuż tej samej trasy, którą ty i Teodor wyrysowaliście ołówkiem na mapie.

– Trasy, którą ty odkryłeś, doktorze.

Doktor Kates postawił dzbanek na stole, wciągnął w nozdrza zapach kawy i wytarł ręce w fartuch.

– Zasmuciła mnie wiadomość o śmierci Teodora w „Unionie”. Bardzo był z niego miły młody człowiek. Żarliwy.

– Tak. Można i tak powiedzieć.

– No cóż – powiedział. – A co tu ciebie sprowadza do tej starej apteki? Przecież nie przyjechałeś tu, żeby powspominać sobie ze mną stare czasy?

Collis pokręcił głową.

– Chodzi o ten szczytowy tunel. Zimą szło nam opornie, bo mieliśmy tylko proch. Potem Leland McCormick przywiózł nam trochę nitrogliceryny. Mówią na nią „olej zapalny”, a tnie przez góry jak przez ser.

Doktor Kates skinął głową.

– Wiem, o ci chodzi: jest teraz zakaz używania nitrogliceryny, prawda? Po tym wielkim wybuchu w San Francisco. Więc jak masz teraz zamiar wysadzić resztę skał, aż do drugiego końca?

Collis rozsiadł się na krześle. Przez okno widział ogródek warzywny doktora Katesa, dokładnie taki sam, jak w roku ubiegłym i nie inny niż w każdym poprzednim roku. Taki już pozostanie aż do śmierci swojego właściciela.

– O ile dobrze wiem, to nitroglicerynę otrzymuje się z kwasu siarkowego, kwasu azotowego i gliceryny.

– Owszem – rzekł doktor Kates, patrząc na Collisa.

Collis spojrzał na niego.

– A gdyby tak ktoś mógł przywieźć te trzy składniki, które nie są nielegalne, jeśli przywozi się je do stanu Kalifornii oddzielnie... gdyby tak ktoś przewiózł je w góry, w stanie surowym, i gdyby ktoś inny zmieszał je razem, tuż obok tunelu, który wysadzamy?

Mielibyśmy wtedy potrzebny nam materiał wybuchowy.

Doktor Kates zdjął okulary. Jego oczy były zamglone i blade, wyblakłe w jaskrawym górskim słońcu i jaskrawym górskim śniegu.

– I chcesz, żebym ja to zrobił, tak? – zapytał.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, doktorze.

– To jest raczej ryzykowne. Jeden błąd i możesz wylądować wyżej w powietrzu niż najwyższy szczyt Sierra Nevada.

– Ale ty jesteś taki ostrożny, doktorze.

– Chyba masz rację; rzeczywiście jestem raczej ostrożny.

– No więc jak będzie? Mogę na ciebie liczyć?

– Najpierw napijmy się kawy – rzekł doktor Kates. – Zjesz ze mną ciastko anyżkowe?

Prosto z pieca. Od Mrs Elias.

Collis wstał, odsuwając z hałasem krzesło.

– Nie mam wiele czasu, doktorze. Ten tunel musi zostać jak najszybciej wydrążony. Jak najszybciej!

Doktor Kates zmarszczył czoło.

– No dobrze już. Zrobię to dla ciebie.

*

Przez całe długie lato 1867 roku lesiste góry pod przejściem szczytowym trzęsły się i tętniły echem ciągłych, prawie nieprzerwanych wybuchów. Wewnątrz twardego, granitowego tunelu, w kłębach kurzu, było duszno i potwornie gorąco, ale chińscy minerzy wiercili bez ustanku frontową skałę, kładli ładunki wybuchowe ze świeżo wyprodukowanej nitrogliceryny i stopniowo wysadzali wnętrza gór.

Collis wrócił do Sacramento pod koniec lipca, aby doprowadzić do porządku zaniedbane od miesięcy interesy, ale w połowie sierpnia powrócił znowu w góry, w bardzo skromnym, prywatnym wagonie osobowym, ciągniętym przez „City of Sacramento”. Wyszedł z pociągu kilkaset stóp od zachodniego wylotu tunelu szczytowego, a Charles natychmiast przyszedł się z nim przywitać.

– No i jak idzie? – spytał Collis. – Pokonaliśmy wreszcie to przeklęte pasmo górskie?

– Zjawiasz się w samą porę – rzekł Charles. – Wiercimy właśnie ostatnią dziurę na ładunki i chyba powinniśmy się przebić na wylot akurat dziś po południu. Wysłałem paru chińskich brygadzystów po szampana.

Ruszyli pod górę w stronę tunelu, w chmurach kurzu z wywierconego granitu, przy akompaniamencie ogłuszającego huku kilofów. Collis szedł pierwszy, a za nim Charles.

Collis zdjął z głowy kapelusz, aby wytrzeć brudny pot z czoła chusteczką, i zakaszał.

Wreszcie dotarli do zachodniego wejścia tunelu, gdzie trzydziestu czy czterdziestu chińskich robotników w niebieskich kufajkach wierciło granit wiertarkami. Biały brygadzysta o obwisłych wąsiskach, w wysokim kowbojskim kapeluszu, podszedł do nich i powiedział: – Dzień dobry, Mr Edmonds. Za pół godzinki powinniśmy być gotowi do wysadzania, a wtedy będzie mógł pan zobaczyć światło dzienne po drugiej stronie tunelu, na samym szczycie.

Collis rozejrzał się wokół.

– Wiesz co – rzekł ochryple. – Mówili, że nie da się tego zrobić. Kiedy pierwszy raz poprzysiągłem sobie, że poprowadzę kolej przez Sierra Nevada, mówili, że nie da się tego dokonać. No a teraz, psiakrew, jesteśmy już tuż tuż u celu! Pokażemy im, jacy byli ślepi i zacofani! Dopięliśmy swego, Charles! No, może prawie! Czy rozumiesz, co to oznacza?

Patrzyłem kiedyś na te góry w Sacramento z werandy, od strony podwórka, a teraz – sam zobacz, jak się po nich przejechaliśmy równiuteńko.

Charles ujął go za ramię.

– No dosyć już tego, Collis. Chodź, pójdziemy się czegoś napić. Wygląda na to, że upał i kurz nie wychodzą ci na dobre.

Collis wytarł usta wierzchem dłoni. Jego twarz świeciła się od potu. Wyglądał chudo i chorowicie.

– Masz rację – powiedział. – Masz na pewno rację. Ale pamiętaj, muszę zobaczyć tę wydrążoną na wylot dziurę pierwszy. Rozumiesz? Nie chcę, abyście wysadzali to bez mojej wiedzy.

– Zrobi się, Mr Edmonds – przyrzekł brygadzysta. Collis i Charles ruszyli z powrotem tunelem w dół, aż znowu znaleźli się w świetle dziennym. Przeszli przez tory do baraku Charlesa. Charles otworzył drzwi i wprowadził Collisa do środka. W skleconym naprędce salonie, z wykładziną na podłodze, stał szezlong i brzydki mahoniowy sekretarzyk, a na ścianie wisiała nawet litografia zatoki San Francisco; przez zasłonięte kotarą drzwi Collis widział mosiężne łóżko i rozwieszone fotografie nagich francuskich modelek.

Charles podszedł do sekretarzyka i wyjął butelkę burbona.

– Wiesz co, Collis – powiedział, napelniając dwa kieliszki. – Naprawdę powinieneś jakoś się rozluźnić. Nie wyglądasz najlepiej.

– Nie jestem wcale chory – odparł Collis.

– Może i jeszcze na razie nie, ale jak się tak będziesz zamęczał, to niedługo wykorkujesz.

Nie możesz tak harować jak teraz, bez chwili oddechu, bo położysz się do grobu, zanim dobiejesz czterdziestki.

Collis usiadł i wziął od niego drinka.

– No i co z tego? – wzruszył ramionami.

– Jak to „co z tego”? Ta kolej to przecież twoje dzieło! Prawie samodzielnie, bez niczyjej pomocy, wpłynąłeś na losy tego kraju. Jak możesz mówić „i co z tego”?

– Hanna powinna tu być dzisiaj, Charles. Hanna i dwoje moich małych dzieci.

Charles stropił się na to i powiedział tylko: – No cóż. Takie jest życie.

Collis odstawił kieliszek i podparł głowę dłońmi, a kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał poważniej niż kiedykolwiek. Charles nigdy jeszcze nie słyszał, żeby mówił z taką rozwagą.

– Chcę ukończyć tę kolej, Charles, bo i tak, co się stało, to się nie odstanie. Ale gdybym tylko mógł wymienić tę kolej i te wszystkie lokomotywy, złącza, haki i tory... gdybym tylko mógł wymienić tę kolej na jeden dzień z Hanną – tylko na jeden jedyny dzień – to bym się nie zawahał.

Podniósł głowę, a Charles, zaszokowany, zobaczył, że płacze.

– Przeczuwałem, że ta kolej pociągnie za sobą ofiary w ludziach. Byłem na to przygotowany. Nie cofałem się przed niczym. Rujnowałem ludzkie szczęście i ludzką reputację. To jest cena postępu, myślałem. Ale z jednego nie zdawałem sobie sprawy: z tego mianowicie, że to nie ja kieruję tym wyrębem. Bóg nim kierował albo los Ameryki, albo jeszcze coś innego – wszystko jedno jak to nazwiesz. Nie przyszło mi nawet nigdy do głowy, że ja sam jestem równie bezsilny wobec złośliwości i wybryków losu jak i wszyscy inni.

Znowu wyjął chusteczkę i wytarł nos.

– Straciłem wszystko, Charles. Nie można wymagać od człowieka, żeby był w stanie tyle przecierpieć. A ta kolej to tylko pomnik mej próżności i mego zarozumiałstwa, i mojej bezdennej ludzkiej głupoty.

– Collis, jesteś przemęczony... – rzekł Charles.

– Tak – odparł Collis. – Jestem przemęczony, ale nie pomyłony. Co to, to nie.

*

Przed południem brygadzysta oznajmił, że chińska ekipa minerów zaczyna wysadzać ostatnią przeszkodę. Collis zauważył w tłumie doktora Katesa, który stał w samej koszuli i kamizelce, i zasalutował przyjaźnie w jego stronę.

– Czy chciałby pan wysadzić tę ostatnią przeszkodę, Mr Edmonds? – spytał brygadzysta.

– Detonator jest akurat tutaj, jeśli chce pan to zrobić własnoręcznie.

Collis pokręcił głową.

– Chyba ten zaszczyt należy się Mr Tuckerowi. Jest przecież szefem budowy.

Powietrze przeciął ostry świst gwizdka ostrzegawczego, który naglił robotników, żeby wyszli z tunelu na zewnątrz, a potem brygadzysta podniósł rękę do góry. W dumie zapanowała absolutna cisza, a fotograf z głową nakrytą czarną kapą zrobił wszystkim zdjęcie.

Potem brygadzysta spuścił dłoń, a Charles mruknął głośno z wyraźną satysfakcją i nacisnął na kurek zapłonu.

Rozległ się furkot, a potem zapadła cisza. Ktoś zaśmiał się.

– Spalone! – krzyknął brygadzysta. – Yo Huang, biegnij no i zobacz, co jest grane.

Wysoki Chińczyk ruszył po torach w stronę tunelu. Ale Collis złapał brygadzystę za ramię i rzekł: – Przecież to musi być niebezpieczne? Czy te ładunki nie mogą wybuchnąć nagle, lada chwila?

– Pewno, że to nie przelewki – odparł brygadzysta. – Ale z nitrogliceryną zawsze się trzeba mieć na baczności.

Brygadzysta pokręcił głową.

– Przepraszam, Mr Edmonds, ale nie mogę wziąć na siebie takiej odpowiedzialności. To przecież nitrogliceryna.

– Nie będziesz brał na siebie żadnej odpowiedzialności – odburknął Collis. – To moja kolej i do diabła zrobię, co będę uważał za stosowne.

– Collis, nie wyglupiaj się – rzekł Charles. – Co ty wiesz na temat ładunków wybuchowych? Nie możesz tam iść. To niebezpieczna sprawa i w ogóle nie ma o tym mowy.

– Idę – rzekł Collis, zdejmując swój lniany surdut i oddając kapelusz brygadziście. – Prawdopodobnie połączenie jest po prostu obluzowane. Na tyle to się na tym znam. Dziecko mogłoby to naprawić.

– Collis – ostrzegał go Charles. – Jeśli zrobisz jeszcze choćby jeden krok, to będę cię musiał zatrzymać siłą.

– Nie, Charles. Nie zrobisz tego. Idę i tyle. Koniec, kropka.

Przez tłum rębaczy i minerów przeszedł pomruk podziwu i zaniepokojenia, kiedy brygadzysta skinął na osłupiałego ze zdziwienia Yo Huang. Potem Collis ruszył wzdłuż nasypu kolejowego, doszedł do wejścia tunelu i wszedł do środka, nie oglądając się nawet za siebie.

Teraz, kiedy zatrzymały się już wiatraki, w tunelu panowała absolutna cisza. Jego kroki rozlegały się dudniącym echem wśród litej granitowej skały i słyszał własny oddech, jakby był kimś zupełnie

innym, jakąś zupełnie obcą osobą. No cóż, pomyślał, może tak jest w istocie? Może okazało się jednak, że wyrosłem na kogoś zupełnie innego niż ten chłopak, który obudził się przy boku irlandzkiej dziwki w hotelu Monument tyle już lat temu? Może wydroślałem.

Szedł wzdłuż lśniącego, biegnącego od detonatora drutu, przyglądając się mu kątem oka.

Był teraz dwieście stóp w głąb tunelu, a tunel dalej stał nieprzebyty, nienaruszony. Zakaszłał i przełknął ślinę. Nie zastanawiał się w ogóle, dlaczego zdecydował się na taki krok. Po prostu wydawało mu się, że właśnie tak trzeba. Normalka. Żadne wielkie rzeczy.

Spociał się, więc wyjął chusteczkę, by otrzeć twarz. Na brzegu chusteczki widniały ozdobne litery C.E. i nagle ujrzał przed oczami Hannę, w ten dzień, kiedy wyszywała ją dla niego, siedząc na werandzie ich domu w Sacramento, pewnego ciepłego, majowego wieczora.

Musiała być wtedy w ciąży, pomyślał z bolesnym poczuciem straty. W tym właśnie momencie musiała nosić moje dziecko.

Usłyszał rozzdzierający świst, więc podniósł głowę i spojrzał za siebie, wzdłuż pochyłego tunelu. To właśnie w tym momencie jeden z przygotowanych ładunków wybuchnął z głośnym, dudniącym hukiem, a Collis miał wrażenie, że dostał obuchem w głowę. Potem grad pokruszonego granitu zwałił go z nóg i zasypał do połowy w kurzu i lawinie piachu.

EPILOG

Orkiestra grała „Z drogi!”, lecz ze swego prywatnego wagonu salonowego Collis słyszał jedynie miarowe uderzenia w bęben – od dnia wypadku ogłuchł na prawe ucho. Uszkodził również kręgosłup, więc dalej chodził o lasce. Dotarł w końcu do tej suchej, pustynnej niecki, otoczonej z trzech stron grzbietami gór, które rozmazywały się w skwarze słonecznych promieni. Czuł się jak mężczyzna, który zjawia się na dawno umówione spotkanie z kobietą, chociaż wcale nie jest pewien czy ją jeszcze kocha. Ale wiedział, że musi się tu stawić, w to miejsce. Tak właśnie dopełniało się to przeznaczenie, o którym rozmawiał wiele razy z Hanną i z Janką Zadupczanką.

Żelazny zderzak „Jupitera”, lokomotywy, która ciągnęła wagon Collisa poprzez pustynne ziemie Humboldt Sink, był teraz tylko o pięćdziesiąt stóp od zderzaka „Engine 119”, lokomotywy należącej do Union Pacific. Tu, w Promontory Point, w stanie Utah, dwie drogi żelazne schodziły się, łącząc tym samym dwa wybrzeża kontynentu.

W drodze do Sacramento Collis tryskał energią. Z radością zapraszał do swojej salonki reporterów z gazet i rozchichotane podlotki na szampana z lodem. Ale teraz czuł się bardziej przygaszony. Od czasu do czasu podnosił żaluzje i patrzył przez okno na jaskrawy poranek w Utah, krzywiąc się, jakby miał migrenę. Z okna widział dwie lokomotywy, wypucowane, lśniące w promieniach słońca, obleczone w obłoczki dymu. Oddział ponad stu żołnierzy z 21 jednostki piechoty, w niebieskich mundurach i śnieżnobiałych rękawiczkach, czekał już obok torów. Tłum dziennikarzy i fotografów, niecierpliwie przebierających nogami w piasku i bylicy, zgromadził się nie opodal, częstując się nawzajem cygarami i ciepłym, piwem butelkowym. Drewniane statywy sterzczały gotowe, by uwiecznić ceremonię połączenia torów.

Był to 10 maja 1869 roku, słoneczny poniedziałek, dwa lata po tym, jak ludzie Collisa wysadzili przejście przez wysokie Sierras. Od tamtego dnia posuwali się naprzód z szaleńczą prędkością, gdy tymczasem przedsiębiorstwo Union Pacific w równie gorączkowym pośpiechu układało tory od wschodu. Charles pędził swoich chińskich i irlandzkich robotników do roboty, tak że gonili po prostu resztkami sił, starając się pobić U.P. w samym sercu stanu Utah. Tam bowiem czekała na nich bardzo cenna nagroda handlowa w postaci Salt Lake City. Każda mila torów, którą ułożyli, przynosiła im dodatkowe pożyczki i subwencje od rządu federalnego, a Collis potrzebował każdego dolara i każdej piędzi ziemi, jakie udało mu się otrzymać.

Charles chętnie się, że goście z Kalifornii nie byli w stanie nadażyć za jego ekipą budowniczych, a jeden z reporterów z San Francisco donosił ze zgrozą, że widział na własne oczy, jak ułożono pół mili torów w niecałe dwadzieścia osiem minut.

27 kwietnia, gdy rywalizujące przedsiębiorstwa docierały do Promontory Station, Collis pojechał na spotkanie z Tnomasem Durantem z Union Pacific. Zjedli obozowy obiad pod trzepoczącym namiotem, a Collisa coś pokusiło, więc – jak za dawnych lat – założył się z Durantem o dziesięć tysięcy dolarów, że jego załoga będzie w stanie ułożyć dziesięć mil torów w jeden dzień. Durant, z pełnymi ustami wypchanymi pasztecikiem z dzicyzną, przyjął zakład, czemu nie?

Nazajutrz w powietrzu falującym z gorąca, w kłębach pustynnego kurzu, specjalnie wybrana ekipa fachowców uzbrojonych w przyrządy miernicze, haki i szyny, pod dozorem Charlesa Tuckera, przeniosła w sumie 250 tysięcy funtów żelaza, przymocowała 25 800 złączy i przybiła 3250 torów. Gdy zapadał zmrok, przekroczyli dziesięćmilionową metę i ułożyli dodatkowo pięćdziesiąt sześć torów, na szczęście. Nazywali to później Dniem Dziesięciu Mil i ustawili specjalny znak, aby upamiętnić to wydarzenie.

Nawet gdy budowniczowie Sierra Pacific spotkali się już ze zbliżającymi się z naprzeciwka budowniczymi Union Pacific, Collis nakazał swoim ludziom kontynuować przygotowania do ułożenia równoległych torów – przynajmniej do czasu, aż zapadnie ostateczna decyzja co do miejsca, gdzie mają się zejść obie drogi żelazne. Mijając się, ekipa Sierra Pacific i Union Pacific zaczęły obrzucać się wykopanym grudami ziemi i o mało nie wysadziły się nawzajem w powietrze nitrogliceryną.

Collis spędził pięć dni, wyklócając się i awanturując z Durantem i przedstawicielami rządu federalnego, aż w końcu obaj z niechęcią poszli na kompromis i zgodzili się na Promontory Station jako punkt łączący obie drogi. I w końcu, o 11.30., w gorący poranek majowy, przygotowano ostatecznie parę stóp nasypu i umocowano na nim piękne okrzeseane złącze z drzewa laurowego, które miało szepić ostatnie tory.

Drzwi salonowego wagonu Collisa otworzyły się i stanął w nich Leland, ubrany w surowy, odświętny surdut, i wysoki, świecący, czarny cylinder. Był rozgrzany i zaaferowany.

– No! W końcu jesteśmy gotowi! – oznajmił. – Właśnie miałem idiotyczną sprzeczkę z Grenville'em Dodge'em na temat tego, kto ma wbić ostatni hak. On chciał to zrobić! Akurat!

Taki inżynierek od siedmiu boleści. A gdzie on był, ciekaw jestem, kiedy my staraliśmy się o przydział ziemi i biliśmy zażarcie o fundusze?

– No i doszliście jakoś w końcu do porozumienia? – spytał Collis oschle, bez zainteresowania.

– A jakże! – Leland wydał policzki. – Ja przywiozłem specjalne haki na tę uroczystość i ja wbiję je pierwszy. Dwa złote haki, jeden srebrny i żelazny. I złącze z drzewa laurowego ze srebrną płytką. Dodge chciał po prostu wbić byle jaki żelazny hak, jakby to był jakiś byle jaki, zardzewiały, stary tor.

– Ostatni tor nie różni się niczym od pierwszego – rzekł Collis. Spojrzał na Lelanda z przelotnym uśmiechem.

Leland otrzepał z pietyzmem wyłogi surduta.

– Naprawdę, Collis, ostatnio w ogóle nie doceniasz naszych osiągnięć. Przekształciliśmy na zawsze życie tego kraju! Czy ty w ogóle zdajesz sobie z tego sprawę!

– Tak – rzekł Collis, podnosząc się z krzesła. Orkiestra na zewnątrz grała „Flagę usianą gwiazdami” już po raz piąty. – Chyba musimy już iść. Nie chciałbym stracić czegokolwiek z części oficjalnej, którą poprowadzisz.

Wyszli z pociągu na zakurzone podtorze. Wokół, śmiejąc się i przepychając, zebrał się już tłum sześciuset czy siedmiuset ludzi, a ponieważ ustawiono dwa czy trzy stoiska z whisky, większość widzów była pijana. Thomas Durant, w swej najlepszej, czarnej, aksamitnej marynarce, z twarzą białą jak prześcieradło, czekał w słońcu przy ostatniej szparze pomiędzy torami.

Było dokładnie parę minut po dwunastej w południe. Dwie lokomotywy, odłączone od wagonów, które tu ze sobą przywiozły, zbliżały się do siebie, sapiąc i sycząc po drodze. Flaga Zjednoczenia furkotała głośno z pobliskiego słupa telegraficznego, a z jednego z izolatorów na słupie ściągnięto drut przewodni i podłączono go do stacji telegraficznej, umieszczonej na stole, w odległości zaledwie dziesięciu stóp od ostatniego toru. Przy stole młody telegrafista z błyszczącymi od brylantyny włosami wystukiwał w obie strony kontynentu wiadomość, że ostatni hak zostanie wbity za niecałe dwadzieścia minut.

– Pomysł polega na tym, że hak zostanie podłączony do telegrafu drutem – rzekł Leland.

– Gdy uderzę moim posrebrzonym młotem, ta sama transmisja telegraficzna oznajmi jednocześnie całemu światu, że Ameryka po wielu trudach i zabiegach, została w końcu połączona drogą żelazną.

Jane McCormick, która rozmawiała z Mary Tucker, podeszła do nich i ofiarowała Lelandowi ramię, tłuste niczym salami z San Francisco, na które ktoś wciągnął dla żartu białą damską rękawiczkę. Leland przyjął je, poklepał i rzucił w stronę Collisa pobłażliwy, ironiczny uśmiech.

Thomas Durant czekał już na nich i powiedział: – Przepraszam, ale łeb mi pęka z bólu.

– Trzeba było tyle nie pić – zauważyła Jane McCormick i dalej miała minę pyszałkową, chociaż Collis obrzucił ją gniewnym spojrzeniem.

Grenville Dodge pozostał w tyle, patrząc na dyrektorów Sierra Pacific z urazą. Zawsze uważał, że Leland McCormick to napuszony gaduła i nigdy zresztą nie ukrywał tego, co o nim myśli.

Orkiestra przestała grać, za to tłum zbliżył się – roześmiany i rozśpiewany. Raz po raz rozległy się huczne brawa i oklaski. Collis nie mógł wprost utrzymać równowagi – tak na niego naciskano ze wszystkich stron.

Wysoki, chudy kaznodzieja, z jednym tylko cieniutkim pasemkiem siwych włosów, które rozwiały się i stanęły dęba jak pigra w przepasce czerwonego Indianina, wystąpił naprzód z tłumu zgromadzonych. Był to wielebny John Todd, który przyjechał do Promontory z ramienia dwóch religijnych organów prasowych. Uniósł w górę obie dłonie i zmówił pod nosem modlitwę dziękczynną, tak że nikt w ogóle nie słyszał ani słowa. Nikt oprócz Lelanda, bo ten stał tuż przy wielebnym duszpasterzu i kiwał głową, jakby on sam był adresatem tej modlitwy.

Collis przepchnął się w ich stronę i stanął obok telegrafisty. Podczas gdy wielebny John Todd intonował prawie niedosłyszalnie „Amen”, Collis patrzył, jak telegrafista wystukuje: „Odmówiono właśnie modlitwę. Teraz czas na końcowy hak”. Teraz wystąpił Charles Tucker i podał dwa złote haki Lelanda Thomasowi Durantowi, który przyjął je skinieniem głowy, starając się zapanować nad kacem. Potem przyklęknął i wepchnął haki w wydrążone wcześniej otwory laurowego złącza. Napis ze srebrnej tabliczki odbijał się na policzku: „Ostatnie złącze drogi żelaznej Pacific Railroad. Maj, 1869 roku”.

Leland przemawiał przez ponad pięć minut, podczas gdy zebrani przepychali się niecierpliwie, przestępując z nogi na nogę. W końcu uniósł dłoń i zawołał swym najbardziej melo – dramatycznym głosem: – A teraz, panowie, przy waszej pomocy zaczniemy układać ostatnie złącza, ostatni tor i wbijemy ostatni hak.

Grenville Dodge, który zdawał się już nieco pocieszony, podziękował Lelandowi za to przemówienie i rzekł: – Panowie! Oto osiągnięcie na miarę Krzysztofa Kolumba! Przyniesiono młot ze srebrnym obuchem. Leland rozdawał naokoło uśmiechy i machał do zgromadzonych ręką niczym prezydent do swoich wiernych wyborców. Drut telegraficzny przyczepiono do jednego ze złotych haków, a Leland ujął młot w obie ręce i wywijał nim jak zabawką. Jane McCormick, cała w pąsach, pękała po prostu z dumy.

– No! Ja jestem gotów – oznajmił Leland i zamachnął się młotem, aby utrafić w ostatni hak. W ogóle nie trafił, uderzając zamiast tego w podtorze. Przez tłum przeszedł huragan śmiechu: to budowlańcy, którzy wypili już cały stragan whisky i szykowali się do następnego, dawali upust swojej wesołości. Leland, czerwony jak burak, cofnął się o parę kroków.

Teraz Thomas Durant, włożywszy swoje ochronne rękawice robocze, odebrał od niego młot. Zamachnął się mocno, sapiąc z wysiłku, i także chybił. Budowlańcy wpadli w prawie histeryczny szal i zwijali się ze śmiechu. Collis pochylił się nad stołem telegrafisty.

– Jak się nazywasz, przyjacielu? – zwrócił się do chłopaka. Telegrafista popatrzył na niego spod oka.

– Shilling, proszę pana. Walter Shilling.

– No więc, Mr Shilling – rzekł Collis – wygląda na to, że musimy wziąć sprawę w swoje ręce, nie uważa pan? Budowa kolei transkontynentalnej musi zostać oficjalnie zakończona..

Wyciągnął dłoń i stuknął w klawisz telegraficzny tylko raz.

Shilling popatrzył na Collisa ze zdziwieniem. Potem szybko przetransmitował wiadomość: „Zrobione”. Collis uśmiechnął się do niego ironicznie, włożył rękę do kieszeni i dał mu pięciodolarową monetę.

Ku wielkiemu zdziwieniu Lelanda tłum ogarnęła nagle wielka radość. Poleciały w górę czapki i kapelusze, a dwie lokomotywy zagwizdały tak donośnie, że Collis o mało aie ogłuchł do reszty; tak mu się przynajmniej zdawało. Orkiestra znowu łupnęła „Flagę usianą gwiazdami”, a ktoś wystrzelił z pistoletu w południowe niebo.

Powoli lokomotywy podjechały bliżej, aż dotknęły się zderzakami. Inżynierowie i budowlańcy oraz wiwatujący gapie wdrapywali się na stopnie parowozów i na błyszczące metalowe pierścienie tłoków, a korki od szampana wylatywały w powietrze, rozpryskując wokół pianę. .

W końcu przyszedł czas na oficjalną fotografię – widzowie czekali już dosyć długo na ten moment. Oto Grenville Dodge, poważny i brodaty, podaje dłoń Charlesowi Tuckerowi.

Leland, z uwieszoną na swoim ramieniu Jane, stara się wyglądać serdecznie, a zarazem dostojnie jak mąż stanu. Collis znalazł się tylko na jednym historycznym zdjęciu, i to w dodatku tyłem, bo stał właśnie przy stole telegrafisty, prosząc go o wysłanie prywatnej depeszy do mr Johna Frémonta z San Francisco. Mówiła ona: „Winien mi jesteś przyjęcie.

Zaproś też Melforda”.

Tego popołudnia hucznie świętowano w całej Ameryce. W San Francisco mieszkańcy miasta wylegli gromadnie na ulice, tańcząc, pijąc i bawiąc się do białego ranka. W Chicago siedmiomilowa parada rozradowanych, świętujących Amerykanów zablokowała przejazd na całe godziny. W Sacramento, niedaleko od 54 K Street, stało, jedna przy drugiej, trzydzieści nowych lokomotyw przedsiębiorstwa kolejowego Sierra Pacific, gwizdząc tryumfalnie w idealnej harmonii.

W Utah Collis Edmonds stał z dala od tego całego zamieszania, opierając się ciężko na swojej ebonitowej lasce, kiedy podbiegł do niego wyrostek o pyzatej, rumianej buzi i podał mu plik przekazów telegraficznych. Ściśle mówiąc, było ich trzy.

– To dla pana. Shilling odebrał je dziś rano, ale McCormick powiedział, że powinniśmy poczekać na tę chwilę, aż pan je sam przeczyta.

Collis rozdarł po kolei każdą kopertę.

Pierwsza depesza mówiła: „Serdeczne gratulacje i wyrazy uznania od dyrektorów spółki akcyjnej Sierra Pacific”.

Druga mówiła: „Wiekopomne, zaszczytne osiągnięcie. Najlepsze życzenia. Prezydent Ulysses S. Grant”.

Trzeci telegram mówił: „Twoje imię jest na ustach wszystkich. Całe San Francisco saltuje ci i nawet ojciec jest pełen podziwu! Wróciłam teraz do domu i czuję się dużo lepiej.

Namówię ojca, żeby zaprosił cię na kolację. Twoja stała wielbicielka, Sara”.

Lokomotywa wydała z siebie rozzwierający gwizd, a Collis rzucił telegram Sary w powietrze i zmieszał się z tłumem w poszukiwaniu szampana. Za jego plecami telegram sfrunął wdzięcznie na ziemię i natychmiast dziesiątki par butów wdeptały go w piach, zamazując rękopis Shillinga, tak że jedyne, co można jeszcze było odczytać, to te znamienne słowa: „Twoja stała wielbicelka”.

* Wagon pulmanowski – typ wagonu osobowego o wąskim korytarzu, z którego prowadzą wejścia do poszczególnych przedziałów. Od nazwiska George’a Mortimera Pullmana (1831–1897), przemysłowca amerykańskiego i pierwszego konstruktora wagonów sypialnych (wszystkie przypisy – od tłumacza).

* Koktajl burboński – tu: mieszanka whisky burbon z jablecznikiem (winem z jabłek).

* W krajach anglosaskich w dzień Bożego Narodzenia dzieci otrzymują prezenty gwiazdkowe w specjalnej choinkowej pończosze.

* Daniel Webster (1782–1852) – amerykański mówca i mąż stanu. Był posłem w Izbie Reprezentantów (w latach 1813–1817 i 1823–1827), senatorem (1827–1841, 1845–1850) oraz sekretarzem stanu (1841–1843, 1850–1852).

Twierdził wprawdzie, że jest przeciwnikiem niewolnictwa, ale był zdecydowany na wszelkie ustępstwa, byle tylko nie dopuścić do secesji stanów południowych, których gospodarka opierała się na niewolnictwie.

* Stephen Arnold Douglas – amerykański polityk konserwatywny. W roku 1860 uzyskał nominację Partii Demokratycznej na prezydenta, ale został pokonany przez Lincolna (republikanie).

* James Buchanan (1791–1868) – piętnasty prezydent Stanów Zjednoczonych. Zwolennik niewolnictwa; popierał nadanie stanowi Kansas praw legalizujących niewolnictwo.

* W tych czasach Partia Demokratyczna popierała niewolnictwo. Przeciwnikami niewolnictwa byli republikanie.

* Dred Scott (1795–1858) – niewolnik amerykański z Wirginii. Przeszedł do historii, starając się uzyskać wolność na drodze sądowej, argumentując, iż mieszka w stanie Illinois, wolnym od niewolnictwa (1848–1857).

Wprawdzie Sąd Najwyższy uchylił wniosek, ale wkrótce Dred Scott został wyzwolony i pracował potem jako tragarz hotelowy w St Louis, w stanie Missouri.

* Thomas Minton (1765–1863) – właściciel zakładów garncarskich.

* Tammany Hall – komórka Partii Demokratycznej w Nowym Jorku.

* Szerbet – napój chłodzący.

* Markasyt – dwusiarczek żelaza; pospolity minerał o żółtawym zabarwieniu.

* Czarny republikanin – republikanin popierający wyzwolenie Murzynów.

* Abolicjonistą – działacz dążący do obalenia niewolnictwa.

* Jack Davis – chodzi prawdopodobnie o Jeffersona Davisa (1808–1889), demokratycznego, skrajnie prawicowego polityka, który w czasie wojny secesyjnej został prezydentem Stanów Skonfederowanych.

* Sir Samuel Cunard (1787–1865) – słynny kanadyjski armator, który wyemigrował do Anglii w 1838 roku i wsławił się jako współzałożyciel British & North American Royal Mail Steam Packet Company (Brytyjskiego i Północnoamerykańskiego Przedsiębiorstwa Transportu Morskiego).

* Mal de mer – choroba morską.

* Pudding – tu: potrawa mięsna z przyprawami o dość rzadkiej konsystencji.

* Lager – rodzaj piwa.

* John Charles Frémont (1813–1890) – badacz amerykański, odkrywca, inżynier i polityk. W 1842 roku przeszedł przez Góry Skaliste i wskazał na możliwość wybudowania drogi żelaznej poprzez cały kontynent. Osiedlił się w Kalifornii w 1849 roku. W 1856 roku zdobył mandat Partii Republikańskiej na kandydowanie na stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych, ale został pokonany przez Jamesa Buchanana. W 1864 roku znowu wysunięto jego kandydaturę, ale Frémont zrezygnował na rzecz Abrahama Lincolna. W 1873 roku władze francuskie skazały go zaocznie na karę więzienia za szalbierstwa przy budowie drogi żelaznej South Pacific.

* Buchanek – spolszczone zdrobnienie nazwiska prezydenta Buchanana, zwanego powszechnie Old Buck.

* Andrew Jackson (1756–1845) – siódmy prezydent Stanów Zjednoczonych.

* John Lloyd Stevens (1744–1838) – amerykański inżynier i wynalazca. Konstruktor wielocylindrowego kotła parowego. Budowniczy słynnego parostatku „Juliana” (1811) – pierwszego na świecie promu na rzece Connecticut.

* Tender – przyczepa parowozu, zawierająca zapas węgla, wody, smarów itp.

* Old Carstairs Authentic – rodzaj whisky.

* Namorzyny – lasy w strefach tropikalnych, rosnące na glebach zasolonych lub nawet w słonej wodzie.

* Je ne comprends pas – Nie rozumiem.

* Złote Wrota (Golden Gate) – cieśnina w Kalifornii, łącząca zatokę San Francisco z Oceanem Spokojnym i oddzielająca San Francisco od Marin County.

* Valholla – w mitologii nordyckiej kraina, gdzie wojownicy, którzy polegali na polu chwały, żyją w wiecznej szczęśliwości.

* Eagle Saloon – nazwę tę można by przetłumaczyć jako „Orzełek”, stąd ornamenty orłów.

* Szmuklerz – rzemieślnik wyrabiający pasmanterię, pasamonik.

* Bret Harte (1836–1902); pisarz amerykański, urodzony w Nowym Jorku. Od 1854 roku w Kalifornii. Pełnił funkcję sekretarza amerykańskiej Mennicy w San Francisco (1864–70). W tym też czasie powstały jego najbardziej znane poematy: John Burns front Gettysburg oraz Society upon the Stanislaw. Założyciel (1868) i redaktor naczelny miesięcznika „Overland Monthly”.

Konsul amerykański w Krefeld (1878–1880), a potem w Glasgow (1880–1885). Zmarł w Londynie.

* Culloden – bitwa pod Culloden (1746); decydująca bitwa, w czasie której armia Karola Edwarda Stuarta została pobita przez siły zbrojne pod wodzą księcia Cumberlanda (dynastia Hanowerów). Culloden położył kres dążeniom Stuarta do odzyskania tronu brytyjskiego.

* Zimowa powieść, przekład Leon Ulrich, akt III, scena 3.

* Panama – rodzaj słomianego kapelusza z szerokim rondem.

* Kit Carson – właściwie Christopher Carson (1809–868).

* Powstanie „Bear Flag” – spontaniczne, krótkotrwałe powstanie kalifornijskich osadników w Dolinie Sacramento przeciwko władzom meksykańskim. W 1846 roku Kalifornię zamieszkiwało około 500 Amerykanów i od 8 do 10 tysięcy Meksykanów. Grupa Amerykanów, na czele z Williamem B. Ide’em, ogłosiła deklarację niepodległości i wzniosła flagę, na której widniał niedźwiedź zwrócony w stronę czerwonej gwiazdy na białym tle. 25 czerwca John Charles Frémont zjawił się w Sonomie, by udzielić swego poparcia powstańcom.

* Herman Melville (1819–1891) – pisarz amerykański. Został najpierw kancelistą bankowym, ale nęciły go podróże i przygody, więc zatrudnił się jako majtek na kutrze rybackim i wyruszył na połów wielorybów na morzach północnych. Spędził parę tygodni z tubylczymi szczepami w kotlinie Typee, co zainspirowało jego pierwszą powieść Typee. Autor takich powieści, jak Omoo (1847), Mardi (1849), Redburn (1849), White Jacket (1850), Moby Dick (1851), Pierre (1852), The Confidence Man (1857) oraz opublikowanej pośmiertnie (1924) powieści Billy Budd.

* Sangre de Christo – krew Chrystusa.

* L’affaire des couvertures – „sprawa z kocami”.

* Je regrette – przykro mi.

* Hauteur – wyniosłość.

* Haute – tu: wyniosła.

* Antietam – bitwa pod Antietam, 1617 września 1862 roku, w czasie wojny secesyjnej, znana również pod nazwą bitwy pod Sharpsburgiem. Siedemdziesięciopięcioletnia armia Zjednoczenia, pod dowództwem gen.

George’a McCleUanda, przeprowadziła pięć szturmów na oddziały armii konfederackiej pod wodzą gen. Roberta Lee. Obie strony straciły po 12 tysięcy ludzi i, żadna nie odniosła bezspornego zwycięstwa, ale gen. Lee zmuszony został do wycofania się do Wirginii.

* Saignant – nie dopieczony.

* George i Jacob Donner. Zimą 1846/47 roku w przeprawie przez przełęcz w Sierra Nevada, która nosi dzisiaj ich imię, stracili prawie połowę ludzi z grupy emigrantów, starających się przedrzeć

przez góry do Doliny Sacramento. Uczestnicy przeprawy wpadli w zamieć śnieżną; ci, którzy przeżyli, żywili się ciałami zmarłych towarzyszy niedoli.

* Therm (British Thermal Unit) – jednostka określająca ilość ciepła, które potrzebne jest, by podnieść funt wody o maksymalnym zagęszczeniu o jeden stopień Farenheita.

* Aneroid – jednostka ciśnienia w barometrze, który nie mierzy ciśnienia za pomocą gazu lub cieczy (np. rtęci), ale przez napór ciśnienia – na elastyczną pokrywę pudełka pozbawionego powietrza.

* Tong – stowarzyszenie.

* Ici reposent Athalie Baudichon avec Charles et Blanche, ses deux Enfants, trois victimes de l'horrible explosion du Steamboat Jenny Lind le U Avril, 1853. Priez pour eux. – Tu spoczywa Athalie Bandichon oraz jej dwoje dzieci, Charles i Blanche, trzy ofiary strasznej eksplozji parowca „Jenny Lind”, 11 kwietnia 1853. Módlcie się za ich dusze.

* Piroksylin – bawełna strzelnicza.

* Excalibur – nazwa miecza króla Artura.

* Sztauer – robotnik portowy.

* Tung-po – rodzaj wieprzowiny.

* Salami – mięso z dzikiego ptactwa.

* Bull Run – dwie bitwy (latem 1861 roku i latem 1862 roku), znane również pod nazwą bitew pod Manassas lub Manassas Junction (północna Wirginia). Obie dały strategiczną przewagę armii konfederackiej ze względu na położenie Manassas – ważnego węzła kolejowego.

* Shiloh – ruiny biblijnego miasta w Jordanii.

* Gettysburg – miasto w południowej Pensylwanii, gdzie w czasie Wojny Secesyjnej (1863) konfederackie oddziały pod wodzą Roberta E. Lee pokonane zostały przez armię Zjednoczenia, pod dowództwem George'a Meade'a.

* Cytat według Pisma Świętego Nowego Testamentu przekład z języka greckiego w opracowaniu zespołu pod redakcją ks. Mariana Wolniewicza, Księgarnia Świętego Wojciecha, Poznań 1984.

* Ulysses Simpson Grant (1822–1885), dowódca wojsk Zjednoczenia w wojnie secesyjnej i osiemnasty prezydent Stanów Zjednoczonych (1869–1877).

* Robert Edward Lee (1807–1870), dowódca wojsk konfederackich w czasie wojny secesyjnej.

* Kościół fundamentalistów – ruch w amerykańskim protestantyzmie, który głosił nieomylność Biblii nie tylko w kwestiach moralności i wiary. Fundamentalisci uważają Biblię za dosłowny przekaz historyczny i prorocstwo.